Chava Rosenfarb

Listy do Abraszy

BIBLIOTEKA CENTRUM DIALOGU

Chava Rosenfarb

Listy do Abraszy

Chava Rosenfarb

Listy do Abraszy

Przekład z języka jidysz
Joanna Degler (Lisek), Magdalena Ruta,
Inka Stempin, Marek Tuszewicki, Anna Ciałowicz

Biblioteka Centrum Dialogu
Łódź 2023

Podziękowania dla Bunima Wienera[1] – za cierpliwość i troskę, a także za pomoc przy publikacji tego dzieła.

Ch. R.

[1] Bono Wiener (1920-1995) – drugi mąż Chavy Rosenfarb, szkolny kolega z czasów łódzkich. Od najmłodszych lat był aktywnym członkiem młodzieżowej organizacji SKIF działającej przy Bundzie. Z łódzkiego getta trafił do Auschwitz, potem Mauthausen i Güssen. Po wojnie wyemigrował do Australii, gdzie odgrywał ważną rolę w społeczności bundystów.

Dla Heni[2]

[2] Henia (Rosenfarb) Reinhartz (1926-2021) – młodsza siostra Chavy Rosenfarb, wraz z nią przeszła całą drogę poprzez łódzkie getto, Auschwitz i Bergen-Belsen. Po wojnie skończyła studia w Paryżu i została nauczycielką jidysz. W 1951 r. wyemigrowała do Kanady. Jest autorką wspomnień *Bits and Pieces*.

Rozdział pierwszy

Bergen-Belsen, 29 kwietnia 1945 rok

Abraszko!

Ty żyjesz! Przeżyłeś! Niechaj los będzie błogosławiony za Twoje ocalenie! Kręci mi się w głowie. Oszaleję z radości! Kiedy Cię zobaczę, mój drogi? Muszę Cię ujrzeć jak najszybciej, a Ty musisz jak najszybciej wyzdrowieć, abyś miał siłę na nasze spotkanie.

Ja też powinnam nabrać sił. Nie wiem czemu, ale informacja o Tobie przyprawia mnie o słabość i drżenie. Widocznie jeszcze nie jestem w stanie znieść mąk radości. Iskry nadziei wypalają mi umysł.

Abraszko, zostałam sama jedna. Podczas selekcji w Auschwitz zgubiłam gdzieś mamę i Wierkę.

Powiedz, proszę, czy wiesz coś może o tacie i Nońku? O moim Marku? Skoro byliśmy wszyscy razem w wagonie wiozącym nas do Auschwitz, to może później i ich wywieźli do tego samego obozu, co Ciebie. Jestem pewna, że tata i Marek spokojnie przeszli selekcję. Nie jestem pewna co do Nońka. Miał przecież nie więcej niż trzynaście lat. Chociaż słyszałam o dzieciach w jego wieku, które zdołały się uratować. Po przybyciu do obozu w Auschwitz, gdy po ogoleniu i ubraniu w łachmany zaprowadzono nas, kobiety, do baraków przy bramie, obejrzałam się do tyłu i mogę przysiąc, że w oddali zobaczyłam Was – naszych mężczyzn – wszystkich razem w tych samych barakach. Machaliście do nas z okien obok łaźni. Noniek też.

Jestem tutaj z Malką Cederbojm. (Pamiętasz, jak w gettowej kryjówce nazywałeś ją królową Sabą albo – pieszczotliwie – królewną Sabą?). Przeżyła również Balcia, jej matka. Cały czas trzymałam się z nimi, a także z Sorką i jej

macochą Hanką – podczas wszystkich marszów byłyśmy w jednej piątce. Ale od dnia wyzwolenia nie widziałam ani jednej, ani drugiej.

Jesteśmy w Bergen-Belsen, blok nr 88, obóz nr 2. Nie tyle w obozie, co w jego sąsiedztwie, w barakach dawnej szkoły wojsk pancernych SS. To nienajgorsze zabudowania, cała wioska na skraju lasu, który skrywał obóz koncentracyjny przed oczami miejscowej ludności. Powiedziano mi, że Bergen-Belsen jest gdzieś za Hanowerem[3]*. Zostaliśmy wyzwoleni przez Anglików 15 kwietnia*[4]*, to znaczy czternaście dni temu.*

Abraszo, nie sposób opisać, co się tu działo, gdy dostaliśmy wiadomość o Tobie – moje współmieszkanki przybiegły i wraz ze mną płakały. Siedlecki – człowiek, który przypadkowo przyniósł nam tę dobrą nowinę – również uronił łzę, chociaż sądzę, że jego łzy więcej miały do czynienia z jego własnymi zmartwieniami niż z naszą radością.

Całymi dniami szukał swojej żony i córki, wędrował od jednego koszarowego baraku do drugiego – na próżno. Tym sposobem dotarł do nas. Teraz wraca do szpitala w Birnau[5]*, gdzie poznał Ciebie. Jakże chętnie poszłabym z nim, aby Ciebie zobaczyć i szukać dalej, ale ledwo się trzymam na nogach. Poza tym powiedział mi, że nie ma jeszcze połączenia kolejowego ani innych środków transportu w tym diabelskim kraju, skąpanym we krwi. Przecież to przeklęte państwo wciąż jeszcze istnieje.*

Sam Siedlecki przemieszczał się przez ziemie wyzwolone na koniu, którego zdobył od niemieckiego chłopa. Ale teraz jest już tak zmęczony i przybity, że musi wykrzesać z siebie nieco chęci i energii. „Mamusia", to znaczy matka Malki (pamiętasz, Ty pierwszy tak zacząłeś ją nazywać w kryjówce? ja i inne dziewczęta też tak się do niej zwracałyśmy w obozie, była tam przecież jedną z niewielu matek), niemal zmusiła Siedleckiego, aby się położył na pryczy w naszym pokoju, która się dzisiaj zwolniła. Człowiek ten choruje na gruźlicę i wygląda jak śmierć.

U nas to samo. W getcie nazywałeś nas, trzy przyjaciółki: Malkę, Sorkę i mnie – trzema gracjami. Albo trzema muzami. Dzisiaj nasza gracja przybladła

---

[3] Niemiecki obóz koncentracyjny Bergen-Belsen znajdował się w okolicach miejscowości Bergen w Dolnej Saksonii, w powiecie Celle, około godziny drogi na północ od Hanoweru.

[4] Obóz został wyzwolony przez brytyjskich żołnierzy 15 kwietnia 1945 roku, wówczas było w obozie ok. 55 tysięcy więźniów, natomiast w barakach i na terenie obozu znajdowało się kilka tysięcy niepochowanych ciał. W ciągu pierwszych tygodni po wyzwoleniu w rezultacie warunków obozowego życia, chorób i wycieńczenia zmarło około 13 tysięcy osób. Liczbę ofiar tego obozu oblicza się na 50 tysięcy.

[5] Brytyjczycy wyzwalający Bergen-Belsen nie byli przygotowani na wymiar tragedii: liczbę zmarłych i chorych na tyfus. Aby zatrzymać epidemię i pomóc wycieńczonym więźniom, w pobliskich niemieckich koszarach zorganizowany został szpital polowy, ale nie było to wystarczające i chorych przewożono do pobliskich miast i do innych szpitali i sanatoriów na terenie Niemiec, m.in. do Birnau nad Jeziorem Bodeńskim.

i jeśli wciąż jesteśmy muzami, to takimi ponurymi i jędzowatymi, które ze świecą poszukują jakiegokolwiek pisarza…

Piszę do Ciebie ten liścik, gdy Siedlecki śpi. Powiedział nam, że przed wojną był buchalterem z zawodu, a z zamiłowania – magikiem. W obozie kupił swoje życie, zabawiając swoimi sztuczkami nadzorców i kapo. Dodał, że przed wojną występował nawet w restauracji Capri[6] *i dobrze znał mojego ojca. Jak to więc jest, że Ty, światowej sławy bywalec restauracji, poznałeś go dopiero w szpitalu? Przekażę mu ten liścik z nadzieją, że w drodze powrotnej grupa amerykańskich czy angielskich żołnierzy podrzuci go swoim jeepem czy ciężarówką – abyś jak najszybciej mógł przeczytać tych parę linijek ode mnie.*

Abraszko, proszę, nie zwlekaj ani minuty. Odpisz mi od razu. Wielu jest takich dipisów[7] *jak Siedlecki, którzy wyruszają na poszukiwanie bliskich. Spotykam ich na dworze – w pasiakach, o twarzach jak klepsydra*[8]*, z odkrytymi głowami. Trudno sobie wyobrazić, że nasi panowie też muszą tak wyglądać. Tacy ludzie z pewnością chętnie zabiorą liścik. Mówi się również, że UNRRA*[9] *organizuje biura, w których będą dostępne spisy wszystkich ocalałych z obozów – aby ułatwić poszukiwania. Słyszałam, że korespondencję można słać również za pośrednictwem UNRRA.*

Bardzo trudno mi pisać, Abraszko. Serce bije jak szalone. Całe ciało i głowę trawi gorączka. Mam wrażenie, że za chwilę zemdleję, jakbym była bardzo pijana. Dzisiaj po raz pierwszy trzymam w ręku ołówek (to powrót do cywilizacji!), który nieustannie wyślizguje się z moich palców, a mnie żal go wypuścić. Mam Ci tyle do powiedzenia, że aż strach. Nie wiem, czy dam radę? Przyznaję, że łzy zalewają mi oczy. Nie płakałam od stuleci.

Abraszko, mój dozgonny przyjacielu, miej wzgląd na mnie i napisz szybko, co z ojcem, Nońkiem i Markiem. Kiedy zostałeś wyzwolony i w jakich okolicznościach? Pytałam Siedleckiego, co z Tobą, ale on, ten rozkojarzony muzułman[10]*,*

---

6 W międzywojennej Łodzi nie było restauracji o takiej nazwie. Żydowska bohema spotykała się w restauracji Brudny Szmul, która znajdowała się przy ul. Zawadzkiej 4 (dziś Próchnika).

7 Dipis (z ang. *displaced persons*) – osoby, które w wyniku wojny znalazły się poza swoim państwem i nie mogły lub nie chciały wrócić do kraju, m.in. więźniowie obozów koncentracyjnych i robotnicy przymusowi.

8 Klepsydra – tak mówiono o osobie, która bardzo źle i mizernie wyglądała, a jej twarz z zapadniętymi policzkami przypominała kształt klepsydry, piaskowego zegara.

9 UNRRA – Administracja Narodów Zjednoczonych do spraw Pomocy i Odbudowy utworzona w 1943 r. do pomocy w odbudowie Europy po zakończeniu II wojny światowej.

10 Muzułman (także muzułmanin) – nazwa stosowana w obozach koncentracyjnych na więźnia skrajnie wycieńczonego z powodu głodu.

nie wiedział, co powiedzieć. Całuję Cię. Mamusia i Malka ślą pozdrowienia. Pytają, czy wiesz coś o Wowie i Gabim.

Twoja Miriam

P.S. Słyszałam, że w Berlinie wciąż jeszcze trwają walki. Mam nadzieję, że generałowie Żukow i Koniew nie każą nam długo czekać. Podobno wzięli do niewoli czterdzieści tysięcy Niemców. Tutaj mówi się też, że jakiś włoski partyzant zabił wczoraj Mussoliniego[11].

*

Wiosna wdzierała się przez otwarte okno do pokoiku ze zwycięskim impetem. Nie było wiatru, a mimo to powietrze zdawało się oddychać milionem powiewów, które igrając dookoła, niosły do każdego zakątka aromat ziemi – zapowiedź odnowy, wzrostu i trwania. Oślepiające południowe słońce kaskadami światła sączyło się przez sito gałęzi kwitnącego kasztanowca, który stał przed budynkiem i przesłaniał okno. Stamtąd światło, niczym w kielichu, wypełniało przestrzeń między czterema ścianami. Dzięki drzewu wszystko w pokoju wyglądało jak pokryte rozedrganą siatką utkaną z cienistych i świetlistych nici[12].

Po obu stronach okna stały dwie piętrowe prycze. Pomiędzy nimi znajdował się niewielki stół i dwa stołki z surowego drewna. Krok dalej, przy drzwiach, rozwieszone na kilku gwoździach wbitych w ścianę suszyło się kilka nędznych ręczników i koc ze znakiem UNRRA.

Miriam siedziała przy stole wyprostowana i wciąż jeszcze trzymała przed sobą list do Abraszy. Zdawało się jej, że całe swoje jestestwo ukryła w tych trzech kartkach papieru niczym w azylu czy odosobnionym pokoju. Wchłaniały ją w siebie i wypełniały jej umysł, tak długo otoczony milczeniem jak zbroją. Kusił ją pusty, biały kawałek papieru na ostatniej stronie, miała ochotę, by za pomocą jeszcze kilku linijek, kilku słów, poluźnić węzeł pęt, które ściskały jej serce. Ale nie mogła. Była jeszcze zbyt słaba, aby dać upust słowom. Zacisnęła więc usta, jakby chciała nimi okiełznąć zarówno słowa, jak i łzy – aż w końcu oderwała spojrzenie od zapisanych stronic.

---

[11] Benito Mussolini został schwytany przez antyfaszystowskich włoskich partyzantów i rozstrzelany 28 kwietnia 1945 r.

[12] Chava Rosenfarb spisywała w Bergen-Belsen dziennik. Fragmenty opublikowała w zbiorze *Geto un andere lider, ojch fragmentn fun a tog buch*, Montreal 1948. Po polsku ukazały się pt. *Dni…* (fragmenty z dziennika), tł. Joanna Lisek w: Ch. Rosenfarb, *Drzewo życia. Tom trzeci. Lata 1942-1944*, Biblioteka Centrum Dialogu, Łódź 2017. W dzienniku drzewem przed oknem, które widziała, była wiśnia, nie kasztanowiec.

W wazonie na stole stało kilka pokrytych pączkami gałęzi. Kilka dni wcześniej Balcia znalazła je ucięte pod kasztanem. Miriam była pewna, że lada dzień dojdą do siebie, że na przykład dzisiaj rozwiną się pąki, a potem zakwitną. Ale dzisiaj pąki wyglądały dokładnie tak samo jak wczoraj, niczym ścięte mrozem na samym progu rozkwitu. Tymczasem na dworze, przed oknem, stało drzewo o grubym pniu pokryte kwieciem, rozszczebiotane. To oczywiste, że drzewo jest pełne życia. Ale dochodzenie do siebie jego obciętych gałązek nie jest takie proste. Nawet jeśli rozkwitną, to aby dalej żyć, musiałyby mieć korzenie i kawałek ziemi.

Przypomniała sobie, że dziś jej kolej, aby odebrać zupę z kuchni naprzeciwko, więc wstała z trudem. Złożyła list i wsunęła go pod wypchaną sianem poduszkę na swoim posłaniu. Jej spojrzenie padło na ołówek, który wciąż jeszcze trzymała w ręku. Powinna go zwrócić Malce. Ale szkoda już się z nim rozstawać. To piękny ołówek, nowy, dobrze zaostrzony.

Zastanawiając się, skąd Malka go ma, podobnie jak i blok eleganckiego papieru listowego, domyśliła się, że je po prostu ukradła albo dzięki swojemu królewskiemu uśmiechowi zdobyła od jakiegoś angielskiego żołnierza czy belgijskiego studenta medycyny z UNRRA. Jeśli chodzi o zdobywanie ołówków, Malka już wcześniej ujawniła swój geniusz. Nawet w obozie miała kawałek ołówka wyżebrany od Hansa, niemieckiego majstra na placówce. To ona, myśląca tak rzeczowo i krytycznie, już wtedy przymierzała się – zupełnie bezkrytycznie i nierzeczowo – do pisania książki.

Miriam postanowiła zabrać ołówek ze sobą. Ścisnęła go w garści, jedynie lekko rozluźniając palec, aby zawiesić na nim jedną z menażek. Przyszło jej do głowy, że jej współmieszkanki i ona będą mieć dzisiaj mniej zupy niż zwykle, ponieważ muszą się podzielić z Siedleckim. Nie przeszkadzało jej to. Jeśli o nią chodzi, to ten człowiek może zjeść nawet całą jej porcję. Po pierwsze, za przyniesienie dobrej wiadomości o Abraszy nie ma dość dobrej zapłaty. Po drugie, nie była głodna. To znaczy, pozornie chciało się jej jeść – jakżeby inaczej? – ale dzisiaj głodu nie czuła. Dziś czuła się bardzo dziwnie. Wczoraj też. Już sama nie wie, od kiedy tak się czuje. Dobre samopoczucie miała jedynie, pisząc list do Abraszy. Tak dobrze się wówczas poczuła, że aż się rozpłakała. Pierwszy raz. Pewnie więc była dzisiaj chora z radości.

Zorientowała się, że siedzi na stołku z trzema menażkami na kolanach, ołówkiem w zaciśniętej dłoni i oczami skierowanymi na Balcię i Malkę.

Malka leżała na górnej pryczy naprzeciwko, a Balcia stała na stołku i ocierała twarz córki wilgotną szmatką. Prycza pod Malką należała do Danusi Moszkowicz, najmłodszej więźniarki obozu Hummel[13]. Tego samego ranka odprowadzono ją

[13] Hummel – miejsce inspirowane obozem pracy w hamburskiej dzielnicy Sasel (podobóz KZ Neuengamme), gdzie jesienią 1944 r. została przywieziona z Auschwitz-Birkenau Chava Rosenfarb wraz z siostrą i matką oraz kilkuset innymi kobietami z łódzkiego getta.

do lazaretu. Na pryczy leżał teraz Siedlecki, zwrócony twarzą ku ścianie. Chrapał głośno i ciężko, wydając z siebie szybkie, urywane dźwięki. Miriam zdawało się, że jego oddech stara się dogonić rytm jej galopującego pulsu.

Im dłużej przypatrywała się Malce i Balci, tym bardziej dostrzegała ich wzajemne podobieństwo. Do tej pory tego nie zauważyła. Niemal centymetrowy odrost włosów na głowie Balci był popielatoszary i suchy jak siano. Natomiast włosy Malki były miękkie i kasztanowe. Ale to tylko podkreślało wrażenie ich wzajemnego podobieństwa.

Tak naprawdę wszystkie więźniarki były do siebie podobne. Wszystkie były suchymi szkieletami. Ostro sterczące kości twarzy, kanciaste podbródki, wielkie oczy, skóra koloru gliny, cienka jak papier. Oczy każdej, zupełnie jak u Balci i Malki, tkwiły głęboko w oczodołach. Powieki pokryte były siecią czerwonych żyłek i niebieskimi pęcherzami wodnymi, które schodziły aż na policzki.

Więźniarki były podobne do siebie również dzięki wyrazowi twarzy, a także za sprawą czół przeoranych cierpieniem i ostrych, niemal gniewnych spojrzeń. W każdym ich ruchu kryło się wiele napięcia i złego uporu, jakby wciąż musiały walczyć ze swoim oprawcą, który cały czas mógł je okraść z tego, co ocaliły za najwyższą cenę.

Ale nie zewnętrzne podobieństwo matki i córki zdumiało Miriam i w tej chwili wykrzywiło jej usta grymasem, jakby poczuła gorzki smak na języku, lecz ich podobieństwo wewnętrzne – emanujące z nich, pełne paniki emocje. Jakiś rodzaj fizycznego, zwierzęcego strachu. Było to niczym prąd elektryczny, który spajał je obie. Owa pełna napięcia bliskość między matką a córką była tak intensywna, wszystko ogarniająca i jednocześnie wszystko wykluczająca, że wypełniała pokoik wilgocią, nie pozwalając Miriam oddychać. Obawiając się, że ponownie zostaną rozdzielone, że mogą siebie stracić, przemilczały chorobę Malki przed belgijskim studentem medycyny podczas badania.

Również ona, Miriam, która chodziła z ogniem w ciele i wielkim chaosem w głowie, przemilczała swój stan – zarówno przed studentem medycyny, jak i przed Balcią i Malką. Wydawało się jej, że to nie jest ważne. Ona nie była ważna. Ważne były tylko one dwie, matka i córka, ogrom ich miłości oraz ocalony skarb – to, że miały siebie nawzajem. I tak miało pozostać.

Ale tak było tylko do dzisiaj, do chwili, w której Siedlecki przyniósł informację o Abraszy, a ona wzięła ten piękny ołówek do ręki. W liście do Abraszy wyznaczyła granice swojemu załamaniu. Ten list wymazał jej niegodność i zjednoczył iskry jej istnienia. Dobra wiadomość zapaliła w niej nagłą, pełną gniewu zazdrość wobec obu współlokatorek.

Jedną ręką Balcia ocierała twarz Malki, a drugą trzymała się brzegu pryczy. Ledwo stała na nogach.

„Wszystko będzie dobrze, córeczko, zobaczysz…", powtarzała z uporem, co czasami brzmiało, jakby wydawała z siebie pełen cierpienia jęk.

„Wszystko będzie dobrze” – Miriam powtarzała sobie jej słowa. Tak, sama musiała być sobie matką. Ledwo zdołała pokonać chęć, aby usiąść na stołku, samej pogładzić się po czole – jak Balcia Malkę, i samą siebie przytulić.

Z zewnątrz dobiegał stukot menażek. Ludzie wracali już z kuchni z zupą. Okno, pełne zgiełku i białych kwiatów kasztanowca, było jak rozgadane, otwarte usta zewnętrznego świata. Świata dalekiego, gdyż okno wydawało się być daleko, o wiele dalej niż Balcia, która przy nim stała, daleko od ciasnego pokoiku pełnego dusznych emocji. Wrażenie ciasnoty pochłaniało przyjemne podmuchy wiatru, przesłaniało i niszczyło światło, które szerokim strumieniem wpływało do środka. Duszność pulsowała pomiędzy ścianami jak napuchnięta ropucha.

Było dziwnie. Aż do dzisiaj Miriam radowała się przestrzenią pokoiku, cieszyła prywatnością po długim, codziennym przebywaniu w stadzie i oddychaniu jego kolektywnym, pełnym przerażenia oddechem. Ale właśnie teraz ta prywatność zaczęła jej przeszkadzać. Błotna ropucha wciąż rosła.

– Źle się czuję – wychrypiała ku swojemu zdziwieniu. Przecież chciała tylko cicho poskarżyć się przed tą matką, która jest w niej.

Ręka Balci zatrzymała się na czole Malki.

– No i masz pośpiech! – westchnęła i odwróciła głowę w kierunku Miriam. Uniosła brwi, jakby wpadła w jeszcze większą złość. Przez chwilę patrzyła ostrym, przenikliwym wzrokiem i oto już stała nad dziewczyną, przyciskając wilgotną, chłodną dłoń do jej czoła. – Jesteś rozpalona jak piec! – stwierdziła, wskazując czubkiem brody pryczę. – Wskakuj!

– A co z zupą? – wydusiła Miriam.

Balcia spojrzała szybko na Malkę. Potem wyrwała menażkę z rąk Miriam i opuściła pokoik.

Miriam podniosła się powoli. Jaka z niej zagadka! – dziwiła się. Dopiero co miała wrażenie, że w jej wnętrzu coś zaczyna się zasklepiać, cementować. A tu nagle rozpadło się rusztowanie, które podtrzymywało jej ciało. Drżały jej ręce i nogi, gdy w śmiesznie niezdarny sposób wspinała się do góry na swoje posłanie.

– Co cię boli? – usłyszała pytanie Malki.

– Nic – wymamrotała Miriam. – Tylko mam wrażenie, że się rozpadam.

Malka zaśmiała się ochryple.

– Skandal. W obozie trzymaliśmy się twardo jak stal. Teraz rozpadamy się jak rozwalone rudery.

Miriam zmrużyła oczy. W pokoju wszystko poruszało się wraz z Malką i gościem na dolnej pryczy. Trwał taniec rozbujanych ścian, spadającego balkonu i unoszącej się podłogi. Wszystko drżało wraz z siecią cienia i światła i wraz z jej ciałem.

Drżenie i zawroty nie były niczym zaskakującym. Dla niej to nic nowego. Zaskoczyło ją to, że – pominąwszy pozdrowienia od Abraszy, a może właśnie z tego powodu – w jej umyśle otworzyła się nagle otchłań katakumb. Myśli nieswoje, nie jej, obleczone w niebiesko-czerwoną skórę strachu, pełzały w niej jak węże. Nowy rodzaj strachu, nowy rodzaj bezradności. Była skołowana przemianami

niekończącej się samotności powiązanej nie z nią, lecz z kimś, kto był o wiele większy, o wiele bardziej bezbronny niż ona. Miriam, choć bardzo wyobcowana, tak obco i samotnie czuła się tylko raz – pierwszej nocy na polu w Auschwitz.

Niecierpliwie czekała na powrót Balci. Chociaż nigdy jeszcze nie czuła się tak od niej daleko jak teraz, wydawało się jej jednak, że ta kobieta, „mamusia", potrafi zasypać rozpościerającą się przed nią otchłań, że niczym kolumna jest w stanie podeprzeć to wszystko, co właśnie się rozpada. W jej oczach Balcia nie była otumanioną, bezradną kobietą, starą i chudą niczym śmierć, lecz heroską – silną jak stal, silniejszą od nich obu, Malki i Miriam. W obozie Hummel Balcia była majstrem budownictwa: budowała domy dla Niemców ze zbombardowanego Hamburga, nosiła betonowe płyty i worki z cementem.

A w getcie? W kryjówce Abrasza nie bez kozery zaczął ją nazywać „mamusią", a wszyscy to podchwycili. Ponieważ nieprawdą jest, że nie ma ona serca dla nikogo poza Malką. Oczywiście jest jej matką, ale ta macierzyńskość znaczyła coś więcej. Była potężną matką, gotową wspierać swoją odwagą cały osierocony świat. Będzie musiała stać się matką garstki ocalałych, którzy stracili swoje własne rodzicielki. Jak bezpańskie psiaki będą się tulić do niej i ssać jej silne piersi. Po to została przy życiu. Bo matkowanie samemu sobie powoduje, że sierota czuje się jeszcze bardziej osieroconą. Jakie to szczęście, że Malka ocaliła swoją matkę!

„Oby tylko mamusia nie padła z nóg", Miriam usłyszała swój własny głos. Starała się skierować spojrzenie na Malkę, ale ta oddalała się gdzieś hen razem ze ścianą.

Nie dosłyszała odpowiedzi koleżanki, zajęta próbą zapanowania nad słabością, uchwycenia się czegokolwiek; odnalezieniem tego jasnego zakątka w swoim umyśle, z którego czerpała przed chwilą, pisząc list do Abraszy. Ale ów zakątek zniknął. Pozostało jedynie mgliste pragnienie snu. Ogarnęło ją poczucie nieważkości, przesłoniło oczy i niczym ciężkie odważniki ściągnęło powieki w dół.

– Jeśli skończyłaś pisać, to czemu nie oddałaś mi ołówka?– tym razem głos Malki dotarł do jej uszu bardzo wyraźnie.

Miriam zorientowała się, że wciąż trzyma ołówek w zaciśniętej dłoni, która nie dawała się otworzyć. Podobnie jak oczy i usta. Pod powiekami oczy wciąż były pełne ciężkiej, zwierciadlanej masy, która lśniła i pobłyskiwała w źrenicach. Chciały się z niej uformować krople, by przedrzeć się przez zasłonę rzęs. A niech tam. Nie miała już ochoty ich powstrzymywać.

Pewnego razu w getcie Abrasza zapytał ją: „Jaka odwaga kryje się w powstrzymywaniu łez?".

„Może wczoraj, przedwczoraj coś w tym było – odpowiedziała mu w myślach – ale dziś już nie".

Wydawało się jej, że wciąż jeszcze pisze ten list do niego.

Piszę do Ciebie pięknym ołówkiem, Abraszo. Jest ostry i przebija każdą łzę, aby uwolnić wspomnienie innych ołówków. Widzę wiele słonecznie żółtych ołówków. Wysypują się z sieci światła, która rozpościera się w pokoiku. Podskakują na ścianie naprzeciwko jak na fantastycznej scenie. Jak primabaleriny zataczają koła

na czubkach palców, tańcząc w dziwnym balecie. Czyja to choreografia? Czyja muzyka? Nigdy nie słyszana, a jednak znajoma. Nic nie rozumiem. Odzwyczaiłam się od ołówków, baletek. Rozpoznaję tylko jeden ołówek – ten najpierwszy, wciśnięty pomiędzy palce mojej prawej dłoni przez ojca, kiedy byłam jeszcze niewielkim skrzatem.

Siedziałam na jego kolanach przy stole. Jego silna, ciepła ręka obejmowała moją jak tancerz obejmuje tancerkę w pasie. Jego szerokie ramiona podtrzymywały moją głowę, ciepły oddech gładził mi policzki, i tak oboje wytańczyliśmy czubkiem ołówka ciepłe kreski na papierze, kombinacje liter. Słowa, mające w sobie jasność, które śpiewały: tata... mama. Mama gotowała kluski z groszkiem i kompot jabłkowy z cynamonem, który wypełniał swoim zapachem cały dom.

Abraszo, pamiętasz, że w getcie mama powłóczyła nogami jak dzisiaj Balcia. Ojciec nie mógł tego znieść, więc mruczał: „Przestań szurać". Ale było to wówczas, gdy ojcu i matce wydawało się, że się już nie kochają; gdy przeczucie rozstania uczyniło ich jasnowidzami i po prostu bali się kochać siebie zbyt mocno. Wtedy byli raczej dziećmi – moimi i mojej siostry Wierki, nie zaś rodzicami. Spoglądali na nas jak na boginie i pożądliwie połykali nasz optymizm oraz słowa zaślepione młodością.

Ja jednak mam na myśli to, co zdarzyło się o wiele wcześniej. Wówczas moi rodzice zapisali mnie, ośmioletnią pieszczochę, do szkoły baletowej prowadzonej przez nauczycielkę światowej sławy, pannę Felicję Markiewicz[14]. Dwa lata później, w pewne sobotnie popołudnie, mama wystroiła się w kapelusz z piórkiem, tata założył czerwony krawat, a na buty wdział getry, po czym oboje udali się do szkoły tańca, aby podziwiać, jak oddalam się od nich tanecznym krokiem na czubkach palców i podwojona odpływam wzdłuż pokrytej lustrami ściany niczym na czubku dobrze zaostrzonego ołówka.

Ściana lustrzana podążała za mną, a w drodze do domu odbijały się w niej podwojone słowa ojca, który rzekł: „Szkoda, że ludzie nie mogą fruwać. Ale taniec to prawie jak latanie".

Tak, ta lustrzana ściana później ze mną wędrowała, Abraszo. Aż pękła, a wszystko, co się w niej potem odbijało, było milionkrotnie spotęgowanym kłamstwem. Więc widzisz, dlatego nie rani mnie to, gdy dzisiaj patrzę na nią i przypominam sobie, czego nigdy nie było, a co pamięć – ta oszustka – w sobie odbija. Broń Boże, nie rani mnie fakt, że te rozproszone odpryski kłują w oczy i palą w każdej komórce ciała. Zanim usłyszałam, że żyjesz, nie miałam odwagi, nie śmiałam pozwolić sobie na taki luksus. Lepiej było nie zbliżać się, nie dotykać. Ale z Tobą się nie boję.

---

[14] W międzywojennej Łodzi było kilka prywatnych szkół tańca, nie udało się ustalić, czy faktycznie istniała szkoła baletowa Felicji Markiewicz.

A teraz przypominam sobie również Twój ołówek, Abraszo, a także Twoje dłuto i młoteczek. Dobrze pamiętam Twoje palce. Pamiętam, jak zabierałeś mnie w pogoń po lesie kształtów, których używałeś zamiast słów, abym Ci pomogła odnaleźć „najlepsze słowo w najlepszym porządku". Abraszo, mój przyjacielu, co dzisiaj byłoby najlepszym słowem w najlepszym porządku?

W nocy Miriam słyszała rytm kół pociągu z wagonami bydlęcymi.

*

Balcia dotknęła jej ramienia.

– Miriam, nie śpisz? Weź kawałeczek chleba. Nic nie miałaś w ustach od wczorajszego ranka.

W pokoju było ciemno, jakby gruba zasłona przesłaniała okno. Gdzieś skrzypiała prycza. Z zewnątrz dochodził orzeźwiający zapach powietrza. Zbyt orzeźwiający. Było chłodno. Miriam wyciągnęła rękę po kawałek chleba i zorientowała się, że to skrzypi jej własne posłanie wstrząsane drgawkami jej ciała. Nagle podniosła się i, wsparta na łokciu, wyostrzyła spojrzenie.

– Ten człowiek... Siedlecki – dalej śpi? – wyszeptała.

– Też pytanie! Już nie pamiętam, kiedy poszedł – odpowiedziała Balcia.

– A mój list do Abraszy? Dlaczego mnie nie obudziłaś?

– To ty spałaś? Sama mi przecież przykazałaś, abym mu oddała ten list. Nie pamiętasz?

– Tak, ale chciałam mu powiedzieć... Prośby do Abraszy... dopisać. Jak mogłaś mi zrobić coś takiego?

– Ciii, obudzisz Malkę.

– To ją obudzę! – Miriam poruszyła się nagle i zaczęła pośpiesznie i nerwowo badać rękami przestrzeń wokół siebie. – A gdzie ołówek? Dopiero co trzymałam go w ręku.

– Oddałam go Malce. To jej ołówek.

– Jasne, Malka to, Malka tamto! Wszystko do niej należy!

– Miriam, proszę cię, daj mi spokój.

– To lepiej ty się ode mnie odczep! Kto cię prosi, abyś się mną opiekowała? Abyś w ogóle mieszała się w moje sprawy? Weź sobie z powrotem ten kawałek chleba i nie rób mi żadnej łaski!

W ciemności Miriam wyciągnęła dłoń z kawałkiem chleba, ale nikt go od niej nie wziął. Przysunęła go do ust i spragnionymi zębami zaczęła odgryzać po kawałeczku. Wielka tęsknota jak gorący wiatr przemknęła przez każdą komórkę jej ciała. „Mamo... tatusiu..." – jakiś głos zaszlochał w jej wnętrzu, u samych korzeni jestestwa.

Rozumiesz, Abraszko – pisała dalej list w wyobraźni – dzisiaj „mamusia" zaczęła mnie denerwować. Jakby specjalnie starała się podtrzymywać we mnie

obraz tamtej... mojej. Jak bardzo, jak bezlitośnie rani mnie ta obca kobieta swoimi nieustannymi próbami zadośćuczynienia za grzech bycia ocalałą matką Malki, nie moją. A przez to jedynie czyni wyraźniejszym, ostrzejszym obraz tamtej, z której krwi i ciała powstałam. Gdyby choć zachowywała się z odrobinę większą rezerwą i przestała się do mnie przymilać. Jaki sens ma obnoszenie się dniami i nocami z obrazem matki, która zniknęła? Już tylko od tego można przecież oszaleć, popaść w gorączkę jak ja teraz.

W obozie koncentracyjnym, widzisz, było łatwiej. Tam przeszłość była wycięta z pamięci niczym nożem. Chloroform zapomnienia. Jak najmniej czuć rany, odcięte członki. Tam litowanie się nad samą sobą było luksusem, na który nie można było sobie pozwolić, ponieważ groziło to złamaniem woli przetrwania, która sięgała rdzenia kręgowego i kości. Tam wyrok przyjmowano ze stoickim spokojem. Ale teraz będę musiała coś z tym zrobić. Przede wszystkim muszę zaprzestać nazywania Balci „mamusią". Już samo to pachnie zdradą wobec tamtej, mojej. Albo w ogóle odejdę od niej i od Malki. Będę sama. Może wówczas będę się mniej czuła sierotą – jak sądzisz?

W nocy poczuła, że ktoś okrywa ją dodatkowym kocem. Czyjaś dłoń dotknęła jej czoła. Wiedziała, czyja to ręka, ale była zbyt zmęczona, aby przepłoszyć iluzję – chociaż dłoń jej własnej matki była czulsza, bardziej kojąca.

Przyszło jej do głowy, że tak jest może lepiej. Lepiej mieć tutaj „mamusię", to oszczędzało trosk jej własnej matce. Trosk? Dlaczego? Matka przecież byłaby szczęśliwa. Bagatela! Miriam, ta zamyślona królewna, jak nazywali ją mama i dzieci w szkole; ta „obecna-nieprzytomna", jak mówiła o niej Wierka; ta głucha i otumaniona, jak szydził z niej Noniek; ta najbardziej roztrzepana ze wszystkich Polinów, jak dobrodusznie śmiał się z niej ojciec. Ona, najbardziej bezradna z nich wszystkich – ocalała z płomieni.

Ocalała? Kłamstwo! Ogień wciąż płonie. Ona, Miriam, płonie.

*

Dni nadchodziły i przemijały. Wyzwolone kobiety nie wiedziały, ile czasu minęło od dnia, kiedy zostały przeprowadzone z kacetu[15] do byłych koszar SS-manów. Nie miały poczucia czasu. Czuły natomiast, że tkwią w pustej przestrzeni, w czymś na kształt gołej pustki, która wniknęła do ludzkiej historii, w której nie istnieje czas i nie ma przeszłości, ani przyszłości.

[15] Kacet – od niemieckiego skrótu: KZ (Konzentrationslager) – potoczne określenie obozu koncentracyjnego.

Ale tego właśnie dnia dowiedziały się, że jest ósmy maja roku 1945[16].

Dzień ten, choć widok z okna przesłonięty był siecią gałęzi kasztanowca, wydawał się olśniewający. Ostre światło kłuło w oczy. Balcia stała przy stole, krusząc kawałki cukru i posypując nimi kilka kromek chleba. Szaro-żółta twarz Malki jaśniała z przeciwległej pryczy w kierunku Miriam.

– Dzisiaj wstaniemy, co? – zawołała Malka z przesadnym entuzjazmem i usiadła.

Balcia spojrzała w jej kierunku z niepokojem.

– Po co ten pośpiech? Czy pędzą cię na apel? Musisz biec do pracy na placówce? Otóż nie, dzisiaj możesz sobie pozwolić na to, by wyleżeć grypę jak należy.

– Mamo, dobrze wiesz, że nie mam grypy – przerwała jej ostro Malka.

Słowo „grypa" brzmiało dziwacznie. W kacecie nikt nigdy nie miał grypy. Teraz przyszła pora, by na nowo zaznajomić się z takimi przedwojennymi słowami, które świadczyły o tym, jak bardzo kiedyś ludzie byli rozpieszczeni.

Malka zakołysała się na drżących rękach i zsunęła ciało w kierunku podłogi. Trzęsła się w pasiastej sukni kacetowej, jedynym dzienno-nocnym ubraniu, które każda z nich posiadała. Ostrym ruchem ręki ściągnęła z pryczy koc, okryła się nim i zamierzała wsunąć nogi w drewniane trepy.

Miriam czyniła w myślach to samo co ona.

– Poleżę jeszcze kilka minut – rzekła do siebie.

Ona również czuła się dzisiaj lepiej. Ale nie mogła pojąć, dlaczego jej ciało stało się tak niewiarygodnie ciężkie, jakby podwoiło czy nawet potroiło swoją wagę. Obserwowała pomarszczoną twarz Balci o skórze pomiętej jak papier. Balcia nie była już podobna do Malki. Malka przerosła ją o głowę, a owinięta w koc wyglądała jak olbrzym w porównaniu z przygarbioną matką. Oczy dziewczyny błyszczały szklisto. Oczy Balci rozbłyskiwały bolesnym strachem pośród siatki zmarszczek.

– Maleczko, zrób mi tę przysługę – prosiła. – Wejdź z powrotem na pryczę. Przecież ledwo trzymasz się na nogach. Wstaniesz jutro. Nie pali się.

– Dla mnie się pali! – Malka kategorycznie pokręciła głowa. – Nie będę leżała, masz coś przeciw temu? – Przywołała na twarz wymuszony uśmiech. – Czemu wciąż jesteś taka zachmurzona? Przecież już po wszystkim...

Balcia rzuciła nóż na stół.

– Właśnie dlatego!

– Właśnie dlatego szkoda mi każdej minuty! – Malka chwyciła porcję chleba ze stołu i zataczając się jak pijana, przemaszerowała chwiejnym krokiem między stołkami i pryczami.

---

[16] 8 maja 1945 r. – oficjalne zakończenie II wojny światowej, w tym dniu wszedł w życie akt bezwarunkowej kapitulacji III Rzeszy Niemieckiej.

Balcia pobiegła za nią i objęła ją ramionami.

– Natychmiast do łóżka!

– Nie! Nie ma mowy!

– Maleczko, posłuchaj mnie.

– Odejdź ode mnie! – Malka próbowała ją odepchnąć.

Mocowały się ze sobą. Ich głośne, podniecone okrzyki rozbrzmiewały w umyśle Miriam. Każdy gwałtowny ruch zadawał ból jej własnemu ciału. „Przestań! Przestań!" – złościła się w duszy na Malkę. Jak można tak ranić ocalałą matkę? Malka była rozpieszczoną jedynaczką, zachowywała się tak, jakby nigdy w życiu nie doświadczyła selekcji.

Miriam musiała to wytłumaczyć Abraszy, więc zaczęła w myślach pisanie nowego listu:

Abraszo, sam rozumiesz. Ludzie tak się zachowują, ponieważ dopiero co opuścili obóz koncentracyjny i ponieważ wiemy, że pozostaniemy w obozie na zawsze. Tak, czuję się tak samo przyćmiona i słaba jak podczas dni wyzwolenia. Czy naprawdę jestem chora? Czy może stan, w jakim jestem teraz, będzie czymś normalnym w mojej przyszłej egzystencji? Przerażają mnie takie myśli. Ale z drugiej strony jestem na sposób stoicki cyniczna. Selekcje już się nie odbywają. A może powinnam przyjąć chorobę jako błogosławieństwo? Może w ten sposób łatwiej wejdę w przyszłość? Jak sądzisz, Abraszo?

Nie wiedziała już, czy Balcia i Malka walczyły ze sobą, czy też się obejmowały. Przewróciły się na podłogę i potem tak tam siedziały. Płakały czy też się śmiały? Coś szeptały w pośpiechu. Serce Miriam biło zbyt mocno, aby mogła dosłyszeć ich słowa. Jedna gładziła drugą po krótko ściętych włosach. Potem zastygły w ciszy, bez ruchu, z dziwnymi grymasami na twarzach. Miriam pisała w myślach:

Powinieneś je teraz zobaczyć, Abraszo. Jakże wspaniałą rzeźbę byś stworzył, gdyby były twoimi modelkami! Jaki nadałbyś jej tytuł? „Matka i córka zmierzchu" czy też „Matka i córka odrodzenia"? Prawdę mówiąc, jeszcze trudniej mi znieść tę scenę niż wcześniejsze. Muszę odwrócić od nich wzrok. Chyba patrzą na mnie, przeszkadzam im...

Malka dopięła swego. Wstała, przysunęła stołek do okna, usiadła i wyglądała na zewnątrz. Zaraz Balcia usiadła obok niej. Długo i uparcie milczały. Od czasu do czasu Miriam chwytała spojrzenia, którymi obrzucały ją matka i córka. Może powinna im wytłumaczyć, czemu nie wstaje z łóżka?

– Widzisz, jak chłodno... jak obojętnie przyjmujemy to wszystko? – rzuciła Malka, jakby przemawiała w kierunku kasztanowca stojącego na zewnątrz.

„Ależ gdzie tam – Miriam odpowiedziała jej w duszy – traktuję to wszystko bardzo żywiołowo".

Gwar po tamtej stronie okna docierał do uszu dźwiękami oderwanych słów. Na zewnątrz rozmawiały dziewczęta. W wyobraźni Miriam widziała przechodzący tłum wyzwolonych kobiet. Kilka dni wcześniej była jedną z nich. Ledwo żywe, od samego rana do późnego wieczora przechodziły pomiędzy barakami i ścieżką z przodu, a nogi ich napędzane były niepokojem, energią, której pochodzenia nie znał nawet sam Bóg. Aby się przekonać, że żyją i że naprawdę są wolne, szukały potwierdzenia wprost na ziemi pod stopami. Aż nadszedł dzień, w którym ta czy inna kobieta nie mogła się już podnieść z pryczy i, jak Miriam, przesuwała wstanie z jednego dnia na drugi.

Więźniarki z obozu Hummel wykrzykiwały coś w kierunku Balci i Malki. Głowa Miriam była jak owinięta grubymi bandażami, niczego nie rozumiała. Ale wówczas straszliwy jęk Balci przeciął jej przytępiony umysł niczym nóż. Urwany krzyk. Miriam natychmiast zrozumiała, że Niemcy wrócili! Zabiorą Balcię!

– Co się stało? Co się dzieje?– zerwała się z łóżka i usiadła.

Przez dłuższą chwilę było cicho. Straszliwie cicho. Potem usłyszała głos Malki:

– Hanka zmarła.

– Hanka? Jaka Hanka?

– Matka Sorki. Mówią, że Sorka ma tyfus mózgu i o niczym nie wie...

Czego Sorka nie wie? Jak Hanka mogła umrzeć, jeśli byłyśmy z nią do chwili wyzwolenia? To znaczy, że śmierć wciąż się dzieje. A może wcale nie zostałyśmy wyzwolone? A może opuściłyśmy Bergen-Belsen i przeniosłyśmy się do większego obozu koncentracyjnego, który nazywa się „wolnym światem"? Człowiek XX wieku bezprawnie posługuje się również językiem. Na przykład słowo „wolny". Czyż Niemcy nie ozdobili bramy w Auschwitz, imperium śmierci, napisem: *„Arbeit macht frei"*? A racje głodowe, które otrzymują tak zwani ocalali, były niewiele większe niż w obozie koncentracyjnym.

Być może Anglicy przybyli z zupełnie innej planety, na której nie istniała rasa więźniów kacetników. Gdy tylko pojawili się w obozie, zalali baraki puszkami tłustego mięsa, przez co setki więźniów zmarły... z sytości. Chyba Hanka była jedną z nich. Balcia ostrzegała ją, aby nie jeść tych konserw, walczyła z nią jak lwica; walczyła też z Miriam. Ale Hanka była zbyt głodna. Być może na głodowych racjach, które Anglicy zaczęli później wydzielać, Hanka również by nie przeżyła.

Wraz z Hanką jej własna matka zniknęła jeszcze bardziej. Wszak obie były sobie bliskie jak rodzina – o wiele bliższe niż jeszcze przed wojną ona, Miriam, z Malką czy z Sorką. Wówczas one – matki, proletariuszki, towarzyszki ruchu – lepiej znały sztukę przyjaźni niż te trzy młode podlotki. Czy naprawdę istnieje tyfus mózgu? Trzeba zebrać siły i zapytać Malkę. Ale usta są zaklejone i nie da się ich otworzyć.

I jakie to dziwne, że Balcia i Malka wciąż siedziały przy oknie, a ona, sama Miriam, nie ruszyła się, nie pobiegła, by ratować Sorkę. W obozie były w piątkę niczym jedno ciało, a granice wierności zbliżyły się do granic życia. Czy życie po wyzwoleniu stało się cenniejsze, a przyjaźń – potaniała?

Oczywiście nie można było biec do Sorki. Prawdopodobnie była w izolacji w lazarecie i nikogo do niej nie wpuszczano. Ale można było spróbować choć uczynić wysiłek dla samej siebie. Aby siebie przekonać, że nie jest się obojętną. Miriam, weteranka osamotnienia, z tą miesiącami ciągnącą się próbą samotności, pobiegnie do osieroconej Sorki. Dotrze do niej na czworaka. To jej obowiązek. Zaraz zejdzie z pryczy. Jak tylko serce odrobinę się uspokoi.

Po wewnętrznej stronie opuszczonych powiek jak na ekranie widziała Sorkę leżącą na szpitalnym łóżku pośrodku dmuchanego namiotu: nagiej, pustej kuli ziemskiej. Z zewnątrz, nad kulą, niczym po śladzie równika pędziły koła pociągu z bydlęcymi wagonami. Kula marszczyła się i uginała pod jego ciężarem. Za chwilę zgniecie Sorkę. I nagle Miriam ujrzała siebie pełzającą na czworaka, szybko, w przerażeniu. Musiała ratować – siebie, własne ciało!

Na zewnątrz gwar wzmagał się, rósł, stawał się coraz bardziej ogłuszający. Eskadra samolotów przeleciała gdzieś w pobliżu. Ktoś na dole krzyknął jasno i wyraźnie:

– Auto pancerne!

W Miriam zamarło serce. Niemcy! Przyszli po nie... Po nie wszystkie... Zabiorą je na selekcję! Musi pełznąć szybciej. Uciec! Ukryć się! Na zewnątrz koła toczyły się po asfalcie – nie, po jej czaszce! Jakiś męski głos, ochrypły i ostro brzmiący przez mikrofon, zbliżał się coraz bardziej. Nie rozumiała ani słowa, a przecież wyraźnie słyszała: *„Alle Juden raus! Alle Juden runter!"*[17].

– Biegnijmy! – krzyknęła i w pośpiechu usiadła.

Balcia i Malka popatrzyły na nią z krzywym uśmiechem.

– Dokąd? Jak? – Balcia wzruszyła ramionami. – Stąd słychać każde słowo.

– Co mówią?

– Mówią, że dzisiaj o dwunastej w południe oficjalnie zakończyła się wojna. Generał Jodl[18] podpisał akt bezwzględnej kapitulacji Niemiec – poinformowała ją Malka.

Miriam opadła na poduszkę. Jednocześnie zapadła się w głębię. Spadała i spadała... w ciemność. Tu i ówdzie jaśniała czyjaś twarz niczym zapalona latarnia: twarz matki, ojca, Wierki, Nońka. Potem blisko niej zapłonęła twarz Marka, parząc jej policzek ostatnim pocałunkiem. A następnie zajaśniała twarz Abraszy, więc zapytała go w liście pisanym w wyobraźni:

Słyszałeś nowinę... Teraz, w tej samej chwili co ja? Czy moi również ją słyszeli? Gdzie bym nie spojrzała w tej ciemności, widzę ich. O czymkolwiek bym nie pomyślała, moja myśl biegnie do nich. Czuję się winna wobec nich wszystkich, w każdej komórce mojego ocalonego, gorączkującego ciała tak boleśnie

---

[17] (niem.) *Wszyscy Żydzi wynocha! Wszyscy Żydzi na dół!*

[18] Akt kapitulacji w imieniu Rzeszy Niemieckiej podpisał 7 maja 1945 roku w Reims gen. Alfred Jodl.

odczuwam swoją winę. Och, gdybym tak mogła przywołać, sprowadzić i naprawić to wszystko, co przeminęło! Abraszko, mój nauczycielu, mój przewodniku, znasz drogę wyjścia z tej dżungli ciemności?

Na zewnątrz przelatywały ogłuszająco hałaśliwe metalowe samoloty. Miriam otworzyła oczy i zwróciła głowę w kierunku okna. Rozległy się salwy armatnie. Powietrze w oknie zdawało się drżeć. Na niebie, między gałęziami kasztanowca, zataczały kręgi białe pióropusze dymu. Na ich tle rysowały się sylwetki Balci i Malki. Obie patrzyły w niebo. Balcia nie płakała, ale małe baloniki śliny rosły i pękały na jej ustach niczym u dziecka, które bawi się mydlanymi bańkami. Stała objęta przez Malkę, która też spoglądała w niebo i coś szeptała w jej ramię:

– Zobaczysz, mamo, znajdą go. Widzisz przecież, że znaleziono Abraszę. Gabi miał większe szanse...

Miriam pisała w pamięci:

Malka ma rację, Abraszo. Tacy jak Ty i ja nie mieli wielkich szans. Może ocaleliśmy tylko dlatego, że nie pozwoliliśmy zgasnąć płomykowi miłości. Więc ocalał. Czekajmy na naszych ukochanych, aby świętować z nimi ten dzień.

Na zewnątrz cały czas szły kobiety. Od czasu do czasu ktoś zatrzymywał się pod oknem i wymieniał gorączkowe słowa z Balcią i Malką. Miriam nastawiła uszu. Okruchy rozmowy docierały do niej niczym dźwięki obcego języka, wypełnione frazami, które ledwo pojmowała. Była bardzo zaciekawiona. Musiała wiedzieć. W nowym obozie przecież należało być czujnym i zbierać informacje. Na wszelki wypadek...

– Co mówią? Co słychać? – nieustannie pytała.

– Na dole mówią, że odbywa się konferencja Narodów Zjednoczonych w San Francisco[19] i że Żydowski Kongres Światowy[20] przysłał tutaj telegram – przekazała jej Malka.

– No i co?

– No i nic. Wyobrażam sobie, że telegram dotyczy nas. Że mowa w nim o wszystkim, co się wydarzyło z Żydami. Cały świat zadrży w posadach, kiedy się dowie.

Malka mówiła poważnie czy też stroiła sobie żarty? Nieważne. Cały świat i tak drżał w posadach. Miriam postrzegała świat, tę ziemską kulę, jako przebity, pognieciony, czarny balon, który przygniata Sorkę. Kolejna fala salw armatnich

---

[19] Konferencja założycielska Organizacji Narodów Zjednoczonych rozpoczęła się 25 kwietnia 1945 roku w San Francisco.

[20] Światowy Kongres Żydów, ang. World Jewish Congress – utworzony w 1936 roku w Genewie, początkowo stawiał sobie za główne zadanie obronę Żydów w III Rzeszy, po II wojnie światowej miał reprezentować interesy żydowskie na arenie międzynarodowej.

wdarła się do pokoju. Kłęby dymu wirowały w powietrzu – rozedrganej, gęstej żelatynie. Niebo kręciło się niczym karuzela.

– Dzieci! – zawołała nagle Balcia ochrypłym głosem. – Musimy uczcić to święto! Skoro nie ma niczego innego, uczcimy je dodatkowym kawałkiem chleba, tym razem... z solą. – Zakrzątnęła się przy stole i niebawem każda z nich trzymała w ręku kromkę chleba z solą. – Pokonano ich! – Balcia podniosła kromkę do góry niczym toast. Malka i Miriam niezdarnie i niepewnie powtórzyły jej gest.

Miriam nie mogła się nadziwić, że kawałek chleba z solą nie ma smaku i ledwo da się go połknąć. I nie mogła się też nadziwić swojej obojętności! Tak bardzo modliła się o tę chwilę! A teraz, kiedy nadeszła...

Abraszo, dlaczego tak trudno przełknąć pokój? Nikt nie szaleje z nadzwyczajnego zachwytu. Ani też z nadzwyczajnego smutku. Właściwie nie powinnam o to pytać. W moim obozowym uniwersytecie nauczyłam się, że człowiek nie jest w stanie pojąć ekstremalnych przeżyć pełnią swojej świadomości. Kiedy żałoba jest zbyt wielka, przestajemy ją czuć, wyłączamy nasze zmysły, nerwy. To samo dzieje się chyba w przypadku zbyt silnej radości. Słyszę wojskowe świętowanie na zewnątrz, a w tym samym czasie przeszłość unosi się nade mną jak sęp i wyczynia orgie na szczątkach moich wspomnień i snów. Słońce wciąż zachodzi na moim niebie.

Abraszko, wydaje mi się, że już wieki całe leżę na tej pryczy – tratwie na rzece dzikiego zagubienia; że to, co się stało ze mną, to tylko fala straszliwych wizji, które przepływają przed moimi oczyma i jeszcze trwają. Jaki związek mają z tym, co nazywa się rzeczywistością? Czy to wszystko mnie dosięgnęło, dotknęło mojego „ja"? Wszystko wydaje mi się takie nieosobiste, jakbym nie była sobą, lecz gościem we własnym koszmarze.

Ale jeśli byłoby inaczej, to jak mogłabym wytrzymać? Może właśnie moje wrodzone zamyślenie pomogło mi przetrwać to wszystko? I jak to możliwe, że wciąż mam wrażenie, iż mama i Wierka gdzieś są; że gdy tylko się obudzę po nocy, która mi się śni, to je odnajdę? Czyimi oczami patrzyłam? Czyją świadomością ogarniałam prawdę?

Abraszo, czy i Ty cierpisz na taką chorobę wyzwolenia co ja? Czy kiedyś się z niej wyrwiemy? Czy ja się z niej wyleczę?

Wydaje mi się, że bardziej muszę chcieć wyzdrowienia. Rodzice domagają się tego ode mnie, dla mnie, dla nich, dla Marka i – dla moich nienarodzonych dzieci. Czy wiesz, Abraszo, że matka miała dwadzieścia jeden lat, jak ja teraz, kiedy wyszła za mojego ojca w domu Balci Cederbojm, i że wówczas też był maj? Majowy ślub... Tak sobie myślę, że gdybym się nie bała wrócić do nich, pomogliby mi się obudzić; że wszystko, co muszę zrobić, to – iść do domu. Otworzyć drzwi i powiedzieć: „To ja". Może tym językiem, tym słowem da się otworzyć drzwi życia. Ale w jaki sposób wrócić? Skąd mam wiedzieć, dokąd idę, skoro nie wiem, gdzie jestem?

Abraszko, może będziemy mogli pomóc sobie nawzajem? Podtrzymamy się na duchu? Może z naszego bólu rozkwitnie piękne życie, a nasza ofiara nie pójdzie na marne? Świat wyciągnie nauczkę z naszej próby. My też się czegoś nauczymy. Poznamy prawdziwą wartość każdej rzeczy, każdej minuty, każdej chwili. Nauczymy się kochać drugiego i samych siebie, ale nie taką złą, zniewalającą miłością, lecz uczuciem otwartym, wyrozumiałym. Nauczymy się być szczęśliwi jak tylko to możliwe.

Jakiś głos z mojego wnętrza krzyczy do Ciebie przerażony – ochrońmy się nawzajem od śmierci, którą nosimy w sobie!

*

Nowy dzień. Miriam otworzyła oczy. Balcia siedziała przy stole i tępymi nożyczkami rozcinała koc z UNRRA, który wisiał na gwoździu obok drzwi. Czyniła przygotowania, aby uszyć dziewczętom jakieś ubranie. Malka siedziała przy niej otulona kocem z pryczy i pisała coś na papierze z eleganckiego notesu.

Miriam roześmiała się w myślach szyderczo: „Idiotka, pisze swoją książkę! Chyba gorączka uderzyła jej do głowy!".

Ale zaraz ogarnęła ją gorzka litość. Niejednemu ocalałemu majaczył w sercu taki pomysł nie do zrealizowania. Każdy z nich był przecież żywą, chodzącą książką, historią o mocnym zakończeniu. Biedna, mądra, rzeczowa Malka! Czyż nie wiedziała, że komuś, kto tego nie doświadczył, nawet w książce nie da się przekazać tego, co się stało? Że nawet oni, należący do plemienia doświadczonych, mogą tylko czynić aluzje na ten temat nieporadnym słowem, spojrzeniem, grymasem. Ponieważ nie da się wypowiedzieć absolutnego okrucieństwa, podobnie jak absolutnej boskości. A jeśli ktoś mimo wszystko pragnie coś przekazać, może to uczynić tylko tak, jak robi to ona, Miriam – bez ołówka i papieru, w drżącym transie, który przepala ciało i duszę.

Chciało się jej pić, miała suche, spieczone usta i język. Patrzyła na dzbanek wody obok drzwi. Ale nie mogła tak wykorzystywać Balci. Może Malce zachce się pić? Wówczas i ona poprosi o łyka. Była coraz bardziej wdzięczna Balci za każdy macierzyński gest, który tamta jej ofiarowywała. Tak, teraz nadszedł czas, aby podziękować – nie jak w obozie, gdzie każdy okruch przyjaźni, każdy gest dobroci były tak niezwykłe, tak nieoczekiwane, że przyjmowano je jak coś naturalnego. Tam wszystko co niezwykłe wypadało naturalnie. Teraz było inaczej. Teraz było się zazdrosnym o każdego, czyja matka ocalała, i teraz należało odpłacić za dobro. No, a czym innym Miriam mogła odpłacić, jeśli nie powściągliwością w korzystaniu z cudzych usług?

Balcia zwróciła głowę w jej stronę. Jakaś iskra rozbłysła w jej małych, przekrwionych oczach.

– Mam coś dla ciebie! – powiedziała i podniosła ze stołu kawałek brązowego papieru. – Zobacz. – Machała nim w powietrzu. – Abrasza przysłał ci odpowiedź. Był tu pewien młody człowiek. Abrasza podyktował mu tę karteczkę. Weź, czytaj.

– Zostawiła nożyczki i koc, wstała i wcisnęła kartkę w dłonie Miriam.

Miriam patrzyła na papier. Widziała na nim jakieś znaki, słowa. Czytała je i niczego nie pojmowała.

– Ani słowem nie wspomina o naszych mężczyznach – usłyszała głos Malki.

Miriam zrobiło się gorąco, zapłonęły jej oczy, zapłonął umysł. Serce biło niczym tysiąc młotów. Wsunęła brązowy świstek papieru pod poduszkę, aby przeczytać go ponownie, kiedy tylko przejrzy na oczy.

– Nie rozumiem, dlaczego wciąż mam gorączkę – mruknęła, jakby się usprawiedliwiając przed Balcią i Malką.

– A co tu rozumieć? – usłyszała odpowiedź Malki. – Jak można było wyjść cało i zdrowo z gniazda żmij?

Miriam ujrzała się w gnieździe żmij. Wdrapywała się na jego ściany, zsuwała się wraz ze szlamem, po czym znów pięła się w górę, próbując uciec. Tam, za ciemnymi ścianami nocy, leżała kraina, którą miała zamiar zdradzić, zaludniona tymi, których wspomnienie coraz bardziej oplatało się wokół jej pamięci i wczepiało w jej istnienie. Ściany gniazda żmij rozbrzmiewały ich śmiechem i płaczem, dudniły ich pragnieniami i żalem. Wyły w niej tysięcznym echem. Głosami dybuków[21].

„Abraszo – odpowiedziała w myślach na jego liścik – kochany Abraszo... żyj... żyj.... I przybądź, pomóż mi odnaleźć moje ręce i nogi. Gdzie jestem? Jak mogę wyruszyć w drogę?".

„Na czworakach... i sama" – dosłyszała jego odpowiedź.

Ciemność i samotność musiały zamienić się w światło pośród nocy, która ją otaczała, w kompas towarzyszący jej w poszukiwaniach. I tak w szafach wspomnień odnalazła najpiękniejszą sukienkę, którą odziedziczyła po siostrze Wierce, i którą nosiła w dniu jej urodzin. I uczepiła się rękami dwóch sznurków z różnokolorowymi balonami, które kupował ojciec, spacerując z Wierką i z nią, gdy tylko nauczyła się chodzić, czy też kiedy nauczy się chodzić, aby otuliła ją ta suknia, a balony uskrzydliły i pomogły przepłynąć nad murami, które stały jej na drodze; aby drżały wraz z jej ciałem i tęsknotą do tych światów, w których nigdy nie mieszkała, a które przecież były jej domem, ponieważ gdzieś w nich krył się jej początek. Może tam narodzi się na nowo i spotka się z rodzicami[22].

---

[21] Dybuk (hebr.) – w żydowskim folklorze dusza zmarłego, która po śmierci nie może zaznać spoczynku i wstępuje w ciało osoby żyjącej, demon.

[22] „Cztery tygodnie gorączka wrzała w mojej krwi, rozpalała oczy i przyćmiewała umysł. Tyfus igrał z moim ciałem i duszą. Z brzegu otchłani wyszli mi naprzeciw moi bliscy, mówili do mnie dawno wypowiedziane słowa. Uśmiechali się dawnymi uśmiechami i zmagali się z moim ciałem... Przesunęłam się do ściany przy moim łóżku szpitalnym, aby zrobić miejsce dla tych wszystkich osób" – pisała Rosenfarb w swoim dzienniku 13 czerwca 1945 r. Zob. Ch. Rosenfarb, *Dni*..., op.cit., s. 580.

*

I tak pisała listy do Abraszy. Długie, pełne słów. Jasne. Niejasne. Aż doszła w tym pisaniu do chwili, w której przyszła kolej na ponowną inspekcję medyczną.

W ich pokoju pojawił się doktor Vanderhaeghe, młody Belg. Balcia i Malka siedziały wówczas przy stole i blaszanymi łyżkami wyskrobywały resztki jedzenia z dna menażek. Lekarz popatrzył na Miriam, zadał Balci kilka pytań i zapisał coś na bloczku papieru. Balcia i Malka wpatrywały się w niego. Łyżki z zupą drżały w ich dłoniach. Lekarz zbliżył się do nich.

– *Adolf Hitler ist tot*[23]! – powiedział przesadnie głośno z flamandzkim akcentem i pragnąc dodać im otuchy, poklepał Balcię po plecach. Następnie jeszcze raz podszedł do pryczy Miriam i czerwoną kredą narysował iksa na jej zewnętrznych deskach. – Tyfus! – powiedział. Machnął ręką i wyszedł z pokoju.

Abrasza podszedł do Miriam i otworzył przed nią drzwi.

– Tak, muszę sama... – powiedziała do niego.

Bolało przekroczenie progu – do siebie.

---

[23] (niem.) *Adolf Hitler nie żyje!*

Rozdział drugi

Majowe słońce wpadało smugami do izby chorych szpitala w Bergen-Belsen, urządzonego w jednym z byłych koszar szkoły wojsk pancernych dla SS. Siwowłosy belgijski doktor w białym fartuchu niedbale narzuconym na czarny wojskowy mundur krążył pomiędzy łóżkami dopiero co wyzwolonych więźniów chorych na tyfus. Zdawało się, że osiągnął taki poziom zmęczenia, kiedy człowiek przestaje czuć i staje się całkiem żwawy i rozmowny. Głębokie zmarszczki na jego twarzy były wilgotne. Na czole perliły się krople potu. Jego usta wykrzywiał gorzki grymas, jakby właśnie spróbował czegoś bardzo niesmacznego. Na zewnątrz panował wspaniały wiosenny dzień i może właśnie przez to jego serce było pełne gniewnego obrzydzenia do wszystkiego i wszystkich. Możliwe, że podczas szalonej zawieruchy pracowałoby mu się lepiej.

Towarzyszyła mu świta młodych belgijskich studentów medycyny i świeżo upieczonych doktorów. Ich białe fartuchy, narzucone na czarne mundury, również były rozpięte. Rozchylone kołnierzyki odkrywały ogolone, smukłe szyje. Wyglądali na wysportowanych, zdrowych ludzi. Dziecięca niewinność, wymieszana z ciekawością i dziecięcym strachem przed niemal nierzeczywistą makabrą, wyzierała z ich jasnych, choć zmęczonych, wodnistych oczu. Można by ich niemal wziąć za grupę nordyckich bogów czy po prostu za grupę białych aniołów – gdyby tylko nie byli tacy głośni i nie ziewali tak często. Jedynie pielęgniarka, kobieta w średnim wieku, najbardziej z nich wszystkich zmęczona, a zarazem najbardziej energiczna, dyskretnie skrywała swoje ziewanie za parawanem mocno zaciśniętych, bladych ust.

Grupa powoli posuwała się wzdłuż długiego korytarza baraku, wizytując jedną izbę chorych za drugą. Im dalej posuwała się inspekcja, tym bardziej zagubieni stawali się młodzi ludzie. Ot, grupa aniołów-turystów w białych fartuchach, która

przez pomyłkę zabłądziła do krainy demonów, gdzie wszystko, co nienormalne, wygląda normalnie, i gdzie każdy żywy obywatel jest nieboszczykiem rzucającym się w konwulsjach gorączki. Zdawało się, że owi demoniczni nieboszczycy zmówili się, aby przeprowadzić tych zdezorientowanych młodych ludzi przez niekończące się labirynty halucynacji i utopić w oceanie zbiorowego koszmaru.

Młodzi ludzie milcząco przysłuchiwali się długim komentarzom profesora na temat każdej chorej. Jego wypowiedzi były pełne licznych *„godverdommes"*[24] i jeszcze bardziej dziwacznych flamandzkich przekleństw pod adresem Hitlera i jego kompanii. Uczniowie nie mieli mu za złe tej gadatliwości i ponurego nastroju. On ze swojej strony nie miał im za złe częstego i jawnego ziewania. Ledwo zwracali na siebie uwagę, tak bardzo walczyli sami ze sobą, aby przetrwać tę całodobową rutynę. Widok ciał chudych jak szkielety, które rzucały się w gorączce na małych pryczach, powtarzał się tyle razy, że groza, która pobudzała ich umysły szalonymi myślami, stała się z czasem banalnie normalna, niemal do znudzenia.

Siwowłosy profesor zbliżył się do pryczy Miriam. Towarzysząca mu świta stanęła wokół niego. Pielęgniarka energicznym ruchem odsłoniła koc, którym chora była przykryta, ukazując przed widzami rozedrganą klawiaturę żeber obciągniętych draperią pomarszczonej, torbiastej skóry. Badając dziewczynę, lekarz nieustannie mówił, wyjaśniając to i owo, udzielając instrukcji, a także przeklinając po flamandzku. Zrobił krzyżyk na karcie trzymanej przez siostrę i przyłożył stetoskop do serca kobiety. Rzucił szybkie spojrzenie na twarze młodych ludzi, po czym poinformował ich, że zbliża się kryzys.

– Jaka jest prognoza, profesorze? – zapytał doktor Vanderhaeghe.

Wysoka sylwetka i nisko pochylone plecy doktora Vanderhaeghe sugerowały, że stara się być jak najmniej widoczny, lecz efekt był odwrotny. Po pierwsze dlatego, że – abstrahując od wzrostu – był jedynym śniadym i ciemnowłosym w tej grupie, a jego brązowe oczy krótkowidza, skryte za szkłami okularów w grubych oprawkach, jako jedyne nie wyrażały zdumienia, dezorientacji czy nudy – lecz wyraźny ból. Po drugie, bardzo często wpadał innym w słowo, zadając pytania i komentując skrzekliwym głosem, zachrypniętym jak po długim krzyku.

Profesor położył dłoń na czole Miriam, uniósł jej powieki, poświecił w źrenice latarką kieszonkową i zajrzał w nie. Potem wyprostował się, zdjął okulary i, czyszcząc je powoli połą białego fartucha, odpowiedział:

– Wszystko zależy od tego, jak przetrwa kryzys.

– Serce pracuje całkiem nieźle – zauważyła pielęgniarka, jakby biorąc Miriam w obronę, po czym przykryła ją kocem.

---

[24] *Godverdomme* – w języku niderlandzkim: cholera; tu z końcówką „s", w znaczeniu: pełne licznych „choler".

Profesor potwierdził:

– Tak, serce pracuje całkiem dobrze.

– Ile ona ma lat? – zapytał drugi student.

Pielęgniarka popatrzyła w kartę choroby i wzruszyła ramionami. Zwróciła się ku doktorowi Vanderhaeghe:

– Doktorze, ile lat ma twoja pacjentka?

– Moja pacjentka? – Wysoki młodzieniec spojrzał zdumiony na Miriam i gdy inni skierowali się ku wyjściu, pochylił się nad pryczą i wpatrywał w twarz chorej, jakby chciał ją obejrzeć z bliska swoimi niedowidzącymi oczyma.

– Wygląda na czternaście – zauważył ktoś w pobliżu drzwi.

– Między dwadzieścia a czterdzieści. To przybliżony wiek ich wszystkich – rzucił ironicznie profesor i jako pierwszy opuścił pokój, krocząc na czele swojej grupki.

Doktor Vanderhaeghe dalej stał pochylony nad pryczą Miriam. Pielęgniarka wróciła po niego i pociągnęła za rękaw białego fartucha.

– Jaki będzie twój koniec, Vanderhaeghe? – złościła się na niego jak troskliwa matka. – Nie dość, że twoje raporty chorobowe są straszne, to jeszcze nie rozpoznajesz własnych pacjentek.

– Oczywiście, że rozpoznaję. Nie zorientowałem się, w którym pokoju jesteśmy. Wszystkie są tak do siebie podobne. Nocą lepiej je rozpoznaję... po halucynacjach.

– Tak, stajesz się regularnym lunatykiem. Chodź już!

Chwycił ją za rękę.

– Powiedz mi najpierw... czy coś znalazłaś w mojej sprawie.

– W jakiej sprawie?

– Wiesz, o czym myślę.

– Nie ma czego szukać. Chodź! – Pociągnęła go za sobą.

Pozwolił prowadzić się przez korytarz.

– Piękne dzięki za dodanie otuchy, litościwa siostro – mruknął ironicznie.

Zatrzymała się i podniosła głowę w jego kierunku.

– Czego chcesz? Abym ci tak po prostu dodawała otuchy? Chcesz karmić się fałszywą nadzieją? Mówiłeś, że ile lat miała twoja matka?

– Czterdzieści dziewięć, kiedy ją aresztowano. Ale wyglądała o wiele młodziej.

– Właśnie dlatego mówię, że jesteś szalony. Ile czterdziestodziewięciolatek tu zebraliśmy, Vanderhaeghe? Ani jednej! Słyszysz, co do ciebie mówię? Ani jednej! Ta tam – zwróciła głowę w kierunku pokoju Miriam – nie ma jeszcze trzydziestu lat. Uwierz mi. A im prędzej pogodzisz się z prawdą, tym lepiej dla ciebie.

Zostawił ją i pobiegł za grupą i profesorem, którzy właśnie wchodzili do sąsiedniego pomieszczenia. Gdy zajęli miejsca dokoła pryczy z chorą, którą zaczął badać profesor, doktor Vanderhaeghe ponownie przysunął się do pielęgniarki i szepnął jej do ucha:

– Chora, którą widzieliśmy w tamtym pokoju... Teraz dobrze ją sobie przypominam. Intryguje mnie słowami, które wymawia nocą w gorączce.

– Myślisz, że nie wiem? – odpowiedziała szeptem siostra. – Niejednej nocy cię tam widziałam, o ile pamiętasz. – Uniosła brew i zapytała z ironią: – Rozumiesz jidysz czy może ona mówi po flamandzku?

– Zaczynam rozumieć...

– Ja też, Vanderhaeghe, ja też zaczynam rozumieć, że muszę cię umówić na randkę z psychiatrą. Dłużej tak być nie może. – Rzuciła w jego kierunku matczyne spojrzenie pełne rozpaczy i odwróciła się, by pomóc profesorowi w badaniu chorej.

*

Upał warzył krew, płonął w oczach i podpalał umysł. Tyfus igrał z ciałem i duszą. Serce biło jak tysiąc młotów, wystukując koszmarne wizje.

Po majowym niebie przelatywały samoloty. Nie rzucały już bomb, lecz warczały pozdrowieniem wolności. Powietrze drżało od artyleryjskich salw, które nie zapowiadały już zniszczenia, lecz wstrząsały ziemią na znak pokoju. Nieważne. Coś definitywnie pękło. Coś przeminęło na zawsze – a mimo to wciąż jeszcze trwało.

Miriam, królowa krainy iluzji, w gorączkowej wizji siedziała na najwyższym stopniu rodzinnego pałacu, tam, gdzie stał jej tron. Miała pięć lat... Była już duża – i patrzyła na swój niewidzialny zegarek na ręku. „Już dwunasta godzina, a mojej mamusi wciąż nie ma" – recytowała.

Dłuższą chwilę zaglądała w ciemny tunel korytarza, który zdawał się nie mieć końca, aż dostrzegła wyłaniającą się falę ludzi: rzekę bulgoczącą słowami, śpiewem i śmiechem. Cienie słodkich szeptów przesuwały się niczym wodne kręgi w pobliżu brzegu. Ale nagle głosy te wypełniły się krzykami i lamentem. Niczym żałosne, straszliwe kaskady wodospadów zaczęły zalewać wąską pryczę.

Rozpoznawała twarze ludzi, których spotkała już w swoim życiu; tych, którzy kiedyś zatrzymali się obok niej na chwilkę, i tych, którzy byli przy niej dłużej; tych, których kochała, i tych, których niemal nienawidziła. Powtarzali słowa, którymi kiedyś zwracali się do niej, uśmiechy, którymi ją obdarzali, niezadowolenie, które dawniej odczytywała z ich oczu. Cieszyła się, że ich rozrachunek z nią wciąż jeszcze trwa, chociaż teraz targowała się z nimi o prawo do życia. Nie dziwiła się, że z jej oczu płyną łzy, chociaż już dawno temu wypłakała je wszystkie.

Zrozumiała, że trafiła do Nibylandii[25], o której ojciec opowiadał jej i jej siostrze Wierce, kiedy były małe. Prowadził je wówczas po pełnych radości ulicach wzdłuż budynków o śmiejących się drzwiach i oknach: ją, Miriam, do szkoły tańca, a Wierkę do biblioteki. Kupował dla nich balony od ulicznego sprzedawcy, który miał cały węzeł takich balonów przyczepionych do długiego patyka. Na tym

[25] W oryginale *Ergecland, ergec* – gdzieś, *land* – kraj; można też tłumaczyć jako: Hen-gdzieś-kraina; oznacza odległą krainę spełnionych marzeń.

patyku wyglądały one niczym wielka, kolorowa kiść winogron. Tak mówił ojciec, ponieważ ani ona, ani Wierka nie wiedziały, jak taka kiść wygląda.

Ojciec prowadził je wzdłuż Sambationu[26], rzeki szabesowej[27], która odpoczywa nie tylko w sobotę, ale każdego dnia; a nad jej brzegami mieszkają szczęśliwi Czerwoni Żydzi[28], którzy nic nie wiedzą o galucie, rozproszeniu. W tej oto Nibylandii mieszkał dobry Doktor Bum-Bum, którego Abrasza przemienił potem w postać ze swojej sztuki marionetek. Dobry Doktor Bum-Bum jak kukułka z zegara wskakiwał do domu, w którym jakieś dziecko leżało w łóżku chore, po czym wyczyniał takie śmieszne sztuczki, że choroba opuszczała posłanie i dziecko od razu stawało się zdrowe.

W tamtym czasie, w piątek wieczorem, chodziło się w gości do Cederbojmów, którzy również mieszkali na Bałutach, za Łódką – rzeką-rynsztokiem, od której nazwę wzięło całe miasto. Ponieważ w łódzkich fabrykach farbowano materiały na czerwono, wody Łódki były czerwone.

Kiedy jednego takiego wieczoru przechodzono obok rzeki, Wierka powiedziała: „Łódka jest tutejszym Sambationem, prawda tatusiu?".

Nazajutrz, w szabes, ciocia Rachela zstąpiła z czwartego piętra niczym z wysokiej góry na ulicę Nowomiejską, niosąc w rękach garniec czulentu[29], aby rodzina jej siostry Binele mogła spróbować prawdziwego łódzkiego japcoka[30]. Więc rodzina spróbowała i przekonała się, że ma on niebiański smak, z którym mogły porównywać się tylko anioły z tej Nibylandii.

Ale potem ta Nibylandia stała się swoją odwrotnością. Doktor Bum-Bum zaczął nosić swój biały kitel wywrócony na lewą stronę, zieloną i ozdobioną swastykami. Palcami zimnymi niczym sople lodu dotykał wszystkich dzieci, które przychodziły przez drzwi do tej odwróconej Nibylandii. Wody Sambationu stały się purpurowe od krwi Czerwonych Żydów.

Wówczas matka powiedziała do Miriam: „Tańcz dalej, Miriamko...". A ona z Wierką pobiegły do łaźni, aby się wykąpać na następny, odwrócony szabes – czarny szabes. A wraz z nimi poszli też ciocia Rachela i wujek Szaja, i inne ciocie Miriam, i babcia Hindela, i dziadzio Josel, i kuzyni z kuzynkami, a także sąsiedzi,

---

[26] Sambation – mityczna rzeka, za którą miało się schronić dziesięć zaginionych plemion izraelskich, po których zaginął ślad.

[27] Według legendy Sambation płynie przez sześć dni w tygodniu, odpoczywając w szabes, jak Żydzi.

[28] Legenda o Czerwonych Żydach została spopularyzowana w literaturze żydowskiej przez Szolema Jakowa Abramowicza, znanego jako Mendele Mojcher-Sforim, w wydanej przez niego w 1878 roku książce pt. *Podróże Benjamina Trzeciego*.

[29] Czulent – tradycyjna potrawa kuchni żydowskiej, której przygotowanie polega na wolnym duszeniu koszernego mięsa z fasolą, cebulą i kaszą.

[30] Dialektalne (łódzkie) określenie czulentu.

dzieciaki ze szkoły i z organizacji oraz tłum z Bałut, Łodzi, miasteczka Bociany[31] i innych miast i miasteczek Polski.

Teraz ciocia Rachela mówiła do Miriam już kiedyś wypowiedziane słowa i pokazywała jej, jak pięknie dała ufryzować swoją perukę z okazji jej ocalenia. Jednocześnie wylewała obfite łzy oczami dziewczyny. Czy to coś dziwnego? Przecież ciocia Rachela zawsze płakała, nawet gdy się uśmiechała. Bo była bezpłodna.

Miriam przysunęła się plecami do ściany, aby zrobić miejsce na pryczy dla nich wszystkich. „Przede wszystkim muszę zrobić miejsce dla mamy, taty, Wierki, Nońka – i dla Marka!" – krzyczała do tłumu, który otaczał pryczę ze wszystkich stron. „Najpierw pozwólcie mi ich tutaj pomieścić!" – błagała, jakby znajdowała się na peronie dworcowym, z którego lada chwila miał odjechać pociąg – do Paryża. Tam jej oczekiwano... w akademii tańca. Ale tłum, który napływał z długiego, ciemnego korytarza, z nieskończonego tunelu, rzucił się na nią z wielkimi pretensjami i nie pozwalał odjechać, dusząc ją setkami tysięcy rąk.

Kilka razy spadła z pryczy.

Zorientowała się, że leży na podłodze. Pod jej ciałem zaczął się formować ruchomy sarkofag, unosząc ją przy tym do góry. Znalazła się w absolutnej ciemności, ciemności bezgranicznej, nieskończonej, tak gęstej i namacalnej, że dostrzegła ją siedzącą na swoim łonie. W tej oto czarnej gęstwinie jeden jedyny czarny punkt pękł i uwolnił odrobinę światła – jedną kroplę krwi w kształcie serca. Niczym odlegle echo dobiegł do jej uszu głos łódzkiego kataryniarza, kaleki o jednej nodze, ślepego na jedno oko. Wołał: „Cała przeszłość, przyszłość i teraźniejszość – za jedną kroplę krwi!".

Miriam wyrecytowała zaimprowizowany rymowany wierszyk:

Dos cimer iż fincter,
Dos cimer iz szwarc.
In mitn fun cimer
Caplt majn harc.
Dos harc wos es caplen
In chojszech iz rojt.
Ch'kuk arajn in szwarcapl
Fun tog wos iż tojt[32].

---

[31] Bociany to nazwa, której autorka użyła na określenie Końskich – miasteczka, z którego pochodzili jej rodzice. Zostało one opisane w powieści pt. *Bociany* (w języku jidysz), po polsku wydanej w dwóch tomach. Zob. Źródła przypisów.

[32] (jid.) *Pokój jest ciemny, / czarny jak noc. / Pośrodku tego pokoju / bije moje serce. / To serce bijące w ciemności, / jest czerwone. / Spoglądam w oczy / martwego dnia.*

Sarkofag, na którym leżała, okazał się stołem operacyjnym. Gdzieś za czarnym parawanem człowiek w czarnej masce na twarzy, o niewidzialnych, okrutnych rękach, w czarnych rękawiczkach, szykował się do wycięcia tego czerwonego serca – niewidzialnego wycięcia – i wyłączenia go.

„Nie! Nie!" – krzyczała niemym, zduszonym, niesłyszalnym głosem. Nie rozległ się żaden dźwięk, żadne słowo, a jednak padło ostrzeżenie: „To jedyna kropla krwi, którą posiadam! Ani się waż!".

Poważył się. Z głuchym skrzypieniem sarkofag zniżył się ku ziemi. Miriam leżała na podłodze. Była dwudziestojednoletnią staruszką i sama jedna świętowała dzień swoich urodzin i śmierci, ostatni niedokończony dzień swojego życia. Nie było ważne, że ostatnia kropla jej krwi wciąż jeszcze lśni w ciemności, ponieważ nie miała już kształtu serca.

Podłoga grobu, w którym się znajdowała, była pokryta szmatami, takimi samymi, jakie matka kładła na podłogę wyszorowaną na szabes, aby uchronić ją przed błotem naniesionym z ulicy. Ale tak było tylko pozornie. Tak naprawdę to wcale nie były szmaty, lecz egzotyczne dywany o czarodziejskiej mocy. Mogły unieść pięcioletnią dziewczynkę aż do białych chmur, rozpostrzeć się ponad nimi i odpłynąć gdzieś, hen daleko. Wyplecione były w tajemniczy wzór, którego nikt nie rozumiał poza nią, wzór zaszyfrowanego języka. Gdy posługiwano się tym językiem w sposób celowy, siedząc na takim właśnie dywanie, wznoszono się coraz wyżej, aż w najgłębszy błękit niebiańskiej muzyki.

Kiedyś istniał taki kolor jak błękit. Kiedyś w świecie małej dziewczynki były też inne kolory, a także inne dźwięki. Ale w świecie staruszki, która ma dwadzieścia jeden lat, nie istniały kolory, lecz warianty jednej barwy: czerni. Jednym z jej wariantów była czerwień ostatniej kropli krwi, a innym – szarość szmat, z których zatruty eter wysysał każdy ślad czarodziejskiego wzoru.

„To jedyna kropla krwi, jaką jeszcze posiadam!" – wyjąkała Miriam, jakby recytowała requiem na śmierć czarodziejskiego języka.

Zamiast dźwięku muzyki wyraźnie usłyszała, jak wydrążona pustka nad jej głową znów ogłuszająco rozbrzmiewa w niej: „I co? I co?".

Grób, w jakim się znalazła, miał szklane drzwi, które można było otworzyć z zewnątrz do środka, ale nie w drugą stronę. Szare, słabe światło koloru szmat zapaliło się na futrynie szklanych drzwi. Na szarym tle pojawił się wymalowany napis popielatego koloru, literami zwrócony na zewnątrz, jak na sklepowej witrynie. I choć widziane od środka litery były odwrócone, można było je odczytać:

„Nigdy się stąd nie wydostaniesz" – przeczytała.

Kiedy kilka razy odczytała ten napis, zauważyła bladą dłoń wsuwającą listy przez szparę pod szklanymi drzwiami – listy! – i chowającą je pod dywan. Podniecona i drżąca wyjęła je stamtąd. Listy były napisane na cienkiej bibułce lub jeszcze czymś cieńszym, niczym na pajęczynie. Dotykała je palcami, szukała

oczyma ważnego listu od Abraszy, napisanego na prawdziwym papierze pakowym. Przyglądała się kupce listów, ważyła ją na dłoni i nie mogła pojąć, czy pomiędzy nimi, tak cienkimi, jakby były samym powietrzem, znajduje się list Abraszy. Musi je natychmiast przeczytać, zanim się rozpłyną.

Przez szklane drzwi wszedł niezwykle wysoki mężczyzna. Miał na sobie czarny mundur i czarną furażerkę na głowie.

„Należysz do armii tamtego świata?" – zażartowała bez strachu, bo z listami w ręku nie miała się czego obawiać.

Wyjął listy z jej rąk. Dotyk jego palców był dziwnie delikatny, niczym dotyk dziecka. Podniósł ją i wsadził do nieruchomego hamaka. Przypomniała sobie, że znajduje się po drugiej stronie życia, zdziwiło ją, że wciąż tak bardzo chce się jej pić i że jest jej tak zimno, choć jest jej tak gorąco. Skądś dobiegał głuchy, przeciągły lament zdychającej, zagubionej wilczycy, samotnej na lodowej krze u podnóża zamarzniętego księżyca.

Miriam usłyszała swój własny ryk: „Chcę moje listy! Oddaj mi listy!". Ujrzała, jak on zgniata w dłoni całą ich paczkę – i jak palące łzy oraz skraplający się pot kapią z jego palców. Więc jeszcze rozpaczliwiej zawyła, aż z jej krtani zaczęło się dobywać charczenie, które jakimś cudem uformowało się pomiędzy językiem a wargami w jedno słowo, a potem w drugie: „Wody... pić...". Wysoki jegomość gdzieś zniknął. Zapewne schował się za zagłówkiem jej posłania, aby przeczytać jej wciąż jeszcze kapiące listy. Wolno mu to zrobić, bo dogorywające staruszki nie mają prawa do prywatności. Muszą chodzić nagie, wciąż gotowe na selekcję. Ale i tak ten wysoki, rzucający cień człowiek to idiota. Bo czyż zdoła przeczytać odręczne pismo na pajęczynie? I nawet z listu Abraszy niczego się nie dowie, skoro ona sama niczego nie wie?

– Jesteś przeciwieństwem Doktora Bum-Buma? – zapytała go. – Nazywają cię doktor Mengele[33], Anioł Śmierci.

Dopiero po chwili stanął przed nią i przedstawił się:

– Jestem Simon Vanderhaeghe, Belg, zatrudniony przez oddział Czerwonego Krzyża wojsk alianckich. Czy wyglądam jak doktor Mengele?

– Tak, on jest bardzo przystojny. – Dostrzegła szklankę wody w jego ręku.

Wsunął wolną dłoń pod jej kark.

– Otwórz usta i weź niewielki łyk, nie więcej. Tylko zwilż wargi. Więcej nie wolno.

Chciała wyrwać tę szklankę z jego ręki, ale jej palce trafiły w pustkę.

– Spłonę – wycharczała.

Jeszcze przez chwilę trzymał ją w ramionach i podpierał. Potem położył ją z powrotem na poduszkę.

---

[33] Josef Mengele (1911-1979) – niemiecki lekarz, doktor medycyny i antropologii, zbrodniarz wojenny zwany Aniołem Śmierci, od 1943 roku w Auschwitz dokonywał selekcji, przeprowadzał też pseudomedyczne eksperymenty.

– Właśnie spadłaś z łóżka – wyszeptał. – Posiedzę tu chwilę na skraju pryczy i przypilnuję, aby to się nie powtórzyło.

– Nie! – zezłościła się na niego. – Idź sobie! Jestem zbyt spragniona, abym mogła znieść twój niemiecki język! Twoją szczekającą niemczyznę!

– Nie mogę rozmawiać z tobą w jidysz. Mówię po francusku i flamandzku.

– Wiem. Aby mówić moim językiem, musiałbyś być tak samo martwy jak ja.

– Nie jesteś martwa. Żyjesz. Będziesz żyła.

– Doprawdy! Zaraz mi wmówisz, że mam grypę, że nic więcej mi nie dolega, co? Nie szkodzi. Znam się na takich sztuczkach. Później wmówisz mi, że tylko dasz mi zastrzyk, aby opadła mi gorączka, tak jak w obozie Hummel zrobiłeś z naszym słowikiem, Leją, sprawiając, że zamilkła na zawsze. Potem zaprowadzisz mnie do łaźni, abym przed szabesem nieco się odświeżyła pod prysznicem, z którego popłynie cyklon.

Zauważyła, że bacznie obserwuje ją w ciemności. Jasne jak słońce, że chciał podsłuchać jej myśli. Szpiegował ją. Dlatego grzebał w jej listach. Szczęście, że nie umiał czytać w jidysz, ten język pozostał dla niego niemy i że listy były napisane pajęczyną na pajęczynie. Tak, może znajdzie informację. Może się czegoś dowie. Ale nigdy nie posiądzie wiedzy!

Poczuła, jak ociera jej czoło wilgotną szmatką. Chciała położyć dłoń na jego ręce, aby ją odepchnąć. Nie, aby ją przycisnąć do swojego czoła, aby ta ręka tam została. Bo to samotność była przyczyną tak wielkiego pragnienia, że wypiłaby nawet truciznę. Ale zdołała jedynie poruszyć palcami.

Usłyszała jego szept:

– Muszę dokończyć obchód. Później do ciebie zajrzę. – Włożył biały fartuch, który dziwnie zalśnił w ciemnym pokoju.

W wyobraźni Miriam ujrzała, jak chwyta go za jaśniejącą połę fartucha. „Nie! Najpierw oddaj mi listy!".

Pielęgniarka weszła szybkim krokiem do pokoju.

– Możesz już iść, Vanderhaeghe – powiedziała pospiesznie i wsunęła termometr pod ramię Miriam. – Zostanę z nią. Kryzys mija, co?

– Wciąż jeszcze ma silne halucynacje – odpowiedział, ujmując wolną rękę Miriam za nadgarstek, aby zbadać jej puls.

– Wszyscy mamy halucynacje. – Pielęgniarka zaśmiała się dziwacznie. – Bo jeśli nie, to czy przychodziłbyś tu, do niej, noc w noc? Jest dokładnie tak atrakcyjna jak moja babcia. A może właśnie o to ci chodzi, by wrócić do domu w Ostendzie nie z tarczą, lecz na tarczy, co, Vanderhaeghe?

Przerwała mu sprawdzanie pulsu, więc zaczynał od nowa, raz i drugi. W końcu opuścił rękę Miriam na koc takim ruchem, jakby długimi, szlachetnymi palcami trzymał kawałek żarzącego się szkła.

– Tak szaleńczo szybkiego pulsu nie da się policzyć! – powiedział zachrypnięty i szybko opuścił pokój.

*

Podczas kolejnej nocy pancerz mgły wokół umysłu Miriam stał się nieco cieńszy. Jednak również i tę noc spędziła na długiej rozmowie ze sobą i z tymi, którzy zaludniali jej halucynacje. Miała piętnaście lat i była bardzo chora. Mieszkali wówczas na trzecim piętrze kamienicy przy Nowomiejskiej[34]. Ojciec dopiero co przyszedł do domu z wynikami analiz. „Dyfteryt!" – powiedział do matki zduszonym głosem.

Miriam leżała w niklowanym łóżku, na którym sypiała z Wierką. Łóżko stało przy oknie, którego parapet był zastawiony maminymi doniczkami pełnymi kwiatów. Odczytywała spojrzenia rodziców, pojmując, że jej życie, jej drogie, wspaniałe życie – wisi na włosku!

Również i tej nocy wysoki człowiek w czarnym mundurze przyszedł, aby rzekomo jej doglądać w chorobie. Przez cały czas próbował wniknąć do jej duszy słowami, które przyprawiały ją o utratę zmysłów, o czym dobrze wiedział. Poza tym bez żenady i zmiłowania wypytywał ją o szczegóły dotyczącej jej rodziny, przyjaciół i znajomych – aby się dokładnie zorientować, co sprawia jej największy ból.

„Chętnie cię słuchałem" – przyznał otwarcie. „Wydaje się, że byłaś bardzo szczęśliwa przed wojną".

Nie tylko był nietaktowny, ale też nie miał żadnego względu na nią. I nagle wyskoczył z pytaniem, czy gdzieś w obozie nie spotkała kobiety o imieniu – nie usłyszała go dobrze – która jest jego matką. Takie kłamstwo jej zaserwował, opierając się o parapet okienny i bawiąc się pobłyskującymi okularami. Potem założył je i zbliżył się, jakby chciał lepiej się jej przyjrzeć. Wszystko to wydało się jej śmieszne. W pokoju było przecież bardzo ciemno. W okularach czy bez postrzegał ją jako plamę w ciemności. Daremny wysiłek. Taka dla niego pozostanie. Nigdy nie stanie się wyraźniejsza. W ogóle denerwował ją ten człowiek z zewnątrz. Aby się go pozbyć, zaczęła w myślach pisać list do Abraszy.

Drogi Abraszo, jak długo można być w Paryżu? Kiedy odwiedzisz mnie na moim łożu boleści? Jestem bardzo chora. Na dyfteryt. Czy to coś dziwnego? Na czworakach sama się tu dowlekłam. Udało mi się wrócić do domu. Bardzo bolało. Nie poznałam miasta i ono mnie nie poznało. To moja Łódź i nie moja. Miasto pełne ludzi przyodzianych w białe całuny pogrzebowe. Niektórzy nawet mają białe trzewiki na nogach. Nikt nie mówi do rzeczy. Milczą w jidysz. Domy są pełne życia i nikogo w nich nie ma. Zgaszone lampy. Szare kubiki pokojów, okna i drzwi przesłonięte szarymi zasłonami pajęczyn, a w nich zaplątany łańcuch pokoleń, których nie mam siły wyliczyć. W naszym domu przy Nowomiejskiej wisi

[34] Ulica Nowomiejska była przedłużeniem ul. Piotrkowskiej w kierunku północnym.

na drzwiach wizytówka: Binele i Jankew Polin[35]. Zrywam z drzwi zasłonę z pajęczyn i mówię do pary, która jest w środku: „To ja, Miriam Polin, wasza córka".

Pytają mnie chórem: „Dlaczego uciekłaś z domu, córko?".

A tak w ogóle to minęło nie więcej niż dziewięć miesięcy wieczności, odkąd wszyscy opuściliśmy getto i zostaliśmy przetransportowani do Auschwitz. Dokąd cię stamtąd odesłali? Dokąd wysłali mojego tatę, Marka i Nońka? Dokąd posłali syna Balci, Gabiego, i narzeczonego Wierki, Icchoka? Nie dam rady policzyć, jak długo my, kobiety, pozostawałyśmy w Auschwitz. Balcia mówi, że trzy tygodnie. Ale to wydaje się niemożliwe. Potem przetransportowano nas do obozu Hummel w pobliżu Hamburga. Tam pracowałyśmy na przedmieściach, budując domy dla zbombardowanych Niemców[36]. Byłyśmy w lasku, w ruinie, dokąd zapędzili nas strażnicy, kiedy spadły te cudowne bomby, kiedy z litościwego nieba spływał wielki deszcz. Wówczas Leja, nasz skowronek, zaczęła śpiewać twój ulubiony wiersz Lejwika[37]:

Dremlender jingele, jingele majn,
Kuk niszt cu mir in ojgn arajn...[38]

*

Miriam rozejrzała się i dostrzegła, że to nie lasek w ruinie, przy budowie, lecz że jest w lesie w Stefanowie[39], gdzie razem z rodziną jeździła na letnisko.

Jej prycza stała pomiędzy drzewami. Było po wielkiej ulewie. Powietrze przyjemnie pachniało zielonymi szyszkami i żywicą. Przy samej pryczy stała matka, pochylając się nad nią. Deszcz, który właśnie ustał, wylewał się z oczu matki, ochlapując jej staromodną suknię szabesową, niegdyś niebieską – którą miała na sobie w dniu ślubu. Jest w niej na zdjęciu z ojcem. Ta fotografia za szkłem, w cienkiej brązowej ramce, wisiała nad łóżkiem rodziców w domu przy Nowomiejskiej. Sukienka matki tak wyblakła, że niemal wydawała się biała, nie błękitna.

---

35 Binele i Jankew Polin to bohaterowie powieści *Bociany*, która inspirowana była historią rodziców pisarki – Simy i Abrahama Rozenfarbów.

36 Między wrześniem 1944 i kwietniem 1945 w podobozie Neuengamme w dzielnicy Hamburg-Sasel pracowało około 500 kobiet, większość Żydówek z łódzkiego getta przywiezionych z Auschwitz. Były zatrudnione przy konstruowaniu domów z prefabrykatów i porządkowaniu terenu po bombardowaniach.

37 Lejwik, właśc. Lejwi Halper (1888-1962) – poeta i dramaturg piszący w języku jidysz, autor m.in. *Golema*, bundysta, od 1913 roku mieszkał w Stanach Zjednoczonych.

38 *Drzemiący chłopcze, chłopcze mój / Nie patrz mi w oczy...* Zob. https://yiddishsong.wordpress.com/2022/01/31/¨dremlender-yingele¨-performed-by-ita-taub/

39 Stefanów – wieś nad Nerem pod Łodzią.

Matka całkiem zmoczyła Miriam deszczem swoich łez. Ciało na pryczy leżało w kałuży potu.

– To twoja suknia ślubna, prawda? – zapytała Miriam. – Poznaję ją ze zdjęcia.

Mokra twarz matki pojaśniała niczym zapalona lampa.

– Owszem.

– To dlaczego płaczesz, mamo?

– Z radości, Miriamko. Myślałam, że odeszłaś i że nigdy cię już nie zobaczę.

– Oj mamo! Nigdy nie miałaś do mnie zaufania. Nigdy mi nie ufałaś. Nie wierzyłaś, że można na mnie polegać. Widzisz, czego potrafię dokonać? To może mi w końcu wybaczysz, że nazywam Balcię Cederbojm „mamusią", chociaż jest matką Malki, a nie moją?

Matka, jak zwykle, dumnie podniosła głowę. Rozpostarła klosz swojej sukni jak królewski paw.

– Co tu wybaczać? – odpowiedziała, spoglądając z góry. – Przecież jesteś chora, więc mówisz do niej „mamusiu".

– A czy wiesz, mamo, że i Abrasza przeżył? Ale obawiam się, że jest jeszcze bardziej chory niż ja. Nie jest w stanie sam napisać nawet kilku słów.

– Zdaj się na Abraszę! – matka wykrzyknęła zachęcająco. – Nic mu się nie stanie. Pamiętasz jego wygłupy? Sztuczki, które wymyślał? Przezwiska, które nadawał każdemu z nas? A pamiętasz tamten wieczór w kryjówce w getcie, kiedy baliśmy się zapalić światło i nie mogliśmy nic zrobić? Wówczas zaproponował, aby każdy z nas opowiedział swoją historię, wszystko, co wiemy i pamiętamy o sobie, abyśmy opowiedzieli nawet o najbardziej intymnych uczuciach, jakbyśmy zwierzali się samym sobie.

– Ty, mamo, opowiedziałaś o takich uczuciach.

– No cóż, czy ja wiem? Zmyślałam, jak każdy. Nawet przed samym sobą każdy chce się pokazać w lepszym świetle. Chociaż, prawdę mówiąc, czym mogliśmy zgrzeszyć? Wszyscy przecież byliśmy niewinnymi idiotami, dobry Boże, niewinnymi niczym zwierzęta. A pamiętasz, córeczko, jak wówczas mówiłaś, że my obie, ty i ja, ciągle się kłóciłyśmy?

Matka położyła wilgotną, chłodną dłoń na czole Miriam. Dziewczyna pieściła wzrokiem gładką, niebieskawą skórę matczynej ręki. Dobrze wiedziała, jak aksamitnie miękka, szlachetnie delikatna jest jej skóra.

– Pogłaszcz mnie, mamo – poprosiła. – Głaszcz mnie cały czas. Żadna dłoń nie jest tak święta jak twoja. – Nagle krzyknęła: – Nie masz numeru wytatuowanego na ramieniu!

– Ty też nie, córeczko.

– Mam... W Auschwitz każdy miał numer, a kto nie miał, szedł na szmelc!

– Ciii, nie denerwuj się. Gorączka ci podskoczy. Popatrz tylko, jak pomoczyłam cię od tego mojego beczenia. Cała jesteś mokra. Jak to mówi bocianiecki rabin? „Bez obaw" – powiada. „Wszystko będzie dobrze, córko". Chyba jestem w ciąży.

– Ze mną? Czy dzisiaj jest dzień moich narodzin?

– Nie, głuptasku. Z moim pierwszym dzieckiem, z Wierką.

– Gdzie jest Wierka?

– Tutaj, w moim brzuszku. Jeszcze nie jestem pewna, więc nie mów ojcu. Nie chcę dawać mu fałszywej nadziei. Nie musi przecież wszystkiego wiedzieć od razu.

– Gdzie jest ta...? – zapytała Miriam.

– Co to znaczy, gdzie? Tutaj, ze mną.

Matka zwróciła się ku młodemu mężczyźnie, który wynurzył się zza drzewa. W pierwszej chwili Miriam wydawało się, że to jej własny narzeczony Marek. Ale zaraz dostrzegła jego staromodne ubranie. Miał na sobie ten sam garnitur z alpaki, z tym samym kolorowym krawatem, te same żółte getry na butach, w których był na ślubie z matką. I tak wystrojony patrzył z góry na pokój w domu przy Nowomiejskiej, wyglądając z umieszczonej w ramce fotografii, która wisiała na ścianie. Tymczasem Marek nosił pumpy i kurtkę zimową.

Matka skinęła głową w kierunku taty.

– No, podejdź tu, Jankewie. Przecież widzisz, że wszystko będzie dobrze. – I szeptem powiedziała do Miriam na ucho: – Mały tchórz z tego twojego ojca. Jeśli tylko zobaczy, że komuś z nas, nie daj Boże, coś dolega, kamienieje... staje się jak sparaliżowany.

Ojciec zbliżył się uroczyście do pryczy. Wcale nie był łysy, jak zapamiętała go Miriam, bardzo przypominał siebie na zdjęciu. Gęsta czupryna brązowych loków okalała po męsku, czarująco jego otwarte, gładkie czoło, czyniąc go męskim i pociągającym.

– Ty żyjesz, tato? – zaraz zapytała Miriam. – A gdzie jest Marek i Noniek? Abrasza nie wspomina ani słowem o was w liście napisanym na pakowym papierze.

Znajomy półuśmieszek zaigrał w kącikach ojcowskich ust. Ale zanim zdołał odpowiedzieć, matka weszła mu w słowo.

– Noniek jeszcze się nie narodził – powiedziała szybko. – Później przyjdzie na świat, Miriamko, po tobie. Nic się nie martw. Twój Marek nie zapomni pojawić się na randce.

Miriam spojrzała na rodziców. Teraz oboje stali obok siebie, sztywni i uroczyści, jakby pozowali do fotografii. Jedynie ich twarze jaśniały w ciemności jak zapalone lampy.

– Cieszę się, że was widzę – westchnęła z uczuciem bolesnego szczęścia. – Byłam bardzo samotna.

Matka zgodziła się z nią.

– Znam to uczucie, córko. Ja też przyszłam na świat jako sierota. Ale spójrz teraz na mnie! Popatrz na nas oboje! – Wzięła ojca pod rękę, aby jeszcze bardziej wyglądać jak na fotografii. – Wyglądamy malowniczo, fotogenicznie, co? A co myślałaś? My dwie, Miriamko, ty i ja, jesteśmy dzisiaj w tym samym wieku. Dopiero co skończyłyśmy dwadzieścia jeden lat. Tak naprawdę to nigdy nie wiedziałam,

kiedy przyszłam na świat. Ale co to ma za znaczenie? Rok w tę czy rok w tamtą nie ma znaczenia *sub specie aeternitatis*[40].

– Mamo, ty znasz łacinę?

– Oczywiście, że znam. Znam grekę i język turecki, a także chiński. Teraz znam wszystkie języki świata, chociaż nigdy nie uczyłam się czytać i pisać jak należy. Ale i to nie ma żadnego znaczenia.

Ojciec odezwał się najpierw pouczającym tonem.

– Tak, jakie to ma znaczenie? Dusza wiecznie jest w tym samym wieku. Po drugie, język duszy jest bardziej uniwersalny niż samo esperanto[41]. A przecież teraz mówimy właśnie o duszy.

Miriam popatrzyła na niego uważnie. Aż bolały ją oczy i uszy. Z jej ust wyrwał się jęk:

– Wody...

Ojciec podał jej odrobinę wody, nie, szklankę cudownie chłodnego kefiru. Zimą podawał szklankę ciepłego mleka, gorącego, z czapką kożuszka śmietany na górze. Latem podawał kefir. A dzisiaj był wspaniale gorący poranek szabesowy. Ojciec serwował śniadanie do łóżek. Do każdego z nich przysunął stołek, po czym postawił na nim szklankę z chłodnym kefirem i talerzyk z kawałkiem babki posypanej przepyszną kruszonką, którą Miriam wspaniałomyślnie oddała Wierce, bo nie lubiła słodyczy. Tak była rozpieszczana. Dostarczywszy wszystkim śniadanie, ojciec zaczął kartkować opowiadania Icchoka Lejbusza Pereca[42], by, spacerując pomiędzy łóżkami w tę i we w tę, przeczytać na głos jedno z nich – *Wos hejst neszome?*[43]

– Tato, co to znaczy, że dusza jest ciągle w tym samym wieku? W jakim ona jest wieku? – zapytała Miriam.

Matka spojrzała na ojca z pretensją.

– Może przestaniesz męczyć dziecko swoim filozofowaniem, Jankewie? Widzisz przecież, że jeszcze bardziej od tego gorączkuje!

Ojciec zaprzeczył jej zdecydowanie.

– Mylisz się, Binele. Gorączka Miriamki jest efektem chaosu w jej duszy, która pragnie znowu dołączyć do całości. Nić się postrzępiła podczas ogromnej ulewy, ale dalej chce być częścią splotu...

---

40 (łac.) *z punktu widzenia wieczności, z perspektywy wieczności.*

41 Sztuczny język międzynarodowy stworzony przez Ludwika Zamenhofa w końcu XIX stulecia.

42 Icchok Lejbusz Perec (1852-1915) – pisarz, poeta, eseista, dramatopisarz tworzący w języku jidysz i po hebrajsku. Zaliczany do najwybitniejszych pisarzy jidysz i działaczy na rzecz podniesienia statusu kultury jidysz.

43 I.L.Perec, *Co to znaczy dusza?*, tł. Michał Fridman, w: *Kalendarz żydowski 1985-1986*, red. Ewa Świderska, Warszawa: Związek Religijny Wyznania Mojżeszowego 1986, s. 139-146.

– Oto on, twój ojciec, w całej okazałości! – matka straciła do niego cierpliwość. – Jakiego zawodu by się nie chwycił, zawsze wylezie z niego czeladnik tkacki. Jeśli nie snuje wełny, to snuje te swoje filozoficzne rozważania i historyjki.

Ojciec zakołysał pryczą Miriam niczym hamakiem i zaczął nucić swoim ciepłym barytonem, teatralnie, jakby wszyscy troje byli lalkami w teatrzyku marionetek Abraszy:

A mol iż gewen a majse,
Di majse iż gorniszt frejlech...[44]

Matka przerwała mu, żartobliwie kładąc dłoń na jego ustach, i powiedziała do Miriam:

– Widzisz, Miriamko, oto on, twój ojciec! A wiesz co jeszcze? Jeśli ośmielę się tylko powiedzieć najmniejsze kłamstwo, od razu będzie prawił mi morały. Ale gdy pytam go, czy się ze mną rozwiedzie, jeśli się dowie, że jestem o kilka lat starsza od niego, udaje, że nie wie, o co chodzi.

Ojciec wziął matkę w ramiona, wciąż jeszcze z marionetkowo-teatralną manierą, ale też dokładnie tak, jak Miriam zapamiętała z domu.

– Jak mógłbym się z tobą rozwieść – zadeklamował i uśmiechnął się – skoro dopiero mam wziąć ślub?

Miriam spojrzała na ich jasne twarze.

– Kiedy?

– Dzisiaj, moje dziecko – odpowiedzieli razem i zniknęli.

Zaraz potem Miriam wpadła w otchłań Auschwitz, wprost na selekcję. Cały czas biegła za matką i Wierką. Wydawało, że matka i Wierka zniknęły na końcu prostej linii, ale tak naprawdę biegały w kółko... Cały czas. Było to kółko nagich kobiet. Każda z nich to cyfra na obliczu zegara z poruszającym się cyferblatem. Na środku kółka stał doktor Mengele, jego ramiona niczym dwie wskazówki, wskazywały lewo i prawo.

Chwycił Miriam za pierś i zaczął doić jej sutek.

– Jesteś w ciąży? – zapytał upiornym głosem.

– Nie – wykrztusiła.

„Nie! Nie!" – dudniło w jej głowie. Puścił ją. Naga, dalej kręciła się na cyferblacie... I dziękowała mu... Błogosławiła... Obsypywała głowę mordercy błogosławieństwami: „Baruch ata Adonaj... Elokejnu... Wielki Boże Bycia i Nie-bycia, doktorze Mengele – bądź błogosławiony za to, że pozwoliłeś mi się dalej kręcić i włączyć się w cudowne, tyfusowe koło życia".

---

[44] Fragment popularnej piosenki w jidysz: *Była sobie bajka, bajka niewesoła / Lulaj, ptaszyno ma, lulaj dziecino / Utraciłem taką miłość / Biada, biada mi...*

Następnie gorączka zaczęła powoli opadać. Miriam była niczym balon, który powoli opada w dół, na ziemię, pokonując drżące warstwy gorącego powietrza. Wciąż jeszcze widziała kominy Auschwitz, ale rozumiała, że tak naprawdę są to kominy fabryk jej rodzinnej Łodzi.

Doktor Mengele zamienił się w doktora Vanderhaeghe. Wyraźnie słyszała, jak ten mówi do pielęgniarki: „Przeminęło…". A może powiedział: „Ona przeminęła…"? Przeciągły, sztywny dźwięk przemknął przez jej głowę, czy może przez niebo na zewnątrz. Pojęła, że właśnie przeleciała eskadra samolotów…

Doktor i pielęgniarka zaraz zaczęli ją nakłaniać do aktywności. Chyba myśleli, że już może sobie poradzić bez ojca i matki, więc prosili ją, aby otworzyła oczy i popatrzyła na kwiaty, które jej przynieśli. Pamiętała z gimnazjum francuskie słowo na kwiaty. Pamiętała cały tytuł poematu Baudelaire'a: *Les Fleurs du mal*[45]. Jakie kwiaty przynieśli jej lekarz i pielęgniarka? Nie dowierzała im. Co oni wiedzieli o kwiatach, jeśli nie byli w kacecie? W naturze kwiatów jest to, że kwitną najpiękniej tam, gdzie nie rosną.

*

W głowie Miriam zaczęło coś świtać. Już od kilku godzin nie miała wysokiej gorączki. Ale z jakiegoś powodu jej serce uchwyciło się wcześniejszej chorobliwej normalności, więc aby sprowadzić ją na nowo, z premedytacją pozwoliła się nieść swojemu wciąż jeszcze galopującemu pulsowi daleko w zamgloną prehistorię – aż brakło jej tchu. W pamięci obudziło się intuicyjne, niejasne wspomnienie dotyczące swojego rodzaju teorii, którą jej ojciec sformułował w ukryciu w getcie. Mówiąc o legendach, stwierdził, że jednostki, podobnie jak ludy, snują legendy o swoim pochodzeniu i pierwszych faktach ze swojej historii. Każdy snuje legendę o swoim początku, wplatając w nią, niczym w tkaninę, pierwsze uchwycone wątki własnej biografii. I to jest właśnie prawda o człowieczej prapamięci. Naga rzeczywistość nie ma żadnego znaczenia.

Czy w słowach ojca był jakiś sens? Miriam wciąż jeszcze nie wiedziała, co oznacza to pojęcie. Jakże mogła dostrzegać sens w poszukiwaniu sensu w słowach ojca? W poszukiwaniu sensu w ogóle? Wprawdzie na horyzoncie jej świadomości już świtało, doktor Vanderhaeghe stał już na brzegu z bukietem przywiędłych, majowych kwiatów, a ona była już blisko nabrzeża. Ale jednak wciąż oddzielała ją od niego przestrzeń wielka jak życie, a jej łódka wciąż jeszcze znajdowała się na wzburzonym morzu. Była wciągnięta w wir cierpień i bólu, mgły i ciemności. Na dnie jej łódki, niczym ciężki balast, który ciągnie w dół, leżały pulsujące

[45] *Kwiaty zła* Charles'a Baudelaire'a – dzieło francuskiego poety z 1857 r., zgłębiające mroki ludzkiej psychiki, w którym powracającymi motywami są Dobro i Zło oraz Miłość i Śmierć.

melodie jej życia i rozproszone uczucia. Majowy, smutny doktor Vanderhaeghe nie mógł jej ocalić. Musiała sama… jak nakazał jej Abrasza.

Aby się ratować, musiała rozpiąć – całą siłą swojego bólu – biały żagiel legendy o swoim życiu. Ten oto żagiel był wszystkim, co posiadała.

Jej żagiel musiał przeciąć miasteczko Bociany – gdzie urodzili się jej rodzice i Abrasza. Tam Abrasza zaprzyjaźnił się z jej ojcem, Jankewem, a poprzez niego, wiele lat później w jej rodzinnej Łodzi, również z nią, Miriam. Tam, na mansardzie, Abrasza powiedział do niej kiedyś: „Będę cię nazywał Rina, śpiew[46]. Ponieważ nasze dusze razem ucztują". To od Jankewa Abrasza nauczył się często używać słowa „dusza".

Od czasu do czasu Abrasza faktycznie tak do niej mówił. Ale imię to już do niej nie pasowało. Imię, które kończy się na mistyczną literę „hej"[47], w istocie brzmiało jak pieśń otwarta na świat. Teraz czuła się wygodniej ze swoim własnym imieniem – Miriam, zamkniętym pomiędzy dwoma literami „mem", jak pomiędzy zaciśniętymi ustami. I jako nosicielka tego imienia zgodziła się spotkać z nim w Łodzi, tej pierwotnej i swojskiej – przypieczętowanym punkcie na mapie jej pamięci. Zaprosiła go na ślub swoich rodziców – gdy oboje usłyszeli o nim w kryjówce w getcie. Było to wtedy, kiedy Abrasza zaproponował, aby każdy opowiedział o swoim życiu, dając słuchaczom możliwość wchłonięcia tej opowieści. Jeśli dla któregoś z nich ta noc miałaby się okazać ostatnią, to ci, którzy ocaleją, będą mogli nieść ze sobą życie zmarłego.

*

Przyjdź, Abraszo! Pożeglujmy po firmamencie Łodzi, po błękitnych, powietrznych falach majowego nieba. Oślepiające poranne słońce kołysze się na hamaku jedynej, przezroczystej chmurki. Jego promienne włosy odbijają się w oknach domów i fabryk niczym w tysiącu zwierciadeł. W kilku łódzkich parkach, na skwerach i na dziedzińcu kościoła kasztanowce stoją w pełnym rozkwicie, niczym w pianie różowo-białego perfumowanego mydełka. Miasto obmywa się dzisiaj ze swojej zwyczajnej, codziennej szarości.

Widzę moją dwudziestojednoletnią matkę w tamtym dniu.

---

[46] Imię Rina w języku hebrajskim oznacza pieśń, radość.

[47] *Hej* to piąta litera alfabetu hebrajskiego, na poziomie fizycznym odpowiada pięciu zmysłom, pięciu palcom i pięciu wymiarom, a na poziomie duchowym – pięciu poziomom duszy. Według żydowskich mistyków reprezentuje boskie tchnienie, światło i objawienie.

Rozdział trzeci

Dzień trzeciego maja 1922 roku. Wielkie narodowe święto młodej polskiej republiki[48]. Sklepy są zamknięte, handel i zamieszanie ustały. Fabryki milczą. Ceglastoczerwone kominy fabryczne wyglądają niczym las wielkich szyj z otwartymi pyskami. Zamiast pluć dymem, wdychają dzisiaj jasne niebo. Zamiast wycia fabrycznych syren, szumu maszyn i nieustannego stukotu kół na bruku, dzisiaj przez miasto niesie się monotonny dźwięk kościelnych dzwonów[49]. Monotonia ta przerywana jest od czasu do czasu dzwonieniem tramwajów wypakowanych uczniami, którzy zmierzają w kierunku podmiejskich pól i lasów na majówkę.

Środkiem ulicy Piotrkowskiej maszerują grupy chorążych[50] gimnazjalistów i wojska z biało-czerwonymi flagami i milczącymi orkiestrami. Ciągną do punktów zbiórki, gdzie niebawem rozpocznie się parada. Na chodnikach zbierają się już odświętnie wystrojeni Polacy, mali i duzi, młodzi i starzy. Wzdłuż budynków spacerują gojowscy sprzedawcy cukierków, lodów i balonów.

Na ulicach widać nielicznych Żydów. Dzisiaj miasto nie należy do nich – tak by się mogło przynajmniej wydawać. Ale pod fasadą nieżydowskiego spokoju i święta żydowska Łódź pulsuje normalnym rytmem. Żydowskie życie miejskie

---

[48] Święto Narodowe Trzeciego Maja obchodzone jest przez Polaków w rocznicę uchwalenia Konstytucji 3 maja 1791 r. W okresie zaborów celebrowanie tego dnia było zakazane. Ponownie rocznica Konstytucji 3 maja została uznana za święto państwowe uchwałą Sejmu Ustawodawczego z 29 kwietnia 1919 r.

[49] 3 maja jest także obchodzone w Kościele katolickim w Polsce jako Święto Najświętszej Maryi Panny Królowej Polski.

[50] Tu w znaczeniu: osób niosących sztandary.

wrze niczym w podziemnych kotłach. Jak przez dziury i katakumby przemyka się przez tylne podwórka, boczne uliczki, schody, korytarze i mieszkania.

Dwudziestojednoletnia Binele przymierza kapelusz w sklepie z nakryciami głowy i ubraniami, do którego weszła tylnymi drzwiami.

W sklepie jest ciemno, drzwi frontowe są przesłonięte żaluzjami i żelaznymi sztabami. Przez żaluzje wślizgują się do środka smugi słońca niczym długie, szlachetne nici. Biegną tuż obok jej twarzy i zaznaczają świetlistymi liniami kontur jej rozpuszczonych włosów na karku, kształt krótkiej, zaokrąglonej brody, kawałka policzka i szerokiego rantu welurowego kapelusza na jej głowie. Wraz ze smugami światła cała jej postać odbija się w dużym, stojącym zwierciadle, ujętym w drewnianą ramę.

Dziewczyna spogląda na swoje odbicie w lustrze pełnym pożądania wzrokiem – oczyma Jankewa – i jest zdumiona swoim wyglądem. W bujnej figurze, twarzy pokrytej piegami, wystających kościach policzkowych i wydatnych, pełnych wargach dostrzega coś obcego, nienamacalnego. Wilgotne od śliny usta, oczy wstydliwie stęsknione i zarazem dziecięco figlarne – uśmiechają się do niej dyskretnie, zdradzając jej temperament. Wokół niej rozlega się muzyka. Za każdym razem, gdy podnosi rękę, by poprawić kapelusz na rudych włosach, ma ochotę zatańczyć romantyczne tango.

Sprzedawczyni, mówiąca po polsku panna o niespokojnych, żydowskich oczach, chodzi od jednej klientki do drugiej i pospiesza je. Jej uważne spojrzenie co rusz biegnie ku tylnym drzwiom i małemu okienku w ich pobliżu, gdzie na straży stoi barczysty młodzian, wyglądający na podwórko. Z ulicy dochodzi hałas. Właśnie zaczęła się parada.

Sprzedawczyni doskakuje do Binele.

– Cudownie! – wykrzykuje szybko.

– Ile? – nieśmiało pyta Binele.

Usłyszawszy cenę kapelusza, dziewczyna aż się cofa. Sznuruje usta jak dziecko, które zostało zmuszone do zwrócenia cudzej zabawki. Powoli zdejmuje kapelusz i odkłada go na drewnianą głowę manekina na kontuarze.

– Może przymierzę ten. – Wskazuje nieśmiało sąsiednią głowę, na której prezentuje się o wiele skromniejszy kapelusz.

– Z przyjemnością – odpowiada sprzedawczyni bez cienia radości w głosie.

W ten sposób Binele przymiesza sześć-siedem kapeluszy i za każdym razem czuje się jak zaczarowana. Jest zaintrygowana swoim odmienionym wyglądem. Odmiana następuje dzięki samemu założeniu kapelusza. Ona, z tym swoim niespokojnym sercem i chaosem w głowie, może się wystroić i przebrać za tyle rozmaitych Binele. Taka tajemnicza i pociągająca mogłaby kusić Jankewa i karmić jego pożądanie.

W końcu przymierza całkiem skromny kapelusik i nawet w nim bardzo się sobie podoba. Kapelusz nie przesłania bogactwa jej włosów. Dzisiaj Binele

rozpuściła warkocze. Ma na sobie błękitną szabesową suknię i buciki na wysokich obcasikach, których w zasadzie nie znosi, bo lubi chodzić po ziemi całymi stopami. Wystroiła się, aby móc sobie uzmysłowić, jak będzie wyglądać na dzisiejszej wieczornej uroczystości.

Sprzedawczyni nie potrafi już powstrzymać swojego gniewu. Patrzy na Binele krwiożerczym spojrzeniem.

– Ile? – pyta Binele.

– Dziesięć – pada pełna gniewu odpowiedź.

W sercu Binele rozlewa się głęboki żal. Jankew nigdy nie zobaczy jej jako eleganckiej, tajemniczej piękności. Wewnętrzna muzyka, która towarzyszyła jej podczas przymiarki kapeluszy, staje się smutna i melancholijna. Lecz nagle do jej uszu dobiegają dźwięki prawdziwej orkiestry dętej.

„My, pierwsza brygada..." – tłum na zewnątrz podchwycił melodię graną przez orkiestrę. Śpiew miesza się z okrzykami „hura!" i z oklaskami.

Coś zabrzęczało. Ostry, dźwięczący dźwięk. Nagle Binele widzi w lustrze swoją postać – rozbitą, popękaną, jej twarz w odbiciu rozpada się na kawałki jak orzech. Spadający z jej głowy kapelusz rozlatuje się w lustrze na dziesiątki spadających kapeluszy. Błyszczące kawałki lustra lądują u jej stóp. Stoi przed pustą drewnianą ramą, z której wystają kawałki szkła niczym zęby gilotyny, które jak noże kroją ciemną przestrzeń i kłują w oczy.

Ktoś rzuca kamieniami w kierunku sklepiku z kapeluszami. Binele stoi jak zamurowana. Dziwny wiatr szaleje w jej sercu. Lustro ciągle pęka w jej wyobraźni. Tak rozbite podąża za nią, a to, co odbija się w nim milionkrotnie, to nie rudość jej włosów, ani złoto słońca wślizgującego się przez żaluzje do środka – lecz czerwony strach, ujęty w pustą, czarną ramę nocy w blasku lustrzanych, ostrych noży. Robi się jej niedobrze.

Stojący na straży młody chłopak chwyta ją za rękę i ciągnie w inny kąt sklepu. Otwiera przed nią i przed innymi klientkami drzwi do długiego, ciemnego korytarza, który prowadzi na sąsiednie podwórze.

Binele wypada na zalaną światłem ulicę Piotrkowską, wprost w gęsty tłum, który w dniu dzisiejszym gromadzi się na chodnikach. Otumaniona, zdezorientowana, zaczyna się przepychać do przodu. Ogłuszające odgłosy trąb, bębnów i talerzy, okrzyki, gwizdy, oklaski, głośne rozmowy i śmiech docierają do jej uszu jak odlegle echo, jakby jej głowa była owinięta watą. Ledwo kojarzy, co się z nią dzieje.

– Łaskawa panienko! – Słyszy, że ktoś woła zza jej pleców.

Odwraca głowę i widzi eleganckiego mężczyznę średniego wzrostu w czarnej, zarzuconej na ramiona pelerynie i w wysokim czarnym meloniku na głowie, z laską o czarnej gałce w ręce odzianej w czarną rękawicę, z papierosem w drugiej. Czarny wąs niczym gruba kreska narysowana kawałkiem węgla odznacza się nad uśmiechniętymi ustami. Kiedy ich spojrzenia się spotykają, mężczyzna unosi rękę z papierosem w kierunku melonika, jakby chciał zdjąć go przed nią.

– A co to znowu za dopust boży? – mruczy do siebie Binele. Ma wrażenie, że pojawienie się tego mężczyzny jest dalszym ciągiem sceny, która dopiero co rozegrała się w sklepie. Przyśpiesza krok. Obcy podąża za nią. Za każdym razem, gdy dziewczyna odwraca głowę i ich spojrzenia się krzyżują, jego uśmiech staje się coraz bardziej poufały. W końcu uchyla przed nią kapelusza. Ona biegnie, czując, że obcy też biegnie. Bierze się w garść – jak zawsze, ilekroć ogarnia ją otumanienie i traci do siebie cierpliwość – przystaje i czeka, aż ów osobnik się zbliży.

– Czy my się skądś znamy, że ma pan czelność wołać mnie i za mną łazić? – pyta go po polsku, z żydowsko-chłopskim akcentem, udając pewną siebie.

– Ach, proszę pani! – mężczyzna wykrzykuje z zachwytem.

Zaczyna jej coś tłumaczyć, ale Binele zachodzi mu drogę i agresywnie krzyczy do niego w złości:

– Proszę się ode mnie odczepić!

Człowiek odpowiada jej na to z akcentem niemieckiego Żyda z Łodzi, tak wykoślawiając język, którym się posługuje, aby jak najbardziej przypominał jidysz.

– Proszę wybaczyć, łaskawa panienko. – Próbuje ją zahipnotyzować swoimi małymi, zielonymi oczkami. – Pani oczarowała mnie swoimi złotymi lokami.

Ujmuje rozpuszczone pasmo z pleców dziewczyny i pobożnie je całuje. To tak konfunduje Binele, że aż musi nabrać duży haust powietrza. Na jej czole pojawia się kropla potu, która spływa na policzek i łaskocze ją pod brodą niczym natrętna mucha. Jest gotowa wymierzyć mężczyźnie siarczysty policzek w tę pełną hipokryzji twarz. Lecz zanim zdoła to uczynić, on sięga do kieszeni na piersi, wyciąga stamtąd wizytówkę i wręcza jej.

– Moje nazwisko Teodor Fogelszus – przedstawia się. – Jestem właścicielem salonu koafiur, który znajduje się przy ulicy Piotrkowskiej 172.

Binele wpatruje się w wizytówkę. Nie ma zielonego pojęcia, co oznacza dziwaczne słowo „koafiura". Ale dobrze wie, co znaczy słowo „salon". W jej głowie nagle rodzi się myśl, że ten facet bierze ją za ulicznicę z powodu wyglądu: jest wystrojona, ale z rozpuszczonymi włosami. Wybiegając ze sklepu z kapeluszami, nie zdążyła spiąć włosów szpilką.

Namolny człowiek kontynuuje:

– Czy nie zechciałaby pani sprzedać mi swoich włosów, łaskawa panienko? Czegoś tak pięknego jeszcze nigdy nie widziałem w całym moim życiu. – Powiedziawszy to, ponownie ujmuje kilka pasm z jej ramienia i pociera je w palcach niczym znawca, który podziwia towar dobrej jakości.

Binele szarpie jego dłoń i krzyczy:

– Jeśli nie pójdzie pan sobie do diabła, to zawołam policjanta! – Następnie rzuca wizytówkę do rynsztoka i pospiesznie odchodzi.

Ale natręt już znowu jest przy niej i dopasowuje swój krok do rytmu jej kroków.

– Łaskawa panienko, proszę mi wybaczyć. Pani mnie nie zrozumiała. Chciałbym kupić pani włosy. Dobrze zapłacę.

Binele trzeźwieje. Zaczyna pojmować, o co chodzi. Może być dumna: jej włosy są warte złota. Nie może pojąć, dlaczego jest dzisiaj taka nieufna i strachliwa. Pełna wyższości wzrusza ramionami.

– Nie jestem na sprzedaż! – odpowiada.

– Ale, łaskawa panienko… chciałbym jedynie pani złotych loków…

– Ach, tak! – dziewczyna traci cierpliwość. – A moje włosy to nie ja? Do widzenia! – Całą mocą swojego gniewu popycha go w kierunku rynsztoku. Mężczyzna o mało się nie przewraca. Zdezorientowany pozostaje w tyle, gdy ona rusza biegiem przed siebie. Rozbite zwierciadło podąża za nią. Widzi siebie w wyobraźni bez włosów, z gołą, ogoloną głową. Znowu robi się jej niedobrze.

To uczucie nie jest jej ostatnio obce. Od kilku tygodni podejrzewa, że jest w ciąży. Na razie nie mówi o tym Jankewowi. Chce być wobec niego uczciwa, ale kto powiedział, że on musi o wszystkim wiedzieć od samego początku? Kto wie jak on, mężczyzna, przyjmie tę nowinę akurat teraz, kiedy mają zaledwie kilka groszy na niewyszukane jedzenie na stołówce? Co prawda dobrze go zna – nie tak w ogóle, ale jeśli chodzi o miłość do niej – jednak mimo to…

*

Dopiero dwa tygodnie temu przybyli z Bocianów do Łodzi. Tutaj postanowili zacząć wspólne życie – w tym otumaniającym, światowym mieście, gdzie ich miłość błądziła przez labirynty śmierdzących, kołysanych niepokojem ulic aż do chwili, w której odnaleźli ją na nowo. Przybyli tu z jedną skrzynką uplecioną z wikliny i dwoma złotymi w kieszeni, po czym wprowadzili się do izdebki na balkonie przypominającej żydowski namiot – sukę. Na szczęście zbliża się lato. Jankew przynosi do domu parę złotych od Wowy Cederbojma, który zleca mu jakąś drobną robotę w warsztacie tkackim.

Binele jeszcze nie ma pracy. Na razie zajmuje się odrabianiem prac domowych, które zadaje jej towarzysz Anton Cimerman, nauczyciel z klubu robotniczego „Harfa”[51]. Zgadza się z towarzyszem Cimermanem, że dopóki nie znajdzie zatrudnienia, powinna poprawiać stan swojej wiedzy.

W tym zuchwałym czasie, kiedy jest gotowa zmierzyć się z największymi kaprysami losu, stan kieszeni interesuje ją jak ubiegłoroczny śnieg. Ona i Jankew są upojeni swoją pewnością siebie. Wydaje się im, że chodzą nie po ziemi, lecz o krok wyżej – ponad nią. Są na wpół trzeźwi, na wpół rozmarzeni. Mają niezwykle kolorową wizję przyszłości i snują szalone plany, z których po jakimś czasie sami się śmieją, kreśląc nowe. Każdy dzień od chwili przybycia do Łodzi jest pełen rozczarowań i niepowodzeń. A jednak czują, że wszystkie drzwi stoją

[51] Działające od 1907 roku w Łodzi Żydowskie Towarzystwo Muzyczno-Dramatyczne „Harfa” prowadziło szereg działań propagujących edukację i kulturę wśród żydowskich robotników.

przed nimi otworem, że miasto przyjęło ich z otwartymi ramionami, że nic nie stoi na drodze do realizacji odważnych pragnień. Wszystko jest tylko kwestią cierpliwości i czasu. A czasu mają dużo. Przed nimi całe długie życie.

Binele nie przeszkadzałoby również to, że nie może kupić sobie porządnego kapelusza, nie wspominając już o sukni ślubnej – gdyby nie dręczyła jej ta cała sprawa ze ślubem. Świąteczny nastrój miesza się w niej z niewielkim poczuciem winy i odrobiną niezadowolenia, że ona i Jankew nie wyprawią weseliska jak inni ludzie. Co prawda niewielki to smutek, rodzaj fanaberii. Bo przecież najbardziej liczy się to, że jest z Jankewem i że czuje się znakomicie. Ale właśnie dlatego, że jest jej tak dobrze, chciałaby mieć prawdziwe żydowskie wesele, w najdrobniejszym szczególe. Brakuje jej piękna i świątecznej atmosfery, które pamięta z Bocianów: ślubu pod chupą[52] i – rzecz jasna – z *badchenem*[53]. Dla kobiety, dla serca narzeczonej *badchen* jest bardzo ważny. Binele chce się weselić, ale też chciałaby się po ludzku wypłakać, tak prawdziwie, aż do samego dna duszy; chciałaby, aby z jej serca wypłynęło wszystko, co gorzkie i smutne, dzięki czemu stanęłaby pod chupą czysta, niczym nowo narodzona.

Chciałaby też, aby cała jej rodzina, całe Bociany – również dusze jej zmarłej matki i zmarłej siostrzyczki Fajgele, a także dusze tych wszystkich, którzy przez tysiące lat w ten sposób zawierali związki małżeńskie – wypełnili przestrzeń weselnej izby, byli świadkami małżeńskiej przysięgi, aby dowiedzieli się, że Jankew i ona są sobie przeznaczeni na całe życie.

Próbowała wytłumaczyć to Jankewowi, ale chyba niezbyt zręcznie, bo to raczej było niejasne marzenie niż logiczne plany. Poza tym ma wrażenie, że z tym jej pragnieniem coś jest nie tak. Gdyby miała rację, to przecież Jankew odczuwałby tak samo jak ona. A tymczasem jego uczucia są dokładnie odwrotne. Za każdym razem, kiedy ona zaczyna o tym mówić, on się krzywi.

– To wbrew moim zasadom – przerywa jej w pół słowa i próbuje zmienić temat. Zaczyna mówić tym swoim jedwabnym głosem, którym potrafi zmącić jej rozum i myśli.

Binele próbuje wytrwać przy swoim:

– Ale ranienie mojego serca nie jest wbrew twoim zasadom? – Jak dobrze zna słowo „zasady", którym on posługuje się tak często... – A niby dlaczego ja mam rezygnować z moich zasad – dla twoich? Przecież jesteś za równością mężczyzn i kobiet!

– Jakie są twoje zasady? – On udaje, że nie wie, o co chodzi.

– Ano takie, że chcę mieć ślub jak wszyscy Żydzi.

---

[52] Chupa (hebr.) – baldachim, pod którym odbywa się żydowska ceremonia zaślubin.

[53] *Badchen* (jid.) – mistrz ceremonii ślubnej; weselny artysta, deklamował improwizowane rymy, czasem śmieszne, czasem smutne i tkliwe.

– Pobożni Żydzi – poprawia ją Jankew. – My nie jesteśmy pobożni. Nie potrzebujemy zgody rabina na bycie mężem i żoną. A po drugie, i tak jesteśmy już jak mąż i żona.

– Serio? A od kiedy?

– Od wtedy. – Jankew się śmieje.

– Śmiej się, śmiej, aż będą z tego bękarty!

Chwyta ją w ramiona.

– Wszyscy ludzie to bękarty. Ojciec w niebiosach przecież w ogóle nie miał żony.

Binele irytuje lekceważenie, z jakim on przyjmuje jej argumenty, zanim jeszcze zdoła je dobrze sformułować. Musi jeszcze dopracować umiejętność prowadzenia dyskusji z nim jak równa z równym, nie powinna pozwalać się zagadywać i zbijać z tropu tym jego pajacowaniem i pocałunkami. Nigdy nie jest pewna, czy ma się poddać przyjemności, czy się obrazić. Ale nawet, gdy udaje, że jest obrażona, on się niczym nie przejmuje. Tak bardzo jest jej pewien. Stał się bardzo zarozumiały. Ona zaś nie może tego przeboleć.

Całując ją za płatkiem ucha tak głośno, że aż świszczy jej w uszach, tłumaczy:

– Przyjęcie u Cederbojmów jest jedynie po to, aby dać towarzystwu okazję do wspólnej z nami radości. I to jest uczciwe, towarzyszko Binele. Nie płaćmy datków na świętości, w które nie wierzymy.

Binele wyrywa się z jego ramion. Nienawidzi, kiedy nazywa ją „towarzyszką Binele", naśladując Wowę Cederbojma, który mówi o swojej żonie „towarzyszka Balcia".

– Świętości, w które ty nie wierzysz?! – krzyczy. – Nie wierzysz w świętość związku małżeńskiego!

Na to on odpowiada:

– Wierzę w ciebie i w siebie. W nasze bycie razem. To moja jedyna świętość, twoja również!

Taki potrafi być bezczelny, by wmawiać jej, w co ona wierzy, a w co nie! Choć akurat w tym szczególe ma rację. Binele poddaje się i wyraża zgodę na to, by ślub odbył się „w duchu bundowskim[54]". Upiera się jedynie przy tym, aby Jankew kupił jej ślubną obrączkę.

– Od tego się już nie wykręcisz – ostrzega go.

On jednak próbuje się od tego wywinąć.

– Obrączki są symbolem niewolnictwa. Nie chcę cię przywiązywać do siebie obrączką, jak ongiś czyniono ze sługami.

Ale tym razem ona nie ustępuje. Mężczyzna, widząc, że atmosfera między nimi staje się nieprzyjemna, nie odzywa się już ani słowem.

---

[54] W duchu bundowskim, czyli bez rabina, w zgodzie z ideami partii Bund, która skupiała ludność żydowską o poglądach lewicowych i socjalistycznych.

Ich ostatnia noc przed ślubem była świetlista i szalona. Tak burzliwie zwycięska, że ścianki „suki", gdzie mieszkali, omal nie runęły na nich, i zarazem tak przejmująca, że trudno było to znieść. Pocałunki i pieszczoty przeplatały się ze wspomnieniami i wyznaniami, ze słowami, które trudno wypowiedzieć, i z pogaduszkami poważnymi oraz żartobliwymi. Prawie nie spali, a wczesnym rankiem wstali zmęczeni, rozczochrani, głodni i spragnieni – po czym znowu przywarli do siebie. Obiecali sobie, że będą pościć w tym dniu, tak dla żartu, aby zaoszczędzić pieniądze. I oboje wiedzieli, że chcą tego postu jako swojego rodzaju ofiary, oczyszczenia.

Binele wypchnęła Jankewa z rozkładanego posłania, na którym oboje spali, a które nazywali „rozkładaną deską", ponieważ było tak wąskie. Łóżko zachwiało się. Jankew spadł na podłogę, a Binele – niemal runęła na niego.

– Widzisz – zażartował – razem możemy się wygodnie urządzić nawet na desce. Ale jeśli się rozstaniemy...

– Nie gadaj głupot! – wykrzyknęła Binele. – Ubierz się i idź mi kupić obrączkę!

– Kupię dwie! – zaśmiał się. – Jeśli już, to niechaj nastanie demokratyczne niewolnictwo!

Kiedy wyszedł, do pokoiku wsunął się czarny kot gospodyni i od razu wskoczył na kołdrę. Binele szybko zrzuciła go z siebie. Jednym susem znalazła się przy drzwiach i wypędziła intruza słowami: „Paszoł won, ty czarcie!". Ten kot przypomniał jej tamtego czarnego kocura, który należał do pewnej Cyganki... Tej, która przed laty przepowiedziała jej „czarne wesele". Kot wplątał się w sielankę właśnie mijających godzin i zepsuł dziewczynie nastrój. Do pustego żołądka dołączył się niepokój w sercu. Lęk przed nadchodzącym dniem, obawa przed nadchodzącą przyszłością.

W takich okolicznościach postanowiła kupić sobie kapelusz.

Wystroiła się, nie zapominając również o obcięciu paznokci. Lubiła mieć je krótkie i czyste. Tak jak kobiety z Bocianów wierzyła, że krótko obcięte paznokcie przynoszą szczęście. Poza tym jej przyjaciółka Balcia Cederbojm, która bardzo poważnie traktowała kwestię higieny, twierdziła, że krótkie paznokcie dają człowiekowi poczucie dogłębnej fizycznej i duchowej czystości. A Binele zupełnie się z nią w tym zgadzała.

I tak, całkiem już gotowa do wyjścia, podeszła do słomianego kuferka i wyjęła z niego kożuszek, okrycie posiadające swoją historię. Dostała go od majstra z fabryki, jednego z dwóch mężczyzn, którzy zakochali się w niej przed wybuchem wielkiej wojny. Jeden był jej kusicielem, a drugi – jej aniołem stróżem. Wybrała trzeciego, Jankewa, który był i tym, i tamtym.

Z kożuszkiem z owczej skóry udała się do lombardu, by go zastawić. Z otrzymanymi za ten zastaw pieniędzmi poszła na Piotrkowską, by teraz, po spotkaniu z panem Fogelszusem, poszukać jakiegoś nakrycia głowy. Działo się tak do chwili, w której zorientowała się, że daremnie tutaj szuka, więc w końcu wyruszyła z powrotem na Bałuty.

*

Na Bałutach święto jest jeszcze mniej wyczuwalne niż w centrum miasta. Ulice są pełne ludzi. W bramach rozstawiono stragany z najróżniejszymi przedmiotami i artykułami spożywczymi. Chłopcy z bałuckiej ferajny stoją przed bramami po sześciu. Wielkie sklepy są, oczywiście, zamknięte, ale na podwórkach kwitnie handel. Wysokie wozy załadowywane są tam paczkami towarów, które następnie przykrywa się brezentowymi plandekami. Na nierównym bruku bałuckich ulic i uliczek turkoczą pojazdy i ręczne wózki. Z otwartych okien na parterze dobiega stukot warsztatów tkackich, a także szum maszyn przędzalniczych, maszyn produkujących rękawiczki i skarpety, i maszyn do szycia, mieszając się z odgłosami studiowania Tory, które słychać z chederów[55] i besmedreszy[56]. Pozostający bez zajęcia chłopcy ze zwisającymi w nieładzie frędzlami małych tałesów[57] kopią w tym tłumie szmaciane piłki i ogłuszająco wrzeszczą. Panuje ogólny chaos.

Tutaj szczęście sprzyja Binele od razu. Przy jednym ze straganów w pewnej bramie kupuje za grosze biały beret z białą woalką. Jest zadowolona z tego okazyjnego zakupu, chociaż beret nie zagłusza tęsknoty i niepokoju w sercu. Jest zbyt tani jak na tę okazję – ot, taki sobie drobiazg. Jednak mocno trzyma torbę z beretem w jednej dłoni, a woreczek z całym swoim majątkiem w drugiej. Bałuty roją się od złodziei i kieszonkowców. Tylko tego by brakowało, żeby akurat dzisiaj, w najważniejszym dniu jej życia, obrobiła ją bałucka ferajna.

Spieszy się w kierunku domku Cederbojmów, który znajduje się za Łódką. Niecierpliwi się, by zobaczyć, co Balcia i towarzyszki przygotowują do jedzenia, jak będą rozstawione stoły i w ogóle jak wszystko wygląda. Chciałaby pomóc w tych pracach. W końcu Balcia znowu chodzi z brzuchem, więc nie można zostawić jej wszystkiego na głowie. A co najważniejsze: Binele chce się nasycić nastrojem uroczystego wieczoru, poczuć pełen smak każdej chwili oczekiwania, aby dzisiejszy wyjątkowy dzień był jak najbogatszy w doznania.

Rzuca okiem na zegar na szczycie wieży kościoła pw. Najświętszej Maryi Panny[58]. Już południe, a zarazem jest tak wcześnie. W brzuchu jej burczy, w gardle ssie. Podeszwy i palce stóp palą od długiego chodzenia na wysokich obcasach. Aby się nieco rozerwać, spogląda wysoko w górę. Wieża kościelna wygląda jak

---

55 Cheder – żydowska szkoła elementarna, do której posyłano chłopców w wieku trzech lat.

56 *Besmedresz* (jid.), *bejt ha midrasz* (hebr.) – dom nauki, jedna z tradycyjnych instytucji żydowskich, w której można było studiować przez całą dobę.

57 Mały tałes – ubranie przypominające kamizelkę, które nosi się pod normalną odzieżą przez cały dzień. W aszkenazyjskiej tradycji nosili je nawet trzyletni chłopcy.

58 Katolicki kościół p.w. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, stojący na niewielkim wzniesieniu przy ul. Zgierskiej, był najbardziej charakterystycznym budynkiem tej dzielnicy.

rączka otwartego parasola, nad którym rozciąga się błękitne niebo. Dookoła wieży i dachów sąsiednich domostw latają stada czarnych wron i białych gołębi, mieszając się ze sobą. Przywodzą jej na myśl czarno-białe bociany z rodzinnego miasteczka.

Dręcząca melancholia wypełnia jej nastrój. Miasteczko staje przed jej oczyma. Ma wrażenie, że oddycha bocianeckim powietrzem. Bociany wydają się jej zaczarowanym miejscem zanurzonym w zieleni i kwiatach, otoczonym dwiema alejami topolowymi niczym dwiema wstęgami – jak wielki bukiet. Ich oszałamiający zapach miesza się w powietrzu z wonią przypraw, stajni i ustępów – zapachami snu i jawy.

Tam przebudziła się do życia – robaczek, żuczek, sierota, która straciła matkę zaraz po narodzinach. Omal nie zginęła w brudzie i nieczystościach walających się wśród pól i drzew, niemal nie udusiła się z samotności, rozpaczy i strachu, które czaiły się pośród piękna. Ale ponieważ nie zginęła, stała się odważna i bardzo spragniona wszystkich smaków życia.

Na rogu uliczki Fajfera uświadamia sobie, że gapi się na blondynę, która stoi przed bramą, niczym dama wystrojona w „uniform" ulicznic: ładną sukienkę, wyliniałego „lisa" zarzuconego dookoła szyi, lakierki na szpilkach, z wielką, lakierowaną na czarno torebką na ramieniu. Jakiś wisus w długich butach i czarnej rubaszce stoi blisko dziewczyny i dobija targu.

Serce Binele zaczyna szybko bić. „Cypora?" – szepcze. Aż kręci się jej w głowie. Przypomina sobie zimę roku czternastego, kiedy Niemcy weszli do Łodzi. Mieszkała wówczas na tej uliczce u swojej przyjaciółki Cypory. Binele i Cypora wraz z dziećmi zachorowały na tyfus. Dzieci Cypory zmarły, a ona sama przepadła niczym kamień w wodę[59].

Blondynka znika w bramie z chłopakiem. Binele przyśpiesza kroku, aby jak najszybciej uciec od tamtej uliczki i od wspomnień, które zbudziły się w jej pamięci. Śmieje się sama z siebie. Co też przychodzi jej do głowy! Czarnowłosa Cypora, „akuratna od stóp do głów" – ulicznicą o blond włosach? Uszedłszy spory kawałek drogi, Binele nagle kieruje się z powrotem. Musi się przecież dowiedzieć, czy ta blondynka to Cypora, aby myśli o niej więcej jej dzisiaj nie dręczyły. I oto biegnie do tej samej bramy i czeka, aż blondynka pojawia się znowu i zacznie zaczepiać przechodniów. Binele podchodzi bliżej – całkiem blisko – i odważnie zagląda dziewczynie w twarz.

Dziewczyna milknie w trakcie rozmowy z gościem z ferajny, który stoi odwrócony plecami do Binele. Nagłe zdumienie rozbłyska w jej oczach. Jej usta

---

[59] O przybyciu Binele do Łodzi i jej pierwszych doświadczeniach opowiadają książki Rosenfarb: *Bociany. Opowieść o sztetlu* i *Między miasteczkiem i Łodzią. Opowieść o miłości*, Zob. Źródła przypisów.

zaczynają drżeć, dzięki czemu Binele już wie, że tak, ona również ją rozpoznała. Dziewczyna patrzy na nią z wahaniem. Potem odpycha Binele ramieniem i jednym tchem rzuca w jej kierunku: „Zaczekaj tu". Chwyta faceta pod ramię i wchodzi z nim do bramy.

Binele zastyga z otwartymi ustami, zupełnie oniemiała, jakby ją zamurowało. Wciąż jeszcze ma przed oczyma twarz Cypory, widzi ją jak w błysku flesza. Ciepłe, aksamitne, ciemne oczy przyjaciółki o wywiniętych długich rzęsach pomalowanych czarną maskarą i wdzięczny dołek w brodzie – to wszystko, co pozostało z tamtej Cypory, którą kiedyś znała. Jej obecna twarz sprawia wrażenie okrągłej, napuchniętej, zbyt mocno pomalowane policzki – obwisłych. Czoło ma przeorane głębokimi zmarszczkami, a jedna z nich, bardzo głęboka, jak blizna rozdziela jej brwi. Wargi, grubo pomalowane szminką wychodzącą poza kontur ust, wykrzywiają się w dół w grymasie pogardy i zgorzknienia.

Binele jest zdruzgotana. Cypora zmartwychwstała – jako ulicznica! Akurat dzisiaj trudno jej znieść takie spotkanie, taki szok. Ale musi dać sobie z tym radę. Musi tu stać i czekać na Cyporę, aby ją poinformować, że ona, Binele, nie należy do tych, którzy zdradzają; że Cypora wciąż jest częścią jej; że życie jest winne temu, że straciły kontakt; ale jednocześnie że życie jest litościwe, ponieważ doprowadziło do tego przypadkowego spotkania; i że życiu należy patrzeć prosto w oczy i wiedzieć, jak przyjmować zarówno to, co dobre, jak i to, co złe, i że nie można dać się zniszczyć złu, i że samemu też nie można niszczyć dobra.

Binele wypełnia duma. Jak łatwo mogła była wpaść w tę samą otchłań co Cypora! Jak mało brakowało! Nie, nie musi się wstydzić, chociaż nie stała się tą wspaniałą, wzniosłą Binele, jaką chciała być. Być może nigdy taka nie będzie. Może nigdy nie pozbędzie się swojego prostactwa, nieokrzesania, nieczystych myśli i pragnień czy uczucia przygnębienia, które nosi w sobie niemal od dnia narodzin. Może nigdy nie uwolni się od przekonania, że jest zła i brzydka niczym prawdziwa „marzepa"[60], a wszyscy, którzy prawią jej komplementy, nie wiedzą, co mówią. Nie widzą jej prawdziwej, nie znają jej naprawdę – nawet Jankew, zwłaszcza on, bo miłość czyni go ślepym. A przecież jest czegoś warta; zasługuje na to, by mieć Jankewa za męża i być matką jego dzieci.

„Czym jestem, tym jestem" – mruczy do siebie mocno wzburzona. „I nie mogę się poddać nikomu, ani niczemu, nawet Jankewowi, chociaż jestem mu wierna, jestem wierna...".

Czas się zatrzymał. Gwarna ulica przepływa obok falami ludzi, niczym na filmowym ekranie. Serce Binele wzbiera pełną litości wiernością Cyporze. Słyszy stukot obcasików. Ktoś się zbliża i wpada na nią. I oto stoi w objęciach przyjaciółki. Jeden głos wyrywa się z ich ściśniętych ust, wspólny jęk, szloch. Obejmują się tak mocno, jakby chciały nawzajem powstrzymać drżenie swoich ramion.

---

[60] Właściwie: mazepa – osoba płaczliwa, beksa, mazgaj. Tu w znaczeniu: brzydula.

Z ich oczu płyną łzy. Facet, który wychodzi z bramy za Cyporą, spogląda na nie, krzywi się i odchodzi.

– Rozpoznałaś mnie mimo tych utlenionych włosów! – wykrzykuje Cypora. Ona pierwsza bierze się w garść. Puszcza Binele i opuszkami palców ostrożnie ociera sobie oczy. Charakterystycznym ruchem ręki przyciska pokręcone fale włosów nad czołem. – W moim fachu siwe włosy są gorsze niż samobójstwo – wyjaśnia przejęta. Jej łzy, wymieszane z maskarą, są czarne.

– Gdzie ty przepadłaś? – pyta Binele zduszonym głosem.

Cypora walczy ze wzruszeniem.

– Niech diabeł porwie moich wrogów. – Wciąga Binele do brudnej bramy. Obie kładą torebki pod siedzenia, przykucając na schodach. – Widzisz przecież – kontynuuje dziewczyna – znowu jestem panienką. Bez dzieci i domu na głowie, bez niczego. Beztroska dziewczynka, bez problemów. – Próbuje nadać głosowi fałszywie radosną barwę. – Mężczyźni, oby Bóg ich nie oszczędzał, zarabiają dla mnie. Popatrz na moje kolczyki. Czyste złoto. A widzisz te pierścionki? – Wyciąga w kierunku Binele obie dłonie z rozstawionymi palcami, a na każdym pierścionek. – Wszystko to dobry towar. Warte majątek. Oby moi wrogowie to odchorowali.

Binele nie może się wyzbyć podejrzenia, że Cypora wszystkie te skarby kupiła na ulicznych straganach. Ujmuje wystrojoną rękę dziewczyny w swoje dłonie i wzdycha głęboko.

– Tak długo cię szukałam, Cyporo. Gdzie mieszkasz?

– A gdzie mam mieszkać? – Cypora wzrusza ramionami. – Tutaj, oczywiście, że tu mieszkam. Mieszkam sobie jak hrabianka. Jeśli chcesz, możemy zajrzeć do mnie. Chociaż w to dzisiejsze święto jest u mnie większy ruch niż zwykle pod koniec tygodnia. – Patrzy w kierunku otwartej bramy, jakby szacowała swoją stratę, potem pokazuje kilka gołębi, które przysiadły na dachu przeciwległej kamienicy. – Widzisz te gołębie? Należą do mojego kawalera. Jest łapaczem gołębi i na tym zarabia. Akuratny od stóp do głów. Dał mi w prezencie kanarka, aby nie było mi smutno. Takie trele wyśpiewuje, mówię ci, aż chwyta za serce. Jak to mówią? *Fun neches lebt men niszt, fun cores sztarbt men niszt*[61].

Binele ma wrażenie, że Cypora próbuje stworzyć jakiś rodzaj bariery pomiędzy nimi dwiema. Przysuwa się do niej coraz bliżej.

– A ty, Cyporo, w ogóle mnie nie szukałaś? – Pytając, próbuje narzucić ton bardziej intymny.

– Co znaczy, że cię nie szukałam? – Cypora zdaje się być urażona. – Co ty myślisz, że u mnie to, co z oczu, to i z serca? Jeszcze czego! – Z pozorną obojętnością poprawia pończochy na obu nogach. – Miałam coś ważnego do załatwienia, oby to spadło na moich wrogów. Miałam randkę z Aniołem Śmierci. Tak, z fanfarami. Trułam się arszenikiem, tak było. Zrobiono mi płukanie żołądka. A... a potem

61 (jid.) *Z radości nie da się wyżyć, od trosk się nie umiera.*

dźgnęłam nożem do mięsa mojego starego, aby nie dożył starości. Niemal go wyprawiłam na tamten świat do *Rebojne szel Ojlem*[62]. Chciałam go trafić tym nożem w samo serce, ale zapomniałam, że dusza nie ma serca. W każdym razie zrobiłam mu dziurę pomiędzy żebrami, tak było, a mimo to po trzech miesiącach wyszedł ze szpitala cały i zdrowy. A ja tymczasem przesiedziałam sobie trzy latka w kryminale zupełnie jak u Pana Boga za piecem i wyszłam stamtąd jako zupełnie inny człowiek, z zupełnie nowym rozumem, i dobrze mi że ho, ho. Pamiętasz, jak kręciłam nosem na kurewki? Byłam głupia. To przyzwoitsze zajęcie niż być wykorzystywaną robotnicą fabryczną. Uwierz mi. Jestem wolnym człowiekiem, o tak. I nie przepracowuję się, wcale a wcale. To tak, jakbym wypijała szklankę wody. *Aza jor af mir*[63]. A widziałaś tę torbę? – Mówiąc to, pokazuje torbę, na której siedzi. – Czysta skóra. Też dostałam w prezencie od faceta z prowincji. On twierdzi, że łódzkie kobiety mają gorące ciała.

– Nie mogłam o tobie zapomnieć, Cyporo – wzdycha Binele.

Oczy Cypory błyszczą wilgocią. Uśmiecha się fałszywie. Nie udaje się jej przybrać właściwego tonu.

– Dlaczego miałabyś mnie zapomnieć? Wiele takich Cypor jak ja spotkałaś w swoim życiu? Tak, dużo zgniłej wody już spłynęło Łódką od czasu, kiedy widziałyśmy się po raz ostatni. Jak to mawiają? *In frejdn iz a jor a tog*[64], w cierpieniu jeden dzień jest jak jeden rok. Żyłam jak wół, który przywykł do rzeźnickiego noża – aż do chwili, w której dokonałam swojej własnej rewolucji, jak to mówią socjaliści. – Nagle podskakuje. – My tu tak sobie siedzimy, a tymczasem zarobiłabym już niezły grosz. No, ale dla mnie ty jesteś tego warta.

Binele również wstała.

– Ja też nie mam dzisiaj czasu. – Uśmiecha się zawstydzona i speszona.

Cypora wygładza na biodrach elegancką sukienkę. Zarzuca na dekolt „lisa", który zsunął się jej na plecy, po czym królewsko-dramatycznym gestem układa głowę zwierzęcia na piersi, jakby była bałucką Kleopatrą przykładającą do piersi głowę węża. Spogląda na Binele z bolesnym zaciekawieniem wymieszanym z zazdrością.

– Czemu masz na sobie taką prowincjonalną jupkę? – pyta. – Wyglądasz jak moja babka Krajna.

Binele zalewa łuna wstydu.

– Ale co ty, to moja sukienka szabesowa i ma wielkie powodzenie.

– Już to widzę. Chyba u twoich chłopaków z prowincji. Popatrz tylko na długość tej sukienki! Co tak skrywasz swoje nogi? Ukradłaś je? Gwałtu, rety,

---

[62] *Rebojne szel Ojlem* – Pan Wszechświata, jedno z imion boskich w judaizmie.

[63] Dosł. taki rok na mnie, w znaczeniu: naprawdę; odpowiednik „jak Boga kocham".

[64] (jid.) *W weselu jeden rok jest jak jeden dzień.*

ani kosteczki spod niej nie widać! – Cypora podnosi falbanę biało-błękitnej sukni Binele.

Binele odpycha rękę Cypory i w roztargnieniu zaczyna nią potrząsać bardzo szybko.

– Bądź zdrowa. Przyjdę innym razem.

Cypora ujmuje dłoń Binele w swoje ręce.

– Popatrz no, jaka ze mnie idiotka, o nic cię nie wypytałam. Mówiłaś, że gdzie pracujesz?

– Na razie nigdzie nie pracuję. Jestem tu dopiero od dwóch tygodni. Tymczasem uczę się kultury.

– A co to za fach?

– To nie fach. To wykształcenie. Uczę się w „Harfie" czytać i pisać. – Binele zdobywa się na żart: – Już potrafię napisać słowo „Nojech" nie z siedmioma błędami, lecz z czterema.

Zazdrość w oczach Cypory staje się zjadliwa.

– Kiedyś też były mi w głowie takie zachcianki. Ale czy ja wiem... Będziesz coś z tego miała? Kupisz coś sobie za to? A gdy już będziesz taka wykształcona i przeczytasz kilka grubych książek, to czy szczęście się do ciebie uśmiechnie? Powinnaś wiedzieć, że co komu pisane, to go nie ominie. Tak czy siak, i ten, kto ma głowę pełną trocin, i ten, kto ma głowę pełną Tory, tyle samo wart dla robaków w grobie.

– Tak, ale ja nie mówię o tych rzeczach...

– Nie? A o których?

– Mówię o życiu. Nauka czyni moje życie piękniejszym.

– No, to ci dopiero! Nauka-szmauka. To przecież bzdury. Popatrz tylko na mnie! – Cypora ustawia się przed Binele jak modelka na pokazie mody. – Czy na moich piersiach lub talii, lub w ogóle na moich pośladkach jest wypisane, że mam problem ze skreśleniem swojego imienia? Nam, kobietom, jeśli tylko mamy jako takie ciała i w gębie niewyparzony język, zwłaszcza jeszcze gdy dopisze odrobina szczęścia, zupełnie niepotrzebne są te męskie zabawy umysłowe. Przykro to mówić, ale popatrz tylko, jak zepsuli nam świat tą swoją uczonością! Przecież oni nie mają zielonego pojęcia, co znaczy odrobina prawdziwej dobroci! A ty myślisz, że będą mieli więcej szacunku dla ciebie, jeśli nauczysz się liter? A niech mnie! Jak to powiadają? *A cig hot ojch a bord un blajbt fort nor a cig*[65]. A co tu masz w tej torbie? – Dziewczyna zaczyna obmacywać paczkę, którą Binele trzyma w dłoniach.

– Beret z woalką mam. – Binele uśmiecha się do Cypory, jakby chciała się przed nią usprawiedliwić.

Cypora się jej przygląda.

– Wciąż jeszcze masz długie włosy...

---

[65] (jid.) *Koza też ma brodę, a mimo to jest tylko kozą.*

– *Lange hor un a kurc sejchl*[66]*.* – Nagle Binele wybucha: – Wychodzę dziś za mąż!

Zdumiona Cypora milknie na dłuższą chwilę. Potem głęboko wzdycha.

– I nic nie mówisz? A... a kim jest ten twój kawaler?

– Mój kawaler nazywa się Jankew, tak! – Ku swojemu zdumieniu Binele chwyta Cyporę za obie ręce i z podnieceniem, którego nie potrafi już ukryć, mówi ochrypłym głosem: – Przyjdź na ślub! Dzisiaj wieczorem! Zapraszam cię z całego serca! To nie będzie takie prawdziwe wesele ze wszystkimi szczegółami, lecz uroczystość w bundowskim stylu. Mówią na to „impreza". Odbędzie się w domu Wowy Cederbojma, przyjaciela Jankewa. To rzut beretem stąd.

Cypora krzywi się.

– Ty mi tłumaczysz, gdzie mieszka Wowa Szprycer?

– Znasz go?

– Z widzenia. Kiedy tryska potokiem słów na temat swojego socjalizmu, to trzeba stać przy nim z parasolem. A z jego żoną Balcią bawiłam się w dzieciństwie w strulki[67]. Mówiono na nią Balcia Lalcia, bo prawie nic nie jadła i miała czerwone policzki. A Mojsze Sokrates[68], ten pojeta, zabierał mnie na zebrania do Wowy do domu, kiedy byłam mu przychylna.

– Komu przychylna?

– Mojszemu. Banda żebraków i łachmaniarzy ten cały twój socjalizm. Bzdury, same kłamstwa – oto co głoszą. Oni, co ciągną nas wszystkich w błoto, chcieli mi wmówić, że zbłądziłam. Ci prawdziwi słudzy kapitalizmu, którzy chodzą przygarbieni, jakby mieli poprzyczepiane do dupy warsztaty tkackie lub stołki krawieckie, wołają do mnie, wolnego człowieka, że mam się wyprostować. Słyszałaś ty coś takiego? Suchotniczą pobożnisię chcieli ze mnie zrobić. Nudno u nich jak na pogrzebie.

– Ale przyjdziesz dziś wieczorem? – przerywa jej Binele.

– Do nich? Nawet gdybyś mnie obsypała górą złota, to nie pójdę! Jeszcze tylko tego mi brakuje, aby kręcili na mnie nosami. Rzekomo ujmują się za moją krzywdą. Ale czy się ze mną przyjaźnią? Zapomnij. Prostą tutką mnie nazywają ci, którzy są prostsi od prostych. Weź na przykład tego ich pojetę, Mojszego Sokratesa, oby tak zawsze chodził w szmatach. Wielkie to jak palec, ale patrzy na mnie z góry niczym Kościuszko z konia, chociaż odstawia komedyję, twierdząc, że nie ma na myśli mojego ciała, lecz duszę. A kiedy

---

66 (jid.) *Długie włosy i krótki rozum.*

67 Strulki, czyli kamyki (mniej więcej wielkości orzecha laskowego). Popularna gra podwórkowa polegająca na łapaniu jedną ręką od jednego do pięciu strulków. Ma określone zasady i kilka etapów.

68 Mojsze Sokrates, wł. Mojsze Gutnik – jeden z bohaterów drugiej części *Bocianów – Między miasteczkiem i Łodzią. Opowieść o miłości* – socjalista, agitator w półświatku, między alfonsami i dziewczynami z Fajferówki, poeta (stąd jego pseudonim). Zob. Źródła przypisów

raz na jakiś czas prześpi się ze mną, to się obraża, że każę mu płacić. Takie z nich sknery.

– Cyporo, proszę cię... – Binele ledwo powstrzymuje łzy wywołane naporem sprzecznych uczuć i bólem wyzierającym z oczu przyjaciółki, a także z powodu odczuwanych nudności. – To przecież szczęśliwy przypadek, że cię tu dzisiaj spotkałam, rozumiesz... Zastąpisz mi matkę, siostrę, to dla mnie ważne.

Cypora unosi brwi. Zmarszczka pomiędzy nimi pogłębia się.

– Co ty mi tu głowę zawracasz, ha? Przecież całe Bałuty mnie znają. „Cypora to dobry towar!", wołają za mną na ulicach. Przeze mnie najesz się wstydu.

– Zwariowałaś?

– Przecież najniżej upadłam pośród upadłych.

– Dla mnie stoisz najwyżej z wysokich. Jesteś częścią mojego serca. – Binele i Cypora zaczynają ronić prawdziwe łzy, jakby dopiero teraz się rozpoznały. – A wiesz co jeszcze? – przejęta Binele jest gotowa zwierzyć się przyjaciółce ze swoich podejrzeń, że jest w ciąży. Ale w tym momencie pojawia się przed jej oczyma trójka zmarłych dzieci Cypory. Szlocha więc jeszcze mocniej, z trudem wykrztuszając: – A wiesz co jeszcze? Jestem bardzo za... zakochana.

Cypora ociera sobie twarz obiema rękami i uśmiecha się fałszywie.

– To dlaczego mi o tym mówisz z taką kwaśną miną?

– Kocham go nad życie.

– To czemu beczysz?

– Bo... bo za bardzo go kocham.

– Gwałtu, rety, po co zawracasz głowę tym kochaniem-szmochaniem? To przecież czysta bzdura. Najważniejsze, żeby dobrze zarabiał. Żeby był dobrym ojcem dla dzieci i żeby mu ręka uschła, zanim ją na ciebie podniesie!

Binele uśmiecha się do Cypory przez łzy.

– Przyjdziesz dziś wieczorem?

– Już widzę, że nie mam wyboru. – Cypora wyjmuje puderniczkę z czarnej, lśniącej torebki i pudruje sobie twarz. – Widzisz, jak mi oczy spuchły? Kto wie, ile będzie mnie to kosztować. W moim fachu płakanie jest gorsze niż samobójstwo.

– Oj, Cyporo – Binele ponownie próbuje ją objąć – gdybyś wiedziała, jak się cieszę.

Cypora odpycha ją lekko od siebie.

– Odejdź, bo mi znowu zepsujesz makijaż.

– Nie spóźnij się na ślub! – woła Binele i, szybko machając ręką, wybiega z bramy.

Cypora wychodzi za nią i krzyczy:

– Binele! Wszystkiego dobrego!

Rozdział czwarty

W dniu swojego ślubu Jankew wchodzi do sklepiku zegarmistrza, aby kupić obrączki zaręczynowe – robi to w ten sam sposób, w jaki Binele dostała się do sklepu z kapeluszami – od strony zaplecza. Znajduje się w mrocznym pomieszczeniu zastawionym antykami i jakimiś gratami. W środku kręci się mała kobieta w baszłyku. Wygląda jak zabytkowa lalka, która wyskoczyła z jednej z licznych szaf zegarowych, aby zapowiedzieć nieistniejącą godzinę. Stamtąd Jankew przechodzi do maleńkiej izdebki, której ściany są obwieszone dziesiątkami zegarów rozmaitych rozmiarów i kształtów. Tykają nierówno, każdy we własnym rytmie, a jeden z nich najgłośniej, zupełnie jak niespokojne serce.

Zegarmistrz, Żyd o srebrzystej brodzie, delikatnej niczym pajęczyna babiego lata, przypomina Jankewowi reb Sendera Kabalistę z Bocianów. Gospodarz pozdrawia Jankewa i zaczyna wypytywać o pochodzenie i życie, wykazując przy tym tak serdeczne zainteresowanie, jakby Jankew był jego najbliższym krewnym. A gdy już zawija w bibułkę dwie obrączki z fałszywej platyny, obdarza chłopaka przepięknymi błogosławieństwami, z których każde odpowiada na jego najbardziej skrywane tęsknoty i namiętności. Na pożegnanie starzec o mądrych oczach przez dłużą chwilę ściska rękę Jankewa. Przy tym nuci smutnym głosem: „*Hewel hawejlim*... Marność nad marnościami[69]... Całe życie jest jak sen".

[69] Początek Księgi Koheleta, który tłumaczony jest z greckiego jako „marność nad marnościami", ma w hebrajskim oryginale zupełnie inne znaczenie: wszystko jest tchnieniem, które ulatuje i nie można go uchwycić ani zachować.

Jankew jest tylko częściowo rozmarzony. Jest również radośnie podniecony, pewny siebie, ma wyczulone wszystkie zmysły. Akurat dzisiaj, w dniu ślubu, chciałby znaleźć jakąś pracę. Jest przy tym nawet odrobinę próżny. Znalezienie pracy akurat w dniu dzisiejszym byłoby dobrym znakiem. Robota u Wowy Cederbojma jest w końcu tylko sposobem przyjaciela na ukrycie tego, że dzieli się z nim swoimi dochodami. Fakt ten jest przyczyną upokorzenia, które umniejsza pewność siebie dumnego narzeczonego.

Jankew chodzi po mieście i powtarza w myślach listę tkaczy i potencjalnych miejsc pracy. Trzymając rękę w kieszeni, bawi się obrączkami. Palcami rozwija je z bibułki. Jednocześnie kpi z siebie, czy aby nie zaraził się od Binele przesądami, przypisując dzisiejszemu dniu zbyt duże znaczenie. To zapewne powód, myśli, dla którego tak nagle zatęsknił za klezmerskimi skrzypkami i prawdziwym ślubem na bocianiecką modłę.

Również i jemu towarzyszy wspomnienie rodzinnego miasteczka, gdy wędruje po ulicach Łodzi. Obserwuje tłumy Polaków, którzy paradują przed nim wystrojeni, i widzi bocianieckich łobuzów goniących go, aby odegrał rolę Jezusa w ich bożonarodzeniowym przedstawieniu. Kępka kiełkującej trawy w łódzkim ogrodzie kolejowym zamienia się w jego wyobraźni w bocianiecką łąkę, która czeka na konwalie. Kupa gliny w pobliżu budowanej fabryki przemienia się w bocianiecką Błękitną Górę, a w kształcie koparki dostrzega młyn. Tam gdzieś wędruje ze swoim uczniem Abraszą, szukając śladów ukrytego świata.

Gapi się na konie, które przebiegają obok po łódzkim bruku, i widzi w nich Susiego, konika, który prowadził go i Abraszę do Joela Kowala, ich przyjaciela i nauczyciela. Głos Joela zapadł w serce Jankewa. Wraz z jego słowami, pełnymi tajemnych znaczeń na temat sensu żydowskich cierpień, Jankew przypomina sobie jego kazania dotyczące świętości związku mężczyzny i kobiety, i słyszy go szepczącego komentarz do dzisiejszego dnia, pełen głębokiego sensu. Tam, u Joela, Jankew po raz pierwszy ujął w słowa swoje wszystkie pragnienia, które kipiały w jego sercu, podczas gdy wesoły Abrasza bawił się u niego wymyślonymi figurkami, ulepionymi z gliny.

Wraz ze świątecznym śpiewem, który dobiega z otwartych łódzkich kościołów, wraca do Jankewa śpiew sziksy[70] – Wandy z Bocianów:

Ty pójdziesz górą, ty pójdziesz górą,
a ja doliną.
Ty zakwitniesz różą, ty zakwitniesz różą,
a ja kaliną[71].

---

[70] Sziksa (jid.) – młoda, przeważnie atrakcyjna kobieta, niebędąca Żydówką, na ogół jest to określenie pogardliwe, często o pejoratywnym wydźwięku.

[71] *Ty pójdziesz górą* – polska pieśń ludowa, znana już w XVIII w. Znalazła się w zbiorze *Pieśni ludu polskiego* Oskara Kolberga, a rozpowszechniła ją Eliza Orzeszkowa.

A ponad tym, niczym wszystko obejmujące, zapłakane słońce, jaśnieje łagodna i ciepła twarz jego matki o ledwie widocznym uśmiechu skrywającym się w zmarszczkach wokół ust. Jakże by chciał, aby matka była dzisiaj z nimi, aby obsypała Binele i jego błogosławieństwami, aby mógł wyczytać z jej pomarszczonego oblicza, że między nią a nim wciąż jeszcze jest serdeczna więź, chociaż nie poszedł w życiu drogą tradycyjnej *jidyszkajt*[72].

Gdy tak przemierza łódzkie ulice, dociera do niego, że mijające go sziksy, wystrojone w kolorowe ubrania, uśmiechnięte i dumne jak dojrzałe słoneczniki, rzucają mu skryte spojrzenia. Przyzwyczaił się do tego, że kobiece oczy śledzą go, szukając kontaktu. Oddziela go od nich powściągliwość. Wszystkie dziewczęta, które chciałyby zawrzeć z nim znajomość, są po tamtej stronie zamkniętej przestrzeni wierności i tam powinny pozostać, każda z własnym sekretem kobiecej intymności, podczas gdy on znajduje się w jej wnętrzu sam na sam z Binele.

Jankew dużo dzisiaj myśli o swojej miłości do Binele. Ta dziewczyna jest naczyniem, które nadaje kształt jego nieokreśloności. A mimo to niemal nie ma pojęcia, kim ona właściwie jest. Natomiast doskonale zna jej obraz, jaki w sobie stworzył. Raz na jakiś czas uświadamia sobie, że pomiędzy dwiema Binele, tą prawdziwą i tą, którą nosi w sobie, istnieje dystans. Ale nie to jest najistotniejsze. Najważniejszy jest duchowy żar, który namacalnie z niej emanuje. Z tego powodu jest gotów przyjąć ją taką, jaka jest, choć oznacza to dla niego pewien rodzaj intelektualnej samotności. Binele bowiem obcy jest jego duchowy język, z którym człowiek przychodzi na świat, lecz którego nie nauczy się w „Harfie".

Lista adresów potencjalnych pracodawców, którą miał w głowie, już niemal się skończyła. Słońce rozgrzewa powietrze popołudniową purpurą. Jankew zwalnia, zmęczony, głodny i spragniony. Przechodzi właśnie obok ogrodowej restauracji Capri przy Piotrkowskiej. Zagląda do środka przez bramę, aż przychodzi mu ochota na posiłek. Coś go pcha, aby wejść do środka i zapytać o pracę.

Na podwórzu pod gołym niebem stoją stoliki nakryte białymi obrusami. Przy stolikach siedzą fabrykanci, kupcy, maklerzy i bogaci próżniacy wraz z żonami w wiosennych kapeluszach o wielkich rondach. Są tu także grupki dam – zwykłych plotkarek. Popijają małą czarną i niewielkimi widelczykami jedzą porcje tortu. Mężczyźni, dostojni i poważni, omawiają złą sytuację polityczną i skarżą się na trudności w prowadzeniu biznesów. Kobiety ze znawstwem obserwują wzajemnie swoje wiosenne toalety, zachwycają się piękną pogodą, wspaniałą modą i plotkują.

W pobliżu sezonowej sceny stoi kilka stołków bez białych obrusów. Siedzą tam przedstawiciele łódzkiej bohemy i popijają herbatę, trzymając w ustach kostki

---

[72] *Jidyszkajt* (jid.) – żydowski sposób życia, termin najczęściej używany na określenie stylu życia Żydów aszkenazyjskich, głównie Europy Środkowej i Wschodniej.

cukru. Dyskusja toczy się na temat nowoczesnej literatury, malarstwa, a także słabszych dzieł kolegów uczestniczących w rozmowie.

Kelnerzy w białych marynarkach, z białymi ręcznikami przewieszonymi przez rękę i srebrnymi tacami trzymanymi ponad głową, lawirują jak tancerze pomiędzy stolikami. Na małej scenie niewielka orkiestra dopiero co skończyła grać wiązankę polskich piosenek i wojskowych marszów ku czci dzisiejszego święta. Muzycy w czarnych frakach i białych wykrochmalonych koszulach z mankietami dyskretnie ocierają pot z twarzy i karków pod sztywnymi kołnierzykami. Teraz przychodzi pora na estradowy występ magika i sztukmistrza Zdzisława Siedleckiego.

Gospodarz restauracji, pan Terkeltojb, również wystrojony w czarny frak, stoi wsparty łokciem o rampę sceny i bawi się cygarem. Za jego plecami Siedlecki zabawia widownię przy akompaniamencie orkiestry. Daje standardowy pokaz czarnej magii przy pomocy kart, kolorowych wstążek i żywych gołębi wyciąganych z czarnego cylindra. W tym czasie pan Terkeltojb jest zajęty wygłaszaniem do przedstawicieli bohemy własnego monologu na temat „sztuki". Uważa się za znawcę w tej dziedzinie, ponieważ dzierżawi teatr i ożenił się z aktorką, w której jest śmiertelnie zakochany. W życiu pana Terkeltojba była pewna ciemna epoka, kiedy to miał bliskie powiązania z półświatkiem i należał do prominentnych dostawców „towaru" – to znaczy dziewcząt, które chciały dostać się do Łodzi w poszukiwaniu pracy – dla branży prostytutek w Argentynie. Ale dzięki miłości do żony i do „sztuki" wrócił na prostą drogę. A ponieważ ma wielki talent do niemiłosiernego kaleczenia „zagranicznych" słów oraz nazwisk aktorów i reżyserów, ludzie bohemy muszą się bardzo wysilać, by nie śmiać mu się prosto w twarz.

Jankew idzie między stolikami, rozglądając się dookoła. Zauważa go pan Terkeltojb, mimo iż jest zajęty przemową. Ich spojrzenia spotykają się i oto Jankew już spieszy w jego kierunku. Kłania się z szacunkiem i odważnie pyta: „Czy nie znalazłaby się u pana praca dla mnie?".

Pan Terkeltojb już przywykł do tego, że przerywa mu się w środku zdania, więc nie wywiera to na nim wrażenia. Robi pauzę w swoim monologu, po czym taksuje Jankewa od stóp do głów. Pyta o kwalifikacje. Usłyszawszy, że młody człowiek w znoszonym odzieniu i rozciągniętych butach jest bezrobotnym tkaczem, wypytuje dalej, poddając nieustannej obserwacji. W istocie bardzo potrzebuje pomocnika. Zwraca uwagę na szczupłą figurę chłopca, jego gracje, niemal elegancję w ruchach. Ktoś taki bez problemu powinien się wyuczyć fachu kelnera i pewnie będzie ukontentowany, zarabiając grosze, a może i zadowoli się samymi napiwkami.

Pan Terkeltojb ma dobre oko do ludzi. Oceniając delikatną, opaloną cerę twarzy Jankewa i jego przyjazne brązowe oczy, a także zwracając uwagę na ostrość jego odpowiedzi, wie, że chłopak wspaniale dopasowałby się do zespołu restauracji Capri, o ile, rzecz jasna, przywdzieje czysty kelnerski uniform. Poza tym pan Terkeltojb zauważa, w jaki sposób patrzą na Jankewa panie siedzące

przy stolikach. Nawet młoda czarnowłosa dama, pani Pola Wajskop, która siedzi przy stoliku sama – i do tej pory tak była zagłębiona w swoich rozmyślaniach, że nie dostrzegała, co się wokół niej dzieje – zwraca głowę w jego kierunku i intensywnie mu się przygląda.

Mimo to pan Terkeltojb nie spieszy się z zatrudnianiem pomocnika. Czasy są niesprzyjające. Wprawdzie władzę w kraju sprawuje demokratyczny rząd, ale jego zwolennicy przejawiają mocno nacjonalistyczne poglądy, a polityka ekonomiczna może skutkować pogorszeniem stanu gospodarczego. A jeszcze bardziej przygnebiający jest fakt, że odkąd powstała Rzeczpospolita Polska, nasiliło się prześladowanie Żydów, więc żydowska restauracja jest nieustannie narażona na różnego rodzaju niebezpieczeństwa. Dlatego pan Terkeltojb zadawala się kręceniem cygara w palcach, leniwie odpowiadając Jankewowi: „Przyjdź za miesiąc".

Twarz Jankewa promienieje. Zaproszenie Terkeltojba jest dobrym znakiem. Może naprawdę zostanie kelnerem? Podoba mu się taki zawód. Poruszać się między ludźmi, obsługiwać i obserwować, widzieć życie z nowej perspektywy, a zwłaszcza – mieć źródło utrzymania. Dziękuje więc panu Terkeltojbowi i kieruje się w drugą stronę.

Dopiero teraz dostrzega ją, młodą, czarnowłosą damę. Panią Polę Wajskop. Kobieta ma na sobie czarny kostium z czarnym aksamitnym kołnierzem. Tuż przy niej, na skraju nakrytego białym obrusem stołu, leżą czarne długie rękawiczki. Jedną ręką o czerwono pomalowanych paznokciach bawi się rękawiczką. Na krześle spoczywa wielki, letni kapelusz, upleciony z białej słomki i ozdobiony taftową wstążką. Kruczoczarne lśniące włosy czarnej damy, zaczesane na grecką modłę, spływają jej na ramiona jedną, wielką, kręconą falą. Pośród pasm czarnych włosów jaśnieje jej delikatny profil: toczony nosek, małe, pięknie wykrojone usta, zadarty podbródek. W palcach trzyma maleńką łyżeczkę i rozkoszuje się lodami.

Czarna dama ma czarne oczy, które rzucają cień na całą twarz. Ich kolor podkreśla bladość szlachetnego lica. Jankew czuje ich czarny, nieziemski żar, jakby celnie wystrzelona strzała trafiła go w splot słoneczny. Przed nim siedzi Pola, żona przyjaciela jego młodości, obecnie wielkiego przedsiębiorcy Barucha Wajskopa – gimnazistka Polcia, do której przystawiał się zupełnie bez skrupułów tuż przed wybuchem wojny polsko-bolszewickiej. Jej spojrzenie powoduje, że serce mężczyzny wzbiera dobrze znanym uczuciem winy, wstydu, upokorzenia i takim rodzajem nienawiści, którą czuje się do kogoś, kto śmiertelnie zgrzeszył. Jakaś siła niemal go podrywa i niesie w jej kierunku. Pragnie do niej dopaść, pragnie jej w tej właśnie chwili; chce ją zabić, wymazać ją raz na zawsze ze swojego życia i ze swojego sumienia.

W restauracyjnym ogródku pojawia się ślepy żebrak, stukając po bruku białą laską. Trzyma w ręku blaszaną puszkę, w której grzechocze kilka monet. Jankew go nie zauważa. Niczym zahipnotyzowany zmaga się z magnetycznym spojrzeniem czarnej damy, aż w końcu udaje mu się je przemóc. Wówczas szybko kieruje się ku wyjściu. Przechodząc, zahacza ramieniem żebraka, z którego ręki wypada

laska. Niewidomy, zachwiawszy się, wymachuje rękami i przewraca się. Puszka upada na kamienie. Jankew nic nie słyszy i nie widzi. Ucieka.

Zdaje mu się, że ktoś za nim biegnie. Czuje się odurzony nagłym spotkaniem z czarną damą, ślepym żebrakiem, na którego nawet nie zwrócił uwagi, ale przede wszystkim spotkaniem z samym sobą. Czy naprawdę jest uciekinierem, tchórzem? Czego tak się wystraszył?

*

W robotniczym klubie „Harfa" pokoje są gęsto wypełnione młodymi i starszymi aktywistami, paniami z rozmaitych komitetów, a także sympatykami i przypadkowymi ludźmi. Zgromadzeni posilają się zupą, popijają herbatę, czytają prasę, ale przede wszystkim dyskutują, spierając się na temat stosunków polsko-sowieckich czy stanowiska Bundu wobec Związku Sowieckiego. Ta sprawa grozi partii rozpadem. Rozmowy dotyczą również sposobu walki z endeckimi ekscesami antysemickimi. Dyskutanci nie tyle rozmawiają, ile głośno krzyczą. W sąsiednim pokoju odbywa się próba chóru. *Wi lang, o, wi lang wet ir blajbn wi szklofn*[73], śpiewają chórzyści.

Jankew lubi to swojskie zamieszanie, które zagłusza przykre wspomnienie wcześniejszego spotkania. Przepycha się przez napchany ludźmi korytarz, mija sekretariat wypełniony dymem z papierosów, zaczepia przyjaciół, pytając, czy nie słyszeli czegoś o wolnej posadzie, choćby czasowej. Podchodzi do uchylonych drzwi jakiegoś pomieszczenia bez okien. Zapalona lampa elektryczna wisi nisko nad stołem, przy którym siedzi sekretarz komisji kultury towarzysz Anton Cimerman, nauczyciel Binele. Notuje coś, pochylony nad stosem papierów. W końcu zamyślony podnosi głowę i dostrzega Jankewa.

– Towarzyszu, szukacie czegoś? – pyta.

Wiedziony impulsem Jankew wchodzi do pomieszczenia i zbliża się do stołu.

– Szukam pracy, towarzyszu Cimerman – odpowiada przesadnie głośno i napastliwie. – Jestem tkaczem, ale mogę robić wszystko. Koniecznie muszę dzisiaj coś znaleźć. To pilne, bo dzisiaj biorę... zawieram... Żenię się dzisiaj z Binele, waszą uczennicą.

Cimerman przygląda mu się uważnie i dopiero po chwili zdecydowanym ruchem wyciąga do niego muskularną dłoń.

– Wszystkiego najlepszego.

Sposób, w jaki Cimerman mówi, siedzi i wykonuje najdrobniejszy ruchy, zdradza skrywaną siłę. Mężczyzna emanuje narzuconym sobie spokojem i wewnętrzną dyscypliną. W atmosferze, która go otacza, w pewnym napięciu towarzyszącym

[73] (jid.) *Jak długo będziecie niewolnikami?* Pieśń napisana przez Dawida Edelstadta (1866-1892), żydowskiego anarchistę. Zob. http://yidlid.org/chansons/vakht-oyf/index.html

spotkaniom z ludźmi, daje się wyczuć jego energiczną naturę. Wyklucza ona jakąkolwiek przyjacielską relację i czyni go autorytetem. W jego obecności ludzie czują się niepewnie, a on zdaje się o tym wiedzieć. Dlatego, rzekomo po to, aby zejść z piedestału, uparł się, że nauczy czytać i pisać towarzyszy analfabetów. Pracę tę mogliby wykonać inni, gdyż niewielu tu takich, którzy mogą się z nim równać pod względem zdolności organizacyjnych czy wiedzy i erudycji. Ale on, żartując, powtarza, że jego praca nauczycielska daje lepsze rezultaty niż inne aktywności partyjne.

Nawet ubrania, które nosi, stosowne i zapięte na ostatni guzik, sprawiają wrażenie za ciasnych, jakby były czymś w rodzaju pancerza. A mimo to wygląda elegancko w znoszonym, szarym garniturze i białej koszuli z kołnierzykiem. Nosi krawat – rzecz zupełnie nieproletariacka, jakby wiążąc go ściśle na szyi, również próbował okiełznać swój dynamizm. Jankew czuje się niepewnie, jakby nieco mu zazdrościł.

Cimerman podnosi wiszącą na ścianie słuchawkę telefonu. Jankew słyszy, jak mówi do kogoś po polsku:

– Posyłam ci człowieka, aby posprzątał klasy. To zajęcie tymczasowe. – Odwiesza słuchawkę i w końcu zwraca się do Jankewa z wyrazem kwaśnego uśmiechu na twarzy. – To posada tymczasowa. W szkole dla niewidomych dzieci.

– Niewidomych? – pyta zaskoczony Jankew. Ale od razu przypomina sobie, że Cimerman jest dyrektorem Instytutu dla Niewidomych Dzieci[74]. Wprowadził go na to stanowisko Izrael Lichtensztajn[75], przewodniczący partii w Łodzi, przyjaciel Cimermana i przewodniczący komisji kultury, sam nauczyciel głuchoniemych dzieci.

– Tak – odpowiada Cimerman. – To mój prezent dla was, towarzyszu...

– Nazywam się Polin, Jankew Polin.

– Stajecie dzisiaj pod chupą?

– Nie, urządzamy imprezę w domu Wowy Cederbojma. – Jankew zauważa, jak Cimerman odrywa kartkę z notesu i zapisuje na niej adres Instytutu dla Niewidomych Dzieci. – Nie wiem, jak wam dziękować, towarzyszu Cimerman – wyrzuca z siebie, biorąc karteczkę.

– Ale ja wiem – odpowiada Cimerman, wciąż pochylając głowę nad trzymaną w rękach kartką. – Zaproście mnie i moją żonę na uroczystość. W końcu Binele to moja uczennica i to w dodatku bardzo pilna.

Jankew otwiera usta i przełyka długie milczenie. Wowa Cederbojm nie lubi Cimermana. Mimo to Jankew przełamuje się i mówi ciepło:

---

[74] Szkoła dla Niewidomych powstała przy Łódzkim Towarzystwie Niesienia Pomocy Głuchoniemym Ezrat Ilmim w 1910 r. z inicjatywy Izraela Lichtensteina (Lichtensztajna), mieściła się przy ul. Zielonej 23.

[75] Izrael/Isroel Lichtenstein/Lichtensztajn (1883-1933) – działacz robotniczy. Urodził się w rodzinie biednego mełameda, ale ukończył seminarium nauczycielskie. Jako młody człowiek związał się z żydowską partią socjalistyczną Bund i był jej aktywnym działaczem. W niepodległej Polsce był wielokrotnie radnym miejskim i bronił interesów robotników żydowskich w łódzkim samorządzie.

– Towarzyszu Cimerman, to będzie zaszczyt, naprawdę. – Ujmuje dłoń wyciągniętą ku niemu i potrząsa nią z przesadnym zapałem.

Zanim uda się do Instytutu dla Niewidomych, wpada do Cederbojmów. Chce zobaczyć, jak postępują przygotowania do uroczystości. Ma nadzieję, że spotka tam Binele.

Pochylony domek Cederbojmów, usytuowany w pobliżu Łódki, posiada tylko jedną izbę o dwóch oknach z małymi szybkami. Wydeptane schody prowadzą ze śmierdzącej uliczki wprost do pokoju. Tylne drzwi wiodą przez niewielki korytarz na podwórko. Z tego właśnie korytarzyka drewnianymi schodami można zejść do piwnicy, gdzie znajduje się redakcja i drukarnia bundowskiego tygodnika „Derwachung”[76].

Izba jest dość duża. Ściany z dykty wyznaczają kąt, w którym znajduje się kuchnia. Dwa warsztaty tkackie przy każdym z okien również zajmują w niej sporo miejsca. Resztę przestrzeni wypełnia duży stół z drewnianymi krzesłami, komoda, łóżko, dwie kołyski i wielka szafa ubraniowa. Poza tym każdą wolną przestrzeń przy ścianach zajmują tam jeszcze piętrowo poustawiane skrzynki po pomarańczach pełne książek. Wsparte o taką konstrukcję leżą paczki z gotowymi szpulkami przędzy.

Sznurek obwieszony pieluszkami ciągnie się ukośnie z jednego kąta mieszkania do drugiego. Krzyżuje się z nim drugi, biegnący z innych kątów izby – na tym schną dwie męskie koszule, sztuki męskiej bielizny, szeroka halka i szeroka suknia kretonowa na wieszaku. W każdym kącie izby i na ramach warsztatów tkackich poniewierają się książki, żurnale i stosy gazet.

Mimo to wydaje się, że każda rzecz znajduje się tutaj na właściwym miejscu, jakby w tym bałaganie panował jakiś porządek. Izba jest jasna i czysta. Ściany pokrywają świeże tapety w żółte wzory, i nie przeszkadza to, że położono je krzywo i niefachowo. Na ścianie koło warsztatu Wowy wiszą w ramkach wycięte z gazety zdjęcia obu bundowskich przywódców: Bejnisza Michalewicza[77] i Władimira Medema[78]. Na ścianie za pomocą pinesek zostały powieszone również inne kawałki wycięte z gazet, a wśród nich: fotografia wielkości połowy gazetowej strony przedstawiająca orkiestrę dętą z wychowankiem Cederbojmów Joselem

---

[76] (jid.) *Przebudzenie*. Nie udało się ustalić, czy takie pismo w Łodzi wychodziło. Prawdopodobnie autorka celowo zmieniła nazwę.

[77] Bejnisz Michalewicz (Józef Izbicki, 1876-1928) – działacz Bundu, pedagog i publicysta. W okresie międzywojennym był współtwórcą i przewodniczącym Centralnej Organizacji Szkolnictwa Żydowskiego (CISZO).

[78] Włodzimierz Medem (właśc. Władimir Grinberg, 1879-1923) – jeden z przywódców i teoretyk Bundu, działacz społeczny i polityczny, który walczył o powołanie szkół i placówek oświatowych. Współinicjator CISZO.

i jego trąbką w drugim rzędzie. Nazywają go Josel Trębacz. Chłopak, syn bałuckich żebraków i złodziei, mając dziesięć lat zakradł się do domu Balci i Wowy, aby coś złowić, i tak już został tam na stałe. Wowa i Balcia wykształcili go na tkacza i trębacza bundowskiej orkiestry dętej.

Na widok wchodzącego Jankewa, Wowa i Josel Trębacz, któremu zaczyna już rosnąć bródka, nie przerywają pracy przy warsztatach. Obaj w rozpiętych koszulach z podwiniętymi rękawami siedzą przy krosnach, nieustannie przerzucają czółenko i stukają ramami, w których przędza nawija się na szpulki. Energicznie poruszają pedałami, przyciskając je do samej podłogi, jakby obaj byli wirtuozami pianina, którzy grają Chopina i nie chcą się pomylić. Ich spocone czoła błyszczą. Po nieogolonych policzkach spływają strumyki potu.

Przy Wowie w kołysce leży Gabi, najmłodszy synek Cederbojmów. Energicznie porusza nóżkami i perlistym głosem gaworzy w takt muzyki ojcowskiego warsztatu.

Zza dykcianej ścianki, która oddziela kuchnię od pokoju, wydostaje się cienka smuga dymu wymieszanego z zapachem smażonego oleju rzepakowego. Jankew zagląda tam. Rozgrzana Balcia ze spoconym okrągłym obliczem, z włosami zawiniętymi na bibułki i przewiązanymi kawałkiem sznurówki, stoi opierając się wielkim brzuchem o kuchenny stół i zagniata ciasto. Przy drugim krańcu stołu siedzi towarzyszka Hanka, sekretarka redakcji „Derwachung", i coś zapisuje.

Towarzyszka Hanka jest drobna, delikatniej budowy. Jej twarz o szlachetnych rysach i cienkich wargach ma wyraz powagi i skupienia. Jest w wieku Balci, ale ma w sobie jakiś dziewiczy – albo lepiej rzecz ujmując – staropanieński wdzięk. Rzadko kiedy się uśmiecha, jakby brzemię niesienia socjalizmu cierpiącej ludzkości spoczywało tylko na niej. Jej ciemne, proste włosy są zaczesane nad czołem na męską modłę i tylko jedno ich pasmo, niczym nuta na papierze w pięciolinię, przykrywa cienkim lokiem połowę cienkiej linii zmarszczek nad brwiami. Mimo szlachetnych rysów i kształtnej figury nikt z towarzyszy nie pomyśli nawet, że tak naprawdę Hanka jest piękna. Ludzie mają do niej dystans podobny do tego, który ma się wobec zakonnic, chociaż ona uważa się za nowoczesną i wolną kobietę. I właśnie dlatego każdy rodzaj flirtu uważa za obyczaj burżuazyjny i dekadencki.

Gdy Hanka podnosi głowę i dostrzega Jankewa, na jej twarzy zakwita rumieniec, a grymas niezadowolenia udaje uśmiech. Kobieta grozi mu palcem i szybko ponownie zanurza wzrok w notesie.

W kuchni są jeszcze dwie inne towarzyszki. Jedna, całkiem jeszcze młoda, ma na sobie fartuch zawiązany wokół talii i stoi przy piecu, w którym buszuje prawdziwy ogień, smażąc placki kartoflane. Spogląda na Jankewa wesołymi oczyma i pyta:

– Chcesz placka, towarzyszu narzeczony?

Druga młoda dziewczyna, zajęta czymś przy półce z zastawą, proponuje:

– Może głowę śledzia, towarzyszu narzeczony?

Jankew czuje wzbierający głód. Jest gotów połknąć całego śledzia razem z patelnią pełną placków. Ale nie może. Musi poczekać na Binele. Macha ręką

w kierunku kobiet. Ale nim zdoła się od nich odwrócić, Balcia, wokół nóg której plącze się starszy synek Herszko, informuje go:

– Binele dopiero co tu była. Narobiła sobie pęcherzy na stopach od chodzenia w butach na obcasach, więc odesłałam ją do domu, aby je wymoczyła. Sądzisz, że łatwo mi to przyszło? Zbieraj siły, towarzyszu narzeczony, bo bierzesz za żonę kobietę tak upartą, że nie przemożesz jej przy pomocy osiemnastu wołów.

– Ale jedna Balcia wystarczy! – odpowiada Jankew. I stojąc pomiędzy kuchnią i pokojem, oznajmia: – Towarzysze, dzisiejszego wieczoru będzie u nas gościć kierownictwo! Odwiedzi nas Anton Cimerman z żoną! – Potem Jankew podchodzi do Wowy i klepie go po ramieniu. – Słyszałeś, co powiedziałem?

– Nie jestem głuchy – ucina Wowa. – Przyjdzie, to będzie.

– Załatwił mi też pracę na kilka dni...

– Z pewnością napisze o tym w swoich wspomnieniach.

Josel Trębacz pokonując własny entuzjazm, mówi:

– Wowa i ja nie nadskakujemy grubym rybom z kierownictwa, co nie, Wowa? – Zwyczajem chłopca jest rozpoczynanie każdego stwierdzenia od słów: „Wowa i ja".

Wowa wstaje od krosna.

– Czas na wyniesienie mebli! – woła. Wyjmuje kilka banknotów, które miał schowane w rękawie, i wręcza Jankewowi. – Oto twoja wypłata, jeśli byś dzisiaj na coś potrzebował.

Jankew odsuwa jego dłoń.

– Na nic nie potrzebuję. Obrączki już mam. – Wsuwa rękę do kieszeni i bawi się nimi.

– Obrączki! – pohukuje Wowa. – A co to za dziwactwo?

– Święte dziwactwo! – śmieje się Jankew i wraz z Wową biorą się za przesuwanie wielkiego łóżka.

Pomaga im Josel Trębacz.

– Wowa i ja – wykrzykuje – uważamy, że obrączki zaręczynowe to burżuazyjny przeżytek!

W drodze do Instytutu Niewidomych Jankew słyszy w sobie echo ironicznego pytania Wowy i jego śmiech z obrączek. Dlaczego go to boli, skoro on sam się z tego śmieje? Zagłębia się w sobie, myśli o swoim życiu pełnym kompromisów, o tym, że nie ma jasnego pojęcia, czego tak naprawdę chce i czego powinien chcieć jako świadomy socjalista. Jest przecież wolnym człowiekiem, dlaczego więc czuje w sobie jakiś rodzaj wewnętrznej cenzury, która kontroluje jego wypowiedzi i zachowanie? A z drugiej strony dziwi się sobie, że tak myśli. Dzisiaj jest bez wątpienia w szczególnym nastroju. Jest mu przecież dobrze. Ważna i droga jest dla niego przyjaźń i braterstwo tych, którzy razem podążają „do lepszego jutra". Wowa jest mu przecież bliższy niż rodzony brat.

*

W Instytucie dla Niewidomych jest całe mnóstwo podłóg do wyszorowania. Z powodu dzisiejszego święta niewidome dzieci są wystrojone w kolorowe ubranka, aby nacieszyć oczy wychowawców, nie swoje własne. Poruszają się po wielkich pokojach z zaskakującą zwinnością. Do uszu Jankewa dobiega nieustanne stukanie białych lasek, echo słów i śmiechów, które raz brzmią niewinnie, a raz rozbrzmiewają szyderstwem. Ma wrażenie, że z każdego kąta spoglądają na niego oczy niewidomych dzieciaków, które trzymają w pogotowiu swoje białe laski, aby wygrzmocić nimi jego plecy – plecy człowieka pełnego przewiny. Chce się przed nimi usprawiedliwić, że przecież jest jeszcze bardziej niewidomy niż one. Ale jaki to ma sens? Niewidomy i widzący nie mają wspólnego języka. Nie pomaga to, że chłopak próbuje szorować podłogę z zamkniętymi oczyma, aby poczuć to, co one – bo może otworzyć oczy w każdej chwili, kiedy tylko zechce. I to jest właśnie ta otchłań, która go od nich oddziela.

Myśli o dzieciach, które będzie miał z Binele. Modli się, aby miały dobre, zdrowe oczy, aby między nim a nimi zrodziła się nić porozumienia i czułości – jak między nim a jego matką. To właśnie to, co może najbardziej łączyć ludzi – porozumienie i cienka nić czułości. Jak brzmienie skrzypiec. A gdy przypomina mu się czarna dama – pani Pola, zaczyna szybciej pracować szczotką, aż zdrapuje czerń ze swoich myśli.

Z powodu święta Instytut będzie dziś zamknięty wcześniej niż zwykle. Szalenie głodny Jankew wychodzi z budynku i wpada na ożywione ulice. Szybkim krokiem zmierza do domu. Z naprzeciwka zbliża się handlarz balonami, który zakończył już swoją dzisiejszą świąteczną sprzedaż. Światło wieczoru odbija się w ciemnym różu, pomarańczu, fiolecie i seledynie. Wydaje się, że handlarz zanurzył w farbach swój kij z balonami i teraz wydmuchuje z niego kolorowe bańki mydlane: ostatnie balony.

Jankew lubi balony. Nieraz ogarnia go dziecięca ochota, by kupić sobie taki balon i trzymać go na sznurku. Chciałby, aby ten balon po prostu mu towarzyszył. Teraz, w nagłym przypływie dobrego humoru, zatrzymuje goja i kupuje od niego dmuchaną kulę koloru włosów Binele.

„Narzeczony z balonem w ręku" – mruczy i zmierza przed siebie, jakby był postacią na obrazie Marca Chagalla. Wolną rękę zanurza w kieszeni, aby pobawić się obrączkami. Szuka palcami – i niczego nie znajduje. Zawraca. Pewnie zgubił je, myjąc podłogi. Może nawet wówczas, gdy przypomniała mu się czarna dama? A może wylał je wraz z brudną wodą z wiadra?

Brama do Instytutu jest zamknięta. Pusty brzuch Jankewa burczy. Rozkojarzony chłopak odchodzi od bramy. Balon na sznurku opada na wysokość jego ramienia i chwieje mu się przed oczyma. W głowie zaś tłuką się myśli o utracie pieniędzy i pytanie – co powie Binele, kiedy zobaczy go wracającego do domu z balonem i bez obrączek?

Doskakuje do dziewczynki, która stoi w bramie z koszem do połowy pełnym bajgli.

– Proszę, weź balona! – mówi, wciskając balonowy sznurek do jej brudnej rączki, po czym ucieka.

Wchodzi do izdebki na balkonie. Binele spogląda na niego jaśniejącymi oczyma. Właśnie myje się nad miską, szykując się na uroczystość. Jej włosy, rozpuszczone i wilgotne, ciemnorude jak łuna zachodu, który odbija się w okienku izby, częściowo są jeszcze splątane na czubku głowy, a częściowo opadają już na jej ramiona. Pomiędzy ich pasmami, jakby zza rozdartej sieci, jaśnieje jej mokra skóra. Zawstydziwszy się, dziewczyna chwyta ręcznik i przysuwa do piersi. Ręcznik rozwija się niczym zasłona.

– Nie kupiłem obrączek! – Jankew wymyśla kłamstwo na poczekaniu. Chce jak najszybciej pokonać przeszkodę stojącą na drodze i wziąć Binele w ramiona. – Dostałem tymczasową pracę i nie miałem czasu, aby iść je kupić. Jeśli chcesz, to kupimy sobie obrączki w przyszłym tygodniu.

Binele zamurowało, jest niczym rzeźba wykuta z wilgotnego, błyszczącego kamienia.

– Bez obrączek? – wyrzuca z siebie.

On uśmiecha się krzywo.

– No i co? To przecież tylko symbol. Przecież tak czy siak za nic mamy takie rzeczy.

W niej zapala się gniew.

– To ty ich nie poważasz! I nie wygłaszaj mi tutaj deklaracji w imieniu nas obojga, bo nie masz najmniejszego pojęcia, co się dzieje w moim sercu!

W jej sercu szaleje burza. Z powodu narastających podejrzeń, że jest w ciąży, obrączki nabrały dla niej jeszcze większego znaczenia. Pusty żołądek i nudności wzmagają jej gniew. Jankew podchodzi do sprawy ślubu tak lekko, bez zobowiązań. Ona jest gotowa podarować mu całą swoją przyszłość, swoje życie – a on nie wysilił się nawet, aby kupić parę głupich obrączek! Tacy właśnie są mężczyźni! Cypora ma rację. Miłość-szmiłość to według niej wydmuszka, puste słowo. Ich wspólne życie, jej i Jankewa, będzie do niczego. Będzie się trzymać jak sklejone śliną, będzie jak przysięga kłamcy i oszusta! Samolub, nieodpowiedzialny zimny drań – oto, czym jest jej narzeczony, mężczyzna, który rzekomo jest jej przeznaczony!

– Nie będzie żadnego ślubu! – krzyczy.

– A więc nie! – Zdobywa się na odwagę, by zbliżyć się do niej o krok. – Nie potrzebujemy tego!

– Ty... ty tego nie potrzebujesz! Dla ciebie to jak pętla na szyi! Nałożyć na siebie kajdany – oto czym dla ciebie jest ślub!

Jankew przypada do niej, bierze ją w ramiona i szepcze:

– Nie mogę się powstrzymać, muszę cię dotknąć, wziąć w ra...

Binele, usłyszawszy potok banalnie brzmiących słów i poczuwszy na nagiej skórze jego dłoń, staje się czujna na nowy sposób – wraz z żalem do niego

i świątecznym nastrojem, wraz z pragnieniem, by tak trwać w jego objęciach na zawsze. Jest na siebie zła za to, że pozwoliła, by miód jego oczu, miód na jego ustach przyciągnął ją, spowodował, że zapragnęła, by pochłonął ją całą.

Gniew powoli w niej opada, jakby Jankew starł go jedną ręką. Nie widziała go cały dzień. Tyle pustych godzin minęło bez niego. Jej myśli kruszą się, zagłusza je niepokój odczuwany w ciele. Cóż jest teraz ważniejszego, kiedy on tak mocno przyciska usta do jej warg? Jego ręce zaciskają się na pasmach jej wilgotnych włosów. Pozwala mu wyjąć ręcznik ze swoich dłoni i zsunąć z ciała. Jankew jest jej, a ona należy do niego.

Później, w rozpalonej ciszy, Binele słyszy jego pytanie:

– Czy coś dzisiaj jadłaś, Binele?

– Niczego nie miałam w ustach, ty zły chłopcze! – Dziewczyna śmieje się, wzdychając, a przy tym szczypie go w rękę, głaszcze i pieści.

Spóźniają się na własny ślub.

*

W zatłoczonym domu Cederbojmów ludzie stoją dookoła rozmaitej wielkości stołów, ustawionych w długim rzędzie od wejścia aż do wyjścia. Przykryto je szaropopielatymi, mocno wykrochmalonymi, połatanymi obrusami. Otaczają je stołki, stołeczki i wszelakiego rodzaju skrzynki, które skrzypią i trzeszczą. Na nich i obok nich – młode kobiety w długich spódnicach i zapiętych aż po szyję bluzkach o bufiastych rękawach głośno plotkują, śmieją się i zwierzają z rozmaitych tajemnic. Otacza je młodzież męska wystrojona w kamizelki czy rosyjskie rubaszki z paskiem. Pozostali panowie stoją wsparci na krosnach czy pełnych książek skrzynkach po pomarańczach i, aby nie marnować czasu, dyskutują na tematy polityczne.

Binele i Jankew wchodzą tylnymi drzwiami – a wówczas wszyscy zaczynają klaskać i śpiewać. „*Oj, chozn-kale, mazl tow*! Wszystkiego najlepszego dla narzeczonych!".

Ludzie podchodzą do młodych ze wszystkich stron, całują ich i obejmują, potrząsają rękami, szczypią w policzki i wpychają im paczki i paczuszki: prezenty. Zaraz jednak Balcia swoim dużym brzuchem toruje sobie do nich drogę. Niczym matka panny młodej odpycha tłum od zmieszanej pary i uwalnia ich dłonie od prezentów, które każe położyć na krosnach.

Wysoka sylwetka Wowy góruje ponad głowami wszystkich.

– Zróbcie przejście, zróbcie przejście! – mężczyzna grzmi donośnym głosem i przepycha się w kierunku Binele i Jankewa, by wciągnąć ich głębiej do środka pokoju. Jest gładko ogolony. Z jego bujnej ciemnoblond czupryny, posmarowanej brylantyną, sterczą tylko pojedyncze pasma. Ma na sobie jedną z koszul, które wcześnie schły na sznurku. Rozpięty kołnierzyk, wyłożony *à la* Słowacki

na kamizelkę, odkrywa imponujące jabłko Adama na jego szyi i kawałek owłosionej klatki piersiowej. – Towarzysze, zachowujcie się jak ludzie, nie jak świnie! Dajcie przejść! – Długimi ramionami Wowa wiosłuje przez tłum, robiąc drogę dla młodej pary.

Na honorowym miejscu przy stole stoją dwa stare fotele, przygotowane dla nowożeńców. Obleczono je wyblakłym, niegdyś wiśniowym materiałem brokatowym, zdobnym w liczne frędzle. Na prawo od nich stoi Anton Cimerman wraz z żoną. Wśród mężczyzn tylko on – poza narzeczonym – ma na sobie garnitur i krawat, a wśród kobiet tylko ona – poza panną młodą – jest w kapeluszu. Dostrzegłszy zbliżającą się młodą parę, Anton Cimerman pochyla się do przodu. Ujmuje dłoń Binele i trzyma ją w swoich rękach wyraźnie zbyt długo, aż w końcu składa pocałunek na samych czubkach jej spracowanych palców o krótko obciętych, czystych paznokciach.

– Towarzyszu Cimerman, czy pan zaanektował narzeczoną? Jestem przeciw aneksji! – wykrzykuje jakiś okularnik o bladej twarzy i czuprynie niczym lwia grzywa, spoglądając przenikliwym, mądrym wzrokiem: to Lejb Garbus, mistrz Jankewa zarówno w fachu tkackim, jak i w kwestii bundyzmu. Przepycha się ku młodej parze, całuje oboje, ujmuje ich za ramiona i chce posadzić w czekających fotelach. Ale Wowa nie pozwala młodym usiąść. Prowadzi ich po całym pokoju, od jednego gościa do drugiego, aby każdemu dać możliwość złożenia im życzeń i szepnięcia kilku ciepłych słów.

Na końcu Wowa zwraca się do grupy młodych ludzi stojących w pobliżu wyjścia do przedpokoju, mówiąc:

– Chłopcy, no to przynieście baldachim! – Chłopaki znikają w przedpokoju, a po chwili nad głowami zebranych pojawia się rozpostarty czerwony sztandar Frakcji Młodych Związku Tkaczy, przyczepiony do czterech kijków od szczotek. Wowa przekrzykuje hałas i oklaski: – Towarzysze, podkreślam, że to nie jest chupa, to jest baldachim![79]

– *Bald ahin un bald aher* – raz tu, raz tam! – Tłum faluje radośnie wraz z tymi, którzy ten baldachim niosą.

– Towarzysze, nie pchajcie się tak! – Balcia pomaga Wowie kierować tłumem, niosąc na rękach przerażonego synka Gabiego.

Kobieta ma na sobie szeroką sukienkę z kretonu, która za dnia schła na sznurku pod sufitem. Sam sznurek wciąż tam wisi, a na nim kilka pieluszek, które głaszczą głowy wysokich mężczyzn. Teraz pieluszki wyglądają jak chorągiewki powieszone niczym weselne dekoracje. Również Balcia ma coś w rodzaju białej chorągiewki na swoim ciążowym brzuchu: to biały fartuch. Jej szatynowe włosy,

[79] W ten sposób podkreśla, że ślub nie ma charakteru religijnego i nie odbywa się pod chupą, która – zgodnie z tradycją żydowską – była niezbędnym elementem uroczystości związanych z zawarciem związku małżeńskiego.

krótko podcięte i gładko zaczesane nad czołem, z okazji dzisiejszego wieczoru elegancko upięła nad uszami w dwa loki przypominające okrągłe słuchawki telefoniczne. Czyste włosy jaśnieją tak samo jak jej spocona twarz. Kobieta, choć zapracowana, jest radosna i poważna zarazem.

Wowa wyciąga swój długi palec w kierunku chłopców niosących baldachim:

– Postawcie go przy krośnie! Tam, gdzie na ścianie wiszą portrety Medema i Michalewicza, tam go postawcie!

Popycha Binele i Jankewa do przodu i dookoła całej izby tak długo, aż ponownie stają przy wyjściu. Ludzie cofają się, aby uformować szpaler. Każdy chce być jak najbliżej młodej pary, więc szpaler robi się raz szerszy, raz węższy, zależnie od dopływu i odpływu ludzkiej ciżby. Tymczasem w powietrzu rozlega się rewolucyjna pieśń wymieszana z płaczem maleńkiego Gabiego, który chowa się w ramionach mamy.

Herszko, trzylatek Cederbojmów, ciągnie Jankewa za nogawki:

– Jaanke, weź mie na jence! Heszke fce dzidzieć feseje!

Obok stoi Binele w szabesowej błękitnej sukni, faktycznie wyblakłej, ale wciąż jeszcze porządnej i tworzącej dobry kontrast dla jej długich, rozpuszczonych rudych włosów. Buty na wysokich obcasach uciskają jej stopy, ma na nich pęcherze. Ale w tych pantofelkach wydaje się wyższa i szczuplejsza. Spod białego beretu ozdobionego białą woalką spływają na plecy rozproszone włosy – jest niemal tak, jak to sobie wyobrażała, kiedy była małą dziewczynką. Marzyła wówczas, że pójdzie na własny ślub z rozpuszczonymi włosami, długimi aż do samej ziemi.

Jej twarz, skryta za woalką, jest blada, a pełen przejęcia uśmiech wydaje się wyniosły i eteryczny. Piegi zdają się być wplecione w cienką siatkę, przez co robią się niewidoczne. I tylko jej gorące, ostre spojrzenie przenika przez woalkę pełnią swojego blasku. Ma dumnie podniesioną głowę, jednak w środku czuje chaos. Serce mocno bije. W brzuchu burczy. Z napięcia musi zaczerpnąć duży haust powietrza.

Aby zachować równowagę, czyści co chwilę plecy Jankewa z niewidzialnych drobinek kurzu. Cieszy ją jego królewski wygląd. Chłopak ma na sobie swój jedyny, znoszony garnitur z alpaki. Pomięte czubki kołnierzyka koszuli, którą mu wyprała, sterczą do góry po obu stronach węzła kolorowego krawata, który uciska go pod grdyką. Nie lubi krawatów i muszek. Przypominają mu szubieniczny sznur, tak jej kiedyś powiedział. Ale dla niej taki krawat jest symbolem męskiej elegancji. I tak ma żal do niego, że nie miał takiej ochoty jak ona ubrać się elegancko na dzisiejszą imprezę nad imprezami...

Jankew widzi z daleka, że grupa chłopców i dziewcząt popycha Antona Cimermana w kierunku czerwonej „chupy", pewnie po to, aby zabrał głos. Jankewowi, podobnie jak Binele, serce bije coraz szybciej z nerwowego wyczekiwania. Ujmuje dłoń narzeczonej i tak oboje stoją w tłumie nieopodal drzwi. Tłum skanduje, śpiewa, krzyczy. Dzieciaki wrzeszczą.

Wowa pohukuje:

– Towarzysze! Porządek ma być! Cisza! Koniec z tym hałasem! A ty, towarzyszko Balciu, zatkaj dzieciom buzie! Mojsze Sokratesie, gdzie się podziałeś ze swoją poezją? Właź na stołek! Joselu Trębaczu, gdzie twoja trąbka i trębacze z orkiestry dętej? Wy też wskakujcie na stołki! Niechaj się dzieje, zaczynamy!

Binele i Jankew stają na baczność. Balcia wpycha smoczek w usta Gabiego. Wowa bierze Herszka na rękę. Tłum cofa się, ponownie formując szpaler. Zapada uroczysta cisza. Josel Trębacz z dwójką przyjaciół z orkiestry podnoszą trąbki do ust. Chórzystki z „Harfy" formują grupkę, odchrząkują i zaczynają rozśpiewkę.

A tu nagle Binele wybucha:

– Cypora! Nie ma Cypory! – Puszcza dłoń Jankewa i krzyczy: – Bez niej nie zaczniemy!

Zaskoczony tłum jeszcze przez chwilę stoi w milczeniu. Potem zaczyna się gwar.

– Cypora? Jaka Cypora? – Rozlegają się śmiechy i okrzyki, najpierw dość cicho, potem jednak robi się jeszcze gwarniej niż poprzednio.

– Jaka Cypora? – Jankew spogląda na Binele w zdumieniu.

– Moja Cypora – odpowiada dziewczyna zdenerwowana. – Dzisiaj ją spotkałam. Będzie tu lada minuta. Biedaczka pracuje w nadgodzinach.

Jankew wzdycha:

– Umieram z głodu.

– Myślisz, że ja nie?

Tłum, jakby słysząc słowa Binele i Jankewa, zaczyna klaskać i tupać.

– Domagamy się chleba! Jesteśmy głodni! Jeść! Jeść!

Wowa wydaje polecenie:

– Towarzyszki z komisji żywieniowej – masy domagają się jedzenia! Proszę podawać do stołów! – A sam przepycha się do młodej pary, aby dowiedzieć się, kim jest ta ważna Cypora.

Podekscytowane członkinie „komisji" pojawiają się wśród zgromadzonych z talerzami chleba i kiełbasy, placków ziemniaczanych, śledzi z cebulką i półmiskami ziemniaków w mundurkach. Zaczyna się ucztowanie, śmiechy i śpiewy z pełnymi ustami. Ucztujący otwierają puszki z piwem, które buzuje i pryska na twarze i ubrania. Ze wszystkich stron rozlegają się zawołania pod adresem Binele i Jankewa, zgromadzeni wznoszą w ich kierunku pełne kwarty i kieliszki oraz kromki chleba ze śledziem, krzycząc: „*Mazl-tow*! Wszystkiego najlepszego!". Grupka młodych mężczyzn i kobiet wskakuje na stołki i zaczynają tam tańcować. Słychać dźwięki ustnej harmonijki.

Jankew zatrzymuje kobietę, która niesie talerze chleba z kiełbasą, i mówi do niej:

– Dajcie jałmużnę głodnemu narzeczonemu! – Dziewczyna podaje mu cały talerz.

Chłopak podchodzi z talerzem do Binele. Wymieniają radosne spojrzenia i chwytają świeże, dobrze wypieczone pajdy chleba. Binele wypycha sobie usta

jedzeniem, po czym zostawia Jankewa z talerzem, a sama z kawałkiem chleba w ręku wybiega przed drzwi, aby wyglądać nadejścia Cypory. Balcia wychodzi na ulicę tuż za nią.

– Kim jest ta twoja Cypora? – pyta Binele.

– Ona twierdzi, że cię zna z Fajferówki – odpowiada dziewczyna, przeżuwając z zapałem.

– O matko! To na nią czekasz? – Balcię na chwilę aż zamurowało. Przyszedłszy do siebie, pyta dalej: – Czemu ona jest twoja? To rodzina?

Twarz Binele jaśnieje.

– Ona to więcej niż rodzina! Cypora jest... O, biegnie! – I z ostatnim kęsem w ustach rusza przed siebie na powitanie przyjaciółki.

Zasapana Cypora wyciąga rękę w kierunku Binele.

– A niech wszystkich facetów diabeł porwie! Nie dali mi nawet chwili, abym mogła doprowadzić się do porządku! – mówi zasapana.

A jednak jest całkiem elegancka – w ładnej sukni, skrojonej według najnowszej, śmiałej mody: bordowej, wokół stanu przyozdobionej błyszczącymi guzikami, z wachlarzami krótkich falbanek nad kolanami. Spod niej wystają chude kolana, a także nieco zbyt mocno wygięte stopy w czarnych fildekosowych pończochach i czarnych lakierkach na wysokich obcasach. Pod pachą ma błyszczącą torebkę wyhaftowaną posrebrzanymi, szklanymi paciorkami. Na wyondulowanych blond włosach, dopiero co ufryzowanych specjalną karbownicą, spoczywa „złodziejski" kapelusik ostatniej mody, tak mocno nasunięty na bakier, że niemal przesłania jej całe lewe oko. Prawe oko, podkreślone grubą, czarną kreską, wygląda jak podbite. Cała twarz została dopiero co umalowana grubą warstwą różu i pudru. Kobieta, radosna i podniecona, nieustannie sapie z przejęcia.

– Czekamy na ciebie, chodź szybko! – Binele podbiega do niej.

– Czekaj! Zniszczysz mi makijaż! – Cypora odpycha ją od siebie, ale pozwala prowadzić się za rękę. Wysokie obcasy jej butów stukają głośno na kamieniach. Tracąc równowagę, co chwilę potyka się i prostuje, po czym podąża za pędzącą Binele.

Zamiast powitania Balcia kiwa głową na widok Cypory:

– Nie wiedziałam, że znasz się z Binele.

Cypora dumnie zadziera głowę.

– Wielu rzeczy o mnie nie wiesz. – Binele chce zaciągnąć ją do domu, ale Cypora zatrzymuje się. – Zaczekaj chwilę! Pozwól, niech ci się przypatrzę! – Taksuje Binele niezadowolonym spojrzeniem znawczyni, po czym poprawia beret z woalką na jej głowie. – Ubrałaś się tak bez gracji! To chociaż tę czapkę noś odrobinę na bakier. Będziesz wyglądać nowocześniej! – Mówiąc to, wyciąga szpilkę ze swoich włosów i przypina nią beret do fryzury Binele.

Binele jedną ręką ciągnie Cyporę do domku, a drugą poprawia beret na głowie.

– Cypora przyszła! – krzyczy do tłumu.

„Cypora przyszła!" – z ust do ust niesie się radosny okrzyk. Wszyscy pchają

się w stronę drzwi, aby obejrzeć tę tajemniczą Cyporę i zobaczyć, co tak błyszczy z daleka. Z okolic drzwi dobiegają okrzyki zachwytu i gwizdanie.

Starsza pani z komitetu kobiecego, wynurzając się z kłębowiska obok drzwi, potrząsa podwójnym podbródkiem. „Widać jej całe krzywe nogi. Straszne to i wulgarne. Czy ta fanfaronka to nasz człowiek?". Pozostali goście tłoczą się małymi grupkami dookoła Cypory, wymieniając z nią żarty. Dzięki temu dziewczyna od początku czuje się swojsko, na luzie.

Jankew i Binele ponownie stoją obok drzwi, gotowi na rozpoczęcie ceremonii. Cypora przepycha się do nich i dobrze przygląda się Jankewowi.

– Oto on – mocno przejęta Binele uśmiecha się w jej kierunku. – Mój Jankew.

– Tak, przecież widzę. – Cypora kiwa głową ze znawstwem i, jakby Jankew był manekinem, cały czas dokładnie taksuje go z góry na dół.

– Przyjaciele Binele są moimi przyjaciółmi. – Jankew podaje jej dłoń, gotów się z nią wycałować.

Kobieta jednak odsuwa go od siebie obiema rękami.

– Uważaj na mój makijaż.

Wowa daje znak:

– Towarzysze, zaczynamy od początku! Joselu, gdzie się znowu podziałeś ze swoją orkiestrą dętą? Gdzie jest Mojsze Sokrates i jego wiersze, no i gdzie jest chór z *Dziewiątą Symfonią*?

Wkrótce na trzech krzesełkach wyrasta trzech trębaczy. Układają usta w dziubek i dmuchając w swoje trąbki, wydają kilka ogłuszających dźwięków, po czym rozpoczynają melodię *Dziewiątej Symfonii*. Chórzystki zaczynają śpiewać *Odę do radości*.

– Idźcie! – Wowa popycha do przodu Binele i Jankewa.

Binele i Jankew przesuwają się w rytm energicznej muzyki *Ody do radości*, chociaż ich powolne i niezdarne kroki jakoś nie mogą się do tej energii dopasować. Z każdym krokiem wyobraźnia podsuwa Binele różne parodystyczne obrazy z całego życia. Rozwija się ono niczym postrzępiony, krzywy chodniczek, a ona kroczy po nim pięknie ubrana i drżąca. Jej serce jest tak pełne, że kiedy dociera do baldachimu z chorągwi, pada w objęcia Jankewa. Trąbki grają ponownie. Mojsze Sokrates odczytuje poemat ku czci młodej pary. Do Binele i Jankewa nie dociera ani słowo z tego utworu, tak bardzo są sobą zajęci. Przytuleni stoją pod baldachimem jakby byli sami, z dala od tłumu.

Chór przestał już śpiewać, zamilkły również trąbki. W panującą ciszę nienaturalnie ostro wdziera się rozgwar ulicy. Aż rozlega się głos Antona Cimermana, który głośno i uroczyście zwraca się do młodej pary i do zgromadzanych:

– Nasz ruch, towarzysze, nie zdołał jeszcze stworzyć tradycji obchodów różnych ceremonii i obyczajów, takich jak na przykład świętowanie żydowskiego ślubu na świecki sposób. Ale tradycja taka powstanie, jeśli będziemy takie uroczystości świętować jutro i pojutrze – jak czynimy to dzisiaj. Tak, towarzysze, związek dwojga ludzi, którzy się kochają, to największa i najwspanialsza sprawa...

Najpiękniejszy ideał. We współczesnym społeczeństwie, w świecie kłamstwa i zbrodni, tworzenie domu i gniazda miłości, jest wielkim zwycięstwem nad wrogością, jaka wciąż drzemie w ludziach! Nasze żydowskie, proletariackie, ubogie domy, o ile zadbają o to, by nie zburzył ich otaczający świat, warunki społeczne i ekonomiczne, głód i bieda, upokorzenie i uprzedzenia rasowe, o ile pozostaną czyste i uczciwe w harmonijnej, codziennej egzystencji, będą wielkim krokiem naprzód, ku światu pokoju i szczęścia, do którego wszyscy dążymy! I w tym duchu, towarzysze...

W tej właśnie chwili rozlega się na ulicy dźwięk dzwonów bijących na trwogę. Jadące po bruku wozy strażackie słychać coraz głośniej, ostrzej, bliżej. Oczy wszystkich kierują się ku oknom, przez które wyraźnie widać czerwień rozlewającą się po nocnym niebie. Anton Cimerman stoi bez słowa, patrząc na zebranych niespokojnym wzrokiem.

– Pali się! – krzyczą chórem zgromadzeni i rzucają się ku drzwiom, by wysypać się tłumnie na ulicę. Binele i Jankew, wciąż jeszcze przytuleni do siebie, wychodzą frontowymi drzwiami razem z Balcią i Wową, którzy prowadzą dzieci za rękę. Na ulicy panuje harmider. Dym drapie w gardła.

Knajpa żydowskich furmanów stoi w ogniu. Cypora przybiega z informacją, że ogień podłożyli nieżydowscy szajgece[80]!

Binele drży na całym ciele. Ściska dłoń Jankewa w swojej i szepcze:

– Przecież wiesz. Urodziłam się pod znakiem ognia. Gdy przyszłam na świat, również szalał ogień... w Bocianach.

*

Kilka dni później Binele i Jankew idą do fotografa, aby zrobić zdjęcie „na wieczną pamiątkę" tej najważniejszej w ich życiu ceremonii. Jedną z tych fotografii młoda para wsuwa do koperty i dołącza do listu wysłanego rodzinie w Bocianach. W liście tym informują bliskich, że oni – Jankew i Binele – związali się węzłem małżeńskim u rabina w Łodzi, stając się mężem i żoną.

Drugą fotografię każą pokolorować i umieścić w ramce, po czym zawieszają nad „deską do spania" w swoim mieszkalnym „namiocie".

---

[80] Szajgec (jid.) – łobuz, psotnik, hultaj, łajdak, słowo używane początkowo zarówno w odniesieniu do Żydów jak i nie-Żydów, z czasem zaczęło oznaczać tylko nie-Żyda.

Rozdział piąty

W ten dziwny sposób Miriam wróciła do rzeczywistości. O wiele wyraźniej widziała to, co przemknęło przez ekran jej wspomnień niż na jawie. Najlepiej było jej z zamkniętymi oczyma. Oślepiające światło wiosennego poranka zbyt mocno kłuło w oczy. A może tylko się jej wydawało, że ma oczy zamknięte? Jak mogłaby widzieć tak wyraźnie i z takimi szczegółami wszystko to, co widziała? Chyba że ludzkie oczy widzą cały czas, otwarte czy zamknięte.

Tam, gdzie była Miriam, wciąż jeszcze trwał ten sam dzień. Musiała być bardzo ostrożna z tym dniem, musiała schować go za swoimi myślami jak za zasłoną, zupełnie jak chowa się klucz do skarbu. Ten dzień był kluczem do szafy jej pamięci. Teraz bała się otworzyć tę szafę w oczekiwaniu, że wysypią się z niej skarby i ją przygniotą. Zrobi to innym razem, gdy poczuje się silniejsza. Z kłębowiska przypadkowości wyjmie wówczas jeden skarb po drugim, odkurzy je i uporządkuje. Chronologia była ważna. Oznaczała dopasowanie się do historii. A także – zwrot ku bezpieczeństwu, zdawanie rachunku i ponowne odczuwanie niepowtarzalności swojego ja. Porządek był sznurem napinającym jej żagiel. Musi się go uchwycić, aby wypłynąć z beznadziei, z chaosu pozaczasowości, niezależnie od tego, czy odnajdzie sens, czy też nie.

W chwilach pełnej jasności wiele myślała o tym, co jej ojciec, Jankew, powiedział w kryjówce w getcie na temat legend. Stwierdził wówczas, że wyłuskiwanie ziarna prawdy z legend nie ma sensu, ponieważ tak czy siak nie da się przekazać prawdy dokładnie takiej, jaką ona jest faktycznie. Nawet tak zwani pisarze historyczni, mówił, jedynie tworzą nowe legendy. Przerażała go myśl, co zrobią z żydowskim nieszczęściem XX wieku, dla opisania którego brakuje słów – nawet jeśli zgromadzą całe mnóstwo dokumentów i świadectw. Co będą wiedzieli o specyficznej atmosferze, o powietrzu, które unosiło się

nad każdym wydarzeniem, skoro nawet ci, którzy byli świadkami, nie potrafią go odtworzyć. Każdy człowiek, argumentował, może przekazać prawdę jedynie w sposób subiektywny. Rousseau sądził, że historia to sztuka wybierania spośród wszystkich kłamstw tego jednego, które jest najbardziej podobne do prawdy.

Tymi słowami ojciec dał jej wolną rękę do wczuwania się w „prawdę" życia jej rodziców, postrzegania ich zarówno z perspektywy ich dziecka, jak i osoby z zewnątrz. Mogła wczuwać się w ich własną prehistorię, której „prawdę" wchłaniała w siebie – by tak rzec – przez osmozę.

Obecność doktora Vanderhaeghe zdenerwowała ją, podobnie jak i to, że nagle odkryła, iż jakieś dwie chore dziewczyny, rozmawiające ze sobą mieszaniną polskiego i rosyjskiego, zajmują prycze w jej pokoju.

A mimo to doktor Vanderhaeghe coraz bardziej przypominał jej Abraszę, chociaż on i Abrasza w ogóle nie byli do siebie podobni. Doktor Vanderhaeghe był o wiele młodszy od Abraszy i był od niego wyższy. Ponadto nosił okulary, podczas gdy jej przyjaciel zaczął je nosić dopiero pod koniec pobytu w getcie, kiedy zachorował na kurzą ślepotę. Być może ich podobieństwo brało się z tego, że obaj używali okularów, aby lepiej widzieć w ciemności?

Dzisiaj znowu wpadła w świat halucynacji. Doktor Vanderhaeghe ujął jej ciężką głowę w swoje delikatne, szlachetne, młodzieńcze dłonie i odwrócił ją ku oknu. Za oknem ujrzała dwie osoby ubrane w szaro-białe pasiaki obozowe. Krótkie włosy na ich pokrytych plamami czaszkach muzułmanów były ostro nastroszone niczym szczecina. Machały do niej przez szybę.

– Kim one są? – usłyszała pytanie skierowane do niej. Nie rozpoznała, czyj głos je wypowiedział.

Była w obozie koncentracyjnym. Musiała podpełznąć bliżej, aby stwierdzić, kim są te dwie kobiety. Miały jej do powiedzenia coś bardzo ważnego. Może prawdą jest, że Armia Czerwona zbliża się do Berlina?

I nagle je rozpoznała.

– Mamusiu! Malko! – zawołała z radością. – Czy Hanka i Sorka są z wami za tą szybą?

– Nie – odpowiedziała Balcia Cederbojm. – Sorka ma dur brzuszny, a nie zapalenie opon mózgowych, zaś Hanka zmarła.

– Hanka? Która Hanka?

– Hanka, matka Sorki.

– Nieprawda! Ona przeżyła. Była na weselu moich rodziców!

Balcia uparcie kręciła głową.

– Nie, uratowałyśmy się tylko ja i Malka. Wiesz przecież, co stało się z Wową. Herszko zaginął gdzieś w Rosji, a Gabiego zabrano ode mnie siłą na rampie kolejowej w Auschwitz. Musisz jeszcze raz zapytać Abraszy, czy go gdzieś nie spotkał po wyzwoleniu.

– To już po wyzwoleniu?

– I co z tego, nie dla nas. My wciąż jesteśmy zamknięte za tą szybą.

– A ja? Ja nie jestem zamknięta?

– Oczywiście, że nie. Ty masz tyfus.

Nagle Miriam rozpoznała głos doktora Vanderhaeghe.

– Kim one są? Przychodzą tutaj kilka razy dziennie.

Pytanie to wprawiło ją w gniew. Dlaczego on miesza się w nie swoje sprawy? Między ślepym a widzącym nie ma wspólnego języka. A mimo to dla samej uprzejmości uśmiechnęła się blado.

– To „mamusia" ze swoją córką Malką.

Doktor Vanderhaeghe zdawał się zaskoczony. Długo trwało, zanim wyszeptał:

– Ocaliłaś ją... Swoją matkę?

– Czasami tak mi się wydaje.

– Rozmawiam z nią codziennie. Przychodzi do mnie tam, na zewnątrz, i pyta, jak się masz. Niedługo jej powiem, że czujesz się lepiej i że już nie grozi ci niebezpieczeństwo.

– Lepiej jej nie okłamuj. Już dość jej nakłamano.

– Powiem jej prawdę.

– Skąd wiesz, że znasz prawdę?

– Powiem jej, że dzisiaj rozpoznałaś ją po raz pierwszy.

– Rozpoznałam kogo?

– Twoją matkę.

– Gdzie ona jest?

– Przecież patrzysz na nią.

– Patrzę na „mamusię" i na Malkę.

– Ile ona ma lat? Może spotkałaś w obozie kobietę, która nazywała się Rena Birencwejg?

– Nie, panie doktorze. „Mamusia" nie nazywa się Birencwejg. Ona nazywa się Cederbojm.

– Rena Birencwejg to nazwisko mojej matki.

– A moja matka nazywała się Binele. Binele Polin.

– Czy w waszym obozie było dużo starszych kobiet?

Nagle Miriam poczuła się bardzo zmęczona.

– Nie – westchnęła. – Balcia jest tylko o kilka lat starsza od mojej matki. Miała już Herszka i Gabiego, kiedy moja mama wyszła za mojego ojca. Nazywam Balcię „mamusią", bo tak Abrasza zaczął ją nazywać w kryjówce w getcie... A Hanka, mówił, nie jest przybraną matką Sorki, lecz matką do wygłupów.

Zasłona opadła na oczy Miriam. Powieki stały się ciężkie i jedynie przez małą szparkę spoglądała na dwie skurczone postaci w obozowych pasiakach, które zaglądały do niej przez szybę. A potem zapadła w drzemkę.

Obudził ją świergot ptaków. Na zewnątrz było jeszcze ciemno. Przyglądała się, jak wstaje dzień. Potem stało się dla niej oczywiste, że dzień już jest. Znowu ujrzała

Balcię i Malkę zaglądające przez okno, nie tyle je same – ile ich odbicie. Stały bez ruchu, jakby po to, by mogła odczytać z ich twarzy to wszystko, co i tak przecież wiedziała. Nagle twarz Balci rozdwoiła się i obok niej pojawiło się drugie oblicze – Wowy.

– Pamiętasz noc w ukryciu, Abraszo, kiedy przyszła kolej, by Balcia i Wowa opowiedzieli historię swojego życia? Wowa. Jak wyglądał zaraz po ślubie mamy i taty?

*

Widzę go, jak siedzi przy krośnie obok okna w swojej chałupie nad rzeką Łódką. Pracuje z odorem rzeki-rynsztoku w nozdrzach, trzymając rękę na pulsie życia. Stukanie jego warsztatu tkackiego jest częścią hałaśliwego rytmu Bałut, czyniąc jego „marsz z ludzkością" czymś konkretnym.

Młody, wysoki, chwacki Wowa o szczupłej, męskiej twarzy o ostrych rysach, z rozwichrzoną grzywą włosów przypominających siano, z metalicznoszarymi oczami skrytymi pod wystającym czołem. Jego natura jest obca naturze Jankewa – ale bliski jest mu w swojej braterskiej postawie i prostocie – surowej, czasem nawet grubiańskiej, która otula jak szorstki szal wszystko to, co delikatne w jego wnętrzu. Za to Binele rozumie się z nim bardzo dobrze. Bardzo go ceni i lubi jego żarty, żołnierski sposób mówienia i gwałtowny, głośny śmiech. Według niej on tylko stara się robić takie wrażenie, że jest oschłym, twardym człowiekiem, pozbawionym sentymentów, a w gruncie rzeczy jest uczuciowy, lecz boi się śmieszności. Ale jej, Binele, nie oszuka. Bo czy ona sama nie próbuje odgrywać podobnej roli, aby ukryć swoje słabości, miękkość i emocjonalność?

Wowa zarabia tyle co na wodę do ugotowania kaszy, chociaż jest wspaniałym tkaczem, a tkanie jest jakby naturalnym odruchem jego ciała, przychodzi mu tak łatwo, jak innym ludziom poruszanie członkami. Ale myślami jest daleko od krosna. Potrafi oderwać się od pracy na całe godziny, spóźnić się z dostawą, stracić klientów i kręcić się bez pracy tak długo, aż znajdzie nowe zatrudnienie.

Jego krosna są nieustannie obstawione książkami, czasopismami, broszurami, papierem, a on ma zawsze ołówek zatknięty za ucho, aby mógł pracować nad „tezami" na zebranie i nad artykułami na tematy organizacyjne, które porusza na szpaltach „Derwachung". Kiedy w swoich rozważaniach natrafia na jakiś problem i jego „marsz z ludzkością" ulega przyhamowaniu, wówczas, pogrążony w rozmyślaniach, zapala papierosa.

Odkłada go, zapominając o nim, zapala drugiego, po czym oba kopcą się na ramie krosna, obficie upstrzonej brązowymi plamami po niedopałkach, a on zapala trzeciego.

Potem wskakuje na ramy krosna. Wyciąga książkę z pudełka po pomarańczach, bierze paczkę z gazetami i magazynami, rozkłada to wszystko na pokrywie bidła[81] i przeszukuje druk małymi oczyma. Zanurzony w kłębach dymu siedzi tak długo, aż znajdzie rozwiązanie problemu, który go dręczy. Wówczas, zadowolony z siebie, zaciera wielkie, twarde dłonie i dopisuje linijkę, dwie do swojego artykułu. Potem pracuje jakiś czas przy krośnie, aż niecierpliwość znów oderwie go od warsztatu. Wówczas chwyta artykuł i zbiega z nim do piwnicy, gdzie znajduje się redakcja „Derwachung". Pokazuje swój tekst redaktorowi Lejbowi Garbusowi. I dopiero tam na dole wdaje się w dyskusje z Lejbem, redakcyjną sekretarką – towarzyszką Hanką oraz drukarzem na temat praktycznych i taktycznych sposobów wejścia na prostą drogę do socjalizmu nie tylko w Polsce, ale na całym świecie.

Polityka światowa jest dla Wowy polityką domową, jego domową kuchnią, w której szykuje recepty dla uzdrowienia ludzkości. Ludzkość jest dla Wowy czymś namacalnym, kimś bliskim w potrzebie, a jego moralnym obowiązkiem jest wyciągnąć do niej braterską dłoń.

Wowa uważa się za żołnierza wyzwolicielskiej armii o wysokich zasadach moralnych. I jako żołnierz wymaga dyscypliny od siebie i od innych. Ale ponieważ jest też świadomym demokratą, nienawidzi ślepego wypełniania rozkazów płynących z góry. Nie ufa nawet najbardziej kryształowym przywódcom partyjnym i bacznie ich obserwuje. Według niego oni wszyscy odpowiadają przed nim, szarym szeregowcem. Gdy ma coś do powiedzenia któremuś z nich, mówi o tym bez wahania, w ostrych słowach przyozdobionych najpiękniejszymi perłami jego ciętego bałuckiego języka. Wowa nikomu się nie kłania w uniżony sposób i nikomu też nie oddaje szczególnej czci. Przesadny respekt pachnie mu pochlebstwem i brakiem szacunku dla siebie.

„Jestem *Amcho-Szer-un-Ajzn*[82]", wyjaśnia. „A taki *Amcho-Szer-un-Ajzn* nikomu się nie kłania!".

Tak więc przywódcy partyjni czują przed nim trwożny respekt, rodzaj chłodnego, nieświadomego szacunku dla jego prostolinijności i uczciwości, co powoduje, że on – „głos ludu" – sam odgrywa rolę kogoś w rodzaju przywódcy, sędziego generałów.

Ale wybrańców z grona przywódców partii Wowa nigdy nie krytykuje. Do tego grona należą przede wszystkim Bejnisz Michalewicz i Władimir Medem.

---

[81] Bidło – skrócona nazwa mechanizmu bidłowego w krośnie, który wykonując ruch wahadłowy, dobija każdy wprowadzony wątek do krawędzi tkaniny. Pokrywa bidła jest drewnianą belką o mniejszym przekroju niż belka bidła.

[82] *Amcho-szer-un-ajzn* – dosłowne znaczenie to: „Twój naród, nożyczki i żelazko". Wyrażenie takie w wersji *„Undzer folk, szer un ajzn"* wielokrotnie powtarza bohater komedii Szolem-Alejchema *Dos grojse gewins* (*Wielka wygrana*, 1915), podkreślając swoją przynależność do przedstawicieli krawieckiego fachu. Można to rozumieć jako: *Jam ci swojak, szydło-dratwa*.

Nie bez kozery ich portrety wiszą obok jego krosna i nie bez kozery młode pary przysięgają sobie wierność pod tymi portretami.

Do kategorii wybrańców należy także Lejb Garbus, bo gdy nie stoi na trybunie i nie grzmi swoim potężnym głosem Ferdynanda Lassala[83], to mniej go widać niż jakiegokolwiek innego towarzysza. Swoje artykuły w „Derwachung" podpisuje dziwnym pseudonimem „Aba Luter". Nie ma to, oczywiście, żadnego związku z reakcyjnym reformatorem religijnym Lutrem, lecz jest sprytnym sposobem zapisania jidyszowego słowa *„a baluter"* – „bałucki"; mało kto potrafi powiązać erudytę i znawcę marksizmu Abę Lutra z młodym tkaczem, miłym i dobrym Lejbem Garbusem, człowiekiem niepozornym. Na takiej właśnie skromności, nie wspominając już o innych zaletach, polega według Wowy jego wielkość.

Wowa jest tak zżyty z Lejbem Garbusem, jak ze swoją żoną Balcią. Choć porywczy i impulsywny, spory i porachunki z Lejbem prowadzi w cztery oczy. I biada temu głupcowi, który licząc na jego uczciwość i poczucie sprawiedliwości, wyskoczy czasem ze słowem krytyki pod adresem Lejba. Wowa jest gotów przelać krew w obronie dobrego imienia swojego przyjaciela.

Tak, Wowa jest zdolny do silnych emocji, często aż nazbyt silnych. Nie chodzi o to, że przykrywa je słowami, bo emocjom partyjnym i ideologicznym – w przeciwieństwie do uczuć osobistych – daje wyraz bardzo często i w specyficzny sposób przy pomocy soczystego bałuckiego dialektu. Inaczej niż Jankew, który jest bezwstydnie demonstracyjny pod tym względem, świat prywatnych emocji należy tylko do niego i nikogo nie powinien obchodzić. Na przykład nikt nigdy nie widział Wowy całującego żonę. Mówi o niej „towarzyszka Balcia", na skutek czego trudno wyobrazić ich sobie w jakiejkolwiek romantycznej scenie. Ich dzieci są jedynym dowodem, że coś się jednak między nimi dzieje. Jednak nikt nie wątpi, że Wowa ślubował wierność nie tylko Bundowi, ale też Balci.

Wowa ma w sobie coś bardzo prymitywnego, niemal atawistycznego. Dla niego wszystko jest narysowane grubą kreską czerni lub bieli, bez światłocienia, subtelności, a także bez zagmatwań i kontrastów. Jego głos nie posiada w sobie żadnych niuansów, również jego uczucia są mało zniuansowane i może dlatego są tak intensywne.

A jeśli chodzi o jego zmysł estetyczny, lubi kicz i krzyczące, wulgarne kolory. Dla literatury żywi ten sam podziw, co pobożny Żyd dla Talmudu. Ale stosunek do niej ma dwojaki. Lubi powieści historyczne oraz powieści o treściach społecznych i rewolucyjnych. Jeśli chodzi o poezję, królową muz, to według niego powinna przemawiać do świadomości klasowej czy do sumienia narodowego w taki sposób, w jaki przemawia „poezja" proroków. Wszystko, co służy klasie robotniczej i narodowi żydowskiemu, jest dla niego „sztuką". Pozostałe rzeczy

[83] Ferdinand Lassalle (1825-1864) – niemiecki polityk żydowskiego pochodzenia, zagorzały zwolennik wolności, równości i sprawiedliwości społecznej. Był twórcą pierwszej partii robotniczej.

to albo *szund*[84], albo autor po prostu robi z siebie głupca, a prosty czytelnik marnuje czas na nic niewarte bzdury.

Nawet te dzieła literackie, które poważa i którymi wypełnia swoją biblioteczkę w skrzynkach po pomarańczach, czyta z niecierpliwością, pobieżnie, przeskakując całe rozdziały. Skupia się tylko na kilku ostatnich stronach, gdzie autor wyłuszcza to, co chce przekazać w swoim dziele. Zwykle to Balcia musi wypełniać luki fabuły, które powstają w jego głowie na skutek pobieżnej lektury. Robi to, gdy mąż siedzi przy krosnach i pracuje, a ona, pochylona nad balią, trze na desce do prania dziecięcą bieliznę.

Prawdziwą strawą duchową Wowy są gazety, pamflety, broszury propagandowe i czasopisma teoretyczno-polityczne. Najciekawsza i najbardziej pouczająca na świecie powieść nie daje mu takiej przyjemności, jaką mu daje literatura tego typu. I chociaż bardzo zachwyca się tym rodzajem słowa pisanego, jest ono mniej dla niego istotne niż praktyczne działanie. Jedyne, co według niego liczy się w życiu, to ludzkie czyny.

Dlatego dla Wowy wszyscy ludzie ducha nie są niczym więcej niż *batlani*[85] i próżniacy, nawet jeśli mowa o jego partyjnych kolegach. W ich towarzystwie nie czuje się najlepiej. Nie wie zbyt dobrze, na czym polega ich rola i jak się mierzy ich znaczenie. On sam nie został pobłogosławiony zdolnością snucia abstrakcyjnych spekulacji, wznoszenia się wyobraźnią do odważnych duchowych lotów – stąd jego pogarda dla tego rodzaju ludzi. Samego siebie postrzega jako stojącego na skraju otchłani, gdzie toczy się „prawdziwe życie" wsparte o to, co praktyczne i twórcze, codzienne i zakorzenione w rzeczywistości, niemal tragiczne i trywialne. Podczas gdy ci, którzy znajdują się po drugiej stronie otchłani, są wedle niego rozpieszczonymi pięknoduchami, zacofanymi w swoim człowieczeństwie. A mimo to ze stosunku Wowy do takich osób można wyczytać jego świadomość, iż jemu samemu brakuje czegoś istotnego, ważnego. Najlepszym tego dowodem jest jego nastawienie do Jankewa.

Jego również określa mianem pięknoducha, jednak niemal się go nie obawia. Kiedy Jankew wdaje się w rozmowę o rozmaitych „wysokich" kwestiach, Wowa przysłuchuje mu się z krzywym uśmieszkiem jak dziecko, które słucha fantastycznych opowieści, wierząc w nie i nie wierząc zarazem. Jankew, więcej niż jakikolwiek inny pięknoduch, pokazuje Wowie swoje słabości. I jedynie dzięki niemu Wowa widzi siebie w postaci uskrzydlonego Żyda na obrazie Chagalla, który płynie po niebiosach tęsknoty, podczas gdy sam sądzi, że kroczy twardo po ziemi.

---

[84] *Szund* (jid.) – dosł. odpadki, tandeta, szmira; także: literatura brukowa schlebiającą najprostszym gustom czytelników, skierowana do najniższych warstw społecznych.

[85] *Batlan* (jid.) – tytuł honorowy nadawany pierwotnie ludziom, którzy rezygnowali z pracy zawodowej, by poświęcić się pracy na rzecz społeczeństwa, z czasem stał się synonimem lenia i próżniaka.

*

Dla Balci, tak jak dla Wowy, który wyrósł przy warsztacie tkackim, Bałuty są całym światem, a świat to Bałuty. Oboje przeklinają je, ale tak są w nich zakorzenieni, że nie potrafiliby znaleźć dla siebie miejsca nigdzie indziej.

Balcia jest krągłą młodą kobietą o wydatnym biuście i dużych biodrach. Wszystko w niej jest wielkie, pełne, nawet szeroka twarz, okrągła jak księżyc, a także charakter. Obdarzona została hojną i serdeczną naturą, napędzaną zdrowym, rodzinnym egoizmem, który utrzymuje w ryzach tendencję do poświęcania się, nie pozwalając jej przekraczać miary rozsądku. Oczy ma wielkie, brązowe o otwartym, nieco krytycznym, ale ciepłym spojrzeniu. Skóra na jej rękach, delikatnych i pulchnych, jest już pomarszczona. Krótkie palce zakończone są czarnymi paznokciami – znakiem po jej bałuckim dzieciństwie, które ubiegło przy kołowrotku, a także późniejszych latach, kiedy zajmowała się wyrabianiem skarpet.

Każdego wieczoru po zakończeniu prac domowych i położeniu spać Herszka i Gabiego, Balcia robi na drutach czapki i szaliki z wełnianych odpadów, które zostają przy krosnach Wowy i Josela Trębacza, aby dorobić kilka groszy. Podczas wszystkich zebrań, które odbywają się w ich domu, energicznie wymachuje drutami. Lubi to swoje zajęcie.

„Gdy robię na drutach, czuję się jak owa bohaterka francuskiej rewolucji, która wplotła zaszyfrowane wiadomości we wzór swojej robótki. Przeczytajcie dodatek o *Dwóch miastach* Dickensa, czy o książkach Aleksandra Dumasa i Wiktora Hugo[86], to będziecie mieć wyobrażenie, co się wówczas działo" – radzi młodszym towarzyszom.

To samo robi, kiedy przychodzą zwykli goście. Zdarza się to niemal każdego wieczoru, bo jej dom jest klubem spotkań partyjnych i sąsiedzkich raczej niż prywatną przestrzenią. Przybysze z innych miast czy miejscowi towarzysze, którzy zasiedzieli się do późnych godzin nocnych, znajdują tu miejsce do spania. Zwykle jest to siennik rozłożony na dole, w drukarni. Kiedy gość jest nieco starszy od Balci i Wowy, małżonkowie odstępują mu własne łóżko, a sami idą spać na dole – z czego akurat Balcia nie jest za bardzo zadowolona, bo chce być obok dzieci i móc wypocząć przed ciężką pracą, jaka czeka na nią następnego dnia. Ale Wowa wprowadził taki zwyczaj, więc ona nie okazuje swojego „egoizmu" nawet przed nim.

W kuchni Balci zawsze pracuje kilka młodych, wolnych, bezrobotnych kobiet-towarzyszek. Przy czysto wyszorowanym stole wykonują pisemne prace dla „Derwachung", kopiują adresy z długich list, składają dopiero co wydrukowane

[86] W okresie międzywojennym w prasie, także jidyszowej, ukazywały się dodatki literackie, których celem była popularyzacja czytelnictwa. W ten sposób krzewiono wiedzę wśród mniej wykształconych warstw społeczeństwa.

ulotki czy też po prostu rozmawiają. I tęsknią za odrobiną bliskości, a wówczas obsiadają Balcię i przyglądając się, jak dzierga, zwierzają się szeptem z kłopotów, które dręczą ich serca. Albo też Balcia, przemawiając do migających drutów, rozważa z nimi problemy żydowskich kobiet-robotnic. Pracującym Żydówkom trosk nie brakuje, a Balci nigdy nie brak historii z bałuckiego życia wziętych, które świetnie ilustrują to, o czym toczy się rozmowa. Prędzej czy później dyskusja przechodzi na problemy pracujących kobiet na całym świecie.

Jeśli Hanka, która niemal mieszka u Balci, przysiądzie w takiej chwili gdzieś w pobliżu, Balcia automatycznie oddaje jej główne miejsce, bo sekretarka redakcyjna i jej przyjaciółka Klara Fidler należą do najbardziej wykształconych kobiet w ruchu. Hanka zajmuje ważne miejsce w szeregach partii i bardziej niż Balcia zna się na problemach kobiet na świecie. Balci nie zależy na eksponowaniu własnej osoby, aby Hanka mogła ją przyłapywać na drobnych błędach i nieścisłościach, które od czasu do czasu pojawiają się w jej wypowiedziach. Obie kobiety darzą się szacunkiem wymieszanym z poczuciem niższości. Balcia czuje się gorsza z powodu nieokrzesania, a zwłaszcza braku wykształcenia, zaś Hanka – z powodu swojego pochodzenia z bogatej rodziny. Uważa Balcię za „wspaniały przykład proletariuszki". Chociaż obie są w tym samym wieku, nie przeszły na „ty".

Kobiety często są tak pogrążone w rozmowie, że Wowa musi podejść do żony i upomnieć się: „Co się tu dzieje, towarzyszko Balciu? Zapomniałaś, że masy są głodne?".

Wówczas grupka kobiet przenosi się do kuchni. Dyskusja toczy się nadal, ale do blaszanych misek nalewana jest gorąca zupa kartoflana, która zawsze gotowa stoi na piecu w glinianym czarnym garnku. Gospodyni kroi chleb i śledzie, wstawia wodę na kawę z cykorii. I już cała grupa siedzi przy dużym stole. Pajdami chleba zagryzają śledzia. Głośno siorbią gorącą zupę z pełnych talerzy, a rozmowa staje się ogólniejsza, lepsza i gorętsza niż samo danie.

Balcia pod wieloma względami przypomina Wowę. Jest praktyczna, rzeczowa i tak jak on nie posiada ani odrobiny fantazji. Ale nie jest taka sucha w kontakcie jak mąż i chętnie towarzyszy innym w snuciu fantazji. Bez skrupułów oddaje się przyjemności czytania powieści o intrygujących fabułach, w których ludzkie cierpienia, uczucia, zwłaszcza miłość mężczyzny i kobiety, opisane są w poruszający sposób z punktu widzenia socjalizmu. Wowa nieustannie zarzuca jej, że jest sentymentalna.

„Lomir gejn, lomir gejn, lomir do lozn di szwache!"[87] – recytuje jej wersy poematu Mojszego Kulbaka[88]. Na co Balcia reaguje uśmiechem i mówi, że nie

---

[87] (jid.) *Chodźmy, chodźmy, zostawmy tutaj słabych!* [Mojsze Kulbak, *Di sztot* w: almanach „Waiterbuch" 1920, Wilno].

[88] Mosze Kulbak (1896-1937) – poeta, prozaik i publicysta tworzący w języku jidysz.

może zrozumieć, w jaki sposób socjalista może podążać naprzód, porzucając słabych. Wowa odpowiada jej na to, że Kulbak nie ma na myśli słabych fizycznie, lecz słabych duchem, a tych nie ma co żałować. Balcia nie zgadza się z nim. Wszystkie powieści, które ją wzruszają tak bardzo, są przecież o ludziach słabych duchem, rozdartych i uciśnionych, przepełnionych tęsknotą. Według niej literatura w ogóle by nie istniała, gdyby wszyscy ludzie byli silnego ducha.

Kobieta czyta te swoje powieści w szare poranki, kiedy jeszcze wszyscy śpią – nie ze strachu przed Wową, lecz jednie dlatego, że później, za dnia, nie ma na to czasu.

*

Balcia bierze pod swoje skrzydła zarówno młode towarzyszki, jak i Binele. Kilka razy w tygodniu dziewczyna wpada do niej na plotki, poza tym co szabes przychodzi tam z Jankewem, a także wtedy, gdy chce, aby Balcia sprawdziła efekty jej nauki czytania. Wówczas sadowią się pomiędzy dwiema kołyskami, w których śpią Balcine dzieci. Spracowane palce gospodyni wyruszają wówczas w tany z drutami, a ona sama przysłuchuje się Binele czytającej z podręcznika dla dorosłych wydanego przez komitet oświaty towarzystwa „Harfa”[89].

Gdy Wowa jest przy tym i nie ma nic lepszego do roboty, to chodząc w tę i z powrotem po pokoju i paląc papierosa, wyjaśnia dziewczynie, „co pisarz chciał powiedzieć” w sylabizowanej przez nią opowieści. Czyni to tak dokładnie i z tak wielkim przekonaniem o jej niewiedzy, że Balcia nabiera pewności, iż jej mąż więcej ćwiczy swoje talenta oratorskie niż Binele czytanie.

„Proszę Cię, Wowuniu, zrób nam przysługę i nie uświadamiaj nas, gdy jesteśmy zajęte” – przerywa mu w pół słowa.

Kiedy Binele jest sama z Balcią, to po skończonym przesłuchaniu zaczynają rozmowę o problemach sercowych. Dzieje się tak samo z siebie. Kojąca macierzyńskość Balci – coś, czego Binele poszukiwała przez całe swoje życie – zaprasza do zwierzeń. Jest tak zwłaszcza wówczas, gdy Balcia jest brzemienna. Zdarza się to niemal każdego roku o tej porze, chociaż kobieta nie ma szczęścia do ciąż, z których tylko dwie pomyślnie donosiła do końca. Bycie brzemienną wydaje się być naturalnym stanem tej kobiety, a sytuacja odwrotna – tylko stanem przejściowym. Kiedy nosi kolejne dziecko, wygląda zdrowiej, jest weselsza i piękniejsza. Jakby bardziej stawała się sobą wówczas, gdy kolejny raz zostaje matką.

Binele zwierza się Balci ze wszystkich szczegółów swojego życia poza tym ostatnim – nie mówi jej o ciąży. Nie może tego z siebie wydusić. Ale zdaje koleżance regularne raporty na temat temperatury relacji, jaka łączy ją z Jankewem.

---

[89] Jednym z najważniejszych celów „Harfy” była działalność edukacyjna skierowana nie tylko do dzieci, ale również dorosłych mieszkańców miasta, w tym organizowanie dla nich kursów i wykładów oraz wydawanie podręczników do nauki.

Upojona dumą niejeden raz powtarza jej słowa miłości wypowiedziane przez męża. A wygląda to tak, jakby bezcześciła świętość, którą powinna nosić ukrytą głęboko w sercu, nie dzieląc jej z nikim. Ale gorący strumień słów Jankewa porywa ją czasem tak daleko, że przestaje rozumieć sens tego, co jej mówił. Musi więc przefiltrować jego słowa przez trzeźwy umysł Balci, aby uczynić je zrozumiałymi i prawdziwymi dla samej siebie.

Balcia odwzajemnia się jej zwierzeniami. Pewnego razu na przykład mówi:

– Mój Wowa, oby żył w zdrowiu, nigdy nie powiedział, że mnie kocha. Nawet nie wiem, czy słowo „miłość" jest dla niego koszerne z partyjnego punktu widzenia, z wyjątkiem posługiwania się nim publicznie, gdy mowa o miłości do człowieka. Kiedy jako panienka chodziłam z nim już jakieś pięć–sześć lat, pewnego razu stwierdził: „No, towarzyszko Balciu, już najwyższy czas, abyśmy zamieszkali razem". To były jego oświadczyny. Największą czułością, na jaką sobie pozwala, jest nazywanie mnie „towarzyszką Balcią".

Słowa Balci nie zaskoczyły Binele. Przecież obserwuje tę parę na co dzień i ma już swoje zdanie na temat „oschłości", jaka panuje w ich wzajemnych relacjach. Ale wierzyła w zdolność Wowy do ciepła, a nawet czułości, i była pewna, że mężczyzna odkrywa ukryte skarby uczuć, gdy jest sam na sam ze swoją żoną.

– Nie brakuje ci tego? – pyta Binele rozpłomieniona, przejęta współczuciem dla koleżanki. – To znaczy, czy nie potrzeba ci takich słów... słów miłości?

– Jak może mi brakować czegoś, czego nigdy nie miałam? – pyta Balcia w odpowiedzi.

– Widzisz, Balciu – szepcze Binele – ja w ogóle nie potrafiłabym funkcjonować bez takich słów. Zmarniałabym i uschła z tęsknoty. Spijam takie słowa jak spragniony kwiat wodę. Pragnę słyszeć ich więcej i więcej, i nigdy mi nie dosyć.

– Trudno powiedzieć, kiedy stałaś się naiwną romantyczną duszą. – Balcia wzrusza ramionami i uśmiecha się przemądrzale. – Zachodzi różnica pomiędzy prawdziwym życiem a życiem opisywanym w książkach. Jankew przemawia do ciebie językiem literatury i, prawdę mówiąc, to właśnie uważam za jego największą wadę. Wydaje mi się, że on chce uczynić ze swojego życia powieść artystyczną. I mimo swojego uporu, Binele, bardzo się zmieniłaś pod jego wpływem, on uczynił z ciebie osobę sentymentalną. Z drugiej strony mój Wowa nie chce zaglądać do książek o romantycznej treści. A że nie ma najmniejszego talentu do wyszukiwania sentymentalnych słów, to nie zawraca sobie nimi głowy. W prawdziwym życiu taki człowiek jak on ma ważniejsze rzeczy do zrobienia.

Binele przerywa jej:

– Co masz na myśli, mówiąc o prawdziwym życiu? Życie moje i Jankewa jest tak samo prawdziwe jak twoje i Wowy. A może chcesz powiedzieć, że Jankew mnie oszukuje? Może troszeczkę, ale co z tego? Każdy trochę kłamie i przesadza. Tak samo jest, gdy ktoś krzyczy głośniej niż trzeba, aby go dobrze usłyszeć. Ale ja to lubię. Nie mogłabym się z nim kochać, gdybym nie słyszała szeptania do ucha. To nieziemska rozkosz.

– To zależy jak dla kogo. – Balcia prostuje się dumnie. – Mnie byłoby przykro wysłuchiwać takich słów z ust Wowy. Bo nie żyjemy w raju, lecz na czarnej, twardej ziemi, gdzie pomiędzy dwojgiem ludzi dzieją się takie rzeczy, które są ważniejsze od wszystkich słów. Miłość taka jak Wowy, nieprzystrojona banalnymi, nadmuchanymi słówkami, jest tak samo dobra, uwierz mi. Nie zamieniłabym jej na żadną inną.

Balcia śmieje się swobodnie, a Binele wraz z nią. Bez wątpienia ma rację. Binele powątpiewa jednak w to, czy sama potrafiłaby przyjąć i zgodzić się na miłość bez tej ozdoby, jaką są słówka banalne i nadmuchane, ale przecież tak cudownie brzmiące.

Balcia informowała świat o swoich uczuciach dla męża, skarżąc się na niego. Wraz z zasadami etyki przyswoiła sobie ideał czystości i higieny. I jak Wowa jest fanatykiem swojego bundyzmu, tak ona jest fanatyczką przestrzegania porządku. Sprawa ta ma dla niej dużo szersze znaczenie. Porządek odzwierciedla wewnętrzną czystość człowieka, jasność jego myśli. Kiedyś towarzyszka Hanka powiedziała w czasie swojego wykładu w „Harfie", że poziom kultury danego społeczeństwa jest mierzony wedle ilości zużywanego przezeń mydła. To samo można powiedzieć o każdym z osobna. Porządek i schludność są wyrazem wysokiego poziomu kultury człowieka, na który może wznieść się każdy prostak. Dzięki czystości Balcia może wznieść się ponad bagienny smród bałuckiego życia.

To samo dotyczy także kwestii zdrowotnych. Balcia połyka książki na temat medycyny ludowej, i jak chasyd biega do *sztibla*[90], tak ona biega na referaty o higienie i problemach zdrowia, które w „Harfie" wygłasza towarzyszka Hanka, ta sama, która przesiaduje całymi dniami u niej w domu. Hanka, zanim porzuciła swój bogaty dom, aby poświęcić życie uciemiężonym żydowskim masom, chciała studiować medycynę za granicą.

Tak więc Balcia bardzo złości się, gdy Wowa pali papierosy, a jeszcze bardziej, gdy chodzi jak brudas. Poza tym jej mąż ma zwyczaj pozostawiania po sobie znaków obecności: szelki, skarpetki, książki, czasopisma, gazety i do połowy wypalone papierosy walają się po całym domu. Ich widok niemal fizycznie boli Balcię. Z pełnym zwątpienia westchnieniem podąża za nim i sprząta. Zanim narodził się ich pierwszy synek Herszko, większa część zarobków Wowy szła z dymem papierosów i na zakup książek wraz z czasopismami. Po narodzinach chłopca – któremu dano imię na pamiątkę bohaterskiego czeladnika szewskiego Hirsza Lekerta[91] – Wowa, idąc za namową żony, zaczął oszczędzać. Kupuje tanie

---

90 *Sztibl* (jid.) – prywatna modlitewnia, bóżnica, połączenie domu nauki, studiowania Tory i centrum życia społecznego chasydów.

91 Hirsz Lekert (1880-1902) – był żydowskim socjalistą. W 1902 roku, gdy gubernator Wilna Victor von Wahl kazał aresztować polskich i żydowskich robotników uczestniczących w pochodzie Pierwszego Maja, strzelił do niego, ale tylko go zranił. Został aresztowany i skazany na śmierć. Lekert stał się ludowym bohaterem wielu tekstów literackich, głównie w jidysz.

bibułki do papierosów i tani tytoń, sam skręca papierosy. To jednak nie poprawiło sytuacji w domu, lecz ją pogorszyło. Dym unoszący się wokół Wowy stał się jeszcze gęstszy i bardziej gryzący. Ponadto mężczyzna nie może się odzwyczaić od kupowania swojej „literatury".

– Wowusiu – Balcia sprzecza się z nim – po to są biblioteki, aby człowiek nie musiał sobie kupować każdej książki, którą chce przeczytać. No popatrz, co zrobiłeś, kupując tanie bibułki i śmierdzący tytoń. Efekt jest taki, że teraz na krosnach pali się więcej papierosów, a w domu śmierdzi nie do wytrzymania. A twój kaszel od papierosów też się, nie daj Boże, nasilił dzięki temu twojemu ekonomicznemu produktowi.

– Nie wiesz, co mówisz, towarzyszko Balciu – drażni się z nią Wowa. – Kupuję tylko co dziesiątą książkę z tych, które chcę przeczytać. A jeśli już kupuję, to jest to książka, z którą muszę mieszkać jak z żoną. *Paniatno?*[92]

Balcia odpowiada mu w tym samym tonie:

– Masz chyba za dużo żon, Wowusiu. Na tyle żon może sobie pozwolić jedynie turecki sułtan. Mimo całego twojego oczytania nie udało ci się nawet zajrzeć do książki o higienie, w której wyraźnie napisano, że człowiek musi szanować swoje ciało. „W zdrowym ciele zdrowy duch" – taką można znaleźć tam maksymę. Ale jak twoje ciało i twój duch mogą być zdrowe, kiedy je przyduszasz dymem? Już nie mówiąc o tym, że i bez twoich papierosów można się udusić od fabrycznego smrodu i odoru rzeki Łódki.

Gdy narodził się ich drugi synek – dali mu imię Gabi w nawiązaniu do imienia Gawrosz – po Gawroszu, chłopcu bohaterze z czasów Komuny Paryskiej[93], którego tak wzruszająco opisał Victor Hugo w *Nędznikach*. Wówczas Wowa zaczął ograniczać palenie i gdy był przy dzieciach, gasił papierosa. Ale „literaturę" dalej kupował, pożyczał, podkradał i dalej rozkładał książki, czasopisma i gazety wszędzie wokół siebie, na krosnach, stole i nawet w kołyskach dzieci.

– Wowuniu – prosi dalej Balcia – naucz się czytać jedną książkę naraz, a nie pięć–sześć. Będzie większy porządek w mieszkaniu i też w głowie.

Wowa mruga do niej małymi oczkami spod krzaczastych brwi i żartuje:

– Porządek w domu to burżuazyjne przyzwyczajenie, towarzyszko Balciu. A w mojej głowie – palcem wskazującym robi kółko na swoim czole – panuje wielki porządek, jest w niej tak pusto, że nie wiem, czy przez całe życie zdołam napakować tam dość książek, aby powstało choć odrobinę chaosu.

---

92 (ros.) *Rozumiesz?*

93 Gawrosz z *Nędzników* Hugo to fikcyjna postać, która symbolizuje optymizm, sprawiedliwość i dobroć, a także gotowość do poświęceń i śmierci w walce o wolność.

*

Binele w końcu dostaje pracę jako sztoperka[94] w fabryce tekstylnej Moszkowicza. Pewnego gorącego letniego poranka siedzi w fabrycznej hali przy stole, na którym leży rozłożona bela towaru. Przez wielkie okna hali, podzielone na małe kwadraty, zagląda dopiero co wzeszłe słońce. W suficie hali nad głową dziewczyny znajduje się wielkie okno dachowe o małych szybkach, przez które widać kawałek nieba. Tamtędy docierają smugi światła, padając na plecy sztoperek w czepkach i na stoły z suknem. Sztoperki siedzą pochylone nad towarem. Mury fabryki drżą, a wraz z nimi one, stoły i powietrze wokół nich.

Maszyny tkackie szumią, stukają, trzęsą się. Przez otwarte drzwi wiodące do hali obok można dostrzec, że znajdują się tam pasy transmisyjne, które biegną z zawrotną prędkością. Pracujący tam ludzie wydają się rozdwajać – każdemu towarzyszy długi cień. Obsługują szumiące olbrzymy, tańcząc dookoła nich. W powietrzu wiruje złoto-srebrny kurz. Rozkołysanymi pajęczynami osnuwa ściany, maszyny, bele materiału, ludzi. Fabryka jest jak zatopiony statek, zagrzebany na dnie morza, który chce się oswobodzić z pajęczych lin i wypłynąć na słoneczną powierzchnię. Statek trzeszczy, sapie, jego motory pracują – a mimo to wciąż stoi w tym samym miejscu.

Binele przesuwa dłoń z rozstawionymi palcami po materiale, dotyka nierówności w tkaninie i poprawia skazy. Ale myślami jest gdzie indziej. Jej wzrok wędruje niespokojnie od drugiej hali do okien, by zatrzymać się na zamglonym niebie. Jest tak wcześnie, a ona już nie ma cierpliwości.

Nie może sobie poradzić z tajemnicą swojej ciąży. Jeszcze nie powiedziała o tym Jankewowi. Wcześniej chce upewnić się nie tyle co do samej siebie – lecz co do niego. Nie chce tak po prostu mieć jego zgody na urodzenie dziecka, chociaż on wciąż nie ma pracy. Pragnie, aby się zachwycił. I to wciąż jest dla niej zagadką. Choć zna swojego męża dobrze, nie potrafi zrozumieć sposobu, w jaki myśli. Miłość do niego przesłania obraz jego charakteru, zamiast wyostrzyć jej spojrzenie. Binele wydaje się, że Jankew jest jak fabryka – zamglony labirynt korytarzy i hal, którymi ona błądzi jak na statku, bez stabilnego gruntu pod nogami.

Mimo swojego proletariackiego i nowoczesnego poglądu na życie, Jankew wydaje się jej drobnomieszczański i staroświecki. Kiedyś powiedział, że chce mieć dziecko, gdy się urządzą – on znajdzie stałą pracę i przeprowadzą się do normalnego mieszkania, opuszczając to na werandzie. Według niego grzechem jest narażać dziecko na gorzki los zgotowany przez ubogich rodziców. To lekkomyślne i nieodpowiedzialne. Twierdził, że nikt nie pyta nienarodzonych, czy chcą przyjść na świat. Nikt nie daje im szansy wyboru właściwych rodziców czy dobrych

[94] Sztoperka (z niem. *Stopferin*) – cerowaczka.

warunków życia. Jak bezbronne, pozbawione ludzkich praw ofiary, wrzuca się je w warunki, które stwarzają dla nich inni, nakazując: „Tu musisz żyć!". Dlatego to powinnością rodziców jest dopilnować, aby te warunki były przynajmniej znośne.

Takie słowa nie pasują do niej, Binele, która uważa się za osobę bardziej praktyczną niż Jankew. A wracając do tematu, jej ciąża też nie była kwestią wyboru. Nikt jej nie pytał, czy akurat teraz chce mieć dziecko. Tak się stało. Przypadek. Rzecz losowa. Ale w tej chwili jest wdzięczna losowi. Chce mieć to dziecko. Pragnie go całym swoim jestestwem. Nie ma wątpliwości, że dla tego malucha znajdzie się miejsce w jej życiu. Tak musi być. Już ona tego dopilnuje.

Godziny pracy dłużą się i nawijają na szpulę tych samych, wirujących wkoło myśli. Ciągną się aż do sufitu, do nieba widocznego w dachowym oknie. Wyraźnie czuje w sobie i wokół siebie obecność swojego dziecka. Jak ta mała duszyczka będzie wyglądać? Jakiego koloru będą jej włosy? Do kogo będzie podobna? Po kim odziedziczy oczy? A uśmiech? Po kim siłę charakteru? Słabości? Po niej, czy po Jankewie, a może po babci Hindzie, lub dziadku Joselu? A może będzie podobna do ciotek lub wujków?

Spocona, pokryta kurzem i z przędzą we włosach, Binele wraca do domu w pustym pomieszczeniu na werandzie. Jankew jest u Cederbojmów na zebraniu aktywistów, którzy pracują dla żydowskiej szkoły świeckiej. Binele szykuje sobie pajdę chleba i kawałek ostrego, słonego śledzia, na co ma ostatnio wielką ochotę. Z kubkiem zimnej kawy z cykorii siada na „rozkładanej desce". Bez Jankewa czuje się nieswojo. Rozstała się z nim wiele godzin temu. Jej oczy tęsknią za jego widokiem. Bez niego jej wieczór jest pusty, stracony. Ma do niego żal o te częste zebrania. Jest zazdrosna o partię, tak jak kobiety bywają zazdrosne o konkurentkę. Nie ma pomysłu, dokąd iść. Może zostać w domu, czytać czy też przygotowywać się do lekcji na kursach w „Harfie". Ale dzisiaj nie potrzebuje nikogo, nic nie chce się jej robić – tylko być z Jankewem.

Przychodzi jej na myśl Balcia. Balcia! Pójdzie do niej – nie, wcale nie dlatego, że tam jest Jankew – lecz po to, by się jej poradzić. Dzisiaj bardzo potrzebuje macierzyńskiej troski. Dlaczego do tej pory nie zwierzyła się koleżance? Po prostu dlatego, że było jej zbyt trudno rozstać się z sekretem, albo raczej – bo bała się, że gdy tylko o tym powie, to coś się stanie. Taka była głupia ta przemądrzała Binele!

Po godzinie wpada do mieszkania Cederbojmów. W środku jest gorąco i duszno od papierosowego dymu. Towarzysze siedzą wokół na stołkach i skrzynkach. Maluchy Herszko i Gabi śpią w kołyskach. Jankew siedzi pośród zgromadzonych. Jego twarz się rozjaśnia, kiedy ją dostrzega. Macha do niej ręką. Ale ona udaje, że go nie widzi. Dumna jak paw kieruje się prosto do kuchni, gdzie Balcia ze swoim wielkich brzuchem wspiera się o piec i miesza drewnianą łyżką w czarnym glinianym garnku zupę ziemniaczaną, którą szykuje dla towarzyszy. Jej twarz błyszczy od potu, odbijając blask lampki gazowej.

Binele jest bardzo poruszona tym, z czego chce się zwierzyć Balci. Zanim usiądzie przy kuchennym stole, pokazuje brodą brzuch koleżanki i wybucha:

– Ja... ja też jestem w ciąży! Już dziesiąty tydzień!

Balcia przez chwilę stoi jak zamurowana, po czym pyta:

– I nic mi nie powiedziałaś? – Potem radośnie klepie Binele po ramieniu. – Wyobrażam sobie, jak dumny musi być Jankew.

Twarz Binele spłonęła purpurą.

– On nic nie wie.

– On nic nie wie?

– Nie było okazji, aby mu powiedzieć.

– Aby powiedzieć o takiej rzeczy, potrzebna jest specjalna okazja? Gwałtu, rety, przecież on jest ojcem! Chcesz podważyć jego zaufanie do ciebie?

Binele chce to wyjaśnić, ale siedzi z otwartymi ustami. Balcia ma rację. Jankew już nigdy jej nie zaufa! Sama podcięła gałąź, na której siedzi. Dziewczyna zrywa się na równe nogi, zostawia Balcię siedzącą w kuchni, a sama wbiega do dużego pokoju, gdzie toczy się zebranie.

– Jankewie! – woła z paniką w głosie – Jankewie! Chodź tu szybko! – Mężczyzna podbiega do niej, a ona, rozkojarzona, ciągnie go do przedsionka, gdzie przytula się do niego całym ciałem. – Jankewciu – wybucha – ja... jestem w ciąży!

Zaskoczony chłopak wydaje z siebie coś w rodzaju koguciego piania i pyta zduszonym głosem:

– Co? Jak? Kiedy? – Z jego ust sypią się pytania bez składu i ładu. Posapując, całuje Binele po twarzy i rękach. Potem chwyta ją za rękaw i ciągnie z powrotem do pokoju. – Towarzysze! – woła tym samym piejącym tonem – Binele jest w ciąży!

Aż dociera do niego, gdzie się znajduje i co wygaduje, i nagle traci rezon. Jego twarz płonie, podobnie jak Binele. Wpatrują się oboje w uśmiechnięte oblicza przyjaciół. Ktoś woła:

– Wszystkiego najlepszego!

Słychać oklaski. Do Binele i Jankewa niemal nie dociera, co się do nich mówi. On ciągnie ją z powrotem na korytarz, a stamtąd na podwórko. Obejmuje ich ciemność wieczoru. Chodzą w kółko, niemal biegnąc, po nierównym bruku. Ponad ich głowami unoszą się kłębiaste chmury, podobne do białych owiec na granatowej łące – w Bocianach z rajskich snów. Jankew nieprzerwanie gada, opowiada o konieczności napisania listu do domu w prawdziwych Bocianach, tych na tej ziemi.

– Chodź do domu! – woła w końcu. – Nie mam cierpliwości do tego zebrania!

Objęci wychodzą na ulicę. Binele wzdycha z ulgą, pod naporem uczuć – dobra nowina dopiero teraz do niej dotarła. Od tej chwili naprawdę już nigdy nie będzie sama. Stając się matką, przestaje być sierotą. I popłakuje z żałości, że Jankew tak szybko wygadał ich sekret. A jeśli coś się stanie? Jeśli nie donosi ciąży? Czy to dziwne, że jest tak bardzo przesądna? To przecież nie bagatela. Ona, Binele, nieszczęsna córka Joselego Obeda, jest przy nadziei! Pochlipuje też z radości, bo jest pewna, że jednak się jej uda. Jest bardzo dumna i zadowolona, że Jankew wyjawił tajemnicę przyjaciołom. Niechaj cały świat się dowie. Niechaj ta wieść

niesie się dookoła! I popłakuje jeszcze bardziej dlatego, że wstydzi się przed Jankewem, że ona, taka przemądrzała, nie poznała się na nim.

– Głupia jestem. – Uśmiecha się mokrymi, oślinionymi ustami i ociera łzy z oczu.

*

Tym razem to Balci nie było pisane donoszenie ciąży – nie zaś Binele.

Chłodny dzień końca lata. Wowa i Lejb Garbus siedzą w piwnicy, w drukarni „Derwachung", zanurzeni w dyskusji z autorem artykułu, który ostro protestuje przeciw poprawkom wprowadzonym przez Lejba do jego dzieła. Towarzyszka Hanka poszła załatwić sprawę kolportażu najnowszego numeru czasopisma. Na górze, w dużym pokoju, Josel Trębacz siedzi przy krosnach i pracuje. A Balcia karmi dzieci.

Gdy tylko Josel widzi przez okno, że na ulicy robi się zamieszanie, i że grupa nieżydowskich wyrostków z pałami w rękach kieruje się wprost w ich stronę, woła do Balci:

– Bierz dzieci i uciekaj! Hallerczycy[95] nadchodzą! – Sam zrywa się na równe nogi i chwyta pręt, który służy do zabezpieczania drzwi. Jest członkiem bojówki bałuckiej samoobrony i wie, co robić.

Balcia rzuca się z dziećmi ku schodom prowadzącym do piwnicy i krzyczy do zebranych na dole:

– Wowa, Hallerczycy są tutaj!

Od razu wie, że z piwnicy nie ma drogi ucieczki. Nie czekając na Wowę, wybiega na podwórko z jednym dzieckiem na ręku, a drugie ciągnie za sobą, zamierzając uciec na sąsiednie. Ale rozjuszeni chuligani wymachując pałami w rękach, napływają przez bramę i zaczynają gonić zdezorientowanych sąsiadów, a wśród nich również Balcię i jej dzieci. Wowa z trudem wciąga ją z powrotem do domu. Mijają przedpokój, gdzie Josel Trębacz stoi na szeroko rozstawionych nogach, wymachuje prętem i dziko wrzeszczy, aby zwołać z podwórka chłopaków z ferajny. W domu mężczyźni już odsunęli od ściany pełne książek skrzynki po pomarańczach i wpychają za nie Balcię z dziećmi.

Nieoczekiwanie trzech chuliganów wdziera się do domu przez frontowe okna, które są tak przegniłe, że wystarczy pchnąć je pięścią, aby wyleciały z zawiasów. Szyby pękają na podłodze. Wowa i trzech obecnych w domu mężczyzn rzucają się na napastników z czym kto ma pod ręką. Powietrze wypełnia się wrzaskiem

---

[95] Od lata 1919 r. w Łodzi zdarzały się antysemickie zamieszki, których prowodyrami byli żołnierze gen. Józefa Hallera. Efektem „rubasznego" – jak oficjalnie tłumaczono – zachowania żołnierzy, były m.in. pobicia i obcinanie bród Żydom. W skrócie wszystkich chuligańskich napastników na Żydów z tego okresu, nawet jeśli nie było wśród nich mundurowych, nazywano „hallerczykami".

i wyciem, wymieszanymi z krzykiem przerażonych dzieci. Tymczasem zbiegają się chłopcy z ferajny i odpierają pozostałych napastników, blokując im dostęp do przedsionka. Josel Trębacz wpada do izby, aby pomóc Wowie i jego ludziom. Właśnie zamachuje się prętem na jednego z agresorów, gdy Wowa i jego przyjaciele zamierzają się na dwóch pozostałych rozjuszonych szajgeców, wymachując ławkami i stołkami. Ci dwaj wycofują się w kierunku spiętrzonych skrzynek po pomarańczach, za którymi chowają się Balcia i dzieci.

Balcia przygląda się bójce przez szparę między skrzynkami. Niewiele myśląc, sadza rozwrzeszczanego Gabiego na ziemi, pomiędzy swoje stopy. Zbiera się, podnosi ramiona i całą siłą swojej wściekłości zwala najwyżej stojącą skrzynkę pełną książek na głowy napastników. Zanim, ogłuszeni i ranni, zdołają przyjść do siebie po potężnym uderzeniu owocami ludzkiej myśli w twardych okładkach, zanim wygrzebią się z góry papierów rozwalonych pod ich nogami, Balcia powita ich, zrzucając im na głowy drugą skrzynkę pełną książek.

Po chwili do mieszkania wpada trzech członków bałuckiej samoobrony z pałami w rękach. Rzeźnik z oficyny pojawia się ze swoim lśniącym nożem. Banda poturbowanych hallerczyków ledwo uchodzi z życiem, salwując się ucieczką z izby, podwórka i ulicy.

Twarz Joselego Trębacza jest pokaleczona i pokryta czerwono-czarnymi plamami. Ma podbite i podbiegłe krwią oczy, a także opuchnięty policzek. Autor artykułu, który tak bohatersko bronił swojego tekstu do „Derwachung", wykazał się bohaterstwem również w czasie potyczki z napastnikami. Jego twarz wygląda tak samo jak Joselego, podobnie jak twarz drukarza. Dolna warga i broda Wowy mocno krwawią. Pobity Lejb Garbus leży na podłodze bez przytomności.

Gdy tylko bojówce samoobrony udało się przegonić chuliganów, zjawia się policja i rozpoczyna patrolowanie rogów ulicy. Aresztowano kilku chłopaków z ferajny oraz rzeźnika. Dom Cederbojmów wypełnia się sąsiadami i towarzyszami. Ktoś biegnie wezwać karetkę pogotowia. Sąsiadki próbują cucić Lejba Garbusa przy pomocy soli trzeźwiących, kropli walerianowych czy też przykładając chłodne kompresy do jego krzywej, wychudzonej klatki piersiowej. Po godzinie przychodzi naczelnik bałuckiego oddziału policji, aby spisać raport. Po kolejnej godzinie pojawia się pogotowie. Lejbowi Garbusowi nie można już pomóc. Miał atak serca i wyzionął ducha. Ratownicy zostawiają go tam, gdzie leży – obok kuchni, a ponieważ ranni mężczyźni odmawiają udania się do ambulatorium, karetka odjeżdża.

Z brody Wowy leje się krew. Plami ubranie, zupełnie jakby całe jego ciało było poranione. Mężczyzna siedzi na podłodze obok martwego nauczyciela i przyjaciela. Nie płacze, lecz spazmatycznie wyje straszliwym głosem. Widok tego zawsze aktywnego, gotowego do walki Wowy, który szlocha jak zagubione dziecko, i ciało nieboszczyka na podłodze budzą grozę w sercach zebranych, jakby cały świat pogrążał się w ciemnej otchłani. Wowa kiwa się jak opętany. Ciężko oddycha, gryzie pięści, krwawi z rozciętych warg. W końcu zbiera się w sobie, a z jego ognistoczerwonych

ust, które wyglądają jak otwarta rana, sypią się na głowy morderców przekleństwa i życzenia zemsty. W końcu prosi Balcię, aby posłała po Jankewa.

Balcia wykonuje jego polecenie. Potem oddaje dzieci pod opiekę dwóch sąsiadek, a sama siada obok Wowy i próbuje zatamować krew z jego brody. On odpycha jej rękę. Ale ona go nie odstępuje, nie bacząc na ból, który czuje teraz w podbrzuszu. Ledwo uświadamiając sobie, co robi, szepcze mężowi i nieboszczykowi niezrozumiałe, czułe słowa. Jej twarz jest kredowobiała, a ręce drżą. Mechanicznie głaszcze kolana Wowy oraz lwią grzywę Lejba.

Mieszkanie coraz bardziej wypełnia się ludźmi. Informacja o śmierci Lejba roznosi się lotem błyskawicy po całych Bałutach i po reszcie miasta. Na ulicy robi się czarno od ludzi. Rozgoryczony, szlochający tłum. Zbierających się zaczyna przeganiać policja – więc ulica szybko pustoszeje.

W nocy Balcia traci dziecko.

Pogrzeb Lejba Garbusa zamienia się w burzliwą demonstrację tłumów. Bierze w niej udział duża delegacja Polskiej Partii Socjalistycznej. Powietrze drży od okrzyków protestu i rozpaczy. W chwilach ciszy towarzysze z chóru „Harfy" śpiewają drżącymi głosami *Brider mir hobn geszlosn af lebn un tojt farband* [96]. Orkiestra Kultur-Lige[97] cały czas gra marsza żałobnego Chopina, a także hymn Bundu: *Brider un szwester fun arbet un nojt*[98] oraz *Międzynarodówkę*. Blade, przestraszone dzieci z żydowskiej szkoły świeckiej śpiewają wraz z tłumem. Idą powoli w szeroko rozciągniętych rzędach, zawodząc, z szerokimi czerwonymi wstęgami w dłoniach, a ich blade dziecięce twarze wyglądają jak jasne kwiaty żałobne. Lejb Garbus był jednym z założycieli ich szkoły.

Konna policja stoi na rogach ulic. Kiedy robotnicy napływający z fabryk wypełniają boczne uliczki, próbując dołączyć do konduktu żałobnego, policja na nich napiera. Złość i rozgoryczenie uczestników marszu rosną. Wozy policyjne są pełne zatrzymanych.

*

Binele nie poszła na pogrzeb Lejba Garbusa. Jest w szpitalu przy Balci, której życie jest zagrożone. Do jako takiej równowagi kobieta przychodzi dopiero po długich tygodniach. Na okres jej pobytu w szpitalu Binele i Jankew przenoszą

---

96 (jid.) *Bracia zawarliśmy przymierze na życie i śmierć.*

97 (jid.) Liga Kultury – kulturalno-oświatowa organizacja związana z partią Bund i żydowskimi związkami zawodowymi, której celem było tworzenie instytucji żydowskiej kultury: teatrów, bibliotek, wydawnictw i szkół wieczorowych.

98 (jid.) *Bracia i siostry w pracy i znoju...* początek hymnu Bundu *Di Szwue* [Przysięga], którego autorem był Sz. An-ski (Szlojme Zajnwel Rapoport).

się do Cederbojmów, aby pomóc Wowie. W końcu Balcia wraca do domu. Jest wyczerpana, ale szybko przejmuje stery. Binele i Jankew wracają do swojego „szałasu” na werandzie. Ich romantyczny zachwyt został przyćmiony – ale tylko na jakiś czas.

Rozdział szósty

Deszczowa niedziela późnej jesieni. Binele i Balcia wędrują labiryntami łódzkich ulic, szukając nowych mieszkań dla siebie i swoich rodzin. Towarzysze przekonali Balcię i Wowę do wyprowadzki z chałupy na wypadek, gdyby hallerczycy mieli tu wpaść, aby się zemścić za swoją klęskę. „Derwachung" chyba było im cierniem w oku. Binele z kolei szykuje się na przyjęcie dziecka. Zima tuż, tuż.

Wydarzenia na Bałutach, śmierć Lejba Garbusa i przejścia Balci mocno podsyciły niepokój dziewczyny co do porodu i wzmocniły jej przesądy i obawy. O porzuceniu pracy w fabryce nie może być mowy, ale pod każdym innym względem Binele bardzo na siebie uważa. Jej zdrowie to sprawa najwyższej wagi. Ma przynieść na świat nowego człowieka – a tego nie można zlekceważyć! Ponosi odpowiedzialność za fizyczny fundament tego nowego życia. Dlatego traktuje siebie jak kogoś odrębnego, komu służy, z podziwem i bojaźnią. Wie, że zanim zaszła w ciążę, nie przetrwałaby tego, co doświadczyła Balcia. Ale teraz byłaby dokładnie tak samo silna jak przyjaciółka. Macierzyństwo obdarza kobietę siłą lwicy.

Dopiero co obejrzały kilka mieszkań do wynajęcia, ale żadne z nich nie odpowiadało ich wymaganiom. Do tej pory brały to za dobrą monetę, żywiąc nadzieję, że coś pasującego niebawem się pojawi. Teraz, gdy tak idą objęte, a deszcz kapie na parasol trzymany przez Balcię, Binele omawia z nią różne kwestie związane z ciążą. Bardzo dobrze wie, że teraz nie jest to właściwy temat do rozmowy z przyjaciółką. Ale nic na to nie poradzi. Bo komu innemu może zawierzyć swoje niezrozumiałe obawy, nie narażając się na wyśmianie? Przecież robi rzeczy, które nie pasują do jej charakteru. Ot, na przykład, od dnia ślubu unika spotkań z przyjaciółką Cyporą i zwalcza myśli o niej i jej zmarłych dzieciach. Sama, cała drżąca z obawy o los swój i dziecka, chodzi wokół

siebie na czubkach palców. Modli się o to, by cały świat wstrzymał oddech i odsunął wszystkie złe wydarzenia czy problemy – na później, jak już będzie po wszystkim.

Przed kim zatem, jak nie przed Balcią, może otworzyć serce i zwierzyć się ze wszystkich intymnych spraw kobiecych, niuansów, które wywołują napięcie; komu może przyznać się do sprzecznych pragnień, takich nielogicznych, że mężczyzna nawet by nie pomyślał, iż w jednej chwili mogą się zrodzić w sercu tego samego człowieka? Poza tym Binele nie interesował żaden inny temat. Kiedy Balcia, zmęczona słuchaniem jej wynurzeń, komentowaniem i udzielaniem rad, próbuje skierować myśli Binele w innym kierunku, ta przestaje jej słuchać.

Dzisiaj Binele ma bardzo dobry humor. Kilka dni temu dostała wyraźny sygnał, że wszystko się dobrze ułoży. Jankew otrzymał stałą posadę w tkalni ręcznej na Bałutach. To daje jej odwagę do poszukiwania normalnego kąta do zamieszkania. Nie ma wielkich oczekiwań, chce mieszkania bez wygód, a jej jedynym życzeniem jest, aby okna w nim nie były przesłonięte ścianą. Ludziom takim jak ona i Jankew, urodzonym w Bocianach, grozi, nie daj Boże, zagłada, jeśli nie mają okien, przez które widać choćby skrawek nieba. Dlatego ona i Jankew są skłonni wprowadzić się do facjatki. Chociaż takie mieszkanka są małe, to przez ich okienka wlewa się do środka ocean światła.

Balcia z kolei mogłaby się wprowadzić do piwnicy ze względu na niski czynsz i mając na uwadze warsztat tkacki. Jeśli chodzi o „Derwachung", kierownictwo partii postanowiło przenieść pismo do dobrze zabezpieczonej drukarni sympatyka Bundu. Archaiczna maszyna drukarska została sprzedana piekarzowi Zalmanowi Fidlerowi, który był poalej-syjonistą[99] i swojego rodzaju filozofem, a do tego cukiernikiem.

Okularnik Zalman Fidler uchodzi za cudaka zarówno między piekarzami, jak i kupującymi. Przez całe lata sam jeden prowadził piekarnię i małą cukiernię, mając tylko jednego pomocnika. A kiedy ostatnio zaręczył się, to dopiero zaskoczył bałucką społeczność. On, zagorzały poalej-syjonista, wziął sobie za żonę inteligentną pannę z bogatego domu, piękną jak księżniczka i delikatną niczym kwiat. Ma na imię Klara i jest bundystką, a także najlepszą przyjaciółką towarzyszki Hanki.

Zalman Fidler lubi się otaczać wschodzącymi ludźmi pióra, jak nazywa młodych bałuckich pisarzy, którzy jeszcze nie są uznawani przez starszych twórców spotykających się w kawiarni Pod Szklanką[100], nie wspominając już o uznaniu Olimpu

---

[99] Czyli zwolennikiem Żydowskiej Socjaldemokratycznej Partii Robotniczej „Poalej Syjon" – była to partia socjalistyczna i syjonistyczna, działająca w Polsce w latach 1906-1950.

[100] Kawiarnia Pod Szklanką mieściła się przy ul. Południowej 8 (dziś Rewolucji 1905 r.), często spotykali się tam młodzi, jeszcze nieznani pisarze i inni łódzcy artyści.

złożonego z ludzi o znanych nazwiskach jak np. Mojsze Broderson[101], bywalców eleganckiej restauracji Capri w centrum miasta. Cukierenka piekarza Zalmana – o nazwie Muza – jest miejscem spotkań lumpenproletariatu artystycznego świata. Za dychę lub na kredyt oparty na zaufaniu można w niej dostać szklankę herbaty z cytryną i kawałek piernika czy kilka kawałków makowca. Zalman wierzy, że goście będą pamiętali o długu, zaś oni wierzą, że on o nim zapomni.

Kilka małych stolików w Muzie u Zalmana Fidlera zawsze jest zajętych przez rozmarzonych młodych ludzi, z których część wciąż jeszcze nosi chasydzkie ubrania. Podniesionymi głosami powadzą w niej spory i dyskusje dotyczące przyszłości futuryzmu czy też analizy impresjonizmu i ekspresjonizmu. Tutaj prym wiedzie ludowy poeta Mojsze Sokrates. On sam nie jest już taki młody, a mimo to wciąż jeszcze nie dostąpił zaszczytu uznania go za „wielkiego" przez szeroki świat literacki.

Nie wątpi w swoją wielkość, potwierdzoną przez sławę, jaką się cieszy na całych Bałutach. Sokrates spędza w Muzie pół dnia na pisaniu na serwetkach swoich „wierszy", siorbiąc przy tym gorącą herbatę przez kostkę cukru w zębach, a drugą połowę dnia poświęca recytowaniu zgromadzonej przed nim publiczności swoich dopiero co powstałych utworów. Jest bundowcem, jak sam o sobie mówi, weteranem agitacji i propagandy między prostytutkami i ludźmi półświatka – to on pośredniczył w sprzedaży maszyny drukarskiej Zalmanowi. Ten zaś polecił ją naprawić i wstawił do pomieszczenia połączonego ze swoim mieszkaniem. Niebawem ma się ukazać pierwszy numer pisemka „Miotła" poświęconego nowym prądom w literaturze, sztuce, nauce, filozofii, polityce, jak i problemom społecznym.

Deszcz nieustannie pada na otwarty parasol Balci. Robi się coraz ciemniej. Na ulicy zapalają się lampy gazowe, rozsiewając żółte, smutne światło nad zwierciadłem mokrego, lśniącego asfaltu. Balcia robi się niecierpliwa. Powinna iść do domu nakarmić dzieci. Binele czyta z jej twarzy, że koleżankę opuszcza nadzieja na znalezienie facjatki i piwnicy w tym samym domu czy w ogóle na tej samej ulicy. W pewnym momencie Balcia zatrzymuje się i zwraca twarz ku Binele.

– Wiesz co, Binele – odzywa się suchym głosem – to był ostatni dzień naszego oszukiwania się. Widzisz przecież, że Bałuty są jak matka. Nie pozwalają swoim dzieciom tak łatwo porzucić domu, chyba że na cmentarz. Raz bałucianka, na zawsze bałucianka. Nie oszukujmy się. Nigdzie nie znajdę miejsca, w którym czynsz jest tak niski jak na Bałutach. – Szybko się odwraca i ciągnie Binele ze sobą.

---

[101] Mojsze Broderson (1890-1957) – poeta, ilustrator, scenarzysta, barwna postać łódzkiego świata artystycznego. Był jednym z inicjatorów grupy Jung Jidysz i wielu innych przedsięwzięć artystycznych w Łodzi. Wraz z Henochem Konem (muzyka) i Ichakiem Braunerem (lalki) założył artystyczny teatr marionetek Chad Gadija, a potem teatr Ararat, dla którego pisał teksty.

Binele poddaje się, patrząc na nią zdumiona.

– Rezygnujesz z szukania? A co ze mną i z naszymi planami zamieszkania w sąsiedztwie? Balciu, jak możesz mi robić coś takiego?

– Co takiego? – Balcia jest zdenerwowana. – Jeśli chodzi ci o to, by mieć mnie za sąsiadkę, to wynajmij sobie mieszkanie na mojej ulicy.

Binele czuje się obrażona.

– A ty nie chcesz mieszkać w pobliżu mnie? To muszę ci powiedzieć jedną rzecz, Balciu. Choć bardzo chciałabym mieszkać blisko ciebie, to nie chcę słyszeć o mieszkaniu na Bałutach. Za nic w świecie! Nigdy! Nie będę wychowywać moich dzieci na Bałutach! – Przeraża ją samo wspomnienie dawniejszego życia tutaj, Cypory i jej dzieci, uliczki Fajfera.

Balcia posyła jej cyniczny uśmiech.

– Wiesz co, Binele, czasami wyprowadzasz mnie z równowagi. Co ty sobie myślisz? Że na Bałutach mieszkają tylko złodzieje, żebracy i ulicznice? Masz coś przeciw mnie i Wowie? Czy innym towarzyszom z Bałut? Nie zapominaj, że jesteśmy świadomymi proletariuszami, więc nie musimy się obawiać brudu moralnego, który tu się znajduje. A jeśli chodzi o prawdziwy brud, to uczymy się przecież higieny i wiemy, jak się bronić przed bakteriami i mikrobami. Ja na przykład dopiero co zaczęłam czytać książkę pt. *Mikrobn-jegers*[102]. Wiedz, że w swoim domu i w swoim sercu zawsze możesz być duchową arystokratką, niezależnie od tego, gdzie mieszkasz. Poza tym Żydów bije się nie tylko na Bałutach. I sama przecież widzisz, że chciałam, zupełnie jak ty, wychowywać moich chłopaków na lepszej ulicy. Ale nici z tego. Nie wyszło. A przecież nie należymy do nieoświeconych mas, które żyją tylko samymi marzeniami bez pokrycia.

Serce Binele martwieje. Gdy tak idzie w milczeniu obok Balci, ledwo jej słucha. W myślach gorączkowo poszukuje rozwiązania problemu. I tak, w niespodziewany dla niej sposób, w jej głowie powoli rodzi się nowy projekt. To fakt, że za nic w świecie nie chce mieszkać na Bałutach, ale może warto rzucić okiem na obrzeża tej dzielnicy, na przykład na ulicę Nowomiejską, gdzie naprzeciwko Muzy Zalmana Fidlera mieszka jej siostra Rachela. Jeśli takie miejsce odpowiada Klarze, żonie Fidlera, to czemu miałoby jej nie pasować? Binele nie odzywa się do Balci ani słowem. Żegna się z nią niedbale, udając, że w dalszym ciągu jest bardzo dotknięta jej decyzją.

*

Nazajutrz, zaraz po pracy, Binele odwiedza swoją siostrę Rachelę. Jeszcze się z nią nie spotkała od przybycia do Łodzi, podobnie jak nie widziała się jeszcze z dwoma pozostałymi siostrami. W tym momencie nie ma ochoty zajmować

[102] *Łowcy mikrobów* – książka wydana w 1926 r., jej autor Paul de Kruif był amerykańskim mikrobiologiem i popularyzatorem nauki.

się naprawianiem nienajlepszych relacji rodzinnych. Siostry trwają przy swojej fanatycznej pobożności, a poza tym mają do niej lekceważący stosunek. Teraz jednak dziewczyna ma praktyczny powód, aby zobaczyć się z Rachelą i jest on ważniejszy od wszystkich powodów, aby się z nią nie spotykać.

Rachela jest już kobietą w średnim wieku. Nosi blond perukę o sztywnych ondulowanych lokach, które nigdy nie zmieniają kształtu. Ma okrągłą twarz o luźnym podbródku. Wodniste, zaczerwienione oczy spoglądają spod jasnych brwi. Wygląda dobrze i zdrowo. Ale jej serce rozpacza – jest bezpłodna.

Na widok Binele wybucha płaczem i nie może dojść do siebie. W końcu jednak próbuje się nieco opanować. Zarzuca siostrę tysiącem pytań, patrząc na jej brzuch, który już zaczyna się rysować pod ubraniem. Binele próbuje nie odpowiadać na jej pytania, a kiedy nie ma innego wyjścia i odpowiedzieć musi, to nie mówi prawdy. Na koniec Rachela milknie i całkiem skupia się na brzuchu Binele. Nie spuszcza z niego wzroku. Dziewczynę przechodzi dreszcz – bezpłodna Rachela może rzucić na nią urok złym okiem[103]. A mimo to, niemal wbrew własnej woli, porusza się w niej struna rodzinnej miłości. Prawdziwe siostrzane współczucie wypełnia jej serce. Zbiera się na odwagę, chwyta rękę Racheli i kładzie na swoim brzuchu.

– Czujesz, jak ono rusza się w środku? – Wesoło mruga do siostry.

Twarz Racheli rozluźnia się. W jej oczach rozbłyskuje łzawa radość.

– Tak, rusza się.

– Rośnie twój siostrzeniec lub siostrzenica.

Po chwili obie siostry zarzucają się nawzajem zupełnie innymi, tym razem prawdziwymi pytaniami. A gdy zaspokojona zostaje ich wzajemna ciekawość dotycząca kolei losów, siadają obie przy rozpalonym szamotowym piecyku, popijają gorącą herbatę z cytryną i zaczynają szczerą rozmowę o ciąży Binele. Dziewczyna odżywa, jest jej dobrze. To temat, który nigdy jej nie znudzi. Ponadto w głosie Racheli pobrzmiewa znany Binele ton troski i obawy – i tak w czasie rozmowy udzielają się jej niezaspokojone tęsknoty macierzyńskie siostry, a jej radosne, niecierpliwe wyczekiwanie i nadzieja – przechodzą na Rachelę. Uśmiechają się do siebie przez łzy. Nigdy nie czuły się tak sobie bliskie jak teraz.

Rachela obiecuje Binele, że będzie obserwować korytarz na czwartym piętrze, a także na innych kondygnacjach, bacząc, czy nie zwalnia się jakieś mieszkanie.

I faktycznie tak robi, ale po jakimś czasie staje się niecierpliwa. Obawia się, że straci możliwość posiadania w bliskim sąsiedztwie Binele z noworodkiem. Jej mąż Szaja nie zarabia wiele. W zasadzie to nie robi nic ważnego poza tym,

---

[103] Rozpowszechnione w wielu kulturach, także u Żydów, jest wierzenie, że spojrzenie może sprowadzać cierpienie i nieszczęścia takie jak ubóstwo, choroby czy nawet śmierć; narażone są zwłaszcza małe dzieci i kobiety w ciąży, stąd częste zaklęcia i amulety chroniące przed „złym okiem".

że całymi dniami studiuje święte pisma. Tylko nominalnie jest zatrudniony jako „człowiek" w jednym ze sklepików z żywnością, należących do bogatej siostry Rejzeli. Ale Rachela jest rozważna i oszczędna. Od wielu lat oszczędza. Teraz dzięki temu może urobić sąsiada z naprzeciwka. I tak w wielkiej tajemnicy przed mężem, a także przed Binele, pilnuje tego, aby dzięki odpowiedniej opłacie zwolnił się pokoik naprzeciwko.

*

Binele i Jankew wprowadzają się na facjatkę na czwartym piętrze domu przy ulicy Nowomiejskiej. Prowadzi do niej brudna klatka schodowa, oświetlona przez ledwo żywą, migotliwą lampę gazową, albo wręcz jest tam zupełnie ciemno. Za to przez wysoko umieszczone okno w pokoju widać wielki kawał nieba. Tym, którzy przez nie wyglądają, bałuckie domki wydają się odległe, zanurzone w jakiejś głębinie, a sam pokoik staje się gondolą balonu unoszącego się nad miastem i goniącego obłoki.

W pokoiku znajduje się łóżko będące jednocześnie miejscem do siedzenia przy stole. Blisko stołu stoi mały piec z jedną fajerką, a skrzynka w kącie służy jako ławka na wodę i miejsce na kuchenne utensylia. Gdy Binele i Jankew uzbierają parę złotych, idą na pchli targ i kupują małą szafę z dykty na ubrania. Odnoszą się do niej z wielkim nabożeństwem, nazywając ją „garderobą", ponieważ ma lustro i jest najdroższym z przedmiotów, które do nich należą. W pokoju zostaje nieco wolnej przestrzeni o szerokości trzech podłogowych desek, co akurat starcza na to, by coraz grubsza Binele i Jankew mogli do siebie podejść i paść sobie w ramiona po długim dniu niewidzenia się.

Pewnego szabasu podczas spaceru do cygańskiego taboru za Bałutami[104] udaje się im wygrać obrazek. Tak właściwie to wygrywa go Jankew za strzelanie do celu, ale Binele sama wybiera go spośród różnych fantów jako nagrodę. Obrazek – tania odbitka obrazu malarza Milleta[105] – jest oprawiony w ramkę ze szkłem i przedstawia zamyśloną chłopkę, która modli się o świcie sama jedna pośród pól. Młodzi zawieszają ten obrazek na ścianie z boku łóżka, ponieważ na naczelnym miejscu wisi ich fotografia ślubna. Binele wiesza w oknie firankę. Na parapecie stawia dwie doniczki z kwiatami, które – zaśnieżone i niemal zamarznięte – przyniosła z targu i przywróciła do życia. I oto już są urządzeni.

To wciąż jeszcze są te dni, kiedy Binele i Jankew postrzegają cały świat i bałucki pejzaż przez srebrny, wyszywany śniegiem welon. Dzięki niemu przyjmują

[104] Cygański tabor na obrzeżu Bałut opisała barwnie Chava Rosenfarb w drugim tomie *Bocianów*. Zob.: *Między miasteczkiem i Łodzią. Opowieść o miłości*. Zob. Źródła przypisów.

[105] Jean-François Millet (1814-1875) – francuski malarz realistyczny tworzący w XIX wieku, malował głównie wiejskie sceny rodzajowe.

nawet najtrudniejsze doświadczenia – a on, choć potargany, pozostaje cały i nieskazitelnie biały. Jankew i Binele są zajęci swoją miłością, która właśnie rozkwita i obejmuje trzecią osobę, tę noszoną przez Binele pod sercem. Dziewczyna czuje, jak dziecko się rusza. Jankew przysłuchuje się mu, przykładając ucho do jej brzucha. Wspólnie zatracają się w tym gorącym, choć zanurzonym w białej zimie upojeniu niczym w świetlistej dżungli, w której chce się szukać nowych ścieżek, aby coraz bardziej się zagłębiać w jej wnętrzu.

Binele stara się odrobinę powściągnąć ten nastrój błogości, bo się go obawia. Wciąż jeszcze chodzi na palcach, marząc o tym, aby wszystko nie tylko w niej, ale i poza nią przystanęło i wstrzymało oddech w oczekiwaniu. A tu właśnie pojawia się Jankew i niszczy tę ciszę. Ten zwykle milczący, zamknięty w sobie człowiek nagle stał się gadatliwy i wesoły jak figlarz. Jest pełen energii, pewien swojej zaradności, nadchodzącego ojcostwa i władzy nad Binele, przepełnia go triumfalny entuzjazm. Jest tak, jakby przebywając ze sobą, zamienili się temperamentami.

Razem spędzają noce i szabasy. Oboje pilnują uporządkowanego rytmu życia. Binele nawet robi postępy w nauce czytania i pisania. Nie chce, aby jej dziecko miało taką niedouczoną mamę.

W szabasy chodzą do „Harfy" posłuchać referatów o rewolucji i dyktaturze proletariatu, roli Związku Radzieckiego i Trzeciej Międzynarodówce, niemieckiej socjaldemokracji lub antysemityzmie w młodej, odrodzonej Polsce. Poza tym chadzają na odczyty literackie i spotkania z żydowskimi pisarzami, młodymi i starszymi, a także słuchają wykładów o sztuce, futuryzmie, ekspresjonizmie i impresjonizmie, podczas których Binele niemal zasypia. Wynosi z nich tylko jedną rzecz – przekonanie, że ocean wiedzy jest bardzo głęboki i że łatwo w nim utonąć, nawet gdy się umie czytać i pisać.

Do tych wszystkich aktywności dochodzi jeszcze udział Binele w próbach chóru „Harfy" oraz dobrowolna pomoc Jankewa w sprzątaniu klas, szorowaniu podłóg i malowaniu ścian w żydowskiej szkole świeckiej. Im mocniej uświadamia sobie swoje ojcostwo, tym bardziej staje się oddany szkole, w której będą się uczyły jego dzieci. To oddanie wzmaga się zwłaszcza po śmierci Lejba Garbusa. I o ile mieszkanie Wowy jest w pewnym sensie jego drugim domem, to szkoła zaczyna z nim konkurować.

Poza tym wszystkim są jeszcze przedstawienia żydowskiego teatru, których młoda para nigdy nie opuszcza. Binele ma czasami okazję obserwować z galerii grę Pięknego Mojszego[106], jej pierwszego narzeczonego. Gdy rozpozna go mimo charakteryzacji i przebrania w kostium, ogarnia ją smutek – czuje wówczas jakiś rodzaj litości i ma też poczucie winy. Kochał ją tak prosto i uczciwie, a ona nie

[106] Piękny Mojsze jest bohaterem powieści Rosenfarb *Między miasteczkiem i Łodzią. Opowieść o miłości*. Zob. Źródła przypisów.

potrafiła mu się odwdzięczyć za tę miłość i uciekła od niego. Ogarnia ją również uczucie dumy, że ten oto Piękny Mojsze, który spełnił swoje marzenie i stał się aktorem, prawdziwą gwiazdą, mógł być jej, ale ona z niego zrezygnowała – dla Jankewa.

*

Tego właśnie szabasu Piękny Mojsze gra główną rolę w sztuce *Otello*. Binele tak bardzo przejmuje się wynikającą z zazdrości tragedią, jaka rozgrywa się na scenie, tak bardzo gubi się w swoich splątanych uczuciach do Mojszego i do innego kochanka – Jojnego Swołoczy[107], który w przedziwny sposób przypomina jej Jagona, że gdy tylko kurtyna powoli opada, przesłaniając trupy gęsto ścielące się na scenie, dziewczyna gwałtownie zrywa się z miejsca. Jak zahipnotyzowana ciągnie Jankewa na dół, na parter.

– Czekaj tu na mnie! – woła do niego, a sama, osłaniając brzuch obiema rękami, przepycha się przez tłum ludzi zmierzających ku wyjściu, po czym wchodzi za kulisy.

Kiedy Mojsze-Otello dostrzega jej odbicie w lustrze garderobianej toaletki, przy której teraz siedzi, zmywając z twarzy makijaż, nieruchomieje. Binele nie podchodzi do niego, lecz przystaje w oddaleniu i z zawstydzonym uśmiechem spogląda na odbicie jego twarzy w lustrze. Tam też spotykają się ich spojrzenia. On odwraca się na krześle w jej kierunku, a spojrzenie jego oczu – podwójnie czarnych i wielkich dzięki otaczającym je kreskom makijażu, o połyskujących białkach i źrenicach głębokich i tajemniczych jak u prawdziwego Otella – przebija ją na wylot niczym ostrze widelca. W tym właśnie momencie Binele uświadamia sobie, dlaczego tu przyszła. Chce wyczytać z jego twarzy, że jej wybaczył, a tym samym chce oczyścić swoją drogę do nowego początku. Ale wszystko, co może wyczytać z jego oblicza, nie bacząc na białe plamy, które wymalował na czarnych od charakteryzacji policzkach, to informacja, że wciąż jeszcze jest w skórze niebezpiecznego Otella.

– Bardzo dobrze zagrałeś rolę Otella – mówi z trudem, splatając palce na brzuchu. Ogarnia ją strach na widok dzikiego wyrazu jego twarzy i sposobu, w jaki siedzi na krzesełku, jakby był gotów zaraz rzucić się na nią z wyciągniętymi rękami i ją udusić.

– Dziękuję za komplement. – Mężczyzna zaczyna się nagle śmiać fałszywym, diabolicznym śmiechem Otella.

Stworzenie w brzuchu Binele fika koziołki. Kobieta podtrzymuje je rękami o szeroko rozstawionych palcach, jakby się bała, że je, nie daj Boże, straci. Zmusza się, by podejść bliżej do Pięknego Mojszego, po czym bezwolnie zdejmuje prawą

[107] Kolejny bohater opisany w powieści Rosenfarb *Między miasteczkiem i Łodzią. Opowieść o miłości.*

rękę z brzucha i wyciąga w jego kierunku. Mężczyzna ujmuje jej dłoń i trzyma ją tak długo w swojej, aż ona nie ma już wątpliwości, że jej nie puści, zanim nie uczyni tego, co pół godziny temu na scenie uczynił Desdemonie.

– Widzisz, co tutaj noszę? – próbuje go zmiękczyć, pokazując palcem drugiej ręki swój brzuch. Patrzy na niego spojrzeniem pełnym błagania o litość, takim samym jak Desdemona, kiedy prosiła Otella, by jej darował życie.

– Wszystkiego najlepszego! – odpowiada Mojsze deklamatorsko i ściska jej dłoń. W końcu ją puszcza i przybiera pozę dumnego, lecz nieco mniej strasznego Otella.

Wówczas ona zadaje mu ważne pytanie:

– Wybaczyłeś mi, Mojsze?

On zastyga na krześle w teatralnej pozie. Jego oczy stają się na chwilę oczami prawdziwego Mojszego, choć ich spojrzenie jest nieco głębsze. I ono jeszcze bardziej ją rani niż wcześniejsze spojrzenie Otella. Tak łatwo wyczytać z jego oczu cierpienia, których mu przysporzyła. Mężczyzna wzrusza ramionami.

– Nie wiem, czy ci wybaczyłem. To zależy od roli, którą gram na scenie, i tego, jak ją odgrywam. Byłbym pewnie jeszcze lepszym Otellem, gdybyś za mnie wyszła.

– Nie ma lepszego Otella... – Binele udaje, że się nie zorientowała, do czego aluzje czyni Mojsze.

– A ty przyszłaś cieszyć się moim losem i oglądać mnie w roli człowieka, który z zazdrości traci zmysły?

– Mojsze – Binele wchodzi mu w słowo – nie mówmy o teatrze, lecz o życiu. Chciałabym wiedzieć, czy mi naprawdę wybaczyłeś.

– A co to za różnica? To jedno i to samo. Życie jest sceną, jak powiedział wielki Szekspir.

– Ale ja myślę... sądzę... Ożeniłeś się już?

– O tak, wiele razy.

– Mówisz o scenie...

– Oj, Binele, zapomniałaś już, co ci kiedyś powiedziałem na temat sztuki? Że sztuka jest zazdrosną muzą, jeszcze bardziej zazdrosną niż Otello.

W tym czasie Jankew stoi na dole w sali, która powoli się wyludnia. Obserwuje tłum, który zmierza ku wyjściu. Wie, że Binele poszła zobaczyć się z byłym narzeczonym. Zaczyna się w nim budzić zazdrość. Czuje smak tamtego dnia, tamtej chwili, kiedy przed laty zatrzymał na ulicy zaręczonych Binele i Mojszego, aby usłyszeć z jej ust, że ich miłość – miłość jej i Jankewa – zgasła na zawsze. I teraz opada go takie właśnie uczucie upokorzenia, rodzaj instynktownej pewności, że Binele nigdy nie będzie w pełni jego, że nigdy nie stanie się jego własnością, że mimo ogromnej wierności i wielkiej miłości nigdy nie zdoła mocniej przywiązać jej do siebie. Bo dla niej wolność nie jest jakimś abstrakcyjnym pojęciem. Wolność to część jej natury. Nie przemoże tego żaden rodzaj zniewolenia – ani z nienawiści, ani z miłości.

Łapie się na tym, że gapi się na lożę, która wciąż jeszcze jest zajęta. Dostrzega w niej dwie osoby, które wydają mu się znajome. Nagle rozpoznaje je. Patrzy, jak Baruch Wajskop i jego żona wstają z foteli. Przypomina mu się pewien dzień sprzed wielu lat: dzień, w którym po raz pierwszy pojawił się w Łodzi i ze swoim węzełkiem w rękach wszedł do chasydzkiego sztibla przy ulicy Piotrkowskiej. Baruch, syn bogatego fabrykanta tekstylnego, jako pierwszy wyciągnął ku niemu rękę z gorącym kubkiem kawy z cykorii. Tak się zaczęła ich przyjaźń, która już dawno przeminęła. Dzisiaj Baruch jest nie tylko właścicielem fabryk, ale też mecenasem sztuki, jednym z założycieli żydowskiego teatru, a także gospodarzem gimnazjum dla żydowskich dziewcząt, które założył przed laty, a którego uczennicą była kiedyś Polcia, Pola, dzisiaj zwana Czarną Damą.

Jak dobrze pasuje do niej to określenie! Czyż każdy mężczyzna nie nosi w sobie obrazu „Czarnej Damy", która ucieleśnia wszystko to, co ciemne, grzeszne i niezrozumiałe w jej naturze?

Baruch powoli posuwa się do przodu. Nie zauważa Jankewa. Z głową zwróconą na bok odpowiada na pozdrowienia, które spływają ku niemu ze wszystkich stron. Ale Pola dostrzega Jankewa stojącego pomiędzy rzędami pustych krzeseł. Jego spojrzenie wpada w jej spojrzenie jak w pułapkę. Odzywają się w nim ciemne tony, gdy ona, wsparta na ramieniu męża, sunie ku wyjściu. Ma na sobie czarne, połyskujące futro i futrzany toczek wedle rosyjskiej mody. Czarne włosy wysuwają się spod nakrycia głowy niczym przedłużenie czarnego futra. Myśl o tej kobiecie gra na ciemnych instynktach w sercu Jankewa. To muzyka czarnego fortepianu. Widzi ją, uczennicę gimnazjum, jak małymi dłońmi, niczym Lilit[108], wyczarowuje na białych klawiszach diabelskie dźwięki. Jakże ciemna bywała jej jasność, jak niebezpieczna jej niewinność! Teraz czuje wielki ciężar w całym ciele i duszy, jak zawsze, ilekroć niespodziewanie ją zobaczy. Kark mu sztywnieje. Pola, podchodząc bliżej, wpatruje się w niego takim ostrym spojrzeniem, że wszystkie mięśnie w jego ciele zaczynają drgać. Dopiero kiedy Binele pojawia się tuż przy nim i kiedy poczuje jej rękę wślizgującą się pod jego ramię, może oderwać wzrok od postaci Czarnej Damy.

Takie spotkania i incydenty, a także rozmaite codzienne doświadczenia zdają się cieńszą czynić nić intymności między Binele a Jankewem. Ale ta nić jest nie do zerwania. Każdej nocy przypadają do siebie z pożądaniem, jakby nie widzieli się od lat. Zmęczenie ciał znika, głowy oczyszczają się z wszelakich obciążających je myśli, z pamięci wypadają wszystkie zdarzenia minionego dnia – pozostaje jedynie wspólna chwila bycia razem.

---

[108] Lilit (hebr.) – żeński odpowiednik demona, upiorzyca, w niektórych przekazach uważana za pierwszą żonę biblijnego Adama, poprzedniczkę Ewy.

Gdy mało im tego wspólnego czasu, buntują się przeciw światu i postanawiają spędzić cały wieczór w domu, urządzając sobie bal. Jankew rozpala porządnie piec kuchenny. Binele robi ciasto. Zamykają drzwi, aby Rachela nie zorientowała się, że są w domu, i aby nie przyszło jej do głowy złożyć im wizytę. Jak złodzieje kochają się po cichu, szepczą, plotkują, snują plany i wygłupiają jak dzieci.

Potem Jankew zapala świecę, którą stawia na krześle obok łóżka, i z wiklinowej skrzyni wyjmuje książkę pożyczoną z biblioteki: *Dwadzieścia lat twierdzy w Schlisselburgu* – wspomnienia Wiery Figner[109], bohaterki Narodnoj Woli. Mości się wygodnie na łóżku obok Binele i czyta na głos rozdział lub dwa. Oboje bardzo przejmują się treścią tej książki. Kiedy dochodzą do ostatnich rozdziałów, Jankew żartuje:

– Towarzyszko Binele, jeśli urodzi się nam córka, proponuję, abyśmy nazwali ją Wiera. A jeśli syn...

Binele kładzie mu dłoń na ustach.

– Ciii, cicho, odłóżmy to jeszcze na kilka tygodni. I nie mów do mnie „towarzyszko Binele", już tysiąc razy cię o to prosiłam. Poza tym nie zawracaj sobie głowy tym, czego jeszcze nie ma na świecie.

*

Zima z przełomu lat 1922 i 1923 jest straszliwie mroźna, często hulają śnieżne zawieje. Fale nieznośnego mrozu trzymają miasto w lodowatym uścisku. Binele jak zwykle idzie do pracy. W fabryce nie przyznaje się nikomu, kiedy ma termin porodu.

Luty. Kobieta siedzi w słabo oświetlonej hali fabrycznej, zajęta wydłubywaniem „garbów" i cerowaniem splotu tkaniny rozłożonej przed nią na specjalnym stole. Jej głowę wypełnia szum maszyn, brzęczenie pasów transmisyjnych i buczenie motorów.

Czuje jakieś poruszenie w brzuchu. Nagle wokół jej lędźwi rozlewają się ból i skurcz tak silne, że traci oddech. Ból mija, ale ona już czeka z zaciśniętymi ustami na jego powrót. I oto jest znowu. Teraz obejmuje większy obszar ciała. Binele wyrzuca z siebie zduszony jęk. Bolesny skurcz pojawia się po raz trzeci, ona zaczyna krzyczeć. Boleści przychodzą nagle, gwałtownie, z wielką mocą. Wokół niej robi się zamieszanie. Otacza ją tłum sztoperek. Już za późno na wyprawę do domu. Pragnie jedynie położyć się na podłodze i tam wić się w boleściach.

Czuje, że ktoś ją podnosi. Majster brygadzista i dwóch innych mężczyzn z sąsiedniej hali dokądś ją niosą, a właściwie to nie ją, lecz jej wielki, twardy

---

[109] Wiera Nikołajewna Figner (1852-1942) – rosyjska działaczka dążąca do obalenia caratu, opowiadała się za terrorystycznymi metodami działania, brała udział w organizacji dwóch zamachów na cara, ponad 20 lat spędziła w więzieniach, autorka wspomnień i wielu artykułów.

jak kamień brzuch, wydęty bólem. Fabryka rozbrzmiewa echem jej krzyków. W głowie szumi jak w fabryce.

– Jankewie! Jankewie! Poślijcie po Jankewa! – prosi lampy elektryczne, które patrzą na nią z sufitu.

Jej serce rwie się do niego, pragnie, aby ukołysał ją w ramionach, trzymał jej spoconą głowę, która chce pęknąć, wspierał ją ważnymi, kojącymi słowami miłości, które działają na nią z taką mocą. Jednak nie, raczej chciałaby zaprotestować przeciw cierpieniom – przeciw niemu, wyładować swój gniew na nim, sprawcy tego cierpienia, a tymczasem nawet go tu nie ma, zostawił ją samą jedną na zatracenie... Ją, Binele, która dopiero zaczyna swoje życie, jest taka młoda i spragniona wszelkich smaków radości. Tak, kobiety mają tępe, nieduże mózgi, krótką pamięć, zupełnie jak koty. Tak szybko zapominają o bólach porodów i ponownie przechodzą przez te męczarnie – raz za razem, nie ostrzegając innych nieświadomych niczego kobiet, co je czeka. Jednak ona, Binele, postąpi inaczej! Jeśli jej się poszczęści i przeżyje ten dopust boży, zapamięta wszystko bardzo dobrze! Już nigdy w życiu nie zgodzi się na coś takiego! Nigdy! Nigdy!

Leży na skórzanej sofie, posłanej metrami sukna. W głowę ciśnie ją bela dopiero co utkanego materiału. Pan Moszkowicz, młody właściciel fabryki, osobiście trzyma ją za rękę i przemawia uspokajająco. Jest zbyt skupiona na sobie, aby przejmować się swoją godnością.

– Nic się nie martw. Wszystko będzie dobrze – mówi do niej. – Posłałem już po położną.

Mówi coś jeszcze, ale ona już go nie słucha, ogłuszona przez wielkie kleszcze, które zaciskają się na jej brzuchu. Za każdym razem, kiedy biorą ją w swoje uściski z taką siłą, że traci dech, ściska dłoń pana Moszkowicza.

– Poślijcie po Jankewa! Ratunku, poślijcie po Jankewa! – krzyczy.

Pan Moszkowicz znika. Teraz dwie kobiety trzymają ją za ręce. Inne snują się po pokoju. Widzi tylko ich białe czepki. Unoszą się dookoła niej jak stado białych bocianów w rodzinnym sztetlu. Oj, jakich to pięknych opowieści o bocianach, które przynoszą dzieci na ten świat, nasłuchała się jako mała dziewczynka!

Kobiety chodzą w tę i z powrotem, przynosząc miski i garnki z wrzątkiem. Para unosi się w powietrzu i liże mróz na szybach. Binele widzi to wszystko jakby z oddali, a jednak bardzo dobrze wie, że przez cierpienia, których doświadcza, na zawsze zapamięta wszystko, co się z nią teraz dzieje. Traci świadomość od skurczu, który nie chce przeminąć.

– Jankewie, Jankewusiu, pomocy! – dławi się własnym głosem.

– Oddychaj i przyj! – słyszy polecenie wydane przez kobiecy głos.

Czyjeś ciężkie dłonie naciskają jej brzuch, dając do zrozumienia, że nie ma już odwrotu, że jedyne wyjście to wypchnąć z siebie ten drogi skarb, to, co wniknęło w samo centrum jej bytu – nabrać powietrza i przeć! „Wyjdź już, ty diable, chodź, aniołku! Szybciej! Szybciej!" – prosi i modli się przez zaciśnięte zęby i policzki

nadęte wysiłkiem. Ostatnim skrawkiem świadomości i sił błaga małe bóstwo, które wyślizguje się z jej brzucha na ziemię.

– Już jest! Już jest! – rozlega się śpiewny, piskliwy kobiecy głos.

– Już je-est! Już je-est! – Binele przełyka ślinę i śpiewa wraz z głosem, całą siłą woli wypychając to nowe życie – aż do eksplozji.

Córka przybywa na czerwony dywan krwi, na belę towaru utkanego w tekstylnej fabryce Moszkowicza. To prawdziwie proletariacka dziewczynka. Wydaje głośny, piskliwy krzyk i bierze świat szturmem, jak przystało córce rewolucjonistów.

Kiedy Binele przychodzi nieco do siebie i otwiera oczy, dziewczynka leży na jej płaskim brzuchu, a u wezgłowia stoi Jankew. Przy drzwiach, w drugim kącie pokoju, stoi inny mężczyzna – właściciel, pan Moszkowicz, jej wróg klasowy i dobry anioł, który trzymał ją za rękę w krytycznych momentach. Łzy wymieszane z potem palą jej oczy, kiedy widzi Jankewa zbliżającego się do Moszkowicza i ściskającego mu dłoń z wielką wdzięcznością. Właściciel zdaje się być bardzo przejęty tym, co się właśnie wydarzyło w jego eleganckim gabinecie fabrycznym, jak i rolą, jaką sam odegrał w tym dramacie narodzin. Nieustannie ociera pot z twarzy białą wykrochmaloną chusteczką z monogramem. Posapuje, jakby sam przed chwilą urodził dziecko.

Binele, wciąż jeszcze ogłuszona i otumaniona, posyła mu uśmiech pełen wdzięczności:

– Zawsze będę pamiętać o tym, co pan dla nas zrobił, panie Moszkowicz.

Wieczorem pan Moszkowicz wysyła Binele, Jankewa i noworodka do domu taksówką. Po raz pierwszy w życiu młodzi rodzice jadą takim pojazdem. Siostra Binele Rachela i Balcia Cederbojm, którym Jankew zdążył już przekazać dobrą nowinę, czekają na nich przed bramą. Jankew i Zalman Fidler wraz z kilkoma jeszcze osobami z Muzy wnoszą Binele i dziecko do facjatki – na stołku. Śmieszna i wyczerpująca podróż. Na górze opiekę nad położnicą i maleństwem przejmują Rachela i Balcia. Twarz siostry jaśnieje dumą, peruka na jej głowie przekręciła się, a skarpety na nogach pozwijały w obwarzanki. Balcia jest od niej zdrowsza, więc przejmuje dowodzenie. Zaraz też młoda mama leży w łóżku, a jej córka wyleguje się po królewsku w szufladzie „garderoby".

*

Od razu, bez namysłu, nazywają swoją córkę Wierką – na pamiątkę po Wierze Figner. Wierka przyszła na świat z cienkim meszkiem brązowych włosów na głowie, takich samych jak u Jankewa. Ma wielkie, niebieskie oczy, które szybko stają się ciemnobrązowe o miodowym blasku, przypominając oczy ojca. To nie przeszkadza, by od chwili narodzin stała się wyłączną własnością Binele, jakby wkład Jankewa w jej istnienie w ogóle się nie liczył.

Binele doświadcza dziwnych uczuć – czuje się tak, jakby nagle sama zyskała mamę, rodząc się kolejny raz. Ona i Wierka są dwiema w jednym, a inne osoby stały się nieważne. Obie są dla siebie całym światem, a kontakty, które utrzymują ze światem zewnętrznym, są jak zbędne dygresje. Trzymają się życia jedna przez drugą, jedna dzięki drugiej. Razem i w ten sam sposób odkrywają wszystko, co je otacza. A ich największym odkryciem jest – rzecz jasna – Jankew. Jest tak, jakby zaznajamiały się z nim po raz pierwszy.

Uczucia Binele do Jankewa zyskują nowy wymiar. Rozrastają się. W tym samym czasie w jej intymnej relacji z nim powstaje rodzaj zakamarka, taki najbardziej wewnętrzny krąg, z którego mąż zostaje wykluczony – choć jako jego promień wyznacza go i podpiera. Obfitość i różnorodność jej uczuć do Jankewa rośnie proporcjonalnie do rozwoju Wierki. Córka staje się miarą jej miłości do niego – obcego człowieka, który podarował nowe życie, którego ledwo rozumie i który jest ich obu strażnikiem i niewolnikiem. Nie ciągnie jej do nikogo i do niczego tak jak do Wierki. O czymże jeszcze może śnić, gdy wszystko, o czym marzyła, trzyma teraz w ramionach, owinięte w pieluszki?

Binele staje się zazdrosna, kiedy ktoś zabiera Wierkę z jej ramion nawet na chwilę. Jest zazdrosna o każdą osobę, do której dziewczynka skieruje swój grymas przypominający uśmiech. Dziecko należy do niej, wyszło z niej i istnieje dzięki jej piersiom pełnym mleka. Ledwo pojmuje ten cud, nie może się nim nasycić. Takie szczęście jest wyjątkowe i niebezpieczne, to podniecanie się losem i prowokowanie szczęścia. Więc na nowo staje się przesądna i bogobojna. Wierka jest jej bóstwem, więc jak każda prawdziwa wyznawczyni Binele czuje się najbliżej niej, kiedy jest z nią sama.

Jej siostra Rachela bardzo ją denerwuje, bo zbytnio się zadomowiła w ich pokoiku. Do tego Binele nie może znieść, że Rachela ma Wierkę przy sobie przez cały dzień, kiedy ona sama jest w fabryce. Jak zazdrosna kochanka gna do domu, aby nakarmić córkę i nacieszyć się nią przez tę godzinę, na którą pan Moszkowicz zwalnia ją z pracy. Często podczas pracy ma złe przeczucia. Zdaje się jej, że coś się z córką stało, że słyszy jej płacz – i ledwo może wysiedzieć nad belą towaru. Pragnienie, aby trzymać dziecko w ramionach, jest jak głód, który można zaspokoić jedynie wtedy, gdy wyjdzie mu się naprzeciw, by go nasycić.

Oddanie Binele córce, a także to, że uwaga Wierki jest skoncentrowana na matce, powoduje, że Jankew czuje się jak zazdrosny intruz. Ale to nie przeszkadza mu snuć własnych marzeń na temat dziewczynki. Przede wszystkim chce, aby posiadała wszystkie cnoty: urodę, mądrość, inteligencję i dobry charakter. Poza tym pragnie, aby dzięki niej ta wieczna tęsknota i niepokój w jego sercu, smutek, który nosi w sobie od dzieciństwa, przemieniły się w błogość, a brzydota i gorycz, które wypełniają jego życie, stały się słodyczą i pięknem. Przecież jego wewnętrznym osobistym celem jest nadanie życiu formy, uczynienie go bogatszym i piękniejszym. A najradośniejszy wkład w to bogactwo i piękno nosi imię córki.

Ma wzniosłe sny: marzy o tym, że Wierka będzie jego głosem, że posiądzie siłę uzdrawiania miejsca na świecie, w którym przyjdzie jej żyć, że będzie muzyką jego duszy, opowieściami, które on sam snuł przez całe życie, jego tęsknotą. Że będzie dalej snuła nić pokoleń – a jego wplecie w swoje pokolenie. Śni o tym, że córka będzie jego darem pocieszenia dla świata.

Gdy obserwuje małe stworzenie o cieniutkich lokach na głowie i drobniutkich, delikatnych rączkach, które rozcapierzonymi paluszkami dotykają matczynej piersi, gdy widzi, jak maleńkie usteczka niczym dziurka od guzika wciągają w siebie sutek – śmieje się ze swoich wygórowanych ambicji wobec córki. Ale gdy tak z nich kpi, w głębi duszy traktuje je śmiertelnie poważnie. Wcale mu nie przeszkadza to, że jego dziedzicem nie jest syn, lecz córka. Właśnie córkę chciał mieć. Kobietę, gniazdo pokoju i wyciszenia.

Jednak prawie nie pozwala sobie na luksus spędzania czasu z Wierką i jej mamą. Im bardziej go do nich ciągnie, tym bardziej sumienie wygania go z domu, popychając do udziału w zebraniach, mityngach, kampaniach politycznych. Minął rok od narodzin dziewczynki. Trzy miesiące temu, w pewien mroźny grudniowy poranek, usłyszał w drodze do pracy wieść, że Gabriel Narutowicz, pierwszy prezydent wolnej Polski, został zamordowany przez nacjonalistycznego fanatyka[110]. Kraj, w którym urodziła się Wierka, zsuwa się w otchłań nienawiści. Jankew uważa za swoją powinność, aby nędznymi środkami, jakie stoją do jego dyspozycji, walczyć o ocalenie świata dla córki.

---

[110] Gabriel Narutowicz (1865-1922) – pierwszy prezydent Rzeczypospolitej Polskiej, swój urząd pełnił tylko przez pięć dni, towarzyszyła im atmosfera nienawiści podkręcanej przez endeckie gazety. Zarzucano mu ateizm i że został wybrany dzięki głosom mniejszości narodowych. Został zastrzelony 16 grudnia 1922 r. przez powiązanego z endecją zamachowca Eligiusza Niewiadomskiego.

Rozdział siódmy

Dopiero wówczas, gdy Wierka kończy rok i jest niczego sobie dziewczynką, tłuściutkim żarłoczkiem, zawsze szczęśliwym i uśmiechniętym, Binele pozwala sobie od czasu do czasu pomyśleć o czymś innym. Jest zdumiona samą sobą, swoją obojętnością na innych ludzi. Nie może zwłaszcza pojąć, w jaki sposób jej odnowiona wierność przyjaciółce Cyporze mogła się wyczerpać tak szybko i tak gruntownie. Takie zachowanie nie leży w jej naturze, więc nie może sobie wybaczyć swojej małoduszności.

Pewnego mroźnego zimowego wieczoru, kiedy Jankew jest na zebraniu, Binele zostawia Wierkę u Racheli i idzie zobaczyć się z Cyporą. W jej głowie rodzi się plan, w jaki sposób wyprowadzić przyjaciółkę na prostą drogę. Binele – świadomej, piśmiennej i szczęśliwej – nic na tym świecie nie zdoła zatrzymać przed uratowaniem przyjaciółki od upadku.

W blasku latarni dostrzega Cyporę paradującą w tę i z powrotem przed bramą domu na rogu Fajferówki. Maszeruje, przytupuje nogami, dmucha w dłonie w rękawiczkach i trzęsie się w płaszczu, pod którym chyba ledwo co ma na sobie. Ujrzawszy Binele, Cypora zatrzymuje się na chwilę, po czym znowu rusza przed siebie jakby nigdy nic. Kiedy Binele ciągnie ją za rękaw, kobieta wyrywa się i wybucha gniewem:

– Zejdź mi z oczu! Nie chcę cię znać!

Binele nic sobie z tego nie robi.

– Chodź! – proponuje. – Wejdźmy do ciebie, do domu, trochę się ogrzejemy.

– Tak, chodź na górę! – zgadza się zagniewana Cypora.

Na wpół zaciemniony buduar Cypory jest tanią, ale bardzo dokładną kopią „gniazdek miłości", które widuje się w kinie czy które są opisywane w tanich romansach. Pokryte sadzą i pleśnią ściany oraz wszystkie rzeczy w dusznym

pokoju udekorowane są poplamionym, wyblakłym różem. W pobliżu łóżka pali się lampka naftowa nakryta czerwonym abażurem. Na krzesłach i na stole leżą czarne podwiązki, czarne pończochy, halki, wstążki i sukienki w krzykliwych kolorach. Pusta butelka po wódce leży na podłodze przy zapadniętym łóżku. Jest tu ciepło, a w powietrzu stoi nieprzyjemny odór, wymieszany z zapachami tanich perfum, papierosów i stęchlizny. Z częściowo zasłoniętej klatki przy oknie cicho śpiewa kanarek.

Kiedy tylko przekraczają próg, Cypora w rozpiętym płaszczu pada na łóżko całą siłą swojej wściekłości, aż sprężyny materaca wydają przerażający jęk.

– Naprawdę? Znowu się pojawiłaś? – prycha. – Bardzo pięknie z twojej strony! Wtedy miałaś ślub. Jaką to dobrą nowiną chcesz teraz kłuć mnie w oczy? No już, wyśpiewaj mi, jak ci dobrze, abym mogła lepiej zobaczyć, jak głęboko tkwię w gównie. Matko, jak to ona kiedyś śpiewała? Jesteś mi bliższa niż siostra! Bliższa niż matka! Ty fałszywa żmijo! Tak, taka właśnie jesteś! Jesteś tańsza niż ja z tą całą twoją nowobogacką moralnością!

Binele stoi przy drzwiach, nie będąc w stanie postąpić kroku do przodu ani uciec. Nie ma prawa uciekać. Zasłużyła na słuszny gniew przyjaciółki. Przecież nie może jej powiedzieć, jak bardzo jest przesądna. A im bardziej rozgoryczona staje się krzycząca Cypora, tym większa ulga spływa na Binele. W końcu bierze się w garść i przerywa koleżance w pół słowa pytaniem:

– To dlaczego mnie nie szukałaś? Balcia by ci powiedziała, gdzie mieszkam. I opowiedziałaby ci, że...

– Ja? Szukać ciebie? – Cypora wybucha histerycznym śmiechem. – Nigdy w życiu! Faktycznie nie mam niczego, ale honoru mi nie brakuje! Patrzcie no i słuchajcie, co też ona gada, ta królowa frajerów!

Mała maszynka spirytusowa stoi na skrzynce. Binele umiera z pragnienia, bardzo potrzebuje szklanki herbaty. Jednak na myśl o wypiciu jej w tym pokoju wszystkiego się jej odechciewa. Coś takiego wisi tutaj w powietrzu, co ją i przegania, i intryguje. Różowość ścian. Czerwień abażura. Kanarek. Wszystko to przepełnia jej serce obrzydzeniem, zdumieniem, ale także wielką litością dla Cypory i dla siebie samej. Macha ręką i mówi:

– Wpadnę innym razem! – Po czym wybiega.

Głodna i zmęczona wraca do domu i odbiera dziecko od Racheli. Karmi Wierkę, zagryzając w międzyczasie automatycznie, w zamyśleniu, kawałkiem chleba z masłem i popijając szklanką gorącej herbaty. Nikt poza Cyporą nie uświadomił jej tak wyraźnie, jak bardzo się zmieniła. To prawda, siła jej uczuć wzrosła, ale uczucia same uległy wielkiemu ograniczeniu. Obejmują tylko te oto cztery ściany i ledwo docierają na zewnątrz. Tak, zasłużyła na gniewne słowa przyjaciółki. Jest prawdziwą, złą egoistką, i bez znaczenia jest fakt, że jej serce krwawi na myśl o Cyporze.

Na ulicy było już ciemno. Ale tu, na czwartym piętrze, przez zamarznięte szyby wciąż jeszcze przenikają smugi purpurowego światła i kładą się na ściany

pokoiku ciepłym odblaskiem zachodzącego słońca. W powietrzu unosi się szaroróżowy snop promieni.

Binele kładzie Wierkę na łóżko i zaczyna się z nią bawić. Z każdym wybuchem śmiechu i z każdym perlistym dźwiękiem gaworzenia, jakie wydobywają się z ustek dziecka, wciąż jeszcze wilgotnych od mleka, Binele uspokaja się coraz bardziej. Po co tak wiele rozmyślać? Nie ponosi odpowiedzialności za życie Cypory. Jej jedyną odpowiedzialnością jest życie tego pulchnego stworzenia w jej ramionach, które macha do niej sprężystymi kończynami i gaworzy „ma-ma". I z jego powodu ona, Binele, zrobi wszystko, aby odpokutować swoje grzechy wobec Cypory. Przeprosi ją. Pomoże jej. Zabierze ją do „Harfy" i będzie pilnowała, aby wróciła na prostą ścieżkę.

Binele kładzie się na plecach i pozwala córce raczkować po sobie. Łaskocze grubiutki brzuszek głową. Wierka śmieje się i krztusi cienkim śmiechem. Próbuje zejść z łóżka. Binele pozwala, po czym trzymając ją pod pachami, pokonuje z nią pustą przestrzeń pokoiku wielkości trzech desek. Wierka uczy się chodzić.

Dobiegający z korytarza odgłos twardych kroków wyrywa Binele z nastroju zabawy. Rozlega się gwałtowne stukanie do drzwi. Binele, drgnąwszy, chwyta dziecko. Nie ma dokąd uciec. Nie wiedząc, co czyni, bierze chustkę, oplata nią dziecko i siebie, tak mocno przyciskając małe ciałko, jakby chciała je w siebie wepchnąć.

Po drugiej stronie drzwi rozlega się naglący głos:

– Otwierać! Policja!

W gardle zasycha jej ze strachu. Nie rusza się z miejsca. Ktoś wyważa drzwi. Dwóch żandarmów wpycha się do pokoiku, a za nimi pan Wygodny, stróż kamienicy. Zajmują całą wolną przestrzeń szerokości trzech desek i zaczynają przepychać Binele z dzieckiem – raz na prawo, raz na lewo. Aż dziewczyna siada na łóżku z dzieckiem na kolanach. Żandarmi otwierają garderobę i wyrzucają wszystko na ziemię. Jeden z nich chwyta Binele za ramię, spycha ją wraz z dzieckiem z łóżka, przekopuje je, a także zagląda pod spód. Drugi zrzuca wszystkie naczynia ze skrzynki na węgiel, zdejmuje z niej wiadra z wodą, przeszukuje w środku. Otwiera wiklinową skrzynię i wyrzuca z niej wszystkie papiery i książki trzymane tam przez Jankewa. Opróżnia pudełko pełne maleńkich bucików Wierki i wrzuca do niego wszystkie ulotki i broszury. Odwracając się ku Binele, przeszywa ją na wylot lodowatym spojrzeniem szarych oczu:

– Gdzie on jest?

Binele zbiera się na odwagę i próbuje przemóc drżenie ciała.

– Kto? – próbuje wydusić z siebie.

– Twój mąż! – rzuca drugi żandarm, doskakując do niej i przyciskając ją ramieniem do drzwi garderoby. Wierka zaczyna płakać. Twarz żandarma jest tak blisko twarzy Binele, że dziewczyna czuje zapach jego spróchniałych zębów.

– Nie mam męża – odpowiada z trudem.

– A gdzie jest ojciec tego bękarta?

– Ja... nie wiem.

– Ona też nazywa się Polin – stwierdza miłym głosem pan Wygodny, stróż, opierając się o futrynę.

Żandarm uderza kobietę w twarz.

– Ty kłamliwa suko! – syczy i rzuca ją na łóżko z taką siłą, że ta niemal wypuszcza dziecko z rąk.

Binele rzuciłaby się na niego, wydrapała mu oczy, kopnęła w udo, ale nie może. Musi chronić Wierkę. Nie może opanować szczękania zębów.

Żandarmi wynoszą się, zabierając pudełko z papierami. Jeszcze przez chwilę kobieta siedzi na łóżku, mechanicznie kołysząc dziecko w ramionach. W końcu prostuje się, wstaje i przyciskając małą do siebie, wybiega z mieszkania. Racheli nie ma w domu. Na korytarzu stoją sąsiadki. Zaraz zasypują Binele gradem pytań, kiwając smutno głowami. Chcą zabrać dziecko z jej ramion i zająć się nim, ale ona odpycha je od siebie, pospiesznie zbiega po schodach i wybiega na ulicę.

W pierwszym odruchu chce biec do lokalu partii, gdzie Jankew jest na zebraniu. Ale przychodzi jej do głowy, że może ją śledzić szpicel, chociaż za nic nie pojmuje, czego żandarmi chcą od Jankewa. Bund jest przecież legalną partią. Policja pewnie zna adres partyjnej siedziby. Musi najpierw poradzić się Balci.

Mroźny wieczór, który jeszcze chwilę temu był taki jasny, hula teraz śnieżną zawieruchą. Płatki śniegu wirują w powietrzu. Domek Balci wydaje się być bardzo daleko. Kolana Binele drżą, ona sama obawia się, że nie da rady tam dobiec. Sapie, pojękuje, pociera sobie policzki i spazmuje:

– Co za swołocz! Skurwysyny! Na złość wam moje dzieci będą żyć w raju na tej ziemi!

Z dzieckiem na rękach wpada do Muzy Zalmana Fidlera, aby zasięgnąć rady jego żony Klary. Cukierenka jest pełna stałych gości, którzy piją herbatę i zagryzają firmowymi słodkościami. Zalman jest zajęty szykowaniem ciast na sobotnio-niedzielną wyprzedaż. Binele przepycha się do niego i opowiada, co się stało. Pokryty mąką od stóp do głów, z przypudrowaną na biało twarzą, Zalman ociera ubrudzone wąsy i zdejmuje okulary. Ściąga z głowy czapkę piekarza i szybko czyści nią szkła okularów. Jak zawsze, gdy jest zdziwiony, zastyga na chwilę z otwartymi ustami, prostując wąsy nad górną wargą. Ruchem głowy przywołuje poetę Mojszego Sokratesa, który siedzi przy stole, po czym przekazuje mu szeptem nowinę przyniesioną przez Binele. Mojsze kiwa na jednego ze swoich ludzi, po czym obaj wybiegają z cukierni. Zalman prowadzi Binele do mieszkania w prywatnej części lokalu, gdzie przebywa Klara.

Klara przynosi z cukierni herbatę i kilka kawałków makowca. Potem, poprawiając ciężki, luźny kok na karku, tłumaczy Binele:

– Oni podejrzewają nas o prosowiecką propagandę w związku z Kombundem[111] i sporem dotyczącym przystąpienia do Trzeciej Międzynarodówki[112].

Binele czuje się niezręcznie w obecności Klary Fidler. Klara, jak towarzyszka Hanka, pochodzi z dobrego domu. Ale Hanka jest swojska, przystępna, podczas gdy w charakterze Klary jest coś takiego, co bardziej wpływa na jej relacje z ludźmi niż pochodzenie: dystans i powściągliwość, które przypominają pychę, chociaż swoim życiem kobieta daje świadectwo zupełnie czemu innemu. Klara należy do najbardziej lubianych osób w kobiecych kręgach „Harfy". Tylko Hanka może się z nią równać. Szacunek, z jakim towarzyszki zwracają się do Klary, podobnie jak do Hanki, w przypadku tej pierwszej pomieszany jest z pewnym rodzajem wdzięczności za moralną odwagę, z jaką przeciwstawia się syjonistycznej ideologii męża i trwa przy własnej linii politycznej.

Towarzyszka Hanka perfekcyjnie mówi po polsku, a przy tym zna soczysty łódzki dialekt żydowski, podczas gdy Klara Fidler posługuje się idealną polszczyzną, jednocześnie kalecząc jidysz. Przeprasza za każde jidyszowe słowo, które źle wymawia. Ale ta jej nieznajomość żydowskiego, mocno naznaczona polskim, wystarcza, aby Binele czuła dyskomfort w jej towarzystwie, a nawet pewną wrogość. Uważa, że kobieta miała dość czasu, aby się nauczyć po ludzku mówić w jidysz i że nie powinna podkreślać swoim „odżydzonym" językiem, że nie jest zwykłą bałucianką.

Również swoim wyglądem Klara wyróżnia się z otoczenia. Bardziej przypomina szlachciankę niż żonę piekarza-cukiernika, nawet jeśli jest to cukiernik-filozof. Jest delikatną pięknością: ma matową, bladą karnację, oczy koloru ciemnobrązowego i wspaniałe, długie, ciemnobrązowe włosy, które wiąże w wielki, luźny kok. Włosy te są tak ciężkie, że nie dając się ujarzmić szpilkom, często wiją się luzem na karku. Jej głos jest głęboki i śpiewny. Porusza się powoli, jakby z wysiłkiem. Również i to Binele tłumaczy jej szlachetnym pochodzeniem.

Klara zauważa, że policzek dziewczyny coraz bardziej puchnie, więc gdy Binele, zmuszając się jak do zażycia leku na uspokojenie nerwów, kończy pić szklankę herbaty, podaje jej chusteczkę, aby zrobiła sobie opatrunek. Binele trzyma chusteczkę przy policzku i huśta się nerwowo ze śpiącym dzieckiem w ramionach. Z niecierpliwością spogląda w kierunku drzwi. Rozmowa z Klara nie klei się.

---

111 Kombund – żydowska organizacja komunistyczna założona w 1922 r. przez rewolucyjnych działaczy Bundu. Ugrupowanie powstało z inicjatywy Pinkusa Minca należącego do łódzkiego komitetu Bundu. Według badaczy nawet połowa łódzkich bundystów przeszła do Kombundu.

112 Międzynarodówka Komunistyczna (zwana także III Międzynarodówką), w skrócie Komintern, powstała z inicjatywy Lenina w 1919 r. Została założona przez 19 partii komunistycznych, w tym Komunistyczną Partię Polski. W Bundzie przez wiele lat trwały spory związane z przystąpieniem do III Międzynarodówki, ostatecznie postulat ten został odrzucony przez większość członków. Zwolennicy tej idei, głównie z Łodzi, stworzyli nowe ugrupowanie – Kombund i podjęli decyzję o połączeniu z KPP.

W końcu Zalman Fidler wpada do pokoju zamyślony i mówi:

– Mojsze Sokrates wrócił! Wszystkich aresztowano! Przeprowadzono rewizję w domu każdego i zajęto lokal Bundu!

Binele skacze na równe nogi i pędzi ku drzwiom. Po chwili jest na zewnątrz. Mocniej zawija dziecko w rozluźnioną chustę. Tumany padającego śniegu uderzają ją w twarz, a zawieja niemal spycha na środek drogi, gdzie zagrożenie stwarzają pędzące tramwaje, dorożki i pojazdy o ledwo widocznych lampach lub zapalonych pochodniach i latarniach.

Balcia zdaje się na nią czekać. W domu panuje bałagan, skrzynki po pomarańczach są na wpół opróżnione, szuflady powysuwane z szafy. Sterta książek, czasopism i papierów poniewiera się na podłodze.

– Jankew został zabrany – raczej potwierdza niż pyta. – Również ciebie nie uszanowali, jak widzę. – Pokazuje brodą na spuchnięty policzek Binele. Bierze dziecko z ramion koleżanki i odkłada do łóżka.

Binele opuszcza się na krzesełko przy stole zarzuconym stosami ubrań i naczyń.

– Co teraz? – pyta, sapiąc.

– A co można zrobić? Należy przetrwać noc. – Balcia przykrywa dwójkę dzieci śpiących w kołyskach i ruchem głowy przywołuje Binele do łóżka. – Chodź, wyciągniemy się tutaj. – Zwilża ręcznik, podaje koleżance, aby zrobiła sobie okład na policzek, po czym obie kładą się na posłaniu obok śpiącej Wierki. – Binele, chyba rozumiesz – szepcze – musimy się trzymać. Mamy dzieci.

– Nie mam cierpliwości trzymać się! – Binele wstaje.

Balcia chwyta ją za rękę.

– Musisz. Tak to już jest. – I jakby chcąc odwrócić jej uwagę od tego, co się stało, zaczyna opowiadać: – Jak widzisz, Binele, znowu jestem w ciąży. Jeśli chcesz, możesz sobie wytłumaczyć to jako próbę wynagrodzenia sobie za poronienie. Ale z drugiej strony ciąża jest częścią mojego życia z Wową. Wpadamy, gdy przestaję karmić albo kiedy małego nie ma na drodze. Rozumiesz?

Binele krzywi się, targana niepokojem.

– Nie, nie rozumiem, jak możemy rodzić dzieci na takim świecie! Nasze dzieci nie mają ojców!

– Co ty mówisz? Mają prawdziwych ojców, najlepszych na świecie.

– Serio? A niby jakim sposobem? Jeśli ciągle siedzą zajęci na zebraniach, troszcząc się o dobro świata, a nie potrafią się zatroszczyć, aby ich własne dzieci żyły w takich warunkach jak należy. A poza tym mogą ich wsadzić do więzienia, oby diabli wzięli te nowe polskie porządki! Jankew nigdy w życiu nie był aresztowany, ani przez Rosjan, ani przez Niemców, dopiero teraz, w wolnej Polsce...

– To bądź zła na polskie porządki, nie na naszych mężów – sprzeciwia się Balcia.

– A jeśli jestem, czy dzięki temu zmienia się to, że nasze dzieci rosną bez ojców?

– Jasne. To dowodzi, że Polska nie jest jeszcze prawdziwie wolna, że nasza walka dopiero się zaczyna.

– Proszę cię, Balciu, nie zawracaj mi głowy walką-szmalką. To jakieś bezsensowne opowieści. Moje dziecko musi mieć ojca już, dzisiaj.

– To cena, jaką musimy zapłacić.

– To ja nie chcę jej płacić! Moje dziecko też nie chce! Masz coś do mnie? Nie mam cierpliwości ani nerwów do tego całego socjalizmu. Chcę mieć odrobinę radości z życia. Nie chcę zwariować ze strachu o Jankewa.

Balcia wzdycha:

– Widzę, że musisz się najpierw nauczyć alfabetu naszej ideologii.

– Balciu, serce mi pęka.

– A co myślisz, że mnie nie? To wyobraź sobie, co nasi bojownicy przeżyli za cara, co przeżywały wówczas ich żony. Naszych mężów potrzymają dzień–dwa, a potem ich zwolnią. Ale tamci byli zsyłani na Sybir, całe życie spędzali w więzieniu.

– Skończone osły – mruczy Binele.

– Proszę cię, Binele! – Dzisiaj Balcia nie ma do niej cierpliwości. – Nie umniejszaj prawdziwego bohaterstwa. Największymi idealistami, jakich posiadała ludzkość, byli ci, którzy walczyli z caratem.

– No, to czego to dowodzi? – Binele nie przejmuje się gniewem Balci. – Co tak wychwalasz ten wielki idealizm? Ja też jestem idealistką. Moim ideałem jest dać mojemu dziecku wszystko najlepsze, co tylko możliwe.

– To egoizm, nie idealizm.

– O co chodzi z tym egoizmem? Co ci twoi bohaterowie, którzy tak się poświęcali dla innych, wiedzieli o życiu? Odzyskali stracone lata? Wcale nie! A czemu życie kogoś obcego ma być ważniejsze niż moje własne? Ile żyć posiada człowiek? Chcesz mi powiedzieć, że oddanie życia za innych jest słuszne? Jeszcze zrozumiałabym, gdyby chodziło o własne dzieci, dobrego przyjaciela, kogoś, kto jest dla ciebie kimś ważnym. Ale tak po prostu dla świata, dla proletariatu, w szeregach którego mogą być najwięksi przestępcy, to idiotyzm, nie idealizm.

Balcia spogląda na nią z bolesnym zdumieniem:

– Czy ty w ogóle wiesz, co mówisz, Binele?

Binele odwzajemnia jej spojrzenie:

– Ty również nie wiesz, Balciu.

– Ależ wiem. – Balcia zdecydowanie potrząsa głową. – Muszę wiedzieć. Właśnie dlatego, że Wowa cierpi, dzieci cierpią i ja też. Dobrze muszę wiedzieć po co. Wszystko ma być proste i jasne. I ty też musisz to wiedzieć. Trzeba wierzyć w sprawę, słyszysz, Binele? Bo jeśli człowiek nie jest przekonany i cierpi, nie wiedząc, po co, to wówczas, widzisz, ma przegrane życie.

Nazajutrz rano Binele biegnie z dzieckiem do domu, aby wyczekiwać Jankewa. Gdy musi iść do pracy, zanosi Wierkę do Racheli, która wie już od sąsiadów, co się wydarzyło. Czuwała całą noc, drżąc z niepokoju o siostrę i jej dziecko, choć los Jankewa mało ją interesuje. Jest wyrzutkiem, który sprowadził Binele z prostej drogi i który naucza tej swojej grzesznej tory sąsiadów z kamienicy. Dostał to,

na co sobie zasłużył. Tak więc, gdy tylko widzi siostrę, zaczyna spazmatycznie opłakiwać jej sytuację, jakby Binele właśnie została wdową.

Binele ma wrażenie, że dzień w fabryce owija się wokół imienia Jankewa jak koszmarny pas transmisyjny. Wieczorem wciąż jeszcze nie ma go w domu.

Mija wiele dni. Już wiadomo, gdzie przebywają aresztowani. Binele i Balcia, wraz z żonami innych aresztowanych towarzyszy, zanoszą wałówki do bramy radogoskiego więzienia[113] i próbują się dowiedzieć, kiedy odbędzie się przesłuchanie. Aż pewnego dnia przyjmowanie wałówek zostaje wstrzymane, a do kobiet dociera informacja, że aresztowanych wywieziono z Łodzi.

Tygodnie tęsknoty za Jankewem mijają bardzo powoli. Binele nie może ani na chwilę zostać w domu sama z dzieckiem. Spędzają wieczory u Balci czy u Racheli, która ją denerwuje tym wiecznym użalaniem się nad nią i nad Wierką. Ma nawet wrażenie, że w zapłakanych oczach siostry tli się płomyk jakiejś radości, rodzaj przyjemności, że może rozpieszczać ją i dziecko. Binele zna ją bardzo dobrze i z jednej strony wybacza jej to, ale z drugiej – odsuwa pretensje na później. Dobroć Racheli jest plastrem miodu na rany jej serca.

Binele często zostawia u niej Wierkę, by biec na zebrania, w czasie których dyskutuje się o aresztowaniu towarzyszy i podejmuje rezolucje w sprawie akcji, jakie należy przeprowadzić, aby zmusić władze do ich uwolnienia. Balcia nie musi już tłumaczyć Binele alfabetu ideologii. Wyrządzono jej wielką niesprawiedliwość, a ona nie jest gotowa przyjąć tego, co się stało, z pochylonym karkiem. Balcia ma rację. Porządek świata jest do chrzanu. Należy go zmienić, bo nie może być już gorzej. Na przykład, kiedy hallerczycy napadają Żydów, można się bić, ale jak sam rząd odbiera ludziom wolność tylko za to, że myślą tak czy inaczej – to jest zbrodnia przeciw godności człowieka.

*

Jankew dostaje się do więzienia na cały rok. Dzieje się to tuż po odzyskaniu przez Polskę niepodległości, o której marzył przez całą swoją młodość. Więzienie wroneckie[114] w którym został zamknięty, znajduje się w twierdzy pochodzącej jeszcze z czasów przedrozbiorowych. To twierdza zbudowana z wielkich kamieni, posiadająca niewielkie arkady strzelnicze, wały i wieże w murze, który ją otacza.

---

[113] Pomyłka autorki, w latach II Rzeczypospolitej więzienie karno-śledcze, w którym przetrzymywano więźniów związanych z ruchem lewicowym, znajdowało się przy ul. Gdańskiej 13 (które wcześniej było aresztem carskim). Więzienie radogoskie uruchomili Niemcy dopiero na początku II wojny światowej.

[114] Ojciec autorki przebywał w więzieniu we Wronkach nad Wartą, zbudowanym w latach 1889-1894 w zaborze pruskim w tzw. systemie celkowym, gdzie każdy więzień miał jednoosobową celę. W 1921 r. obiekt włączono do systemu więziennictwa polskiego, a wśród skazanych było wielu działaczy organizacji komunistycznych.

Samo więzienie ma małe, zakratowane okienka wychodzące na leśną okolicę pociętą siecią wąskich strumyków.

W środku, w więzieniu, ciągną się długie, kamienne korytarze, a w każdym z nich znajduje się nisza z posągiem Jezusa, nad głową którego świeci mała, czerwona lampka. Korytarze te ciągną się przez cztery piętra. Żelazne schody prowadzą na górę, gdzie znajdują się rzędy drzwi do więziennych cel – czarnych, skrzypiących, zaopatrzonych w judasza. Za jednymi z nich znajduje się Jankew.

Gdy tylko go tu przywieziono i gdy zamknęły się za nim te skrzypiące drzwi, poczuł w sobie pustkę, jakby wpadł do studni, w której nic nie ma poza wirującym niepokojem przyprawiającym o zawrót głowy. Kiedy leży na pryczy, a elektryczna lampka gaśnie, odległy kawałek granatowego nieba w oknie staje się jedynym źródłem światła. Wpatrując się weń, jasno pojmuje, że pobyt tutaj jest częścią jego przeznaczenia, stawieniem się na własne przesłuchanie, postawieniem sumy jego własnych działań przez osądem własnego sumienia, aby wypróbować siłę jego przekonań, a zwłaszcza – aby przekonać się, jak potężne są źródła jego odwagi. Dlatego przyjąłby może pierwsze dni w więziennej twierdzy z jakimś rodzajem gorzkiej satysfakcji jako coś, czego potrzebuje dla własnego użytku – gdyby to wymuszone rozstanie z Binele i dzieckiem nie było pełne takiej bolesnej tęsknoty.

Wszystko wydaje mu się tutaj znajome, chociaż jest w więzieniu pierwszy raz w życiu. Nawet smak kwaśnego barszczu, który dają mu na śniadanie, cierpkiego kapuśniaku na obiad czy odrobiny ziemistego chleba i czarnej jak smoła kawy są mu znajome – jakby sobie przypominał te smaki i zapachy, które powinny być dla niego nowe – nie mówiąc już o gromadzie piszczących i skrobiących szczurów, które dotrzymują mu towarzystwa.

Dni podobne do siebie jak dwie krople wody mijają w powolnym, monotonnym rytmie. Półgodzinne spacery po więziennym dziedzińcu to jedyne chwile, na które czeka każdego dnia, gdy tylko otworzy oczy. Podczas tych spacerów widzi się z innymi aresztowanymi towarzyszami z Łodzi – a jest ich około pięćdziesięciu. Wraz z nim spacerują Anton Cimerman i Wowa. Małe, szare oczy Wowy ciskają prowokacyjne iskry. Drobne kroki, które musi stawiać, idąc w kolumnie więźniów, zdają się go denerwować. Lada chwila, a jakaś siła pchnie go naprzód, do marszu, jak w czasie demonstracji. Idzie z wyprostowanymi plecami i piersią podaną do przodu. Wydaje się jeszcze wyższy, niż jest naprawdę.

I nie tylko Wowa, ale też pozostali towarzysze sprawiają wrażenie, jakby chcieli przekazać jeden drugiemu niemą wieść na temat czasu, „który musi nadejść"... Jankew jeszcze nigdy nie czuł się tak podniośle, jak podczas tych spacerów po okolonym murem więziennym podwórku. Czuje się komfortowo w swoim towarzystwie – w miejscu, w którym jest, w tej właśnie chwili swojego życia.

Podniosły nastrój, który odczuwa podczas spacerów, rekompensuje mu godziny samotności w celi. Odczuwa palącą tęsknotę za Binele i Wierką, lecz nie odpędza smutku. Ponieważ również smutek jest ważną częścią nastroju rodzącego

się w czasie maszerowania wraz z towarzyszami po więziennym podwórku. Podwórko jest areną. Jankew jest gladiatorem, na którego za chwilę rzucą się lwy. Dawni gladiatorzy wołali do Cezara: „Ave Caesar, pozdrawiają cię idący na śmierć!". Jednak oni, współcześni gladiatorzy, są następcami Spartakusa. Nie pozdrawiają Cezara. Są pewni, że zakończą zwycięstwem tę swoją walkę. I w ten sposób Jankew pozdrawia w myślach Binele i Wierkę. Czego ma się bać – jeśli wrogów pokona i jeśli walczy o szczęście rodziny?

Ale dzień więźnia jest długi. Człowiek ma czas zmęczyć się wzniosłością i dopuścić, aby inne emocje uciszyły wiatr w żaglach nadziei. Unoszą go fale dręczących pytań, gdy kręci się na posłaniu podczas bezsennych nocy. Wówczas pyta sam siebie, czy ma prawo obarczać Binele i dziecko, albo też własną matkę. Tak, nieustannie obarcza swoich najbliższych. Za cenę wygrania lepszego jutra płaci teraźniejszością tych, których kocha i którzy go potrzebują. Zawsze go bolało, gdy Binele wygłaszała takie pretensje pod jego adresem. Mówił jej wówczas, że nie może być inaczej; że ci, którzy wiążą swoje życie z aktywnym idealizmem, muszą cierpieć; że ideał jest okrutnym bogiem, który domaga się ofiar. Tak, już sam ideał miłości i braterstwa narzuca na tych, którzy podporządkowują się dyscyplinie walki o jego urzeczywistnienie, obowiązek odpowiedzialności i życia bez kompromisów.

Ale w takich chwilach ten ideał wygląda inaczej, staje się mniej wyraźny, rozmyty. Czasami, kiedy bezsenną nocą Jankew leży na pryczy, przed jego oczyma przepływają obrazy tego, co przeżył jako żołnierz w czasie wojny polsko-bolszewickiej. Widzi siebie tamtej decydującej nocy, kiedy nagle znalazł się oko w oko z żydowskim czerwonoarmistą, którego zastrzelił. Wizja trupa wiedzie myśli Jankewa do ciemnej otchłani. Oczy umierającego, jego ostatnie spojrzenie przekreślają wszystkie ideały. Widzi je, śpiąc – podążają za nim od jednego snu do drugiego, od jednego koszmaru do drugiego. Ostatnie spojrzenie konającego staje się spojrzeniem jego córki – zarówno dopiero co narodzonej, jak i w chwili śmierci. We śnie odmawia kadisz[115] i nie wie dokładnie, po kim – może po sobie samym. Widzi siebie w grobie nieznanego żołnierza czy w jakiejś innej bezimiennej mogile – wielkiej, bezmiernej. Jest jednym z wielu. Jest całym żydowskim nasieniem. Martwy czerwonoarmista jest jego sąsiadem, a inny żołnierz maszeruje w paradzie obok grobu, tego grobu. „Nie wal tak butami" – Jankew prosi żołnierza na zewnątrz, nad sobą. Tamten nie odpowiada. Może odpowiedź nie istnieje? Jankew zrywa się ze snu pokryty potem.

Gdy tak leży przytomny, widzi jak ciasne ściany celi zlewają się z panującą dookoła ciemnością i znikają. Uniwersum cuchnącej czerni. Na jawie śni o prze-

[115] Kadisz – jedna z najważniejszych modlitw w liturgii żydowskiej, odmawiana za zmarłych przez pierwszy rok żałoby, a potem w każdą rocznicę śmierci.

łamaniu gęstej ciemności, marzy o książce, albo ołówku i kawałku papieru, aby chociaż w ten sposób uciec od nieskończonej nocy i cuchnącej samotności. Wstaje z posłania i zaczyna spacerować od ściany do ściany, w tę i z powrotem, bez przerwy. Nie ma książki ani ołówka i papieru.

W takich okolicznościach przypomina mu się Joel Kowal[116] – idzie mu naprzeciw szeroką Aleją Topolową w Bocianach. To on nauczył go żyć bez tego, co zewnętrzne, czuć się w domu jak w swoim wnętrzu. Joel nauczył go odkrywać w sobie całe światy – nieskończoność pełną obrazów, kolorów i zapachów, zapierającej dech swobody myśli. Już tyle czasu minęło, od kiedy myśl Jankewa nie szybowała ponad ziemią, ponad tym, co racjonalne i suche, zmanipulowane frazesami i terminologią ukutą przez innych, choćby nawet pełne specyficznej treści. Teraz nadszedł właściwy moment, aby odkryć, czy istnieje ta więź pomiędzy jego światem wewnętrznym – a zewnętrzną wiarą, którą deklaruje jako swoją, a z powodu której jest zamknięty w tej celi. W ten sposób Jankew odnajduje swoją pełnię i wraca do siebie. Na nowo wyznaje swoją wiarę: misją każdego człowieka jest ratować iskry Szechiny[117], ratować okruchy dobra z paszczy demona.

Jednej takiej nocy, gdy już prawie zasypia, słyszy zgrzytanie klucza – strażnik otwiera drzwi celi. Wyprowadza Jankewa na długi korytarz, potem wiedzie w dół żelaznymi schodami, obok rzeźby Jezusa na każdym piętrze. Mężczyzna stara się uciszyć szalone bicie serca. „To nie carskie czasy – mówi do siebie – w końcu to niepodległa Polska".

W pokoju przesłuchań jest ciemno. Kilku uzbrojonych strażników stoi przy drzwiach. Tyko jedna duża lampa z abażurem wisi nad długim stołem. Przy stole siedzi trzech mężczyzn, jeden sprawia wrażenie sędziego, drugi – prokuratora, a trzeci to naczelnik więzienia. Nim Jankew zdąży złapać oddech i wziąć się w garść, wylewa się na niego potok zniewag, epitetów i wulgaryzmów, wykrzyczanych przez wszystkie trzy pary ust:

– Zdrajco! Wrogu narodu polskiego! Judaszu!

„Ujadajcie na mnie, ile chcecie – Jankew prosi ich w sercu – ale nie bijcie. Tylko nie to!".

Dostaje cios kolbą w ramię:

– Siadać!

Opada na stołek, który stoi na środku pomieszczenia. Zaczyna się przesłuchanie. Jest wypytywany o szczegóły ze swojej biografii. I słyszy ponowny potok krzyków:

---

[116] Joel Kowal, jeden z bohaterów *Bocianów*, którego podejrzewano w miasteczku o najgorsze rzeczy: że zamordował własną żonę i dzieci, i że był czarownikiem, ale stał się mentorem Jankewa. Zob. Ch. Rosenfarb, *Bociany. Opowieść o sztetlu*. Zob. Źródła przypisów.

[117] Szechina – niecielesna Obecność Boga w świecie, przez kabalistów ukazywana jako żeński aspekt Boga. Jej obecność była odczuwana w Świątyni Jerozolimskiej, ale jej zasięg nie ma granic.

– Chcesz sprzedać naszą Polskę Moskalom! Planowałeś wprowadzić bolszewików do naszego kraju!

Ten, który krzyczy najgłośniej, to młody mężczyzna w jego wieku. Co robił podczas wojny polsko-bolszewickiej? Czy był wojskowym kamratem Jankewa, a teraz stał się jego oskarżycielem? Ten, który zdaje się być sędzią, to mężczyzna w średnim wieku, barczysty, brzuchaty, z patriarchalną brodą. Chytre oczy zerkają zza okularów w złotych oprawkach, które trzymają się na samym czubku kartoflanego nosa. Jego mięsiste wargi wykrzywiają się w cynicznym grymasie.

– Do jakiej partii należysz? – pyta sucho.

– Jestem bundystą – odpowiada Jankew zachrypniętym głosem. – Należę do legalnej partii. Walczyłem przeciw bolszewikom, po stronie Polski. Zawsze dążyłem do tego, aby Polska była wolnym krajem. – I niemal przypomina o medalu, który otrzymał za odwagę, za zabicie rosyjskiego zwiadowcy. Ale opanowuje się. Nigdy nie wybaczyłby sobie przechwalania się hańbą, która płonie w jego sercu.

– Tak, to prawda. Ale na waszym zjeździe zgodziłeś się na to, aby Bund przystąpił do Trzeciej Międzynarodówki! – słyszy uwagę sędziego.

– Mój Boże, na jakim zjeździe?

– Na konferencji w Krakowie[118]!

– Nie było mnie tam.

– No, nawet jeśli ciebie tam nie było – rzuca mu młody oskarżyciel – to czy nie kontynuowałeś swojej brudnej roboty w Łodzi? To jest według ciebie wolna Polska! Czuć się wolnym, by prowadzić swoją zdradziecką robotę!

– Nie prowadzę żadnej zdradzieckiej działalności. Nie należę do Kombundu i jestem przeciw przystępowaniu do Trzeciej Międzynarodówki.

W tej właśnie chwili w pokoju pojawia się osobnik o ciemnej twarzy, wysoki i potężny. Żandarmi salutują, a śledczy przy stole zrywają się z miejsc. Stają na baczność i pozdrawiają przybysza pełnym uszanowania skinieniem głów. Jankew uświadamia sobie, że to, co odbyło się do tej pory, było tylko preludium do właściwego przesłuchania. Nagle przychodzi mu do głowy scena z groteski. Uspokaja się, jest opanowany, chociaż dwóch żandarmów staje po obu jego stronach.

Przybysz zajmuje przy stole naczelne miejsce, a oczy wszystkich skupiają się na nim. Zaczyna przepytywać Jankewa suchym, formalnym tonem. Jankew odpowiada w podobny sposób. Nawet wówczas, gdy czuje w pytaniu śledczego lekki ton ironii, udaje, że tego nie zauważa. Nie mówi więcej, niż musi.

Śledczy zagląda do otwartej kartoteki i przechodząc, rzuca:

– Widzę, że dostałeś odznaczenie wojskowe za odwagę.

---

[118] I Zjednoczony Zjazd Bundu obradujący w Krakowie w dniach 9-10 kwietnia 1920 r., opowiedział się za wystąpieniem z II Międzynarodówki i przyłączeniem się do Międzynarodówki Komunistycznej. Jednak części bundowców nie odpowiadało pięć z dwudziestu jeden warunków przystąpienia, co doprowadziło do rozłamu i utworzenia frakcji komunistycznej, która pod nazwą Kombund w 1922 r. przystąpiła do MK.

Młody „oskarżyciel" nie może już wytrzymać.

– Fikcja! – krzyczy. – Jego odwaga to odwaga Judasza!

Główny śledczy udaje, że tego nie usłyszał. Jego twarz powoli pokrywa się jakimś rodzajem ludzkiej serdeczności, a pytający ton głosu nabiera szczególnej uprzejmości.

Po przesłuchaniu Jankew zostaje odesłany do większej celi zbiorowej. Tutaj jest razem z Wową i innymi towarzyszami. Anton Cimerman automatycznie przejmuje przywództwo nad grupą towarzyszy aresztantów. Pomiędzy nim a Wową nie ma wielkiej harmonii. Ich charaktery nie pasują do siebie, podobnie jak nie są zgodni w podejściu do metod walki o socjalizm. Jankew traktuje to jako jasny dowód, że wybór ideologii nie jest kwestią przypadku, lecz wynika z charakteru danej osoby. Mimo wszelkich dyskusji i sporów dni w zamknięciu przenika duch braterstwa, którego smak znają jedynie ci, którzy kiedykolwiek siedzieli zamknięci razem za to, że służą wspólnemu ideałowi. Jankew spędza cały miesiąc z towarzyszami w więziennej celi twierdzy wroneckiej.

*

Do domu powraca tym samym człowiekiem, a mimo tego jest odmieniony. Im więcej opada go wątpliwości, tym fanatyczniej czepia się wiary, socjalistycznego ideału. W więzieniu doszedł do wniosku, że pobożny Żyd, nawet najbardziej prymitywny, codziennymi modlitwami wznosi się na poziom czystej duchowości. Każdego dnia, uskrzydlony, przemieniony, wynurza się z szarości ziemskiej banalności i oddaje się życiu duchowemu przynajmniej na kilka minut, które rozpromieniają i ubogacają nieznośną monotonię bytu. Świadomy socjalista, ateista – myśli Jankew – może znaleźć w sobie takie duchowe bogactwo przy pomocy innych środków, które muszą mu zastąpić modlitwę. Socjalizm powinien stać się czym więcej niż tylko suchą „torą[119]" potrzeb dnia codziennego – a on, Jankew, musi się o to wszystko zatroszczyć najpierw w sobie samym.

I tak wraca do zwykłego życia, którym pozornie wszystko znowu jest dobre i piękne. Po długim rozstaniu, dni z Binele i Wierką pełne są świątecznej radości.

Również w domu Wowy i Balci Cederbojmów jest świątecznie i radośnie. Urządza się tam tłumne, pełne entuzjazmu przyjęcia na cześć zwolnionych towarzyszy, a noce spędza się na gorących dyskusjach politycznych, które rozpoczęto jeszcze w więzieniu. Te pełne życia dni trwają przez pół roku, aż do chwili, kiedy

[119] Tora (hebr.) – pierwotnie to słowo oznaczało wskazówkę, pouczenie, przestrogę ojca lub kapłana, z czasem nabrało znaczenia ogólnego i obejmuje wszystkie prawa, które wskazują Żydom, jak prowadzić życie zgodne z wolą Boga.

Balcia szczęśliwie zostaje mamą zdrowej córeczki.

Wowa udaje niezadowolonego:

– Co ja będę robił z dziewczynką? Nie wystarczy mi jedna kobieta, która kręci się po domu? – Ale wszyscy wiedzą, jak bardzo chciał mieć córkę. I tego dnia, kiedy dziewczynka przychodzi na świat, Wowa składa uroczyste zobowiązanie: – Najwyższy czas wziąć się za siebie.

Kończy papierosa, którego zapalił z okazji narodzin jedynej dziewczynki w rodzinie i od tej chwili już nigdy nie weźmie ich do rąk. Zaczyna też więcej uwagi przywiązywać do swojej pracy przy warsztacie tkackim, dzięki czemu od tej pory lepiej zarabia.

Balcia jest dumna i tak zachwycona córeczką, że tym razem kategorycznie sprzeciwia się Wowie, który proponuje, aby dziewczynce dać na imię Sofia po bohaterskiej męczennicy Narodnej Woli Sofii Perowskiej[120]. Balcia mówi „nie!" i nadaje córce imię Malka – po swojej matce.

Binele aż zaczyna Balci zazdrościć. Jej kalkulacja jest prosta: skoro jedno dziecko może przysporzyć kobiecie tyle radości, to Balcia jest dwa razy bardziej radosna i szczęśliwa niż ona. A to jest niesprawiedliwe. I zaczyna kpić z komicznej obietnicy, którą sobie złożyła, że już nigdy w życiu nie przejdzie męczarni związanych z porodem – zamiast tego zastanawia się, czego by doświadczyła, gdyby miała jeszcze jedno dziecko.

Jedna rzecz jest dla niej jasna: że nie ma sensu czekać z posiadaniem dzieci na „nadejście socjalizmu", to znaczy, nie warto czekać na lepsze czasy. Nie ma wątpliwości, że Wierka jest bardzo zadowolona ze swojego istnienia na świecie. Jest tak zdobywcza i pewna siebie, że wcale nie wzbudza poczucia winy w swoich rodzicach za to, że przyczynili się do jej przyjścia na ten świat. Wręcz przeciwnie. Dzięki niej rodzice zrozumieli, że społeczność ludzka na ziemi nie mogłaby się bez Wierki obejść, że ona znajdzie własne miejsce w jej szeregach niezależnie od warunków i okoliczności, że siła życia jest ogromna – i tak samo ogromna jest siła miłości. Poza tym Binele liczy, że łatwiej i ekonomiczniej jest wychowywać dwójkę dzieci razem i że bez wątpienia jej dzieci będą mieć lepsze życie niż ona i Jankew w swoim dzieciństwie. Ponieważ jej dzieci mają rodziców silnych i świadomych.

Binele zapomniała wybadać, co o jej projekcie myśli Jankew. Oczywiście jest za demokracją w życiu rodzinnym, ale w końcu są sprawy, nad którymi ma większą władzę niż mąż, i jest to rzecz naturalna.

---

[120] Sofja Lwowna Pierowska (1853-1881) – rosyjska rewolucjonistka, działaczka Narodnej Woli, współorganizatorka zamachów na cara Aleksandra II, także tego zakończonego powodzeniem. Skazana na karę śmierci.

I tak zachodzi w ciążę po raz drugi.

Ponieważ nie ma czasu latać do Balci w celu obgadania okoliczności kolejnej ciąży, bywa u Klary Fidler, która też jest przy nadziei. Binele chce się dobrze przypatrzeć, w jaki sposób wykształcona i inteligentna towarzyszka zachowuje się w tym czasie. Pokonuje skrępowanie, jakie odczuwa w obecności Klary. Choć ma już za sobą doświadczenie porodu i bycia matką, a Klara – nie, ani razu nie przychodzi jej do głowy, że wykształcona Klara może się czegoś od niej nauczyć, a nie odwrotnie. Binele zawsze miała szacunek dla wykształcenia. Ale od kiedy została matką, to poważanie stało się wręcz nieskończone.

Binele i Klara chodzą na spotkania kółek kobiecych w „Harfie", słuchają pogadanek o ciąży i wychowaniu dzieci, które zwykle wygłasza przyjaciółka Klary – towarzyszka Hanka. Z roku na rok Hanka jest coraz większą specjalistką w tej dziedzinie – po wojnie polsko-bolszewickiej i odrodzeniu niepodległej Polski towarzyszki zaczęły rodzić. Poza tym Hanka jest świetną prelegentką.

Towarzyszka Hanka ma do Binele szczególnie ciepły stosunek. Po pogadankach siada tylko z nią w kąciku i wypytuje o szczegóły, które Binele wcale nie wydają się ważne. Ale Hanka chyba wie, co robi. Jeśli Binele czegoś nie rozumie z jej wystąpienia, to Klara Fidler wyjaśnia jej tę czy inną kwestię mądrymi słowami – na skutek czego Binele rozumie jeszcze mniej. Wówczas idzie do Balci, aby ta „poustawiała meble w jej głowie".

Balcia śmieje się z teorii, które Binele przynosi do domu po tych pogadankach. Bardzo lubi towarzyszkę Hankę, ale jeśli chodzi o macierzyństwo, to siebie uważa za większą ekspertkę. Według niej wiedza i higiena są ważne, ale istoty macierzyństwa nie można poznać poprzez żadne pogadanki i wykłady, a posiadanie jednego dziecka wystarczy, aby kobieta nauczyła się, czego trzeba. Binele głupieje od słów Balci, które ją denerwują. Ocean wiedzy jest przecież taki ogromny. Pełna zapału, wszystkimi posiadanymi zmysłami pragnie nauczyć się wszystkiego, co tylko możliwe na temat sztuki bycia dobrą matką. Wiedzy tej szuka, gdzie się tylko da i u kogo tylko można.

I w takich okolicznościach przychodzi na świat druga córka Binele. Jak wcześniej Wowa przyszedł do Balci, tak teraz Jankew przychodzi do Binele z propozycją, aby dziewczynce dać na imię Sofia – po bohaterskiej rewolucjonistce Sofii Perowskiej. Ale sławna Sofia również w oczach Binele nie znajduje uznania. Kobieta przekonuje Jankewa, że córkę trzeba nazwać imieniem po jej matce. Więc dają jej na imię Miriam.

*

Narodziny w Bergen-Belsen. Ponowne. Powrót do życia. Ciało świętuje, dusza w żałobie. Miriam zdawało się, że to jej dusza była tak śmiertelnie chora i wciąż jeszcze walczyła o życie. Czuła się jak ktoś, kto dopiero co wyszedł z ciemnej piwnicy, wpadając w oślepiającą jasność słonecznego światła. Mrużyła oczy i zezowała.

Oczy nie były w stanie przyjąć promienistości, która zalała jej źrenice. Bolało. Wciąż jeszcze miała ochotę się wycofać w cień półprzymkniętych powiek.

Wiosna. Poranne powiewy, niczym dłonie litościwej pielęgniarki, przyniosły czułość świata, z którego zniknęło tak wiele twarzy. Miriam dalej żyła swoim podwójnym życiem: jednym, które wibrowało radością fizycznego zwycięstwa, i drugim, które albo trwało w głębinie koszmarów, albo – wręcz przeciwnie – żeglowało przez spokojne pejzaże wyczarowane jej tęsknotą. Jedno życie – to prawdziwe, obecne – było zamglone, chociaż budziło w sercu ciekawość i niecierpliwość. To drugie – życie wspomnieniami – było ostro zarysowane, pełne szczegółów, skąpane w poczuciu winy. Wymagało od niej absolutnej wierności.

Chociaż miała prawie normalną temperaturę, wciąż jeszcze doświadczała rozmaitych halucynacji, i to nie tylko nocami, ale też za dnia. Na przykład dopiero co widziała swoich rodziców stojących przy jej pryczy w tych samych ubraniach, w których byli na ślubnej fotografii wiszącej nad ich łóżkiem w domu przy Nowomiejskiej. Matka, trzymając w ręku blaszaną menażkę, przysiadła na skraju pryczy córki, zaś ojciec stał przy jej nogach.

– Popatrz, mój maluszku, wszystko się zieleni na dworze – powiedział. – Taka piękna, świeża zieleń.

Matka zanurzyła łyżkę w menażce.

– Przyniosłam ci odrobinę zupy, maluszku. Młode marchewki, ziemniaczki i kluseczki powinny uciszyć twój wilczy głód życia. No, otwórz buzię, spróbuj, jakie to smaczne.

– No – zachęcał ją ojciec. – Otwórz buzię i spróbuj wspaniałego majowego powietrza. – Wsunął rękę do kieszeni. – Przyniosłem ci twoje baletki.

– Jedz – powiedziała matka.

– Spóźnisz się na lekcję tańca – dodał ojciec.

Istnieje wiele sposobów, na jakie człowiek może otworzyć oczy. Miriam otworzyła je najszerzej i najbardziej boleśnie – i ujrzała Balcię Cederbojm siedzącą na skraju pryczy z menażką na kolanach. Kobieta coś szeptała, ale Miriam nie chwytała sensu wypowiadanych słów. A mimo to słowa te gładziły ucho, a dotknięcie palców z paznokciami o czarnych obwódkach uciszyło szum w ciele. U stóp łóżka stała Malka i huśtała się nad nią jak obumierająca gałązka. Niespokojne spojrzenie Miriam przesuwało się po twarzach obu kobiet. To wspaniale, że Balci i Malce pozwolono już przychodzić do niej na kilka minut każdego dnia. Ale jakoś nie miała okazji pokazać, jak się cieszy.

– Co słychać? – zapytała je głosem pełnym współczucia.

– Widzisz przecież, jakoś się żyje – odpowiedziała Balcia z bladym uśmiechem. – Musimy żyć. No, otwórz buzię, Miriam.

– A co u Danusi Moszkowicz? Kiedy zapytałam pielęgniarkę, co u niej słychać, i próbowałam jej wytłumaczyć, że Danusia była najmłodszą wśród nas w obozie Hummel, popatrzyła na mnie, jakbym wciąż majaczyła w gorączce.

– Tak, dla nich wszystkie jesteśmy w tym samym wieku – odezwała się Malka. – Dla nich jesteśmy tylko liczbami. Zupełnie jak w obozie koncentracyjnym. Postrzegają nas niczym pozostałości po obozach.

Miriam gapiła się na Malkę z podziwem. Jakaż ona jest twarda! Trzymała się na nogach przez całą chorobę, którą w końcu pokonała.

– Danusia już przyszła do siebie – zauważyła Balcia.

Miriam uścisnęła rękę Balci:

– Pamiętasz, co sobie obiecałyśmy w związku z Danusią? Że będziemy się z nią trzymać. Że dość już zapłaciła za grzechy swojego ojca, tego wyrzutka Moszkowicza, obrzydliwego donosiciela Kripo[121]. Będziemy się trzymać z Danusią, w imię pamięci o mojej matce i siostrze. Wierka przecież przyszła na świat w tekstylnej fabryce Moszkowiczów. A co porabia Sorka Fidler? – zapytała.

– Sorka wciąż jeszcze jest bardzo chora.

– A Hanka naprawdę umarła? – Balcia i Malka, wybałuszywszy oczy na Miriam, milczą. – Pytam o coś!

– Mówiłyśmy ci już tysiąc razy...

Miriam słyszała już tysiąc razy jakiś głos wołający z daleka, z jakichś głębin w niej samej: „Hanko... Hanko...". Ujrzała się w obozie Hummel, na budowie. Jesienna ulewa lała się z nieba, prace zostały przerwane. Strażnicy zagnali wszystkich do wąwozu. Wówczas podeszła do niej Hanka. Deszcz kapał jej z nosa, Hance lało się z nosa nawet wówczas, kiedy nie padało. Wtedy Hanka opowiedziała jej – mokrymi od deszczu ustami – co się stało po owej burzliwej demonstracji pierwszomajowej kilka miesięcy po narodzinach Miriam...

Balcia i Malka już zniknęły, a doktor Vanderhaeghe wciąż stał obok Miriam. Często miała dziwne widzenia nawet w jego obecności. Bardzo jej przypominał Abraszę. Ostatnio nie czuła do niego niechęci, ale wciąż uważała, że jest nietaktowny i cały czas denerwował ją swoimi przenikliwymi pytaniami. Próbował jej opowiadać o sobie, o swoim życiu w Belgii podczas wojny. Z dumą zauważył, że jego rodzice byli aktywni w ruchu oporu.

– Ich rolą było dostarczanie fałszywych dowodów tożsamości – wyjaśniał – dla Żydów, którzy mieli być deportowani czy wysłani do obozu koncentracyjnego w mieście Mechelen[122].

---

[121] Kripo – skrót od niem. Kriminalpolizei – niemiecka policja kryminalna, formalnie zajmowała się głównie sprawami kryminalnymi, sprawy polityczne pozostawiając Gestapo.

[122] W Mechelen, niewielkim miasteczku w pobliżu Brukseli, w dawnych koszarach wojskowych Dossin, Niemcy zorganizowali w 1942 r. obóz przejściowy dla belgijskich Żydów przed ich deportacją do innych obozów, m.in. Auschwitz-Birkenau. Przez Mechelen przeszło prawie 26 tys. Żydów oraz ponad 350 Romów.

– Do miasta w Niemczech? – zapytała dziewczyna.

– Nie, do miasta, które było wybrane przez Niemców ze względu na korzystne położenie. Znajduje się ono między Brukselą a Antwerpią, dwoma centrami żydowskiego życia. Z Mechelen wysyłano transporty do Niemiec, najczęściej do Auschwitz. Moją matkę wydał Niemcom żydowski donosiciel Jacques, który jeździł z gestapowcami po ulicach Brukseli i węszył, szukając ofiar wśród przechodniów. Wskazywał swoim towarzyszom żydowsko wyglądające twarze – w tej sztuce daleko przewyższał Niemców. Żaden Żyd nie ukryje swojej żydowskości przed innym Żydem, prawda? W taki sposób Jacques dostrzegł na ulicy moją matkę. Szła do żydowskiej rodziny i miała przy sobie fałszywe dokumenty. Wysłano ją do Auschwitz, a ja wciąż nie mogę się dowiedzieć, do którego obozu ją stamtąd przetransportowano. Belgijka, którą tu spotkałem, widziała ją w Auschwitz. Kobieta zapewniała mnie, że matka przetrwała pierwszą selekcję, chociaż miała wówczas czterdzieści dziewięć lat. Matka wyglądała na osobę młodą, pełną życia.

– A pański ojciec? – zapytała Miriam.

– Mojego ojca złapano w Ostendzie[123] i zastrzelono go jako Żyda i jako współpracownika ruchu oporu. Nazywam się Vanderhaeghe, ponieważ adoptował mnie przyjaciel ojca, Flamandczyk. Cała moja żydowskość składa się z zagłady moich rodziców, rozumiesz?

– A pańskie człowieczeństwo składa się z pańskich wizyt tutaj i zajmowania się nami?

– Człowieczeństwo to jednocześnie żydowskość. Kiedy zajmuję się tobą, mam wrażenie, że się zbliżam do matki, a mam wobec niej dług, rozumiesz? Nienawidziłem tego, co w niej polsko-żydowskie. Żydowskość ojca mi nie przeszkadzała, bo był w pełni zasymilowany. Ale w niej nigdy nie wygasło to, co polsko-żydowskie. Teraz, kiedy tu przybyłem, szukam tego w tym jedynym miejscu, w którym coś mogło jeszcze ocaleć.

– Tak, coś we mnie pozostało. – Miriam uśmiechnęła się lekko. – Moje miasto rodzinne leży mi jak kamień na sercu. – Zaczęła mu opowiadać o Łodzi, aż zupełnie o nim zapomniała i gadała tak, jakby spotkała Abraszę. Kiedy wydawało się jej, że mówi do przyjaciela, jej wspomnienia mniej ją bolały i ogarniał ją spokój. – Nie, nie jak kamień na sercu, lecz jak kamień w sercu – poprawiła samą siebie. – Drogi kamień. Magiczny, który przywraca mnie życiu.

– Widzę, że masz szczęśliwe wspomnienia – zauważył doktor.

– Dopiero dzisiaj wydają mi się szczęśliwe.

[123] Ostenda – miasto w północno-zachodniej Belgii, na wybrzeżu Morza Północnego.

*

Balcia i Malka przyniosły jej kawałek chleba i odrobinę zupy. Pomyślała, że błogosławiona siła ocaliła je dla niej, a ją dla nich, aby w samotności mogły być razem. Jednak ciągle je pytała:

– Hanka naprawdę umarła? A co słychać u Sorki? Jak się czuje Danusia Moszkowicz?

Balcia odpowiadała jej:

– Do Sorki jeszcze nie wpuszczają. Danusia już była na nogach, ale teraz zaczęli podejrzewać, że ma bardzo zajęte płuca.

Kiedy Miriam była sama w pokoju, leżała na brzuchu i wyglądała przez okno. Na zewnątrz rósł kasztanowiec, podobnie jak przed innymi oknami mieszkalnych baraków. Jego gałęzie sięgały daleko ponad futrynę. Drzewo jeszcze stało w soczystej zieleni, ale nie miało już kwiatów. Oczywiście w dawnych latach widywała drzewa, ale właśnie to wydało się jej pierwszym, które kiedykolwiek ujrzała. Kiedy doktor Vanderhaeghe zajrzał na chwilę, pokazała mu je.

– Wspaniałe, prawda, doktorze? – zapytała szeptem. – Popatrz na liście. Każdy z nich ma kształt dłoni z rozstawionymi palcami. Przypominają mi dłonie mojego ojca. – Spojrzała ku niebu pomiędzy gałęziami, i przypomniała sobie o innym niebie, po którym żeglował cudowny dywan jej dziecinnych marzeń. – Popatrz też na niebo, doktorze! – zawołała. – To niebo należy do zupełnie innej kategorii niebios. To pierwsze niebo tego rodzaju, jakie kiedykolwiek widziałam. Takie błękitne. Przejrzyste. Sądzę... Inni ludzie być może nie zachwyciliby się nim. Ale mnie się wydaje, że to jest to samo niebo, które zobaczył pierwszy człowiek, kiedy podniósł głowę i zrozumiał, że widzi przed sobą Bożą Świątynię, i przypadł do ziemi, modląc się do błękitnej nieskończoności nad głową.

Miriam szeptała w duchu do niebios: „Jakie jesteście błękitne". Ale oto z błękitnych głębin spojrzały na nią oczy matki. Promienie słońca przybrały postać korony cierniowej na głowie jej siostry Wierki. Zaraz przypomniała sobie o innym niebie – otoczonym horyzontem kolczastego drutu, czarnym, osmalonym, w którym świat utonął jak zachodzące, piekielne słońce.

Doktor Vanderhaeghe zniknął. Była w pokoju sama. Dwie dziewczyny, które zajęły prycze obok niej, były już na nogach i spacerowały po korytarzu. Z zewnątrz docierały odgłosy zamieszania. Niedaleko była kuchnia. Hałas dobiegał z okienka kuchennego, gdzie wydzielano zupę. To pozostałość po czasie spędzonym w obozie koncentracyjnym. Ludzie przy okienku dobrze wiedzieli, że nikt nie będzie musiał stamtąd odejść, zanim nie napełni swojej menażki zupą – mimo to każdy chciał jak najszybciej dopchać się do okienka, wyrwać menażkę z rąk rozdzielających i zanurzyć łyżkę w gorącej cieczy, ponieważ nigdy nic nie wiadomo...

Jakiś mężczyzna stał oparty o ścianę baraku mieszkalnego naprzeciwko. Dopiero co wyszedł z tłumu gromadzącego się przy kuchennym okienku. Nie poszedł do swojego pokoju na górę, aby usiąść przy stole. Stał oparty

o ścianę i żłopał zupę wprost z menażki – był głodny. Jego pragnienie, ta chęć jedzenia i niepokój w pospiesznych ruchach nie należały do teraźniejszości, lecz do przeszłości.

Ten człowiek to skóra i kości. Ciężki, porwany, niemiecki trencz wojskowy zwisał luźno z jego ramion, sięgając mu po kostki. Pomiędzy jedną porcją zupy a drugą ocierał buzię postrzępionym rękawem. Jego oczy, wyłoniwszy się z głębi menażki, kierowały się ku drodze i przechodzącym kacetnikom, ku dalekiemu niebu. Jak wiewiórka skakał spojrzeniem po kawałkach zielonej przestrzeni przed barakami, a potem z jednej gałęzi kasztanowca na drugą.

O czym myślał ten ocalały? W tej chwili pewnie o niczym. Był za bardzo zajęty tym, co się działo w jego wynędzniałym ciele. Niedługo zrzuci z ramion ciężki trencz. Płaszcz mięśni i ciała okryje jego kości, zacznie się pocić i sapać w upale nadchodzących letnich dni. Życie jest tu!

Miram zmrużyła oczy i próbowała się oddalić od bliskiej obecności tego człowieka. Ujrzała w nim swojego ojca, a może nawet Marka. Dostrzegła, jak strumienie energii krążą po jego ciele. Ojciec i Marek przeżyli. Może gdzieś stoją, jak ten obcy człowiek naprzeciwko, opierając się o ścianę, i w tej właśnie chwili łapczywie wypijają zupę z menażki. Czy to możliwe? Widzi siebie, jak obejmuje ojca i prosi, aby wybaczył jej wyobcowanie i dawną bezczelność. Tak rzadko opowiadała mu o sobie, swoich myślach i pomysłach, które szumiały w jej młodej głowie, o awanturach, w których uczestniczyła, gdy beztrosko trwoniła swoje dni na ulicach Łodzi. On chciał słuchać jej intymnych opowieści, lecz ona mu ich skąpiła. Gdzie on teraz jest, aby mogła mu wszystko opowiedzieć? Ale nie wolno jej o nim myśleć, ani też o Marku, czy o braciszku Nońku. Musi się trzymać jedynej pewnej myśli – o Abraszy.

Po południu Balcia i Malka zajrzały do niej.

– Popatrz tylko, co dla ciebie mam! – odezwała się rozpromieniona Balcia. – Jeszcze jeden liścik od Abraszy! Przyniosło go dwóch śmiesznych chłopców, może trzynastoletnich. Takie dwie złodziejskie głowy! Jak sprytnie nas odszukali! Tak pracuje żydowska poczta, rozumiesz! A... a to jeszcze nie wszystko, moja droga...

Kiedy Balcia mówiła o dwóch chłopcach, blada twarz Nońka zajaśniała w pamięci Miriam. Drżącymi rękami otworzyła pognieciony, brązowy papier pakowy z pozdrowieniami od Abraszy. To było ledwie kilka słów: „Droga Miriam, nie przestawaj pisać do mnie. Bądź silna, trzymaj się. Abrasza".

– Dlaczego jej nie mówisz, w jaki sposób te dwa urwisy przeżyły? – Malka zapytała matkę.

– Kto przeżył? – Miriam wytrzeszczyła na nie oczy.

– O, a to ci nowina, droga Miriam. – Balcia udawała, że nie słyszy słów Malki.

Malka nie dała matce dojść do słowa.

– Ci dwaj chłopcy byli piplami[124]. I tak przeżyli. Mężczyźni kapo mieli z nich przyjemność. – Dwuznacznie mrugnęła do Miriam.

Balcia niecierpliwie machnęła dłonią, aby uciszyć córkę. Była tak oszołomiona, że aż zaczęła się jąkać.

– No, kochana Miriam, jesteś zadowolona z pozdrowień Abraszy? Teraz muszę ci powiedzieć... Tylko proszę cię, nie denerwuj się. Wyobraź sobie... spotkaliśmy kogoś w kolejce przy kuchni. Wiesz, co nam powiedział? Mówił, że tuż przed końcem odtransportowano go do obozu Kaufering, gdzieś w pobliżu Dachau[125]. Był tam do ostatniego dnia. Opisałam mu mojego Gabiego i twojego ojca, a także innych z naszej grupy, i zapytałam o nich. I wyobraź sobie, że z tego, co mówił, z całą pewnością wynika, że ich spotkał. Tak, to znaczy, Miriamko, że dwa miesiące temu jeszcze wszyscy żyli... – Balcia nie była w stanie więcej mówić.

– Wszyscy jeszcze żyli? – westchnęła Miriam. – Noniek też? Powiedział, że w Kaufering byli trzynastoletni chłopcy? Noniek miał trzynaście i pół...

Ledwo miała odwagę i siłę przyjąć to, co właśnie powiedziała Balcia. Wpatrywała się w kamienną twarz Malki. Dlaczego Malka nie cieszyła się z matką? Co się jej stało? Miriam obawiała się zapytać. Ale Malka, jakby zgadując to pytanie, wyjaśniła:

– Mama nie wspomniała, że kiedy zbliżył się front, wszystkich więźniów z Kaufering załadowano do bydlęcych wagonów. Amerykańskie samoloty zbombardowały...

– No i co? – Balcia wzruszyła ramionami. – Człowiek, którego spotkaliśmy, przetrwał to bombardowanie i wyszedł cały. I Abrasza też. To dlaczego inni mieliby nie przeżyć?

Balcia i Malka rozpoczęły histeryczną rozmowę. Miriam nie rozumiała ani słowa. Tak mocno chciała usłyszeć wszystko, że stała się jak głucha. Czy mogła sobie pozwolić na wiarę w cuda? Czy może raczej została dla niej przygotowana jakaś nowa straszna rzecz? Nie mogła dać sobie rady z tą nowiną, a więc uciekła w głęboki sen.

Kiedy otworzyła oczy, Balci i Malki już przy niej nie było. Zaczęła w myślach pisać list do Abraszy w odpowiedzi na jego krótki liścik. Jutro podyktuje go Malce.

---

[124] Pipel – termin pochodzi z języka niemieckiego i funkcjonował w gwarze obozowej na określenie młodego chłopca, więźnia spełniającego funkcje służącego, posługacza więźnia funkcyjnego (blokowego, kapo), zwykle wiązało się to także z usługami seksualnymi.

[125] Kaufering – nazwa obejmująca 11 podobozów KL Dachau w rejonie bawarskiego miasta Landsberg, które funkcjonowały do kwietnia 1945 r. Więziono tam 30 tys. osób, głównie Żydów, którzy budowali podziemne bunkry.

Drogi Abraszo, bardzo się o Ciebie niepokoję. Wciąż jeszcze jesteś taki słaby, że nie możesz utrzymać ołówka w ręku? Co się z Tobą dzieje? Ja również przeszłam tyfus. Pięć tygodni. Jak tylko poczuję się odrobinę silniejsza, dużo do Ciebie napiszę. Jeśli moje listy mogą przyspieszyć Twój powrót do zdrowia, to będę Ci dostarczać tak wiele materiału do czytania, że bardzo szybko staniesz na nogach.

Wciąż jeszcze nie wyzwoliłam się w pełni z rąk tyfusu, chociaż już dawno powinnam mieć to za sobą. Nie oszukujmy się, Abraszo, do końca naszych dni będziemy nosić w sobie piętno obozu. Kto wie, ilu z nas umarło na wieki, a ilu umrze i powróci do życia, by umrzeć ponownie? W najlepszym wypadku wszyscy przejdziemy rodzaj kwarantanny. A jeśli jesteśmy wolni, to taką wolnością na próbę. Życie nas wyzwoliło aż do ostatecznego rozwiązania, ostatniej selekcji.

Dlatego nie ufamy wolności. Jak żebraczka stoi na progu naszych serc, a my boimy się dać jej z nas zbyt dużo. Woła do nas z każdego kącika. Wypełnia nasze oczy swoją pięknością. Ale nasz dla niej podziw jest zaledwie letni.

Malka chce napisać książkę o tym wszystkim. W jaki sposób zdoła przelać to na papier? Pewnego razu, w obozie Hummel, powiedziała mi, że myśl o pisaniu książki pojawiła się w jej głowie w chwili naszego przybycia w bydlęcym wagonie do Auschwitz. Stała na rampie i trzymała w ręku dziennik, który prowadziła w getcie. Z jej rąk wyrwał go człowiek z Kanady[126] i rzucił na górę śmieci, która składała się z listów, fotografii i modlitewników. Godzinę później – tę godzinę, kiedy dokonało się to, czego nie da się opisać – my, kobiety, stałyśmy gołe z ogolonymi głowami. Ale żywe. Wówczas Malka wpadła na ten swój genialny pomysł, że jeśli przetrwa...

W tej chwili mam dokładnie tyle samo wiary w projekt Malki, jak wówczas, gdy byłyśmy w Hummel. Niczego nie zdziała. Nikt nigdy nie zdoła przekazać istoty tamtej grozy – grozy w samym środku jasnego dnia. Marcel Proust sądził, że nie pojmiemy przeżycia, jeśli nie doświadczyliśmy czegoś podobnego we wcześniejszych momentach. Dlatego to, co przeżyliśmy, jest nie pojęcia i nie do przekazania. Jednak Balcia jest pełna nabożnego szacunku wobec zamierzeń Malki.

Jeśli chodzi o mnie, najlepiej czuję się, gdy w wyobraźni opowiadam Ci moją prehistorię. Staram się opowiadać Tobie (sobie?) legendy o moim życiu w porządku chronologicznym. Nie myśl, że to przychodzi mi tak łatwo. Nieustannie jestem bombardowana mieszaniną wizji, trudno oddzielić to, co było wcześniej, od tego, co było później. Ale chronologia, porządek – są dla mnie ważne. W ten

[126] Kanada – tak nazywano w Birkenau baraki obok krematorium IV, które służyły jako magazyny do gromadzenia mienia zrabowanego ofiarom, tuż za Kanadą znajdowało się miejsce, gdzie przyjmowano do obozu więźniów z nowych transportów.

sposób mogę się nauczyć na pamięć tego, co minione, tak jak poematu. Po drugie, utrzymywanie porządku pomaga mi odnaleźć siebie. Przywraca mi moje miejsce jako część następstwa zdarzeń. Opowiadanie historii – Tobie, a nie sobie samej – czyni Ciebie, a także i mnie bardziej realnymi. Kiedy opowiadam je tylko sobie, zamieniają się w krople snu, które prześlizgują się przez palce i rozpadają w nicość, jakby dawny świat nigdy nie istniał.

Abraszo, Hanka Fidler zmarła trzy tygodnie po wyzwoleniu.

Rozdział ósmy

Pierwszomajowa demonstracja w tym roku jest ogromna. Robotnicza Łódź to twierdza socjalizmu. Być może podczas nadchodzących wyborów zostanie wybrana socjalistyczna rada miasta. Wielki tłum robotników, Polaków, miejscowych Niemców i Żydów, członków wszystkich partii socjalistycznych, maszeruje w świątecznym pochodzie przez centralne ulice miasta. Morze czerwonych sztandarów i wielkich transparentów faluje w powietrzu. Orkiestry grają marsze rewolucyjne, a tłum chóralnie skanduje ideologiczne hasła. Dobry nastrój majowego dnia przebojem bierze miasto w posiadanie.

Binele i Jankew zostawili Wierkę i mnie, swoje drugie dziecko, w rękach cioci Racheli. Ja mam około trzech miesięcy, ale Rachela daje sobie ze mną radę tak samo dobrze jak Binele. Ma nawet do mnie pewną słabość, bo widzi w moich rysach wielkie podobieństwo do siebie.

Binele i Jankew maszerują objęci w bundowskim pochodzie majowym, w jednym rzędzie z Wową, Balcią, towarzyszką Hanką oraz Klarą Fidler, której mąż Zalman idzie w szeregach poalej-syjonistów. Ręka Hanki spoczywa pod ramieniem Jankewa. Nastrój w szeroko rozciągniętym szeregu jest podniosły. Trzy młode matki – Binele, Balcia i Klara – są najpogodniejsze ze wszystkich. Zostawiwszy dzieci w pewnych rękach, cieszą się wolnością, kroczą energicznie i pełne entuzjazmu śpiewają wraz z tłumem.

Binele obserwuje Jankewa kątem oka. Jej mąż, jak zwykle w czasie demonstracji, idzie radośnie, prężąc pierś i dumnie wznosząc głowę. Jego zdecydowany krok nadaje rytm szeregom maszerujących przed nim i za nim, jakby porywał wszystkich za sobą. Binele promienieje. Niemal zupełnie już zapomniała, jak przystojnym mężczyzną jest jej mąż, jakie zgrabne i pełne gracji jest jego ciało, jak szlachetny i pełen godności każdy jego ruch. Obejmuje spojrzeniem jego głowę

o kręconych, brązowych włosach. Zagląda w jego orzechowobrązową twarz, patrzy na policzki pokryte cieniem niedbale ogolonego zarostu. Resztki brody przydają jego szlachetnej twarzy niezbędny rys męskiej surowości. Od czasu do czasu ich spojrzenia krzyżują się. Mimo okazywanego przezeń entuzjazmu zauważa, że jego miodowe oczy nie mają dzisiaj typowego, pełnego przekory blasku. Tak, niezrozumiały smutek skrywa się w nich od jakiegoś czasu. Ale również to czyni Jankewa jeszcze bardziej pociągającym. Jak dobrze Binele potrafi odczytywać mowę jego oczu, twarzy, każdego ruchu i jak rzadko myśli o jego urodzie. To dla niej naturalne, że jej mąż wygląda tak, jak wygląda. Jeśli jego fizyczny urok ma coś wspólnego z jej miłością, to od dłuższego czasu kobieta sobie tego już nie uświadamia.

Teraz, w pełnym blasku słońca, w otoczeniu tylu maszerujących mężczyzn, uroda Jankewa rzuca się jej w oczy, przypominając o zapomnianym skarbie, który jest w jej posiadaniu. Binele cieszy się, że jest jej mężem.

Kiedy tak przygląda się Jankewowi, zauważa, że zgrabna i zwinna towarzyszka Hanka również patrzy na niego przenikliwie – jakby zauważyła na jego twarzy jakiegoś owada czy plamę na policzku, lub coś w tym stylu. Binele wychyla się do przodu, aby sprawdzić, dlaczego Hanka tak wpatruje się w jej męża, aż nagle przychodzi jej do głowy, że tamtą również uderzyła uroda mężczyzny. Serce Binele pęcznieje z dumy, bo ma z czego być dumna. Wykształcona, pełniąca ważne funkcje towarzyszka Hanka przygląda się Jankewowi jak zakonnica figurze Jezusa! Jednak gdy tylko ta myśl przychodzi jej do głowy, szybko zaczyna protestować w duchu. Jak Hanka śmie tak patrzeć na Jankewa? Jak odpowiedzialny człowiek może być taki bezwstydny i bezczelny, by gapić się na męża innej kobiety z takim zachwytem?

Towarzyszka Hanka mówi coś do Klary Fidler, która idzie po jej drugiej stronie, i wybucha śmiechem – młodym, beztroskim, kokieteryjnym i odrzucającym. To śmiech, który w ogóle nie pasuje do robotniczej mówczyni. I w ogóle – jak to możliwe, że Hanka nagle ujawniła tyle kobiecego wdzięku i talentu do flirtowania z mężczyzną?

Niezbyt przyjemne myśli wypełniają głowę Binele. To prawda, że ona sama ma na sumieniu więcej niż jeden niewinny flirt. Ale to się nie liczy. Nikomu nie pozwala zawracać sobie głowy dłużej niż przez chwilę. Jankew jest jej, a ona jest jego. Ale czy może być pewna jego tak jak siebie? Nie zna go jeszcze wystarczająco dobrze i nie wie, w jaki sposób pracuje jego głowa. Być może inteligentna i wykształcona Hanka ma więcej talentu, aby zajrzeć w świat jego myśli czy nawet w jego serce niż ona – ignorantka, dziewczyna prosta i mało subtelna. Hanka jest niebezpiecznie mądra i bystra!

I tak, gdy uroda Jankewa zasiewa ziarna niepokoju w sercu Binele, myśl o odmienności jego charakteru zaczyna się rozrastać w jej wyobraźni do niebezpiecznych rozmiarów. Niemal wydaje jej się, że zagadka jego duszy naraża ich wspólne życie na niebezpieczeństwo. Na chwilę Binele gubi rytm marszowego kroku. Ale tylko

na chwilę. Szybko zbiera się w sobie i odrzuca naiwne obawy. A nawet na przekór mówi do siebie: „Jestem, kim jestem" i przestaje zerkać na Hankę.

Parada zbliża się do ulicy Piotrkowskiej. Nagle, kiedy złożona z bundystów i poalej-syjonistów część kolumny maszerujących skręca za róg, galopem nadjeżdża policja konna i rzuca się na szeregi majowego pochodu. Rząd towarzyszy, z którymi maszeruje Binele, zostaje rozerwany przez panikujący tłum. Ludzie popychają się nawzajem z tyłu i z przodu, ze wszystkich stron.

– Do bram! – krzyczy Wowa.

Jankew chwyta Binele za rękę i biegnie do przodu.

– Trzymaj mnie mocno! – krzyczy. – Nie puszczaj!

Nie puszcza jego ręki, ale siła tłumu, który napiera na ich ramiona, w końcu rozrywa ich zaciśnięte palce. Kobieta łapie męża za rękaw, potem za brzeg koszuli, która wystaje z jego spodni. Koszula pęka, kiedy on szaleńczo wymachuje rękami. Binele odwraca głowę do tyłu i przez ocean ludzi widzi jeźdźców w czarnych mundurach, którzy zbliżają się z nagimi szablami w rękach.

Wszystkie bramy wzdłuż Piotrkowskiej są zamknięte, sklepy zabezpieczone kratami i zaryglowane. Jedna brama pęka pod naporem ludzkich ciał. Jankew próbuje zaciągnąć tam Binele. Grupy policjantów i agentów policyjnych w cywilu atakują tłum, znajdujący się w jej pobliżu. Tłum ten wygląda jak jedno wielkie zwierzę o wielu rękach i nogach, schwytane w pułapkę myśliwych, którzy chcą pozbawić go życia. Strzały z rewolwerów huczą nad głowami salwami staccato, niczym rozłupywane orzechy. Stróż z połamanej bramy woła na pomoc policję. Policja i agenci z pistoletami w rękach odpychają ludzi od bramy. Powietrze drży chaosem. Rozlegają się spazmatyczne okrzyki, jęki bitych. Ludzka masa o splątanych członkach próbuje przepchnąć się do środka bramy. Cała ulica jest zablokowana przez konnych policjantów. Ci, którzy znajdują się po zewnętrznej stronie tłumu, zostają oderwani od pozostałych i wepchnięci do policyjnych karetek, które czekają na środku ulicy.

– Bracia! Towarzysze! – dobiega skądś grzmiący głos Wowy. – Nie dajcie się! Trzymajcie się razem!

Brzeg koszuli Jankewa wyślizguje się z jej pięści. Po chwili mężczyzna znika jej z oczu. Kobieta nie widzi przed sobą niczego ani nikogo – poza twarzami swoich dzieci. Musi utorować sobie do nich drogę. I choć z całych sił wzywa Jankewa, nie słyszy własnego głosu. Kredowobiałe twarze i zaciśnięte pieści kręcą się spiralnie przed jej oczyma w wirującym tańcu.

Przyciśnięta do muru nie może oddychać. A mimo to nie poddaje się i dalej wiosłuje rękami, przepycha łokciami i małymi kroczkami prze do przodu wzdłuż szorstkiej ściany. Ktoś z zakrwawioną twarzą siedzi na ziemi, opierając się o mur, i zagradza jej drogę.

– Towarzyszu Cimerman! – krzyczy.

Mężczyzna chwyta ją za ramię zakrwawionymi rękami, zostawiając ognistą plamę na jej białej bluzce.

– Pomóż mi wstać! – mówi do niej spokojnym głosem.

Próbuje mu pomóc, ale napierające ciała powodują, że się przewraca. Teraz musi chronić i siebie, i jego przed kłębowiskiem płaszczy, spodni i sukienek, które uderzają ich po twarzach. Głowa Cimermana opada bezsilnie na ramię.

– Towarzysze, pomóżcie Cimermanowi! – woła histerycznie i ciągnie za poły, które przesłaniają jej oczy. Ktoś zwraca się w jej stronę. Potem jeszcze jedna osoba. Czyjeś ręce ujmują pod plecy i podnoszą omdlałego. Binele stoi już na własnych nogach.

– Nie pozwólcie mu wpaść w ich ręce! – ktoś ostrzega zasapanym głosem.

Tłum powoli rzednie. Binele chce zostawić Cimermana w rękach towarzyszy, poszukać Jankewa i biec z nim do domu, do dzieci. Ale z jakiegoś powodu nie może się oderwać od bezwładnego ciała, które nieustannie ześlizguje się z pleców jakiegoś człowieka. Zarzuca sobie bezwładne ramię Cimermana na szyję, a wolną ręką podtrzymuje jego głowę. Napakowane samochody policyjne rozjeżdżają się. Tłum biegnie opustoszałą ulicą. Grupka wokół Cimermana rośnie. Szybko zanoszą go do domu kogoś, kto mieszka w pobliżu. Binele biegnie do siebie. Tam, od progu kamienicy, Jankew wybiega jej naprzeciw. Ma na policzku wielki plaster.

– Co ci zrobili? – wykrzykuje kobieta i przypada do niego.

– Dobrze, że cię widzę, Binelciu. – Przytula ją mocno.

– Co masz na policzku? – Kobieta prycha.

– Skaleczenie. Hanka wzięła mnie do siebie i opatrzyła. Gdzie ty byłaś?

– Cimerman... – Binele sapie. – Zaraz przyjedzie po niego pogotowie. Gdzie Balcia i Wowa? Gdzie Klara Fidler?

– Klara już w domu. Balcię i Wowę złapano i wepchnięto do auta.

Trzy godziny później Binele, Jankew i Klara Fidler siedzą razem w filharmonii, gdzie odbywa się pierwszomajowe spotkanie. W tłumie zgromadzonym na sali i wśród mówców na trybunie widać wiele zabandażowanych głów. Panuje napięta atmosfera. Chociaż w środku siedzą agenci tajnej policji, mówcy, a z nimi również Hanka, nieustraszenie grzmią pod adresem policji, która napadła na legalną demonstrację pod pretekstem szukania komunistycznych band skrywających się pomiędzy demonstrantami. Tłum przysięga kontynuować walkę o lepsze jutro.

Zaraz po spotkaniu Binele biegnie do domu, a Jankew idzie na naradę. Ona daje dzieciom jeść i kładzie je spać u Racheli. Sama zaś idzie zająć się dziećmi Cederbojmów, które Balcia zostawiła u sąsiada. Tego samego wieczoru Balcia zostaje zwolniona. Wowę zatrzymują na noc.

– Zgadnij, kogo spotkałam na komisariacie? – pyta Balcia, opowiadając Binele o tym, co ją spotkało. – Twoją koleżankę Cyporę. Prowadzono ją na przesłuchanie. Nie, broń Boże, nie dlatego, że maszerowała z nami w demonstracji. Nie miałam okazji z nią porozmawiać. Ale zdołała mi powiedzieć, że oskarża się ją o kradzież złotego zegarka i portfela z grubą kasą. Mówiła coś o swoim kawalerze.

*

Ów pierwszy maja ma trwałe skutki dla życia Binele i Jankewa. Uroda Jankewa nieco zbladła przez bliznę po ranie na policzku, zupełnie jak uroda Wowy, który ma podobny ślad na brodzie po ataku hallerczyków na jego dom. Ale gdy bundyzm Wowy wzmacnia się po każdym napadzie, to bundyzm Jankewa nieco stracił ze swojej mocy, choć tej blizny nie widać. Po każdym gojowskim ataku na Żydów mężczyzna grzeszy marzeniami o syjonistyczno-terytorialistycznym charakterze. Brak mu cierpliwości, aby czekać na zbawienie dla całej ludzkości. Chciałby, aby tymczasem Żydzi zyskali taki zakątek na świecie, gdzie mogliby żyć wolni od antysemityzmu.

Ów burzliwy pierwszy maja zasiał w sercu Binele ziarno przywiązania do Antona Cimermana. W tamtych chwilach zamieszania, kiedy czując się zagubiona w tłumie przerażonych demonstrantów, chora z troski o Jankewa i marząca już tylko o powrocie do czekających w domu dzieci, nagle natknęła się na niego – zdołała zajrzeć głęboko w jego zakrwawione oczy, dzięki czemu na moment pojęła elementarną prawdę o sobie, o nim, o życiu i śmierci. W tamtym momencie zrozumiała, że grunt pod ludzkimi nogami nigdy nie jest pewny, że poczucie bycia niezniszczalnym jest iluzją, że życie nieustannie oscyluje pomiędzy być a nie być, a człowiek kroczy po cienkiej, delikatnej linie rozpiętej nad niepojętą pustką. I ten właśnie moment uświadomił jej sens walki – jej, Jankewa, Cimermana i wszystkich towarzyszy – przeciw tym, którzy nie szanują kruchości ludzkiego życia i takim właśnie bezhołowiem narażają je na niebezpieczeństwo.

Odwiedza Cimermana w szpitalu tak często, jak tylko może. Z jego twarzy odczytuje radość, jaką sprawiają mu te wizyty. Pełne wdzięczności spojrzenie, jakim ją obdarza, aż wprawia ją w zakłopotanie. Binele poznaje też bliżej żonę Cimermana, która nie odstępuje od jego łóżka. To korpulentna kobieta o perfekcyjnych manierach, niezbyt piękna, ale też nieszpetna, niezbyt przyjazna, ale też nie nastawiona wrogo. Jest osobą praktyczną, rozsądną, rozważną i pewną siebie, a nade wszystko fanatycznie oddaną partii. Binele przenosi na nią swój szacunek i podziw dla Antona Cimermana. Chętnie załatwia dla niej różne sprawy, przynosi jej coś do jedzenia i wraz z nią czeka niecierpliwie na wypisanie Cimermana ze szpitala. Pani Cimerman jest wdzięczna Binele za każdą przysługę i rzeczowo omawia z nią sytuację męża. I w ten sposób z biegiem czasu zaczyna się wysługiwać Binele jak dobrą służącą.

Gdy po wyjściu Antona ze szpitala Binele przychodzi do niego do domu, aby powitać chorego, wydaje się czymś naturalnym, że sprząta czy szykuje jedzenie, aby odciążyć panią Cimerman, która siedzi przy mężu, czyta mu książki i czasopisma, dyskutując z nim po polsku o „inteligentnych" sprawach.

Tak się składa, że w mieszkaniu Cimermanów Binele ma okazję obsługiwać też ich szacownego gościa. To szczupły, schludnie odziany mężczyzna, delikatny

i niezwykle blady. Ma miękki głos, niemal łagodny. A mimo to powietrze wokół niego drży niepokojem i siłą, której pod względem fizycznym zdaje się nie posiadać. Z ledwo kontrolowanym zachwytem pani Cimerman prosi Binele o przygotowanie świeżej herbaty dla gościa. Wchodzi do kuchni, aby pokroić kruche ciasto, które sama upiekła z okazji tej wizyty.

– Towarzyszko Polin, czy wiecie chociaż, kto to jest? – pyta Binele nabożnym szeptem.

– Chyba tak – odpowiada Binele równie uroczyście. – Tak, legendarny Władimir Medem[127], najlepszy przywódca, jakiego może mieć partia socjalistyczna.

Ten zachwyt uruchamia w pani Cimerman nadmierną gadatliwość.

– Kiedy na niego patrzę – mówi do Binele – trudno mi sobie wyobrazić, że jest synem carskiego wojskowego, lekarza w stopniu oficera. Ojciec go ochrzcił, uczynił zeń prawosławnego. Jest zagadką dla mnie, w jaki sposób znalazł on drogę do *jidyszkajt*[128] i do żydowskich mas.

Binele słucha zdumiona, dlaczego pani Cimerman opowiada jej rzeczy, które wie każdy bundysta, nie wspominając przy tym, że Medem sam nauczył się języka żydowskich mas. Jankew zawsze podziwiał styl żydowskich artykułów Medema, a Wowa powtarzał, że dla Medema jidysz jest nie tylko narzędziem politycznym, jak dla innych żydowskich przywódców, ale że traktuje ten język jako ojczyznę ludu bez własnego państwa. A tymczasem sama pani Cimerman wręcz uważa za stosowne rozmawiać po polsku nawet z tak bliskim człowiekiem jak własny mąż.

– Ma zamiar jechać do Ameryki – pani Cimerman kontynuuje pełną zachwytu opowieść – by zebrać pieniądze dla naszych szkół. Niestety, jest bardzo chory. Miejmy nadzieję, że w Ameryce znajdzie się dla niego lekarstwo. A przy tym wszystkim specjalnie zatrzymał się w Warszawie, aby przed wyjazdem odwiedzić chorego Antona.

I oto pojawia się w drzwiach przywódca Bundu w Łodzi – Isroel Lichtensztajn[129]. Również on ma w sobie coś łagodnego, delikatnego, zupełnie nieprzywódczego. Dłoń, którą podaje Binele, jest delikatna, niemal kobieca. Ale jej uścisk jest mocny. Binele zostaje zaproszona do stołu. Aż robi się jej gorąco z wielkiego zaszczytu, który ją spotyka. Ma jednak zbyt wiele respektu dla szacownego towarzystwa, więc wymawia się tym, że musi biec do domu, do dzieci. Medem

---

127 Tu autorka myli się: Włodzimierz Medem od grudnia 1920 r. przebywał w Stanach Zjednoczonych, zmarł 9 stycznia 1923 r. w Nowym Jorku, a wydarzenia opisane w powieści dotyczą połowy roku.

128 Tu w znaczeniu: do żydowskiego świata.

129 Izrael/Isroel Lichtenstein/Lichtensztajn (1883-1933) – działacz robotniczy. Urodził się w rodzinie biednego mełameda, ale ukończył seminarium nauczycielskie. Jako młody człowiek związał się z żydowską partią socjalistyczną Bund i był jej aktywnym działaczem. W niepodległej Polsce był wielokrotnie radnym miejskim i bronił interesów robotników żydowskich w łódzkim samorządzie.

pyta, w jakim wieku są jej pociechy. Pogodnie, z niezapomnianą serdecznością obiecuje, że kiedy dzieciaki będą gotowe rozpocząć naukę, to szkoła już będzie miała własny budynek.

*

Jest jeszcze jedna osoba, która po pamiętnym pierwszym maja wkracza w życie Jankewa i Binele, chociaż oni niemal nie zdają sobie z tego sprawy – to towarzyszka Hanka. Zbliżenie szybciej pojawia się w jej sercu aniżeli w ich. Kobieta bardzo przeżyła maszerowanie w pochodzie obok Jankewa, a potem zamieszki i chwile paniki, a także obecność Jankewa w jej pokoju, gdzie zajmowała się jego zranionym policzkiem. Fakt, że to właśnie ona zajęła się nim, a nie Binele, nabrał dla niej głębokiego symbolicznego znaczenia. Nie może zapomnieć rozmowy, którą wówczas odbyła z nim w swoim mieszkaniu.

Ale to, co ma znaczenie dla Hanki, nie jest ważne dla Jankewa. Mężczyzna pozostaje z nią na tym samym poziomie koleżeństwa co zawsze. Jest nieczuły na jej kobiecy urok. Rzecz jasna, czuje wdzięczność za okazanie mu troski i zajęcie się jego skaleczonym policzkiem. W ogóle jego podziw dla niej wzrósł. Nie straciła głowy w czasie zamieszek, jasno orientowała się w sytuacji na ulicy i zachowała się jak wypróbowany weteran. Była mniej zdenerwowana niż on sam. Poza tym zrobiła na nim wielkie wrażenie, zabierając go do domu pełnego książek, gdzie – jak nigdy wcześniej – zmieniła temat rozmowy. Zamiast porozmawiać z nim o bieżącym wydarzeniu, wygłosiła monolog o sobie, który niewiele miał wspólnego z tym, co oboje właśnie przeżyli.

Mówiła ze zdumiewającą szczerością. Zauważył, że gdy przemywała mu ranę na policzku, unikała jego spojrzenia, a jej ruchy stały się nieco niezdarne – jakby się go fizycznie wstydziła, podczas gdy w rozmowie była taka spontaniczna i otwarta. Nie miał nastroju, by się pilnie przysłuchiwać jej słowom. Był roztrzęsiony i załamany tym, co się wydarzyło na ulicy, a ponadto martwił się o Binele. Czekał na odpowiedni moment, aby wstać z sofy, na której go posadziła, i iść do domu.

– Macie jeszcze dziś przygotować przemówienie na spotkanie majowe, tak? –przypomniał jej, jakby chciał ją przywołać do porządku. – Mam nadzieję, że nie będzie to dla was zbyt trudne...

– Nic w życiu nie przyszło mi łatwo, towarzyszu Polin – odpowiedziała mu wówczas. – Nawet studiowanie. Moi majętni i fanatycznie pobożni rodzice zdecydowanie sprzeciwiali się temu, bym się poświęciła studiowaniu świeckich przedmiotów, podobnie jak wcześniej nie pozwolili mi zagłębiać się w sprawy religijne. Chcieli tylko, abym wyszła za mąż, przyczyniając się do przedłużenia bytu rodziny i żydowskiego narodu. Aż uciekłam z domu. A to, widzicie, było dla mnie o wiele trudniejsze niż wszystko pozostałe. Bo, między nami mówiąc, towarzyszu Polin, bardzo ich kocham.

– Wszyscy przeszliśmy przez takie osobiste rewolucje – zauważył Jankew.

– Tak, ale w moim przypadku nie była to jedna, lecz kilka rewolucji. – Uśmiechnęła się blado i spłonęła rumieńcem. – Na przykład jednym z najważniejszych postanowień rewolucyjnych, które podjęłam w życiu, jest nigdy nie wyjść za mąż. Tak to jest. Proszę nie brać mi tego za złe, towarzyszu Polin, ale według mnie mężczyzna, nawet socjalista, który głosi pełną równość mężczyzn i kobiet, głęboko w sercu jest przekonany o tym, że kobiety są mniej warte, zwłaszcza na płaszczyźnie intelektualnej, a także na polu osiągnieć politycznych. Owo podejście – zacementowane przez pokolenia religijnej i kulturowej indoktrynacji – jest tak głęboko zakorzenione w męskiej psychice, że może zostać usunięte jedynie stopniowo, powoli, przez przekonanie i przemianę w istotnych relacjach między mężczyzną i kobietą. Dlatego, widzicie, towarzyszu Polin, jednym z moich głównych celów jest przyczynić się do tej przemiany. Jak z pewnością wiecie, jestem ostatnio zajęta organizowaniem grup aktywistek w miastach i miasteczkach Polski. Pracujemy u podstaw, aby niebawem stworzyć bundowską organizację kobiecą.

– Nie sądziłem, towarzyszko Hanko – Jankew przerwał jej ostrożnie w pół słowa, szykując się do wstania – że w waszym przypadku fakt bycia kobietą przeważa nad byciem po prostu człowiekiem. Czy nasza walka dla ludzkości nie odnosi się tak samo do kobiet, jak i do mężczyzn?

– O, to jest właśnie typowe podejście moich towarzyszy! – krzyknęła Hanka, odprowadzając go do drzwi. – Oczywiście jesteście w błędzie. A jeśli chodzi o mnie osobiście, też się mylicie. Wcale nie chodzi o to, czy większą wagę przywiązuję do faktu, że jestem kobietą niż człowiekiem. Wszystkie moje zainteresowania przyczyniają się do wzrostu mojej pełni jako człowieka. Ale muszę przyznać, towarzyszu Polin – gniewnie zagryzła wargi, by po chwili odważnie kontynuować – że często bardzo mnie rani, gdy towarzysze mówią, iż mam męską głowę na karku. Słaby to komplement. Tak naprawdę często wiem więcej niż oni, mężczyźni, na temat historii świata czy teorii socjalizmu. Ale jak każda kobieta mam też czysto kobiece uczucia i życzenia. – Wyciągnęła swoją małą dłoń, aby go pożegnać. – Nawet wśród tych, którzy są mi bliżsi niż własna rodzina, moja pozycja nie jest komfortowa.

Jankew uśmiechnął się do niej ciepło, jakby chciał ją przeprosić:

– Zwykle taki jest los tych, którzy wytyczają nowe szlaki.

Pokiwała głową i odpowiedziała konfidencjonalnie:

– Tak, jestem introwertyczką, choć otwieram się na ludzi. Czuję się wyobcowana nawet pośród towarzyszek. Darzą mnie szacunkiem, ale nie traktują jak swojej. Również one widzą we mnie zmaskulinizowaną kobietę, która należy do męskiego świata. Co prawda, zwierzają mi się i pobożnie wysłuchują moich referatów o ciąży i wychowaniu dzieci, ale tak jest też u lekarza. Płci lekarza nie trzeba brać pod uwagę. Pomiędzy mną a lekarzem jest chyba tylko jedna różnica. Kobiety nie muszą mi drobiazgowo tłumaczyć swoich problemów. Rozumiem je w mgnieniu oka. – Otworzyła drzwi. Czuł, że jej spojrzenie towarzyszy mu, gdy schodził po schodach.

*

Jest pełnia lata. Pewnego mglistego wieczoru odbywa się zebranie komitetu szkolnego, na którym omawiany jest zaplanowany remont przedszkola na Bałutach. Jankew należy do komitetu od pierwszego roku powstania szkoły i z roku na rok bierze coraz aktywniejszy udział w jego pracach, zwłaszcza teraz, kiedy Wierka ma iść do przedszkola. Po zebraniu śpieszy do domu. Już północ, znowu minął cały dzień, a on nie widział dzieci. Często mruczy sobie kołysankę Morrisa Rosenfelda[130]: *Ich hob a klejnem jingele…nor zeltn zeltn ze ich im, dem klenem wen er wacht*[131]. Słowa „małego synka" zastępuje „dwiema małymi dziewczynkami". W ostatnim czasie Binele coraz częściej buntuje się przeciw tym jego częstym i długim posiedzeniom.

Zmierza do domu energicznym krokiem, kierując się ku Nowomiejskiej. Dochodzi właśnie do placu Wolności i przechodzi obok miejsca, na którym niebawem ma stanąć pomnik Kościuszki[132]. Tam dogania go towarzyszka Hanka. Ujmuje go za ramię i mówi głosem zdecydowanym i poważnym:

– Towarzyszu Polin, mam bardzo ważną prywatną sprawę, którą chciałabym z wami przedyskutować.

Jankew patrzy na nią chłodno:

– Teraz?

Jej zdecydowanie zdaje się ustępować. Lodowaty ton Jankewa powoduje, że kobieta milknie, ale nie na długo. Bierze się w garść i mówi dalej:

– Może być teraz, może być też innym razem. Potrzebuję osobistej… prywatnej przysługi z waszej strony.

On zaczyna się niecierpliwić, narasta w nim złość. Uważa za swój obowiązek nie puścić jej samej do domu o tak późnej porze.

– O co chodzi? – pyta, a jego zdenerwowanie przebija przez słowa. Podąża wraz z nią w kierunku jej domu.

– Nie mogę przekazać tego ot tak, na jednej nodze. To sprawa, którą powinniśmy przedyskutować. Wy… rozumiecie, to bardzo dla mnie ważne, ale… nie jest to sprawa pilna.

On nie rozumie i nie ma zamiaru rozumieć. Więcej się do niej nie odzywa. Pozwala jej wesprzeć się na swoim ramieniu i w ten sposób odprowadza ją do

---

130 Morris Rosenfeld (1862-1923) – poeta, prozaik i dziennikarz żydowski piszący w jidysz. Był autorem rewolucyjnych wierszy oraz pieśni. W 1882 r. wyemigrował do Stanów Zjednoczonych i tam pisał pieśni mówiące o losie żydowskich robotników w Nowym Jorku.

131 (jid.) *Mam małego synka… ale rzadko, tak rzadko widzę mojego małego za dnia* – słowa popularnej piosenki urodzonego w Sejnach amerykańskiego poety żydowskiego Morrisa Rosenfelda (1862-1923).

132 Pomnik Tadeusza Kościuszki stanie na placu Wolności w 1930 r.

bramy kamienicy. Ona dzwoni, a on, usłyszawszy stróża zbliżającego się z kluczami, wyciąga ku niej rękę, mówiąc:

– Wpadnę jutro rano do partyjnego lokalu.

Zamiast ująć jego dłoń, kobieta powoli otwiera swoją, wyjmuje z niej zwinięte w rolkę czasopismo i wciska Jankewowi.

– Przeczytajcie zwłaszcza to opowiadanie tutaj... – wyrzuca z siebie. – Opowiadanie Gorina[133]. I dajcie znać, co o nim sądzicie. – Stoi przez chwilę przyrośnięta do miejsca, jakby oczekiwała, że on coś powie, albo jakby sama chciała coś dodać. W końcu szybko macha do niego ręką i znika w otwartej bramie.

Mijają upalne letnie tygodnie. Jankew wrzucił czasopismo, które dała mu Hanka, do swojego wiklinowego kosza, aby przeczytać je w wolnej chwili. Potem w ogóle o nim zapomniał z powodu natłoku zajęć i roztargnienia, *fuln bojch fun geszeftn*[134] – jak mawia Binele. Krótka rozmowa z Hanką wyleciała mu z głowy. I tak się stało, że nie on, lecz Binele jako pierwsza czyta opowiadanie Gorina, które znajduje w piśmie wciśniętym do wiklinowej skrzyni. Opowiadanie robi na niej takie wrażenie, że mówi o nim koleżankom z koła kobiet.

– Oj, towarzyszko Hanko – wykrzykuje w kierunku przewodniczącej koła – to taka poruszająca historia! Czytałyście Gorina?

Hanka blednie. Kiwa głową i zgadza się z Binele:

– Tak, mocne opowiadanie. – Ale zaraz dodaje z krzywym uśmiechem, że nie ma ono nic wspólnego z karmieniem piersią starszych dzieci. To temat, który jest teraz poruszany przez koło kobiet.

Rankiem najbliższego szabasu, kiedy jeszcze leżą w łóżkach, Binele wyskakuje spod kołdry. Boso biegnie do skrzyni, wyciąga stamtąd czasopismo i wpycha je Jankewowi do ręki. Ostrzega go, że nie da mu spokoju, dopóki nie przeczyta całego opowiadania.

Jankew przypomina sobie o Hance. Rusza go sumienie. Człowiek, towarzyszka, potrzebowała osobistej przysługi, a była tak skrępowana swoją prośbą, że aż musiała uciec się do fortelu, prosząc, aby wcześniej przeczytał jakieś opowiadanie... – więc tego właśnie szabasowego poranka, kiedy on i Binele leżą jeszcze w łóżku, a dzieciaki śpią, zaczyna czytać opowiadanie Gorina. Robi mu się ciemno przed oczyma. Jest to bowiem historia o wolnej kobiecie w wolnym Związku Sowieckim, która nie ma męża i nie chce go mieć. Ale chce mieć dziecko, piękne, utalentowane, o wielkich zdolnościach, które jako dorosłe swoimi

---

[133] Bernard Gorin – pseudonim literacki Izaaka Gojdo (1868-1925) – pisarz, krytyk teatralny, dziennikarz tworzący w języku jidysz, opublikował też dwie powieści w języku hebrajskim. Od 1894 r. przebywał w USA.

[134] (jid.) *brzucha pełnego interesów.*

osiągnięciami wniesie ważny wkład w dobrobyt całej ludzkości. Po długich poszukiwaniach odpowiedniego ojca wybiera pewnego bardzo pociągającego komisarza jednostki partyjnej w jej okolicy, szlachetnego i sławnego bohatera rewolucji i proponuje mu, by został ojcem.

Jankewa aż podrzuca. Wyskakuje z łóżka, jakby stało w ogniu, po czym szybko się ubiera.

– Binesiu, złotko – mówi z udawaną beztroską – zupełnie zapomniałem, że muszę lecieć do lokalu partyjnego na krótką naradę. Nim się obejrzysz, będę z powrotem!

Zanim Binele zdoła cokolwiek powiedzieć, on jest już na zewnątrz i wzburzony zbiega z czwartego piętra. Dobrze wie, że przesadnie zareagował na całą tę sprawę, wyprowadzony z równowagi przez właśnie przeczytane opowiadanie. Wie, że nikt nie może go zmusić do odstawienia tej farsy w życiu i że byłoby mądrzej unikać Hanki i okazywać jej taką obojętność, aby już nigdy nie śmiała wracać do tego tematu. Ale nie może sobie z tym poradzić. Zanim zacznie jej unikać, musi ją najpierw zobaczyć. Ciekawość, niemal pasja, zmusza go, by pośpieszył na spotkanie tego dziwacznego i dramatycznego momentu. W wyobraźni porównuje Hankę z Czarną Damą, Polą Wajskop, której czarne oczy krzyczą ku niemu ze wszystkich kobiecych spojrzeń. Ale zagrożenie płynące ze strony Poli jest mu znane, podczas gdy zagrożenie ze strony Hanki wciąż jest zagadką, na którą trzeba odpowiedzieć.

Chociaż jest szabasowy poranek, nie ma wątpliwości, że zastanie Hankę w sekretariacie partyjnego lokalu. Już jest na górze. Lokal jest pełen partyjnej milicji, która się tu zebrała po instrukcje, co robić podczas zaplanowanej na nadchodzący szabas zabawy ogrodowej dla żydowskich szkół świeckich. Jankew idzie prosto do stołu, przy którym siedzi Hanka zanurzona w pracy dla „Derwachung". Podskakuje zaskoczona, jak przyłapana na gorącym uczynku.

– Towarzyszko Hanko! – woła dość głośno, jakby specjalnie chciał, aby usłyszeli go towarzysze z partyjnej milicji. – Towarzyszko Hanko, muszę z wami pomówić! – Jego głos brzmi rozkazująco.

Zdezorientowana kobieta rozgląda się po pokoju i wybiega. On biegnie za nią. Po dziedzińcu kręcą się odświętnie ubrani Żydzi w sztrajmlach[135], którzy idą do sztibla znajdującego się na parterze sąsiedniej klatki schodowej. Wystrojone kobiety wyglądają przez okna, inne stoją na progach i plotkują. Wszędzie kręcą się elegancko ubrani drobni przestępcy. Jankew i Hanka, zachowując spory odstęp, maszerują energicznymi krokami dookoła pompy.

– Jak śmiecie przychodzić do mnie z taką wulgarną propozycją, towarzyszko Hanko? – wybucha w końcu Jankew. – Czy może źle zrozumiałem, dlaczego dałyście mi do przeczytania to opowiadanie?

---

[135] Sztrajml (jid.) – futrzana czapka, tzw. lisiura, noszona głównie przez chasydów.

– Nie, dobrze mnie zrozumieliście – Hanka kurczy się w sobie. – Ale czemu mówicie o wulgarności? Dlaczego nazywacie to wulgarnym?

– Bo odpowiedzialny człowiek nie wymyśliłby czegoś takiego.

Kobieta nie odpowiada mu na te słowa, lecz, cały czas chodząc dookoła pompy, z wielkim smutkiem spogląda mu prosto w oczy. W końcu zbiera się na odwagę i zaczyna mówić z pasją i żalem. Ton jej drżącego głosu zdradza, że otwiera przed nim swoje serce. W sposobie, w jaki trzyma podniesioną głowę i jak prostuje całe ciało, czuje się wielkie zdecydowanie i dumę.

– Doprawdy, bardzo dobrze mnie zrozumieliście, towarzyszu Polin – powtarza. – A nawet więcej: chcę, abyście wiedzieli, że w sercu żywię dla was wspaniałe uczucia. Wpadliście mi w oko, jak to się mówi. Tak, tak to właśnie wygląda. Podoba mi się także wasz sposób myślenia, ujmowania rozmaitych problemów. Imponuje mi zrozumienie i uczucie, z jakimi podchodzicie do literatury. Lubię waszą powagę i zdolność do... czułości. Te wszystkie rysy waszego charakteru... są jak odpowiedź na moje pragnienie. Wewnętrzny głos podpowiada mi, że mogę wam w zaufaniu powierzyć wszystko – jaka jestem i co posiadam. Czy to wulgarne i nieodpowiedzialne z mojej strony? Dlaczego? Jakim grzechem jest chęć posiadania waszego dziecka?

– Jasne, że to grzech. To szaleństwo! – wybucha mężczyzna. Ale nie może więcej powiedzieć. Gapi się w jej szeroko otwarte oczy, skierowane prosto na niego. Spowite mgłą, przekazują mu na jej temat coś, czego nie mogą wyrazić żadne słowa. Zmieszany, gwałtownie kręci głową i – ku własnemu zdumieniu – mówi cieplejszym tonem: – Tak, to jest niemoralne.

– O jakiej moralności mówicie? W jaki sposób naturalny instynkt, tęsknota tego rodzaju doświadczeń mogą być niemoralne z punktu widzenia socjalizmu? Przecież nie chcę nikogo zniewolić.

– Mam żonę i dwoje dzieci. Zapomniałyście o nich, towarzyszko Hanko?

– Nie mam zamiaru was im odebrać. Bardzo lubię towarzyszkę Binele. Pociągająca proletariuszka, wspaniała matka i... Wszystko, czego chcę od was, to... wasze nasienie, towarzyszu Polin.

– Moje co? – Jankew nie wierzy, że kobieta tak otwarcie i jasno wypowiedziała to słowo.

– Wasze nasienie. No, już mnie rozumiecie, towarzyszu Polin? – Uśmiecha się smutno-gorzkim uśmiechem i patrzy przed siebie, podczas gdy wciąż jeszcze chodzą dookoła pompy. Pośpieszne tempo ich kroków świadczy o napięciu, które wciąż jeszcze utrzymuje się między nimi. – Ostatnimi czasy, kiedy was lepiej poznałam, wiele myślałam o tej sprawie. To krok, na który jestem gotowa z całą świadomością i poczuciem odpowiedzialności, jeśli chodzi o was i waszą rodzinę. Nie myślcie, że moje zdenerwowanie i drżenie mojego głosu świadczą o tym, iż nie wiem, co mówię. To najważniejsza chwila mojego życia, pomijając fakt, że rozgrywa się tu, w taki przypadkowy sposób. Mam trzydzieści pięć lat, towarzyszu Polin. Nie myślę o ślubie, ale pragnę mieć dziecko, które posiadałoby

najlepsze cechy duchowe i fizyczne. Jesteście najbardziej odpowiednim ojcem, którego mogłabym wybrać dla swojego dziecka. I... nie mam zamiaru was uwodzić. Takie sztuczki są dla mnie odrażające. Poza tym nie mam do tego talentu. Nie myślcie też, że lekceważę fakt, że dziecko potrzebuje ojca tak samo jak matki. Ale nie wszystko w życiu jest doskonałe. Gdybym wyszła za mąż za mężczyznę tylko po to, aby mieć z nim dziecko, atmosfera w domu też nie byłaby dobra dla dziecka. Dziecko potrzebuje, aby jego rodzice się kochali. Ale w życiu rzadko tak się dzieje. Sądzę, że rodzice powinni stworzyć na przykład taki dom, jak wasz i Binele. Sam fakt, że to osiągnęliście... Fakt, że wy i Binele jesteście szczęśliwi ze sobą... to również daje mi pewność, że mój wybór jest właściwy, że nie będzie żadnych następstw i komplikacji. Chcę uczynić to, co najlepsze, aby spełnić się jako kobieta, a przy tym nikogo nie obciążyć. Wiem, że to wszystko brzmi dla was dziwnie. Zapewne myślicie tak jak inni towarzysze, że... – Odważnie zwraca się ku niemu. Jej wielkie, szare oczy są pełne łez, ale głos pobrzmiewa dumą: – Nie jestem niewinną dziewicą, jak wszyscy o mnie myślicie!

Jest tak zszokowany, że wybucha dopiero po dłuższej chwili:

– To nie mój problem, towarzyszko Hanko! – Potem dodaje przyjacielskim tonem: – Ale wciąż jeszcze możecie się zakochać i wyjść za mąż.

– Nie chcę wychodzić za mąż, przecież wam powiedziałam!

Naraz uświadamia sobie, że w tej właśnie chwili, tego właśnie szabasowego poranka, pod tym słońcem, które odbija się w kroplach łez na jej rzęsach, zagniewana Hanka jest zjawiskowo piękna – niczym madonna, obraz czystości i niewinności. Właśnie z powodu swojego zdenerwowania zdaje się być otoczona atmosferą eterycznej czułości, jakby była ostatnią różą lata, która w przededniu zwiędnięcia oczekuje już tylko na opóźniającą swoje przyjście istotę, która ma ją zapłodnić. Ogarnia go ciepłe współczucie, a także duma, że z tą prośbą przyszła do niego. Jak lekko i wspaniale byłoby wyjść naprzeciw temu wezwaniu! Bo ona go podnieca. Jest gotów ująć ją za dłoń, gdzieś się z nią skryć, zapomnieć o wszystkim i wszystkich – i niech się dzieje, co ma się dziać. To jednak niemożliwe!

Przystaje i ujmuje jej ciepłe dłonie swoimi.

– Hanko! – mówi łagodnie. – Nie jestem człowiekiem, za którego mnie bierzecie. Wręcz przeciwnie. I nie wolno nam tego zrobić.

Po jej policzkach spływają łzy.

– Dlaczego? Potraktowałabym to jako wielką przysługę. Proszę was. Nikt się nie dowie.

– My będziemy wiedzieć. Dziecko będzie musiało wiedzieć. Staram się nie budować życia na kłamstwie, Hanko. Bardzo mnie idealizujecie. Walka z samym sobą nie przychodzi mi łatwo. I kocham Binele więcej niż jestem w stanie wyrazić. A przecież nie jestem obojętny na inne kobiety, również na was... w tej chwili. Jednak nie odważę się obciążać swojego sumienia i nie chcę brać na siebie odpowiedzialności, której nie mógłbym wypełnić. Nie jestem... ryzykantem. A poza tym... jeśli chodzi o Binele i dzieci, byłoby to nie w porządku, Hanko. Moja odpowiedź brzmi: nie.

Zostawia ją tam, gdzie się zatrzymali i wybiega z podwórza. Kiedy wraca do domu, Binele wciąż jeszcze leży w łóżku i czyta szabasowe wydanie „Folkscajtung”[136]. Jankew rozbiera się, wskakuje do łóżka i bierze żonę w ramiona.

*

Kapryśne deszcze jakby zmówiły się, aby odświeżać miasto po letnich upałach kilka szabasów pod rząd. Zaplanowany piknik w ogrodzie dla żydowskich szkół świeckich przesuwano czterokrotnie. Aż w końcu nadchodzi idealny dzień i wszystko odbywa się zgodnie z programem. Już z samego rana ludzie ściągają całymi rodzinami w kierunku przestronnego parku Helenów pod Łodzią[137].

Zadaniem Jankewa podczas pikniku jest sprzedawanie kanapek z bufetu rozłożonego na stołach, które ustawiono w czworokąt dookoła wielkiego dębu rosnącego na środku trawnika przy estradzie. Przez cały dzień orkiestra Kultur-Lige oraz chór „Harfy” zabawiają przybyłych do parku gości. Wieczorem, gdy wszystkie kanapki i butelki z lemoniadą są już wyprzedane, a współpracownicy poszli się nieco zabawić, Jankew siada pod drzewem, opiera się o jego pień i zapala papierosa. Obserwuje barwny tłum dorosłych i dzieci, którzy spacerują po szerokiej alei w tę i z powrotem. Bolą go nogi od całodziennego stania, więc po kilku minutach wyciąga się na trawie. Pali z zamkniętymi oczyma. Kiedy je otwiera, dostrzega stojącą nad nim Hankę. Unikał jej przez cały miniony miesiąc.

Hanka ma na sobie modną krótką sukienkę letnią bez rękawów, a na głowie kapelusz typu klosz, którego brzeg jest ukośnie wywinięty nad jednym okiem. Po raz pierwszy widzi ją ubraną tak pociągająco. Wolałby jednak, aby była w zwykłej, prostej sukience. Myśli sobie, że w jej kokieteryjnym wyglądzie jest coś odpychającego.

Kobieta rozkłada na trawie chustę, którą miała przerzuconą przez ramię, przysiada się do niego i mówi:

– Chciałabym was przeprosić, towarzyszu Polin. Od tamtego szabasowego poranka nieustannie myślę o naszej rozmowie. Byłam wówczas taka ogłupiała i zmieszana. Tymczasem uświadomiłam sobie dwie rzeczy. Po pierwsze: jestem w was bardzo zakochana. Tak, a po drugie...

Jankew podnosi się i siada. Ma wrażenie, że cień dębu, pod którym siedzą, chwieje się szaleńczo i że sztuczne jeziorko u stóp zbocza, po którym towarzysze

---

[136] „Lodzer Naje Folkscajtung” był dziennikiem wydawanym w Łodzi w języku jidysz, organem prasowym Bundu.

[137] Z opisu parku wynika, że był to park Helenów nad rzeką Łódką, stworzony przez łódzkich fabrykantów w końcu XIX stulecia i początkowo miał charakter elitarny, w okresie międzywojennym był nadal salonem Łodzi, ale zmieniła się publiczność, organizowały w nim imprezy różne partie i stowarzyszenia, także robotnicze.

z rodzinami pływają na łódkach i kajakach, przechyla się na bok. W błękicie wieczoru promienie zachodzącego słońca odbijają się w kroplach wody. Jak sznury szklanych korali krople kaskadami spływają z wioseł – niczym z otwartych dłoni. Jankew ociera ręką pot z czoła i policzków.

– Hanko – odpowiada opanowanym głosem i odrzuca zgasłego papierosa gwałtownym ruchem ręki. – Zakończyliśmy naszą rozmowę na ten temat raz na zawsze! – Zrywa się na równe nogi, zostawia ją siedzącą i idzie poszukać Binele z dziećmi.

Po chwili Hanka dogania go w alejce.

– Tak, skończyliśmy rozmowę raz na zawsze – mówi i uśmiecha się przy tym bardzo smutno, boleśnie. – Tak, towarzyszu Polin... I to właśnie jest ta druga rzecz, którą chciałam wam powiedzieć. Dla waszej informacji, mam teraz słuszne podejrzenie, że nigdy nie będę mogła mieć dzieci. Tak to jest, towarzyszu Polin. Nasza rozmowa nigdy nie powinna była się odbyć. I właśnie dlatego proszę was, abyście mi wybaczyli. Nie martwcie się o nic. Nie będę was zadręczać swoją miłością. Mam swoją dumę i jestem realistką. – Odwraca się od niego i odchodzi aleją pomiędzy drzewami.

Jankew odnajduje Binele siedzącą z dziećmi przy nieoheblowanym stoliku ogrodowym. Są z nią Wowa i Balcia. Ich dzieci bawią się pod stołem. Siedzą tu również Fidlerowie ze swoją maleńką córeczką Sorką oraz jeszcze jakaś para z dziećmi. Obok na trawie siedzi Josel Trębacz wraz ze spoconymi towarzyszami z orkiestry Kultur-Lige. Grali przez cały dzień na centralnej estradzie ogrodu, więc teraz zajadają swoje porcje kanapek i opróżniają butelki lemoniady. Mówią z pełnymi ustami, śmieją się i ocierają twarze połami rozpiętych koszul.

W dole, w ciemniejącej wodzie jeziorka, odbijają się różnobarwne światła, które zapalono, aby przyozdobić brzeg. Ciemność wokół gęstnieje. Cienie drzew zlewają się z trawą. Towarzysze na łódkach i kajakach śpiewają melancholijne pieśni.

Wowa rzuca propozycję, aby wszyscy zeszli ku wodzie i wzięli łódki. Cała grupa wstaje od stołu. Z dziećmi na rękach lub trzymając je za małe dłonie radośnie, choć ostrożnie, kierują się w dół, ku brzegowi. Jankew wraz z rodziną zajmują swoją łódkę. Jedna z córek mocno trzyma Binele za rękę, a druga, wyciągnięta wygodnie i oparta o jej kolana, wpatruje się w jej twarz. Poza twarzą mamy nic więcej nie istnieje dla niej na tym świecie.

I tak pływają sobie po cichej tafli wody, niby dokądś, ale jednak donikąd – po prostu płyną przed siebie, by odpowiedzieć na niewypowiedziane pytania.

Rozdział dziewiąty

Kiedy zyskuję samoświadomość, Abraszo, Wierka jest już dużą panną. Sporo mówi, wymawiając „l" zamiast „r" – na przykład mówi „tlawa" zamiast „trawa". Od samego początku zna swoją życiową misję. Ojciec poinformował ją o tym niby żartem, ale tak naprawdę bardzo poważnie. Kiedy ktoś ją pyta: „Wierko, kim będziesz, jak urośniesz?", odpowiada z dziecinnym urokiem: „Jak już będę baldzo duza, będę psisalką". Co znaczy – „pisarką".

Bardzo szybko nauczyła się ze mnie śmiać. Nic dziwnego. Mama uważa, że jestem pociesznym stworzeniem. Przyszłam na świat z nieco sterczącymi ryżawymi włosami na samym czubku głowy, skośnymi, mongolskimi oczyma oraz czarnymi rzęsami i brwiami.

Mama twierdzi, że moje oczy najpierw były błękitne i dopiero po jakimś czasie stały się zielone, który to kolor Wierka przez całe lata określała mianem kociej zieleni. Kiedy Wierka, dziewczynka dwuipółletnia, siedzi z mamą na dworze i wdycha świeże powietrze, a ja leżę nagusieńka na jej kolanach i opalam się na słońcu, zazdrosna siostra śmieje się razem z dzieciakami, które wyśmiewają się ze mnie – jej nowo narodzonej siostry. Śpiewa wówczas razem z nimi: *Geler kanalik, arop fun malik, alejn in keler, alojs a geler*[138]. Kolor moich włosów szybko zaczyna się zmieniać na marchewkoworudy, zyskując taki sam odcień jak włosy mamy. Za to moja skóra jest ciemniejsza niż jej, mam karnację ojca i nie uświadczysz na niej piegów.

Moje pierwsze wrażenia z życia są i dobre, i złe. Dobre rozpłynęły się i najczęściej wiązały się z przyjemnością, jaką była wspólna kąpiel moja i Wierki

[138] (jid.) *Lyży kanalek nie był zbyt chyży, wpadł do piwnicy i stał się lyży.*

w wielkiej białej wannie, czy z zainstalowaniem w domu takiej czarodziejskiej rzeczy jak elektryczność. Wówczas mama brała mnie na ręce i pozwalała naciskać włącznik, by sprowadzić do domu dzień, gdy na zewnątrz była już noc. Ale złe doświadczenia pamiętam o wiele lepiej.

Binele nie certoli się ze mną, nie drży z niepokoju tak jak przy Wierce. Jako doświadczona matka już wie, że dzieci, te rzekomo słabe stworzonka, nie są „zrobione ze szkła" i nic się im nie stanie, gdy nie weźmie się ich na ręce od razu, jak tylko zapłaczą. Przyjaciółki Binele dodają jej odwagi. Potwierdzają, że z drugim dzieckiem jest o wiele lżej, że drugie dziecko wychowuje się niemal samo. Więc Binele oczekuje przyjemności z lekkiego i zabawowego chowania drugiej córki.

Ale druga córka, jak się okazuje, przyszła na świat z jasnym zamiarem straszenia mamy. Pod tym względem, jak i pod wieloma innymi, wdałam się w nią. Zupełnie jak ona, czasami zachowuję się nieprzewidywalnie, co zaskakuje mnie samą. Dlatego między mną a mamą panuje wielka miłość, ale nie ma pokoju.

Szybko odkrywam, że mama jest wielką kłamczuchą i do moich pierwszych złych wspomnień należy dzień, kiedy zabiera mnie i Wierkę do fotografa w strasznym miejscu, które się nazywa „studnia", to znaczy – studio. Fotograf zarzuca czarną płachtę na swoją głowę i na głowę dziwacznego potwora z patykami zamiast nóg. Potem każe nam, dziewczynkom, patrzeć prosto w jedyne oko tego potwora. Jestem sztywna ze strachu i strasznie krzyczę. Wówczas mama głaszcze mnie po głowie i obiecuje, że jeśli przestanę wrzeszczeć i uśmiechnę się, zaraz wyfrunie ptaszek z tego oka, które nazywa „okienkiem". Lecz jedyne, co faktycznie stamtąd wylatuje mi prosto w twarz, to prawda o mojej mamie: że nie można mieć do niej zaufania.

Binele zdobywała swoje matczyne doświadczenie w kręgu kobiet „Harfy", a następnie w nowo utworzonej organizacji kobiecej JAF[139]. Sama, sierota bez matki, została wychowana przez ojca Joselego Obeda i sąsiadki w Bocianach. To wystarczyło, aby stała się gorącą przeciwniczką bicia dzieci. Utrzymuje dyscyplinę, ale osiąga ją innymi środkami.

„Dostałam już tyle klapsów, że wystarczy za moje dzieci i ich dzieci" – chwali się. I rzadko kiedy daje klapsa – chyba że chodzi o jedzenie.

Na szczęście Wierka jej słucha i chętnie je. Aż robi się z niej niezły klopsik, tłusty jak świnka, co Binele kwituje krótko: „Zdrowe dziecko".

Inaczej sprawa wygląda ze mną. Na początku Binele nie może zrozumieć, że taka mała, szybko rosnąca istotka nie chce jeść. Dobrze pamięta, jak sama będąc dzieckiem, chodziła głodna, zapychając się wapnem i kredą w sklepiku ojca. Potem wydaje jej się, że jeśli dziecko nie chce jeść, jest ciężko chore. I kiedy, zabrawszy mnie i Wierkę do składu węgla, aby nas zważyć, widzi, że

[139] (jid.) Jidisze Arbeter-Froj (JAF) – Żydowska Kobieta Pracująca – organizacja kobieca, która powstała przy Bundzie, aby zaktywizować kobiety i podnieść ich świadomość polityczną.

ledwo przybrałam na wadze, czuje, że serce się jej kraje, a cały świat się rozpada. Cała ta sprawa to tajemnica, bo wcale nie wyglądam na chorą. Jestem ruchliwa i energiczna. Dlatego Binele nabiera przekonania, że jakiś mały diablik dawno temu zamieszkał w moim sercu i przemienił mnie w upartego, złośliwego osiołka, któremu dziką radość sprawia przysparzanie jej kłopotów. I tak dochodzi do wniosku, że jestem z natury kapryśna. To prawda, ale nie taka, jak się jej wydaje.

Doszedłszy do tego wniosku, Binele może przestałaby się przejmować tym, że nie chcę jeść. W końcu przecież nie poszczę. Ale jem nie tyle, ile ona by chciała. Boi się, że wprawdzie teraz nie jestem obłożnie chora, ale niedługo mogę zapaść na jakąś groźną chorobę. Wie, że dziecko to fundament dorosłego życia i że ten fundament należy wzmacniać odpowiednim pokarmem, a nie jedzeniem tylko tego, co ono zachce. Bo dziecko to tylko dziecko, które nie wie, co powinno chcieć, co jest dla niego dobre, co jest podstawą jego dorosłości. A zatem powinno jeść tyle, ile mu każe świadoma matka. A Binele chce, aby jej córki jadły to, co jedzą bogate i zdrowe dzieci, na przykład codziennie po kawałku tłustego mięsa, jajka, szpinak i chleb grubo posmarowany masłem. Mają pić tyle mleka, ile się da, i przyjmować codziennie łyżeczkę tranu, który, choć okropnie smakuje, jest niemal eliksirem życia. Dlatego właśnie rodzice ciężko pracują i mozolą się całymi dniami, odkładając na bok prawdziwe życie – matka w fabryce, a ojciec przy krośnie w dusznym warsztacie.

Kiedy nie jest zadowolona z tego, jak jem, ma wrażenie, że grunt usuwa się jej spod nóg. Wówczas ma tak zatruty dzień, że chodzi z ponurą miną, troską w oczach, bez cienia uśmiechu na ustach. Z niecierpliwością czeka na powrót Jankewa, aby mogła wylać przed nim swoje troski. Gdy tylko mąż otwiera drzwi, dzieli się z nim nowiną: „Twoja primadonna dzisiaj znowu niczego nie wzięła do ust".

Na początku Binele biega do Klary Fidler, aby zobaczyć, w jaki sposób ta zajmuje się swoją córką Sorką, która jest w tym samym wieku co ja. Ale szybko czuje się rozczarowana zdolnościami wychowawczymi Klary. Zaczyna podzielać zdanie Balci, że oczytanie i inteligencja nie dają gwarancji bycia specjalistką w macierzyństwie. Najlepszy przykład: Sorka jest malutka jak myszka w porównaniu ze mną, nie mówiąc już o Wierce, na którą aż miło popatrzeć.

Ale kiedy Binele biegnie do Balci Cederbojm, aby się poskarżyć na mnie, tamta wzrusza ramionami:

– Im mniej będziesz jej pokazywać, że cię to denerwuje, tym lepiej.

Binele czuje się zraniona obojętnością Balci.

– Co ty mówisz? Jeszcze dostanie suchot!

Balcia śmieje się jej w twarz.

– Nie zrobi ci tego, uwierz mi.

Binele nie ufa przyjaciółce. Łatwo jej mówić. Jej chłopcy, Herszko i Gabi, oraz dziewczynka Malka urodzili się z wielkim talentem do jedzenia. Nigdy im

nie dość. W końcu Binele nie ma wyboru, więc idzie zwierzyć się towarzyszce Hance. Co prawda, żywi wobec niej mieszane uczucia, ale jeśli chodzi o kobiece problemy z wychowaniem dzieci, to Hanka jest autorytetem, który nie ma sobie równych.

Binele uskarża się:

– Nie wiem, co robić, towarzyszko Hanko. Ta mała niemal przyprawia mnie o utratę zmysłów. Nie chce jeść.

Hanka uśmiecha się do niej poważnie i współczująco.

– Towarzyszko Binele, jesteście tak rozgorączkowana, jakby wasza mała ledwo trzymała się na nogach. Widziałam ją z wami na przedstawieniu dla dzieci... To dziecko to żywe srebro.

– To było dwa miesiące temu! – wybucha Binele.

Hanka przestaje się uśmiechać, po czym wyjaśnia:

– Towarzyszko Binele, taki jest właśnie problem z żydowskimi matkami – przewrażliwienie. Chyba w ich krwi i podświadomości zostało coś z czasów, kiedy żydowskie życie było nieustanne narażone na rozmaite niebezpieczeństwa, pogromy i plagi. Nigdy nie było się pewnym jutra. Nikt nie wiedział, kiedy trzeba będzie pakować manatki i uciekać. Nie znano też odpowiedzi na pytanie, kiedy będzie można nakarmić dzieci. Więc karmiono je wówczas na zapas. Ale dzisiaj nie trzeba być tak przewrażliwionym na tym punkcie. Nie zje teraz, to zje później. Zdrowy organizm sam wie, ile potrzebuje. Rozumiecie, towarzyszko Binele? Obiecajcie, że nie będziecie się już przejmować takimi rzeczami.

Binele obiecuje i taka jest przy tym przejęta, że pozwala Hance wypytać się o inne szczegóły ze swojego życia. Hanka pyta z takim przyjaznym zainteresowaniem i serdecznością, że Binele odpowiada chętnie na wszystkie pytania, chociaż dręczy ją skryte podejrzenie, że tak naprawdę kobietę interesują tylko szczegóły dotyczące Jankewa.

Dopiero w drodze do domu orientuje się, że nie dostała żadnej rady na temat problemów ze mną, a wówczas jej pretensje do Hanki rosną. Co ona, ta stara panna, może w ogóle wiedzieć mimo całego swojego wykształcenia? Jak może rozumieć, co się dzieje z nią, Binele? Że bardzo obchodzą ją obie córki? Troskę matczynego serca nazywa zbędną! I nawet, jeśli rozsądne jest to, co mówi, to i co z tego? Co dobrego przyniesie to osobie, która znajduje się we władzy prawdziwej siły instynktu, wypełniającego dziwnymi przeczuciami jej serce?...

*

Moje pierwsze wojny z mamą toczę o jedzenie! Buntuję się przeciw wielkiej, potężnej władczyni panującej nad światem i małymi dziećmi, która siłą wpycha w moje usta łyżeczkę, niemal mnie przy tym dusząc. „Otwórz buzię! Pogryź! Połknij!" – przez chwilę mama prosi mnie jakbym była bandytą, przez chwilę sama krzyczy jak bandytka.

W ogóle jej nie słucham. Buzia jest moja i czy mam ją otworzyć, by połknąć jedzenie, nikt nie będzie mi rozkazywał. To wyłącznie moje prawo i mój przywilej. Moja dziecięca godność nie może znieść bezczelności mamy. I tak walczę z moim potężnym wrogiem wszelkimi środkami, które mam do dyspozycji.

Drugą przyczyną moich wojen z mamą jest konieczność noszenia wełnianej bielizny zimą oraz czystych ubrań na co dzień przez cały rok. Wełniana bielizna to prawdziwe utrapienie. Wełna drapie skórę i powoduje, że człowiek się czuje, jakby nosił na ciele pancerz ze szpilek, które kłują i uwierają, jakby robaki łaziły po ciele. Nie można się swobodnie poruszać i odczuwać ciałem świeżego powietrza. A do tego te problemy z czystymi ubraniami! Konieczność nieustannego uważania i pilnowania się, aby ich nie pobrudzić, bo mama nie ma czasu ich codziennie prać, gdyż „haruje i zamęcza się" w fabryce dla dobra córek – to też jakaś plaga, która pozbawia małą dziewczynkę ostatniej przyjemności w życiu.

Tak w ogóle instynktownie nie potrafię wybaczyć jej tego, że wmówiła sobie, iż będzie miała ze mną lekkie życie. Dlaczego to robi? Czy nie jestem dzieckiem w pełni praw, nie mniej ważnym niż Wierka? Dlaczego nie mam prawa dać jej odczuć, że jest moją mamą? W efekcie zaczynam wykorzystywać jej zasadę niepodnoszenia ręki na dzieci – dla własnych interesów. Wodzę ją za nos. A jeśli się przed tym broni, to mam swoje sposoby, aby jednak mi się udało.

Jednym z takich wypróbowanych sposobów jest zwracanie wszystkiego, co wpakowała we mnie siłą. Drugim – krztuszenie się. To znaczy tak bardzo zaczynam krzyczeć, że aż na złość jej tracę oddech, po czym naprawdę nie mogę go złapać. Robię się czerwona i sina na twarzy, pieję jak kogut, tupię nogami i macham rękami.

Wówczas, z przerażenia wychodząc z siebie, Binele bierze mnie w ramiona, stawia na stole i, sama ledwie dysząc, prosi: „Miriamko, Miriameczko...". Dmucha mi w usta, abym złapała oddech – co mi się w końcu udaje, a potem kończę dzieło po swojej myśli.

Tak się dzieje do momentu, kiedy pewnego razu podczas takiej sceny Binele sama niemal mdleje, a wówczas – w zgodzie ze swoim charakterem, który nieraz ją samą zaskakuje – wymierza mi taką porcję klapsów w pupę, że aż stają się one częścią moich pierwszych wrażeń z dzieciństwa, zapisując się w pamięci na zawsze. Jej twarz zalewa się łzami, głos staje się ochrypły, zduszony, a ona wymierza mi klapsy raz za razem, sapiąc z wściekłością kogoś, kto popełnia grzech i o tym wie.

Binele kończy tę scenę, powtarzając finalne pytanie, które jej własny ojciec, Josel Obed, zadawał, wymierzając jej klapsy: „Jeszcze chcesz? Jeszcze, smarkaczu jeden?".

To bicie jest szokiem, który wstrząsa mną do głębi. Nigdy w moim krótkim życiu nie spodziewałam się, że coś takiego się przydarzy – że moja własna matka, która chce mi przychylić nieba, sprawi mi ból, i to taki, który obejmie nie

tylko pupę, ale i serce. A wszystko po to, aby skruszyć moją ludzką godność. To wydarzenie usuwa fundamenty, na których wspierało się moje dopiero co kształtujące się spojrzenie na świat, i całkiem mnie ogłupia. Oczywiście w sercu wcale nie obiecuję jej, że od tej pory będę dobrą i posłuszną dziewczynką, tak jak i ona nie obiecywała tego swojemu ojcu. Ale Binele miała odwagę nie wypowiadać takiej obietnicy również na głos, podczas gdy ja powiedziałam, że będę grzeczna i posłuszna. To dowodzi, że ona ma silniejszy charakter niż ja, jej rozpieszczona córka.

Po tej historycznej scenie histerii przestaję się krztusić, rezygnuję również z kilku innych sztuczek, które wykorzystywałam, aby zrobić mamie na złość. Bardzo się boję, że taka scena może się jeszcze kiedyś powtórzyć.

Jedynym narzędziem walki pozostaje mi płacz. Słabe to narzędzie. Tego dnia, kiedy zaliczyłam przegraną w wielkiej bitwie z mamą, wszystkie moje walki z góry stały się przegrane. Więc aby złapać oddech swobody – bez którego żadne żywe stworzenie nie może istnieć – zaczynam szukać sposobów zbudowania sobie podziemnego tunelu, schronu, gdzie nie sięgnie jej władza. Znajduję go nie pod ziemią, lecz na strychu na końcu korytarza, gdzie sąsiadki rozwieszają pranie. Tam uciekam nie tylko od mamy, lecz od całego jej niesprawiedliwego, namacalnego świata.

Strych staje się całym moim światem. Godzinami potrafię tam siedzieć i się bawić. Bielizna sąsiadek, rozwieszona w rzędach na sznurkach, demonstruje rozdarciami, łatami oraz rozmaitymi odcieniami bieli różne poziomy bałuckiej biedy. Ale dla mnie to nie bielizna, lecz parawany – białe ściany, które odgradzają mnie od wszystkiego, czego nie potrafię pojąć. W tej kryjówce na strychu znajduję nie tylko pociechę dla swojego skrzywdzonego serca, ale też towarzystwo wszystkich wymyślonych zabawek, do których tęsknię w marzeniach.

Poza tym, aby ukarać mamę, okazuję wielką miłość cioci Racheli, która mieszka naprzeciwko nas w długim korytarzu. Tam, u cioci, ja i Wierka możemy robić, co się nam tylko spodoba. Ciocia nigdy, no, prawie nigdy, nie skarży na nas przed mamą.

*

Jankew nie zarabia wystarczająco dużo, aby utrzymać rodzinę, więc Binele jest zmuszona dalej „harować i zarzynać się" w fabryce. Szczerze nie lubi tej pracy. Bardzo chciałaby sama wychowywać córki. Zatem codziennie rano z bólem serca odprowadza Wierkę i mnie do Racheli, powierzając nas jej opiece na cały dzień.

Relacje miedzy heretyczką Binele a przykładnie religijną Rachelą są na sposób dyplomatyczny serdeczne. Unikają rozmów o rzeczach, które grożą podgrzaniem atmosfery. Jeśli jakaś delikatna sprawa nieoczekiwanie układa się nie po myśli, wybucha ostra wymiana zdań, po czym następują szybkie przeprosiny. Żadna z nich nie może sobie pozwolić na pofolgowanie w tym, co by chciała powiedzieć

drugiej stronie. Ze względu na Wierkę i mnie najczęściej dochodzi do drobnych potyczek słownych zakończonych pojednaniem.

Ciocia Rachela cierpi w milczeniu, że Wierka i ja rośniemy bez Boga w sercu, że nie znamy żadnego błogosławieństwa, nie potrafimy odmawiać modlitwy *Kriszme*[140] i nie obchodzimy szabasu i religijnych świąt. Chętnie ocaliłaby dla swoich siostrzenic przyszłe światy, inkasując przy tym dla siebie całe góry micw[141], gdyby Binele pozwoliła jej uczynić z nas prawdziwe żydowskie córki. Mimo wszystko próbuje z całych sił i z całego serca. Bardzo nas kocha. W tym czasie, gdy jesteśmy w jej rękach, rozpieszcza nas i wszystko robi, aby ocalić nasze duszyczki. Uczy nas modlitwy *Mojde ani*[142] i błogosławieństwa nad jedzeniem, nieustannie poucza, jak powinny się zachowywać żydowskie córki. Opowiada nam historie z Chumeszu[143], legendy o dobrych i złych aniołach, raju i gehennie[144]. Przez cały tydzień prosi Boga, aby Binele i Jankew, o których przyszłe życie dawno już przestała się troszczyć, mieli jakieś spotkanie w tym swoim heretyckim stowarzyszeniu – a ona by mogła wówczas gościć u siebie Wierkę i mnie przy szabasowym stole.

Binele nie jest taka naiwna, aby nie wiedzieć, co się dzieje w sercu i umyśle siostry, więc za każdym razem, kiedy po pracy zabiera nas do domu, od razu bierze nas na spytki.

– Nu – pyta – co tym razem ciocia Rachela wbijała wam do głowy?

Akurat w tym czasie wymawiam „l" zamiast „r", tak jak Wierka wcześniej, gdy była w moim wieku. Więc od razu mówię mamie prosto w oczy:

– Ciocia Lachela nicego nam nie wkładała do głowy. Ty sama nam coś wkładas do głowy, mamo.

Wierka i ja recytujemy z dumą wszystko, czego się nauczyłyśmy u ciotki. Binele jest zbyt zajęta i zmęczona, aby od razu naprostować pokrętne wywody, które słyszy z naszych ust, więc nic się nie odzywa. Ale nie ma wątpliwości, że

---

140 *Kriszme* – (potoczny skrót od hebr. *Kriat Szma* – czytaj Imię) – jedna z dwóch najważniejszych modlitw w judaizmie rozpoczynająca się od słów „Słuchaj, Izraelu..." odmawiana co najmniej dwa razy dziennie.

141 Micwa (hebr.) – przykazanie, obowiązek, czasem i tu w znaczeniu: dobry uczynek.

142 *Mojde ani* (hebr.) – *Dziękuję tobie...* – modlitwa odmawiana przez Żydów zaraz po przebudzeniu, będąca podziękowaniem za możliwość przeżycia kolejnego dnia.

143 Chumesz (Pięcioksiąg Mojżeszowy) – pierwsza część Biblii Hebrajskiej obejmująca pięć Ksiąg: Bereszit (Księga Rodzaju), Szemot (Księga Wyjścia), Wajikra (Księga Kapłańska), Bamidbar (Księga Liczb) i Dewarim (Księga Powtórzonego Prawa).

144 Gehenna – dolina, poza granicami Jerozolimy, która w czasach starożytnych była wysypiskiem, gdzie palono zwłoki osób, którym odmówiono pochówku; miejsce mąk i kary ludzi odrzuconych przez Boga po Sądzie Ostatecznym. Pot. wielkie cierpienie psychiczne i fizyczne, koszmar.

dopełnia się w niej miara gniewu. Jakim prawem Rachela zatruwa umysły jej dzieci? Nie potrzebuje wspólników do wychowywania córek. Potrzebuje jedynie pomocy siostry w opiece nad małymi, nic więcej. W końcu, gdy nie może znaleźć sobie miejsca, wpada do niej, by wykrzyczeć z niemal nieokiełznaną wściekłością, aby już nigdy nie ważyła się zatruwać umysłów jej córek opowieściami o raju i gehennie, ani straszyć ich Bogiem czy diabłem.

Rachela wzdycha głęboko i ociera oczy.

– Ja je dręczę? *Rebojne szel Ojlem*, ugryź się w język, Binele, zanim wypowiesz takie słowa. Przecież one są dla mnie jak źrenica oka, biada mi! Wytłumacz mi, proszę, jedną rzecz – jak to jest, że ty możesz się zachowywać w swoim domu jak ci się podoba, a mnie nie wolno w moim robić tego, co chcę?

– Rób sobie, co chcesz, ale nie czepiaj się moich dzieci! Daj im spokój, słyszysz?

Rachela zaczyna pochlipywać.

– Ja nie daję im spokoju? A jeśli one są twoje, to ja nie mogę ich kochać jak własne? Słyszysz, Szaja? – zwraca się do wujka, który siedzi przy stole i kiwa się nad wielką, otwartą księgą, odczytując śpiewnie jakiś fragment z Gemary[145]. – Czy ty słyszysz to, co ja?

Szaja odpowiada, wciąż nucąc tę samą melodię:

– Jeśli się jej nie podoba, to niech robi inaczej.

Głównym zajęciem Szai jest modlitwa i studiowanie Pisma. Jeśli nie przesiaduje w sztiblu rebego z Góry Kalwarii[146], i jeśli się nie modli, to siedzi całymi dniami przy stole i studiuje. Zwykle nie zamienia słowa z Binele, ani z żadną inną kobietą. Teraz też nie miesza się do rozmowy, chociaż gniew na pozbawioną serca szwagierkę aż go podrywa z miejsca. Rzuciwszy krótką uwagę w stronę księgi, dalej kiwa się nad otwartymi stronami.

Choć sytuacja faktycznie nie podoba się Binele, nie może pozwolić sobie na zmianę. Tak więc wszystko pozostaje po staremu. Niebawem Wierka zaczyna chodzić do bundowskiego przedszkola na Bałutach, więc ciocia Rachela skupia całą swoją troskę na mnie, z czego obie jesteśmy bardzo zadowolone. Pozornie u cioci w domu jestem bardzo pobożną dziewczynką, a „wyzwoloną" w domu u mamy. Tak naprawdę jest zupełnie odwrotnie. W domu cioci czuję się prawdziwie wolna. Żyje mi się u niej jak w raju.

Bardzo lubię jej opowieści o raju i gehennie, opisy bożego tronu chwały, aniołów i serafinów, które go otaczają. Z otwartymi ustami wsłuchuję się w opowieść o królowej Ester albo o Chanuce, lubię też zapalanie świec. Intrygują mnie hebrajskie zwroty, które słyszę z jej ust. Nadaję im swoje znaczenie i dopasowuję

---

[145] Gemara – główna obok Miszny część Talmudu.

[146] Przed II wojną światową Góra Kalwaria była największym i jednym z najważniejszych ośrodków chasydyzmu. Rebe z Góry Kalwarii (rebe Ger) miał w Łodzi tysiące zwolenników i kilkadziesiąt sztibli – domów modlitwy, gdzie modlili się chasydzi Ger.

do własnych melodii, aby je wyśpiewać tak jak wujek Szaja. Bardzo lubię dźwięk talmudycznego nigunu[147] nuconego przez wujka. Jego melodia towarzyszy mi w zabawach pod stołem, przy którym wujek studiuje, machając rytmicznie nogą. Filcowy kapeć na jego stopie kiwa się luźno, przybierając kształt otwartej paszczy fantastycznego zwierza, który nade mną czuwa.

Ciocia Rachela, tak jak mama, hoduje na parapecie kwiaty w doniczkach, które stoją ciasno jedna przy drugiej. Chętnie bawię się pod parapetem, obok tych doniczek. Latem okno jest otwarte, a jego skrzydła są przyczepione haczykami do ścian na zewnątrz. Kołyszą się lekko wraz z wiatrem i skrzypią, jakby grały mu jakąś melodię. Z podłogi, na której się bawię, mam widok na niebo, po którym płyną różnokształtne chmury. Gdy się długo w nie wpatrywać, to się wydaje, że człowiek na nich siedzi i żegluje po niebie. Ze względu na nas, dzieci, ciocia zrobiła na skraju parapetu rodzaj drucianego ogrodzenia, aby zapobiec pokusie wspinaczki.

Jest piątkowe popołudnie. Wujek Szaja poszedł do mykwy[148]. Ciocia sieka cebulę, a dobywający się z garnka zapach słodkiej ryby wypełnia cały pokój. Pod ciocinym łóżkiem znajduję buteleczkę. Jest tak mocno zakorkowana, że nie mogę jej otworzyć. Postanawiam pobawić się taką zamkniętą, turlając ją po podłodze. Potem wpadam na pomysł, aby wyrzucić ją przez okno. Jestem ciekawa, czy zabrzęczy, upadając na chodnik, i jak ten dźwięk zgra się z odgłosami ulicy, ostrymi dźwiękami skrzypiących skrzydeł okiennych i bulgotaniem ciocinego garnka na kuchni.

Ciocia spogląda na mnie akurat wtedy, kiedy przymierzam się z buteleczką do przestrzeni między gałązkami kwiatków w doniczkach i rzucam, jakby to był ptak, którego uwalniam z piąstki. Żal mi, że nie mogę się wdrapać na okno i zobaczyć, jak leci, ale słyszę, jak przyjemnie dźwięczy, rozbijając się o chodnik. Prawdziwie upiększa dźwięki, które dochodzą z ulicy, skrzypienie okiennych skrzydeł i bulgotanie garnków na piecu.

Buteleczka nie była pusta – był w niej witriol[149]. Ciocia używała go do tępienia myszy i szczurów, od których roi się przy koszach na śmieci i w ustępie. Trzymała ją pod łóżkiem, aby, broń Boże, nie wpadła w ręce jej siostrzenic. Teraz, gdy tylko dźwięk rozbitej butelki dociera do moich uszu, dając mi tyle przyjemności, słyszę też okrzyk cioci, który wcale nie jest melodyjny, lecz pełen przerażenia:

---

147 Nigun – melodia; określenie często używane w odniesieniu do chasydzkich melodii, których nucenie ma pomóc w mistycznym uniesieniu.

148 Mykwa – rytualna łaźnia. Pobożni Żydzi obowiązani są odwiedzać mykwę w każdy piątek przed szabasem.

149 Witriol – dawna nazwa stężonego kwasu siarkowego, który jest przezroczystą cieczą o szklistym wyglądzie i oleistej konsystencji.

– Dobry Ojcze! Słabo mi! Witriol!

Rachela zagląda przede wszystkim pod łóżko, aby przekonać się, że buteleczka faktycznie zniknęła. Następnie podskakuje, chwyta się za głowę w przekrzywionej peruce, by na koniec złapać mnie za rękę. Ledwo żywa z przerażenia wyciąga mnie z mieszkania, zamyka drzwi, zbiega ze mną na dół, po czym pędzi do ustępu, aby się ukryć[150].

– Oj, ryby! Oj, pożar! – wzdycha Rachela, obawiając się o ryby i o pożar w swojej kuchni. – Oj, ta rozrabiara! – Zaciska usta i wsłuchuje się w odgłosy, które dochodzą z podwórza i ulicy, w obawie, że buteleczka mogła trafić jednego z nieżydowskich łobuziaków zmierzających do domu ze szkoły, która zajmuje trzecie piętro naszej kamienicy.

Jednak butelka chyba nie uderzyła nikogo, ani nikt jej nie zauważył, ponieważ hałas na zewnątrz brzmi tak samo, niezakłócony nowymi krzykami. To niemal cud, że nic się nie stało na takiej tłumnej, ruchliwej ulicy, zwłaszcza teraz, w piątek po południu. Po długim i nudnym wyczekiwaniu ciocia zbiera się na odwagę i wychodzi ze mną z kryjówki.

Ciocia wie dobrze, że musi zachować milczenie o tym wydarzeniu i że powinna również mi zapowiedzieć, abym nikomu o tym nie pisnęła ani słówka. Ale jest tak rozkojarzona i taka szczęśliwa, że skończyło się tylko na palpitacjach serca, że zupełnie traci głowę. Kiedy Binele wraca z pracy, prowadząc Wierkę z przedszkola, ciocia, nie potrafiąc się powstrzymać, cała rozpalona opowiada, jakie miałyśmy szczęście. A opowiadając, daje Binele do zrozumienia, że niełatwo jej się ze mną obchodzić.

Nim Rachela dokończy opowieść, Binele przyskakuje do niej niczym drapieżny ptak, który szykuje się na swoją ofiarę.

– Powiedz mi, jak można trzymać butelkę z trucizną w domu, po którym kręcą się dzieci? – krzyczy zdenerwowana. Ale ponieważ sama trzyma w swoim własnym domu ukrytą butelkę z witriolem, aby przeganiać myszy i szczury ze śmietnika i ustępu, szybko opanowuje się i wyraża swój gniew o ton ciszej. – Biada mi! Jak można pozwolić, aby taka rzecz wpadła w ręce dziecka, no jak? Koniec tego dobrego! Więcej nie zostawię dziecka u ciebie nawet na minutkę!

– Nie, to nie! – Ciocia wybucha spazmatycznym płaczem. – Nie potrzebuję niczego od ciebie! – Ujrzawszy, jak Binele chwyta Wierkę i mnie za rękę i z wysoko uniesioną głową, niczym paw, kieruje się w stronę drzwi, Rachela woła za nią, zawodząc: – Nie zadzieraj tak głowy, bo ci mucha wpadnie do nosa!

Serce mi pęka z litości dla cioci, chociaż należy się jej kara za to, że mnie zdradziła. Jak mama mogła urządzić jej taką scenę?

---

[150] Tę historię jako własne wspomnienie z dzieciństwa opisała Chava Rosenfarb w swoim eseju *Ramblings Through Inner Continents: Notes from a Life* w zbiorze *Confessions of a Yiddish Writer and Other Essays*, red. Goldie Morgentaler, McGill-Queen's University Press 2019.

Nazajutrz rano Binele znowu przyprowadza mnie do cioci Racheli, bo nie ma wyboru. Nie mija wiele czasu, kiedy powtarzam taką samą zabawę, tym razem z doniczką. Doniczka jeszcze bardziej niż butelka satysfakcjonuje moje muzykalne ucho, bo spadając, rozbija się o żelazne barierki szkolnego balkonu na trzecim piętrze i dopiero potem „całuje się" z blachą balkonowej podłogi. Daje to efekt wspaniałej kaskady dźwięków. Kierownik szkoły nie każe długo na siebie czekać, składając osobiście wizytę cioci. Krzykiem, który mrozi krew w żyłach, informuje ją – ignorując wujka Szaję, siedzącego sztywno nad Gemarą rozłożoną na stole – że na szczęście doniczka nikogo nie uderzyła. Ale jeśli rzecz się powtórzy, to on ostrzega, że odwiedzi ją ponownie – w asyście policji.

Usłyszawszy słowo „policja", ciocia drży i zaczyna szlochać, jakby nagle nadszedł dzień *Tisza be-Aw*[151]. Jej ciało opuszcza się coraz niżej pod potokiem gróźb, które kierownik wykrzykuje skomplikowaną polszczyzną. I znowu moje serce przeszywa współczucie i miłość dla niej. Ale czy mogę coś poradzić na to, że dzięki mnie ma więcej niż tylko jeden siwy włos, który wystaje spod jej peruki?

W ogóle ciocia nie skarży się na mnie. Przez wiele godzin w ciągu dnia nie ma ze mną kłopotów. Zostawiam ją w spokoju i nawet zapominam, że taka Rachela jest na świecie. Chętnie bawię się sama. Ponieważ ciocia nie chce mnie wypuścić na strych z mokrym praniem, to bawię się u niej pod stołem w towarzystwie luźnego kapcia na stopie wujka Szai. Za pomocą dwóch przewróconych stołków robię sobie tam własny sztibl, gdzie się krzątam i rozmawiam z kapciem wujka lub sama ze sobą. Albo też rozśpiewana tańczę na środku pokoju. Mój śpiew dołącza do nigunu wujka i niesie mnie daleko, gdzie wszyscy moi ukochani są przebrani za kogoś innego, serdecznego, wystrojonego, roześmianego, kto bardziej pasuje do świata mojej wyobraźni.

Często, gdy jestem pogrążona w takiej zabawie, ciocia Rachela rzuca na mnie okiem i nagle do niej dociera, jak samotne musi się czuć to biedne dziecko, które z pewnością potrzebuje świeżego powietrza. Porzuca więc wszystko, wyciąga mnie z mojego małego świata i wyprowadza na wielki świat – podwórze, abym złapała haust świeżego powietrza i zażyła przyjemności przebywania w towarzystwie innych dzieci.

Na podwórku uczę się wielu rzeczy od dziewczynek, które grają w klasy czy też skaczą na skakankach. Od żydowskich chłopców i gojowskich łobuziaków, którzy są na podwórku po lekcjach, aby pograć, mocować się lub bić z innymi dzieciakami – uczę się grać w klipę i guziki, a także kopać szmacianą piłkę. Nie jestem w tym perfekcyjna, bo na to jestem za mała. Ale staram się ich naśladować, zwykle z nędznymi rezultatami. Zawsze, gdy wychodzę z ciocią

[151] *Tisza be-Aw* – dziewiąty dzień miesiąca *aw*; święto upamiętniające rocznicę zburzenia Pierwszej i Drugiej Świątyni Jerozolimskiej, przypada zwykle w lipcu lub sierpniu.

na podwórze, mam rozbite kolano albo guza na głowie czy zakrwawiony nos. Wówczas, niczym konspiratorki, planujemy, jak zatrzeć ślady moich awantur i ukryć je przez sokolim okiem Binele. Ciocia obmywa moje pokaleczone członki tak dokładnie, jak się tylko da. Zapiera brudne plamy na mojej sukieneczce i prasuje ją, aby szybko wyschła. A gdy tylko Binele otwiera drzwi, zasypujemy ją opowieściami o strychu i belce, chociaż w sercu wiemy dobrze, że jej nie da się oszukać. Szybko jesteśmy świadkami, jak sokole oczy mojej mamy wpatrują się w oczywisty dowód naszych grzechów.

*

Pewnego słonecznego, późnojesiennego dnia, zaraz po obiedzie, ciocia Rachela zabiera mnie na podwórko. Tym razem panuje tam zamieszanie. Sąsiadki wysiadujące na progach chętnie opowiadają Racheli historię, jaka się tu rozegrała dzisiejszego poranka. Dzieciaki ze szkoły grały na podwórku w piłkę nożną i wówczas wydarzyło się nieszczęście. Jeden z chłopców niechcąco kopnął kolegę. Tamten przewrócił się z impetem na ostry kamień. Tak czy inaczej, ten upadłszy, nabawił się krwiaka i zmarł na samym środku podwórka. Teraz jego ciało leży w bramie, ułożone wzdłuż ściany.

Gdy ciocia Rachela jest zajęta słuchaniem opowieści i omawianiem wydarzenia z sąsiadkami, podkradam się do trupa i dobrze mu się przyglądam. To pierwszy trup, jakiego widzę w swoim życiu. Nie robi na mnie wrażenia. Wydaje mi się, że ten szajgec śpi. Za chwilkę wstanie, aby dalej biegać po podwórku.

W bramie zebrał się tłumek. Pomiędzy ludźmi jest kobieta w czarnych pończochach, która bardzo płacze. Klęczy przy ciele chłopca i kołysze się miarowo. Trzęsie się w spazmatycznym łkaniu, nieustannie żegnając się i załamując ręce. Już wiem, że ten chłopak miał na imię Jezus-Maria, bo takie imiona nieustannie wykrzykuje płacząca kobieta. Jestem pewna, że to jego matka – jest zrozpaczona, bo on jej nie słucha i nie chce się obudzić, choć ona tak mocno nim potrząsa. Nie odwracam wzroku, obserwuję także, jak dwóch mężczyzn podnosi chłopca. Pochylona kobieta, podtrzymywana przez dwie sąsiadki, idzie za nimi. Ciało chłopca zostaje złożone na wozie drabiniastym, który podjeżdża do bramy. Energicznie ssę swój palec, nie czując, że wgryzam się w niego zębami.

Dopóki Wierka nie wróci tego dnia z przedszkola, nie mam zielonego pojęcia ani o życiu wiecznym, ani o śmierci. Posiadam jedynie mgliste poczucie istnienia – tak po prostu i zwyczajnie. Dla mnie pojęcie czasu nie oznacza wychylania się ku przyszłości, która stanie się teraźniejszością, a potem przeszłością. Dla mnie czas to nieustanna rutyna wstawania rano i kładzenia się spać na wieczór. Odstęp pomiędzy tymi dwiema czynnościami jest wypełniony zabawą, sesjami jedzenia i mniej lub bardziej godnymi zapamiętania incydentami. Nawet zmiana

pór roku, z której cykliczności zaczynam sobie zdawać sprawę, nie przyczynia się do powstania we mnie świadomości, że czas podąża do przodu. Nie zauważam w sobie istotnej przemiany, chociaż wciąż uczę się nowych rzeczy, rosnę i bardzo chcę „być taka duza jak Wielka", czyli Wierka. Nie dostrzegam też wielkich przemian w ludziach czy w otaczającym mnie świecie. Tak więc, jeśli posiadam jakieś pojęcie czasu, to jest ono z rodzaju *perpetuum mobile* – czegoś, co porusza się w miejscu. Wczoraj i jutro, lato i zima to tylko koła spirali, które w przyjemny sposób zabierają mnie ze sobą, aby przyprowadzić z powrotem na tę samą, niezdefiniowaną powierzchnię. Wszystko, co wiem o życiu i śmierci, to tylko słowa. W zabawach używam wyrazów „śmierć", „żywy" w taki sam sposób jak inne dzieci. Ale są one częścią tej samej obracającej się rzeczywistości i można je wzajemnie podmieniać.

Tego właśnie dnia, zaraz po tym, jak mama przyprowadza Wierkę z przedszkola i zabiera mnie od cioci Racheli, rodzina zasiada razem do wspólnego posiłku, a ja opowiadam siostrze, co się wydarzyło na podwórku.

Wierka naśladuje poważny ton głosu mamy, wyjaśniając mi:

– Jeśli ktoś umiera, nigdy się już nie obudzi. Nie może się ruszać i jest martwy. Tego chłopaka włożą do skrzyni, która nazywa się trumna. Wykopią grób na cmentarzu, wsadzą tam trumnę i zasypią ją piaskiem.

Już widzę oczyma wyobraźni, jak ten chłopiec przechodzi przez ten cały okropny proces i zostaje zasypany.

– To kłamstwo! – krzyczę, przekonana, że Wierka mówi tak, aby mnie postraszyć. Wierka lubi mnie straszyć.

– To nie jest kłamstwo! – Wierka upiera się przy swoim. – Nie pamiętasz, jak pochowano martwego ptaszka, którego znaleziono w ogrodzie kolejowym, kiedy byłyśmy na spacerze z tatą?

– Tak, ale ten ptasek wcale tam nie został. Zasnął w piasku, a później obudził się i sobie poflunął – protestuję. Wierka wymawia już porządnie „r", a ja wciąż jeszcze się tego nie nauczyłam.

Wierka energicznie potrząsa głową, na której kołyszą się brązowe loki.

– Nigdy się ten ptaszek nie obudził!

Patrzę na nią zdumiona. Co ona ma na myśli, mówiąc „nigdy"? Nie ma czegoś takiego. „Nigdy" to tylko słowo, które oznacza, że trzeba cierpliwie czekać na zmianę w powracających cyklach czasu.

Wierka siedzi na kolanach Jankewa, który zajmuje miejsce na skraju łóżka przy stole, a ja siedzę na kolanach Binele. Przy stole nie ma miejsca na jeszcze jedno krzesło, tak jak nie ma miejsca na jeszcze jedno łóżko w ciasnym pokoiku. Wierka i ja śpimy na wąskim, rozkładanym łóżku, na którym rodzice spali, mieszkając na werandzie. Posłanie rozkłada się na noc, a rankiem trzeba je złożyć.

Wierka zajada z apetytem zupę z kluskami ziemniaczanymi. Prosi ojca, aby wsparł ją w sporze ze mną. Jankew rzuca Binele pytające spojrzenie. W jaki sposób można wyjaśnić najmłodszej córce trudny fakt istnienia?

– Ludzie są jak zwierzęta – zaczyna niepewnie. – Ludzie są jak wszystko, co żyje... co się rodzi... – Czuje się bardzo niepewnie. Po minucie wahania kontynuuje: – Wszystko, co się rodzi, żyje i staje się coraz starsze, aż jest takie stare i zniszczone, że umiera.

Dobrze. To mogę zrozumieć. Ale co ojciec ma na myśli, mówiąc „umiera"? Czy znaczenie tego słowa jest inne w jego rozumieniu niż w moim? A do tego Wierka nie zgadza się z nim z zupełnie innego powodu. Przerywa mu w pół zdania:

– Ale tato, ten chłopak nie był stary.

– Ten chłopiec został zabity – potakuje Jankew.

– A widzisz! – wykrzykuję triumfalnie, przekonana, że słowa „został zabity" oznaczają potwierdzenie mojego stanowiska. – Ten chłopak nie umalł, ale został zamoldowany!

Wierka wybucha śmiechem:

– Ale z ciebie głuptas! Kiedy ktoś zostaje zabity, to jest martwy. Powiedz jej, tato!

Jankew musi się zgodzić.

– Zabić czy zamordować oznacza, że ktoś pozbawia człowieka życia. – Od razu czyni też uwagę dydaktyczną: – Dlatego nie wolno zabijać. Wszystko, co żyje, ma prawo przeżyć życie do końca.

Nie mam pojęcia, czego ojciec chce ode mnie. Co rozumie, mówiąc „do końca"? I co znaczy „pozbawić kogoś życia"? Czym jest „życie", że można je komuś zabrać? Czy to coś ukrytego w ciele, co można wyjąć? To gdzie ta rzecz jest ukryta? Muszę przecież wiedzieć, gdzie we mnie jest ukryte moje własne życie, żeby nikt nie mógł go ze mnie wyjąć. Dlaczego nie wiem? Dlaczego nikt mi tego nie powiedział? A może w ogóle nie kryje się we mnie żadne życie? A poza tym co ojciec ma na myśli, mówiąc tak poważnie to, co powiedział?

Binele obserwuje mnie i moje zakłopotanie, po czym wybucha fałszywym śmiechem.

– Jankewie, może przestaniesz męczyć dziecko swoją filozofią? Nie widzisz, że robisz jej bałagan w głowie? – Przytula mnie: – Gdy będziesz mieć tyle lat co Wierka, Miriamko, sama to wszystko zrozumiesz.

Zdanie „Gdy będziesz mieć tyle lat co Wierka" słyszę nie po raz pierwszy. Ale teraz nie zwracam na nie uwagi. Bo w tej chwili nagle coś rozbłyska w mojej głowie – coś ostrego, dewastującego. W tej chwili pojmuję, że matka zataiła przede mną prawdę, o której – nagle zdaję sobie z tego sprawę – zawsze miałam jakieś mgliste pojęcie: prawdę przysypaną piaskiem. Więc krzyczę, nie posiadając się z rozpaczy:

– Ale ja nie umlę! Ja przecież nie mam życia, któle jest we mnie schowane!

Teraz śmieją się wszyscy troje.

– Ależ umrzesz! – Wierka drażni się ze mną. – Masz w sobie życie, bo oddychasz. Kiedy człowiek nie oddycha, to nie ma w sobie życia i jest martwy.

W taki sposób dowiaduję się w końcu od mojej mądrej siostry, że żyć to znaczy oddychać. Przypominam sobie dramatyczną scenę z udziałem matki, kiedy traciłam oddech i walczyłam, by go złapać, bo chciałam żyć. Teraz, kiedy Wierka powtarza: „Oczywiście, że umrzesz" – widzę ciemną otchłań otwierającą się przed moimi oczyma.

Jankew, niezadowolony z poruszanego tematu, głaszcze rękę Wierki, mówiąc:

– Nie mów tak, Wierko. Miriam i ty nie jesteście przecież stare. Jesteście dopiero na początku życia.

Ta uwaga, chociaż rzucona w godzinie prawdy, pobudza mnie tym razem przeciw ojcu.

– Ja już mam duzo lat! Mama ciągle do mnie mówi: „Ty duza dziewcyno!".

Jankew kręci głową.

– Mówi się, że ktoś, kto ma cztery lata, jest duży, ale to nie znaczy, że ten ktoś jest stary. Ty i Wierka macie przed sobą życie, oby do stu dwudziestu lat[152], którym się zdążycie zmęczyć i będziecie chciały odpocząć.

– Ja nie chce odpocywać w tlumnie pod ziemią! – W końcu wybucham płaczem.

– A ty, tato, i ty, mamo, też umrzecie, prawda? – Wierka chce oczywiście pokazać, jaka jest mądra. Ale płacząc, zauważam, że i jej broda zaczyna drżeć, a łyżka z zupą i kluskami, którą właśnie podniosła do ust, ląduje w talerzu. Usta Wierki wykrzywiają się w podkówkę, a ja wiem, że ona również bardzo się boi.

– Po co ta rozmowa o przykrych rzeczach, a tymczasem nikt nie mówi, jakie smaczne są te kluseczki? – Binele ma dość poruszanego tematu. Kończy, podsumowując: – Ojciec i ja dużo jemy. Jesteśmy zdrowi i będziemy żyć bardzo długo. Wy obie – patrzy przy tym raczej na mnie niż na Wierkę – też powinnyście dobrze jeść. Wówczas będziecie zdrowe. Miriamko, weź łyżkę do ręki i, proszę, przestań ssać palec, bo posypię ci go solą z pieprzem. Od razu zwącha to Babele-Ber[153], bo on lubi i sól, i pieprz.

Przychodzi mi do głowy, że śmierć i Babele-Ber – którego dostrzegam w osobie umorusanego, czarnego kominiarza – mają ze sobą związek. Gestem rozpaczy wyjmuję palec z ust.

– Zjem cały galnek marchwiowego cymesu! – wykrzykuję, chociaż nie cierpię przesłodzonego cymesu i w ogóle słodkich rzeczy poza kompotem z jabłek z dodatkiem cynamonu, który przepięknie pachnie. – Będę jadła cały dzień i całą noc – pochlipuję dalej. – I już nigdy nie będę ssała palca, i nigdy nie umlę!

---

[152] Żydowskie błogosławieństwo: „Obyś żył sto dwadzieścia lat!", wywodzi się z Tory, to maksymalny wiek przewidziany przez Boga dla człowieka po potopie, tyle lat żył Mojżesz. Życząc komuś stu dwudziestu lat życzy się największego Bożego błogosławieństwa.

[153] Babele-Ber – postać z żydowskiego folkloru, straszydło.

Od tej rozmowy przy stole często budzę się w nocy z krzykiem „Nie chcę umielać!". Spazmuję i drżę na całym ciele, aż ojciec bierze mnie na ręce i kładzie się obok Binele. Przytulona do rodziców szybko zasypiam. Zostawiają zapaloną małą lampkę na stole, bo boję się ciemności. Czasami, kiedy budzę się w środku nocy, słyszę jak pociąg wyjeżdża ze stacji kolei warszawsko-wiedeńskiej. Lokomotywa gwiżdże i sapie, dudniąc głośno na torach. Nie mam wątpliwości, że w tej sapiącej lokomotywie siedzi czarny kominiarz – Babele-Ber – i prowadzi pociąg w straszną ciemną dal, więc znowu biegnę, aby skryć się w łóżku rodziców.

Rozdział dziesiąty

Pokój w lazarecie w Bergen-Belsen: nagie szare ściany, biały sufit, trzy prycze, trzy krzesełka u wezgłowia, okno, którego futryna jest ramą dla kasztanowca na dworze o gałęziach splecionych z pasmami błękitnego nieba – i drzwi z pokoju na korytarz. Nic się nie zmieniło w przestrzeni ani na twarzach tych, których Miriam widziała przez cały czas wokół siebie: dwóch dziewczyn, zajmujących ten sam pokój, lekarzy i pielęgniarek czy pacjentek, które doszły już do siebie i spacerowały przed otwartymi drzwiami. Jedynymi osobami, którym wcześniej poświęcała uwagę, były Balcia i Malka, a także w pewien sposób doktor Vanderhaeghe. Teraz Miriam była ciekawa również innych osób, które widziała.

Dopiero ostatnio odkryła, że dziewczyny z pokoju nazywają się Marusia i Aniela, pierwsza jest Rosjanką, a druga Polką. Nie przedstawiły się jej, ale słyszała, jak zwracają się do siebie takimi właśnie imionami, a na podstawie tego, jak rozmawiały ze sobą, domyśliła się ich narodowości. Wkrótce wypisano je ze szpitala. Zazwyczaj były otoczone gośćmi z innych pokojów albo same chodziły w odwiedziny. Kiedy były w pokoju, ignorowały Miriam. Gadały ze sobą i często się śmiały. Miała niejasne przeczucie, że nie były zbyt przyjazne wobec niej, kiedy jeszcze znajdowała się w kleszczach choroby, a one już czuły się lepiej.

Jak przez mgłę przypomniała sobie wieczór, kiedy miała atak wysokiej gorączki i poprosiła je, aby zamknęły okno. Sprawiały wrażenie, że jej nie słyszą. To samo przydarzyło się, kiedy pewnego razu prosiła o napełnienie jej butelki wodą, ponieważ węgierski ordynans, który zwykle to robił, miał wolny wieczór, a jej bardzo chciało się pić. Całkiem niedawno, kiedy przyniesiono zupę, a Miriam nie miała jeszcze sił, aby samodzielnie usiąść, Aniela odwróciła się do niej plecami, podczas gdy Marusia spokojnie patrzyła, jak ona próbuje się podnieść, i dopiero wówczas podeszła, aby jej pomóc. Mówiła do niej słodkim

głosem, ale wzrok zaprzeczał jej słowom, wyrażając obrzydzenie, jakby Miriam była jakimś odrażającym robakiem... A może ona źle to odczytywała. Jej dusza wciąż była chora i wciąż jeszcze nie postrzegała rzeczy w pełnej jasności. Marusia i Aniela to przecież takie serdeczne dziewczyny. Może po prostu były zbyt zajęte sobą?

Poza nimi w pokoju często pojawiał się jeszcze węgierski ordynans. Był przystojnym mężczyzną, dobrze zbudowanym, niczym ze stali i sprężyn. Miał brązową twarz, meksykańskie wąsiki – czarne, oczy – ogniste, usta – purpurowe, zęby – białe i silne. Sprawiał wrażenie, jakby mycie podłogi, odkurzanie okna i krzesełek oraz przynoszenie butelek z wodą kilka razy dziennie było dla niego wielką przyjemnością. Gdy nie miał co robić, po prostu stał w swojej więziennej piżamie, oparty jedną ręką o szczotkę, a drugą gładził gęste wąsy. Zagadką było, dlaczego ignorował dwie pozostałe dziewczyny, a w oczywisty sposób lubił przyglądać się Miriam.

Był pogodnym towarzyszem, nieustanie pogwizdywał lub podśpiewywał, a uśmiech nigdy nie gasł na jego twarzy o jasnoczekoladowej karnacji. Nawet kiedy pracował, często rzucał skryte spojrzenia w kierunku Miriam. Nigdy wcześniej nie próbował z nią rozmawiać, ale dzisiaj, gdy Aniela i Marusia wyszły z pokoju, zapytał ją łamaną niemczyzną, jak ma na imię.

– Miriam – odpowiedziała. Popatrzył na nią zdezorientowany. – Maria, Mery – podała mu inne wersje swojego imienia.

– O – uśmiechnął się – Maria... *Madonna... Madonna della sedia*[154]. Bedę na ciebie mówił Madonna... *Sancta Madonna* o zielonych oczach.

Miriam odwiedziły trzy kobiety z obozu Hummel, które odzyskały już nieco sił. Z początku ich wizyta była bardzo przyjemna. Porównywały długość swoich odrastających włosów. Śmiejąc się, obmacywały nawzajem swoje biodra, aby poczuć, czy na kościach pojawia się już odrobina tłuszczu. Porównywały obwód talii i ramion, aby zobaczyć, czy wypełnia je choć ślad mięśni i ciała. Obgadywały belgijskich studentów medycyny, nie omieszkawszy wspomnieć o niezdarnym doktorze Vanderhaeghe, tym roztargnionym krótkowidzu, a także zabawiały się powtarzaniem idiotycznych pytań, jakie im zadawał.

Czesia, najstarsza z nich, była kobietą po trzydziestce, chociaż wyglądała na lat pięćdziesiąt. Przed wojną pracowała jako instruktorka krawiectwa w szkole ORT-u.[155] W Auschwitz straciła dwoje dzieci, nie wiedziała też, czy jej mąż przeżył.

---

[154] *Madonna della sedia – Madonna w krześle* – taki tytuł nosi znany obraz Rafaela z 1516 r.

[155] ORT – Organizacja Rozwoju Twórczości Przemysłowej Rzemieślniczej i Rolniczej wśród ludności żydowskiej w Polsce (znana także jako Towarzystwo Popierania Pracy Zawodowej i Rolniczej wśród Żydów) – organizowała szkoły dla młodzieży i kursy zawodowe dla dorosłych, inicjowała powstawanie żydowskich spółdzielni rolniczych i ogrodniczych, udzielała im fachowej pomocy.

Druga z nich, Genia, choć młodsza od Czesi, wyglądała tak samo staro jak tamta. Była najchudsza i najmniejsza z nich. W Auschwitz straciła całą rodzinę, a sama cudem wyszła cało z selekcji. Genia nie tylko przeszła tyfus. W Bergen-Belsen, w dniu wyzwolenia, również ociemniała. Nagle straciła wzrok, by odzyskać go stosunkowo niedawno. Lekarze stwierdzili, że to musiała być ślepota na tle nerwowym, chociaż nikt nie sądził, że coś takiego może się przydarzyć. Wydawało się raczej, że Genia obawia się patrzeć na wolny świat, na którym zabrakło wszystkich jej bliskich.

Trzecią kobietą była Julia, młoda nauczycielka historii, która kiedyś uczyła Miriam w gimnazjum. Miriam była z nią w konflikcie. „Historyczna" dyscyplina uczenia się na pamięć przyczyn wojen i ich skutków często kłóciła się z przedwojennym roztargnieniem dziewczyny. Nie miała cierpliwości wkuwać listy ważnych nazwisk, aksjomatów i formuł strategii i polityki. Ale w obozie koncentracyjnym przedwojenne relacji Miriam i Julii w ogóle się nie liczyły. Wystarczyło, że Malka była ulubioną uczennicą Julii. Tam sympatia przeniosła się na całą piątkę bliskich Malki. Podczas alarmów przeciwlotniczych na budowie w obozie Hummel fizycznie delikatna i niezwykle blada Julia zabawiała kobiety opowieściami o swoich podróżach po Europie, a kacetniczki przysłuchiwały się temu z otwartymi ustami. W obozie Julia szybko pozbyła się swojej przedwojennej, arystokratycznej mentalności i dobrych manier oraz subtelnej, eleganckiej polszczyzny. Przez jedną noc przyswoiła surowy obozowy żargon. Zadziwiające, jak bez mrugnięcia okiem zaczęła posługiwać się tym nowo nabytym słownictwem, które w ogóle nie pasowało do jej natury i brzmiało w jej ustach groteskowo. Teraz pokonała już tyfus, ale wciąż jeszcze miała podwyższoną temperaturę, dlatego trzymano ją w lazarecie.

Na widok węgierskiego ordynansa, który sprzątał w pokoju, wszystkie trzy kobiety zaczęły chichotać, mrugając do Miriam roześmianymi oczyma. Czesia, najstarsza z nich, rzuciła, aby rozweselić Miriam:

– Sądząc po tym, jak ten Węgier wpatruje się w ciebie, musi być bardzo zakochany, Miriam.

Miriam wzruszyła ramionami.

– Co w tym dziwnego? Czy na świecie jest druga taka piękność jak ja?

Węgier, czując na sobie spojrzenia kobiet, wskazał na Miriam i rzekł:

– Madonna... *Madonna della sedia*. – I wyszedł z pokoju.

Miriam nalegała, aby kobiety podzieliły się nią plotkami o doktorze *V*anderhaeghe. Wiele o nim wiedziały, więcej niż ona.

– Co chcesz usłyszeć? – zapytała Genia. – Że jest Żydem, to wiesz. Że wciąż jeszcze szuka wśród nas swojej matki, chociaż wie, że nie przeżyła, też wiesz.

Ale wówczas odezwała się Julia:

– Mówią, że spotkał kobietę z Belgii, która widziała jego matkę z jeszcze jedną Belgijką na rampie kolejowej w Auschwitz. Ta kobieta powiedziała mu, że jego matka poszła do pieca zaraz po pierwszej selekcji, a ta druga kobieta

trafiła do obozu. To zgadnijcie, co nasz mądry doktor sobie umyślił. Według niego wygląd jego matki, jaki przedstawiła mu owa kobieta, nie zgadza się z tym, co on pamięta. – Julia mrugnęła szyderczo do Miriam. – Mówi, że jego matka nie była siwa, jak twierdziła tamta Belgijka, lecz że była brunetką. I że to ona była tą drugą, która ocalała z selekcji.

Czesia pokiwała głową.

– Robi tyle hałasu o swoją matkę, jakby ją jedną posłali do pieca.

Julia obdarzyła Miriam podejrzliwym uśmieszkiem.

– A co ty jesteś taka jego ciekawa? Ja go unikam jak nieszczęścia. Wkurza mnie tymi swoimi głupimi pytaniami. Pielęgniarka powiedziała mi, że on woli pracować w nocy niż za dnia, bo wtedy może się przysłuchiwać kobietom, które mówią przez sen i tym, które mają halucynacje. Albo spędza noce z tymi, które nie mogą zasnąć. Musi mieć chorą satysfakcję, przysłuchując się naszym historiom – perwersyjną, pornograficzną satysfakcję. Pielęgniarka powiedziała mi w wielkiej tajemnicy, że jest pod opieką psychiatry, bo nie daje sobie rady z pracą. Prawdopodobnie go odeślą. Już dawno powinni to zrobić. My same jesteśmy nieco zwariowane, więc opieka lekarza wariata nie przyniesie niczego dobrego.

Miriam poczuła się głęboko urażona, choć sama nie wiedziała dlaczego.

– To po co opowiadasz to wszystkim, skoro pielęgniarka powiedziała ci o tym w sekrecie? – zapytała Julię z wyrzutem. Ale zaraz dodała: – Ja też go nie lubię. Ostatnim razem, kiedy tu był, zapytał mnie, kiedy widziałam trupa po raz pierwszy w życiu. Opowiedziałam mu o martwym chłopaku, którego widziałam, gdy miałam jakieś cztery lata. Kiedy zdradziłam mu, że nie zrobiło to na mnie wrażenia, nie uwierzył mi. Kiedy powiedziałam, że stosy trupów, w sąsiedztwie których żyłyśmy w Bergen-Belsen, też nie robiły na mnie wrażenia, pokręcił głową. Musiałam mu wytłumaczyć, że moja obojętność w pierwszym przypadku wzięła się z braku wiedzy o śmierci, a w drugim – z oswojenia z nią. Ale on tego nie pojmował. „To dlaczego pamiętasz tak dokładnie tego martwego chłopaka?", zapytał. „I czy sądzisz, że kiedyś zapomnisz te stosy trupów z Bergen-Belsen? Twoja pozorna obojętność to próba obrony przed traumą". Może ma rację. To przecież oczywiste. Jako dziecko budziłam się ze snu z płaczem, że nie chcę umierać.

Tak rozwijała się rozmowa Miriam i jej gości na temat obozu koncentracyjnego. Ale w tym miejscu Miriam powiedziała:

– To nasze gadanie trywializuje i deformuje wszystko. Odczuwam to jako rodzaj znieważenia.

Julia się z nią zgodziła:

– Też podobnie się czuję, gdy tylko otworzę usta. Ale chce się o tym mówić… bez końca.

– Tak, chce się – odezwała się Czesia. – Słowa same wychodzą z ust… – Zagryzła wargi.

Julia poklepała ją po ramieniu.

– Z drugiej strony musimy się wygadać. To konieczne… bo w innym przypadku

można pęknąć. Mówienie czyni nieco znośniejszym to, co jest nie do zniesienia. – Zwróciła się do Miriam: – Nie wolno nam tak myśleć, Miriam. Co i kogo znieważamy w ten sposób? My?

Genia zauważyła:

– A więc gadanie pomaga? Wcale nie pomaga. Chociaż odczuwam dreszcz zadowolenia, że mogę o tym mówić teraz, kiedy już po wszystkim, mówić rzekomo z radością. Ale my tylko gadamy. Bo czy przychodzi nam do głowy, aby po opuszczeniu tego miejsca przejechać po tym przeklętym kraju, złapać parę bękartów i zrobić im to, co ich ojcowie zrobili naszym dzieciom?

Kiedy kobiety opuściły pokój, Miriam została z pustką w sercu. Zmęczona wizytą leżała na pryczy i myślała, jak następnym razem uniknąć takich rozmów. Odmówi rozmawiania na temat obozu koncentracyjnego. Nigdy nie będzie o tym mówić. Było jej niedobrze od tej rozmowy. Czuła, że gadanie umniejsza to, dla czego nie ma odpowiednich słów. Abrasza opowiadał jej kiedyś, jak Izydora Duncan wytańczyła na scenie *Marsz żałobny* Chopina. Może to, dla czego nie ma odpowiednich słów, może zostać wytańczone w tańcu bez muzyki, w pełnym milczeniu? Śmieszny pomysł. Taniec to przecież też rodzaj słów. Również i to byłoby znieważeniem.

Czym innym było opowiadanie o minionym życiu. Miriam wspominała dni z nieodległej przeszłości, kiedy uciekała myślami do kojących przedwojennych czasów. Kiedy w wielkiej gorączce godzinami opowiadała o nich doktorowi Vanderhaeghe, wmawiając sobie, że rozmawia z Abraszą! Doktor był cierpliwym słuchaczem. Opowiadała mu o swoim wczesnym dzieciństwie, o głupich drobiazgach dziewczęcego życia. Wywoływała niewinne wielobarwne obrazy, które powoli przepływały przez jej pamięć. Dziwiła się, z jak niezwykłą ostrością blade majaki wyłaniają się z zamglonej pamięci, zamieniając się w pełne znaczeń wydarzenia z początków jej życia. Jak ważne i drogie były dla niej te nieistotne szczegóły! A wokół tych wyraźnych, pełnych obrazów, które pamiętała, kłębiły się inne, niepełne, wymazane. Ile ważnych faktów na zawsze wypadło jej z pamięci, ile dałaby za to, by więcej ocalić od zapomnienia! Ale próżną była próba, aby sobie przypomnieć. To właśnie dzięki temu, co było, mogła otrzymać to, czego nie było, jako dodatek do teraźniejszości – i nic więcej.

Zdumiewało ją to, jak wyraźnie czuła ogólną atmosferę i smak tamtych lat. Wyraźnie czuła powietrze, nastroje, chociaż były przefiltrowane przez jej rozgorączkowaną dorosłą świadomość. Chyba ojciec miał rację, mówiąc, że ludzkie „ja" nie ma wieku, że ma tyle samo lat przez całe swoje życie. „Ja" dziecka jest takie samo jak „ja" dorosłego. Jeśli istnieje pomiędzy nimi jakaś różnica, to tylko taka, że dziecko w doskonalszy sposób niż dorosły przyswaja przeżycia. Dziecięca zdolność przyswajania jest lepsza i ostrzejsza może dlatego, że jeszcze nie została przesłonięta tym, co nazywa się wiedzą i doświadczeniem. Może dlatego ludzie dobrze pamiętają zarówno piosenki i bajki, jak i wydarzenia z dzieciństwa, podczas gdy nie mogą sobie przypomnieć całych okresów z późniejszego życia?

Zastanawiała się, czy gdyby rodzice i nauczyciele bardziej uświadamiali sobie, że są dla dziecka ważnymi osobami, które wypełniają skarbiec jego pamięci obrazami i symbolami, że mogą dołożyć do osobistej mitologii dorastającego człowieka łagodne, uzdrawiające elementy, a tym samym osłodzić istnienie dorosłemu – byłoby może mniej ludzi, których ciągnie do wojny i śmierci? Binele, jej matka – rozmyślała Miriam – pojmowała to intuicyjnie. To prawda, nie wszystkie chwile jej życia z mamą były dobre, kojące. Czasami dobre intencje spełzają na niczym, zakłócone tym, co w środku albo na zewnątrz człowieka. Ale tęsknotę Miriam do matki przenikały kojąca czułość i niepowtarzalna miłość, sięgając głębiej niż ból po jej utracie.

Zwykle, kiedy doktor Vanderhaeghe robił swoje dodatkowe, wieczorne rundy, nigdy się nie spieszył, a wręcz przeciwnie. Również tym razem wędrował tu i tam, bawiąc się okularami, i próbował wykorzystać fakt, że jest sam w pokoju z Miriam, aby ją zachęcić do opowiadania o sobie. Ale ostatnio ona nie chciała o tym słyszeć.

– Po co? Nie widzę żadnego sensu w opowiadaniu – odpowiedziała zła. – Nie mam już halucynacji.

– Ale to ważne, abyś mówiła – nalegał. – Jeśli przestaniesz mówić, to kto o tym opowie? Jeśli nikt nie będzie pamiętał, to wówczas diabelskie dzieło zniszczenia będzie wykonane w dwójnasób. W końcu wy, ocalałe, jesteście jedynymi nosicielkami tego świata, którego już nie ma.

– Doktorze, proszę pana, aby nie obarczał nas pan taką misją. – Złościła się na niego. – Ledwo żyjemy.

Powiedział ledwo dosłyszalnym głosem:

– Nie jestem w stanie ci powiedzieć, jak bardzo żałuję, że wiem tak mało o tym wszystkim i że nie mogę wam pomóc nieść tego ciężaru pamięci.

Miriam niecierpliwie wzruszyła ramionami.

– Moje milczenie nie oznacza, że chcę zapomnieć. Ale jeśli mówić, to tylko my, pozostałe przy życiu, musimy rozmawiać o tym dzisiaj.

– Jasne. – Uśmiechnął się krzywo. – Co zatem robisz, opowiadając mi o swoim dzieciństwie?

– Co robię? Nic. To odświeżające, więc o nim opowiadam.

– Próbujesz dopasować je do swojego życia, aby zrobić miejsce dla teraźniejszości. Sama mi to kiedyś powiedziałaś.

Miriam nagle zmieniła temat.

– Panie doktorze, proszę mi powiedzieć – zapytała zaczepnie – jak długo będzie trwał mój szalony głód? Wyprowadza mnie z równowagi.

– Doskonale! – zawołał i zbliżył się do jej pryczy. – Porządny głód po tyfusie jest znakiem twojego powrotu do zdrowia.

– Tak? To kiedy w końcu mnie wypuścicie z tego lazaretowego więzienia?

– To jeszcze trochę potrwa. Zakładaliśmy, że szybciej wrócisz do sił. Ale, jak sama widzisz, jesteś jeszcze zbyt słaba nawet na to, aby zejść z pryczy.

– Proszę nie zaczynać! Chce mnie pan podpuścić?

Chciała zsunąć nogi z pryczy, ale on ujął ją za plecy i położył z powrotem na poduszce.

– Nie przesadzaj. Masz przed sobą długie życie, więc nie musisz się spieszyć.

Kobiety miały rację. Doktor Vanderhaeghe był ignorantem, i to jeszcze zwariowanym.

– Co pan ma na myśli, mówiąc o tym, abym się nie spieszyła, doktorze? – Uśmiechnęła się nerwowo. – Muszę nadrobić sześć straconych lat mojej młodości.

– One wcale nie przepadły, o ile wiem z tego, co mi opowiedziałaś.

– Pan sam potrzebuje lekarza! *Medice, cura te ipsum*![156] – odparła. – Pan nie pojmuje najdrobniejszej rzeczy!

Jego twarz wykrzywiła się. Usiadł na brzegu pryczy.

– Ale chciałbym zrozumieć – rzekł. – Bardzo tego chcę. Ubolewam, że nigdy nie wypytałem mojej mamy o Polskę i o miasteczko, z jakiego pochodziła. Nic nie wiem o jej życiu tam. Nie dlatego, że ona nie chciała mi powiedzieć. Mnie to po prostu nie interesowało.

Zaczął jej opowiadać o swoim życiu z rodzicami w Belgii. Podejrzewała, że w ten sposób chce ją stymulować, aby kontynuowała wspominanie. Roztargniona przysłuchiwała się jego słowom. Nie była ciekawa, tak jak on nie był zainteresowany słuchaniem swojej matki. Nie miała do niego cierpliwości, podobnie jak do siebie. A jednak nieco później dała mu się podpuścić i zaczęła opowiadać o sobie. Była na niego zła. I dlaczego widziała w tym obcym takie podobieństwo do bliskiego jej Abraszy? Czy w jego „wariactwie" kryło się coś, co ich do siebie upodabniało? Nie, chyba sobie wmówiła, że są podobni, aby opowiadanie przychodziło jej łatwiej.

Doktor Vanderhaeghe, niezadowolony ze stanu Miriam, ponownie odwiedził ją następnego dnia. Wyjaśnił jej, że zupełnie wyzdrowiała z tyfusu, ale jest jeszcze bardzo słaba. Poskarżyła mu się, że ledwo czuje lewą nogę nad kolanem, jakby była obumarła. Nie czuła w niej bólu nawet wtedy, gdy kłuł ją rozmaitymi szpilkami i igłami, które przyniósł, aby zbadać wrażliwość skóry.

Już nie wypytywał jej o starsze kobiety z obozu. Wiedziała dlaczego. W ogóle dokonała się w nim dramatyczna przemiana. Wydawał się zamyślony i roztargniony. Miał zachmurzone oblicze i potargane włosy. Powiedział jej, że nie musi się przejmować nogą. A im bardziej był zamyślony, tym bardziej Miriam była go ciekawa. Nie mogąc się powstrzymać, zapytała:

– Czy dowiedział się pan czegoś o swojej matce, doktorze?

Zajęty oznaczaniem niewrażliwego miejsca na jej nodze przy pomocy niebieskiego ołówka, odpowiedział, nie patrząc na nią:

---

[156] (łac.) *Lekarzu, lecz się sam!*

– Nie, w zasadzie nic.

Zebrał igły do metalowego pudełeczka, schował ołówek do górnej kieszeni białego fartucha, zdjął okulary w grubych oprawkach i zaczął je obracać w dłoniach. Spoglądając w okno niedowidzącym wzrokiem, stał przy jej pryczy pochylony, jakby zapomniał się wyprostować.

– Szukałem jej – odezwał się – odkąd tu przybyłem. Niedawno powiedziano mi, że zginęła w Auschwitz. Niedługo stąd wyjadę i będę jej szukał w innych obozach. – To znaczy, że choć powiedziano mu prawdę, wciąż jeszcze miał nadzieję ją odnaleźć, tak jak ona wciąż jeszcze miała nadzieję odnaleźć matkę i Wierkę, chociaż wszystko widziała na własne oczy. Doktor Vanderhaeghe skierował na nią swoje spojrzenie. – Nie wiem czemu – rzekł – ale sprawiasz, że nieustannie o niej myślę... I o Polsce. Wiele mówiłaś o swojej rodzinie, kiedy miałaś halucynacje.

Popatrzył na dwie puste prycze w pokoju. Marusia i Aniela, jak zwykle wieczorem, poszły odwiedzić koleżanki w innych pokojach. Po raz pierwszy Miriam miała ochotę poprosić go, aby został trochę dłużej.

– Belgia to piękny kraj, prawda, doktorze? – zapytała, aby go zatrzymać.

Skinął głową.

– Piękny, mały kraik.

Uśmiechnęła się.

– Chciałabym go kiedyś zobaczyć. Moja podróż z Łodzi do Auschwitz i stamtąd do Hamburga i Bergen-Belsen była pierwszą podróżą poza Polskę.

Weszły Marusia i Aniela, rozsiadły się, każda na swojej pryczy, i czekały, aż doktor Vanderhaeghe do nich podejdzie. Założył okulary i rzucił jeszcze okiem na Miriam:

– Jak mówiłem, nie masz powodu martwić się o nogę. – Lekko poklepał jej poduszkę. – To powikłanie po tyfusie, które niebawem zniknie. – Pomachał do niej ręką i podszedł do pozostałych dziewczyn.

Miriam objęła spojrzeniem jego wysoką postać. Był odwrócony do niej plecami, a mimo to wciąż miała przed oczyma spojrzenie jego zmęczonych, niedowidzących oczu. Zadawała sobie pytanie, ile ma z nim wspólnego. Miał za sobą trudne przeżycia, co do tego nie było wątpliwości. Stracił oboje rodziców, a nie mając rodzeństwa, chyba też pozostał sam jeden na tym świecie. A mimo to nie było go „tam" i to ich odróżniało. Dlaczego ona przywodziła mu na myśl matkę i dlaczego on kazał jej myśleć o Abraszy?

Wciąż jeszcze popadała w rodzaj delirium, które teraz miało raczej coś wspólnego z jej stanem duchowym niż fizycznym. Jej głowa często była jak kocioł kipiący sprzecznymi uczuciami i pragnieniami, a ona sama padała ofiarą niszczących wizji. Ból duszy, zamiast maleć, rozrastał się. Do tego zaczęła cierpieć na dziwny rodzaj hipochondrii. Bała się wizji, obawiała się, że temperatura znowu jej podskoczy i ponownie wpadnie w tyfusowy koszmar, zostanie wchłonięta przez otchłań, z której dopiero co się wydostała. Przeganiała myśli o całkiem

niewrażliwej nodze, nieustannie się o nią martwiąc. Brzydziła się siebie, była chora i zmęczona sobą i swoimi bezsensownymi myślami, które ją prześladowały. Modliła się, aby jej współmieszkanki, które tak w ogóle były bardzo miłe, spędziły z nią trochę czasu. Chciała się dowiedzieć o nich wielu rzeczy. Próbowała je wypytywać, ale one zawsze były zbyt zajęte, aby odpowiedzieć więcej niż kilkoma słowami. Pragnęła, aby dziewczyny z innych pokojów przychodziły częściej, chociaż rozmowy z nimi sprawiały jej ból. Myślała o tym, aby w końcu napisać list do Abraszy.

Miała teraz kawałek własnego ołówka, a także kilka pustych kartek papieru. Przyniósł je węgierski ordynans. Nie było wątpliwości, że patrzy na nią zakochanymi oczyma – jaka to z niej piękność! Marusia i Aniela nieustannie wyśmiewały się z niego, obchodząc się z nim jak z psem. Miały rację. Był nazistowskim kundlem, wojennym jeńcem. Wielu Węgrów było nazistami. Cały ich batalion stacjonował niedaleko obozu w Bergen-Belsen. W ostatnich dniach przed wyzwoleniem, gdy SS-mani uciekli, Węgrzy przejęli władzę nad obozem.

Węgierski ordynans przyniósł Miriam również małe lusterko. Aby *Sancta Madonna* o zielonych oczach mogła odkryć przyczynę jego rapsodycznej wierności, aby sama zobaczyła, jak pociągająca jest jej żółta, pomarszczona twarz i żółta czaszka, która przeświturje przez jej odrastające, krótkie, jasne włosy.

Godzinami wpatrywała się w lusterko, pytając samą siebie, czyją twarz w nim widzi. Krótkie włosy, które pojawiły się na czaszce, zanim umieszczono ją w lazarecie, przypominały świńską szczecinę. Teraz wydało się jej, że odrastające włosy stają się ciemniejsze od tych, które miała kiedyś. Miały odcień miedzi. Zdawało się jej, że załamują się na końcach. Kiedy je dotykała, podziwiała ich miękkość i elastyczność, zupełnie inną od świńskiej szczeciny. Może w ogóle zmienią kolor i staną się tak brązowe i miękkie jak włosy Wierki? Studiowała swoje rysy. Czy są jej własne? Ledwo się rozpoznawała. Jeśli ona to Miriam, to dlaczego wygląda tak, jak wyglądałaby Wierka po obozie i tyfusie? I czyje są te wszystkie dziwne myśli, te wszystkie halucynacje? Skąd ma wiedzieć, kim jest naprawdę? Kto może zaświadczyć o jej autentyczności? Balcia, Malka, Sorka, Abrasza? Tak, to właściwe osoby, które mogą ją doprowadzić do niej samej. Ale jak one mają to uczynić, jeśli w środku, w sobie, czuje, że jest Wierką? Może tak naprawdę to Miriam zginęła i teraz Wierka patrzy na swoje odbicie w lusterku?

Kiedy ujrzała w lusterku swoje pomarszczone oblicze, twarz starej żebraczki, przypomniał się jej wysoki SS-man, fanatyczny wróg Żydów. Miała okazję poznać go podczas „wspaniałych wakacji" w obozie koncentracyjnym Hummel. Był jej towarzyszem w drodze, kiedy szła w kolumnie, piąta w rzędzie, na placówkę, gdzie pracowały. Podczas marszu o piątej rano znajdował przyjemność w dyskutowaniu z nią o kwestii żydowskiej. Podczas jednej z takich ożywionych rozmów zapytał nagle, ile ona ma lat. Posłusznie odpowiedziała, że dwadzieścia jeden. Wybuchnął głośnym śmiechem, którego echo wciąż jeszcze rozbrzmiewa w jej uszach. Aż do dnia, w którym się z nią pożegnał, odprowadziwszy ją i inne

więźniarki z Hummel do bramy obozu w Bergen-Belsen, nie chciał uwierzyć, że ma choć o jeden dzień mniej niż czterdzieści lat.

Wciąż jeszcze wygląda na czterdzieści lat, jeśli nie starzej. A jeśli chodzi o płeć – to nie wiadomo, do jakiej przynależy. Nie jest ani mężczyzną, ani kobietą. Jeśli istnieje w niej jakakolwiek kobiecość, to jest uśpiona, ukryta w głębiach duszy i ożywa tylko wówczas, gdy Miriam przebywa w swoich snach. Kobiety z kacetu mówiły, że litościwi Niemcy dodawali czegoś do codziennej porcji zupy, aby uwolnić kobiety od utrapienia menstruacji podczas niewolniczej pracy. Energiczna pielęgniarka, która zajmuje się Miriam tu, w lazarecie, wiedząc, że kobiety martwią się o ten problem, nieustannie im obiecywała, że niebawem znów wszystko będzie w porządku. Skąd to wiedziała? W którym momencie historii świata medycyna miała możliwość studiowania konsekwencji obozowej diety? A jeśli pielęgniarka nie wie, co mówi, albo zna prawdę, lecz jej nie wyjawia, aby nie martwić kobiet – to co będzie?

Miriam zadawała sobie pytanie, czy Abrasza byłby zdziwiony, gdyby mu napisała o takich rzeczach. Ona i Abrasza rozmawiali o tego typu kwestiach w sposób pozornie otwarty, ale on był bardzo oszczędny w słowach, kiedy poruszali delikatne sprawy seksu. Za każdym razem raczej sugerował niż nazywał rzeczy po imieniu. Jakby je omijał. Ale teraz, po tym wszystkim, co się stało – czy chowanie się za parawanem fałszywej cnoty ma sens? Może napisze mu o tym dodatkowym zmartwieniu, nie od razu, ale nieco później.

Często myślę o Tobie, Abraszo, o Twojej miłości do mnie. Przed wojną często pragnęłam, aby uczucia Marka były takie same jak Twoje. Marek kochał mnie miłością zdobywczą, radosną i, w pewnym sensie, powierzchowną. Czy ja może też kochałam go w taki sposób? Oj, Boże, co ja zrobię, jeśli nie odnajdę jego i ojca?

Pamiętam nasze ostatnie dni w getcie, Abraszo, w kryjówce, kiedy wszyscy żyliśmy jak jedna rodzina, a Ty i Marek zaprzyjaźniliście się. Pokochałam Cię wówczas tym szczególnym rodzajem miłości, którą nazywałeś greckim słowem *agape*[157]. Pamiętam, jak razem myliśmy resztki ziemniaczanych obierek, szykując je do ugotowania. Wówczas zacytowałeś mi rebego Meira, który powiedział, że miłość, która opiera się na okolicznościach, przemija wraz z nimi, a miłość, która wznosi się ponad okoliczności, trwa wiecznie. Powiedziałeś również, że w prawdziwej miłości dusza otacza ciało, a nie na odwrót.

Moje serce niesie się do Ciebie na skrzydłach miłości, mój Ty cudem ocalały przyjacielu, mój nauczycielu. Będę z Tobą związana aż do dnia, w którym zamknę oczy na zawsze. Drżę na samą myśl, że Cię znowu zobaczę.

---

[157] *Agape* (stgr.) – najwyższa forma miłości, miłość Boga do ludzi i ludzi do Boga, miłość bezwarunkowa, wszechobecna, która istnieje niezależnie od sytuacji.

Gdy już napisała w myślach do Abraszy, wyjęła spod poduszki ołówek i papier, po czym zabrała się za pisanie pierwszego listu z lazaretu.

Drogi Abraszo!

Powoli wychodzę z tyfusu. Bardzo się o Ciebie martwię. Dlaczego sam nie piszesz liścików na brązowym kawałku papieru? Od tej chwili będę pisać do Ciebie tak często, jak to tylko możliwe.

Dlaczego w listach nie wspominasz o moim ojcu i innych mężczyznach? Czy nie byłeś z nimi w kacecie? W jakim byłeś obozie? Kiedy oddzielono Cię od pozostałych? Balcia i Malka otrzymały informację, z której wynika, że ojciec i pozostali żyli jeszcze dwa miesiące temu. Abraszo, czy możemy mieć nadzieję? Balcia (już nie nazywam jej mamusią, chociaż inne dziewczyny z obozu wciąż tak się do niej zwracają) i Malka przesyłają Ci pozdrowienia. Balcia ma nadzieję, że nie tylko Gabi przeżył, ale i Wowa. Jeśli chodzi o Wowę, to śmiesznym jest tak bardzo w to wierzyć, chociaż wiem, że to naturalne. Ja też żywię podobną nadzieję, jeśli chodzi o wszystkich członków mojej rodziny.

Sorka Fidler wciąż jest bardzo chora. Przebywa w innym baraku lazaretu. Ślę Ci najserdeczniejsze pozdrowienia i życzę szybkiego powrotu do zdrowia. Z niecierpliwością czekam na wieści od Ciebie. Proszę, napisz coś więcej.

Z miłością,
Twoja Miriam

Zaraz po zakończeniu wróciła do pisania do niego w myślach.

*

Piszę listy do Ciebie, Abraszo, przez całe moje życie, poczynając od czasów przedszkola, kiedy jeszcze nie znałam liter, a Ty jeszcze dla mnie nie istniałeś.

Na ścianie narożnego domu przy Nowomiejskiej wisiała skrzynka pomalowana na czerwono z napisem „Poczta Polska", którego jeszcze nie potrafiłam przeczytać. Wierka opowiedziała mi, że ludzie, którzy są od siebie daleko i mieszkają w różnych miastach, pisują listy. Wrzucają je do tej czerwonej skrzynki na rogu, a stamtąd wpadają one do niewidzialnego podziemnego tunelu, przez który dostają się do listonoszy w innych miastach, a oni roznoszą je do tych, którzy na nie czekają.

Poprosiłam mamę o kawałek papieru i nie przeszkadzało mi to, że dała mi połowę strony starej gazety „Folkscajtung". Pocięłam ją na wiele kawałków, aby mieć wiele listów. Wzięłam pomarańczową kredkę, którą dostałam w prezencie od Sorki Fidler, i zabrałam się za pisanie kilku listów do Doktora Bum-Buma w Nibylandii. W listach wyznałam mu, że chciałabym go odwiedzić i nauczyć się pływać w rzece Sambation, nad brzegami której mieszkają wiecznie szczęśliwi Czerwoni Żydzi. Opowiedziałam mu również, że tamtego poranka słyszałam, jak

mleczarka Basia mówi do mamy, że już zaczynają kwitnąć wiśnie. Więc zapytałam Doktora Bum-Buma, czy wiśnie rosną też w Nibylandii i jak wyglądają, bo nigdy nie widziałam żadnej wiśni. Potem złożyłam ten kawałek papieru i zeszłam na ulicę, aby wrzucić go do skrzynki. Zaczęłam czekać na odpowiedź.

Odpowiedź nie nadeszła. Poprosiłam więc mamę o jeszcze jeden kawałek gazety i napisałam kilka kolejnych listów. Pytałam w nich Doktora Bum-Buma, dlaczego mi nie odpisał na wcześniejsze, i wyznałam, jak bardzo za nim tęsknię. Codziennie słałam mu kilka liścików – aż stróż kamienicy, na której wisiała skrzynka pocztowa, przyłapał mnie na gorącym uczynku. Zaczął na mnie krzyczeć w jeszcze gorszym jidysz niż język, którym posługuje się pan Wygodny, stróż naszej kamienicy, dopytując się, czemu zapycham skrzynkę śmieciami. Pogroził mi miotłą i od tego dnia wysyłanie listów stało się ryzykowne. Serce mi niemal stawało ze strachu za każdym razem, gdy skradałam się do skrzynki, aby wrzucić list. Ale nie mogłam przestać tego robić, bo nie mogłam obejść się bez nadziei i bez oczekiwania na odpowiedź – od Ciebie?

Rozdział jedenasty

Przyjaciółka Binele, Cypora, ciągle trafia do więzienia albo z niego wychodzi za małe kradzieże, a Binele nie może w żaden sposób dojść z nią do ładu. Jak tylko się spotkają, handryczą się i następnie musi upłynąć dużo czasu, żeby znów się zobaczyły. Teraz odsiaduje Cypora, tak samo jak jej kawaler, długi wyrok w więzieniu. A ponieważ Binele miała kilka spokojnych tygodni i trochę nacieszyła się dziećmi, znów poczuła się winna względem przyjaciółki. Tak więc pewnego strasznie zimnego wieczoru przy szalejącej śnieżycy wsiada po pracy do tramwaju i jedzie do więzienia na widzenie z nią.

Przez szerokie kraty, gdzie Binele siedzi z jednej strony stołu, a Cypora z drugiej, kłócą się zajadle i gorzko lamentują.

– Jak ci nie wstyd! – wyrzuca z siebie, chlipiąc, Binele. – Powinnaś się spalić ze wstydu.

– Moi wrogowie niech palą się ze wstydu! – odpiera atak Cypora, głęboko urażona na honorze. – Ty przecież jesteś przeciwko bogaczom, socjalistko moja! A kogo to ja okradam, jak nie ich? – Sarkastycznie uśmiecha się przez łzy. – Ja chociaż coś robię, żeby zmniejszyć przepaść między biednymi i bogatymi. Te wyfiokowane typki, których obrabiam, nie są warci, żeby ich nazywać ludźmi, wierz mi. A czy sama mi nie mówiłaś, że jesteś za lepszym życiem dla kobiet? Ale ty tylko gadasz. – Ociera wilgotne usta dłonią. – Zrób mi tę łaskę i nie praw więcej kazań o wstydzie. Ani słowa nie chcę słyszeć! Bo co ja mam? Dzieci na wychowaniu? Mam kogoś, przed kim miałabym się wstydzić?

– Tak! Masz mnie. Przede mną powinnaś się wstydzić!

– Ostrzegam się, Binele, jeszcze raz to powiesz, a zostawię cię i będziesz tu siedzieć jak kura na jajach. Kto cię prosi, żebyś przypominała sobie o mnie raz na ruski rok i przychodziła mnie zobaczyć? Czego się spodziewałaś? Że będę

się liczyć z twoimi kazaniami? Ty przecież mówisz z pozycji luksusu, czyż nie? Ja muszę dbać, żeby życie sprawiało mi jak najmniej bólu, bo pozbyć się go nie mogę. Mój kawaler, daj mu Panie Boże zdrowie, ran moich nie wyleczy, ale dzięki niemu ich nie czuję. Słyszysz? Nie czuję ich! On wpływa na mnie dokładnie odwrotnie niż ty. Ty odnawiasz moje rany, tak, samym tylko pokazaniem mi się na oczy je odnawiasz. Nie musisz nawet otwierać ust. Tylko dzięki tej odrobinie człowieczeństwa, jaka jeszcze we mnie została, mogę znieść twój widok.

– Nie opowiadaj głupot, Cyporo, proszę – ubolewa Binele. – Twój kawaler cię utrupi, wykończy cię, to właśnie zrobi! Ja cię uratuję! Zrobię wszystko, żeby ci pomóc.

Cypora wybucha gorzkim śmiechem.

– Pomóc mi? Ty chcesz mi pomóc? Spójrz tylko na siebie, ty blefiarko! Ty, która całymi dniami harujesz w fabryce i podlizujesz się bogaczom, a całego majątku nie masz tyle, ile ja chowam pod jedną podwiązką. Posłuchaj tylko siebie, jak tak mówisz niby paniusia z samej góry na poddaszu przy ulicy Nowomiejskiej. Ni mniej, ni więcej, tylko damą dobroczynności, szlachetną paniusią zachciewa się być, hę?

– A żebyś wiedziała, że jestem szlachetną paniusią i wielką damą! – Binele nie pozostaje jej dłużna. – Jestem wielką damą, bo jestem uczciwa i prowadzę uczciwe życie z uczciwym mężczyzną! – Binele nie posiada się ze złości. – Do diabła, Cyporo, może byś już przestała? Harowałam dzisiaj przez cały dzień, na dzieci ledwo spojrzałam, a mam jeszcze całą balię prania do zrobienia. I jak przyszłam na widzenie do ciebie w taką zawieruchę, to powinnaś to docenić, ty głuptaku! Ilu to gości stoi w kolejce, żeby się z tobą zobaczyć, hę? Przykro mi bardzo. Kogo to zyskałaś sobie na świecie poza tą zgrają ulicznic i alfonsów, którzy sami leżą trzy łokcie pod ziemią?

– Oni są mi bardziej wierni niż ty, choćbyś nie wiem co robiła.

– Tak? To gdzie się oni podziali dzisiaj wieczorem? Co mają lepszego do roboty, niż przyjść do ciebie w odwiedziny, hę?

– Oni są bardziej ludzcy i wierniejsi od ciebie, ty farbowany lisie!

– Cyporo, jeszcze raz tak powiesz, a pójdę stąd i pozwolę ci tu gnić, słyszysz? – Słowa więzną Binele w gardle i trwa to chwilę, aż się pozbiera. – Czemu nie przejrzysz na oczy, jaka jest twoja sytuacja? Opłakana! Dlaczego nie rozumiesz, że tak się nie godzi? Nie godzi się tak! A ja nie pozwolę ci zginąć. Nie mogę. Jesteś droga mojemu sercu, niech cię wszyscy diabli. Nie mam bladego pojęcia dlaczego, ale tak to jest. Nie, nie dlatego, że wstyd mi za ciebie, tylko serce mi krwawi z twojego powodu. To, co robisz, człowiek robi tylko wtedy, gdy czuje nóż na gardle. Ty masz wyjście. Możesz mieć wyjście. Przysięgam, że pomogę ci je znaleźć. Obiecaj mi tylko, że jak przekonam mojego chlebodawcę, przyjdziesz pracować do mnie do fabryki, jak tylko stąd wyjdziesz. Błagam cię, Cyporo. Nie mogę wytrzymać, tak mi ciebie żal.

Cypora się krzywi.

– Proszę cię, Binele, nie graj przede mną komedii z tymi kretyńskimi sztuczkami. Nie uszczęśliwiaj mnie i nie udawaj, że moje szczęście jest celem twojego

życia. Wiesz już przecież, że mnie nie nabierzesz. To nie wysilaj się tak. Co ja będę robić u ciebie w fabryce? Sprzątać hale, dłubać miotłą tu i tam? Żreć kurz za nędzną dniówkę? Dlaczego nie chcesz przyznać, że między tobą a mną rozciąga się morze, które jest tak głębokie i tak szerokie jak żydowskie wygnanie, a my nie jesteśmy w stanie go przekroczyć? Ty jesteś matką. Mam ci tłumaczyć, co to znaczy? Tobie opłaca się zrobić wszystko na świecie, tak jak ja kiedyś robiłam. Ale dziś? Czy ja potrzebuję się męczyć? Łatwego grosza potrzebuję. Trochę emocji potrzebuję. Kropli wódki potrzebuję. Potrzebuję poczuć koło siebie ciepłe męskie ciało, niechby to ciało należało do największego wyrzutka, jakiego ziemia nosi. Tak, potrzebuję, żeby to życie jak najszybciej mi przeleciało, bo nie mam siły z nim skończyć.

Binele czuje, jak tonie w bagnie czarnej rozpaczy. Wydaje jej się, że sama ginie. I żeby się ratować, jej mózg zaczyna gorączkowo szukać jakiejś podpory, jakiegoś wyjścia – aż pewna myśl świta jej w głowie i staje się coraz wyraźniejsza. Wyjściem jest ratowanie Cypory przez znalezienie jej porządnego narzeczonego! Tak, trzeba zaraz znaleźć jej udanego młodego człowieka! Oto jest jej, Binele, powinność! I tak siedząc naprzeciwko Cypory, patrzy na nią z bardziej pogodną twarzą. Pozwala jej się wygadać, bić pianę i kiwa współczująco głową. I tak aż czas widzenia upłynie, a ona przeciśnie między kratami parę złotych, które przyniosła Cyporze. Żegna się z nią z życzliwym smutkiem.

– Przyjdę do ciebie w przyszłym tygodniu. I trzymaj się, Cyporo kochana.

Na zewnątrz dalej hula śnieżyca. Białe rozedrgane zasłony śniegu przeplatają się w ciemności wieczoru, a przez nie przedziera się wiatr. Binele bierze głęboki oddech. Jaki cudowny smak ma wolność! Nawet najbardziej gorzka wolność jest lepsza niż bycie zapuszkowanym. Tak, między nią a Cyporą rozciąga się przepaść. Cypora może przyzwyczaić się do wszystkiego. Ona, Binele, do więzienia nigdy by się nie przyzwyczaiła. Sczezłaby tam.

Kiedy tak maszeruje pod wiatr zacinający śniegiem, otulona chustą, rozpoznaje, ku swemu zdziwieniu, poprzez zasłonę śniegu i ciemności, znajomą postać z postawionym kołnierzem, ubraną w ciemny płaszcz, wynurzającą się w oddali, koło przystanku tramwajowego. Anton Cimerman! A co dziwi ją jeszcze bardziej, to to, że on wcale nie jest zaskoczony spotkaniem z nią.

– Wasza siostra powiedziała mi, że pojechaliście tu na widzenie, żeby zobaczyć się z zaprzyjaźnioną osobą – oświadcza, gdy tymczasem bierze dwie jej lodowato zimne ręce w swoje, ciepłe.

Ona czuje, jak serce podchodzi jej do gardła.

– Byliście u mnie w domu? Coś się stało?

– Boże broń. – Ujmuje ją mocno pod ramię i wsiada z nią do tramwaju. – Ten wasz zapuszkowany przyjaciel to nikt z naszych towarzyszy, prawda? – pyta, podczas gdy siadają na ławce w pustym tramwaju.

Wciąż jest napięta i niewolna od troski. Kręci przecząco głową.

– To nie przyjaciel, tylko przyjaciółka, nie żaden towarzysz ani towarzyszka. Nie rozumiem, po co przyszliście mnie szukać, towarzyszu Cimerman.

On szczerzy się w niewydarzonym uśmiechu. Wygląda, jakby cała twarz mu się rozpływała.

– Coś mnie naszło, żeby wpaść do was na szklaneczkę herbaty.

– Jak... jak to?

– A tak mnie naszło. Mam wolny wieczór. Nie było was w domu, więc postanowiłem przyjść tutaj i na was poczekać. Lubię jeździć tramwajem. Pozwala mi to oderwać się od wszystkiego na krótki czas. Mogę w spokoju zebrać myśli.

– Ale w taką podłą pogodę? Nie powinniście tak się uganiać po tym, co ostatnio przeszliście.

Anton Cimerman został niedawno wybrany do rady miejskiej i kilka tygodni temu, w drodze do domu z posiedzenia, napadła go banda endeków. Stał się popularnym obiektem ich judofobii.

– Nie uganiam się. Oto siedzę koło was – powiada i ujmując mokry frędzel chusty Binele, owija go dla żartu wokół palca.

Dobrze wygląda. Jego lśniące policzki są jeszcze bardziej czerwone z zimna. Wygląda zdrowo. Ma tę wyjątkową zdolność powrotu do pełni sił po każdej chorobie, po wszelkich tarapatach; a on zdaje się mieć skłonność do rozmaitych tarapatów. Gdy Binele ogląda go teraz, jej oczy wypełniają topniejące płatki śniegu, które spływają z jej brwi. Zdaje się, że to łzy kapią jej z oczu. Jest bardzo podekscytowana, a nie wie dlaczego. Żeby podnieść się z tego ponurego nastroju, odzywa się:

– Może byście mi pomogli i udzielili rady w związku z problemem, jaki mam.

– Rady łatwo dawać. – Jego krzywy uśmiech się wyostrza.

– Towarzyszu Cimerman, proszę nie robić sobie żartów. To jest bardzo na poważnie.

– Przepraszam.

– Chcę was zapytać... może znacie na przykład porządnego młodego człowieka, koło trzydziestki lub nawet czterdziestki, przyzwoitego mężczyznę, który kroczy prostą drogą i chciałby się ożenić...

Unosi brwi zdziwiony.

– Nie zamierzacie, broń Boże, rozwodzić się z waszym mężem?

Ona patrzy na niego z podobnym zdziwieniem.

– Kto? Ja? Co was naszło, towarzyszu Cimerman? Jak taka rzecz mogła wam przyjść do głowy? Ja i Jankew mielibyśmy się rozwodzić? Nigdy w życiu, towarzyszu Cimerman! Ale muszę znaleźć przyzwoitego, porządnego człowieka dla kogo innego. Dla Cypory, mojej przyjaciółki, która siedzi w więzieniu. Pamiętacie ją może z mojego ślubu.

– Spojrzę do mojego notesiku, gdzie kojarzę pary, i dam wam znać.

Ona wyciera sobie twarz brzegiem chusty, wyciągając frędzle spomiędzy jego palców.

– Proszę was, towarzyszu Cimerman, to naprawdę nie jest śmieszne.

Przysuwa się bliżej niego, bo jest jej zimno, a także dlatego, że liczni pasażerowie zaczynają zapełniać tramwaj.

– Wasza przyjaciółka jest komunistką? – pyta on.

– Co za pomysł!

– To za jakie grzechy siedzi?

– Ech, bo ja to wiem. Głupoty. – Binele wzrusza ramionami. – Na początku lata stamtąd wychodzi. To jest porządny człowiek. Naprawdę dobra kobieta i piękna jak złoto. – Nachyla się jeszcze bliżej do niego i wydaje gorący szept: – Rozumiecie, towarzyszu Cimerman, Cypora ginie. A ja nie mogę tego zdzierżyć. Tylko przyzwoity mężczyzna może ją uratować.

I tak, drżąc lekko z zimna, opowiada Binele Cimermanowi prawdziwą historię życia Cypory, podczas gdy tramwaj wcina się w śnieżną zawieruchę, trzęsie się i zgrzyta – burza w sercu Binele zaś zaczyna się uspokajać. Z każdym słowem robi jej się coraz cieplej. Staje się bardziej odprężona, jakby kamień spadł jej z serca. Zmęczenie po długim dniu ciężkiej harówki i rozpacz nad losem Cypory ustępują.

Wie dobrze, że ta oto zmiana zachodzi w niej dzięki Cimermanowi. Takie oddziaływanie ma on na nią. Nawet kiedy leżał chory w szpitalu, czuła tę jego siłę – nawet gdy chodził z obandażowaną głową, od ciosów, które tak często dostawał od narodowców, albo miał rękę w gipsie. Zdaje się, jakby specjalnie chciał zwrócić na siebie uwagę, jakby z własnej woli wystawiał się wrogom na cel. Pisze odważne artykuły przeciwko nim w polskiej prasie. Nieustraszony wygłasza płomienne przemówienia przeciwko nim w radzie miejskiej. Tak, ona ma wielki szacunek dla niego jako swojego nauczyciela, jako człowieka o wielkiej wiedzy i śmiałego, ważnego działacza w partii. Lecz jeszcze większy szacunek ma dla niego z powodu tej oto jego siły – mogącej ją uspokoić i sprawić, że czuje się bezpieczna. Tymczasem to ona właśnie nosi w sobie pragnienie, by chronić go przed jakimś czyhającym na niego zagrożeniem. Wyczuwa instynktownie, że on jest w niebezpieczeństwie; że coś zaraz go wykończy, i to nie z zewnątrz, tylko w nim samym. Dlaczego sprawia wrażenie, jakby szukał niebezpieczeństw, zamiast ich unikać?

Kiedy tak siedzi koło niego i dalej papla o swojej przyjaźni z Cyporą, nie przestaje się dziwić, że wyszedł specjalnie na pętlę tramwajową, i że teraz ona jest tą, która mówi, a on jest cierpliwym słuchaczem, jakby nie miał innych kłopotów na głowie niż problemy Cypory. To nie do pojęcia, a jednak to prawda. I to sprawia jej przyjemność.

– No, to co teraz powiecie o moim planie, towarzyszu Cimerman? To znaczy o znalezieniu odpowiedniego narzeczonego dla Cypory? – pyta. – Czy sądzicie, że to by pomogło?

Zazwyczaj, kiedy się uśmiecha, jest to powściągliwy, niedoważony uśmiech, raczej grymas, który nie opromienia reszty jego twarzy. Lecz tym razem jego uśmiech jest szeroki, pełny, lecz już poważny.

– Nie mam pojęcia, co doskwiera Cyporze głęboko w sercu – odpowiada. – To fakt, że nie wszystkie nieszczęśliwe kobiety posuwają się do prostytucji i złodziejstwa. Jak by nie było, trudno jest uleczyć złamane serce. Ale nie zaszkodzi spróbować.

Kiedy tramwaj zatrzymuje się na rogu ulicy Nowomiejskiej, Cimerman wysiada z niego razem z Binele. Podprowadza ją do bramy, lecz odmawia wejścia na górę na szklankę herbaty, i żegna się mocnym uściskiem dłoni.

Jankew przyszedł już z pracy. Nie ma go w mieszkaniu. Położył dzieci spać i, jak Binele się domyśla, zszedł do rodziny Kaców, nowych sąsiadów. Jego szwagierka Rachela ma rację, wytykając Jankewowi tę jego „agitację i propagandę" wśród mieszkańców domu. On istotnie stara się zyskać ich dla ideologii bundowskiej.

Kacowie mieszkają na wielkopańskim drugim piętrze, a pan Kac, tak samo jak inni członkowie jego rodziny, jest najlepszą reklamą jego dobrobytu. To tęgi mężczyzna, który nosi wielki sygnet na małym palcu prawej ręki. Jego żona i dzieci też są krągli i pucołowaci. Ich tusza jest widomą oznaką, że mają co do ust włożyć.

Pan Kac jest rękawicznikiem. Ma dwóch czeladników, którzy pracują na dwóch maszynach w dużym pokoju jego dwupokojowego mieszkania z kuchnią. W sobotę rano rodzina Kaców leży w pieleszach do południa, śpiewając razem rozmaite piosenki ludowe lub kuplety z żydowskiego teatru rewiowego. Kacowie mają pierwszorzędne głosy wprost stworzone do śpiewu. Ich sobotnie popisy zwabiają sąsiadów, którzy gromadzą się pod drzwiami. Bardziej odważni ośmielają się zapukać i zapytać, czy mogą wejść i śpiewać razem z nimi.

Jankew wziął na siebie przekonanie Kaców, aby troje swoich dzieci zapisali do żydowskiej szkoły świeckiej i ewentualnie zostali członkami Bundu. Binele także jest w dobrych stosunkach z sąsiadami. Pani Kac pokazała jej kiedyś sznur prawdziwych pereł, jaki mąż dał jej w prezencie, tak po prostu, bez żadnej okazji. To wzbudziło w Binele podejrzenie, że pan Kac, prócz tego, że jest pierwszorzędnym rękawicznikiem, musi mieć powiązania z półświatkiem. To także wyjaśnia, dlaczego nosi drogi pierścień na małym palcu i dlaczego rodzina Kaców może sobie pozwolić na prowadzenie takiego próżniaczego życia. Z powodu tych domysłów Binele mocno wspiera starania Jankewa, by zasiać ziarno bundyzmu i uczciwości w sercach Kaców, i dalej korzysta z towarzystwa nowych sąsiadów. Są to serdeczni, weseli i bardzo gościnni ludzie. Lecz dzisiaj wieczorem Binele nie schodzi do nich. Nie jest w nastroju.

*

Myśl o Cyporze nie daje Binele spokoju. Nie przestaje robić planów, w jaki sposób ratować swoją przyjaciółkę przed zagładą. Przeprowadza serię długich

prywatnych wywiadów z towarzyszami, którzy są jeszcze kawalerami i mogliby być odpowiednimi narzeczonymi do wyswatania z Cyporą. I tak to idzie, aż pewnego wieczoru spotyka jak zwykle poetę Mojszego Sokratesa w Fidlerowskiej Muzie – i wtem przypomina sobie nagle, że kiedyś grał on na poły romantyczną rolę w życiu Cypory. Przychodzi jej do głowy, że byłby on może chętny odnowić znajomość, albo wręcz zmienić się w romantycznego kandydata. Postanawia wybadać tę oto możliwość i w ten sposób podejmuje swoją własną kampanię agitacji i propagandy.

Powstrzymuje się przed omawianiem tej kwestii z Mojszem Sokratesem w miejscu takim jak cukiernia Fidlerów. W pewną sobotę, kiedy go tam nie spotyka, wybiera się szukać go w bałuckich knajpach, gdzie jest on częstym gościem. Sprężа się i kieruje swoje kroki na Fajferówkę, którą tak dobrze zna z dawnych czasów i której zwykle unika jak zarazy. Zagląda do knajpy dorożkarzy, gdzie wie, że spędza on całe dnie, pisze w niej wiersze i łagodzi konflikty między bałuckimi twardzielami.

Tam go rzeczywiście dostrzega dyrygującego za stołem. Siedzi z kwartą piwa obok łokcia. Jego ramię tworzy mur obronny wokół kartki papieru, która leży przed nim. Nie pisze, tylko przysłuchuje się dorożkarzom, którzy go otaczają i przemawiają gorączkowo do niego. Niższy od każdego z nich, Mojsze Sokrates powinien wyglądać jak karzeł wśród olbrzymów. Lecz w czarnej rubaszce, która jest jego stałym uniformem, ze szpiczastą bródką à la Trocki, która znowu weszła do mody wśród ludzi bohemy, i postawą człowieka, który zna swoją wartość, zdaje się przewyższać swoich barczystych rozmówców.

Binele wchodzi do knajpy i kroczy prosto do stolika Mojszego Sokratesa. Gdy tylko jej oczy napotkają jego wzrok, wykrzykuje z udawanym entuzjazmem:

– O, towarzyszu Sokrates, dobrze, że was spotykam! Mam coś do przegadania z wami bardzo prywatnie.

Brać przy stoliku rozhukała się grubiańsko i ochryple, wznosząc do niej kufle:

– *Lechaim*[158], towarzyszko partyjna! – Puszczają do niej oczka i zapraszają do siebie.

Mojsze Sokrates skacze na równe nogi, jak generał, którego nagle wezwano do wymarszu do walki. Wsuwa kartkę papieru do wewnętrznej kieszeni, macha ręką do siedzących z nim przy stole, ujmuje rycersko Binele pod ramię i wychodzi z nią na ulicę.

– Co chcieliście przegadać ze mną, towarzyszko Polin? – pyta uprzejmie Mojsze Sokrates, podczas gdy kroczy obok niej z wielką godnością, trzymając ją pod ramię.

---

[158] (hebr.) dosł. *za życie* – tradycyjny toast, odpowiednik polskiego: na zdrowie!

Fajferówkę wypełniają mieszkańcy okolicznych domów i szykowni goście z innych rejonów miasta. Mojsze sam nosi buty sięgające do kolan i dodające mu parę centymetrów wzrostu. Na cześć soboty ubiera czerwony wełniany szal zarzucony przez ramię w stylu bohemy – szal, który reklamuje zarówno poetycki fach Mojszego, jak i jego przekonania polityczne. Szerokim gestem drugiej ręki gładzi sobie kozią bródkę i rozgląda się dumnie dookoła, będąc w pełni świadomy swojej popularności na Bałutach. Kiwa głową na prawo i lewo i odpowiadając na pozdrowienia, czerpie przyjemność ze spojrzeń, jakie rzucają w jego stronę. Czuje, jak wodzą za nim wzrokiem i dziwiąc się, próbują zgadnąć, kim jest ta apetyczna dziewoja o rudych włosach i o czym to prawi mu z takim ożywieniem, jakby Mojsze był jej zbiegłym kochankiem, a ona błagała go, żeby do niej wrócił.

Z Mojszem omawia Binele zasadniczo sytuację polityczną na świecie i próbuje go przekonać, że ten włoski buldog Mussolini nie jest żadnym klaunem, którego można łatwo zbyć machnięciem ręki, tak jak robi to Mojsze. Zapewnia go, że zna się na ludziach. I to jeszcze jak się zna! Wie, co znaczy udawać siłę i czym jest siła udawania, i jak to może oddziaływać na ogłupiony tłum. Gawiedź gotowa jest służyć nawet osłu, byle ten osioł nosił koronę na głowie. Masy uwielbiają wielkie spektakle, spektakle wielkości – powiada. Tak, siła faszyzmu, jak to się mówi! Ona, Binele, jest pewna, że ten oto faszyzm zaczął już cichaczem wżerać się w ciało ludzkości. Bo kim są ci tutejsi endecy, jeśli nie prawdziwymi faszystami, dla których nienawiść do Żydów jest częścią ich ideologii? Judofobia stanowi prostą drogę do faszyzmu. Czy Mojsze nie widział faszystowskich haseł nasmarowanych na ścianach i płotach, które głoszą: „Żyd z Bundu ukradł moją posadę!"? Faszyści kwitną w efekcie katastrofalnej sytuacji gospodarczej w Polsce i bezrobocia. Stanowią prawdziwe zagrożenie dla Piłsudskiego, który sam też nie jest taki święty. Jak to możliwe, że Mojsze nie chce zdać sobie z tego sprawy?

Mojsze odmawia zdania sobie sprawy. Energicznie kręci przecząco głową i z lekceważeniem zbywa to wszystko machnięciem ręki.

– Nic więcej jak wymachiwanie szabelką, towarzyszko Polin. Widzę, że nie rozumiecie, co czytacie w gazetach. Socjalizm idzie naprzód wielkimi krokami przez całą Europę. Po raz pierwszy w historii mamy bundowskiego ławnika w łódzkim magistracie! Po raz pierwszy w historii, towarzyszko Polin!

Swoją prawdziwą rozmowę z Mojszem chciała zasadniczo rozpocząć właśnie tutaj, na tej uliczce, której tak nienawidzi, lecz która tak wyraźnie unaocznia prawdę o tragicznym żywocie Cypory. Lecz czuje na sobie spojrzenia celujące w nią ze wszystkich stron i jest jej zimno, więc chce jak najszybciej się stąd oddalić, bo nie może tu wyrazić tego, co leży jej na sercu. Zamiast tego daje odpór optymizmowi Mojszego, przypuszczając atak na Piłsudskiego, który był polskim socjalistą, a zdradził swoje idee, zrobił pucz, rozwiązał Sejm i oświadczając, że

„wysiada na przystanku, który nazywa się niepodległość”[159], wziął się do rządzenia Polską jako dyktator[160]. W końcu proponuje:

– Wiecie co, towarzyszu Sokrates? Wypiję z wami piwo, bo jak zapewne rozumiecie, Piłsudski, ten zdrajca, nie jest tematem, który chciałam z wami omówić. I chcę, żebyście się odpowiednio skoncentrowali. Tylko chodźmy z Fajferówki.

Spacerują w kierunku placu Kościelnego. Mojsze zawadiacko mruga do niej:

– Wiecie prawdopodobnie, towarzyszko Polin, że naprawdę nie nazywam się Sokrates, hę?

– Oczywiście, że wiem. Wasze prawdziwe nazwisko brzmi Mojsze Gutnik. – Mruga do niego w odpowiedzi. – Nie obraziłam was, broń Boże, nazywając was Mojsze Sokratesem?

– Niech Bóg broni. Całkiem to zaszczytny dla mnie pseudonim, żeby mianować mnie imieniem Sokratesa, filozofa z Aten, które były stolicą starożytnego świata.

– No, już, bylebym was nie obraziła. Bo ja bardzo was cenię, towarzyszu Sokrates. Wasza poezja jest bardzo kulturalna i poruszająca do łez, zwłaszcza wiersze o Bałutach. Jankew, mój mąż, uważa, że odgrywacie wielką rolę w życiu kulturalnym Bałut i w ogóle całego proletariatu.

Mówi to trochę na poważnie, a trochę z niego drwi. On wydaje jej się komiczny, mimo że traktuje go bardzo serio.

– Wiem o tym, towarzyszko Polin. Ale wierzcie mi, nie jest łatwo być poetą proletariackim. Położenie klasy robotniczej jest smutne i ponure. Poeta proletariacki siedzi na nieprzebranej obfitości głodu i biedy, cierpienia i bólu, i czerpie pełne wiadra łez do swoich wierszy. To jest źródło, które nigdy nie wysycha. – Potrząsa dramatycznie głową. – A poeta chciałby opiewać piękno, przyrodę, romantyczną miłość, a nie, za przeproszeniem, brud, smród i ubóstwo. Lecz ktoś przecież musi wziąć na siebie wyrażenie tragicznego położenia mas i dać im odrobinę poezji w prozie nędzy ich życia. *Im ejn ani li, mi li*[161], napisano w świętych księgach, które w gruncie rzeczy są produktem reakcyjnego myślenia.

– Bardzo słusznie. – Binele kiwa głową z szacunkiem. – Gdybyście jednak mnie zapytali, powiedziałabym, że są przecież dobre rzeczy w szarej prozie Bałut, a nie tylko smród i podłość. Weźcie dla przykładu nasze przedszkole. I wiecie co jeszcze? Młodzi ludzie z Bałut też wiedzą, co to jest romantyczna miłość, tak samo jak bogata młodzież, a może jeszcze lepiej. Zgodzicie się?

---

[159] Zdanie to przypisywane Józefowi Piłsudskiemu i szeroko rozpowszechnione, nigdy przez niego nie zostało wypowiedziane, jego autorem miał być znany międzywojenny publicysta Adolf Nowaczyński. Ale faktycznie po odzyskaniu przez Polskę niepodległości więzy Piłsudskiego ze środowiskiem socjalistów stawały się coraz luźniejsze.

[160] Przewrót majowy, zwany też puczem majowym, został dokonany przez marszałka Józefa Piłsudskiego w dniach 12-15 maja 1926 r.

[161] (hebr.) *Jeśli ja nie zadbam o siebie, to kto o mnie zadba?* (*Pirkej Awot* 1;14).

– Jakem żyw! Ostatecznie czytałem przecież jakiś mój utwór na waszym ślubie, napisany specjalnie na tę okazję. Pamiętacie jeszcze ten poemat?

– Oczywiście, że pamiętam! – wykrzykuje entuzjastycznie. Przypomina sobie jak przez mgłę, że coś odczytywał podczas jej uroczystości w mieszkaniu Cederbojmów. Ze strachu, że może ją o to zapytać, powiada szybko: – Skoro tak, musicie mi mówić prosto i zwyczajnie: Binele. To naprawdę najwyższy czas, żebyśmy poznali się trochę bliżej. Ostatecznie jesteśmy towarzyszami, którzy mieszkają w tej samej okolicy. Spotykamy się często w Muzie i mamy wielu wspólnych przyjaciół. To, proponuję, powinniśmy wypić bruderszaft, a ja wam postawię piwo. Chodźmy do knajpy krawców.

– Nigdy w życiu, towarzyszko Binele! Od kiedy to pozwalam fraucymerowi[162] stawiać mi piwo? Za kogo wy mnie macie?

– Jak to za kogo was mam? Nasz ruch jest za równością między kobietami a mężczyznami.

– Tak to istotnie jest, lecz nie gdy chodzi o stawianie piwa.

Wchodzą do krawieckiej knajpy. Mojsze zamawia piwo dla nich dwojga. Binele się nie sprzeciwia. Ma ważniejsze rzeczy na głowie w tym oto momencie niż walczyć z nim o swoje prawo do zafundowania piwa. Stuka się kuflem, żeby przypieczętować ich bruderszaft, i pociąga długi łyk piwa. Ciarki przechodzą przez jej ciało. Jeszcze jeden łyk z kufla, wyciera usta dłonią i uśmiecha się szeroko do Mojszego.

– A więc, co słychać nowego w twoim życiu, Mojsze? Jak idzie praca w związku zawodowym listonoszy? – Wie, że Mojsze jest organizatorem i płatnym funkcjonariuszem tego związku.

– Już nie jestem u nich. – Macha ręką. – Teraz jestem u furmanów. To zostawia mi więcej czasu, żeby oddawać się poezji. Nie samym chlebem człowiek żyje.

– A czy chociaż zarabiasz u nich dosyć, żeby mieć na chleb z masłem?

– Nie mogę się skarżyć, Binele, Bałuty są dla mnie jak matka. Uczą mnie, jak opędzić cały dzień byle czym.

– Hm... Ale to, o co właściwie chciałam cię zapytać, to to, jak ci idzie w życiu osobistym.

– Jak może iść dobrze w życiu osobistym, skoro życie społeczne jest pod zdechłym psem? – Mojsze rozczesuje swoją kozią bródkę palcami. – *Az es kumt af kool make, kumt af joched a bloter*[163]. To po co właściwie mnie szukałaś, Binele? Intuicja mi podpowiada, że jesteś już wystarczająco zainspirowana, jak to my, poeci, mówimy. My, poeci, jesteśmy bardziej wyczuleni na ludzkie nastroje.

Binele nigdy nie miała żadnych specjalnie pozytywnych uczuć dla Mojszego Sokratesa. Nie, nie dlatego, że jest mikrego wzrostu ani też nie jest

---

[162] Fraucymer (daw.) kobieta należąca do dworu królowej lub księżnej, także pokój dla dam.

[163] (jid.) *Kiedy przychodzi zaraza na ogół, na jednostkę przychodzi ropień.*

z niego żaden godny uwagi krasawiec. Nigdy nie ocenia mężczyzn po wyglądzie. To, co niekoniecznie ujmuje ją u Mojszego Sokratesa, to mentalność człowieka niskiego wzrostu, który wykazuje symptomy – jak Wowa to nazywa – kompleksu Napoleona, chociaż w przypadku Mojszego nie przyjmuje to szkodliwej formy.

Binele nie ma wątpliwości, że rola Mojszego pośród bałuckich twardzieli i ulicznic jest nie do przecenienia. Wszyscy go kochają i szanują. On jest ich oskarżycielem, ich obrońcą i sędzią. Dzięki niemu głosowali na listę bundowską w wyborach do rady miejskiej i pomagają bundowskim bojówkom. On czyta im na głos dzieła znanych pisarzy żydowskich i tłumaczy na ich język ciekawsze fragmenty tekstów. Większa część bogatej produkcji artystycznej Mojszego składa się z wierszy propagandowych i utworów okolicznościowych, powstałych z inspiracji własnej lub tworzonych według dyrektyw towarzyszy i partii. Lecz pisze on także wiersze niezwykle radykalne, które łatwo zrozumieć. Dzięki swojemu lekkiemu rytmowi i nieskomplikowanym rymom znajdują one drogę do serca prostego człowieka i uwzniośla go.

Lecz Mojszemu, jako dodatku do jego napoleońskiej duszy, brakuje pewnej cechy charakteru, co pozbawia Binele prawdziwego szacunku dla niego, mimo że nie umiałaby wskazać, na czym ta niedoskonałość właściwie polega. Prócz tego ma także obawy innego rodzaju: ma on, owszem, wielkie zasługi dla mas żydowskich na Bałutach, czy jednak miałby także zasługi jako mężczyzna, jako ojciec dzieciom? Dlaczego do tej pory się nie ożenił? Dlaczego nie ma stałego adresu, tylko – tak jak za czasów carskich, kiedy ukrywał się przed policją – spędza noc u jednego albo u drugiego ze swoich kompanów, a całymi dniami przesiaduje po knajpach albo w Muzie. Czy w ogóle jest on w stanie prowadzić zdyscyplinowane, regularne życie rodzinne? Już po tej wstępnej rozmowie z nim dzisiaj jest jeszcze mniej entuzjastycznie nastawiona do niego, niż była do tej pory. Lecz pamięta, że Cypora zawsze miała do niego słabość, a to już coś, pod warunkiem że ta słabość jest obopólna. I tego Binele musi się przede wszystkim dowiedzieć.

W końcu zbiera się w sobie i wyjawia, co leży jej na sercu:

– To dotyczy Cypory – odzywa się.

Mojsze wygląda, jakby piorun go strzelił. Na jej oczach wbija go w ławkę, przez co wydaje się jeszcze mniejszy niż normalnie. Szpic jego koziej bródki zaraz zanurzy się w kuflu piwa.

– Której Cypory? – odburkuje ze spuszczonym wzrokiem, jakby to pytanie zadawał napitkowi w kuflu.

Binele nie odpowiada od razu. Najpierw wlewa w siebie konkretny łyk piwa. Następnie wyciera usta, potrząsa zdecydowanie głową i mówi:

– Ty bardzo dobrze wiesz, która Cypora. Ta... owaka. Tak, mówmy otwarcie. Cypora, która gnije w kryminale i której byłeś kiedyś bliskim przyjacielem, a może więcej niż bliskim przyjacielem, i pracowałeś nad nią, żeby została socjalistką.

– A... ta Cypora... – udaje głupiego, jakby dopiero teraz zrozumiał, kogo Binele ma na myśli.

Mojsze Sokrates zaczyna naprawdę działać jej na nerwy. Stara się jednak zachować dobrą minę do złej gry, żeby nie zaprzepaścić takiej szansy na uratowanie Cypory. Odzywa się poważnie do niego:

– Jako twoja towarzyszka z partii, dla której specjalnie zrymowałeś utwór na ślub, i jako najlepsza przyjaciółka Cypory, uważam za swój obowiązek zapytać cię, jakim prawem pozwoliłeś jej upaść tak... tak nisko.

– Ja? – Mojsze kładzie rękę na piersi, jakby gotów był przysięgać.

– Oczywiście, że ty. Niby kto? – wali dalej i czuje, jak piwo mąci jej w głowie. Jest jednak zadowolona z tego otumanienia. To akurat pomaga jej argumentować. – Ty ją uwzniośliłeś... Cyporę, mam na myśli. Wyniosłeś ją na wyżyny niebios, żeby pozwolić jej spaść z wielkim trzaskiem... w dół rozpaczy, i rozbić jej serce w drobny mak. Czy wiesz, Mojsze, że jeszcze w tysiąc dziewięćset czternastym opowiadała mi o schadzkach, na które ją zabierałeś? Przez te wszystkie lata, rok w rok, nieustannie o tobie mówi...

– Chcesz przez to powiedzieć, że mnie obmawia.

– Wprost przeciwnie, mówi z największym poszanowaniem. Wspomina twoje imię, jak goje wspominają swojego świętego patrona przy każdej okazji. Czasem nie ma temu końca, tylko Mojsze Sokrates tu, Mojsze Sokrates tam. Ten wielki, mądry, potężny poeta Mojsze Sokrates! Bagatela!

Mojsze Sokrates gapi się na Binele, jego wybałuszone oczy są szeroko otwarte.

– Ona... ona powiedziała to wszystko o mnie? Nabijasz się.

– Ale skąd! Żebym tak zdrowa była, wszystko to ona powiedziała.

Ciało Mojszego rozkurcza się z powrotem na ławce, a duma wręcz go rozpiera. Pierś wypięta do przodu, ramiona wyprostowane, a głowa wyraźnie uniesiona w górę. Pije słowa Binele jak zwiędnięta roślina, na którą spada odświeżający, długo oczekiwany deszcz. Tak go przepełnia odnaleziony szacunek i podziw dla siebie, że zauważa podchmielony:

– *Toczno*[164]. Człowiek nie musi mieć siedmiu stóp wzrostu, żeby być wielki.

– Oczywiście, że jesteś wielki, Mojsze – przyznaje Binele. – I właśnie dlatego twoim obowiązkiem jest uważać, gdzie stąpasz, żeby nie nadepnąć na małych, słabych, nieszczęśliwych. Jak możesz być dobrym pisarzem, pisarzem socjalistycznym, a do tego jeszcze poetą, jeśli nie posiadasz odrobiny uczucia dla żydowskiej kobiety pracującej, a specjalnie dla Cypory, która jest jeszcze bardziej nieszczęśliwa niż Dama Kameliowa, choć ona nie cierpi na suchoty, tylko ma złamane serce?

– Ja? – Mojsze znów rozpiera się w ławce. Znów kładzie rękę na sercu, jakby był gotów do składania przysięgi. – Ja nie posiadam ani odrobiny uczucia dla

[164] *Toczno* (ros.) – tak jest, zgadza się, istotnie.

żydowskiej kobiety pracującej? A komu oddałem moje młode lata i moje młode życie, jeśli nie im? A co się tyczy Cypory...

– Tak, co się tyczy Cypory? – ciągnie go za język Binele. – Mówię ci przecież, że ona nie przestaje rozprawiać o tobie co najmniej od dziesięciu lat.

– Chcesz przez to powiedzieć, że ona nie skarży się na mnie?

– W ogóle nie! Choć mówi z bólem serca, bo straciłeś słabość do niej. Bo nie masz zrozumienia dla jej uczuć i odnosisz się do niej jak do taniej ulicznicy.

– Ale tym ona przecież jest! Sama przecież powiedziałaś, że powinniśmy nazywać rzeczy po imieniu, Binele. – Świdruje ją po pijacku wzrokiem. – Tak – przyznaje w końcu – kiedyś miałem do niej słabość. Całkiem niezłą słabość nawet. – Zaciska pięść i bije się w pierś. – Ale kiedy czytałem jej na głos moje wiersze o jej czarnych falujących włosach i czarnych jak węgiel oczach z wywiniętymi rzęsami i policzkach z dołeczkami, kazała sobie za to płacić, suka. Płacić za pieśń mojej duszy, za moją tęsknotę do niej, Binele! Weź to sobie dobrze pod rozwagę – za moją miłość!

Binele bierze się za drugi kufel piwa, który Mojsze jej zamówił, i kuje żelazo póki gorące.

– Przepraszam cię, Mojsze – lekko wstawiona kręci głową – ale nie zgadzam się z tobą. Dochodzę do przekonania, że mam rację, gdy mówię, że ty nie masz pojęcia, co dzieje się w głowie i w sercu żydowskiej kobiety pracującej.

– Ty sama obrażasz żydowską kobietę pracującą, Binele. Cypora nie jest kobietą pracującą.

– Ależ tak! – Binele uderza pięścią w stół w stylu Mojszego. – I żebyś nie śmiał więcej powiedzieć złego słowa o Cyporze, bo pozwę cię przed sąd koleżeński! Cypora jest dobrodusznym człowiekiem o złotym sercu, a kłopot jest taki z wami, mężczyznami, że wy nie posiadacie cienia dobroduszności w waszych sercach. Dlaczego nie rozumiesz, Mojsze, że Cypora bała się jeszcze raz dać wciągnąć w bagno? Mało to razy doszła do ściany przy tym jej facecie? Dlatego... dlatego chciała cię wypróbować, jedynie wypróbować, czy ty tak na poważnie z tą... z tą miłością. Tak, zaledwie kilka dni temu, kiedy byłam u niej na widzeniu, ze łzami w oczach wypytywała o ciebie.

– O mnie?

– Tylko o ciebie.

– Ze łzami w oczach?

– Z oczami pełnymi łez. Całe morze łez! Tak to jest, mój drogi. Ona wciąż ma dużą słabość do ciebie. Żeby mi tak zdrowa była! I żebyśmy tak wszyscy dożyli dnia, kiedy Mussolini, faszyści i zdrajcy Piłsudskiego razem z endekami źle skończą, i żebyśmy doczekali zwycięstwa socjalizmu na świecie.

Mojsze szczypie bródkę à la Trocki i patrzy na Binele z żałością udręczonego kochanka. Po chwili opróżnia kufel piwa jednym haustem, odstawia go z hukiem na stół i zadaje pytanie ze zdecydowaniem samobójcy:

– Kiedy jedziesz następny raz do tego kryminału?

– W następny czwartek.

– Pojadę z tobą.

Twarz Binele się rozpromienia. Czule głaszcze Mojszego po ramieniu.

– Naprawdę wielki z ciebie człowiek. Przezwisko Sokrates leży ci jak ulał. Tylko błagam cię na kolanach. Nie mów Cyporze, że opowiadałam ci, co dzieje się w jej sercu. Rozmawiaj z nią tylko o... ty już wiesz o czym. – Binele przysuwa się bardzo blisko do Mojszego, zarzuca mu rękę na szyję i szepcze mu gorąco do ucha: – Daj mi swoje proletariackie słowo honoru, że się jej oświadczysz i zaproponujesz, żebyście się pobrali, jak tylko wyjdzie z kryminału.

Binele nie czeka, aż Mojsze da jej swoje proletariackie słowo honoru. Skacze na równe nogi, łapie Mojszego za rękę i potrząsa nią energicznie. Bojąc się spojrzeć mu po raz ostatni w twarz, żeby zobaczyć, jakie wrażenie na nim zrobiły jej słowa, odzywa się pospiesznie:

– W następny czwartek, o siódmej, na przystanku tramwajowym na Radogoszczu! – Macha mu ręką i wybiega z knajpy.

*

Remont przedszkola wciąż widnieje w planach komitetu szkolnego. Na zatrudnienie ludzi do wykonania tej pracy nie ma pieniędzy. Ostatecznie rodzice postanawiają z nastaniem wiosny zebrać się i sami wyremontować przedszkole, które znajduje się w sercu Bałut – nie tylko je wyremontować, ale całkowicie przebudować tak, żeby stało się najnowocześniejszą instytucją, jaką można sobie wyobrazić dla dzieci w wieku przedszkolnym.

I tak rychtuje się drewnianą chałupę i urządza się w niej wspaniałe jasne sale. Po całodniowej harówce w pracy lub w soboty ojcowie i matki sami malują, meblują i przystrajają sale. Trwa to dosyć długo, przez całe lato. W tym czasie rodzice są tak samo pochłonięci tym projektem, jak ich dzieci pochłonięte są swoimi zabawami. Wszystko, co im samym podobało się w dzieciństwie, próbują ci tkacze, krawcy, pończosznicy, szewcy oraz handlarki z bazaru i targu rybnego sprawić dla swoich pociech. W odnowionej ochronce nie brakuje ławek, stolików, lalek i koników, piłek i trąbek. Jest tam nawet gołębnik z dwoma cukrówkami, prezent od Mojszego Sokratesa, który otrzymał je od łapacza gołębi, kawalera Cypory. Ten ostatni zwolniony został z więzienia przed Cyporą, dzięki sowitej łapówce pod właściwym adresem. Mimo że jest on teraz konkurentem Mojszego na polu miłości, utrzymuje z nim przyjacielskie stosunki. Opłaca się być dobrym kolegą Mojszego.

Tak samo jak inni rodzice, Jankew i Binele poświęcają każdą wolną minutę na pomoc w remoncie przedszkola, i tak jak inni rodzice jednocześnie przeżywają jeszcze raz pierwsze lata swojego życia, jakby tam powrócili, żeby odebrać coś,

co się im należy. Lecz to przeżywanie własnego dzieciństwa nabrało nowego wymiaru: trzeba wczuć się w dzieciństwo ich własnych pociech. Próbują przeżyć tę wielką radość, jaką Wierka i ja będziemy mieć z każdej zabawki, z każdej rzeczy, jaką dla nas, dzieci, sprokurowali rodzice.

Sobotni ranek późnego lata. Jankew i Binele przygotowują piaskownicę na podwórku. Jankew zbija ramę z desek pomalowanych na jasnozielono. Binele siedzi w środku ramy i rozsypuje żółtozłoty piasek, który jakiś towarzysz przywiózł na taczce. Z figlarną iskrą w oku Jankew, nie przerywając pracy, rzuca spojrzenie na Binele, która siada na obramowaniu piaskownicy. Pochylona, zaczyna formować rękami „babki" i zamki na piasku. Jankewowi nasuwa się porównanie: życie jest dziecinną zabawą w piaskownicy. Jedno dziecko może z taką łatwością zniszczyć piaskową budowlę innego dziecka lub zniszczyć budowlę własną – jednym kopnięciem nogi.

Skończywszy swoją część pracy, przysiada obok Binele. Wskazuje miejsca, gdzie powinna wznosić swoje domki z piasku. Ona droczy się z nim w żartach. Domki z piasku, które własnoręcznie formuje, mają przedstawiać najważniejsze, charakterystyczne budowle z Bocianów.

Jankew oddziela kupkę piasku dla siebie.

– To jest Błękitna Góra, na której oboje siedzimy – odzywa się. Podnosi patyk z ziemi i zaczyna nim rysować na piasku. – To jest szeroka Aleja Topolowa, a tu gdzieś powinna być kuźnia Joela Kowala. Tu przejeżdżam z Abraszką. – Przeskakuje patykiem do jednej z budowli Binele. – Tu jest klasztor żeński, a zaraz obok niego mój dom. Mama wygląda przez okno na ogród zakonnic.

Binele wyjmuje mu patyk z ręki.

– Tu jest Pociejów. – Zatacza nierówny okrąg. – Tu jest sklep twojej mamy w sąsiedztwie sklepiku z wapnem i kredą mojego taty. – Wyciąga rękę z patykiem w kierunku północnego rogu piaskownicy. – Tu ja mieszkam. Moje bociany, Mendl i Gnendl, stoją na dachu i czekają, żebym przyniosła im parę żabek z bajora. – Śmieje się w głos i naśladuje mowę swojej młodszej siostry: – Na podwólku koło studni ktoś patykiem w wiadlo dudni. – Szura obiema nogami i burzy budowlę, wyrównuje z powrotem piasek.

On macha do niej palcem:

– Bociany nie jest tak łatwo zniszczyć.

Ona wzrusza ramionami.

– Bawimy się jak dzieci. Tylko dzieci robią takie rzeczy. Kto chciałby zniszczyć Bociany? Teraz, kiedy stamtąd wyjechałam, już nie czuję takiej nienawiści do tego miasteczka. Przeciwnie, tęskno mi do niego.

Wstają z piaskownicy, wyprostowują się i spacerem idą do budynku, gdzie mieści się przedszkole, pachnące świeżą farbą. Jankew wyjmuje piłkę z kosza przy drzwiach, które są w trakcie malowania przez jednego z ojców. Rzuca piłkę do Binele. Ona łapie ją i odrzuca z powrotem. I tak, spacerując przez podwórze, rzucają piłkę tam i z powrotem nad głowami hałaśliwych grup rodziców,

którzy zajęci są różnymi pracami lub chwalą się swoimi dziećmi, jakie to są mądre, albo dyskutują o polityce czy po prostu bawią się wokoło, wygłupiają i dowcipkują.

Binele przysuwa się bliżej do Jankewa i podrzucając piłkę na ręce, powiada:

– Rzecz w tym, że Bociany nie są dla mnie takie ważne. Moje prawdzie życie zaczęło się w Łodzi, pięć i pół roku temu, kiedy urodziła się Wierka.

Ten patrzy na nią poruszony i zaskoczony.

– A nie wcześniej?

– Powiedzmy, że dziewięć miesięcy wcześniej.

– A może jeszcze trochę wcześniej?

Binele wygląda młodo i beztrosko. Odrodzone wewnętrzne dziecko przeziera w każdym jej ruchu. Jankew nie może oczu od niej oderwać. Pachnie utraconymi zapachami jego własnego młodzieńczego przebudzenia w Bocianach. Mruga do niego okiem rozbawiona i rzuca piłkę z powrotem do kosza.

– Może jeszcze trochę wcześniej, a może nie! – powiada i złapawszy go za rękę, ciągnie go w przeciwległy kąt podwórka. – Chodź, wypróbujmy huśtawki!

Siadają na bujawce. Oboje nie posiadają się z radości, gdy unoszą się w górę i opadają w dół, żeby znów wzlecieć w górę. Lecz oto Binele dostrzega w oddali Mojszego Sokratesa, który pojawia się na podwórzu z jakimś innym mężczyzną. Obaj taszczą nowiutki stojak z wieszakami na uczniowskie ubrania. Mojsze Sokrates jest bardzo aktywny w pracach wokół remontu przedszkola. Prócz gołębnika przyniósł niejedną zabawkę jako dar od swoich bałuckich twardzieli. Utrzymuje przyjacielskie stosunki z Binele i przynosi często pozdrowienia od Cypory, do której jeździ regularnie na widzenia.

Binele zeskakuje z bujawki. Odsuwa pasemka rozwianych włosów z czoła i, zostawiając Jankewa w tyle, podąża za Mojszem i tym obcym mężczyzną do pustej, dopiero co odmalowanej sali przedszkolnej. Mojsze, gdy tylko ją widzi, wyjmuje dużą, brudną chusteczkę do nosa z kieszeni, wyciera spoconą twarz z bródką à la Trocki, i pokazuje swojemu towarzyszowi, gdzie postawić stojak z wieszakami. Woła Binele gwałtownym ruchem głowy i wyszedłszy z nią na zewnątrz, bierze ją na stronę.

– Życz mi wszystkiego najlepszego, Binele – wydaje uroczyste chrypienie. – Cypora zgodziła się wyjść za mnie!

Twarz Binele oblewa się pąsem.

– Oj, Mojsze – jąka. – *Mazel tow, mazel tow!* – I chwyta go w objęcia, całuje jego bródkę i chlipie z głową na jego ramieniu.

Mojsze zmieszany, odpycha ją od siebie i przybiera ojcowską pozę.

– Ale ja ciebie proszę, Binele, opanuj się, bo ludzie patrzą. A Cypora i ja chcemy, żeby to na razie zostało w tajemnicy. Pamiętaj, żeby trzymać buzię na kłódkę. Powiedziałem ci, bo jesteś naszą najbliższą przyjaciółką. To żebyś nikomu nie pisnęła ani słówkiem, nawet twojemu mężowi!

– Oczywiście, obiecuję ci. – Wyciera sobie mokrą twarz i uśmiecha się do niego promiennie. – Co tylko zechcesz, obiecuję ci, Mojszeńku kochaniutki. Oj, gwałtu, co ja mam dzisiaj za dzień, co za szczęśliwy dzień!

Nie ma cierpliwości dłużej tu stać i idzie zawołać Jankewa. Po drodze do domu obwieszcza mu dobrą nowinę o Cyporze i Mojszem Sokratesie, dodając z nerwowym uśmiechem:

– Oj, miejmy nadzieję, że wyjdzie to na dobre, bo w przeciwnym razie nie będę mogła sobie wybaczyć.

*

Towarzyszka Mania, nauczycielka z przedszkola, jest fizycznie silniejszą kobietą, niż na to wygląda. Zdaje się, jakby jej siła hopsania dookoła i dokazywania z dzieciarnią pochodziła z jakiejś duchowej siły w niej. Jest nieskończenie nieszczęśliwa, garbata i brzydka, lecz jej ciepłe, wielkie oczy promienieją dobrocią, szlachetną serdecznością i radością życia, którymi zaraża dzieci – gdy sama zarazi się od nich. Jest chodzącą życzliwością, ucieleśnieniem niewinności i nieskalanej miłości bliźniego – typ wręcz socjalistycznej świętej. Jest przez Boga błogosławioną freblistką[165], inteligentną, pełną wiedzy, tolerancyjną i postępową. Więcej ma zadowolenia z pracy niż ze swoich zarobków. Miesiącami musi pracować bez wynagrodzenia. Podobnie jak w przypadku ojców i matek, a może nawet bardziej niż dla nich, przedszkole stanowi dla niej lustro, w którym się przegląda. Tu jest jej faktyczny dom. Tu jest jej święto w powszednie dni życia. Tu znajduje cel i sens swojego istnienia na świecie.

Wierka jest ulubioną uczennicą nauczycielki Mani. A z nadejściem nowego roku szkolnego, kiedy kończę cztery lata, ja też stają się jej podopieczną, lecz mniej lubianą. Urodziny Wierki i moje wyprawia się w przedszkolu z wielką pompą, z kolorowymi czapeczkami i brokatem, ze słodyczami – których ja nie tykam – i ze wszelkiego rodzaju prezentami, bez większości których mogłabym się doskonale obejść.

Prawda jest taka, że tak samo mocno, jak moi rodzice i Wierka przedszkole kochają, tak ja przedszkola nienawidzę. Jak ptak zamknięty w wygodnej, obszernej, pięknie udekorowanej klatce, nudzę się tam śmiertelnie, a świat jest mi ciasny. Sala zdaje mi się być ciaśniejsza od naszej izdebki na poddaszu z trzema wolnymi deskami, nie mówiąc już o mieszkaniu cioci Racheli lub o strychu, gdzie sąsiadki wieszają pranie do wyschnięcia, który dla mnie jest obszernym miejscem bez granic. Zorganizowana zabawa i robienie tego, co nauczycielce Mani się zachce, a nie tego, co chce się mnie, zatruwają mi życie.

---

[165] Freblistka – zwolenniczka metody Froebla w pedagogice, której podstawą było wychowanie opierające się na zabawowej i zajęciowej samodzielności i aktywności dziecięcej, angażujące głowę, ręce i serce. W Polsce wychowawczynie przedszkolne nazywano też „freblankami".

W każdy poniedziałek i czwartek uciekam więc z przedszkola. Zagubiona w gwarnym tłumie wąskich bałuckich uliczek, błąkam się wokół i płaczę – tak z zadowolenia, że zemściłam się na tych wszystkich, którzy chcieli mnie uwięzić, jak i ze strachu przed byciem samą i zabłądzeniem. Jako że moi rodzice są w pracy, o moim zniknięciu alarmuje się ciocię Rachelę. Biegną mnie szukać. Gdy, nie bez trudu, znajdują mnie, ciocia Rachela mało nie mdleje.

Gdy tylko Binele przychodzi z pracy do domu, ciocia Rachela wychodzi jej naprzeciw z wiadomością o związanej ze mną awanturze. Z nutą goryczy w głosie relacjonuje ze wszystkimi szczegółami, jak szukano zaginionego dziecka, jednocześnie mówi Binele do słuchu, jakie popełnia przestępstwo, zamieniając matczyną troskę swojej siostry o jej dzieci na anarchię heretyckiego przedszkola. Dopiero wtedy Binele bierze mnie na ręce.

Między mamą a mną rozpoczyna się nowy rozdział konfliktu. Mama rozwija nowiusieńką gamę wyrafinowanych sposobów, jak mnie ukarać tak, żeby odniosło to właściwy skutek. Odmawia zabierania mnie do kina, nie daje mi tych pięciu groszy na kolorowy papier samoprzylepny, a co najgorsze ze wszystkiego: nie bierze mnie na kolana, nie całuje mnie, kiedy przychodzi do domu z pracy, i w ogóle przestaje ze mną rozmawiać, jakby mnie nie zauważała. Jako odpowiedź na to udoskonalam własne metody walki i zemsty. Nazajutrz znowu uciekam z przedszkola albo udaję, że jestem obłożnie chora i zaraz umrę. Pukam też do cioci Racheli i nastawiam ją przeciwko mamie. Praktykowanie tych wszystkich metod udoskonala moje zdolności aktorskie. Osiągam prawdziwe mistrzostwo w wielkiej sztuce udawania.

Binele we własnym dzieciństwie nie marzyła nawet, że takie wspaniałe miejsce jak przedszkole może istnieć. I za żadne skarby nie może zrozumieć, co się ze mną dzieje. Jakie błędy popełniła w moim wychowaniu? I jak to się mogło stać, że akurat jej starsze dziecko, Wierka, jest wzorowym dzieckiem i nie sprawia żadnych problemów, gdy tymczasem drugie dziecko – ja – jaka bym nie była mała, przysparzam ogromnych kłopotów? I gdzie leży przyczyna, że ci sami rodzice mogą sprowadzić na świat dwoje tak różnych dzieci? Binele, owszem, odnajduje we mnie wiele cech jej własnego charakteru. Sama przecież była złośliwa w dzieciństwie. Lecz miała powód. Jej dzieciństwo bez mamy było takie beznadziejne. Ale ja? Czego mi brakuje? A jeśli jestem tak podobna do mamy, to dlaczego pozostaję taką zagadką, że nawet ona, mama, nie może znaleźć skutecznych środków, żeby dać sobie ze mną radę?

Binele wstydzi się przed nauczycielką Manią i tysiąc razy przeprasza za kłopoty, jakie jej sprawiam.

– Jak chodzi o Miriamkę, towarzyszko Maniu, prawdziwa ze mnie ciemnota – skarży się Binele.

Nauczycielka Mania pociesza ją, jak może, lecz zupełnie nieprzekonująco. Zdaje się, że sama nie potrafi zrozumieć kaprysów losu, które wpływają na fizyczną

i duchową konstrukcję człowieka. Prawdopodobnie sama szuka w swojej fizycznej odmienności odpowiedzi na podobne pytania i błądzi w ciemności.

Lecz matce dwójki dzieci, które mają wyrosnąć „na ludzi", nie wolno błądzić w ciemności! Odpowiedzialność macierzyństwa to nie drobnostka! Binele musi dogłębnie przestudiować zasady wychowywania dzieci. Musi szukać wszystkich możliwych dróg, żeby dokopać się do zagadki charakteru jej najmłodszej córki i usunąć braki w jej wychowaniu. Tymczasem dochodzi do jedynego logicznego wniosku, że wyprawiam takie sztuczki nie z innego powodu, tylko z „luksusów".

Doszedłszy do takiego przekonania, porzuca znowu zasadę niepodnoszenia nigdy ręki na swoje dziecko. Towarzyszka Hanka oświadczyła kiedyś, w czasie jednego z referatów, że jeśli człowiek trzyma się uparcie swoich zasad i nie bierze pod uwagę okoliczności, zniszczy ostatecznie sedno tych zasad i zostaje w ogóle bez nich. To daje Binele moralne uzasadnienie, by mi tak dosolić, żebym popamiętała. Za każdym razem kiedy uciekam z przedszkola, mama gołą ręką – tą ręką, która może czule głaskać – wlepia mi taką „porcję" na wypięty tyłek, że każdy klaps czuję nie tylko na pupie, ale niczym ogień w samym sercu.

Tym razem, kiedy Jankew przychodzi do domu z pracy, Binele jemu także daje reprymendę, czemu tak rozpieścił tę „małą" jak dziadowski bicz i obarcza go odpowiedzialnością za ten stan rzeczy.

– Pamiętaj – ostrzega go – to ty będziesz winny, jeśli wyrośnie z niej dzika koza!

Następnie spogląda na mnie na poły przepraszająco. Prawdopodobnie ma przed oczami mój czerwony zadek i przypomina sobie, jak jej własny ojciec nieraz skroił jej tyłek, i wstyd pali jej serce. Z niespodziewaną łagodnością zadaje mi pytanie:

– Dlaczego nie możesz być jak twoja siostra? Wierka jest grzeczną dziewczynką, a ty nie.

Zdaje mi się, że widzę łzy w oczach mamy. Niezależnie od palącego mnie tyłka, napełniają one moje serce kąśliwą przyjemnością. Te łzy są widomą oznaką mojego zwycięstwa nad nią.

Wierka obejmuje mamę pulchnymi rączkami. Potrząsa kosmykami wokół jej twarzy i mówi:

– Jestem grzeczną dziewczynką, bo nie chcę, żebyś płakała, mamo.

Jej wielkie miodowobrązowe oczy patrzą w górę na matkę z nabożną miłością. Binele głaszcze starszą córkę po głowie z pewną dozą powściągliwości, mając na względzie swoją inną zasadę: nie wzbudzać zazdrości pomiędzy dziećmi. I tak wie dobrze, że w tym oto momencie czuję się wyjątkowo podle.

Lecz kiedy Binele rzuca spojrzenie na kształtną twarzyczkę Wierki, robi się tak rozczulona oddaniem, jakie wyziera z wielkich brązowych oczu córki, że nie może się przezwyciężyć i porzuca także i tę zasadę. Ujmuje głowę Wierki w swoje ręce i podczas gdy tata i ja się przyglądamy, czubkiem swojego nosa dotyka czubka jej nosa, bodzie ją i wydaje entuzjastyczny okrzyk:

– Oj, ty złodziejko mojego serca! Paskudo ty moja! – Następnie cmoka Wierkę w oba policzki.

Mnie serce kołacze się w piersiach. Zapłakana, z bolesnymi skurczami żołądka, spuszczam głowę i proszę, żeby ziemia rozstąpiła się pode mną i żeby mnie pochłonęła. I tak stoję obok taty i domyślam się, że prawdopodobnie chce mu się zrobić taki sam „cymes”[166] z Wierką, jaki robi mama. Gdybym znała w tej oto chwili szybką procedurę, jak samemu się zabić, zrobiłabym to. Lecz jeszcze jej nie znam. Co wiem, to to, że można zakończyć życie z pomocą kogoś innego, przez zamordowanie, jak ten mały szajgec ze szkoły został zamordowany. Dlatego postanawiam – kiedy tak oto stoję – ukarać mamę na dobre przez drastyczny akt, którego nie da się cofnąć, to znaczy przez jej zamordowanie. Postanawiam przy okazji zamordować także Wierkę, a z nią – tatę, bo mam poczucie, że w głębi serca trochę jeszcze trzyma ze mną, a całą resztą trzyma z Wierką.

Binele kończy tę scenę praktycznym wnioskiem:

– Jako że Wierka jest taką dobrą dziewczynką, zacznie już niedługo chodzić do właściwej szkoły!

Chwytam się promyka nadziei: skończyć z dzieciństwem i zacząć chodzić do „właściwej” szkoły! Zapominam o zamiarze zamordowania rodziców i Wierki i występuję na koniec z publiczną deklaracją, jaką mama chce usłyszeć:

– Jak będę chciała – wykrzykuję – to jeszcze będę lepszą dziewczynką jak Wierka i też będę paskudą! – Wiem, że u mamy dobra, ładna dziewczynka nazywa się „paskuda”.

– Ty nie jesteś paskudą! – Mama promienieje uradowana, odpłacając mi kulejącym komplementem. W tym właśnie wypadku chcę bardzo, żeby mama zgodziła się na moją paskudę. – Jesteś piękna jak złoto, taka jesteś – kontynuuje Binele. – Tylko słuchać nie chcesz. I uciekasz z przedszkola, przysparzając zgryzot nam i nauczycielce Mani.

– To kłamstwo – protestuję. – To mnie nauczycielka Mania przysparza zgryzot!

– Nauczycielka Mania jest najlepszą nauczycielką na świecie! – Binele kręci głową i grozi palcem, robiąc ostatni wywód. – Pamiętaj, jeśli jeszcze raz uciekniesz z przedszkola, powiem nauczycielce Mani, żeby nikt nie biegł ciebie szukać. Zabłądzisz tak, że już nigdy nie odnajdziesz drogi do domu.

Uciekanie z przedszkola z własnej woli, żeby ukarać mamę lub nauczycielkę Manię, to jedna rzecz. Lecz zabłądzić i nie znaleźć drogi powrotnej do domu, kiedy nikt nie biegłby mnie szukać, to inna, bardzo straszna rzecz. Tamtej nocy, po tej scenie w domu, śni mi się koszmarny sen. Ubrana w białą nocną koszulinę wędruję sama jedna, zabłąkana w lunaparku, gdzie w sobotnie popołudnie, całkiem niedawno, byłam z rodzicami i z Wierką. Sama jedna wędruję w ciemnościach, między pustymi karuzelami

---

[166] Cymes – rodzaj słodkiego deseru, najczęściej z marchewki i jabłka oraz cukru i cynamonu, coś pysznego, przysmak. Tu w znaczeniu: pieszczota, coś miłego.

wszędzie dookoła. Kominiarz Babele-Ber, który wiatr nosi jako szal z czarnego dymu wokół szyi, kręci karuzelą rękami w czarnych rękawiczkach. Wokół jest przeraźliwie cicho, a jednak nie słyszę moich własnych kroków ani mojego własnego krzyku, choć krzyczę tak mocno, że tracę oddech i nie mogę go odzyskać – i wtedy się budzę.

*

Rezygnuję z uciekania z przedszkola. Lecz nauczycielce Mani nie czyni to życia ani odrobinę lżejszym. Odmawiam kategorycznie robienia „kółka" i śpiewania *Szejninke blimelech waksn in gortn*[167], kiedy nie mam na to ochoty. I nie mogę też znieść zimnych lalek, którymi bawią się dziewczynki. Te lalki przypominają mi tego martwego małego szajgeca i powodują, że zaczynam rozmyślać o śmierci i o Babele-Berze. Wszystkie lalki, jakie mi przynoszą, wspaniałomyślnie daję w prezencie Wierce.

Jedyne, co sprawia mi odrobinę przyjemności w przedszkolu, to jak dorwę się do gołębi. Lecz muszę to robić po kryjomu, bo – po pierwsze – często jestem karana utratą prawa zbliżania się do gołębnika; po drugie – karmi się te gołębie w obecności nauczycielki Mani, a wtedy robi się taka przepychanka koło gołębnika, że biedne gołębie, które nazywają się „cukrówki", nie wiedzą, komu najpierw powiedzieć „cu-kru", i zdezorientowane trzepoczą się w klatce. Wtedy zaczyna z ich małych, cienkich skrzydełek lecieć biały puch. Napełnia on klatkę i niesie się aż do mnie, która stoję gdzieś z tyłu – jako osobiste pozdrowienie od gołębi dla mnie, która też jestem zamknięta w klatce. Te pióra są ich wołaniem o pomoc do mnie. Bardzo dobrze rozumiem ich dolę.

I tak się złożyło pewnego dnia, że nauczycielka Mania wywiesiła gołębnik na podwórku, żeby gołębie miały trochę słońca i świeżego powietrza. Niewiele myśląc, wyślizguję się ukradkiem na podwórko i otwieram drzwiczki gołębnika, żeby gołębie mogły uciec. Zaraz wracam do sali i kieruję się prosto do kącika, gdzie chłopcy bawią się drewnianymi klockami. Żeby się uspokoić, siadam i zajmuję się wznoszeniem budowli z klocków. Lecz gdy tylko zaczynam wykonywać ten projekt, chłopcy zaczynają bić się ze mną i mi zarzucać, że zabieram dla siebie najładniejsze klocki.

– Idź i baw się z dziewczynkami! – rzuca się do mnie Gabi Cederbojm, najwyższy i najsilniejszy ze wszystkich chłopców, i zaczyna odpychać mnie od skrzynki z klockami. – Idź i baw się talerzykami i miseczkami albo lalkami! – ryczy na mnie.

Gabi jest okropnie dumny z tego, że jest chłopcem, podczas gdy ja traktuję bycie chłopcem za ułomność, którą przyrównać można do nieszczęścia, zamiast uważać to za rzecz, z której należy być dumnym. Miałabym na pewno więcej litości dla chłopców, gdyby nie zachowywali się tak bezczelnie w stosunku do

[167] (jid.) *Śliczne kwiatuszki w ogródku rosną* – słowa piosenki dziecięcej.

mnie i nie byli stale gotowi do bitki. Prócz tego są wstrętni i niezgrabni. Zmusza się ich, żeby mieli krótko obcięte włosy, i muszą chodzić do razury[168] częściej niż dziewczynki. A obcinanie włosów to największe nieszczęście, jakie przydarzyć się może dziecku, jeśli nie liczyć nieszczęścia polegającego na pójściu do kasy chorych – do lekarza lub do dentysty.

Gdy wielki Gabi podnosi na mnie rękę, oddaję mu, bo mam pewność, że jestem tak samo silna jak on, mimo że on jest wyższy i silniejszy ode mnie i niedługo pójdzie do „właściwej" szkoły. Na moje szczęście mogę zachować pewność siebie dzięki nauczycielce Mani, która interweniuje natychmiast. Rozdziela nas i bierze Gabiego za rękę, a mnie za drugą.

– Zaczynamy próbę orkiestry! – wykrzykuje.

Taki rozwój wypadków jest mi bardzo na rękę, przede wszystkim dlatego, że jest to dowód, iż nauczycielka Mania nie wie jeszcze, że gołębie wyleciały z gołębnika i nigdy nie wrócą; po drugie, czas leci szybko i przyjemnie, kiedy wszystkie dzieci jako orkiestra wygrywają razem różne melodie na tamburynach, cymbałkach i fujarkach. Nauczycielka Mania każe dzieciom wyobrażać sobie, że są gołąbkami fruwającymi nie po klatce, tylko w powietrzu nad jakimś pięknym ogrodem. Usłyszawszy to, wpadam w taki zachwyt, że odrzucam moją fujarkę i zaczynam hopsać wokół dzieci, które grają na instrumentach – w swego rodzaju tańcu, który sprawia, że zapominam, iż jestem małą dziewczynką w klatce przedszkola, tylko widzę siebie jako swobodnego gołębia fruwającego po ogrodzie.

Nauczycielka Mania łapie mnie za ramiona i powiada do mnie:

– Gołąbek nie lata tak szybko i dziko, Miriamko. Pomału porusza skrzydełkami w górę i w dół.

Mimo że jestem mniejsza od nauczycielki, patrzę na nią z góry, z pogardą. Co ona może wiedzieć o uczuciach gołąbka, który bardzo długo siedział w klatce i dopiero co wyleciał na wolność? Lecz ze zmartwienia z powodu tego psikusa, który zrobiłam na zewnątrz z gołębiami, nie chcę wdawać się z nią w polemikę. Jestem jej posłuszna i zaczynam powoli poruszać ramionami, jak stateczny gołąbek. Robię się tak znudzona tym jednostajnym rytmem, że całkowicie tracę zainteresowanie dla tej improwizacji. Tymczasem zainspirowane moim tańcem inne dzieci odrzucają instrumenty i zaczynają hopsać po całej sali. Zabawiam się podstawianiem nogi temu lub tamtemu. Oni mi oddają, szarpią mnie za włosy i śpiewają: *Geler kanarik, arop fun marik, arajn in keler, arojs a geler*[169], i płacząc, walą mnie piąstkami. Wybucham płaczem. To jest dramat: oni wszyscy przeciwko mnie jednej!

Nauczycielka Mania postanawia natychmiast zapomnieć o próbie orkiestry i otwiera sesję sądu, podczas której moje antyspołeczne zachowanie zostaje podniesione

---

[168] Razura (daw.) – zakład fryzjerski z golarnią.

[169] (jid.) *Żółty kanarek, pojechał na jarmark, do piwnicy wleciał, żółty wyleciał* – piosenka dziecięca.

przez większość dzieci. Głosują i postanawiają odesłać mnie z sali na dziesięć minut. Nauczycielka ma prawo skorzystać ze swojego weta i odwołać wyrok, lecz powstrzymuje się od tego. Prawdopodobnie jest zmęczona kłopotami, jakie jej sprawiam. Wie bardzo dobrze, że z przedszkola więcej nie ucieknę, i wyrzuca mnie z sali.

Gdy tylko wychodzę na podwórze, biegnę do gołębnika – i oddech zamiera mi w krtani. Moim oczom ukazuje się scena, jakiej nigdy bym sobie nie wyobrażała, że mi się ukaże. Dwa białe gołębie siedzą w gołębniku, na wąskiej drewnianej bujawce, i przytulone jeden do drugiego, huśtają się pomału tam i z powrotem. Otwarte drzwiczki gołębnika kołyszą się lekko na wietrze, jakby zapraszały je do wyfrunięcia – a one udają, że tego nie widzą.

Coś ścisnęło mnie za serce. Jakie rozczarowanie! Jaki żal! Mocno zdenerwowana zagryzam wargi, zakasuję rękawy i zaczynam mazać okna przedszkola błotem. Serce wzbiera mi tęsknotą za dobrym Doktorem Bum-Bumem z wiecznie szczęśliwej Nibylandii, o którym tata opowiada często Wierce i mnie wspaniałe historie. Życzę sobie, żeby Doktor Bum-Bum uwolnił gołębie z ich niechęci do bycia wolnymi, i żeby przy okazji mnie uczynił o dwa lata starszą, żebym mogła zacząć chodzić do „właściwej" szkoły.

Na przedstawieniu dziecięcym, które nauczycielka Mania przygotowuje na koniec roku szkolnego, mają dzieci odśpiewać i odtańczyć piosenkę, która też ma związek z kwestią fruwania. Tylko że tym razem dotyczy to motyla – a mnie bardzo zależy na tym, żeby dostać tę rolę. Bo to nie jest byle co dla znudzonego motyla, który tak sobie lata bez celu. To jest motyl z raną w malutkim swoim serduszku. Zaraz umrze śmiercią, która nie ma nic wspólnego z Babele-Berem. Jest to przepiękna śmierć.

Z łatwością przychodzi mi przekonanie nauczycielki Mani podczas prób, że tylko ja, a nie kto inny, powinien zostać wybrany do tej oto roli; że to jest moja rola, bo tylko ja rozumiem, co to znaczy nosić ranę w sercu i jak to boli. Fakt, że udaje mi się ostatecznie wyjednać u nauczycielki granie tej roli, jest dowodem na jej mądrość. Tym dyplomatycznym manewrem znajduje ona sposób, jak wypracować pokojowe porozumienie między nami.

Zaczynam przygotowywać się do tego smutnego tańca, gdy tymczasem wszystkie dzieci towarzyszą mi – część grając melodię piosenki w orkiestrze, inne śpiewając jej słowa w chórze drżącymi głosami. Melancholijnie kołyszą się wokół mnie w wielkim kole, a ja swoimi ruchami wyrażam słowa utworu:

Ch'hob gezen a flaterl flatern fun bojm cu bojm,
di fligelech cewundikt, flit es... flit es kojm[170].

[170] (jid.) *Widziałam, jak motyl z drzewa na drzewo frunie, / Skrzydełka ma złamane, ledwo lecieć umie.* – piosenka dziecięca.

Tańczę „w boleściach", jak zraniony motylek powinien tańczyć. Moja wykrzywiona twarz wyraża smutek nadchodzącej śmierci. Wydaje się dziwne, że martwy mały szajgec i jego mama w czarnych pończochach, ta, która wołała go „Jezus Maria", stoją mi ciągle przed oczami – a ja nie czuję strachu zwyczajnego, tylko nowy rodzaj strachu: strach przesiąknięty melancholijną słodyczą. Przyjemny strach. Zajmuje on czasowo miejsce tego wcześniejszego, przerażającego strachu, który często budzi mnie ze snu i powoduje, że krzyczę. Kiedy chór dochodzi do tego miejsca w piosence, gdzie mówi się o promieniach zachodzącego słońca, które skrywają umierającego motyla za szczytem góry, opanowuje mnie – mimo że nigdy nie widziałam na oczy żadnej góry – uczucie nabożnej trwogi, magiczne, zapierające dech w piersiach. Po raz pierwszy w życiu mogę posmakować szczęścia, które jest poza i ponad okolicznościami.

Przedstawienie bardzo się publiczności podoba. Zarówno rodzice, jak i dzieci są poruszeni. Wowa Cederbojm wygłasza krótką, głośną i komiczną przemowę. Dorośli śmieją się. Następnie wstaje ktoś inny z gości i deklamuje długą polityczną mowę, której nikt nie słucha. Dorośli co parę minut wznoszą aplauz, prawdopodobnie żeby nie zasnąć. Następnie Mojsze Cederbojm czyta kilometrowy poemat, napisany specjalnie na tę okazję. I jego też oklaskują entuzjastycznie.

Sorka Fidler, która grała na ksylofonie w czasie przedstawienia, podchodzi do mnie.

– Chcesz być moją najlepszą przyjaciółką? – pyta.

Kiedy kiwam potakująco głową, Sorka wyjmuje pomarańczową kredkę z kieszeni fartuszka i daje mi ją w prezencie, żeby przypieczętować naszą „najlepszą przyjaźń". Następnie podchodzi z powrotem do swojego taty, Zalmana, zajmującego się wypiekiem ciastek, i bierze go za rękę, bo jej mama jest zbyt chora, żeby przyjść na przedstawienie.

Kiedy nudna ceremonia się kończy, moi rodzice chwytają mnie w objęcia i wycałowują. Wierka dopada do mnie i krzyczy:

– Tańczyłaś jak prawdziwa balerina!

Spoglądam na nią podejrzliwie.

– Co znaczy balelina? – pytam. Tym razem Wierka nie patrzy na mnie z góry, tylko poprawia moją wymowę i powtarzając to słowo, tłumaczy, co znaczy balerina. Usłyszeć taki komplement od własnej siostry to największa pochwała, jaką mogę dostać.

Począwszy od tego dnia, gdy tylko pytają mnie, kim chcę być, jak dorosnę, odpowiadam z dumą: „Baleliną! Wielka będzie pisalką, a ja baleliną".

Rozdział dwunasty

Pewien gość zaczyna przychodzić do nas na górę: Anton Cimerman. Nie jest już nauczycielem Binele na kursach w „Harfie". „Harfa" została definitywnie zamknięta przez władze[171] i działalność Kultur-Lige przeniesiono do lokalu partyjnego. Anton, gdy stał się radnym miejskim i awansował, jakby wbrew własnej woli, na dosyć wysoką pozycję w partii, nie ma już czasu na przerabianie materiału z uczniami. Musi także utrzymać swoją posadę w instytucie dla ociemniałych dzieci, a prócz tego nie ma nikogo, kto mógłby go zastąpić jako przemawiającego w języku polskim i jako piszącego artykuły do polskiej prasy socjalistycznej.

Zazwyczaj Anton zachodzi do nas, kiedy Jankew jest na posiedzeniu komitetu szkolnego. Jak zwykle Binele udaje, że przyjmuje jego wizytę z pewną dozą obojętności. Jak za każdym razem, gdy nas odwiedza, podaje mu herbatę w lśniącej czystością szklance i ciastka z konfiturami na przekąskę. On siorbie herbatę, siedząc na brzegu łóżka koło stołu, trzyma mnie na kolanach i tarmosząc moje włosy, papla z Wierką.

Binele prosi go, żeby przepytał ją z czytania „Folkscajtung" i ocenił, czy zrobiła postępy z nowym nauczycielem. Czyta mu na głos artykuł o Romanie Dmowskim[172], tym okropnym judofobie, który głosił, że Polska musi się przebudować na zasadach faszystowskich, zanim jeszcze słowo takie jak „faszyzm"

---

[171] Stowarzyszenie kulturalne „Harfa" zostało zamknięte w 1922 r. na fali oskarżeń wobec lewicowych organizacji żydowskich o popieranie władzy bolszewickiej.

[172] Roman Stanisław Dmowski (1864-1939) – polityk i publicysta, współzałożyciel ruchu narodowego, główny ideolog polskiego nacjonalizmu. Przeciwnik polityczny Józefa Piłsudskiego i jego wizji Polski wielowyznaniowej i wielonarodowościowej.

istniało. Anton Cimerman prawi Binele komplementy za szybkie czytanie. Ta jest z siebie zadowolona – lecz markotna z powodu treści artykułu. Myśl o faszyzmie niepokoi ją, więc zadaje Antonowi różnorakie pytania na ten temat. Następnie, dla poprawy nastroju i żeby się rozweselić, prosi Wierkę, która chodzi już do „prawdziwej" szkoły, żeby przeczytała coś ze swojego podręcznika, a mnie każe zaśpiewać piosenkę, której nauczyłam się w przedszkolu. Nie mam dobrego głosu do śpiewu. Kiedy udaje mi się jakoś przebrnąć przez śpiewanie, towarzysz Cimerman klaszcze mocno w dłonie i prosi mnie, żebym zaśpiewała coś jeszcze.

Wdzięczna, mówię do niego:

– Nie chcę. Chcę, żebyś przeczytał mój list do Doktola Bum-Buma, i zobaczył, czy nie zlobiłam jakichś błędów.

Ześlizguję się z jego kolan i wręczam mu kawałek z wczorajszego „Folkscajtung" pomazanego pomarańczową kredką, którą Sorka dała mi w prezencie. Mama i Wierka wybuchają głośnym śmiechem, lecz towarzysz Cimerman uśmiecha się tylko nieznacznie. Przelatuje list oczami i gdy tylko kończy czytanie, mówi, że nie zrobiłam ani jednego błędu.

Ten sam poważny półuśmieszek igra na twarzy Cimermana, gdy pomaga Binele ustawić łóżeczko składane dla mnie i Wierki. Jest jej przyjemnie w jego towarzystwie. Delektuje się siłą, jaką tchnie jego postać. Jest jakaś elegancja w jego wyglądzie. Nosi ciemną marynarkę, a także krawat, jakby był w zamożnym domu z oficjalną wizytą. Przygląda się, jak Binele myje i kładzie nas do łóżka. Przypatruje się jej, jak paple i żartuje z nami, córkami. Następnie, po tym, jak nas przykryła i ucałowała, Binele wraca do stołu i czyta mu dalej „Folkscajtung". Następnie rozmawia z nim spokojnie o swoich codziennych kłopotach. Jest zafrapowany wszystkim, co ona mówi. Wlepia w nią poważny wzrok, ledwo widoczny uśmieszek igra na jego wargach.

– Dlaczego tak na mnie patrzycie? – zadaje mu w końcu pytanie, a jej oczy uśmiechają się psotnie. – Czy mucha siadła mi na nosie?

On przygryza wargi, a następnie odzywa się:

– Tak, na samym czubku, ale ja ją wypędzę.

– Ja nie mam much w nosie.

– Przepraszam. Nie chciałem was urazić. Wycofuję się.

– Dokąd?

– Do ściany.

– Gdybyście jeszcze raz naigrywali się ze mnie, będziecie musieli wycofać się za drzwi.

– Będę tam płakać.

– Złotej łzy nie uronicie.

– Krwawą łzę.

– To jest propaganda.

Rzęsisty deszcz dzwoni o ciemne szyby. Binele podaje Cimermanowi kolejną szklankę herbaty i nalewa także dla siebie. Ciepłe złoto jej włosów, upiętych

w kok, kąpie się w świetle lampy naftowej, która stoi na stole; światło elektryczne w domu często gaśnie. Krąg światła rzucany przez lampę naftową obejmuje jej kontur i kontur Cimermana, pozostawiając resztę izby zatopioną w ciemności. Kiedy zaczynam pogrążać się we śnie, czuję, jakby szeroki krąg światła nad stołem wsysał mnie w siebie jak w krąg cichej tęsknoty. Próbuję wyobrazić sobie tatę i mamę w takiej cichej scenie – i nie mogę. Kiedy rodzice są razem, powietrze wokół nich wibruje napięciem, jakimś radosnym niepokojem. Im bliżej siebie siedzą rodzice, tym bardziej coś dziwnego buzuje między nimi – przyjemnego, lecz także niesamowitego. Krąg światła, który ich obejmuje, zarówno wchłania mnie w siebie, jak i od siebie oddala.

*

Są to ciężkie czasy dla żydowskiego życia społecznego. Władza odbiera subsydia dla żydowskich szkół świeckich[173]. Przedszkolu i może również szkole dziennej grozi likwidacja. We wcześniejszych latach Władimir Medem zwykł udawać się z misją do Ameryki, żeby gromadzić fundusze dla sieci żydowskich szkół ludowych w Polsce. Lecz trzy lata temu zmarł tam na chorobę nerek i nie ma nikogo, kto by go zastąpił. Nauczyciele przez cały rok nie dostają wypłaty i przymierają głodem. Nauczycielka Mania jest poszarzała i wygląda żałośnie, kiedy śpiewa z nami, dziećmi, w korowodzie: *Szejninke blimelech waksn in gortn*[174].

Zbici z tropu i pełni troski z powodu sytuacji nauczycieli, Jankew i Wowa, razem z innymi członkami komitetu szkolnego, wyruszają co dzień po pracy, żeby zbierać pieniądze od osób prywatnych. Isroel Lichtensztajn objeżdża miasta i miasteczka Polski, żeby prowadzić kampanię na rzecz szkoły.

W pewne sobotnie popołudnie Jankew bierze Wierkę i mnie, a Wowa swoją córkę Malkę, i udajemy się na spacer do Parku Kolejowego[175], żeby ojcowie mogli ze spokojną głową omówić to, co musi zostać zrobione dla poprawy sytuacji szkół. Malka Cederbojm nie przyjaźni się ze mną. Jest starsza ode mnie o cały rok. Chodzi już do pierwszej klasy „właściwej" szkoły i dla niej jestem jeszcze smarkulą. Malka jest zainteresowana raczej znalezieniem łaski w oczach Wierki.

---

[173] Sprawa dotacji dla szkół i organizacji propagujących język jidysz nieustająco wracała w dwudziestoleciu międzywojennym na obrady Rady Miejskiej w Łodzi, rozpalając łódzkich radnych i przychodzącą na obrady publiczność. Na początku lat 30. oszczędności budżetowe planowano uzyskać dzięki skreśleniu dotacji dla instytucji mniejszości narodowych. Zob. więcej: M. Trębacz, *Izrael Lichtenstein. Biografa żydowskiego socjalisty*, 2016.

[174] (jid.) *Śliczne kwiatuszki w ogródku rosną* – słowa piosenki dziecięcej.

[175] Park Kolejowy albo Ogród Kolejowy to dzisiejszy Park im. Stanisława Moniuszki przy Dworcu Łódź Fabryczna.

Lecz Wierka jest już w drugiej klasie i Malka jej nie interesuje. Obecnie, w Parku Kolejowym, kiedy ojcowie przestają mówić ze spokojną głową i zaczynają złościć się jeden na drugiego, my, córki, chwytamy każda swojego tatę i też zaczynamy słowną przepychankę. Malka, zaatakowana z dwóch frontów, przez Wierkę i przeze mnie, trzyma się dzielnie, może dlatego, że jej tata ma moralną przewagę w tej sprzeczce. Wierka i ja życzymy sobie, żeby nasz własny tata zajął stanowisko Wowy.

Park Kolejowy wygląda odświętnie. Jest początek lata. Drzewa stoją ustrojone w seledynowe listowie. Spacer z tatą jest niebywale wspaniałym wydarzeniem. A tu nikt nie ma odrobiny przyjemności. Bezcenne minuty idą na zmarnowanie!

Podczas tej kłótni Wowa i Jankew powtarzają wciąż nazwisko kogoś, kto nazywa się Baruch Wajskop. Nastaję na Wierkę, żeby mi powiedziała, kim jest ten człowiek, żebym była bardziej skuteczna w obronie taty przed Malką. Wierka przerywa więc swoją kłótnię z Malką i wyjaśnia mi:

– Baruch Wajskop to wielki bogacz, który kiedyś był najlepszym przyjacielem taty, ale teraz jest jego najgorszym wrogiem klasowym[176].

– Tata i ten człowiek chodzili do jednej klasy w szkole? – pytam.

Malka wybucha szyderczym śmiechem.

– Nie, głuptasku. To są klasy dorosłe.

– Klasy, gdzie mama chodzi się uczyć?

– Nie! To są klasy, gdzie niczego się nie uczy. To są klasy, które tylko walczą.

Wierka robi gwałtowny zwrot w stronę Malki i krzyczy na nią:

– Powinnaś się wstydzić za swojego tatę! On należy do tej samej klasy, co nasz tata, a chce, żeby nasz tata poszedł do swojego wroga klasowego po pieniądze dla biednych szkół żydowskich, które nie mają pieniędzy!

W tej oto chwili Wowa krzyczy rozjuszony i macha długim palcem Jankewowi przed nosem:

– Weź to sobie pod rozwagę, Jankewie! Szkoły upadną! A ty będziesz za to odpowiedzialny! To, co możemy uzbierać od tysiąca naszych ludzi, Wajskop zbierze w czasie jednego swojego bankietu! Wy, pięknoduchy, wyprowadzacie mnie z równowagi, żebym tak był zdrów! Na księżycu żyjesz czy co?!

Jankew kręci uparcie głową.

– Nie zawracaj gitary, Wowa, proszę cię. Co to ma wspólnego z pięknoduchostwem? Ja... ja, jako osoba prywatna, do Wajskopa nie pójdę. Nigdy w życiu! Poślij kogoś innego!

Jankew wzdryga się na samą myśl o spotkaniu z Baruchem, nawet bardziej jeszcze niż na myśl o spotkaniu z jego żoną, Polą, Czarną Damą.

– Ale dlaczego, na miłość boską! – pomstuje Wowa. – Nikt z nas nie uzyska od niego tego, co ty możesz uzyskać. Musisz go przekonać, żeby zorganizował dla

[176] Historię znajomości Jankewa z Baruchem Wajskopem opisała Rosenfarb w drugiej części *Bocianów*.

nas gotówkę na pokrycie zaległego komornego, żeby można było rozpocząć rok szkolny. Lichtensztajn zrobi to samo, kiedy wróci z robienia kampanii. – Fakt, że Wowa nie może dojść przyczyny tej zawziętości, doprowadza go do pasji. – Co ci nagle przyszło do głowy? – Wowa bije się w czoło. – Powinieneś być szczęśliwy, że możemy wykorzystać twój osobisty kontakt z nim. To przecież jest szkoła twoich dzieci, do licha!

– Czego ty ode mnie chcesz? – broni się Jankew. – Przez dziesięć ostatnich lat nie widziałem tego człowieka na oczy!

– No to co? Wiem, że łączy was wspólna przeszłość.

– To ty żyjesz na księżycu, nie ja! – traci cierpliwość Jankew. Mimo że wie, iż to, co mówi Wowa, jest sensowne, łapie Wierkę i mnie za rękę i wybiega z nami z Parku Kolejowego.

Baruch Wajskop nie jest człowiekiem politycznym w dosłownym tego słowa znaczeniu, lecz nie jest też człowiekiem społecznie obojętnym. Dzięki swojemu bogactwu i pozycji w mieście ma coś do powiedzenia w sprawach kahalnych[177]. Na obecnym etapie życia bardzo go obchodzi narastający antysemityzm w niepodległej Polsce i, mimo cynicznego podejścia do życia, ogarniają go uczucia przekornego żydowskiego oporu oraz optymizmu.

Jego własne gimnazjum dla dziewcząt żydowskich nadal utrzymuje ten sam asymilatorski charakter, jak wtedy, gdy je założył przed wojną polsko-bolszewicką. Lecz wprowadza tam w końcu jedną lekcję hebrajskiego. Zasila hojną ręką wszelkiego rodzaju świeckie instytucje żydowskie, nieważne do jakiego ruchu politycznego należą. Jest faktycznym ojcem założycielem pierwszego poważnego teatru żydowskiego w Łodzi i współzałożycielem żydowskiego teatru rewiowego. Uważa hebrajski za język narodowy Żydów, a jidysz zasadniczo za język ludu, do którego ma osobisty sentyment.

Baruch Wajskop posiada bardzo wpływowych przyjaciół. Jego dom jest dobrze znany w mieście jako „salon", gdzie najbogatsi i najbardziej wykształceni żydowscy obywatele Łodzi spotykają się, prowadzą krotochwilne rozmowy i oddają się ekstrawaganckim swawolom; „salon", którym *madame* Pola, żona Barucha, włada z królewskim autorytetem. W przeciwieństwie do swojego męża, jest ona całkowicie zasymilowana i lekceważąco nieprzychylna żydowskiemu życiu kulturalnemu, politycznemu i społecznemu. Nienawidzi języka żydowskiego, jakby ten język był jej osobistym wrogiem – wstrętnym żargonem i utrapieniem. Zagorzała polska patriotka, uważa się za Polkę, lecz – niestety – żydowskiego pochodzenia. Już ona dba o to, żeby rozmowy w jej „salonie" nie obracały się wokół tematów, które mają związek z narodowo-żydowskimi i filozoficznymi zainteresowaniami Barucha,

[177] *Kahał* (jid.) – zgromadzenie, gmina żydowska, także zarząd gminy żydowskiej.

lecz wokół tematów bliższych jej własnemu sercu, jak muzyka, malarstwo i nowe prądy w literaturze.

Pola Wajskop cieszy się sławą kobiety o żelaznej woli, fanatycznie wierzącej w słuszność swoich przekonań. Czegokolwiek by się nie podjęła, wykonuje to gruntownie, bez ociągania. Była uczennica Baruchowego gimnazjum, ma znacznie mniej lat niż mąż i jest matką małej dziewczynki. W mieście mówi się, że Baruch ubóstwia swoją czarnowłosą żonę i wprost nosi ją na rękach; że miłość taka jak ich zdarza się tylko raz w życiu, a on ulega każdemu jej kaprysowi i rozpieszcza ją ponad wszelką miarę.

Żeby podtrzymać swój sentyment do kultury żydowskiej, niemal każdy wtorkowy wieczór spędza Baruch w restauracji Capri. Sam będąc człowiekiem o duszy artysty, spotyka się tam z prominentnymi członkami żydowskiej bohemy: pisarzami żydowskimi i hebrajskimi, żydowskimi malarzami i gwiazdami teatralnymi – z tymi wszystkimi, którzy nie są w smak jego żonie, lecz z którymi on sam czuje się najlepiej. W Capri spotyka się także z przywódcami żydowskich partii politycznych. On, polityczny cynik, ma przyjemność z napuszczania jednego na drugiego i zabawiania się dyskusjami, które sam prowokuje. Tymczasem jednak dzieje się tak, że te dyskusje pobudzają go i wywołują u niego szacunek dla tych ludzi, którzy mają odwagę działać i wystawiać się na wszelkiego rodzaju niebezpieczeństwa. Nie tylko wspiera finansowo ich działalność kulturalną, lecz także przychodzi na ich otwarte zebrania i różnego rodzaju mityngi.

Baruch pozostaje także w przyjacielskich stosunkach z Isroelem Lichtensztajnem, który od czasu do czasu zagląda do Capri. Lichtensztajn nie pochodzi z zamożnego domu. Prosty czeladnik piekarski, miał wolę i dyscyplinę wewnętrzną, żeby wykreować dla siebie nowe życie. Stał się znawcą nauk świeckich dzięki swoim pełnym wyrzeczeń latom zawziętych, systematycznych studiów; podczas gdy Baruch swoją wiedzę gromadził przez chaotyczną lekturę książek, które w danej chwili go interesowały. Baruch, niezależnie od swojego bogactwa i pozycji w mieście, uważa się za człowieka, który nic w swoim życiu nie osiągnął. Osiągnięcia należą do Lichtensztajna.

Lichtensztajn wie, czego chce. Nie ma tej Baruchowej słabości, mającej związek z głęboko zakorzenioną rozpaczą, nihilizmem, które pojawiły u niego w reakcji na odwrócenie się plecami do Boga. Lichtensztajn Bogiem niewiele się przejmuje. Ma nową wiarę: wiarę w człowieka. Baruch nie ma wiary w człowieka, a straciwszy wiarę w Boga, wybrał mamonę jako podpórkę, która ma mu zastąpić religię. Lichtensztajn jest idealistą, podczas gdy on, Baruch, jest dokładnym przeciwieństwem idealisty. Nie ma żadnej wiary – w nic. Wie, że w bundyzmie Lichtensztajna jest więcej afirmacji życia – niż w jego, Barucha, duchowym chaosie. Lichtensztajn ma wsparcie w filozofii moralnej, która jest o wiele głębiej ugruntowana w żydowskości niż jego dekadencko-nowoczesna filozofia. Może dlatego wywołuje on u Barucha respekt, zmieszany z pewną dozą zazdrości. I Lichtensztajn przypomina Baruchowi bardzo mocno jego przyjaciela z młodości, Jankewa.

Z Lichtensztajnem Baruch nigdy nie wdaje się w żadne utarczki, jak zwykł to był robić z Jankewem. Z Lichtensztajnem utrzymuje Baruch wynikający z szacunku przyjazny dystans, podczas gdy z Jankewem przyjaźń była intymna, liryczna, zakorzeniona w romantyzmie młodości. Ich sprzeczki przypominały sprzeczki zakochanych; dotykały duszy. Z taką przyjaźnią Baruch nie spotkał się więcej w swoim życiu.

Możliwe więc, że częściowo także dzięki temu, iż Baruch nadal żywi dla Jankewa ciepłe uczucia w swoim sercu, nikt nie może uzyskać od Barucha takich wysokich dotacji dla instytucji kulturalnych swojej partii, jak Lichtensztajn. Lecz Lichtensztajna nie ma teraz w mieście, a sytuacja szkół stała się tak krytyczna, że rozpoczęcie roku szkolnego po wakacjach stoi pod wielkim znakiem zapytania.

I stało się tak, że Malka wygrała kłótnię z Wierką i ze mną. W tę samą sobotę wieczorem, po nieudanym spacerze w Parku Kolejowym, Wowa zachodzi do nas na górę z ostatecznym postanowieniem komitetu partyjnego, że Jankew zostaje oficjalnym przedstawicielem partii wyznaczonym do spotkania się z Baruchem i nakłonienia go do udzielenia natychmiastowego i znaczącego wsparcia finansowego, jak również włączenia się do kampanii na rzecz żydowskich szkół ludowych. Tymczasem wystosowano telegram do Lichtensztajna, żeby go poinformować o sytuacji.

– Mamy to! – triumfuje Wowa. – Nie idziesz do niego jako osoba prywatna, tylko jako wysłannik społeczności! – I Jankew nie ma innego wyjścia, jak podporządkować się tej decyzji.

W najbliższy wtorek wieczorem Jankew stroi się w sobotni garnitur i białą koszulę z krawatem, po czym zakłada żółte getry na buty. Wybiera się do Capri, gdzie mu powiedziano, że na pewno spotka Barucha. Przez całą drogę na miejsce nie może mu wyjść z głowy dzień jego ślubu, kiedy spotkał się tam oko w oko z Polą Wajskop i powalił jakiegoś ślepego żebraka. Później jeszcze kilka razy zachodził do Capri do pana Terkeltojba, w związku z obietnicą otrzymania zatrudnienia w restauracji. Pan Terkeltojb zawsze odsyłał go, by przyszedł za jakiś czas. Jankew przychodził więc za jakiś czas, lecz nic z tego nie wynikało.

Dzień był deszczowy, a przed nocą rozszalała się letnia burza. Grzmi i się błyska. Teraz, mimo że przestało padać, tłum konsumentów siedzi w środku, a nie w ogródku. Gdy tylko Jankew stawia nogę w jasno oświetlonej sali, pełnej elegancko ubranych gości przy nakrytych białymi obrusami stołach, i z bólem serca zaczyna posuwać się do przodu ciasnym przejściem między zajętymi ławkami, dostrzega od razu zwalistego pana Terkeltojba zbliżającego się we fraku. Nie wiedząc po co i na co, Jankew jakby z przyzwyczajenia zamierza zapytać go o obiecaną posadę, ot tak, żeby tymczasem zdołać zebrać się w sobie i rozejrzeć wokół, czy Baruch siedzi gdzieś w restauracji i czy jest z nim Pola.

Naraz jego wzrok spotyka się ze wzrokiem Barucha. Siedzi sam, przy narożnym stoliku nakrytym dla dwóch osób, jakby czekał na kogoś. To nie jest ten sam Baruch, którego Jankew spotkał po raz pierwszy w czasie wojny w sztiblu

przy ulicy Piotrkowskiej, jak również nie ten Baruch z późniejszych lat ich przyjaźni. Nie ma niczego w powietrzu otaczającym Barucha, co by przypominało jego dawną pewność siebie jako młodego mężczyzny. Przy stole siedzi siwawy człowiek w średnim wieku, barczysty, ubrany w fasonowy garnitur, który wisi luźno i niedbale na jego ramionach. Węzeł jego krawata jest przekrzywiony w półpoziomie. Troska unosi się nad głębokimi zmarszczkami na jego twarzy.

Skinąwszy głową do pana Terkeltojba, Jankew skręca gwałtownie w bok i kroczy prosto do stolika Barucha. Po Baruchu nie widać ani odrobiny zaskoczenia, natomiast coś w rodzaju radosnej jasności odmalowuje się na jego obliczu. Jankew zauważa siatkę czerwonych żyłek oplatających białka wyłupiastych oczu Barucha. Te oczy są jedynym znajomym elementem, jaki został z jego twarzy. Ich głębokie smutno-roziskrzone spojrzenie celuje w Jankewa z zapraszającą serdecznością. Figlarna iskra nawet w nim się zapala, kiedy Jankew podchodzi całkiem blisko. Siatka głębokich zmarszczek na ociężałej i nalanej twarzy zdaje się wygładzać.

Podają sobie ręce i witają się – Baruch siedząc, Jankew stojąc przy samym stoliku, sztywno jak słup telegraficzny. Od razu przystępuje do tego, co ma Baruchowi do powiedzenia:

– Zostałem posłany do ciebie przez komitet bundowski w związku z akcją ratowania naszych szkół. Jestem pewien, że sytuacja jest ci znana. Subsydia rządowe zostały cofnięte. Pisała o tym prasa. Szkołom grozi upadek. Nie mamy pieniędzy na spłatę komornego, nie mówiąc już o pensjach dla nauczycieli. – Czując się niezręcznie, gdy w oficjalnej roli przemawia do Barucha tym tonem, brnie mimo wszystko dalej, lecz ciepłym głosem: – Ty zawsze szczodrze odpowiadałeś na prośby Lichtensztajna. Nie ma go w mieście, więc mnie posłano do ciebie. Sytuacja jest krytyczna. Towarzysze proszą, żebyś wziął udział w naszej kampanii, jako dodatek do twojej doraźnej zapomogi. – Zakomunikowawszy wszystko, co miał do powiedzenia, Jankew oddycha z ulgą.

Uśmiech wychodzi na pełne, szerokie usta Barucha i rozlewając się po całej twarzy, opromienia ją. Jankew nie wie, co dalej robić, poza odpowiedzeniem uśmiechem. Upływa tak kilka minut, podczas gdy się sobie przyglądają. Baruch wskazuje na wolną ławkę naprzeciwko niego. Jankew siada. Nadal przyglądają się sobie i milczą, podczas gdy ich wzrok zawiesza się w tęsknocie za czymś, czego już nie ma i nie można tego wskrzesić. Baruch bębni pulchnymi palcami po białym stole. Nijak żaden z nich nie może wydusić z siebie słowa.

W końcu Baruch potrząsa głową i mówi:

– Dobrze, wystawię czek i zrobię, co tylko mogę. – W milczeniu upływa kolejna minuta. Baruch podaje Jankewowi rękę nad stołem. Gdy ich ręce się dotykają, ciepły prąd przeskakuje między ich palcami, przywołując wspomnienie znajomego, nigdy niezapomnianego uścisku dłoni. – Jak ci idzie? – pyta Baruch, nie wypuszczając ręki Jankewa ze swojej.

– Dobrze, bardzo dobrze – odpowiada Jankew.

– Wiesz, mam siedmioletnią córkę.

– Ja mam dwie – odwzajemnia mu się Jankew, nie bez dumy.

– Córki?

– Tak, starsza też ma siedem lat, a młodsza pięć.

Przez moment wydaje się, że te ich stłamszone skomplikowane uczucia, jakie żywią do siebie, powracają do dawnej prostoty. Czują wyraźnie, że wciąż się lubią. Mówią to sobie spojrzeniem, każdy dając temu drugiemu do zrozumienia, jak bardzo żałuje rozluźnienia związku ich serc, ich dusz i powstania tej bariery między nimi – muru, który ta czarnowłosa kobieta wzniosła, definitywnie ich rozdzielając. Różnice klasy i pozycji społecznej, środowiska i stylu życia nic nie znaczą w porównaniu z tym rozdarciem, jakie Pola uczyniła w ich przyjaźni. I w tej oto chwili czują jej obecność bardzo wyraźnie – jakby ciałem i duchem była razem z nimi.

– Zdarza ci się czasem jeszcze zajmować trochę zagadnieniami kabalistycznymi? – pyta Baruch niespodziewanie. – Wracam właśnie z lekcji *Zoharu*[178], których udziela mi znany kabalista.

Łatwe wydaje się w tym momencie przełamanie tego muru, który ich dzieli, ot, przez udzielenie Baruchowi bezpośredniej i szczerej odpowiedzi na to pytanie. Obaj mają nadal tę możliwość w swoich rękach. A jednak jest to niemożliwe. Ta kobieca postać nie daje się odsunąć na bok i nigdy się nie da.

– Mam ważniejsze rzeczy, żeby się nimi obecnie zajmować – odpowiada Jankew ze wcześniejszym spokojem w głosie. Puszcza rękę Barucha i wstaje. – Mam nadzieję, że odezwiesz się na naszą prośbę możliwie szybko. Dziękuję za obietnicę. Przekażę ją towarzyszom. – Skinąwszy głową do Barucha i bąkając: „Bądź zdrów", macha ręką.

Kiedy odwraca się od Barucha, Jankew natyka się na sterczący brzuch pana Terkeltojba. Ten bierze go pod ramię.

– Ty... ty jesteś tym młodym człowiekiem, który przychodził w sprawie posady, ha? – Zwraca się do Barucha: – Co pan powiesz, panie Baruchu, czy ten delikwent wart jest trudu, żeby uczyć go kelnerskiego fachu?

Krew uderza Jankewowi do twarzy. W ogarniającej go zapalczywości chce wyrwać swoje ramię z ręki pana Terkeltojba i uciec. Jakby z bardzo daleka słyszy, jak Baruch mówi:

– On jest wart więcej niż to.

Pan Terkeltojb obraca się do Jankewa.

– Dlaczego nigdy mi nie mówiłeś, że znasz się z panem Wajskopem? Dalej chcesz zostać kelnerem... hm... jak się nazywasz?

---

[178] *Zohar* (hebr.) – *Księga blasku*; dzieło kabalistyczne, którego autorstwo przypisuje się Szymonowi bar Jochajowi, talmudyście żyjącemu w II w. n. e.

– Polin. Jankew Polin. – Zmieszany Jankew potrząsa rękę pana Terkeltojba i mamrocze szybko: – Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, panie Terkeltojb, przyjdę jutro. – Kłania się i wybiega z restauracji.

Wyszedłszy na ulicę, ledwo zdążył się pozbierać, gdy spostrzegł, że jakaś smukła, elegancko ubrana młoda dama, która dopiero co wysiadła z dorożki, idzie z naprzeciwka. Zaskoczeni niespodziewanym spotkaniem, przystają bardzo blisko siebie i przyglądają się sobie, jakby ta druga osoba była tak ogromna, że nie dawała się objąć wzrokiem. Po chwili Pola wyciąga do Jankewa rękę w rękawiczce.

– Jak się masz? – pyta po polsku.

Ten gapi się na jej twarz, która blada wyziera spod kapelusza z wielkim rondem – i ledwo ją widzi. Kręci mu się w głowie od perfum, których zapach niesie się do jego nozdrzy z futrzanego kołnierza wokół jej szyi. Łapie się na tym, że nie odpowiedział jeszcze na jej pytanie i wciąż trzyma jej rękę w rękawiczce w swojej ręce. Jej cienkie, delikatne palce układają się w jego dłoni jak w gnieździe. Ciężkie brzemię przeszłości jakże jest wciąż żywe w tejże chwili! Jak niewiele ten uścisk ręki, podobnie jak uścisk Barucha, zmienił się w dotyku! Dokładnie jakby Jankew dzierżył nadal tę małą rączkę gimnazjalistki, którą spotkał całą wieczność temu – mimo że nie było nic dziewczęcego w spojrzeniu tych czarnych oczu, które przeszywają go na wskroś, ostro i po kobiecemu uwodzicielsko.

– Cieszę się, że cię spotkałam – odzywa się w końcu ona, wyciąga dłoń z jego ręki i odwróciwszy się do niego, wchodzi do restauracji.

Jankew rusza biegiem po chodniku, na którym wciąż pełno jest kałuż po deszczu. W głowie mu szumi, twarz płonie. Coś ściska za serce. Jak niezgrabnie zachował się wobec Poli, Barucha i Terkeltojba! Co powinien zrobić? Wrócić do Capri, spotkać się z Terkeltojbem w sprawie posady i dać się przygotowywać do kelnerowania? Nie ma wątpliwości, że dzięki znajomości z Baruchem Terkeltojb przyjmie go do pracy. Czy lepiej posłać to do diabła? Ulica Piotrkowska to nie jego świat. To świat, który potrafi upokorzyć, gdzie można niepostrzeżenie zostać pokaranym i skorumpowanym. Lecz na zarobki w Capri nie można machnąć ręką. Kelnerzy dostają spore napiwki od klientów takich jak Baruch Wajskop. Czy ma jednak wystawić się na poniżenie w postaci brania napiwków od Barucha lub od Poli czy od innych gości, bogaczy, wyniosłych i obojętnych, którzy żyją jak pączki w maśle, żrą przy stołach w Capri – podczas gdy dziesiątki tysięcy bezrobotnych, głodnych ludzi wiedzie nędzny żywot w bocznych uliczkach i zaułkach? I znów: czy on, Jankew, posiada wewnętrzną siłę, żeby regularnie spotykać się z Baruchem lub z Polą, zachowując szacunek dla siebie i wewnętrzny spokój? Już teraz czuje się poniżony, zanim przyszło co do czego. Nie czuł się tak podle od dłuższego czasu.

Jakiś głos wewnątrz niego próbuje go przekonać, że jedyna droga odzyskania godności osobistej prowadzi właśnie tędy; że człowiek powinien mieć odwagę stanąć twarzą w twarz z tym, co go przeraża, a nie uciekać od tego, jak to zwykle

robi się w obliczu czyhającego niebezpieczeństwa. Musi przyjąć propozycję Terkeltojba – po prostu dlatego, że zarobki będą dobre.

W domu Wowa już czeka na niego i na wiadomości, jakie ma przynieść.

– Ile ci obiecał? – chce od razu wiedzieć Wowa.

– Obiecał... obiecał dofinansowanie – jąka się Jankew.

– Ale ile, pytam ciebie.

– Nie pytałem go. – Jankew wzrusza ramionami.

– Nie spytałeś go o najważniejszą rzecz? A pomoże nam z kampanią?

– Powiedział, że zobaczy, co może zrobić.

Wowa wyzywa Jankewa, że ma fiu-bździu w głowie. Binele wyczuła od razu, że nerwy Jankewa są napięte jak postronki. Bierze Wowę pod ramię i prosi go przyjaźnie:

– Sza, nie róbmy tyle gwałtu. Sąsiedzi jeszcze pomyślą, że tłukę się z Jankewem. I dzieciom nie dajesz spać, Wowa. To przecież nie koniec świata. Nie zamkniemy szkół, Wowa, nigdy w życiu! I chodź, zejdziemy do Muzy. Wypije się szklaneczkę herbaty z makowcem!

Łapie chustkę, całuje córki i wyciągnąwszy Wowę i Jankewa z mieszkania, zamyka drzwi. Zanim zejdą po schodach, puka do drzwi Racheli, daje jej klucz i prosi, żeby rzuciła okiem na dzieci.

Muzę od razu zapełniają członkowie komitetu szkolnego, po których posłał Wowa. Stali klienci Zalmana Fidlera też siedzą w lokalu. I jakaś nowa klientka uwija się niczym gospodyni przy stolikach, serwując herbatę z makowcem i miodownikiem: Cypora, uwolniona i odświeżona. Szechina rozpromienia jej oblicze, kiedy obejmuje za szyję Binele. Mojsze Sokrates, ubrany w wyświechtaną, czarną rubaszkę, w wysokich butach na nogach, również kręci się z wielką powagą przy stolikach i rozdaje ostatnie wydanie „Bezem", skromnego wydawnictwa Zalmana Fidlera „dla Nowych Prądów w Literaturze, Sztuce, Filozofii, Polityce i Problematyce Społecznej"; to żurnalik, gdzie prace odrzucane przez inne magazyny znajdują dla siebie ciepły kąt. Zalman sam stoi za kantorkiem rozkojarzony, wyobcowany. Wczoraj dowiedział się, że jego żona Klara cierpi na galopujące suchoty. Jako człowiek, który uparcie chroni swoją prywatność, Zalman nikomu nie powierzył tej wstrząsającej nowiny. Przeraża go wystawianie siebie i swojej rodziny na ludzką litość. Towarzyszka Hanka, najbliższa przyjaciółka Klary, jest jedyną osobą, która zna prawdę.

Hanka stoi w drzwiach, które prowadzą do prywatnego mieszkania Fidlerów, i trzyma Sorkę, ubraną w długą nocną koszulinę, za rękę. Hanka nie spuszcza z Jankewa wzroku wodnistych, zaczerwienionych od płaczu i pełnych bólu oczu. Za każdym razem, kiedy jego wzrok spotyka się z jej wzrokiem, bierze łyk ze swojej szklanki, w której widzi oczy Poli Wajskop łypiące na niego z rubinowoczerwonej herbaty. Jakby wzrok tych dwóch kobiet go upoił, robi się coraz bardziej rozmowny i hałaśliwie wesoły.

Pewien członek komitetu szkolnego nadchodzi z mieszkania Lichtensztajna i wpada do Muzy z dobrą nowiną: Lichtensztajn jest z powrotem i dopiero co rozmawiał z Baruchem Wajskopem przez telefon. Baruch naprawdę obiecał solidne dofinansowanie i podjął się uczynić wszystko, co w jego mocy, żeby szkoła przetrwała te trudne czasy. Publika w Muzie bije brawo. Jankew uderza łyżeczką w szklankę i śpiewa na cały głos. Następnie skacze na równe nogi i, wzywając zgromadzonych, by się przyłączyli, rzuca się do tańca. Odsuwają stoliki pod ścianę. Jankew bierze Binele za rękę i razem z resztą publiki, która trzyma się za ręce, uderzają w chasydzko-bundowski tan, w takt najbardziej porywających pieśni rewolucyjnych, które wyśpiewują najgłośniej, jak się da. Nie ma miejsca, by się ruszyć, hopsają więc mniej więcej w tym samym miejscu, wpadając jeden na drugiego, ze śmiechem i radosnymi okrzykami. Zalman stoi przy bufecie obok Hanki z dzieckiem. Wlepiają wzrok w radosną publikę, zbici z tropu i zagubieni.

Binele i Balcia zaglądają do izby na zapleczu, żeby zamienić słowo z chorą Klarą. Hanka wchodzi za nimi. Kładzie małą Sorkę do łóżka naprzeciwko Klary. Klara prześwieca spośród poduszek w swojej białej koszuli nocnej. Jej włosy splecione w długi warkocz poruszają się w górę i w dół wraz z jej ciężkim oddechem jak żywy, brązowy wąż. Wygląda blado-przeźroczyście, a jej uroda jest porażająca, nieziemska. Wielkie oczy w ciemnej oprawie płoną tajemniczym światłem. Uśmiecha się blado i mówi do Binele i Balci chrapliwym, słabym głosem:

– Śpiew i zabawa w ogóle mi nie przeszkadzają. Przeciwnie. Ta wesołość w lokalu dobrze mi robi. Jestem bardzo zadowolona, że szkoła ma zapewnione finansowanie na jakiś czas... Czuję się o wiele lepiej. Może jutro wstanę z łóżka.

*

Lato minęło. W pewien łagodny wieczór Jankew wraca zadowolony do domu z ważnego posiedzenia komitetu szkolnego. Szkoły mają wystarczające fundusze, żeby rozpocząć nowy rok szkolny. Czuje się świątecznie, zwycięsko.

Kiedy tak maszeruje radosny przed siebie, zaczyna mu się naraz wydawać, że taksówka z dwoma pasażerami jedzie za nim wzdłuż przeciwległego chodnika. Co więcej, przychodzi mu do głowy, że ciągnie za sobą policyjnych szpicli. Lecz kiedy przystaje na rogu ulicy, taksówka zatrzymuje się i jakiś wyglądający na Żyda chłopak wyskakuje z niej i przebiega przez jezdnię. Chłopak podchodzi do Jankewa, zdejmuje czapkę i pyta grzecznie po polsku:

– Przepraszam, czy pan Polin?

Jankew potakuje głową. Chłopak wyjmuje różową kopertę z kieszeni i wręcza ją Jankewowi. Rzuca szybkie „do widzenia" i biegnie z powrotem do auta, które znika od razu w bocznej ulicy.

Jankew rzuca spojrzenie na kopertę w swojej ręce i od razu wie, jakie jest jej pochodzenie. Wchodzi do najbliższej bramy, staje pod lampą na ścianie. Dyszy histerycznie. Ręka trzęsie mu się tak, że otwierając kopertę, urywa też kawałek

różowego listu w środku. Razem z tym oderwanym fragmentem, który zwisa luźno, wyjmuje różowy papier i otwiera go. Pismo przypomina pismo dziecka lub wykaligrafowane dla dziecka. Jest staranne i przepiękne. Pomału, bardzo pomału, ledwo wiedząc, co czyta, odcyfrowuje tekst w języku polskim:

Drogi Jankewie!

Wczoraj znów Cię widziałam z daleka. Za każdym razem, kiedy przyjdzie mi Ciebie zobaczyć, otwiera się rana w moim sercu. Otwiera się jak krwawiąca róża, która nigdy nie więdnieje i nigdy nie przestaje zadawać bólu. Wierz mi, że nie chcę, aby tak było. Lecz cóż mogę poradzić? Wygląda na to, że to, co przytrafiło się człowiekowi w młodości, zostaje na zawsze wplecione w jego życie.

Byłeś moim pierwszym ukochanym i pozostałeś moim jedynym – jak Ci to powiedziałam tego błogosławionego i przeklętego dnia 22 września 1919. Niczego od Ciebie nie chcę. Chcę tylko, żebyś miał świadomość łączącego nas związku i żeby ta wiedza towarzyszyła Ci tak, jak i mnie towarzyszy.

Co za idiotycznie krępujący list! Oto Pola, kobieta, która zbliża się do wieku średniego, matka dzieciom, wciąż żyje w wyimaginowanym świecie swoich lat dziewczęcych. Wyobraża sobie, że jest bohaterką jakiegoś romantycznego dramatu miłosnego i teraz usiłuje jego, Jankewa, także zamienić w tego rodzaju bohatera i gwałtem ściągnąć go z powrotem do swojego życia. Ta rozpieszczona, znudzona kobieta, zdaje się, postanowiła uczynić swoje życie bardziej interesującym jego kosztem, i zabawić się w kunsztownie utkaną awanturę – awanturę jaśnie pani, która zakochała się w żebraku!

Jankew drze list na kawałki i wybiega z bramy. Wrzuca podarte różowe skrawki papieru do szybko płynącej wody w rynsztoku. Martwy szczur przepływa obok i jak płatkami kwiatu pokrywa się różem. Jankew idzie szybko naprzód, odprowadzając wzrokiem prąd, który unosi różową padlinę. Przyspiesza kroku i czuje, jak krople potu występują mu na czoło. Prosi, żeby zimny deszcz spadł z nieba, obmył ten pot, brud, rozgoryczenie i frasunek z niego. Błaga o siłę, która rozwiązałaby relację, jaka łączy go z tą kobietą; która odcięłaby tę pępowinę winy, grzeszności, która trzyma jego myśl przykutą do niej. Wina jest przecież nie tylko jego. On został w to wmanewrowany i poddał się jej wbrew własnej woli. Był inny w tamtym czasie, młodszy, bardziej ochoczy i nie miał jeszcze pełnego poczucia odpowiedzialności osobistej.

Czy to naprawdę go usprawiedliwia? Pytanie brzmi przecież, czy człowiek ponosi odpowiedzialność za grzechy z całego swojego życia, czy tylko za te, które popełnia obecnie. A Jankew czuje się zmuszony do odpowiedzi na to pytanie – że tak, dorosły człowiek ponosi odpowiedzialność za wszystko, co robi w swoim życiu.

Bierze na siebie tę odpowiedzialność. Musi z tym żyć. Pozwala różowym skrawkom papieru odpłynąć z prądem rynsztoka i przestaje się spieszyć, idąc spokojniejszym, bardziej opanowanym krokiem. Powinien szybko podążać do

domu, Binele czeka na niego. Może nie uśpiła jeszcze dzieci, żeby go zobaczyły, zanim pójdą spać. Nie widział ich przez cały dzień. Nie, prawdopodobnie je uśpiła. One potrzebują snu. Przekaże jej dobre wiadomości na temat szkoły. Omówi z nią może propozycję pana Terkeltojba. Odkładał powiedzenie jej o tym, zanim sam nie postanowi, co robić. Lecz nie może iść do domu taki nabuzowany.

Udaje się w kierunku Capri. Kiedy podchodzi do frontu restauracji, patrzy przez oświetlone okna i przygląda się kelnerom, którzy żeglują między stołami z tacami na rękach. Widzi siebie ubranego w kelnerski uniform, składający się z czarnych spodni i białej marynarki. Musi stać się jednym z nich i uwolnić się od przesiadywania całymi dniami przy warsztacie tkackim, z kończynami sztywnymi, zbolałym karkiem, chciejstwami niesionymi na falach monotonnych myśli gdzieś w nieokreślone światy. Tkactwo to otępiający, izolujący sposób uczestnictwa w życiu. Jako kelner przebywać będzie wśród ludzi, w paplaninie przeżuwających ust i trzaskaniu garnkami – i wejdzie w aktywny kontakt z nowym otoczeniem, z tym oto innym światem, którego nienawidzi, który ma w pogardzie, a jednak chętnie się go nauczy. A co najważniejsze: bardzo chce mieć dobre zarobki. Miałby więcej szacunku do siebie, gdyby Binele mogła zrezygnować z pracy w fabryce i mogła oddać się wychowaniu dzieci. Dziewczynki rosną jak na drożdżach. Izba na czwartym piętrze jest tak ciasna, że ledwo można się ruszyć. Latem trzeba przez cały dzień otwierać drzwi, tak cuchnące robi się powietrze w środku. Kiedy będzie mieć możliwość urządzenia swojej rodziny w wygodnym mieszkaniu?

Myśl o Poli ciągle go prześladuje, lecz pozostaje gdzieś w nim jako nieruchomy obraz, który mu już nie zagraża i już go nie niepokoi. Jakaś parka wychodzi z Capri. Jankew rozpoznaje pana Terkeltojba; blond dama drobi krok wsparta na jego ramieniu. Zajęci sobą, śmieją się głośno i udają w kierunku lokalu nocnego Tabarin[179] po drugiej stronie ulicy.

Kiedy Jankew przychodzi do domu, dzieci już śpią. Binele wita go z wyrzutem.

– Jak ojciec może wytrzymać i nie widzieć dzieci przez cały dzień? Jaki z ciebie jest ojciec?

Miał zamiar wziąć ją w objęcia, wycałować ją i kochać się z nią. Za każdym razem kiedy widzi Czarną Damę lub myśli o niej, sprawia Binele mały prezent albo obcuje z nią cieleśnie. Ona, ze swej strony, oczekuje, że dziś wieczorem, niezależnie od tego, że pogniewała się na niego, rzeczywiście weźmie ją w ramiona, jak czyni to zazwyczaj. Lecz zamiast tego Jankew nalewa miskę zimnej wody, rozbiera się i myje się długo. Binele przygląda mu się z boku, potem podchodzi do niego.

– Jankewie, co się stało? – pyta strapiona. On obraca głowę, żeby jej powiedzieć o propozycji Terkeltojba. Lecz jakoś nie jest jeszcze na to gotowy. Ona patrzy na

[179] Tabarin – lokal z dansingiem mieścił się przy ul. Narutowicza 20, w budynku filharmonii.

niego przynaglająco i budzi się w niej podejrzenie. – Jankew – wydobywa z siebie chrypienie – nie jesteś mi wierny? – Po raz pierwszy to pytanie pada między nimi.

– Co też przyszło ci do głowy? – Energicznie wyciera ciało ręcznikiem.

– Żeby zdradzić kobietę, Jankewie – Binele nie spuszcza z niego wzroku – niekoniecznie trzeba spać z inną. Można ją zdradzić w myślach.

– W myślach? – Nie może się nie uśmiechnąć. – A ty nigdy mnie nie zdradziłaś w myślach?

– Nigdy!

– Zgodnie z prawem żydowskim przestępstwo liczy się tylko wtedy, gdy się je popełni. W myślach każdy człowiek pozwala sobie na różne występki. Najważniejsze jest to, co się zrobi.

– Ty robisz... niszczysz nasze... szczęście.

– Binele... – szepcze gorąco. Odrzuca ręcznik i łapie ją w ramiona. Całuje ją namiętnie i długo. – Dziś przez cały dzień tęskniłem za tobą.

Ona udaje, że chce się uwolnić z jego ramion.

– Bądź cicho. Dzieci obudzisz – szepcze w odpowiedzi.

Kładą się do łóżka, spleceni ramionami, tak głodni siebie, że nie mają już cierpliwości do rozmowy. Dopiero później, kiedy zaspokoili swoje wzajemnie pożądanie, ona odzywa się do niego:

– Kubuś[180], nie może być tak, jak jest. Dzieci cię potrzebują, ledwo cię znają. A ty też ich potrzebujesz. Tracisz przyjemność bycia z nimi. One oczy sobie wypatrują, czekając na ciebie, i ja też. Prawda, że trzeba coś poświęcić dla społeczeństwa. I ja sama też martwię się o szkołę...

– Na przyszły rok nie masz już o co się martwić – przerywa jej w pół słowa. – Zapomniałem ci powiedzieć. Są pieniądze na cały rok szkolny.

– To dobrze – szepcze ona. – Bardzo dobrze. Ale, Jankewie, twoja praca społeczna musi mieć jakieś granice. Nie możesz ze wszystkiego rezygnować. My też mamy prawo żyć, niezależnie od wszystkiego. Nie wolno machnąć ręką na nasze obecne życie. Jest zbyt drogie. Ono jest nasze i my mamy je przeżywać teraz, a nie odkładać, aż nastanie socjalizm. I musisz też pamiętać, że to są Wierki i Miriam lata dzieciństwa. My oboje, ty i ja, dokładamy się do ich dzieciństwa poprzez tworzenie im najważniejszych wspomnień – na później, na resztę życia. To nie jest drobnostka. A inna rzecz jest taka, że nawet gdy socjalizm nastanie, ludzie wciąż dążyć będą do lepszych i lepszych rzeczy. Zawsze będą dążyć, żeby mieć więcej i więcej... To nigdy się nie skończy, bo taki jest program, czyż nie? Zawsze będzie potrzeba składania ofiar i dlatego trzeba znać miarę, zwłaszcza jeśli zależy od tego szczęście dzieci. Nie sądzisz?

Bardzo go zirytowała swoją paplaniną. Chce mu się wyskoczyć z łóżka, ubrać i wybiec z pokoju, tak, uciec w ciemność nocy. Binele stworzyła sobie

---

[180] Jankew pochodzi od imienia Jakub, stąd także zdrobnienia Kuba/Kubuś.

coś w rodzaju nowego sposobu formułowania swoich myśli, wyrażania siebie. Podejrzewa Cimermana, że przyłożył do tego rękę. Pyta, czy Cimerman przyszedł dziś na górę, żeby się z nią zobaczyć. Mimo że stanowisko Cimermana w partii mu nie odpowiada – to on, Jankew, nie ma nic przeciwko przyjaźni Binele z nim. Pochlebia mu to nawet. Powodzenie u innych mężczyzn czyni ją jeszcze bardziej podniecającą w jego oczach, a Cimerman nie jest byle kim. A jednak czuje się bardzo niezręcznie w związku z tą sprawą.

I co jeszcze Binele robiła po tym, jak wróciła do domu z pracy? Niezawodnie zajmowała się gospodarstwem i dziećmi, lecz jakie miała przemyślenia? Gdzie była jej głowa przez wszystkie te godziny, kiedy jego z nią nie było? Czy przypadkiem jej podejrzenie względem niego nie bierze się stąd, że ona sama czuje się winna?

– Masz skłonność, żeby wszystko wyolbrzymiać – odzywa się zachrypniętym głosem. – Jesteśmy całkiem dobrymi rodzicami dla naszych dzieci. – Obejmuje ją i udaje, że jest gotów zasnąć.

Słyszy, jak ona mówi opanowana:

– Jestem, jaka jestem, Jankewie. Ale często wydaje mi się, że ty nie jesteś taki, jaki jesteś.

Co chce przez to powiedzieć? – zastanawia się. Mając zamknięte oczy, przywołuje grymas uśmiechu na twarz i udaje, że zasnął. Ona leży w jego ramionach i myśli: o nim, o sobie, o nich wszystkich, o jej rodzinie – i o znaczeniu szczęścia. I on też o tym myśli, z zamkniętymi oczami, udając, że śpi.

*

Moja pierwsza najlepsza przyjaciółka, Sorka Fidler, lubi bawić się kolorowymi kredkami. Gdyby nauczycielka Mania tak często jej nie przeszkadzała, cały dzień spędzałaby w przedszkolu i nie robiła nic innego, tylko rysowała kredkami. Mała, wychudzona i cicha jak myszka, siedzi Sorka przy swoim stoliku w najdalszym kąciku klasy, odseparowana od pozostałych dzieci, które ledwo ją zauważają. I albo przygryza koniec języka, kiedy rysuje, albo mówi sama do siebie.

W przedszkolu ja też Sorkę ledwo zauważam. Nasza przyjaźń rozgrywa się na polu prywatnym, w domu. Kiedy rodzice schodzą po kolacji zabawić się trochę w Muzie i zabierają mnie i Wierkę ze sobą, wstępuję do prywatnego mieszkania Fidlerów, żeby spędzić czas z Sorką. Sorka zapoznaje mnie z domowym terytorium i z sąsiadami z podwórka. Obok, na podwórku Sorki, mieszka na przykład pewien szewc, który ma dom pełen dzieci, a także kotkę. Sorka mówi, że ci sąsiedzi szaleją z miłości do tej białej kotki, bo wykazuje ona wielką zwinność w łapaniu myszy i szczurów i pożeraniu ich w okamgnieniu. Nie mieści mi się to w głowie. Jak może ta kotka łapać myszy oraz szczury i tak je pożerać, pozostając przy tym taka miękka, biała i piękna? Wierzę jednak, że tak właśnie jest. Wierzę we wszystko, co Sorka mi mówi, bo pod tym względem

jesteśmy przecież najlepszymi przyjaciółkami. Odkrywam, jaką cichą wodą jest Sorka naprawdę. Popisujemy się nawzajem akrobatycznymi sztuczkami, jakie każda z nas umie wykonać, i uczymy się jedna od drugiej. Lecz dużo ze sobą nie rozmawiamy.

Jednego wieczoru, gdy jestem pochłonięta zabawą z Sorką, zatrzymuję się na progu sypialni Fidlerów. Widzę mamę Sorki, towarzyszkę Klarę. Ubrana w długą, białą koszulę nocną stoi i kołysze się lekko obok nieposłanego łóżka. Światło lampy naftowej na stoliku zatapia postać towarzyszki Klary w ciepłym, tajemniczym blasku, a ona czesze swoje niewiarygodnie długie włosy[181], o wiele dłuższe niż włosy mojej własnej mamy. Jak kaskada spływają te włosy dużo poniżej talii Klary Fidler ciemnobrązową, połyskującą nawałą. Bladość jej twarzy, zacienione oczy, które wyglądają tak, jakby patrzyły raczej w głąb siebie, a nie na zewnątrz, i cała jej rozkołysana posągowa postać sprawiają wrażenie, jakby Klara była zarówno tu, jak i w świecie, który jest poza smutkiem. Zdaje się być kobietą istniejącą w rzeczywistości: towarzyszką Klarą Fidler, mamą Sorki, a jednocześnie jakąś nieziemską zjawą, postacią z opowieści o cudach, pełną tajemnic, i o urodzie, która może wycisnąć łzy z oczu.

Od tamtego razu zatrzymuję się zawsze na progu sypialni Fidlerów na minutę, żeby spojrzeć na Klarę, która leży w łóżku. Klara nie odzywa się do mnie, tylko uśmiecha się blado i macha słabo do mnie dwoma palcami, jakby uważała, żeby nie zniszczyć tej magii. Wygląda, jakby wiedziała, że została królową krainy, która stanowi dokładne przeciwieństwo szczęśliwej Nibylandii. Tam, w kraju Klary, choroba jest jej zdrowiem. Nie musi chodzić na nogach, bo może płynąć w powietrzu, i nie musi mieć siły, żeby mówić, bo jej milczenie jest słodką muzyką.

Kiedy ta wizja Klary obezwładnia mnie tak, że nie mogę sobie z nią poradzić w zakamarkach mojego serca, wywołuję Wierkę z cukierni i prowadzę ją na próg sypialni. Sorka stoi z nami milcząca i przygląda się naszym twarzom pytającym wzrokiem. I w ten sposób Wierka włącza także Klarę Fidler do swoich fantazji i zamienia ją w bohaterkę dramatów, które lubi odgrywać przede mną. Lecz z jakiegoś powodu przedstawienie Klary przez Wierkę nie zgadza się z moim własnym jej obrazem.

Mam także okazję bawić się z Sorką, kiedy moi rodzice wychodzą na zebranie. Binele nie ustaje w staraniach, by osłabić przywiązanie cioci Racheli do nas. Od czasu do czasu wywołuje nawet umyślnie kłótnię z siostrą, żeby miała uzasadnioną przyczynę nie zostawiać nas u niej. Wtedy prowadzi nas do mieszkania pewnej towarzyszki, na którą przypada kolej zajmowania się dziećmi, kiedy rodzice są na zebraniu. Towarzyszka Hanka przyprowadza Sorkę. Tata Sorki, mimo że

[181] W podobny sposób Rosenfarb opisała w jednym ze swoich wspomnieniowych esejów matkę przedwojennej przyjaciółki Żeni Marcinkowskiej (po wojnie szwedzkiej pisarki Zeni Larsson).

nie bundowiec, jest zbyt zajęty piekarnią i chorą żoną, żeby mieć baczenie na córkę. Sorka, jaka cicha by nie była, jest w stanie przysporzyć wielu kłopotów. I im więcej czasu z nią spędzam, tym bardziej się do niej przywiązuję, mimo że nasze wspólne bawienie się jest raczej bawieniem się obok siebie. W zasadzie nasze rozmowy są dla każdej z nas swego rodzaju sposobem rozmowy ze sobą.

Patrzę z góry na Sorkę z szacunkiem i uznaniem. Patrzę z góry, bo Sorka jest niższa ode mnie. Lecz w porównaniu z Sorką to ja jestem tchórzem i istotą niższego rzędu. Ona nigdy nie ucieka z przedszkola. Nauczycielka Mania bardzo ją lubi, bo nigdy nie sprawia jej kłopotu. Zamiast tego Sorka bardzo często ucieka z domu, zupełnie na serio – nie jak ja, która oczekuję, żeby mnie pędem szukano i znaleziono. Sorka ucieka aż do cmentarza żydowskiego, który znajduje się na granicy przedmieścia Marysin[182]. Dlatego ma informacje z pierwszej ręki o kwiatach, drzewach, krowach, kurach, kaczkach i szajgecach oraz sziksach, którzy mieszkają w Marysinie.

Któregoś dnia zadaję Sorce pytanie, czemu ucieka z domu, a nie z przedszkola. Sorka odpowiada mi krótko i zdecydowanie:

– Bo już nie kocham mojej mamy.

Nie posiadam się ze złości.

– Ale twoja mama jest przecież taka piękna! Gniewa się na ciebie?

– Nie. Ja gniewam się na nią.

– Ale dlaczego?

– Bo jest chora! – wykrzykuje Sorka i ucieka.

Niedługo później Sorka przestaje przychodzić do przedszkola. Ani ja, ani inne dzieci nie zauważamy, że nie ma jej na sali. Dopiero w domu, po szkole, dowiaduję się od Wierki, że mama Sorki umarła.

*

Po śmierci Klary Fidler towarzyszka Hanka często przyprowadza Sorkę do nas na górę, żeby z nami zjadła. Śmierć Klary jakby zniosła wszelkie podziały, jakie były między Hanką a Binele. Ich rozmowy od serca w tej żałobie przychodzą im łatwo, spontanicznie, choć nadal są na „wy".

– Serce mnie ściska, jak na was patrzę, towarzyszko Hanko. Nic przecież z was nie zostało. Taka bladość na twarzy, takie podkrążone oczy – zauważa Binele pewnego razu z troską, kiedy siedzą przy stole. Od śmierci Klary minęły dwa miesiące.

[182] Nowy cmentarz żydowski został usytuowany na Marysinie, wówczas wsi graniczącej z Bałutami, na północ od ówczesnej ulicy Brzezińskiej.

Hanka pociera opuchnięte oczy.

– Nic mi nie będzie. Co mi nie daje spokoju, to to dziecko. Sorka jest bardzo wrażliwa. Całe jej życie może lec w gruzach z powodu tej straty... tej strasznej straty... – przygryza wargi Hanka.

Binele gładzi ją po ramieniu.

– Robicie wszystko, co tylko można, towarzyszko Hanko.

Hanka kręci przecząco głową.

– Nie, nie wszystko. Sorka potrzebuje kogoś, kto by jej zastąpił mamę, przynajmniej pozornie. Zalman Fidler to przyjemny człowiek. Za dziecko życie by oddał. Ale on nie wie, jak z nią rozmawiać. Wszystko, co robi, to ją całuje, obejmuje ją za szyję i szlocha. Zdaje mi się, że nigdy nie dojdzie do siebie po tym nieszczęściu. A dla Sorki to jest niebezpieczne. Rozumiecie, Binele? Nie mogę się zmusić do przeprowadzenia się do nich, choć wiem z całą pewnością, że potrzebują mnie oboje i że pamięć Klary wymaga tego ode mnie.

Binele nie zgadza się z nią.

– Są jakieś granice tego, co jeden człowiek może zrobić dla drugiego. Wy robicie więcej niż zrobiłby najwierniejszy przyjaciel.

Hanka opanowuje się i ociera twarz zdecydowanym ruchem ręki.

– Zrobiłam się miękka w środku po stracie Klary. A to nikomu nie przyniesie nic dobrego. – Wzdycha głęboko i rzuca zamyślone spojrzenie na fotografię ślubną Jankewa i Binele, która wisi na ścianie. Jakby usiłowała zmienić temat, odzywa się: – Wy i Jankew jesteście taką piękną parą. – I uśmiecha się melancholijnie.

Bawimy się w korytarzu. Na schodach siedzi Wierka i suszy głowę Fiszelowi Kacowi, starszemu synowi sąsiadów Kaców, żeby zapisał się do organizacji dziecięcej SKIF[183], gdzie ona sama jest jeszcze za mała, żeby należeć, ale Fiszel, który jest od niej starszy, może się już zapisać. Fiszela nic nie obchodzi, co ona do niego mówi. Bawi się w klisze[184] z chłopakiem z korytarza. Wierce znudziło się mówienie do ściany, więc przygląda się, jak Sorka i ja gramy w klasy. Po chwili woła mnie na bok.

– Nie wolno ci rozmawiać z nią o jej mamie – szepcze mi do ucha. – Sorka może się rozpłakać. A to nie będzie ładnie z twojej strony.

Później wieczorem, kiedy leżymy razem na składanym łóżku, Wierka oświadcza mi, że Sorka jest teraz inna niż my obie. Sorka jest sierotą i trzeba odnosić się do niej z wielkim pożałowaniem, lecz trzeba być bardzo ostrożnym, żeby nie doprowadzić jej do płaczu.

---

[183] SKIF (Socjalistiszer Kinder Farband, czyli Socjalistyczny Związek Dzieci) – bundowska organizacja dla chłopców i dziewcząt w wieku 10-15 lat założona w 1926 r.

[184] Gra w klisze – zabawa, w której grano o kawałki klisz filmowych ze zdjęciami znanych aktorów.

Powstrzymuję się więc od rozmawiania z Sorką o śmierci jej mamy, bo i tak nie rozmawiam z nią dużo, kiedy jesteśmy razem, tylko pozwalam jej robić, co chce, podczas gdy ja robię, co ja chcę. Lecz zaczynam czuć się niezręcznie przy niej. Zaczynam postrzegać ją jako kogoś w rodzaju kaleki, z kim nie wolno rozmawiać o jego ułomności, żeby go nie zawstydzić.

W przedszkolu dzieci przejawiają dziwne zainteresowanie Sorką. Ukradkiem rzucają ciągle spojrzenie na jej kącik, gdzie siedzi i rysuje kredkami. Przed śmiercią jej mamy dzieci ani nie nienawidziły, ani nie lubiły Sorki. Nie bawiły się z nią i nie biły.

Była jak nieożywione wyposażenie sali. Lecz wraz ze śmiercią swojej matki stała się jakby żywsza i ważniejsza. Nie można już być obojętnym w stosunku do niej. Trzeba coś do niej czuć. A co dzieci czują do niej oprócz litości, to także: gniew, chęć zemsty i samozadowolenie. Wśród dzieci niesie się szmer, że nie kto inny, tylko sama Sorka przyczyniła się do śmierci swojej matki. Sprawiała matce kłopoty, uciekając z domu. Mama Sorki tyle się nacierpiała, że dłużej nie mogła wytrzymać, zachorowała i umarła. Sorka jest złym dzieckiem. Złemu dziecku musi być źle, bo złe dzieci zabijają swoje matki swoim złem.

Dlatego dzieci postanawiają między sobą nie dopuszczać Sorki do gołębnika nawet na minutę, nie mówiąc już o karmieniu gołębi. Odpychają ją na środek sali. Nie szkodzi, Sorka napatrzyła się dosyć na gołębie i inne ptaki, kiedy uciekała z domu. Podczas gdy one, te dobre dzieci, które nie chcą, żeby ich mamy umarły, nigdy nie mają możliwości, żeby zobaczyć coś interesującego. To jest jeszcze jeden powód, że wciąż lubię Sorkę, niezależnie od mojego skrępowania przy niej. Bycie stale grzecznym dzieckiem pachnie nudą. Jeśli mamy nie potrafią tego zrozumieć, to nie wina dzieci, tylko ich własna. I choć Sorka kiedyś powiedziała mi, że przestała kochać swoją matkę, jestem pewna, że nie to miała na myśli. Matki o tak czarującym wyglądzie, o tak wspaniałych włosach i o takim miękkim, śpiewnym głosie nie można nie kochać. Oto ja sama bardzo kochałam towarzyszkę Klarę.

Jednego dnia, kiedy schodzę na ulicę, widzę Sorkę siedzącą na progu Muzy. Serce wzbiera mi litością do pozbawionej matki dziewczynki i nie mogąc się powstrzymać, łamię dwie obietnice na raz: jedną, którą dałam mamie, że nie będę przechodzić przez ulicę; i drugą, którą dałam Wierce, żeby nie rozmawiać z Sorką o jej mamie. Ledwo żywa ze strachu przed hałaśliwym ruchem wozów, dorożek i tramwajów zrywam się naprzód przez ulicę i siadam na progu koło Sorki.

– Siedzisz tu – odzywam się do niej – bo czekasz, żeby twoja mama wróciła ze śmierci, prawda? – Jako że Sorka mi nie odpowiada, kontynuuję: – Nie wierzę, że ludzie nie wracają po tym, jak umrą. To niemożliwe. Sądzę, że mama nie może umrzeć, odejść i nie wrócić, zanim jej dzieci nie będą duże. Mama kocha swoje dzieci, nawet jeśli bije je czasem. Moja własna mama sama mi to powiedziała.

Sorka odgarnia sobie kosmyk włosów z oczu. Podnosi kamyk z chodnika i przerzucając go z ręki do ręki, odpowiada od niechcenia:

– Moja mama nigdy mnie nie biła i nigdy mi tego nie mówiła.

W te dni, kiedy nie mogę się przemóc, żeby przebiec przez ulicę, spoglądam w kierunku przeciwległego chodnika, gdzie Sorka siedzi na progu cukierni swojego taty i bawi się flegmatycznie, podczas gdy tabuny przechodniów przewalają się koło niej. Wygląda na otępiałą i zaspaną. Żeby wyrwać ją z tej ospałości, przekrzykuję do niej gromkim głosem, choć dobrze wiem, że z powodu ulicznego hałasu Sorka mnie nie słyszy. Jestem jednak przekonana, że moje słowa dochodzą do niej innymi kanałami komunikacyjnymi.

*

Tak to trwa bardzo długo, aż przychodzi ten dzień, kiedy Sorka oswaja się w końcu z nową mamą: towarzyszką Hanką. Dzieci w przedszkolu plotkują, że Hanka została macochą Sorki, lecz ja się z nimi nie zgadzam. Widzę bardzo dobrze, że Sorka odżyła i znów zaczęła uciekać z domu. Z macochą, która jest przeciwieństwem prawdziwej matki, taka przemiana nie jest możliwa. Jestem przeszczęśliwa, kiedy Sorka zaczyna się przede mną otwierać. Pewnego razu opowiada mi zapierającą dech w piersiach historię o dzikich zwierzętach, jak niedźwiedzie i tygrysy, które spotkała w czasie swoich awanturniczych wypraw. Z rozdziawioną buzią, zaczarowana, przysłuchuję się i czuję mrowienie na karku.

– Wcale się nie bałaś? – pytam ją.

– Nie boję się dużych zwierząt – odpowiada mi Sorka. – Nawet lwów. Ale boję się pluskiew, bo one mnie gryzą. Ale moja mama wypaliła je świeczką, to już nie będą mnie gryźć.

Nie wiem, którą „mamę" Sorka ma na myśli, lecz nie wypytuję. Zamiast tego przyznaję:

– A ja bardzo boję się lwów, a także myszy. – Mówię „bardzo", a nie „baldzo", jak mawiałam jakiś czas temu. *Lamed*[185] niewinności zniknął z mojej wymowy.

[185] *Lamed* (hebr.) – litera „L" w alfabecie hebrajskim.

Rozdział trzynasty

W życiu mojej własnej rodziny zachodzi wielki przewrót. Tym razem pan Terkeltojb dotrzymuje obietnicy i zatrudnia Jankewa w Capri, najpierw jako zmywającego talerze i pomocnika w kuchni, następnie jako pomocnika kelnera, a w końcu jako stałego kelnera. Jankew zaczyna zarabiać więcej, niż kiedykolwiek w swoim życiu zarabiał – dzięki hojnym napiwkom, jakie dostaje. Od czasu do czasu budzi mnie ze snu brzęk monet, które tata wysypuje z kieszeni na stół. Widzę, jak on i mama stoją pochyleni nad stołem i śpiewając, wesoło przeliczają te pieniądze na głos. Wkrótce Binele zaczyna rozglądać się stęskniona po niewielkiej izbie, wzdychać i skarżyć się, że nie ma gdzie się obrócić w ciasnocie tej mysiej nory.

Bardzo lubi tę oto izdebkę. To jest jej pierwszy własny dom. Niezależnie od wszystkiego, docenia niezmiernie sąsiedztwo swojej siostry Racheli, która traktuje ją prawie jak matka – owszem, matka fanatyczno-religijna i narzucająca swoje zdanie, lecz jednak matka. Poza tym faktu, że Cederbojmowie mieszkają rzut beretem stąd, a Muza znajduje się akurat po drugiej stronie ulicy, też nie można zbyć machnięciem ręki. A co dopiero sąsiedzi z podwórza, którzy są jak jedna wielka rodzina, choć tak samo jak każda rodzina nie zawsze żyją w przyjaźni między sobą. I w ogóle Bałuty, niezależnie od smrodu, biedy, ciasnoty i żałosnych warunków życiowych, jest to przecież miejsce swojskie i znajome.

Jednak Binele wciąż prześladuje paniczny strach przed Bałutami jako dzielnicą, w której miałyby dorastać jej dzieci i nigdy nie pogodziła się z myślą, że Wierka i ja będziemy tu się wychowywać. Była gotowa wiele poświęcić, żeby wyciągnąć nas z tego ciasnego światka i wywieźć w szeroki świat Śródmieścia.

Pierwsza rzecz, jaką Binele robi, kiedy znajduje mieszkanie w centrum miasta, będące jakby odpowiedzią na jej najpiękniejsze marzenia, i daje zadatek, zanim jeszcze pokaże mieszkanie Jankewowi – to złożenie wizyty u bundowskiego

sympatyka, Icie Majera Stolarza, i zamówienie u niego dębowego stołu do spłaty w ratach: stołu na rzeźbionych lwich nogach, stołu dużego i obszernego – żeby nie tylko było dosyć miejsca do siedzenia przy nim dla wszystkich członków rodziny, dla każdego na oddzielnym stołku, ale żeby można było także przyjmować przy nim gości. Dopiero wtedy składa wizytę swojej siostrze Racheli i przekazuje jej tę dobrą nowinę, że szczęśliwie się wyprowadza.

Rachelę jakby trafił grom z jasnego nieba.

– Teraz nie mam po co żyć. – Wydaje rozpaczliwy jęk. Załamuje ręce, strzela palcami, a na koniec wybucha rozdzierającym serce płaczem.

Binele sama przejęta do łez i już nie taka pewna siebie, czy dobrze robi, czy nie, złości się na nią:

– To są powinszowania, jakie mi składasz, zamiast życzyć mi: *meszane mokem meszane mazl*[186]? Opłakujesz mnie, jakbym poszła zakopać się żywcem razem z moim mężem i dziećmi? – Lecz nie jest w stanie utrzymać tego dziarskiego tonu i złapawszy Rachelę w objęcia, pociesza zarówno ją, jak i siebie tak czule, jak tylko może: – Nie przenoszę się przecież – uchowaj Bóg! – za ocean. To jest najwyżej dziesięć minut jazdy tramwajem, a na piechotę możesz dojść w godzinę. Zrozum mnie, Rachelko kochana, człowiek musi zawsze starać się o polepszenie swojej doli, choćby tylko dla dobra dzieci.

Wprowadzamy się do pokoju z kuchnią przy ulicy Składowej[187] pod numerem szóstym. Ulica ta leży między dworcem kolei warszawsko-wiedeńskiej a Parkiem Kolejowym. Binele rezygnuje z pracy w fabryce, której tak nienawidziła, i zostaje w domu, żeby wychowywać dzieci, jak ona i Jankew zawsze sobie tego życzyli. W zasadzie spełnia tę funkcję zupełnie sama, bo Jankew często pracuje na drugą zmianę w Capri i jeszcze rzadziej niż kiedyś widzi nas, dzieci, nieśpiące. Teraz, kiedy śpiewa smutną piosenkę Morrisa Rosenfelda *Ich hob a klejnem jingele*[188], zamieniając „małego chłopca" na „dwie małe dziewczynki", dopiero nabiera ta piosenka sensu. Staje się ona najpopularniejszą piosenką w domu.

Nowe mieszkanie jest niewiarygodnie duże. Pokój i kuchnia są wprost jak salony i mają wysokie sufity. Dwa ogromne okna podzielone na małe szybki, pełne światła, wyglądają na ogromne podwórze. Jedyna przyczyna, dla której rodzina może sobie pozwolić na takie luksusowe mieszkanie w centrum miasta, jest taka, iż posiada ono jedną znaczącą wadę: znajduje się w fabrycznym budynku

---

186 (hebr./jid.) *Kto zmienia miejsce swojego pobytu, ten odmienia swój los* – przysłowie hebrajskie.

187 Drugim adresem, pod którym mieszkali Rosenfarbowie w Łodzi, była ulica Dzielna, obecnie Narutowicza, ale ich fabryczne mieszkanie mieściło się w budynku fabrycznym, na końcu dużego dziedzińca, z którego było też wyjście na ul. Składową. Zob. Ch. Rosenfarb, *Ramblings Through Inner Continents*, op.cit: Zob. Źródła przypisów.

188 (jid.) *Mam ja małego chłopczyka*. Zob. przyp. s 149.

w głębi podwórza wybrukowanego kocimi łbami – dokładnie naprzeciwko ogromnego, czerwonego komina fabrycznego, który dzień i noc pluje czarnymi kłębami dymu w niebo. Kiedy wiatr wieje w kierunku mieszkania, ten dym skłębia się w gęstą chmurę i przeciąga przed oknami, by opaść na bruk jak gigantycznie wielka kwoka na jaja i siedzieć tam godzinami. W biały dzień robi się ciemno jak w nocy w tym zwykle jasnym mieszkaniu, niczym podczas zaćmienia słońca. Nocą, kiedy Binele leży w łóżku i czeka na Jankewa, czarny komin fabryczny, który sterczy w ciemności, staje się jakby straszącym monstrum. Wystrzeliwuje w górę fontanny iskier, napełniając serce okropnie dokuczliwym bólem.

Binele zawsze lubiła Basię, gojkę od mleka. Basia jest staruszką o błękitnych oczach i okrągłej, brązowej twarzy pełnej zmarszczek od wiatru; reszta jej ciała zawsze jest okutana w masę wyświechtanych swetrów, spódnic i fartuchów. Basia zwykła była zachodzić do izdebki przy Nowomiejskiej i przynosić mleko każdego ranka, razem z prognozą pogody i ogólnymi wiadomościami z ulicy. Swoim głośnym szeptem budziła nas, dzieci, ze snu. W nowym mieszkaniu Binele przyjmuje ją każdego ranka jak odnalezioną krewną, której długo nie widziała. Basia przynosi jej pozdrowienia z domu przy Nowomiejskiej. Binele paple z nią i niechętnie ją wypuszcza.

Binele zadaje sobie wiele trudu, żeby stłumić rozczarowanie nowym mieszkaniem i zapomnieć o nieprzyjemnych drobiazgach z nim związanych. Przemilcza swoje odczucia przed Jankewem. Na przekór – głośno zachwyca się wygodą i przestronnością mieszkania. Wychwala je, kiedy Rachela przychodzi w gości albo kiedy odwiedzają ich Cederbojmowie czy inni towarzysze. Ci jej zazdroszczą, tak samo jak ich dzieci zazdroszczą Wierce i mnie, że staliśmy się bogaci i mamy teraz obszerny dom i cały budynek z wielkim podwórzem dla siebie samych, żeby się bawić.

Przez cały dzień mieszkanie chybocze się jak statek na rozszalałym morzu. Pasy transmisyjne i silniki syczą i brzęczą, warczą i hałasują bez ustanku. Następnie, kiedy dzień pracy się skończy, zostajemy Binele i my, jej córki, razem ze szczurami, jedynymi żywymi stworzeniami na całym podwórzu, bo nawet stróż mieszka w sąsiednim budynku. Binele nie może się już przechwalać, że nie wie, co to strach. Sama z nami – w ponurej ciszy, jaka nas otacza, z tym kominem w oknie, z którego pyska buchają kłęby dymu, a iskry skaczą bezszelestnie ku niebu – oswaja się ze wszystkimi niuansami, ze wszystkimi odcieniami lęku. Częstokroć, kiedy budzę się w środku nocy, widzę sylwetkę mamy na tle czarnego okna, jakby mama była nim obramowana, i wychwytuję jej mamrotanie: „Oj, Jankewie, czemu nie przychodzisz?".

Bardziej niż kiedykolwiek przedtem Binele szuka teraz możliwości, żeby wyrwać się z domu. Od czasu do czasu chodzi zobaczyć się z Jankewem na jakimś zebraniu albo udaje się na spotkanie organizacji kobiecej JAF. „Ciocia" Cypora, która znów jest „porządna od stóp do głów" i pracuje jako służąca w zamożnym

domu, przychodzi wtedy, żeby pobyć ze mną i Wierką, i przyprowadza ze sobą narzeczonego, poetę Mojszego Sokratesa. Wierka i ja bardzo tę parę lubimy. Cypora bawi się z nami w ciuciubabkę i uczy nas grać w strulki, a Mojsze uczy Wierkę, jak układać rymy. Pewnego wieczoru przynoszą gramofon, który dopiero co kupili od pasera, z dwiema płytami pieśni w wykonaniu Márthy Eggerth[189] i Josepha Schmidta[190]. Stawiają go na kuchennym stole i wypróbowują. Patefon ma porysowaną skrzynkę, tuba jest popielatoniebieska, a dźwięk skrzeczący. Po tym jak Cypora położy nas do łóżka, ona i Mojsze wracają do kuchni. Wierka i ja oddalamy się do królestwa snów w takt muzyki gramofonowej zmieszanej z poszeptywaniem Mojszego i chichotem Cypory.

Nie ma żadnego żydowskiego przedszkola w rejonie ulicy Składowej i zaczynam chodzić do przedszkola polskiego, do freblówki. Wiera chodzi do „właściwej" szkoły, która zowie się teraz szkołą Medema, na cześć umiłowanego bundowskiego przywódcy, który zmarł w Ameryce.

Zaczynam mówić „propolsku". Noszę granatową czapeczkę z szerokim rondem, mocowaną pod brodą na gumkę. Żółte, okrągłe pudełko na śniadanie mam zawieszone na szyi na pasku idącym na skos, tak, że sięga mi ono do łokcia. Do tego pudełka śniadaniowego mama wkłada butelkę mleka, świeżego bajgla z masłem lub kajzerkę z żółtym serem; kładzie tam także na dno kawałek czekolady lub parę cukierków. Mama wie, oczywiście, że w przeciwieństwie do Wierki nienawidzę słodyczy. Lecz najwyraźniej sądzi, że z powodu niechęci do słodyczy moje dzieciństwo może doznać jakiegoś uszczerbku. Może ma nadzieję, że skuszą mnie piękne papierki, w które te słodycze są zawinięte, i pozwolę im osłodzić sobie moje lata dziecięce.

Ja zaś używam tych słodyczy, żeby kupić sobie sympatię dzieci w przedszkolu, wśród których jakoś nie mogę znaleźć sobie miejsca. Może ma to związek z moją naturą, a może z faktem, że mój język polski brzmi dziwnie. Staram się zdobyć serca najmniej napastliwych dzieci, nie tylko cukierkami, lecz także lukrowanymi pochlebstwami. Mimo że nikt mi tego nie powiedział, wiem, że polskość jest przywilejem – nieważne, czy Polak jest dzieckiem w przedszkolu lub szajgecem ze szkoły przy ulicy Nowomiejskiej, czy też jest dorosły, jak na przykład stróż domu. Nie żeby rozwinęło się u mnie poczucie niższości jako dziecka żydowskiego, ale jestem pewna, że kominiarz Babele-Ber jest Polakiem. Jak daleko mogę sięgnąć pamięcią, strach przed Polakami zawsze wisiał w powietrzu wokół mnie.

Bardzo lubię to żółte pudełko śniadaniowe. Jest jak ślad mojego domu w tym obcym otoczeniu. Za każdym razem gdy je otwieram, spodziewam się znaleźć

---

189 Mártha Eggerth (1912-2013) – węgierska śpiewaczka operowa i aktorka (wystąpiła w ponad 40 filmach).

190 Joseph Schmidt (1904-1942) – niemiecko-żydowski śpiewak, tenor i kantor.

w środku coś wspaniałego, co by mnie zaskoczyło. I mimo że zawsze przeżywam rozczarowanie, nie znajdując w jego czeluściach niczego oprócz jedzenia i słodyczy, nadal żywię wiarę, że coś tak czy inaczej skrywa się w nim i że może odkryję to następnym razem.

Polskie przedszkole sprawia mi jeszcze mniej przyjemności niż przedszkole żydowskie. Tutaj także kierowniczka tego przybytku nie ma ze mnie pociechy. Wolałabym raczej pobawić się w domu, w dużym pokoju, gdzie ściany dźwięczą przez cały dzień, a podłoga trzęsie się, jakby dokądś jechała. A jak się wyjdzie z mieszkania na korytarz, to dopiero wtedy wygląda ten dom, jakby posiadał niezliczone tajemnice. Jakby był zawieszony w powietrzu, jak statek powietrzny, zeppelin, o którym opowiadał mnie i Wierce tata.

*

Ostatnie syreny fabryczne wydają swoje płaczliwe wycie nad miastem. Zeppelin – dom, w którym mieszkamy – zakotwicza w dalekim porcie i ląduje w lagunie ciszy. Wychodzę z mieszkania i zabieram się do wspinana po piętrach, wzdłuż długich, ciemnych korytarzy budynku. Wierka też lubi bawić się sama na korytarzu. Stroi się w stary kapelusz mamy, w jej starą halkę i różnokolorowe stare szmaty, i w ten sposób ukazuje się u brzegów własnej laguny. Lecz nie robi tego nigdy, zanim nie odrobi pracy domowej do szkoły, obowiązku, który traktuje z taką powagą i wypełnia z taką starannością, że prawie pękam z zazdrości. Nie ma niczego takiego na świecie, czym ja mogłabym dowieść swojej własnej wartości.

Kiedy tylko towarzysz Anton Cimerman zachodzi do mamy, wiem, że Wierka wyjdzie na korytarz wcześniej niż zwykle. Towarzysz Cimerman przechwycił mamę tylko dla siebie. Pozwala jej opowiadać sobie tysięczne nudne rzeczy i nie da się zamienić słowa, ani z nią, ani z nim. W złości na mamę i na towarzysza Cimermana wychodzi Wierka na korytarz objuczona górą „kostiumów" i proponuje mi odegranie jednego z dłuższych dramatów, które wymyśla specjalnie, żeby rozładować takie napady gniewu.

Bohaterką jednego z takich dramatów jest królowa z Nibylandii. Mieszka w zaczarowanym pałacu z ukrytymi korytarzami z czerwonej cegły. Wierka jest królową i siedzi na tronie, na najwyższym stopniu najwyższego piętra. Nosi stary szlafrok, a z jej brązowych kosmyków, nawiniętych na papiloty, sterczą potrójne szpice papierowej korony, którą zachowała ze swojego ostatniego przyjęcia urodzinowego.

Okrągła twarzyczka królowej wyraża rozdzierające serce melancholię i troskę. Co chwila zeskakuje z tronu, spogląda na swój nieistniejący zegarek na ręce, łapie się za głowę i maszeruje tam i z powrotem na najwyższym stopniu najwyższego piętra. Ma straszny ból głowy.

Koniec końców Wierka zaplątuje się w fałdach długiego szlafroka, który ciągnie za sobą niby królewski tren, i stacza się na półpiętro. Upadając, gubi

po drodze koronę z głowy – lecz nie świadomość roli, jaką odgrywa. Fakt, że trochę się potłukła i że jest bliższa płaczu niż śmiechu, powiększa napięcie dramatyczne sztuki. Popłakując, wspina się z powrotem na najwyższy stopień najwyższego piętra i znów kroczy tam i z powrotem. Chwyta się za koronowaną głowę, załamuje ręce i znów patrzy na nieistniejący zegarek ozdobiony drogimi kamieniami, które migoczą niewidzialnie na ręce.

Przyczyną rozpaczy królowej jest to, że jej jedyna ukochana córka, królewna Miriam, druga bohaterka tego dramatu, poszła zbierać wspaniałe kwiaty i jeszcze nie wróciła. Z całą pewnością królewna nie posłuchała mamy, przestróg jej królewskiej mości, i zapomniała, o czym ona przestrzegała, żeby tego nie robić: opuściła królewskie ogrody przez ukrytą furtkę w płocie, który wyznacza granicę Nibylandii. Zabłądziła z pewnością w ciemnym lesie, po drugiej stronie królestwa. I to jest powód, dlaczego królowa matka spogląda wciąż na nieistniejący zegarek na ręce.

„Już pierwsza godzina, a mojej córki wciąż nie ma" – deklamuje rozdzierającym serce głosem. Parę minut później powtarza: „Już druga, a mojej córki wciąż nie ma". Itd, itp.

Podczas gdy ta oto tragiczna scena toczy się dalej, łamiąc serce jej majestatu królowej na coraz mniejsze kawałeczki, na piętrze poniżej królewna Miriam – ubrana w starą halkę Binele, w swojej własnej papierowej koronie, którą zachowała z ostatnich urodzin, na pomarańczowej jak marchewka głowie – pochłonięta jest wykonywaniem własnej roli. Całym sercem oddaje się awanturniczym przygodom zagubionej córki w ciemnym, lecz interesującym lesie. Wędruje wzdłuż długiej ścieżki, która wygląda jak mroczny korytarz fabryki tekstylnej. Bardzo przejęta, wykonuje taniec nieszczęśliwie zagubionej dziewczynki – a jak słodki jest smutek, kiedy wiadomo z całą pewnością, że za kryjącymi się w mroku drzwiami na końcu ciemnego korytarza siedzi prawdziwa mama w jasnym pokoju! I kiedy tańczy, przysuwa się królewna do poręczy i spoziera ukradkiem na najwyższe piętro, żeby zobaczyć, czy królowa matka nie bierze tej sprawy zbyt lekko i czy jest dostatecznie zrozpaczona w swoim cierpieniu.

To samo robi też jej majestat królowa. Ukradkiem spogląda przez poręcz, żeby zobaczyć, czy jej córka cierpi zadawalająco, jak powinna cierpieć w swojej sytuacji zagubienia i opuszczenia.

Wreszcie, pokonane przez fizyczne i psychiczne zmęczenie, nogi królowej matki i jej córki, królewny, zaczynają boleć, głównie z powodu monotonii przed punktem kulminacyjnym. Każda z nich siada: królowa u góry, na swoim „tronie", a córka poniżej, na „kamieniu". Królowa rzuca spojrzenie na swój nieistniejący zegarek na ręce. „Już dziewiąta, a mojej córki wciąż nie ma" – deklamuje. Teraz godziny biegną bardzo szybko i znów mówi: „Już dziesiąta...".

Sztuka nie posiada żadnego innego tekstu. Jej ciężar gatunkowy polega na odegraniu, bezsłownie i dramatycznie, tragedii, jaka rozgrywa się w duszach bohaterek. „Godziny" biegną. Napięcie dramatyczne rośnie z minuty na minutę,

aż dochodzi do zapierającego dech momentu szczytowego, kiedy wybija godzina dwunasta – i królewna Miriam pokazawszy się nagle u podnóża „tronu", wbiega na najwyższe piętro.

Matka i córka padają sobie w objęcia. Z powodu silnego wybuchu uczuć zaplątują się: Wierka – w moją halkę, a ja – w tren szlafroka Wierki. Wczepione w siebie, staczamy się razem po schodach i „płaczemy z radości". Najważniejsze, że królowa matka nie krzyczy na córkę, że jej nie słuchała, a córka nie musi obiecywać, że więcej tego nie zrobi. A jeśli zdarzy się, że w tym oto przejmującym momencie szczur przebiegnie wzdłuż ściany w korytarzu, a my obie wydamy dziki kwik – wtedy sztuka otrzymuje autentyczny, przekonujący finał.

W innych sztukach z samodzielnie stworzonego przez Wierkę repertuaru podwórko i budynek fabryczny zamieniają się w inne zakątki zaczarowanej Nibylandii, której pełnoprawnymi obywatelkami my obie się uważamy. Nieraz przekraczamy zupełnie barierę rzeczywistości, aż do zniesienia różnicy między mężczyzną a kobietą, człowiekiem a zwierzęciem, obiektem ożywionym i nieożywionym, lub między wcześniej a później. Zdarza się także, że, zupełnie niezauważenie, każda z nas zaczyna bawić się oddzielona od drugiej we własnym kątku, każda pochłonięta tworami własnej wyobraźni, które unoszą nas w sfery między jawą a snem.

Pewnego razu, kiedy Wierka nie wróciła jeszcze ze szkoły, daję się ponieść tak daleko w tym marzycielstwie mojej fantazji, podczas gdy bawię się kawałkiem bibuły, że muszę za to drogo zapłacić. Bardzo lubię bibułę, ten delikatny w dotyku papier, jego cienkość i plastyczność. Siedzę na schodach w korytarzu, targam bibułę na drobne kawałeczki i palcami zwijam w kulkę każdy kawałek. Myślą i sercem jestem gdzieś w Nibylandii, gdzie grad białych perłowych paciorków wypełnionych magicznymi perfumami pada z nieba. Po tym, jak uzbierałam sporą kupkę zwitków na kolanach, zaczynam pomału zapychać nimi nozdrza, żeby pozwolić tym perłom wybuchnąć w moim nosie i wypuścić zaczarowane perfumy prosto do mojej głowy. Napycham nozdrza tak długo, aż będą całkiem zatkane, i zamiast wdychać niebiańskie perfumy, nie wdycham nic. Zaczynam czuć coś drapiącego i bolesnego, co atakuje głębsze sfery mojego nosa.

Kiedy sytuacja staje się poważna, biegnę do domu do mamy z dzikim krzykiem. Binele bierze się od razu do roboty, żeby wydostać bibułki z moich nozdrzy. Sadza mnie między kolana i krzyczy na mnie, żebym dmuchała przez nos. Dmucham i dmucham, ale nie wszystkie zwitki chcą wyjść. Binele próbuje zmusić je do wyjścia, zatykając raz jedną dziurkę, raz drugą, podczas gdy drugą dłonią zasłania mi usta. Duszę się, krztuszę i kręcę na wszystkie strony. Usilne starania Binele nie przynoszą skutku. Moje nozdrza są małe, a kulki z bibuły, zdaje się, uległy powiększeniu, podczas gdy dostały się w głębsze rejony nosa. Ledwie żywa ze strachu, Binele szybko owija się chustą, chwyta mnie za rękę i biegnie ze mną do felczera, pana Nowakowskiego.

Ów pan Nowakowski to wysoki barczysty goj o gęstych blond wąsach à la Piłsudski, które całkowicie zasłaniają mu górną wargę i zwisają z obu stron ust. Przyjmuje Binele i mnie z pieczonym udkiem w ręce. Jest w trakcie posiłku w południe i nie jest też zupełnie trzeźwy.

Bierze do ręki jakiś instrument, coś w rodzaju dwuzębnego widelca, i zaczyna wiercić nim najpierw w jednej dziurce, a następnie w drugiej. W ten sposób wydostaje wszystkie bibułkowe kulki z mojego nosa, tak że mogę bezboleśnie płakać dalej, wydzielając płynące strumienie z nosa, ust i oczu. Podczas gdy wdycham swobodnie balsamiczne zapachy gabinetu pana Nowakowskiego, Binele płaci mu z wielkim szacunkiem i wdzięcznością za jego trud. Następnie łapie mnie radośnie za rękę, wybiega ze mną na ulicę i nawet na zewnątrz nie zwalnia tempa, tak że kosmyki na jej czole aż rozwiewają się na wietrze. Nie mogę dotrzymać mamie kroku i muszę podbiec. Mama wygląda na roztrzęsioną, ale zadowoloną. Mówi tylko, że mam fiu-bździu w głowie.

Od tamtego dnia począwszy, nigdy nie zatykam nosa kulkami z bibuły, a jednak wychodzi na to, że fiu-bździu nie wywietrzało mi całkiem z łepetyny.

Fiu-bździu czy nie fiu-bździu, nie uchodzi mojej uwadze, że matka zmienia się w zupełnie innego człowieka. Robi się okrągła jak beczka i przestaje zachowywać się tak, jak się zachowywała. Często mówi takie dziwne rzeczy, że żadną miarą nie mogę zrozumieć, o co jej chodzi. I tak, na przykład, odzywa się raz do mnie, ni stąd ni zowąd, radosnym głosem:

– Wiesz co, Miriamko? Pewnego pięknego dnia wstaniesz rano, mój kotku, i znajdziesz małego braciszka albo małą siostrzyczkę w domu.

Wybałuszam na nią oczy i pytam się w głębi ducha, czy mama czasem nie mówi przez sen. Kiedy staje się dla mnie jasne, że jest najzupełniej przytomna, śmieje się i jest rozanielona, nie zachwyca mnie zupełnie ta nowina. Posiadanie Wierki jako siostry to dla mnie i tak za dużo.

– Na co mi potrzebny nowy braciszek albo nowa siostrzyczka? – Krzywię się, dając mamie do zrozumienia, że dziękuję jej za tę łaskę. – We freblówce jest pod dostatkiem dzieci, więc mogę się z nimi bawić, jak chcę.

– To nie to samo, co posiadanie własnego brata lub siostry – odpowiada, chichrając się, mama i zdaje się droczyć ze mną.

Zachowanie mamy zupełnie mi się nie podoba. Robię się podejrzliwa w związku z uważnością i czułością, jakimi mnie obdarza i jakie rosną wprost proporcjonalnie do jej brzucha. To jasne jak słońce, że mama chce mi się przypodobać, i że z premedytacją robi mi na złość. Im bardziej nastaję na nią i upraszam ją jak jakiegoś zbója, żeby nie uszczęśliwiała mnie takim prezentem – z tym większą słodyczą zapewnia mnie, że i tak zrobi, co zechce. Udaje mi się u niej uzyskać tyle, ile bym uzyskała, mówiąc do ściany. To nie na moją głowę, żeby zrozumieć, jak mama może tak narzucać się z prezentem, o którym wie z całą pewnością, że mogę się bez niego obejść.

Nie przyjdzie mi nawet do głowy omówić tę kwestię z Wierką. Widziałam, jak przyjęła tę „dobrą nowinę" radosnym hopsaniem po domu i klaskaniem w dłonie, jakby była na przedstawieniu dziecięcym i niecierpliwie oczekiwała, żeby kurtyna się podniosła. Zdaje się, że Wierce nie wystarczy posiadanie tylko jednej siostry – mnie. Skoro tak, to ja też mogę obejść się bez niej. Nie potrzebuję siostry, a już na pewno nie brata. Wierka i tak jest jak zdrajczyni. Przymila się ciągle do mamy i zachowuje się tak, jak dobra i posłuszna dziewczynka powinna się zachowywać. Kiedy tylko mama rozłoży się na łóżku, wielkim wydętym brzuszyskiem do góry, Wierka przynosi jej od razu wszystko, o co tylko poprosi, a nie czeka, żeby mama powtórzyła polecenie po raz enty, jak to jest w moim przypadku. Nie mogę znieść, żeby mama przerywała mi w najważniejszym momencie tego, czym jestem zajęta, a każdy moment jest dla mnie najważniejszy. I w ogóle jaki sens ma słuchanie mamy, skoro oboje, zarówno tata, jak i mama, bardziej kochają Wierkę niż mnie. Wychwalają Wierkę pod niebiosa, podczas gdy mnie chwalą tylko trochę i robią to jakby pod przymusem.

– Ja też to mogę zrobić! Ja też jestem mądrym dzieckiem! – wykrzykuję, kiedy ich wychwalanie Wierki wytrąci mnie już z nerwów i muszę rodzicom przypomnieć, że ja też jestem ważna i że gniew oraz ból kipią w moim sercu.

– Oczywiście, jakżeby inaczej? – mówią i głaszczą mnie po głowie. – Kiedy będziesz taka duża jak Wierka, będziesz tak samo mądra jak ona.

*

I tak pewnego zimowego dnia świat wywraca się do góry nogami. Tata zapomina iść do pracy, a jakaś tęga Żydówka, ubrana w kapelusz w stylu nocnika, wdziera się do naszego mieszkania z wielkim ciężkim kuferkiem w ręce. Mama leży na łóżku, z oczami wytrzeszczonymi na sufit i jęcząc, wydaje głośne rzężenie, w tonie tak piskliwym, że aż zatyka mi uszy i powoduje, że drżę na całym ciele.

Ku mojemu wielkiemu zdumieniu ta obca persona przejmuje cały dom pod swoją komendę. Tata słucha jej bez choćby jednego słowa protestu, jakby był zagubionym chłopcem z freblówki i z wyprzedzeniem robi to, co ona swoim kwaczącym jak u kaczki głosem każe mu zrobić. Uwija się to tu, to tam między pokojem a kuchnią i wylewa na parkiet całe wiadra wody, które nosi trzęsącymi się rękami. Wedle rozkazu tej Żydówki wpycha Wierkę i mnie do kuchni i zamknąwszy drzwi, zabrania nam wychodzić. Gdy jednak wrzaski mamy stają się coraz głośniejsze, Wierka i ja nie możemy tego dłużej wytrzymać i wypadamy z hukiem z kuchni, prosto w ramiona taty.

– Mama umiera! – spazmujemy.

Tata wycałowuje nam twarze. Czuję na policzku łaskoczący dotyk czworokąta jego wąsów, które powiększyły się, odkąd został kelnerem. Prócz brązowych wąsów i włosów, które lepią mu się w nieładzie do czoła, reszta jego twarzy jest

biała jak kreda. Uśmiecha się do nas krzywo i stara się nas uspokoić stłumionym ochrypłym głosem:

– Nie, mama niedługo urodzi siostrzyczkę lub braciszka dla was obu.

Wkłada nam zimowe płaszczyki, a jego place manipulują przy rękawach i guzikach. Wciąga wełniane czapeczki na nasze głowy, nasuwając je niemal na nasze oczy. Zawiązuje szaliki wokół naszych szyj, omal nas nimi nie dusząc. Drżącymi rękami przyciska nas do piersi, przenosząc drżenie swojego ciała na nasze ciała. I w ten sposób, trzęsąc się, sprowadza nas na podwórko i zabrania nam wracać, aż nas zawoła.

– Trzymajcie się za ręce, stójcie tu i się nie ruszajcie! – wykrzykuje zasapany i biegnie z powrotem do oficyny.

Wierka i ja trzymamy się mocno za ręce, opierając się o ceglaną ścianę domu. Zagubione w głębi ogromnego zamętu, skamlemy i tupiemy nogami. Nasze skamlenie miesza się z huczeniem fabryki. Mury za naszymi plecami kołyszą się razem z naszym drżeniem. Puchowe płatki śniegu padają bez głosu na podwórze i trzepocząc na wietrze, drżą też razem z Wierką i ze mną. Wydaje się, jakbyśmy my dwie wypadły ze świata i wpadły do białej otchłani, gdzie nie ma czego się schwycić – oprócz tego, że jedna chwyci się ręki drugiej. Za każdym razem kiedy słyszymy głos mamy przedzierający się przez turkot fabryki, rzucamy się, omal nie powalając jedna drugiej, i czujemy, że musimy się ratować i uchwycić się tego głosu. Dźwięk tego oto głosu odrywa nas od ściany i zagania do oficyny.

Boimy się wbiec na górę do mieszkania. Siedzimy więc na schodach i trzęsiemy się razem z nimi. Nigdy w życiu nie trzymałam się tak kurczowo Wierki, a Wierka mnie, jak w tych właśnie chwilach. Czujemy się strasznie opuszczone i bezbronne. Od czasu do czasu jakiś robotnik z fabryki zbiega po schodach i zanim minie nas w pędzie, pyta o wrzaski, jakie dochodzą z domu.

– Co tam się dzieje na górze?

– Dzieje się to – odpowiada Wierka z zadyszką – że nasza mama powije... dziecko.

Jak tylko Wiera wydobywa z siebie, że nasza mama ma coś wić, wydaję gniewny rozpaczliwy okrzyk:

– To nieprawda! Nasza mama nie będzie niczego wić, tylko umrze!

Jestem nieopisanie zszokowana, że tata i Wierka mogą w takiej chwili grać komedię o wiciu dziecka i okłamywać cały świat, ze mną włącznie. Jak mama miałaby cokolwiek wić, nawet kręcić wici – skoro w ogóle nie może ruszać rękami, tylko leży na łóżku ciężka jak beka i krzyczy rozdzierająco, bo jej wydęty brzuch tak bardzo ją boli? A i owszem, mama tysiąc razy mówiła mi, że w swoim grubym brzuchu nosi dziecko. Ale ja jej nigdy nie wierzyłam. Myślałam, że mama zrobiła się taka gruba od jedzenia za dużo. Mama mówiła mi te rzeczy o nowym dziecku, kiedy się śmiała i była wesoła. Ale teraz? Jak może myśleć o takim dowcipie jak wicie dziecka – którego nikt, ma się rozumieć, nie potrzebuje – kiedy wije się w boleściach? Nie, mama niczego nie wije, tylko w boleściach umiera.

*

I tak przychodzi na świat on – mój brat. Dają mu na imię Chomele, po nieżyjącym ojcu Jankewa, Chomele Sojferze[191]; i nadają mu jeszcze jedno imię: Jochanan, po Jochananie ben Zakaju[192], który założył uczelnię talmudyczną w Jawne w czasie oblężenia Jerozolimy przez Rzymian, i którego Jankew uważa za pierwszego bundystę w dziejach Żydów. Z miejsca skraca Wierka zabawnie długie podwójne imię Chomele-Jochanan, robiąc z niego łatwe imię: Noniek. I tym mianem jest on określany.

Swoim przyjściem na świat Noniek robi przewrót w moim życiu. Wypycha mnie okrutnie z tego miejsca, jakie zdołałam zająć w rodzinnej konstelacji. Tamtego dnia, kiedy przychodzi na świat, rodzice porzucają mnie na dobre – a siostry też już nie mam. Mama jest wiecznie zajęta Nońkiem i uczeniem Wierki, jak się z nim obchodzić. Mnie w ogóle nie potrzebuje. A kiedy tata jest w domu i trzyma rozbeczanego Nońka na rękach, Wierka zajmuje się zabawianiem go, bo mama nadal jest ospała i często kładzie się na drzemkę. Tata, co prawda, zaprasza mnie, żebym podeszła i też robiła „cymes" z Nońkem, ale ja wiem bardzo dobrze, że woła mnie, bo się boi, iż wybuchnę zazdrosnym płaczem i obudzę strasznie kapryśną mamę. Nic to nie pomaga. Istotnie jestem zazdrosna. Lecz otwarcie konkurować zarówno z młodszym bratem, jak i ze starszą siostrą nie mam odwagi. Skutkiem tego biorę się z powrotem do uciekania – tym razem z domu.

Trawiona głęboką rozpaczą wędruję po ulicy pół godziny lub godzinę – co zdaje się wiecznością. Obchodzę kwartał hałasujących fabrycznych monstrów, uważając, żeby nie zapuścić się za daleko, w razie gdybym zabłądziła, bo nikt nie miałby czasu, żeby biec mnie szukać. Kiedy, wykończona i wygłodniała, robię kapitulujący w tył zwrot i wchodzę do domu, nie wygląda na to, żeby ktokolwiek zauważył, że wyszłam, aby nigdy nie wrócić. Na kuchennym stole leżą dwa kawałki chleba z obłożeniem przygotowane dla mnie, lecz nikt nie podprowadza mnie do ławki, nikt nie dąsa się: „Czemu nie jesz? Gryź! Łykaj!". Nikogo to nie obchodzi.

To jest przerażające odkrycie. Pozbawia mnie chęci na uciekanie z domu, wychodzenie w geście protestu i odmawianie jedzenia. Pozbawia mnie godności bycia członkiem tej rodziny. Staje się dla mnie jasne, że jeśli chcę się ratować,

---

[191] Sojfer – skryba, pisarz przepisujący święte teksty. Reb Chomel Sojfer, ojciec Jankewa, jest bohaterem powieści Chavy Rosenfarb *Bociany*.

[192] Jochanan ben Zakaj, żyjący w I w. żydowski mędrzec, uczony, współtwórca Miszny – rdzenia judaizmu rabinicznego, stanowiącego obok Gemary zasadniczą cześć Talmudu, twórca szkoły rabinicznej w Jawne, której zadaniem było uporządkowanie i systematyzacja spuścizny literackiej poprzednich pokoleń.

nie wolno mi pozostawać bierną w obliczu tej niesprawiedliwości, jaka jest wobec mnie popełniana, tylko muszę coś robić. I istotnie coś robię.

Jest poniedziałek po południu, wolny dzień taty. Rodzice leżą w nowym, podwójnym łóżku. Tata, któremu nigdy nie jest dość spania, zagląda, jak to ma w zwyczaju, zanim uśnie, do książki, którą trzyma opartą na piersi. Wierka odrabia pracę domową przy oknie. Siedzi na podłodze, używając taboretu jako stołu. Dwutygodniowy Noniek śpi w kołysce, która służy mu za łóżko.

Siedzę skurczona w moim kąciku między garderobą a ścianą okienną i przyglądam się im wszystkim. Jest jasne jak słońce, że jestem zbędnym elementem w tym ogólnym widoku rodziny, dygresją bez żadnego znaczenia. Lecz dla siebie samej mam największe znaczenie! Mam pełne prawo zająć z powrotem swoje miejsce na świecie – a ci, którzy mają zamiar odepchnąć mnie na bok, zwłaszcza mój brat, są złymi stworami. Gniew i rozgoryczenie buzują i wrą we mnie, a kiedy zaczynają kipieć, muszę się natychmiast wyładować. Zrywam but z prawej nogi i z całą siłą i palącym pragnieniem, żeby zniszczyć ten niesprawiedliwy świat, rzucam tym butem w posłanie Nońka. Nie potrzebuję żadnego brata!

Noniek uderza w ryk. Ma to szczęście, że uniknął posłańca mojego cierpienia – buta. But wylądował na poduszce koło jego twarzy. Nic dziwnego. Jestem przecież jedyna w rodzinie, której szczęście nie sprzyja. Mama budzi się, lecz Wierka nawet nie podnosi głowy znad pracy domowej; kiedy odrabia lekcje, można ją wynieść z mieszkania, a ona nawet by tego nie zauważyła. Lecz tata wyskakuje z łóżka. Wyjmuje but z kołyski i z butem w ręce porusza kołyską przez chwilę, aż Noniek znów uśnie spokojnie. Mama także zasypia. Tata podchodzi do mnie i wkłada mi but na nogę.

– Musisz przestać rzucać rzeczami, Miriamko – mówi do mnie szeptem, udając, że nie wie, iż pojął moją intencję. – Jak celujesz butem w łóżko, wiesz, co może się stać?

– Wiem. – Wydaję jęk, a moje serce krwawi.

– Musisz naprawdę być ostrożna. Takie małe dziecko ma bardzo delikatną skórę i miękkie kości. Najmniejsze uderzenie może – broń Boże! – zostawić znak na całe życie. Takie małe stworzenie jest całkiem bezbronne.

„Ja też jestem bezbronna!" – chce mi się krzyczeć. Chcę mu powiedzieć, że ja też jestem małym stworzeniem i że Noniek zrobił mi krzywdę swoim przyjściem na świat. Lecz zanim zdołam wyłożyć to wszystko, tata jest z powrotem na łóżku, a książka znów opiera się na jego piersi i zasłania mu twarz, choć czuję, że obserwuje mnie z ukosa. Jestem zbyt zbolała, nie na siłach, żeby poradzić sobie z tym dyskomfortem w sobie, żeby dalej siedzieć w moim kąciku. Wstaję więc, podchodzę do łóżka i siadam koło taty. Nie mogę dłużej uciszać tej burzy, jaka we mnie szaleje.

– Chciałam zabić Nońka – oświadczam mu. Łzy leją mi się ciurkiem po policzkach.

Książka, która opiera się tacie na piersiach, przewraca się. On obraca głowę w moją stronę, a jego wzrok zanurza się w głębinie moich rozbieganych oczu. Zamyka książkę, siada, dotykając stopami podłogi i bierze mnie między swoje kolana. Jak dobrze mi tak stać, bezpiecznej, osłoniętej między jego kolanami. Lecz z drugiej strony, jestem rozgoryczona, że ta wiadomość, jaką dopiero co mu przekazałam, nie robi żadnego wrażenia na nim. Oto jak daleko posunęła się jego obojętność w stosunku do mnie – myślę sobie.

Tata siedzi ze mną w milczących objęciach. Następnie wstaje, bierze mnie za rękę i na czubkach palców podchodzi ze mną do kołyski. Szepcze mi do ucha:

– Spójrz na te małe rączki i zgrabne małe nóżki. Taki mały człowieczek jest bardziej bezbronny niż kociątko, które szybko porusza się na nóżkach od razu po urodzeniu, albo piesek. Nawet małe ptaszątko uczy się latać szybciej, niż mały człowieczek nauczy się chodzić. A Noniek nie zrobił ci nic złego. Nie wybrał sobie, żeby być twoim bratem. To było postanowienie mamy i moje. Powinnaś być zła na nas, a nie na niego.

– Jestem zła! – Tupię nogą.

On łapie mnie za przegub ręki, zaciąga mnie do kuchni i zamyka drzwi. Pyta mnie nieco głośniejszym szeptem:

– To dlaczego nie rzuciłaś tym butem we mnie albo w mamę? Tylko w Nońka, który nie może się bronić?

Mazgaję się dopiero na poważnie.

– Bo ja nie chcę go mieć! Chcę mieć tylko mamę i ciebie!

Tata siada przy kuchennym stole i bierze mnie na kolana. Złość topnieje we mnie i oplatam ręce wokół jego szyi, a on przyciska mnie do siebie.

– Ja też bardzo chcę cię mieć – powiada. – Wierz mi, Miriam, że mama i ja bardzo mocno chcemy cię mieć. – Obcmokuje moją mokrą twarz głośnymi, namiętnymi pocałunkami, które brzmią tak samo entuzjastycznie, jak pocałunki, które daje mamie. Czuję kłujący dotyk szczeciny jego wąsów na gorących policzkach, a nozdrzami wdycham ledwie wyczuwalną woń tabaki z jego ust. Balsamiczny obłok pociechy przyprawia mnie o zawrót głowy. I tak siedzimy oboje, podczas gdy ja oczyszczam swoją duszę z goryczy długim płakaniem, a tata tymczasem przygryza wargi. Wreszcie otwiera szufladę kuchennego stołu i wyjmuje kartkę papieru i ołówek.

– Wiesz, co mi w tej chwili przyszło do głowy? – pyta. Ocieram twarz rękami, kręcąc przecząco głową. Powiada więc do mnie: – Wpadło mi do głowy, że najwyższy czas, abym nauczył cię, jak pisze się słowa „tata" i „mama". Wkłada mi ołówek do prawej ręki i obejmuje jej przegub, jak tancerz obejmuje tancerkę w talii. I tak zaczyna prowadzić moją rękę z ołówkiem, tak jakby w tańcu, wzdłuż linii na arkuszu. – To jest *mem, a to jest alef*[193] – szeleści jego głos.

---

[193] *Mem*, *alef* (hebr.) – litery alfabetu hebrajskiego, odpowiednio: m, a.

Słyszę miękkie stąpanie papuci mamy. Binele wchodzi do kuchni i zaspana zaczyna krzątać się przy talerzach.

Jankew kontynuuje:

– *Mem* z *alef* i jeszcze raz *mem* z *alef* czyta się „mama"...

Tak siedzimy przez dłuższy czas, wodząc ołówkiem po papierze. Binele gotuje grochówkę z kluskami kładzionymi i kompot jabłkowy z cynamonem, którym pachnie cały dom. I znów na świecie zapanował porządek. Nawet jeśli moja rana na duszy nie może zostać tak łatwo zaleczona, to te minuty są łaskawe.

Mam podejrzenie, że tata omówił z mamą ten incydent z butem i że postanowili zmienić taktykę i zachowywać się lepiej względem mnie. Mama okazuje mi nadzwyczajne zainteresowanie, zmieszane z wielką czułością. Poświęca mi więcej czasu, niż może sobie na to pozwolić, i to, czuję, czyni mamę odrobinkę mną zniecierpliwioną przy jej ogólnej serdeczności. Rodzice nie są w stanie mnie okłamać. Mam wyraźny dowód, że zmuszają się do bycia dobrymi dla mnie, ze strachu, że mogę zamordować Nońka. Dowodem na to jest, że mama zostawia mnie jeszcze rzadziej z Nońkem niż wcześniej i zawsze ma na mnie oko. Ja, ze swej strony, nie jestem specjalnie zainteresowana, żeby uwolnić mamę od tego strachu. Przeciwnie. Wykorzystuję to dla własnej korzyści. Przychodzę do mamy z kapryśnymi zachciankami i wypróbowuję jej cierpliwość. Kiedy się z nią pokłócę, ona robi się jeszcze bardziej przestraszona i we wszystkim mi ulega.

Rodzice jednak są bardziej wstrzemięźliwi w swojej dobroci niż ja w swojej woli ich wypróbowania. Nikt na świecie nie wie równie dobrze jak ja, jak słodko jest być ukołysanym rodzicielską miłością i wierzyć, że są oni uczciwi w tej miłości. I w ten sposób niepostrzeżenie nowa gama uczuć rozdzwania się na strunach mojego serca. Moja uraza do rodziców i do Nońka nie znika, lecz zostaje przykryta, by tak rzec, uczuciem, że mama znów jest moja. Tymczasem Noniek zaczyna pomału zapewniać sobie miejsce w moim sercu jako „mój brat". Kiedy zdarza się, że jest przeziębiony i pan Nowakowski, felczer z wąsami à la Piłsudski, zachodzi, żeby postawić mu bańki, rzucam się na niego z taką samą furią, z jaką rzucałam butem w kołyskę Nońka. Biję pięściami felczera w kolana i zawieszam się na jego ramieniu.

– Nie pozwolę stawiać baniek na plecach mojego brata! – ryczę.

Staję się coraz bardziej zaciekawiona tym moim małym bratem. Przyglądam się, jak mama go kąpie i zauważam, że jest inny niż Wierka i ja. Ma prztyczek między nogami, skąd czasem obfity strumień wody tryska łukiem mamie prosto w twarz. Pytam mamę o to.

– A to? To jest jego przyrodzenie – wyjaśnia. – On jest chłopcem. Wszyscy mężczyźni to mają.

– Tata też? – pytam.

– Oczywiście, jakżeby inaczej.

– Nigdy nie widziałam.

– Wierz mi – zapewnia, chichocząc, mama.

– Ale ja chcę to zobaczyć. Powiem mu, żeby mi pokazał.

– Niech Bóg broni! – Mama robi się poważna. – To obrzydliwa rzecz dla mężczyzny, żeby pokazywać swoje przyrodzenie małej dziewczynce. Możesz patrzeć na przyrodzenie Nońka, ile chcesz, ale kiedy Noniek dorośnie i stanie się mężczyzną, a ty dorośniesz i staniesz się kobietą, to będzie wstrętna rzecz, żeby wzajemnie pokazywać sobie genitalia. Co nie jest obrzydliwe w wykonaniu dziecka, zwykle jest obrzydliwe w wykonaniu dorosłego człowieka.

– Ale dlaczego, mamo?

Mama jest przyzwyczajona do moich pytań: „Ale dlaczego, mamo?", które zadaję tysiąc razy na dzień. Jest do tego tak przyzwyczajona, że najczęściej je ignoruje. Robi tak i tym razem. Zamiast tego pokazuje ruchem głowy na moją spódniczkę i na swoją, i mówi:

– Spójrz, jak Noniek nas zmoczył, bijąc rękami w wodę i kopiąc nogami.

*

Lubię chodzić na spacer z tatą. Pozwalam nawet, żeby mama założyła mi czystą sukienkę, jedną z tych, które odziedziczyłam po Wierce i które zwykle są za luźne na mnie. Nie mam innych sukienek. Z okazji takiego spaceru pozwalam mamie nawet zawiązać podwójną kokardę w moich włosach, a jest to rzecz, którą zwykle dziko zwalczam. Bo jeśli noszenie czystej sukienki jest nieszczęściem, to noszenie kokardy we włosach jest największym nieszczęściem ze wszystkich. Wstążka tak ciasno ściska mi włosy, że czuję każdą cebulkę każdego włoska na mojej głowie.

Mam poważny problem z mamą, co się tyczy moich włosów. Przy myciu głowy rozgrywa się pomiędzy nami niejedna dramatyczna scena. Mama ma zwyczaj szorować mi łepetynę nad miską z wodą i mydłem, co to nad nią muszę stać pochylona tak długo, że mydło włazi mi do oczu, a kark zaczyna boleć od trzymania ciężkiej głowy opuszczonej przy braku możliwości ruchu, ani tu, ani tam.

Następnie zaczyna się dyskusja na temat fryzury. Wierka może, na przykład, z nadludzką cierpliwością ustać w tym samym miejscu godzinę lub dłużej, pozwalając mamie zakręcać swoje włosy na papiloty, żeby te włosy zamieniły się w uroczo kręcone kaskady, kiedy wyschną, i żeby spływały z korony jej głowy, sięgając do ramion. Wierka chce zapuszczać włosy, żeby były tak długie jak włosy mamy. To samo w sobie nie jest takie złe, bo włosy mamy są przepiękne. Lecz przechodzenie całego tego zawracania głowy z kręceniem papilotów mi się nie opłaca.

Tak czy siak, w tym celu musiałabym mieć zarówno miękkie, podatne włosy, jak i łatwy charakter – a nie mam żadnego.

Prócz tego długie włosy mamy można zobaczyć tylko, kiedy czesze je rano, a one spływają wzdłuż jej pleców błyszczącymi falami, zanim ułoży je w kok – albo pod wieczór, kiedy plecie je w długi warkocz. Dlatego jestem pewna, że mama

i tak nie pozwoliłaby mi na rozpuszczenie moich długich włosów – gdybym je miała – żeby rozwiewały się swobodnie na wietrze, jak włosy powinny się rozwiewać, żeby było widać ich piękno. I tak związałaby moje sztywne, grube włosy w dwa warkoczyki jak pejsy chłopców z chederu[194]. To jaki ma to sens? Proszę więc mamę, choć nienawidzę chodzić do fryzjera, by raczej pozwoliła mi obciąć włosy bardzo krótko, żeby nie trzeba było ich związywać. Lecz mama nie chce o tym słyszeć. Uparła się, że muszę akurat nosić włosy ciasno związane wstążką na czubku głowy, i ile razy nie próbowałabym jej przekonać, nic to nie daje.

– Chcesz obciąć się na jeża? – pyta, krzywiąc się, mama. – Fe, nie pasuje dziewczynce chodzić z ostrzyżonymi włosami i wyglądać jak chłopak. Ludzie mogliby jeszcze pomyśleć, że miałaś – broń Boże – parcha i musiałam dać ściąć ci włosy.

Lecz dla przyjemności pójścia na spacer z tatą opłaca się wszystko, nawet wstążka we włosach.

Są ferie pesachowe[195] i jeden z tych nielicznych dni, kiedy tata ma wolne zarówno w pracy, jak i nie chodzi na żadne posiedzenia lub zebrania. Mama zostaje w domu z Nońkiem, żeby przygotować przyjęcie dla gości, którzy mają przyjść wieczorem na „bundowski seder[196]". Tata chwyta Wierkę jedną ręką, a mnie drugą i tak wychodzimy z domu i idziemy przyjemnie ulicą Składową w kierunku Parku Kolejowego. Wierka i ja jesteśmy ubrane w nasze najładniejsze sukienki, z białymi skarpetkami i lakierkami na nogach. W sobotę po południu niewielu jest przechodniów na ulicy. Fabryki, które stoją tu jedna koło drugiej, przerwały pracę w południe. Stróże siedzą teraz ze swoimi rodzinami przed bramami i zażywają świeżego powietrza. Co parę minut tata puszcza moją rękę i z szacunkiem uchyla kapelusza, żeby pozdrowić stróży, jakby nie byli oni stróżami, tylko właścicielami tych fabryk. Spoglądam w górę na twarz taty i dostrzegam dumny uśmiech na ustach poniżej czworokąta wąsów. Do siebie mówię: „Oto idzie król Nibylandii ze swoimi dwiema królewnami". Swawolny wiosenny wietrzyk rozsiewa słodkie zapachy, a atmosfera otoczenia harmonizuje z nastrojem w sercach księżniczek. Chce się śmiać bez powodu.

Park Kolejowy jest to niewielki skwer z paroma kępami rachitycznych drzew. Znajduje się w sąsiedztwie dworca kolei warszawsko-wiedeńskiej pośrodku lasu fabryk z wysokimi kominami. W Parku Kolejowym tata spotyka się z wieloma

---

194 Cheder – żydowska szkoła elementarna, do której posyłano chłopców w wieku trzech lat.

195 Pesach – jedno z najważniejszych świąt żydowskich, przypadające na wiosnę. Upamiętnia wyjście Żydów z Egiptu. Święto trwa w diasporze osiem dni, podczas których obowiązuje zakaz spożywania potraw, które mogą ulec zakwaszeniu i nakaz spożywania macy.

196 Seder – tradycyjna wieczerza spożywana w święto Pesach, potrawy (m.in. wino, maca, mięso) w czasie sederu mają znaczenie symboliczne i przypominają o wyjściu Izraelitów z niewoli egipskiej.

znajomymi, którzy siedzą wokół na ławkach i czytają gazety. Część z nich nazywa tatę „towarzyszem Polinem". Szczypią Wierkę i mnie w policzek i mówią do towarzysza Polina: „Wasze córki wyglądają jak prawdziwe księżniczki, towarzyszu Polin!". Tata udaje, że przywołuje na usta obojętny uśmiech, jak król, który jest przyzwyczajony od otrzymywania zasłużonych komplementów. Siada na ławce i wdaje się w rozmowę z tym czy innym człowiekiem. Wierka patrzy mu na usta i nasłuchuje, strzygąc uszami.

Tata rozmawia o Józefie Piłsudskim, o którym nasłuchałam się wspaniałych rzeczy w polskiej freblówce, gdzie jego portret wisi na ścianie. Lecz tata uważa pana marszałka Józefa Piłsudskiego za „dryltatora", to znaczy złego człowieka, który wojskowym drylem uciska dobrych ludzi[197]. Tata jest wzburzony, kiedy pyta, między jednym papierosem a drugim: „Jak on śmiał to zrobić?". Tata wygląda, jakby złościł się na okularnika, do którego mówi, tak jakby to była tego okularnika wina, że marszałek Piłsudski zrobił jakąś rzecz, która nazywa się „pucz", i rozwiązał inną rzecz, która nazywa się „sejm"[198]. Ów okularnik kiwa głową w takt mowy taty i pozwala mu gniewać się na siebie.

Ja mam coś lepszego do roboty niż marnowanie pięknego pesachowego popołudnia na opowieści o strasznym Józefie Piłsudskim, którego w przedszkolu nazywają dobrym dziadkiem Piłsudskim[199], i śpiewają dużo piosenek o jego dobroci. Mam go dosyć. Ostatecznie jest on niczym więcej niż portretem na szkolnej ścianie lub w gazecie taty. On mi nic nie robi, ani dobrego, ani złego. Nie obchodzi mnie zatem w najmniejszym stopniu; a słuchanie tak często rozmów na jego temat nudzi mnie śmiertelnie. Prawdę mówiąc, mam tacie za złe, że marnuje tę rzadką okazję, żeby dobrze spędzić czas z Wierką i ze mną w pięknym Parku Kolejowym, który wiosna powlekła świeżością tak szlachetnej zieleni. Ześlizguję się z ławki, gdzie siedzimy. Jest dużo dzieci, które biegają wokół. Chłopcy bawią się w żołnierzy, dziewczynki skaczą na skakankach lub grają w klasy. Lecz zamiast pobiec do nich, spaceruję w stronę tych paru drzew, dzięki którym ten skwer nazywa się parkiem.

---

[197] Józef Piłsudski (1867-1935) – działacz społeczny i niepodległościowy, członek Polskiej Partii Socjalistycznej, współtwórca niepodległego Państwa Polskiego. Był w latach 1918-1922 Naczelnikiem, a od 1920 marszałkiem Polski. Przez większość Polaków, w tym także polskich Żydów, uważany za męża opatrznościowego, z czasem – zwłaszcza po przewrocie majowym – dawni towarzysze, i inni działacze lewicowi (w tym bundowcy) zarzucali mu porzucenie socjalistycznych ideałów i układ z prawicą, a także autorytarny styl rządów i prześladowania lewicy.

[198] Podczas tzw. przewrotu majowego w dniach 12-15 maja 1926 roku Józef Piłsudski dokonał zbrojnego zamachu stanu i przejął stery władzy w Polsce.

[199] Józefa Piłsudskiego popularnie nazywano „Dziadkiem", był bohaterem narodowym, z relacji i wspomnień łódzkich Żydów wynika, że jego kult był podtrzymywany w szkołach i gimnazjach do wybuchu II wojny światowej.

Drzewa są to dziwne stwory. Rosną tak samo jak ludzie, lecz w przeciwieństwie do ludzi nie mogą ruszyć się z miejsca, jakby jakaś czarodziejska ręka przywiązała je do ziemi korzeniami. Sądzę, że jeśli drzewa żyją naprawdę, muszą być nieszczęśliwe, że nie mogą się ruszyć, zwłaszcza w taki piękny wiosenny dzień. Oto widzę, jak kołyszą się z każdym wietrzykiem i rzucają odbicie promieni słońca, jak gdyby roniły złote łzy. Z porośniętymi liśćmi zielonymi gałęziami, jak z wyciągniętymi ramionami, wyglądają, jakby daremnie próbowały wyrwać się z czarów rzuconych przez jakiegoś czarodzieja.

Żeby wyrazić moje współczucie dla świątecznie spacerujących, lecz nieszczęśliwych drzew, kołyszę się razem z nimi. Następnie zaczynam energicznie hopsać wokół nich, na koniec odprawiam swego rodzaju taniec dookoła pni drzew. Wydaje mi się, jakby dzięki mojemu tańczeniu zdarzył się cud i drzewa, oswobodzone, tańczą ze mną w kole. I nie tylko drzewa, lecz także trawa wokół nich, ławki, żwirowe ścieżki, a nawet piasek na ziemi i kurz w powietrzu tańczą. Ja sama jestem czarodziejką. Pokonałam te czary, które trzymały cały świat przykuty do jednego miejsca. W głowie mi się kręci z radości z powodu mojego dokonania i padłszy pod drzewem, czekam, żeby gałęzie nad moją głową przestały mi wirować przed oczami.

Idę z powrotem i siadam koło taty. Wierce udało się ostatecznie odwrócić uwagę taty od jego rozmówców i skoncentrować ją na niej. Zadaje mu genialne pytania. Ona jest genialna. Jest w stanie zapytać o wszystkie rzeczy, które ja też chcę wiedzieć, lecz nie wiem, jak zapytać. Wiedzieć, jak zadać pytanie, jest bardzo trudno, a ja w żaden sposób nie potrafię opanować tej umiejętności. Moje pytania mają w zwyczaju wychodzić inaczej, niż chciałabym je zadać. Dlatego odpowiedzi, jakie otrzymuję, jeśli mam szczęście uzyskać odpowiedź, też nigdy nie są takie, jakie chciałabym w zasadzie znać.

Tata odpowiada Wierce swoim szeleszczącym, aksamitnym głosem. Jego odpowiedź rozrasta się w luźnie opowiadanie, które wymyśla z miejsca. Mało co rozumiem z tych opowiadań, które snuje w większości wokół agad[200], jak na przykład opowieść o słońcu i księżycu, które z początku były tej samej wielkości i miały taką samą moc, lecz Bóg – w którego nasza rodzina nie wierzy, ale wierzą w niego ludzie religijni – ukarał grzeszny księżyc i uczynił go mniejszym i ciemniejszym niż słońce[201]. Jest to dosyć prosta historia i powinnam ją rozumieć,

---

[200] *Agada*, także *hagada*, *haggada* (hebr.) – pochodzi z tradycji rabinicznej egzegezy Biblii, rodzaj przypowieści, opowiadania, zwykle zbudowanego na przykładzie historii biblijnych, w prosty sposób wyjaśniającego niekiedy skomplikowane treści.

[201] Jeden z midraszy opowiada, że kiedyś Słońce i Księżyc były takiej samej wielkości i świeciły równie mocno, ale Księżyc skarżył się, że Niebo jest większe i piękniejsze niż Ziemia, a Ogień jest silny, ale woda może go ugasić, dlaczego więc on i Słońce są takie same? Bóg wysłuchał i sprawił, że Słońce jest większe i świeci mocniej. Gdy Księżyc zrozumiał swój błąd, Bóg postanowił nie zostawiać go samego w ciemności i dodał mu gwiazdy.

a jednak jej nie rozumiem. Jak Bóg mógł być tak niesprawiedliwy i ukarać zazdrosny księżyc, jeśli w sercu zawsze bardziej kochał słońce niż księżyc? Przecież od razu miał w planie, żeby uczynić słońce władające samodzielnie dniem, podczas gdy księżyc miał się zadowolić władaniem nocą?

Opowieści taty jednak intrygują mnie i zdaje mi się, że w określony sposób je rozumiem. Dźwięk głosu taty posiada siłę wygładzania wszystkich meandrów niezrozumiałości. Takie magiczne piękno posiada jego głos. Kiedy mówi, wargi lśnią pod czworokątem jego wąsów, jakby zwilżały i zmiękczały każde słowo, żeby sprawniej wślizgiwało się do mojego ucha. Światło dnia odbija się w miodowym brązie jego oczu, powodując, że promienieją płynną słodyczą. Coraz bardziej i bardziej wygląda on, jakby był wszechwładnym królem wiecznej Nibylandii.

Trzej żebracy, oberwani, zgarbieni, o śniadych cygańskich twarzach – dwaj kulawi, którzy podtrzymują trzeciego, ślepego – zbliżają się razem do ławki i wyciągają kościste, wykrzywione ręce do nas. Jankew wyjmuje garść monet z kieszeni i daje sześć groszy Wierce i sześć groszy mnie, żebyśmy wetknęły żebrakom w dłonie.

– Biedni, biedni ludzie – ubolewa, wzdychając głęboko, Wierka po tym, jak żebracy odchodzą w stronę innych ławek z ludźmi.

Jankew podejmuje temat biednych ludzi, którzy nie mają nawet pajdki chleba do jedzenia, ani porządnego ubrania, żeby było im ciepło w zimie, ani grudy węgla, żeby się ogrzać. I jakby Łódź nie miała pod dostatkiem swojej własnej biedoty, tata rozgaduje się na temat głodujących ludzi w innych krajach, które nazywają się Indie, Afryka i Chiny. Kręcę się niecierpliwie na siedzeniu.

– Ale przecież ty jesteś bogaty jak król, tato! – wykrzykuję zwycięsko. Nienawidzę tego rodzaju opowieści taty. Co mnie obchodzą Indie, Afryka lub Chiny, czy nawet łódzka biedota, jeśli mam króla za ojca i posiadam swoją Nibylandię? Jestem królewną i nie mam ani krzty litości dla oberwanych żebraków. Oni wprawiają mnie w złość za zbicie taty z tropu i za zakłócenie świątecznego nastroju.

– I owszem, jesteśmy bogaci – potwierdza Wierka z powagą. Ona, ze swej strony, lubi akurat opowieści o biednych ludziach, które wyciskają jej łzy z oczu. – Dlatego musimy dawać datki biedakom, aż nastanie socjalizm i każdy będzie mieć pod dostatkiem jedzenia, a ludzie będą się kochać i będą szczęśliwi.

Słowo „socjalizm" nie jest mi obce, lecz nie rozumiem, dlaczego tata i Wierka uważają, że kochanie się i bycie szczęśliwym zależą od dostatecznej ilości jedzenia. Ja osobiście mam więcej niż po dostatkiem jedzenia, a moja rodzina nie cierpi głodu, no ale czy zawsze żyjemy szczęśliwie między sobą i zawsze się kochamy? A gdzie tam!

I tu tata naprawdę przebiera miarę. Nagle każe Wierce recytować wiersz, którego uczyła się w szkole Medema o szczęśliwych czasach dla całej ludzkości, które właśnie nastają.

Wierka się rozpromienia. Zeskakuje z ławki i staje w odległości kilku kroków od taty i ode mnie. Z twarzą zwróconą ku nam i ku ludziom na sąsiednich ławkach

dyga i rozkłada szeroko plisy swojej sukienki. Spoziera ukradkiem, czy ludzie na okolicznych ławkach spoglądają na nią sponad gazet, którymi zasłaniają swoje twarze, i zaczyna recytować:

Un zol wi wajt noch zajn di cajt
Fun libe un fun szolem,
Doch kumen wet, ci fri, ci szpet
Di cajt, es iz kejn cholem[202].

Twarze ludzi na ławkach wychynęły zza gazet i przyoblekły się w głupkowate uśmiechy. Kiedy Wierka kończy recytować, wszyscy klaszczą. Wierka rozkłada falbanki sukienki tak, że wyglądają one jak odwrócony wachlarz, i się kłania. Tata przyciska ją do siebie.

Zanim Wierka skończy naradę z tatą, który poemat teraz recytować dla jego przyjemności i dla przyjemności innych słuchaczy, nagle ożywiam się i ciągnę tatę za rękaw.

– A drzewa, tato – pytam – czy one też będą wtedy wolne i będą mogły iść, gdzie chcą?

Wierka wybucha śmiechem. Przy całym jej talencie deklamatorskim i jej umysłowości geniusza brakuje jej talentu do nieprzechwalania się i niewyśmiewania innych. Tata skrywa uśmiech w wąsach, żebym nie mogła rozpoznać, czy jest to uśmiech kpiarski, czy wynikający z zaskoczenia moim „komicznym" pytaniem. Próbuje mi odpowiedzieć, lecz nie wiem, jaki związek ma jego odpowiedź z tym, o co pytałam. To jest moja kara za nietrzymanie języka za zębami.

Lecz nie tyle mam pretensje do taty, ile do Wierki. To ona przysparza mi problemów. Na przykład, przezywa mnie złośliwie: „śpiąca królewna", a rodzice przejęli od niej nazywanie mnie tym oto prześmiewczym mianem. Ani oni, ani Wierka nie rozumieją, że ja naprawdę jestem królewną i że tu nie ma nic do śmiechu. W ogóle zauważyłam, że mówiąc, ludzie często wypaczają znaczenie słów; że mogą używać tych samych wyrażeń i za każdym razem mieć co innego na myśli, często coś odwrotnego niż sens tego słowa, jak na przykład mama, która nazywa Wierkę „paskudą", a chce przez to powiedzieć „śliczności".

Teraz nie proszę nawet, żeby tata wyjaśnił mi swoją odpowiedź. Zostawiam go i Wierkę siedzących na ławce i podskakuję w kierunku piaszczystej ścieżki,

---

[202] *I jakby daleko nie był jeszcze ten czas / Miłości i pokoju, / To przyjdzie wcześniej czy później / Czas ten, to nie jest mrzonka*. Fragment wiersza *Dos naje lid* Abrahama Reisena (Awrom Rajzen, 1876-1953) – pisarza, poety, dramaturga i redaktora tworzącego w języku jidysz; wyemigrował do USA w 1911 r.

żeby zbierać kamyki. Uwielbiam piękne kamyki – trzymać je w ręce i słuchać ich dźwięku, kiedy obracam nimi w palcach. Chadzam zawsze z kamykami w kieszeni. Krawcowa szyjąca Wierce sukienki, które ja dziedziczę, nigdy nie bierze pod uwagę, że kieszenie stworzone są po to, żeby można było wkładać do nich różne rzeczy, jak na przykład piękne, małe kamyki lub inne interesujące przedmioty, jakie znajduje się na ulicy. Albo ta krawcowa szyje sukienki w ogóle bez kieszeni, albo szyje takie małe, prawie żadne, kieszenie, które mimo że ładnie wyglądają, nie są w stanie utrzymać tych skarbów, jakie w nie wsadzam. Pękają i drą się, powodując, że tracę pewną ilość bardzo ważnych znalezisk i w dodatku mam kłopoty z mamą.

Mama kręci głową i się dziwi. „Boże w niebiesiech! Kto to słyszał, żeby dziewczynka chodziła z kieszenią pełną kamieni?". I komenderuje: „Wynocha z tym! Żebyś nigdy więcej nie przynosiła takich śmieci do domu!". Moje skarby nazywa śmieciami!

Od czasu do czasu, kiedy mama jest dobrze usposobiona, pamięć jej nie służy. Gdy przychodzę do domu z rwącą się kieszenią napakowaną kamykami, zapomina gniewać się na mnie, tylko wybiera z mojej kolekcji pięć gładkich kamyków równej wielkości i siada z nami na podłodze, żeby grać w strulki. Strulki to jest fajna gra, lecz nie ma nic wspólnego z pięknem tych kamyków. Z bólem serca przyglądam się, jak mama wyrzuca najpiękniejsze kamyki do kosza na śmieci. Skutkiem tego składuję ostatnio moje kamyki na podwórku koło ceglanej ściany. Nikt ich tam nie rusza, a ja nie przestaję się dziwić dlaczego. Jak to możliwe, zadaję sobie pytanie, że ludzie mogą przechodzić koło takiej wspaniałej kupy kamieni i nigdy nie zauważyć nawet najpiękniejszych z nich, jakby byli ślepi? Nigdy nie podniosą żadnego kamyka nawet po to, żeby potrzymać go w ręce przez chwilę i poczuć ten dotyk lub podziwiać kolorowe żyłki, jakie zdobią jego powierzchnię.

Teraz, kiedy zbieram kamyki w Parku Kolejowym, przychodzi mi do głowy, że dorośli nie wiedzą o wielu tajemnicach, o których ja wiem. Nawet Wiera nie wie, mimo że domyślam się, iż Wierka ma swoje własne tajemnice, które nie są mi znane. Wierka często mówi w zadziwiający sposób. Układa słowa do rymu, jakby były one częścią jakiejś recytacji. Jest to giętkość mowy, której nauczyła się od Mojszego Sokratesa i która nie jest zwyczajnym i przyjętym sposobem posługiwania się słowami. Podejrzewam także rodziców, że mają swoje własne tajemnice. Jestem bardzo ciekawa wszystkich tajemnic. Skoro jednak nikt nie potrafi poznać moich, to jak ja mogę poznać sekrety innych? Najbliżej poznania tajemnic innej osoby jestem w przypadku taty, wsłuchując się w dźwięk jego głosu, kiedy opowiada bajki.

Kiedy wracam do taty z pełną garścią kamyków, on wstaje z ławki, a z nim także ludzie z innych ławek. Ojcowie przywołują dzieci, biegające po parku, i w ten sposób, chaotycznym tabunem, spacerujemy w kierunku ulicy Piotrkowskiej. Przystajemy na skraju chodnika i czekamy na defiladę bundowskiego klubu

sportowego Morgensztern[203], który obchodzi jubileusz i dopiero co zakończył wielki *turnfest*[204].

Sportowcy, młodzi chłopcy i dziewczęta, wychodzą zza rogu i maszerują środkiem ulicy, energicznie, równymi kolumnami, w takt muzyki marszowej granej przez orkiestrę Kultur-Lige. Tysiące oglądających, biednych i bogatych, starych i młodych, ledwo może ustać w miejscu. Wielu rzeczywiście maszeruje wzdłuż chodnika, towarzysząc defiladzie. Inni maszerują w miejscu. Twarze promienieją. Oczy się skrzą. Brawa i wiwaty odbijają się echem w powietrzu, zatykając uszy.

Paradująca młodzież nosi długie, białe spodnie i białe koszule z emblematem Morgensztern wyszytym na piersi. Młode kobiety noszą krótkie, granatowe spódniczki i białe bluzy, z tym samym emblematem na piersiach. Wszyscy noszą takie same gumowe tenisówki. W powietrzu łopocze morze czerwonych szturmówek. Ci sportowcy wcale nie wyglądają jak młodzi żydowscy mężczyźni i kobiety z Łodzi. Wyglądają jak armia wysłanników z innego świata. Muskularni, silni, pełni energii i szwungu[205], wyglądają jakby zstąpili do Łodzi, aby dać miejscowym Żydom sygnał, że czas zacząć troszczyć się nie tylko o ducha, lecz także o ciało.

Ogarnięta podziwem, patrzę na zgrabne figury sportowców, którzy przechodzą obok mnie. Nie mam wątpliwości, że przybywają oni prosto z zaczarowanej Nibylandii. Dlatego są w stanie zaczarować całą masę ludzi i ująć ich elegancją swoich ruchów. Tłum wokół mnie jest jak gigantyczne ciało, które drży z podekscytowania – ciało, którego tata, Wierka i ja jesteśmy zachwyconą częścią.

Widzę, jak rozpromieniony tata podaje komuś rękę. Tęgawy mężczyzna o wielkich, wybałuszonych oczach, intensywnie niebieskich, lecz pokrytych licznymi czerwonymi żyłkami, uśmiecha się do taty. Szczupła dziewczyna w wieku Wierki stoi obok niego. Oto przeciska się ku skrajowi chodnika. Tata odzywa się, raczej do Wierki niż do mnie, że to jest pan Wajskop ze swoją córką. Ta dziewczynka, która ma długie, czarne warkoczyki, śniadą skórę i czarne oczy z czarnymi brwiami, kłania się z gracją i mówi po polsku, że ma na imię Sonia. Wierka też się kłania, z mniejszą gracją, i też podaje swoje imię. Ja tylko robię gest, jakby czyniąc to samo. Pan Wajskop, pojmuję od razu, jest to ten sam pan Wajskop, który jest dawnym przyjacielem taty, a obecnie wrogiem „klasowym", ten, który jest wielkim bogaczem i dał dużo pieniędzy na szkołę Medema. On i jego córka są bardzo elegancko ubrani. Dziewczynka nosi biały kapelusik przymocowany pod brodą na gumkę i białe rękawiczki na rękach. Ludzie, którzy stoją wokół,

---

[203] Morgensztern – żydowski klub sportowy, związany z partią Bund, powstał w Warszawie w 1922 r. jako Stowarzyszenie Robotnicze Wychowania Fizycznego „Jutrznia" – „Morgensztern", a wkrótce zaczęły powstawać oddziały w całej Polsce. Łódzka sekcja była druga w kraju pod względem liczebności.

[204] *Turnfest* (jid.) – pokazy gimnastyczne połączone z zawodami.

[205] Szwung (pot.) – pęd, zapał, energia do działania.

patrzą na nich z wielkim szacunkiem. Część mówi: „*Szolem-alejchem*, panie Wajskop", i wyciągają ręce, żeby uścisnąć jego dłoń. Jestem dumna, że pan Wajskop, który bez wątpienia jest ważnym człowiekiem, rozmawia tak poufale z tatą i uśmiecha się do niego, a tata stoi pogodny, dumnie wyprostowany, bo on też jest ważnym człowiekiem.

Tata nie spuszcza wzroku z defilady i łaskawie odpowiada panu Wajskopowi jednym słowem na dziesięć jego słów. Wierka przysuwa się do Soni i nawiązuje z nią rozmowę, jakby zupełnie zapomniała, że Sonia jest córką największego wroga taty. Czuję się odsunięta na bok, wciśnięta między grupę obcych ludzi, którzy patrzą zarówno na pana Wajskopa, jak i na paradę. Myślę, że pan Wajskop i jego córka wyświadczyliby mi największą przysługę, gdyby sobie stąd poszli. Ich stanie tutaj przeszkadza mi oglądać paradę. Żeby wyrazić moje zniecierpliwienie i jako znak protestu, zaczynam rzucać kamykami, które zebrałam w Parku Kolejowym, celując nimi mniej więcej w kierunku Soni, choć to są bardzo ładne kamyki.

Jeden z nich trafia Sonię w but, a inny w ramię, za które chwyta drugą ręką i się rozgląda. Wtem dostrzega rynsztok blisko chodnika.

– Spójrz tylko, jaki śliczny kamyk tu leży! – pokazuje Wierce. Ściąga białą rękawiczkę z ręki i nachyliwszy się, podnosi go.

Czuję, że moje policzki się rumienią. Jakieś gorąco rozchodzi się po mnie od stóp do głów. Ta obca dziewczynka podziwia piękno mojego kamyka! Chce mi się podbiec do niej i ją wycałować, takie opada mnie uczucie nagłego szczęścia. Wydaje się, jakbym znalazła się w jakimś obcym kraju i nagle spotkała kogoś, kto mówi w moim języku. Chłonę wzrokiem rysy twarzy Soni i powtarzam sobie jej imię w głowie, żeby go nigdy nie zapomnieć. Kiedy Sonia i jej tata żegnają się uprzejmie, oczu nie mogę oderwać od niej i odprowadzam ją wzrokiem, kiedy oddala się z moim kamykiem zamkniętym w jej ubranej w rękawiczkę dłoni. Mam mieszane uczucia jubilera, którego klient odszedł właśnie z najpiękniejszym okazem biżuterii z jego ukochanej kolekcji. Zbieram szybko inne kamienie, które tak lekkomyślnie wyrzuciłam.

Po drodze do domu tata kupuje balony dla mnie i dla Wierki.

*

Zima tego roku, roku poprzedzającego moje pójście do „właściwej" szkoły, jest bardzo długa i zimna. Mróz i częste zamiecie trzymają miasto w żelaznych kleszczach i tylko z rzadka słońce zaświeci w okno mieszkania przy ulicy Składowej.

Jest niedziela rano. Fabryki milczą. Tata jest w pracy; pracuje w tym tygodniu na pierwszą zmianę. Wierka jest w szkole; jej wolny dzień to sobota. Tylko moja polska freblówka jest, ma się rozumieć, zamknięta w niedzielę i bawię się sama na podwórku. Każdego dnia usiłuję zrobić bałwana, lecz udaje mi się tylko utoczyć wielką kulę ze śniegu, która powinna urosnąć i stać się jego tułowiem.

Zabiera mi to dużo czasu i odkładam resztę pracy na najbliższy dzień. Lecz następnego ranka zastaję śnieżną kulę zdeformowaną lub wręcz roztopioną. A mój pierwotny zamysł był taki, żeby zrobić całe miasto bałwanów, dużych i małych. Porzucenie tego projektu nie wchodzi w rachubę. Z wielką werwą zrywam się także dzisiaj i zaczynam formować wielkie kule śniegu, nie zważając na to, że mróz szczypie mnie w palce u rąk i nóg. Obraz miasta bałwanów stoi mi przed oczami i to dodaje mi kurażu.

Zaharowana i zasapana podnoszę głowę na chwilę i chwytam wzrokiem widok czegoś, co z niesamowitą siłą wnika we mnie, zapierając mi dech w piersiach. Okna na najwyższym piętrze budynku fabrycznego, bezpośrednio nad oknami naszego mieszkania, wypluwają gęste kłęby czarnego dymu. Okno naszego mieszkania jest otwarte i w tym oknie dostrzegam mamę zrzucającą toboły z pościelą i ubraniami na zaśnieżone podwórze. Skaczę na równe nogi. Chcę rzucić się do wejścia, lecz widok języków ognia, które buchają z okien na najwyższym piętrze, paraliżuje mi nogi. Nie mogę ruszyć się z miejsca. Dostrzegam mamę pokazującą się na podwórzu z Nońkiem w ramionach.

Otwieram szeroko oczy. Scena, jaką oglądam, wdziera się do wizji, jaką dopiero co miałam przed oczami – miasta pełnego bałwanów. Szokujące okropieństwo w zderzeniu fantazji i rzeczywistości, lodu i ognia. Ostry podmuch śniegu i dymu uderza mnie w twarz. Przechodzi mnie dreszcz, który w końcu sprawia, że paraliż ustępuje. Drżąc, wyrywam się z miejsca. Plączą mi się nogi, podczas gdy rzucam się wprzód, do mamy. Łapię ją za rękę. Ona zaciska swoje palce na mojej dłoni i ciągnie mnie ze sobą, na ulicę.

– Gwałtu! Ratunku! Pożar! – Mama wydaje dziwaczne okrzyki.

Wokół niej gromadzą się stróże i przechodnie. Oni też podnoszą larum. Jeden stróż biegnie wezwać straż ogniową. Mama stoi z Nońkiem i ze mną i spazmuje zagubiona, aż robi się ochrypła i głos przestaje jej służyć. Na koniec przebiega z nami przez ulicę i wpada do bramy przeciwległej fabryki. Każe mi usiąść w kącie i sadza Nońka między moimi nogami. Sama biegnie z powrotem na nasze podwórko, gdzie wiatr wzbija kłęby dymu w powietrze.

Wszczynam głośny lament i leję łzy, nie będąc w stanie się opanować. Co za okropność! Co za strach! I w tym oto niebezpiecznym momencie mama mnie opuściła i zostawiła mnie samą z Nońkiem. Mama może jeszcze zostać objęta przez płomienie i ogniowa burza pochłonie ją na zawsze.

Noniek wyrywa się z moich objęć. On też ryczy w najwyższej tonacji. Trzymam go ze wszystkich sił. Nie wolno mi go zaniedbać, cokolwiek by się stało. Mama powierzyła mi Nońka, zostawiła mnie samą z nim w obcej, wietrznej bramie, bo jestem już dużą dziewczynką. Mama może jeszcze nigdy nie wrócić, a ja... oj, a ja tak bardzo się boję.

Przyciskam Nońka mocno do mojego trzęsącego się ciała. Dzwoniąc zębami, bąkam do niego: „Sza, nie płacz". I robię w majtki. Dostaję ataku kaszlu i trzeba czasu, żebym mogła znowu złapać oddech.

Pokazuje się mama. Razem z żoną stróża i jego synem zaczyna przenosić rzeczy, które wyrzuciła przez okno. Słychać bicie na alarm. Czerwone wozy straży ogniowej nadjeżdżają z głośnym turkotem kół o bruk. Wjeżdżają na nasze podwórze naprzeciwko. Lecz więcej nie widzę nic, obłok dymu tak szczelnie przesłania przeciwległą bramę. Wiatr wywiewa go stamtąd, jakby to nie był dym, tylko wielki motek czarnej włóczki.

Mamy nie widzę. Może tym razem zniknęła, żeby już nigdy nie wrócić? Dźwięk szyb, które rozbijają się na bruku, napełnia moje uszy, zostawiając pogłos jakby miliona dzwoniących zębów. Trudno jest oddychać nawet w tej bramie, gdzie siedzę z Nońkiem. W powietrzu żeglują czarne płatki sadzy. Czarny śnieg pomieszany ze śniegiem białym padają z nieba. Cały świat spowija białe prześcieradło i czarne prześcieradło, oddzielone ode mnie czarną zasłoną, przez którą mogę, jak przez mgłę, widzieć strażaków w wielkich hełmach biegających tam i z powrotem. Ciągną ze sobą szlauch, który jak wąż wije się po szaro-białej brei na ziemi. Strażacy wykrzykują do siebie rozkazy i przeklinają po polsku.

Mama wynurza się z kłębów dymu. Wciąga uratowane rzeczy głębiej do bramy. Następnie przeprowadza też mnie i Nońka i sadza nas tam na górze pościeli. Tutaj trochę lżej oddychać. Poczułam się bezpieczna, mimo że widok mamy jest przerażający. Twarz jej, włosy, sukienka i chusta są w tym samym kolorze sadzy. Wygląda jak diablica. Pada na pościel koło nas i bierze Nońka na podołek. Niby czarnym skrzydłem obejmuje nas brudną od sadzy chustą i nie przestając nas całować brudnymi od sadzy ustami, przyciska nas do piersi.

– Do diabła z całą resztą – bąka do siebie i kołysze się z nami w przód i w tył. – Do diabła z całą resztą, póki mam dzieci. – I szepcze, wzdychając ciężko: – Jankewie, Kubusiu, pomóż!

– Mamo – wydobywam z siebie jęk – ząb mi dzwoni o ząb. I... zmoczyłam majtki. – Zanurzam głowę w mamy piersiach jak w poduszce i spod skraju maminej chusty spoglądam zamglonym od łez wzrokiem w górę na jej twarz. – Mamo – powtarzam, a zęby mi dzwonią – serce... serce podeszło mi do gardła.

Spojrzenia oczu moich i mojej mamy krzyżują się jakby w salucie – przykute do siebie przeczuciem czy przedwiedzą? Przez okamgnienie nie istnieje nic poza tą oto iskrą porozumienia między nami. Tworzy ona pomost między dwiema autentycznymi falami uczuć, które powodują, żeśmy obie ujrzały coś, czego nie da się ujrzeć. To cudownie mieć mamę. Lecz to straszne kochać ją, wiedząc, że się ją straci.

Mama odwraca wzrok ode mnie i wpatruje się w dal. Jej twarz nadal jest maską przerażenia, pełną strachu, który zagnieździł się w jej krwi – strachu przed ogniem. Nieustannie powtarza imię Jankewa, tak jakby wyciągała – poprzez wszystkie pożary, które znaczą drogę jej życia, aż do końcowego ostatecznego pożaru – do niego ręce i wołała: „Jankewie, Kubusiu, pomóż!".

Rozdział czternasty

Węgierski adiutant wmaszerował do szpitalnej izby z instrumentem, całym meblem wspartym na brzuchu – gramofonem! – i postawił go na ławce obok pryczy Miriam. Przyniósł ze sobą dwie lśniące nowością płyty: jedną z piosenkami miłosnymi, a drugą z ariami operowymi. Prawdopodobnie pochodziło to wszystko z dawnej kwatery SS.

Coś boleśnie szarpnęło Miriam za serce. Ujrzała przed sobą „ciocię" Cyporę i Mojszego Sokratesa, jak weszli ze starym gramofonem do mieszkania przy ulicy Składowej... Ujrzała mieszkanie przy ulicy Składowej... Ujrzała dom... i ogień...

Oto ordynans położył płytę na gramofonie i zakręcił korbką. Akordy popłynęły między ścianami, słowa śpiewane po niemiecku. Dźwięk tego języka obudził w pamięci Miriam dźwięki, które były najmniej muzykalne na świecie. A może ona nie ma racji? Może istnieje taka oto muzyka: muzyka okrucieństwa i nadludzkiej nienawiści, walkiryczna harmonia w automatycznym rytmie, we wciąż następujących po sobie kadencjach bicia knutem i gwałtu, uroczystość *Götterdämmerung*[206], która towarzyszy marszowi ludzkości ku zagładzie.

Nie chciała słuchać śpiewu w tym języku. Chciała wygonić tego przeklętego ordynansa, razem z jego prezentem. Lecz męski, czysty śpiew szybko ją skorumpował, podobnie jak jej rozmowy z doktorem Vanderhaeghe, również prowadzone po niemiecku, ją skorumpowały. Poddała się, wbrew swojej woli, leczniczej treści wyśpiewywanych niemieckich słów – o miłości. Melodie przyjemne. Pierwsze dźwięki muzyki w jej nowym życiu! Dokuczliwy ból szarpał za serce...

---

[206] *Götterdämmerung* (niem.) – *Zmierzch bogów* – czwarta część dramatu muzycznego *Pierścień Nibelunga* Richarda Wagnera.

Marusia i Aniela także dorwały się do gramofonu. Sala często była pełna ich gości. Lecz szybko znużyły się słuchaniem w kółko tych samych melodii.

To jak ona, Miriam, miała poradzić sobie z tym paradoksem? Z jednej strony – węgierski nazista, który był jej wielce życzliwy, a z drugiej – dwie jej współlokatorki, jej obozowe siostry, które, tak samo jak ona, doszły do siebie po tyfusie, a były tak nieżyczliwe? Widok siostrzanej więzi Marusi i Anieli był poruszający. Ciągle szeptały między sobą, używając mieszanki języków rosyjskiego i polskiego. Miriam była zadowolona, że nie może ich usłyszeć. Spojrzenia, jakie jej rzucały, uśmiechając się fałszywym uśmiechem współczucia, doprowadziły jej stan psychiczny do myśli samobójczych.

Włosy Marusi i Anieli były normalnej długości. Obie dziewczyny były pięknymi przedstawicielkami swoich narodowości. Marusia miała szerokie biodra, ciemne włosy i parę oczu, które były albo melancholijne i smutne, albo tryskały ogniście psotnymi iskrami. Śpiewała przeciągle rosyjskie pieśni nawet wtedy, gdy Miriam drzemała; śpiewała z takim sercem i uczuciem, że kamień by się poruszył. Aniela była blondynką, miała bladą, mleczną cerę i parę niebieskich, niewinnych oczu. Jej uśmiech był anielsko łagodny, a głos jej posiadał puchową miękkość. Przywodziła Miriam na pamięć polskie wioski i wiejskie dziewczęta z Bocianów – i sprawiała, że Miriam zadawała sobie pytanie, co ją czeka, kiedy wróci do Polski. Bardzo chciała wierzyć, że z jakiegoś powodu te dwie cudem ocalałe dziewczyny jej, Miriam, osobiście nie lubią. Nie mogą wprost jej znieść – i nie ma to nic wspólnego z jej żydostwem. A może ona, Miriam, w ogóle jest zbyt wrażliwa, jeśli chodzi o ten bolesny temat, i widzi nienawiść do Żydów nawet tam, gdzie jej się nie uświadczy?

Przebudziła się z drzemki i ujrzała Balcię i Malkę rozmawiające szeptem z Marusią i Anielą. Te dwie dziewczyny siedziały na pryczy i przyjaźnie uśmiechały się do Balci, która coś im wręczała. Marusia uprzejmie jej podziękowała, wzięła Anielę pod ramię i niespiesznie wyszła z nią z pomieszczenia.

Malka podeszła do pryczy Miriam z menażką w ręce. Zanim jeszcze zamieniły słowo, Miriam wyciągnęła swoją łyżkę spod poduszki i porwała menażkę od Malki. Chciwie zanurzyła łyżkę w zupie i zaczęła pospiesznie chłeptać. Dziki głód potyfusowy nie wiedział, co to cierpliwość. Podeszła Balcia. Wyciągnęła kawałek chleba zawinięty w szmatkę z kieszeni. Ten chleb Miriam też połknęła w okamgnieniu. Powstrzymała się przed zadaniem pytania, skąd pochodzą te prezenty. Dopiero po tym, jak wyskrobała dno menażki, oblizała łyżkę i wsunęła ją z powrotem pod poduszkę, zapytała z podejrzliwością w głosie:

– Co to za interesy macie z moimi współlokatorkami? One nie mogą mnie zdzierżyć.

– Kto ma interesy? – Balcia udała, że nie wie o co chodzi. – I kto nie może cię zdzierżyć?

– Dobrze wiesz kto. Widziałam, jak rozmawiasz z nimi szeptem.

„Muzułmańska" twarz Malki wykrzywiła się w wyrazie pogardy. Przesunęła ręką po swoich odrastających kasztanowych włosach i złościła się na swoją mamę:

– Dlaczego nie powiesz jej prawdy? – I sama wypaliła: – Przekupujemy te dwie laleczki, żeby cię nie okradały. Skosztowałaś coś z tego chleba, który zostawiłyśmy ci przedwczoraj? A tych jagód, które wczoraj postawiłyśmy na oknie, kiedy spałaś, też nie widziałaś na oczy, prawda?

– Jakich jagód? – spytała Miriam.

– A widzisz. Dlatego postanowiłyśmy coś z tym zrobić.

Wbrew swojej woli Miriam zadała pytanie:

– A skąd bierzecie tyle jedzenia?

Głębokie zmarszczki wokół Balci ust rozciągnęły się wraz ze sztucznym uśmiechem.

– To nie jest twoja sprawa.

– Co znaczy, że to nie jest moja sprawa? Muszę to wiedzieć.

– Nie zawracaj głowy. – Balcia rzuciła spojrzenie na gramofon. – Nie wiem, jak możesz znieść widok tego Węgra. – Skrzywiła się.

– Kto mówi, że mogę go znieść? Ale on usługuje mi jak lokaj. Bo i dlaczego nie! – odparła z uśmiechem Miriam. Balcia nagle się zarumieniła.

– Wydostajemy się z obozu. Angielscy policjanci wojskowi pozwalają nam wychodzić na spacer. Chodzi się więc do lasu na jagody. Pamiętasz ten las, który widziałyśmy, kiedy esesmani przyprowadzili nas do bramy kacetu? Ten las po lewej stronie? Las niezwykły! Przeogromny! Podobny do lasu w Stefanowie. Tam chodzę z Malką zbierać jagody. Sprzedaje się te jagody ludziom, którzy pracują w kuchni lub przy wydawaniu chleba, i w ten sposób mamy chleb i zupę.

– Jak masz do czynienia z dwiema takimi lalkami jak twoje współlokatorki – odezwała się Malka – zaczynasz myśleć, że górnolotne idee, które trzymały nas przy życiu w kacecie, funta kłaków nie są warte.

– No, daj mi już spokój z tą śpiewką, Malka – sprzeciwiała się Balcia.

Lecz Malka się roześmiała.

– Niekiedy chciałabym mieć siłę Samsona, żeby stanąć między niebem a ziemią i wydać taki krzyk, żeby świat zadrżał w posadach. – Potrząsnęła mocno deskami w nogach pryczy Miriam. – Świat nadal nie otrząsnął się z nienawiści do nas.

– Ale, Malka – Miriam próbowała polemizować z nią – ani Marusia, ani Aniela nigdy słowem nie wspomniały o moim żydostwie. A to, że one kradną, może tylko dowodzić tego, że są okropnie głodne. Głód potyfusowy może przywieść człowieka do szaleństwa. A może po prostu mnie nie lubią i nie ma to nic wspólnego z tym, co ciebie tak obrusza.

Malka niecierpliwie kręciła głową.

– Weź, na przykład, inną rzecz. Cały lager jest pełny wyzwolonych Polaków, Francuzów, Czechów, Rosjan, Węgrów, Cyganów. Ale Żydzi? Wśród ocalałych z Bergen-Belsen oficjalnie nie ma żadnych Żydów.

– Nieprawda, mamy rabbiego[207] – powiedziała ironicznie Miriam. – Robi obchód i przypomina żydowskim pacjentom, kiedy zaczyna się szabes.

Balcia próbowała wprowadzić weselszy ton do rozmowy:

– Sorka zaczyna dochodzić do siebie. Zdecydowanie widziałyśmy zmianę na lepsze u niej.

– Jej też nosicie jedzenie? – spytała Miriam.

– Tak dobrze jeszcze z nią nie jest. Głód potyfusowy jeszcze się u niej nie rozwinął.

– A u mnie jeszcze jak się rozwinął! Trzeba mieć siłę, żeby dać sobie radę z takim wilczym apetytem! – Miriam powiedziała to tak, jakby chciała się usprawiedliwić. Dobrze wiedziała, że niezależnie od historyjki ze sprzedażą jagód, Balcia i Malka dzielą się z nią swoimi mizernymi racjami żywnościowymi.

Doktor Vanderhaeghe niepodziewanie pokazał się w drzwiach.

– Jutro schodzisz z łóżka, *Mademoiselle*[208] – odezwał się wesoło do Miriam, pomachał do niej ręką i zniknął.

Twarze Balci i Malki rozjaśniły się z zadowolenia. I w ten sposób, wesołe, wyszły, a Miriam zaczęła odliczać godziny, aż wrócą i znów przyniosą jej coś do jedzenia.

Następnym razem kiedy przyszły, przyniosły Miriam kartkę od Abraszy, niemal identyczną jak poprzednia. Także tę kartkę ktoś za niego napisał. Wszystko, co na niej było, to pytania o jej zdrowie, plany na przyszłość i ani słowa o jego własnym stanie, własnych planach lub o innych mężczyznach z jego grupy. Prowadził z nią przedziwną grę, grę brutalną, która zupełnie nie pasowała do jego charakteru. Nie mogła zrozumieć, co się z nim stało. W tonie jego pytań był taki chłód, taka obcość. Okropieństwo kacetu co prawda jest w stanie zniszczyć istotę ludzkiej duszy, lecz czy mogło ono zniszczyć duszę człowieka takiego jak Abrasza?

Jakim w zasadzie był on człowiekiem – jej Abrasza? Czy jego czar nie polegał przede wszystkim na intymnym braterstwie z każdym, na jego spontanicznej serdeczności i wierności swoim przyjaciołom? Są ludzie, przebywanie z którymi porównać można do znalezienia się w nużącej, monotonnej drodze, która donikąd nie prowadzi. Przebywanie z nimi obarcza jakimś otępieniem i brakiem polotu. Lecz Abrasza był tego dokładnym przeciwieństwem. Przebywanie z nim porównać było można do podążania zapierającą dech w piersiach trasą, która prowadzi przez malownicze krajobrazy, obok gwarnych jarmarków pełnych niespodzianek; drogą, która cię wciąga, inspiruje i pobudza, by zapuszczać się wciąż dalej i dalej, żeby jak najwięcej wchłonąć w siebie tego tchnienia jego entuzjastycznego umiłowania życia.

---

[207] Rabbi (ang.) – rabin.

[208] *Mademoiselle* (fr.) – panienka.

Tak, nigdy jeszcze nie gniewała się tak na niego jak tym razem. Jednak odpowiadała taktownie na jego pytania, z serdecznością. Bała się uczynić go bardziej smutnym niż prawdopodobnie i tak już był. Dała swoje listy do niego Malce, która zawsze znalazła bezpieczny sposób, żeby je wyekspediować.

*

Energiczna pielęgniarka wpadła do sali z meldunkiem: „Dziś, moja droga, będziemy uczyć się chodzić".

Swoim charakterystycznym nerwowym ruchem ramienia ściągnęła kołdrę z Miriam, wywlekła więźniarską sukienkę pacjentki spod materaca i pomogła jej wciągnąć ją na siebie. Chwyciła Miriam mocno w talii i powoli, rozkołysanym krokiem, wyszła z nią na korytarz na dwuminutowy spacer.

Od tego dnia pielęgniarka przychodziła codziennie po południu i za każdym razem wydłużała spacer o kilka minut. Jeśli Balcia lub Malka akurat były przy tym, prowadzały się razem z Miriam. A ta zaczęła czuć się pewniej na nogach i szybko przyszedł ten dzień, kiedy pielęgniarka pozwoliła Balci i Malce wyprowadzić ją na dziedziniec. I w ten sposób, wsparta na obu, Miriam wyszła naprzeciw światu na zewnątrz.

Malka znalazła duże, puste, metalowe pudło i pomogła Miriam usiąść na nim. Co za rozczarowanie! Góry papierzysk, uszkodzone prycze, podarte materace, połamane ławki i stoły, menażki bez dna, wyświechtane niemieckie mundury i wszelkiego rodzaju szmaty zaśmiecały świeżą, zieloną trawę na zewnątrz. Powietrze zanieczyszczały smugi dymu. Kuchni nie było w pomieszczeniach koszarowych, więc kacetnicy gotowali jedzenie w blaszanych puszkach przy ogniskach porozpraszanych na dziedzińcu. Mężczyźni i kobiety siedzieli przykurczeni na kamieniach i skrzynkach, ich postacie w znoszonych pasiakach wyglądały jak brudne plamy na zielonym tle.

Dlaczego świat wokół nie był bardziej schludny i uprzątnięty? Serce omdlewało z tęsknoty za zarannym pięknem, które harmonizowałoby z jej zaranną radością. Dlaczego nikt nie wyszedł jej naprzeciw z girlandami kwiatów i plakatami głoszącymi: „*Borchabe*[209], Miriam, z okazji twojego powrotu do życia"? Dlaczego nie grała orkiestra w świątecznym rytmie jej serca?

Tylko Balcia i Malka były tu, żeby z nią świętować. I było tu też otwarte niebo nad głową. Przystroiło się w słońce jak w kwiatek w butonierce. Obmywało brudny dziedziniec wiadrami płynnego złota. Miriam spojrzała w górę. Znów była za pan brat z niebem. Znów jej tęsknoty żeglowały po nim. Dobrze jest żyć. To rozkoszne, upajające! Nie chciała myśleć o niczym. Modliła się tylko, żeby jej kości szybko pokryły się ciałem, żeby włosy szybko jej podrosły, żeby jej policzki się zaróżowiły,

[209] *Borchabe* (hebr./jid.) – witaj.

wargi zrobiły się czerwone, a piersi – pełne. Nie chciała być smutna. Jej spojrzenie odskoczyło w dal. Fikało koziołki na zielonej, zapaskudzonej trawie. Widziała siebie biegnącą na bosaka wzdłuż szpalerów kasztanowców w alei, ku polom za barakami mieszkalnymi, ku ogromnemu lasowi pełnemu jagód, o którym Balcia mówiła, że jest podobny do lasu w Stefanowie, gdzie spędzało się letnie wakacje – i ku życiu po tamtej stronie lasu.

Wróciwszy na pryczę w pomieszczeniu lazaretu, czuła się szczęśliwa jak położnica. Malka wniosła parę gałązek kwitnącej akacji w bukiecie z margarytek i chabrów. Węgierski adiutant został odkomenderowany do przyniesienia butelki z wodą dla kwiatków i postawienia ich na parapecie. Zapach kwitnącej akacji przyprawiał o zawrót głowy. Co parę minut Miriam obracała wzrok ku kwiatom i chłonęła oczami ich białoróżowe piękno.

Malka poszła. Lecz węgierski adiutant nadal tu był. Nastawił gramofon i krzątał się po sali, mrucząc pod nosem melodie. I oto stał koło pryczy Miriam i uśmiechał się do niej oślizgłym uśmiechem. I w ten sposób ją, seksualnie martwą, nagle opadła nieczysta, zdradliwa żądza, by poczuć dotknięcie jego pełnych, czerwonych ust i muskanie jego meksykańskich wąsów – na jej ustach. Tak, to diabelskie nasienie. To wyrzutek, który wedle wszelkiego prawdopodobieństwa ma niejedno na sumieniu. Niech będzie przeklęty, niech zdechnie, on, razem ze swoim oślizgłym uśmiechem i z tymi romantycznymi pieśniami miłosnymi, z tą słodką gramofonową muzyką, która wypełnia pomieszczenie. Niech idzie do diabła z tym obezwładniającym błyskiem żądzy w jego gorejących oczach! Boże, jak ona mocno go nienawidzi, i jak mocne jest jej pragnienie, by poczuć jego żelazny uścisk wokół swojego ciała! Czy jest to pragnienie śmierci, czy pragnienie życia? Śpiew z płyty gramofonowej skończył się, a igła drapała po niej i drapała...

*

Obudziła się ze snu w środku nocy. Mroczny tunel, który tak często jej się ukazywał, znów był tutaj i wsysał ją w siebie. Wierciła się na posłaniu. Zimny pot, który wystąpił jej na ciele, sprawił, że dostała gęsiej skórki. Kiedy znów zapadła w sen, złe obrazy zaczęły ją prześladować: krzyki, szepty i cichości, które dźwięczały w głowie jak dzwonek alarmowy.

Mama i Wierka ciągle uciekały od niej. Wołała je, żeby przyszły jej na ratunek. Następnie poczuła na sobie spojrzenie ojca podczas jego ostatniego pożegnania. Próbowała uciec z ognia na Susim, drewnianym koniku jej braciszka Nońka. Kiwała się w przód i w tył, stojąc w tym samym miejscu. Marek dotknął jej ust zatrutym pocałunkiem. Zaś Abrasza bawił się w ciuciubabkę z nią w ciemności spalonego lasu, a ona nie mogła go znaleźć.

Czerwonawy wagon bydlęcy, który ich wszystkich wiózł do Auschwitz, podążał za nią jak tren peleryny czarnoksiężnika. Słyszała, jak koła stukają w potwornym

rytmie. Topiła się w czarnym morzu, wśród fal płynnych cieni. Ręce kominiarza w czarnych rękawiczkach chwyciły ją za gardło. Krzyczała przez sen.

Kiedy obudziła się rano, poczuła, że jej serce uciska olbrzymi ciężar. Ledwie przypominała sobie szczegóły nocnych koszmarów i czekała, żeby światło dnia i słońce zdjęły je z jej serca. Bardzo chciała uwolnić się od pociągu z wagonami towarowymi, który ciągle podążał za nią. Chciała powracać do zdrowia w lekkim nastroju. Miała wszelkie prawo być egoistyczna, skoncentrowana na sobie i zapomnieć o wszystkim – prócz głodu i łaknienia życia.

Jedzenie było fizyczną przyjemnością i obciążeniem dla sumienia. Balcia i Malka kontynuowały dzielenie się z nią ich przydziałami żywności.

– Świnia ze mnie. – Miriam udała, że czuje się winna, i wyrwała podarunek z ich rąk. Od razu zaczęła ładować to wszystko w siebie i śmiała się do nich z pełnymi ustami. – Karmią nas tu, jakbyśmy były ptaszkami. Istotnie, chce się dziobać przez cały dzień. Ja sama pożarłabym słonia jako przekąskę między posiłkami.

Balcia i Malka wyprowadziły ją na dziedziniec.

– Widzisz, co tu się wyrabia? – odezwała się Balcia, podczas gdy pomagała Miriam usiąść na drewnianej skrzynce. – W coraz większym stopniu ta ferajna zaczyna organizować sobie jedzenie na własną rękę. Wyprawia się do chłopów na wieś albo łapie się okazję do Bergen. Jak ma się szczęście i zostanie się zabranym do jeepa, można wrócić z całym workiem jedzenia. Widzisz przecież, że podwórza coraz szczelniej wypełniają ogniska na ziemi. Nieustannie gotuje się i je z blaszanych puszek.

– Te zapachy powodują, że cieknie mi ślinka – wyznała z uśmiechem Miriam.

– Orgie żarcia – burknęła Malka. – Krzyki sytych zwierząt.

Balcia udała, że nie widzi zniesmaczonej twarzy Malki.

– Nas nie ogarnęła jeszcze gorączka szabrówki. A co się tyczy Sorki, ona naprawdę zaczyna dochodzić do siebie. Teraz właśnie wybieramy się do niej.

Zostawiły Miriam siedzącą na dziedzińcu i kazały jej czekać, aż wrócą i zaprowadzą ją z powrotem do baraku lazaretu. Upłynęło nie więcej niż parę minut, jak były z powrotem.

– Miriam! – zakrzyknęła Balcia. – Musiałyśmy od razu przyjść ci powiedzieć. Przy łóżku Sorki zastałyśmy jakiegoś młodego mężczyznę. Jest byłym uczniem gimnazjum Medema! Dopiero co przybył z Mauthausen szukać swojej siostry, a Malka mi mówi, że Sorki też. Sorka i te jej tajemnice! Nigdy bym nie przypuszczała, że Sorka ma narzeczonego. Znasz go, ha, Miriam!

– Kogo? – Miriam wybałuszyła oczy na Balcię i Malkę.

Malka uśmiechała się wypogodzona.

– Mendel Sznajder. Dla matki każdy chłopak, jakiego zobaczy koło dziewczyny, to od razu jest narzeczonym. Zdaje się, że Mendel wylał na ciebie kałamarz pełny atramentu, prawda, Miriam, kiedy byliście w pierwszej klasie?

Miriam tak gwałtownie skoczyła na nogi, że w głowie jej się zakręciło i o mało co nie upadła.

– Mendel Sznajder? On tu jest?
– Powiedział, że później zajrzy do ciebie. Dałam mu numer twojej sali.
Miriam się zmieszała. Serce waliło jej w piersi. Odezwała się nagle:
– Byliśmy w drugiej klasie, kiedy Mendel rzucił mi kałamarzem w głowę.

*

Zanim zacznę chodzić do „właściwej" szkoły, chorujemy na różyczkę: Wierka, Noniek i ja. Mam wysoką temperaturę. Odkrywam wtedy czar matczynego dotyku. Nie żebym nie czuła go wcześniej, lecz z powodu wysokiej gorączki byłam bardziej niż zwykle wrażliwa na dotyk matczynej ręki na moim czole.

Chwytam się promyka nadziei: skończyć z dzieciństwem i zacząć chodzić do „właściwej" szkoły.

Po wyzdrowieniu zaczynam uczęszczać do szkoły Medema. Tak samo jak Wierka, noszę beret ozdobiony znaczkiem z emblematem szkoły. Emblemat ten przedstawia młodego mężczyznę o muskularnym ramieniu, który w ręce trzyma pochodnię.

Nie mieszkamy już w budynku fabrycznym przy ulicy Składowej. Binele nie chciała tam zostać po pożarze, nawet gdyby jej zapłacili. Tęskniła za powrotem do domu, na Bałuty. Balcia Cederbojm miała rację, kiedy powiedziała, że Bałuty są jak zazdrosna matka, która nie chce puścić swoich dzieci. I w ten sposób, dzięki machinacjom cioci Racheli, udaje nam się z powrotem wprowadzić do tego samego domu przy ulicy Nowomiejskiej, gdzie moja i Wierki „kołyska stała". Lecz teraz jesteśmy bogaci i wprowadzamy się do mieszkania z kuchnią na drugim piętrze, naprzeciwko drzwi rodziny Kaców, która, dzięki talentowi Jankewa do agitacji i propagandy, stała się rodziną całkowicie bundowską. Wierka i ja chodzimy do szkoły razem z dziećmi Kaców i wsiadamy razem do granatowego tramwaju każdego poranka.

Szkoła Medema[210] mieści się w samym centrum buzującego miasta, w jednym z tych obszernych łódzkich podwórek, które jest jakby samodzielnym miasteczkiem. Niezliczeni biedni Żydzi mieszkają w piwnicach i na strychach tego podwórza, które okolone jest czworokątem czteropiętrowych budynków. Bardziej zamożni lokatorzy zajmują środkowe piętra. Są wśród biedniejszych i zamożniejszych lokatorów wszelkiej maści chasydzi i Żydzi przybyli z Litwy, z Wołynia i zbiegli przed pogromami w Rosji. Składy towarów i różnorakie sklepy zajmują parter. A część handlu prowadzi się na samym podwórzu. Szkoła Medema zajmuje rozkładowe duże mieszkanie na drugim piętrze w podwórzu, którego „salon" zamieniono w salę gimnastyczną, a pozostałe pokoje – w klasy.

[210] Siedziba szkoły noszącej od 1923 r. imię Władimira Medema mieściła się przy ul. Cegielnianej 17.

Szkolnym podwórzem włada bogacz, reb Sołowiejczyk, właściciel domu. Jest on wołyńskim Żydem o dudniącym głosie, którego dźwięk napełnia serca dziatwy szkolnej grozą i odrazą. Będąc doskonałym przykładem prawdziwego złośnika i wroga klasy robotniczej, budzi on w nas najszlachetniejsze aspiracje: mobilizuje wolę do usunięcia zła z powierzchni ziemi. On, ze swej strony, też mści się na nas, na nauczycielach i kierowniku szkoły z zastosowaniem potężnych środków, jakie ma do swojej dyspozycji. Trwa ustawiczna wojna między nim a skarbnikiem szkoły – o komorne. Szkoła zawsze jest w tyle ze spłatą czynszu, a on nieubłaganie wciąż grozi eksmisją.

Nauczyciele, w większości wysoko wykwalifikowani fachowcy, którzy zrezygnowali z lepiej płatnych posad w prywatnych szkołach lub gimnazjach, ze stoickim spokojem godzili się z losem i całymi miesiącami czekali na wypłatę. Należą oni do tego szczepu ideowych wychowawców i idealistów, którzy na poważnie biorą hasło, żeby „iść w lud" i zrobić coś konkretnego dla żydowskich mas. Upojone nagłym odkryciem bogactwa języka żydowskiego, żydowskiego folkloru, zainspirowane skarbami współczesnej literatury żydowskiej, osiągnięciami żydowskiego teatru i w ogóle skalą twórczości ludowej – oddajemy się ciałem i duchem misji uformowania osobowości młodego świeckiego i nowoczesnego polskiego Żyda.

Kierownik szkoły, nauczyciel Wilner[211], uczy nas rachunków, to znaczy arytmetyki, od trzeciej klasy w górę. Jest matematykiem i wykształconym skrzypkiem. Jego kwatera mieści się w kącie szkolnego korytarza, oddzielona przepierzeniem z dykty. W prywatnej przestrzeni tego oto alkierza mieszka razem ze swoją żoną – nauczycielką Rywką. My, dzieci, często widzimy nauczycielkę Rywkę cwałującą szkolnym korytarzem z patelnią lub garnkiem w ręce, jak cyrkuluje między kuchnią szkolną a mieszkalnym alkierzem.

Nauczyciel Wilner to wysoki, szczupły mężczyzna po czterdziestce. Ma wklęśniętą klatkę piersiową, zapadnięte policzki, siwiejące czarne włosy i wysokie, „inteligenckie" czoło, tworzone przez cofającą się linię przednich włosów. Mając zaatakowane płuca, pali nałogowo, ciągle pokasłuje i jest typem osoby o zupełnie wyjątkowym charakterze. Mimo że atmosfera w szkole jest radosna, dzieci nieźle rozpuszczone, a nauczyciele mają wolną rękę do eksperymentowania z nowymi ideami pedagogicznymi, to jednak nauczyciel Wilner prowadzi ją żelazną ręką. To znaczy, nie jest on tak bardzo surowy w swoich działaniach, jak swoim zachowaniem sprawia wrażenie surowości. Kiedy dziecku przyjdzie stanąć przed nim, trzęsie się ono jak osika. Podczas gdy dyrektor daje takiemu dziecku „lekcję" swoim surowym, przeżartym rdzą głosem, często robi się zniecierpliwiony i dostaje ataku kaszlu, który zamienia „lekcję" w prawdziwą dramę.

---

[211] Dyrektorem żydowskiej szkoły powszechnej z językiem jidysz, która ruszyła 22 października 1916 r. przy ul. Gdańskiej 45, a potem przeniesiona została na ul. Cegielnianą 17 i funkcjonowała do 1939 r., był Wolf Rawin, który należał do założycieli Żydowskiego Towarzystwa Oświaty i Szkolnictwa w Łodzi.

Ale psotnicy rzadko ośmielają się spłatać mu figla. Co się zaś tyczy nauczycieli, to unikają oni jakiegokolwiek bezpośredniego z nim kontaktu.

Nauczyciel Wilner jest wyśmienitym matematykiem, lecz zarazem przynudzającym, nerwowym, okropnie złym nauczycielem arytmetyki. Rachunki i tak są surową dyscypliną, która toleruje tylko jedną prawidłową odpowiedź na dane pytanie, a dwa plus dwa zawsze musi wynosić cztery. A jeśli jeszcze wiedzę podaje niecierpliwy rebe złośnik, to zarówno uczeń, jak i rebe często skazani są na klęskę, ze smutnymi konsekwencjami dla przyszłości ucznia jako dorosłego człowieka. Taki uczeń, gdy zdejmie juniorki, nie tylko nosi w sobie strach przed liczbami i wszelkiego rodzaju działaniami matematycznymi, lecz także wpada w panikę w każdej sytuacji, gdzie kompromis nie jest możliwy i gdzie jest więcej niż jedna opcja do wyboru, choćby nawet stanął na głowie.

Lekcje „rachunków" więc to poważny szkopuł w szkole Medema. Nauczyciel Wilner lubi tych, którzy mają głowę nie od parady. Lecz takich w każdej klasie na palcach jednej ręki można zliczyć. Reszta dziatwy siedzi przykurczona i jak struś z głową w piasku unika spojrzenia nauczyciela, mając nadzieję, że ich nie zauważy i nie wywoła na inkwizycyjne przesłuchanie. Nawet łebscy uczniowie często są tak skołowani, że przestają myśleć logicznie, zarażeni atmosferą strachu w klasie. Zaczynają wątpić, czy dwa plus dwa równa się rzeczywiście cztery. Tak że nawet poprawną odpowiedź raczej się wybąkuje, niż mówi na głos.

Lecz co nauczyciel Wilner był stratny na miłości ze strony nas, dzieci, z powodu swojej surowości, to odzyskiwał z pomocą swoich skrzypiec i smyczka. Hałaśliwe życie w szkole toczy się w akompaniamencie jego gry na skrzypcach. Podczas przerw w nauce można, jeśli się dobrze wsłuchać, wyłowić uchem słodkie tony jego skrzypek, które dobywają się zza prowizorycznego przepierzenia alkierza. Dzieci mrugają do siebie i pytają jedno przez drugie: „Słyszysz? On gra!". Te bardziej poważne i muzykalne ustawiają się wzdłuż tego parawanu, przykładają ucho do dykty i wsłuchują się. Jeśli nauczyciel Wilner jest dobrze usposobiony, wpuszcza do swojego lokalu tak dużo dzieci, ile może się wcisnąć, i gra dla nich.

Nauczyciel Wilner jest oczywiście także dyrygentem szkolnego chóru. To zdyscyplinowana, dobrze zestrojona armia małych śpiewaków, którzy lubią sztukę wokalną i drżą, by nie fałszować, żeby ich wysoki generał nie poczęstował któregoś uderzeniem smyczka w ramię. Starsi chłopcy, którzy przechodzą mutację, mają u niego przechlapane. Większą część lekcji śpiewu siedzą, bojąc się usta otworzyć. Niejeden z nich wystrzega się w późniejszym życiu zaintonować śpiew, bo spodziewa się nadal, że poczuje na ramieniu uderzenie smyczka nauczyciela Wilnera.

Chór występuje na dorocznych koncertach szkolnych, powitaniach wiosny, które odbywają się w sali filharmonii miejskiej[212]. Część repertuaru chóru składa

[212] Uroczystości żydowskich szkół często odbywały się w gmachu filharmonii, który mieścił się przy ul. Dzielnej, która od 1924 r. nosiła imię Gabriela Narutowicza.

się z melodyjnych fragmentów oper, śpiewanych po żydowsku, do słów, które nauczyciel Wilner sam wymyśla; słów, które nie mają, poza muzyką, żadnego związku z samą operą. Pieśni te wyrażają ideę szkoły: ideę braterstwa, sprawiedliwości i świetlanej przyszłości dla całej ludzkości. Na przykład, na dziesiątą rocznicę szkoły chór śpiewa marsz z opery Aida, który w naszej wersji zaczyna się od słów: *Herleche jorn, sztolce teg cejchenen unzer weg*[213]. Te „świetne lata" i „dumne dni" wskazują nie na zwycięskie przemarsze armii, tylko na zwycięski pochód w przyszłość nowego i wolnego żydowskiego człowieka dwudziestego wieku.

Wszyscy nauczyciele mają przezwiska u nas dzieci, a nauczyciel Wilner nie stanowi wyjątku. Nazywa się go „Żyrafą". Lecz jak my, dzieci, liczymy się z nauczycielem Wilnerem, tak jesteśmy na przyjacielskiej stopie z pozostałymi nauczycielami. Włazi im się na głowę. Hałasuje się w czasie lekcji i robi im się najdziksze psikusy, jakich nauczyło się na bałuckich podwórkach. Nauczyciele przyjaźnią się z rodzicami i wiedzą dobrze, co dzieje się w domu każdego dziecka. Rodzice im się zwierzają, nie tylko odnośnie do swoich problemów z dziećmi, lecz także ogólnie, na temat problemów rodzinnych, zwłaszcza kwestii zarobków. Dlatego każdy nauczyciel odgrywa w życiu ucznia rolę kogoś w rodzaju cioci lub wujka, czyjego kosztem łatwiej się zabawić niż kosztem rodziców. Rodzice mają moralne prawo strofować swoje potomstwo. Nauczyciel jest pod tym względem bardzo ograniczony.

Przedrzeźnia się więc niedoskonałości każdego nauczyciela, które dzieci z natury wyłapują bardzo łatwo. Zauważamy charakterystyczne ruchy i grymasy każdego z nich: sposób chodzenia, stania, mówienia, gestykulowania. Małpuje się je w czasie lekcji. Naszym ulubionym sposobem zabijania czasu jest plotkowanie o życiu prywatnym każdego nauczyciela, który jest dla nas jak otwarta księga. Część intymnych szczegółów znamy z podsłuchiwania, jak rodzice plotkują, resztę upiększa się albo wymyśla. Zabawą jest szeptać sobie na ucho o romansach: która nauczycielka „chodzi" z którym nauczycielem i który nauczyciel kocha się w której nauczycielce, tylko ona nie chce na niego patrzeć.

To nie oznacza, że dzieciaki nie biorą szkoły na poważnie. Traktuje się ją tak samo serio, jak własny dom. I tak jak dom, szkołę zarówno się kocha, jak i nienawidzi. Zarówno chce się z niej uciec gdzie pieprz rośnie, jak i nie można bez niej żyć.

Ojcowie i matki uważają szkołę za coś w rodzaju korytarza do życia, skąd my, dzieci, wyjdziemy niemal jako uformowani ludzie. Dla rodziców szkoła stanowi także rodzaj laboratorium, gdzie charakter ich potomka zostaje wyrobiony, gdzie wszystkie błędy wychowawcze – jakie oni, rodzice, ludzie niewykształceni, zrobili – zostają naprawione. Rodzice są pewni, że uzbrojeni w wiedzę i kulturę

[213] (jid.) *Świetne lata, dumne dni wyznaczają drogę nam.*

współczesnego świata, wzbogaceni o umiejętność docenienia osiągnięć nauki i sztuki, mając przyswojone wszystkie umiejętności, których oni nie posiadają – my, dzieci, wyrośniemy na wielkich pisarzy, artystów, naukowców, wynalazców i innowatorów na wszystkich polach ludzkiej twórczości. W tym czasie nabędziemy też wszelkie szlachetne przymioty osoby wysoce etycznej, która godna jest tworzyć podwaliny nowego społeczeństwa.

Rodzice więc obchodzą się ze szkołą i z przedszkolem jak z jajkiem. Przeżywają emocjonalnie wszystko, co rozgrywa się w szkolnych murach, i bardziej są związani z placówką niż same dzieci. Przywiązanie dzieci do szkoły przychodzi do głosu tylko w momentach krytycznych, na przykład, kiedy szkole grozi eksmisja lub gdy ktoś z zewnątrz ją krytykuje. Prawdziwe przywiązanie do szkoły odczuwa się dopiero lata później, dokładnie tak, jak odczuwa się prawdziwe przywiązanie do własnego domu dopiero po tym, gdy się go opuści. Miłość do szkoły rośnie wprost proporcjonalnie do liczby lat, jakie upłynęły, odkąd odeszło się od dzieciństwa i ze szkoły.

Lecz jakby nie było, my, uczniowie szkoły Medema, świadomie lub nie, zgodnie z naszą wolą czy przeciw niej – wchłaniamy w siebie tę atmosferę, jaką nauczyciele tworzą w szkole, przyswajamy sobie marzenia, jakie rodzice snują dla nas. Głęboko w sercu każdy chłopiec czy każda dziewczynka dąży do stania się takim człowiekiem, jakim rodzice i nauczyciele chcą, żeby on czy ona się stali. I mimo że w szkole panuje atmosfera klubowa – dzieci nie noszą mundurków jak uczniowie szkół powszechnych; noszą podarte lub połatane spodnie czy spódniczki, biegają w połatanych lub przydeptanych butach – to w ten sposób, żartując i śmiejąc się, paplając i rozrabiając, przyswaja się jednak sporo wiedzy. Szacunek dla nauki i dla książek widać u nas gołym okiem. Ostatecznie jesteśmy przecież dziećmi Narodu Księgi.

*

Nauczycielka Rubinow, która uczy w pierwszej klasie, jest serdeczną, zawsze uśmiechniętą starszą kobietą. Podczas lekcji potrafi wziąć na kolana dziecko, które jest niepocieszone lub przysiąść na ławce obok takiego dziecka, a jak za sprawą czarów znikają łzy z dziecięcych oczu. Niespodziewanie może przerwać mechaniczne przepisywanie do zeszytu i razem z klasą oddać się zabawie, która wypędzi resztki ospałości z kończyn. Jest gawędziarką, z która tylko mój tata może się równać. My, dzieci, płaczemy i śmiejemy się razem z bohaterami jej opowieści i marzymy o nich w snach.

Pani Rubinow czyni czary także ze mną. Lubię robić to, co ona lubi robić, bo co jej zachce się robić, chce się też mnie. Tak to jest. Staję się posłuszną, pilną dziewczynką, przede wszystkim dlatego, że bardzo kocham tę nauczycielkę; po drugie, dlatego że nauczycielka mnie też bardzo kocha; po trzecie, bo jestem pełna zaciekawienia wszystkimi tymi rzeczami, których się uczę; i po czwarte,

bo koniecznie chcę stać się taka mądra i genialna jak Wierka. Kiedy z czasem staje się dla mnie jasne, że nigdy Wierki nie dogonię i zawsze będę pozostawać w tyle, chcę przynajmniej być tak dobra, jak Wierka była w moim wieku. Lecz gdy wszystkie te przyczyny przestają się liczyć, pozostaje ta jedna: nauka to wspaniały wypełniacz czasu, zwłaszcza gdy idzie w parze z nieustannym chwaleniem przez nauczycielkę i głaskaniem przez nią po głowie. To, że ojciec nauczył mnie alfabetu, bardzo mi się teraz przydaje. Czuję się ważna i dumna.

Inaczej sprawa ma się w domu. Tam Wierka nadal spija śmietankę. Kiedy mama wraca do domu z wywiadówki, konferencji z nauczycielami – ma twarz rozpłomienioną, oczy błyszczące, usta pełne pochwał. Powtarza słowo w słowo wypowiedź nauczycielki o osiągnięciach Wierki. Moje wspaniałe osiągnięcia mama też chwali, lecz, jak mi się zdaje, tylko półgębkiem. W końcu jestem w pierwszej klasie. W pierwszej klasie wszystkie dzieci uczą się dobrze.

Po jednej z takich wywiadówek, kiedy rodzice leżą w łóżkach i myślą, że my, córki, śpimy już, słyszę, jak tata szepcze dumny do mamy: „Wierka wyrasta na wielką osobowość. Wiedziałem to od dnia, kiedy się urodziła".

Serce ściska mi taki ból, że ledwo mogę zdławić szloch, jaki wyrywa mi się z gardła. Co tata ma na myśli, mówiąc, że Wierka wyrasta na wielką osobowość? Jaka jest różnica między wielką osobowością a małą osobowością? Co oznacza słowo „osobowość" i jak to się mierzy? Czy ma to coś wspólnego ze wzrostem? Prawdopodobnie nie, bo ja przecież rosnę jak na drożdżach. Mama stawia mnie co kilka tygodni przy framudze i robi znak ołówkiem na wysokości mojej głowy, a później chwali się przed sąsiadkami szybkością, z jaką rosnę. Ja sama widzę przecież, że ubiegłoroczne sukienki Wierki pasują mi na długość, choć moje chude ciało gubi się w ich obszerności. Nie, nie taki rodzaj wzrostu ma tata na myśli.

Tata często mówi o wielkich osobowościach. Bejnisz Michalewicz i Władimir Medem byli wielkimi osobowościami, i taką też był Tołstoj, a jest Albert Einstein. Czy nauczycielka Rubinow też jest wielką osobowością? Czy kierownik szkoły, nauczyciel Wilner? A sam tata? Dlaczego nie mówi on, ten najpiękniejszy i najmądrzejszy człowiek na świecie, nigdy o sobie, że jest wielką osobowością? Czy wszystkich ludzi świata dzieli się na wielkie i małe osobowości? To ważne pytanie. Lecz jaka by nie była na nie odpowiedź, nie ma wątpliwości, że o wiele lepiej jest być wielką osobowością niż małą osobowością.

„Ja też chcę zostać wielką osobowością" – szepczę do siebie. Walcząc ze łzami, trzymam głowę pod kołdrą. „Chcę zostać największą osobowością na świecie".

Z trudnością przychodzi mi wiara w wypełnienie tej deklaracji. Istnienie Wierki na świecie i jej bycie starszą ode mnie są przeszkodami nie do pokonania. Wierka sama podkreśla to na każdym kroku. Zadziera nosa i coraz rzadziej godzi się na zabawę ze mną. Spędza czas z gromadką przyjaciółek i nie pasuje jej już ciągnąć wszędzie ze sobą młodszą siostrę. Może swobodnie poruszać się po

mieście i jeździć tramwajem. Mama mówi, że Wierka jest „odpowiedzialna" i „samodzielna", a ja nie. Mama powierza Wierce coraz więcej, a mnie coraz mniej.

„Jesteś królewną z głową w chmurach" – całuje mnie mama i się śmieje. „Śpiąca królewna z ciebie. Co będzie, jak się zamyślisz i zajedziesz tramwajem na jakieś odludzie? Kiedy będziesz w wieku Wierki, też będziesz mogła sama jeździć tramwajem". Tę oto śpiewkę słyszę przy każdej okazji. Byłoby to komiczne, gdyby nie było tak tragiczne. Ja przecież nigdy nie będę taka duża jak Wierka i mama to wie, tak jak wie, że ja to wiem także. Mówi to tylko po to, żeby robić ze mnie pośmiewisko.

Kiedy mama, poruszona moimi krzykami wniebogłosy, prosi Wierkę, żeby zabrała mnie ze sobą tam, dokąd idzie, Wierka zaczyna tak mocno potrząsać mięsistymi lokami na swojej brązowej głowie, że loki te podfruwają w powietrzu i zaczynają kręcić się jak karuzela. Odpowiada na proszenie przez mamę miękkim, lecz stanowczym głosem:

– Ale mamo, nikt nie zabiera ze sobą młodszej siostry.

– To pobaw się z Nońkiem. – Mama przyciska mnie do siebie i głaszcze po głowie.

Jak tylko chcę się pobawić z Wierką, proponują mi, żebym bawiła się z Nońkiem. Ale jak Wierka pilnuje Nońka na podwórku, kiedy on śpi w wózku, a ona siedzi obok na pompie, z nosem w książce, to jak tylko dotknę wózka, odrywa wzrok od książki i krzyczy takim tonem jak matka:

– Nie bujaj nim! Jeszcze go obudzisz!

– Mama powiedziała, że mogę go pobujać. – Nie daję się.

Wierka mięknie.

– To pobujaj go, ale tylko jeden raz. I nie bądź od razu beksą. Nie przyjmą cię do SKIF-u, jak będziesz beksą. Tam beks nie przyjmują.

To jest nowa rzecz, którą Wierka może przechwalać się przede mną. Przyjęli ją do związku dzieci socjalistycznych – SKIF. Mama uszyła jej błękitną bluzkę oraz czerwony krawat i razem z gromadką przyjaciółek biega teraz na zbiórki.

– Kłamczucha! – krzyczę w głos i pokazuję jej język. – Tysiąc razy widziałam, jak płaczesz, a ze SKIF-u cię nie wyrzucili!

– Sama jesteś kłamczuchą! – odgryza się Wierka. – Czasem płaczę, ale beksą nie jestem!

Rozsadza mnie taka złość, że rzucam się na Wierkę. Wyrywam książkę z jej ręki i targam ją. Bijemy się, a wózek pomiędzy nami omal się nie przewraca i nie wyrzuca Nońka na ziemię. Wtedy Wierka raczy ustąpić.

Nawet jeśli nie tykam wózka, a tylko chcę zamienić słowo z Wierką, nie przychodzi mi to z łatwością. Wierka dopiero co odkryła przyjemność lektury i tak ją to wciągnęło, że ciągle siedzi z nosem w książce, jak *Dzieci kapitana Granta*[214],

[214] *Dzieci kapitana Granta* – książka Julisza Verne'a ukazała się w 1868 r. , w tym samym roku pojawił się pierwszy polski anonimowy przekład, a w postaci książkowej powieść wyszła w 1876 r.

na przykład. I zawsze jest w najbardziej pasjonującym momencie. Jeśli jej przerwę, wychodzi z siebie i wścieka się:

– Nie przeszkadzaj mi! Jestem w trakcie!

– W trakcie czego? Powiedz mi, ja też chcę wiedzieć – napraszam się, bliska łez, i wdrapuję się uparcie na nią.

– Daj mi żyć, ty ruda kotko o zielonych kocich oczach. – Wierka, wściekła, odsuwa mnie od siebie.

– Ja nie chcę, ty gruby niedźwiedziu o niedźwiedzich oczach! – Popycham ją znowu.

Nasza kłótnia budzi Nońka i on też podnosi gwałt. Wierka zbiera się w sobie i wskazuje na wózek:

– No, czemu go nie pobujasz? Przecież lubisz bujać Nońka!

Siada z powrotem na ziemi, opiera się o pompę, zatyka uszy palcami – prócz wrzasków Nońka jest także rwetes podnoszony przez sąsiadów i dzieci, których pełno zrobiło się na podwórzu – i, pochylona nad książką na kolanach, czyta dalej. W tym momencie nikt nie jest dla Wierki ważniejszy od dzieci kapitana Granta. Nic by ją nie obeszło, gdybym teraz bujała wózek, ile dusza zapragnie. Lecz akurat w tym momencie pragnie moje serce wiedzieć, co takiego jest w tej grubej książce na kolanach Wierki – co powoduje, że zapomniała, iż ma rodzoną nieszczęsną siostrę i krzyczącego brata na świecie.

A jednak – nie zawsze chce mi się bujać Nońka lub być z Wierką. Lubię zakradać się na strych na czwartym piętrze, gdzie mama i inne sąsiadki rozwieszają bieliznę do schnięcia. Hopsam tam dookoła i wywijam w kółko wśród wilgotnych prześcieradeł, powłoczek, gatek, koszul, halek i wszelkiego rodzaju innych sztuk bielizny.

Rozwieszona bielizna jest czymś w rodzaju fantastycznej dekoracji w czystej bieli, która pachnie krochmalem i tylko gdzieniegdzie upstrzona jest kolorowymi plamami bluzek, sukienek i ubranek dziecięcych – dekoracji, która pomaga mi wyhopsać z siebie ten dokuczliwy ból w sercu i tanecznym krokiem wejść do mojej własnej opowieści o dziecku kapitana Granta, zaginionym na morzu, wśród prześcieradlanych białych fal; o dziecku, które płynie samiuteńkie i wypatruje, żeby jej dobry tata, pan kapitan, wziął ją na pokład. Żeby objął ją ciepłymi ramionami i dopłynął z nią do brzegu Nibylandii, gdzie Doktor Bum-Bum uleczy jej ranę na duszy.

Nawet w szkole, gdzie łatwo być radosnym, bywam czasami ponura bez przyczyny, nawet nie smutna, lecz markotna – marzycielska. Czasem moja wyobraźnia unosi mnie na fali przez okno w klasie het, het daleko. Nauczycielka pyta o coś i wywołuje mnie po imieniu. Nagle uprzytomniam sobie, gdzie jestem. Skaczę na równe nogi i wykrzykuję:

– Co? Co?

– Siedzisz jak śpiąca królewna – stwierdza, uśmiechając się, nauczycielka.

I tak dzieci obdarzają mnie przezwiskiem „Księżniczka Co-Co". Śmieją się ze mnie, a ja przestaję czuć się komfortowo z nimi. Robię się wstydliwa i czerwienię

się często, gdy się do mnie mówi. Szkoła jest tak samo interesująca jak zawsze, lecz jest także torturą. Kiedy słońce pierwszymi wiosennymi promieniami zaczyna uśmiechać się do mnie przez okno w klasie i pierwszy rok szkolny zbliża się do końca – żegnam się z ambitnymi planami, by zostać tak samo dobrą uczennicą, jaką była Wierka w moim wieku, nie mówiąc już o staniu się największą osobowością na świecie.

*

Los zsyła mi pociechę, jak robi to często w dzieciństwie, po tym, jak daje nam gorzką pigułkę do przełknięcia. Stało się tak, że tego lata, kiedy przechodzę do drugiej klasy, dane mi jest odkryć, co to jest wieś, las, pole. Binele, Balcia Cederbojm i cała paczka przyjaciół postanowili zaoszczędzić czy pożyczyć pieniądze, i wyjechać do wsi Stefanów, wynająć kwatery u chłopów i tym sposobem uciec na letnie miesiące od smrodu, kurzu i upału Bałut.

Pewnego pięknego poranka chłop długim drabiniastym wozem zajeżdża na nasze podwórze przy ulicy Nowomiejskiej. Jankew i towarzysz Kac, nowy pełnokrwisty bundysta, załadowują trochę rzeczy dla dwóch rodzin na lato. Sadzają nas, dzieci, na tłumokach z pościelą, matki siadają obok – i następuje pożegnanie z ojcami i z ciocią Rachelą, która wypowiada zaklęcie, żeby odżegnać *ejnhore*[215]. Chłop śwista batem w powietrzu, ściąga lejce. Kiedy zamglone słońce, wysoko ponad głowami, zbliża się do zenitu, dwie matki z szóstką dzieci wyruszają przez całą długość zadymionego, zakurzonego miasta – które dostarcza koszul, sukienek, pończoch i obrusów dla całej Polski – i wyjeżdżają na otwartą szosę, gdzie to samo słońce, które wygląda jakby zupełnie inaczej, oblewa je kaskadami płynnego złota.

Co to była za jazda! Jak tylko wyjechało się z miasta, matki przemieniły się w prawdziwe anielice, pełne dobroduszności i dobroci. Zostawiwszy miejskie troski za sobą, są nie mniej rozweselone i pełne napięcia niż my, dzieci, pełne oczekiwania na dni, którym jedziemy naprzeciw. Energicznie rozwiązują torby z jedzeniem, które zabrało się na drogę, i zaczynają rozdzielać, na prawo i lewo, kanapki z kiełbasą, serem, jajkiem na twardo, nie zapominając przy tym poczęstować furmana. Spoceni i zaaferowani zapychamy sobie, my, dzieci, buzie kanapkami; przeżuwamy, połykamy i oszołomieni radością, paplemy i śmiejemy się z pełnymi ustami. Wlewamy w siebie butelki domowego wyrobu lemoniady, ile się w brzuchu zmieści, i nie wiemy, co ze sobą począć z podekscytowania.

Oczy mam szeroko otwarte, żeby jak najwięcej wchłonąć w siebie tego wszystkiego, co rozpościera się po obu stronach wozu. Łany zbóż i kwitnących kartofli sięgają aż po widnokrąg, gdzie ziemia spotyka się z niebem. Spłachetki

[215] *Ejnhore* (hebr./jid.) – złe oko.

pól upstrzone są pokrytymi mchem chatkami. Na zielonych łąkach pasą się żywe krowy, całymi stadami, konie, cielaki i źrebaki! Chłopki siedzą w bruzdach i kopią lub pielą. Z werand machają bose dzieci do nas, którzy przejeżdżamy na wozie. Het daleko, na skraju widnokręgu, pokazuje się pociąg; sunie naprzód majestatycznie, sapiąc i gwiżdżąc, i zostawia za sobą węża z dymu. Później widać, jak dwie szerokie wstęgi ponurych cieni obrębiają jak tasiemki drogę w oddali. Pomału zamieniają się w las pełen szeleszczących liści, gdzie niewidoczne ptaki ćwierkaniem przekazują sobie nawzajem wiadomości.

Za lasem liściastym wijąca się jak wąż droga wchodzi w las iglasty z drzewami o grubych pniach. Dumny, poważny las, pełen ciemnozielonych igieł. Ściółka z wyschniętych brązowych igieł przykrywa korzenie jak pierzyna. A szyszki! Szyszki leżą wkoło wszędzie, rozrzucone jak klejnoty niedbale przyszyte do brązowo-zielonej pierzyny. Im głębiej droga meandruje w las, tym wyraźniej czujemy perfumy żywicy i wstrzymujemy oddech z powodu tajemnic, które unoszą się w powietrzu. Słońce odbija się w koronach drzew, a my, jadący na wozie, pokryci zostajemy ciepłym cieniem, który sprawuje pieczę nad ciszą lasu. Od razu po wyjeździe na otwartą przestrzeń całe to ogromne słońce bije z taką mocą, że oślepia nas swoim blaskiem. Jakaż różnica między tym nieskazitelnym słońcem z czystego złota a tym zamglonym, brudnym, małym słońcem, jakie zna się z miasta!

Nie przestaję jeść. Pochłaniam jedną kanapkę za drugą. Oj, ten smak kanapek! Symfonia smaków! Jest mi gorąco. Moje serce jest jeszcze bardziej gorące. Tyle jest światła do wchłonięcia w siebie! Muszę podnieść się i przytrzymać trzęsącej się deski od drabiniastego wozu, żeby niczego nie przegapić z tego wszystkiego, co się wokół mnie dzieje.

I wtem słyszę, jak mama powiada:

– Jest strasznie gorąco. Dzieci, zdejmujcie sukienki!

Tak, to ona mówi: „Zdejmujcie sukienki". Tego polecenia nie musi powtarzać. Siedzimy na wozie w samych podkoszulkach, pozwalając słońcu i wiatrowi, przyprawionemu zapachami ziemi, objąć ciało ciepłymi ramionami. Wolność! Czuję, jakby każda komórka mojej skóry i każdy zakamarek mojej duszy otwierały się w szerokim uśmiechu. Taka radość! Takie oczekiwanie! Taki przypływ różnorodnych uwolnionych pasji! Wpadam na mamę, która siedzi obok z Nońkiem na kolanach, łapię ją za szyję i przyciskam mocno do mojego gołego brzucha.

– Mamo, jak ja cię kocham!

Soczystymi ustami mama całuje mnie prosto w pępek.

– Uważaj, Miriamko – zwraca się do mnie czule. – Jeszcze mnie udusisz. Spójrz, jak Noniek się śmieje. Obejmij go, ale nie ściskaj go tak mocno.

Wierkę, która siedzi zaraz koło mamy i Nońka, również atakuje ta epidemia całowania się i ona też obejmuje za szyję mamę, Nońka, a także mnie.

Twarz mamy wygląda całkiem inaczej. Z minuty na minutę staje się weselsza, bardziej roześmiana i piękniejsza. Jest w tym samym wieku co my, dzieci. Wpadłszy w jeszcze większą ekstazę, zaczyna śpiewać piosenkę, której uczyło się

w szkole: *Felder grinen, welder rojszn, gejen mir mit fule kojszn...*[216]. Towarzyszka Kac podchwytuje i cały wóz zanosi się śpiewem. Chór pijanych nie śpiewałby z dzikszą ochotą. Przyjazny chłop dziwuje się i promienieje. Siedzi bokiem, połową twarzy zwrócony ku pasażerom, i batem dyryguje śpiewem. Nawet koń strzyże uszami i galopuje w takt piosenki. Tak pochłania go ten śpiew i ogólne odurzenie, że kilka razy schodzi z drogi i o mały włos nie ląduje razem z wozem w rowie.

[216] (jid.) *Pola się zielenią, szumią lasy, idziemy z pełnymi koszami* – piosenka do słów Mojszego Bordersona, z muzyką Isroela Glatsztejna.

Rozdział piętnasty

Podczas pierwszego tygodnia na letnisku panuje istny rozgardiasz. Rozwrzeszczane dzieci same nie wiedzą, za co brać się najpierw, dokąd w pierwszej kolejności biec i na co patrzeć. Matki krzątają się i kroją bez ustanku świeże, okrągłe bochenki chłopskiego żytniego chleba, który z zewnątrz ma twardą, brązową, popękaną skórkę, a wewnątrz jest miękki i smaczny. Dzieciom trudno oderwać się od niego oraz od lemoniady, którą mamy przygotowały dla nich w dużych dzbankach.

Na sobotę mają przyjechać z miasta ojcowie. Latem mój tata ma w co drugą sobotę wolne. Stroimy się w najpiękniejsze letnie ubrania i wesołą, rozgadaną hałastrą ruszamy w drogę do stacji kolejowej, by oczekiwać tam na przyjazd ojców. Ojcowie, z twarzami błyszczącymi od potu, obładowani przeróżnego rodzaju pakunkami, w jednej chwili padają ofiarą wyciągniętych ku nim rąk i dobiegającej ze wszystkich stron wrzawy. Podczas powrotnego marszu do wsi trzymamy naszych więźniów mocno za ręce i z niecierpliwością ciągniemy ich naprzód.

Kiedy tylko przekraczamy progi chałupy, uwalniamy się od odświętnych ubrań. Nie mogę się doczekać, żeby tata założył swoje skautowe spodnie i siatkowy podkoszulek, odsłaniający jego owłosioną klatkę piersiową i żylaste ramiona; żeby wyciągnął z kieszeni chustkę do nosa, zawiązał cztery supełki na jej czterech rogach i założył ją na głowę.

Binele ledwo co udaje się zamienić parę słów z Jankewem. Wierka i ja łapiemy go za ręce, a Noniek za nogawki spodni i razem usiłujemy wyciągnąć go z jej objęć. Domagamy się, by wyszedł z nami na zewnątrz, żebyśmy mogli pokazać mu cuda Stefanowa. Chcąc nie chcąc poddaje się, żegna się z Binele głośnym pocałunkiem w usta, po czym bierze Nońka na ręce i wychodzimy. Na zewnątrz kręcą się już ojcowie innych dzieci, ubrani podobnie jak Jankew, a ich potomstwo

podskakuje wokół nich. Ile dzieci, tyle trajkoczących, krzyczących, piszczących i śmiejących się ust. W ten sposób, w gromadzie dorosłych i ich pociech, przeprowadzamy inspekcję darów natury, którymi Stefanów jest tak szczodrze obdarzony. Zabiera nam to sporo czasu. Kiedy wracamy, matki podejmują spocone, zasapane ze zmęczenia i ferworu dzieci oraz ojców królewsko zastawionymi stołami.

Na stole przygotowanym przez Binele stoją talerze z „przystawkami": posiekaną cebulą, śledziem, pomidorami, rzodkiewkami i szczypiorkiem.

Potem przychodzi kolej na rosół z cieniutkimi, długimi kluskami, zagniecionymi i pięknie pokrojonymi przez Binele, a następnie na kurze udko lub skrzydełko. Na koniec pojawia się kompot jabłkowy z cynamonem, który wypełnia swym zapachem całą izbę.

Matki moich i Wierki przyjaciółek przysyłają do naszej chaty jedno ze swoich dzieci z talerzem jeszcze ciepłych ciastek lub kawałkiem ciasta. Binele posyła mnie z jednym talerzykiem strudla do Balci Cederbojm, z drugim do towarzyszki Kac, a z trzecim do towarzyszki Hanki. Nie zapomina też o tym, jak powinna postępować dobra socjalistka i sama zanosi talerz ze swoimi wypiekami chłopom, którzy mieszkają w sąsiednim pokoju. Dla mnie osobiście cała ta apoteoza słodyczy na koniec posiłku nie jest żadną atrakcją, jednak bardzo lubię zapach cynamonu.

Na koniec przenosimy się na zewnątrz, by tam kontynuować zajadanie się słodkimi wypiekami. Wszyscy sąsiedzi też wychodzą z chat z kawałkami ciast w rękach i siadają wokół stołu z surowych desek, stojącym pod baldachimem gęstej korony starego drzewa. Rozmawia się z pełnymi ustami, co rusz wybuchając tak gromkim śmiechem, że aż okruszki ciast wypryskują z ust. Słońce zaczyna zachodzić za pobliskim lasem i towarzysz Kac intonuje: *Di zun wet aruntergejen hintern wald... Wet kumen di goldene pawe zu gejen...*[217] Dorośli siadają lub kładą się na rozpostartych pod starym drzewem kocach i nucą razem z nim melancholijną pieśń. Palą papierosy i uśmiechają się z rozmarzeniem – aż ktoś poruszy jakiś aktualny, gorący polityczny temat i zaczyna się rozmowa, która szybko przemienia się w burzliwą dyskusję. Dla podkreślenia swoich racji mężczyźni wymachują przed twarzami oponentów zwiniętymi w rulony sobotnimi wydaniami „Folkscajtung", które przywieźli z miasta i noszą ciągle ze sobą w tylnych kieszeniach spodni.

Chmary półnagich dzieci z łuszczącymi się nosami – które matki posmarowały masłem, żeby złagodzić pieczenie skóry – biegają wokół koców i czynią gwar niczym rój pszczół. Oczy błyszczą się im, usta kipią krzykiem i śmiechem. Grają

---

[217] (jid.) *Słońce zajdzie ponad lasem... Wtedy przybędzie złoty paw...* – tekst, którego autorem był Mojsze Lejb Halpern (1886-1932) – poeta żydowski, tworzący w języku jidysz, od 1908 r. mieszkający w USA. Jego poemat *Di goldene pawe* (*Złoty paw*) ukazał się w 1924 r.

w piłkę, w klipę, biegają pośród okolicznych zapadniętych chat, obór i stodół, bawiąc się w ciuciubabkę, albo cwałują po prostu wokół bez tchu i radośnie niczym spuszczone ze smyczy psiaki, drapiąc przy tym bezustannie bąble po ukąszeniach komarów oraz łuszczącą się skórę na rękach i nogach.

Od czasu do czasu spoglądam na las. Byłam w nim wcześniej z tatą, Wierką i Nońkiem oraz całą gromadą ojców i dzieci. Szliśmy wąską ścieżką między drzewami, zbieraliśmy jagody i wrzucaliśmy je prosto do ust. Bawiliśmy się w grę skautową i śpiewaliśmy piosenki. Jednak teraz, o zmierzchu, kiedy kopuła nieba przybiera zielono-granatową barwę, a z wieży wiejskiego kościółka niesie się dźwięk dzwonu, las wygląda jakoś bardziej leśnie, bardziej tajemniczo i kusząco niż wcześniej.

Opieram się o tatę pogrążonego w rozmowie z Wową Cederbojmem i Antonem Cimermanem, którego jeden z ojców zaprosił do siebie na wieś na sobotę. Tata i Wowa przemawiają z zapałem do milczącego Antona Cimermana, jak gdyby obaj byli podekscytowanymi chłopcami próbującymi przeciągnąć kolegę z nieprzyjacielskiego obozu do swojej kompanii. Przysłuchuję się, jak z niepokojem mówią o mieszkającym w sąsiednich Niemczech strasznym złoczyńcy, który nazywa się Adolf Hintler, czy jakoś podobnie.

Czekam, aż tata zrobi pauzę w swoim monologu, ten jednak zdaje się nie mieć końca i tracę cierpliwość. Zaplatam ręce wokół jego szyi i szepczę mu do ucha:

– Tato, choć ze mną pospacerować trochę po lesie.

Słysząc to, tata przerywa swoją przemowę i patrząc na mnie, mówi:

– Przecież dopiero co tam byliśmy.

– Chodź ze mną teraz, na parę minut – nalegam.

– Ściemnia się już.

– Chcę się dowiedzieć, co można zobaczyć w lesie, kiedy jest ciemno. – Tym razem udaje mi się wyjaśnić dokładnie, o co mi chodzi.

Wowa dosłyszał moje nalegania i odzywa się do mnie:

– Wiesz co, księżniczko? Ty jesteś najmądrzejsza z nas wszystkich. Popieram twoją propozycję. Wszyscy idziemy z tobą do lasu!

Ani odrobinę nie przeszkadza mi, że Wowa nazywa mnie księżniczką. Kiedy on zwraca się do mnie w ten sposób, jego głos ma zupełnie inną intonację niż głos Wierki, głosy dzieci w szkole, które wołają na mnie „Księżniczka Co-Co", czy nawet głos mamy, gdy nazywa mnie rozmarzoną księżniczką. Kiedy Wierka, inne dzieci i mama tak mnie nazywają, przejmuję się tym bardzo. Wiele zależy od tego, jak czyjś głos brzmi. Brzmienie głosu może napełnić serce słodyczą lub goryczą. Brzmienie i ton głosu są same w sobie mową, podobnie jak dotyk jest swego rodzaju językiem. W tej chwili na przykład Wowa chwyta mnie za rękę i jest to bardzo wesoły gest – chociaż akurat teraz, podczas spaceru z tatą, mogłabym się obyć bez jego towarzystwa.

Wowa zrywa się na nogi, zwija swoje duże dłonie w tubę wokół ust i woła do gromady dzieci:

– Droga ferajno, idziemy do lasu sprawdzić, co można tam zobaczyć w ciemności!

To, że Wowa podnosi taki alarm, irytuje mnie. Chcę pójść do lasu tylko z tatą; iść cicho, patrzeć i słuchać, nie bojąc się niczego. Mam nadzieję, że może odsłoni się przede mną choć rąbek tajemnicy, którą las chowa w swojej głębi. Okrzyk Wowy wywołuje ogromne poruszenie. Cały Stefanów szykuje się, by pójść do lasu.

– Ubierzcie się, dzieci! Weźcie swetry! – wołają ze wszystkich stron matki. Ojcowie biegną do chat po latarki, harmonijki ustne oraz laski wystrugane przez nich samych z gałęzi.

Wciągam w pośpiechu sukienkę i sweter, po czym chwytam tatę za rękę.

– Chodź szybciej, będziemy pierwsi! – proszę go.

Wychodzimy z chaty i ruszamy pędem przez pole ścieżką biegnącą pośród wysokich traw. Kiedy dochodzimy do strumienia oddzielającego pole od lasu i przeskakujemy go, wydaje mi się, że odgłos płynącej wartko wody brzmi podobnie do śmiechu mamy, który rozbrzmiewa podczas letnich miesięcy. Tata kładzie rękę na moim ramieniu. Jego blada dłoń o smukłych palcach wygląda w półmroku zmierzchu jak gołąb, który osiadł na mym ramieniu, by odpocząć. Przyciskam policzek do jego dłoni, by poczuć jej ciepło. Jest to inny rodzaj ciepła niż ten, którym emanują ręce mamy. Jest w nim coś solidnego, jakiś inny rodzaj czułości.

Z tyłu, z oddali, dobiegają nas odgłosy rozśpiewanego tłumu.

– Chodź, wejdźmy do lasu – mówię. Zdejmuję dłoń taty z mojego ramienia i zaczynam ciągnąć go ze sobą.

Wchodzimy pomiędzy pierwsze drzewa. Na ich koronach spoczywają jeszcze ostatnie promienie zachodzącego słońca. Sosny i dęby o ciężkich, masywnych pniach pogrążone są w cienistym spokoju, który daleki jest jednak od zupełnej ciszy. Liście i igły drzew szeleszczą nad głową i pod stopami. Nawet kiedy wstępuje się na dywan z miękkiego mchu, można usłyszeć cichy szmer. Słychać też świergotanie jakiegoś ptaka. Mam wrażenie, jak gdybym razem z tatą wkroczyła do pełnego tajemnic, ukrytego zamku, jakiejś tajemnej twierdzy; jakbyśmy wtargnęli w duszę obcego świata, którego strażnicy patrzą na nas ze wszystkich stron – świata, którego nie sposób zrozumieć, ale którego istnienie można wyraźnie odczuć. Nie ma bardziej satysfakcjonującego uczucia niż to, którego doznaje się, wkraczając do tak strasznie tajemniczego miejsca, nie odczuwając przy tym strachu. Oboje z tatą słyszymy pośród ciepłej ciemności tę samą muzykę – muzykę pełną wymownej ciszy. Ileż odcieni i niuansów posiada ta ciemność i iloma tonami może śpiewać ta cisza! Ileż słów znajduje się w milczeniu ojca i córki, którzy są sobie bliscy!

– Dlaczego nic nie mówisz, Miriamko? Boisz się? – pyta mnie tata.

– Nie, nie tak naprawdę – szepczę w odpowiedzi. – Tylko tak trochę.

– Dlaczego szepczesz? Nikogo tu nie obudzisz. – Głos taty szeleści w ciemności.

Odpowiadam mu z powagą:

– Wiem. Wiem, że las nocą nie śpi. Ale jeśli chce się go usłyszeć, trzeba być cicho. Czyż nie, tato?

– Tak, oczywiście. Jeśli mamy ochotę, możemy być cicho, a jeśli nie, możemy mówić i śpiewać, a nawet krzyczeć. Zależy, na co mamy ochotę. Dla lasu nie stanowi to żadnej różnicy.

– Chcesz powiedzieć, że las nas nie słyszy, i że my tak naprawdę też nie możemy tu nic usłyszeć, czy tak? Że las nic nie mówi, bo nie jest żywy tak jak my, prawda?

– Chcę powiedzieć, że las nie jest żywy w ten sam sposób, co my. Jeśli drzewa mają swój język, to nie jest to to samo, co my rozumiemy pod pojęciem języka.

– Uważasz więc, tato, że drzewa nie są nieszczęśliwe przez to, że nie mogą się ruszyć z miejsca?

– To nie ma nic wspólnego z byciem szczęśliwym czy nieszczęśliwym. Tak po prostu jest. W naturze drzew leży, że mają korzenie i są nimi przywiązane do ziemi. Jeśli zabierzesz człowiekowi wolność poruszania się, ten człowiek umrze. Ale gdybyś chciała jakieś drzewo uwolnić od ziemi i wyrwała je z niej, umarłoby też, chyba że przesadziłabyś je z korzeniami w inne miejsce. I nawet wtedy nie ma pewności, czy to drzewo by się przyjęło i doszło do siebie po przesadzeniu. Wszystko, co wiemy o drzewach to to, że należą do innego świata, świata roślin.

– Masz na myśli inny świat, który zawarty jest w naszym świecie?

– Tak, to właśnie mam na myśli. Dokładnie tak, jak świat zwierząt jest częścią naszego świata. Ale żaden z tych światów nie może nigdy zrozumieć dobrze innego. Są wprawdzie ze sobą powiązane, ale to wszystko. Możesz sobie na przykład myśleć, że las jest miastem drzew, podzielonym na rodziny, które dzielą się między sobą światłem słońca i sokami ziemi. Możesz sobie myśleć, że czerpią przyjemność ze wspólnego życia, tak, jak zdarza się to wśród ludzi; albo że kiedy rozpętuje się burza – starają się pomóc jedno drugiemu, jak ludzie. Możesz sobie też myśleć, iż drzewo, które stoi samotnie pośrodku pola, cieszy się z tego, że ma słońce i wiatr tylko dla siebie, lub że czuje się samotne i brakuje mu świergotania lasu. Jednak wszystko to są uczucia, których doświadczają ludzie, nie drzewa.

– Skąd wiesz, tato? Skąd możesz to wiedzieć, skoro nie potrafisz zrozumieć ich mowy i są dla ciebie jak umarli, choć sam mówisz, że żyją?

– Masz rację. Nie wiem. Jedynie tak sobie to wyobrażam. Rozsądek mówi mi, że jeśli drzewa mają własny rozum, to jest on inny niż nasz. Ale czy to ważne? Jeśli my nie możemy ich zrozumieć, a one nie mogą zrozumieć nas, to i tak jesteśmy jedni dla drugich jak martwi. Tego jestem pewien.

Ja też jestem tego pewna. Wiem, że sama jestem jak martwa dla wielu ludzi i wielu ludzi jest martwych dla mnie, chociaż należymy do tego samego, ludzkiego świata. Powstrzymuję się jednak przed powiedzeniem tego tacie. Nie odzywam się więcej, podczas gdy wędrujemy naprzód, w głąb lasu. Tata też nic nie mówi. Może zorientował się, że nie jestem zadowolona z jego odpowiedzi. Ja jednak jestem do tego przyzwyczajona. Wystarcza mi, że jego głos chwilę temu był ciepły i pełen światła. Sam dźwięk tego głosu powiedział mi więcej, niż mogłyby wyrazić słowa.

Gwarny tłum spacerowiczów zrównuje się z nami i już po chwili podchodzi do nas Binele z Nońkiem na rękach. Jej twarz jaśnieje w ciemności niczym lampion. Podnosi Nońka i sadza go okrakiem na ramionach Jankewa, którego obejmuje w talii. Teraz już ze wszystkich stron otaczają nas pozostali uczestnicy spaceru. Posuwamy się powoli naprzód. Snopy światła rzucane przez latarki skaczą po pniach drzew niczym złote wiewiórki, których ogony sięgają aż do ziemi. Towarzysz Kac, który jest członkiem Kółka Dramatycznego i chóru Kultur-Lige, zaczyna śpiewać: *Zol zajn, az ikh boj in der luft mejne szleser...*[218]. Paru spacerowiczów przygrywa mu na harmonijkach ustnych, inni przyłączają się do jego śpiewu.

Po chwili, gdy spacerujemy tak razem, odwracam głowę w bok i zauważam, że zamiast mamy po drugiej stronie taty idzie teraz Wowa. Nie widzę też Wierki. Puszczam dłoń taty i wysuwam się naprzód. Dobrze jest kroczyć samemu w ciemnym lesie, wiedząc, że znajomi ludzie idą zaraz z tyłu. Delikatny, melancholijny śpiew, któremu towarzyszy gra harmonijek, niesie się w ślad za mną. Po trosze sprawia mi to przyjemność, a po trosze mnie denerwuje. Z jednej strony uniemożliwia dosłyszenie odgłosów lasu, z drugiej jednak pozwala mi zdać sobie mgliście sprawę z muzyki, która wydobywa się skądś z głębi mnie samej.

Nie zauważam nawet, kiedy oddalam się dość daleko od całej grupy i od idących za mną dzieli mnie już spora odległość. Nagle od tyłu wpada na mnie Wierka i z ust wyrywa mi się dziki wrzask. Wierka sapie ciężko i jest zupełnie roztrzęsiona. Obejmuje mnie i wybucha płaczem, piszcząc przy tym jak psiak, któremu nadepnięto na ogon. Złoszczę się na nią za to, że tak mnie przestraszyła i nalegam, żeby mi natychmiast powiedziała, co się jej przytrafiło.

Wierka, jąkając się, mówi mi do ucha:

– Towarzysz Anton Cimerma-an wyzna-ał mamie mi-iłość!

W ciemności szukam oczami jej wzroku. Nie rozumiem, co mi tu wyszlochała.

– Co to znaczy, że wyznał jej miłość?

– No wyznał, że ją kocha. Idą tam daleko z tyłu. Nie zauważyli mnie. Powiedział do niej: „Jestem w pani zakochany, Binele".

Wzruszam ramionami.

– To co z tego? Ja też jestem w niej zakochana. Tu, na letnisku, bardzo ją kocham. Jest dobra i nie złości się na mnie, kiedy wybrudzę ubranie.

Zrozpaczona Wierka potrząsa głową.

– Czy ty nie rozumiesz, co to znaczy, że on jest w niej zakochany? To straszne!

Odpycham ją od siebie, porządnie już rozzłoszczona.

---

[218] (jid.) dosł.: *Być może, że buduję moje zamki w powietrzu* (w sensie: na piasku) – autorem pieśni był Josef Papiernikow (1897-?) – poeta tworzący w języku jidysz, śpiewak w chórze Wielkiej Synagogi na Tłomackiem. Od 1924 r. w Palestynie, do swoich utworów układał muzykę i jako pieśni ludowe zyskały popularność.

– Patrzcie no ją! – wołam. – A właśnie, że wiem, co to znaczy. Wszyscy ludzie są zakochani w mamie, bo ona jest najlepszą kobietą na świecie.

– Zwariowałaś! – Wierka nie posiada się z rozpaczy. – Towarzysz Cimerman jest przecież mężczyzną!

– I co z tego?

– Mężczyźnie nie wolno zakochać się w mamie. Tylko tata może być w niej zakochany.

– Dlaczego? A Wowa? Co z nim? On też jest zakochany w mamie. Czy jemu też nie wolno?

– Oczywiście, że nie. Wolno mu ją kochać, ale nie może być w niej zakochany. To nie to samo.

– Dlaczego nie?

– Oj, daj mi spokój. Ty nic nie rozumiesz.

– A właśnie, że rozumiem! I chcę, żeby każdy był zakochany w mamie!

Wierka wlecze się u mojego boku, pociągając nosem.

– Wydarzy się wielka tragedia... – To obce mi słowo „tragedia" brzmi niezmiernie dramatycznie pośród rozszeptanej ciemności lasu, gdy migoczące światła latarek skaczą wokół nas po drzewach długimi snopami promieni.

– Tak ci się tylko wydaje – próbuję uspokoić Wierkę, czując się, jakbym to ja była jej starszą siostrą, co sprawia mi wielką przyjemność. – Wydaje ci się tak, bo w lesie jest ciemno i trochę się boisz. Ja też się trochę boję, ale twoje trochę jest większe od mojego.

Oczy Wierki, zamglone od łez, błyszczą w ciemności, gdy patrzy na mnie.

– Nie, Miriamko, skarbie – mówi, obejmując mnie po matczynemu. Najwyraźniej nie ma ochoty pozwolić mi na czerpanie przyjemności z odgrywania roli starszej siostry. – Towarzysz Cimerman powiedział, że lepiej będzie, jeśli nie pojawi się więcej w naszym domu, a mama przyznała mu rację.

– Co?! – wołam oburzona.

Ta sprawa zaczyna już dotyczyć mnie osobiście. Obie bardzo lubimy towarzysza Cimermana, choć Wierka kiedyś zwykła żywić do niego urazę za to, że odciągał uwagę mamy od nas. Ostatnio opowiadał mi i Wierce zapierające dech historie o prawdziwych wydarzeniach, jak na przykład o ekspedycji Czeluskina[219], o zatonięciu statku Titanic, czy o królowej Marie Antuanet[220], którą skazano

---

[219] Siemion Iwanowicz Czeluskin (1700-1764) – rosyjski polarnik, w latach 1733-1743 brał udział w Wielkiej Ekspedycji Północnej na Kamczatkę i dotarł do najdalej na północ wysuniętego cypla Azji, który w 1843 roku został nazwany na cześć odkrywcy Przylądkiem Czeluskina.

[220] Maria Antonina (1755-1793) – ostatnia królowa Francji, stracona za zdradę stanu. Zdanie, które miało być wypowiedziane przez królową, na wieść o głodzie w przedrewolucyjnej Francji, by jedli ciastka, skoro nie ma chleba, było jej mylnie przypisywane.

na śmierć, bo rozkazała ludziom jeść ciastka zamiast chleba. Czasami mama czyta dla niego na głos jakieś opowiadanie Szolema Asza[221] i choć nie rozumiem wszystkiego tak dobrze jak Wierka, to jednak robi to na mnie duże wrażenie. Kiedy tata pracuje na drugą zmianę w restauracji Capri, towarzysz Cimerman pomaga mi odrabiać zadania domowe z rachunków, bo Wierka nigdy nie ma na to czasu, a mama zajęta jest Nońkiem.

– Mama jest dla niego niedobra! – wybucham. – Chociaż jest najlepszą mamą na świecie, jest niedobra dla niego. Musi go błagać, żeby wrócił. Jeśli on nie wróci, to będzie to gorsze niż wielka tragedia.

Wierka kręci kategorycznie głową.

– Nie, nic nie może być gorsze niż wielka tragedia. I nie mam na myśli tylko tej tragedii.

– Jakiej?

– Że on nie będzie do nas przychodził. Mam na myśli inną tragedię.

– Jaką inną?

– Ważniejszą.

Wierka prosi, żebym szła obok niej, aż się porządnie wypłacze. Potem każe mi przysiąc na moje życie, że nie pisnę nikomu ani słowa o tym całym zdarzeniu – zwłaszcza tacie, bo mógłby dostać zawału serca. W ten sposób mam udowodnić, że jestem godna zawierzenia mi największych tajemnic. Bardzo chcę, żeby Wierka zawierzała mi swoje największe tajemnice, przysięgam więc na moje życie i dotrzymuję słowa aż do wieczora, kiedy kładę się spać.

Następnego dnia cała ta tajemnica wyparowuje mi zupełnie z głowy. Myśli zaprząta mi już coś ważniejszego. Okazało się, że ojcowie przyjechali z miasta z niespodzianką, o której wczoraj nie pisnęli ani słowa. Każdy z nich przywiózł ze sobą kolorową zabawkę, która nazywa się jojo i pochodzi z dalekiego kraju o nazwie Japonia[222]. Jankew przywiózł jojo nie tylko dla Wierki i dla mnie, lecz również dla Binele. My, dzieci, jesteśmy przez cały dzień zaabsorbowane jojo. Jestem oczarowana moim, które z jednej strony jest zielone, a z drugiej żółte. Moja wprawa w obchodzeniu się z nim rośnie z minuty na minutę. Kiedy wyrzucam jojo w powietrze na całą długość sznurka przyczepionego do mojego palca, przybiera ono zupełnie inny kolor, który nie jest ani zielony, ani żółty. Bawię się nim, siedząc i stojąc, biegając i chodząc. Ciągle jednak trzymam się w pobliżu taty, żeby nie stracić ani chwili z jego obecności.

---

[221] Szolem/Szalom Asz (1880-1957) – niezwykle płodny polsko-żydowski dramaturg i prozaik tworzący w języku jidysz, jego utwory wzbudzały kontrowersje w środowisku żydowskim, ale jednocześnie uchodził za jednego z najwybitniejszych żydowskich pisarzy.

[222] Jojo – rodzaj zabawki w postaci ciężarka zawieszonego na sznurku, prawdopodobnie przybył do Polski z Chin.

*

Parę tygodni później Jankew namawia nauczycielkę Rubinow, by przyjechała do Stefanowa i spędziła z nami parę dni. Koniec końców pani Rubinow zostaje u nas nie parę dni, lecz parę tygodni. Binele jest z tego bardzo dumna. Uważa za wielki zaszczyt, iż może gościć u siebie nauczycielkę swoich dzieci. Każdego popołudnia pani Rubinow idzie z dziećmi na spacer i nie muszę wcale prosić Wierki, by pozwoliła mi pójść razem nimi. Uważam panią Rubinow, która uczyła mnie w pierwszej klasie, za mojego osobistego gościa i dbam o to, żeby trzymała mnie za rękę podczas spacerów.

Podczas jednego z takich spacerów zdarzyło się, że Malka Cederbojm odłamała z krzaka dużą gałąź. Malka, podobnie jak jej bracia, Herszko i Gabi, jest wielkim łobuzem i bardzo lubi psuć i rozkładać rzeczy na części pierwsze, żeby dowiedzieć się, jak działają.

Gdy nauczycielka Rubinow spostrzegła, co Malka zrobiła, zatrzymała się, przybrała surowy wyraz twarzy i powiedziała:

– Czy wiesz, Malciu, że sprawiłaś wielki ból temu krzakowi? Ta gałąź, którą trzymasz w swojej ręce, była jego ramieniem. Każdy liść na gałęzi jest jak dłoń, za pomocą której przyjmuje on słońce i deszcz. Nas, ludzi, boli, kiedy wyrywa się nam choćby jeden paznokieć, wyobraź więc sobie, co odczuwa teraz ten krzak. Liściowi trzeba pozwolić samemu odpaść z gałęzi, kiedy inny liść jest gotów zająć jego miejsce. A na to, by drzewo mogło zastąpić jedną gałąź inną, potrzeba dużo czasu.

To jest to! Teraz usłyszałam potwierdzenie tego, co wiem już od dawna. Drzewa i krzewy odczuwają ból i dlatego mogą być wesołe lub smutne, szczęśliwe lub nieszczęśliwe, dokładnie jak ludzie. Może tata znał tę prawdę, kiedy sam był dzieckiem, ale o niej zapomniał. Dorośli mają w zwyczaju zapominać o tym, co wiedzieli w dzieciństwie. Pani Rubinow nie zapomniała i dlatego jest taką dobrą nauczycielką.

Im dalej spacerujemy, tym bardziej czuję się jak nowo narodzona. Obserwuję świat innymi oczami. Wszystko, co widzę wzdłuż drogi, otrzymuje nową twarz. Wszystko żyje, jest rozbudzone i wibruje uczuciami. Z mojego własnego serca promieniują we wszystkie strony uczucia, obejmując wszystko dookoła mnie i ja sama czuję się przez wszystko objęta. Cały świat jest niczym sala ozdobiona niezliczonymi kandelabrami, które zalewają wszystko, co żyje, swobodnie przepływającym światłem. I podobnie jak to światło nie jest do niczego przywiązane i nie jest niczym skrępowane, tak samo nic nie jest związane na stałe z ziemią. To tylko złudzenie. Odkryłam ten cudowny fakt już dawno temu w chwilach, kiedy poruszałam się z pewną szybkością. Odczuwam to też wtedy, kiedy puszczam się biegiem przez łąki Stefanowa.

Szczególnie chętnie bawię się, skacząc wokół drzew w lesie, obserwując przy tym, jak ich pnie wirują wokół mnie, aż zaczyna mi się kręcić w głowie. Kiedy zmęczona i spocona przewracam się, by odpocząć, spoglądam w górę

na koronę drzewa, która wciąż jeszcze tańczy i dopiero po chwili zatrzymuje się. Widzę, jak drzewo pochyla się nade mną, macha swoim zielonym wachlarzem liści i uśmiecha się do mnie szerokimi ustami światła, które prześwieca przez gałęzie.

Pewnej niezbyt udanej soboty leżę sobie z rozpostartymi rękami i nogami pod drzewem, wokół którego przed chwilą skakałam. Rodzice i nauczycielka Rubinow są we wsi i przysłuchują się nudnym przemówieniom, które nazywają „referatami", wygłaszanym przez towarzyszkę Hankę i jakiegoś człowieka, który specjalnie przyjechał w tym celu z miasta. Nawet nauczycielka Rubinow zamiast bawić się z dziećmi w jakąś interesującą zabawę, na równi z innymi dorosłymi dała się wciągnąć w niekończącą się dyskusję – o złoczyńcy Hintlerze, mieszkającym w dalekim kraju, który nazywa się Niemcy. Dyskusja ta ciągnie się przez cały dzień i pozbawia mnie towarzystwa taty. Wierka musiała nawet przypomnieć matkom, że już czas na posiłek.

Kiedy leżę tak rozciągnięta na ziemi z oczami utkwionymi w koronę drzewa, zamiast wachlarza gałęzi widzę niespodzianie pochyloną nade mną twarz towarzysza Kaca. Siadam spłoszona i czuję się nagle tak zawstydzona, jak gdyby pan Kac przyłapał mnie na kradzieży, albo jakby zobaczył mnie nagą. Skaczę na równe nogi i zesztywniała opieram się o pień drzewa. Pan Kac siada obok mnie na ziemi, z głową na wysokości mojego ramienia.

– Co robisz sama jedna w lesie? – pyta.

Oblewam się takim rumieńcem, że aż wilgotnieją mi oczy.

– Nic – wyjękuję.

Pan Kac przysuwa się do mnie jeszcze bliżej. On też jest czerwony jak burak. Uśmiecha się do mnie tak szerokim uśmiechem, że widzę jak światło odbija się w złotych koronach jego zębów. Odzywa się szeptem:

– Taka śliczna dziewczynka jak ty, z takimi pięknymi, zielonymi oczami, nie powinna chodzić sama do lasu. – Kładzie na moim kolanie swoją pulchną dłoń z pierścionkiem z czerwonym kamieniem na małym palcu, i przesuwa ją w górę mojej nogi pod sukienką. Łaskocze mnie to przyjemnie, chociaż wciąż czuję się sztywna jak kłoda i nie jestem w stanie otworzyć ust. Pan Kac szepcze coś do mnie o jakiejś interesującej zabawie, lecz jestem tak zahipnotyzowana nowym brzmieniem jego głosu, że nie rozumiem ani słowa z tego, co mówi. Zawsze lubiłam słuchać jego śpiewnego, bałuckiego jidysz, który brzmi zupełnie inaczej niż ta paplanina, jaką słyszę w tej chwili.

Kiedy pan Kac mówi, a ja gapię się na niego, nagle przylatuje osa, siada prosto na czubku jego perkatego nosa – i wbija w niego żądło. Pan Kac wydaje z siebie okrzyk i zrywa się na równe nogi, a ja, czując jak moje ciało w końcu się odpręża, wybucham dzikim śmiechem. Pan Kac wygląda przekomicznie. Czubek jego okrągłego nosa puchnie na moich oczach i robi się tak czerwony, jak reszta jego twarzy. Osa nieźle się spisała.

– Pobiegnijmy do nas, panie Kac! – wołam, łapiąc go za rękę. – Moja mama ma smarowidło na ukąszenia owadów! – Trzymając się za ręce, zaczynamy biec w kierunku wsi. Nabieram śmiałości i proszę go: – Nie powie pan mojej mamie, że byłam sama w lesie, dobrze, panie Kac?

– Broń Boże! – zapewnia mnie pan Kac grubym, chrapliwym głosem. – To nasza tajemnica. – Trzyma się za nos, który przyjmuje kształt ognistoczerwonego buraka. Wymawia się od pójścia razem ze mną do mojej mamy i biegnie do swojej chałupy.

Zaraz po tej nieudanej sobocie nauczycielka Rubinow przekonuje chłopów, u których wynajmujemy pokoje, by pozwolili nam urządzić wieczór z ogniskiem na jednej z ich łąk. Zatrudnia ich też do tego, żeby razem z nami zbierali w lesie drewno. Taszcząc naręcze suchych gałęzi, mówię sobie: „To są martwe ramiona drzew. One już nic nie czują i nie będzie ich bolało, kiedy będą się palić".

Kiedy zapada noc, jeden z chłopów rozpala ogień. Matki z dziećmi siadają na ziemi wokół ogniska i zaczynają śpiewać: *Arum dem fajer zingen mir lider*[223]. Czekamy, aż kartofle włożone między rozżarzone sęki upieką się i będą gotowe do zjedzenia. Tymczasem dzieci recytują poematy i Wierka należy do najważniejszych recytatorów. Stoi obok ogniska oświetlona językami ognia i jest jedyną, która ani razu nie zająkuje się podczas deklamowania. Nigdy nie zapomina wyuczonego tekstu, a jeśli nawet zdarzy się, że wyleci jej z pamięci jakieś słowo, zastępuje je tak przemyślnie innym, na poczekaniu przez nią wymyślonym, że cały wiersz wychodzi z jej ust tak gładko, jak gdyby czytała go z książki. Kiedy kończy, rozlegają się ogłuszające oklaski, a nauczycielka Rubinow całuje ją w głowę. Ja osobiście jestem zdania, że takie wyróżnianie Wierki jest skandaliczne i niesprawiedliwe. Koniec końców ten wieczór przy ognisku został zorganizowany dla wszystkich i wszyscy po równo powinni móc czerpać z niego przyjemność.

Kiedy ogień przestaje buchać i jarzy się jednostajnym płomieniem, mamy wyciągają z niego gorące kartofle, a dzieci z zapałem rzucają się w bój o nie. Nie mogąc wytrzymać parzenia skórki, przerzucamy kartofle z jednej ręki do drugiej, po czym z niecierpliwością obieramy je z łupiny. Zewsząd rozlegają się okrzyki: „Sól! Podaj mi sól! Kto wziął sól?". Z otwartych, pełnych gorących kartofli ust kapie ślina. Oblizujemy gorące od jedzenia, słone wargi, wycieramy je rękawami i krzyczymy: „Jeszcze! Jeszcze!".

Kiedy wszystkie upieczone kartofle są już zjedzone, nauczycielka Rubinow zadziera głowę i wskazuje na gwiazdy, błyszczące na niebie niczym złote guziki na granatowej pelerynie spiętej srebrną broszą księżyca.

---

[223] (jid.) *Wokół ognia śpiewamy pieśni* – popularna piosenka żydowska ze zbiorów Michala Gelbarta (1889-1966), który był jednym z ważniejszych pieśniarzy i kolekcjonerów żydowskiej muzyki w XX wieku.

Pani Rubinow opowiada zgromadzonym wokół ognia o gwiazdach oraz o niejakim Mikołaju Koperniku, który był tak genialny, że odkrył, iż Ziemia nie stoi w miejscu, tylko kręci się wokół Słońca. Ta lekcja astronomii nie odznacza się szczególną jasnością i teoria Kopernika w ustach pani Rubinow nie brzmi zbyt wiarygodnie dla innych dzieci – mogę to ocenić na podstawie częstości, z jaką ziewają – jest jednak nader przekonująca dla mnie. Wspiera mianowicie moją własną teorię, że Ziemia nie jest przytwierdzona do niczego i nic nie jest przytwierdzone do niej, tylko że wszystko kręci się wokół Słońca, które też nie jest do niczego przytwierdzone i tańczy wokół jeszcze większego słońca. I kiedy siedzę tak przy wieczornym ognisku, patrzę w górę i rozglądam się wokół siebie, przychodzi mi do głowy szalona myśl: może całe to kręcenie się czy też stanie w miejscu jest niczym więcej tylko złudzeniem. Może wszystko na świecie, razem z tym wieczorem przy ognisku na łące i nami wszystkimi siedzącymi wokół ognia, nie jest niczym więcej, jak wymysłem, fantazją wymarzoną przez kogoś pogrążonego w zabawie.

*

Następnego dnia nauczycielka Rubinow wraca do Łodzi, a dzieci postanawiają, że Mikołaj Kopernik za swoje monumentalne odkrycie zasłużył sobie na honor posiadania własnego pomnika, dokładnie takiego, jaki miasto Łódź postawiło Tadeuszowi Kościuszce na placu Wolności. Moralnym obowiązkiem ludzkości wobec wybitnych osobistości jest odznaczanie ich za wielkość monumentami i pomnikami. My, dzieci, postanowiłyśmy, że pomnik Kopernika stanie pośrodku ryneczku Stefanowa – dla którego jak dotąd żadnego monumentu nie przewidziano – i będzie służył wzmocnieniu poczucia dumy biednych chłopów mieszkających we wsi.

Przez cały tydzień nie zajmujemy się niczym innym poza gromadzeniem w jednym miejscu gliny. Kiedy już nagromadziliśmy spory pagórek, zaczynamy mieszać glinę z wodą, by uczynić ją zdatną do ugniatania. Gdy i ten proces zostaje pomyślnie zakończony, zabieramy się do budowania piedestału, żeby Kopernik miał na czym stać. Formujemy z gliny duży sześcian, który ma służyć za podstawę posągu. Piedestał ten jest imponującym arcydziełem precyzji i gładkości. Teraz czeka nas jeszcze zadanie uformowania samej statuy. Musi być ona oczywiście większa od postaci zwykłego człowieka, żeby podkreślić wielkość Kopernika. Zaczynamy od jego butów, żeby przede wszystkim miał w czym stać na piedestale. Formujemy dwa ogromne trzewiki, które wyglądają tak realistycznie, jak gdyby należały do jakiegoś żyjącego olbrzyma.

Tu jednak zaczynają się mnożyć nasze rzeźbiarskie problemy. Pierwszy pojawia się w chwili, kiedy zabieramy się do formowania nóg Kopernika. To znaczy, same nogi dają się łatwo utoczyć, ale kiedy przychodzi moment, gdy trzeba je bardzo szybko, póki są jeszcze wilgotne, wpasować w buty, zaczynają zginać się we

wszystkie strony, jakby cierpiały na angielską chorobę[224]. Biedne nogi, niebogi, są teraz tak wykrzywione, że każda z nich przypomina połówkę bajgla. To nie byłoby jeszcze takie złe, ponieważ można by było wyprostować je później, jednak gdy tylko stawiamy je w pionowej pozycji, by zobaczyć, jakie są długie, rozpadają się całkiem, tak jak zrobiłyby to prawdziwe nogi, gdyby w środku nie miały kości.

Postanawiamy więc na razie zostawić nogi Kopernika w spokoju i skoncentrować się na uformowaniu jego głowy, co właściwie powinniśmy byli zrobić najpierw, bo to przecież ona jest główną przyczyną jego wielkości.

Utaczamy z gliny wielką kulę i znowu stwarzamy arcydzieło. Głowa jest tak okrągła, że można by grać nią w futbol. Sukcesem kończą się również nasze wysiłki, by uformować odpowiednie oczodoły. Nie mniej udany wychodzi nam nos z dwoma dziurkami, który przyczepiamy do twarzy Kopernika, nie wspominając już o ustach, które zdają się być tak żywe, jakby zastygły podczas wyjaśniania zasad jego astronomicznej teorii.

Wtedy przytrafia się, że Gabi Cederbojm, z twarzą poplamioną i łuszczącą się od słońca, galopuje obok dołu, który służy nam za atelier. Podobnie jak Wierka uważa się on za zbyt dorosłego, by bawić się z gromadą maluchów z niższych klas. Ja jednak nigdy nic sobie nie robiłam z jego arogancji i przywołuję go do nas. Z wielkim entuzjazmem wyjawiamy mu tajemnicę o naszym projekcie i pokazujemy postęp naszej pracy. Oczekując zasłużonej pochwały, z dumą pozwalamy Gabiemu obejrzeć głowę Kopernika.

Na jej widok arogancki Gabi łapie się za swoją własną głowę i zaczyna krztusić się ze śmiechu.

– Tak ma wyglądać Mikołaj Kopernik? – pyta z lekceważeniem w głosie, wskazując palcem na nasze dzieło.

Pytamy go więc:

– A jak niby ma wyglądać Mikołaj Kopernik?

– Mikołaj Kopernik ma wyglądać jak Mikołaj Kopernik! – woła i ucieka.

Krytyka Gabiego rzuca nas w wir głębokich przemyśleń. W końcu część dzieci dochodzi do wniosku, iż aby Mikołaj Kopernik wyglądał jak Mikołaj Kopernik, trzeba mu dorobić wielkie wąsy, ponieważ był on ważnym Polakiem, może nawet ważniejszym od samego marszałka Józefa Piłsudskiego, o którym rodzice mają wprawdzie niezbyt dobre zdanie, ale który niewątpliwie posiadał bujne wąsy. Poza tym stwierdzają, że Kopernik z pewnością miał brodę, bo chociaż nie był Żydem, to bez wątpienia był tak samo stary i mądry jak stary, mądry Żyd. Zabieramy się więc od razu do pracy, by ulepić z gliny parę bujnych wąsów i długą brodę.

Wtedy jednak znowuż inna grupa dzieci zaczyna swoją śpiewkę, iż trzeba odrzucić brodę i wąsy, ponieważ Mikołaj Kopernik niewątpliwie był socjalistą jak

---

[224] Angielska choroba – daw. krzywica – zapalenie kręgosłupa spowodowane najczęściej niedoborem witaminy D.

nasi ojcowie, a nie żadnym religijnym Żydem w typie naszych dziadków, i że nasi ojcowie nie noszą bród, tylko co najwyżej małe wąsiki, jak na przykład mój tata. Inne dzieci znowuż uważają, że Kopernik z pewnością nosił okulary, ponieważ od zbyt częstego czytania przy świetle gwiazd miał słabe, zmęczone oczy.

Dzieci, które są trochę starsze i należą już do SKIF-u, potwierdzają, że Kopernik istotnie był socjalistą, ponieważ przeciwstawiał się pobożnym księżom w czarnych sutannach. Generalnie dzieci ze SKIF-u prezentują stanowisko, że twarz Kopernika nie jest taka ważna jak to, żeby w jednej ręce trzymał globus, a w drugiej czerwony sztandar.

Między dwiema głównymi frakcjami rzeźbiarzy rozpoczyna się polityczna dyskusja, którą zaostrza jeszcze fakt, że z dwóch frakcji robią się zaraz trzy. Trzecia frakcja pojawia się w rezultacie rozłamu w grupie skifistów. Ta część z nich, która uważa się za politycznie mądrzejszą, jest przeciwko temu, żeby Kopernik miał okulary, ponieważ należał do mas, które nie miały pieniędzy na takie rzeczy, a nie do klasy bogaczy.

Zanim ja sama zdołam zdecydować, do której frakcji należę, pozostałe dzieci zaczynają obrzucać się garściami gliny. Kiedy kończy się im amunicja, wspomagają się Kopernikiem, wydłubując garści gliny z jego „ciała" i z arcydzieła – piedestału. Genialna głowa Kopernika wzlatuje w powietrze jak piłka, po czym rozpada się na łepetynie zucha, który rzuca się właśnie na swojego kompana z gołymi pięściami.

W końcu rozbiegamy się na wszystkie strony w poszukiwaniu gałęzi i kijów, a potem czaimy się na siebie nawzajem, chowając się za krzakami i zastawiając dobrze zaplanowane zasadzki. Każdy z walczących jest przekonany, że toczy bój w obronie zasad sprawiedliwości i prawdy. Gdy mijają godziny, stopniowo wyparowuje nam z głów faktyczna przyczyna sporu, a jeśli ktoś pamięta ją jeszcze, to jedynie w postaci mocno rozmytej, wielkiej idei. Koniec końców postawiliśmy sobie bardzo ambitny cel, chcąc stworzyć podobiznę wielkiego, doskonałego człowieka. Nie nasza to wina, iż ten wielki, doskonały człowiek rozpadł się niczym gliniany golem[225], jeszcze zanim zdołał stanąć na nogach, i że jego przeznaczeniem było stać się zarówno przyczyną, jak i ofiarą naszej wojny.

*

Podczas tego lata rzadko spotykam się z moją najlepszą przyjaciółką Sorką Fidler. Na wsi jest tyle do odkrycia. Spędzam czas z innymi dziećmi albo zupełnie sama, biegając po polach. Jedyną dziewczynką wzbudzającą moje zainteresowanie jest Malka Cederbojm, która jest w klasie rok wyżej ode mnie. Moje zainteresowanie Malką wzrasta bardzo pewnego razu, kiedy rano, zaraz po śniadaniu, wychodzę przed drzwi i widzę, jak krąży wokół swojej chałupy

[225] Golem – sztuczny człowiek, bezrozumna istota stworzona za pomocą magicznych formuł.

i rozrzuca okruszki chleba przed szparami w ścianie z desek. Podchodzę do niej z szacunkiem należnym starszej dziewczynce i pytam ją, co robi.

– Karmię myszki – odpowiada mi spokojnie Malka.

Zaraz biorę nogi za pas. Boję się myszy. Równocześnie jednak mój szacunek dla Malki sięga zenitu. Parę dni później, gdy skaczę sobie po polach, spostrzegam ją uganiającą się z siatką w ręce za motylami. Podbiegam do niej, a Malka obdarza mnie komplementem:

– Dobrze biegasz – mówi. – Może chcesz mi pomóc? Pracuję dla nauki.

– Co robisz? – dopytuję ostrożnie, żeby lepiej zrozumieć, o czym mówi.

– Widzisz przecież, co robię. Łapię motyle. Obserwuję, jak umierają, a potem wklejam je do albumu.

– Potrafię łapać motyle gołymi rękami – chwalę się.

Malka z autorytetem potrząsa głową.

– Tak nie można. To niedobre dla nauki. Możesz połamać im skrzydła – mówi, po czym puszcza się w pogoń za motylami po polu, zostawiając mnie samą.

Następnego dnia Malka przychodzi do naszej chałupy. Jak zwykle ma na sobie skautowe spodenki, z których wyrósł Gabi, oraz jego koszulkę i rozczłapane sandały, które też są już na niego za małe. Na głowie nosi jego starą czapkę z daszkiem z białego kiedyś, lecz teraz już poszarzałego materiału i z dziurami „dla wentylacji". W ręce trzyma siatkę Gabiego do łapania motyli.

– Chodź, będziesz mi pomagać – proponuje.

Pomaganie uczennicy z wyższej klasy to wielki zaszczyt. Z szacunkiem biorę od Malki siatkę i wychodzę z nią na zewnątrz. Jednego nie rozumiem: dlaczego Malka karmi myszki, żeby podtrzymać je przy życiu, i łapie motyle, by je zabić? Powstrzymuję się jednak od zapytania jej o to, żeby nie zobaczyła, jaki ze mnie głuptas.

Po drodze na łąkę Malka opowiada mi z wielką powagą o swoim naukowym dorobku. Od swoich starszych braci dowiedziała się wielu ważnych rzeczy, za co chwali ich szczodrze i szczerze. Nauczyli ją, jak wspinać się na drzewa i wyjmować jajeczka z ptasich gniazd, jak zręcznie łapać motyle, by nie zniszczyć koloru ich skrzydeł, a także jak przekłuwać główki maleńkich insektów szpilką z kapelusza Balci, a potem zanurzać te małe, martwe stworzonka w słoju z octem, żeby zakonserwować ich kształt i sprawić, by wyglądały jak żywe. Dopiero potem – wyjaśnia mi Malka – kiedy insekty wyschną, można je wkleić do albumu. Oprócz motyli Malka kolekcjonuje wszelkiego rodzaju żuki, ćmy, koniki polne i przezierniki.

Na łące, ponad trawami i kwiatami, bzyczą przeróżne owady rozmaitych wielkości oraz kolorów. Uganianie się za tymi małymi, barwnymi drobinkami jest bardzo ekscytujące i przyjemne. Później, kiedy są już złapane, mogę zaspokoić ciekawość i przyglądać się im, jak trzepoczą się w siatce i rozpaczliwie szukają drogi ucieczki z tej pułapki. Malka zaciska siatkę i ostrożnie wsuwa do środka rękę. Stara się złapać motyla za główkę, żeby skrzydełka nie straciły swojej barwy. Widzę, jak drobne ciałko drży, gdy Malka trzyma je między palcami, wyjmuje

z klapy bluzy szpilkę do kapelusza swojej mamy i przebija nią maleńką owadzią główkę. Na jej twarzy pojawia się grymas podobny do krzywego uśmiechu. Drżenie maleńkiego ciałka ustaje.

Malka zanurza każdego złapanego martwego motyla w słoju z octem i za każdym razem kiedy to robi, przeliczamy, ile motyli już złapałyśmy. Kiedy udaje mi się złapać przepięknego motyla monarchę, króla motyli, zadowolenie Malki z mojej pomocy w jej naukowej pracy jest kompletne. Rozsiadamy się na trawie rosnącej wzdłuż ścieżki, żeby odpocząć, i obserwujemy, jak mrówki krzątają się wokół swojego gniazda w ziemi. Nabieramy w garście piasek i powoli zasypujemy nim wejścia do mrowiska, przyglądając się, jak mrówki reagują na swoją tragedię.

Malka pyta mnie, czy chcę się nauczyć wspinać na drzewa. Odpowiadam, że tak i puszczamy się pędem w stronę najbliższej kępy drzew. Trochę już wiem, jak wdrapywać się na drzewo, ale jeszcze nigdy nie próbowałam dosięgnąć aż do ptasich gniazd. Tym razem jestem tak pełna entuzjazmu i zdecydowana przypodobać się Malce, że nie zważając na strach przed upadkiem, wspinam się razem z nią na najwyższe gałęzie – tam, gdzie zaczynają się ptasie gniazda. Gdy wyjmujemy jajeczka z gniazda i wkładamy je do czapki Malki, ptasia mama trzepocze przestraszona między gałęziami. Malka złazi z drzewa zaraz po mnie, trzymając daszek czapki zębami. Zakończywszy pomyślnie ten etap pracy, rozsiadamy się pod drzewem i wykładamy małe jajeczka na ziemię między nasze stopy.

– Ich mama jest strasznie smutna – zauważam ostrożnie.

– Ona nie jest jeszcze ich mamą. – Malka podąża wzrokiem za dwoma ptakami, które krążą nad naszymi głowami. – Nic się jeszcze nie wykluło z tych jaj. A my nie mamy wyboru. Musimy robić takie rzeczy dla nauki.

Rozbija jedno jajeczko po drugim i obie przypatrujemy się zabrudzonej zawartości skorupek. Słyszymy, jak ptaki krzyczą rozpaczliwie ponad naszymi głowami.

– Ale dlaczego trzeba doprowadzać do tego, żeby płakały? – pytam, nie mogąc zrozumieć.

– Przecież dopiero co ci powiedziałam. Robi się to dla nauki. Są tu chłopcy, którzy robią to dla przyjemności, ale nie ja. Nauka to nie jest wesoła zabawa. Nauka oznacza wiedzę, która potrzebna jest do tworzenia. Człowiek musi posiadać wiedzę, żeby za jej pomocą mógł stwarzać ważne rzeczy.

– Jakie ważne rzeczy? – pytam.

– Ważne rzeczy, jak na przykład różne wynalazki. Chcę być wynalazczynią lekarstw.

– Jakie lekarstwa chcesz wynaleźć?

– Chcę wynaleźć lek przeciw śmierci.

– Dlatego zabijasz motyle?

– Tak, muszę. Ponieważ najpierw trzeba wiedzieć, jak się umiera.

– To motyl i człowiek umierają tak samo?

– Tak, dokładnie tak samo.

– To musi przecież motyla bardzo boleć, kiedy mu się przebija głowę.

– Każdego boli, kiedy mu się przebija głowę.

– Nie chciałabym umrzeć dla nauki.

– Ja też nie. Dlatego wykorzystuje się motyle, świnki morskie i myszki. Ponieważ ludzie są zupełnie jak zwierzęta, ale zwierzęta nie są całkiem takie jak ludzie, chociaż wiele zwierząt rodzi swoje dzieci dokładnie tak samo, jak ludzie. Czy wiesz, jak rodzą się ludzkie dzieci?

– Wiem, jak moja mama urodziła mojego brata.

– No to musisz też wiedzieć, że nauka mówi, że to nie bociany przynoszą dzieci z nieba, tylko ojcowie robią je swoim przyrodzeniem.

– To przyrodzenie jest też do robienia dzieci? Bo moja mama powiedziała, że to służy tatom i chłopcom do siusiania...

– Też. Ale kiedy ojcowie chcą zrobić dziecko, w pępku mamy otwiera się dziurka i tata wkłada przez nią swoje przyrodzenie i robi małą dziurkę w jajeczku, które znajduje się w jej brzuchu. W dokładnie takie samo jajeczko, jak tu widzisz. – Malka wskazuje na rozbite skorupki jajek między naszymi stopami. – Dlatego to nazywa się przyrodzenie, bo od tego rodzą się dzieci. Tata robi to w środku nocy, ponieważ sprawia tym mamie wielki ból. Odtąd dziecko zaczyna rosnąć w brzuchu mamy i trwa to dziewięć miesięcy, aż wychodzi.

– Wszyscy ludzie robią to, żeby mieć dzieci?

– Oczywiście. Gabi mi wszystko dokładnie wytłumaczył. On dużo wie.

Robi mi się ciężko na sercu. Ogarniają mnie uczucia wstydu, złości i gniewu. Nadymam się niczym indyk.

– Może Gabi wie dużo o twoich rodzicach – wybucham, głęboko dotknięta i bardzo wzburzona. – Ale o moich nie wie zupełnie nic! Mój tata nie robi nikomu nic złego swoim przyrodzeniem! Mój tata jest najlepszym człowiekiem na świecie i jest zakochany w mojej mamie!

Mój wybuch złości nie robi na Malce żadnego wrażenia. Spogląda na mnie z wyższością i wpychając pasmo swoich gęstych, kasztanowych włosów za ucho, pyta:

– A kiedy budzisz się czasem w środku nocy, czy nie słyszysz, jak twoja mama jęczy i wzdycha, jakby twój tata ją mordował?

– Hm... zdaje się, że czasami słyszę – przyznaję niepewnie. – Ale wiem na pewno, że mama miewa bóle brzucha.

– To kłamstwo! – woła triumfalnie Malka. – Twój tata próbuje zrobić jej jeszcze jedno dziecko, ale ona nie pozwala mu na to, bo już się dość nacierpiała. I ja, i ty, Miriam, my też będziemy w ten sposób miały dzieci. Nauka wie wszystko o tych sprawach.

– Nienawidzę nauki! – Przecieram szybko oczy i policzki dłońmi, po czym skaczę na równe nogi.

Malka też wstaje i odrzuca do tyłu włosy. Patrzy na mnie współczującym wzrokiem, ale bez sentymentu. Bierze mnie za rękę i mówi:

– Ludzie muszą kochać naukę, choć ona nie jest niczym wesołym.

Żeby trochę ulżyć sercu, pytam Malkę w drodze do domu:

– Sądzisz, że socjalizm nastanie tylko dla ludzi, czy może też dla zwierząt i ptaków? I może dla motyli i dla drzew też?

– Tylko dla ludzi – odpowiada Malka. – Ale również dla kobiet, bo kobiety też są przecież ludźmi. Kiedy nastanie socjalizm, mężczyźni przestaną zadawać kobietom ból.

– Chciałabym, żeby socjalizm już tu był. – Wzdycham.

– Ja też – przyznaje Malka. Patrzymy na siebie ze zrozumieniem w oczach i rozchodzimy się każda do swojej chałupy.

Gdy tylko przekraczam próg izby, spoglądam na mamę i postrzegam ją w zupełnie nowym świetle. Opanowana silnym uczuciem współczucia podbiegam do niej. Twarz Binele błyszczy od potu. Stoi pochylona nad balią i namydlonymi dłońmi pociera pranie o tarkę. Całuję ją w pachnącą mydlinami rękę i dostaję w zamian pocałunek, który zostawia na mych ustach smak baniek mydlanych.

Ledwo usiadłszy przy stole do obiadu, oświadczam głośno i wyraźnie:

– Nie jem więcej mięsa!

– Cóż tak ni stąd, ni zowąd? – Mama patrzy na mnie ze zdziwieniem.

– Nie chcę zjadać żadnych zwierząt!

– To co chcesz jeść? Dziecko powinno codziennie zjeść kawałek mięsa, bo rośnie i musi gromadzić siły. Jeśli nie będziesz jadła mięsa, możesz, broń Boże, zachorować na suchoty. Nie potrzeba więcej, żeby takie wychudzone dziecko jak ty wpędziło się w chorobę.

– To będę jadła parówki! – wołam niecierpliwie.

– A parówki to nie mięso?

– A jaką częścią krowy są parówki?

Wierka wybucha śmiechem. Uśmiechnięta Binele zaczyna mi spokojnie wyjaśniać, jak są robione parówki i tracę apetyt również na nie. Wydymam usta, po czym oświadczam zdecydowanie:

– To parówek też nie będę jeść! To nauka twierdzi, że można zachorować, jeśli nie je się mięsa. Nienawidzę mięsa i nienawidzę nauki!

Protestuję i odmawiam zjedzenia mojej porcji mięsa. Binele zaczyna się martwić. Dziecku grozi, że straci te parę cennych kilogramów, które przybrało podczas pobytu na letnisku. Nie ma innego wyboru, jak rozgniewać się na mnie i na nowo odczuwam gorzki smak tamtych minionych dni, kiedy mama przestała ze mną rozmawiać i ignorowała mnie. Więdnę niczym jesienny liść pod rzucanymi przez nią z boku spojrzeniami pełnymi troski i wyrzutu. Czuję się winna, przysparzając jej zmartwień, kiedy i tak musi cierpieć przez tatę – tego dobrego tatę, który jest taki niedobry dla niej. Ze ściśniętym sercem przyglądam się mamie, gdy biegnie do towarzyszki Hanki i do innych mam po radę, jak postępować z dzieckiem, które z moralnych pobudek odmawia jedzenia mięsa.

Na sobotę przyjeżdża do Stefanowa Jankew. Binele gotuje rosół z kluskami i kompot jabłkowy z cynamonem. Bardzo cierpię z powodu długiej waśni z mamą, a teraz czeka mnie też konflikt z tatą. W Stefanowie żal każdego zepsutego dnia, dlatego zwracam się w końcu do mamy, mówiąc, że z okazji klusek z rosołem, które są moim ulubionym daniem, zjem mięso przy obiedzie – i godzimy się. Wzbraniam się jednak mieć cokolwiek do czynienia z tatą. Serce o mało nie pęka mi z żalu, ale unikam go, jak tylko mogę. Przychodzi mi to z ogromnym trudem, gdyż bardzo za nim tęskniłam przez cały miniony tydzień. Teraz zauważam, jak rzuca zdziwione spojrzenia w stronę mamy, pytając ją wzrokiem, co się ze mną stało. Mama wzrusza ramionami. Kiedy siadamy przy stole do posiłku, tata zwraca się wprost do mnie i jego uśmiechnięta twarz sprawia, że ściska mi się serce.

– Gniewasz się na mnie, Miriamko? – pyta.

Wszyscy przy stole patrzą na mnie w milczeniu, czekając na moją odpowiedź. Moje serce rozdzierają sprzeczne uczucia. Spuszczam głowę i burczę pod nosem:

– A jeśli tak?

– To chcę wiedzieć dlaczego.

Podnoszę powoli głowę i przeszywam go wzrokiem.

– Bo sprawiasz mamie ból w nocy – wybucham i moje oczy napełniają się łzami. – Najpierw ją całujesz, a kiedy nikt nie widzi, sprawiasz jej ból!

Choć moje oczy są zamglone od łez, widzę wyraźnie, jak rodzice patrzą na siebie rozbawionym, iskrzącym się wzrokiem i wyglądają, jak gdyby usiłowali nie wybuchnąć śmiechem. Ich usta są rozciągnięte, lecz równocześnie tak mocno zaciśnięte, żeby nie wyrwał się spomiędzy nich najcichszy chichot, ale i tak widzę śmiech w ich oczach i kącikach ust. To nic – myślę sobie – mnie nie zmylą tak łatwo swoimi gierkami. Zauważam, że twarz Wierki poczerwieniała jak burak i domyślam się, że wiedziała o tej całej sprawie już od dawna, tylko zataiła to przede mną, chociaż obiecała mi wyjawić wszystkie swoje tajemnice.

– Tata nie sprawia mi bólu – mówi mama po długim, niezręcznym milczeniu. – On mnie kocha – dodaje i puszcza do niego oko.

Wycieram sobie obiema dłońmi twarz i patrzę na mamę z niedowierzaniem.

– To dlaczego w nocy jęczysz tak głośno, że budzisz mnie ze snu?

– Jęczę z przyjemności, kotku.

Najwyraźniej dorośli są na świecie po to, by siać zamęt w głowach dzieci. Jak człowiek może tak boleśnie jęczeć – z przyjemności? Ale nie chcę już o nic więcej dopytywać, żeby nie wpaść w jeszcze większą konfuzję. W rezultacie kluski z rosołem, z powodu których złamałam postanowienie, by nie jeść mięsa, i tak mi tej soboty w ogóle nie smakują.

Przestaję łapać motyle z Malką, bo nie chcę brać udziału w takim okrutnym procederze. Widzę z daleka, jak Malka ugania się z siatką po łące, ale nie biegnę do niej zapytać, dlaczego nie przychodzi więcej do nas z siatką Gabiego i nie prosi mnie, żebym współpracowała z nią dla dobra nauki. Kiedy skacząc po łące, dostrzegam przelatującego obok motyla monarchę, biegnę za nim i przyglądam

się, jak przysiada na polnym kwiatku i macha powoli swoimi przepięknymi skrzydełkami. Łapię go w dłonie, czuję, jak trzepocze między nimi, szukając drogi na zewnątrz, i po chwili rozwieram je. Zwrócenie motylowi wolności wzbudza we mnie wspaniałe uczucie. Jednak moja przyjemność zostaje zmącona myślą, że nienawidzę nauki i nie potrafię nic dla niej zrobić, przez co nie będę mogła nigdy dopomóc Malce w wynalezieniu leku przeciwko śmierci.

*

Pobyt na letnisku dobiega końca. Szkoda mi opuszczać Stefanów. Ciężka melancholia ogarnia mnie tego dnia, kiedy przygotowujemy się do powrotu do domu. To zwariowany dzień. Mama straciła już dobry nastrój i w pośpiechu pakuje nasze rzeczy. Spocona, zniecierpliwiona, przybiera typowy dla miejskiego życia wyraz twarzy. Obarcza mnie nudną funkcją opiekowania się Nońkiem, bo Wierka za żadne skarby nie chce się tego podjąć. Ma teraz ważniejsze sprawy na głowie. Tego lata wzięła się bowiem za pisanie wierszy. Gdy przeczytała je mamie, ta oczywiście rozpłynęła się w zachwytach i posłała ją z wierszami do towarzyszki Hanki, którą wybrała na godnego zaufania krytyka.

Ostatni dzień naszego pobytu na wsi zainspirował Wierkę do napisania wiersza o ostatnim dniu na wsi. Siedzi więc z zeszytem i ołówkiem przy krawędzi stołu, który cały zastawiony jest pakami z ubraniami oraz stosami talerzy oraz garnków, i pisze. Brązowe pierścienie jej włosów opadają tak nisko, że ledwo można dostrzec spod nich zeszyt. Nikt, nawet mama, nie ma prawa przeszkadzać jej podczas tego oto bezkresnego momentu poetyckiego zamyślenia. Świat wokół niej mógłby się zawalić, a ona by tego nie zauważyła. Dlatego to ja muszę wałęsać się z Nońkiem i właściwie nie przeszkadza mi to, bo ten dzień jest już tak czy siak stracony.

Towarzysz Kac jest sam właścicielem swojego interesu, dlatego mógł zrobić sobie wolne i przyjechać z miasta, by pomóc dwóm chłopom, od których wynajmowano pokoje, załadować rzeczy na wóz drabiniasty i dopilnować, żeby odjazd przebiegł bez przeszkód. Grubawy pan Kac ma czerwone, pełne policzki i krótkie, gęste, pokręcone jak owcza wełna włosy. Z twarzy nie schodzi mu dobroduszny uśmiech rozjaśniony pobłyskującymi między jego wargami złotymi koronami na zębach.

„Powiedz mi, Carmen, czy kochasz mnie…”[226] – śpiewa głośno po polsku, żeby zabawić chłopów pomagających mu załadować wóz. Potem, posapując, zaczyna wygwizdywać inne popularne arie z opery *Carmen*.

Z Nońkiem za rękę stoję w pobliżu wozu drabiniastego i przyglądam się krzątaninie pana Kaca. Za każdym razem kiedy odwraca głowę w moją stronę,

[226] Słowa libretta z opery *Carmen* francuskiego kompozytora Georges’a Bizeta.

przestaje gwizdać i gapi się na mnie, jakby zapomniał, co właśnie zamierzał zrobić. Po chwili zaczyna z powrotem śpiewać i gwizdać.

Zachowanie pana Kaca sprawia na mnie komiczne wrażenie. Zdaje mi się, że jego nos jest jeszcze opuchnięty od użądlenia osy. W sercu żywię wobec niego ciepłe uczucia. W moich oczach jest on wielką osobowością. Należy do Kółka Dramatycznego i chóru przy Kultur-Lige. Nie zdarzyło się, by przy spotkaniu ze mną nie wziął mnie w ramiona, pogładził po policzku, czy pocałował w usta. Lubię z nim żartować. Za każdym razem, gdy mnie widzi, częstuje mnie cukierkiem. Chcąc sprawić mu przyjemność, biorę cukierek do ust, chociaż nie przepadam za słodyczami.

Bardzo lubię też żonę pana Kaca, która jest jeszcze grubsza niż jej mąż. Ma takie same kręcone włosy jak on, tyle że długie, sięgające jej aż do ramion. Pani Kac stroi się w sznury korali i nosi długie kolczyki. Z dwoma z trojga grubych dzieci Kaców przyjaźnię i bawię się na podwórku przy Nowomiejskiej oraz na letnisku. Jednak z ich najstarszym chłopcem, Fiszelem, przyjaźnię się tylko w mieście. Jest to już duży chłopak i chodzi do klasy tylko o rok niżej od Gabiego Cederbojma. Poza tym, że wszyscy członkowie rodziny towarzysza Kaca są tak samo grubi jak on, podobnie jak on dobrze śpiewają i są artystycznie uzdolnieni.

Kiedy rozsiadamy się w końcu na wozie na stosie pościeli, pan Kac zaprasza mnie, żebym usiadła na jego kolanach. Wiem dobrze, że ten zaszczyt należy do Cilen, jego jedynej córki, jednak chętnie korzystam z tego zaproszenia. Pan Kac obejmuje mnie ramionami i gładzi moje nagie nogi swoją miękką, pulchną dłonią.

Gdy przybywamy do naszego mieszkania, czeka nas tam niespodzianka. Jankew ustawił na nasze powitanie szpaler z doniczek z kwiatami, które Binele hoduje na parapecie okna. Szpaler ten ciągnie się od drzwi do środka mieszkania, a kiedy podchodzimy do łóżek, każda z nas znajduje pod poduszką prezent. Binele dostaje batystową koszulę nocną, Wierka otrzymuje książkę z wierszami Maniego Lejba[227], a ja – *Fufcik lider* (*Pięćdziesiąt wierszy*) Awroma Rajzena[228]. Prezent Nońka przynosi tata z kuchni – jest to drewniany konik na biegunach. Jankew nadaje mu imię Susi[229]. Tak nazywał się koń, który kiedyś należał do jego ucznia w Bocianach – do Ciebie, Abraszo.

---

[227] Mani Lejb (1883-1953), właśc. Mani Lejb Brahinski – poeta, tworzący w języku jidysz, m.in. utwory dla dzieci. W 1905 r. wyemigrował do USA. Publikował wiersze w gazecie „Forwerts".

[228] Zob. przypis s. 250.

[229] Susi oraz Susi ben Susi (Susi syn Susiego), a także początki przyjaźni Jankewa z Abraszką, to wątki z powieści Chavy Rosenfarb *Bociany*.

Rozdział szesnasty

My, uczniowie drugiej klasy, wołamy na naszą nauczycielkę *Harcwejtik* – Boleściwa. Przez większą część roku szkolnego ma zbolałą minę, nawet kiedy czyta nam opowiadania Szolema Alejchema[230]. Jest bardzo młoda, niezwykle piękna, ma kruczoczarne włosy i gęste, czarne brwi. Na początku roku szkolnego nie sposób jej rozweselić czy choćby wywołać uśmiech na jej twarzy, gdyż każdego lata przechodzi rozdzierającą serce tragedię miłosną i potrzebuje całej jesieni i zimy, by dojść do siebie. Dopiero pod wpływem wiosennego nastroju i lata jej serce uwalnia się od smutku i może zakochać się na nowo. Od początku roku szkolnego do wiosny z determinacją stara się utopić robaka smutku w morzu żmudnej pracy pedagogicznej, nie pozwalając ani sobie, ani nam, dzieciom, na chwilę wytchnienia. Zapewne znajduje pocieszenie we wspaniałych rezultatach, jakie osiąga w swojej pracy z uczniami.

Kiedy Wierka uczęszczała do drugiej klasy, była ulubienicą nauczycielki Boleściwej, która teraz gotowa jest przelać swoje uczucia na mnie. I faktycznie ja również piszę dobre wypracowania, może trochę słabsze od prac Wierki, ale tylko odrobinę. Nauczycielka jednak od razu zauważa tę drobną różnicę i nie ukrywa swojego rozczarowania. Rozmawiając podczas wywiadówek z Binele, wspomina z nostalgią, jakie znakomite rezultaty osiągała w pracy z Wierką, o mnie natomiast napomyka jedynie mimochodem, sądząc z relacji, którą mama zdaje nam później w domu. Jeśli wymienia moje imię, to najczęściej tylko w tym

[230] Szolem Alejchem wł. Szolem Rabinowicz (1859-1916), który jest jednym z klasyków literatury jidysz, autorem 40 tomów opowiadań, powieści i humoresek znanych na całym świecie, przyjął za swój pseudonim popularne przywitanie w języku jidysz *Szolem Alejchem*, oznaczające: „Pokój wam".

celu, by zwrócić mamie uwagę na to, iż często pogrążam się w marzeniach oraz że dzieci z klasy też to zauważyły i wołają na mnie „Księżniczka Co-Co".

W klasie, na ścianie obok mojej ławki, wisi oprawiona w ramki reprodukcja obrazu Degasa przedstawiającego tancerkę w baletkach. Tancerka stoi z tyłu sceny, gotowa wbiec na nią lekkim krokiem i rozpocząć swój taniec. Kiedy interesujące z początku lekcje nauczycielki Boleściwej zaczynają staczać się w otchłań nudy, przenoszę się w marzeniach w ten właśnie wiszący na ścianie obrazek. W wyobraźni widzę siebie stojącą za kulisami wspaniałego teatru, a przede mną scenę, chociaż na obrazku nie jest ona widoczna.

Pewnego razu, gdy patrząc na obrazek, jestem głęboko pogrążona w tym, co dzieje się w mojej głowie, rozlega się dźwięk dzwonka. Dzisiejsze lekcje dobiegły końca, lecz ja żadną miarą nie potrafię oderwać się od sceny rozgrywającej się w mojej fantazji i powrócić do rzeczywistości. Siedzę wciąż w ławce i zostaję zupełnie sama w klasie. Kiedy w końcu zdaję sobie sprawę z tego, gdzie jestem, i że mogę już iść do domu, zdaje mi się, iż obrazek czuje się bardzo samotny. Podobnie jak w przypadku zbieranych przeze mnie pięknych kamyków – nikt oprócz mnie nie zauważa tego obrazka i nikogo nie obchodzi jego piękno. Wydaje mi się, że obrazek ten chce się wyrwać z tego strasznego osamotnienia na ścianie, że woła do mnie, bym się nim zajęła, kochała go i strzegła. Wstaję więc z ławki, podchodzę do niego, zdejmuję go z gwoździa, po czym wsuwam do mojej teczki i idę do domu.

W domu rozsiadam się na podłodze w moim kąciku między oknem a niklowanym łóżkiem i udaję, że odrabiam zadania domowe. W rzeczywistości zaś zaglądam do otwartej teczki i cieszę moje oczy tym, co wewnątrz niej widzę. Kiedy mama z Nońkiem idzie na plotki do cioci Racheli, wyjmuję obrazek z teczki, opieram go o szybę okna i przenoszę się w marzeniach za kulisy wspaniałego teatru.

Zaczynam mówić do siebie, potem śpiewać, później poruszać ramionami, aż w końcu skaczę na równe nogi. Jestem tancerką, która dopiero co założyła baletki i wbiega tanecznym krokiem na scenę, która ma czerwoną, błyszczącą podłogę – bo mama z okazji zbliżającej się soboty wysmarowała ją czerwoną „maścią" i tak wyfroterowała, że błyszczy się jak lustro.

W samych skarpetkach wykonuję mój pierwszy piruet. Poślizguję się i przewracam, obijając się przy tym boleśnie. Łzy napływają mi do oczu, jednak zaraz znowu jestem na nogach i kontynuuję przedstawienie. Widzę się płynącą w tańcu po scenie, która jest morzem. Wszystkimi środkami, które moja fantazja ma do dyspozycji, próbuję wyobrazić sobie, jak wygląda morze. Kocham wprawdzie las w Stefanowie, ale mogłam go zobaczyć na własne oczy, podczas gdy morza jeszcze nigdy nie widziałam, dlatego mogę pozwolić sobie na puszczenie wodzy fantazji i wyobrażam je sobie bardziej magiczne i inspirujące, niż może być w rzeczywistości. Ogarnia mnie niejasne przeczucie, że nawet najmniejsza cząstka realnego świata nie może równać się z tym, co nierzeczywiste, z tym, co się samemu stwarza.

Dobiegający z korytarza odgłos kroków wracającej ze szkoły Wierki wyrywa mnie z rozmarzenia. Najpierw na moment zastygam, lecz już w następnej chwili obrazek leży ukryty pod szafą.

Za każdym razem, kiedy jestem sama w domu, wyjmuję obrazek spod szafy. Czasami robię to też zaraz rano, kiedy wszyscy jeszcze śpią, oprócz Nońka, który leży w łóżeczku i gaworzy do siebie. Zdarza się, iż jestem tak pogrążona w mojej zabawie z obrazkiem, że nie zauważam, jak mama wstaje z łóżka, kiedy przychodzi i odchodzi przynosząca mleko gojka Basia, ani gdy mama zabiera się do przyrządzania śniadania. Mama mówi coś do mnie, dopytuje się parę razy, ale ja nie słyszę ani słowa. Podchodzi więc, kładzie dłoń na mojej głowie i odwraca ją w swoją stronę.

– Obudź się, rozmarzona królewno. Nie słyszysz, że się do ciebie mówi? – pyta z wahaniem i troską w głosie, uśmiechając się nerwowo.

Mama, sama rozkojarzona z powodu mojego rozmarzenia, nie zauważa na szczęście obrazka, który stoi oparty o szybę okna. Często ma zatroskaną twarz, kiedy widzi, jak zapominam się aż do utraty kontaktu ze światem, którego ona jest osią. Ale to jej problem. Ja sama nigdy nie czuję się szczęśliwsza niż wtedy, kiedy na skrzydłach mojej wyobraźni mogę wznieść się na wyżyny absolutnej wolności.

Mijają dni, a ja nie opowiadam nikomu o obrazku, który trzymam schowany pod szafą, tam, gdzie nie może dosięgnąć go nawet miotła mamy. Ten obrazek jest moją najintymniejszą, najświętszą tajemnicą. Mam tajemnice, którymi nie dzielę się nawet z tymi, którzy są najbliżsi memu sercu. Już dawno zaczęłam kolekcjonować w myślach szczegóły dotyczące mojej osoby, które zdecydowałam zabrać ze sobą do grobu.

W końcu nadchodzi ten fatalny dzień, w którym nauczycielka Boleściwa zauważa nagle, że czegoś brakuje na ścianie w klasie po lewej stronie tablicy i przypomina sobie, że zwykł tam wisieć obrazek tancerki. Odwraca się do klasy i z godnym podziwu opanowaniem i rozwagą zwraca uwagę dzieci na swoje odkrycie.

– Czy pamiętacie, dzieci, że tam na ścianie wisiał obrazek tancerki?

– Tak! – odpowiada klasa chórem, w którym brakuje tylko jednego głosu – mojego. W głowie zaczyna mi huczeć i czuję, jak cały świat chce wedrzeć się do najświętszego kącika mego serca.

– Czy możecie mi powiedzieć, dzieci – pyta łagodnie nauczycielka swoim słodkim głosem – gdzie podział się ten obrazek?

Dzieci robią grymasy, wzruszają ramionami, kręcą głowami, drapią się za uszami, pocierają czoła i wysuwają dolne wargi, próbując przypomnieć sobie, co stało się z obrazkiem. W klasie zalega dramatyczna cisza.

W tym oto momencie, w samym kulminacyjnym punkcie tej ciszy i ku mojemu własnemu oraz innych zdumieniu, skaczę na równe nogi. Wszystkie głowy odwracają się w moją stronę. Błyszczące pod czarnymi brwiami czarne jak węgiel oczy nauczycielki obejmują mnie swoją czernią, jak gdyby chciały mnie na miejscu pochłonąć.

– Czy wiesz, Miriamko, gdzie możemy znaleźć ten obrazek? – pyta łagodnym, słodkim głosem. W odpowiedzi kiwam potakująco głową. – I powiesz nam wszystkim? – Zaprzeczam ruchem głowy. – Powiesz tylko mnie, później, w pokoju nauczycielskim? – Przytakuję. – I nie zapomnisz przyjść do pokoju nauczycielskiego zaraz po lekcji? – Potrząsam głową.

Gdy tylko rozbrzmiewa dzwonek na koniec lekcji, wybiegam z klasy za nauczycielką, ciągnę ją za spódnicę i wołam:

– Ja mam ten obrazek!

Nauczycielka ściąga smolistoczarne brwi i patrzy na mnie parą komicznie wybałuszonych oczu.

– Gdzie on jest? – pyta mnie krótko i ostro.

– W moim domu.

– Przynieś go jutro! – mówi i zamierza mnie o coś jeszcze zapytać, jednak zanim zdąży otworzyć usta, ja jestem już na drugim końcu korytarza.

Całą drogę ze szkoły do domu pochlipuję, a w myślach przytulam i całuję obrazek. Z niecierpliwością wyglądam chwili, by oprzeć go o szybę okna i po raz ostatni całym sercem przenieść się w niego w marzeniach. Gdy przychodzę do domu, unikam mamy, żeby nie zobaczyła mojej zapłakanej twarzy. Nie mogę się doczekać, by wzięła Nońka i poszła na plotki do cioci Racheli albo do Kaców, oraz żeby Wierka skończyła odrabiać lekcje i pobiegła do swojej przyjaciółki.

Gdy wreszcie jestem sama w domu, wyciągam obrazek spod szafy, opieram go o szybę i zaczynam moje taneczne przedstawienie. Moje ciało trzęsie się jednak od spazmatycznego płaczu, przez co ciągle poślizguję się i przewracam. Nawet przez minutę nie mogę utrzymać równowagi, skacząc na jednej nodze. Siadam więc na podłodze, kładę obrazek na kolanach i wpatruję się w niego zapłakanymi oczami. Moje łzy kapią na oprawioną w ramkę szybkę i pokrywają mokrą glazurą postać tancerki w białym kostiumie, tak że ledwo widzę jej rozmazane kontury. „Ty i tak jesteś mój! Mój i nikogo innego!" – szepczę do obrazka mokrymi od łez ustami. „Nawet kiedy wrócisz do nich, i tak zawsze będziesz mój". Pochlipując, wsuwam obrazek do mojej szkolnej teczki.

Następnego dnia przed lekcjami wchodzę do pokoju nauczycielskiego i oddaję obrazek pani Boleściwej. Nauczycielka bierze mnie za rękę i odchodzi ze mną w kąt. Wskazując na tylną stronę obrazka, nachyla się do mnie i szepcze mi do ucha:

– Widzisz tu tę pieczątkę? – pyta, wskazując na wydrukowany stempel. – Jest tu napisane: „Własność szkoły im. Medema". Wszystkie rzeczy, które mają taką pieczątkę, należą do tej szkoły. Teraz to rozumiesz, prawda? – Zastanawiam się, co tu jest do rozumienia i dlaczego nauczycielka zawraca mi głowę w mojej niedoli. Niepewnie potakuję głową. – A dlaczego w ogóle zdjęłaś ten obrazek ze ściany? – pyta.

Żeby utrzymać wewnętrzną równowagę, kołyszę się w przód i w tył na podeszwach butów, splatając palce rąk za plecami.

– Bo chciałam mieć go w domu – odpowiadam.

– To dlaczego nie poprosiłaś o pozwolenie? Pozwoliłabym ci zabrać go do domu na parę dni.

– Chciałam, żeby był mój na zawsze.

– Ale on należy do szkoły, moja droga. – W głosie nauczycielki pobrzmiewa już lekkie zniecierpliwienie.

– Wiem. – Potrząsam głową bez odrobiny przekonania. Bardzo chciałabym uniknąć przysporzenia trosk dobrej nauczycielce Boleściwej, jednak muszę być wobec niej szczera, wyznaję więc: – Ale ten obrazek i tak jest mój i nikogo innego.

– Co masz na myśli, mówiąc, że jest twój? – pyta zdumiona nauczycielka. Staje się dla niej jasne, że jej argument w najmniejszym stopniu nie wpłynął na mój sposób rozumowania. Próbuje więc apelować do mojego szacunku dla wspólnego dobra: – Kiedy ten obrazek wisi na ścianie w klasie, wszystkie dzieci mogą czerpać z niego przyjemność, ale kiedy wisi u ciebie w domu...

– On nigdy nie wisiał u mnie w domu! – przerywam jej ostro. Jej brak zrozumienia dla wrażenia, jakie piękny przedmiot wywiera na duszy dziecka, jest tak skandaliczny, że gasi we mnie najmniejszą iskrę sympatii, jaką dla niej żywiłam.

– Sama mi przecież powiedziałaś, że wisiał...

– Wcale tak nie powiedziałam!

– To gdzie w takim razie wisiał?

– Nigdzie nie wisiał. Leżał tam.

– To znaczy gdzie?

– Pod szafą, żeby nikt go nie zobaczył.

Nauczycielka gładzi mnie po ramieniu.

– O, rozumiem. Bałaś się mamy, bo wiedziałaś, że to niełądnie wziąć coś, co nie jest twoje. Wiesz o tym, prawda?

Nie mogę jej przebaczyć połączenia tak przepięknej rzeczy, jak ten obrazek, ze słowami „niełądnie" i „nie twoje". Opuszczam głowę, żeby nie wyczytała z moich oczu, co dzieje się w mym sercu. Rozlega się dźwięk dzwonka. Nauczycielka posyła mnie na lekcję gimnastyki, którą w normalnych okolicznościach lubię. Jednak zamiast wejść do klasy, ukrywam się za wieszakami z płaszczami dzieci, by najpierw porządnie się wypłakać – nie z tego powodu, że czuję się winna czy zawstydzona, tylko dlatego, że już zaczynam tęsknić za moim utraconym skarbem. Kiedy jestem już gotowa, by wbiec do klasy i wystawiam głowę spoza płaszczy, żeby zobaczyć, kogo mogę spotkać na korytarzu, spostrzegam nauczycielkę Boleściwą spacerującą powoli w moim kierunku w towarzystwie nauczyciela Wilnera. Patrzy na niego swoimi czarnymi oczami i usilnie próbuje go do czegoś przekonać. Chowam się z powrotem za płaszczami, żeby przeczekać, aż przejdą. Gdy podchodzą bliżej, orientuję się, że rozmawiają o mnie.

– Nie sądzę, żeby była za mała, aby zrozumieć różnicę między własnością kolektywną a prywatną. Uważam, że w ramach socjalistycznego wychowania trzeba jej to wyjaśnić. Czy zgadza się pan ze mną, towarzyszu Wilner? – pyta.

On zgadza się, lecz zauważa:

– Na razie wystarczy, żeby wiedziała, iż nie wolno kraść zgodnie z zasadą „nie rób innemu, co tobie niemiłe". – Rzuca okiem na swój zegarek, macha ręką w pożegnalnym geście i wchodzi do jednej z klas.

Słowo „kraść" godzi mnie w samo serce. Wybiegam zza ubrań, doganiam nauczycielkę Boleściwą i łapiąc ją za rękaw, wołam:

– Nie ukradłam go! Ten obrazek jest mój i nikogo innego!

Nauczycielka spogląda na mnie ze smutkiem. Teraz widzi wyraźnie, jak bardzo jestem zagubiona w temacie tej ważnej kwestii dotyczącej miejsca jednostki w społeczeństwie oraz jej obowiązków wobec wspólnoty. Dziecko nie przychodzi na świat z wrodzonym szacunkiem dla własności innych ludzi i ze zdolnością rozpoznawania ograniczeń wolnej woli w ramach życia społecznego, lecz przyswaja sobie te zasady w procesie dorastania – i ten etap z jakiegoś powodu jeszcze w moim rozwoju nie nastąpił.

Spoglądając, jak się jej wydaje, głęboko w moje serce swoimi czarnymi, smutnymi oczami, gładzi mnie po głowie i mówi:

– Dziękuję ci za oddanie obrazka.

Jestem wzruszona jej życzliwością i zaczyna mi się wydawać, że wreszcie zrozumiała mój punkt widzenia. Nabieram odwagi i wyjaśniam wspaniałomyślnie:

– Przyniosłam go z powrotem tylko na parę dni, żeby wszyscy mieli przyjemność z patrzenia na niego.

Nauczycielka Boleściwa chwyta mnie za rękę i prowadzi do klasy, która w międzyczasie opustoszała, bo nauczyciel gimnastyki poszedł już z dziećmi do sali gimnastycznej. Tam siada ze mną na ławce i próbuje wyjaśnić mi całą kwestię własności i kradzieży z socjalistycznej perspektywy. Z pedagogiczną roztropnością cyzeluje ostrożnie każde słowo i dobiera wyrażenia będące w sferze możliwości intelektualnych dziecka. Jednak jej starania są bezowocne. Nie z tego powodu, że dla niej samej nie jest całkiem jasne, czy jednostka w socjalistycznym społeczeństwie ma prawo do prywatnej własności, czy nie, tylko dlatego, że moje serce posiada swój własny kodeks prawny dotyczący pięknych rzeczy i tego, do kogo one należą. Jej wysiłek jest daremny – my dwie nigdy nie mogłybyśmy się w tej kwestii zgodzić.

Gapię się na usta nauczycielki. Jej monolog umacnia mnie w przekonaniu, że dorośli są dziwacznymi istotami, które zasługują na litość. Nie mogę sobie żadną miarą wyobrazić, że ja też kiedyś stanę się taką dorosłą i będę zupełnie inna, niż jestem teraz. Jedyną zmianą dotyczącą mojej osoby, którą jestem w stanie przewidzieć w mojej przyszłości jest to, że zostanę tancerką, prawdziwą baleriną.

Z tego, co nauczycielka z takim zaangażowaniem stara się wbić mi do głowy, nie dociera do mnie ani słowo. W rzeczywistości nudzę się jak mops. Od ciągłego kiwania głową, do którego zmuszam się, by udawać, że się z nią zgadzam i od gapienia się na jej usta, jak gdybym połykała każde słowo, które z nich wychodzi, ogarnia mnie nieodparta potrzeba ziewania. Po długiej walce z mięśniami twarzy,

nad którymi próbuję zapanować – co udaje mi się dzięki mocnemu zaciskaniu ust – znajduję wreszcie ulgę we łzach, które zaczynają płynąć z moich oczu.

Nauczycielka spostrzega zaraz moje wilgotne oczy i dwie duże łzy staczające się po moich policzkach. Mocno wzruszona wrażeniem, jakie jej słowa wywarły na dziecku, szepcze szybko:

– No, sza, sza, zapomnijmy teraz o tym wszystkim, moja droga Miriam.

Pilnie i z poważną miną notuje coś w dzienniku klasowym, który nosi ciągle ze sobą, po czym posyła mnie w końcu na lekcję gimnastyki.

*

Jest późny wieczór. My, dzieci, już śpimy. Jankew pracuje w tym tygodniu w Capri na pierwszą zmianę i dopiero co wrócił do domu z zebrania. Jego wejście budzi mnie. Widzę, jak siada przy stole i przekartkowuje strony nowego numeru „Derwachung". Binele podaje mu szklankę herbaty i zaczyna rozmowę o problemie, jaki ma ze mną.

– Nie śmiej się ze mnie – odzywa się do niego – ale coś mi się zdaje, że Miriamka nie jest całkiem normalna. Myślałam już nawet o tym, żeby jutro na wywiadówce porozmawiać z jej nauczycielką, ale coś mnie powstrzymuje. Ludzie mają długie języki. Partia jest podobna do małego sztetla i każdy jeden wie, co gotuje się w garnku drugiego. Ludzie zaczną gadać Bóg wie co. Jeśli Miriamka jest normalna, powiedzą, że to ja jestem nienormalna, bo mam takie podejrzenia. A jeśli jest, nie daj Boże, rzeczywiście trochę nienormalna, będą dowcipkować, że jabłko spadło niedaleko od jabłoni. Bo jakby nie było, to matka jest zawsze winna.

Jankew odsuwa od siebie „Derwachung" i do połowy wypitą szklankę herbaty, po czym bierze Binele na kolana. Jak zwykle próbuje odwrócić jej uwagę od złych myśli długimi, gorącymi pocałunkami. Binele odrywa usta od jego warg i „przypiera go do muru" pytaniem o jego zdanie w kwestii, którą poruszyła. On śmieje się cicho.

– Powinnaś już wiedzieć, że fantazjowanie to rodzinna przypadłość. Odziedziczyła to po mnie. – Wsuwa rękę pod jej fartuch i gładzi jej brzuch i biodra.

– To dlaczego Wierka taka nie jest? – pyta Binele, wyciągając jego rękę spod fartucha.

– Wierka też taka jest. Tylko kiedy ona się rozmarza, robi w tym samym czasie coś innego, na przykład pisze swoje wiersze. Dlatego nie zauważasz, że ona również buja gdzieś w obłokach.

Przysłuchuję się ich rozmowie. Rozpiera mnie ciekawość i chcę zrozumieć, co rodzice o mnie mówią, jestem jednak zbyt śpiąca, by móc skupić się na tym, co słyszę.

Następnego dnia Binele idzie do szkoły na wywiadówkę. Nauczycielka Boleściwa odwołuje ją na stronę i siada z nią kolano w kolano.

– Towarzyszko Polin – zaczyna rozmowę serdecznym tonem – jak pani wie, najbardziej odpowiednim miejscem, w którym dziecko może nauczyć się czegoś na temat miejsca jednostki w społeczeństwie, jest dom. Dlatego chciałam zapytać o naszą Miriamkę. To wspaniałe dziecko, naprawdę. Przyjemnością jest mieć ją w klasie. Chciałabym jednak zapytać, czy nie zauważyła pani czasem w jej zachowaniu czegoś, co panią niepokoi?

Twarz Binele zaczyna płonąć. Postanawia, że nadszedł właściwy moment, by odważnie zwierzyć się z tego, co leży jej na sercu. Ma nadzieję, że może nauczycielka będzie mogła udzielić jej rady.

– Tak – przyznaje – czasami zachowuje się... Jak mam to pani powiedzieć? Jak gdyby nie była całkiem normalnym dzieckiem.

– Doprawdy? W jaki sposób? Może mi pani zaufać, towarzyszko Polin. Potraktuję tę informację jako ściśle poufną. Wie pani przecież, jak bardzo lubię pani dzieci.

– Tak, wiem. Dlatego... Może... Chciałam panią zapytać, czy może Miriam jest głucha na jedno ucho albo na oba? Czasami mogę mówić coś do niej sto razy, a ona nie słyszy. Nie żeby udawała, że nie słyszy. Wiem na pewno, że ona rzeczywiście nie słyszy, co do niej mówię. Pani sama powiedziała mi, że dzieci wołają na nią „Księżniczka Co-Co".

– I co jeszcze pani zauważyła, towarzyszko Polin?

– Co jeszcze? Czy to nie dość, by spędzić matce sen z oczu?

– Tak, ale czy nie zauważyła pani, przy jakich okazjach robi się taka rozkojarzona?

– Miriam nie robi się rozkojarzona. Ona mnie nie słyszy.

– Rozumiem. Ale czy nie zauważyła pani na przykład, że czasami brakuje pani pieniędzy w portfelu, czy coś w tym rodzaju?

Binele myśli, że nauczycielka pozwoliła sobie na kiepski żart.

– Tak – mówi, uśmiechając się niepewnie. – To przydarza mi się nieraz, przy dzisiejszych wyśrubowanych cenach w sklepach. Ale moje dzieci nigdy tego nie odczuwają. – Orientuje się, że musi być inny powód, dla którego nauczycielka zadała jej to pytanie, marszczy czoło i pyta: – Dlaczego miałoby mi brakować pieniędzy w portfelu?

– A czy Wierka zauważyła może, że czegoś jej brakuje? – wypytuje uparcie nauczycielka.

Binele czuje się zdezorientowana.

– Moja Wierka? Czy zauważyła, że czegoś jej brakuje? Oby inne dzieci miały to wszystko, co ma moja Wierka.

– Chodzi mi o to, czy czasem nie brakuje jej czegoś z jej szkolnej teczki.

Binele zaczyna się irytować i wzrusza ramionami.

– Oczywiście. Miriam korzysta sobie czasami z ołówka lub gumki Wierki, czy czegoś innego. Biją się czasem z tego powodu, jak to dzieci...

– A sąsiedzi? Czy nie skarżyli się pani nigdy?

– Na co? Ich dzieci przychodzą do nas, a moje dzieci chodzą do nich.

– Chodzi mi o to, czy nie skarżyli się na Miriamkę, że na przykład wzięła coś, co nie należy do niej.

– Moja Miriam? Chce pani powiedzieć, że moja córka jest złodziejką? – Plecy Binele sztywnieją i wygląda, jakby trafił ją grom z jasnego nieba.

Nauczycielka usiłuje zachować pedagogiczny ton.

– Niech się pani uspokoi, pani Polin. Zdarza się, że dzieci mają trudności z rozróżnianiem między „moje" a „twoje". Trzeba im to wyjaśnić i najlepszym do tego miejscem jest dom.

– Chce pani powiedzieć, że wychowuję moje dzieci na złodziei! – Binele traci panowanie nad sobą. Jest roztrzęsiona, rozdrażniona i rozjuszona. Krew zaczyna się w niej gotować. Zrywa się na równe nogi, przeszywa nauczycielkę gniewnym spojrzeniem i potrząsając ostrzegawczo palcem przed jej twarzą, krzyczy: – Niech pani się lepiej ugryzie w język! Mieszkam wprawdzie na Bałutach, ale moje dzieci nie mają nic wspólnego z bałucką hołotą! Niech pani sobie to dobrze zapamięta!

Binele trzęsie się niczym zraniona lwica i krzyczy tak głośno, że inni rodzice, zgromadzeni w różnych kątach sali gimnastycznej, wstają z ławek i rzucają zdumione spojrzenia w jej stronę. Binele, mokra od łez i potu, wybiega z sali. Gniew i ból niosą ją do domu jak na skrzydłach. Biegnie ulicami, jak gdyby wstąpił w nią dybuk.

Jej dziecko wyrasta na złodzieja! Oto czego się doczekała! Na to były te zmarnowane dni i lata zniewolenia, znoju i poświęcania się! Uświadamia sobie, że właściwie nie ma zielonego pojęcia, co takiego Miriam ukradła nauczycielce. Ale czy to ważne? Zmusi Miriam, by jej to wyśpiewała. Z pewnością jeszcze nie śpi, jeszcze czeka razem z Wierką na relację z wywiadówki. Już ona zda tej swojej wyrodnej córce relację! Nawet jeśli Miriam już śpi, wywlecze ją z łóżka i da jej taką lekcję, żeby raz na zawsze zapamiętała! Tak, zrobi to, chociaż martwi się o nią, a nauczycielka zamiast poradzić coś na jej zgryzoty, wyskoczyła z takimi impertynencjami! Tak, z tą nauczycielką porachuje się jeszcze osobno za zawstydzenie jej na oczach wszystkich rodziców! Co ona sobie myśli, że kim jest, primadonną pseudointeligencji? Kto dał jej prawo do poniżania uczciwej matki? Jak przyzwoita socjalistyczna nauczycielka może obrzucać takimi oszczerstwami dom pracującej kobiety czy dziecko, które jest przecież wcieleniem niewinności, nawet jeśli niechcący coś wzięło? Takie dziecko nie zasługuje przecież na to, by oskarżono je o kradzież!

Rzeczywiście jeszcze nie śpię. Z gorączkową ciekawością czekam na powrót mamy i jej relację z wywiadówki, leżąc razem z Wierką w niklowanym łóżku. W międzyczasie zmagam się z przeczuciem ataku zazdrości o Wierkę, którego z pewnością dostanę.

Binele wpada do mieszkania tak szybko, jak gdyby przyniosła ją tu gwałtowna wichura i już stoi przy naszym łóżku.

– Co ukradłaś? – krzyczy od razu do mnie ochrypłym od płaczu głosem. Ja, wcielenie niewinności, patrzę na nią ze zdumieniem w szeroko rozwartych oczach. Ukradłam? Kiedy? Co? – Z pewnością coś ukradłaś, skoro nauczycielka mnie o to pytała. Nie wyssała sobie przecież czegoś takiego z palca!

Wierka robi przestraszoną minę i siada na łóżku. Mama, z wykrzywioną twarzą i załzawionymi oczami, wygląda, jakby postradała zmysły.

– Nie krzycz tak, mamo – próbuje uspokoić ją Wierka. – Co Miriam miałaby ukraść? Nie potrzebuje pieniędzy, bo nie lubi słodyczy, a ty dajesz jej pięć groszy na kolorowy papier.

Jednak ja uspakajam się szybciej niż mama. Nagle przypominam sobie i wołam do niej:

– Wiem, mamo, co nauczycielka miała na myśli! Chodzi jej o obrazek.

– Jaki obrazek?

– Obrazek, który wisi na ścianie w naszej klasie. Oddałam go jej.

– I co jeszcze?

– Więcej nic.

– Dlaczego ukradłaś ten obrazek?

– Nie ukradłam go, ale nauczycielka uważała, że tak. Wzięłam go tylko, bo chciałam go mieć w domu.

– A więc jednak ukradłaś! – Rozsierdzona Binele rzuca się na mnie niczym drapieżny ptak i wymierza mi policzek. – Masz! Będziesz wiedzieć na następny raz, że nie wolno kraść! Jak mogłaś coś ukraść? Nie myśl sobie, że skoro żyjesz na Bałutach, masz prawo wyrosnąć na zepsutą dziewczynę. Nigdy w życiu! Nigdy w życiu, słyszysz? Nigdy! – krzyczy i wybucha płaczem.

Ja nie płaczę. Twarz płonie mi od siarczystego policzka, który wymierzyła mi mama. Jeszcze nikt nigdy nie uderzył mnie w twarz. W moim wnętrzu płonie gorszy ból niż po najsilniejszym klapsie, jaki kiedykolwiek dostałam w siedzenie. Jeszcze nigdy nie czułam się tak poniżona i obrażona. Opanowuje mnie dziki gniew na mamę, tę niesprawiedliwą, złą czarownicę. Wyskakuję z łóżka i rzucam się na nią z zaciśniętymi pięściami.

– Zła mama! Zła mama! – wrzeszczę. – Nie chcę cię więcej znać! Chcę, żebyś umarła!

Binele próbuje się ze wszystkich sił opanować. Łapie mnie za przeguby dłoni i potrząsa mną gwałtownie.

– Mamy się nie bije! Mamy się nie przeklina i nie wolno kraść! – spazmuje, ledwo zdając sobie sprawę z tego, co krzyczy.

Noniek budzi się i też zaczyna krzyczeć. Wierka wybucha rozpaczliwym płaczem i woła:

– Nie krzycz, mamo, proszę cię, nie krzycz! – Ja zawodzę dziko i próbuję wyrwać się z rąk mamy.

W tej oto chwili wchodzi do mieszkania Jankew, wracając z zebrania. Wyrywam się z rąk mamy i podbiegam do niego. Zaplatam wokół niego ręce, a on

przyciska mnie do swoich kolan. Zapłakana Binele woła do niego z wyrzutem:

– Tak, przytulaj ją i całuj, ten twój skarb! Proszę, popatrz jakie siniaki zrobiła mi na rękach! I do tego życzyła mi śmierci! – Z jakiegoś powodu nie wspomina jeszcze o kradzieży.

Jankew rozplata moje zaciśnięte wokół niego ręce i odsuwa mnie od siebie na krok. Jego twarz przybiera kamienny wyraz.

– Nie waż się podchodzić do mnie, dopóki nie przeprosisz mamy! – syczy obcym, lodowatym głosem. – Nie wolno podnosić na mamę ręki ani jej przeklinać! Zapamiętaj to sobie. Mama jest święta!

Cały świat wali mi się na głowę. Stoję sparaliżowana, skamieniała, wrak dziecka. Wszystkie siły mnie opuszczają i nie chce mi się nawet więcej płakać. Nie została we mnie ani odrobina uczucia. Powoli odejmuję rękę od palącego policzka i wrzeszczę:

– Chcę, żebyście oboje umarli! – Wskakuję z powrotem do łóżka i naciągam na głowę kołdrę. Ktoś wyrywa ją z moich pięści i odkrywa mi twarz. To tata. – Możesz mnie też uderzyć... – jąkam ochryple. – Możesz mnie bić, ile chcesz...

Jego twarz nie jest już kamienna, tylko czerwona z gniewu.

– Idź, przeproś mamę. Już! W tej chwili!

– Nie chcę! – Potrząsam głową. – Nie jesteś więcej moim tatą i ona nie jest już moją mamą!

Patrzy na mnie ze śmiertelną powagą.

– Chcesz powiedzieć, że nie jesteś już naszym dzieckiem?

– Nie jestem! Nie jestem! Nie chcę dłużej być waszym dzieckiem!

Nagle moje zamglone od łez oczy napotykają jego wzrok. Patrzy na mnie z taką goryczą, że rozdziera mi to duszę. Czuję się tak opuszczona, tak samotna, jak gdybym była oderwana od samej siebie. Ten oto wspaniały tata nie jest dłużej mój. Tęsknię już za nim, opuszczona, zagubiona pośród wielkiej, przerażającej ciemności. Kręci mi się w głowie. Muszę się czegoś uchwycić, żeby się ratować – i zarzucam ręce na szyję taty, przyciskając głowę do jego piersi.

– Wstań z łóżka i przeproś mamę – szepcze mi do ucha.

– Nie! – wołam i mocniej wtulam głowę w jego pierś. – Uderzyła mnie za nic. Nie jestem złodziejką!

– Słyszeliście ją! Za nic ją uderzyłam! – woła Binele, teraz już spokojniejszym głosem. Kiedy napięcie w mieszkaniu stopniowo opada, Binele zaczyna szczegółowo opowiadać Jankewowi, co się wydarzyło.

Wierka wyskakuje z łóżka. Nie może patrzeć na zgryzotę mamy i zaplata ramiona wokół jej szyi. Całuje ją, obejmuje i pociesza:

– Nie płacz, mamo. Ja czasami nazywam Miriam rudym złodziejem albo lisem chytrusem, bo ona woła na mnie „tłusty indyk" i „gruba beczka". Ale kiedy coś ode mnie bierze, to jest to tylko dokazywanie, mamo. Dzieci bawią się czasami w kradzież. Dla nich to nic nie znaczy. Tylko dorośli kradną naprawdę i trzeba ich za to wsadzać do więzienia.

Płonę z zazdrości na widok tej sielankowej sceny rozgrywającej się między mamą a Wierką. Równocześnie jestem bardzo wdzięczna Wierce za to, że tak dobrze mnie broni. Z głową wtuloną w pierś taty, przytakuję energicznie każdemu jej słowu. Wierka jest genialna. Potrafi tak przekonująco wszystko wyjaśnić, że rodzice nie mają więcej powodu, by gniewać się na mnie. Wierka jest najlepszą siostrą na świecie – ale jest też zdrajczynią, bo ma na myśli dobro rodziców, nie moje. I chociaż to ja jestem pokrzywdzoną stroną, nie podchodzi, by mnie całować albo pocieszać.

Wierce udaje się przyciągnąć mamę do Jankewa i do mnie. Woła:

– Chodźcie, pocałujmy się wszyscy i przeprośmy!

Jankew zapraszającym gestem przywołuje Binele, bierze mnie na ręce i podnosi do jej twarzy. Dotykamy się policzkami. Noniek przestaje płakać, wyskakuje z łóżeczka i plącze się między nogami rodziców. Wierka zaciąga nas do podwójnego łóżka, na które wszyscy razem padamy. Przez długą chwilę Binele leży sztywna niczym mumia, potem zaczyna powoli reagować na pieszczoty Wierki. W końcu odwraca głowę w moją stronę i patrzy na mnie, tylko patrzy – lecz takim wzrokiem, że moja ręka automatycznie wyciąga się do niej i dotyka jej twarzy. Leżymy tak przez chwilę. Nagle obejmuje mnie ramieniem.

– Co ja mam z tobą zrobić, moja ty kochana zagadko, która przysparzasz mi tylu trosk? – szepcze wilgotnymi ustami.

Noniek zasypia i Jankew kładzie go z powrotem do łóżeczka. Potem rozbiera się, myje i wślizguje się do łóżka z literackim dodatkiem „Folkscajtung", który zaraz zaczyna kartkować. Binele leży na łóżku z nami, obiema córkami, wtulonymi w jej ramiona. Powoli wraca jej dobry nastrój. Blady uśmiech pojawia się na jej ustach, rozszerza się, aż w końcu przechodzi w chichoczący śmiech, który przypomina mi odgłos strumyka płynącego po kamykach obok lasu w Stefanowie. Zaczyna nam opowiadać historie z jej dzieciństwa w Bocianach i przyznaje się do kilku sztuczek, za pomocą których kradła jedzenie. Wierka i ja zachwycamy się pomysłowością mamy i z błogością pociągamy cieknącymi wciąż nosami.

– Ale ja to wszystko robiłam – mówi Binele patrząc na mnie z ukosa – bo byłam głodna.

– Ja też... – próbuję zażartować, chociaż moje serce jest wciąż zbolałe. – Ja też to zrobiłam, bo byłam głodna... obrazka.

Śmiejemy się. Jesteśmy szczęśliwe. W ten sposób dowiaduję się po raz pierwszy w życiu, że można być szczęśliwym, chociaż wewnętrznie jeszcze jest się obolałym. Znowu wszystko jest w porządku ze światem. Jeszcze nigdy nie czułam się tak blisko rodziców, Wierki i Nońka, jak w tej niezapomnianej chwili.

Nagle Wierka przypomina sobie, że mama nie wspomniała jeszcze ani słowem o osiągnięciach swoich córek w przedmiotach szkolnych. Binele zaczyna więc przekazywać nam, co nauczyciele powiedzieli o naszych postępach w nauce.

Szybko okazuje się, że moje obawy się sprawdziły i zasypiam z nieprzyjemnym uczuciem zazdrości o Wierkę.

Nie jest to jednak jeszcze koniec historii z kradzieżą obrazka.

Następnego dnia rano, kiedy Wierka i ja przygotowujemy się w kuchni do pójścia do szkoły, a Jankew i Noniek śpią jeszcze w drugim pokoju – któż to stuka do drzwi, jeśli nie nauczycielka Boleściwa. Wszedłszy do środka, podchodzi zaraz do Binele owijającej akurat moją szyję długim szalem – który zwykle zdejmuję, jak tylko znikam z oczu mamy – i kładzie dłoń na jej ramieniu.

– Przyszłam panią przeprosić, towarzyszko Polin – mówi żałosnym głosem. – Całą noc nie mogłam spać. Wczoraj zawracałam pani głowę zupełnym głupstwem. Do tego jeszcze postąpiłam niepedagogicznie wobec dziecka. – Kiwa głową w moją stronę. – Proszę zrozumieć, towarzyszko Polin, przeżywam osobistą tragedię i niestety odbija się to na mojej pracy. Ale proszę mi wierzyć, że mam wielki szacunek dla pani i bardzo lubię państwa dzieci. Jest pani wspaniałą matką, a pani mąż jest wspaniałym ojcem.

Stoję już przy drzwiach z teczką w ręce, a Wierka stoi obok mnie. Nauczycielka podchodzi do mnie, zawiązuje węzeł na moim szalu i całuje mnie w czoło.

– Nie gniewasz się na mnie, Miriamko? – pyta, po czym zwraca swoje piękne, czarne oczy na Binele. – Uważam – wyjaśnia jej – że nauczyciel może i powinien przeprosić ucznia, kiedy zda sobie sprawę z tego, że postąpił niewłaściwie.

Nigdy wcześniej nie przyszło mi do głowy, że nauczyciel też może być zdolny do płaczu. Przyglądam się, jak łzy wypływają strumieniami spod długich, czarnych rzęs nauczycielki. Jej oczy zaczynają mi przypominać kuleczki z czarnego aksamitu. Bardzo lubię aksamit i bardzo lubię nauczycielkę za jej łzy. Jednak cała ta sytuacja wprawia mnie w zakłopotanie. Chwytam więc ją za rękę i ciągnę, wołając:

– Chodźmy, pani nauczycielko, bo spóźnimy się do szkoły!

W klasie oczy nauczycielki, chociaż aksamitne i trochę zaczerwienione, są już całkiem suche. Nieustannie rzuca życzliwe spojrzenia w moją stronę, podczas gdy ja jestem coraz bardziej skrępowana i czuję się nieswojo. Wciąż ją lubię, lecz jednocześnie czuję do niej wyraźną niechęć. Bo w końcu co warte są te jej sentymentalne sztuczki w porównaniu z bólem, który wciąż dręczy moje serce w rezultacie burzliwej sprzeczki z rodzicami, nawet jeśli wszystko dobrze się skończyło? I co mi z tego, że sprawa z „kradzieżą" obrazka została pozytywnie zakończona, skoro wisi on teraz na ścianie w klasie i jedyne co mogę zrobić, to przyglądać się mu podczas nudnej lekcji? „Jesteś mój... mój..." – szepczę w głębi serca, ale nie jestem już dłużej przekonana, że rzeczywiście tak jest.

I jakby za sprawą ironii losu jeszcze tego samego dnia, gdy wracając ze szkoły do domu, wlokę się rozmarzona bałuckimi ulicami, wpada na mnie złodziej, wyrywa mi z ręki teczkę i ucieka.

*

Gdy zbliża się koniec roku szkolnego, nauczycielka Boleściwa przyzywa mnie do swojego biurka i sztucznie serdecznym tonem, którym teraz zwykle zwraca się do mnie, mówi:

– Miriam, droga, zapytaj swojego ojca, czy mógłby załatwić nam pozwolenie od pana Wajskopa, żebyśmy całą klasą mogli odwiedzić hotel Savoy[231] i zobaczyć, jak funkcjonuje winda. Powiedziano mi, iż twój ojciec jest dobrym przyjacielem pana Wajskopa, i że udało mu się już kiedyś uzyskać od niego duże dotacje dla naszej szkoły.

Jestem tak rozkojarzona oraz przestraszona, że nauczycielka znowu podejrzewa mnie o jakieś przestępstwo, iż nie rozumiem, co do mnie mówi. Musi kilkakrotnie wypowiedzieć swoją prośbę, zanim jestem w stanie ją dokładnie powtórzyć. Gdy mi się to w końcu udaje, zapominam od razu o moich skomplikowanych uczuciach wobec nauczycielki, za to nachodzi mnie parę nowiuteńkich, skomplikowanych wątpliwości. Z jednej strony jej projekt jest kuszący i wspaniały i jestem dumna, słysząc, jak chwali mojego tatę za posiadanie takiego wpływu na bogatego i sławnego pana Wajskopa. Z drugiej strony jednak pamiętam, że wspominanie nazwiska pana Wajskopa przygnębia tatę. Dlatego tylko niepewnie potrząsam głową i biegnę do domu przekazać mamie, co ma powiedzieć tacie, kiedy późno w nocy wróci z pracy. Biegnę ulicami tak szybko, że kredki w torbie – którą noszę na plecach, odkąd ukradziono mi teczkę – stukają do taktu.

Ledwo mogę doczekać się rana, żeby usłyszeć od mamy, co powiedział tata o projekcie nauczycielki. Okazuje się, że nie powiedział wiele. Mama nakazuje mi w jego imieniu przekazać nauczycielce, że ma się pofatygować i napisać list z prośbą o pozwolenie do samego pana Wajskopa lub do kierownika hotelu Savoy.

Kiedy z hotelu Savoy przychodzi pozytywna odpowiedź na ten list, ani nauczycielka, ani moja klasa nie mają żadnych wątpliwości, że stało się tak dzięki interwencji mojego taty.

Nazajutrz, z okazji przejażdżki windą w hotelu Savoy, dzieci przychodzą do szkoły ubrane w swoje najpiękniejsze i najlepsze ubrania. Ja króluję tego dnia w klasie. Nie jestem bowiem byle kim, tylko córką ważnej osobistości będącej bliskim przyjacielem jeszcze ważniejszej persony – pana Wajskopa, właściciela znajdującego się w sześciopiętrowym wieżowcu hotelu Savoy, przez piętra którego cała nasza klasa będzie wkrótce jeździła w górę i w dół windą. Zanim wyruszamy z nauczycielką do hotelu, dzieci bombardują mnie pytaniami o windę, gdyż są przekonane, że dowiedziałam się o niej wszystkiego od mojego taty. Gdy nie

[231] Hotel Savoy – przy ul. Traugutta 6 wybudowany w stylistyce secesyjno-modernistycznej, został oddany do użytku w 1911 r. i przez wiele lat był najwyższym budynkiem w Łodzi. Do dziś uchodzi za atrakcję turystyczną.

potrafię im odpowiedzieć, przebaczają mi łaskawie, że nie chcę podzielić się z nimi moją wiedzą.

Wszystkie dzieci z mojej klasy, łącznie ze mną, stoją w parach w lobby hotelu Savoy i szurają niecierpliwie stopami, czekając na swoją kolej, by wejść do windy. Przez skromność rezygnuję z przywileju bycia pierwszą. Na jednym chłopcu, który nazywa się Mendel Sznajder, moja skromność nie wywiera wprawdzie dużego wrażenia, jednak pochlebia mi on w inny sposób.

– Przychodzisz tu pewnie codziennie ze swoim ojcem, by jeździć sobie w górę i w dół windą. Dlatego nic to dla ciebie nie znaczy – mówi do mnie.

– Nie, nie przychodzę tu codziennie – odpowiadam. – Przychodzę tu tylko w święta. – Podobnie jak inne dzieci, po raz pierwszy w życiu znajduję się w hotelu Savoy. – Mój tata nie ma czasu – wyjaśniam. – Najczęściej pracuje na drugą zmianę w restauracji Capri.

– Twój tata ma restaurację? – pyta, gapiąc się na mnie, jedna z dziewczynek.

– Nie. – Potrząsam z powagą głową. – Jest tam kelnerem.

– A co robi kelner w restauracji? – pyta jakiś chłopak. Zawód mojego taty brzmi dla dzieci tak samo niezwykle, jak profesja pana Wajskopa. Chociaż są już w drugiej klasie i przechodzą obok restauracji w drodze do szkoły, mało co o nich wiedzą, a ja wiem niewiele więcej od nich.

– A co ma robić? – odpowiadam z godnością. – Nosi białą marynarkę i podaje ludziom jedzenie.

– Nosi białą marynarkę tak jak doktor? Czy ludzie, którzy chodzą do restauracji, są chorzy czy co, że nie mogą sami jeść i twój tata musi im podawać jedzenie?

– Nie – odpowiadam, chichocząc. – Do restauracji chodzą najzdrowsi ludzie, tacy, co są niezmiernie bogaci.

– Twój tata też musi być niezmiernie bogaty. Gdyby nie był, to pan Wajskop nie przyjaźniłby się z nim.

– Nieprawda – zaprzeczam, chociaż powstrzymuję się od sprostowania, że mój tata nie przyjaźni się już więcej z panem Wajskopem. – Mój tata nie jest bogaty. Jest socjalistą, tak samo jak twój. Ale mój tata jest piękny i wygląda jak król, dlatego pracuje w restauracji Capri. Nie wpuściliby go do środka, gdyby nie był piękny. Tylko pięknym ludziom pozwala się pracować wewnątrz i tak już będzie, aż nastanie socjalizm. Wtedy też mniej pięknym ludziom pozwoli się pracować w restauracjach i być kelnerami, ponieważ wówczas wszyscy ludzie będą równi.

Przychodzi kolej, by moja grupa weszła do windy. Podczas jazdy w górę i w dół doznaję uczucia, jakbym unosiła się i opadała w statku powietrznym. Na każdym piętrze, na którym zatrzymuje się winda, widzę błyszczące żyrandole oświetlające korytarze między lustrzanymi ścianami. Żyrandole te wyglądają jak odwrócone do góry nogami bożonarodzeniowe drzewka, zdobiące kryształowy pałac powietrzny pełen luster. Tak samo jak ja, dzieci stojące wokół mnie mają usta i oczy szeroko otwarte i odczuwają przyjemne łaskotanie w dole żołądka,

gdy winda unosi się lub opada. Szeptem wymieniają między sobą uwagi w jidysz, żeby nie rozumiał ich polski windziarz wystrojony we wspaniałą, czerwoną liberię z pozłacanymi guzikami. Nie biorę udziału w rozmowie dzieci, za to pozwalam sobie na puszczenie wodzy fantazji. Chociaż stoję w windzie i widzę oraz słyszę, co się wokół mnie dzieje, a także czuję komiczne łaskotanie w dole brzucha, tak naprawdę unoszę się w zeppelinie gdzieś daleko pomiędzy ziemią a niebem.

Kiedy wracam z wycieczki do hotelu Savoy, ku mojemu zdumieniu widzę, że tata jest w domu. Wygląda żałośnie i zupełnie inaczej niż ten piękny tata, o którym opowiadałam dzieciom z mojej klasy. Żal ściska serce, gdy się na niego patrzy. Leży wyciągnięty na łóżku i płacze jak dziecko. Nigdy wcześniej nie widziałam łez w jego oczach. Mama siedzi cały czas obok niego i wstaje tylko po to, by podać nam, dzieciom, coś do zjedzenia. Wtedy opowiada Wierce i mnie smutnym szeptem, że nasz wujek Szolem, starszy brat taty, który mieszkał w Bocianach i miał troje dzieci – których ja i Wierka prawie nie znamy – zmarł dzisiejszego ranka. Dostał zawału serca, gdy niósł ciężki worek z mąką. Był z zawodu tragarzem i pracował na Pociejowie, jak nazywa się targ w Bocianach.

Tego samego wieczoru rodzice jadą pociągiem do Bocianów i ciocia Rachela przychodzi opiekować się nami. Obie z Wierką smucimy się z powodu śmierci wujka Szolema. Nie mogę przestać myśleć o martwym szajgecu i wyobrażam go sobie jako Żyda z brodą i pejsami. Potem widzę w wyobraźni mojego własnego tatę z kręconymi, brązowymi włosami i uroczymi wąsikami, wyglądającego jak ten martwy szajgec – i czuję, jak lodowaty chłód ściska mi serce. Jednocześnie jednak, podobnie jak Wierka, jestem bardzo zadowolona z tego, że nie muszę iść wcześnie spać i mogę grać razem ze wzdychającą ciocią w loteryjkę.

*

Za parę dni mają się zacząć letnie wakacje i w mojej klasie panuje świąteczny nastrój. Nauczycielka Boleściwa, która już dawno wyleczyła się z romantycznych rozczarowań poprzedniego lata, rozkwitła i na nowo stała się wesołą, rozszczebiotaną, a równocześnie z lekka trwożliwą i roztargnioną pięknością. Jest ucieleśnieniem wiosny i zaraża klasę wiosenną gorączką. Nie ma cierpliwości, by prowadzić lekcje i zamiast tego czyta nam na głos z albumu, w którym gromadzi najlepsze prace pisemne swoich uczniów, napisane zarówno w tym roku, jak i przez wszystkie poprzednie lata, w których uczyła drugie klasy. Część z tych prac jest bardzo komiczna i cała klasa zwija się ze śmiechu. Inne nie są wprawdzie takie zabawne, ale i tak wszyscy się śmieją. Czyta też poemat Wierki. Wierka opowiedziała mi kiedyś, że za ten poemat nauczycielka nagrodziła ją pocałunkiem w głowę.

W albumie nie ma ani jednej mojej pracy. Nie ma też żadnego powodu, dla którego nauczycielka miałaby nagrodzić mnie pocałunkiem w głowę. Przez ostatnie parę miesięcy mocno opuściłam się w nauce. Na szczęście rok szkolny dobiega

końca, zanim nauczycielka Boleściwa zdołała to zauważyć. A może jednak to zauważyła, tylko udaje ignorancję. W każdym razie ani razu nie skarży się już na mnie przed mamą.

Za to na koniec roku szkolnego zostaję nagrodzona pocałunkiem – nie od kogo innego, jak od samego kierownika szkoły, nauczyciela Wilnera, który nie ma w zwyczaju szafować pocałunkami. Wydarzyło się to zaraz po dziecięcym przedstawieniu *Friling-morgn*[232] w sali filharmonicznej. Na ten pocałunek zasłużyłam sobie moją taneczną interpretacją pieśni *Tojbn sztejen baj majn fencter*[233]. Z jakiegoś powodu mam szczęście do „latających" ról. W momencie kiedy schodzę ze sceny – która w mojej fantazji była niewidoczną sceną z obrazu Degasa – nauczyciel Wilner podchodzi do mnie z otwartymi ramionami, chwyta moją głowę między swoje duże, chude dłonie, zakrywając przy tym moje uszy, po czym podnosi mnie w powietrze i odciska pocałunek na moim czole.

– Brawo, Miriam! – woła.

Jednak znowu wydarza się coś, co psuje mi dobre samopoczucie. W dzień po przedstawieniu cała szkoła huczy od zachwyconych komentarzy na temat *Wiosennego poranka* i mnóstwo dzieci chwali mnie szczodrze za mój taniec. Jednak akurat wtedy, gdy dziewczynki z siódmej klasy zaszczycają mnie, otaczając i zasypując komplementami, dopada mnie Mendel Sznajder – i wylewa pełny kałamarz atramentu na moją głowę, na dodatek o mało co mi jej przy tym nie rozbijając. Trzeba mnie zaprowadzić do szkolnej kuchni, gdzie nauczycielka, pani Rebeka, partnerka nauczyciela Wilnera w tym sezonie, zmywa ze mnie plamy atramentu najlepiej jak potrafi i przykłada kompres do guza na mojej głowie.

Nauczyciel Wilner wchodzi do szkolnej kuchni, prowadząc za rękę Mendla Sznajdera, żeby pokazać mu konsekwencje jego czynu, i by zawstydził się jak należy za to, co zrobił. Mendel wybucha płaczem.

– Chciałem ją tylko zafarbować na czarno – tłumaczy, jąkając się.

– Ale dlaczego? – nie może zrozumieć nauczyciel Wilner. – Ona ma przecież takie piękne, jasne włosy.

– Tak – zgadza się z nim zapłakany Mendel. – Dobrze tańczyła *Tojbn sztejen baj majn fencter*, ale wszyscy wołają na nią „rudy kanarek", a ja nie chcę, żeby ją tak nazywano.

Takim oto sposobem ciepłe uczucia Mendla Sznajdera do mnie manifestują się w postaci guza na mojej głowie.

---

232 (jid.) *Wiosenny poranek*.

233 (jid.) *Gołębie siedzą na moim oknie* – autorem utworu był Zise Weinper, pseudonim literacki Zise Weinperlech (1893-1957), pisarz, poeta i eseista , a także redaktor tworzący w języku jidysz. Wyemigrował do USA w 1913 r. i tam kontynuował literacką karierę, publikując w jidyszowych pismach, był też aktywistą w żydowskich organizacjach lewicowych.

*

Mendel Sznajder był wciąż jeszcze w Bergen-Belsen, lecz Miriam nadal nie miała okazji, by z nim dłużej porozmawiać. Parę razy przyszedł odwiedzić ją w jej pokoiku w lazarecie. Trudno było jej przyzwyczaić się do myśli, że ten tykowaty, wychudzony człowiek z „muzułmańską" twarzą jest tym samym Mendlem Sznajderem, którego znała wcześniej. Wielu mężczyzn przybrało już trochę na ciele i wyglądało teraz inaczej, ale od niego ciągle trąciło kacetem. Wciąż jeszcze myślami był w Mauthausen[234] i nie potrafił mówić o niczym innym. Oczywiście podczas ich spotkań był bardzo sentymentalny, lecz równocześnie ogromnie stropiony i niespokojny. Spędzał z nią nie więcej niż kilka minut, po czym uciekał. Miriam zastanawiała się, co się z nim dzieje. Wiedziała, że Sorka dochodziła powoli do siebie i jej stan nie zagrażał już życiu. Cieszyła się ich szczęściem – szczęściem dwojga kochających się ludzi, którym dane było przeżyć i spotkać się. Było to ogromne zwycięstwo nad losem. Zazdrościła im i bardzo tęskniła za Markiem.

Malka i Balcia powiedziały jej, że rzadko spotykają Mendla przy łóżku Sorki. Wszystkie trzy zastanawiały się więc, co on robi, i doszły do wspólnego wniosku, że z pewnością szuka wciąż jeszcze wszędzie swojej siostry, jedynej z jego rodziny, o której wiedział na pewno, że była w Bergen-Belsen. Później jednak Malka przyszła do Miriam z nowinami, iż Mendel w końcu dowiedział się o śmierci swojej siostry, oraz że ten zagorzały komunistyczny aktywista z getta zaangażował się tu, w obozie, w jakąś nielegalną działalność, która ma coś wspólnego z polityką i Palestyną.

– My też musimy zacząć się organizować – odezwała się do Miriam.

Miriam zwykła uważać się za kiepski materiał na organizatorkę. Było to jednak w tamtym życiu. Teraz nosi w sobie duszę Wierki, tak jak kiedyś zwykła nosić ubrania, z których Wierka wyrosła. Teraz Wierka miała władzę nad stanem jej ducha. Pokiwała więc z przekonaniem głową.

– Tak, oczywiście!

Balcia i Malka przyniosły jej list od Abraszy. Tym razem był to prawdziwy list w kopercie, napisany przez niemiecką pielęgniarkę. Miriam zastanawiała się, co stało się z przyjacielem Abraszy. Czy opuścił szpital w Birnau? Czy ta pielęgniarka będzie odtąd do niej pisała? Miriam ledwo mogła dać sobie radę z odczytaniem niemieckiego, odręcznego, gotyckiego pisma. Dopiero kiedy w końcu odcyfrowała tekst słowo po słowie, zrozumiała, że ten list nie powiedział jej właściwie nic, czego by już wcześniej nie wiedziała. Był tak samo skąpy w słowach, jak wcześniejsze liściki od Abraszy napisane na papierze pakowym. Parę nic nieznaczących,

[234] Mauthausen – obóz koncentracyjny, a w zasadzie zespół niemieckich obozów koncentracyjnych znajdujący się w pobliżu miejscowości Mauthausen w Austrii. Utworzony 8 sierpnia 1938 r., funkcjonował aż do wyzwolenia przez armię amerykańską 5 maja 1945 r. Przeszło przez niego ponad 335 tys. więźniów.

długich zdań zapisanych na czystej stronie papieru. Takie skandaliczne zmarnowanie dobrego, białego papieru listowego, który mógłby zostać zapełniony drogimi szczegółami dotyczącymi Abraszy! I co ta Niemka miała na myśli, pisząc, że stan Abraszy jest stabilny? Co to znaczy? I czy w ogóle możliwe jest odcyfrowanie ściśniętych liter podpisu Niemki? Może robi to celowo? Może jest nazistką, która ukrywa się pod białym fartuchem i podpisem, którego nie da się odczytać? – A Abrasza jest w jej rękach!

Postanowiła napisać list bezpośrednio do szpitala w Birnau i zapytać w nim o szczegóły stanu zdrowia Abraszy. Wprawdzie w pewnym sensie była zadowolona, że ich nie zna, musiała jednak poznać prawdę, bez względu na to, czy była na to wystarczająco silna, czy nie.

Wyjęła ołówek i kawałek papieru spod poduszki, wciągnęła na siebie pasiak i podreptała na zewnątrz, by usiąść gdzieś w kąciku podwórza i napisać odpowiedź na list Abraszy. Usadowiła się na skrzynce, jednak jej ręka zastygła w bezruchu nad kartką.

Ubiegłej nocy miała zły sen. Wciąż jeszcze źle sypiała nocami. Koszmary stawały się coraz bardziej bezwzględne w swoim okrucieństwie. Nadal prześladowały ją potworności kacetu, stanowiąc ostry kontrast dla jej bieżących dni. Im lepiej czuła się w ciągu dnia, im weselsza była, tym straszniejsze wizje dręczyły ją w nocy. Najczęściej prześladowało ją wspomnienie bydlęcego wagonu w drodze do Auschwitz i rozdzielenia z rodziną na rampie kolejowej, gdzie odbyła się pierwsza selekcja. Często budziła się nagle ze snu z krzykiem, a potem była przez cały poranek niespokojna i nerwowa. Oczy „pociły się" jej bez najmniejszego powodu. Ona, która w obozie ani razu nie uroniła łzy, teraz godzinami bezwiednie płakała. Czasami miewała halucynacje w samym środku dnia. Widziała wizje, czuła zapachy i słyszała głosy. Zajęta drobnymi, zwykłymi sprawami, przerywała to, co akurat robiła i wpatrywała się nieruchomo w jakieś obrazy, przysłuchiwała się głosom.

Nie wspominała o tych koszmarach Balci i Malce, kiedy przychodziły do niej. Rzadko rozmawiała z nimi o kacecie. Unikanie tego tematu przypominało powstrzymywanie się od rozdrapywania sobie nawzajem ran. Nie miała jednak żadnych wątpliwości, że je również dręczą koszmary. Wiedziała, że Malka mówi jednak o swoich przeżyciach, wprawdzie nie z nią, Miriam, i nie z innymi ocalonymi – tylko z obcymi, niewiedzącymi, z tymi, którzy „tam" nie byli; jak gdyby chciała, żeby chociaż w ten sposób odkupili swoje szczęście, żeby choć w myślach uczestniczyli w tym cierpieniu, którego nie odczuli na własnej skórze. A może pragnęła dzięki temu odczynić klątwę ciążącą nad tymi, którzy „tam" byli, i tym sposobem osłabić siłę prześladujących ją lęków?

Jednak Miriam irytowało, że Malka rozmawiała o swoich doświadczeniach z belgijskimi lekarzami i pielęgniarkami, gdy przychodziła do lazaretu, by ją odwiedzić. Dlaczego ta mądra Malka robiła z siebie głupca? Jak była w stanie o tym mówić? Jakich słów używała? Ci ludzie należeli przecież do całkiem innego

„gatunku" i nie mieli nic wspólnego z plemieniem kacetników. Porozumienie między tymi dwoma „gatunkami" możliwe było co najwyżej w kwestiach dotyczących bieżących spraw, a nawet pod tym względem były między nimi różnice.

Jeśli ona, Miriam, miałaby jednak rozmawiać z kimś „z zewnątrz", to jedynie z doktorem Vanderhaeghe, który palił się do tego, by jej wysłuchać. Ostatnio rzadko do niej przychodził. Jego krótkowzroczne oczy otoczone czerwonymi obwódkami były zmęczone i zamglone. Wyrażało się w nich jego własne cierpienie, gdy wzrokiem szukał czegoś w głębi jej oczu. Jednak jemu też trzeba by było wyjaśniać, mówić do niego jak do nieświadomego dziecka – a koniec końców i tak by niczego nie zrozumiał. A poza tym przecież zupełnie niemożliwym jest przekazanie tego, co najistotniejsze.

Spędziwszy trochę czasu, odpoczywając na zewnątrz na skrzynce, Miriam wróciła do swojego pokoiku i siedziała przy oknie do późnego wieczora. Marusia i Aniela przychodziły zwykle późno położyć się spać. Miriam bała się zasnąć. Usiłowała oddalić od siebie sen. Na wpół rozbudzona starała się kontrolować myśli, sterować swoimi wizjami i kierować je tam, dokąd chciała. W myślach mówiła do Abraszy, kreśliła do niego list, którego wcześniej tego dnia nie była w stanie napisać.

*

Nastały piękne dni. Kipiący zielenią świat kąpał się w promieniach słońca. Miriam nie przestawała zachwycać się zwyczajnym pięknem każdego drzewa, krzewu, źdźbła trawy. Codziennie odkrywała coś na nowo. Radość z powrotu do życia była oszałamiająca. Wspaniale było móc oddychać, słyszeć dźwięki, widzieć kolory, czuć niebiański smak jedzenia, wgryzać się w kawałek chleba. Była w tym wszystkim równocześnie zwierzęca satysfakcja, jak i coś ze świętego rytuału. Kto jeszcze tak, jak ocalały, mógł docenić prawdziwy smak tych zwykłych przyjemności?

Na zewnątrz, podczas spacerów wokół lazaretu z Balcią i Malką, Miriam spotykała się z grupami innych obozowych kobiet, także z takimi, które przybyły z innych obozów, by szukać krewnych. Nie było nic więcej do robienia, jak cały dzień szwendać się między barakami. Jednak nie było też mowy o nudzie. Dawni więźniowie czuli się na nowo mocno zespoleni z naturą, byli jej częścią. Podobnie jak zdeptane przez buty źdźbła trawy, które muszą wytężyć wszystkie siły, by się wyprostować i umożliwić odpowiednie krążenie żywotnym sokom, tak i ocalali byli zajęci sobą. Powrót do życia nie przychodził łatwo.

Wciąż jeszcze nie napisała listu do szpitala w Birnau z prośbą o informacje o Abraszy. Dostała jednak pseudoodpowiedź na swoje pytania od jego niemieckiej pielęgniarki: z jakiegoś powodu Abrasza nie jest w stanie poruszać kończynami i dlatego nie może sam pisać do Miriam. Pielęgniarka nie podała nazwy jego choroby. Czy był sparaliżowany? Czy istniała nadzieja, że wyzdrowieje?

W odpowiedzi do Abraszy dodawała mu otuchy i opowiadała o swoich problemach z lewą nogą – że całkiem straciła czucie w łydce, która stała się niewrażliwa na ukłucia najostrzejszych igieł.

Procedura doktora Vanderhaeghe polegająca na ciągłym kontrolowaniu czucia w łydce zaczęła ją krępować. Czuła się nieswojo, gdy musiała odkrywać przed nim swoje ciało, zarówno dlatego, że zaczęła się wstydzić swojej nagości, jak i przez to, że jej ciało było takie brzydkie. Przypisała swoją przebudzoną wstydliwość faktowi, że rozpoczęła uwalniać się od obozowej mentalności. W obozie nie było miejsca na tego rodzaju uczucia jak wstyd, gdy chodziło o cielesne czy fizjologiczne sprawy.

Doktor Vanderhaeghe wyjaśniał jej wielokrotnie, iż problemy z jej nogą są konsekwencją powikłań po tyfusie, w związku z czym nie ma najmniejszego powodu do zmartwienia. Ona jednak martwiła się. Abraszę pocieszała wprawdzie obietnicami doktora Vanderhaeghe, sama jednak nie bardzo w nie wierzyła. Ale prawdą było, że mogła już chodzić i często zapominała o swoim „kalectwie". Zapewniła więc Abraszę, że on na pewno będzie w stanie zrobić to samo. Napisała do niego:

Życz mi szczęścia, Abraszo. Wkrótce opuszczę lazaret, zupełnie wyleczona (za wyjątkiem mojej nogi). Takich samych dobrych wieści spodziewam się od Ciebie. Zdaje się, że już samo wdychanie wspaniałego powietrza i wchłanianie wzrokiem piękna natury pozwala mi poczuć się jak olbrzym. Jest już we mnie tyle sił, że mogę wszystko chłonąć zmysłami. Interesujące jest to, że wszystkie nowe odczucia wydają mi się być wypaczonym odzwierciedleniem tego, co moje zmysły zwykły postrzegać w latach dzieciństwa. Nie są jednak przez to mniej fascynujące. Wręcz przeciwnie. Podobnie jak inni ocaleni, wracam na wszelkie sposoby do lat dziecinnych. Intymny, dziecięcy kontakt z naturą jest częścią procesu mojego zdrowienia.

Stało się moim zwyczajem, by w wyobraźni opowiadać Ci niedramatyczne, proste historie z mojego wcześniejszego życia – które jest obecnie dla mnie wszystkim, moim najcenniejszym skarbem. To tak, jak gdybym z Twoją pomocą próbowała zintegrować z powrotem w sobie przeszłość i uczynić z niej aktywną część mojej obecnej egzystencji. Zwykle zostaję zasypana wprawiającą w zdumienie mieszaniną obrazów z dawnych lat, chaotycznie połączonych ze sobą przez przeróżne asocjacje. Są to moje nieświadomie przywołane wspomnienia. Niemałego wysiłku wymaga uporządkowanie ich i przepędzenie tych przypadkowo przywołanych przez pamięć. Uczę się mojego życia na nowo, jak gdyby było ono poematem, który recytuję dla Ciebie (często wydaje mi się, że głosem Wierki). Abraszo, mój nauczycielu, mój przyjacielu, Tobie powierzam moją „Apologia pro vita sua"[235].

[235] (łac.) *Obrona własnego życia, obrona siebie samego.*

Siedzę na mojej pryczy w szpitalnym pokoiku. Jest jeszcze południe. Moje aryjskie współlokatorki, które opuszczają jutro lazaret, ucięły sobie drzemkę. Okno jest otwarte i zaczyna się robić gorąco. Wiejący od okna ciepły wietrzyk przywiewa do środka melodię. Ktoś na zewnątrz śpiewa piosenkę, którą zwykła nucić mama: „Wos gewen iz gewen, iz nito"[236]*. Nucę do melodii, zmieniając ostatnie słowa: „Wos gewen iz gewen – iz noch do"*[237]*.*

Abraszo, ostatnio do moich powtarzających się koszmarów z naszej podróży bydlęcym wagonem doszedł jeszcze jeden, by mnie prześladować. Śni mi się często, że nie mogę otworzyć oczu, że całkiem oślepłam. Odwiedziła mnie tu kobieta z mojego obozu. Nazywa się Genia. W dniu wyzwolenia nagle straciła wzrok. Lekarze uważają, że była to histeryczna ślepota. Genia nie mogła już więcej patrzeć na świat. Zbyt dużo zobaczyła. Widzę się we śnie, jak całkiem rozbudzona usiłuję otworzyć oczy i nie mogę. Krzyczę, wołam, by podano mi nóż, żebym mogła rozciąć sklejone powieki. Wpadam w panikę. Nikt nie może mi pomóc. Pamiętasz, Abraszo, jak zwykłeś wyjaśniać mi moje sny? Cytowałeś z Talmudu, że niewyjaśniony sen jest jak nieprzeczytany list. Jednak te moje sny nie potrzebują żadnego komentarza.

I czy pamiętasz, jak niedługo po wybuchu wojny zdarzyło się nam raz rozmawiać o cierpieniu. Powiedziałeś, że nie powinno się być na nie ślepym, lecz przyjąć je i ujarzmić, jak gdyby było dzikim wołem; trzeba nałożyć jarzmo na jego kark, żeby nie zostać przez nie zniszczonym, tylko przeciwnie, żeby pomogło nam orać nasze własne pole. Moim polem jest moje ocalone życie. Użyźniam je łzami, lecz plonów nie zbieram ze śpiewem na ustach.

Węgierski ordynans wszedł dopiero co do mojego pokoiku na czubkach palców i wręczył mi jabłko. Moje pierwsze jabłko po wyzwoleniu! Dlaczego akurat ten wczorajszy zbrodniarz mi je przyniósł? To jabłko nie jest ani trochę podobne do wspaniałego czerwono-żółtego jabłka, które moja babunia Hinda wręczyła mi pewnego razu podczas letnich wakacji, kiedy siedziałyśmy razem przy jej okiennym sklepiku na Pociejowie w Bocianach. Przed wojną, za każdym razem, kiedy wgryzałam się w jabłko, przychodziła mi na myśl babunia Hinda. Teraz też. To jabłko przenosi mnie w cudowny sposób do Bocianów, do babci.

Czuję na podniebieniu całą słodycz moich dziecięcych lat, kiedy przypominam sobie smak babcinego jabłka, aromat cynamonu w jabłkowym kompocie mamy, czy smak makowych ciasteczek wypiekanych w piecu Zalmana Fidlera. Zwykłam

---

[236] (jid.) *Co było, to było, już tego nie ma* – jedna z najpiękniejszych nostalgicznych pieśni z repertuaru żydowskiego teatru przedwojennego, wykonywana przez różnych znanych artystów, po raz pierwszy w 1926 r., do której tekst napisał David Meyerowitz (1867-1943), kompozytor urodzony na Łotwie, ale tworzący głównie w USA.

[237] (jid.) *Co było, to było, i wciąż jest.*

chrupać te ciasteczka, siedząc na kolanach taty w Muzie. Tata napełniał spodek swojej szklanki odrobiną posłodzonej herbaty z cytryną, a ja maczałam w tym makowe ciasteczka, które bardzo lubiłam, ponieważ nie były takie słodkie jak inne ciastka.

Często myślę o „W poszukiwaniu straconego czasu" Marcela Prousta, którego tomy kupiłeś dla mnie u ulicznego handlarza w getcie i przyniosłeś mi w prezencie. Myślę o mocy ciastka „magdalenki", które swym smakiem i zapachem potrafi otworzyć korytarze duszy i na nowo rozwinąć materię życia. Z jakim rozpaczliwym uporem powstrzymywałam się w kacecie od przypominania sobie smaku makowych ciasteczek! Bałam się, by ich zgubny czar nie naprowadził moich myśli na skojarzenia, które przeniosłyby mnie myślami do mojego domu. Jednak teraz, kiedy piszę, myśląc o Tobie, jestem właściwie zadowolona z tego, że mogę go wspominać...

Abraszo, jeśli odkryjesz jakieś plamy na tej oto kartce papieru, nie są to ślady łez, tylko jabłkowego soku.

*

Był wieczór. Miriam kręciła się po pokoiku w swojej lazaretowej koszuli. Lekki, letni wiatr oddychał łagodnym, ciepłym oddechem. Czuła się dobrze. Jej współlokatorki, Marusia i Aniela, opuściły już szpital. Pokój był jej, przynajmniej przez jedną noc, i Miriam zdawało się, że jego ściany się rozsunęły. Nigdy nie mieszkała samotnie. To, że mogła być sama, działało na nią kojąco, niezależnie od tego, że gdzieś głęboko w niej czaił się większy niż zwykle strach przed myślami, które mogły ją niespodziewanie opanować. Przerażała ją perspektywa zmagania się ze strasznymi wizjami z przeszłości w pustym pokoju.

Spotkała ją niespodzianka. Nagle wpadł do jej pokoju doktor Vanderhaeghe, jak zwykle szybkim, niezgrabnym krokiem. Miriam wskoczyła na pryczę i naciągnęła na siebie koc, zawstydzona, że zobaczy ją w szpitalnej koszuli. Nie miał na sobie białego fartucha, tylko czarny mundur oficerski, zapięty na wszystkie błyszczące guziki. Czarna czapka o łódkowatym kształcie sprawiała, że wyglądał na jeszcze wyższego, niż był, czyniąc jego sylwetkę podobną do zakończonej szpiczastym dachem wieży kościoła.

– Chodź! – zawołał do niej uroczyście, zatrzymując się na środku pokoju. – Załóż swój pasiasty uniform. Będę ci towarzyszyć podczas twojego pierwszego wieczornego spaceru, jeśli nie masz nic przeciwko temu, *mademoiselle*. Właśnie odbywa się świętowanie zwycięstwa. Będziemy oglądać sztuczne ognie.

Ponieważ Miriam w ogóle się nie poruszyła, podszedł do jej pryczy, wyciągnął spod siennika jej pasiastą sukienkę i wręczył jej.

Milcząc, mechaniczne wciągnęła sukienkę na siebie. Doktor Vanderhaeghe pomógł jej zejść z pryczy. Trzymając mocno jej rękę w swojej dużej dłoni o delikatnych palcach chłopca, wyprowadził ją na korytarz i zszedł z nią parę stopni

prowadzących na zewnątrz. Teraz, gdy szła tak obok niego, uświadomiła sobie, jak bardzo wzrostem podobny był do Marka. Kiedyś zwykła półżartem myśleć, jak dobrze by było, gdyby Marek i Abrasza byli jednym człowiekiem. Teraz zdawało się jej, że znalazła odbicie ich obu w tym oto obcym mężczyźnie, który szedł u jej boku. Wciąż jeszcze trzymając się za ręce, pozwalali nieść się naprzód tłumowi ocalałych i pracowników personelu obozu wystrojonych w różnego rodzaju mundury. Wszyscy podążali strumieniem w kierunku angielskich koszarów wojskowych, gdzie przy dźwiękach orkiestry wojskowej odbywała się parada.

Potem przyszła kolej na sztuczne ognie. Za każdym razem kiedy petarda w postaci ognistej kuli wystrzeliwała w niebo, Miriam zaciskała rękę wokół smukłych palców doktora Vanderhaeghe. Dotyk jego dłoni przypomniał jej dotyk ręki jej ojca podczas tego wieczoru, kiedy widziała fajerwerki pierwszy raz w swoim życiu. Teraz kula tęczowych kolorów rozprysnęła się po granacie nieba niczym ogromny parasol, po czym przemieniła się w gigantyczny, odsłaniający swoje wnętrze kwiat, który otwierając się coraz bardziej ponad głowami widzów, upodabniał się do sufitu świątyni, by na koniec opaść deszczem barwnych kropli.

– Wspaniałe... – wyszeptała Miriam.

Doktor Vanderhaeghe spojrzał na nią zmrużonymi oczami spoza grubych szkieł okularów i uśmiechnął się ledwo widocznym uśmiechem.

– Po raz pierwszy w życiu widziałem fajerwerki – odezwał się – kiedy miałem jakieś dziesięć lat. Było to podczas letnich wakacji. Stałem z rodzicami przy oknie naszego mieszkania w Ostende. Petardy wystrzeliwano z brzegu morza i fajerwerki odbijały się w jego falach.

Miriam odparła:

– A ja nie mogę sobie żadną miarą przypomnieć, kiedy po raz pierwszy widziałam fajerwerki. Zdaje się, że było to podczas odsłonięcia pomnika Kościuszki[238]. Miałam może sześć czy siedem lat. Czy wie pan coś o Kościuszce, doktorze?

– Coś niecoś. Polski narodowy bohater walczący o wyzwolenie Polski, prawda? Wiem bardzo niewiele o Polsce, jak ci mówiłem. Mama zwykła mi coś czasem opowiadać, ale mnie to nie interesowało.

– To też już mi pan powiedział.

– Bo bardzo tego żałuję.

– To też wiem.

– Czy jest w ogóle coś, czego o mnie nie wiesz?

– To pytanie powinnam ja panu zadać, doktorze, nie pan mnie.

Parę wielobarwnych wachlarzy pełnych światła otworzyło się na niebie i spłynęło równomiernie w dół kolorowymi strumieniami światła. Rozległy się chóralne

[238] Odsłonięcie pomnika Tadeusza Kościuszki na placu Wolności miało miejsce 14 grudnia 1930 r., w uroczystości wzięło udział ponad 10 tys. osób! Pomnik był pięknie iluminowany wielkimi reflektorami, ale nie ma przekazów o fajerwerkach.

okrzyki „O-o!" i oklaski. Teraz niebo nie wyglądało już dłużej jak kopuła świątyni, lecz jak sufit intymnego pokoju, oświetlonego zapalonymi świeczkami.

Miriam ogarnęła nagle niespodziewana fala tkliwości i wdzięczności. Nie mogła się opanować i chwyciwszy rękę doktora Vanderhaeghe, złożyła na niej głośny, gorący pocałunek.

– Dziękuję... – wyszeptała.

Cofnął rękę jak oparzony. Tym samym ramieniem objął ją i przycisnął do swojej piersi tak mocno, że zabolały ją żebra.

– Nigdy więcej tego nie rób! Nigdy więcej! Żadnego całowania po rękach! Nigdy więcej! Dość! – krzyczał na nią. – Inni powinni padać przed tobą na kolana i całować twoje ręce! Zapamiętaj to sobie na całe życie! I przestań mówić do mnie na pan. Mam na imię Simon.

Nie wiedziała, dlaczego tak się zdenerwował. Odezwała się przepraszająco:

– Twoja ręka, Simonie, jest pierwszą ręką, jaką kiedykolwiek pocałowałam, nie licząc rąk moich dziadków. – Podniosła głowę do nieba i uśmiechnęła się. – Spójrz, w górę leci jeszcze jedna świetlana kula!... I proszę cię, nie padaj przede mną na kolana i nie traktuj mnie jak świętą.

– Jesteś nią dla mnie. Wy wszyscy tacy dla mnie jesteście – wyszeptał w odpowiedzi.

– Niewiele brakowało, żebyś został jednym z nas.

– Ale że nie zostałem...

– Czujesz się winny.

– Tak, w pewnym sensie.

– Mam dla ciebie nowinę. Też czuję się winna.

– Twoje poczucie winy jest inne. Czyste.

– Poczucie winy, że się wszystko utraciło.

Orkiestra zagrała *It's a long way to Tipperary*[239].

---

[239] (ang.) *Długa droga do Tipperary* – irlandzka pieśń skomponowana w 1912 r. przez Jaka Judge'a, brytyjskiego sprzedawcę ryb i twórcę piosenek, spopularyzowana w czasie I wojny światowej. Jej tytuł i zwrot *it's a long way to Tipperary* zaczął symbolizować długą drogę do kresu wojennej tułaczki, do domu rodzinnego, do ukochanej.

Rozdział siedemnasty

Przygnębienie Jankewa i jego żałoba po śmierci brata Szolema idą w parze z silnym poczuciem winy i żalu. Długo nie może dojść do siebie. Jego relacje z jedynym bratem naznaczone były pustką wynikającą z braku umiejętności wyrażania uczuć. Obaj z Szolemem mieli trudności w porozumieniu się. Dzieliła ich otchłań milczenia i nie byli w stanie przerzucić nad nią mostu. Teraz, kiedy nie ma już takiej możliwości, dręczą Jankewa bolesne i niedające mu spokoju pytania, na które nie potrafi znaleźć odpowiedzi. Do tego dochodzi jeszcze bezsilność na widok wielkiego smutku matki – smutku, który nie przynosi ukojenia – oraz rozpaczy żony Szolema, jedynej osoby, która z nim w pełni harmonizowała. Poza tym Jankew musi teraz przejąć odpowiedzialność za dzieci zmarłego brata.

W dzień pogrzebu Binele nie odstępuje Jankewa ani na chwilę. Jest jedyną wyraźną postacią w spowijającej go mgle przygnębienia i smutku. Kiedy wracają z Bocianów do Łodzi, do mieszkania przy ulicy Nowomiejskiej, otacza go ciepłem domowego ogniska i dba o to, żeby znalazł pociechę w dzieciach. Dzieci uosabiają bowiem niewinność oraz nieświadomość tragizmu ludzkiego losu. Nie są w stanie zrozumieć związku między ich własnym życiem a śmiercią, bez względu na to, ile już o niej wiedzą. Ich wyobrażenie życia jest wciąż powiązane z przeświadczeniem o ich własnej nieprzemijalności, dzięki czemu działają niczym kojący balsam na zranione i doświadczone serce Jankewa.

Z biegiem czasu do tego uzdrawiającego czynnika dochodzą dwa kolejne, które są jednak niczym obosieczny miecz. Po pierwsze Jankew rzuca się w wir pracy partyjnej, biorąc udział we wszystkich posiedzeniach i dyskusjach, które działają na niego jak narkotyk.

Najbardziej jednak pomaga mu praca w restauracji Capri. Gdy sunie z pełnymi tacami na rękach między stolikami przydzielonymi mu jako jego rewir, wrzawa ludzkich głosów oraz brzęk naczyń zagłuszają domagający się odpowiedzi głos jego serca.

Atmosfera Capri rozprasza jego uwagę, odurza go i odrywa jego myśli od wszystkiego, co nie ma związku z pracą. Chociaż praca ta nadwyręża i wyczerpuje go, to jednak jest dla niego interesująca i całkowicie go pochłania. Jankew jest w dobrych stosunkach z klientami, z „gośćmi". Od czasu do czasu jakiś gość odnosi się wobec niego obraźliwie, co jednak zaraz zostaje zrekompensowane przez innego, który traktuje go jak przyjaciela, a nawet zwierza mu się z prywatnych spraw. Zdarzają się też momenty, gdy Jankew czuje się nieswojo, na przykład kiedy przychodzą do Capri Isroel Lichtensztajn lub Anton Cimerman. Tutaj są oni klientami, a on obsługującym. Traktują go poufale, jednak nie są tu jego przyjaciółmi. Bywa też, że kipi w nim złość, kiedy na przykład staje nagle twarzą w twarz z Pięknym Mojszem, byłym narzeczonym Binele, który jest stałym gościem w Capri, czy kiedy Baruch Wajskop pojawia się we wtorkowe popołudnia lub wieczory na kolację.

Stałą bywalczynią Capri jest też żona Barucha, Pola. Wpada tu sama o różnych porach dnia. Mojsze, Baruch, czy Lichtensztajn i Cimerman unikają zazwyczaj zajmowania stolika w jego rewirze, ale nie Czarna Dama Pola. Ona obstaje przy tym, by obsługiwał ją nie kto inny, jak właśnie Jankew.

Przywołuje go do swojego stolika pod najbłahszym pretekstem. Koryguje jego polską dykcję i dobór słów. Polszczyzna Jankewa poprawiła się wprawdzie, jednak wciąż wyróżnia się wyraźnym, jidyszowym akcentem oraz idiomatycznie jidyszową budową zdań. Pola hipnotyzuje go swoimi czarnymi, płonącymi oczami i usiłuje nawiązać z nim rozmowę. Razem z napiwkiem zostawia dla niego perfumowane liściki. Ponieważ Jankew nie reaguje, zawstydza go często na różne sposoby na oczach ludzi siedzących przy sąsiednich stolikach. Wtedy nieraz zdarza się, że ręce zaczynają mu się trząść i talerze, którymi do pełna zastawione są trzymane przez niego tace, rozdzwaniają się. O mało nie traci równowagi, jednocześnie przeklinając się w duchu za to, że wybrał sobie fach kelnera. W takich momentach ma ochotę zostawić wszystko i uciec.

Nie może jednak pozwolić sobie na takie fanaberie. W Polsce i na całym świecie szaleje wielka depresja ekonomiczna. Jankew panicznie boi się stracić posadę, zwłaszcza teraz, kiedy musi wspomagać rodzinę zmarłego brata. Na samą myśl o tym zamiera w nim serce. I tak samo jak przełyka upokorzenia ze strony aroganckich gości, którzy rzucają mu napiwki niczym psu kość czy żebrakowi jałmużnę, przełyka też upokorzenia i impertynencje ze strony Poli. Jest usłużny, uprzejmy i dziękuje jej przy każdej sposobności. Uśmiecha się nawet do niej, podczas gdy w głębi serca ją przeklina. Żeby zachować szacunek do samego siebie, tworzy sobie teorię, według której błoto, którym się go obrzuca, nie brudzi jego duszy ani nie narusza jego dumy, lecz że to ci, którzy go upokarzają, sami siebie obrzucają błotem i plamią swój honor.

Jest wczesne popołudnie. Druga zmiana kelnerów przygotowuje się do przejęcia pracy w restauracji. Jankew, ubrany w białą, czystą marynarkę, z białą serwetą przewieszoną przez rękę, stawia się przed panem Terkeltojbem na zwyczajową inspekcję. Pan Terkeltojb lubi go i traktuje po bratersku. Właśnie co opowiedział Jankewowi nowiusieńki dowcip, który usłyszał od jednego z gości – o babci Hitlera, która była, jak wieść niesie, Żydówką. Jankew śmieje się uprzejmie z obowiązku i czeka, aż pan Terkeltojb klepnie go jak zwykle w ramię na znak, że inspekcja została zakończona.

Przy stolikach siedzą kupcy i przedsiębiorcy, lecz również grupki bogatych, wiodących próżniacze życie kobiet. Od wczesnych godzin rannych przesiaduje tu też żydowska bohema – miłośnicy sztuki, literatury i muzyki, którzy nie mają żadnych konkretnych zawodów. Są też goście, którzy wpasowują się w obie te kategorie, to znaczy są zarówno kupcami, jak i miłośnikami teatru, zarazem właścicielami interesów i miłośnikami literatury.

Jankew zaczyna pracę na swojej zmianie i wkrótce zapomina o wszystkim – z wyjątkiem zamówień, które przyjmuje i realizuje. Obsługując gości, krząta się między stolikami a kuchnią, utrzymując w równowadze tace niesione na dłoniach. Poci się i posapuje. Ledwo zdaje sobie sprawę z przemijających godzin, pieczenia stóp w przepoconych butach, potu, który szczypie w plecy, czy tego, że sztywny, biały kołnierzyk ociera jego spocony kark.

Jakiś czas później, gdy kończy się mordęga południowych godzin, spostrzega wchodzącego do restauracji poetę Mojszego Brodersona[240], który wkracza do Capri niczym aktor na scenę. Jego teatralne pojawienie się jest tu zwyczajowym wydarzeniem dnia. Ten Heinrich Heine żydowskiej Łodzi, którego zna i ubóstwia całe miasto, ma swój stały stolik obok rampy w pobliżu sceny, na której pianista wygrywa lekką, popołudniową muzykę. Broderson przychodzi tu prosto z restauracji Astoria[241], gdzie jidyszowa inteligencja spotyka się przy obiedzie składającym się z jarskiego czulentu[242], specjalności tej restauracji. Do Capri wpada, by raczyć się dobrą „małą czarną" z ciastem francuskim lub lodami, które nigdzie nie smakują tak wspaniale jak tu.

Mojsze Broderson jest mężczyzną o książęcej posturze, z perfekcyjnie przystrzyżonymi bokobrodami. Nosi monokl, który często wypada mu z oczodołu,

---

[240] Mojsze Broderson (1890-1957) – poeta, ilustrator, scenarzysta, barwna postać łódzkiego świata artystycznego. Był jednym z inicjatorów grupy Jung Jidysz i wielu innych przedsięwzięć artystycznych w Łodzi. Wraz z Henochem Konem (muzyka) i Ichakiem Braunerem (lalki) założył artystyczny teatr marionetek Chad Gadija, a potem teatr Ararat, dla którego pisał teksty.

[241] Kawiarnia Astoria (ul. Piotrkowska 27), w okresie międzywojennym skupiała środowisko żydowskiej bohemy artystycznej; spotykali się tam pisarze, malarze, aktorzy.

[242] Czulent – tradycyjna potrawa żydowska, którą przygotowywało się poprzez wielogodzinne duszenie, zwykle z mięsa, ale także z fasoli i warzyw.

a duży pierścień z kameą zdobi mały palec jego lewej ręki. Są to jeszcze czasy buntu w sztuce, nowych prądów i ruchów artystycznych, co odzwierciedla się również w ubiorze artystów. Noszą przedziwne stroje. Ci najbardziej radykalni spośród nich, zawadiaccy i zuchwali, farbują sobie brody na niebiesko lub zielono i noszą skarpetki nie do pary. Strój Mojszego Brodersona składa się z eleganckiego, dokładnie dopasowanego czarnego garnituru, dzięki któremu wygląda, jakby dopiero co wyszedł z królewskiej loży w operze.

Mojsze Broderson ma teatr we krwi i nie istnieje dla niego żadna różnica między rzeczywistością a życiem na scenie. Jego oryginalny wygląd jest częścią roli, którą odgrywa – roli śmiertelnie poważnego błazna. W Capri siedzi przy swoim stoliku otoczony łódzkimi malarzami i aktorami, tymi, którzy już coś w życiu osiągnęli, jeśli nie finansowo, to wyrobiwszy sobie imię. Gdy w zainspirowanym rozmowami przy stolikach umyśle Brodersona pojawia się przebłysk idei, pierwszy zarys jednoaktówki, skeczu, monologu czy parodii, zapisuje go sobie zaraz na papierowej serwetce i w krótkim czasie gotowe dzieło zostaje przyjęte do programu awangardowego Araratu[243], który jest teatrem zarówno eksperymentalnym, jak i futurystycznym. Przesiadując przy swoim stoliku w Capri, Broderson improwizuje też często na różne tematy i zapełnia papierowe serwetki dowcipnymi, zmyślnymi rymami, które na miejscu recytuje na głos dla przyjemności swoich współbiesiadników oraz pana Terkeltojba. Pan Terkeltojb odczuwa takie duchowe pokrewieństwo z Brodersonem, iż uważa się wręcz za współtwórcę wszystkich jego dzieł.

Od dłuższego już czasu Jankew przymierza się do tego, by nawiązać rozmowę z Mojszem Brodersonem. Oczywiście zdarzyło mu się już nieraz zamienić z nim parę słów, ale nigdy na poważnie. Pośród całej tej krzątaniny i zgiełku, nie znalazł nigdy odpowiedniego momentu na poważniejszą rozmowę. Jednak ostatnio, odkąd wrócił z pogrzebu brata Szolema, bardzo jej potrzebuje i gdy teraz dostrzega wchodzącego Brodersona, wie, że dziś w końcu zrealizuje swój zamiar.

Serwuje Brodersonowi filiżankę kawy z ciastem francuskim, po czym wsadza rękę do kieszeni na piersi, wyciąga stamtąd cienki zeszyt szkolny z wierszami Wierki[244] i kładzie go ostrożnie na stoliku.

– Proszę pana, panie Broderson – mówi nieśmiało, z szacunkiem. – Mam w domu córeczkę, która pisze wiersze.

---

[243] Łódzki Żydowski Rewiowo-Kameralny Teatr Ararat założony przez Brodersona i jego przyjaciół rozpoczął działalność jesienią 1927 r. Miał nawiązywać do teatrów warszawskich Qui Pro Quo i Azazel. W pierwszym spektaklu granym przy ul. Zachodniej 43 pokazano składankę skeczów, piosenek i recytacji.

[244] Ta historia – jak wiele innych w tej powieści – ma autobiograficzne korzenie: ojciec Chavy Rosenfarb – Abraham, będący kelnerem w restauracji przy ul. Piotrkowskiej, miał pokazywać wiersze córki Mojżeszowi Brodersonowi, o czym opowiadała w wielu wywiadach. Była to jej swoista inicjacja pisarska.

– Doprawdy? Pisze wiersze? – Broderson podnosi na Jankewa rozbawiony wzrok. – Jeśli tak, to niech pan będzie taki dobry, Jankewie, i przyniesie mi jeszcze jedną małą czarną.

Współbiesiadnicy Brodersona również zamawiają ponownie kawę i ciasta. Z bijącym mocno sercem Jankew rusza do kuchni z zamówieniami, po czym zaraz wraca, niosąc na dłoni tacę załadowaną filiżankami kawy i talerzykami z ciastem. Z oddali obejmuje wzrokiem parę stolików bez obrusów, przy których siedzą pogrążeni w gorączkowych debatach członkowie bohemy. Śmieją się i rozmawiają głośno, energicznie przy tym gestykulując. Broderson siedzi pośród tego gwaru z nosem w zeszycie Wierki. Jedną ręką bawi się monoklem, a drugą trzyma przy ustach pustą filiżankę, sącząc z niej powietrze. Zbliżając się do niego, Jankew próbuje odgadnąć, który z wierszy Wierki w tym momencie czyta.

Doszedłszy do stolika, Jankew serwuje zamówienia, rzucając przy tym badawcze spojrzenia na Brodersona. Postanawia obsłużyć go jako ostatniego, w momencie gdy zauważy, że skończył czytać wiersz. Gdy podchodzi w końcu do Brodersona, stawia ostrożnie filiżankę oraz talerzyk z ciastem obok niego, starając się zrobić to jak najciszej, by nie przeszkodzić mu w zabraniu się do czytania kolejnego wiersza. Usiłuje zajrzeć przez ramię poety i zobaczyć, ile wierszy już przeczytał. W tym momencie jednak słyszy dźwięk podzwaniających o szkło noży. Rusza więc przyjmować dalsze zamówienia od innych gości. Mijają minuty, a jego serce wciąż wali jak szalone. Jest jednak zbyt zajęty innymi gośćmi i nie ma możliwości wrócić do stolika Brodersona. Jedynie z oddali może rzucać w jego stronę spojrzenia i ze sposobu, w jaki siedzi czy pochyla plecy, próbować odgadnąć wrażenie, jakie wywiera na nim to, co czyta.

W końcu Broderson wstaje gwałtownie z krzesła, rozgląda się po sali dumnym wzrokiem, po czym zbliża się do Jankewa z zeszytem Wierki w ręce.

– Ile ona ma lat? – pyta, wręczając mu zeszyt.

– Wkrótce skończy dziesięć – odpowiada Jankew, wstrzymując oddech.

– Jej talent jest jeszcze w powijakach, ale z pewnością go ma. – Broderson klepie go przyjacielsko po ramieniu. – W pana domu rośnie żydowska poetka, Jankewie. – Macha ręką w pożegnalnym geście i wraca do swojej kompanii.

„Ale z pewnością go ma!" – Jankew powtarza sobie te słowa, kontynuując pracę. „Ona ma talent!" – mruczy. „Wiedziałem to, wiedziałem od samego początku!". Ogarnia go lekki, beztroski nastrój i czuje się, jak gdyby został uniesiony w powietrze, ponad ziemię, po której kroczy w przepoconych butach – żeby zakosztować największej radości, jakiej człowiek może doświadczyć w swoim życiu. Zmęczenie opuszcza go. Poruszając się lekko, niczym tancerz, krząta się między stolikami i serwuje jedzenie razem z promiennym uśmiechem. Nie przestaje szeptać do siebie: „Ona ma talent!".

Dopiero wieczorem w Capri tworzy się typowa dla tego miejsca atmosfera. Wtedy to przychodzą na kolację łódzcy bogacze w towarzystwie swoich żon lub kochanek. Pojawia się też inny rodzaj „gości": krzykliwie ubrani kawalerowie

nieokreślonego zajęcia, którzy należeli kiedyś do bałuckiej ferajny, a potem zrobili karierę. Wszyscy oni byli za pan brat z panem Terkeltojbem, który swego czasu sam należał do tego towarzystwa.

Również oni przyprowadzają ze sobą bardzo eleganckie damy. Ubrane w proste, krótkie suknie uszyte według ostatniej mody, w założonych na bakier kapelusikach o miskowatym kształcie, z włosami obciętymi *a'la garson*, damy te błyszczą i mienią się od prawdziwej lub fałszywej biżuterii. Ich kawalerowie noszą garnitury uszyte na miarę z najlepszej jakości angielskich materiałów oraz beżowe getry na butach. Na ich płaskich brzuchach wiszą niczym błyszczące półksiężyce łańcuszki złotych zegarków, schowanych w kieszeniach kamizelek. W drzwiach frontowych Capri pojawiają się z przerzuconymi przez ramię laskami spacerowymi o kosztownych gałkach.

Jankew podziwia, jak to kolorowe towarzystwo lekkoduchów ze swoją ekstrawagancką rebelią przeciw monotonii życia harmonizuje zarówno ze stałymi gośćmi – bogaczami, którzy zapewne zazdroszczą im ich awantur, jak i z ludźmi bohemy, artystami, dla których ich pomysłowość na polu wykręcania się od prawa jest źródłem inspiracji. Między artystami a tym półświatkiem zachodzi jakieś przedziwne powinowactwo, przypominające zażyłość między malarzami i ich modelami. Darzą się wzajemnym szacunkiem. To samo zauważa Jankew w Muzie Fidlera, gdzie nieliczni szczęśliwcy należący do obu tych grup spotykają się przy szklance herbaty i makowych ciasteczkach.

Dzisiejszego wieczoru, podobnie jak we wszystkie pozostałe wieczory, Capri jest po brzegi wypełniona „gośćmi". Światowy kryzys jeszcze tutaj nie dotarł. Jankew jest wciągnięty w wir pracy, równocześnie jednak nie przestaje szeptać do siebie: „Ona ma talent...", jak gdyby te trzy wyrazy były magicznym zaklęciem przepędzającym zmęczenie. Zapomina nawet spojrzeć na zegar, by sprawdzić, jak daleko jest jeszcze do dwunastej, kiedy to tłum gości przeniesie się z Capri do sąsiedniego nocnego lokalu Tabarin, którego współwłaścicielem jest pan Terkeltojb.

*

Praca drugiej zmiany dobiega końca. Tłum gości wylewa się powoli z Capri i część z nich kieruje się w stronę Tabarinu, by tam kontynuować wieczorną zabawę. Pani Pola Wajskop tego wieczoru sama jadła kolację w Capri. Robi to czasami, kiedy jej mąż jest w podróży. Dzisiaj zostawiła Jankewa w spokoju, jednak nie odrywała od niego oczu, co on ledwo zauważył. Teraz wyczekuje na niego na ulicy. Zanim udaje mu się jej uniknąć, zbliża się do niego i chwyta go za rękę.

– Chodź ze mną! – mówi na wpół zapraszającym, na wpół rozkazującym tonem. – Barucha nie ma w mieście, a ja potrzebuję kogoś do towarzystwa. – Ciągnie go ze sobą przez ulicę w kierunku Tabarinu.

Upojony radością z sukcesu Wierki, oszołomiony ze zmęczenia, otumaniony, półprzytomny Jankew czuje się jak manekin. Sytuacja wydaje mu się groteskowa, komiczna, jednak pozwala się jej ciągnąć i mamrocze:

– Lepszego towarzystwa nie możesz sobie znaleźć? Wystawiasz się przecież na pośmiewisko.

– Co cię to obchodzi? – odpowiada mu niewyraźnie, sama rozkojarzona i jakby nieobecna.

Światła w Tabarinie są przygaszone. Na małej scenie w świetle migoczących, różnobarwnych świateł reflektorów śpiewają i tańczą półnagie szansonistki. Pola ciągnie Jankewa za rękę i nie odzywając się już ani słowem, przepycha się z nim przez wąskie przejście między stolikami. Mijają grupki kobiet w długich sukniach z odkrytymi plecami oraz mężczyzn w czarnych smokingach, trzymających drinki w dłoniach. Wszyscy rozmawiają, palą, śmieją się i flirtują. Jankew jest już gotów wyrwać się z ręki Poli. Jedynie ogromne zmęczenie spowodowało, że do tej pory poddawał się jej poleceniom z obojętnością, biernie, jak gdyby kontynuował obsługiwanie jej w restauracji. Kiedy jednak przymierzając się do ucieczki, odwraca do tyłu głowę, spostrzega pana Terkeltojba wchodzącego właśnie do środka z jakąś damą o blond włosach i nie ma innego wyboru, jak pozwolić ciągnąć się naprzód.

Pola przepycha się z nim do drugiego końca sali i przez drzwi zawieszone ciężką draperią wprowadza go do dużego pomieszczenia. Jankew rozgląda się. Słyszał o tej „budzie milionerów" – kasynie, które należy do Tabarinu i choć jest nielegalne, funkcjonuje dzięki sowitym łapówkom. Kiedy przystają w słabo oświetlonym kącie i wygląda na to, że Pola zastanawia się, co dalej zrobić, Jankew gapi się na stolik ruletki pokryty zielonym materiałem. Przygląda się wystrojonym kobietom w błyszczących sukniach z głębokimi dekoltami odsłaniającymi połowę piersi i mężczyznom w czerni z cygarami w ustach. Nerwowe ręce przesuwają żetony. Przed mającym kształt misy kołem szczęścia stoi krupier, niczym kucharz mieszający w naczyniu, w którym ważą się losy. Koło kręci się wprawione w ruch jego ręką. Kuleczka losu skacze wewnątrz misy i zatrzymuje się na szczęśliwym numerze. Pomimo oszołomienia i chęci ucieczki Jankew chłonie wzrokiem tę scenę – dźwięki, wyrazy oczu i twarzy, ruchy rąk na zielonym stoliku. Widzi to wszystko po raz pierwszy w życiu.

Znajduje się oto w samym sercu obcego świata, który chciał zobaczyć z bliska. Ogarnia go dziwne uczucie. Zdaje mu się, że jednak wszystko to już kiedyś widział. Nie odpycha go to, raczej porusza. W pomieszczeniu pali się tylko jedna lampa, która oświetla swym światłem jedynie stół ruletki. Reszta pokoju pogrążona jest w ciemności i mimo tego, że pełno w nim ludzi, zieje tu pustką.

Jankewa opanowuje współczucie dla tych hazardzistów, którzy posiadają już wszystko i nie wiedzą, czego jeszcze chcieć od życia – a mimo to przecież oczekują, że wielka wygrana da im to, czego im brakuje.

„Ona ma talent…" – woła radosny głos w głębi jego serca.

Za „budą milionerów" znajduje się niewielka alkowa z małą sofą i stojącym obok niej stolikiem. Tam Pola wprowadza w końcu Jankewa i sadza go obok siebie na sofce. Dopiero teraz znajduje on w sobie dość energii, by się odezwać.

– Polu, proszę cię… – mówi ochryple z nutą złości w głosie. – Czego chcesz ode mnie? Jak długo będziesz się na mnie mścić? Nie jestem już tym człowiekiem, za którego mnie uważasz. Mam dzieci.

– Tak, wiem. Też mam dziecko. – Pola odpowiada cicho i niewyraźnie, bez uśmiechu. Nachyla się do niego i usiłuje wciągnąć jego wzrok w orbitę czarnej głębi swoich oczu. – Nie mogę nic na to poradzić. Przebacz mi. Wiem, że robię z siebie wariatkę, ale zupełnie mnie to nie obchodzi. To jest obsesja. Związałam wszystkie moje nadzieje z tobą. Sama nie wiem dlaczego. Musisz mnie uratować. Ja tonę. Nie mam niczego, czego mogłabym się uchwycić. Życie nie ma dla mnie najmniejszego sensu. Patrzysz na mnie z pogardą, ponieważ jestem bogaczką, wiem. Ale bycie bogatą nie czyni mnie mniej ludzką, Jankewie. W przeciwieństwie do biednych ludzi bogacze mają więcej czasu, by uświadomić sobie absurdalność życia. Ludzie tacy jak ty są za bardzo zajęci problemami związanymi z utrzymaniem i nie mają czasu na to, by zauważyć jałowość egzystencji. Dlatego tchniesz optymizmem. Tak, wiem co o mnie myślisz. Bogata, rozkapryszona, znudzona Pola odchodzi od zmysłów z dobrobytu. Stara klisza, lecz niezupełnie fałszywa. To straszne. I posiadanie dziecka nie wystarcza. To nie może mnie uratować, a dziecko może cierpieć z mojego powodu. Tylko namiętność, pasja miłości, ten jedyny potężny narkotyk może wypełnić tę pustkę, czy raczej sprawić, że się jej nie odczuwa.

– Nie mogę ci w tym pomóc – odpowiada jej cicho. – Chcę, żebyś mnie raz na zawsze zostawiła w spokoju. Skrzywdziłem cię przed laty, to prawda, lecz nie stało się to wbrew twojej woli, jeśli pamiętasz. Wręcz przeciwnie. Ale czy mi przebaczasz, czy nie… Dlaczego po prostu o mnie nie zapomnisz?

– Przebaczam ci… Już dawno ci przebaczyłam.

– To czego chcesz ode mnie?

– Niczego. Absolutnie niczego. Ale ty zapaliłeś światło w moim życiu i nie mogę pozwolić ci na to, byś je zgasił. Wszystko, czego chcę, to móc cię widywać. Tylko widywać cię i mieć możliwość porozmawiania z tobą od czasu do czasu, tak jak rozmawiamy teraz. Ty wiesz, jakim jestem snobem, jak nienawidzę świata, z którego pochodzisz. Tak, szczerze nienawidzę. Nie wstydzę się tego. Wstydzę się prędzej mojego męża, który tak afiszuje się ze swoim żydowskim pochodzeniem. To wszystko jest mi obce. Jednak nie ma to żadnego znaczenia w twoim przypadku. Nie obchodziłoby mnie ani odrobinę, gdybyś był zbirem, złodziejem, czy sama nie wiem kim. Czy przypominasz sobie, jak dobrze zwykło się nam rozmawiać?

Jankew musi się uśmiechnąć.

– Gdybym był bandytą lub złodziejem, nie rozmawiałoby się nam tak dobrze. – I dodaje z goryczą: – Masz rację. Wciąż jeszcze jesteś okropnie rozpieszczoną gimnazjalistką.

Pola pochyla głowę jeszcze bliżej niego, w swego rodzaju pytający sposób.

– Czy tak? Wciąż jestem okropnie rozpieszczoną gimnazjalistką? Po tym, jak przeszłam przez takie piekło, po urodzeniu dziecka, po długich latach cierpienia w związku bez miłości, po latach beznadziejnej tęsknoty za tobą? Kochałam cię, Jankewie. O, jak ja cię kochałam, i jak wciąż jeszcze cię kocham!

– Nie mnie kochasz – kręci głową – tylko twoje dziewczęce marzenia. Nie masz najmniejszego pojęcia o tym, kim jestem ani co robię.

– Powiedziałam ci, że to mnie nie obchodzi...

– Ale za to mnie obchodzi, kim jestem. I chcę, żebyś zniknęła z mojego życia raz na zawsze. Najwyraźniej cierpienie i wydanie dziecka na świat nie wystarcza, by ktoś taki jak ty stał się dorosłym człowiekiem.

– Łatwo ci mówić, Jankewie. Jestem częścią twojego życia, od której chcesz się uwolnić. I ty jesteś częścią mojego życia, lecz częścią, od której ja uwolnić się nie mogę. Muszę się ciebie kurczowo trzymać, żeby móc dalej żyć. Mylisz się co do mnie. Bardzo się mylisz. Być może nie wiem, kim jesteś i co robisz, ale ty też nie wiesz, kim ja jestem i co robię. I co masz na myśli, mówiąc o stawaniu się dorosłym? Nikt nigdy nie staje się całkiem dorosły. Każdy trzyma się kurczowo swoich młodzieńczych marzeń. I koniec końców, jakie to wszystko ma znaczenie? Kocham cię. Pragnę cię nadal kochać. Muszę. Tak niewiele od ciebie chcę, Jankewie. Podaruj mi jeszcze odrobinę czasu, na znak przyjaźni. O nic więcej cię nie proszę.

– Wybij to sobie z głowy! – woła, odsuwając się od niej. – Nie możemy nigdy być przyjaciółmi. Nigdy! Przez ciebie rozpadła się przyjaźń między mną a Baruchem!

– Przeze mnie? – Pola uśmiecha się gorzko. – Tak ci się tylko zdaje. To stało się z powodu ekonomicznej przepaści, która was dzieli. Nie wiesz tego, mój socjalisto? Tylko miłość może tę przepaść przekroczyć.

– Przyjaźń między mną a Baruchem przekraczała tę przepaść, póki ty się nie pojawiłaś. Przyjaźń ta o niebo przewyższała twoją iluzoryczną, romantyczną miłość. Z tobą nie chcę się przyjaźnić. Nie możesz mnie do tego zmusić. – Kiedy to mówi, nagle nachodzi go ochota, żeby schwycić ją w ramiona i przycisnąć usta do jej cienkich, delikatnych warg, by w ten sposób uwolnić się od jej słów i ogarniającego go paraliżującego uczucia zmęczenia i desperacji. Jednak ciągnie dalej w tym samym tonie: – I to nie dlatego, że jesteś bogaczką i niegodziwą antysemitką, lecz ponieważ za dobrze znam jątrzącą się w twoich słowach truciznę.

– Sprawiasz mi ból. Nie ma słów, by wyrazić cierpienie, jakie mi zadajesz. Nie mogę tego zrozumieć. Jak możesz widzieć mnie w takim strasznym świetle? Lecz nawet jeśli jestem tak toksyczna, to przecież moja miłość do ciebie jest czymś

najszlachetniejszym i najczystszym we mnie. Jak zła bym nie była, moja miłość do ciebie pomaga mi uważać się za lepszego człowieka. Pozwala mi kochać siebie samą w piękniejszy sposób. Obiecaj mi, że będziesz się ze mną spotykał choć raz w miesiącu, nawet jeśli miałbyś mnie obrażać, jak robisz to teraz. Jeśli mnie znasz, musisz przecież wiedzieć, jaka jestem dumna. Da ci to posmak triumfu, zwycięstwa nade mną. – Wyciąga do niego drobną dłoń z pomalowanymi na czerwono paznokciami, by chwycić jego rękę.

– Nie prowadzę z tobą żadnej wojny. – Jankew czerwieni się, czując ciepły, delikatny dotyk jej dłoni na swojej ręce. – Nie byłoby w tym żadnego zwycięstwa ani dla mnie, ani dla ciebie – ciągnie szorstkim głosem, unikając jej wzroku. – Nie chcę cię już nigdy widzieć, Polu! Oczywiście nie mogę ci zabronić przychodzenia do Capri, ale każde z nas powinno robić swoje i na tym koniec.

Bojąc się tego, czego może się dopuścić w następnym momencie, wyrywa swoją rękę z jej dłoni, zrywa się na równe nogi i wybiega z alkowy.

Jest trzecia w nocy, kiedy Jankew przychodzi do domu. Binele i my, córki, stoimy przy oknie w koszulach nocnych. Wierka i ja drżymy i popłakujemy, roztrzęsiona Binele ma twarz wykrzywioną ze zgryzoty. Od wielu godzin stoi tak przy oknie i wypatruje oczy, czekając na Jankewa. Obudziłyśmy się od jej głośnych westchnień. Dojrzawszy mamę stojącą przy oknie, wstałyśmy z łóżka i razem z nią wypatrywałyśmy go w ciemnościach nocy. Przestraszone myślałyśmy, że pewnie napadli go chuligani i może już nigdy go nie zobaczymy.

– Byłem na zebraniu związku. Zapomniałem ci o tym powiedzieć – burczy pod nosem zamiast przeprosin. Obsypuje pocałunkami mnie i Wierkę, po czym prowadzi nas z powrotem do łóżka. – Czerwoni nas przekrzykują – tłumaczy Binele szeptem. – Wcisnęli się do zarządu i wszystko przejęli. Nie mogłem wcześniej wyjść.

To świetna wymówka. Członkowie związku zawodowego kelnerów organizują zebrania w nocy, po drugiej zmianie. Odkąd związkowi grozi, że cały zarząd wpadnie w ręce komunistów, zebrania są burzliwe i często trwają aż do świtu. Jankew unika wzroku Binele. Nie jest pewny, czy przyjęła tę wymówkę za dobrą monetę.

Binele kładzie się z powrotem do łóżka. Jankew przykrywa mnie i Wierkę kołdrą, przy czym znowu obsypuje nas pocałunkami. Gdy rozbiera się, Binele wciąż nie odzywa się do niego ani słowem. Czy coś podejrzewa? Czy jest zła na niego? Za chwilę trzyma ją w ramionach. Przytulając się do niej, czuje wilgoć na jej policzku.

– Bogu dzięki, wróciłeś do domu. – Słyszy w końcu jej szept.

Następnego dnia pan Terkeltojb wita Jankewa z chytrym uśmieszkiem na twarzy.

– Jak poszczęściło ci się wczoraj w Tabarinie, Jankewie? – pyta go. – Widzę, że Baruch Wajskop zostawił swoją piękną żonkę w twoich rękach. Czy mam mu opowiedzieć, jak dobrze potrafisz ją zabawić, i że może na tobie polegać? – Pan Terkeltojb puszcza szelmowskie oko.

Jankew uśmiecha się głupawo. Twarz mu płonie, serce ściska się i przeszywa go dreszcz niepokoju. Zaczyna odczuwać strach przed panem Terkeltojbem i unika odtąd jego wzroku, lecz jego samego unikać nie może.

Po pracy Jankew często bierze udział w zebraniach związku lub spotyka się z innymi kelnerami, którzy chcą omówić z nim sprawy związkowe, dlatego zazwyczaj wraca do domu prawie o świcie. Źle sypia. Myśli o zmarłym bracie, które udaje mu się przepędzić w ciągu dnia, nocami dręczą go w snach. Śni też o Poli. Są to mgliste, erotyczne sny, które trącą śmiercią. W snach widzi ją zawsze ubraną w coś czarnego i przezroczystego.

Po takich źle przespanych nocach i porankach jest roztargniony w pracy i nogi się pod nim uginają. Kiedy znajduje się w takim stanie, obsługuje Polę i innych nieuprzejmych gości z podwójną uniżonością. Stara się schlebiać panu Terkeltojbowi i gdy w restauracji panuje słabszy ruch, przełamuje się i wdaje się z nim w filozoficzne rozważania, wykazując się swoją talmudyczną wiedzą i świecką erudycją. Z przesadną uwagą przysłuchuje się śmiechu wartym wywodom pana Terkeltojba o „sztuce", które irytują go lub nudzą śmiertelnie, kiedy jest rozstrojony i wyczerpany. Gdy z przyklejonym do twarzy uśmiechem demonstruje swój wdzięk, zgrabną sylwetkę, pociągający męski urok, inteligencję – wszystko za wyjątkiem duszy – czuje się jak męska prostytutka.

Jednak nadal musi zachowywać się w ten sposób. Pan Terkeltojb, który posługuje się językiem polskim niewiele lepiej od Jankewa, jest niezwykle surowy, jeśli chodzi o maniery i sposób wyrażania się swoich kelnerów. Jego wyrozumiałość dla Jankewa rzuca się w oczy. Respektuje go z oczywistych powodów. Wygląd Jankewa, jego postawa i zachowanie się wobec ludzi znajdują uznanie w jego oczach. Oprócz tego Jankew stał się znakomitym kelnerem. Większość gości chce być obsługiwana tylko przez niego. Nie bez znaczenia jest też to, że Jankew zachowuje się wobec pana Terkeltojba ze swego rodzaju serdecznością i pełną szacunku poufałością. Jest to bardzo satysfakcjonujące i przyjemne dla pana Terkeltojba, który lubi przechwalać się swoją znajomością ludzkiej natury i nie znajduje ani śladu fałszu czy pochlebstwa w komplementach, które prawi mu Jankew. Pan Terkeltojb z wielkim ukontentowaniem przechwala się przed gośćmi, że to on wyratował Jankewa dosłownie z rynsztoka i zrobił z niego człowieka.

Rzadko jednak zdarza się, by rozmowa między Jankewem a jego szefem nie zawierała przynajmniej łagodnego napomnienia dotyczącego okropnego akcentu w polszczyźnie Jankewa. Nic dziwnego. Najważniejsi bywalcy Capri są bowiem dumni z tego, że posługują się językiem polskim lepiej niż sami Polacy, oraz bardziej od nich przeczuleni na punkcie poprawnego akcentu. Ponadto zdarza się dość często, że niektórzy ze stałych gości należących do lokalnej, polskiej arystokracji, zabierają swoich znajomych z Warszawy do Capri na kolację. Pikantny, egzotyczny smak żydowskiej kuchni należy do nielicznych atrakcji,

którymi Łódź może się poszczycić. To jedyny aspekt *jidyszkajt*[245], który przypada Polakom do smaku.

Z nadejściem wiosny Pola Wajskop coraz uporczywiej próbuje nawiązać kontakt z Jankewem. Rzadko zdarza się dzień, żeby nie pojawiła się elegancko ubrana w Capri, gdzie siada przy stoliku w rewirze Jankewa i zamawia „małą czarną" z ciastem francuskim lub lody. Zapach jej perfum oraz smutne, błagalne spojrzenie jej dużych, czarnych oczu towarzyszą Jankewowi wszędzie i sprawiają, że szumi mu w głowie i nieustannie drżą mu ręce. Czasami, gdy obsługuje ją, szepcze mu do ucha, prosząc, żeby się z nią gdzieś spotkał, lub wsuwa różową kopertę do kieszeni jego białej marynarki. On sztywnieje wtedy jak ktoś w obliczu nagłego niebezpieczeństwa. Pola sprawia wrażenie delikatnej, zagubionej w beznadziejnym cierpieniu kobiety. Jednak z jej czarnymi jak smoła włosami, z drobnymi ustami umalowanymi jaskrawą czerwienią i cała w czerni, zdaje mu się być potężną, czarną boginią, która przybyła wprost z ognistej otchłani, by porwać go ze sobą w gorejącą czeluść. Niekiedy tak wyprowadza go z równowagi, że taca na jego ręce chybocze i z pełnych talerzy wylewa się zupa, a filiżanki z „małą czarną" spadają na podłogę i tłuką się.

Pan Terkeltojb jest coraz bardziej niezadowolony z Jankewa. Obawia się, że lada chwila może wybuchnąć skandal, który unosi się w powietrzu nad stolikiem Poli. Jeśli chodzi o sprawy dotyczące ludzkiej natury, pan Terkeltojb nie urodził się wczoraj. Życiowe pokusy, z którymi sam się zmaga, pomagają mu w oszacowaniu takich sytuacji. Zaczyna więc bacznie obserwować Jankewa. Kiedy tylko Pola przychodzi do Capri, pan Terekltojb sadowi się przy stoliku w oddalonym kącie restauracji i nie spuszcza ani jej, ani Jankewa z oczu. To, co widzi, nie podoba mu się. Pan Terkeltojb chełpi się przyjaźnią z Baruchem Wajskopem i wskoczyłby dla niego w ogień. Baruch Wajskop jest prawdziwą perłą wśród gości Capri, najlepszą reklamą, jaką może mieć restauracja. Dlatego pan Terkeltojb nie może w żadnym razie kierować się uczuciami, jakie żywi dla prostego kelnera. Dobro interesu stoi ponad wszelkimi sentymentami. Do tego jeszcze zbyt często zdarza się, że Jankew rozbija jakieś naczynie, a jego polszczyzna wciąż pozostawia wiele do życzenia. Kucharz skarży się na niego, że popełnia więcej błędów, zapisując zamówienia, przez co dochodzi do nieporozumień przy spełnianiu życzeń gości. I jakby tego wszystkiego było mało, na głowie Jankewa pojawiają się zaczątki łysiny.

W końcu pan Terkeltojb przywołuje Jankewa na stronę, by powiedzieć mu, co o tym wszystkim myśli.

– Nie podoba mi się to, co widzę, Polin – mówi, zwijając spokojnie cygaro między pulchnymi palcami. – Twój okropny akcent to małe piwo w porównaniu do skandalu, na który się tu przez ciebie zanosi. Nie chcę żadnej awantury

[245] Tu: żydowskości.

w moim lokalu, rozumiesz? Baruch Wajskop jest moim bliskim przyjacielem i jestem dumny, że przychodzi do mojej restauracji. Lubię cię, Polin, wiesz o tym. Ale Wajskop jest dla mnie wart więcej niż tysiąc takich żebraków jak ty. Dlatego ostrzegam cię, bracie kochany, przed konsekwencjami.

Jankew nie broni się. Nie może się zmusić, by próbować wyjaśnić panu Terkeltojbowi swoje relacje z Polą.

Czasami Jankew czuje się tak przybity, że nie jest w stanie pójść do domu zaraz po pracy i wędruje bez celu ciemnymi ulicami śpiącego miasta. Biegną za nim bezdomne psy, zaczepiają go prostytutki. Gdy pijacy proszą go o papierosy, siada obok nich na trotuarze pod murem i pali razem z nimi. Jednocześnie walczy ze strachem, żeby gdzieś z bocznej uliczki nie wyszli nagle chuligani.

*

Jankew nie opowiada Binele o swoich problemach w pracy. Czasy są coraz cięższe. Kryzys osiąga punkt kulminacyjny i w mieście roi się od bezrobotnych wszelkich zawodów. Fach tkacki nie jest wyjątkiem i Jankew wątpi, czy Binele znalazłaby pracę dla siebie, gdyby on stracił posadę. Tymczasem w Capri interes kręci się jeszcze, jak za najlepszych czasów. Póki co, Jankew zarabia dobrze i Binele nie musi harować w fabryce, czego tak nienawidzi, lecz może zajmować się domem i dziećmi.

Jednak głęboko w sercu Binele zagnieżdża się pewne podejrzenie. Wyczuwa w Jankewie jakąś dziwną zmianę. Nie musi jej sam mówić, że coś go gnębi. Wprawdzie wciąż jeszcze nie rozumie go dość dobrze, ale zwieść jej nie może, podobnie jak i ona nie może zamydlić mu oczu. Każde z nich jest mocno wyczulone na niuanse w nastrojach drugiego. Binele wie też, że Jankew w nocy źle sypia. Zauważyła, jaki jest blady i wyczytuje trwogę z jego spojrzenia. Nie ma w nim iskry życia, kiedy wraca z pracy do domu. Zamiast przypaść do niej i wziąć ją w ramiona, jak zwykł robić to dawniej, składa na jej ustach suchy pocałunek i mówi, że jest bardzo śpiący. Binele nie potrzebuje bardziej oczywistych dowodów na to, że coś jest z nim nie tak.

To podejrzenie roznieca iskry zazdrości w jej sercu. Zastanawia się, czy może Jankew spotkał w Capri jedną z eleganckich, bogatych, beztroskich piękności o wypielęgnowanych, porcelanowych twarzach i z pomalowanymi paznokciami – jedną z kobiet, które nie brudzą sobie rąk pracą i bez mrugnięcia okiem potrafią z nudów zawrócić w głowie mężowi innej kobiety. Fach kelnera wiąże się z pewnym ryzykiem dla jego żony, zwłaszcza w przypadku mężczyzny z taką piękną twarzą, zgrabną sylwetką i falami brązowych włosów – mimo że ostatnio zaczęły się przerzedzać i przyprószyła je siwizna – nie wspominając o inteligencji i aksamitnym głosie Jankewa.

Potem zaczyna dręczyć ją strach, że zagraża mu jakieś niebezpieczeństwo. Może grożą mu czymś jego przeciwnicy w związku zawodowym? Czy może coś

niedobrego dzieje się w pracy? Możliwe, że Jankew reaguje zbyt gwałtownie na zniewagi ze strony impertynenckich gości. Pan Terkeltojb nie byłby zadowolony z takiego zachowania. Jeśli tak, to może Jankewowi grozi wyrzucenie na bruk? Ale to nie może się wydarzyć! Tak dobrze im się przecież wiedzie w ostatnich czasach: dzieci mają zabezpieczoną przyszłość, są pieniądze na nowe ubrania na Pesach i mogą sobie pozwolić nie tylko na czynsz za mieszkanie, ale także na wynajęcie pokoju w Stefanowie na lato. Do trosk Binele dochodzi kolejna, jeszcze poważniejsza obawa, że Jankew straci nie tylko posadę, lecz że utraci coś więcej – samą podstawę swojej duszy. Boi się, że może dał się wciągnąć w jakieś ciemne interesy i przez to fundamentom tego, co on i ona z takim trudem próbowali zbudować, grozi zawalenie się.

Pierwszą rzeczą, jaką Binele postanawia zrobić, jest oszczędzanie. Każdego tygodnia odkłada ile się da z wynagrodzenia Jankewa. Na najwyższej półce w szafie, pod leżącym tam w aksamitnym woreczku tałesem Jankewa, którego od lat nie używał, ukrywa małą tabakierkę, która zaczyna jej służyć za rodzinny bank.

Pewnego dnia Jankew sugeruje, że nadchodzącego lata powinni zrezygnować z wynajmowania pokoju na wsi, gdyż w kraju panuje kryzys i trzeba być ostrożnym. Binele o nic nie pyta. Chociaż o tym nie rozmawiali, wiedzą, iż oboje drżą z obawy, żeby Jankew, nie daj Boże, nie stracił posady. Szczęście nie może przecież trwać wiecznie.

Zbliża się lato. Binele pokazuje Jankewowi pieniądze, które zdołała zaoszczędzić w tabakierce, i mówi:

– Dzieci dorastające na Bałutach bardziej potrzebują świeżego powietrza niż te, które mieszkają w innych częściach miasta.

Jankew zgadza się z nią i proponuje:

– To poślijmy Wierkę i Miriam do Stefanowa razem z Balcią, a ty z Nońkiem jedź na parę tygodni do Bocianów. Tam powietrze jest tak samo dobre jak w Stefanowie. Kiedy wrócisz, może zaczniesz rozglądać się za pracą.

W tym momencie Binele zadaje mu nagle pytanie:

– Co pan Terkeltojb ma przeciwko tobie?

– Nie podoba mu się mój polski – odpowiada Jankew.

A więc o to chodzi. To znaczy, że posada Jankewa istotnie wisi na włosku. Ukrywał to przed nią, by oszczędzić jej zmartwienia. Jest mu wdzięczna, ale też ma do niego żal.

– Jak mogłeś tak długo nie pisnąć o tym ani słowa? – zarzuca mu. – Czy jesteśmy mężem i żoną tylko na dobre czasy? Czy nie zwierzam ci się ze wszystkich moich zwariowanych trosk? – pyta, chociaż nie zwierza mu się ze swoich trosk, tak samo jak on nie opowiada jej o swoich.

Kiedy oboje mają chwilę wolnego czasu, Binele zaciąga Jankewa do Cederbojmów, by omówić z nimi jego problemy w pracy.

– Ale co twój szef ma do ciebie? – nie może zrozumieć Balcia.

– Wielki pseudointeligent pan Terkeltojb nie może znieść polszczyzny Jankewa

– wyjaśnia jej wzburzona Binele. – Bałucki alfons, który dorobił się, wysyłając uliczne dziewczyny do Argentyny, jest wielkim purystą, jeśli chodzi o akcent Jankewa!

Wowa uderza pięścią w stół.

– Może stawać na głowie, ten niegodziwiec! Jest przecież związek zawodowy, jest solidarność robotnicza. Urządzimy mu piekło, jeśli ośmieli się... Nawet jeśli komunistyczni intryganci będą się cieszyli, widząc, jak bundysta dostaje kopa w tyłek. – Wowa wyśmiewa postanowienie Jankewa i Binele, by zrezygnować z wynajęcia pokoju na wsi. Domaga się raportu o stanie ich oszczędności i zapewnia, że jego własna sytuacja finansowa jest tysiąc razy gorsza. – Losem robotnika jest życie w strachu przed jutrem – konkluduje. – Tak to jest. Tego przecież chcą nasi wrogowie: żebyśmy się zatruwali parę lat. Zróbmy więc na złość naszym wrogom i złapmy życie za rogi! Jedźmy wszyscy do Stefanowa wynająć mieszkanie na lato!

Jankew nie odzywa się ani słowem i tylko potrząsa niezdecydowanie głową, lecz w końcu zgadza się.

Obie rodziny wynajmują pokój w Stefanowie, by dzielić wydatki, jednak nie po równo. Wowa upiera się, że on musi ponieść większą część kosztów, ponieważ dzieci jego i Balci – dwóch chłopców i dziewczynka – to istne diablęta, a dzieci Jankewa i Binele – dwie dziewczynki i chłopiec – są prawdziwymi aniołami.

Nastrój Binele poprawia się. Znowu jest pełna energii i z radością wyczekuje beztroskiego pobytu na wsi. Postanawia podążyć za radą Wowy i korzystać z życia, a martwienie się odłożyć na później. Kocha wieś i zamierza przyjemnie spędzić tam czas, nacieszyć się wolnością i pięknem natury. Koniec końców jak na razie nic złego się przecież nie wydarzyło. Uważa, że musi zdobyć się na odwagę i dać dzieciom to, czego teraz właśnie najbardziej potrzebują.

Nie dziękuje zbyt gorąco Cederbojmom za ich wielkoduszność. Ich zachowanie jest dla niej normalne. Jest przekonana, że gdyby sytuacja była odwrotna, ona i Jankew nie postąpiliby inaczej. Nienawidzi zaciągać wobec kogokolwiek długu wdzięczności. Ludzie robią dla siebie nawzajem co w ich mocy, bez względu na to, czy są dobrymi przyjaciółmi, czy nie. To wszystko. Najważniejsze to korzystać z życia ile się da i czerpać z niego przyjemność, nie krzywdząc przy tym innych. Ona zawsze będzie szukała sposobów, jak otrząsnąć się z przygnębienia i niczym kwoka wybierała ziarna przyjemności – zwykłych przyjemności istnienia, takich jak zdrowie, satysfakcja z dzieci, jedzenie, spanie z ukochanym mężczyzną i pogawędki z bliskimi ludźmi.

*

Radosny nastrój Binele ma jeszcze inną, ważną przyczynę. Jej serce przepełnia poczucie triumfu. Poeta Mojsze Sokrates, który już od wielu lat miał słabość do Cypory, darzy ją silniejszym uczuciem, odkąd wyszła z więzienia. Wprowadził się

do jej różowego „buduaru", który z biegiem czasu stawał się coraz mniej różowy. Cypora porzuciła swoją profesję i dostała posadę służącej w bogatym domu. Zaręczyny pary zostały ogłoszone podczas nieoficjalnego przyjęcia w Muzie Fidlera, a miesiąc później odbyło się huczne, proletariackie wesele. Twarz Cypory jaśniała światłem Szechiny. Bagatela! Stała się nie tylko „porządna" do szpiku kości, lecz była też teraz żoną znanego socjalisty i wielkiego poety! Z dumą przyłączyła się do działalności ukochanego i zaczęła współpracować z nim przy przeprowadzaniu agitacji i propagandy między ulicznymi dziewczętami i ich kawalerami z ulicy Fajfera. Podczas wieczorów literackich, na których Mojsze czytał swoje wiersze, siedziała obok niego na honorowym miejscu.

Młoda para żyła we wzorowej harmonii. Mojsze Sokrates nigdy nie zarabiał dużo i nie zmieniło się to też po ślubie. Jego dochody były, podobnie jak jego momenty natchnienia, nagłymi zrządzeniami losu, tyle że zarobki trafiały mu się jednak rzadziej niż chwile twórczej inspiracji. Od czasu do czasu towarzystwa pomocy ubogim, dla których pracował jako urzędnik, urządzały dla niego zbiórki pieniędzy wśród swoich członków.

Za to Cypora zaangażowała się aktywnie w poprawę ekonomicznego i literackiego statusu swojego męża. Wzięła na siebie trud zmagania się ze wszystkimi żydowskimi redaktorami, którzy od czasu do czasu przyjmowali wiersze Mojszego do druku. Targowała się z nimi o każdą linijkę wydrukowanego wiersza. W domu nalegała, by Mojsze dodawał wersy do swoich utworów, żeby podnieść ich wartość, zapewniając go, że pozostałymi sprawami już ona sama się zajmie. W sobotnie poranki nie wypuszczała go z „buduaru", aż nie wyprodukował jednego długiego poematu lub dwóch krótkich. Każdego wieczoru musiał jej zaprezentować, co stworzył w ciągu dnia. I tak zaczęła się nowa faza w twórczości Mojszego – faza prawdziwie proletariackich wierszy miłosnych.

Ogólnie rzecz biorąc, Cypora była głową rodziny, a Mojsze – sercem. Cyporze nigdy nie przyszło ma myśl nalegać na Mojszego, by znalazł jakąś stałą posadę, albo żeby siedział w domu po ukończeniu swojej dziennej porcji poetyckiej twórczości. Rozumiała, że wielki poeta potrzebuje wolności jak powietrza, i że musi unikać małodusznego zniewolenia, jakie niesie ze sobą zarabianie na życie. Potrzebował zanurzać się myślami w dzieła Heinricha Heinego, który jego zdaniem był największym poetą na świecie, ponieważ miał szczęście, że nie urodził się na Bałutach, jak on. Cypora była zdania, że jeśli Mojsze miałby dobrze zarabiać, to musiałby robić to w poetycki sposób, to znaczy czerpiąc zyski ze sprzedaży swoich książek. Uważała, iż nie wystarczy, by Mojsze miał opinię słynnego poety tylko na Bałutach i czytał swoje poematy jedynie dla bałuckiego proletariatu, alfonsów i prostytutek. Był już najwyższy czas, żeby wydawał opasłe książki i cieszył się zasłużonym szacunkiem podczas wieczorów literackich, na których czytałby swoje dzieła zachwyconej publiczności z całego miasta.

Niczym zły sen minęły czasy, kiedy Cypora czuła się upokarzana i pogardzana. Teraz trzymała głowę uniesioną wysoko. I równocześnie ze wzrostem

poczucia własnej wartości, w jej życiowej filozofii dokonał się zupełny przewrót. „Miłość-szmiłość", z powodu której zwykła wyśmiewać się z Binele, stała się jej ideałem. Chociaż nie była aż tak bardzo zadurzona, żeby całkowicie przestać doceniać wartość posiadania pieniędzy, to jednak ich niedostatek przyjmowała bez śladu rozgoryczenia. Były w życiu wyższe rzeczy, których nie można dostać za całe pieniądze świata. Dość napatrzyła się na biedę i nacierpiała, by należycie doceniać to, co obecnie posiadała.

Duma i szczęście przepełniające Cyporę zupełnie ją zmieniły. Rozkwitła i stała się w pewien sposób szlachetniejsza, bardziej subtelna. Pierścionki z drogimi kamieniami zniknęły z jej palców i teraz paradowała jedynie z posrebrzanym pierścionkiem zaręczynowym. Przestała farbować włosy na blond i stopniowo przeobraziła się w ciemnowłosą piękność, chociaż liczne siwe pasma dodawały jej fryzurze srebrnego połysku, a jej twarz pokryta była cienką siatką zmarszczek. Nadal zwykła zalotnie przyciskać palcami fale włosów wokół czoła i wciąż jeszcze miała uroczy dołeczek w podbródku.

Mojsze nauczył Cyporę czytać i pisać, a Binele zwerbowała ją do wstąpienia do kobiecej organizacji JAF, która powstała parę lat wcześniej. Podobnie jak pobożny Żyd chodzi się modlić, tak wystrojona w swoje odświętne ubrania Cypora maszeruje dumnie ramię w ramię z Balcią i Binele na spotkania członkiń JAF-u, na których trudno znaleźć bardziej oddaną sprawie i lojalną towarzyszkę niż ona. Podczas tych spotkań stawia towarzyszce Hance tak zuchwałe pytania intymnej natury, że ta, pomimo całej swojej erudycji w zakresie kobiecych problemów, czerwieni się mimowolnie i plącze w odpowiedziach. Cypora chce się przede wszystkim dowiedzieć, czy współczesna medycyna zna dobry, pewny środek, dzięki któremu nie pierwszej młodości kobieta może zajść w ciążę z niemłodym już mężczyzną. Do pełnego triumfu nad wszystkimi wrogami brakuje Cyporze urodzenia dziecka „zanim będzie za późno".

Czy towarzyszka Hanka udzieliła jej prywatnie dobrej rady, czy też była to raczej kwestia szczęścia, które w końcu zaczęło się do niej uśmiechać – w każdym razie Cypora zaszła w ciążę i dumnie paraduje z rosnącym brzuchem. Sprzedała wszystkie swoje eleganckie kreacje i oszczędza każdy grosz dla swojego mamzera[246].

Binele triumfuje i cieszy się szczęściem Cypory, jakby było jej własnym. Jeśli chodzi o Mojszego Sokratesa, dosłownie go ubóstwia. Stara się nie zauważać jego wad i ignorować fakt, że działa jej na nerwy. Bardzo często bierze Nońka za rękę i z miseczką potartych marchewek z cukrem – pokarmem zdrowym dla oczu mającego się narodzić dziecka – idzie złożyć wizytę zaprzyjaźnionej parze w ich „buduarze". „Buduar" utracił w końcu zupełnie swój wcześniejszy różowy wystrój i zaczyna przypominać dawne mieszkanie Cypory, w którym kiedyś razem mieszkały.

---

[246] Mamzer (hebr.) – w judaizmie żydowskie dziecko narodzone z kazirodczego lub cudzołożnego związku; pot. również bękart, nicpoń.

Teraz Binele może swobodnie wdychać powietrze stęchłego, zakurzonego, nieposprzątanego pokoju i chłonąć atmosferę ubogiego, bałuckiego szczęścia.

Tego lata Cypora i Mojsze przyjeżdżają w gości do Stefanowa. Przy wieczornym ognisku, które mężczyźni rozpalają na polu w sobotnią noc, Wierka recytuje wiersze Mojszego o niemieckim faszyście Hitlerze, trzymając przy tym w górze dłoń zaciśniętą w pięść, jak nauczył ją tego Mojsze. Wszystkie dzieci z ogromnym szacunkiem towarzyszą wielkiemu poecie oraz jego żonie z wielkim brzuchem, oprowadzając ich po okolicy i pokazując im cuda natury, jakimi obdarzony jest Stefanów. Binele jest tak przejęta tą wizytą i tak zadowolona z podejmowania gości, że aż nie wie, co z nimi zrobić, gdzie ich posadzić, co przyrządzić im do jedzenia – i prawdę powiedziawszy, nie ma pojęcia, gdzie ich położyć spać. W tę sobotnią noc w jednym ciasnym pokoju chłopskiej chałupy muszą zmieścić się posłania dla sześciorga dorosłych i sześciorga dzieci. Na szczęście chłopcy Cederbojmów, Herszko i Gabi, oferują się dobrowolnie spać na niewielkim kawałku podłogi, ponieważ w ich opinii pachnie to niezłą przygodą.

Przed zaśnięciem Cypora odzywa się do swoich gospodarzy:

– Jeśli urodzę szczęśliwie, też będę przyjeżdżała na letnisko do Stefanowa z moim mamzerem.

*

W Stefanowie głowa Jankewa może odpocząć od trosk. Natura, jeszcze bardziej niż zwykle, działa na niego uspokajająco i pozwala mu spojrzeć na problemy z dystansu, przez co wydają się mniejsze. Szerokie, otwarte niebo ponad głową i zielona, pachnąca ziemia pod stopami pomagają mu zobaczyć ważne na co dzień sprawy zarówno z perspektywy przemijalności, jak i wieczności.

Chodzi na długie spacery z towarzyszką Hanką. Wspólna tajemnica z lat młodości zbliża ich teraz do siebie. Oboje są dumni i zadowoleni, że z sukcesem wyszli z tamtej krytycznej sytuacji. Dzięki temu mogą teraz rozmawiać ze sobą szczerze i otwarcie. Hanka nabrała pewnego wdzięku w oczach Jankewa. Promieniujące od niej matczyne ciepło sprawia, że wydaje mu się bardziej kobieca i piękniejsza. Jest wzorową matką dla małej Sorki. Oprócz tego interesująco mówi i sama potrafi być dobrą słuchaczką. Jankew zdobywa się na odwagę i zwierza się jej ze swoich wątpliwości dotyczących zarówno ogólnoludzkich spraw, jak i kwestii partyjnych. W przeciwieństwie do Wowy nie jest dogmatyczna i Jankew znajduje z nią wspólny język. Rozmawianie o duchowych sprawach z kobietą jest dla niego szczególnie pociągające. Dodaje wymianie słów smaku jakiejś ważnej gry, stymuluje myślenie i stwarza szczególne napięcie między rozmawiającymi.

Lubi też towarzystwo Balci Cederbojm i również z nią ucina sobie często pogawędki. Ich rozmowy, podobnie jak rozmowy z Hanką, są serdeczne i intymne, chociaż obie kobiety nie pociągają go fizycznie. W Balci lubi jej życiowy pragmatyzm,

rzeczowość, „szorstkość" jej wielkiego serca, a nawet fakt, że ani trochę nie obchodzi jej to, co jego interesuje. Lubi wprawdzie literaturę piękną, lecz, podobnie jak Wowa, nie jest w stanie dać się ponieść skrzydłom fantazji. Posiada za to talent oswobodzenia każdej wzniosłej myśli z efekciarskiego, dekoracyjnego opakowania słów i przekonania się, czy zawiera w sobie coś istotnego. Jankew, będąc jej dokładnym przeciwieństwem, docenia krytykę, której mu zresztą nie szczędzi. Całuje ją w policzek i wygłupia się z nią po przyjacielsku.

Jednak kocha tylko Binele. Niczym stęskniony narzeczony przyjeżdża do Stefanowa, by ogrzać się w świetle, które z niej promieniuje.

Podczas pobytu na wsi Binele zachowuje się niczym dzika koza. Wygląda, jakby była niewiele starsza od dzieci. Jej ciało jest zmysłowo zaokrąglone, a obsypana piegami skóra zaróżowiona od słońca. Ubiera się w odsłaniające ramiona zwiewne sukienki z dekoltem i wycięciem na plecach. Przyciąga spojrzenia mężczyzn, którzy przyjeżdżają do Stefanowa na sobotę. Flirtuje z nimi wesoło, pozwala, by chwytali ją w objęcia i skradali pocałunek. Podczas długich spacerów w piątkowe wieczory Jankewowi z trudem udaje się zatrzymać ją u swego boku, ponieważ towarzysze wciąż „wypożyczają" ją od niego. On sam nigdy nie pragnął Binele tak bardzo, jak podczas tych dni na wsi, zmęczony tęsknotą długiego tygodnia rozłąki. Jednak, właśnie tu, na wsi, prawie niemożliwym jest znalezienie spokojnego kącika, do którego można by się wymknąć i spędzić czas tylko we dwoje. Czasami wykradają się z chałupy w środku nocy, by wpaść sobie w ramiona w stodole, pośród pola, czy nawet w lesie. Nieraz próbują też zniknąć na chwilę w ciągu dnia, jednak łatwiej o tym mówić, niż zrobić.

Beztroskie flirtowanie z innymi na wsi nigdy nie ma takiego znaczenia, by mogło zagrozić partnerskiej harmonii między nimi. To się po prostu nie liczy. Tygodnie po powrocie ze Stefanowa Binele i Jankew droczą się ze sobą i odgrywają sceny zazdrości, co za każdym razem kończy się śmiechem i wzajemnymi wyznaniami miłości.

Jedynym ze stałych gości, który tego lata nie przyjechał do Stefanowa, jest Anton Cimerman. Już dawno przestał zachodzić do mieszkania przy ulicy Nowomiejskiej, jak oboje z Binele postanowili. Przechodzi trudny czas. Reakcyjni radni, narodowcy w radzie miejskiej, której Cimerman jest członkiem, wysyłają za nim chuliganów, którzy szpiegują go na ulicach i często napadają na niego, by wypróbować na nim swoje pięści. Narodowcy wiedzą dobrze, że jest on świetnym mówcą na wspólnych, masowych spotkaniach polskich i żydowskich robotników. Swoje przemówienia wygłasza we wspaniale brzmiącej polszczyźnie bez najmniejszego śladu żydowskiego akcentu. Jego postać o szerokich ramionach oraz postawa i ubranie stanowią silny kontrast wobec typowego wizerunku Żyda z karykatury, dlatego jest on im cierniem w oku i darzą go przez to szczególną uwagą. Rzadko widzi się go bez obandażowanej głowy lub ręki na temblaku. Binele widuje go na zebraniach partyjnych. Pozdrawiają się z daleka, z powagą kiwając do siebie głowami.

Jakże zaskoczona jest zatem Binele, kiedy parę tygodni po jej powrocie ze Stefanowa Anton Cimerman pojawia się w drzwiach mieszkania przy Nowomiejskiej. Przypatrują się sobie przez długą chwilę, stojąc rozdzieleni progiem. W końcu Cimerman obdarza ją swoim charakterystycznym półuśmiechem i pyta:

– Pozwoli mi pani spocząć u siebie godzinkę? Muszę przeczytać coś bardzo ważnego, a w domu przeszkadza mi telefon. – Wskazuje na plik papierów, które sterczą z jego kieszeni. Binele podaje mu rękę, wskazuje podbródkiem na stół i bez słowa czeka, aż on przekroczy próg i usiądzie. Cimerman odwraca do niej głowę i znowu pyta: – Może uraczy mnie pani szklanką herbaty, zaparzonej jak tylko pani to potrafi?

Siedzi przy dużym, dębowym stole z nogami w kształcie lwich łap. Stół jest podniszczony i odrapany, gdyż cudem ocalał z pożaru w fabryce przy ulicy Składowej. Binele wciąż bardzo się z nim cacka i strzeże go niczym oka w głowie. Przykrywa go ceratą, na nią kładzie obrus, a na niego jeszcze jedną ceratę. Ja i Wierka siedzimy teraz przy tym stole naprzeciwko Cimermana pozornie pogrążone w naszych zadaniach domowych. Spod opuszczonych powiek przyglądamy się, jak z nosem zanurzonym w swoim materiale czytelniczym ukradkiem śledzi wzrokiem każdy ruch mamy.

W ciągu tej krótkiej chwili między wejściem Cimermana do mieszkania a momentem, kiedy Binele zabiera się do zaparzenia herbaty, udaje się jej uświadomić sobie swoje uczucia. Nie jest jej obojętne, że przyszedł, by się z nią zobaczyć – bo przecież po to przyszedł, a nie żeby coś przeczytać. Jest mu wdzięczna za to, że ją poniekąd wyedukował – nie tylko nauczył ją czytać i pisać, lecz także poszerzył jej horyzonty; iż miał do niej wiele cierpliwości i darzył ją szacunkiem. Jednak najbardziej jest mu wdzięczna za to, że ciągle jest w niej zakochany. Musi przyznać przed sobą, że ogromnie jej to pochlebia i sprawia, że czuje się wyróżniona. Lubi swoje odbicie w jego oczach.

Teraz, kiedy widzi go siedzącego przy stole i czytającego, ubranego w czysty, zapięty na wszystkie guziki garnitur z krawatem, czuje wyraźnie, jak ciągnie ją do niego. Jego szerokie ramiona oraz krępa sylwetka, która promieniuje poskromioną siłą i energią, jego nonszalancki stosunek do własnego bezpieczeństwa – wszystko to sprawia, że wokół jego postaci unosi się romantyczny aromat męskości. Przypomina jej ojca z młodszych lat, jej majestatycznego ojca, który tak często ją bił. Binele myśli, że jeśli Cimerman jest w niej zakochany, to nie ma w tej miłości nic beztroskiego, lecz prędzej coś groźnego i fatalnego. Miłość Cimermana jest śmiertelnie poważną sprawą, mroczną, wzbudzającą lęk namiętnością; jednak namiętnością, która kusi. Kiedy jej ojciec przed laty pobił ją laską, została jej po tym na głowie blizna, na której nie odrosły już włosy. Teraz boi się, że Cimerman może kiedyś zostawić podobną bliznę na jej duszy – i jednocześnie coś w niej chce tego, a coś tego nie chce.

Żeby otrząsnąć się z tych myśli, zaczyna nagle zasypywać go zarzutami dotyczącymi jego politycznego stanowiska. Cimerman jest zwolennikiem „dwójki”[247] w partii i podczas piątego zjazdu Bundu w Łodzi opowiedział się przeciwko przyłączeniu się do II Międzynarodówki. Wygłasza entuzjastyczne referaty na temat dyktatury proletariatu. Jankew złości się coraz bardziej zarówno na przekonania Cimermana, jak i na niego samego, ponieważ jego dyktatorskie tendencje rosną w równej proporcji z jego prestiżem w partii, który zawdzięcza swoim znakomitym zdolnościom organizatorskim. Zdaniem Jankewa człowiek wybiera sobie stanowisko polityczne, które pasuje do jego własnego charakteru. Samą Binele przenika dreszcz, gdy słyszy o dyktaturze proletariatu. Po pierwsze nie uważa, by proletariat składał się z samych sprawiedliwych, po drugie wie, że jest zdolny wielbić takich przywódców jak Mussolini czy Hitler.

Jednak Cimerman nie chce wdawać się z nią w dyskusję. Czuje się tym trochę obrażona, ale rozumie, że chce on pozwolić swojej głowie odpocząć. Przerywa więc swój monolog i milczy.

W pokoju jest cicho. Cimerman wypił drugą szklankę herbaty, przegryzając do niej kromkę chleba posmarowaną grubo miodem. Siedzi wciąż z nosem zanurzonym w swoich papierach, przypatrując się z boku, jak Binele kładzie Nońka do łóżeczka i pilnuje, żebyśmy my, córki, umyły się i też poszły spać. Panująca w mieszkaniu cisza potęguje napięcie. Binele odczuwa je duszą i ciałem. Wierka i ja wyczuwamy je również. Binele krząta się przy kuchni. Przygotowuje żelazko, napełniając je węglem drzewnym, rozkłada koc na połowie stołu, po czym zaczyna prasować dziecięcą bieliznę i ubrania.

Binele nie należy do ludzi, którzy zaprzeczają rzeczywistości i zamykają na nią oczy. Kiedy prasuje, czując na sobie spojrzenia Cimermana, mówi sobie, że jego miłość nie jest w gruncie rzeczy prawdziwą miłością, jednak jakkolwiek nie nazwałaby jego uczuć, są one mocne, intensywne. Co on w niej widzi? – zastanawia się. Pod względem intelektualnym z pewnością mu nie dorównuje. Nie jest też żadną nadzwyczajną pięknością. Do tego chodzi po domu w swoich znoszonych, wyblakłych ubraniach, które pochodzą z „czasów Katarzyny”. Posiada tylko jedną porządną, modną sukienkę. Jest krótka, elegancka, ma duży biały kołnierz i białe mankiety. Zakłada ją jednak tylko wtedy, kiedy idzie z Jankewem do Teatru Żydowskiego lub na jakąś ważną uroczystość partyjną. Kiedy Jankew wraca w nocy do domu, wita go ubrana w koszulę nocną. W dzień jej długie, rudawe włosy zaplecione są w luźny kok, który rzadko ma czas przeczesać. Nawet kiedy kok się rozpada, tak jak teraz, pozwala, by opadał jej na

---

[247] W latach 20. i 30. XX w. wewnątrz Bundu cały czas toczyły się dyskusje na temat przyłączenia się lub nie do Międzynarodówki Komunistycznej. W końcu powstały dwie grupy: większość (odrzucająca 5 z 21 warunków) – nazywana „jedynką”, i mniejszość (która negowała tylko 2 z 21 punktów) – „dwójka” zbliżająca się do ideologii komunistów. Uniemożliwiło to zajęcie wspólnego stanowiska i prowadziło do dalszych podziałów.

piersi w luźnym warkoczu. Zazwyczaj czesze włosy dopiero wieczorem, kiedy dzieci są już w łóżkach. Teraz jednak, gdy Cimerman się jej przygląda, czuje się zawstydzona i nie może tego zrobić.

Kiedy stoi tak obok stołu i prasuje, porusza się w swego rodzaju wytworny, wyrafinowany sposób, żeby grać na uczuciach Cimermana, wabić go. Jego obecność w mieszkaniu wzbudza w niej tęsknotę za dawną, wolną Binele, pragnienie nowych przeżyć, nowych wrażeń, smaków życia, których nie zdołała zakosztować. W głębi serca cieszy ją ta tęsknota. Jest ona częścią witalności, radości życia, która wciąż w niej kipi. Może dlatego ociąga się z tym, by uwolnić się od milczącej namiętności Cimermana do niej. Ma nad nim przewagę w tej dziwacznej grze, w którą grają: jej miłość do Jankewa. Cimerman jest niczym ćma, która trzepocze wokół niej – płomienia; ćma, która może ją ugryźć, ale nie zabić.

Pośród tych wszystkich przyjemnych i mniej przyjemnych refleksji Binele czuje się nieswojo i wizyta Cimermana wywołuje w niej poczucie winy. Milczenie przeciąga się. Binele przerywa prasowanie i podchodzi do niklowanego łóżka, by zobaczyć, czy Wierka i ja zasnęłyśmy. Udajemy, że śpimy. Wróciwszy do stołu, bierze żelazko do ręki i odzywa się do gościa:

– A pana żona, towarzyszu Cimerman, siedzi teraz sama w domu, kiedy pan jest tu ze mną, czy tak?

– Nie mam pojęcia – odpowiada, wzruszając ramionami. Odkłada papiery na stół i sączy resztkę herbaty ze szklanki.

– Jest pan znanym socjalistą – ciągnie Binele – i prawi pan o miłości do ludzkości. Jest pan o wiele bardziej aktywny w partii niż mój Jankew. Zastanawiam się więc, jak w takim razie może pan okradać osobę, która jest panu oddana, z tej odrobiny wolnego czasu, jaki może pan spędzić w jej towarzystwie? Sama wiem, co to znaczy dla kobiety siedzieć w domu i wypatrywać oczy, czekając na powrót męża.

– Moja żona nie siedzi w domu i nie wypatruje sobie oczu, czekając na mnie. To pani taka jest, nie ona. – Cimerman kładzie swoją ciężką pięść na pliku papierów. – Ona w ogóle nie jest do pani podobna. Już prędzej podobna jest do mnie. Ma wiele innych zainteresowań poza mężem i domem. Dla pani dom jest wszystkim. Ale ona nie posiada takiego zamiłowania do domowego ogniska, jak pani.

– Skąd może być pan tego taki pewny? – pyta Binele z sarkazmem. – Ja, widzi pan, nie wątpię, że ona pragnie być z panem, bez względu na to, czy żywi zamiłowanie do ogniska domowego, czy nie.

– Ma pani rację. Mnie również przebywanie z nią sprawia przyjemność. Jest to jednak inny rodzaj przyjemności od tej, którą odczuwam, spędzając czas z panią.

– Co ma pan na myśli?

– Wie pani bardzo dobrze, co mam na myśli. I pani, Binele – próbuje zrewanżować się jej sarkastycznym stwierdzeniem – pani też jest socjalistką, a jednak wyrządza mi pani krzywdę. – Cimerman nie żartuje. Jest śmiertelnie poważny.

– Krzywdę? Jak? I nawet jeśli wyrządzam panu krzywdę, nie przychodzę przecież w tym celu do pana do domu. To pan przychodzi po to do mnie. Ja nie zmuszam pana, żeby pan tu przychodził. Przeciwnie. Jest mi przykro, że pan przyszedł. Tak, kto pana prosił, żeby pan się dzisiaj znowu tu pokazał, jeśli czuje się pan skrzywdzony?

– Przyszedłem, ponieważ wolę być skrzywdzonym, niż pani nie widzieć.

– Pana miejsce jest przy pańskiej żonie.

– Proszę mi nie prawić morałów, Binele. Nie pasuje to pani. Szczerze mówiąc, moja żona nie jest wiele szczęśliwsza, kiedy z nią jestem.

– Oboje lubicie być nieszczęśliwymi razem. Czy to ma pan na myśli?

– Tak, mniej więcej.

– Dlaczego nie może pan uczynić ją szczęśliwą?

– Z tego samego powodu, dla którego ona nie może mnie uczynić szczęśliwym.

– Nie kochacie się?

– Jesteśmy do siebie przywiązani i to też jest rodzaj miłości.

– Może gdybyście mieli dzieci, inaczej by się między wami układało.

– Może tak, może nie. Nie chcieliśmy mieć dzieci, żeby nic nie przeszkadzało nam w pracy dla ruchu robotniczego.

– O, poświęciliście się dla ruchu! Jak wspaniałomyślnie!

– Po co ta ironia? Narzeka pani przecież ciągle na Jankewa, że krzywdzi dzieci swoim zaangażowaniem w działalność partyjną.

– Niech pan nie mówi głupstw, panie Cimerman, proszę pana. Jankew nie może żyć bez dzieci, a one bez niego też nie. Dom bez dzieci jest smutny jak gniazdo bez ptaków. Sprzecza się pan pewnie ciągle ze swoją żoną, żeby uczynić życie bardziej interesującym, czy może zdradzacie się nawzajem.

– Ani jedno, ani drugie. Jesteśmy zbyt cywilizowani, by się kłócić. A jeśli chodzi o zdradę, to zależy, co się przez nią rozumie. Rzecz w tym, że my, ja i ona, nie mamy sobie nic do powiedzenia, chyba że rozmawiamy o światowych wydarzeniach i sprawach partii.

– A co my dwoje, ja i pan, mamy sobie do powiedzenia, panie Cimerman? Nawet mniej niż to. Bo kim ja jestem i co ja wiem, by móc prowadzić inteligentną rozmowę z panem?

– Pani jest moim światłem. Nie muszę rozmawiać z moim światłem. Pozwalam mu świecić, ogrzewać mnie, i tak – również często parzyć mnie do bólu. I to wszystko.

Binele śmieje się sucho.

– Szybko zmęczyłby się pan tym światłem, gdyby cały czas na pana świeciło.

– Proszę mnie wypróbować.

– Chce pan powiedzieć... że mógłby pan opuścić swoją żonę, by być cały czas z tym oto niezwykłym światłem?

– Nie wiem dokładnie, co byłbym w stanie zrobić. Faktem jest, że nie mogę być z panią i nie mogę być bez pani.

– Tak właśnie. Ze mną nie może pan być. Ale dlaczego nie rozwiedziecie się, pan i pańska żona? Jak możecie żyć ze sobą w takim emocjonalnym chłodzie?

– Mówiłem pani. Jesteśmy do siebie przywiązani. I dokąd mielibyśmy pójść? Jeśli chodzi o tęsknotę do tego, czego nie można mieć, każdy człowiek jest samotny. Wspólne życie sprawia, że jest nam lżej na sercu. Pomaga to nam też lepiej pracować dla ruchu robotniczego. Jesteśmy dobrymi przyjaciółmi, moja żona i ja.

– Fałszywymi przyjaciółmi!

– Nie jesteśmy fałszywi. Ani ona, ani ja.

– Chce pan powiedzieć, że ona wie... o mnie... o tym, że...?

– Oczywiście, że wie.

– Mogę się założyć, że wyznanie tego nie przyszło panu ciężko. Nawet pan nie podejrzewa, że wbił jej pan tym nóż w serce. Dlaczego nie zachował pan milczenia?

– Nie ma o czym milczeć. Moje wizyty u pani są niewinne, jak pani wie. Ta niewinność wiele mnie kosztuje, Binele. – Uśmiecha się swoim półuśmiechem. – Wiem, że gdybym tylko dotknął pani twarzy, nie byłoby drogi odwrotu. Ale proszę się nie bać. Nic nie wydarzy się między nami bez pani woli. Jestem mistrzem w trzymaniu się w ryzach.

Milkną. Po chwili Binele odzywa się szeptem, ze wzrokiem utkwionym w żelazku:

– Myślę, towarzyszu Cimerman, że mężczyzna i kobieta mogą dopuszczać się zdrady w sposób, w jaki my to robimy – to znaczy nic nie robiąc. To nie wydaje mi się uczciwe. Martwi mnie to bardzo i sprawia, że czuję się, jakbym zdradzała Jankewa. Bardzo lubiłam, kiedy przychodził pan tutaj, siedział i rozmawiał ze mną i z dziećmi, ale to nie jest dobre.

– Też tak uważam. Ale czasami myślę, że dobrym byłoby, gdybyśmy podążyli za głosem naszych serc.

– Oszalał pan!

– To byłoby uczciwsze. Sprawiedliwsze.

– Ja jestem uczciwa. Oczywiście, że jestem uczciwa! – Nie jest to zupełna prawda. Jej ciało pragnie dowiedzieć się, jak by się czuło, gdyby zamknął je w swoich ramionach. Jednak uczciwa jest w tym sensie, że odrzuca taką możliwość. Dodaje z przekonaniem: – Sądzę, towarzyszu Cimerman, że to nie jest dobre, by człowiek poddawał się każdemu kaprysowi, każdej słabości.

– To, co pani nazywa kaprysem, dla kogoś innego może być śmiertelnie poważnym pragnieniem, Binele. Pani może pozwolić sobie na to, by być szlachetniejszym człowiekiem, ponieważ nie jest pani we mnie zakochana i pani serce jest spokojne. Dlatego nazywa to pani kaprysem. Gdybym tylko był bardziej kapryśny, niż jestem...

Binele zastanawia się, jak zareagowałaby, gdyby tak było? Odpowiada mu:

– To by panu w ogóle nie pomogło. Nie jestem w panu zakochana tak, jak pan by tego chciał. Tak właśnie jest. I nadal uważam, że musi pan przestać tu przychodzić. Ponieważ... ponieważ sprawia pan, że czuję się dobrze i równocześnie strasznie źle. I wie pan co jeszcze? Nawet gdybym się panu poddała, wciąż

jeszcze kochałabym Jankewa. On jest mój na całe życie. Tylko śmierć może nas rozdzielić. Taka jest prawda.

Cimerman na nowo zaczyna przychodzić do naszego domu. Pije herbatę, przegryzając przy tym coś słodkiego, gawędzi z Wierką i ze mną, słuchając uważnie, co mamy do opowiedzenia. My przeczuwamy raczej, niż rozumiemy, co dzieje się między nim a mamą. Ufamy jednak, że wszystko, co robi mama, jest dobre. Dlatego skaczemy z radości, kiedy Cimerman przychodzi zabrać nas wszystkich na przedstawienie opery *Halka*[248] wystawiane przez grupę śpiewaków z PPS-u. Po raz pierwszy w życiu oglądam na scenie balet z prawdziwymi tancerzami.

Binele żadną miarą nie może zmusić się do tego, by pokazać Cimermanowi drzwi. Nie ma też właściwie żadnego konkretnego powodu, by to zrobić. Poza tym, że wprawia ją w oszołomienie swoimi słowami, kiedy rozmawiają w cztery oczy, Cimerman nie próbuje w absolutnie żaden sposób zbliżyć się do niej. Poza podawaniem jej dłoni przy witaniu czy żegnaniu się, nigdy jej nie dotyka. Jednak ona wciąż uważa, że ich relacja może mieć intymny charakter również bez fizycznego kontaktu, iż wystarczą do tego same słowa, a nawet ich brak, kiedy są sam na sam. To wszakże może sobie jakoś łatwiej wybaczyć. Wie, że ona i Jankew będą ciągle do siebie wracać, i że pomimo wszystkich komplikacji, mimo wszelkich więzi z innymi ludźmi oraz bez względu na to, co by się w ich życiu czy na świecie nie wydarzyło – zawsze będą kroczyli wspólną drogą.

[248] Polska opera narodowa z muzyką Stanisława Moniuszki.

Rozdział osiemnasty

Moją nauczycielką w tym roku, Abraszo, jest pani Kremer, nowa partnerka kierownika szkoły, nauczyciela Wilnera. Teraz to ją można zobaczyć, jak z garnkami oraz patelniami w ręce biega z kuchni do alkowy kierownika i z powrotem, podobnie jak robiła to przed nią nauczycielka Rebeka.

Lubimy panią Kremer. Nazywamy ją Kramarką, ponieważ prowadząc lekcje z naszą klasą, postępuje niczym sumienna kramarka sprzedająca dania wiedzy i łakocie śmiechu za cenę dyscypliny i uczciwej pracy. Najpierw serwuje danie główne, to znaczy ładuje wiedzę do naszych głów, a potem wręcza smakołyki czystej przyjemności, na które składają się rozdziały książki Szolema Alejchema pt. *Motl Pejsi dem hazns*[249]. Książkę tę czyta nam każdego dnia na końcu lekcji. Podczas tych sesji tak zwijamy się ze śmiechu, że o mało co nie spadamy z ławek. Śmiejemy się tak hucznie, że często wpada do klasy nauczyciel Wilner, by zobaczyć, co się tu wyprawia. Mimowolnie przysłuchuje się lekturze i wkrótce przyłącza się do wspólnego śmiechu, aż dostaje ataku kaszlu i wybiega z sali.

Zaczynam uczyć się przedmiotu, który nazywa się „nauka o przyrodzie". Wciąż czuję niechęć do „nauki", ale lubię słowo „przyroda". Nie zapuszczam się już w rozważania, czy drzewa mają uczucia, tak jak ludzie, czy nie. Jestem zafascynowana pięknem budowy drzew, mądrością ich mechanizmów życiowych, użytecznością ich form. Chcę poznać funkcje kory, wiedzieć, jak odżywcze soki przepływają od korzeni do samych koron, jak liście pochłaniają światło słońca i jaka jest rola ich żyłek. Znajduję wielką przyjemność w obliczaniu wieku drzew.

---

[249] *Motl Pejsi dem hazns* – polskie tłumaczenie: *Motel, syn kantora*, tł. Stanisław Wygodzki, Warszawa, 1958.

Ten sam rodzaj ciekawości wzbudzają też we mnie zwierzęta, chociaż boję się ich, zwłaszcza psów, kotów, szczurów i myszy. Strach ten dzielę z Wierką i w pewnym stopniu również z mamą. Mama mówi nam, iż pod tym względem nie powinnyśmy brać z niej przykładu i zapewnia zarówno mnie, jak i Wierkę, że ona sama zaczęła bać się zwierząt, kiedy była już dorosła. Poza tym w jej przypadku nie jest to strach, który powstrzymywałby ją od zrobienia tego, co ma do zrobienia, a to jest najważniejsze. W zasadzie się z nią zgadzam, mimo to za każdym razem, kiedy przychodzi moja kolej, by wynieść śmieci do stojącego obok wyjścia z budynku śmietnika, serce skacze mi aż do gardła. Śmietnik ten jest bowiem kotłowaniną szczurów, które biegają wkoło w poszukiwaniu pożywienia. A jeśli chodzi o koty i psy, to stróż, pan Wygodny, posiada kilkoro przedstawicieli obu tych gatunków w swojej suterenie. Jego koty już dawno temu zarzuciły polowanie na szczury czy myszy i wolą razem z psami uganiać się po podwórku za kobietami i dziećmi.

Podczas lekcji przyrody w szkole odkrywam, że człowiek również jest zwierzęciem. Wiedziałam to już wcześniej, ale teraz ten fakt zostaje „naukowo" potwierdzony przez nauczycielkę. Człowiek jest zwierzęciem mięsożernym i tak samo jak inne mięsożerne zwierzęta, myśliwym. Kiedy chcę sobie wyobrazić człowieka – myśliwego, myślę najczęściej o panu Wygodnym.

Sąsiadki i dzieci z podwórka boją się pana Wygodnego nawet bardziej niż psów i kotów. Chociaż jest stróżem w kamienicy należącej do Żyda i mówi perfekcyjnym bałuckim jidysz, to sam jest większym wrogiem Żydów niż wszystkie koty i psy razem wzięte. On, jego żona, synowie oraz jego siostra, która mieszka u niego, są jedynymi gojami, których Wierka, Noniek i ja znamy osobiście, jeśli można tak powiedzieć, nie licząc szajgeców i ich nauczycieli ze szkoły powszechnej na trzecim piętrze. W szkole tej uczy się też kilku bałuckich żydowskich chłopców, ale większość uczniów to katoliccy chłopcy z podmiejskiego Marysina.

Pan Wygodny robi wszystko co w jego mocy, by uczynić życie mieszkańców kamienicy tak mało wygodnym, jak to tylko możliwe. Widok żydowskich dzieci biegających po zakurzonym, hałaśliwym podwórzu działa na niego jak płachta na byka, zwłaszcza kiedy jest pijany. Puszcza się w pogoń za nimi z miotłą w ręce, a jego żona, pani Wygodna, dopomaga mu, rozchlustując wiadro pomyj, żeby dzieci się rozbiegły. Nawet kiedy nigdzie państwa Wygodnych nie widać, dzieci czują ich obecność i podejrzewają, że czają się oni gdzieś w kącie podwórza. Dlatego zabawie na podwórzu zawsze towarzyszy dreszcz trwogi. Jednak żadnej żydowskiej matce nie przychodzi do głowy, by donieść na stróża do właściciela budynku, z tego prostego powodu, że sam właściciel również jest w pewnym sensie myśliwym, a mianowicie uosobieniem samego anioła śmierci. Czasami przysyła do mieszkań sąsiadów sekwestratora[250] lub nakazuje eksmisję, jeśli ktoś zalega z płaceniem czynszu.

[250] Sekwestrator (daw.) – urzędnik egzekwujący zaległe podatki i opłaty.

Kiedy Jankew wraca w nocy po pracy do domu i brama na dole jest zamknięta, Binele, a czasem też Wierka i ja, wyczekujemy go przy oknie w wielkim strachu, że mogą go napaść chuligani. Gdy dostrzegamy, jak zbliża się do bramy, boimy się, żeby pan Wygodny go nie zwymyślał, chociaż Jankew akurat jest z nim za pan brat. Zawsze wręcza mu pokaźne sumki za wpuszczenie do domu, a na Boże Narodzenie daje mu w prezencie butelkę wódki Wyborowej. Jankew żyje też w przyjaźni z psami pana Wygodnego. Jednak my, dzieci, boimy się zarówno psów, jak i pana Wygodnego, nawet kiedy jesteśmy z tatą. Jakoś nie jesteśmy przekonani, że tata jest w stanie obronić nas przed tymi wrogami.

Zwierzęta na naszym podwórzu wydają mi się straszniejsze od tych ze Stefanowa, które toleruję z oddali. Najbardziej jednak lubię uczyć się o zwierzętach, których nigdy w życiu nie widziałam, takich jak na przykład lwy, słonie i żyrafy. Ekscytująco jest siedzieć bezpiecznie w szkolnej klasie i słuchać o puszczy w Afryce i dżungli Ameryki Południowej, jednak przygnębiająco działa na mnie dowiedzenie się, iż w całej naturze panuje okrutna brutalność, że jedno zwierzę pożera drugie i żyje jego kosztem. Przeraża mnie odkrycie, jak bardzo los człowieka zależny jest od obrotów koła fortuny, które obejmuje swym zasięgiem wszystko, co żyje, a pociesza wiedza, że jest on królem świata zwierząt. Jakim rodzajem zwierzęcia jest człowiek? Dżungla Bałut zaczyna odkrywać to przede mną, czy raczej – sprawiać, że czuję się zagubiona.

Zastanawiam się często nad tym, dlaczego w mojej własnej rodzinie, która powinna być dla mnie czymś w rodzaju bezpiecznego gniazda, tak często czuję się obrażana i raniona. Rodzice są wobec mnie niesprawiedliwi, a moja siostra, Wierka, źle mnie traktuje.

Wierka wraca ze szkoły do domu otoczona grupką przyjaciółek, podczas gdy ja wlokę się za nimi niczym bezpański psiak, czując się jak absolutne zero. Przyjaciółki Wierki tolerują mnie, tak jak toleruje się utrapienie, którego nie można się pozbyć, i ignorują mnie. Zawsze mam przy sobie dziesięć groszy, które mama daje zarówno Wierce, jak i mnie, żebyśmy wróciły ze szkoły tramwajem. Wierka kupuje sobie za te pieniądze krótkie opowiastki, a ja papier kolorowy do wycinania. Jednak czasami, kiedy jestem w bardzo kiepskim nastroju, zostawiam Wierkę z jej przyjaciółkami i sama jadę do domu tramwajem.

Zdarza się, że kiedy wracam, mamy i Nońka nie ma w mieszkaniu. Zostawiam wtedy torbę obok drzwi i wbiegam na czwarte piętro, na „mój" strych, albo czekam na nich na słabo oświetlonym korytarzu i podskakuję, by otrząsnąć się ze złego nastroju oraz dla zabicia czasu. Czasami otwierają się drzwi naprzeciwko schodów i pojawia się w nich głowa pana Kaca lub jego żony, którzy pytają mnie, czy chcę wejść i poczekać na mamę u nich. Wymawiam się. Nie przeszkadza mi, że jestem sama na korytarzu. Dzięki Kacom myślę sobie, że człowiek jest czasami przyjaznym, gościnnym zwierzęciem.

*

Tego dnia nauczycielkę Kremer boli ząb i musi pójść do ambulatorium, by jej go wyrwano. Na tę wolną godzinę cała klasa wciska się do znajdującej się w kącie korytarza alkowy nauczyciela Wilnera, gdzie wygrywa on dla nas na skrzypcach wspaniałe, słodkie melodie – tak melancholijne i wzruszające, że zapierają mi dech w piersi.

Po tym, jak kończy grać, szarpie dalej palcem po strunach i opowiada nam baśń o księżniczce Szeherezadzie, która była niewolnicą okrutnego sułtana. Sułtan ten zamordował swoją pierwszą żonę, która nie była mu wierna. Potem co noc brał sobie nową narzeczoną, a o świcie ścinał jej głowę. Jednak księżniczka Szeherezada opowiadała mu każdej kolejnej nocy baśnie i przerywała je w najbardziej pasjonujących momentach, zanim nastał świt. W ten sposób zmuszała ciekawskiego sułtana do tego, by odkładał jej egzekucję z jednego poranka na następny. Po tysiącu i jednej nocy sułtan był już tak oczarowany księżniczką Szeherezadą, że zdecydował podarować jej zarówno życie, jak i swoją miłość. Na koniec nauczyciel Wilner zaczął wygrywać na swoich skrzypcach muzykę Rimskiego-Korsakowa. Ta oto baśń powoduje, że zaczynam wierzyć, iż można uratować swoje życie, opowiadając zapierające dech w piersi historie.

W drodze ze szkoły Wierka i jej przyjaciółki obraziły mnie, wracam więc do domu tramwajem. Siedzę na miejscu obok okna i wyglądam na ulicę przesuwającą się przed moimi oczami. Przypominam sobie melodie z *Szeherezady* i słyszę w głowie dźwięki skrzypiec nauczyciela. Ogarnia mnie wielka, dręcząca tęsknota. Gdy wchodzę na korytarz kamienicy, znajduję drzwi naszego mieszkania zamknięte. Zdejmuję torbę i zaczynam pląsać po słabo oświetlonym korytarzu, próbując odegrać baśnie, które księżniczka Szeherezada opowiadała królowi. Wplatam je w krajobraz Nibylandii, w której wciąż mieszkam w mojej wyobraźni.

Drzwi naprzeciwko schodów otwierają się i pokazuje się w nich głowa pana Kaca. Pan Kac rozgląda się w prawo i w lewo, po czym z powagą przyzywa mnie palcem.

– Wejdź na chwilę, Miriam – mówi szeptem. – Chcę ci coś pokazać. – Podnoszę torbę z podłogi i wchodzę do jego mieszkania.

Pan Kac jest bogatym człowiekiem. Jego mieszkanie składa się z dwóch pokoi i kuchni. W większym pokoju znajduje się warsztat rękawiczniczy, który jest zastawiony stołami pełnymi palcatych form oraz pak z rękawiczkami. Drugi pokój jest bardzo mały i mieszczą się w nim tylko dwa wąskie łóżka oraz mały stolik i krzesło u stóp jednego z nich. Do tego pokoiku wprowadza mnie pan Kac. Bierze torbę z mojej ręki, odkłada ją do kąta, po czym sadza mnie na krześle obok stolika.

Przede mną na stoliku stoi mała, brązowa skrzynka z dwiema dużymi gałkami z przodu.

– Wiesz, co to jest? – pyta mnie pan Kac, wskazując na skrzynkę.

Nie mam zielonego pojęcia. Pan Kac otwiera szufladę stolika i wyjmuje z niej wygięty metalowy pałąk z czymś w rodzaju okrągłych nauszników na obu końcach. Wkłada to na moją głowę, zakrywając mi uszy i zwisającymi z nauszników sznurkami przyczepia do drewnianej skrzynki. Oddycha ciężko i sapie, jakby wszystkie te czynności wymagały wielkiego wysiłku. Uśmiechając się do mnie krzywym uśmiechem, przekręca gałkę w skrzynce. Zastanawiam się właśnie, co pan Kac tu właściwie wyprawia i dlaczego jest taki czerwony na twarzy – kiedy nagle fala dźwięków zalewa moje uszy i podskakuję na siedzeniu z wielkiego zdumienia. Jakiś chór zdaje się śpiewać dalszy ciąg *Szeherezady*. To jest niezwykłe! Nie do uwierzenia! Wyrywa mi się jęk zdumienia i siedzę z otwartymi ustami, żeby nie stracić ani jednej nuty, tylko wchłaniam w siebie całą słodycz muzyki, która przybywa do mnie nie wiadomo skąd.

Jęki zachwytu, które wydaję z siebie nie są głośne, jednak pan Kac zakrywa mi usta dłonią.

– Sza – szepcze, jednak zanim zdążę go posłuchać i siedzieć cicho jak myszka, zdejmuje nauszniki z moich uszu. – To jest radio – mówi do mnie. – Pięknie gra, prawda? – Jego czerwona twarz jest teraz jeszcze bardziej wykrzywiona. Marszczy swój kartoflany nos, jak gdyby ktoś zadał mu straszny cios w twarz.

Podnoszę moją torbę i chcę wyjść, by nie przeszkadzać panu Kacowi w jego cierpieniu, lecz on zabiega mi drogę. Zaryglowuje drzwi i zasuwa łańcuszek. Wprowadza mnie z powrotem do małego pokoju, zamyka drzwi, bierze torbę z mojej ręki i odkłada ją tam, gdzie leżała wcześniej. Zdaję sobie nagle sprawę, że jestem z nim sam na sam w jego mieszkaniu.

Pan Kac porusza się tak cicho, jak gdyby nie chciał obudzić kogoś śpiącego w tym pokoju. Odwraca się do mnie, gładzi mnie szybko po głowie, po czym zsuwa dłoń na mój kark i wpatruje się we mnie wybałuszonymi, zamglonymi oczami. Zdumiona jego dziwacznymi grymasami, chichoczę niepewnie. On bierze mnie za rękę, prowadzi do jednego z łóżek i siada na nim razem ze mną.

Teraz uśmiecha się szerokim, wilgotnym uśmiechem, ukazując mi przy tym wszystkie złote korony na swoich zębach. Czuję jego oddech na mojej twarzy. Obejmuje mnie, przyciska do swojej piersi i całuje wilgotnymi wargami, tak, jak zwykł to często robić, lecz mocniej, tak mocno, że czuję ustami jego złote przednie zęby. Gorąc jego rozpalonej twarzy pali mnie w policzki. Na czole pulsuje mu nabrzmiała żyła. Gładzi mój kark jedną ręką, podczas gdy drugą przesuwa na mój brzuch. To mnie łaskocze i ponownie chichoczę nerwowo. Równocześnie jednak serce zaczyna mi walić, choć w ogóle nie odczuwam strachu. Jestem pełna zdumienia i ciekawości i chcę się dowiedzieć, co takiego dzieje się z panem Kacem. Nagle czuję jego rękę pod sukienką, jak pełznie w górę po mojej nodze. Kładzie mnie na łóżku i zaczyna zdejmować mi majtki.

– Sza... Sza... – sapie. – Pozwolę ci słuchać radia, ile tylko będziesz chciała. – Brzydki grymas wykrzywia nie do poznania jego czerwoną jak burak twarz.

W całym ciele, nawet w ustach, czuję teraz gwałtowne bicie mego rozszalałego serca. Pan Kac przygniata mnie ciężarem swojego dużego, podwójnego brzucha tak, że czuję się całkiem rozpłaszczona i nie mogę znaleźć szpary, przez którą mogłabym zaczerpnąć powietrza. – Nie bój się. Nie sprawię ci bólu. – Słyszę jego zachrypnięty głos.

Rozpina swoje spodnie i wyciąga z nich coś czerwonego, wężowatego. Czuję, że jest gorące i wślizguje się między moje nogi. Tak, to jest to – myślę – to jest przyrodzenie mężczyzny. Przypominam sobie rozmowę z Malką Cederbojm sprzed paru lat w Stefanowie. Nie mam cienia wątpliwości, że pan Kac zamierza zrobić mi dziecko, chociaż sama jestem jeszcze dzieckiem. Obiecał mi, że nie będzie bolało. To dla mnie ważne, by przekonać się, czy moja mama czuje przy tym ból, czy nie. Dowiem się tego raz na zawsze w tym oto momencie – gdybym tylko mogła powstrzymać serce od gwałtownego bicia i złapać oddech. Znajduję się teraz w samym jądrze wielkiej tajemnicy, którą rodzice i cały świat ukrywali przede mną. Ja i pan Kac jesteśmy pogrążeni w dziwacznej grze, która jest zarówno straszna, jak i przyjemna w nieprzyjemny, niewygodny sposób.

Pan Kac dotrzymuje obietnicy i nie sprawia mi bólu. Między nogami czuję kleistą wilgoć i zdaje mi się, że sama się zmoczyłam.

Za parę minut znajduję się na korytarzu domu z torbą w ręce i poczuciem dyskomfortu z powodu wilgotnych majtek. Nie chce mi się iść szukać mamy i Nońka u cioci Racheli czy u innych sąsiadów. Siadam na torbie w ciemnym korytarzu i wycieram nogi sukienką. Opieram głowę o ścianę. Moje serce nadal bije gwałtownie i szumi mi w głowie. W myślach widzę się wciąż rozciągniętą na łóżku pana Kaca i ponownie przeżywam każdą chwilę, jaką spędziłam z nim w małym pokoiku. W moich uszach łka muzyka z *Szeherezady*. Chór śpiewa pieśń, która jest zarówno niebiańska, jak i przepełniona bólem – i prosta dotąd droga do Nibylandii staje się naraz kręta i poplątana.

Nigdy nie sugeruję panu Kacowi, że chcę posłuchać radia w jego sypialni. Zaczęłam się go bać i kiedy tylko go dostrzegam, nogi uginają się pode mną i o mało co nie mdleję. Strach, jaki wtedy odczuwam, nie daje się porównać z żadnym innym znanym mi lękiem. Za każdym razem, kiedy widzę pana Kaca, zdaje mi się, że on wzywa mnie, żebym za nim poszła. Gdy bawię się na korytarzu, a on otwiera drzwi i rozgląda się w prawo i w lewo, nie uciekam, tylko cała zesztywniała zbliżam się do niego powoli na trzęsących się nogach.

Pierwszych parę razy, kiedy wchodzę do sypialni pana Kaca, bierze mnie na kolana i pozwala mi słuchać przez parę minut radia. Później kładzie mnie na łóżko, a potem, zanim wychodzę, znowu wkłada mi na uszy słuchawki. Sam staje przy oknie i spogląda w dół na ulicę. Wtedy jednak jestem już tak roztrzęsiona i wytrącona z równowagi, że moje uszy ledwo co funkcjonują i głowa nie rejestruje dźwięków, które niosą się ze słuchawek. Sama zdejmuję je więc z uszu i mówię, że chcę wyjść. Kiedy zbliżam się po cichu do drzwi, on podchodzi, gładzi moją

głowę i wypuszcza mnie z mieszkania. Wygląda przy tym tak nieszczęśliwie, iż mam wrażenie, że lada chwila zasłabnie.

Pewnego razu, zanim pan Kac mnie wypuszcza, spostrzegam, jak wyciera sobie twarz chustką do nosa. Nie jestem pewna, czy ziewał, czy może płacze. Nie mogę się powstrzymać i pytam:

– Czy czuje się pan słabo, panie Kac? – On opada na kolana, by zawiązać sznurowadła, które rozwiązały mi się w butach. Wygląda to jednak trochę tak, jakby specjalnie przede mną klęknął. Chociaż odczuwam teraz do niego silny wstręt, równocześnie lituję się nad nim. Z bijącym sercem i zamętem w głowie pocieszam go:

– Niech pan nie płacze, panie Kac. Ja nikomu nic nie powiem. – W tej chwili ja zdaję się być dorosłą kobietą, a on małym chłopcem, takim jak mój brat Noniek.

Pan Kac i ja kontynuujemy granie w naszą sekretną grę. Kiedy biegając po podwórzu z dziećmi sąsiadów, dostrzegam pana Kaca, który przychodząc obok, kiwa do mnie ręką, idę za nim jak zahipnotyzowana. Podwórze i wszystko wokół przestaje istnieć. Muszę za nim iść, jak gdybym słyszała z oddali jakiś głos, który wzywa mnie i rozkazuje mi, rozchodząc się głośnym echem po całym moim ciele. Jest silniejszy od mojej woli. Dudnienie mojego serca między żebrami brzmi podobnie do odgłosu wspinających się po wysokich stopniach kroków. U stóp schodów czuję się, jakbym odrywała się od twardej ziemi i unosiła w górę niczym balon, ciągnięty niewidzialnym sznurkiem trzymanym w ręce przez pana Kaca.

Łączy mnie z panem Kacem potężna tajemnica – z nim i z nikim więcej. Ta tajemnica sprawia, że jestem z nim związana, jak z żadnym innym człowiekiem na świecie. Jestem przywiązana do niego całą moją istotą, podobnie jak balon przywiązany jest do sznurka w ręce tego, kto się nim bawi. Pan Kac przyciąga mnie do siebie, kiedy tylko ma ochotę. Tajemnica, którą z nim dzielę, jest tak obezwładniająca, że śnię o nim szaleńcze, straszne sny. Jednak mimo tego, że wszystko to tak okropnie na mnie oddziałuje, to przecież nie mogę nikomu nic o tym opowiedzieć. Wiem to sama z siebie i często dziwię się, dlaczego pan Kac uważa za potrzebne ostrzeganie mnie przed tym za każdym razem, kiedy wypuszcza mnie ze swojego mieszkania. Czy nie wie, że nasza tajemnica należy do tego rodzaju sekretów, które zabiera się ze sobą do grobu? Poza tym nie mogę zrozumieć jeszcze jednej rzeczy, a mianowicie – jak pan Kac może uwolnić się w środku dnia, w środku tygodnia, od całej swojej rodziny oraz czeladników i tak wszystko zaaranżować, by być sam na sam ze mną w swoim mieszkaniu?

Pewnego razu, kiedy wychodzę właśnie z mieszkania pana Kaca, słyszę głośne, ciężkie kroki na schodach. Naprzeciwko mnie pojawia się nagle kominiarz z czarną twarzą, z drabiną zawieszoną na jednym ramieniu i czarną szczotką na drugim oraz z czarną kulą dyndającą na jego czarnej piersi. Jestem tak oszołomiona ze strachu, że krzyk zamiera mi na ustach.

W sobotnie poranki, kiedy rodzina Kaców urządza sobie sesje śpiewu w łóżkach, można ich usłyszeć w całym domu. Wierka ciągnie mnie wtedy często ze

sobą, by złożyć Kacom wizytę. Wdrapujemy się na łóżko, na którym w koszuli nocnej z dekoltem spoczywa w półsiedzącej pozycji pani Kac razem ze swoją grubą córką Celią, którą obejmuje swoimi pulchnymi ramionami. Pan Kac, opierając się na łokciach i trzymając głowę w dłoniach, leży w łóżku naprzeciw, a u jego stóp siedzą jego dwaj grubi synowie. Podczas przerwy w śpiewie pani Kac wstaje z łóżka, by po chwili przynieść tacę załadowaną dzbankiem gorącej herbaty, garnuszkami i talerzem pełnym pokrojonego ciasta. Siedząc wciąż w łóżkach, zajadamy świeże, kruszące się kawałki ciasta, popijamy z garnuszków gorącą herbatę, śmiejąc się przy tym głośnym, tryskającym okruchami śmiechem. Nie jest łatwo radzić sobie z ciastem i garnuszkami w rękach w wąskich łóżkach. Jem ciasto, chociaż nie lubię słodyczy i – jakby sobie samej na złość – przyglądam się z rozbawieniem temu pokojowi, który tak mnie przeraża, oraz panu Kacowi, którego tak nie znoszę.

Wierka i ja nie jesteśmy jedynymi gośćmi Kaców w sobotnie poranki. Przychodzą tu też wtedy inne dzieci sąsiadów, a także dorośli, kobiety i mężczyźni, którzy wpadają ubrani w nocne koszule, z zimowymi płaszczami zarzuconymi na ramiona. Wszyscy siadają ściśnięci razem na podłodze między łóżkami lub na przyniesionych z kuchni krzesłach. Zabierają się za opróżnianie wraz z nami talerza z ciastem i nalewają sobie w kuchni garnuszki herbaty. Gdy kończy się jedzenie i picie, rodzina Kaców zabiera się z powrotem do śpiewania i wszyscy obecni przyłączają się do niej. Śpiewają znane szlagiery, piosenki z żydowskiego teatru rewiowego, pieśni ludowe i piosenki podchwycone od śpiewaków ulicznych, jak na przykład:

Dos fercnte jor iz ongekimen, oj wej,
Hot men mich cu di zelner genimen, oj wej...[251]

Albo:

Wos szitesti ojf majne windn zalc?
Di libe iz sztarker fun alc.[252]

Czasami najstarszy syn Kaców, Fiszel, przygrywa chórowi na grzebieniu przykrytym kawałkiem bibułki i wszyscy są zachwyceni. Kacowie potrafią wspaniale zabawiać swoimi występami.

Fiszel jest moim dobrym przyjacielem, choć ma już jedenaście lat. Kiedy moi i jego rodzice idą na zebranie w sobotnie popołudnie i tylko my, dzieci, jesteśmy w domach, zostawiam Wierkę, by sama radziła sobie z Nońkiem, i idę do miesz-

[251] (jid.) *Skończyłem czternaście lat, oj biada, wzięto mnie do wojska, oj biada...*

[252] (jid.) *Dlaczego sypiesz na moje rany sól? Miłość jest silniejsza od wszystkiego.*

kania Kaców bawić się z Fiszelem w dużym pokoju – warsztacie. Fiszel wciąga mnie na najniższą platformę stołu warsztatowego swojego ojca, gdzie stoją paki gotowych rękawiczek, a sam wdrapuje się wyżej. On jest aniołem śmierci, a ja konającym człowiekiem. On wydaje z siebie przeraźliwe okrzyki, a ja skręcam się i rzucam się w „agonii". Stojące wokół mnie paki z rękawiczkami rozwiązują się i widzę, jak setki płaskich rąk z rozchwianymi, nieżywymi palcami wyciągają się w moją stronę i wciągają mnie w świat umarłych. Jest to zarazem komiczne i ekscytujące – jak i straszne.

*

Pod koniec roku szkolnego, kiedy zaczynają się gorączkowe przygotowania do *Wiosennego poranku* w teatrze filharmonicznym, zawieram znajomość z panną Jedwab. Panna Jedwab jest ogromnie brzydka, ale za to natchniona. Ma pomarszczoną, mocno umalowaną twarz i parę ptasich, chudych nóg. To była baletnica o wielkim talencie choreograficznym i najnowsza ukochana nauczyciela Wilnera. Zdaniem dzieci nie ma ona najmniejszych szans, by kiedykolwiek zadomowić się w alkowie pana Wilnera. Nie ma do tego prawa, ponieważ nie jest naszą nauczycielką i nie mówi ani słowa w jidysz. Nauczyciel Wilner dba o to, by panna Jedwab dobrowolnie podjęła się stworzenia choreografii do szkolnego przedstawienia.

Podczas przesłuchania do przedstawienia – a wystąpienie w nim jest najgorętszym życzeniem każdego ucznia – słyszę, jak po moim występie panna Jedwab mówi do stojącego obok niej pana Wilnera zachrypniętym szeptem:

– Ona pasuje w sam raz do tej roli. – I w ten cudowny sposób zostaję wybrana do roli Małgosi w przedstawieniu na podstawie bajki o *Jasiu i Małgosi*.

Bajka o *Jasiu i Małgosi* podoba mi się tylko do pewnego stopnia, a mianowicie do momentu, w którym pojawia się czarownica. Do roli czarownicy zostaje wybrana dziewczyna z siódmej klasy o imieniu Frejdla. Frejdla okazuje mi zainteresowanie również po próbach, które trwają zwykle do późnego wieczora. Towarzyszy mi, gdy wracam do domu tramwajem, ponieważ nie zgadzam się wracać do domu z moim dobrym przyjacielem Fiszelem Kacem, który został wyznaczony do roli Jasia. Spędzanie czasu z Fiszelem podczas prób oraz zabaw w domu to dla mnie już i tak więcej niż dość.

Frejdla, w przeciwieństwie do innych primadonn z siódmej klasy, jest przyjazną dziewczyną i w ogóle się nie przechwala. W drodze do domu opowiada mi, że ona oraz jej młodsza siostra są sierotami i mieszkają ze swoją babcią obok bałuckiego bazaru. To wyjaśnia, skąd Frejdla tak dobrze wie, jak porusza się staruszka, nie tłumaczy jednak, jakim sposobem może świetnie odgrywać rolę złej starej kobiety, jaką jest czarownica w *Jasiu i Małgosi*.

– Czy twoja babcia nie jest dla ciebie dobra? – pytam ją w związku z tym jednego wieczoru w drodze do domu.

Frejdla wzrusza ramionami.

– Nie jest ani dobra, ani zła. Nie ma siły i muszę wszystko za nią robić.

– Ja też mam babcię i dziadka – mówię. – Mieszkają w Bocianach i również nie mają siły. Spotkałam się z nimi, kiedy byłam małą dziewczynką, ale nie pamiętam ich dobrze. I wiem, że moja babcia strasznie płakała, kiedy umarł wujek Szolem. Ale nie mogę zrozumieć, dlaczego stara babcia w *Jasiu i Małgosi* jest takim złym człowiekiem.

Frejdla wyjaśnia mi.

– Ona nie jest starą babcią ani człowiekiem, tylko starą czarownicą.

– To co? Stara czarownica jest przecież taka sama jak człowiek. Też ma dzieci i wnuki, czy nie tak? – pytam.

– Tak, ale dzieci i wnuki czarownicy są też czarodziejami. Jednak czarownice są najczęściej starymi pannami.

– Jak panna może być stara? Jeśli jest stara, to przecież nie jest panną, tylko starą kobietą.

– Jeśli nie wyszła za mąż, pozostaje panną, ale starą.

– To musi być straszne – nie wyjść za mąż i zostać starą panną.

– Oczywiście. Dlatego stare panny stają się strasznie złe.

– Tak złe, że są gotowe spalić dzieci w piecu?

– Tak, jeśli stare panny są czarownicami, robią takie rzeczy. Ale Jaś i Małgosia dali czarownicy nauczkę i sami spalili ją w piecu.

– To też jest złe – stwierdzam, kręcąc kategorycznie głową. – Tylko pożeracze ludzi, których nauka nazywa kanibalami, robią takie rzeczy. Wystarczająco złe jest już to, że piecze się w piecach zwierzęta. I pożeracze ludzi przynajmniej zjadają tych, których pieką, a w *Jasiu i Małgosi* chcą się tylko nawzajem spalić i to wszystko. Robi mi się od tego niedobrze. Dlatego uważam, Frejdlo, że Jaś i Małgosia lepiej by zrobili, gdyby zamknęli starą czarownicę w jej domku. I tak była stara, więc umarłaby sama z siebie.

Frejdla wyjaśnia mi:

– Czarownice nie umierają, jeśli nie zostaną spalone. Potrafią rzucać zaklęcia. Czy czarownica nie wyczarowała domku z czekolady i marcepanu, by zwabić dzieci? Mogła więc też rzucić zaklęcie i pozostać przy życiu. I myślę sobie, że może jednak wcale nie umarła w piecu. Z czarownikami nigdy nie wiadomo. Ale nigdy się nie dowiemy, co się z nią stało, ponieważ bajka się tu kończy.

Spoglądam na Frejdlę z ciekawością i pytam:

– Wierzysz w czary?

Frejdla wybucha śmiechem.

– Nie! Nie wierzę!

– A ja wierzę – wyznaję. – Czasami.

– Bo jesteś jeszcze naiwna.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że dajesz się łatwo nabrać. Jeśli widzisz coś, czego nie rozumiesz,

myślisz zaraz, że to czary. Ale kiedy człowiek robi się starszy, pojmuje, że tylko mu się tak zdawało. Nic nie jest dokładnie takie, jak nam się wydaje. Weź na przykład tych wielkich bogaczy, którzy mieszkają przy ulicy Piotrkowskiej. Wyglądają tak pięknie w swoich ślicznych ubraniach. Mogłabyś pomyśleć, że są też dobrymi ludźmi, skoro tak pięknie wyglądają. Ale nigdy w życiu! Są gorzej niż źli. Są faszystami, oto kim są.

– Dlaczego są faszystami?

– Należysz już do SKIF-u, prawda? Nie chodzisz na zbiórki? Nie słyszałaś nigdy o faszystach we Włoszech i w Niemczech?

– Oczywiście, że słyszałam. Masz na myśli Hintlera. Ale doprawdy nie mogę zrozumieć, co się z nimi stało.

– On nazywa się Hitler, nie Hintler. Problem z nimi polega na tym, że wyglądają jak ludzie, mówią tak samo, jak ludzie i robią wszystko dokładnie jak ludzie, ale nienawidzą być ludźmi i chcą być czarownikami, chcą mordować innych ludzi tak samo, jak robią to czarownicy. A drugim problemem jest, że istotnie rzucili zaklęcie na ludzi ze swoich krajów, którzy słuchają ich i robią wszystko, co im każą.

Myślę przez chwilę o tym, że pan Kac pewnie też jest czarownikiem i rzucił na mnie zaklęcie, żebym robiła wszystko, co mi każe. Potem kieruję z powrotem rozmowę na bardziej swojski grunt.

– Ale jeśli czarownica w *Jasiu i Małgosi* mogła zaczarować się i pozostać przy życiu po tym, jak została spalona, to na co to całe wrzucanie jej do pieca?

– Może istotnie to na nic – odpowiada z namysłem Frejdla. – Ale bajka dla dzieci musi mieć wesołe zakończenie.

– To nie jest wesołe zakończenie! – upieram się. – Wesołe zakończenie byłoby, gdyby Jaś i Małgosia znaleźli pięknego narzeczonego dla czarownicy. Wtedy nie musiałaby być zła i nie byłaby dłużej starą panną.

Frejdla kręci głową.

– To też nie byłoby wesołe zakończenie, ponieważ nie przyniosłoby końca złu. Nawet jeśli pozbyć się jednej czarownicy, są jeszcze tysiące innych czarowników. I są też faszyści, którzy są źli, chociaż są poślubieni. Dlatego jestem socjalistką. Socjaliści chcą zmienić wszystkich ludzi i uczyć ich być dobrymi od samego dnia narodzin, tak, żeby w ogóle nie było zła na świecie. To jest mój ideał.

– Co to znaczy „ideał"?

– Nie wiesz nawet, co znaczy „ideał"? Musisz się lepiej przysłuchiwać temu, co mówi instruktor na zbiórce SKIF-u. Wtedy staniesz się bardziej racjonalnym człowiekiem i sama będziesz znała różnicę między bajką dla dzieci a rzeczywistością.

Nie pytam Frejdli, co znaczy słowo „racjonalny". Właściwie nie jestem też ciekawa, co znaczy „ideał". Jest coś bardzo niepokojącego w tym, co mówi Frejdla. Nie zależy mi w ogóle na tym, by znać różnicę między bajką dla dzieci a rzeczywistością. Jak dla mnie, każda bajka może być prawdziwa. Kiedy odgrywam

rolę Małgosi, jestem naprawdę Małgosią, nie Miriam, a Frejdla jest prawdziwą czarownicą. Nawet Fiszel, który wygląda i zachowuje się w swojej roli tak samo, jak podczas naszych zabaw, w trakcie prób jest dla mnie Jasiem. To jest wtedy dla mnie prawdziwą rzeczywistością. Tak samo podczas moich spacerów z tatą, kiedy opowiada mi i Wierce o Nibylandii. Nawet w szkole, w trakcie lekcji historii, kiedy nauczyciel Holcman opowiada klasie o powstaniu Bar-Kochby[253], jestem wtedy tam, na ziemi Izraela, widzę to wszystko własnymi oczami i nic poza tym dla mnie nie istnieje.

Ta rozmowa z Frejdlą wywiera na mnie trwałe wrażenie. Rozmyślam o innych znanych mi bajkach, jak na przykład o *Czerwonym Kapturku*, też braci Grimm. Od tych rozmyślań dostaję skurczy żołądka. Zaczynam wątpić, czy będę potrafiła należycie odegrać rolę Małgosi, ponieważ coraz wyraźniej uświadamiam sobie, że coś jest nie tak z tą bajką. I przez to, że coś jest z nią nie tak, staje się ona nieprawdziwa i nie mogę się już w nią wczuć. Nawet w Jasiu zaczynam coraz częściej widzieć Fiszela. Przypomina mi anioła śmierci z zabaw w jego mieszkaniu, a także grę, w którą bawię się z jego ojcem. I chociaż nie lubię czekolady i łakoci bez najmniejszego powodu, teraz znajduję dla tego dobrą przyczynę: we wszystkim, co jest za słodkie, znajduje się coś gorzkiego.

Jestem więc bardzo zaskoczona, kiedy podczas przedstawienia w ramach *Wiosennego poranku* w sali filharmonii nikt oprócz mnie nie zauważa, jak źle odgrywam rolę Małgosi – zarówno w części bajki, którą lubię, jak i w tej, której nie znoszę. Wręcz przeciwnie – moja gra przynosi niespodziewane i przyjemne rezultaty. Robię tak wielkie wrażenie na pannie Jedwab, iż prosi, by przedstawiono ją moim rodzicom, a to znowuż skutkuje tym, że mam zacząć chodzić do niej na lekcje tańca, nie płacąc za nie ani grosza.

A nawet więcej! Panna Jedwab jest tak bardzo przekonana o moim talencie, że dzięki różnego rodzaju interwencjom i odpowiednim kontaktom doprowadza do tego, iż zostaję dopuszczona do przesłuchania u światowej sławy mistrzyni baletu – *madame* Felicji Markiewicz, która prowadzi najsłynniejszą w Łodzi szkołę baletową[254].

---

[253] Bar Kochba (w języku aramejskim Syn Gwiazdy), pierwotnie nazywał się Szymon ben Kosiba, był dowódcą drugiej wojny żydowsko-rzymskiej zwanej powstaniem Bar Kochby. W latach 132-135 n.e. założył niepodległe żydowskie państwo podbite przez Rzymian po dwóch latach wojny.

[254] Nie ustalono, którą szkołę tańca ma na myśli Autorka, w międzywojennej Łodzi działało kilka. Warto odnotować, że od 1926 r. do wybuchu wojny prywatną Szkołę Rytmiki Plastyki i Tańca Artystycznego przy ul. Piotrkowskiej 80 (potem Traugutta 1) prowadziła Halina Krukowska-Eliasberg (1901–1973), tancerka i choreografka, absolwentka słynnej warszawskiej szkoły tańca Janiny Mieczyńskiej. W 1941 r. Krukowska wraz z mężem – lekarzem – znalazła się w getcie, pracowała m.in. przy choreografii występów w Domu Kultury.

*

Madame Felicja Markiewicz zasłużenie cieszy się swoją znakomitą renomą. W młodości tańczyła w *corps de balet*[255] nieporównywalnego i największego na świecie zespołu baletowego – Les Ballets Russes Sergieja Pawłowicza Diagilewa[256]. Jej choreografami byli tacy giganci choreografii jak Fokin[257] i Niżyński[258], a ona sama była serdeczną przyjaciółką tak wybitnych *prime ballerine assolute*[259] jak boska Pawłowa[260] i nieziemska Tamara Karsawina[261].

Madame Felicja Markiewicz jest polsko-żydowskiego pochodzenia. Wir rosyjskiej rewolucji porwał ją i rzucił w ramiona rewolucyjnego komendanta, bolszewika Jefima Sergiejewicza Blachobojnego, który ostatecznie został jej mężem. Upierał się on przy przeprowadzeniu serii bolszewickich eksperymentów w ich prywatnym, wspólnym pożyciu. Pomimo tego, że bazowały one na wolnej miłości, przyjęły formę niewolnictwa i *madame* Felicja zaczęła wątpić, czy rewolucja i jej mąż mają pozytywny wpływ na jej artystyczny rozwój. Nawet w najstraszniejszych czasach rewolucji żyła w Moskwie we względnym luksusie, mimo to wykorzystała okazję triumfalnego *tournée* jej zespołu baletowego po Europie i uciekła zarówno od swojego męża, jak i od macochy Rosji, żeby pojawić się w końcu w tak nędznym kulturalnie grajdołku jak Łódź, którą zwano polskim Manchesterem. Łódź nie posiadała żadnego teatru, który mógłby się stać siedzibą zespołu baletowego i w konsekwencji nie miała żadnej stałej trupy baletowej, nie wspominając już o szkole tanecznej na odpowiednim poziomie.

Madame Felicja wierzyła, że rewolucja rozprzestrzeni się na cały świat i zaleje Polskę oraz miasto Łódź niczym czerwona lawina, a jej mąż, Jefim, prędzej czy później dopadnie ją i odbierze jej wolność, jeśli nie życie. Dlatego też jej zapatrywania zarówno na życie w ogóle, jak i na jej taniec, są fatalistycznej natury.

---

255 *corps de ballet* (fr.) – zespół tancerzy (bez solistów) danego teatru (opery, baletu)

256 Siergiej Pawłowicz Diagilew (1872-1929) – impresario baletowy, zrewolucjonizował widowisko baletowe, w którym liczy się zarówno taniec, jak muzyka i atrakcyjna strona wizualna, twórca zespołu Bałety Rosyjskie (1907, Paryż), w którym gwiazdami byli m.in. Wacław Niżyński, Anna Pawłowa.

257 Michaił Michajłowicz Fokin (1880-1942) – tancerz i choreograf rosyjski, reformator baletu klasycznego.

258 Wacław Niżyński (1889-1950) – jeden z najwybitniejszych tancerzy baletowych XX wieku.

259 *prima ballerina assoluta* – wyjątkowo utalentowana primabalerina, tytuł honorowy przyznawany najwybitniejszym tancerkom baletu

260 Anna Pawłowa (1881-1931) – rosyjska tancerka baletowa o międzynarodowej sławie.

261 Tamara Płatonowna Karsawina (1885-1978) – wybitna rosyjska tancerka, primabalerina Teatru Maryjskiego w Petersburgu i zespołu Les Ballets Russes.

Mimo to, niczym kapłanka w służbie muzy, za swoje powołanie uważa złożenie wszystkiego, co posiada, na ołtarzu sztuki, zanim będzie za późno. Utrzymuje w formie swoje wychudzone ciało oraz poranioną duszę, z nieustępliwością i uporem prowadząc utworzoną przez siebie w Łodzi pierwszorzędną szkołę taneczną.

Szkoła ta znajduje się w zaniedbanym budynku w głębi hałaśliwego, brudnego podwórza w centrum miasta. Jej uczennicami są utalentowane dziewczęta z zamożnych domów, które darzą *madame* Felicję wielkim szacunkiem i podobnie jak ona uważają lekcje tańca za święty rytuał.

Madame Felicja zarządza szkołą niczym dumna, potężna królowa smutku. Tunika, którą nosi podczas lekcji, jest czarna jak smoła. Jej kruczoczarne włosy są tak mocno ściągnięte w kok na czubku głowy, że wyglądają niczym kapelusz wykonany z lśniącego, czarnego filcu. Jej duże, czarne, żydowskie oczy pod ciężkimi powiekami są otoczone długimi rzęsami i pełne bezdennego smutku. Powieki i gęste brwi podkreśla czarną kredką, za to zapadnięte policzki z wysokimi kośćmi policzkowymi pudruje bardzo ciemnym różem, a pełne usta maluje na ciemnoczerwono. Jej ciało, długie i kościste, ma w sobie jednocześnie jakąś poruszającą słabość, jak i stoicką siłę.

Gdy *madame* Felicja zwraca się do swoich uczennic, można odnieść wrażenie, że mówi po rosyjsku, używa jednak przy tym polskich słów, wplatając między nie francuskie wyrażenia. Jej głos jest silny, zachrypnięty i pobrzmiewa w nim tragiczna nuta. Gdy mówi, jej ręce z dłońmi o długich palcach i pomalowanych purpurowo paznokciach rysują w powietrzu przeróżne formy. Jej roztrzepotane dłonie wyglądają niczym krążące wokół niej nietoperze z czerwonymi szponami. Kiedy po raz pierwszy widzę ją stąpającą krokiem baletnicy, jej zgrabne ruchy wydają mi się dziwaczne i komiczne.

Gdy panna Jedwab i ja pojawiamy się w szkole tańca, od razu staje się dla mnie jasne jak słońce, że *madame* Felicja nie jest specjalnie szczęśliwa z naszej wizyty. Wita nas królewskim skinieniem głowy i lodowatym uściskiem dłoni. Odkąd weszłyśmy do recepcji, panna Jedwab nie przestaje zginać się w ukłonach i dziękować *madame* Felicji za to, że zgodziła się nas przyjąć. *Madame* Felicja z miną królowej przyjmującej delegację żebraków mówi najpierw, że jest dla mnie o rok za późno, bym zaczęła naukę baletu. Potem stwierdza, że chociaż moje długie nogi i szyja są plusem, to jednak jestem za wysoka jak na mój wiek i mogę urosnąć wyższa, niż powinna być tancerka baletu. Na koniec zaznacza, że tańczenie baletu nie jest przyszłością dla dziecka bałuckiej biedy. Uważam, że mam szczęście, iż moja brzydota nie wydaje się być żadną przeszkodą, a przynajmniej *madame* Felicja jest na tyle taktowna, by o tym nie wspominać.

Potem *madame* Felicja przygląda mi się bardziej szczegółowo swoimi smutnymi, czarnymi oczami i raz jeszcze wyraża wątpliwość, czy w ogóle opłaca się poświęcać tyle trudu i czasu, nie wspominając o pieniądzach, na dziecko, którego ojciec jest zwykłym kelnerem, a matka prostą sztoperką. Argumentuje, że wcześniej czy później będę zmuszona wspomagać finansowo moich rodziców,

o wiele praktyczniejsze byłoby więc dla mnie, gdybym zaczęła myśleć o wyuczeniu się jakiegoś zawodu, a nie o karierze, która do niczego nie prowadzi na takiej kulturalnej pustyni, jaką jest Łódź. Wyjaśnia, że w jej studio zajmowanie się tańcem oznacza gotowość do ponoszenia ofiar dla sztuki *per se*[262], ofiar, których z powodu mojej biedy nie jestem w stanie ponieść.

Potem *madame* Felicja prowadzi nas z recepcji do właściwego studia tanecznego. Każe mi zdjąć sukienkę i razem z panną Jedwab rozsiada się na podłodze w dużym pokoju ćwiczeń z lustrzaną ścianą – która od razu przykuwa moją uwagę – po czym zaczyna studiować moje ciało od stóp do głów, koncentrując się jednak przede wszystkim na nogach. Obie kobiety kręcą mną w prawo i w lewo jak manekina. Każą mi wykonywać najdziwaczniejsze ruchy nogami, żeby sprawdzić ich elastyczność i czy jest nadzieja, że rozwiną się jeszcze jak należy.

Po tym wszystkim *madame* Felicja wstaje i mówi zdecydowanie:

– Ale nie to jest najważniejsze.

Panna Jedwab i ja gapimy się na nią wybałuszonymi oczami i czekamy, żeby nam powiedziała, co jest najważniejsze. Jednak *madame* Felicja nie jest jeszcze na to gotowa. Zasiada przy pianinie i kościstymi palcami o czerwonych paznokciach zaczyna przebiegać po klawiszach, a następnie zwraca się do mnie, wołając:

– Poruszaj się!

Kompletnie zagubiona patrzę bezradnie na równie zagubioną pannę Jedwab, która w końcu popycha mnie naprzód na środek pokoju, mrucząc pod nosem:

– No, rusz się, moje dziecko. Improwizuj!

Co panna Jedwab ma na myśli mówiąc: „improwizuj!"? Czy chce powiedzieć, że mam tańczyć? Ale jak mogę ruszyć nogą, kiedy takie dwie znakomite mistrzynie tańca – jedna surowa i niezadowolona, druga oszołomiona, lecz równie niezadowolona – przypatrują mi się? To, co ja nazywam „tańcem", jest intymnym zajęciem, któremu oddaję się na strychu domu przy Nowomiejskiej między rozwieszonym na sznurach praniem, gdy nikt mnie nie widzi. Tam mogę zapomnieć, kim jestem i gdzie jestem. Jednak tu, teraz, zbyt dobrze zdaję sobie z tego sprawę. Czy mówiąc „improwizuj!", panna Jedwab ma na myśli, że mam tańczyć jak podczas szkolnego przedstawienia, to znaczy automatycznie wykonywać ruchy, których mnie wyuczyła? Jednak teraz już nikt nie mówi mi, co mam robić – i po jakimś czasie dochodzące do mnie dźwięki pianina wyrywają mnie z odrętwienia, pobudzają do ruchu...

Stoję samotnie pośrodku dużego pomieszczenia i wiem, że nie mogę dłużej czekać i zastanawiać się, co zrobić. Zrozpaczona panna Jedwab potrząsa głową i patrzy na mnie takim wzrokiem, jak gdyby prosiła o swoje życie. Jak mogłabym ją rozczarować? Tak czy siak jest mi już i tak wszystko jedno, zaczynam więc poruszać się w rytm suchych dźwięków pianina. Naraz dostrzegam we wspaniałej lustrzanej

---

[262] *per se* – samo przez się, samo z siebie, tu w znaczeniu: dla samej sztuki, w imię sztuki

ścianie swoje odbicie i zaraz otrząsam się z zawstydzenia. Opanowuje mnie poczucie nieskrępowanej niczym swobody i daję się mu ponieść... – wyzwolona, zapamiętale niosę się po pokoju, kołysząc w najwyższym upojeniu całym ciałem. Zakochuję się wręcz w tym dużym, pustym pomieszczeniu z lustrzaną ścianą i gładką podłogą. Chciałabym być tu sama – wtedy dopiero wiedziałabym, co robić!

Gdy dźwięki pianina urywają się, nie przestaję się poruszać i nadal pląsam w uniesieniu po pokoju. Moje stopy nie chcą zrezygnować z przyjemności dotykania tej wspaniałej, gładkiej podłogi. Dopiero, gdy słyszę skrzypienie krzesła i zauważam, że *madame* Felicja wstaje, zatrzymuję się. *Madame* Felicja przywołuje mnie do siebie długim, kościstym palcem.

– Ale to również nie jest najważniejsze – mówi do panny Jedwab. Znowu nie wyjaśnia, co ma na myśli, tylko prowadzi mnie i pannę Jedwab do garderoby, gdzie w kącie stoi waga. Waży mnie i mierzy, zapisuje coś na kartce i milcząc, pokazuje to pannie Jedwab. Wtedy po raz ostatni mówi: – Ale nawet to nie jest najważniejsze. – Następnie z majestatem i powagą wyjaśnia: – Najważniejsze jest poświęcenie i charakter. Po tym, jak zostaną wzięte pod uwagę wszystkie uzdolnienia oraz wszelkie inne atuty, poświęcenie i charakter są decydującymi czynnikami. A o tym nie możemy na razie jeszcze niczego powiedzieć, prawda? – I oznajmia pannie Jedwab, że zgadza się przyjąć mnie do swojej szkoły tańca na pewien czas na próbę, począwszy od nowego roku szkolnego, pod warunkiem, że będę utrzymywać surową dietę.

Kiedy słyszę określenie „surową" z dodatkiem nieznanego mi słowa „dieta", której mam się trzymać, dreszcz przechodzi mi po plecach. Tymczasem twarz panny Jedwab rozjaśnia się jak słońce. Nie posiadając się z wdzięczności i ubóstwienia, długą chwilę potrząsa energicznie kościstą ręką *madame* Felicji. Każe mi ukłonić się, co robię chętnie, żeby jak najszybciej mieć za sobą to całe zawracanie głowy. Żałuję jedynie tego, że nie mogę zabrać ze sobą wspaniałego pokoju z lustrzaną ścianą. Panna Jedwab obejmuje mnie ramieniem i tanecznym krokiem wychodzi ze mną ze studia mistrzyni baletu.

Na ulicy panna Jedwab wyjaśnia mi głosem przepełnionym radosnym niepokojem, co to takiego dieta oraz co tancerka może jeść, a czego nie wolno jej nigdy nawet dotknąć ustami. Wykorzystuje też od razu okazję do tego, by poinformować mnie również o innych rzeczach, które są dozwolone dla tancerki, a czego nie wolno jej nigdy robić. Tego, co jest zabronione, jest dużo, a rzeczy dozwolone są niezbyt ponętne. O mały włos nie zdradzam się z moich myśli i nie wyjaśniam pannie Jedwab, że nie powinna zawracać sobie głowy całą tą historią ze szkołą baletową. Niewiele brakuje, bym od niej uciekła.

Jak gdyby wyczuwając moją chęć ucieczki, panna Jedwab przyciska mnie serdecznie do siebie i uroczyście, ustami pełnymi słodyczy mówi:

– Być tancerką, Miriam, znaczy być kapłanką, westalką strzegącą wiecznego ognia sztuki w świątyni miłości i piękna. Powołanie na westalkę to niebagatelna sprawa.

Nie mam zielonego pojęcia, czego panna Jedwab ode mnie oczekuje. Nie chcę być żadną westalką – co by to nie miało znaczyć – i strzec ognia. Ogień wzbudza we mnie strach. Spoglądam z boku na pannę Jedwab i nie mogę uwierzyć własnym oczom: gdy idziemy tak obie niczym dwie uciekinierki z domu wariatów cuchnącymi, pełnymi zgiełku ulicami miasta, pośród drażniącego nozdrza smrodu odpadów, rynsztoków i końskich odchodów, jej pomarszczona, woskowa twarz staje się nagle młoda i piękna. Wygląda na tak szczęśliwą, że nie mam serca otworzyć ust, żeby broń Boże nie wyrwać jej z tego stanu zaczarowania i spowodować, że na powrót stanie się brzydka.

*

Kiedy przychodzę do domu, wciąż jeszcze oszołomiona po wywiadzie z *madame* Felicją, rzucam torbę w kąt, po czym macham do mamy ręką i wołam:

– Wychodzę!

Zanim Binele zdąży powiedzieć choć jedno słowo, jestem już na korytarzu. Wbiegam po schodach dwa piętra i wpadam na „mój" strych, który jest jak zwykle gęsto zawieszony prześcieradłami, pościelą, bielizną i ubraniami. Najpierw podchodzę do małego okienka, przez które można zobaczyć dachy Bałut na tle budynków miejskich oraz las kominów – wszystko to przykryte niebem skłębionych chmur dymu. Tam, pod tym okienkiem, trzymam swoją kolekcję szmatek, kawałków firan, potarganych szali i kolorowych kawałków materiałów. Wszystko to wykradłam z poszewki, w której mama gromadzi zużyte, niepotrzebne jej w danej chwili rzeczy, które mogą się jeszcze kiedyś przydać.

Dziś jednak nie mam ochoty przystroić się w żaden z tych kostiumów. Nic, co na siebie wciągam, nie zadowala mnie. Potrzebuję czegoś specjalnego. Żadną miarą nie mogę dziś odtańczyć mojego tańca, mając na sobie jakieś zwykłe byle co. Niezadowolona i niespokojna zbiegam z powrotem do domu, siadam przy stole i udaję, że odrabiam lekcje. Tymczasem w sercu modlę się, żeby mama wyszła na jakiś czas z mieszkania.

Wierka poszła odrabiać lekcje do swojej przyjaciółki. Binele siedzi przy stole i kolorowymi nićmi wyszywa świąteczny obrus na stół z nogami w kształcie lwich łap. Od miesięcy jest zajęta tą pracą, oddając się jej z zapałem i z przyjemnością wyszywa kwiaty oraz liście drobnym ściegiem krzyżykowym. Jeśli chodzi o projekt panny Jedwab dotyczący zainicjowania mojej tanecznej kariery, to nie znajduje on wielkiego poparcia u Binele, która nie ma zielonego pojęcia, o co z tym całym baletem-szmaletem chodzi. Obawia się, że jeśli jest to tylko jakiś specjalny rodzaj tańca, moja głowa zostanie nabita głupstwami, które jeszcze bardziej odciągną mnie od nauki i nie daj Boże zagrożą całej mojej edukacji, która jest przecież najważniejszą sprawą na świecie. Im starsze stajemy się my, jej dzieci, tym bardziej wzrasta szacunek Binele dla edukacji, wiedzy i dla wielkich, grubych książek.

– No i jak było na przesłuchaniu, na które wzięła cię panna Jedwab? – pyta mnie mama.

– Nijak było – mruczę pod nosem w odpowiedzi, jakby i dla mnie nie miało to większego znaczenia. – Przyjmie mnie na próbę po wakacjach – mówię. Udaję, że jestem głęboko pogrążona w moich zadaniach z rachunków i w ogóle nie myślę o strychu. Nagle, nie podnosząc głowy znad zeszytu i jakby mimochodem, kłamię: – Widziałam na korytarzu Nońka. Zdaje się, że powiedział do mnie: „Zawołaj mamę".

– Co to znaczy: „Zawołaj mamę"? – udaje złość Binele. – Ten twój mały brat też już uważa, że mama jest na świecie po to, by słuchać jego komend! Dlaczego nie wejdzie, jeśli mnie potrzebuje? – Mimo to odkłada na bok obrus, poprawia fartuch i wychodzi z mieszkania.

Doskakuję do szafy, otwieram lewe drzwi i wyciągam szybko mamy poszewkę ze szmatami. Z najwyższej półki spada mi coś na głowę. Jest to miękki woreczek z zielonego aksamitu, w którym leży kawałek białego, delikatnego, cienko tkanego płótna z czarnymi pasami wzdłuż boków i frędzlami w rogach. Dokładnie czegoś takiego potrzebuję. Wiem, że jest to tałes[263], który tata trzyma jeszcze z czasów, kiedy był religijny. Dzisiaj na pewno już go nie potrzebuje. Nie ma najmniejszego prawdopodobieństwa, żeby nagle znowu stał się pobożny. W tym momencie to nie tata, tylko ja potrzebuję tego wspaniałego kawałka płótna. Łapię za nożyczki z mamy pudełka na przybory do szycia i z tałesem pod ramieniem wybiegam z mieszkania.

Na korytarzu nie ma ani Nońka, ani Binele i droga na strych jest wolna. Wszedłszy tam, rozpościeram tałes na podłodze i wycinam pośrodku niego dziurę. Przekładam przez nią głowę i już jestem przebrana w najbardziej fantastyczny kostium na świecie. Czuję się, jakby urosły mi skrzydła.

Puszczam się w żywiołowe pląsy pomiędzy białymi prześcieradłami, ubrana we wspaniałą, białą draperię obramioną czarnymi brzegami i przyozdobioną frędzlami. To dopiero jest taniec! Teraz jestem w domu, w moim własnym kącie, w moim świecie. Teraz żyję i oddycham – nie jak ziemska, dziewięcioletnia dziewczynka, tylko jak bezcielesna istota; nie jak moje własne fizyczne ja, tylko jak pozbawiony ciężaru duch, który wypełnia całą swoją istotą Nibylandię, do której nie mogę już wejść w żaden inny sposób – jak tylko poprzez mój taniec.

Pląsam tak po strychu bardzo długo, aż coraz częściej zaczynam zaplątywać się w pranie zwisające z rozciągniętych równolegle sznurów. Nagle orientuję się, iż wokół mnie zrobiło się ciemno, a mama nie będzie wiedziała, dokąd poszłam. Wybiegam więc szybko tanecznym krokiem ze strychu, zapominając zdjąć biały kostium i wziąć ze sobą nożyczki. W domu spotykam się twarzą w twarz z mamą.

---

[263] Tałes – szal modlitewny, prostokątna chusta nakładana przez żydowskich mężczyzn na głowę bądź ramiona podczas modlitw.

– Co to takiego? – pyta Binele, stając w bezruchu niczym słup soli i gapiąc się na mnie.

Ja, cała zdyszana i zgrzana, spostrzegam nagle, że wciąż mam na sobie tałes. Rozpościeram obie ręce, jak gdybym chciała się ukłonić i mówię:

– Zrobiłam sobie pelerynę.

Binele jest tak zszokowana, że nie może wziąć się w garść i odezwać się do mnie z należytą porcją złości w głosie. Pogrąża się w zupełnym milczeniu, opada na krzesło i siedzi nieruchomo, wędrując myślami gdzieś daleko, gdzie nie można za nią podążyć.

Czy powinna zobaczyć zły omen w tym, co się stało? Czy też jest po prostu niemądra i powinna przepędzić złe przeczucia z serca? Dlaczego mój skandaliczny wybryk miałby ją tak zaniepokoić i przyprawić o atak trwogi? W końcu nie jest żadną zabobonną kobietą. Oczywiście, że należałoby się z tego śmiać. Jankew z pewnością nie będzie robił sprawy z powodu szkody, jaką wyrządziłam. Zawsze przecież można kupić nowy tałes. A nauczkę dostanę za to, że wzięłam użyteczną, niezniszczoną rzecz i pocięłam ją bez pozwolenia. Możliwe, że sąsiedzi widzieli mnie paradującą po korytarzu w religijnym odzieniu, ale to nie ma żadnego znaczenia. Znaczenie ma to, że... – tak, może jednak w tym sprofanowanym tałesie jest jakaś wskazówka, jakiś znak ostrzegawczy? Binele zawsze drży tak bardzo o wszystko, co posiada, jakby nie zasłużyła sobie na swoje szczęście. Czy nie ma do tego wszystkiego prawa? Dlaczego, im starsza się staje, tym częściej opanowują ją wszelkiego rodzaju bezpodstawne obawy, takie niemądre lęki?

Na czubkach palców przemykam obok mamy do mojego kącika. Zdejmuję z siebie „kostium", zwijam go starannie i kładę obok siebie przy ścianie. Postanawiam, że tałes będzie moim kostiumem na specjalne okazje. Zyskał dodatkową wartość przez ten niezrozumiały dla mnie fakt, że nie zapłaciłam za niego ani jednym klapsem i mama nie urządziła mi nawet żadnej sceny. Przychodzi mi do głowy, że być może domyśla się, co ten kostium dla mnie znaczy. Może potrafi czytać w moim sercu, chociaż nie ma pojęcia o mych tanecznych sesjach na strychu? Może wie o mnie dużo ważnych rzeczy? I gdy rozmyślam tak w moim kąciku, odczuwam wielką bliskość z mamą, która siedzi przy stole pogrążona w sobie i oddalona myślami.

Matki są wspaniałymi ludźmi – myślę i obiecuję sobie święcie słuchać się mamy o wiele częściej niż dotychczas. Nagle przypominam sobie o nożyczkach, które zostawiłam na strychu i ruszam do drzwi.

Kiedy wchodzę z powrotem do mieszkania i wkładam nożyczki do pudełka z przyborami do szycia, zauważam, że mama przebudziła się z zamyślenia, jednak wciąż jeszcze ma zachmurzoną twarz.

– Skłamałaś, mówiąc mi, że Noniek mnie woła, żeby wywabić mnie z domu, porwać tałes taty i go pociąć? – pyta.

– Zdawało mi się, że cię woła – wybąkuję. Siadam przy stole, by ponownie zabrać się za odrabianie lekcji i mam nadzieję, że dzięki temu mama zostawi mnie w spokoju.

– Nic sobie nie robisz z oszukiwania mamy, czy tak?

Opuszczam głowę tak nisko, że mój nos prawie dotyka zeszytu. Marszczę z przejęciem czoło i zapisuję wynik trudnych rachunków.

– Siedemnaście... Dwadzieścia... Dwadzieścia pięć... – rachuję na głos.

– Miriam, przecież mówię do ciebie!

Mam wrażenie, że nie złości się na mnie, tylko na kogoś innego.

– Nie mogę rachować, kiedy tak krzyczysz – jęczę.

– Skończ z tymi sztuczkami, Miriam!

– To nie są żadne sztuczki! – wołam.

Odrzucam ołówek i wybucham płaczem w nadziei, że w ten sposób uda mi się wybrnąć z tej nieprzyjemnej sytuacji. Poza tym duszą jestem wciąż na czwartym piętrze, na strychu. Ciągle jeszcze czuję w sobie podniosły nastrój, lecz teraz nie jestem już w stanie przejść stopniowo i powoli do atmosfery panującej w domu, ponieważ ostre słowa mamy unicestwiają moje wzniosłe uczucia. Okazuje się, że mama w ogóle mnie nie rozumie. Z twarzą mokrą od łez odwołuję moje postanowienie sprzed chwili, by słuchać się jej częściej niż przedtem. Jednocześnie dziwię się jednak, dlaczego mama nie oznajmiła mi jeszcze, jaka kara mnie czeka.

Kiedy Jankew wraca późno w nocy z pracy, Binele, leżąc już w łóżku, przekazuje mu dwie nowiny dnia: pierwszą – że pocięłam jego tałes, oraz drugą – iż zostałam przyjęta na okres próbny do szkoły tańca. Jankew zaciera ręce i szepcze triumfalnie:

– Miriam wyrasta na tancerkę! – Po czym na głos zaczyna snuć marzenia o mojej tanecznej karierze.

Binele próbuje sprowadzić go na ziemię.

– A pocięty tałes w ogóle cię nie obchodzi? – pyta.

On śmieje się cicho.

– A skąd ona ma znać znaczenie tałesu?

– A że wyrasta na notoryczną kłamczuchę, też ci nie przeszkadza, co?

Jankew rozbiera się, wskakuje do łóżka i chwyta Binele w ramiona.

– A ile razy ty, moja żono, opowiadasz mi małe kłamstewka, czy nawet trochę większe kłamstwa? Nie oszukujmy się, towarzyszko Binele.

Ona broni się zarówno przeciwko jego słowom, jak i ramionom.

– Tak, oczywiście, baw się dobrze, obrażając mnie. Dlaczego nie zniszczysz całkiem mojego wizerunku w oczach dzieci, co? Proszę bardzo, opowiedz im, że ich mama jest kłamczuchą i mogą brać z niej przykład! – Nie może kontynuować zarzutów, ponieważ Jankew zamyka jej usta pocałunkami.

*

Kiedy tylko otwieram rano oczy, widzę tatę, jak stojąc obok łóżka w długich gatkach, pochyla się nade mną. Zaczyna mnie dokładnie wypytywać o szczegóły przesłuchania u *madame* Felicji Markiewicz. Potem zaciera ręce, a w końcu porywa mnie z łóżka prosto w swoje ramiona i całuje moją głowę.

Binele ze swojej strony pozostaje obojętna wobec całej tej kwestii moich lekcji tańca. Oczywiście jest dumna, że nauczyciel Wilner i panna Jedwab tak zainteresowali się jej córką, jednak wcale się temu nie dziwi. Jankew zawsze ją zapewniał, że ich córki są księżniczkami obdarzonymi wspaniałymi uzdolnieniami, a syn wyrasta na młodocianego geniusza i wszystkich nas czeka świetlana przyszłość. Jednak sukcesy Wierki przynoszą Binele więcej zadowolenia niż moje, bardziej przypadają jej do gustu, gdyż są „praktyczniejsze". Uzdolnienia Wierki leżą w jej głowie, a nie jak w moim przypadku – w nogach. Binele wątpi, czy z posiadania zdolnych nóg może wyniknąć coś istotnie ważnego. Tańczenie jest jej zdaniem bezmyślną aktywnością dobrą dla lekkoduchów i nadającą się do szkolnych przedstawień jak *Wiosenny poranek*, jednak nie prowadzącą do żadnych znaczących rezultatów. Branie lekcji tańca po szkole może jej zdaniem jeszcze bardziej osłabić mój zapał do nauki, który i tak jest niewielki. Obawia się, że przez to mogłabym, nie daj Boże, nie ukończyć szkoły. Jaką wartość będzie miało wtedy moje życie – życie bez wykształcenia? I kto jest odpowiedzialny za to, by temu zapobiec, jeśli nie rodzice?

Do tego dochodzi jeszcze kwestia diety: co mogę jeść, a czego mi jeść nie wolno. Ileż to ona się wycierpiała z powodu mojej niechęci do jedzenia! A tu pojawia się nagle jakaś *madame* – jakby się tam nie nazywała – i ostrzega, że przez całe lato dziecko może przybrać co najwyżej kilogram i ani deko więcej! Binele potrafi być cierpliwa i iść na różnego rodzaju kompromisy, jednak nie w kwestii odżywiania jej dzieci. Nie będzie tolerować, by jakaś obca osoba się do tego mieszała. Po cóż rodzice trudzą się i poświęcają, jeśli nie po to, by ich dzieci mogły latem najeść się do woli i przybrać na wadze tyle, ile tylko możliwe? Dzieci rosną jak na drożdżach i ja mogę, nie daj Boże, nabawić się suchot od takiej baletniczej diety, jaką zaleciła mi *madame* od tańca. I co to w ogóle za jakiś nowy ideał, ten cały balet-szmalet, że trzeba ponosić dla niego takie ofiary? Cała ta sprawa jest dla Binele zagadką i zastanawia się, kto z nich – ona czy też Jankew – nie jest przy zdrowych zmysłach.

W rzeczywistości dla Jankewa też nie jest jasne, na czym tak naprawdę polega balet. Czasami, kiedy razem z Binele idą do kina, widują na ekranie zwiewnie tańczące na czubkach palców grupki dziewcząt w białych krynolinach lub krótkich tunikach. To wszystko, co na ten temat wie. Jednak jest pewien, że balet zalicza się do sztuk pięknych – a co znaczy sztuka, wie już dobrze. Bagatela! Jego Miriam, jego krew z krwi, kość z kości, jest na najlepszej drodze, by zostać artystką! Twarz jaśnieje mu z dumy. I nie jest to tylko duma ambitnego ojca. Jego radość nie jest taka prosta, gdyż pobudzana jest trwogą i wewnętrznym drżeniem, które w pewnym sensie podobne są do lęków Binele. Podobnie jak ona, pyta sam siebie, w jaki sposób ludzkie marzenia mogą urzeczywistnić się nieomal całkowicie tak, jak się je sobie wymarzyło? Czym sobie na to zasłużył? Czy to rzeczywiście możliwe, że jego dzieci poniosą w świat muzykę rozbrzmiewającą w jego duszy, a której sam nie jest w stanie wyrazić? Czy to możliwe, że smutek,

który wgryzł się w jego serce w latach dzieciństwa i młodości, mógł przemienić się w taką słodką radość?

Binele pozwala Jankewowi pławić się w fantazjach o mojej tanecznej karierze, w myślach jednak postanawia, że nie będzie mnie latem głodziła. Wręcz przeciwnie – dopilnuje, bym tak przybrała na wadze, że da to koniec temu całemu utrapieniu z baletem, zanim sama zdąży się połapać, z czym się to je. W międzyczasie bierze się za urabianie Jankewa z innej strony, nie wspominając ani słowem o balecie. Przypomina mu tylko, ile będą mieli w lecie wydatków, nawet jeśli wynajmą mieszkanie na wsi razem z Cederbojmami, po czym wymienia, co trzeba kupić, zanim zacznie się lato. Zwraca uwagę na to, że muszą wspomagać rodzinę Szolema i zapłacić czynsz, a pieniądze, które zaoszczędzili w tabakierce, tak szybko przeciekają przez palce. Czasy stają się coraz cięższe i bezrobocie w mieście zaczyna dotykać również kelnerów.

Jankew przechodzi w pracy niezmiernie trudny okres. Pan Terkeltojb stał się wobec niego bardzo krytyczny. Straszy go ciągle konsekwencjami skandalu, który może wybuchnąć z powodu Poli, i narzeka, że zbankrutuje z kelnerem tłukącym ciągle naczynia. Przypomina mu też nieustannie o tym, jak żałosna jest jego polszczyzna i wytyka mu powiększającą się łysinę oraz chorowity wygląd.

Jankew jest wychudzony jak szkielet, co spowodowane jest brakiem snu, szukaniem w sekrecie nowej posady, działalnością w Bundzie oraz trwającymi często do świtu burzliwymi zebraniami związku kelnerów. Jednak im głębiej pogrąża się w rozpaczy, im większy ogarnia go strach przed utratą posady, tym bardziej kurczowo trzyma się myśli o osiągnięciach dzieci, żeby zagłuszały jego własne niepowodzenia. Zadowolenie z dzieci sprawia, że najboleśniejsze doświadczenia blakną i znikają.

Wie dobrze, że Binele ma rację, mówiąc, że nie wolno im wydawać ani grosza ponad to, co absolutnie konieczne. Mimo to bez mrugnięcia okiem mówi do niej:

– Teraz zaczniemy porządnie oszczędzać. Będziemy odkładać grosz do grosza, by w ten sposób gromadzić fundusz na edukację dzieci.

Binele wzrusza ramionami, myśląc sobie w duchu, że jej mąż jest gorszy od Menachema Mendela[264] i całkiem postradał zmysły. Największa suma pieniędzy, jaką kiedykolwiek zdołali zaoszczędzić w tabakierce, wynosiła trzydzieści złotych.

Ja tymczasem żyję sobie spokojnie jak zwykle i w ogóle nie przejmuję się zmianą, która ma nastąpić w moim życiu. Co się wydarzyło, musiało się wydarzyć. Zawsze wiedziałam, że zostanę tancerką. *Madame* Felicja Markiewicz nie przypadła mi wprawdzie za bardzo do gustu, a jej uwagi, że mam za dużo lat i jestem za wysoka, za gruba, czy zbyt biedna, nie mają moim zdaniem najmniejszego

[264] Tytułowy bohater utworu *Menachem Mendel* Szolema Alejchema, który usiłuje wydostać się z nędzy i osiągnąć sukces, chwytając się różnych niepraktycznych zajęć, które nie przynoszą powodzenia.

sensu. Nie mogę się wprost doczekać, by być starszą i urosnąć, a za gruba to już na pewno nie jestem. Nie wspominając o tym, że na Bałutach moja rodzina należy do bogatych, a nie do biednych. Jednak ani *madame* Felicja, ani jej uwagi nie mają dla mnie znaczenia. Nikt nie jest w stanie wpłynąć na mój los. Taniec jest moim przeznaczeniem i nie ma tu nic więcej do dodania.

Rozdział dziewiętnasty

Po szeregu burzliwych dyskusji Binele i Jankew postanawiają zrezygnować tego lata z wyjazdu na letnisko do Stefanowa. Binele i Noniek jadą tam tylko na parę tygodni w gości do Cederbojmów, a Wierkę i mnie ma zabrać ze sobą do Bocianów młodsza siostra Jankewa, ciocia Szejndla, która przyjeżdża czasami do Łodzi nakupić materiałów do rodzinnego sklepiku.

Byłam już wcześniej dwa razy w Bocianach, ale mało co pamiętam z tych wizyt. Teraz jestem gotowa stworzyć w moim sercu kącik dla tego sztetla i zachować go w pamięci.

Wysiadamy z pociągu na małej stacji kolejowej. Zlane potem maszerujemy z tobołkami w rękach wzdłuż wąskiej alei topolowej. Wciąż jeszcze nazywa się tę drogę „wąską", chociaż jest teraz szersza od szerokiej topolowej alei i wybrukowana nierównymi kamieniami. Ja i Wierka dziwimy się, przechodząc przez most, który jest przerzucony nie nad rzeką, tylko ponad kobiercem ciemnozielonej trawy. Ciocia Szejndla wyjaśnia nam, że kiedyś znajdowało się tam mokradło. Opowiada, że w zasadzie całe Bociany były kiedyś otoczone bagnami i każdej wiosny przylatywały tu boćki. Zakładały swoje gniazda na każdym jednym dachu i dlatego sztetl nazywa się Bociany[265].

Idąc dalej, przechodzimy obok dwóch przędzalni wełny, które obsługują ogromne stada owiec należące do dziedzica. Wkrótce też dostrzegamy płot otaczający posiadłość dziedzica i przez sztachety możemy zobaczyć jego pałacyk.

---

[265] Pierwowzorem literackich Bocianów jest rodzinne miasteczko rodziców Chavy Rosenfarb, Końskie. Pisarka poświęciła im powieść *Bociany*, w której czytelnicy odnajdą wiele dodatkowych kontekstów. Część opowiedzianych tu bocianieckich historii trafiła wcześniej także do esejów Rosenfarb. Zob. Źródła przypisów.

– O, tutaj za dworem spacerujemy w każdy szabes po czulencie – mówi ciocia Szejndla.

Kiedy zbliżamy się w trójkę do samego sztetla, dostrzegamy budynek szkoły oraz dom starosty, a zaraz potem mijamy Kościół Wszystkich Świętych i plac targowy z Pociejowem[266]. Wychodzimy na główną ulicę, gdzie znajduje się parę sklepów. Jeden sklep sprzedaje maszyny do szycia Singer, pierzyny, siodła i inne drogie rzeczy, drugi należy do fotografa i jego okno wystawowe obwieszone jest fotografiami gojskich par ślubnych. Zaraz obok stoi dom, w którym mieści się zakład balwierski, i gdzie – jak mówi Szejndla – mieszka miejscowy felczer.

Kiedy skręcamy w boczną uliczkę, widzimy zapadnięte chatki, które wyglądają podobnie jak chałupy w Stefanowie. Gdzieniegdzie do omszonego słomianego dachu przyczepione jest stare koło, na którym mają swoje gniazdo bociany. Obok gniazd stoją na cienkich jak patyki nogach bocianie pary. Boćki podnoszą i opuszczają majestatycznie, z wielką powagą, swoje długie dzioby, jak gdyby chciały nas w ten sposób pozdrowić.

Jeszcze chwila i wpadamy w ramiona babci Hindy. Babcia jest tylko odrobinę wyższa ode mnie i przy powitaniu zwilża moją twarz swoimi łzami. Zaraz potem moja ręka wpada w chłodny uścisk dużej, suchej dłoni dziadka Josela. Druga ciocia, Gitla, okrywa nasze twarze gorącymi, soczystymi pocałunkami i zanim się obejrzymy, łapie nas za ręce, po czym wbiega z nami do chaty, gdzie zdumione dzieci wujka Szolema demonstrują nam swoje złe maniery, przyjmując nas uporczywym milczeniem. Zawstydzone, trzymają głowy nisko opuszczone i czepiają się kurczowo swojej mamy. Ja też czuję się wobec nich nieswojo, głównie z tego powodu, że wujka Szolema nie ma już między żyjącymi.

Nawet później ani Wierka, ani ja nie mamy ochoty na nawiązanie bliższego kontaktu z dziećmi wujka. Jego synkowie mają długie pejsy, noszą jarmułki oraz długie kapoty i uczą się w chederze lub w bejt midraszu. Ich najstarsza siostra, Liba, jest kopią swojej mamy i wygląda jak typowa Żydówka, chociaż jest starsza od Wierki tylko o dwa lata. Liba nawet w największe upały nosi sukienki do kostek i z długimi rękawami. Przez cały dzień sprząta dom i gotuje, bo jej mama jest zajęta w sklepiku tekstylnym na Pociejowie. Liba patrzy na Wierkę i na mnie z takim podziwem, że zazwyczaj czujemy się w jej obecności zawstydzone.

Wierka i ja kwaterujemy się w facjatce babci Hindy. Ciocie, Gitla i Szejndla, napełniają świeżą słomą siennik, na którym zwykł sypiać Jankew, kiedy był chłopcem. Teraz na tym sienniku pod oknem śpimy my, jego córki, podczas gdy nasze ciocie śpią w dużym, zapadniętym łóżku z ciemnego drewna. Babcia Hinda

[266] Pociejów – nazwa rynku, który nazywany był koneckimi „sukiennicami" albo „Annotargiem", bo w 1817 r. z inicjatywy hrabiny Anny Tarnowskiej wybudowano na nim kramy, które wydzierżawiono Żydom. Zostały rozebrane przez hitlerowców w 1942 r. i nie ma po nich śladu.

i dziadek Josel nocują na parterze w zapuszczonym pokoju, który kiedyś służył za oborę. Dziadek Josel jest nie tylko niewidomy, lecz również niepewnie czuje się na nogach i nie może wspinać się po schodach, które są nierówne i kręte.

Nigdy nie przychodzi mi do głowy, by uważać ciocię Gitlę lub ciocię Szejndlę, które mają po dwadzieścia parę lat, za stare panny. Nie wpasowują się w moje wyobrażenie staropanieństwa. Jednak rzeczywiście nimi są, gdyż nie mają mężów. Gitla jest kokietką, która ma pstro w głowie i nie wydaje się, by spieszyło się jej do wyjścia za mąż. Żywe srebro, pełna temperamentu, niepokoju i energii, lubi się bawić, śmiać i stroić żarty. Jest wielką gadułą i straszną plotkarą. Za to młodsza ciocia, Szejndla, jest romantyczną naturą, delikatną i łagodną, kopią babci Hindy. Brązowe oczy Szejndli, tak podobne do oczu Jankewa, jaśnieją ciepłym, melancholijnym smutkiem. Może wciąż jeszcze karmi swoje serce marzeniami o młodym paniczu, który przybędzie do niej na białym koniu, porwie w ramiona i poniesie ze sobą w daleki, wspaniały świat. W każdym razie nie ma wątpliwości, że Szejndla czeka na wielką, gorącą miłość, która odpowie na wołanie jej utęsknionej duszy. Każdego wieczora zanim obie ciocie i my, ich dwie bratanice, zasypiamy, Szejndla recytuje długie poematy Słowackiego i Mickiewicza, których nauczyła się w bocianieckiej szkole powszechnej.

W szabes po czulencie ciocie zabierają nas – swoje bratanice z dużego miasta Łodzi – na spacer, czy raczej ruszają paradować z nami przed nosami mieszkańców Bocianów. Z otwartych drzwi i okien sterczą głowy ciekawskich, podczas gdy my wędrujemy sobie spokojnie w czwórkę w kierunku dworu dziedzica, gdzie przed płotem przy wąskiej alei topolowej spotykają się zwykle młodzi ze sztetla.

Większość młodych ludzi, którzy spacerują „za dworem" nosi długie kapoty i żydowskie kapelusze, ale każdy trzyma pod ramieniem jakąś książkę albo zwiniętą w rulon gazetę czy żurnal w ręce. Wiele ze spacerujących tu młodych kobiet nosi buty na wysokich obcasach i bluzki z rękawami sięgającymi do łokci, żeby ich zbyt mocno odsłonięte ręce nie drażniły rodziców czy sąsiadów. Wszyscy należą do różnego rodzaju partii politycznych i związków, w rezultacie czego spacerowicze podzieleni są na grupy według ich ideologicznych zapatrywań. Między tymi grupkami spacerują romantycznie zaangażowane pary. Rzeczą naturalną wydaje się, że miłość powinna przekraczać ideologiczne bariery. Jednak romansowanie i wyznawanie miłości odbywa się w zawoalowany sposób, w ramach ideologicznych dyskusji lub rozmów o literaturze i sztuce. Zakochani rzucają nazwiskami wielkich przywódców narodowych, rewolucjonistów, myślicieli i pisarzy, jakby były to bukiety kwiatów, podczas gdy ich oczy mówią potajemnie całkiem innym językiem.

Kiedy w tygodniu nastaje szczególnie ładny dzień, babcia Hinda mówi swoim córkom, by rzuciły wszystko w kąt i wyprowadziły bratanice na świeże powietrze. Ciocie ruszają wtedy ze mną i Wierką szeroką aleją topolową w kierunku Niebieskiej Góry, gdzie stoi młyn.

– Tu, u młynarza, pracował wasz tata, kiedy był chłopcem – wyjaśnia nam ciocia Gitla.

Ciocia Szejndla dodaje z rozmarzonym uśmiechem:

– Uczył dwóch synków bogatego młynarza. Jeden z nich miał na imię Abrasza i wasz tatuś bardzo go lubił.

Spacerując wzdłuż pól pomalowanych przez lato soczystą, ciemną zielenią, dochodzimy do stawu położonego w radośnie rozszeptanym brzozowym lasku. Razem z Wierką przyglądam się białym liliom wodnym, które niczym nieruchome, maleńkie łódki unoszą się na niebieskiej tafli wody. Ciocia Szejndla opowiada nam historię o Kajli Narzeczonej[267], która w zimną, zimową noc poślubną wybiegła ze swojej chałupy i utopiła się w tym stawie.

– Przesądni ludzie w sztetlu wierzą – mówi Szejndla – iż czasami można zobaczyć błękitne niczym niebo oczy Kajli wyglądające z niebieskiej wody, i że białe lilie wodne są pozostałościami jej ślubnej sukni.

W drodze powrotnej zbieramy jagody i poziomki, wrzucając je prosto do ust, po czym zatrzymujemy się u chłopki, by napić się mleka „prosto od krowy". Wierka i ja przyglądamy się, jak chłopka sadowi się na taborecie pod wymieniem krowy i zaczyna ją doić. W powietrzu unosi się słodko-kwaśny zapach świeżego mleka. Skopek między kolanami chłopki wypełnia się powoli spienioną bielą. Skończywszy dojenie, chłopka zdmuchuje pianę z powierzchni ciepłego mleka i napełnia nim kubek. Podnoszę go do ust i czuję smak, który pozostaje ze mną na zawsze. Ten smak jest tak wyrazisty, że można go dosłownie dotknąć. Widok białych wąsów wokół roześmianych ust Wierki również pozostaje na dobre w mojej pamięci. Ciocie kupują świeże jaja „prosto od kury" i spory kawałek masła, które chłopka zawija w duży, zielony liść. Kupują też karminowe rzodkiewki oraz cienki jak igły, soczyście zielony szczypiorek „prosto z grządki", a także dopiero co zebrane ciemnozielone ogórki, których gruba skórka jest jeszcze pokryta plamami wilgotnej ziemi.

Oczywiście można wszystkie te smaczne rzeczy kupić na Pociejowie podczas wtorkowego dnia targowego, jednak ciocie uważają, że takie bezpośrednie przejście warzyw prosto z ziemi w ich ręce, by trafić potem w usta wielkomiejskich dzieci, doda szczególnego smaku posiłkom, które później przyrządzimy. Wracamy do domu, niosąc oprócz tego wszystkiego jeszcze koszyki pełne grzybów, które nazbierałyśmy przy stawie, oraz ogromne bukiety polnych kwiatów zerwanych w rowie biegnącym wzdłuż szerokiej topolowej alei. Z gorącej ziemi unosi się wspaniały zapach, którym pachną też obie spocone ciocie.

Wierka i ja wracamy ze spaceru ze spaloną słońcem skórą, rękami i nogami podrapanymi od włażenia między krzaki i żyto, oraz licznymi śladami ukąszeń przeróżnych much i komarów.

---

[267] Opowieść o Kajli Narzeczonej i inne historie ze sztetla związane z Binele i Jankewem opowiedziane zostały w *Bocianach*.

Kiedy po takiej wycieczce wchodzimy do izby na parterze, babcia Hinda czeka już na nas z garnkiem kartofli i szklankami z czerwonym lub szczawiowym barszczem albo kwaśnym mlekiem. Myśl o diecie wylatuje mi z głowy razem z całą kwestią baletu. Pochłaniam pajdy miękkiego chleba ukrojonego z okrągłego bochna o twardej skórce, grubo posmarowane aromatycznym masłem. Przegryzam je szczypiorkiem lub młodą cebulą, która szczypie mnie w odwecie w język i wyciska mi łzy z oczu. Cebula z kawałkami marynowanego śledzia ma niebiański smak i potrafi wzbudzić szaleńczy apetyt. Zgromadzona na stole barwna ekspozycja rzodkiewek, młodych marchewek, ogórków i pomidorów wabi, by wszystko to natychmiast pochłonąć. Na deser jemy maliny i jagody, po których – z zafarbowanymi na niebiesko ustami i dłońmi – rzucamy się na poziomki z kwaśną śmietaną. Wierka i ja posapujemy, pocimy się, zeskrobujemy łuszczącą się skórę z naszych czerwonych, oparzonych nosów, które babcia Hinda posmarowała masłem, drapiemy pokąsane ręce i nogi – nie przerywając przy tym jedzenia.

W parterowej izbie dziadków tynk odchodzi od ścian, ale za to jest zazwyczaj upiększona światłem mijającego dnia, barwami nakrytego stołu oraz blaskiem twarzy tych, którzy wokół niego siedzą. Podczas takich letnich wieczorów, gdy pełna jest purpurowego blasku słońca, wygląda bogato i świątecznie, jak gdyby była scenerią obrazu Rembrandta, zwłaszcza kiedy dziadek Josel siedzi na honorowym miejscu u szczytu stołu.

Dziadek, z wyczesaną, puszystą brodą i w czystej, czarnej kapocie, siedzi przy stole milczący i tajemniczy. Jego niewidzące, wodniste, szare oczy wpatrują się w nieskończoną dal. Bardzo rzadko odzywa się choćby słowem. Jednak pośród morza zmarszczek na jego policzkach znajdują się skrawki gładkiej skóry, wyglądające jak dwie wysepki uśmiechu. Nie mam pojęcia, na ile dziadek zwraca uwagę na rozmowę przy stole, a jak bardzo pogrążony jest w swoim własnym świecie, jednak promieniują od niego ciepło i siła. Często zdaje mi się, iż to on wyczarował piękno tego pokoju, że gdyby tu nie siedział, magia tych momentów zniknęłaby. Powtarzam za nim hebrajskie słowa błogosławieństwa. Nie rozumiem ich wprawdzie, ale dzięki temu jeszcze bardziej pasują do atmosfery panującej przy stole. Babcia Hinda uważa na dziadka i dba o to, by miał pod ręką te potrawy, które lubi.

Dni babci Hindy wypełnione są doglądaniem dziadka i prowadzeniem gospodarstwa. Ciocie, Gitla i Szejndla, zajmują się sklepikiem na Pociejowie. Jeżdżą kupować towary nie tylko do Łodzi, lecz również do Warszawy. Ten sklepik to właściwie jedynie ślepe okno z półkami w murze przy Pociejowie, jednak chociaż ograniczony miejscem, z biegiem lat stawał się coraz lepiej zaopatrzony. Gdy córki babci Hindy przejęły interes, powiększyły sklepik w przód, wysuwając się z towarami na trotuar. Obecnie chłopki z okolic Bocianów mogą kupić w nim nie tylko sznurowadła, guziki i nici do szycia, lecz również koszule, halki, a nawet suknie i garnitury, które wiszą nad chodnikiem zaczepione na długich drągach.

Kiedy babcia Hinda uważa czasami na sklep, Wierka i ja przychodzimy na Pociejów, by dotrzymać jej towarzystwa.

Babcia sadza nas na skrzynkach z towarem, blisko swoich kolan. Chociaż jest mała, przypomina niekiedy dziadka Josela, jak gdyby była jego siostrą. Jej ciemna, ogorzała od słońca i wiatru twarz, jaśnieje uśmiechem rozciągającym się przez bruzdy skomplikowanej sieci zmarszczek. Zwykle kupuje od jakiejś chłopki kwartę jagód i wsypuje je do pokrywki pudełka. Pokazuje nam, jak nakłuwać jagody na długą szpilkę, by w ten sposób uniknąć zafarbowania na niebiesko dłoni i ust. W wietrzny lub deszczowy dzień zamiast jagód kupuje gorący bób od swojej przyjaciółki. Rozpościera nad naszymi głowami ceratę i rozpala węgiel drzewny w koksiaku. Ja i Wierka pogryzamy bób i przysłuchujemy się opowieściom babci. Pewnego razu, kiedy jest w sentymentalnym nastroju, opowiada nam w skrócie jak doszło do tego, że ona – mama naszego taty i wdowa, wyszła za mąż za dziadka Josela – ojca naszej mamy, który był wdowcem i miał sklep z wapnem i kredą tuż obok jej sklepiku na Pociejowie.

Babcia Hinda jest tak spoufalona z Bogiem, że mówi o nim „słodki ojciec w niebie" i często opowiada nam historie z *Cene-rene*[268]. Wierka złości się bardzo na Awroma Owinu[269] za to, że wygnał Hagar[270] razem z dzieckiem na pustynię i nie może ścierpieć praojca Jakuba, za zdobycie podstępem pierworództwa od jego brata, Ezawa[271]. Jednak ja nie jestem taka mądra w tych sprawach jak Wierka i nie dziwi mnie, że te historie są pełne nie tylko dobroci i sprawiedliwości, ale też zła i nieuczciwości. Każda znana mi historia ma swoje ciemne strony. Właściwie to te mroczne momenty posuwają historię naprzód i dodają jej napięcia.

Czasami najstarsza córka wujka Szolema, Liba, wychodzi ze sklepu swojej mamy i przysiada się do nas, łódzkich kuzynek. Zyskuje mój szacunek tym, że opowieści babci zna dosłownie na pamięć. Zdarza się też, że siada obok nas Abele Głupek, który mieszka w komórce na Pociejowie. Jest siwy i przygarbiony jak pałąk, a bezmyślny, gamoniowaty uśmiech nie schodzi z jego twarzy. Babcia przykazuje nam ostro, by z niego nie drwić.

---

268 *Cene urene* (jid. z hebr. *Wyjdźcie i patrzcie*) – tzw. Biblia kobiet, jeden z najważniejszych tekstów dawnej literatury jidysz. Powstał w XVI w., autorem-kompilatorem był Jakub syn Icchaka Aszkenazego z Janowa Lubelskiego. Tytuł zaczerpnięty został z *Pieśni nad pieśniami* (3;11). Jest to książka w zamierzeniu adresowana do Żydówek, ale stała się również popularna wśród mężczyzn. Oprócz oryginalnego tekstu biblijnego zawiera legendy, midrasze, komentarze, parabole, anegdoty, elementy tradycji magicznej.

269 Awrom Owinu – nasz ojciec Abraham.

270 Hagar – według Księgi Rodzaju egipska niewolnica Sary, żony Abrahama, która urodziła Abrahamowi syna, Izmaela.

271 Ezaw – syn Izaaka i Rebeki, który sprzedał swoje pierworództwo młodszemu bratu Jakubowi za miskę soczewicy.

– Bardzo możliwe – szepcze nam do uszu – że Abele jest jednym z lamedowników[272], a to dzięki ich dobrym uczynkom istnieje świat. – I opowiada nam o świętych ludziach oraz o rabinie reb Israelu Baal Szem Towie[273] oraz o dobrym rebe z Warki[274], od którego Wierka i ja pochodzimy, a który zwykł tańczyć, wychodząc na drogę naprzeciw chasydom przybywającym, by oddać mu cześć. Babcia mówi nam, że warecki rebe uczył swoich chasydów, iż świat musi się nieustannie odnawiać poprzez dobroć i miłość. Wierka zgadza się z tym i dla odmiany niczego w tych opowieściach nie krytykuje. Chociaż Wierka należy do SKIF-u dłużej ode mnie i na pewno wie lepiej, jak należy rozmawiać o religii, rabinach i chasydach, to jednak siedzi dokładnie jak ja z otwartymi ustami i nadstawiając uszu, by nie uronić ani jednego słowa wychodzącego z ust babci.

Obie lubimy też chodzić na Pociejów w dni targowe. Kiedy ciocie zajęte są obsługiwaniem klientów, my ruszamy w wędrówkę po Pociejowie, który przeobraża się w tętniące życiem, interesujące miejsce. Z przyjemnością chłonę zmysłami miszmasz kolorów, zapachów, dźwięków, a także widok kur, kaczek, świń, koni i wozów załadowanych różnego rodzaju warzywami i wyrobami mlecznymi. Lubię obserwować chłopów w ich kolorowych ubraniach i przysłuchiwać się, jak handlują i rozmawiają miejscową, chłopską gwarą. Kiedy dzwon kościelny rozdzwania się na południową mszę, babcia przynosi do sklepiku coś do jedzenia. Czasami przyprowadza ze sobą za rękę dziadka Josela, by mógł przynajmniej posłuchać, jak świat szumi wokół niego, skoro nie może go zobaczyć.

Dziadek rozsiada się na skrzynce i opiera o ścianę. Między nogami trzyma białą laskę, zaciskając zgrubiałe dłonie na jej rączce. Ze swoją wspaniałą, białą brodą i gęstymi, białymi brwiami wygląda jak postać wyjęta z opowieści biblijnych babci Hindy: niczym święty wędrowiec, który przysiadł, by odpocząć nad brzegiem rzeki życia przepływającej przed jego niewidzącymi oczami.

Wierka koniec końców zaprzyjaźnia się z kuzynką Libą, która ku naszemu wielkiemu zdziwieniu potrafi rymować tak samo jak ona. Pewnego razu, gdy Wierka idzie do Liby do sklepiku tekstylnego, a ciocie są zajęte obsługiwaniem klientów, siedzę sama obok dziadka Josela.

---

[272] Lamedwownik (z hebr. *lamed*, *waw* – 36) – jeden z 36 sprawiedliwych, od których zależą losy świata.

[273] Baal Szem Tow – rabin Izrael Ben Eliezer (1700-1760), cadyk, jeden z twórców chasydyzmu na terenie Rzeczypospolitej, zafascynowany kabałą. Nauczał, że zło należy zwalczać dobrem, a Boga chwalić nie poprzez ascezę, a taniec i śpiew.

[274] Cadyk z Warki – Izrael Kalisz, zwany Icchakiem z Warki (1779-1848) – chasydzki cadyk, założyciel dynastii cadyków wareckich, znany jako obrońca praw Żydów.

Dziadek wskazuje laską w lewo i mówi do mnie:

– Widzisz, Miriam, te drzwi? Tu miałem kiedyś swój sklep z wapnem i kredą, a twoja mama, ta dzika koza, nie chciała w nim nogi postawić, oby żyła i była zdrowa. – I chichocze w swoją gęstą brodę.

Chcę go zapytać, dlaczego chichocze i co widzi swoimi niewidzącymi oczami. Jestem pewna, że chociaż nie może zobaczyć, co dzieje się wokół niego, dostrzega wiele innych rzeczy. Usiłuję trzymać oczy zamknięte, żeby poczuć to samo, co on. Widzę dziwaczne kręgi, tańczące kolory, dziwne obrazy. Ale co on widzi? Nie śmiem go o nic zapytać. Zdaje mi się, że chociaż może słyszeć i mówić – nie jest przecież ani głuchy, ani niemy – to jednak duchem nie jest obecny na tym świecie, tylko znajduje się gdzieś, gdzie nie mogę go dosięgnąć.

Wierka i ja jesteśmy już zaznajomione ze wszystkimi kramami i warsztatami na Pociejowie oraz ich właścicielami. Wpadamy czasem tu, czasem tam i przyglądamy się, jak kramarze ważą i mierzą towary, targują się z chłopami, ubijają interesy, a także jak z ich ust wypływa potok przekleństw po złym kliencie i morze błogosławieństw po dobrym. Obie z Wierką jesteśmy obznajomione z tymi wszystkimi sposobami handlowania, ponieważ widziałyśmy je już nieraz na placach targowych Bałut. Jednak tutaj to targowanie się i handlowanie wydaje się przebiegać w tak swobodnej atmosferze, jak gdyby kramarze z Bocianów robili to wszystko nie z potrzeby, lecz dla przyjemności, jakby prowadzili interesy jedynie dla zabicia czasu i przepędzenia nudy doskwierającej mieszkańcom małych miasteczek.

Babcia i ciocie nie mają nic przeciwko naszym znajomościom z kramarzami, przykazują nam jednak surowo, żebyśmy broń Boże nie śmiały wejść do sklepu z artykułami żelaznymi należącego do dalekiego krewnego naszej rodziny. Posiada on, niech Bóg go ma w swojej opiece, córkę Brachę, która jest zuchwałą dziewczyną, istnym diablim nasieniem. Jeśli akurat nie siedzi w kryminale, gdzie spędza więcej czasu niż w domu, przesiaduje w sklepie swojego ojca, sprzedając garnki i misy. Bracha, niech Bóg jej przebaczy, dała się złapać na hasła ruchu rewolucyjnego i stała się prawdziwą czerwoną Lilit. Organizuje komunistyczne komórki w fabrykach Bocianów i swoimi ognistymi przemowami na zgromadzeniach w lesie sprowadza na manowce zarówno żydowską, jak i gojską młodzież. Mieszkańcy sztetla nie posiadają się z oburzenia na nią, gdyż ich zdaniem najwyraźniej postanowiła ściągnąć gniew Boży na żydowskie głowy w Bocianach.

Wierka i ja jesteśmy bardzo zadowolone z tego, że akurat tego lata awanturnicza Bracha nie siedzi w kryminale, tylko w sklepie żelaznym swojego ojca. Jak większość członków rodziny mojego taty, Bracha posiada cudowny dar opowiadania i przemawia do nas językiem, jaki dobrze znamy ze SKIF-u. Opowiadane przez nią historie nie mówią o tym, co było kiedyś, lecz o tym, co jest dziś. Nieraz zdarza się, że Wierka i ja wymykamy się od babci Hindy, po tym jak właśnie opowiedziała nam historię o raju w niebie, i zakradamy się do sklepu

ojca Brachy, by wysłuchać jej opowieści o raju na ziemi, który rozkwitł po drugiej stronie polskiej granicy. Bracha opowiada nam o wspaniałym ojcu narodów, dobrym towarzyszu Stalinie oraz o tym, że napisano o nim wiele książek, które są tak samo święte dla całej ludzkości, jak Tanach[275] dla pobożnych Żydów. Do tego w przeciwieństwie do historii opowiadanych przez babcię, opowieści Brachy nie są wymyślone, tylko prawdziwe.

Po dniu spędzonym na Pociejowie nasze głowy są pełne wszystkiego, co tam usłyszałyśmy i zobaczyłyśmy. Nastaje łagodny wieczór. Zjadłszy wieczerzę w izbie na parterze, wchodzimy na facjatkę i sadowimy się przy oknie. Przyglądamy się ogrodowi zakonnic, który znajduje się za stojącym w sąsiedztwie klasztorem. Gitla i Szejndla też wchodzą i siadają obok nas. Uczą nas śpiewać polską pieśń, którą nazywają *Piosenką Wandy*. Wanda jest krewną starej Mańki Praczki, jedynej gojskiej przyjaciółki i sąsiadki babci z podwórka. Ciocie opowiadają nam, iż Wanda zwykła śpiewać tę piosenkę w młodości, i że pamiętają ją ze swojego dzieciństwa:

Ty pójdziesz górą, ty pójdziesz górą
A ja doliną.
Ty zakwitniesz różą, ty zakwitniesz różą
A ja kaliną[276].

Piosenka ta pełna jest melancholijnej słodyczy, która zdaje się mieszać z aromatem kwiatów dochodzącym z ogrodu zakonnic. Na odległym dachu stoi obok gniazda para bocianów, każdy na jednej nodze. Zachodzące słońce oblewa ich pióra płynnym różem.

Niepostrzeżenie ciemnogranatowa głębia nieba wydobywa z siebie księżyc i gwiazdy. Przestajemy śpiewać i przysłuchujemy się głosowi babci Hindy, który dochodzi do nas z dołu. Babcia odmawia swoje wieczorne modlitwy lub przy świetle lampy naftowej czyta coś dziadkowi Joselowi, a może sobie samej. Zainspirowana brzmieniem śpiewnego głosu babci, ciocia Szejndla zaczyna recytować strofy Mickiewicza lub jakiś poemat Słowackiego. Nie mam pojęcia, ile Wierka rozumie z tych recytacji. Ja sama rozumiem bardzo niewiele, czy raczej ani słowa. Zaglądam do ogrodu zakonnic, gdzie kwiaty owijają się szalami cieni i widzę, jak odziane w czerń zakonnice spacerują powoli między rabatami z małymi modlitewnikami w rękach. Fałdy ich ubrań kołyszą się lekko w powiewach wieczornego wiatru. Spoglądam w górę na niebo powyszywane złotem

---

[275] Tanach (hebr.) – skrót określający Biblię hebrajską, utworzony z początkowych liter trzech części: Tora (Prawo), Newiim (Prorocy) i Ketuwim (Pisma).

[276] *Ty pójdziesz górą* – polska pieśń ludowa, znana już w XVIII w. Znalazła się w zbiorze *Pieśni ludu polskiego* Oskara Kolberga, a rozpowszechniła ją Eliza Orzeszkowa.

migoczących gwiazd. Głos Szejndli płynie w pachnącym powietrzu sztetla, niesiony na skrzydłach tęsknoty, niczym na skrzydłach bociana nie z tego świata. Wzbudza w moim sercu taką żałość i nostalgię, budzi we mnie taką nieokreśloną tęsknotę – sama nie wiem do czego, być może do morza, którego jeszcze nigdy nie widziałam – że chce mi się płakać.

Wszystko na niebie i na ziemi kołysze się do powolnej, rytmicznej melodii słów. Z głębi mego serca jakiś głos wzywa mnie, żebym odpłynęła w dal we wspólnym rytmie ze wszystkim, co się porusza. I w głębi siebie tańczę w stronę tej dali, wsłuchując się w brzmienie głosów babci i Szejndli. Brzmienie głosu jest wciąż dla mnie ważne. Coś w nim mówi mi, czego słowa nie potrafią wyrazić. Brzmienie głosu babci czy Szejndli opowiada mi o głębokiej, wspaniałej ciszy, unoszącej się gdzieś ponad słowami.

*

Ja i Wierka jesteśmy wciąż sensacją w Bocianach. Głównie dlatego, że wyglądamy bogato i naszym zachowaniem, które różni się bardzo od zachowania dzieci z Bocianów, prezentujemy wytworność wielkomiejskiego życia. Nasza niezwykła dla sztetla żydowskość oraz wszystko, co mówimy i robimy, wzbudzają ciekawość. Dorośli i dzieci gapią się wciąż na nas, kiedy ciocie paradują z nami uliczkami sztetla w soboty i gdy wędrujemy „za dwór". Kiedy spacerujące tam grupki młodych ludzi – nie tylko z organizacji Szomer ha-Cair[277], do której należy Szejndla, lecz również przedstawiciele innych ideologicznych nurtów – gromadzą się wokół nas, ciocie zaczynają popisywać się uzdolnieniami swoich bratanic. Stawiają nas na kamiennej podstawie płotu okalającego ogród dziedzica i każą nam recytować poematy w jidysz, co jest zdecydowanie większym wyczynem niż recytowanie poematów po polsku. Tylko ci najbardziej obyci spośród tych młodych ludzi słyszeli kiedykolwiek poezję recytowaną w języku sztetla.

Wierka, ze swoim bogatym repertuarem i recytatorskim talentem, odnosi oczywiście większy sukces niż ja. Zna na pamięć takie długie i trudne wiersze, jak na przykład *Mejn niszt di welt iz a kreczme* I.L. Pereca[278]. Gdy i mnie każe się coś „powiedzieć", żebym nie była zazdrosna, ulegam z grzeczności i niczym młynek mielę słowa jakiegoś krótkiego wiersza Awroma Rajzena[279].

---

[277] Ha-Szomer ha-Cair (hebr.) – Młody Strażnik, syjonistyczna, skautowa organizacja młodzieżowa o nachyleniu lewicowym.

[278] (jid.) *Nie myśl, że świat jest karczmą* – niezwykle sugestywny, niemal rewolucyjny tekst Icchoka Lejbusza Pereca (1852-1915), który nazywany był jednym z ojców nowoczesnej literatury jidysz. Pisarz, poeta, eseista, dramatopisarz, tworzący w języku jidysz i po hebrajsku, zaliczany do najwybitniejszych działaczy na rzecz podniesienia statusu kultury jidysz. Silnie związany z kulturą polską.

[279] Zob. przypis s. 250.

Od dawna już jestem ekspertką, jeśli chodzi o sztuczki dorosłych. Nie urodziłam się wczoraj. Im bardziej lubię ciocię Szejndlę, tym bardziej boleśnie odczuwam do niej żal za jej lekceważący stosunek do mnie. Jednak właśnie dlatego, że tak bardzo ją lubię, gram w jej gierki i robię, o co mnie prosi.

Tym razem jestem naprawdę zmotywowana, by wnieść coś istotnego do przedstawienia i wystąpić z czymś, co wypełni prawdziwą dumą serce cioci Szejndli. Wołam więc:

– Za to ja potrafię tańczyć!

– Tańcz! Zatańcz dla nas! – zachęcają mnie wszyscy.

Szejndla przypomina sobie o moich kolosalnych sukcesach podczas *Wiosennego poranka* szkoły im. Medema oraz w dziedzinie tańca w ogóle. Zaczyna szczegółowo opowiadać o moim wspaniałym talencie do baletu oraz o szkole baletowej, w której wkrótce zacznę brać lekcje, a także o światowej sławy mistrzyni baletu – ciocia zapomniała jej nazwiska i muszę wyszeptać je jej do ucha – która osobiście wprowadzi mnie w tajniki tej wielkiej sztuki.

Tymczasem tłum zaczyna powoli ruszać w kierunku sztetla. Młodzi ludzie, którzy interesują się bardziej bundyzmem i syjonizmem niż baletem, angażują Wierkę w swobodną dyskusję o tym, „czego uczy nas żydowska historia" i wszyscy zapominają, że zaoferowałam się dla nich zatańczyć.

W drodze powrotnej cały ten młody, świątecznie wystrojony tłum ze mną i Wierką włącznie zatrzymuje się na bocianieckim skwerze, który znajduje się na prawo od kościoła i jest czymś w rodzaju ogrodu. Siedzi tam na ławkach cała elita sztetla, otoczona grupkami chasydów. Tłum młodych ludzi zgromadzony wokół dwójki cudownych dzieci robi się tu jeszcze większy. Ktoś woła znowu do Wierki, żeby coś zadeklamowała. Stawia się ją na ławce i wszyscy nadstawiają uszu, by chłonąć każde słowo wychodzące z jej recytujących ust.

Z wysokości ławki, na której stoi, Wierka prezentuje słuchaczom poemat *Cwej brider*[280] I.L. Pereca. Wiem, że jej zamiłowanie do twórczości Pereca bierze się stąd, iż chce się przypodobać tacie, który jest jego wielkim wielbicielem. Przy każdej okazji oświadcza podobnie jak tata, że jest „zakochana w Perecu". Nosi nawet w swojej szkolnej teczce fotografię Pereca uśmiechającego się mądrze pod bujnymi wąsami.

Ja sama znam poemat *Cwej brider* prawie na pamięć, ponieważ tak często słyszałam, jak Wierka go recytuje. Wiem doskonale, w jaki sposób modeluje swój głos i które wersy zawsze akcentuje. Ale z tego właśnie powodu deklamowanie przez nią tego poematu tutaj, w bocianieckim ogrodzie, zdaje mi się jeszcze dłuższe i nudniejsze niż najdłuższa i najnudniejsza lekcja w szkole. Od samego słuchania jej po raz tysięczny można umrzeć z nudów.

---

[280] (jid.) *Dwaj bracia*.

Gdy Wierka kończy deklamować, rozlegają się entuzjastyczne oklaski. Spocona i rozpromieniona owija palec zakręconym końcem warkocza i kłania się na wszystkie strony, podczas gdy tłum woła: „Bis! Bis!", Wierka nie daje się długo prosić i zastanawia się, co przedstawić słuchaczom tym razem.

– Jaka utalentowana! Jaka genialna! Ma wielki wdzięk! – Słyszę rozlegające się ze wszystkich stron peany na cześć Wierki. Wszyscy aż rozpływają się z zachwytu i nie przestają wołać: – Zadeklamuj nam coś jeszcze! Jeszcze! – Nie pozwalają Wierce zejść z ławki – jakby w ogóle miała zamiar to zrobić! Wierka, zmęczona i podekscytowana, odsuwa mokre pasma włosów z czoła i ulega prośbom tłumu. Wdzięczna słuchaczom, zaczyna kolejny poemat ubóstwianego przez nią I.L. Pereca. Słyszę wersy:

In kenigrejch Pojln, niszt wejt fun der grenec
Ligt zich sztetele grojs wi a genec.[281]

I serce we mnie zamiera. Wierka zaczyna deklamować ni mniej, ni więcej tylko kilometrowy poemat *Monisz*! Pośród otaczającej ją głębokiej ciszy wyśpiewuje jedną strofę po drugiej i nie ma temu końca.

Oprócz tego, że doskwiera mi potworna nuda, teraz jeszcze zalewa moje serce fala złości. Nikt nawet na mnie nie spojrzy. Kochana ciocia Szejndla zawisła wzrokiem na ustach Wierki. Jej wargi i krtań poruszają się, jak gdyby przeżuwała i połykała każde wypowiadane przez nią słowo, do tego oblizuje wilgotne usta, jak gdyby delektowała się smakiem każdego z nich.

Chce mi się płakać. Mam już dziewięć i pół roku i jestem pełnoprawnym członkiem SKIF-u. Wystrojona w czerwoną chustę i niebieską bluzę, z której Wierka już wyrosła, chodzę wieczorami na spotkania mojego „kółka", co jest najlepszym dowodem mojej dojrzałości. A tu traktuje się mnie, jakbym była nic nieznaczącym, małym dzieckiem.

Jestem świadomą socjalistką. Chcę, żeby na świecie nie było podziału na biednych i bogatych. W drodze ze szkoły nie wyrzucam już więcej do kosza resztek jedzenia ze strachu, że mama da mi „lekcję", jeśli przyniosę je z powrotem do domu. Ostatnio oddaję te resztki żebrakom. I pamiętam dobrze o tym, że są dzieci, nie tylko na Bałutach, ale też w Indiach, Afryce i Chinach, które nie mają nic do jedzenia. Wiem, że świat jest zły i niesprawiedliwy, że są na nim faszyści i z niecierpliwością czekam, aż dorosnę i będę mogła zrobić coś, żeby polepszyć los ludzkości.

---

[281] (jid.) dosł. *W Królestwie Polskim, nieopodal granicy, leży sobie maleńkie miasteczko*; w tł. Adama Wlodka: *W Królestwie Polskim, / Tuż na rubieży, / Tycie – tyciunie / Miasteczko leży*, w: *Antologia poezji żydowskiej*, wyb. i oprac. Salomon Łastik i Arnold Słucki, Warszawa 1983, s. 29; oryginał: I. L. Perec, *Monisz*, w: *Di werk fun Icchok Lejbusz Perec* [Dzieła Ichcchoka Lejbusza Pereca], t. 1: *Lider* [Wiersze], red. Dowid Piński, New York 1920, s. 182.

Teraz, podczas gdy Wierka klepie kolejne strofy poematu, na nowo staje się dla mnie jasne, że świat nie jest sprawiedliwy również jeśli chodzi o kwestie niemające nic wspólnego z jedzeniem, i jeszcze bardziej niż dotychczas wątpię, czy socjalizm będzie w stanie rozwiązać moje osobiste problemy. Najwięcej krzywd na świecie doznaję właśnie od tych ludzi, których najbardziej kocham: moich rodziców, Wierki, Nońka, cioci Szejndli. I czym dłużej Wierka deklamuje, tym większa rozpacz mnie ogarnia. Jestem gotowa lada chwila dać upust zgromadzonym i niewypłakanym łzom.

Jednak nagle, jak gdyby właśnie zaczęło sprzyjać mi szczęście, Wierka milknie. Stoi na ławce, trzymając usta otwarte, jakby czekała, aż wleci w nie mucha. Połyka powietrze, jakby chciała odetkać gardło, które zatkało się jej w środku strofy i żadną miarą nie może – tak, jak robi to zwykle – wymyślić słów, które mogłyby zastąpić brakujący wers. Z zaskoczeniem stwierdzam, że wydarzyło się coś niewiarygodnego: Wierka zapomniała wersu w środku strofy! Wśród tłumu zapada cisza i z każdą upływającą chwilą gęstnieje atmosfera. Wszyscy stoją, podobnie jak Wierka, z otwartymi ustami, pragnąc dopomóc jej i podpowiedzieć zapomniany wers, lecz niestety nikt nie jest w stanie tego zrobić.

W tej oto chwili, zdecydowana skupić powszechną uwagę na sobie, wskakuję na ławkę i wołam głośno:

– Zamierzam wygłosić mowę!

Tłum docenia należycie moją próbę wyratowania siostry z opresji i z wdzięcznością bije mi brawo.

– Mów, Miriamko! Zaprezentuj nam mowę! – zachęca się mnie.

Jakaś młoda kobieta ciągnie mnie za sukienkę, zwracając się do mnie:

– Mów, dziecinko, a Wierka przypomni sobie tymczasem *Monisza*.

W moim sercu kipi gniew.

– Chcę wygłosić mowę! – wołam. – Mowę o tym, że na świecie nie ma sprawiedliwości i nie ma Boga! – Podnoszę w górę pięść w geście, który widziałam u mówców wygłaszających płomienne przemówienia podczas wieców masowych, na które tata mnie czasami zabiera. – O tym – ciągnę – że nigdy nie było Boga na świecie i nigdy nie będzie, i że są tu tylko źli ludzie, ale kiedy nastanie socjalizm, wszystkie dzieci będą równe! – I zaczynam śpiewać hymn SKIF-u *Mir zenen kinder ale glejche*[282].

Zanim zdołam wyśpiewać go do końca, ciocia Gitla łapie mnie w talii i ściąga szybko z ławki, po czym pomaga też Wierce zeskoczyć w dół. Ciągnąc nas za ręce, zaczyna przepychać się z nami przez tłum ludzi. Szejndla łapie mnie tymczasem za drugą rękę. Obie ciocie mają czerwone jak ogień twarze. Uśmiechają się niewyraźnie i potrząsają głowami na prawo i lewo, wyjaśniając tym, którzy śpieszą za nami:

---

[282] (jid.) *My, dzieci, jesteśmy wszystkie równe*.

– Mała jest zmęczona. Ona jest jeszcze za mała... Nie wie, co mówi.

Uciekają dosłownie z nami, bratanicami. Wierka płacze gorącymi łzami, lecz nie dlatego, iż ja nie wiedziałam, co mówię, tylko ze wstydu, że zacięła się podczas recytacji *Monisza*.

Jeszcze nikt w Bocianach nie ośmielił się publicznie oświadczyć, że nie ma Boga. Dlatego też wieść o treści mojego krótkiego przemówienia oraz moim uroczystym zaprzeczeniu boskiej egzystencji rozprzestrzenia się niczym gwałtowny ogień po delektującym się szabesowym odpoczynkiem sztetlu. Zdaje się, że same bociany rozniosły tę nowinę i zadbały o to, żeby nie ominęła ona uszu babci Hindy, jeszcze zanim zdołamy wrócić do domu. Nasz powrót opóźnia się, ponieważ musimy przystawać na każdym progu. Zatrzymują nas zarówno rozzłoszczeni ludzie, do których dotarła już nowina o mojej przemowie, jak i ci, którzy jeszcze jej nie słyszeli i dziwią się, dlaczego ciocie są takie zdenerwowane i biegną ulicami spokojnego sztetla, ciągnąc za ręce zapłakane bratanice. Jedni sąsiedzi chcą się dowiedzieć, czy broń Boże nie wydarzyło się jakieś nieszczęście, inni ostrzegają, że bluźniercza mowa wielkomiejskiego dziecka może, nie daj Boże, doprowadzić do jakiejś tragedii.

Kiedy siadamy do wieczerzy, babcia Hinda podaje mi kawałek chałki z posiekaną cebulą i nasze spojrzenia spotykają się. W oczach babci widzę tak głęboki smutek, że moja ręka zastyga w bezruchu i nie mogę podnieść jej do ust. Babcia nachyla się do mnie i szepcze mi do ucha:

– Jeszcze raz, Miriam. Powinnaś więcej jeść i mniej mówić. – Całe powietrze ze mnie uchodzi. Nikt na całym świecie nie chce mnie ani trochę zrozumieć.

Parę dni później, kiedy siedzimy same obok sklepiku na Pociejowie, babcia nawiązuje ze mną rozmowę. Najpierw kładzie sobie moje obie ręce na kolana i przykrywa je swoimi drobnymi, śniadymi i obsypanymi plamkami dłońmi o pomarszczonej i suchej jak pergamin skórze, po czym nachylając do mnie głowę, pyta:

– Dlaczego uważasz, Miriamko, że nie ma Boga?

– Bo nie ma – odpowiadam powściągliwie. Zrozumiałam już, że wygłupiłam się, przemawiając w tamtą sobotę. Widziałam, jak wszyscy patrzą na mnie z wyrzutem w oczach. Do tego jeszcze Wierka powiedziała mi na ucho, żebym nie ważyła się powtarzać tych mądrości przed babcią i dziadkiem, bo mogliby, nie daj Boże, rozchorować się ze zmartwienia. Jestem więc teraz ostrożna i dodaję szeptem: – Skoro nie ma na świecie sprawiedliwości, to nie ma i Boga.

Babcia uśmiecha się łagodnie.

– Sprawiedliwość, Miriam, nie jest problemem Boga. To jest problem człowieka. Nasz Ojciec w niebie dał nam wolną wolę.

– To kto go potrzebuje?

– Właśnie dlatego go potrzebujemy, żeby wybrać, czy chcemy go mieć w sercu, czy nie. Ten, kto ma Boga w sercu, ma w nim też sprawiedliwość i wie dokładnie, kiedy grzeszy, a kiedy nie. Ojciec w niebie chce być z nas, ludzi, dumny, tak samo jak twoi rodzice chcą być dumni z ciebie.

– Oni chcą być dumni z Wierki, nie ze mnie! – wołam.

– To, co mówisz, jest tylko dowodem na to, jak bardzo możesz się mylić, Miriamko. – Babcia przyciska mnie do piersi. – Czy nie jesteś ich dzieckiem? Dlaczego nie mieliby być z ciebie dumni?

Nie mogę się powstrzymać i wyznaję babci:

– Czasami myślę, że rzeczywiście nie jestem ich dzieckiem.

Babcia splata delikatnie swoje kościste palce z moimi, miękkimi.

– Widzisz, Miriamko, czasami ludzie czują podobnie jak ty, że nie są dziećmi Boga. I podobnie jak ty nie możesz zrozumieć, co myślą twoi rodzice, tak samo człowiek nie rozumie, co *Rebojne szel Ojlem* ma na myśli.

Teraz ja nie mogę zrozumieć, co babcia ma na myśli i pytam:

– To dlaczego Bóg stworzył jednego człowieka małym, a drugiego wielkim? Dlaczego uczynił Abele głupcem i wszyscy się z niego naśmiewają?

– Abele nie jest głupcem, bo ma mądre serce. On wyrządza mniej krzywdy niż ci, którzy myślą, że są mądrzy. Mądry człowiek, który jest zły, szkodzi nie tylko innym, ale również sobie. Nie jest więc mądry, tylko głupi, a Abele okazuje się mądrzejszy od mądrego nikczemnika.

Słowa babci irytują mnie.

– Ale jeśli nikczemnik zabija innego człowieka, to przecież nie sprawia sobie bólu.

– Tak może się zdawać.

– Ale babciu – protestuję – zamordowany człowiek jest nieżywy, a morderca nadal żyje.

– To jest twoim zdaniem życie? Kto tak naprawdę wie, czym jest życie i czym jest śmierć?

– Jak to, babciu, kto wie? – denerwuję się. – Każdy jeden wie. Wiedza naukowa wie.

– Nazywaj ją lepiej niewiedzą, moje dziecko. Jaką prawdziwą wiedzę można posiąść o tym czy o tamtym świecie? Wszystkie światy są przecież wymieszane ze sobą, tak ukryte i osłonięte tajemnicą, tak głęboką tajemnicą...

Przypominam sobie, co wiem na temat świata roślin oraz świata zwierząt. Te światy rozumiem. Jestem jednak pewna, że babcia ma na myśli jakiś całkiem inny rodzaj światów i mówię:

– Nie wierzę w to.

– Ale wierzysz, że masz duszę, prawda, Miriam?

– Oczywiście, że mam. Czasami dusza bardzo mnie boli. Ale to tylko się tak mówi. Tak naprawdę nie wiem, czym jest dusza.

– No i sama widzisz, że wiesz i nie wiesz. – Uśmiech babci robi się weselszy. – Jedno wiesz jednak na pewno, prawda? A mianowicie, że masz taką niemądrą babcię, która zawraca ci głowę takimi mglistymi sprawami. I spójrz tylko, co mam tu dla ciebie! – Wyciąga z kieszeni fartucha wspaniałe jabłko.

Na widok tego pięknego jabłka wybucham śmiechem i wołam:

– Jabłko!

– Niech ci służy na zdrowie! *Az Marimel wet dem epl esn, wet zi ir bobe kejn mol niszt fargesn*[283].

Jabłko jest większe od mojej pięści, zielonkawe, ale ma czerwony fartuch wokół ogonka i żółto-czerwony brzuszek. Wgryzam się w jego soczysty miąższ. Za każdym razem, gdy moje ostre zęby wbijają się w skórkę jabłka, słodki sok pryska na moje policzki i wspaniały zapach niesie się do moich nozdrzy. Przełykając smaczne kęsy, w myślach przeżuwam zagadkowe słowa babci. Wydaje mi się, iż babcia, jej słowa oraz jabłko mają coś wspólnego z czarami, i że w jakiś sposób są też powiązane z moim tańcem na strychu kamienicy przy ulicy Nowomiejskiej.

Z wieży kościoła dobiega dźwięk popołudniowego dzwonu.

*

Pod koniec naszych wakacji w Bocianach aura sensacji otaczająca Wierkę i mnie nagle przygasa. Stajemy się sensacją drugiej kategorii, podczas gdy na horyzoncie pojawia się nowiuteńka gwiazda. Kolejny ważny gość przybywa do Bocianów.

W sztetlu pojawia się ni mniej, ni więcej, tylko prawdziwy Amerykanin. Do tego nie byle kto, lecz ważna osoba – młodzieniec pełen werwy, piękny niczym Szimszon Hagiber[284] i bardziej romantyczny od samego Juliusza Słowackiego. Nikt dokładnie nie wie, kim on jest, co robi, do kogo przyjechał i po co pojawił się nagle w Bocianach. Kwateruje się u Starego Zelika, krawca i przywódcy Bundu w Bocianach. Od Zelika właśnie pochodzą te nieliczne informacje, które po jakimś czasie roznoszą się po sztetlu. Według nich nowy gość jest żydowskim studentem z Nowego Jorku, który studiuje ptaki na uniwersytecie – zwłaszcza bociany – i przybył do sztetla, by spędzić tu letnie wakacje i obserwować miejscową populację boćków.

Nie mija dużo czasu i młodzi ludzie ze sztetla chodzą spacerować „za dwór" razem z nowym gościem. Ani się kto obejrzy, jak przedstawicielki słabszej płci zaczynają tracić dla niego głowy, z moimi obiema ciociami na czele. Gitla i Szejndla poczynają tęsknie wzdychać – zarówno we dwie, ponieważ są siostrami, jak i każda z osobna, gdyż stały się rywalkami.

---

[283] (jid.) *Jeśli Miriamka rozsmakuje się w tym jabłuszku, zawsze będzie pamiętać o babci w swym serduszku.*

[284] Szimszon Hagiber *(hebr.)* – Samson, bohater opisany w starotestamentowej Księdze Sędziów, obdarzony niezwykłą siłą, którą stracił przez lekkomyślność zdradzony przez Dalilę, jedną z kochanek, której wyznał, że jego siła tkwi we włosach.

W okamgnieniu demon zazdrości podnosi swoją szpetną głowę i zabiera się za psucie stosunków między obiema ciociami. Roztrzęsiona i przejęta babcia Hinda biega między nimi, próbując przemówić im do rozumu i złagodzić ból ich cierpiących z miłości serc. Jednak jej wysiłki przynoszą dokładnie odwrotny skutek. Obie córki, przepełnione rozpaczą i goryczą, zrzucają ciężar z serc na barki matki. Zwracają się do niej zupełnie inaczej, niż leży to w ich naturze, a mianowicie z takim brakiem szacunku, że dziadek Josel nie może tego ścierpieć. Złości się, uderza laską w podłogę i woła zachrypniętym głosem:

– Cicho bądźcie, bezwstydnice! Gdzie wasz szacunek dla matki!

Babcia Hinda nie bierze sobie zbytnio do serca gorzkich, gniewnych słów córek. Martwi ją jednak siła wyrażającego się w nich szaleństwa. Ich słowa są bowiem najlepszą miarą cierpienia ich dusz i pokazują, jak bardzo skomplikowana i dramatyczna jest cała ta sytuacja. Babcia nic sobie nie robi z krzyczenia córek i uspokaja Josela, mówiąc:

– Czy nie wiesz, Joselu, że rodzice uczą dzieci mówić, a dzieci uczą rodziców milczeć?

Jednak nie milczy, tylko chodzi po domu, nie przestając obrzucać Amerykanina błotem i naśmiewając się z niego, by zniszczyć jego wizerunek w oczach córek. Twierdzi, iż nie zasługuje on nawet na przebywanie w ich towarzystwie, argumentując, że gdyby rzeczywiście był taką wielką znakomitością, jakaś bogata Amerykanka już dawno by go złapała na męża.

Nie zważając na to, że córki nie chcą jej słuchać, mówi im, iż jej skromnym zdaniem Amerykanin oszukuje i nabiera je obie, zarówno Gitlę, jak i Szejndlę, ot tak po prostu, by się zabawić. Do tego – chociaż niestety uważa się za Żyda – jest gorszy od dziesięciu gojów. A gorszy od dziesięciu gojów jest nie przez to, iż chodzi z odkrytą głową, tylko dlatego, że nie ma w nim śladu człowieczeństwa i traktuje cały świat jak swój plac zabaw. Babcia oświadcza też, że i tak nigdy w życiu nie zgodziłaby się na takiego zięcia – czym jeszcze bardziej podgrzewa uczucia zakochanych córek. Gdy w szabes po zachodzie słońca babcia Hinda odmawia *Got fun Awrom*[285], czyni to żałosnym głosem, pociągając nosem i ciężko wzdychając.

Obie z Wierką zostajemy listonoszkami między Amerykaninem a każdą ciocią z osobna. Korespondencja jest prowadzona w jidysz, ponieważ nikt w Bocianach nie mówi po angielsku, nie wspominając już o pisaniu, podczas gdy Amerykanin, który wyjaśnił, że nie zna ani słowa po polsku, mówi pięknym jidysz z polskim akcentem, co zarówno zaskakuje, jak i nie dziwi mieszkańców Bocianów. Zresztą wszystko, co Amerykanin mówi czy robi, równocześnie wszystkich zaskakuje i nie dziwi wcale. Wierka i ja jesteśmy całkiem rozdarte wewnętrznie i nie wiemy,

---

[285] (jid.) *Boże Abrahama* – modlitwa, którą odmawiają w jidysz żydowskie kobiety na zakończenie szabatu.

po czyjej stronie powinnyśmy się opowiedzieć w tej tragicznej rywalizacji i fatalnym antagonizmie między dwiema ciociami. Rozum mówi nam, że musimy stanąć po stronie cioci Gitli, ponieważ jest starszą z dwóch sióstr, jednak nasze serca skłaniają się ku cioci Szejndli, gdyż bardziej ją lubimy.

Rywalizacja między obiema ciociami staje się coraz bardziej napięta i dramatyczna, aż w końcu rozpętuje się między nimi istna burza. Babcia Hinda zostawia na noc dziadka Josela w izbie na dole, a sama idzie spać na górę do córek, żeby, nie daj Boże, nie pozabijały się nawzajem, albo każda siebie. Śpimy więc w piątkę w facjatce, budzone często w środku nocy spazmatycznym płaczem. W izbie panuje nastrój jak w Tisza be-Aw[286]. Za otwartym oknem rozciąga się aksamitna noc i łagodny wietrzyk przywiewa do środka zapachy kwiatów z ogrodu zakonnic – co jeszcze bardziej jątrzy rany w zbolałych sercach.

Po jakimś czasie staje się jasne, że Szejndla wysunęła się na czoło listy potencjalnych wybranek Amerykanina. Ani Wierka, ani ja, nie jesteśmy tym zdziwione. Jeśli ten Amerykanin posiada choć odrobinę rozumu i smaku, to musi dostrzec, że Szejndla jest najpiękniejszą, najinteligentniejszą i najbardziej zakochaną w nim ze wszystkich młodych kobiet w Bocianach. Nasza ciocia Szejndla to nie byle kto! Jednak, jak można było się spodziewać, ten pozytywny rozwój wydarzeń przynosi negatywne rezultaty. Staje się bowiem powodem długiej i smutnej kłótni między siostrami, które nie mogą dłużej na siebie patrzeć, chociaż bardzo się kochają.

Obie z Wierką jesteśmy wstrząśnięte tą tragedią. Kiedy leżymy w nocy na sienniku pod oknem, Wierka szepcze mi do ucha:

– Miłość jest silniejsza od wszystkiego na świecie. – Pogrążona w chaosie moich własnych uczuć odpowiadam jej, że wcale nie. Wierka wyjaśnia mi: – Mam na myśli miłość między mężczyzną a kobietą. – Przychodzi mi do głowy piosenka, którą pan Kac i jego rodzina śpiewają w sobotnie poranki.

Wos szitesti ojfn mejne windn zalc?
Di libe iz sztarker fun alc.[287]

– Masz też na myśli miłość między tatą a mamą? – pytam i przypominam sobie mgliście rozmowę, którą miałyśmy pewnego razu w Stefanowie. Wierka spodziewała się wtedy, że zakochanie się towarzysza Antona Cimermana w naszej mamie doprowadzi do jakiejś tragedii.

– Nie – szepcze w odpowiedzi Wierka. – Mam na myśli bycie zakochanym. Tata i mama też byli kiedyś zakochani, zanim wzięli ślub.

---

[286] Zob. przypis s. 167. Tisza be-Aw – dziewiąty dzień miesiąca aw; święto upamiętniające rocznicę zburzenia Pierwszej i Drugiej Świątyni Jerozolimskiej, wiąże się z całodobowym postem i częściową żałobą. Obchodzone w lipcu lub sierpniu.

[287] (jid.) *Dlaczego sypiesz sól na moje rany? Miłość jest silniejsza od wszystkiego.*

– A teraz już nie są zakochani?

– Teraz się kochają, ale nie są zakochani. Bycie zakochanym oznacza prawdziwą miłość.

– To miłość taty i mamy nie jest prawdziwa?

– Jest. Ale to się już tak nie nazywa. To jest inny rodzaj miłości. Prawdziwa miłość to przeżywanie romansu. To wspaniała rzecz i jest silniejsza od wszystkiego na świecie. Dlatego napisano o tym wiele książek, które nazywają się romansami. Opisują one tragedie miłosne. Miłość pana Cimermana do mamy mogłaby zostać romansem o tragedii miłosnej, gdyby byli młodsi.

– Nie lubię tragedii.

– Kiedy się zakochasz, musisz być ciągle gotowa na tragedię.

– Nie chcę się nigdy zakochać.

– To co będziesz miała z życia? Młody człowiek nie może żyć bez miłości.

– Przecież żyję i ty też żyjesz.

– Nie mówię o nas. Mam na myśli dwudziestoletnich ludzi.

– Przecież dwudziestoletni ludzie nie są młodzi.

– Ale nie są też całkiem starzy, tak jak tata, mama i pan Anton Cimerman.

– To co się dzieje, kiedy ma się dwadzieścia lat i nie jest się zakochanym? Umiera się?

– Oczywiście. Można umrzeć z miłości i można umrzeć z braku miłości.

Atmosfera w izbie na poddaszu zwiastuje, że jedna z tych dwóch ewentualności może się tu urzeczywistnić. Tragedia miłosna osiąga swój punkt kulminacyjny. Burza uczuć szalejąca w sercach obu cioć jest tak gwałtowna, że coś tragicznego i dramatycznego musi się wydarzyć – wówczas bohater romansu, piękny Amerykanin, pewnego dnia pod koniec lata znika nagle jak kamień w wodę, jak gdyby pochłonął go staw w brzezinie.

Ten nieprzewidziany rozwój wydarzeń powoduje, że ciocia Gitla podejmuje bardzo stanowcze i pozytywne postanowienie. Mając dość zgryzoty i cierpienia, przestaje w końcu płakać i zaczyna rozglądać się aktywnie za odpowiednim narzeczonym. Zanim się kto obejrzał, znajduje, kogo szukała, i posyła babcię Hindę do szadchena[288] reb Menaszela. Następnego dnia rano babcia owija się szalem tureckim, który Wierka i ja przywiozłyśmy w prezencie od naszych rodziców, i wyrusza do domu rodziców wybranka Gitli, by omówić z nimi szczegóły ślubu.

Dla cioci Szejndli jednak zaczyna się w tym czasie życie pełne łez, rozpaczy i bólu. Będąc kobietą z natury romantyczną, o miękkim sercu i silnych, głębokich uczuciach, nigdy nie wyleczy się z zadanej jej rany. W moich

---

[288] Szadchen (jid.) – żydowski swat zajmujący się kojarzeniem par, za co otrzymuje odpowiednie wynagrodzenie.

oczach zdaje się być rzadkim, delikatnym i posępnym czarnym tulipanem z kielichem pełnym łez duszy oraz długą łodygą, która wyciąga się ze swoim smutkiem i tęsknotą tak wysoko do nieba, że grozi jej złamanie. Można przewidzieć, że Szejndla będzie niosła swój głęboki smutek przez długie lata staropanieństwa.

*

Niedługo po tym, jak Amerykanin znika ze sztetla, we wszystkich trzech fabrykach w Bocianach wybucha wielki strajk. Robotnicy solidaryzują się ze strajkiem generalnym, który został ogłoszony w całej Polsce. W ten sposób Bociany spotykają się twarzą w twarz z jedną z niewielu demonstracji w historii tego miasteczka. Żydzi i goje maszerują wzdłuż wąskiej alei topolowej z transparentami i czerwonymi sztandarami na Pociejów, gdzie odbywa się masowy wiec. Między przemawiającymi do tłumu znajdują się Stary Zelik, krawiec i weteran Bundu, oraz Bracha, zagorzała komunistka.

Siedzę obok cioci Szejndli z przodu sklepiku w ślepym oknie na Pociejowie i obie przypatrujemy się, jak masa ludzi z transparentami oraz czerwonymi sztandarami wypełnia plac targowy. Na początku wszyscy sklepikarze przypatrują się z ciekawością i zdziwieniem temu, co dzieje się przed ich oczami. Jednak dość szybko wybucha między nimi chaos i panika.

– Zamykajcie sklepy! Zatrzaskujcie okiennice! – słychać ze wszystkich stron. Przerażeni sklepikarze wyganiają klientów na zewnątrz i zamykają sklepiki.

Tłum gromadzący się na placu targowym rośnie i zaczyna rozlewać się na trotuar, aż do drzwi sklepów. Szejndla orientuje się, że jedynie jej sklepik jest wciąż otwarty. Ściąga drągi z zawieszonymi na nich ubraniami, zamyka drewniane okiennice, po czym zabezpiecza je prętem i kłódką.

Gdy trzymając się za ręce, spieszymy do domu, dostrzegamy grupki chłopów zbliżające się od strony wiejskich chałup. Chłopi biegną przez pola z grabiami i łopatami przerzuconymi przez ramiona.

– Zrobiliście z naszych chłopców moskali! – wołają, wymachując zaciśniętymi pięściami w stronę przestraszonych Żydów, mężczyzn i kobiet z dziećmi, którzy spieszą schować się w domach niczym myszy w dziurach. Nagle dopada nas jakaś rozwścieczona chłopka i dosięgając ręką Szejndli, rozcapierzonymi palcami wczepia się w jej włosy.

– Przez was, Żydzi, wyrzucą mojego Jurka z fabryki! – wrzeszczy.

Ja też zaczynam wrzeszczeć i kopię ją w kostkę. Szejndla nie puszcza mojej ręki i staje między mną a chłopką, by mnie ochraniać. Na szczęście Mańka Praczka, gojska sąsiadka babci Hindy, wybiega z podwórka i przepędza rozwścieczoną chłopkę. Ledwo łapiąc oddech, wbiegamy z Szejndlą na podwórko i wpadamy do pokoju dziadków na parterze.

Babcia Hinda zamyka i zaryglowuje drzwi. Przez zamknięte okno można usłyszeć śpiew strajkujących i wrzaski rozwścieczonych chłopów.

– Trzymajcie się daleko od okna! Nie pokazujcie się w oknie! – rozkazuje dziadek Josel. Siedzi przy stole sztywny, trzymając w pogotowiu laskę w zaciśniętej pięści, jak gdyby nagle odzyskał wzrok. Słuchamy się go. Nawet gdy wrzawa na zewnątrz cichnie i ciocia Gitla chce wyjść na zewnątrz, by sprawdzić co się tam dzieje, dziadkowie nie pozwalają jej.

Dopiero następnego dnia rano okazuje się, że sklepik w ślepym oknie na Pociejowie został obrabowany, podobnie jak wiele innych sklepów. Mija ładnych parę dni, zanim sztetl uspokaja się i powraca do normalnego życia. Wrażenie, jakie to wydarzenie zrobiło na Wierce i na mnie, jest tak silne, że nie możemy przestać o tym mówić. Raz po raz opowiadamy sobie wszystko ze szczegółami, jakbyśmy chciały w ten sposób otrząsnąć się z tego, co zobaczyłyśmy. Dziwimy się bardzo, że nikt inny nie postępuje tak, jak my. Jak to się dzieje, że ludzie ze sztetla tak szybko zapomnieli o tym, co się wydarzyło?

Jest to własna metoda sztetla radzenia sobie ze strachem. Ludzie zmuszają się do tego rodzaju zapomnienia, które polega na spychaniu bolesnych wrażeń i przeżyć głęboko w zakamarki pamięci. Nie ma innego wyjścia, jak żyć dalej tak, jakby nic się nie wydarzyło.

Nadchodzi Tisza be-Aw. Babcia Hinda zabiera mnie i Wierkę do domu na drugim końcu miasteczka, gdzie w wielkiej izbie zgromadzony jest tłum kobiet. Kobiety siedzą bez obuwia na niskich taboretach i skrzynkach. Pociągają nosami, wzdychają i opłakują zburzenie Świątyni Jerozolimskiej. Korzystają z okazji, by wyrazić tkwiącą od pokoleń w sercach trwogę. Babcia Hinda płacze razem z innymi kobietami. Od czasu do czasu wybuchają wszystkie takim lamentem, iż ściany izby zdają się trząść razem z nimi. Mam wrażenie, że cały świat tonie w morzu łez, podczas gdy pokój, w którym siedzimy, niczym arka Noego kołysze się na jego wodach i żaden brzeg nie pokazuje się na horyzoncie. W końcu Wierka i ja nie możemy wytrzymać tego lamentowania i wymykamy się na zewnątrz. Dostrzegamy Abele Głupka, który siedzi przy pompie, ślini się i uśmiecha swoim gamoniowatym uśmiechem. Podchodzimy i siadamy obok niego.

Koniec lata przynosi ze sobą melancholijny, jesienny nastrój. Drzewa zaczynają tracić pierwsze złote liście. Tragedia miłosna, która rozegrała się w domu babci Hindy, wydarzenia związane ze strajkiem oraz smutne święto Tisza be-Aw bardzo przygnębiły zarówno mnie, jak i Wierkę. I nagle przychodzi czas, że trzeba wszystko zostawić, pożegnać się z dziadkami, ciocią Gitlą oraz całymi Bocianami.

Blada i wychudzona ciocia Szejndla z zaczerwienionymi, przygaszonymi i opuchniętymi od płaczu oczami rusza z nami wąską aleją topolową w kierunku stacji kolejowej. Wysoko na niebie ciągną sznury bocianów. One również opuszczają sztetl i kierują się w stronę dalekiego horyzontu.

Wróciwszy do mieszkania przy ulicy Nowomiejskiej, obie z Wierką znajdujemy pod poduszkami na niklowanym łóżku prezenty od taty. Wierka dostaje wszystkie tomy kieszonkowego wydania *Jana Krzysztofa* Romain Rollanda[289], a ja *Serce* De Amicisa.[290]

---

[289] *Jean-Christophe – Jan Krzysztof*, dziesięciotomowa powieść rzeka Romaina Rollanda, pisana w latach 1904-1912, za którą autor otrzymał w 1915 r. Nagrodę Nobla w dziedzinie literatury, została przełożona na jidysz i wydana w Nowym Jorku w 1918 r. Należy do najpopularniejszych książek przekładanych na jidysz i przez wiele lat była bestsellerem.

[290] *Serce* – powieść dla dzieci włoskiego pisarza Edmonda de Amicisa ukazała się w 1886 r. Pierwsze polskie tłumaczenie wyszło rok później. Wydanie w języku jidysz ukazało się w Warszawie w 1927 r.

Rozdział dwudziesty

Rozpoczął się rok szkolny. Dni zaczynają płynąć monotonnym, nudnym rytmem. Jest piątek, a więc najlepszy dzień tygodnia. Jutro nie trzeba iść do szkoły! Wracam do domu piechotą, żeby zaoszczędzić dziesięć groszy, które dostaję na bilet tramwajowy. Bez pośpiechu wspinam się po schodach z głową pełną planów na sobotę. Wchodzę do mieszkania zmęczona, ale wesoła. Wygląda na to, że nikogo nie ma w domu. Jest zupełnie cicho. Przechodzę przez kuchnię i zbliżam się do pokoju. Przez uchylone drzwi widzę w środku tatę, który siedzi na kozetce i płacze cicho z twarzą ukrytą w dłoniach. Po raz drugi w moim życiu widzę, że tata płacze. Pierwszy raz zdarzyło się to, kiedy umarł wujek Szolem.

Tata nie zauważa mnie. Wycofuję się z powrotem do kuchni, gdzie nagle zastygam w bezruchu na widok wchodzącej do mieszkania mamy. Ledwo ją poznaję. Nie ma już swojego koka z długich, lśniących włosów.

– Gdzie jest twój kok, mamo? – pytam drżącym głosem.

– Sprzedałam go, Miriamko – odpowiada, uśmiechając się sztucznie triumfującym uśmiechem. – Komu w dzisiejszych czasach potrzebny kok? Przez niego wyglądałam jak moja prababcia.

Gapię się na nią szeroko otwartymi oczami.

– Dlaczego tata nie jest w pracy? Siedzi tu i płacze... – Wskazuję podbródkiem w stronę pokoju.

Binele wchodzi do środka i pokazuje Jankewowi parę banknotów, jakby nie zauważyła jego łez.

– Widzisz, co tu mam? Prawdziwy skarb! I powinieneś był widzieć, jak pan Fogelszus przyjął mnie w swoim eleganckim salonie fryzjerskim. Taki miły Niemiec. Powiedział, że moje włosy są pierwszorzędnej jakości. Na dodatek rozmawiał ze mną o polityce. Powiedział, że jest socjaldemokratą. – Zbliża się do Jankewa

i imitując gest Cypory, przyciska koniuszkami rozstawionych palców fale włosów nad czołem. – Teraz masz za żonę modną damę obciętą *à la garçon*[291], a nie staroświecką Żydówkę. No, spójrz na mnie, Jankewku.

Jankew ociera twarz dłońmi i podnosi głowę. Potem wstaje i bierze Binele w ramiona. Zauważa, że stoję z boku i odzywa się do mnie:

– Wyglądasz jak przestraszony zajączek, Miriam.

Podchodzę i obejmuję go.

– Tato, widziałam, jak płakałeś.

Gładzi mnie po ramieniu.

– To nic takiego. Jestem zmartwiony, bo wymówiono mi dziś posadę.

Mama uśmiecha się do mnie blado i mówi:

– Idź na górę do cioci Racheli i przyprowadź Nońka. Wierka też wkrótce wróci ze szkoły, więc dzisiaj wszyscy razem zjemy sobie prawdziwą piątkową kolację.

Rozumiem, że mama chce zostać na chwilę sam na sam z tatą.

*

Binele i Jankew stają się niezwykle energiczni i przedsiębiorczy. Postanawiają otworzyć w naszym mieszkaniu restaurację z domowymi posiłkami. Binele ma być kucharką, Jankew kelnerem i kierownikiem całego interesu, a ja i Wierka mamy zmywać naczynia, gdy wrócimy ze szkoły i odrobimy lekcje. Rodzice sadzają Wierkę przy stole z lwimi łapami i polecają jej napisać wielkimi literami dwadzieścia czy trzydzieści ogłoszeń następującej treści: „DOMOWE OBIADY, PRZYSTĘPNE CENY. RODZINA POLIN. UL. NOWOMIEJSKA NR 8. PIERWSZA OFICYNA, DRUGIE PIĘTRO, PIERWSZE DRZWI NA LEWO".

Następnie wręczają mi plik tych ogłoszeń razem z listą miejsc, w których mam je przymocować, a do kieszeni wsypują mi garść pinezek. Najpierw biegnę do Muzy Zalmana Fidlera. Jednym tchem opowiadam, co się wydarzyło, po czym wciskam mu do ręki ogłoszenie. Proszę go, żeby powiesił je w najbardziej widocznym miejscu w cukierni i wręczam mu też cztery pinezki. Zalman przeciera okulary i okiem redaktora oraz wydawcy takiego znanego literackiego żurnalu jak „Der bezem"[292] przygląda się tekstowi, po czym wyjmuje zza ucha ołówek i podkreśla dwa razy słowa „przystępne ceny". Później biegnę do lokalu Bundu oraz do siedzib różnych związków i klubów, dalej do szkoły i przedszkola, a na koniec nawet do lokalu Poalej Syjon[293], gdzie przymocowuję jedno ogłoszenie na bramie.

---

[291] *à la garçon* (franc.) – na chłopczycę – moda kobieca lat 20. XX w. dotyczyła ubioru, fryzury i stylu życia.

[292] (jid.) Miotła.

[293] Poalej Syjon Lewica – ugrupowanie syjonistyczne o charakterze lewicowym, postulowało utworzenie w Palestynie żydowskiego państwa narodowego opartego na ideach socjalistycznych.

Gdy krążę tak, spełniając moją misję, równocześnie w duchu żegnam się z moim dotychczasowym życiem i marzeniem o zostaniu tancerką. Nikt w domu nie wspomniał o tym ani słowem, a przecież w przyszłym tygodniu miałam zacząć uczęszczać na lekcje tańca. Nie pogrążam się jednak w rozpaczy i nie ronię ani jednej łzy. Moja głowa pracuje na pełnych obrotach, opracowując plany, dzięki którym mogłabym uratować się, rozkręcając jakiś mały interes i zdobywając w ten sposób pieniądze na szkołę tańca. Wracając do domu, wpadam na genialny pomysł: zorganizuję własną szkołę tańca na „moim" strychu na czwartym piętrze i będę uczyć okoliczne dzieci wszystkiego, czego nauczę się od *madame* Felicji.

Kiedy tylko wchodzę do mieszkania, siadam przy stole z lwimi łapami i wielkimi literami piszę dziesięć ogłoszeń treści: „LEKCJE TAŃCA. PRZYSTĘPNE CENY", przy czym za każdym razem podkreślam dwa razy słowa „przystępne ceny". Na dole ogłoszeń dopisuję adres i wybiegam na ulicę, by przymocować je do bram. Zbiegając w dół po schodach, spotykam Wowę Cederbojma, który niesie stół do naszego mieszkania. Okazuje się, że rodzice uważają, iż duży, dębowy stół nie wystarczy, by posadzić przy nim wszystkich „gości", którzy szerokim strumieniem będą napływali do naszego mieszkania na obiad. Kiedy po wykonanym zadaniu wracam do domu, zastaję tam kompletny chaos. Moje i Wierki niklowane łóżko stoi w kuchni, kozetka jest przysunięta do okna i w całym mieszkaniu nie ma jednego miejsca, gdzie można by się swobodnie obrócić.

Binele kupiła już wszystko, co potrzebne, by przygotować posiłek dla jutrzejszego tłumu „gości". Noniek stoi w kuchni przy jej koszu z zakupami i zanurza palec w słoju powideł. Gdy tylko mama mnie dostrzega, złości się, że kręcę się po domu bezczynnie. Nakazuje mi robić to samo co Wierka, to znaczy odrabiać lekcje. Wierka, głucha na panujący w domu harmider, siedzi na podwójnym łóżku rodziców, trzymając na kolanach stolnicę, która służy jej za stół, i sumiennie odrabia zadania domowe.

Rodzice i Wowa jeszcze przez długie godziny trudzą się, przekształcając nasze mieszkanie w restaurację. Przesuwają szafę, pchają półki z książkami to tu, to tam, i rozgorączkowani sprzeczają się o to, co zrobić z tym czy tamtym meblem.

Posyłam odrabianie lekcji do diabła. Moje życie wisi na włosku, a ja nie mam gdzie się podziać z rzeczami, które dotychczas trzymałam w moim kąciku. Chwytam mój skarb – kostium taneczny na specjalne okazje zrobiony z tałesu taty – po czym wybiegam z mieszkania i pędzę galopem na czwarte piętro, na „mój" strych. Tam przystrajam się w tałes. Tałes jest szalem modlitewnym, a ja potrzebuję się pomodlić – nawet jeśli nie ma Boga, który wysłuchałby mojej modlitwy. To jest specjalna okazja, chociaż smutna. Zaczynam pląsać pomiędzy mokrymi prześcieradłami rozwieszonymi na rozciągniętych równolegle sznurach do rytmu najdzikszej muzyki, jaką jestem w stanie wymyślić w mojej głowie, by stopami zadeptać rozpacz.

Restauracja Binele i Jankewa istotnie odnosi sukces. Zaraz po otwarciu zaczynają tłumnie napływać do mieszkania „goście" – robotnicy z okolicznych

warsztatów i sprzedawcy z pobliskich sklepików. Brakuje miejsca nie tylko dla chcących usiąść, lecz również dla stojących w kolejce. Podczas tych południowych godzin Binele i Jankew zapominają, kim są i co się wokół nich dzieje. Harują jak woły i ledwo żywi gonią resztkami sił. Binele przygotowuje smaczne, domowe posiłki w prawdziwie przystępnych cenach. Ceny są tak przystępne, że nim mija pierwszy tydzień, Binele zaczyna „pożyczać" – najpierw po złotówce, potem po dwie, a w końcu po trzy, a nawet cztery – z ich domowego funduszu, który miał być przeznaczony tylko i wyłącznie na dalsze kształcenie dzieci.

Po gorącej dyskusji z Binele tata zwraca się do mnie, mówiąc, że najważniejsze, żebym zaczęła lekcje w szkole tańca, a potem będę mogła chodzić na nie tak długo, dopóki *madame* Felicja nie każe mi odejść z powodu niezapłaconego czesnego. Co się tyczy trykotu i baletek, w które *madame* Felicja ma mnie zaopatrzyć, a które kosztują majątek, mama mówi mi, że mam je przyjąć i powiedzieć, że zapłacę za nie później. Boję się, że to „później" nigdy nie nadejdzie, zwłaszcza że zrezygnowałam z mojego własnego przedsięwzięcia, czyli stworzenia szkoły tańca na „moim" strychu, jeszcze zanim je rozpoczęłam. Zmieniłam zdanie tego samego dnia, którego podjęłam decyzję, i zerwałam ogłoszenia z bram na naszej ulicy. Postanowiłam zachować strych tylko dla siebie. Moja osobista, tajemna świątynia jest dla mnie ważniejsza niż wszystko inne na świecie. Dzielenie jej z innymi byłoby dla mnie profanacją i nie mogę się do tego zmusić.

Każdego dnia po „właściwej" szkole idę na lekcje do szkoły tanecznej *madame* Felicji, które odbywają się w dużym pomieszczeniu z lustrzaną ścianą. Moje serce jest w nieustannym napięciu. Cały czas liczę się z tym, że lada chwila *madame* Felicja powie mi, bym nie przychodziła więcej do jej szkoły. Jednak moi dwaj aniołowie stróże – panna Jedwab i nauczyciel Wilner – dbają, by się to nie wydarzyło. Godziny, które spędzam w szkole tańca, są mi podwójnie drogie, ponieważ moje domowe życie rozpada się na kawałki. Mój dom nie jest już więcej domem. Moi rodzice stali się całkiem innymi ludźmi – tata nie jest tym samym tatą, a mama nie jest tą samą mamą. Zachowują się jak obcy i nawet wyglądają inaczej. Tata stracił prawie wszystkie swoje kręcone, brązowe włosy i ma łysinę. Mama też nie ma już wspaniałych włosów, ani wyjątkowego, matczynego uśmiechu. Mój dom utracił swój czar, swoją magiczną atmosferę, przez co i życie w nim straciło swój urok. Jedynie w szkole tańca, w pokoju z lustrzaną ścianą, czuję się dobrze. Jestem tam zbyt zajęta, by myśleć o czymś innym niż o tym, co akurat robię.

Ten rok jest szczególnie ciężki także z innego powodu. Ciocia Cypora – jak my, dzieci, ją nazywamy – która napełniła serce mamy taką radością i dumą, dosłownie oszalała ze szczęścia i przez to zachowuje się nierozsądnie. Urodziła jedno dziecko, a teraz oczekuje drugiego i wbiła sobie do głowy, że tej dwójki jej dzieci nie może spotkać los podobny do tego, jaki spotkał te, które straciła. Ponownie zmienia swoją życiową filozofię. O ile w pierwszym etapie jej wspólnego życia z Mojsze Sokratesem nie przywiązywała najmniejszej wagi do poprawy ich sytuacji finansowej, tak teraz chce się z dnia na dzień wzbogacić. Doprowadza

tym samym do tego, że Mojsze Sokrates zostaje aresztowany za sprzedawanie skradzionych towarów.

Wowa Cederbojm nie posiada się ze złości.

– No i masz te twoje romantyczne dusze – krzyczy na Jankewa, jakby to on był wszystkiemu winien. – W nielegalnych czasach policja ani razu Mojszego nie złapała! Banda oszustów i złodziei nie mogła zrobić z niego jednego z nich. Był bastionem uczciwości! Ale do czego nie mogło go przywieść życie pełne problemów, doprowadziło go szczęście z tą zepsutą dziewczyną!

Cypora rozchorowuje się ze zgryzoty i znowu zaczyna grozić, że zakończy swoje życie. Jednak zamiast tego wydaje na świat chorowitego chłopczyka i przez całą wiosnę Binele spędza każdą wolną chwilę w jej mieszkaniu, zajmując się zarówno nią, jak i nowo narodzonym niemowlęciem. My, dzieci Binele, kontynuujemy nasze normalne życie z pomocą cioci Racheli. Binele nie ma nawet czasu zauważyć, jak bardzo nam jej brakuje.

Tego lata cała nasza rodzina zostaje w mieście, w gorących, zakurzonych Bałutach. Również rodzina Kaców nie wyjeżdża z miasta z ich własnych powodów. Nie przyjaźnię się już z Fiszelem Kacem i unikam go tak samo, jak unikam jego ojca, pana Kaca, którego widok sprawia, że drżę na całym ciele. Moja odraza do niego rozrasta się i obejmuje jego całą rodzinę. Nie mogę nikogo z nich ścierpieć. Nie stawiam już więcej nogi w ich mieszkaniu i przekradam się obok ich drzwi niczym złodziej, w strachu, że się otworzą i ukaże się w nich głowa pana Kaca.

Kiedy pan Kac chce sprawić swojej żonie szabesowy prezent, rozsiada się z całą swoją rodziną w restauracji w naszym mieszkaniu i napychają się podwójnymi porcjami czulentu z kiszką. Uciekam wtedy z domu na mój strych.

Anton Cimerman przychodzi prawie każdego dnia do naszej restauracji na obiad. Rzadko bierze udział w prowadzonych przy stołach rozmowach o Hitlerze, który został kanclerzem Niemiec[294]. Nie spuszcza oczu z Binele, jednak nigdy nie ma okazji być z nią sam na sam. Obserwuję go i z jego powodu zaczynam rozmyślać o tajemnicy miłości, o tej niesamowitej sile, która jest „silniejsza od wszystkiego". Nagle, ni stąd, ni zowąd, zdaję sobie sprawę z tego, jak bardzo kochają się moi rodzice.

Podczas tych upalnych, letnich dni rodzice krzątają się po mieszkaniu, jakby byli sobie obcy. Od rozpalonej kuchni bije taki gorąc, że można się udusić. Kiedy mija dzień harówki, padają oboje na krzesła przy brudnym stole i obcierają sobie spocone twarze. Później zabierają się za zmywanie naczyń, ponieważ Wierka i ja mamy obowiązek robić to tylko teoretycznie. Wcześniej bowiem musimy odrobić lekcje, co trwa tak długo, że kiedy kończymy, pora już iść spać. Również

[294] 30 stycznia 1933 r. prezydent Niemiec Paul von Hindenburg desygnował Adolfa Hitlera na stanowisko kanclerza Niemiec.

wtedy rodzice nie mówią do siebie ani słowa. W nocy, kiedy mieszkanie jest już posprzątane i można odpocząć, nie całują się ani nie przytulają jak dawniej. Albo krępują się robić to w obecności dorastających dzieci, albo nie mają na to ochoty. Zamiast tego często się sprzeczają.

Za każdym razem, kiedy dochodzi do kłótni między rodzicami, my, dzieci, czujemy, jak ziemia osuwa się nam spod stóp. Biegamy z płaczem między nimi i błagamy, żeby się przeprosili. Wierka jest mistrzynią w przywracaniu domowej harmonii. Jednak w takich momentach myślę sobie – sama nie wiem na jakiej podstawie – że wzajemna miłość rodziców jest tym większa, im częściej się sprzeczają, przy czym powód ich kłótni nie zawsze jest dla mnie jasny.

Jak słodkie są chwile, kiedy rodzice się przepraszają! Zwłaszcza, gdy dzieje się to w sobotę, kiedy rano można dłużej zostać w łóżkach. W soboty Binele i Jankew serwują „gościom" tylko czulent z kiszką, dzięki czemu mają przedtem czas zarówno posprzeczać się, jak i pogodzić. Kiedy domowa harmonia zostaje przywrócona, Jankew przystawia po krześle do każdego łóżka i podaje wszystkim śniadanie. Na każdym z krzeseł stawia talerzyk z paroma kawałkami ciasta i szklankę z kefirem. Kuchnia nie jest rozpalona, więc w mieszkaniu jest chłodniej niż w inne letnie dni. Okna są otwarte i ciepły wietrzyk wieje do środka.

Jankew, w samych spodniach, z nagą, owłosioną klatką piersiową, kroczy z książką w ręce między pokojem a kuchnią, gdzie od otwarcia restauracji stoi Wierki i moje łóżko. Czyta nam na głos jakieś opowiadanie Pereca, historie Szolema Alejchema, albo jakiś ważny artykuł z sobotniego wydania „Folkscajtung", która ma dodatek literacki i stronę dla dzieci, gdzie drukowane są czasami wiersze Wierki. Nawet Noniek, który wkrótce ukończy przedszkole, jest na tyle duży, by dorzucić swoje „dwa grosze" do rozmowy nawiązującej się po lekturze. Stawia tacie różne „genialne" pytania, na które nie da się odpowiedzieć, na przykład o braterstwo czy sosalizm – jak wymawia to słowo. Słuchając go, boki można zrywać ze śmiechu.

Kwestia braterstwa jest częstym tematem w naszym domu, zwłaszcza gdy Binele i Jankew dopiero co się przeprosili i patrzą na siebie zakochanymi oczami. Ich miłość rozrasta się wtedy, automatycznie przyjmując pod swoje skrzydła cały świat – ze wszystkimi Żydami i gojami.

Ani Wierka, ani ja nie przyjaźniłyśmy się nigdy z żadnym gojskim dzieckiem. Jesteśmy jednak gotowe uważać każde polskie dziecko za brata. Oczywiście wyłączając szajgeców ze szkoły powszechnej w domu przy ulicy Nowomiejskiej oraz potomstwo stróża, pana Wygodnego. Ci przerażający obcy należą do szczególnego gatunku „ciemnych elementów", który zniknie ze świata, kiedy nadejdzie socjalizm. Polacy, których mamy na myśli, należą do abstrakcyjnej kategorii. Są to ci, z którymi żydowskie masy będą wspólnie budować nową, piękną przyszłość. To braterstwo obejmuje też ludzi ze wszystkich innych narodów, o których my, dzieci, wiemy jeszcze mniej niż o Polakach. Podczas takich sobotnich poranków cały świat jest nam tak samo drogi i bliski naszym sercom, jak nasz własny dom.

Tymczasem restauracja doprowadza powoli naszą rodzinę do ruiny. Binele nie może serwować swoim „gościom" żadnych zwykłych, tanich dań, przez co każdy posiłek kosztuje ją więcej, niż na nim zarabia. W końcu nadchodzi moment, w którym Binele i Jankew postanawiają zlikwidować interes w obawie, że karmieniem „gości" odbiorą swoim dzieciom ostatni kawałek chleba. Jako że szkoła powszechna na trzecim piętrze właśnie się wyprowadziła, zwolniło się tam kilka mieszkań. A ponieważ na trzecim piętrze czynsz jest niższy, wprowadzamy się tam, piętro wyżej. Jestem z tego bardzo zadowolona. Mieszkanie na trzecim piętrze jest takie samo jak na drugim, ale teraz łatwiej mogę uniknąć pana Kaca i jego hałastry.

*

Łóżko Wierki i moje stoi znowu w dużym pokoju przy oknie, na którego parapecie ustawione są doniczki z kwiatami mamy. Jankew znajduje zatrudnienie w tkalni na parę dni w tygodniu. Nie jest już jednak tak wprawny w tym fachu jak kiedyś i znowu grozi mu, że lada dzień straci pracę. W wolne dni biega po mieście, szukając posady kelnera. Binele ze swojej strony rozgląda się za pracą w fabryce tekstylnej jako sztoperka. Jednak ani jej, ani Jankewowi nie udaje się nic znaleźć, gdyż młodsi i lepsi w ich fachach również szukają pracy.

Tymczasem przyjmują do mieszkania dwóch sublokatorów, kwaterując ich w kuchni. Jednym z nich jest pan Jurek, romantyczny kawaler z prowincji, który pracuje jako sprzedawca w sklepie z artykułami skórzanymi. Wprowadził się do nas, stawiając warunek, że obok jego łóżka ma znajdować się krzesło, a na nim lampa z różową żarówką. Pan Jurek ma piękny, dziewczęcy głos i w sobotnie poranki oddaje się śpiewaniu polskich szlagierów i romantycznych serenad, przekreślając w ten sposób plany naszej rodziny, by pospać trochę dłużej lub posłuchać głośnej lektury Jankewa. Poza tym uczy mnie, jak tańczyć tańce salonowe. Pachnie intensywnie wyprawioną skórą, co mi osobiście nie przeszkadza. Wierka jednak nie może znieść tego zapachu, a w dodatku jest zdecydowaną przeciwniczką tańców salonowych i dlatego odmawia uczenia się od niego tańca.

Drugim sublokatorem jest pan Kenig, zagorzały komunista, intelektualista, a z zawodu damski krawiec. Gdy wraca po pracy do domu, rozsiada się zaraz na swoim łóżku i skubiąc kawałeczki z bochenka chleba, przygotowuje referaty, które wygłasza później na nielegalnych zebraniach. Na mój widok zrywa się, łapie mnie za rękę, po czym sadza obok siebie na łóżku i nakłania, bym go słuchała. Jak wyjaśnia mamie – potrzebuje twarzy, do której mógłby mówić. Wierka kategorycznie odmawia bycia taką „twarzą" dla zagorzałego komunisty, pan Kenig musi więc zadowolić się mną. Za mój trud nagradza mnie dziesięcioma groszami. Przemawia do mnie bez końca, ciągnąc jedna po drugiej długie wstęgi fraz, gdy ja tymczasem myślę o strychu i gapię się na budzik, który pan Kenig nastawił, by mierzyć czas swojego referatu. Mama boi się stracić sublokatorów i dlatego

jest dla nich anielsko uprzejma, jednak czasami lituje się nade mną i przerywa panu Kenigowi w środku mowy.

– Proszę wybaczyć, panie Kenig, że się wtrącam – mówi do niego – ale myślę, że z tego jednego referatu może pan śmiało zrobić dwa.

Pan Kenig rzuca jej pogardliwe spojrzenie.

– O co chodzi? Mój referat nie przypada do bundowskiego gustu?

– Ależ skąd, niech Bóg broni. – Mama uśmiecha się do niego słodko. – Jak dla mnie, może pan mówić do sądnego dnia, ale mała... Ona nie ma już siły słuchać. Za taką długą mowę należy jej się dwa razy tyle...

Mama uwalnia mnie z opresji i pan Kenig kontynuuje przemówienie, z braku wyboru używając w roli „twarzy" budzika.

Pan Kenig jest zwolennikiem filozofii, że im gorzej, tym lepiej, to znaczy – im trudniejsze jest życie, tym bliżej do światowej rewolucji. Gdy tylko Jankew postawi nogę w mieszkaniu, pan Kenig przyskakuje do niego, by przywitać go radośnie paroma smutnymi wieściami o hitlerowskich Niemczech i zaraz wciąga go w polityczną dyskusję, którą prowadzą obaj podniesionymi głosami. Jankew, zaabsorbowany swoimi własnymi problemami, krzyczy:

– Czy wie pan, co wasz towarzysz Trocki powiedział do żydowskiej delegacji w dwudziestym pierwszym roku? Powiedział: idźcie do domu, do swoich Żydów i powiedzcie im, że ja nie jestem Żydem i ich los obchodzi mnie tyle co zeszłoroczny śnieg!

– Mnie też! Mnie też! – woła pan Kenig, uderzając się przy tym pięścią w klatkę piersiową. – Mnie też żydowski los obchodzi tyle co zeszłoroczny śnieg! Tym, co mnie obchodzi, jest międzynarodowy proletariat, są masy pracujące na świecie. I chociaż ten socjalista-faszysta Trocki miał w dwudziestym pierwszym roku rację co do Żydów, to jego też mam gdzieś! Tylko towarzysz Stalin może przeciwstawić się pladze hitleryzmu i przynieść wyzwolenie narodom!

– Do diabła z waszym Trockim i towarzyszem Stalinem! – gotuje się Jankew. – Spójrz, co bolszewicy zrobili z rosyjskiej rewolucji! Wyzwolili klasę robotniczą z jarzma czarnego cara, żeby oddać ją w niewolę czerwonemu carowi. Upokorzyli człowieka i zrobili z niego małpę. Zbrukali słowo „socjalizm" tak, że jest wątpliwe, czy jeszcze kiedyś oczyści się z tego brudu!

– To wy, socjalni demokraci, wy socjalni zdrajcy i pachołki kapitału zdradzacie klasę robotniczą! Ale czekajcie tylko! Rewolucja zbliża się wielkimi krokami i jeszcze zobaczycie, co przyszłość zgotuje dla was i wam podobnym!

Dyskusje te przekształcają się z czasem w swego rodzaju wyścig, kto z nich obu pierwszy zachrypnie, aż Binele wtrąca się, zaklinając Jankewa, by nie odpowiadał już ani słowem. Ponieważ sublokatora trzeba szanować, bierze stronę pana Keniga. Uspokaja go i pokazuje mu drzwi do kuchni, by tam kontynuował swoje wywody przed budzikiem. Samego Jankewa nie można tak łatwo uspokoić. Długo trwa, zanim dochodzi do siebie, i Binele oraz my, dzieci, mamy okazję przedyskutować z nim kwestie rodzinnej polityki.

Późną jesienią Jankew traci pracę i rodzina żyje z pieniędzy pożyczonych w Kasie Pożyczkowej Bundu oraz ze skromnego czynszu, którzy płacą sublokatorzy. Jankew z Binele zalegają z komornym za mieszkanie. Rzadko bywają teraz w domu. Oboje wędrują po mieście w poszukiwaniu pracy, której nie ma.

*

Spadł pierwszy śnieg. Już trzeci wtorek z rzędu po całym dniu bezowocnego poszukiwania pracy Jankew stoi w bramie naprzeciwko restauracji Capri i czeka na Barucha Wajskopa. Przejmujący, porywisty wiatr gna po śliskiej, ośnieżonej ulicy. Wilgotne zimno ciągnie od ziemi i przenika ciało aż do szpiku kości. Jankew stawia kołnierz płaszcza, pociera czerwone dłonie i tupie nogami. Podobnie jak poprzednimi razy, zdaje się czekać nadaremnie. Możliwe, że Baruch Wajskop jest w podróży i wyczekiwanie go dziś nie ma żadnego sensu.

Baruch jest jedynym promieniem nadziei dla Jankewa, jego ostatnią deską ratunku. Tylko on mógłby załatwić mu pracę, zna się bowiem z wieloma właścicielami restauracji w mieście. Świadomość, że zachował się poprawnie w stosunku do Poli, sprawia, że Jankew może spotkać się z Baruchem bez większego skrępowania i niepokoju w sercu. Oczywiście pamięta, jak ciężko przyszło mu udać się do niego w związku z trudną sytuacją szkoły, a jednak potrafił się poświęcić. Teraz, gdy chodzi o ratowanie jego własnej rodziny, duma w ogóle się dla niego nie liczy. Poza tym w końcu nigdy Barucha nie oszukał i nawet wciąż jeszcze go lubi, nadal odczuwa jakieś pokrewieństwo z nim. Bez względu na wszystkie nieporozumienia między nimi, nęka go przecież głęboki żal, że ich przyjaźń zakończyła się fiaskiem. Jakiś głos w jego sercu śmieje się, pytając z goryczą: czy rzeczywiście chcesz odnowić przyjacielskie stosunki z nim? Czy nie wiesz, że odgrzana przyjaźń jest jak odgrzany czulent – nie ma żadnego smaku? Jankew wie o tym i nie tego pragnie. Wszystko, czego chce od Barucha, to ludzka życzliwość.

Szare niebo, z którego nieustanie prószy śnieg, zaczyna ciemnieć. Jankew jest głodny jak wilk i burczy mu w brzuchu. Od rana niczego nie jadł. Stoi jednak nadal w otwartej bramie jak przykuty do miejsca. Głód potęguje w nim strach, że jego dzieci też mogą kiedyś chodzić głodne i nie będzie czym ich nakarmić, a jednocześnie podtrzymuje nadzieję, że może Baruch jest jednak w Capri. Może je w tym momencie kolację?

W myślach Jankew widzi biało nakryte stoły w Capri i siebie samego równocześnie siedzącego jako gość na miejscu Barucha oraz w roli kelnera – jest zarówno obsługiwanym, jak i obsługującym. Przed oczami staje mu obfity posiłek i wyobraża sobie smak specjalności Capri: kaczki *à l'orange*. Widzi, jak wgryza się w udko kaczki i zdaje mu się, że czuje słodko-kwaśny zapach wnikający w jego nozdrza. Ślina napływa mu do ust, podczas gdy stoi tak w ciemnej bramie i pali jednego papierosa za drugim, by zabić głód, przemóc zmęczenie i dodać sobie otuchy podczas czekania.

Nagle dostrzega – ją. Wychodzi z Capri ubrana w czarny, futrzany płaszcz i w futrzanym toczku na głowie, po czym otwiera parasol i zbliża się do brzegu trotuaru, żeby zatrzymać taksówkę. Jankew zastyga w miejscu, lecz gdy dostrzega zbliżający się do Poli samochód, zanim zdoła zdać sobie sprawę z tego, co robi, biegnie przez ulicę tak nieostrożnie, że o mało co nie wpada pod nadjeżdżający tramwaj.

– Pola! – woła i nie może wydobyć z siebie ani słowa więcej.

Uśmiech przyjemnego zaskoczenia rozjaśnia jej twarz i przez chwilę patrzy na niego pytającym wzrokiem. Taksówka zatrzymuje się obok nich. Pola wsiada, ale zostawia drzwi otwarte. Skinieniem głowy zaprasza go, żeby też wsiadł do środka. Wciąż jeszcze nie wiedząc, co robi, przyjmuje zaproszenie i siada obok niej w ciepłym aucie. Pola podaje szoferowi swój domowy adres.

– Czy Baruch jest w domu? – pyta Jankew, zdoławszy w końcu wydobyć z siebie głos.

– Nie. Ty i ja... będziemy w domu sami. – Pola patrzy mu prosto w oczy. – Baruch wyjechał do Biarritz z naszą córeczką, na zimowe wakacje. Jak widzisz, sprzyja mi szczęście i pozwala wykorzystać okazję... Nie widziałam cię, odkąd przestałeś pracować w Capri.

– Zatrzymaj taksówkę! – woła Jankew.

– Za nic w świecie! – Pola kręci zdecydowanie głową i wpatruje się w niego pochłaniającą czernią swoich oczu. – Jankewie, proszę cię – dodaje. – Przestań na mnie patrzeć jak na pragnącego zemsty wampira.

– Nie chcę iść do ciebie do domu, Polu!

– Nic ci nie zrobię. – Uśmiecha się gorzko. – Przysięgam. Chcę tylko z tobą porozmawiać. Pogawędzić trochę. To taka wspaniała okazja! Przeznaczenie. O czym chciałeś rozmawiać z Baruchem?

Wbrew swojej woli Jankew odpowiada:

– O posadzie. Kręcę się już od dwóch miesięcy bez pracy.

– Boże! To straszne! – Pola wzdycha głośno. – Może ja mogę ci pomóc?

Zdaje mu się, że wyczuwa w jej głosie prawdziwą troskę i szczere współczucie. To przezwycięża jego opór. Jest wygłodzony i wycieńczony. Ma ochotę opowiedzieć jej, jaki to ból, gdy biega się długie tygodnie po mieście, dźwigając w sercu ciężar trosk, i jaki jest zmęczony.

– Dziękuję – odpowiada i jego głos przybiera ciepłą barwę. – Nie sądzę jednak, żebyś mogła mi pomóc. Szukam posady w restauracji, a Baruch zna się z wieloma restauratorami.

– Ja również. Co powiesz o Tabarinie?

– Oszalałaś? – pyta Jankew, ściągając kapelusz z głowy. – Spójrz na moją łysinę. A mój polski znasz przecież.

– Tak, twój polski jest katastrofalny. Podobnie jak twoja łysina... – Nachyla się do niego frywolnie. – Ale ja cię kocham, jak wiesz. Zrobię dla ciebie wszystko, co w mojej mocy.

Jankew czuje się, jakby oblała go kubłem zimnej wody.

– Nie potrzebuję, żebyś coś dla mnie robiła. Pamiętam, kiedy powiedziałaś te słowa do mnie po raz pierwszy.

– Jestem zaskoczona, słysząc... że pamiętasz... Byłam wtedy taka młoda, ale mówiłam szczerze. Tak samo jak i teraz. Chcesz pracować w Tabarinie?

Taksówka skręca za róg i zatrzymuje się. Jankew nie ma ani grosza w kieszeni i nawet nie próbuje udawać, że szuka w niej pieniędzy. Pola płaci szoferowi. Zirytowany Jankew pomaga jej wysiąść z taksówki. Czuje się tak nędznie, jakby był kawałkiem błota pod jej stopami i gotów jest w każdej chwili uciec.

Znajdują się przed frontem masywnego budynku przy alei Kościuszki. Na szerokim pasie ośnieżonej ziemi, przecinającym aleję wzdłuż, stoją okryte bielą drzewa i ławki. Po obu stronach alei ciągną się szeregi szarych, łódzkich kamienic, przeplecionych nielicznymi budynkami w formie pałacyków, jak dom, przed którym zatrzymali się Pola i Jankew. Pola wchodzi na frontowe schody, on zostaje na trotuarze.

– Zapytałam cię, czy chcesz pracować w Tabarinie. – Obraca się do niego, pociągając równocześnie za dzwonek. Służąca otwiera i Pola przytrzymuje otwarte drzwi. – Odpowiedz mi chociaż na to jedno pytanie – mówi.

Jankew wbiega po schodach i staje przed nią.

– Całkiem zgłupiałaś czy żartujesz sobie ze mnie? Terkeltojb jest jednym z właścicieli Tabarina. Czy wiesz, jaki był główny powód, dla którego mnie zwolnił? Te twoje sztuczki, które moim kosztem wyprawiałaś przed jego oczami! Zgorszyłaś go twoim idiotycznym zachowaniem, a ja drogo za to zapłaciłem. Teraz śmiesz przedstawiać mi taką szyderczą propozycję? Czy nie masz w sobie ani odrobiny przyzwoitości?

– Wejdź do środka. – Pola udaje, że nie słyszy jego słów. Wciąga go do wnętrza, a on pozwala jej zamknąć drzwi. Na podłodze holu rozłożony jest purpurowy dywan, a na ścianach wiszą duże lustra. Jankew widzi siebie otoczonego przez cztery pary w czterech lustrach. On i Pola. Jej wytworność i jego nędza – pomnożone przez cztery. Jego buty są zabłocone i oblepione śniegiem. – Nie nosisz kaloszy – zauważa Pola. – Zdejmij buty.

Jak gdyby nie chcąc, by zawstydził się, ściągając przy niej buty, zsuwa swoje botki z nóg i w samych pończochach lekkim krokiem wspina się – zwielokrotniona przez lustrzane odbicia – po schodach prowadzących na wyższe piętro, po czym znika. Jankew stoi w pocerowanych skarpetach na czerwonym dywanie pośrodku korytarza w towarzystwie swojego żałosnego, poczwórnego odbicia w lustrach – poczwórnie obezwładniony, poczwórnie obrabowany z godności, poczwórne widmo samego siebie, żebraka, który wkrótce straci swoją duszę.

Patrzy w górę schodów tak długo, aż Pola pokazuje się z powrotem, już bez płaszcza i futrzanego toczka. Ma na sobie ciemnoczerwoną, dzierganą sukienkę i czerwone pantofle na drobnych stopach. Jej czerwona postać, szczupła i gibka, zstępuje do niego po schodach, bierze go pod ramię i wprowadza do pokoju przy

wejściu, w którym okna obwieszone są ciężkimi, brokatowymi draperiami. Pokój jest mały i zastawiony niedużymi meblami, mimo to wygląda bogato. Wypełnione książkami półki z mahoniowego drewna ciągną się przez całą szerokość ścian, aż do wielkiego kaflowego pieca. Znajduje się tu przytulna sofa pokryta pluszem w złotym kolorze oraz dwa fotele, również obciągnięte złotawym pluszem. W kącie stoi pianino koncertowe, zajmując sporą część pomieszczenia.

– Pamiętasz moje pianino? – pyta Pola, wskazując na nie wzrokiem. – To jest to samo pianino... Zdejmij płaszcz, jest przemoczony. – Jankewowi jest gorąco i z ulgą zdejmuje płaszcz. – Odłóż go na fotel – mówi Pola, kiwając głową w kierunku jednego z foteli. Jankew waha się. Boi się, że jego płaszcz zabrudzi jasny mebel. – Nie bądź taki przestraszony, Jankewie, odłóż go, na litość boską – zachęca go. – Możesz czuć się jak u siebie w domu. Mieszkasz tu tak samo długo jak ja. Mam dla ciebie niespodziankę. Chodź tutaj, usiądź. – Wskazuje na sofę i sama wciska się w jej kąt. Ona też jest zdenerwowana. Jej ciało w czerwonej sukience drży lekko. Czeka, aż on usiądzie w drugim kącie sofy. – Tak, co się tyczy posady... Znam się z partnerem Terkeltojba z Tabarinu. Już od wielu lat prześladuje mnie swoimi sentymentami. Jak mówi Heine? „Młodzieniec kocha dziewczynę, co ma innego w sercu... To taka bardzo stara i wciąż taka świeża piosenka!”[295]. On mi niczego nie odmówi. Powiedz tylko, czy chcesz tam pracować. Jankewie, odezwij się na litość boską! Dlaczego mi nie odpowiadasz?

Jankew siedzi zesztywniały na przeciwległym końcu sofy i czuje, jak w tym ciepłym pokoju jej drżenie przeniosło się na niego. Dreszcz przebiega mu po plecach. W końcu odzywa się:

– Co to za pytanie, Polu? Co to znaczy: czy chcę? Czy jest coś, czego bym nie zrobił? Ale ta historia z Tabarinem... Jak mogło ci to przyjść do głowy?

– Posada jest twoja, jeśli jej chcesz.

Do pokoju wchodzi służąca, trzymając w rękach srebrną tacę. Ma na sobie schludny strój, dokładnie taki, jaki noszą pokojówki, które widział w filmach. Pola kiwa do niej głową i wskazuje na niski stolik znajdujący się obok sofy. Pokojówka nie rzuca na Jankewa ani jednego spojrzenia, jakby go tu w ogóle nie było, i stawia na stoliku wszystko, co przyniosła na tacy. Powietrze wypełnia się aromatycznym zapachem kawy, który niesie się z porcelanowego dzbanka. Między dwoma pustymi filiżankami Jankew dostrzega talerz pełen czekoladowych ciasteczek. Przypomina je sobie od razu. Mają ten sam kształt co ciasteczka, którymi Pola zwykła go karmić, kiedy głodny przychodził do niej, po tym jak poznali się całą wieczność temu.

Pokojówka wychodzi. Pola wstaje i idzie za nią. Jankewowi zaczyna głośno burczeć w brzuchu w takt głosu Poli, który rozbrzmiewa po drugiej stronie drzwi. Patrzy na ciastka. Budzą w nim wspomnienia chwil, o których bardzo

[295] Fragment wiersza Heinricha Heinego *Młodzieniec kocha dziewczynę*, pol. przekł. Roberta Stillera.

chciałby zapomnieć, a jednocześnie tak wzmagają jego głód, że staje się on nie do zniesienia. Zastanawia się, czy Pola postanowiła odegrać dawną scenę ze wszystkimi szczegółami.

Pola jest już z powrotem. Jej ruchy są kocie i miękkie, uśmiech jest łagodny – a jednak niebezpieczny. Zrzuca ze stóp czerwone pantofle. Wtedy nosiła grube pończochy gimnazjalistki, dzisiaj nosi jedwabne, które podkreślają jeszcze wyraźniej kształt jej drobnych stóp i palców. Jankew nie może się dłużej powstrzymać i wyciąga rękę po ciastko. Pola obchodzi go tyle co zeszłoroczny śnieg. Rozdrażniła go tymi ciastkami. Dobrze. Wyczyści ten talerz bez żadnych ceremonii!

W samych pończochach Pola przemyka do kaflowego pieca i opiera się o niego, trzymając ręce za plecami, jak gdyby chciała uspokoić ich drżenie. Stoi tak naprzeciwko Jankewa, jakby chciała zademonstrować mu swoją drobną, zgrabną, odzianą w czerwień figurę, i przypatruje się, jak pochłania ciastka. Jakby jej na przekór, Jankew chrupie energicznie i głośno, patrząc jej prosto w oczy.

– No i jak smakuje ci moja niespodzianka? – pyta Pola. – Czy pamiętasz te czekoladowe ciasteczka? Ile to już lat, co, Jankewie? Mnie zdaje się, jakby to było wczoraj. Trzymam te ciastka w domu i podjadam je, żeby przywołać w pamięci tamten smak. Czy czytałeś *W poszukiwaniu straconego czasu* Marcela Prousta? Wtedy byłeś zapalonym czytelnikiem, dzisiaj pewnie nie masz na to czasu... Oj, Boże, co za głupstwa wygaduję. Miłość robi z człowieka głupca... Dla mnie masz serce twarde jak kamień, ale wciąż jeszcze kochasz ciastka, co? Dlaczego pozwalamy kawie ostygnąć? – Podchodzi z powrotem do sofy i nalewa kawę dla obojga. Drobną, wypielęgnowaną dłonią bierze z talerza ostatnie ciastko. – Dziękuję, że zostawiłeś mi jedno, żebyśmy razem poczuli dawny smak.

Jankew wstaje.

– Polu – mówi i patrzy na nią, jak gdyby była złym snem – nie chcę grać z tobą w twoją grę.

Cień przesłania jej twarz, a czarne oczy krzyczą nagle dziwną paniką.

– Wybacz mi, Jankewie, proszę cię. Wiem, zachowuję się dziecinnie. Mówisz, że to gra? To, co czuję, jest śmiertelnie poważne. Jankewie, proszę cię... – Przysuwa się bliżej i chwyta go za rękę. – Wiem, że jesteś zmartwiony. Baruch powiedział mi, że masz żonę i dzieci. Ale mówię ci przecież, że twój problem jest rozwiązany. Masz nową posadę. Przysięgam ci na moje życie. Czekaj na mnie pojutrze w tym samym miejscu, a wszystko ci dokładnie wyjaśnię. No... usiądź. Przestań się martwić i spędź trochę czasu ze mną. Zrób to dla mnie. Czy nie uważasz, że zasłużyłam sobie przynajmniej na odrobinę życzliwości? Proszę, oto nalewam ci jeszcze jedną filiżankę kawy. Czy chcesz jeszcze ciastek? – Zrywa się i wybiega z pokoju z pustym talerzem.

Jankew nie ma pojęcia, co zrobić. W głowie mu się kręci. Nie mijają więcej niż dwie minuty, a Pola jest z powrotem z talerzem ciastek. Ciągnie go ze sobą, by usiadł na sofie. Jankew mechanicznie wyciąga rękę po ciastko. Przypomina sobie swój identyczny gest sprzed lat. Ciastka są małe. W okamgnieniu zjada

je wszystkie i talerz znowu pokazuje swoje białe dno. Tymczasem Pola sączy kawę. Jej czarne oczy błyszczą promiennie znad brzegu filiżanki, którą trzyma między palcami o czerwonych paznokciach. Jankew czuje się swobodniej, bardziej rozluźniony. Wlewa resztkę kawy z dzbanka do swojej w połowie pustej filiżanki. Nie wiedział, że kawa może mieć tak wspaniały smak. Jej zapach przenika go aż do szpiku kości. W tym zapachu jest piękno. Piękno jest też w tym małym pokoju, a także – w Poli. Jankew myśli o tym, że nie ma się już o co martwić. Zdjęto mu ciężar z ramion. Będzie pracował w Tabarinie! Nigdy by nie pomyślał, że jego szukanie pracy zakończy się w ten sposób. Co powie na to Terkeltojb? W zasadzie Jankew nie rozstał się z nim w gniewie. Terkeltojb sprawiał pozory, że o mało mu serce nie pęknie. Szczerze lubił Jankewa, tyle że bardziej lubił swój interes. Złoty cielec jest jego bogiem i żadna ofiara złożona na jego ołtarzu nie jest dla niego za duża. Nie jest jedyny. Możliwe jednak, że zgodzi się na kaprys wspólnika w interesie. Kelnerzy w Tabarinie dużo zarabiają. Dzieci będą mogły dalej kroczyć drogą do wielkości. Binele będzie w siódmym niebie! Będzie się cieszyć! Będzie się śmiać swoim perlistym śmiechem. Będą spać ze sobą tej nocy. Nie robili tego już od dłuższego czasu. Teraz są uratowani. Spotkało ich szczęście.

Jankew raduje się w sercu. Czuje się odurzony, uniesiony gdzieś wysoko, jak gdyby szybował na chmurze z najlżejszego puchu. Serce przepełnia mu życzliwość i wdzięczność. Nie czuje już ani odrobiny niechęci do Poli. Zasłużyła sobie na to, żeby jej dziękował – szczerze, z entuzjazmem. Zamierza zrobić dla niego coś wielkiego, coś fantastycznego. Nie jest żadną wiedźmą. Nie jest więcej Czarną Damą, tylko damą w ciepłej, czerwonej sukni, serdeczną i nieszczęśliwą kobietą. Fala współczucia zalewa jego serce.

– Bardzo ci dziękuję, Polu – mówi. – Jestem ci naprawdę wdzięczny za to, co chcesz dla mnie zrobić, wierz mi.

– A ja jestem wdzięczna tobie za to, że pozwalasz mi to zrobić – odpowiada Pola. Odstawia pustą filiżankę, odrzuca swoje czarne włosy na plecy i uśmiecha się niepewnym, dziewczęcym uśmiechem. – Czy pocałujesz mnie za to, Jankewie?

Co powiedziała? Miałby ją pocałować? Nigdy w życiu! Podwoi podziękowania słowami, najserdeczniejszymi słowami, jakie może z siebie wydobyć, ale nie dotknie jej – nigdy! Chociaż za uratowanie go należy się jej pocałunek.

Jankew czuje, jak jej ramiona oplatają się wokół jego karku. Jej szczupłe, dziewczęce ramiona. Nie całuje jej, to ona go całuje. Całuje go roztrzęsiona, z przejmującym jękiem, który zdaje się wydobywać z samej głębi jej istoty, jak gdyby tęsknota jej całego życia wyraziła się w przyciśnięciu ust do jego warg. Jej usta mają smak kawy. Jankew boi się odepchnąć ją od siebie. Jego serce ogarnia ogromna czułość. Jak jej się to udaje? W jaki sposób potrafi sprawić, że on czuje jej całe „ja" w dotyku jej ust, że wyczuwa, co całowanie go oznacza dla niej? Wyczuwa o wiele więcej, czuje, co dzieje się w jego własnym ciele. Czuje się dobrze.

Słyszy, jak Pola szepcze, wędrując ustami po jego szorstkiej, nieogolonej twarzy:

– Odprawiłam już pokojówkę.

Plecy mu sztywnieją. Nagle zdaje sobie sprawę, jak bardzo zbłądził, jaki jest lekkomyślny i jak dał się zwieść. Co stanie się z tą obiecaną posadą, jeśli odtrąci teraz Polę? I jak mógłby ją tak zawstydzić, poniżyć? Co powinien zrobić? Musi coś zrobić, zanim ona zdoła rozpiąć jego marynarkę. Już jest w samej koszuli. Nagle opamiętuje się i odzyskuje panowanie nad sobą. Chwyta ją za nadgarstki.

– Polu – wydusza przez zaciśnięte zęby – nie waż się mi tego zrobić.

– Chcę to zrobić. Chcę ciebie. Tak bardzo chciałam ciebie całe moje życie. Bóg nas dzisiaj połączył. To dar losu. Musisz być ze mną chociaż ten jeden raz, tu, na tej sofie, tak jak zrobiłeś to wtedy, pamiętasz?

Ze złością odpycha od siebie jej ręce.

– I chcesz mi za to zapłacić załatwieniem posady? Chcesz mnie zmusić do prostytucji, tak? Tego chcesz? – pieni się. – Powinnaś pamiętać, że możesz ode mnie dostać jedynie to, co mężczyzna dostaje od prostytutki.

Jej ramiona owijają się z powrotem wokół jego karku.

– Nie obchodzi mnie to. Nic mnie nie obchodzi, Jankewie. Musisz być mój choć ten jeden raz. Nie przeżyję tego, jeśli mi odmówisz. Muszę mieć chociaż tę jedną noc, by móc się czegoś trzymać przez resztę mojego życia. Nie martw się o nic, Jankewie najdroższy. Tak, będziesz miał swoją posadę. Przysięgam ci na życie mojego dziecka. Kocham cię. Zawsze będę cię kochać. Nie profanuj tego żadnymi tanimi słowami. Daj mi tę jałmużnę, obdarz mnie życzliwością, Jankewie, błagam cię.

Jest gotów rozerwać ją na strzępy. Boi się jej, lecz jego jedyna nadzieja leży w jej rękach. Litość i ból rozdzierają mu serce. Jak człowiek może się tak poniżyć? Nie wie, do kogo czuje większy wstręt – do niej czy do siebie.

Próbuje wziąć ją na sofie, tak jak zrobił to wiele lat temu. Trzymając ją w ramionach, wciąż ma przed oczami obraz siebie z tamtego czasu. Strzępki przeszłości przybierają kształty i wplątują się w kłąb groteskowej teraźniejszości. Jankew jest zimny i niezdarny. Jest demonem pozbawionym duszy, skazanym na to, by jej już nigdy nie odzyskać; demonem bez siły w lędźwiach.

*

Kiedy Jankew przychodzi do domu ze zdumiewającą nowiną, iż dostał pracę w eleganckim nocnym lokalu Tabarin, Binele jest w trakcie gotowania obiadu. Wpatruje się w niego, jakby postradał zmysły.

– Co ty mówisz, mój kochany? Jak to możliwe, skoro kazano ci odejść z Capri? – dziwi się.

– Zapytali mnie, czy jestem gotów nosić perukę, żeby zakryć łysinę, i zgodziłem się – wyjaśnia jej.

Jankew zamawia perukę. Każdego dnia, kiedy my, dzieci, wrócimy już do domu ze szkoły, Jankew zaczyna przygotowania do pójścia do swojej nowej, wspaniałej pracy. Binele obcina i piłuje mu paznokcie, po czym powleka je bezbarwnym lakierem. Potem stajemy wokół stołu i przyglądamy się, jak Jankew wsmarowuje specjalny klej w wewnętrzną stronę czarnej peruki, która ma z przodu sztywny pukiel czarnych włosów. Gdy wciąga ją na głowę, wszystkim nam dreszcz przebiega po plecach.

Noniek szepcze mi do ucha:

– Tata wygląda jak Hintler. – A mnie aż przewraca się żołądek.

Jankew zarabia dobrze i rodzina spłaca długi. Każdego dnia o świcie, kiedy Jankew wraca do domu z pracy, Binele wstaje z łóżka i razem przeliczają napiwki. Nie jest to jednak takie radosne liczenie jak wtedy, kiedy zaczął pracować w Capri. Jankew rzadko się teraz uśmiecha. Binele nalega, żeby powiedział jej, co mu dolega.

On śmieje się z niej sztucznym śmiechem i mówi:

– Nic mi nie dolega. – Kiedy Binele krzyczy na niego, żeby nie mydlił jej oczu, odpowiada: – Ludzie poznają, że noszę sztuczne włosy i śmieją się ze mnie za moimi plecami.

Binele beszta go, że przejmuje się takim głupstwem.

– Miej ich gdzieś! Czy to takie ważne? Najważniejsze, że w moich oczach jesteś najpiękniejszym mężczyzną na świecie. – Binele nie znosi jego nowej posady tak samo jak on, ale oboje wiedzą, że nie ma alternatywy.

Jankew ponownie nie bywa w domu w porze kolacji. Wraca z pracy, kiedy już świta. Binele znowu stoi co noc przy oknie i wypatruje oczy, czekając na niego.

Pierwszą rzeczą, jaką robią po spłaceniu długów, jest pozbycie się sublokatorów. Mieszkanie znowu należy tylko do naszej rodziny, równocześnie jednak zdaje się, że Jankew już się do niej nie zalicza. Za dnia śpi, a później przygotowuje się do pójścia do pracy, co trwa godzinami, które do tego są gorączkowe i pełne napięcia. W poniedziałki ma wolne, ale wtedy uczestniczy w posiedzeniach różnych komitetów, do których należy.

– Dzieci potrzebują ojca – przypomina mu z pewną powściągliwością Binele. Od jakiegoś czasu czuje, że Jankew i ona trochę się od siebie oddalili, ale udaje, że to nie ona odczuwa jego brak, tylko dzieci.

My podchwytujemy tę przyganę i wolne poniedziałki, kiedy Jankew zamierza iść na jakieś posiedzenie, opadamy go i wieszamy się na nim.

– Dzieci potrzebują ojca! – wołamy chórem i próbujemy go powstrzymać od wyjścia z domu, co się nam jednak nie udaje.

Jednego poniedziałkowego wieczoru Jankew proponuje Binele, żeby poszła razem z nim. Binele ubiera się odświętnie, po czym przykazuje nam dobrze zaryglować drzwi i umyć się, nim pójdziemy spać. Zanudza nas całym szeregiem wskazówek i zaleceń, zanim zostawia nas samych. Jeszcze więcej instrukcji dostaje jednak ciocia Rachela, która ma mieć nas na oku. Jankew najpierw

zaczyna się lekko denerwować, aż w końcu traci cierpliwość. Zarzuca Binele, że przesadza z martwieniem się o nas, iż jest przesądna i że przez jej nadopiekuńczość wyrośniemy na niedorajdy. Tego już Binele nie może przełknąć i odcina mu się ostro, co prowadzi do sprzeczki. Wreszcie Jankew przeprasza i całuje ją, po czym wychodzą.

Leżę w łóżku obok Wierki, która czyta jedną ze swoich grubych książek. Przed zaśnięciem rozmyślam o tym, z jaką niecierpliwością oczekuję nadejścia socjalizmu, żeby tata nie musiał pracować w Tabarinie i nosić tej okropnej peruki, tej włochatej błazeńskiej czapki, która powoduje, że się za niego wstydzę. Pragnę, by socjalizm nastał jak najszybciej, żeby rodzice nie sprzeczali się tak często i by nikt nie traktował Wierki lepiej niż mnie, a także bym mogła być na sto procent pewna, że nic nie stanie na mojej drodze do zostania pierwszorzędną tancerką. Chcę też, by socjalizm nastał, bym mogła nosić ubrania uszyte na miarę, a nie te, z których wyrosła Wierka, a które wiszą na mnie jak worek. Bo chociaż kocham paradować w odziedziczonej po Wierce bluzie SKIF-u z czerwonym krawatem, to jednak ona w ogóle na mnie nie pasuje.

To, że muszę nosić ubrania, które stały się za ciasne na Wierkę i za krótkie na Malkę Cederbojm, zaczyna mi bardzo przeszkadzać. Noniek też musi nosić odzież, z której wyrosły inne dzieci, lecz on się tym w ogóle nie przejmuje. Podobnie jak ja kiedyś uważa, że im bardziej znoszone jest ubranie, tym lepiej. Jednak ja ostatnio nie przestaję marzyć o nowej sukience. Tylko Wierka cieszy się przywilejem posiadania takiej rzeczy, ponieważ jest trochę grubawa i ciężko jest zdobyć dla niej jakieś używane ubrania, które by na nią pasowały.

*

Moje kółko w SKIF-ie prowadzi chłopak, na którego wszyscy wołają Aron Chodząca Encyklopedia. Aron wie wszystko i potrafi odpowiedzieć na każde pytanie długim referatem. Przypomina mi bardzo boćki z Bocianów, ponieważ podczas referowania stoi na jednej nodze, a za jej łydkę zakłada drugą, podniesioną i zgiętą w kolanie. Ma szerokie czoło przykryte gęstą grzywą włosów. Gdy mówiąc, marszczy je, grzywka zsuwa mu się w dół aż do brwi niczym skorupa żółwia i o mało co nie wpełza mu do oczu. Opowiada nam nie tylko o tragicznym położeniu głodujących narodów na świecie, nie tylko o faszyzmie, który niczym czarna lawina może ruszyć z Włoch i Niemiec i spustoszyć cały świat, lecz również o prawdziwych lawinach, o śniegu i lodzie na biegunie północnym, przeróżnych górach i morzach oraz o siedmiu cudach świata. Mówi nie tylko o francuskiej rewolucji i o Bundzie, lecz także o planetach i Drodze Mlecznej, a także o przeróżnych odkryciach w medycynie i innych dziedzinach nauki. Nie na darmo nazywa się go Chodzącą Encyklopedią.

Jednak moim zdaniem największym atutem Arona jest dziewczyna, z którą chodzi. Ma na imię Lea i prowadzi chór SKIF-u. Jest to dobrze zbudowana,

piękna brunetka, która śmieje się przyjemnym śmiechem, a do tego śpiewa jak słowik. Osobiście uważam, że ludzki głos jest najwspanialszym muzycznym instrumentem. I może dlatego, że nie należę do chóru i nie potrafię śpiewać, tak bardzo lubię Leę. Kiedy wpada czasami na spotkania naszego kółka SKIF-u i zgadza się zaśpiewać coś razem z nami, czuję się wspaniale.

Następnego dnia po spotkaniu omawiamy obszernie podczas przerw w szkole, co Aron Chodząca Encyklopedia miał wczoraj na myśli, mówiąc to czy tamto. My, dziesięcioletni socjaliści, czytamy codziennie „Folkscajtung" i jesteśmy bardzo dobrze poinformowani o wszystkich wydarzeniach na świecie. Uzbrojeni w mądre opinie, które podchwytujemy w gazetach, od rodziców, od Arona Chodzącej Encyklopedii, czy od nauczycieli, uważamy się za wystarczająco kompetentnych, by podczas pauz między lekcjami znajdować pierwszorzędne rozwiązania dla problemów świata – filozoficznych, naukowych, lecz przede wszystkim politycznych.

Chociaż jestem tak samo dumną i oddaną członkinią SKIF-u jak moi przyjaciele, to jednak nie jestem dobrą skifistką. Nie jestem koleżeńska. Jestem egoistką. Kiedy tylko przeprowadza się jakieś głosowanie, o co by nie chodziło, głosuję przeciwko. Lubię mieć własne zdanie i uważam za swój obowiązek prezentowanie mojej osobistej postawy, mojej odmienności. Podkreślam to przy każdej okazji. Jestem dziesięcioletnim snobem i mam poważne wątpliwości, czy głoszone przez SKIF ideały socjalizmu zgadzają się z moimi własnymi ideałami.

Na przykład nie kto inny jak Gabi Cederbojm, który chodzi do szóstej klasy i należy do komitetu SKIF-u, jest równocześnie założycielem Automedonii[296] – antydziewczęcej organizacji. Chłopcy z Automedonii chodzą ze specjalnymi zielonymi oznakami przypiętymi do klap i odmawiają zadawania się z dziewczynkami. Wyśmiewają się z nas podczas pauz i nie pozwalają nam grać z nimi w narodówkę[297].

Kiedy zachodzę do domu Cederbojmów, zaczepiam czasami Gabiego i pytam go prosto z mostu:

– Jak możesz być dobrym socjalistą, jeśli jesteś przywódcą Automedonii?

– A co ma jedno do drugiego? – odpowiada mi pytaniem bezczelny Gabi.

– To tragedia! – wybucham. – Chcecie zaprowadzić socjalizm tylko dla chłopców!

– Tak właśnie! – woła tonem swojego ojca. – Na co dziewczynom potrzebny socjalizm? Wystarczy dać im lalkę, a będą szczęśliwe.

---

[296] Od: Automedon – w mitologii greckiej syn Dioresa, rycerz achajski, przyjaciel i woźnica rydwanu Achillesa.

[297] Gra w dwa ognie.

– To wstrętne kłamstwo! – gotuję się ze złości. – Nigdy nie lubiłam lalek, a dziś jeszcze bardziej ich nie znoszę!

Gabi krztusi się ze śmiechu.

– To co takiego lubisz? Politykę? Mogę się z tobą założyć, że nie wiesz nawet, kto jest najsławniejszym człowiekiem w Indiach!

– A właśnie że wiem! Gandhi!

– To jeszcze nie znaczy, że lubisz politykę.

– Nie, ale to znaczy, że chłopców też nie lubię!

Malka cieszy się z mojego oświadczenia i solidaryzuje się ze mną, pokazując Gabiemu język. Ona sama już dawno zaprzestała walki z nim w tej kwestii.

Nie trwa długo, jak uczęszczanie do szkoły tańca, gdzie spędzam wszystkie popołudnia od trzeciej godziny, wchodzi w konflikt z uczestniczeniem w zbiórkach SKIF-u. Po klasach tańca rzadko jestem w nastroju do czegokolwiek innego. Potrzebuję czasu, by nabrać ochoty na inne rzeczy, a poza tym muszę odrabiać lekcje do „właściwej" szkoły. Na dodatek Wowa Cederbojm zaczyna robić tacie wymówki, że zapisał mnie na zajęcia w szkole tańca, podczas gdy jego zdaniem powinnam spędzać czas produktywnie w SKIF-ie.

– Przez twoje drobnomieszczańskie ambicje – ostrzega – wyrośnie na rozpieszczoną, dekadencką primadonnę!

Mama stawia mi surowe ultimatum i ostrzega, że jeśli opuszczę się we „właściwej" nauce, będzie to oznaczało dla mnie koniec szkoły tańca i całej tej historii z baletem-szmaletem.

W szkole tańca uczę się pilnie podstaw baletu i najważniejszych pozycji razem z francuskimi terminami. Powoli zdobywam zaufanie *madame* Felicji. Od czasu do czasu skłania majestatycznie głowę w moją stronę na znak pochwały – jest to dla mnie wspaniały prezent, który przechowuję z wdzięcznością w mojej pamięci. *Madame* Felicja nie chwali nigdy nikogo w inny sposób. Wywołanie uczennicy na przód klasy, aby zademonstrować jakiś ruch, jest najwyższym dowodem jej uznania. Takie wyróżnienie również mnie od czasu do czasu spotyka. Moją największą ambicją jest przeniesienie do specjalnej klasy dla starszych uczennic, między którymi znajduje się też Sonia Wajskop, córka bardzo bogatego Barucha Wajskopa, byłego przyjaciela mojego taty. Sonia jest tą dziewczynką, która podziwiała piękno zbieranych kiedyś przeze mnie kamieni. Nigdy nie zapomniałam spotkania z nią ani jej imienia.

Najbardziej w szkole tańca lubię „wolne godziny". Podczas nich dziewczyny mogą improwizować przed lustrzaną ścianą do muzyki wygrywanej na pianinie przez sędziwą pianistkę. Jednak jak dziwne by to nie było, nigdy nie tęsknię bardziej za godzinami spędzanymi na „moim" strychu, jak podczas lekcji w szkole tańca. Wszystko, czego się tu uczę, jedynie w niewielkim stopniu pokrywa się z moją własną koncepcją tańca do muzyki, którą sama sobie wymyślam, i za którą podążam każdym włóknem mego ciała. Mój „taniec na strychu" jest

świętym rytuałem, eskapadą duszy, tajemnicą, którą noszę głęboko w sobie i nie zamierzam nikomu wyjawić. Wiem już, że są dwa rodzaje rzeczywistości – jedna to świat marzeń i fantazji, a druga to ta nazywana prawdziwą. Jakiś czas temu jeszcze mieszałam je ze sobą i nie było dla mnie jasne, co jest czym. Teraz już w mym umyśle przebiega między nimi wyraźna linia demarkacyjna. Jednak w głębi serca mam nadzieję, że ten dawny okres powróci do mnie kiedyś, kiedy osiągnę mój cel i zostanę prawdziwą tancerką.

Tymczasem moje życie staje się coraz bardziej skomplikowane. We „właściwej" szkole dni mijają mi w słodko-gorzkim towarzystwie mojej gorącej miłości do Mendla Sznajdera, najlepszego ucznia. Wyraził mi kiedyś swoje uznanie, wylewając pełny kałamarz atramentu na moją głowę. Teraz nie mogę oderwać oczu od jego pociągłej twarzy, która – podobnie jak moja – obsypana jest pryszczami. Jednak pryszcze na twarzy dziewczyny wyglądają jakoś zupełnie inaczej niż na twarzy chłopca. Pryszcze na twarzy Mendla sprawiają, że wygląda bardziej męsko i pociągająco, zwłaszcza podczas lekcji rachunków, kiedy stoi z przodu klasy i udziela nauczycielowi Wilnerowi poprawnych odpowiedzi na pytania z arytmetyki. Niestety, Mendel Sznajder należy do Automedonii, a ja tymczasem staję się coraz brzydsza – przez pryszcze na mojej twarzy.

Podczas *Wiosennego Poranka* pod koniec roku szkolnego tańczę – mając szczęście do „latających" ról – rolę ptaka w *Szczęśliwym księciu* Oskara Wilda. Jak zwykle po takim przedstawieniu dzieci robią szum wokół mnie. Mendel Sznajder łamie surową regułę Automedonii, by nie rozmawiać z dziewczynkami, i dogania mnie na ulicy w drodze do domu. Nie mamy sobie nic do powiedzenia. To znaczy umieram z pragnienia, by pogawędzić z nim trochę, ale nie mam odwagi się odezwać. Wiem, że on uważa mnie za „słabą głowę". I rzeczywiście, kiedy Mendel raczy w końcu otworzyć usta, robi to, patrząc na mnie z góry.

– Całkiem ładnie skakałaś po scenie podczas *Wiosennego Poranka* – obdarza mnie niezręcznym komplementem.

Nie tylko Mendel Sznajder traktuje mnie z lekceważeniem. Wszyscy dobrzy uczniowie w klasie mają mnie za nic i wciąż jeszcze nazywają Księżniczką Co-Co. Chłopcy z Automedonii na mój widok wołają: „Zróbcie przejście, idą inteligentne nogi!".

Co się tyczy nauczycieli, to z pewnością mają powód do tego, by chwalić moje nogi bardziej niż moją głowę. Wciąż jeszcze oceniają mnie, porównując do Wierki, co już dawno zniszczyło we mnie ambicje, by wyróżniać się w nauce. Nawet wobec nauczyciela Wilnera żywię mieszane uczucia. Podczas lekcji rachunków trzęsę się jak osika. Zęby podzwaniają mi ze strachu, że wezwie mnie do tablicy. Jednak po lekcjach zaprasza mnie do swojej alkowy i gra na skrzypcach tylko dla mnie. Kiedy jest w dobrym nastroju, wygrywa muzykę baletową Czajkowskiego czy Rimskiego-Korsakowa i opowiada mi o przedstawieniach baletowych obejrzanych przez niego w młodości w mieście Petersburg, które dzisiaj nazywa się

Leningrad[298]. Wyczarowuje smyczkiem ze skrzypiec słodkie melodie, podczas gdy jego stęsknione spojrzenia wędrują po mojej twarzy, jakby jej nie widziały. Razem ze słodyczą muzyki chłonę tęsknotę, którą przepełnione są jego smutne oczy.

Nauczyciel Wilner przechodzi teraz etap samotnego życia w swojej alkowie przy szkolnym korytarzu. W tych dniach chodzi pod rękę z panią Zosią, nauczycielką polskiego. Żal mi bardzo pani Kremer, która zwykła razem z całą klasą wybuchać głośnym śmiechem, kiedy czytała nam na głos książkę *Motl, syn kantora*. Żadna nauczycielka nie biega już szkolnym korytarzem z garnkami i patelniami. Żal mi też pana Wilnera, gdyż ma chore płuca i chwyta się za piersi, kiedy kaszle.

Po drodze ze szkoły do domu po wizycie w alkowie pana Wilnera nie mogę przestać myśleć o miłości, „która jest silniejsza od wszystkiego". Miłość jest skomplikowaną sprawą. Chłopcy z Automedonii nie znoszą dziewczynek. Nauczyciel Wilner zakochuje się ciągle, a potem rozstaje się ze swoją ukochaną – a moi rodzice kłócą się czasami, chociaż się kochają. Kiedy wieczorami wracam sama do domu po próbie lub z kółka SKIF-u, z ciemnych bram wyskakują czasami niczym straszydła mroczne postacie mężczyzn z rozpiętymi spodniami i wołają za mną: „Chodź się kochać!". Niekiedy widuję też uliczne dziewczyny z ulicy Fajfera, jak „kochają się" z kimś pod murem. Poza tym jest też pan Kac, którego widok przyprawia mnie o mdłości. Dlaczego serce zamiera we mnie, kiedy go nagle spostrzegam? Jaka jest różnica między tym rodzajem miłości a miłością, która jest opisana w książkach, i o której śpiewają słodko skrzypce pana Wilnera?

*

Nastaje czas, gdy pan Wilner przestaje grać na swoich skrzypcach. Reb Sołowiejczyk, właściciel budynku, w którym znajduje się szkoła, ma dość dopominania się o zaległy czynsz, traci cierpliwość i zarządza eksmisję szkoły. W środku lekcji wchodzi do klasy grupa barczystych mężczyzn. Wyganiają nas z ławek i zabierają się do wynoszenia sprzętów. Nauczyciel Holcman, który uczy nas historii, biegnie za tragarzami i krzyczy, potrząsając pięściami za ich plecami. To samo robią nauczyciele i dzieci z innych klas. Pan Wilner zmaga się z silnymi, młodymi mężczyznami niczym lew i grozi im „konsekwencjami". Jednak nic to nie pomaga. Wszystkie klasy zostają opróżnione z ławek, stołów i szaf, a nauczyciele z dziećmi zostają spędzeni w dół na podwórko.

Nauczyciele zwołują uczniów. Rozsiadamy się wszyscy na bruku pośrodku brudnego podwórza i postanawiamy nie ruszyć się stamtąd, aż przyjdzie policja i zabierze nas siłą. Przyłącza się do nas wielu rodziców i działaczy szkolnych. Niektóre dzieci płaczą ze strachu, inne dlatego, że opanowało je nagle silne

[298] Dawny Petersburg dostał imię Leningrad w 1924 r., ale przez poprzedzające ten moment dziesięciolecie nosił imię Piotrogród. Rosjanie uważali, że Petersburg brzmi zbyt niemiecko.

uczucie przywiązania do szkoły. Nauczycielki ocierają łzy i wydmuchują nosy w chusteczki. Wowa Cederbojm przemawia do zgromadzonego tłumu swoim chropowatym, donośnym głosem.

– Zwracam się do was dzieci, które urodziłyście się w piwnicach i na poddaszach, które spałyście w skrzynkach po pomarańczach zamiast w kołyskach! – grzmi i ciska gromy na głowę właściciela budynku oraz wszystkich właścicieli świata.

Po nim przemawia do nas nauczyciel Wilner. W tej chwili nie boimy się go, lecz połykamy każde jego słowo. Nasze gardła są ściśnięte od łez. Czujemy się związani z nim tysiącami nici lojalności i oddania. Te dzieci, które siedzą blisko niego, gładzą nogawki jego spodni, by dodać mu sił i odwagi. Mówi, że nasza szkoła straciła jedynie ściany, jednak sama nie została zniszczona. Znajduje się tu, na podwórku, gdzie siedzimy wszyscy razem; jest jak rodzina, która utraciła dach nad głową, lecz nadal pozostaje wspólnotą.

Delegacja działaczy szkolnych z rozsierdzonym Wową Cedrebojmem na czele wyrusza do domu właściciela, by interweniować u niego po raz ostatni. Mija ładnych parę godzin. Zgromadzony na podwórku tłum śpiewa w tym czasie rewolucyjne pieśni i wysłuchuje płomiennych przemówień – aż do powrotu delegacji. I wydarza się cud. Pod groźbą gniewu żydowskich mas i żydowskiej prasy właściciel budynku zgadza się czekać na zapłacenie czynszu jeszcze parę miesięcy. Podwórko rozbrzmiewa radosnymi okrzykami. W zwycięskich nastrojach dzieci przyłączają się do dorosłych i pomagają wnosić ławki z powrotem do klas.

Przez parę dni współpraca między nauczycielami a dziećmi układa się harmonijnie, potem jednak powraca normalna szkolna atmosfera i rutyna. Uczniowie znowu wodzą nauczycieli za nosy i płatają im przeróżne figle. Również ja demonstruję początkowo gorliwość i oddanie dla szkoły, i także w moim przypadku nie trwa to długo. Coraz trudniej przychodzi mi usiedzieć spokojnie podczas długich godzin nauki. Jestem niespokojna i wciąż kręcę się i wiercę na szkolnej ławce. Dziwaczne pragnienia i fantazje ciągną moje serce w różne strony. Zaczynam przeszkadzać nauczycielom podczas lekcji, jakby wstąpił we mnie dybuk. Coś popycha mnie do tego, by stawiać nauczycielom najzuchwalsze i najdziwaczniejsze pytania, które powodują, że cała klasa wybucha dzikim śmiechem. Nauczyciele nie mają innego wyboru, jak wyrzucić mnie za drzwi. Nawet wspaniały nauczyciel Holcman, którego lekcje historii zapierają dech w piersiach, i w którym zakochane są po uszy wszystkie dziewczęta – ja sama też trochę się w nim podkochuję – nie ma innego wyboru, jak kazać mi opuścić klasę.

Na korytarzu szkolnym i na schodach kręcą się dzieci wydalone z klas przez nauczycieli, którzy nie mogli więcej wytrzymać ich zachowania. Najczęściej są to chłopcy i zazwyczaj znajduje się między nimi Gabi Cederbojm. W ciągu dnia szkolnego spędza on więcej czasu poza klasą niż w klasie. Gabi i jego starszy brat Herszko są najsłynniejszymi łobuzami w historii szkoły. Doprowadzają nauczycieli do białej gorączki. Ci dwaj pomysłowi nicponie wspinają się czasami na

dach czteropiętrowego budynku, w którym znajduje się szkoła, i rozsiadają się na samej krawędzi dachu z nogami spuszczonymi w dół, w stronę podwórza. Na ten widok nauczycielom krew zastyga w żyłach. Przez otwarte okna błagają ze łzami w oczach tych dwóch rozbójników, żeby zaniechali tej niebezpiecznej zabawy.

Na schodach przed drzwiami szkoły wyrzuceni z klas spędzają wspólnie czas. Reguły Automedonii tu nie obowiązują. Między tymi chłopcami i dziewczętami panuje przyjaźń, ponieważ wszyscy razem należą do szczególnej kasty bohaterów i rewolucjonistów – do tych, którzy nie poddają się żadnej dyscyplinie i nie uznają żadnego autorytetu, przynajmniej podczas godzin spędzanych w szkole. Tutaj ja i Gabi jesteśmy w jak najlepszych stosunkach.

Kiedy Gabi widzi, jak wychodzę na schody, przełykając łzy wstydu, przyskakuje do mnie i gestem starszego brata kładzie rękę na moim ramieniu.

– Ninon, ach uśmiechnij się[299] – nuci swoim przechodzącym mutację głosem słowa popularnej piosenki. – Chcesz bawić się w skakanego[300]? – pyta mnie.

Bawimy się skakanego, to znaczy w berka, skacząc na jednej nodze. Gdy skaczę, razem ze mną podskakuje luźna wstążka z tafty na mojej głowie i udręka w moim sercu.

*

W szóstej klasie szkolne życie dostarcza mi więcej powodów do zadowolenia. Pod koniec roku szkolnego moja klasa jedzie na wycieczkę do miasta Krakowa. Wyjazd organizuje nauczyciel gimnastyki Chaskiel Sportowiec, jak go nazywamy. Uważa mnie on za najjaśniejszą gwiazdę w szkole, za co odwdzięczam mu się, podkochując się w nim trochę. Gimnastyka jest najmniej respektowanym przedmiotem, gdyż akcent kładziony jest na ćwiczenie umysłu. Skutkiem tego uczniowie mają dużo mniej szacunku dla Chaskiela Sportowca niż dla innych nauczycieli i traktują go jak równego sobie. On jednak pogodził się ze swoim losem i z jego twarzy rzadko schodzi delikatny uśmiech, którego nikt nie rozumie tak dobrze jak ja.

Chaskiel Sportowiec wędruje niestrudzenie z naszą klasą po Krakowie, zapierającym dech w piersi mieście, gdzie kroczy się w istocie „śladami polskiej historii". Jednego dnia przyłącza się do naszej wycieczki krakowski skifista, Lolek Śpiewak. Robi to dla własnej przyjemności i wagaruje ze szkoły, żeby służyć nam za przewodnika. Chodzi już do pierwszej klasy gimnazjum i potrafi czytać łacińskie napisy na pomnikach. Inteligentni chłopcy mają zwyczaj rozpalać romantyczne płomyki w moim sercu. Tęga głowa jest moim zdaniem dowodem dojrzałości

---

[299] „Ninon, ach uśmiechnij się / Urok twoich ust oczarował mnie" – słowa znanej w latach 30. piosenki napisanej przez Marcelinę Halicz do muzyki Bronisława Kapera i Waltera Jurmanna.

[300] Hopser – berek skakany.

i męskości. Jestem gotowa zakochać się w każdym chłopcu, który wie trochę więcej ode mnie. Dlatego też – chociaż głęboko w sercu jestem zakochana w paru nauczycielach, a zwłaszcza w Mendlu Sznajderze – zakochuję się po uszy w Lolku Śpiewaku. On odwzajemnia moje uczucia i podczas maszerowania po mieście rzadko oddalamy się od siebie. Z podziwem przysłuchuję się jego tłumaczeniom z łaciny. Dzięki Lolkowi pomniki nabierają dla mnie podwójnej wartości.

Jak zwykle, kiedy widzę coś pięknego, co cieszy moje oczy, pragnę mieć to dla siebie. Kiedy zwiedzamy muzeum sztuki, każdy obraz, który mi się podoba, wzbudza we mnie chęć posiadania go na wyłączną własność w moim domu. Jednak impuls, by coś sobie przywłaszczyć, znajduje się już pod silną kontrolą mojego sumienia. Lolek Śpiewak stoi obok mnie. Najwyraźniej nie przeszkadzają mu pryszcze na mojej twarzy. Zamiast nich zauważa łzy napływające mi do oczu z zachwytu dla piękna rzeczy, na które patrzę. Lolek przypisuje jednak moje łzy głębokiemu poruszeniu z powodu zbliżającego się rozstania. Obiecuje napisać do mnie list i prosi, żebym zrobiła to samo. Cieszę się, że od teraz będę mogła pisać prawdziwe listy na prawdziwy adres – a nie „śmieci", którymi zwykłam zapełniać skrzynkę pocztową, kiedy byłam mała.

Moja korespondencja z Lolkiem Śpiewakiem ogranicza się do wymiany nie więcej niż dwóch bardzo emocjonalnych listów. Dzielimy się w nich wspomnieniami o wszystkich miejscach, które zwiedziliśmy razem w Krakowie. I na tym też kończy się nasza miłosna historia.

Gdy wracamy do Łodzi, nasza szkoła wchodzi w stadium gorączkowych przygotowań do nowego *Wiosennego Poranka* w sali filharmonii. Tym razem zostaje mi przydzielona rola Kopciuszka, która jest jak dla mnie skrojona, ponieważ sama czuję się niczym Kopciuszek. Ludzie patrzą na mnie z góry. Dziewczyny z klasy zazdroszczą mi, że jestem wybierana do ważnych tanecznych ról i naśmiewają się ze mnie, a chłopcy drwią z moich „inteligentnych" nóg. Nic więc dziwnego, że odgrywam tę rolę całym sercem i duszą, zwłaszcza przemianę Kopciuszka w księżniczkę. Bez względu bowiem na moje poczucie niższości, w głębi serca wciąż czuję się jak księżniczka i żyję nadzieją, że moja godzina jeszcze wybije.

Po przedstawieniu podchodzi do mnie nauczyciel Wilner. Chwyta mnie w ramiona i wiruje ze mną wkoło jak karuzela, tak szybko, że aż kręci mi się w głowie.

– Miriam! – woła i całuje mnie w grzywkę. – Tańczyłaś jak anioł!

W noc po przedstawieniu nie mogę zasnąć. Głos nauczyciela Wilnera rozbrzmiewa echem w mojej głowie. „Tańczyłaś jak anioł!". Moja dusza kąpie się w morzu czułości, jak gdyby tysiąc dłoni gładziło mnie po głowie, po całym ciele aż do czubków palców. Chcę znowu i znowu tańczyć jak anioł. Życzę sobie, żeby moje ciało było tak melodyjne, jak skrzypce pana Wilnera, żeby stało się czystą tęsknotą, czystym pięknem i miłością. Miłość! Jestem zauroczona tą magiczną siłą, zupełnie opanowana i opętana pasją bez obiektu, przesiąknięta niczym gąbka oczekiwaniem na pojawienie się „jego". Rzucam się na przeróżne książki

na tenże temat. Czytam o Peleasie i Melisandzie[301], o Romeo i Julii, rozczytuję się w *Cierpieniach młodego Wertera*.

Ogarnia mnie smutek i melancholia, a w moich oczach często pojawiają się zupełnie bez powodu łzy.

Jestem chuda jak patyk i blada jak trup. Mama zaczyna poważnie martwić się o mnie. Sto razy dziennie przykłada dłoń do mojego czoła i biega ze mną do ambulatorium, żeby zbadał mnie lekarz. Karmi mnie tłustymi posiłkami i wielkimi kawałkami ciasta.

– Tuczysz mnie, jakbym była gęsią przeznaczoną na zarżnięcie! – buntuję się.

Na nowo wybucha między mną a mamą wojna o jedzenie. Mama zaczyna mi grozić, że będę musiała zrezygnować ze szkoły tańca. Ja przysięgam, że zemszczę się, uciekając z domu i nikt nie będzie mógł mnie znaleźć. Tata sprzecza się często z mamą z powodu naszych kłótni, aż w końcu wybierają się po radę do nauczyciela Wilnera. Pan Wilner wyjaśnia im, że staję się właśnie młodą kobietą, a moja choroba jest oznaką zdrowia.

– To dlaczego Wierka nie przeszła takiej dziwacznej fazy, kiedy była w wieku Miriam? – dopytuje się mama.

Nie ma zaufania do diagnozy pana Wilnera. Bo w końcu co mężczyzna może wiedzieć o takich sprawach? Do tego jeszcze taki, który nigdy nie był ojcem, nie wspominając już o byciu matką – jakże więc może on zrozumieć, co czuje matczyne serce?

Nienawidzę pryszczy, które mnożą się na mojej twarzy. Nie mogę patrzeć na swoje odbicie w lustrze. Kiedy tylko jakiś nauczyciel rzuca na mnie choćby przelotne spojrzenie, robię się czerwona jak burak. Absolutnie nie potrafię pogodzić się z faktem, że ja, której ideałem jest ukształtowanie mojego ciała aż do perfekcji i przemienienie go w czyste piękno, jestem tak odpychająco szpetna, brzydsza niż brzydkie kaczątko. Domowe sposoby mamy, którymi próbuje wyleczyć moją cerę, na niewiele się zdają. Mojej rozpaczy nie koją też lekcje higieny w szkole, które prowadzone są osobno dla dziewcząt i chłopców.

Kurs higieny dla dziewcząt prowadzi młoda, piękna pani Zosia, która jest nauczycielką polskiego. Informuje nas o wszystkich rzeczach, które powinna wiedzieć młoda kobieta, oraz o przyjemnościach i nieprzyjemnościach, jakie nas czekają. Do przyjemności zalicza też „piękno fizycznej miłości, która idzie ręka w rękę z miłością duchową". Referuje ten delikatny temat z samokontrolą aktorki, a jednak nie jest w stanie ukryć swojego skrępowania. Same dziewczęta siedzą na brzegach ławek, o mało co nie spadając z nich z napięcia i ciekawości.

Mnie zaczyna przewracać się żołądek. W wyobraźni widzę mroczne postacie mężczyzn ukrywających się w kątach bałuckich bram, którzy stoją z opuszczonymi

---

[301] *Peleas i Melisanda* – dramat Maurice'a Maeterlincka pełen smutku i melancholii, który był inspiracją wielu utworów muzycznych, m.in. opery Claude'a Debussy'ego.

spodniami i wołają za mną. Najwyraźniej jednak widzę przed oczami pana Kaca. Jak nauczycielka może mówić o „pięknie fizycznej miłości, która idzie ręka w rękę z miłością duchową"? Jakim sposobem to, co czyste, podniosłe i duchowe, może iść ręka w rękę z taką straszną obrzydliwością? Jednak z drugiej strony myślę o cudzie, jakim jest pocałunek dwojga zakochanych, który jest przecież zarówno fizyczny, jak i duchowy. Nie mam odwagi stawiać tych pytań nauczycielce, by nie wprawić ją w jeszcze większe zakłopotanie. Nie pytam więc o nic, ale po lekcji biegnę do biblioteki i rzucam się na książki, zaczynając od tytułu *Chłopiec i dziewczyna*, a kończąc na pozycji *Doskonałe małżeństwo*, z której mało co rozumiem.

Wierce nie ośmielam się pisnąć ani słowa o moich poszukiwaniach, żeby nie zdradzić się z moją niewiedzą. Rozmowa z mamą na ten temat jest absolutnie niemożliwa, ponieważ ostatnio dochodzi między nami do ciągłych nieporozumień. W ogóle nie mogę się z nią dogadać i ignoruję ją po prostu, chociaż nigdy nie potrzebowałam jej tak bardzo, jak w tym okresie mojego życia. Podobnie w ogóle nie wchodzi w rachubę poruszenie tego tematu w rozmowie z Sorką Fidler, która siedzi obok mnie na kursie higieny.

Oficjalnie Sorka jest wciąż moją najlepszą przyjaciółką, ale nigdy nie zwierzamy się jedna drugiej. Sorka nie jest rozmowna. Jest zamknięta w sobie i niezależna. Jej ojciec, Zalman Fidler, oraz jej macocha, pani Hanka, dają jej dużo więcej wolności niż moja mama mnie czy nawet Wierce. Sorka posiada parę łyżew i chodzi pływać do polskiego klubu sportowego „Imka"[302]. Potrafi też jeździć na rowerze.

Moja mama odmawia kupienia mi nawet jednej łyżwy, choć wiele innych dzieci je posiada.

– Kiedy znajdziesz na to czas? – argumentuje.

Mama nie może mi zamydlić oczu takim argumentem. Jest dla mnie jasne jak słońce, iż boi się, że złamię nogę. Kiedy chodzi o kwestie bezpieczeństwa dzieci, jest strasznym tchórzem i chociaż nie mamy łyżew, martwi się, że możemy sobie, nie daj Boże, coś złamać, albo że przejedzie nas dorożka lub napadną nas szajgece. Oddycha z ulgą, kiedy widzi, że wchodzimy do domu cali i zdrowi. Gdy ma nas wszystkich przy sobie pod koniec dnia, może zacząć martwić się o bezpieczeństwo taty. Dopiero kiedy on też jest w domu, odpręża się – aż do świtu następnego dnia, kiedy znowu zaczyna się zamartwiać. Staje się pod tym względem coraz gorsza, jak gdyby jakieś niezrozumiałe przeczucie dręczyło jej serce i nie sposób jej tego wyperswadować. Ta cecha mamy działa mi bardzo na nerwy.

---

[302] Związek Młodzieży Chrześcijańskiej „Polska YMCA" powstał w 1923 r. Początkowo w Łodzi działał przy Piotrkowskiej 243, a od połowy lat 30. w nowym budynku przy ul. Moniuszki 4a, tam była też pierwsza w Łodzi kryta pływalnia.

Mama obiecuje nam solennie jedną rzecz: jak tylko uda się jej i tacie zaoszczędzić sto złotych, zgodzi się na zakup radia, jednak pod warunkiem, że przestanę być taką złą uczennicą. Cała rodzina przejmuje się moimi słabymi wynikami w szkole, nawet Noniek, który jest najlepszym uczniem drugiej klasy. Tylko tata pociesza ich wszystkich i mówi:

– Ale Miriam będzie za to wielką tancerką! – Mama patrzy na niego sceptycznie i potrząsa głową. – Tak, u niej iskra boża znajduje się w nogach.

Kiedy Sorka Fidler przychodzi do mnie do domu, mama żali się przed nią, że nie chcę odrabiać lekcji. Sorka przyznaje jej rację i też gniewa się na mnie z powodu mojego skandalicznego zachowania w klasie. Ona sama nigdy nie zachowuje się źle w szkole. Jest stateczną, pilną uczennicą, i dybuk wstępuje w nią dopiero po lekcjach. Jak więc mogę otworzyć przed nią serce?

Moje czoło robi się chropawe jak tarka. Nie mogę dłużej wytrzymać i mówię sobie: „Nie jestem już smarkata" – po czym ruszam sama do doktora.

Po raz pierwszy w życiu idę sama do ambulatorium kasy chorych. Poczekalnia jest pełna chorych, jęczących i stękających dorosłych oraz dzieci. Skądś dobiega odgłos borującego aparatu dentystycznego, przyczyniając się swoim brzęczeniem do ogólnego zgiełku. Czekam długie godziny, zanim zostaję wpuszczona do gabinetu lekarskiego. Doktor, chudy i blady mężczyzna w białym fartuchu, wygląda jak ksiądz, albo raczej jak chodzący i mówiący trup księdza. Na łysej głowie ma metalową obręcz z przymocowanym na przodzie lusterkiem, przypominającą tonsurę.

– Co cię boli? – pyta. Nawet na mnie nie spojrzy, tylko zapisuje coś w pliku papierów leżących na biurku.

– Nic – odpowiadam, usiłując powstrzymać walenie serca. – Przyszłam z powodu pryszczy.

– Jakich pryszczy?

– Mam pryszcze.

– Gdzie? – Wciąż ze wzrokiem utkwionym w papierach rozkazuje: – Rozbierz się!

Z determinacją samobójcy przezwyciężam wstydliwość i zmuszam zdrętwiałe palce, by wpełzły pod guziki sukienki i rozpięły ją. Doktor odrywa w końcu wzrok od stosu papierów, wstaje od stołu i przygląda mi się, nakazując mi obrócić się w jedną i drugą stronę.

– Nie widzę żadnych pryszczy – mówi.

– Na twarzy – wyjąkuję bez tchu.

Rzuca pierwsze i jedyne spojrzenie na moją twarz, po czym zaczyna krzyczeć niczym gniewny prorok, wymachując ręką z wyciągniętym wskazującym palcem, jakby gotów był mnie nią zabić.

– Wynoś się! – Kipi ze złości. – Jak śmiesz przychodzić do mnie z takimi idiotyzmami? Widziałaś tłum na zewnątrz w poczekalni czy jesteś ślepa? Wynoś się stąd! Wynocha, w tej chwili!

Nie mogę wynieść się w tej chwili. Muszę się przedtem ubrać. Trzęsącymi się rękami wciągam na siebie sukienkę na odwrotną stronę. Nie będąc w stanie dosięgnąć guzików znajdujących się teraz z tyłu, wkładam płaszcz na niezapiętą sukienkę i wybiegam na zewnątrz. W drodze powrotnej płaczę tak spazmatycznie, że o mało co mijam bramę mojej kamienicy. Nie mam jednak odwagi wejść do mieszkania i chociaż tęsknię za tym, by wpaść w ramiona mamy, wędruję bez celu ulicami Bałut, czekając, aż obeschną mi łzy.

Na szczęście zbliża się lato. Wierka i ja przygotowujemy się do wyjazdu na letni obóz SKIF-u. Mamie nie przychodzi łatwo pozwolić nam pojechać, ale wstydzi się przedstawić swoje zastrzeżenia innym rodzicom. Tata za to jest zdania, że Wierka i ja musimy nauczyć się żyć w kolektywie i uważać na siebie. Twierdzi, iż byłoby wielką stratą, gdyby dzieci wyrosły, nie poznawszy smaku życia na obozie SKIF-u.

Obóz nosi nazwę Socjalistyczna Republika Dziecięca i w tym roku ma miejsce w Tatrach, niedaleko Zakopanego. Krajobraz tamtych okolic oczarowuje mnie swym pięknem. Po raz pierwszy w życiu widzę prawdziwe góry – i to jakie! Pokryte śniegiem giganty sięgają swoimi szczytami aż do nieba. Na obozie nie brakuje zajęć i obozowicze robią wszystko wspólnie w świątecznym nastroju i szalonym chaosie, tak, jak powinno się to odbywać w kolektywie. Codziennie zjadamy miskę kaszy gryczanej z mlekiem, która przyjemnym ciepłem napełnia nasze żołądki. Chodzimy razem na wycieczki na szczyty gór i do górskich jezior o lustrzanych taflach, przeskakujemy kipiące, górskie strumienie, skacząc po wystających z nich kamieniach. Wieczorami śpiewamy wspólnie wokół obozowego ogniska i skręcamy się ze śmiechu, słuchając audycji „radia", która składa się z lektury naszej własnej, codziennej gazety. „Spiker" odczytuje ją przez fajerkę przymocowaną do miotły, co ma stworzyć iluzję mikrofonu. W „radio" Wierka wyśpiewuje często napisane przez siebie komiczne parodie obozowego życia. Nieraz wykorzystuje w swoich rymach moje zabawne pomysły i z dumą informuje słuchaczy o moim wkładzie.

Na obozie wysłuchujemy też wielu referatów o polityce oraz o wszystkich aspektach bundowskiej ideologii, ale najwięcej o wydarzeniach w Hiszpanii. Jednak myśl o wojnie i braterskiej walce pozostaje w takim kontraście do otaczającego mnie spokojem i pięknem krajobrazu, że nie znajduje we mnie żadnego oddźwięku.

W nocy śpimy w namiotach, chłopcy osobno i dziewczęta osobno. Co noc dwoje obozowiczów – chłopak i dziewczyna – stoją na warcie. Pary te zmieniają się co dwie godziny. Podczas tych romantycznych nocnych wart w cieniu gigantycznych gór i pod roziskrzonym gwiazdami niebem rozpalają się pierwsze letnie miłości, które gasną, jeszcze zanim kończy się obóz.

Mama z Nońkiem są w Stefanowie i mieszkają w pokoju, który rodzice wynajmują razem z Cederbojmami. Kiedy miesiąc na obozie SKIF-u mija, Wierka i ja wyjeżdżamy do Stefanowa razem z Gabim i Malką Cederbojmami. Ich starszy

brat, Herszko, jest jeszcze na obozie organizacji młodzieżowej Cukunft[303]. Życie w Stefanowie upływa nam podobnie jak na obozie SKIF-u, z tą różnicą, że tutaj komendantami są mamy i panuje tu łagodna dyktatura.

Wszystko w Stefanowie wygląda tak samo jak w minionych latach, a jednak nic nie jest takie jak dawniej. Wykonuję moje taneczne ćwiczenia w stodole i biegam polnymi ścieżkami, by utrzymać mięśnie w formie. Nigdy nie wchodzę samotnie do lasu i jedynie z oddali spoglądam tęsknie w jego stronę. Żałuję, że nie mogę odprawić mojego świętego rytuału „tańca na strychu" między drzewami w lesie. W wyobraźni widzę za każdym drzewem chwiejące się cienie obcych mężczyzn. Jestem bardzo zadowolona z tego, że rodzina Kaców tak się dorobiła, iż tego lata nie pojawiła się w Stefanowie, lecz wynajęła mieszkanie w luksusowym uzdrowisku Czarniecka Góra.

Ani Wierka, ani ja nie należymy już do band rozkrzyczanych, hałaśliwych dzieci, które biegają wkoło, zaabsorbowane swoimi ważnymi grami i zabawami. Obie flirtujemy w żartach z chłopcami w naszym wieku. Wierka jest już zapisana do gimnazjum i chłopak, z którym spędza stale czas, jest gimnazjalistą.

Tak samo jak w poprzednich latach w każdy piątek tłum matek i dzieci rusza do stacji kolejowej, by czekać na ojców. Mama i my idziemy razem z nimi, chociaż nasz tata nie pojawia się. Przyjeżdża do nas tylko raz, pod koniec lata, w poniedziałek, który jest jego wolnym dniem. Cederbojmowie pojechali już z powrotem do miasta, lecz Binele chciała jeszcze trochę dłużej korzystać razem z nami, dziećmi, z wiejskich przyjemności.

Następnej nocy po wyjeździe taty rozpętuje się burza. Błyskawice i gromy następują po sobie bez przerwy. Ziemia drży, jak gdyby wyrzucała ze swojej głębi ogromne, ogniste kamienie i rozdzierała nimi niebo. Przestraszone psy zawodzą. Konie rżą z przerażenia. Binele bierze nas, wszystkie troje dzieci, do swojego łóżka. Przez szybę w drzwiach oddzielających nasz pokój od izby, w której mieszkają chłopi, można zobaczyć w świetle zapalonej lampy naftowej, jak cała chłopska rodzina klęczy w białych, barchanowych nocnych ubraniach i żegna się żarliwie z głowami uniesionymi do wiszących na ścianie krzyża oraz obrazu Matki Boskiej z Jezusem na rękach. Binele dzwoni zębami i za każdym razem, gdy błyskawica rozświetla pokój, obejmuje nas ramionami i przyciska do piersi.

Noniek odzywa się do niej szeptem:

– Mamo, gdybyśmy wierzyli w Boga, tak jak wierzą chłopi, nie balibyśmy się tak, prawda?

Binele jest zbyt przestraszona, by zaczynać teraz teologiczną rozmowę, uspokaja go więc krótko:

---

[303] Cukunft – Jungt-Bund Cukunft, czyli Związek Młodych „Przyszłość" – założona w 1913 r. najważniejsza bundowska organizacja młodzieżowa w międzywojennej Polsce.

– Nawet, jeśli nie wierzy się w Boga, nie ma się czego bać. – Jednak jej twarz zdradza, że serce jej drży. W głębi duszy uważa się za prorokinię, która boi się, że jej proroctwa się sprawdzą.

*

Kiedy tylko wracamy ze Stefanowa, ruszamy całą rodziną do publicznej łaźni, by wziąć kąpiel i wreszcie oczyścić się jak należy. Na obozie SKIF-u czy w Stefanowie myliśmy się zimną wodą przy pompie, co zdaniem Binele nie jest żadnym myciem się, lecz jedynie rozmazywaniem brudu po ciele. Jankew i Noniek wchodzą do męskiej części łaźni, a Binele z nami, córkami, wchodzi do części dla kobiet. Nad wanną, do której wchodzi z nami mama, znajduje się prysznic. Stanie pod prysznicem jest dla mnie i Wierki nowym, wspaniałym przeżyciem. Chichoczemy bezustannie pod pryskającym wodnym parasolem, czując, jak płynące szybko strumienie wody obejmują, gładzą i opłukują nasze ciała.

Binele jest w znakomitym nastroju. Cała zaróżowiona od gorącej wody i pary, namydla nas energicznie. Opowiada nam o czasach, kiedy jako młoda dziewczyna, dopiero co przybywszy z Bocianów, zwykła chodzić do tej samej łaźni, by wziąć kąpiel. Przysłuchuję się jej i próbuję wyobrazić sobie, jak zachowywała się, będąc dziewczyną, a nie mamą. Jednocześnie czuję każdym porem mojej skóry miękkość jej śliskiej dłoni. Jej dotyk budzi we mnie tęsknotę za łagodnymi wodami jakiegoś dalekiego, wszystko obejmującego morza.

Kiedy niczym nimfa wynurzam się z wanny i wstaję, równocześnie z mamą zauważam cienką, czerwoną strużkę spływającą spomiędzy moich nóg. Binele otwiera szeroko oczy. Na jej twarzy pojawia się grymas, który przemienia się szybko w szeroki uśmiech.

– *Mazl-tow! In a mazldiker szo*[304], córeczko – szepcze i klepie mnie lekko po policzku, jak to jest w zwyczaju[305]. Puszcza oko do Wierki.

Wierka odzywa się do mnie przyjaźnie:

– Witaj w klubie! Powiedzenie: „We krwi twojej żyj"[306] z pewnością dotyczy wyłącznie kobiet.

Robi mi się równocześnie gorąco i zimno. Bardzo chcę przytulić się do mamy, poczuć dotyk i pieszczotę jej rąk. Powstrzymuje mnie jednak myśl o klepnięciu

---

[304] *Mazl-tow* – (dosł. dobre szczęście) gratulacje, życzenia szczęścia, często łączone z: *in a mazldiker szo* (dosł. w szczęśliwą godzinę) – życzenia powodzenia, szczęścia.

[305] Zwyczaj związany z pierwszą miesiączką – dziewczynka zostaje wtedy lekko uderzona w policzek przez matkę, aby odgonić złe duchy – nadal funkcjonuje w niektórych środowiskach.

[306] Nawiązanie do słów: „Przechodziłem wtedy mimo ciebie, i ujrzałem cię broczącą we krwi twojej. I rzekłem do ciebie: we krwi twojej żyj! tak, rzekłem do ciebie: we krwi twojej żyj!" (Księga Ezechiela, 16:6, tł. Izaaka Cylkowa).

w policzek, które oznacza: teraz stoisz na własnych nogach, jesteś kobietą. Wiem, że powinnam być zadowolona i wesoła, jednak wszystko, co czuję, to pragnienie, by mama mnie przytuliła i zapewniła, iż w gruncie rzeczy nic się nie stało, i że wszystko w moim życiu będzie toczyło się dalej tak, jak do tej pory.

*

Jestem w siódmej klasie i moja rodzina znowu jest bogata. Tata zarabia dobrze i razem z mamą odłożyli już w blaszanej tabakierce siedemdziesiąt złotych. Wierce też świetnie się powodzi. Daje prywatne lekcje słabym uczniom i z zarobionych pieniędzy nie tylko opłaca swoje czesne w gimnazjum, lecz także dokłada się do rodzinnych oszczędności. Wierka jest znakomitą gimnazjalistką, a na dodatek pięknością. Wciąż jest trochę zaokrąglona, lecz przy tym dobrze zbudowana i wysoka, a jej długie, brązowe warkocze skręcają się na końcach w „pierścionki". Paraduje w swoim gimnazjalnym mundurku, z dumą pokazując się z niebieską „tarczą" z emblematem jej gimnazjum. Wygląda niczym piękny generał.

Nie jestem już tak zazdrosna o Wierkę jak kiedyś. Podobnie jak ona, zaczynam zarabiać pieniądze. Jestem wyróżniającą się uczennicą w szkole tańca i po lekcjach pomagam *madame* Felicji trenować nowe, młodsze uczennice. Dostaję dwadzieścia pięć groszy za godzinę i oszczędzam pieniądze na nową sukienkę, chociaż zdaniem mamy ubrania, z których wyrosła Wierka, bardzo dobrze na mnie pasują i pasowałyby jeszcze lepiej, gdybym więcej jadła. Mama uważa również, że zamiast spędzać dodatkowe godziny w szkole tańca, powinnam raczej wcześniej wracać do domu i koncentrować się na odrabianiu prac domowych z „właściwej" szkoły – i do diabła z moimi zarobkami.

Moja rodzina nie posiada radia, a mnie nigdy nie było dane pójść na koncert. Jedyne dźwięki muzyki, jakie znam, pochodzą ze skrzypiec nauczyciela Wilnera oraz pianina, na którym w szkole tańca grywa starsza dama, pianistka. Mimo to jestem we wspaniałym nastroju, gdyż wszędzie wokół mnie rozbrzmiewa muzyka – muzyka, która towarzyszy mi cały czas i coraz bardziej staje się częścią mnie samej.

I właśnie wtedy, gdy moje serce pełne jest muzyki, dowiaduję się, że Anton Cimerman wyjeżdża do Hiszpanii, by dołączyć do międzynarodowej brygady[307]. Wiadomość ta powoduje pęknięcie w strukturze harmonijnej równowagi, którą udało mi się osiągnąć. Parę dni przed moim ukończeniem szkoły im. Medema, Anton Cimerman przychodzi do nas do domu, by się pożegnać. Wierka i ja jesteśmy tak pełne podziwu dla jego odwagi i czujemy do niego tak ogromny respekt, że z onieśmielenia prawie nie otwieramy ust. W sercu jednak myślę sobie, że

[307] Hiszpańska wojna domowa toczyła się w latach 1936-1939.

nawet najsilniejsi, najbardziej pewni siebie ludzie mają swoją piętę Achillesa i mogą zostać śmiertelnie zranieni. Jestem pewna, że Cimerman jedzie bić się za wolną Hiszpanię, by tam umrzeć.

Sam Cimerman jest wesoły i rozmowny. Żartuje, kiedy obejmuje nas wszystkich na pożegnanie. Binele uśmiecha się ze łzami w oczach. Być może też myśli, że wola walki z faszyzmem nie jest jedynym powodem jego wyjazdu. Wyczuwam, że w tej komedii, którą mama i Cimerman odgrywają przed naszymi dziecięcymi oczami, kryje się dramat, a może nawet tragedia.

Jest dzień ukończenia szkoły. Z tej uroczystej okazji mam na sobie nową sukienkę, uszytą na miarę według moich własnych życzeń. Jest to moja pierwsza własna sukienka, której nikt inny przede mną nie nosił. Uszyta jest z jasnoszarego, miękkiego materiału z deseniem w białe gwiazdki, ma biały, odpinany kołnierz i białe mankiety. W przeciwieństwie do Wierki, która z okazji swojego ukończenia szkoły otrzymała wyróżnienie, nie dostaję żadnej nagrody. Nagrodzony zostaje za to Mendel Sznajder, moja pierwsza miłość. Jednak podczas tej samej ceremonii spotyka mnie innego rodzaju przyjemna niespodzianka.

Pod koniec uroczystości ktoś wbiega do sali i przepycha się pospiesznie do nauczyciela Wilnera, żeby mu coś wyszeptać na ucho. Pan Wilner stoi przez chwilę zszokowany, po czym, bardzo przejęty, przekazuje zebranym rodzicom i gościom tragiczną wiadomość. Jak go właśnie poinformowano: wspaniały człowiek, utalentowany i godzien uznania towarzysz, prawdziwy i wzorowy socjalista, ojciec trojga uczniów szkoły Medema, drogi towarzysz Kac, zmarł nagle na atak serca. Jego życie zostało przecięte, przerwane, gdy był w drodze na naszą uroczystość zakończenia roku szkolnego, na którą szedł ze swoją żoną i dziećmi. Pan Wilner prosi zgromadzonych, by powstali z miejsc i uczcili pamięć towarzysza Kaca minutą ciszy.

Zgromadzeni wstają, ciszy jednak nie zachowują. Powstaje poruszenie, słychać spazmatyczne szlochanie. Ze wszystkich stron rozlegają się jęki i wzdychania. Twarz Binele robi się szara jak popiół, jej usta drżą. Jankew wygląda jak zagubiony, mały chłopiec. Ktoś proponuje, by przerwać uroczystość, ale pan Wilner oświadcza zdecydowanie:

– W żadnym razie! – I jakby nic się nie stało, uroczystość zostaje doprowadzona do końca.

Moje serce bije gorączkowo, a jednocześnie czuję się lekka jak piórko, które lada chwila uniesie się w powietrze i poszybuje gdzieś wysoko. Nie odczuwam najmniejszego ciężaru. Nareszcie nie ma żadnego śladu po tym, co miało miejsce między mną a panem Kacem. Między nami nigdy nic się nie wydarzyło. Jestem wyzwolona, wolna, nowo narodzona. „Dziękuję! Dziękuję ci!" – zwracam się w sercu do postaci pana Kaca, gdy – jak wierzę – po raz ostatni pojawia się w mojej pamięci. Jest to najszczęśliwszy dzień w moim życiu.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Miriam leżała na łóżku w lazarecie pogrążona w obrazach z przeszłości, kiedy doktor Vanderhaeghe wszedł do jej pokoiku tak szybkim krokiem, iż stetoskop wiszący na jego szyi kołysał się gwałtownie. Pod ramieniem trzymał blok papieru do pisania. Serce w piersi Miriam podskoczyło radośnie.

– Zamierza pan wypisać mnie ze szpitala, prawda, doktorze? – zawołała. Tu, w lazarecie, nie mogła się przemóc, by mówić do niego na ty.

Usiadł na brzegu jej pryczy.

– Najpierw spójrzmy na twoją nogę – odpowiedział i z kieszeni swojego białego fartucha wyjął pudełko z igłami. Kazał jej podciągnąć pasiak, podniósł jej stopę i położył na swoich kolanach. – Wciąż jeszcze odrętwiała? – zapytał.

– Nie – skłamała. Krępowało ją, że jej stopa leżała na jego kolanach.

– Jak to? – Spojrzał na nią badawczo. – Czujesz, jak cię kłuję?

– Tak, to znaczy czuję, ale nie za mocno. – Zaskoczyła go. Nalegał, by dokładnie opisała, co odczuwa, kiedy nakłuwał różne miejsca i zakreślał pozbawione czucia miejsca niebieską kredką. Potem zbadał ją, przesuwając stetoskop po jej plecach. Długo przysłuchiwał się biciu jej serca. Nie był zadowolony. Mogła to wyczytać z jego skrzywionej twarzy, wydętych ust i z oczu, które były tak zmrużone, że za grubymi szkłami okularów widziała tylko dwie wąskie szczeliny.

– Zyskaliśmy pół centymetra – powiedział, wskazując na jej nogę.

– Wspaniale.

– Oczywiście, że wspaniale – powiedział z wyrzutem w głosie, jakby to ona była winna temu, że postęp był tak niewielki. – Po tym wszystkim, co przeżyłaś, możesz się śmiać z takich błahostek. Zdaje mi się, że nie masz dość silnej woli, by wyzdrowieć.

– Co to ma znaczyć, doktorze?

Zdawał się zapomnieć o intymności chwil, które spędzili razem przy oglądaniu sztucznych ogni. Nie reagował na to, że zwraca się do niego na pan.

– To, przez co przeszłaś w kacecie, hamuje cię.

– Skąd pan wie, przez co przeszłam w kacecie? – Zirytowała się. – Pan przecież nigdy tam nie był.

– Ja nie, ale moja matka była.

– No to co? Czy przez to jest pan mądrzejszy?

– Czy uważasz, że utrata matki sprawia mi mniej bólu, niż strata twojej sprawia tobie?

– Nie wie pan, o czym pan mówi, doktorze. Straciłam moją matkę razem z całym światem!

– Kiedy traci się matkę, traci się cały świat.

– Dobrze pan wie, o jakim świecie mówię.

Pokiwał głową, jak gdyby przyznawał rację jej niemądrym słowom. Był tak samo zirytowany jak ona i to nie było dobre. On jest lekarzem. Powinien mieć stalowe nerwy i dawać jej wsparcie, uspokajać. Jednak ostatnio nie zachowuje się jak lekarz. Jest blady i wychudzony. Wygląda okropnie, choć równocześnie bardzo pociągająco z tym swoim skupionym, zatroskanym wyrazem twarzy. Promieniuje z niego swojskie, niekrępujące piękno, które zmiękcza serce. Nie zachowuje się wprawdzie jak lekarz, ale troszczy się o nią. Troszczy się prawdziwie! I to już od mglistych dni jej gorączkowych halucynacji. Powinna więc może wybaczyć mu, że jest kimś postronnym i nie należy do plemienia kacetników. Musi mu to wybaczyć ze względu na fakt, że ją zauważył, że nie widzi w niej numeru, tylko człowieka z własną twarzą. I może jego dzisiejsza skwaszona mina nie ma żadnego związku z żałosnym stanem, w jakim ona się znajduje? Może dręczą go jego własne wspomnienia, a może po prostu boli go ząb albo brzuch?

– Wypisze mnie pan dzisiaj, prawda? – zapytała niepewnie.

– Nie, jeszcze nie dzisiaj. Poczekamy jeszcze trochę...

Nastąpiła długa chwila ciszy, podczas której unikali swoich spojrzeń. Nagle Miriam, jak gdyby było jej już i tak wszystko jedno, zdecydowanym ruchem podniosła się na łokciach.

– Ale doktorze, niech pan mi powie tylko jedną rzecz... – W końcu była gotowa zadać mu pytanie o to, co miała nieustannie gdzieś w tyle głowy, odkąd odzyskała przytomność po tyfusie, a o czym do tej pory nie ośmieliła się słowem napomknąć, o czym nie odważyła się nawet otwarcie myśleć. – Niech mi pan powie prawdę... – Coś ścisnęło ją w gardle i rozkaszlała się. – Niech pan mi powie... Czy będę mogła znowu... kiedykolwiek... tańczyć?

Jego zmrużone oczy rozwarły się szeroko. Patrzył na nią z ogromnym zdumieniem, jak gdyby spodziewał się każdego pytania, oprócz tego. Szeroki, prostoduszny uśmiech rozlał się nagle po jego twarzy.

– Tańczyć? Oczywiście! Nie masz w końcu przecież ambicji, by zostać wielką artystką na tym polu, jakąś primabaleriną, prawda?

*

Miriam była niecierpliwa. Tego dnia również liczyła na to, że zostanie wypisana z lazaretu. Nie mogła doczekać się wizyty doktora Vanderhaeghe. W końcu pokazał się w drzwiach i na długich, bocianich nogach wmaszerował do jej szpitalnego pokoiku. Uśmiechnął się niepewnym, roztargnionym uśmiechem, po czym usiadł obok niej na pryczy i wyjął z kieszeni białego fartucha blok papieru oraz ołówek.

– Czy zaczęłaś już robić jakieś plany na przyszłość? – zapytał. Pokręciła przecząco głową. – Nie myślisz w ogóle o tym, co zrobisz z twoim życiem teraz, kiedy wyzdrowiałaś i świat stoi przed tobą otworem?

Co zrobi ze swoim życiem teraz, kiedy wyzdrowiała i świat stoi przed nią otworem? Już nigdy nie będzie mogła tańczyć. Do wszystkich swoich strat musi dodać również i tę małą stratę – stratę Miriam Tancerki. I co z tego? Być może wszyscy artyści, którzy przeżyli tę gehennę, wychodzą z niej, każdy ze swoim własnym defektem, jak na przykład Abrasza. Dlaczego ona miałaby mieć więcej szczęścia od nich? Będzie tancerką, która nie może tańczyć. I nie wie, co zrobi ze swoim życiem. Wzruszyła ramionami i również teraz nie wspomniała ani słowem doktorowi Vanderhaeghe o swoich przedwojennych ambicjach tanecznych. Wcześniej zwykła mu opowiadać jedynie o swoim tańczeniu na strychu i robiła to zawsze z humorem, jakby naśmiewała się z siebie.

– Jaki sens ma snucie planów? – odezwała się. – Po tym, co się wydarzyło, świat nie będzie już taki jak kiedyś. Nastąpią kolosalne zmiany. Trzeba się najpierw w nich rozeznać.

– Jakich zmian oczekujesz?

– Sama nie wiem. Wyobrażam sobie, że przede wszystkim świat raz na zawsze zostanie wyleczony z nienawiści do Żydów. – Przyszły jej na myśl Rosjanka Marusia i Polka Aniela, dziewczyny, z którymi dzieliła pokój. Do tej pory jednak zwykła patrzeć na nie oczami chorej, a dzisiaj jest zdrowa i pełna optymizmu. – Sądzę, że cały ten podział... Mam na myśli nacjonalizm... ohydny szowinizm... to plaga nowoczesnych czasów. Chciałabym, żeby ludzkość przestała dzielić się na narody i państwa, by się zjednoczyła... Dziwi się pan, że po Auschwitz i Bergen-Belsen mam takie naiwne życzenia? Ale jeśli pozostała we mnie jeszcze jakaś zdolność do marzeń, to dlaczego nie miałabym mieć tego jednego marzenia, które ma jeszcze jakiś sens? Najpierw jednak muszę odnaleźć mojego tatę i ... – zaczerwieniła się – i chłopaka, z którym chodziłam. Poza tym muszę też pojechać zobaczyć się z moim przyjacielem, który przeżył i znajduje się w szpitalu w Birnau.

Doktor Vanderhaeghe wyrwał kartkę z bloku papieru, zapisał coś na niej i wręczył jej.

– To jest mój adres w Belgii – powiedział. – Jeśli zdarzy ci się kiedyś tam być...

Spojrzała na kartkę.

– Mieszka pan wciąż w Ostendzie, doktorze?

– Tak, nad brzegiem morza.

– Nigdy nie widziałam morza.

Wypisał zwolnienie z lazaretu i wręczył jej.

– Ja również opuszczam Bergen-Belsen – powiedział sucho.

Serce w niej zamarło. Coś ścisnęło ją za gardło. Po chwili milczenia zdołała zapytać:

– Żeby szukać matki?

– Nie. Zaprzestałem poszukiwań. Gdyby przeżyła, odezwałaby się już do mnie. Wracam do Belgii, by kontynuować moje studia. – Podał jej dłoń. – To znaczy... że czas się pożegnać.

– Już teraz?

Milcząc, długo trzymał jej dłoń w swojej, jak gdyby żal było mu ją puścić.

– Życzę ci wszystkiego dobrego... wszystkiego dobrego. Życzę ci szczęścia.

Spojrzała na niego dużymi, szklistymi oczami. Szczęście? To słowo brzmiało dziwacznie.

– Ale moje serce tak bardzo boli, doktorze.

Teraz przyszła jego kolej, by się zaczerwienić.

– Żałuję, ale na ten rodzaj bólu serca nie ma żadnego lekarstwa. – Puścił jej dłoń, machnął ręką na pożegnanie i ruszył w stronę drzwi. Na progu odwrócił się.

– *Adieu!* – zawołał ochrypłym głosem. – I pamiętaj, jeśli zdarzy ci się kiedyś być w Belgii... – dodał i wybiegł z pokoju.

Stłumiony krzyk wyrwał się spomiędzy jej zaciśniętych ust. Jego zniknięcie zabolało ją jak niespodziewane cięcie nożem. Zapomniała podziękować mu za wszystko, co dla niej zrobił. Nade wszystko jednak nie mogła sobie wyobrazić, że już nigdy go nie zobaczy. Rozstanie się było rodzajem śmierci, a śmierć wciąż była dla niej czymś nie do pojęcia.

*

Balcia i Malka przyprowadziły Miriam z powrotem do pokoiku w bloku 88, który niewiele się różnił od jej szpitalnego pokoju. Posadziły ją przy oknie i zaczęły się wokół niej krzątać. Ledwo co zdążyła rozejrzeć się dookoła, kiedy dwaj chłopcy w pasiakach weszli do środka. Jeden z nich trzymał w ręce wysłużoną walizę. Postawił ją na ławce obok stołu, jak gdyby dotarł do celu podróży.

– My już kiedyś tu byliśmy – odezwał się do Balci bez zbędnych wstępów. – Pamiętasz nas? Ja jestem Gelbart, a on nazywa się Goldman – wskazał na swojego towarzysza. – Włóczymy się po Niemczech, on i ja. Może chciałabyś skosztować trochę miodu? Czy dałabyś nam łyk wody? Objedliśmy się miodem i dostaliśmy biegunki. – Patrzył tylko na Balcię, jakby nikogo innego w pokoju nie

było. Otworzył walizę. Wewnątrz znajdowała się sterta jakichś szmat, a na nich: bochenek chleba, parę pęczków marchewek, kawałek kiełbasy i słój z deklem owiniętym szmatką. Wyjął słój i postawił go na stole z mocnym stuknięciem. – To jest miód. Widzisz, jaki ma kolor? To prawdziwy miód, nie żadna podróbka.

Balcia podała chłopcom garnek wody. Zwróciła się do Goldmana, drugiego chłopca:

– Dlaczego nie odzywasz się ani słowem?

Goldman uśmiechnął się zawstydzony. Jego towarzysz, Gelbart, wyjaśnił:

– On jest trochę stuknięty od wyzwolenia, ale w obozie był prawdziwym mądralą. Dlaczego nic nie mówisz, Goldman? Możesz jej opowiedzieć, jak zdobyliśmy miód. – Goldman jednak ukrył twarz w garnku, sącząc powoli wodę i nie odezwał się.

– Nie pamiętam już, kiedy ostatni raz kosztowałyśmy miodu – odezwała się Balcia.

Gelbart spoczął na ławie obok walizy.

– Ostatnio kosztowało się goryczy zamiast miodu – zażartował.

Chłopcy, obaj wychudzeni i ze szczecinami na głowach, byli podobni do siebie. Przywiedli Miriam na myśl Nońka i przypomniała sobie też o dwóch chłopcach, których Abrasza adoptował w getcie. Balcia przyglądała się dwóm przyjaciołom czułym wzrokiem.

– Wyglądacie jak bracia – zauważyła.

Gelbart roześmiał się.

– Jak możemy być braćmi, skoro on nazywa się Goldamn, a ja Gelbart?

– Nie powiedziałam, że jesteście braćmi, tylko że wyglądacie jak bracia.

Gelbart szturchnął Goldmana pięścią w ramię.

– My jesteśmy obozowymi braćmi, co, Goldman?

Malka zapytała:

– Kiedy zostaliście wyzwoleni z obozu?

– My nie zostaliśmy wyzwoleni – odpowiedział z dumą Gelbart. – Sami się wyzwoliliśmy. Uciekliśmy.

– Uciekliście?

– Dzień zanim weszli Amerykanie. Teraz chodzimy od jednego obozu do następnego i szukamy rodziny. Całe Niemcy są mapą obozów. Musimy jeszcze dotrzeć do siedmiu–ośmiu obozów w angielskiej strefie. On jest sam. – Wskazał na Goldmana. – I ja też jestem sam. UNRRA miała zrobić listy pozostałych przy życiu, ale to przeciąga się niczym *golus*[308].

Miriam nie mogła oderwać oczu od słoja z miodem.

– Powiedzieliście, że możemy skosztować miodu?

– Oczywiście. Czy myślisz, że postawiłem tu ten słój dla picu?

---

[308] *Golus* (jid.), *galut* (hebr.) – wypędzenie, wygnanie, życie Żydów poza Palestyną, w rozproszeniu.

Balcia wskazała na Miriam.

– Ona dopiero co wyszła z lazaretu po tyfusie. Wy nie mieliście tyfusu, co?

– Ani tyfusu, ani nic. – Gelbart pokręcił głową. – Gdybyśmy mieli, to byś nas tu nie widziała. Prosto do pieca byśmy poszli. Dlatego obaj, jak tylko zawarliśmy sztamę, postanowiliśmy zrobić absolutnie wszystko, by nie zachorować. Wszystko. Rozumiesz, o czym mówię, co?

– Tak, przypominam sobie. Powiedziałeś mi to poprzednim razem, kiedy tu byłeś. – Balcia machnęła ręką, jakby chciała powstrzymać go od opowiadania o tym. – Ale po co wróciliście do Bergen-Belsen, skoro wcześniej nikogo ze swoich tu nie znaleźliście?

Goldman odezwał się po raz pierwszy, mówiąc z zawstydzeniem:

– My nie przyszliśmy do Bergen-Belsen. My przyszliśmy do ciebie.

– Do mnie?

Goldman pokiwał twierdząco głową.

– Tak. Ty też jesteś przecież łodzianką. Ale dlaczego siedzisz tak i nie kosztujesz miodu?

Balcia wyjęła łyżkę z jednej ze stojących na podłodze pod ścianą menażek i zanurzyła ją w słoju. Podała trochę zarówno Malce, jak i Miriam, po czym sama spróbowała.

Chłopcy śledzili jej ruchy dumnym, zadowolonym wzrokiem i uśmiechali się wesoło, widząc, jak trzy kobiety oblizywały usta, delektując się smakiem. Goldman po raz pierwszy śmiało spojrzał na Balcię.

– Weź sobie jeszcze trochę.

– Tak, weź sobie cały słój! – zawołał Gelbart. – Zrobisz nam przysługę. Powiedziałem ci przecież, że mamy biegunkę. – Włożył słój w jej ręce i trzymał przez chwilę na nich swoje dłonie, jakby chciał je sobie ogrzać. – Możemy mieć tyle miodu, ile tylko chcemy – powiedział, mrugając do niej łobuzersko. – Niemcy są słodcy jak sacharyna. Bo jaki mają wybór? Robią w spodnie, kiedy widzą nas w pasiakach wchodzących do ich domów. Boją się pasiaków jak śmierci. Pasiaki robią teraz wielkie wrażenie, niczym mundury największych generałów. Jak tylko Szkopy nas widzą, wciskają nam zaraz do rąk nóż i chleb, żebyśmy lepiej kroili pieczywo, niż podrzynali im gardła. Ale kto ma czas podrzynać gardła? Ja szukam wszędzie moich rodziców, siostry i kuzyna, który z nami mieszkał. A on, Goldman, ma jeszcze dłuższą listę krewnych do szukania.

Miriam zapytała ich:

– A może zatrzymaliście się też w szpitalu w Birnau? Może spotkaliście kogoś, kto nazywa się Abrasza Kantorowicz?

Chłopcy potrząsnęli przecząco głowami. Poprosili jeszcze o łyk wody, zamknęli walizę i spojrzeli na Balcię.

– Musimy ruszać w drogę – powiedział Gelbart.

– Po co ten pośpiech? – Balcia spojrzała na nich z troską w oczach.

Goldman zapytał ją w odpowiedzi:

– A ty nie masz żadnej rodziny do odszukania?

– Ależ mam – odpowiedziała. – Szukam mego męża i mojego syna. Mamy na nazwisko Cederbojm. – Wskazała na Miriam. – Ona nazywa się Polin. Zapamiętacie? Jeśli spotkacie kogoś z tymi nazwiskami, powiedzcie im o nas.

– Zapamiętajcie też nazwisko Brumberg. Marek Brumberg – dodała Miriam.

Malka wyjęła ołówek i kartkę papieru spod poduszki na pryczy.

– Tu jest ołówek i papier. Zapiszcie sobie.

Gelbart zawołał:

– Zaczekajcie, coś wam pokażę! – Ponownie otworzył walizę i spod sterty szmat wyciągnął kartkę papieru. Okazało się, że była wypełniona krzywymi linijkami nazwisk, zapisanych przeróżnymi charakterami pisma. – Myślicie, że jesteście jedyne? – zapytał.

Malka wyrwała mu kartkę z ręki i zaczęła przebiegać oczami po rzędach nazwisk. Gelbart wyjaśnił:

– Kiedy ludzie widzą tę listę, zaraz zapominają o nas i mówią tylko o swoich rodzinach. Nie można już wtedy z nimi zamienić ani słowa.

Balcia i Miriam nie spuszczały wzroku z Malki.

– Nic – powiedziała w końcu Malka i odłożyła listę na stół. Sama dopisała nazwiska: Cederbojm, Polin i Brumberg do ostatniej linijki na liście i oddała ją Gelbartowi. – Nie chowaj tej listy. Wiesz przecież, jakie to ważne.

– A my obaj, ja i on, nie jesteśmy ważni? – rozzłościł się Gelbart.

– Oczywiście, że jesteście ważni – wtrąciła się Balcia. – Jeśli chcecie, możecie tu zostać. Tak, dlaczego nie? Stoi tu wolna prycza. Takie dwa wychudzone patyki jak wy pomieszczą się razem.

Goldman pogładził Balcię wzrokiem.

– Ja mogę spać i na podłodze.

Gelbart rozpromienił się.

– Jeśli tak, to faktycznie tu przenocujemy. Teraz zostawimy u ciebie walizę i pójdziemy zobaczyć, czy da się zorganizować coś do jedzenia. Chodź, Goldman! – zawołał, ciągnąc Goldmana za rękaw.

– Poczekajcie! Pójdziemy z wami! – zwróciła się do nich Balcia i razem z Malką wzięły do rąk menażki. Było to ich główne zajęcie: spotykanie ludzi, którzy przychodzili wciąż z innych obozów szukać rodzin i równocześnie polowanie na coś do jedzenia. Gdziekolwiek szły, zabierały ze sobą menażki. Balcia odwróciła się do Miriam. – Za niedługo wrócimy. Nie waż się sama wychodzić! – zawołała i razem z Malką wyszły za chłopcami.

W pokoju było bardzo cicho. Miriam wzięła słój z miodem ze stołu i trzymając go w ręce, wyjrzała przez okno. Zanurzyła palec w miodzie i oblizała go. Ciemnozielone liście stojącego pod oknem kasztanowca szeleściły łagodnie. Miód, który powoli zlizywała z palca miał gorzki posmak. Myślała o dwóch chłopcach, Gelbarcie i Goldmanie. Byli w wieku Nońka. Kiedy sama miała tyle lat

co oni teraz, ukończyła już szkołę Medema i przygotowywała się do wstąpienia do gimnazjum.

Zorientowała się, że słój w jej ręce był już w połowie pusty. Nie pamiętała, żeby tyle z niego wylizała. Była daleko myślami – lecz jak długo? Rozzłościła się na siebie. Czy to właściwy sposób, by świętować swój „powrót do domu"? Dlaczego siedzi tu sama pośród tej ciszy? Cisza jest niebezpieczna. Cisza ma tendencję do wypełniania się prześladującymi ją wizjami. Trzeba od niej uciekać. Zdaje się, że Balcia znowu przejęła nad nią, Miriam, komendę. Nie może na to pozwolić. Nie jest dzieckiem. Wprawdzie nie daje jeszcze rady chodzić tak, jak Malka i Balcia, ale spacerować może. Wyjdzie więc na zewnątrz i przespaceruje się do lasu, by tam świętować swój powrót do zdrowia. Weźmie też garnuszek na wypadek, gdyby znalazła jagody.

Wyszedłszy na zewnątrz, zaczęła dreptać powoli w kierunku bramy obozu, która stała otworem. Dwaj angielscy żołnierze pełnili przy niej straż, jednak nikogo nie zatrzymywali. Las był pełen życia i ciągnął się, dokąd okiem sięgnąć. Ukrywał kacet przed oczami lokalnej ludności i był jedynym świadkiem tego, co wydarzyło się w Bergen-Belsen. Jeśli miałby oczy, z pewnością przestałby się zielenić. Strawiłby go ogień i stałby się czarny. Przypomniała sobie, jak maszerowała wzdłuż tego lasu, zanim zapędzono ich do kacetu. Były to chwile, kiedy była najbliżej śmierci. Teraz przyszła tutaj, by celebrować swoje życie.

Zbierała jagody i wrzucała je do ust, podczas gdy pusty garnuszek kołysał się zahaczony o jej palec. W końcu wyciągnęła się na trawie na kawałku ziemi, gdzie las przepuszczał trochę słonecznego światła. Splotła dłonie za karkiem. Poczuła się, jak gdyby leżała wyciągnięta na tanecznym parkiecie. Wokół niej – gęsty krąg rozkołysanych drzew, których korony tańczyły ponad jej głową balet zieleni przemieszanej z błękitem nieba. Przypomniał się jej las ze Stefanowa.

Odwróciła się twarzą w dół i zanurzyła nos w mech. Ostry zapach ziemi był odurzający. Zerwała źdźbło trawy, włożyła je między zęby i ssała. Przyszło jej na myśl, że w tym samym momencie, w innych miejscach gdzieś na świecie, ludzie siedzą wokół stolików barowych i sączą wino. Nigdy nie dowiedzą się, jak upajający może być sok źdźbła trawy.

Na łysym skrawku ziemi między mchem a trawą zauważyła rojące się mrowisko. Wzięła do ręki kamyk i rozgniotła mrówkę. Potem rozgniotła jeszcze jedną i jeszcze jedną, jedną po drugiej. Na początku powoli, potem coraz szybciej, coraz mocniej uderzała kamykiem w mrówki. Mięśnie ramion napięły się, dłonie zaczęły ją palić – tak zaciekle waliła kamykiem w ziemię. Jej oczy napełniły się łzami. Wybuchnęła głośnym, zawodzącym płaczem, podczas gdy jej ręka wciąż szybko unosiła się i opadała.

– To za mamę... To za Wierkę... To za Nońka... To ... To ...! – Nagle ogarnął ją strach. Co robi? Co się z nią dzieje? Duszący ból ścisnął jej serce.

*

Nie minęło więcej niż parę dni, odkąd Miriam opuściła lazaret, gdy przemieniła się w prawdziwą gadułę. Jeśli nie miała do kogo mówić, śpiewała jak kanarek piskliwym głosem. Nawet kiedy nic nie mówiła czy nie śpiewała, ciągle szumiały w jej głowie jakieś słowa lub melodie – a także śmiech. Czuła jakieś dziwne dławienie, jakby coś bardzo komicznego łaskotało ją od wewnątrz. Jednocześnie w jej sercu jątrzyła się otwarta rana i łzy nieustannie cisnęły się do oczu.

Poszła do lazaretu zobaczyć się z Sorką Fidler, której stan już się poprawił. Jednak akurat wtedy, kiedy Mendel Sznajder znowu wyruszył w jedną ze swoich tajemniczych podróży, u Sorki pojawiły się poważne potyfusowe komplikacje, podobnie jak wcześniej u Miriam. Sorka leżała pogrążona w głębokim śnie, cała zlana potem. Jej głowa, ze sztywną i mokrą szczeciną włosów, wyglądała jak główka skąpanego w deszczu ptaka. Drobna twarz była pomarszczona jak u starej kobiety. Jedynie usta miały żywą, koralową barwę. Wyglądały jak barwny motyl, który przysiadł, aby odpocząć na jej twarzy jak na porysowanym kamieniu.

Sorka nie wiedziała jeszcze o śmierci Hanki. Przemilczano to przed nią, co oznaczało, że wciąż jeszcze była bliżej obozowej rzeczywistości – niż nowego życia.

Nazajutrz Miriam nie znalazła w sobie dość odwagi, by raz jeszcze wpaść do Sorki. Był to przepiękny dzień. Miriam czuła się, jak gdyby istniały w niej równocześnie dwie osoby, dwie Miriam, które musiały sobie z tym dniem poradzić. Jedna zachowywała się jak melancholijny tchórz potrzebujący wciąż wsparcia doktora Vanderhaeghe, druga była przesadnie wesoła, pewna siebie i zuchwała. Ta druga Miriam płonęła z niecierpliwości i wpadała w zachwyt z byle powodu. Nie wiedziała, czego od siebie oczekiwać. Obie Miriam miały jednak jedną wspólną cechę – były egoistkami. Bała się, że jeśli następnym razem wpadnie do Sorki, zastanie ją przytomną i nie będzie wiedziała, co zrobić, jeśli Sorka zapyta ją o Hankę, albo poprosi o coś do zjedzenia.

Trudno było uwierzyć, że choć tyle czasu minęło od wyzwolenia, dawni więźniowie wciąż dostawali tak niewiele do jedzenia. Gdzie jest świat – świat, który stał z boku i nic nie zrobił, by uratować miliony ludzi więzionych w obozach? Dlaczego teraz nie podejmuje żadnego wysiłku, by wynagrodzić krzywdy większymi porcjami mięsa i kawałkiem masła do chleba? Dlaczego pozwala się, by byli więźniowie cieszyli się tak drogo opłaconymi dniami wolności na pusty żołądek? Czy dzieje się tak z powodu obojętności? Jak to możliwe? Świat przecież dopiero co wygrał wojnę przeciwko niegodziwości. Wygrał? Czy można w ogóle wygrać wojnę z niegodziwością? Może ta wojna wcale nie była taka idealistyczna, tak wysoce moralna, jak sobie to w getcie i w obozach przedstawiano? Może alianci bronili tylko swoich własnych interesów? Miriam zaskakiwała samą siebie – nie tylko tym, co robiła, lecz również tym, co myślała. Czasami przychodziły jej do głowy dziwaczne myśli.

Miała wciąż jeszcze ten sam ołówek, który podarował jej węgierski ordynans. Przyniósł jej też pudełko pełne papieru do pisania. Papier ten był z jednej strony zadrukowany niemieckim tekstem, ale na drugiej stronie można było pisać. Przejrzała te niemieckie teksty. Były to nudne dokumenty z biura obozu koncentracyjnego. Zastanawiała się, cóż zrobią biedni historycy tej katastrofy bez tych wartościowych materiałów? Jak będą mogli opisać tę historię, opierając się na dokumentach przekazanych przez tych, którzy zadbali już o to, żeby zostały jedynie te przez nich samych wybrane.

*

Drogi Abraszo!

Jak Ci obiecałam, piszę teraz do Ciebie częściej i coraz dłuższe listy. Ty jednak stałeś się prawdziwie zimny jak głaz. Twoje odpowiedzi, napisane ręką niemieckiej pielęgniarki, są krótkie i lakoniczne. Jak długo jeszcze zamierzasz ciągnąć tę grę? Jak możesz być tak bez serca i utrzymywać mnie w niepewności w tak wielu sprawach? Wciąż jeszcze nie wiem, dlaczego nie możesz poruszać kończynami, jaka jest tego medyczna przyczyna i jak długo zajmie Ci dojście do siebie – nie mówiąc już o tym, że nigdy nie wspominasz ani słowem o innych mężczyznach z naszej grupy, którzy byli razem z Tobą. Jest to dług, który wciąż jesteś mi winien! Chcę poznać prawdę!

Zamiast tego robisz mi wyrzuty, dlaczego nie opowiadam Ci, co działo się ze mną od naszego rozstania. W jednym z Twoich niemądrych liścików domagasz się nawet ode mnie, bym opisała Ci całą moją biografię, tak, jak opowiadam ją Tobie – to znaczy sobie samej – w myślach. Nie lada żądanie! Do tego jeszcze chcesz, żebym Ci szczegółowo opowiedziała o życiu w getcie, chociaż byliśmy tam wtedy razem. Co się z Tobą stało? Czego chcesz ode mnie? Czy to mój przyjaciel, Abrasza, pisze do mnie, czy też może jego „historyczne sumienie"? Dlaczego tak obłudnie prawisz mi morały o moim obowiązku, by wszystko opowiedzieć? Czy Twoja choroba wpłynęła również na Twoją pamięć? I na Twoje serce? Czy to możliwe, żeby kacet przytępił Twój prawdziwy charakter? Radość z darowanego życia jest i tak pełna goryczy, dlaczego więc miałbyś mi ją jeszcze bardziej zatruwać?

Boli mnie, że muszę Ci to wszystko pisać. Nie mogę się jednak dłużej powstrzymać. Twoje liściki okropnie mnie irytują. Chcę, żebyś to wiedział. Nie jestem już dłużej w lazarecie i doktor Vanderhaeghe, o którym Ci pisałam, pojechał z powrotem do Belgii. To znaczy, że stoję już na moich własnych nogach i sama borykam się ze wspaniałą wolnością.

Co myślisz robić po tym, jak wyjdziesz ze szpitala? Ja chcę oczywiście przyjechać do Ciebie, kiedy tylko nabiorę sił. Pragnę jednak wiedzieć, co zamierzasz robić później? Chciałabym bardzo, żebyśmy się już więcej nie rozstawali. Ty jesteś dzisiaj najbliższym mi człowiekiem. Sama myśl o Tobie trzyma mnie przy

życiu. Mam więc nadzieję, że wreszcie moje pytania nie przepadną jak kamień rzucony w wodę, tylko że mi na nie odpowiesz.

Myślę dużo o powrocie do Polski, żeby tam czekać na moich bliskich. Tam, w brzydkiej, brudnej Łodzi, gdzie kiedyś „stała moja kołyska". Chcę, żeby Łódź dowiodła mi, iż moje wspomnienia mają podstawę w rzeczywistości. Pragnę wdychać powietrze miejsc, które muszą jeszcze nosić w sobie tchnienie naszego dawnego życia. Moja chęć, by tam pojechać, jest tak samo silna jak wola, by czym prędzej uciec z tej przeklętej, niemieckiej ziemi.

Myślami wędruję często po ulicach i uliczkach Łodzi. Zastanawiam się, czy Polacy odbudują pomnik Kościuszki[309], który zniszczyli naziści. Może zrekonstruują spalone szule[310] oraz synagogę przy Alei Kościuszki[311], żeby budynki te świadczyły swoją pustką o minionej bezpowrotnie przeszłości. Tęsknię za ceglastoczerwonymi murami fabryk z ich nieustającym szumem, a nawet za ceglastymi kominami fabrycznymi, chociaż widok każdego z nich będzie mi przywodził na myśl kominy Auschwitz. Tęsknię za placami targowymi, za szkołami i klubami, bibliotekami, za zgiełkiem społecznego i politycznego życia, za atmosferą religijnej i artystycznej rebelii. Tęsknię za moimi Bałutami, za naszym podwórkiem przy ulicy Nowomiejskiej, za ulicami, którymi chodziłam do szkoły, na zbiórki SKIF-u, do gimnazjum i na moje lekcje tańca. Tęsknię za parkami, do których chodziłam na wagary z Markiem i za ukrytymi zakątkami miasta, gdzie wieczorami wędrowałam z Tobą.

Przypominam sobie dzień, kiedy po raz pierwszy pojawiłeś się na scenie mojego życia, Abraszo. A Ty, czy pamiętasz? Czy chcesz pamiętać? Obdarz mnie odrobiną Twojego ciepła, drogi Abraszo. Pokaż mi choć rąbek Twojej pięknej duszy. Całuję Cię.

Twoja Miriam

*

W żydowskim gimnazjum społecznym, do którego zaczynam uczęszczać, panuje surowa atmosfera. Uważam jednak, że i tak mam szczęście, ponieważ obecność Wierki, a także Malki Cederbojm i Sorki Fidler, zapewnia mi w pewien sposób swojski klimat podczas przerw. Malka straciła rok nauki. Wowa nie mógł pozwolić sobie na to, by w tym samym czasie płacić czesne za troje dzieci, Malka

309 Pomnik Tadeusza Kościuszki został odbudowany i odsłonięty w 1960 r.

310 Szul (jid.) – bożnica, synagoga, a także dom modlitwy, czasami określano tym słowem szkoły.

311 Synagoga postępowa przy alei Kościuszki została spalona w listopadzie 1939 r., a potem rozebrana. Do dziś w jej miejscu jest pusty plac.

musiała więc odczekać, aż jej starszy brat, Herszko, ukończy szkołę zawodową i zacznie pracować jako mechanik. W ten sposób Malka zostaje moją koleżanką z klasy i siedzi ze mną w jednej ławce. Mimo to jednak czuję się w gimnazjum jak outsiderka. W głębi serca wiem, że czułabym się tak w każdej szkole, za wyjątkiem szkoły tańca.

Jest początek roku szkolnego i gazety są pełne doniesień o wydarzeniach rozgrywających się w hitlerowskich Niemczech. Na przerwie dziewczęta przyciszonymi głosami rozprawiają na temat przemówienia Hitlera o Żydach. Stoję obok grupy dziewcząt i przysłuchuję się ich rozmowie, kiedy nagle dostrzegam wchodzącą do klasy Wierkę. Idę jej naprzeciw, a Wierka, rozgorączkowana i ożywiona, obejmuje mnie ramieniem i odciąga na stronę.

– Miriam – szepcze z przejęciem do mojego ucha. – Mamy nowego nauczyciela rysunków, który dopiero co przyjechał z Paryża!

– No i co w tym takiego wspaniałego? – pytam, nie rozumiejąc jej entuzjazmu.

– Oj, Miriam kochana – trajkocze rozemocjonowana Wierka. – Kiedy usłyszał, że nazywam się Polin, i że mój ojciec ma na imię Jankew, rozwarł ramiona, po czym na oczach całej klasy objął mnie i pocałował w oba policzki. Dziewczęta o mało co nie zemdlały. On chce, żebyś przyszła do pokoju nauczycielskiego. Zgadnij, kto to jest!

– Nie jestem w nastroju do zabawy w zgadywanie – odpowiadam jej obojętnie.

– To Abrasza! Ten sam Abrasza, o którym tata ciągle opowiada. Wiesz, ile lat już nie słyszeli nic o sobie?

Zupełnie nie rozumiem, dlaczego Wierka się tak ekscytuje.

– Jaki Abrasza? O kim ty mówisz?

– Mały Abrasza z Bocianów, którego tata uczył kiedyś Chumeszu z komentarzami Rasziego[312]! Musisz go zobaczyć!

Nie mogę pojąć, dlaczego Wierka, która o wiele bardziej niż ja interesuje się wiadomościami ze świata, może w taki dzień tak się zachwycać nowym nauczycielem, nawet jeśli jest on znajomym taty. I nawet jeśli tata opowiadał coś o tym Abraszy i słyszałam też o nim od cioci Szejndli, to co z tego? Zawsze przysłuchiwałam się ich wspomnieniom tylko jednym uchem.

– Czy nie słyszałaś nic o przemówieniu Hitlera o Żydach? – pytam Wierkę.

Rozlega się dźwięk dzwonka. Wierka zostawia mnie i spieszy z powrotem do swojej klasy. Nie widzę jej przez resztę szkolnego dnia. W międzyczasie, niezależnie od niepokojących politycznych wieści, po szkole niczym gwałtowny ogień rozprzestrzenia się pogłoska o nowym nauczycielu rysunków, który dopiero co przybył z Paryża. Część dziewcząt zdołała już rzucić na niego okiem i stwierdzić,

[312] Rabin Szlomo Jicchaki (1040-1105), znany jako Raszi (skrót od Rabenu Szlomo Jicchaki ben Jicchak); autor komentarzy do Tory, ksiąg Proroków i Talmudu.

że jest stosunkowo młody w porównaniu do większości nauczycieli. Przekazują też, że jest barczysty, całkiem sympatyczny, ale zwariowany, że ma czuprynę zmierzwionych, czarnych włosów, która pasuje raczej do cyrkowego klauna niż do gimnazjalnego nauczyciela, oraz że nosi cudaczną, zagraniczną, sportową marynarkę na wyblakłym pulowerze, zamiast ciemnego garnituru, białej koszuli i krawatu, tak jak inni nauczyciele, którzy są niezwykle staranni w ubiorze. Niektóre dziewczęta donoszą nawet, że ten dziwny egzemplarz nauczyciela opowiada podczas lekcji bulwersujące, komiczne historie, i że ma wspaniałe dłonie, które potrafią tworzyć różnorodne formy z tektury, papieru i gliny.

Są i takie dziewczęta, które wiedzą już nawet, że ten nowy nauczyciel flirtuje na swój sposób z każdą dziewczyną z osobna – oczami, które są czarne jak węgiel i o tak gorącym i szelmowskim spojrzeniu jak u demona. Jeszcze inne mówią, że robi się śmiertelnie poważny, kiedy opowiada o sztuce, jak gdyby nauczanie dziewcząt rysowania i malowania akwarelami istotnie miało z nią coś wspólnego. Zdaniem dziewcząt lekcje rysunków w gimnazjum są zesłanymi przez Boga okazjami do tego, by złapać oddech i ukradkiem przygotować się do kolejnej, ważniejszej lekcji, a mianowicie lekcji polskiej historii, prowadzonej przez młodą, ale bardzo surową profesorkę, pannę Julię. Żadna z nich nie uczęszcza do gimnazjum po to, żeby zostać artystką.

Po lekcjach postanawiam sama rzucić okiem na nowego nauczyciela. Kiedy przepycham się przez zatłoczony szkolny korytarz, dostrzegam obcego mężczyznę idącego mi naprzeciw ramię w ramię z Wierką. Jego wygląd zgadza się z opisami dziewcząt. Czupryna włosów, które obramiają jego szeroką, wyrazistą twarz, jest jeszcze czarniejsza, niż sobie to wyobrażałam. Podobnie jak jego oczy. Zaraz jednak dostrzegam intensywną, śmiertelną powagę wyglądającą z głębi ich śmiejącej się czerni. Dwa rzędy dużych, równych zębów połyskują spomiędzy rozciągniętych w uśmiechu pełnych warg, jak gdyby każdy ząb z osobna chciał się do mnie uśmiechnąć.

– To jest moja mała siostra, Miriam! – przedstawia mnie dowcipnie Wierka.

W jednej chwili znajduję się w ramionach obcego. Przyciska mnie do swojej piersi tak mocno, że aż trzeszczą mi żebra, po czym całuje mnie w oba policzki. Bez odrobiny wstydu przytula do siebie zarówno mnie, jak i Wierkę, i tryskając entuzjazmem, woła z uniesieniem:

– Moje dzieci!

Ruch na szkolnym korytarzu zamiera. Tłum nauczycieli i uczniów gapi się na nas troje zdumiony skandalicznym zachowaniem nowo przybyłego. Moja twarz, podobnie jak twarz Wierki, płonie. Wierka jednak zarumieniła się z radości, natomiast ja poczerwieniałam z irytacji, gdyż jestem oburzona zachowaniem tego obcego, jego skandalicznymi manierami i jego bezczelnym dyrygowaniem moją osobą. Mam też żal do Wierki, że przedstawiła mnie jako „małą siostrę", nawet jeśli powiedziała to żartem. Nie jestem ani odrobinę zainteresowana tym agresorem, który wciąż jeszcze nie jest gotów mnie puścić.

– Chodźcie, dzieci! – woła, wypuściwszy nas w końcu z objęć i z taką samą niesłychaną swobodą chwyta nas za ręce. – Prowadźcie mnie do waszego ojca!

Na ulicy jest wietrznie. Obcy wyciąga z kieszeni granatowy beret i wkłada go na bakier, według francuskiej mody. Potem wciąga nas do bramy i zapala fajkę. Gdy wychodzimy z powrotem na ulicę, wiatr nawiewa dym z jego ust prosto w moją twarz. Dostrzega, że się krzywię i wyjaśnia zachrypniętym, roześmianym głosem:

– W Bocianach żył kabalista, reb Sender, który palił fajkę i używał jej jako symbolu, mówiąc o kolosalnie ważnych sprawach. Opowiedział mi o tym wasz rodzony ojciec, nie krzyw się więc, *mademoiselle*, bo wdychasz właśnie wielkie tajemnice prosto z moich ust. – To jest pierwsza lekcja, jakiej mi udzielasz, Abraszo, i wcale mi się nie podoba.

W drodze do domu nie przestajesz pomrukiwać pod nosem jak wariat i przyglądać się Wierce i mnie, ciągnąc nas równocześnie naprzód z taką siłą, że jesteśmy zmuszone podbiegać, by dotrzymać Ci kroku. Zasypujesz nas tysiącem pytań. Na część z nich Wierka próbuje w dowcipny sposób odpowiedzieć, podczas gdy ja powstrzymuję się od otworzenia ust. Nagle Wierka przypomina sobie, że tata musi być już w pracy i wszyscy troje zawracamy, ruszając w stronę Tabarinu.

Nie znoszę przychodzić do miejsc, w których pracuje tata, zwłaszcza do Tabarinu. Nie chcę widzieć, jak tańczy między stolikami z tacą pełną szkła na jednej dłoni, a drugą ukradkiem obmacuje spoconą głowę, by się upewnić, czy nie spadnie mu zaraz peruka. Nienawidzę, kiedy służalczo zgina się i kłania przed gośćmi, i jak z tępym wyrazem twarzy zgarnia napiwki zostawione dla niego na stolikach. Nieraz przyglądam się, jak to robi. Często, późnymi wieczorami, gdy bardzo za nim tęsknię, biegnę do Tabarinu i zaglądam do środka przez okno, którego nie zasłonięto do końca ciężką kotarą. Nigdy nie wchodzę do wewnątrz i teraz też nie mam zamiaru tego zrobić. Kiedy moja niechęć do tego, by Ci towarzyszyć, Abraszo, dosięga szczytu, wyrywam się z Twojej ręki, macham na pożegnanie do Ciebie oraz Wierki, i uciekam. W ten sposób przepuszczam okazję bycia świadkiem Twojego spotkania z tatą.

Następnego dnia tata po raz pierwszy przychodzi do naszego gimnazjum. Podobnie jak ja nie znoszę bywać w miejscach, gdzie tata pracuje, tak on nie cierpi pojawiać się w instytucjach, w których uczą się jego córki. Pomimo wielkiego entuzjazmu, z jakim odnosi się do mojej nauki baletu, nawet na występy w szkole tańca chodzi jak Żyd zmuszony pójść na gojskie wesele. Darzy te instytucje tak ogromnym szacunkiem, iż czuje się niegodny przebywania w ich murach. Tym razem jednak zachodzi do naszego gimnazjum, by podczas przerwy po raz drugi spotkać się z Tobą.

W następny poniedziałek, który jest wolnym dniem taty, przychodzisz do naszego domu na kolację. Witasz się z mamą, całując ją tak samo serdecznie, jak wcześniej całowałeś na powitanie jej córki. Prawie nie pamiętasz jej z Bocianów, lecz ona pamięta Ciebie dobrze. Jemy kolację i gapimy się na Ciebie. Zdajesz się zapełniać sobą cały pokój. Dziwnie jest gościć profesora gimnazjum u siebie

w domu jak kogoś bliskiego. Mówisz o Paryżu, a potem pogrążasz się we wspomnieniach z Bocianów i wciągasz w rozmowę rodziców. Zaraz po kolacji mamie przychodzi na myśl, że czas dać Jankewowi i Tobie sposobność do porozmawiania w cztery oczy i proponuje, żebyście się trochę przeszli.

Z początku wygląda na to, że Ty i Jankew wnet znaleźliście wspólny język i zawiązaliście nić przyjaźni w miejscu, w którym ją kiedyś przerwaliście. Później jednak nie jest to już takie oczywiste. Jankew nie jest dłużej twoim mełamedem[313], za to Ty jesteś teraz nauczycielem jego córek. Także i fakt, że podczas lat rozłąki każdy z was żył w innym świecie i poznał życie z odmiennych perspektyw, zaburza równowagę między wami. Stopniowo staje się jasne, że musicie stworzyć nową podstawę dla waszej przyjaźni. W międzyczasie opiera się ona jedynie na waszej dawnej sympatii do siebie i na niejasnym duchowym pokrewieństwie. Tymczasem, żeby podtrzymać kontakt, powracacie nieustannie do wspomnień z przeszłości, jak gdyby mogły one utorować drogę do odnowienia bliskości między wami.

Stajesz się częstym gościem w mieszkaniu przy ulicy Nowomiejskiej. Jesteś rozmowny i spontaniczny. Gdziekolwiek byś się nie znajdował, zaraz czujesz się jak u siebie w domu, szybko więc stajesz się w pewnym sensie członkiem naszej rodziny, jednym z nas, choć moim zdaniem jesteś nieraz piątym kołem u wozu. Z podsłuchanych pogaduszek między mamą a Tobą domyślam się, że tata pochwalił Ci się osiągnięciami Wierki. Podobnie jak pobożny Żyd gromadzi szejmes[314], tak tata z nabożeństwem nosi w kieszeni na piersi dawne wiersze Wierki. Jej ostatnimi dziełami nie może się pochwalić, ponieważ Wierka trzyma je schowane w swojej teczce i nikt nie może się o nich nic dowiedzieć, nie wspominając już o ruszeniu ich. Przypuszczam też, że mama pewnie poczuła się winna, wyróżniając Wierkę i rzuciła też słowo czy dwa o moim tańcu oraz o „genialnych" osiągnięciach w nauce Nońka.

Binele i Ty bardzo dobrze dogadujecie się ze sobą. Ty jesteś zbyt dojrzały, by mogła traktować Cię jak syna, i za młody, żeby uległa Twojemu męskiemu czarowi. Mężczyzn, którzy są młodsi od niej, uważa za istoty seksualnie neutralne. Dlatego też ton waszych rozmów jest wesoły i przyjacielski, niczym między siostrą i bratem, i nie grożą wam żadne uczuciowe komplikacje. Bardzo lubicie przebywać w swoim towarzystwie. Tym, co was najbardziej ze sobą łączy, są wasze uczucia dla Jankewa, a także podobny rodzaj zmysłowości i namiętnej żądzy życia.

Wierka przyzwyczaja się do Ciebie od razu. A nawet więcej – zakochuje się w Tobie, wręcz Cię ubóstwia. Kiedy jesteś w naszym domu, staje się tak samo rozmowna jak Ty. Zawsze macie o czym gawędzić i z czego wspólnie się śmiać. Wierka jest Twoją uczennicą i wychwalasz ją pod niebiosa – za jej pracę podczas lekcji, wyczucie koloru, dyscyplinę i za to, że wie, czego chce. Nie dziwi mnie to.

---

313 Mełamed – nauczyciel żydowski uczący w chederze, czyli podstawowej szkole religijnej.

314 Szejmes – karty ze świętych ksiąg lub zawierające imię Boga.

Wierka jest tak samo obsypywana pochwałami w gimnazjum, jak wcześniej w szkole powszechnej. Posiada ogromną umiejętność wyrażania słowami tego wszystkiego, co we mnie samej jest tak skomplikowane i poplątane. Wszyscy przepowiadają jej wspaniałą przyszłość zarówno na polu literatury, jak i w malarstwie, nauce i sama nie wiem w czym jeszcze. I jakby tego jeszcze było mało, jest prawdziwą pięknością.

Trzymam się od Ciebie z daleka. Twoje spontaniczne wybuchy entuzjazmu, chwytanie w objęcia i całowanie każdego, Twoja rozmowność, a także długa, zmierzwiona czupryna i ożywiona, często nieogolona twarz – wszystko to odstrasza mnie od Ciebie. W równym stopniu niepokoją mnie też Twoje gorące, czarne jak węgiel oczy, które w całej swojej czerni zdają się być jasno oświetlonymi bramami do Twojej duszy, otwartymi dla każdego, by zajrzał do wnętrza i odkrył w ich najgłębszej głębi śmiertelną powagę. Dlaczego on udaje, że jest taki rozradowany? – dziwię się.

Wynajduję tysiące powodów, dla których jestem do Ciebie tak wrogo nastawiona. Jednym z nich jest fakt, że nie jesteś bundystą. Mówię sobie, że nie mogę odczuwać żadnej ideologicznej bliskości z Tobą, chociaż dla nikogo innego z rodziny nie stanowi to przeszkody, by Cię pokochać. Denerwuje mnie, że odmawiasz zajęcia wyraźnego politycznego stanowiska, podczas gdy w tym samym czasie, chociaż nie deklarujesz się jako syjonista, perorujesz o potrzebie, by Żydzi posiadali własny zakątek na świecie. Poza tym mówisz z ogromną powagą o tak prastarej filozofii pełnej mistyki i zabobonów, jak filozofia kabały – o której, swoją drogą, nie mam zielonego pojęcia. Nienawidzisz słowa „ateista" i głosisz jakiś rodzaj własnej wiary w „ukrytego nieznanego", którego nazywasz „wielką nicością". Masz czelność krytykować stanowisko mojego taty wobec problemów społecznych i zarzucasz mu krótkowzroczność. Jednego razu śmiejąc się, cytujesz Flauberta i mówisz, że marzeniem socjaldemokracji jest podniesienie proletariatu do poziomu głupoty burżuazji[315]. Nie mogę pojąć, jak tata może po tym wziąć Cię pod ramię i towarzyszyć Ci w drodze do domu. Umacnia mnie to w moim najnowszym przekonaniu, że tata jest człowiekiem bez charakteru.

Uważam się za tolerancyjną osobę, jednak w rzeczywistości nią nie jestem. Staję się fanatyczna w moich przekonaniach. W chaosie mojej dopiero co rozkwitłej kobiecości chronię się przed światem pancerzem „zasad", podobnie jak tata zwykł to czynić w swojej młodości. Moje „zasady" pozwalają mi koncentrować się na moim wewnętrznym zamęcie. Uzbrojona w arsenał frazesów i argumentów oraz z moją nieugiętą wiarą w socjalizm – aczkolwiek nie pogłębiając wiedzy na tym polu, gdyż socjalistyczna literatura strasznie

[315] „Całe marzenie o demokracji sprowadza się do podniesienia proletariatu do poziomu głupoty burżuazji" (Gustave Flaubert w liście do George Sand, 1871 r.).

mnie nudzi – nie mogę wręcz znieść fizycznej bliskości ludzi, którzy nie mają tych samych poglądów co ja.

Gdy pojawiasz się w moim życiu, Abraszo, oprócz rozmyślań o miłości, zaczynam snuć też rozważania o przyjaźni. Analizuję przyjaźnie mamy i dochodzę do wniosku, iż jej jedyną bliską przyjaciółką jest Balcia Cederbojm, ale że ich więź jest rodzajem powierzchownej, zwyczajnej przyjaźni, podczas gdy przyjaźń mamy z towarzyszką Hanką przypomina bardziej relację między uczennicą a nauczycielką. Myślę sobie też, że dziwaczna przyjaźń mamy z „ciocią" Cyporą jest rodzajem siostrzanej relacji, która nie potrzebuje żadnego wzajemnego porozumienia, tak samo, jak nie potrzebuje go relacja mamy z jej rodzoną siostrą, Rachelą. Dochodzę do przekonania, że generalnie stosunki mamy z bliskimi jej ludźmi zabarwione są emocjonalnym ciepłem, jednak nie sięgają głęboko, ponieważ jej przywiązanie do taty i do nas, dzieci, nie zostawia miejsca na intensywne kontakty z przyjaciółmi. Wprawdzie mama i jej przyjaciele są w stanie ponosić wielkie ofiary dla siebie nawzajem, sądzę jednak, że brakuje między nimi duchowego pokrewieństwa. Zasadniczo uważam, że mama nie jest człowiekiem, który zagłębia się zbytnio w sobie; że pozwala się raczej kierować instynktowi, żądzy życia i fizycznych przyjemności, iż utożsamiła się całkowicie z rolą, którą odgrywa jako kobieta – i że jest to kwintesencją jej charakteru.

Analizuję też moje własne przyjaźnie z Sorką Fidler i Malką Cederbojm, z którymi wzrastałam. Jestem zmuszona przyznać przed samą sobą, że czuję się jeszcze mniej związana z nimi duchowo, niż mama z jej przyjaciółkami, nie wspominając już o tacie i Tobie, Abraszo. I zazdroszczę wam. Marzę o tym, by mieć kogoś, kto byłby mi tak bliski, jak Ty jesteś bliski tacie. Kiedy widzę was razem, myślę, że prawdziwa przyjaźń jest bardzo bliska miłości – miłości, na którą czekam. Moje ciało i dusza są jak pięknie posprzątane mieszkanie, gotowe na przyjęcie wytęsknionego gościa.

Moje zainteresowanie Tobą, Abraszo, budzi się po raz pierwszy, kiedy przychodzę w gości do Twojej mansardy, jak nazywasz swój pokój, który służy Ci zarówno za mieszkanie, jak i za miejsce pracy. Zapraszasz do siebie całą moją rodzinę, żeby pochwalić się swoimi pracami oraz wielkim talentem kulinarnym. Kiedy tylko przekraczamy próg Twojego pokoju, wita nas, podskakując i szczekając, kudłaty kundel. Srebrnoszary kot z długim, nastroszonym ogonem skacze rozzłoszczony z jednego mebla na drugi.

– To jest Samson – mówisz, wskazując na psa – a to Dalila – przedstawiasz kota. – Jeszcze nie zdołała pozbawić Samsona włosów. Udaje tylko, że go kocha. No, dlaczego stoicie w drzwiach jak przestraszone zające? Nie bójcie się, pogłaskajcie je – ośmielasz nas. Noniek pierwszy zbiera się na odwagę i dotyka psa jednym palcem.

Podejmujesz nas francuskim daniem, które przygotowałeś na małej żelaznej kuchence z dwoma palnikami – i winem! Przechwalasz się, że jesteś wielkim ekspertem w dziedzinie niemęskiej sztuki kulinarnej, w której to największymi

kuchmistrzami są, ni mniej, ni więcej, tylko właśnie mężczyźni. I rzeczywiście jesteś pierwszorzędnym kucharzem, choć także wielkim koneserem jedzenia, prawdziwym żarłokiem, *gourmet*[316] – jak sam siebie elegancko po francusku określasz.

Siedzimy wokół stołu przykrytego niebiesko-białym kraciastym papierem i jemy. Pies i kot również dostali coś do przekąszenia. Ty tymczasem opisujesz dla nas z ożywieniem każdy kęs, który wkładamy do ust. Ileż poezji znajdujesz w smakach każdego kąska! Czyścisz swój talerz kawałkiem chleba tak dokładnie, że nie trzeba go myć.

Po jedzeniu nabijasz swoją fajkę grubym tytoniem usypanym w stos na szmatce na parapecie, po czym zabierasz się za oprowadzanie nas po pokoju – który jest bardzo podobny do „mojego" strychu – i komentowanie Twoich rzeźb. Opisujesz każdy posąg niekończącym się potokiem słów, po czym wygłaszasz referat, w którym używasz takich słów jak „harmonia sfer", „muzyka form", „taniec światła i cienia", ani przez chwilę nie wątpiąc w to, że Twoi słuchacze – włącznie z Nońkiem – doskonale Cię rozumieją. W rezultacie zaczynam w wyobraźni widzieć siebie samą w mojej własnej „mansardzie", w moim własnym „studio" w domu przy Nowomiejskiej. Po raz pierwszy postrzegam mój taniec jako sposób tworzenia rzeźb w ruchu, jako harmonijne unoszenie się form w powietrzu. Zdumiewa mnie, że te dziwne wyrażenia, których używasz, tak dobrze pasują do tego, co robię na „moim" strychu.

*

Jest środek zimy. Pomimo peruki i „pleców" Poli Wajskop, Jankew zostaje koniec końców zwolniony z pracy w Tabarinie. Postarzał się i stał się niezdarny. Taca ze szkłem zbyt często wyślizgiwała mu się z rąk. Nie zintegrował się wystarczająco z personelem, nie był dostatecznie zmyślny, by zrozumieć w lot zawoalowane sugestie kolegów kelnerów czy ogólnikowe i niejasne polecenia oberkelnera. Zamiast mówić lepiej po polsku, mówił gorzej. Było to spowodowane ciągłym zmęczeniem, napięciem podczas pracy, a może również podświadomym pragnieniem powrotu do „niewinności" – do dawnego ja. Jego polszczyzna drażniła uszy.

Zgrabny, piękny niczym książę mąż Binele nie wygląda już ani zgrabnie, ani pięknie, ona jednak ledwo to zauważa. Podejrzewa, że stracił posadę trochę z własnej winy. Jej zdaniem jest to cena, którą płaci za chwile, w których zamiast myśleć o pracy, buja gdzieś w obłokach. Jankew jest w jej opinii niepoprawnym marzycielem, podczas gdy ona uważa, że trzeba stąpać twardo po ziemi i korzystać z nadarzających się okazji, a jeśli same się nie nastręczają, należy

316 *Gourmet* (franc.) – smakosz.

ich szukać. Dobrze zna jego słabości. Nawet jeśli chodzi o takie kwestie jak zarobienie na kawałek chleba i utrzymanie rodziny, nie potrafi on zrezygnować z trzymania głowy w chmurach. To jego przewinienie. Binele zawsze bała się tej niezrozumiałej dla niej strony charakteru Jankewa i trochę, ale tylko trochę, miała o to do niego żal.

W domu panuje niespokojna atmosfera. Wszystkie wielkie plany na przyszłość rozpadają się ponownie jak domek z kart. Wierka nigdy nie zostanie światowej sławy pisarką, ja nie zostanę światowej sławy tancerką, a Noniek nie stanie się światowej sławy naukowcem, drugim Einsteinem. Binele i Jankew znowu ruszają w miasto szukać pracy. W międzyczasie rodzina żywi się ze zgromadzonego w tabakierce funduszu na dalszą edukację dzieci.

Binele chodziła już znowu z pięknym koczkiem na karku. Wszyscy lubiliśmy jej długie, miedzianego koloru włosy, które stały się czymś w rodzaju rodzinnego skarbu – symbolem stabilności. Wszystko było w porządku tak długo, dopóki Binele nosiła kok na głowie. Dużo zdrowia kosztowało ją więc, by ponownie złożyć wizytę w salonie fryzjerskim pana Fogelszusa i kolejny raz sprzedać swoje włosy. Tym razem jednak pan Fogelszus wypłaca jej niewielką sumę pieniędzy, mówiąc, że jakość jej włosów pogorszyła się i znalazł w nich zbyt wiele siwizny.

Wracając do domu z salonu fryzjerskiego, Binele rozmyśla o tym, jak przyjmą ją Jankew i dzieci z włosami ostrzyżonymi bardzo krótko, jak u mężczyzny. Szuka w myślach czegoś, czym mogłaby ich ułagodzić i rozweselić. Przy bramie domu spotyka stróża, pana Wygodnego, który rozmawia akurat z listonoszem.

– To jest pani Polin – mówi stróż, wskazując na Binele, po czym zwraca się do niej: – On ma list dla pani.

Serce podskoczyło jej do gardła. Trzyma w dłoni list od Antona Cimermana. Jej pierwszym impulsem jest przebiec przez ulicę i wejść do Muzy Fidlera, by usiąść tam przy stoliku i go przeczytać. Zaraz jednak przychodzi jej na myśl, że nie będzie mogła się tam skoncentrować. Potrzebowała dłuższej chwili, by przeczytać list napisany odręcznie, gdyż nie jest wprawiona w odcyfrowywaniu ręcznego pisma. Nieprzyzwyczajona do krótkich włosów, czuje zimno na karku. Mróz szczypie ją w uszy pod dzierganą czapką. Pragnie zaszyć się w jakimś ciepłym kącie. Zbyt niecierpliwa, by ruszyć gdzieś dalej, wbiega po schodach, mija drzwi swojego mieszkania i wspina się na czwarte piętro. Rachela wyszła na zakupy i drzwi otwiera jej szwagier Szaja.

– Czy nie będzie ci przeszkadzało, jeśli wejdę na chwilę, Szajo...? – wydusza zasapana. – Muszę przeczytać w spokoju list.

Szaja obojętnie potrząsa głową i wraca do leżącej na stole Gemary. Binele przystawia krzesło do pieca i osuwa się na nie. Rozrywa kopertę. Pismo Cimermana jest staranne i wyraźne, jakby specjalnie przeznaczone dla niej. Z napięciem przebiega wzrokiem po równych linijkach. Jednak to, co czyta, przejmuje chłodem całe jej ciało. Cimerman napisał ten list ze szpitala. Został ranny w biodro od

szrapnela, rana nie jest jednak poważna i Anton nie ma zamiaru wracać, dopóki walka nie zostanie wygrana. Binele przygryza usta. „On tam zginie. Już nigdy go nie zobaczę" – myśli.

Bierze się w garść. Nie będzie wpadać w histerię. Nikomu nic do tego, co dzieje się w jej sercu. Musi zejść do swojego mieszkania, do Jankewa i dzieci. Musi znaleźć pracę. Musi być silna i wypełniać swoje obowiązki.

– Ciężko ci na sercu, że tak wzdychasz? – słyszy, jak Szaja pyta. – Czy coś się, nie daj Boże, stało?

– Wiesz przecież, co się stało – odpowiada i wkłada list do torebki. – Nie mogę znaleźć pracy. Już dwa tygodnie, odkąd Jankew pozostaje bez zajęcia.

– Nie martw się, Bóg dopomoże – odpowiada jej krótko.

Binele wychodzi z mieszkania i powtarza do siebie: „Nie martw się, Bóg dopomoże...", po czym schodząc powoli po schodach, zaczyna mówić modlitewnym szeptem: „Boże, pomóż Antonowi, proszę Cię... Nie wierzę w Ciebie, Boże, ale błagam Cię, pomóż mu. On potrzebuje pomocy. My wszyscy potrzebujemy pomocy. Coś strasznego może, nie daj Boże, nadciągnąć stamtąd, gdzie jest Anton. Czarne chmury mogą, Boże uchowaj, zawisnąć nad naszymi głowami. Anton i ci, którzy walczą razem z nim, nie będą mogli tego powstrzymać". Zaraz jednak mówi do siebie z gorzkim uśmiechem, podczas gdy łzy dławią ją w gardle: „Bóg nie czytuje gazet...". Zatrzymuje się i ociera twarz.

Binele znajduje koniec końców pracę w fabryce tekstylnej, jednak nie pracuje tam długo. Kiedy tylko Jankew dostaje posadę w koszernej restauracji Feldmana przy ulicy Piotrowskiej, Binele rezygnuje z pracy. Odkąd ich pierwsze dziecko przyszło na świat, oboje z Jankewem są przekonani, iż jej najważniejszym obowiązkiem jest opieka nad dziećmi i że to, co ma im do oferowania, jest bezcenne i warte wszelkich poświęceń. Nie widzi sensu w posiadaniu dzieci, jeśli nie byłaby w stanie stworzyć im domu, zajmować się nimi, wychowywać, wspierać je i być z nich dumną.

Koszerna restauracja Feldmana znajduje się w głębi hałaśliwego podwórza pełnego małych sklepików, składów, fabryczek, a także dzieci i żebraków. Wszelkiego rodzaju kuglarze, akrobaci i śpiewacy uliczni występują tu bez przerwy, żeby zarobić na kawałek chleba. Sama restauracja stanowi wysepkę spokoju pośród morza brudu i nędzy. Wewnątrz jest czysto, przytulnie i panuje tu swojska, przyjemna atmosfera. Właściciele, pan Feldman i jego syn, który zarządza interesem, są ludźmi tradycyjnego pokroju. Są to postawni mężczyźni, dumni i majestatyczni. Obaj noszą czyste, atłasowe kapoty, a na głowach białe jarmułki. Są wielkimi filantropami i przed stolikiem kasowym młodego pana Feldmana przepływa codziennie niekończący się strumień przedstawicieli różnego rodzaju organizacji dobroczynnych.

Wszyscy kelnerzy w tej restauracji są podobnie jak Jankew łysiejącymi lub łysymi głowami rodzin w średnim wieku. Jankew zamienia perukę na białą jarmułkę, a swoje imię na przydomek Maks. Młody pan Feldman daje się trochę ponosić

nowym wiatrom. Nosi atłasową kapotę długości trzy czwarte, a oprócz gazet religijnej partii Aguda[317], do której należy, czytuje wydania polskiej i żydowskiej prasy. Gazety te zamawia dla swoich „gości" i wykłada na parapetach restauracji w uchwytach z długich listewek. Uważa też za właściwsze, by żydowski kelner w pracy nazywał się Maks czy Feliks, a prawdziwe, żydowskie imię zachował dla swojego prywatnego życia.

Do restauracji Feldmanów przychodzi mnóstwo właścicieli sklepów i małych fabryczek z centrum miasta, lecz również prawdziwi bogacze i koneserzy wspaniale przyrządzonych żydowskich potraw znają ten adres. W godzinach, kiedy w restauracji nie ma zbyt wielu gości, Jankew ma okazję odświeżyć swoją talmudyczną wiedzę, wdając się w krótkie dysputy dotyczące Tory ze starym panem Feldmanem, albo wypalić papierosa, zagłębiając się przy tym w jakiejś książce. I Ty wpadasz tu często, Abraszo, by porozmawiać z nim przy szklance herbaty z cytryną.

*

Podobnie jak Wierka, i ja zostaję twoją uczennicą, Abraszo – a razem ze mną Malka Cederbojm i Sorka Fidler. Ani Malka, ani Sorka nie są zbyt utalentowane w sztuce rysunku, ale lubią Cię, współpracują z Tobą podczas lekcji i starają się najlepiej jak potrafią. Ja jednak jestem zdecydowanie złą uczennicą. Tworząc moje kompozycje plastyczne, dobieram do nich najbardziej krzykliwe kolory. Kiedy dziewczęta z klasy zaglądając mi przez ramię, rzucają okiem na moje „arcydzieło", chichoczą rozbawione. Czasami dla kaprysu odkładam ołówek czy pędzel i gapię się po prostu na Ciebie. Twoje uśmiechnięte oczy wciąż mnie irytują. Co w nim takiego wspaniałego? – zastanawiam się ciągle. Wyczuwam coś niebezpiecznego w Twojej ekstrawagancji, niedbałym wyglądzie i w przyciągającej sile Twojej osobowości. On udaje, ten wielki aktor – mówię sobie. Nosi milion masek i może pod nimi nie ma w ogóle żadnej twarzy?

Pewnego razu, gdy zauważasz, że nic nie robię, podchodzisz do mnie i kładziesz dłoń na moim ramieniu. Ten gest uczyniony na oczach całej klasy wydaje mi się skandalicznie nietaktowny.

– Nie wychodzi ci nic dzisiaj? – pytasz. Potrząsam głową i proszę Boga, żebyś zostawił mnie w spokoju i wrócił do swojego stołu. – Nie przejmuj się – pocieszasz mnie. – Każdemu zdarza się taki dzień, kiedy kolory i formy zdają się być zamknięte w tobie na siedem spustów.

Co chcesz przez to powiedzieć? Co obchodzi Ciebie czy całą klasę, że coś jest zamknięte we mnie na siedem spustów?

---

[317] Aguda, Agudas Isroel (jid.; z hebr. Agudat Israel – Związek Izraela) – konserwatywna partia polityczna.

Szybko chwytam ołówek w rękę i pochylam się nad blokiem rysunkowym, żebyś zostawił mnie w spokoju. Zwariowany projekt, który zadałeś klasie do zrealizowania, to narysowanie najukochańszej zabawki z czasów dzieciństwa. Żadną miarą nie mogę sobie przypomnieć, co było moją najukochańszą zabawką. Postanawiam spróbować odtworzyć z pamięci obraz Degasa – obrazek, który wykradłam ze szkoły, kiedy byłam uczennicą drugiej klasy. W wyobraźni zaczynam widzieć go w najdrobniejszych szczegółach, jednak to, co wychodzi spod mojej ręki na kartce bloku rysunkowego, nie potwierdza tego. Właściwie jestem tak pogrążona w tym, co widzę w mojej wyobraźni, że nie wiem, co rysuję. Nie zauważam, jak zbliżasz się ponownie do mnie. Pochylasz się nad moim blokiem rysunkowym i pytasz:

– Jak to nazwiesz?

– Nazwę to „Obrazek" – odpowiadam.

– Aha, rozumiem – mówisz, jakbyś chciał dać mi do zrozumienia, że nic nie zrozumiałeś.

Nigdy nie krytykujesz niczyich rysunków, tylko czasami prosisz o wytłumaczenie jakiejś kreski czy doboru barw i udajesz, że to Ty jesteś uczniem. Kiedy ktoś nie potrafi czegoś wytłumaczyć, mówisz: „Aha, rozumiem". Nie mogę ścierpieć tej twojej dziwnej „metody". Mnie nie możesz nabrać. Jestem w stu procentach pewna, że podczas lekcji jesteś myślami w Twoim własnym studio, że planujesz swoje własne formy i projekty. Kiedy udajesz, że jesteś zadowolony z pracy jakiejś uczennicy, wołasz: „To wspaniały pomysł!".

„Takie bajki możesz swojej babci opowiadać!" – kpię sobie z Ciebie w myślach.

Po gimnazjum rozchodzi się plotka, że podczas Twoich lekcji nikt się niczego nie uczy, iż masz w nosie, czy ktoś rozumie cokolwiek z Twoich dziwacznych wykładów o sztuce, oraz że flirtujesz z dziewczętami, które robią, co im się podoba.

Kilka dziewcząt z mojej klasy jest w Tobie zakochanych po uszy. Zwłaszcza Lola Sokołow, przewodnicząca rady uczniowskiej. Ona też nic nie robi podczas lekcji, bo nie może oderwać od Ciebie oczu. Usłyszała gdzieś, że jesteś przyjacielem mojej rodziny i częstym gościem w naszym domu, więc za wszelką cenę próbuje się ze mną zaprzyjaźnić. Ciągle daje mi do zrozumienia, że chciałaby, żebym zaprosiła ją do mnie do domu. Udaję, że nie wiem, o co chodzi. Po pierwsze nie chcę, żeby córka bogacza zobaczyła naszą biedę, a po drugie mam jej za złe, że zakochała się w Tobie.

Są jednak i uczennice – „wszystkowiedzące" intelektualne primadonny szkoły – które żartują sobie z Ciebie. Tylko te dziewczyny, które są z natury pilne i zdyscyplinowane, usiłują dopasować się do Twojej „metody", jednak one szanują Cię jeszcze mniej niż inne. Większość uczennic jest zdziwiona i zirytowana decyzją dyrektorki, która jest surową i wymagającą osobą, sercem i duszą oddaną wychowawczym ideałom gimnazjum. Jednym z nich jest uformowanie z nas zdyscyplinowanych polskich obywatelek, a drugim

wychowanie nas na godne poszanowania damy żydowskiej klasy średniej. Dziwi więc, że mogła ona popełnić taki błąd, jak zatrudnienie nauczyciela Twojego pokroju. Zapewne dała się skusić notkom prasowym, które rozpowszechniały informacje o Twojej renomie wspaniałego rzeźbiarza, który dopiero co przybył z Paryża.

Mam żal do Ciebie, Abraszo, że wyrobiłeś sobie taką złą reputację w gimnazjum. Sama wprawdzie nie jestem Tobą zachwycona, lecz złośliwe plotki dziewcząt odbieram jako osobistą zniewagę. Przysłuchuję się z goryczą Loli Sokołow, która boleje nad tym jeszcze bardziej niż ja, gdy ze łzami w oczach wyznaje mi, jak bardzo jest w Tobie zakochana – i że jest to jej pierwsza wielka, święta miłość. Zaczynam przeszkadzać Ci na lekcjach, jak gdybym chciała Cię za to wszystko ukarać.

Bierzesz mnie jednego razu na stronę i pytasz:

– Dlaczego mi to robisz?

– Co takiego robię? – Udaję, że nie rozumiem.

Jednak to pytanie mnie również nie daje spokoju. Dlaczego przeszkadzam Ci podczas lekcji? Długi czas ignoruję odpowiedź, która sama się nasuwa. Do momentu, gdy podczas jednej rozmowy z Lolą Sokołow, która robi mi wyrzuty w związku z moim zachowaniem wobec Ciebie – spoglądam prawdzie w oczy: ja też jestem w Tobie zakochana! Po raz pierwszy w życiu jestem prawdziwie zakochana! Nie jest to przyjemne uczucie. Jest uciążliwe i bolesne, niczym atak dyfterytu czy innej groźnej choroby. Muszę się z tego wyleczyć, zanim mnie zniszczy. Nie mogę powstrzymać impulsu, by zemścić się na Tobie za to, że doprowadziłeś mnie do takiej sytuacji.

Ponownie odwołujesz mnie na stronę podczas przerwy. Stoimy w kącie szkolnego korytarza, a obok nas przepływa strumień uczennic i nauczycieli. Serce bije mi jak u przestępcy złapanego na gorącym uczynku. Wyjmujesz fajkę z ust i odzywasz się do mnie:

– Przeszkadzasz mi w pracy, Miriam. Nie mam zamiaru faworyzować cię w klasie. Jedyne, co mogę dla ciebie zrobić, to ostrzec cię zawczasu. Jeśli nie przestaniesz błaznować podczas lekcji, wystawię ci złą ocenę na koniec roku szkolnego. – Twój głos, niski i głęboki, brzmi posępnie, podobnie jak posępna jest głębia Twoich oczu. Serce zamiera we mnie, gdy widzę wyrzut w Twoim spojrzeniu i ciężko mi oddychać. Wkładasz fajkę z powrotem do ust, a gdy ją zapalasz, iskry sypią się równocześnie z niej i z Twoich oczu.

Tego samego wieczoru przychodzisz do naszego domu i zabierasz się za robienie latawca dla Nońka. Chcę Cię przeprosić, lecz jakoś nie mogę się do tego zmusić.

W następną sobotę razem z tatą, Nońkiem i latawcem jedziecie tramwajem do pól ciągnących się obok taboru cygańskiego za miastem. Mam wielką ochotę wybrać się razem z wami. Latawiec jest wspaniały zarówno jeśli chodzi o formę, jak i kolorystykę. Jestem ciekawa, jak będzie wyglądał, kiedy uniesie

się w powietrze. Jednak zamiast pojechać z wami, biegnę do Kina Czary[318]. Filmy są dla mnie narkotycznym środkiem, za pomocą którego uciekam od nieprzyjemności życia.

Tragiczna historia miłosna, która rozgrywa się na ekranie, powoduje jednak tym razem, że mój osobisty dramat przyjmuje kolosalne rozmiary. Żyję tym filmem przez resztę dnia. Kiedy wieczorem wracacie z latawcem do domu, mówisz coś do mnie. Jestem wciąż pogrążona w moim wewnętrznym chaosie i nie mogę zapanować nad rumieńcem, który oblewa moją twarz. Nie słyszę, co do mnie mówisz i zostawiam Cię bez odpowiedzi. Opanowuje mnie ogromna tęsknota do strychu na czwartym piętrze, gdzie tak łatwo mogłabym uwolnić się od tego napięcia. Niestety, od jakiegoś czasu jestem zmuszona zrezygnować z tej przyjemności. Nie dlatego, że z tego wyrosłam, lecz przez to, że z powodu częstych kradzieży na strychu założono zamek w drzwiach i trzyma go przy sobie stróż, pan Wygodny.

Podczas jednej z lekcji rysunków w gimnazjum, kiedy dziewczęta pochylają się nad swoimi kartkami rysunkowymi, podnoszę głowę i spotykam Twój wzrok. Obserwowałeś mnie. Twoje spojrzenie mówi mi, iż znasz moją tajemnicę – że wiesz o mnie wszystko!

Odczuwam jeszcze większy strach przed Tobą i zaczynam Cię unikać. Jednocześnie stroję się w najpiękniejsze bluzki, gdy spodziewam się, że przyjdziesz do nas w odwiedziny. Godzinami wystaję przed garderobianym lustrem, wykonując przeróżne teatralne ruchy baletowe. Kiedy w szkole tańca odbywają się występy uczennic i wiem, że rodzice przyprowadzą Cię ze sobą, czuję się rozgorączkowana i mam taką tremę, że co parę minut muszę biec do łazienki. Kiedy przychodzi moja kolej, zdaje mi się, że ofiaruję mój taniec nie Tobie, lecz poprzez Ciebie komuś, kto istnieje gdzieś poza twoim fizycznym bytem – bogini piękna i miłosnego cierpienia.

Przestaję przeszkadzać Ci podczas lekcji. Jednak w domu nigdy nie wdaję się w rozmowę z Tobą, w przeciwieństwie do Wierki, która robi to często. Ty też zdajesz się mnie unikać. Dochodzi między nami do swego rodzaju zawieszenia broni. I właśnie wtedy zwracasz się z prośbą do rodziców, żebym pozowała Ci w moim kostiumie baletowym. Rodzice zgadzają się ochoczo, jednak ja nie chcę nic o tym słyszeć. Jak miałabym wytrzymać sam na sam z Tobą w pokoju, czując ciągle na sobie Twój wzrok? Przecież nie będę mogła złapać tchu! Kręcę zdecydowanie głową i z wielką złością mówię do was wszystkich, że nie mam czasu ani cierpliwości na takie głupie i zbędne projekty.

– Wyświadcz mi tę osobistą przysługę – nalegasz na mnie. – Nie zabiorę ci zbyt dużo czasu. Jedną, dwie godziny w soboty przez parę tygodni.

---

[318] Kino-Teatr Czary mieścił się przy ul. Cegielnianej 34 (dziś to plac przy zbiegu ul. Jaracza i Piotrkowskiej).

Zamiast Ci odpowiedzieć, wybiegam z domu. Czuję się zbyt słaba, by móc wdać się w spór z Tobą. Ku mojemu zdziwieniu Wierka wybiega za mną na ulicę i bierze mnie pod ramię.

– Co się z tobą dzieje, głuptasie? Powinnaś się czuć wyróżniona. Ja byłabym mu wdzięczna... – mówi. Wyczuwam nutę zazdrości w jej głosie i schlebia mi to bardziej niż Twoja propozycja.

– Ale ja nie jestem tobą! – krzyczę na nią i uciekam.

Cederbojmowie świętują urodziny Malki. Zorganizowanie przyjęcia jest pomysłem Wowy. Malka skończyła piętnaście lat i najwyższy czas, by po raz pierwszy – nie licząc urodzin, które urządzano jej w przedszkolu – zorganizować dla niej z tej okazji skromną uroczystość w domu.

Jesteś zaprzyjaźniony z większością znajomych rodziców i Ciebie również zaprasza się na to przyjęcie. Siedzę obok taty i sączę wino rodzynkowe z jego szklanki, gdyż moja jest już pusta. Nagle tata szepcze mi do ucha:

– Okaż Abraszy dziś wieczorem trochę życzliwości, żegnając się z nim. Jutro rano wyjeżdża do Bocianów, gdyż jego ojciec jest bardzo chory.

Po przyjęciu, kiedy przychodzi moja kolej, by pożegnać się z Tobą, jakaś siła popycha mnie naprzód. Wpadam w Twoje ramiona, zaplatam ręce wokół Twojej szyi i całuję Cię w lewą stronę podbródka.

Następnego dnia wszczynam całą serię kłótni z rodzicami, Wierką, a nawet z Nońkiem, który w zasadzie jest moim ulubieńcem. Z mamą sprzeczam się o to, czyja kolej pozmywać naczynia, wynieść śmieci czy załatwić sprawunki. Na tatę dąsam się, bo nie mogę znieść jego służalczości w pracy, a także dlatego, że on i ja bardzo się od siebie oddaliliśmy. Noniek działa mi na nerwy, ponieważ woła na mnie: „obecna – nieprzytomna", gdyż często nie słyszę, co do mnie mówi. A jeśli chodzi o Wierkę, to nigdy nie brakuje mi powodów, by się na nią rozgniewać. Wszyscy działają mi na nerwy. Najlepiej czuję się w szkole tańca. Tam jestem zmuszona myśleć wyłącznie o tym, co w danym momencie robię. Tam muszę się koncentrować i trzymać w ryzach.

Jednak w szkole tańca też nie powodzi mi się najlepiej. *Madame* Felicja narzeka, że rosnę za szybko, robię się za wysoka i mam zbyt pełny biust. Szkoła tańca przygotowuje się do pierwszego wielkiego występu w sali filharmonicznej, podczas którego zaprezentujemy *Szeherezadę* z własną choreografią *madame* Felicji. Nie mamy żadnych męskich tancerzy i ze względu na mój wysoki wzrost oraz dobrze rozwiniętą sylwetkę *madame* Felicja przydzieliła mi rolę sułtana. Jest to interesująca rola, dająca wiele możliwości, ale nie przypada mi do serca. Noszę w sobie duszę księżniczki Szeherezady. Nie przychodzi mi wcale łatwo przekonać o tym *madame* Felicję, jednak koniec końców wywalczam dla siebie to, czego chcę. Zaczynam wczuwać się w rolę nieszczęśliwej, lecz nieugiętej księżniczki, która posiadała tak wyjątkowy talent do opowiadania historii, że dzięki niemu uratowała swoje życie. Opowiadanie historii i narażanie własnego życia, umiejętność wytańczenia opowieści całą moją istotą – staje się moim celem.

Przychodzi list od Ciebie, Abraszo, adresowany do Jankewa. Ukradkiem odpisuję sobie adres zwrotny, choć nie mam zamiaru do Ciebie pisać. Jednak później właśnie to robię. Siadam na schodach obok drzwi do naszego mieszkania, kładę teczkę na kolanach i piszę do Ciebie na kartce wyrwanej z zeszytu. „Drogi Abraszo…" – ołówek kołysze się nad kartką papieru, moje pismo jest nierówne, litery poplątane – „kocham Cię i nie wiem, co z tym zrobić…".

Nie wysyłam tego listu, lecz kiedy widzę Cię w szkole po Twoim powrocie z Bocianów, Twoje oczy zdradzają mi, że i tak znasz jego treść.

*

Koniec końców nie tańczę roli Szeherezady, do której się tak intensywnie przygotowywałam. Tańczy ją młoda asystentka *madame* Felicji, Sonia Wajskop. Sonia jest już od dawna w specjalnej klasie dla wybranych przez *madame* Felicję tancerek, do której ja mam przejść dopiero w przyszłym roku szkolnym. Tymczasem jestem chora. Mam dyfteryt.

Moje życie wisi na włosku. Mama nie odstępuje od mojego łóżka ani w dzień, ani w nocy. Jej dłoń gładzi mnie bez przerwy, jak gdyby próbowała zetrzeć ze mnie chorobę. Jankew zwalnia się wcześniej z pracy, by być wieczorami w domu i nie chodzi na żadne zebrania. Jednak nie pozwalam mu zbliżać się do mnie, podobnie jak kiedyś, kiedy chorowałam, będąc małą dziewczynką. Wszystko, czego chcę, to mieć obok siebie mamę i czuć dotyk jej dłoni. Dopiero kiedy mija niebezpieczeństwo i zaczynam wracać do zdrowia, ponownie cieszę się z towarzystwa taty.

Jego twarz jest poważna, a oczy wilgotne, zamglone, pełne melancholijnego smutku, jak gdyby przepełniał go jakiś utajony ból. Godzinami opowiada mi historie z czasów, kiedy był Twoim nauczycielem w Bocianach, Abraszo. Wcześniej nie chciałam ich słuchać, teraz nigdy nie mam ich dość. Kiedy tata siedzi obok mojego łóżka i jesteśmy sami w domu, prosi mnie:

– No, a teraz ty opowiedz mi trochę o sobie.

– Nie ma o czym opowiadać – zapewniam go i tracę do niego cierpliwość.

*

Wychodzę z choroby niczym motyl z poczwarki – staję się kwitnącą, młodą kobietą. Moja twarz przybiera ostateczny kształt, cera jest wyleczona z pryszczy, gładka i czysta. Jestem podobna do Binele, tyle że wyższa od niej i nie mam piegów. Moje włosy są gęste, grube, ciemnoblond z rudawym połyskiem. Dzięki ciągłym rytmicznym ćwiczeniom moje ciało jest zwinne, gibkie i szczupłe. Mój chód jest lekki, ale pewny, a ruchy harmonijne. Jestem zakochana w sobie i niczym Narcyz podziwiam ciągle moje odbicie w dużym, ściennym lustrze w szkole tańca i w garderobianym lustrze w domu. Jestem spokojna i często w zrównoważonym nastroju.

Żywię ciepłe uczucia wobec rodziny i nawiązuję bliższą więź z Wierką. Nasze sprzeczki kończą się i coraz częściej wdajemy się w poufałe rozmowy, chociaż o drugorzędnych sprawach. Wierka jest cierpliwa, przystępna i opowiada mi chętnie o swoich przyjaciołach i sobie. Jednak jakaś część niej pozostaje dla mnie obca i pełna zagadek. Ja również powstrzymuję się od odkrycia przed nią tego, co leży na dnie mego serca. Każda z nas żyje swoim własnym życiem i myśli o własnej przyszłości. Żyjemy dla niej, tak samo jak nasi rodzice. Chociaż teraz nie czuję się dłużej gorsza od Wierki, zazdrość o nią wciąż tkwi gdzieś głęboko we mnie, niczym narośl. Jednak przez to, że tak długo żyłam, nosząc ją w sercu, nie zdaję sobie już z niej sprawy.

Najlepiej czuję się w relacji z Nońkiem. Z nim kontakt jest najłatwiejszy, beztroski. Lubię na niego patrzeć. Ma w sobie chłopięcy wdzięk i wrażliwość. Rysy jego twarzy są szlachetne i delikatne. Nie mogę powstrzymać się od przeczesywania palcami jego krótkich, brązowych włosów. W odkrywaniu przez niego świata jest swoista świeżość i oryginalność, podobnie jak w jego sposobie wyrażania się, który powoduje, iż wracam myślami do moich własnych lat dziecinnych i do samych korzeni mowy. Jest to zabawne i intrygujące. Dzięki Nońkowi opanowuje mnie nagle pragnienie, by zostać nauczycielką, lecz nie jakąś zwyczajną, tylko reformatorką systemu szkolnictwa w globalnym wymiarze – pedagogiem z wizją. Jestem przekonana, iż szkoła jako instytucja edukacyjna poniosła zupełną porażkę, że niweczy urok dzieciństwa, psuje naturalne wyczucie piękna, podcina skrzydła fantazji dziecka i tępi jego wrodzoną kreatywność. Książka Sigrid Undset[319] pt. *Szczęśliwy wiek*[320] jest moją biblią.

W Moskwie mają miejsce procesy sowieckich przywódców. W Hiszpanii trwa wojna domowa. Szaleństwo rozpętane przez Hitlera i Mussoliniego rozprzestrzenia się i sięga progów Polski. Atmosfera podczas Twoich wizyt w naszym domu, Abraszo, które zwykły być radosnymi wydarzeniami, zostaje zatruta zażartymi dyskusjami między Tobą a Jankewem. Jeśli bierze w nich udział również Wowa Cederbojm, muszę wybiec z mieszkania. Nie mogę pojąć, dlaczego jesteście tak wściekli na siebie nawzajem. Wszyscy trzej zgadzacie się, jeśli chodzi o moskiewskie procesy, wojnę domową w Hiszpanii czy umacnianie się faszyzmu i całą okropną sytuację polityczną na świecie. Wasze opinie różnią się jednak całkowicie w kwestiach dotyczących żydowskiego losu i znalezienia rozwiązania dla żydowskiego narodu. Chociaż Ty i tata jesteście coraz silniej do siebie przywiązani, ideowo coraz bardziej oddalacie się od siebie. Obaj martwicie się

---

319 Sigrid Undset (1882-1949) – norweska pisarka, autorka powieści i opowiadań, w 1928 r. otrzymała Nagrodę Nobla w dziedzinie literatury.

320 *Szczęśliwy wiek* – powieść Sigrid Undset z 1908 r., której tematem jest romantyczna miłość młodych dziewcząt i moralny konflikt pomiędzy obowiązkami społecznymi i oczekiwaniami rodziny a dążeniem do wolności i swobodnego rozwoju.

tym i macie do siebie nawzajem żal. W waszych głosach pobrzmiewa nuta desperacji. Marzyciel Jankew w żaden sposób nie może przekonać się do Twoich marzeń. Jego zdaniem nadzieje na żydowską ojczyznę są niebezpieczną ułudą.

Ja oczywiście zgadzam się z tatą. Jestem przekonaną bundystką. Teraz, gdy uczęszczam już do gimnazjum, postanawiam pójść w ślady Wierki i wstąpić do socjalistycznej organizacji młodzieżowej SOMS[321], chociaż ledwo starcza mi czasu, by złapać oddech. W gruncie rzeczy polityczne dyskusje śmiertelnie mnie nudzą, bo za każdym razem powtarza się w nich te same frazy. Jednak burzliwe czasy i moja młodzieńcza brawura domagają się aktywności i nie pozwalają mi stać biernie z boku, zwłaszcza że przynależność do organizacji politycznych jest dla gimnazjalistów zabroniona.

Spotkanie nowo zwerbowanej grupy SOMS, do której zostałam przydzielona, odbywa się w mieszkaniu organizatora, towarzysza Władka. Dużo o nim słyszałam. Studiował kiedyś prawo na Uniwersytecie Warszawskim, zanim wprowadzono tam getto ławkowe dla żydowskich studentów. Miał właśnie przystąpić do przedostatniego egzaminu, kiedy został wciągnięty w bójkę z antysemickimi studentami. Wyrzucony z Uniwersytetu Warszawskiego przez parę semestrów kontynuował studia w Anglii, gdzie nauczył się gruntownie języka angielskiego. Kiedy zabrakło mu pieniędzy, zmuszony był powrócić do Łodzi. Obecnie udziela się aktywnie w partii i pracuje w biurze związków zawodowych.

W podniosłym nastroju i z wewnętrznym drżeniem stukam tego wieczoru do drzwi kawalerki towarzysza Władka. Szczupły, nadzwyczaj przystojny mężczyzna wpuszcza mnie do środka. Jest pewny siebie i wrażenia, jakie wywiera na młodych dziewczętach. Uśmiecha się do mnie przyjaźnie uśmiechem, który wydaje mi się bardzo znajomy. Jestem pewna, że gdzieś już tego przystojniaka widziałam, lecz nie mogę sobie przypomnieć gdzie.

Towarzysz Władek referuje z męskim wdziękiem. Przemawia do zgromadzonych w pokoju bardzo elegancką polszczyzną, bogato ozdobioną nadętymi frazami i perłami marksistowskiej terminologii. Mówi o stosunkach między żydowską inteligencją a masami robotniczymi, o celach organizacji SOMS, o środkach propagandy odpowiednich do pracy wśród młodzieży gimnazjalnej, o rozprowadzaniu ulotek w szkołach i o potrzebie – w obliczu sytuacji politycznej na świecie – by każdy jeden z obecnych organizował nowe komórki młodych, socjalistycznych intelektualistów. Gdy tak mówi, szukam w pamięci, gdzie go po raz pierwszy widziałam.

Nagle przypominam sobie – w Bocianach! Widzę we wspomnieniach, jak idzie pod rękę z ciocią Szejndlą!

Skaczę na równe nogi. Jestem tak oszołomiona i rozgorączkowana, że zapominam zupełnie, gdzie się znajduję i co robię.

[321] SOMS – Socjalistyczna Organizacja Młodzieży Szkolnej.

– Pan jest Amerykaninem! – wołam. Zgromadzeni młodzi chłopcy i dziewczęta odwracają się w moją stronę i patrzą na mnie, jakbym postradała zmysły. – Był pan w Bocianach! – wołam, celując palcem we Władka.

Władek uśmiecha się do mnie przyjemnym uśmiechem.

– Masz na myśli sztetl Bociany? Oczywiście, byłem tam. Urocze miasteczko. Lata temu, podczas strajku generalnego wysłano mnie tam, by organizować strajk w fabrykach.

– Pan zna moją ciocię Szejndlę! – kontynuuję atak.

– Kogo? – Uśmiech Władka przechodzi w rubaszny śmiech. – Zawarłem tam znajomość z wieloma ciociami – mówi, śmiejąc się i pokazując przy tym dwa rzędy swoich pięknych, lśniących zębów. Jego śmiech jest zaraźliwy. Wszyscy wokół mnie śmieją się serdecznie razem z nim.

– Ale z moją ciocią, Szejndlą Polin, zna się pan szczególnie dobrze, czy nie tak? – ciągnę oskarżającym tonem. Siedzący wokół mnie rozbawieni uczestnicy spotkania zaczynają się niecierpliwić i okazywać niezadowolenie. – Przynosiłam panu liściki od niej i zanosiłam jej liściki od pana! – wołam, gotowa rzucić się na niego.

Zebrana młodzież ma dość. Władek, trochę zażenowany, zaczyna uspokajać:

– Nie odbiegajmy od tematu, towarzysze. – Następnie zwraca się do mnie: – Nie marnujmy naszego cennego czasu, towarzyszko. Jeśli chcesz szczegółowo omówić tę kwestię, jestem gotów spotkać się z tobą prywatnie i wszystko ci wyjaśnić. – Odwraca wzrok ode mnie i wraca do drugiego tematu swojego referatu, dotyczącego obowiązujących w dzisiejszym społeczeństwie dwóch miar sprawiedliwości – innej dla klasy bogaczy i innej dla klasy biednych.

Siadam, ale nie słyszę ani słowa z referatu Władka. Siedzę jak na rozpalonych węglach. Po paru minutach nie mogę dłużej wytrzymać i znowu zrywam się na nogi. Podbiegam do drzwi i zatrzymując się w progu, odwracam się do Władka.

– Do diabła z pańską sprawiedliwością! – wołam. – Do diabła z takimi socjalistami jak pan! Do diabła z tym całym socjalizmem! – Wybiegam z pokoju i zatrzaskuję drzwi z taką siłą, że cały ledwo zipiący domek, w którym mieszka Władek, o mało się nie rozpada.

Wzburzona i zaaferowana biegnę ulicami i nie mogę się uspokoić. Jak można takiemu zepsutemu socjaliście jak Władek zawierzyć budowanie nowego świata? Kto mu w ogóle kazał zostać socjalistą i bezcześcić szczerą wiarę innych ludzi? Nie ma potrzeby spotykać się z nim prywatnie i wysłuchiwać jego wyjaśnień. Na pewno znajdzie sobie jakieś bardzo sprytne wymówki. Studiował przecież prawo! Ale na całym świecie nie ma najmniejszego usprawiedliwienia dla tego, co zrobił Szejndli.

Wprawdzie wysłano go do Bocianów, by wykonał ważną pracę i musiał pozostać w konspiracji, żeby policja nie nabrała podejrzeń. Nie był też odpowiedzialny za atak na Żydów podczas strajku. Ale co to wszystko ma wspólnego ze złamaniem serca Szejndli w tak niegodziwy sposób? Czy jej serce też było ofiarą na ołtarzu ideałów Władka?

Na ulicy pada jesienny deszcz. Czuję, jak moje gorące serce ściskają lodowate kleszcze. Nie chodzi tylko o to, że Władek skrzywdził Szejndlę. Nagle ogarnia mnie bolesna świadomość, że nie mam się czego trzymać, w co wierzyć. Kiedy byłam dzieckiem, zwykłam wierzyć w taki socjalizm, który miał związek z marzeniami o Nibylandii. Socjalizm był terapią na wszystkie cierpienia, jakie spotykały mnie w rzeczywistym świecie. Teraz wszystko, co mi pozostało, zostało zredukowane do dziecinnej potrzeby wiary, potrzeby, której nie mogę więcej zaspokoić.

Pozostaję taką samą dobrą bundystką jak wcześniej. Jednak wszystko, co bundyzm mi daje, to sucha teoria zaprowadzenia sprawiedliwości w kwestiach związanych z praktyczno-materialnym, powszechnym życiem. Moja wiara, że socjalizm uczyni szlachetniejszym ludzkie serca, zaczyna się rozwiewać. Incydent z Władkiem uświadamia mi, że moja dusza stała się świątynią bez Boga.

Okres wewnętrznego spokoju minął i moje nastroje zaczynają dopasowywać się do pogody. Zimowe dni ciągną się, przytłaczając swoją monotonnością. Każdego ranka wstaję z łóżka z oczekiwaniem, że wydarzy się coś radosnego i przyjemnego, lecz już wkrótce monotonia szkolnego dnia niszczy moje nadzieje. Mówię sobie, że nie wolno mi się buntować, że ta pajęczyna żmudnej egzystencji jest drabiną, po której wspinam się do celu. Jednak nie jestem już dłużej pewna, co jest moim celem. Coraz bardziej brakuje mi strychu na czwartym piętrze. Brakuje mi „tańczenia" wśród suszącego się prania i nastroju, jaki się wtedy wokół mnie wytwarzał. Jednocześnie jednak wątpię, czy posiadam jeszcze czystość serca, która pozwoliłaby mi pląsać między mokrymi, połatanymi prześcieradłami i widzieć coś innego – niż tylko mokre, połatane prześcieradła.

Żeby uciec od zimowej melancholii, próbuję umocnić moją przyjaźń z Sorką Fidler i Malką Cederbojm. W wolne wieczory włóczę się razem z nimi po ulicach. Podobnie jak ja, czują się wyobcowane w gimnazjum, co zwiększa poczucie bliskości między nami. Wszystkie trzy cierpimy z powodu tego samego bólu istnienia, który wynika z naszych rozmyślań o niedoskonałości świata. Czujemy się, jakbyśmy niosły na naszych ramionach ciężar całej ludzkości. Niepokoimy się brunatnym zagrożeniem, które szerzy się w Europie. Poza tym martwimy się sytuacją kobiet i dyskutujemy o potrzebie emancypacji. Malka i Sorka mówią najwięcej podczas tych spacerów, a ja jestem bardzo cierpliwą słuchaczką. Wszystkie trzy przeczytałyśmy książkę *Biologisze tragedie fun der froj*[322] i nie zgadzamy się z autorem. Uważamy, że taka tragedia nie ma miejsca[323].

---

[322] Anton W. Niemiłow, *Biologisze tragedie fun der froj*, tł. z ros. na jidysz: Grisza Jaszuński, Warszawa 1929.

[323] Niemiłow pisze o jednostronności w traktowaniu płci na korzyść mężczyzn, nawołuje do poznania „biologicznej prawdy o kobiecie", ale także ośmiesza „burżuazyjny" ruch sufrażystek i apeluje, by nowa proletariacka „ideologia płci" była oparta na apoteozie życia i prokreacji.

Kiedy wieczory stają się cieplejsze i przedwiosenny deszcz łapie nas na ulicy, przejmuję inicjatywę. Chwytam Malkę i Sorkę za ręce i ze śmiechem puszczamy się galopem po nagle opustoszałej, mokrej od deszczu ulicy. Krzyczymy z czystej przyjemności, pozwalając, by deszcz padał na nasze głowy i obmywał twarze. To cwałowanie po kałużach wywołuje w nas uczucie swobody i triumfu.

Najbardziej jednak lubię spędzać czas osobno z Malką lub z Sorką, gdyż wówczas rozmowy z nimi są bardziej intymne. Ale nawet wtedy to Malka i Sorka prawie cały czas mówią, a ja słucham. Najwyraźniej one bardziej potrzebują otworzyć przed kimś serce. Malka jest po uszy zakochana w chłopcu z SOMS, a Sorka chodzi z Mendlem Sznajderem i nie może się zdecydować, czy kocha go tylko platonicznie, czy również zmysłowo. Ja sama nie jestem już dłużej pewna, czy jestem zakochana w Tobie, Abraszo. Staram się nie myśleć o Tobie, kiedy Cię nie widzę.

Sorka jest niskiego wzrostu i sięga mi do ramienia. Ma włosy w kolorze bardzo jasny blond, prawie białe, oraz małe, czerwone usta. Nosi okulary, jak jej ojciec, i jest bardzo poważna nawet wtedy, gdy chodzi o niepoważne sprawy; ma znikome poczucie humoru. Zazwyczaj milczy uparcie i jest zamknięta w sobie, jednak jej romans z Mendlem Sznajderem czyni ją bardziej rozmowną. Poza tym zwierza mi się ze swojej tajemnicy, iż przed paroma miesiącami zaczęła pisać powieść po polsku. Polityka zupełnie jej nie interesuje i jest zwolenniczką asymilacji. Jakby na przekór swojemu ojcu i towarzyszce Hance, odnosi się bardzo krytycznie do wszystkiego, w co wierzą. Całkiem wbrew swojej naturze omawia ze mną długo i dogłębnie powieść, którą pisze. Nigdy nie przerywam jej, kiedy mówi. Milczenie nie leży wprawdzie w moim charakterze, ale małomówność stała się dla mnie swego rodzaju pozą, którą przyjmuję w tym czasie, ponieważ pasuje do mojego pesymistycznego spojrzenia na życie. W końcu Sorka sugeruje, żebym zainterweniowała u Wierki, aby ta zgodziła się przeczytać parę rozdziałów jej powieści i wypowiedzieć się na jej temat. Sorka darzy Wierkę, która jest w końcu nieomalże uznaną poetką, ogromnym szacunkiem.

– Mam nadzieję, że mi też pozwolisz ją przeczytać – odzywam się.

Sorka kiwa głową.

– Oczywiście. Kiedy ją skończę.

Uśmiecham się gorzko. Moje dwie najlepsze przyjaciółki, mimo że opowiadają mi o swoich sercowych problemach, nie widzą we mnie, podobnie jak wszyscy inni, nic więcej jak tylko „parę nóg". Czasami podejrzewam, że przyjaźnią się ze mną jedynie dlatego, iż odrobina sławy mojej siostry spada również na mnie. Wierka nie jest w końcu byle kim! To wspaniała młoda kobieta z długimi, brązowymi warkoczami, „gwiazda" gimnazjum i poetka, której wiersze ukazują się w szkolnej gazecie.

Malka i Sorka same są znakomitymi uczennicami. Malka jest świetna z historii, matematyki i przedmiotów ścisłych, a Sorka z języków. Podobnie jak Wierka, dają prywatne lekcje i same pokrywają czesne za gimnazjum. Ja w niczym się

nie wyróżniam. Rodzice opłacają za mnie gimnazjum i szkołę tańca. Jest więc oczywiste, że Malka i Sorka mają prawo odnosić się do mnie z lekceważeniem. Ja nic z siebie nie daję. Jestem nikim.

Najgorsze jest to, że nauka w szkole tańca przynosi mi coraz mniej satysfakcji. Wprawdzie zapewnia memu ciału odpowiednią porcję ćwiczeń, dzięki czemu jest gibkie i zgrabne, jednak nie jestem dłużej w stanie wyrazić w tańcu mojej duszy. Dzień w dzień wykonuję te same rutynowe ćwiczenia. Lekcje stają się trochę ciekawsze, kiedy *madame* Felicja Markiewicz zaczyna chodzić po szkole z plikiem notatek w ręce i przygotowywać dziewczęta do występu.

Każdy występ rozbudza we mnie na nowo marzenie stania się wielką tancerką. Do tego *madame* Felicja rozpala jeszcze bardziej moją wiarę we własne siły swoim nowym, fantastycznym pomysłem. Myśli o wysłaniu najlepszych ze swoich uczennic do miasta, w którym znajduje się teatr operowy, co dałoby im szansę na wystąpienie z *corps de ballet*. Fantazjuje nawet o posłaniu dziewcząt do Paryża, do słynnej szkoły baletowej Rolanda Petita[324] lub do innej akademii tańca. Nie widzi przyszłości dla swoich tancerek w Łodzi, mieście dymu, miasta, które odziera ludzkie ciało z godności. *Madame* Felicja za bardzo kocha swoją sztukę, by pogodzić się z faktem, że wykonuje syzyfową pracę. Chce uratować swoją duszę poprzez swoje uczennice i pragnie, żeby były jej ukłonem w stronę świata – ukłonem umierającego łabędzia.

Nie jestem pewna, czy *madame* Felicja zamierza uwzględnić mnie w swoich planach. Stałam się wysoka i mam za duży biust jak na baletnicę. *Madame* Felicja nie mówi mi tego wprawdzie wprost, lecz dają mi to do zrozumienia jej spojrzenia. Noszę obcisłe biustonosze, usiłując w ten sposób spłaszczyć piersi.

Madame Felicja wyczuwa najwyraźniej mój niepokój, ponieważ pewnego razu po lekcji odzywa się do mnie:

– Możliwe, że jesteś za wysoka i masz za pełny biust jak na tancerkę baletu. Balet może wprawdzie wyrażać kobiecą zmysłowość, jednak nie poprzez prezentowanie bujnych, kobiecych kształtów tancerki. Mimo to... Musisz pojechać do Paryża. Czego nauczyłaś się u mnie i czego nauczysz się tam, nie pójdzie na marne. To trochę jak opanowanie czytania i pisania. Jakby nie było, będziesz miała solidne podstawy jako tancerka.

Uśmiecham się gorzko.

– Pojechać do Paryża? Ale, *madame*, skąd wezmę na to pieniądze?

Madame Felicja klepie mnie po ramieniu.

– Jeśli chcesz czegoś bardzo mocno... Jeśli tego chcesz...

Chcę tego bardzo mocno. Zaczynam fantazjować o opuszczeniu Łodzi. Oczywiście

---

[324] Tu autorka pomyliła się, Roland Petit (1924-2011) – francuski tancerz i choreograf – był niemal jej rówieśnikiem i swój zespół Ballets des Champs-Elysees założył dopiero w 1945 r., a Ballets de Paris trzy lata później.

są to puste marzenia, ale marzenia nic nie kosztują. Rozmyślam o tym, że taki krok przerwałby szarą fakturę monotonii mojego życia. Paryż jest dalekim portem światła, który wabi obietnicą wolności, samodzielności i rozwinięcia skrzydeł. Ale nawet zapał, jaki rozpala we mnie to marzenie, jest jak słomiany ogień. Nie uśmierza bolesnego uczucia, które wgryza się w moje serce, że nie tylko nie zostanę nigdy żadną wielką reformatorką w dziedzinie edukacji, ale co gorsze: nigdy nie zostanę żadną natchnioną tancerką baletu. Najważniejsze pytanie brzmi: co poczną z moim życiem, jeśli nie będę tancerką?

Wędruję bez celu ulicami. Czasami przechodzę obok budynku, w którym mieści się koszerna restauracja Feldmana. Wspinam się po schodach i zaglądam do wnętrza przez oszklone drzwi. Widzę tatę, jak w śmiesznej mycce na głowie uwija się między stolikami i gnie w ukłonach przed „gośćmi". Tracę ochotę na to, by wejść do środka, i zbiegam z powrotem na ulicę.

Rozdział dwudziesty drugi

Pada drobny, monotonny deszcz. Zimno i wilgoć przenikają aż do szpiku kości. Odprowadziłam już dwie koleżanki z klasy ze szkoły tańca i wciąż jeszcze nie chce mi się samej wracać do domu, chociaż jestem przemoczona deszczem i zmęczona długim dniem, który mam za sobą. Nagle przychodzi mi go głowy, by wpaść do Ciebie, Abraszo, do Twojej mansardy, i zobaczyć, co się wydarzy.

Wciąż jeszcze masz swoje studio przy ulicy Fabrycznej, niedaleko Składowej[325]. Wdrapuję się na czwarte piętro i słyszę szczekanie Samsona. Przyjmujesz mnie bez oznak zdziwienia, z fajką między zębami, bosy, rozczochrany, w rozpiętej koszuli wystającej ze spodni. Kotka Dalila wita mnie gościnnie, krążąc wokół moich nóg. Samson macha ogonem.

– Pogłaszcz go – zachęcasz mnie.

Wyjmujesz fajkę z ust, ściągasz ze mnie wilgotny gimnazjalny płaszcz i wprowadzasz mnie w głąb swojego mieszkania. Nie ma tu jednego wolnego krzesła. Na wszystkich leżą albo stoją ukończone lub nieukończone figury w przeróżnych pozach, szmaty, książki, pudełka z farbami, druty, kawałki drewna i ubrania. Wskazujesz na duże łóżko obok żelaznego pieca, u stóp którego również stoi grupa rzeźb, odlewów gipsowych i makiet.

– Zrzuć buty i wciągnij się na łóżko. Wyglądasz na zmęczoną. – Wskazujesz na szyby w dachowym oknie. – Spójrz na wzór, jaki deszcz wymalował na szkle. Leżałem tu właśnie i podziwiałem. Teraz będziemy podziwiać razem, ale najpierw napijemy się czegoś na zdrowie.

---

[325] Ulica Składowa znajduje się tuż obok dworca Łódź Fabryczna, natomiast ulica Fabryczna mieści się na Widzewie (ok. 2 km na południe), prowadzi do niej ul. Targowa.

Chce mi się śmiać z Twojego wyglądu i ze sposobu, w jaki mnie przyjmujesz. Biorę kieliszek wódki z twojej ręki.

– Ale, Abraszo – chichoczę – ja się upiję. Nigdy nie próbowałam więcej jak łyk alkoholu.

Podnosisz kieliszek w toaście, zwracając się do mnie:

– Wypij, żebyś się nie przeziębiła. Najwyższy czas, żebyś zakosztowała kieliszka wódki, jak należy. Każdej rzeczy trzeba spróbować przynajmniej raz w życiu. No, wypij to jednym haustem. *Lechaim!* – Stukasz swoim kieliszkiem w mój, wlewasz sobie napój do ust i zaraz nalewasz sobie jeszcze jeden kieliszek. Naśladuję cię. – Brawo! – wołasz. Czuję, jak krew zaczyna mi się burzyć w żyłach. Iskry zapalają się i gasną przed moimi oczami. Zdejmujesz z parapetu słój, wyławiasz palcami kiszony ogórek i wręczasz mi. Potem dokładasz trochę węgla do ognia w piecu i myjesz ręce w stojącej na bocznym stoliku misce, pełnej szarawej wody mydlanej. Na koniec podchodzisz do łóżka, na którym siedzę i nakazujesz mi: – Przesuń się trochę. Popatrzmy sobie na deszcz.

Skaczę na równe nogi i śpieszę do drzwi.

– Muszę już iść! Wpadłam tylko na parę minut. Mama będzie się niepokoić.

Podchodzisz do mnie, chwytasz mnie za łokcie i mówisz spokojnie:

– Nieprawda. Przyszłaś, bo musiałaś przyjść. Usiądź więc z powrotem!

W głowie mi się kręci. Stojąc obok mojego wilgotnego płaszcza, który wisi na gwoździu na drzwiach, wyrzucam z siebie:

– Przyszłam, ponieważ w nic już nie wierzę!

Siadasz ze mną na łóżku i dotykasz bosą stopą pieca. Odczuwam zdumienie na myśl, że nie więcej niż rok temu czułabym się zupełnie inaczej, gdybym była z Tobą sam na sam w pokoju. Nie mam odwagi się poruszyć. Podłoga zdaje się przechylać w jedną stronę. Ściany, półki z książkami i rzeźby kręcą się wokół mnie. Jednak mój umysł jest przytomny i jasny.

– I jak się to stało, że wpadłaś w takie moralne błoto? – pytasz rozbawiony.

Opowiadam Ci o cioci Szejndli i o Amerykaninie, to znaczy o towarzyszu Władku. Gdy mówię, gładzisz bosą stopą kotkę, która łasi się do Ciebie. Kiedy kończę, odzywasz się:

– Mówi się, że kot ma siedem żywotów. Człowiek ma może nawet więcej niż siedem. Siedzi w nim cała menażeria ludzików, homunkulusów[326]. Krzyczą, szczekają, wrzeszczą, kraczą, śpiewają, modlą się i ciągną go w tą i tamtą stronę. Dosłownie rozrywają go na kawałki. Niełatwo jest sprawić, by wszystkie żyły ze sobą w harmonii, *mademoiselle*. Gdybyśmy tak potrafili wspierać w sobie te pozytywne i pozwolili negatywnym uschnąć, bylibyśmy aniołami. Nie wątpię, że twój towarzysz Władek jest dobrym socjalistą, może nawet wyjątkowo

[326] Homunculus (łac.) – człowieczek, karzełek, którego w średniowieczu próbowało stworzyć w sztuczny sposób wielu alchemików.

odważnym człowiekiem. Z drugiej jednak strony jest draniem i emocjonalnym kaleką, który zasługuje na cios w zęby za oszukanie i poniżenie twojej cioci Szejndli. To emocjonalny nędzarz, dlatego mści się na tych, którzy się w nim zakochują. Możliwe, że na tym polega jego tragedia.

– Jego tragedia? – wołam. – Litujesz się jeszcze nad nim? A co z ciocią Szejndlą?

– Właśnie, co z nią? Jej życie jest zniszczone? Wierzę ci. Pytanie brzmi, dlaczego tkwi w tym tak długo i pozwala się niszczyć. – Pies Samson jest zazdrosny o to, że gładzisz kota stopą i też domaga się pieszczot. Przytulasz go i zmieniasz temat. – Spójrz w górę na szyby – mówisz, zadzierając głowę. – Deszcz wygląda jak srebrna farba, która spływa po płótnie nocy. Czy rozmyślałaś kiedyś o wspaniałej osobliwości kropli wody? – Podnosisz otwartą dłoń, jakbyś oczekiwał, że spadnie na nią kropla deszczu. – Woda interesuje mnie i bawi. Jest jak ciasto, które nie daje się zagnieść w żadną formę, tylko przepływa i wyślizguje się spomiędzy palców. W płynnej materii jest coś magicznego. Alleluja na cześć wody!

Też zdajesz się być trochę pijany. Pytam:

– Byłeś kiedyś nad morzem?

– Byłem. – Potrząsasz rozbawiony głową. – Byłem nad morzem w Gdyni i w wiosce na Riwierze.

– A ja widziałam je tylko w wyobraźni.

– Jak wygląda morze w twojej wyobraźni?

Ku mojemu własnemu zdziwieniu zrzucam buty i wskakuję na łóżko, na brzegu którego siedzisz. Naśladując leniwe, płynne ruchy kotki Dalili, kołyszę się w górę i w dół na skrzypiącym materacu, który zaczyna się trząść na rozchwianych nogach łóżka. Podnoszę ramiona i wiosłuję nimi w powietrzu, a po chwili padam z rozpostartymi rękami na łóżko obok Ciebie, jak fala, która uderza o brzeg.

Kiwasz z aprobatą głową.

– Dokładnie tak wygląda morze. Jak wielki, szary kot. Ale morze też szumi.

– Daj mi usłyszeć, jak szumi morze, Abraszo. Rozszum się, no, dalej...

– Ono szuuumi... Ono tak szuuumi... – szumisz basem, a Samson dopomaga Ci szczekaniem. Wstajesz i zaczynasz krążyć po pokoju, naśladując moje poprzednie ruchy ramionami. Zeskakuję z łóżka i teraz tańczymy oboje, naśladując szum morza, rżąc i śmiejąc się w towarzystwie szczekającego Samsona, który podskakuje razem z nami – podczas gdy Dalila wyciąga się wygodnie na łóżku i spogląda na nas pogardliwie zmrużonymi oczami. Zatrzymujesz się obok drzwi i zdejmujesz mój płaszcz z gwoździa. – Teraz odprowadzę cię do domu, *mademoiselle*. Masz rację. Twoja mama, oby żyła i była zdrowa, ma zwyczaj martwić się o swoje potomstwo.

Zarzucasz płaszcz na moje ramiona, po czym wciągasz kurtkę, owijasz długi szal wokół szyi i zakładasz na głowę swój francuski beret. Opróżniasz fajkę i nabijasz ją świeżym tytoniem ze stosu, który leży na parapecie. Zapalasz fajkę i odwracasz się do mnie.

– Nie patrz! Będę zakładał skarpety. Pełno w nich dziur.

Zbliżam się do Ciebie i wyciągam stopę z buta.

– Nie przechwalaj się – wskazuję Ci moją stopę. – Ja też mam dziury w pończochach, patrz! – Liczę różowe miejsca, w których skóra prześwieca przez moje pończochy i Twoje skarpety, i śmieję się. – Dopóki mama cerowała moje pończochy, nigdy nie miałam w nich dziur. Ostatnio jednak wydała dekret, że muszę to sama robić. – Wpatrujesz się we mnie dziwnym wzrokiem. – Dlaczego tak na mnie patrzysz?

– Bo jesteś rudym kotem z zielonymi oczami. Dalilą.

– Dlatego chcesz, żebym dla ciebie pozowała? Żebyś miał jeszcze Dalilę w twoim haremie? A jak na przykład wyrazisz w rzeźbie zieleń moich oczu?

Nagle znajduję się w Twoich ramionach. Czuję Twoje pełne, szerokie wargi na moich ustach. Smakują tytoniem, wódką i pożądaniem. Jest mi jednocześnie gorąco i zimno. Samson szczeka zazdrośnie, ja drżę. Odrywasz z jękiem swoją twarz od mojej. Wyglądasz na rozgniewanego, gdy odpychasz mnie od siebie i wypychasz z mieszkania. Wychodzisz zaraz za mną, a Samson wybiega za nami. Na ulicy maszerujesz w pewnym odstępie ode mnie, z fajką między zębami i rękami w kieszeniach. Nie zamieniając ani słowa, dochodzimy do mojego domu.

– Dobranoc! – wołasz, po czym gwiżdżesz na Samsona, odwracasz się ode mnie i odchodzisz. Patrzę za Tobą, aż znikasz mi z oczu. Wciąż jeszcze czuję na wargach smak Twoich ust.

W nocy leżę w łóżku obok Wierki i słyszę, jak w moich uszach szumi morze. Nie mogę zasnąć. „Mam Abraszę! Abrasza jest mój!" – szepczę do siebie. Mój rozpaczliwy nastrój znika bez śladu. Znowu wierzę... Znowu mam nadzieję...

Następnego dnia w szkole boję się na Ciebie spojrzeć. Ty, ze swej strony, ignorujesz mnie. Wieczorem muszę się powstrzymywać, by nie pobiec do Ciebie, do Twojej mansardy. Wiem, że nie wolno mi, jeszcze nie. Leżąc wieczorem w łóżku, szepczę do siebie: „Mam Abraszę! Abrasza jest mój!". Moje usta po raz tysięczny przeżywają nasz pocałunek. W myślach zwierzam Ci się ze wszystkich moich tajemnic. Wyobrażam sobie, jak Ty opowiadasz mi o swoich, jak dzielisz się ze mną Twoimi ukrytymi myślami i marzeniami. W mojej fantazji słyszę jak Ty i ja śpiewamy w duecie balladę o tęsknocie do morza i jak szepczesz do mnie: „Chcę zabrać cię nad morze, byś mogła je zobaczyć", a ja odpowiadam Ci mądrze: „Nie bądźmy zbyt pochopni. Niech tymczasem morze przychodzi do nas".

Staję się przesadnie czuła wobec mamy oraz innych członków mojej rodziny. Patrzę na nich trochę z góry, dumna, taka dumna z siebie. Mam Abraszę! Nikt nie może się ze mną równać! Wieczory mijają mi na nieustającej walce z samą sobą, czy powinnam pobiec do Ciebie, czy nie. Czuję się, jakbym posiadała drogocenny napój, z którym muszę postępować oszczędnie i sączyć go kropla po kropli. To „posiadanie Abraszy" ma swoje granice i miarę. Mogę mieć z niego tylko tyle i ani kropli więcej. Czy nie nauczyłam się już, że to, co dobre, szybciej przemija i ulega zniszczeniu niż to, co złe?

Mijają dni. Rzadziej przychodzisz do naszego domu. Spotykasz się z Jankewem w restauracji Feldmana i tata przynosi nam pozdrowienia od Ciebie. Widuję Cię w gimnazjum, gdzie zwracam się do Ciebie na pan i po nazwisku – profesorze Kantorowicz. Rzadko rzucasz spojrzenie w moim kierunku i nie poświęcasz mi więcej uwagi niż to konieczne. Zdarzają się nawet dni, kiedy w ogóle o Tobie nie myślę. Jednak nie ma ani jednego momentu, w którym mój nastrój nie byłby naznaczony moim spotkaniem z Tobą w Twojej mansardzie.

Lekcje w szkole tańca dają mi coraz mniej satysfakcji. Nie dlatego, żebym popełniała wiele błędów podczas ćwiczeń, czy nie spełniała tego, czego się ode mnie oczekuje. Wręcz przeciwnie. Jestem zwinna i odprężona. Czasami nagły przypływ energii powoduje, że udają mi się ruchy, których do tej pory nie potrafiłam wykonać. Czuję jednak, że czegoś mi brakuje w tym wspaniale przestronnym pokoju z lustrzaną ścianą. Bardzo tęsknię za moim „tańcem na strychu".

W tym właśnie czasie nadchodzi wieść o śmierci Twojego ojca. Cała nasza rodzina smuci się wraz z Tobą. Jankew mówi dużo o reb Fajwelu Młynarzu, Twoim ojcu, u którego za młodu pracował. Od niego dowiedział się wiele o otwartym, dalekim świecie. Od niego pożyczał pierwsze świeckie książki i to on, reb Fajwel Młynarz, dwa razy „uratował" życie Jankewa. Zdaniem Jankewa reb Fajwel był niespokojnym człowiekiem o skomplikowanym charakterze. Przez ostatnie lata stał się zgorzkniały i przybity. Dwaj synowie, jego oczka w głowie, z którymi wiązał wszystkie swoje nadzieje, nie wyrośli na takich ludzi, jak on by chciał. Żaden z nich nie miał ochoty przejąć interesu, który z takim trudem stworzył. Starszy syn, obojętny na sprawy doczesnego świata, pozostał w Krakowie, by stać się rabinem, a młodszy – Ty, Abraszo – na domiar wszystkiego został rzeźbiarzem. Czy reb Fajwel umarł z żalu? Ty, Abraszo, nigdy nie miałeś dobrego słowa dla Twojego ojca i Jankew opłakuje go bardziej spontanicznie i otwarcie niż syn.

Ty i Jankew wyjeżdżacie do Bocianów na pogrzeb. Musisz tam zostać dłuższy czas, a kiedy wracasz, zima jest już w pełni. Twoje miejsce w gimnazjum zajął inny nauczyciel. Rezygnujesz z nauczania. Nienawidzisz wszelkiej dyscypliny, za wyjątkiem tej, której wymaga Twoja rzeźbiarska praca. Teraz, kiedy przypada Ci pokaźny spadek, możesz sobie pozwolić na wolność robienia tego, co naprawdę chcesz.

Jest sobotni poranek. Idę zobaczyć się z Tobą. Rozczochrany, pogrążony w myślach, przyjmujesz mnie, jak gdyby nic się nie wydarzyło w Twoim życiu, ani między nami obojgiem. Zauważam, że Twoje oczy otoczone są ciemnymi cieniami. Masz na sobie piżamę, a na niej szary, roboczy kitel i jak zwykle jesteś bosy. Twoje ręce pobrudzone są gliną. Na wysokim stojaku rzeźbiarskim na środku pokoju znajduje się bryła gliny, z której sterczą na wszystkie strony powyginane kawałki drutu. Wokół na podłodze stoją miski pełne gliny, przykryte mokrymi szmatami. Na niezaścielonym łóżku walają się ubrania, gazety i książki, a na nich drzemie kotka Dalila. Samson leży u stóp łóżka i reaguje na moje przyjście z taką samą obojętnością, jak jego pan.

– Wiesz, kiedy przyjść – odzywasz się w końcu do mnie. Nie potrafię poznać z tonu Twojego głosu, czy to znaczy, że jesteś zadowolony z mojego przyjścia, czy nie.

Mam zamiar wyrazić Ci moje współczucie, ale nie wiem, jak zacząć. Nie potrafię się odpowiednio wysłowić w takich sytuacjach. Potem jednak przychodzi mi do głowy, iż nie ma potrzeby, żebym Ci cokolwiek mówiła, bo z pewnością wiesz, że Ci współczuję. Proponuję, że pomogę Ci zagniatać glinę.

– Mam w tym dużo praktyki – żartuję. Żeby Cię rozweselić, opowiadam Ci o tym, jak podczas pewnego lata w Stefanowie dzieci z letniska postanowiły postawić pomnik Mikołajowi Kopernikowi. Śmieję się wymuszonym, sztucznym śmiechem.

– Dobrze – zgadzasz się. – Załóż na siebie kitel, który wisi na drzwiach. – Po raz pierwszy patrzymy sobie prosto w oczy. Zakładam kitel i siadam obok Ciebie na podłodze przy misce pełnej gliny. Pokazujesz mi, jak z nią pracować. Mrugasz do mnie i mówisz: – Dwoje dzieci bawi się gliną. – Wspominasz Joela Kowala z Bocianów. – Joel uważał, że każdy człowiek nosi w sobie jeden wielki strach i milion małych lęków. Ten wielki to strach przed śmiercią, a małe lęki dotyczą życia. Żeby chronić się przed tymi wszystkimi lękami, niektórzy szaleńcy wracają do dzieciństwa i bawią się gliną. Nazywają się artystami. Dzieci posiadają religijne dusze. Wierzą w cuda. Często wszystkim, co w dorosłym pozostaje z dziecka, jest religijność. Artysta jest niczym więcej, jak wierzącym dzieckiem.

Oczekuję, że zaczniesz mówić o swoim ojcu, lecz Ty nie odzywasz się więcej i pracujemy w milczeniu. Po chwili dodajesz:

– Ty też uratowałaś świętość twojego dzieciństwa, Miriam. Twój taniec i twoja tęsknota do morza... Atawistyczna tęsknota. W twoich żyłach płynie jeszcze muzyka fal. Wszyscy przecież wywodzimy się z morza i w pewnym sensie do niego powrócimy, do wielkiego morza nicości. – Zdaje mi się, że teraz zaczniesz opowiadać o Twoim ojcu, lecz zamiast tego ciągniesz: – Izadora Danken[327] powiedziała kiedyś, że rytm fal zainspirował ją do tańca. Wieczne wody, niosące nas na swoich grzbietach; wody, które nosimy w naszych organizmach; wody, które prześlizgują się przez nasze palce i których nie możemy utrzymać w garści – są materią naszego życia.

Jestem zdumiona. Nie masz pojęcia o moim „tańcu na strychu", jak możesz więc tak wiele o mnie wiedzieć? Wygłaszasz pean na cześć Isadory Duncan.

– Masz na myśli Isadorę Duncan? – pytam. Znam jej nazwisko wymawiane zgodnie z polską fonetyką.

– Tak, ona była największa! – zachwycasz się. – Powróciła do samego źródła tańca, który traktowała jak religijny rytuał. Widziałem ją raz podczas mojego pierwszego pobytu w Paryżu. Nazywano ją nagą tancerką, ponieważ na scenie

[327] Celowo niepoprawna pisownia. Isadora Duncan (1877-1927) – amerykańska tancerka, która stworzyła oryginalny, niepowtarzalny styl oparty na własnej filozofii.

nosiła przeważnie tylko grecką tunikę. Kto chociaż raz w życiu zobaczył, jak tańczy, nigdy jej nie zapomni. Widziałem, jak tańczyła marsz żałobny Chopina[328]. Taniec śmierci. Miała na sobie białą suknię i trzymała bukiet czerwonych róż. Gdy tańczyła, upuszczała jedną pachnącą różę po drugiej, tak, jak mijają nam dni jeden po drugim.

– *Madame* Felicja nigdy nie wspomina o Isadorze Duncan – zauważam.

Wzruszasz ramionami.

– Isadora jest trefna w świecie klasycznego baletu. – Zaczynasz opowiadać o jej początkach, kiedy po raz pierwszy postawiono ją na czubkach palców w szkole tańca w Ameryce. Zapytała wtedy nauczycielkę, dlaczego musi się uczyć tańczenia na czubkach palców i ta odpowiedziała jej, że taki taniec jest piękny. Jednak jej wydawał się brzydki. Oznaczał postępowanie wbrew naturze, wbrew normalnej budowie ludzkiego ciała, a to znaczy – wbrew spontaniczności. Nie widziała w tańcu na czubkach palców dążenia do podniesienia fizyczności ciała na duchowe wyżyny.

Wstajesz, myjesz i wycierasz ręce, po czym zbliżasz się do półek napakowanych książkami. Wyciągasz jedną z nich, kartkujesz ją i czytasz ze wzrokiem utkwionym w stronie:

– Jako młoda kobieta tańczyła zarówno z radością, jak i z przeczuciem... tragicznych, nieodgadnionych nurtów życia, bezlitosnej brutalności istnienia i destrukcyjnej siły upływu czasu.

Stoisz tak przy półkach z książkami ubrany w piżamę i w rozpiętym od góry kitlu. Bladość i wyraz Twojej twarzy mówią mi o bólu żałoby po ojcu, którego się nie kochało. Może dlatego powstrzymujesz się od wspominania o jego śmierci. Spoglądasz na mnie poważnym, przenikliwym wzrokiem. Wyznaję Ci, iż nie mam pojęcia, o co chodziło Isadorze Duncan w jej teorii tańca, i że ja osobiście uważam wszystkie inne formy tańca poza baletem za swawolne, dziecięce zabawy bez najmniejszego znaczenia.

Jestem krok od tego, by opowiedzieć Ci o moim dawnym zwyczaju tańczenia na strychu oraz o obecnym niezadowoleniu ze szkoły tańca. Zamiast tego jednak skaczę na nogi, wycieram ręce w kitel, który mam na sobie, i chwytam książkę z Twoich rąk. Obdarzam Cię głośnym całusem w policzek. Całujesz mnie, lecz ten pocałunek nie jest taki, jak nasz pierwszy. Zdejmuję szybko kitel i wkładam na siebie płaszcz. Z książką pod ramieniem macham do Ciebie ręką na pożegnanie i wybiegam z Twojej mansardy.

Czuję potrzebę, by być sam na sam z tą książką. Idę ulicą z nosem zanurzonym w niej i to tu, to tam łowię jakieś zdanie. Potrącam przechodniów i o mało

---

[328] Isadorze Duncan światową sławę przyniosła interpretacja twórczości Fryderyka Chopina. Podczas wieczorów chopinowskich jej taniec przeplatał się z muzyką kompozytora w wykonaniu znakomitych pianistów.

nie przewracam się na rogu, gdzie kończy się trotuar. Zimny wiatr pomaga mi przewracać strony, mróz szczypie w koniuszki palców. Wskakuję do nabitego ludźmi tramwaju i czytam, stojąc na platformie. Kiwam się tam i z powrotem, niczym pobożny Żyd nad modlitewnikiem.

Wpadam do domu jak wicher.

– Mamo! – wołam półszeptem, zauważywszy, że Jankew jeszcze śpi. – Muszę szybko przeczytać tę książkę i nikt nie może mi przeszkadzać!

– Jakżeby inaczej? – szepcze w odpowiedzi niezadowolona Binele. – Tak to jest, gdy czeka się na ostatnią chwilę, żeby przygotować się do egzaminu.

Z książką w ręce wyciągam się na niklowanym łóżku. Noniek siedzi przy stole i coś majsterkuje. Odwraca do mnie głowę i pyta zaciekawionym szeptem:

– Co to za książka?

– Książka! Zwyczajna książka! Daj mi spokój! – szepczę w odpowiedzi ze złością, żeby zniechęcić go do zadawania dalszych pytań.

– Kto ci nie daje spokoju? – pyta obrażony. – Chciałem tylko wiedzieć, jaki tytuł ma ta książka.

Wierka siedzi na sofie naprzeciwko łóżka i powtarza łacińskie wersy. Wstaje i recytując szeptem: *„carpe diem, quam minimum credula postero"*[329], podchodzi do mnie, po czym pochyla się do okładki książki, którą trzymam opartą o brzuch. Sylabizuje powoli:

– I-sa-do-ra Dun-can. Mo-je ży-cie[330].

– Do mojej klasy chodzi dziewczyna, która ma na imię Dora – zauważa Noniek.

Zeskakuję z łóżka, chwytam płaszcz i wybiegam z mieszkania. Siadam na lodowato zimnych, zabłoconych schodach w oficynie, zaraz pod brudną lampą, która ledwo zipiąc, świeci słabym światłem, jakby nie mogła się zdecydować, czy powinna dalej się żarzyć, czy też całkiem zgasnąć. Sąsiedzi, dorośli i dzieci, śpieszą ciągle obok mnie w górę i w dół schodów. Bolą mnie oczy i ledwo widzę tekst. Zesztywniała i zmarznięta zrywam się na nogi i wybiegam na ulicę. Gdzie mogę znaleźć bezpieczny kącik, w którym mogłabym być sam na sam z Isadorą Duncan i jej życiem w ten sobotni poranek? Najlepiej byłoby oczywiście usiąść w Muzie Zalmana Fidlera. Jednak boję się, że widząc mnie, Zalman zawoła Sorkę. Postanawiam więc pójść do czytelni biblioteki Kultur-Lige. Nie przychodzi mi do głowy, że w sobotni poranek czytelnia jest nabita do pełna czytelnikami i nie będzie tam gdzie usiąść i pochylić się nad książką.

Wybiegam z biblioteki w rozpiętym płaszczu i z rozwianymi włosami, trzymając książkę pod ramieniem. Parę minut później pukam do Twoich drzwi, Abraszo.

---

329 (łac.) *Chwytaj dzień, jak najmniej ufając przyszłości* – fragment Pieśni Horacego (65-8 p.n.e.), początek pieśni to najbardziej znana maksyma antyczna.

330 Isadora Duncan, *Moje życie* – książka została wydana w 1927 r., zaraz po śmierci artystki, w tym samym roku ukazało się pierwsze polskie wydanie.

– Chcę tu czytać! – wołam, zanim jeszcze przekraczam próg.

Sprzątasz z łóżka wszystkie papiery, ubrania i przeróżne inne rzeczy, po czym mówisz:

– Wskakuj!

Dalila wskakuje na łóżko razem ze mną. Ty nie odzywasz się więcej, tylko bierzesz się z powrotem do swojej pracy. Otwieram książkę i wzdycham z ulgą. Już jestem z Isadorą. Mijają godziny, a ja wciąż czytam. Wręczasz mi kawałek chleba z masłem, potem drugi. W ten sposób pochłaniam pół bochenka chleba i ledwo to zauważam. Kiedy mój wzrok odrywa się na chwilę od zadrukowanych stron, pytasz:

– W jakim miejscu jesteś?

– Ma swoją własną szkołę tańca – odpowiadam.

Parę godzin później znowu pytasz:

– W jakim miejscu jesteś teraz?

– Jest w Grecji. Buduje na wzgórzu dom dla swojej szkoły, świątyni tańca.

Późnym popołudniem informuję cię:

– Żyje z Jesieninem.

Chowasz się w kącie między półkami z książkami a ścianą i przebierasz się, po czym wychodzisz na ulicę. Kiedy wracasz, witam Cię, wołając z rozpaczą:

– Jej dzieci utonęły!

– Byłem u ciebie w domu – oznajmiasz mi – i powiedziałem twojej mamie, gdzie jesteś, żeby się o ciebie nie niepokoiła.

Nastał wieczór. Skończyłam czytać książkę. Jesteś zajęty przygotowywaniem czegoś do zjedzenia dla nas obojga. Opowiadasz mi o szczegółach śmierci Isadory, o tym, jak owinięty wokół jej szyi długi szal zaplątał się w koła automobilu, w którym jechała.

– Czy wiesz, Abraszo, co muszę teraz zrobić? – odzywam się. – Muszę dowiedzieć się czegoś o jej uczennicach.

Z energią potrząsasz przecząco głową.

– Isadora nie miała żadnej nauczycielki. Sama znalazła własną drogę. I jej droga być może wcale nie jest twoją. Po drugie jej uczennice i następczynie nie są tego samego kalibru co ona, nie posiadają jej magnetycznej siły. Oczywiście dobrze jest wiedzieć, co osiągają inni w twojej dziedzinie, jednak nie jest to absolutnie konieczne.

Podczas tego posiłku, który dla nas przygotowałeś, zwierzam Ci się z tajemnicy o moim dawnym zwyczaju tańczenia na strychu. Mówię z przekonaniem:

– Potrzebuję szkoły tańca jak dziury w moście. – Słysząc to, krzywisz się. – O co chodzi? – pytam. – Czy nie sądzisz, że zrezygnowanie ze szkoły baletowej powinno być moim pierwszym krokiem?

– Chińczycy mówią, że podróż tysiąca mil zaczyna się od pierwszego kroku. Bądź więc ostrożna, w jakim kierunku go robisz. Niezależnie od negatywnego zdania Isadory, balet jest prawdziwie wielką sztuką. Szkoła tańca

uczy cię gramatyki ruchu. Każdy impresjonista, kubista, futurysta, każdy jeden, kto uprawia jakąkolwiek sztukę, musi przede wszystkim znać jej podstawy, nieważne, jakie akrobatyczne sztuczki przy tym wyprawia. To tyczy się też twojej nauki w gimnazjum, którą tak zaniedbujesz. Gromadzenie wiedzy jest istotne. Nigdy nie wiadomo, skąd może pojawić się iskra, która rozpali w tobie ogień.

– Abraszo, proszę cię, przestań odgrywać pedagoga! – Tracę cierpliwość. – Dlaczego nie możesz zrozumieć, że zarówno gimnazjum, jak i szkoła baletowa niszczą we mnie ostatnią iskrę indywidualizmu? Nie do wiary, że akurat ty tego nie pojmujesz.

Śmiejesz się z pełnymi ustami i karmisz Samsona oraz Dalilę kąskami jedzenia ze stołu.

– Domagasz się bezwarunkowej, nieograniczonej wolności. Ja też tego kiedyś żądałem. Wciąż jeszcze tego pragnę. Piekielnie trudno przyszło mi nauczyć się, że prawdziwa wolność pojawia się wraz z samodyscypliną. Kiedy zapracujesz sobie na wolność, musisz sobie ją sama ograniczyć. Z pewnością uważasz mnie za najbardziej wolnego człowieka na świecie. Gdybyś wiedziała, jak zniewolony jestem przez moją pracę i reguły, które sam dla siebie stworzyłem. Te reguły są twardsze od najsurowszych praw despoty.

– Nie rozumiesz mnie – przerywam Ci.

– Tak sądzisz? A ja uważam, że wręcz przeciwnie. Jesteśmy do siebie ogromnie podobni. Ja na przykład próbuję zamienić materię w ruch, uchwycić dynamikę form i zamrozić ją w czasie, zatrzymać przemijalność rzeczy, wieczne dryfowanie, życie, które nam ucieka. Ty natomiast jesteś duszą ruchu, duszą dryfowania, samego życia. Ty i ja... Jesteśmy ze sobą zaręczeni. Powinienem nazywać cię Rina – śpiew[331]. Nasze dusze biorą udział we wspólnej duchowej uczcie.

Ledwo kończysz zdanie, gdy Twoje ramiona zaczynają drżeć. Odwracasz ode mnie głowę i wycierasz oczy rękawem. Dopiero teraz zaczynasz opowiadać mi o swoim ojcu, o Twoich uczuciach miłości i nienawiści do niego oraz o dręczącym Cię poczuciu winy, że tak często sprawiałeś mu ból. Samson zaczyna szczekać, jak gdyby pytał, co Ci się stało. Kładzie pysk na Twoich kolanach i wpatruje się w Ciebie swoimi ciepłymi, brązowymi oczami.

*

Zabierasz mnie na próby teatru marionetek, który stworzyłeś. Przedstawienie nazywa się *Der dokter Bum-Bum fun Ergecland*[332]. To ja zainspirowałam Cię do tej idei. Przedstawienie podoba mi się. Rymowany, zarówno komiczny, jak i mądry

[331] Zob. przyp. s. 43.

[332] (jid.) *Doktor Bum-Bum z Nibylandii.*

tekst wymyślony przez Mojszego Brodersona[333], wspaniale do niego pasuje. Jednak nie jest to mój własny Doktor Bum-Bum, stworzony w dzieciństwie przez moją fantazję, kiedy tata zwykł opowiadać Wierce i mnie historie o Nibylandii. To przedstawienie sprawia mi dużo przyjemności, równocześnie jednak wzbudza we mnie uczucie smutku.

Wyciągasz mnie na długie spacery.

– Zapoznam cię z twoim miastem – mówisz do mnie.

I rzeczywiście Łódź wygląda zupełnie inaczej, kiedy wędruję z Tobą jej ulicami i uliczkami. Zabierasz mnie ze sobą do domów swoich przyjaciół, wśród których znajduje się całkiem sporo nieżydowskich artystów; domów, które są tak samo chaotyczne i zagracone jak Twoja własna mansarda, ale gdzie czuję się dobrze, swobodnie. Zabierasz mnie też do restauracji Capri, w której nie czuję się już tak pewnie i nie mogę przestać myśleć o tacie, który tu kiedyś pracował. Spotykam właściciela, pana Terkeltojba, który wymówił mu posadę. Zapoznajesz mnie z ludźmi bohemy i oczywiście z Mojszem Brodersonem. Broderson pamięta tatę i wypytuje o niego. Przypomina sobie nawet, że tata dał mu kiedyś do przeczytania wiersze Wierki.

– Pisze wciąż wiersze czy przeszła już do prozy? – pyta mnie.

– Nie mam zielonego pojęcia – ucinam, żeby przestał mnie wypytywać.

Nie znoszę Capri. Nie znoszę wszystkich restauracji, gdyż wywołują we mnie nieprzyjemne myśli o tacie. Lubię jednak chodzić z Tobą do kawiarni Fidlera, do Muzy. Spędzamy w niej razem wiele godzin. Jesteś za pan brat z Zalmanem Fidlerem i od czasu do czasu dajesz mu fotografię jakiejś Twojej pracy do opublikowania w czasopiśmie „Der bezem". Dyskutujesz tu o polityce z towarzyszką Hanką, a także rozmawiasz o Flaubercie i Proustce z Sorką. Jeśli chodzi o stałego patrona Muzy, Mojszego Sokratesa, jest on gotów wskoczyć za Tobą w ogień. Czyta Ci swoje wiersze, podczas gdy Ty ziewasz ukradkiem, zaciskając usta.

Z każdym jesteś za pan brat, a jednak zachowujesz dystans wobec wszystkich. Zdumiewa mnie, w jaki sposób Ci się to udaje. Gdziekolwiek wchodzimy, ludzie poznają Cię i witają się z Tobą entuzjastycznie. Ich twarze rozjaśniają się, a oczy zaczynają błyszczeć, jakby w oczekiwaniu, że wkrótce uwolnisz ich od nudy ich życia. Twoje stosunki z ludźmi cechuje swobodna bezpośredniość.

---

[333] W 1922 r. powstał w Łodzi pierwszy teatr marionetek jidysz w Polsce Chad-gadje (Koźlątko). Stworzyli go Mosze Broderson z pisarzem Jecheskielem Najmanem, kukiełki i dekoracje wykonywał malarz Icchok Brauner, muzykę pisał Henoch Kon. Inny przedwojenny teatr kukiełkowy, także wiązany z nazwiskiem Brodersona, to Balaganaiden (Bałanganajdy), działał pod koniec lat 30. Tuż przed wojną powstawały lalki do nowego teatrzyku, inspirowanego sytuacją polityczną, robił je młody artysta A. Tabak, a pomysłodawcą był Mojżesz Puławer, aktor i reżyser związany z teatrem Ararat, potem reżyser wielu rewii w getcie. I znów teksty były autorstwa Brodersona. Chava Rosenfarb poznała bliżej to środowisko w getcie.

Nic nie wskazuje na to, że ukrywasz swoje prawdziwe „ja" zamknięte w twardej skorupie. Wciąż uważam Cię za aktora, który udaje – ale za wspaniałego aktora.

Cieszysz się wielkim powodzeniem u kobiet. Całują Cię w usta, jakby były z Tobą w intymnych stosunkach. Wskazując na mnie oczami, pytają:

– Kim jest ta mała?

Staję na palcach i o mało co nie pytam drwiąco: „Kim jest ta stara?".

– Moja bratanica – przedstawiasz mnie żartobliwie.

Przychodzę do Ciebie tak często, jak się da. Godzinami jesteśmy razem, sam na sam. Jednak nigdy nie wydarza się ponownie to, co zdarzyło się między nami podczas mojej pierwszej wizyty u Ciebie. Często znajduję w Twoim pokoju ślady kobiet: szpilki do włosów, pojedyncze kolczyki lub perfumowane chustki do nosa. Wypytuję Cię o te kobiety, nie będąc w stanie ukryć nuty zazdrości w głosie. Jestem zazdrosna nawet o stojące w Twoim pokoju posągi kobiet i akty spoglądające na mnie z wiszących na poszarzałych ścianach szkiców.

– Kochasz kobiety, co? – pytam Cię.

– Tak, wieczna kobiecość pociąga mnie[334]. – Śmiejesz się.

– To znaczy, że kobiety, które przychodzą tu do ciebie, nie są tylko modelkami.

– Część z nich jest, a część nie.

– I w ogóle nie masz ochoty się ożenić, Abraszo?

Wyznajesz mi otwarcie, że kiedyś bardzo chciałeś żyć razem z kobietą, którą kochałeś.

– Kochałem ją wiele lat – opowiadasz mi. – Była moją koleżanką w Akademii Sztuki w Paryżu, wielką artystką. Oboje marzyliśmy o stworzeniu nowej formy pożycia między mężczyzną i kobietą. Jednak ona była niezwykle utalentowana, a granica między geniuszem a szaleństwem jest bardzo cienka. Miewała makabryczne wizje, niczym Kasandra przepowiadała kataklizm, który czeka nas oboje w świecie. Mówiła o końcu dni i o apokalipsie. Uważała się za czarownicę o demonicznej mocy jasnowidzenia. Jej poczucie humoru zarówno mnie oczarowywało, jak i sprawiało, że krew zastygała mi w żyłach. Jej rodzina uznała, że jej szaleństwo jest większe od talentu, i postanowiła oddać ją do zakładu dla umysłowo chorych. Czasami myślałem, że to ja wepchnąłem moją Ofelię w bagno szaleństwa. Innym razem znowuż sądziłem, że gdyby jej rodzina pozwoliła jej żyć ze mną, mogłaby się dzięki miłości i pracy uwolnić od swoich demonów. Tak, czasami zdawało mi się, że mogę ją wyleczyć. Jednak często sam o mało nie traciłem zmysłów. Podobnie jak Hamlet, czułem się sparaliżowany i nie

---

[334] (jid.) *Dos ejbik-wajbleche cit mich zu* – nawiązanie do ostatniego wersu dramatu *Faust* Johanna Wolfganga Goethego: *Das Ewig-Weibliche zieht uns hinan*. W przekładzie na język polski Emila Zegadłowicza: „wieczna kobiecość zbawia i wznosi".

wiedziałem, jak postąpić. Z początku nie walczyłem o nią. Dałem się przekonać jej rodzinie, że ślub ze mną uczyniłby ją jeszcze bardziej chorą. A kiedy w końcu zacząłem walczyć, moja porażka była już do przewidzenia.

– Dlatego wróciłeś z Paryża? – pytam.

– Nie mogłem dłużej tam żyć. Nie mogłem pracować. Wmówiłem sobie, że muszę wrócić do domu, by napełnić moje spichlerze, że się tak wyrażę. Rozumiesz już, *mademoiselle*?

– Nie za bardzo. Jak możesz tak żyć?

– Masz na myśli to, że żyję na wschodzie, podczas gdy moje serce jest na zachodzie? – pytasz, uśmiechając się.

– Tak, to właśnie mam na myśli.

– Moje serce nie wie, że istnieje wschód i zachód.

– Ale co stanie się z tobą, Abraszo? Czy nie chcesz mieć dzieci?

– Mogę ci odpowiedzieć sztampowym stwierdzeniem, że moje rzeźby są moimi dziećmi. Prawda jest jednak taka, że nie byłbym dobrym ojcem, nie mówiąc już o byciu czyimś mężem. Stworzenie domu, dobrego domu, jest sztuką samą w sobie, i niewielu jest prawdziwych artystów w tej dziedzinie. Twój ojciec jest jednym z nich.

– Mój ojciec? Zdaje ci się – protestuję. – Może kiedyś nim był, ale już od dawna nie jest.

– Jest nim jeszcze dziś. Sama to odkryjesz. Czasy nie są dla niego łatwe. Niewielu jest takich ojców jak on i być może to jest przyczyna, dla której świat jest taki, jaki jest. Jeśli chodzi o mnie, widzisz... Są ludzie, którzy wyróżniają się równocześnie w kilku dziedzinach, lecz ja do nich nie należę. Nie potrafię wybić się nawet w jednej dziedzinie. Ale służyć mogę tylko jednej muzie. Wymaga ode mnie wszystkiego i nagradza mnie samotnym życiem. To jednak nie oznacza, *mademoiselle*, że jestem odporny na ludzkie słabości.

– W tym momencie jednak nie cierpisz na taką słabość, co, Abraszo?

– Skąd jesteś tego taka pewna?

– Czuję to. I ja, Abraszo – nagle budzi się we mnie pragnienie zemsty – jestem zupełnie wolna od takich słabości. Od długiego czasu. – Patrzę Ci prosto w oczy. – Moja ostatnia miłość była wielką miłością młodej dziewczyny. Byłam zakochana w moim nauczycielu rysunków. – Jestem zdziwiona, że tak lekko przychodzi mi wyznać to Tobie. To najlepszy dowód, że moje zakochanie w Tobie przeminęło.

– Czy już go nie kochasz? – pytasz.

– Kocham go. – Mrugam do Ciebie wesoło. – Jest moim najlepszym i najpiękniejszym przyjacielem.

– Dobrze! – mówisz pedagogicznym tonem, jak gdybyś chwalił mnie przed klasą. – Bardzo, bardzo dobrze!

*

W przeciwieństwie do Cederbojmów, Binele i Jankew każdego roku urządzają małe przyjęcia urodzinowe dla nas, dzieci, bez względu na to, jak ciężka by nie była sytuacja finansowa naszej rodziny. Teraz zbliżają się urodziny Wierki i Binele przygotowuje w sobotę wyjątkowo uroczysty poczęstunek. Ciocia Rachela przychodzi z prezentem dla Wierki – białym swetrem, który sama dla niej wydziergała. Nie zostaje jednak na posiłek. Nie tylko z tego powodu, że ona i wujek Szaja w ogóle nie jadają u nas ze względu na naszą niekoszerną kuchnię, lecz również dlatego, że nie trawią towarzystwa naszych niekoszernych gości.

Wierka zaprosiła Icchoka, chłopaka, z którym chodzi, oraz parę swoich przyjaciółek, a Binele – Cederbojmów, Fidlerów, a także Cyporę i Mojszego Sokratesa. Ty, Abraszo, przychodzisz ubrany w biały pulower i wygniecione golfowe spodnie, z francuskim beretem założonym na bakier na Twojej rozczochranej, czarnej czuprynie. W ustach trzymasz fajkę, a w rękach bukiet margerytek – dla Wierki.

Twarz mamy rozjaśnia się, kiedy dostrzega kwiaty.

– Wyglądają, jakbyś je dopiero co zerwał na Białej Górze w Bocianach! – woła. – Gdzie zdobyłeś margerytki, teraz, zimową porą?

– W moim ogrodzie panuje wieczna wiosna – odpowiadasz jej i podchodzisz do doniczek z kwiatami, które stoją na parapecie. – Twój ogród też kwitnie w środku zimy, Binele. – Wskazujesz na kwitnące azalie.

Kończymy posiłek przy akompaniamencie dowcipów Wowy oraz żartów jego synów, Herszka i Gabiego. Po tym jak Ty i ja odśpiewujemy falsetem parę komicznych kupletów z teatru marionetek, a pozostali obecni wyśpiewują cały szereg popularnych, zabawnych piosenek ludowych, czemu towarzyszą wybuchy śmiechu, i gdy goście są w trakcie popijania herbaty z cytryną i chrupania ciast, które Binele i Balcia upiekły na tę okazję – Jankew proponuje, żeby Wierka przeczytała coś ze swoich własnych wierszy. Wierka, tak jak w dzieciństwie kochała recytować publicznie, tak teraz tego nie znosi. Zdecydowanie potrząsa przecząco głową. Broni się, że nie ma wierszy, które pasowałyby do tej okazji. Jednak goście nie dają jej spokoju.

Wowa woła:

– Jeśli nie masz wierszy pasujących do tej okazji, to dopasujemy okazję do wierszy!

Wierka obrzuca siedzących przy stole gości zrozpaczonym, błagającym wzrokiem, lecz nic jej to nie pomaga. Nie przestają jej zachęcać, prosić i nalegać na nią. Nie ma wyboru i wyciąga ze szkolnej teczki gruby, czarny brulion.

Kiedyś, gdy Wierka czytała swoje wiersze, zatykałam sobie uszy – nie dosłownie rękoma, bo nie chciałam jej obrazić, tylko w myślach. Rozwinęłam umiejętność słuchania jej recytacji, jednocześnie nie słysząc ani słowa. Jednak ostatnio jestem ciekawa wierszy Wierki i teraz, kiedy siedzimy tak wokół stołu, mam do niej żal, że pozwoliła się tak długo prosić, zanim raczyła

zgodzić się coś przeczytać. Uważam, że zalatuje to dumą. Podejrzewam, iż nawet Icchok, chłopak Wierki, nigdy nie miał jej czarnego brulionu w ręce. Dla tych, którzy nie są poetami, zazwyczaj dostępne są tylko te z wierszy Wierki, które zostają wydrukowane w „Bezem" Zalmana Fidlera lub w gazetce szkolnej.

Siedzę obok Ciebie, Abraszo, nadstawiając uszu. Wierka czyta wiersz o sobie. Intymny temat strof Wierki wywołuje we mnie dziwne uczucia. Każda zwrotka jest niczym przezroczysta warstwa stroju, która ledwo co zasłania nagość czegoś, co powinno pozostać schowane głęboko w sercu. Wstydzę się zarówno za Wierkę, jak i za mnie. Nie mogę pojąć, jak może być w stanie tak otwarcie odsłaniać swoje najintymniejsze uczucia przed obcymi ludźmi – choć ledwie parę minut temu miałam do niej żal, że tak długo daje się prosić, by coś przeczytać.

Próbuję wyobrazić sobie, jak sama bym się czuła, gdybym miała zaprezentować grupie widzów mój święty taniec na strychu. Odsłonienie przed światem własnej duszy, pozwolenie każdemu, by mógł czytać z niej jak z otwartej księgi – oznacza danie innym okazji bawienia się moim kosztem i wystawienie się na drwiny; oznacza, że pozostaje się bez odrobiny prywatności, pustym wewnętrznie niczym dzwon.

Po chwili jednak przychodzi mi na myśl, że taki wyczyn wymaga dużej odwagi, której ja sama nie posiadam. Podczas gdy Wierka kontynuuje czytanie swojego długiego poematu, coraz bardziej ją podziwiam. Zaczynam rozumieć, że spełnia właśnie akt pokory i szczodrości serca – akt miłości. To, co robi teraz Wierka, dowodzi, że jest prawdziwą artystką, i że ja mam przed sobą jeszcze długą drogę, by osiągnąć jej poziom.

Wierka kończy czytać. Oczekuję, że pokój rozbrzmi burzliwym aplauzem, lecz nie wydarza się to od razu. Najpierw wokół stołu rozchodzi się pomruk aprobaty i dopiero potem rozlegają się pełne zachwytu okrzyki oraz oklaski. Ja biję brawo najgłośniej i najbardziej entuzjastycznie ze wszystkich.

– Ona pisze wiersze w dwóch językach! – odzywa się z dumą Icchok, chłopak Wierki. Icchok jest silnie zbudowanym, barczystym młodzieńcem, o okrągłej, otwartej twarzy. Spojrzenie jego szarych oczu jest jasne i szczere. On sam, będąc rzeczowym i praktycznym człowiekiem, ma niewielką styczność z poezją.

Wowa odwraca się do Wierki:

– Czy tak? Tego nie wiedziałem! – mówi do niej. – Czy piszesz wiersze również po polsku? A dlaczegóż to? Czy i ciebie podgryza robak asymilacji?

Wierka wpatruje się w niego, jakby nie wiedziała, o co mu chodzi. Wzrusza ramionami.

– Moje pisanie po polsku nie ma nic wspólnego z asymilacją. Nastrój, w jakim się akurat znajduję, dyktuje mi wybór języka – odpowiada, uśmiechając się.

– W jakim to na przykład nastroju piszesz po polsku? – chce wiedzieć Wowa.

Uśmiech Wierki robi się szerszy.

– W romantycznym nastroju. Wiersze miłosne pisze mi się lepiej po polsku.

– Coś takiego! – woła Wowa. – A to dlaczego? Dlaczego nie możesz stworzyć porządnego romansu w jidysz?

– Właśnie – zgadza się z nim Mojsze Sokrates.

Młodzi ludzie siedzący wokół stołu rzucają drwiące spojrzenia na Wowę i Mojszego. Jest dla nich jasne jak słońce, że ci dwaj podchodzą do kwestii poezji zbyt powierzchownie. Jednak Jankew, niezdziwiony uwagami Wowy, zwraca się do niego:

– Czy chcesz dyktować poecie wybór języka?

– Nie chcę nikomu nic dyktować. Nie jestem żadnym bolszewikiem ani zwolennikiem socrealizmu towarzysza Stalina. Jednak fakt, że żydowskie dziecko musi uciekać się do innego języka, żeby wyrazić swoje uczucia, jest najlepszym dowodem na to, jak głęboko trucizna asymilacji wsączyła się do naszych domów. – Spojrzenie jego szarych, małych oczu skacze po twarzach jego własnych dzieci: Herszka, Gabiego i Malki. – Sądzisz, że moje własne potomstwo jest lepsze? Jak myślisz, w jakim języku mówią na swoich randkach albo ze znajomymi z SOMS-u? Tylko po polsku! Bo jakże mieliby się tak zniżyć i mówić językiem matki?

– Polski jest romantycznym językiem – stwierdza Icchok, mrugając swawolnie okiem.

– Czy tak? – rozsierdza się Wowa. – Czy poeci piszący w jidysz nie są dla ciebie dość romantyczni?

– Żeby pan wiedział, że nie są! – odzywa się Sorka. – Żydowscy poeci stają się romantyczni, kiedy piszą o misji żydowskiego narodu czy klasy robotniczej, albo o ich własnej poetyckiej misji. Pisanie bez misji mogłoby ich jeszcze pozbawić perspektywy uznania ich za narodowych poetów. Większość z nich nie zniżyłaby się do napisania prostego wiersza miłosnego, nie mówiąc już o wierszu erotycznym, bez aluzji do Pieśni nad Pieśniami czy do biblijnych krajobrazów.

– Nie masz racji, Sorko! – woła Jankew.

Zalman Fidler, choć nie całkiem zgadza się ze swoją córką, jest dumny z jej wywodu i uśmiecha się pod nosem. Jednak towarzyszka Hanka, fanatyczna zwolenniczka jidysz, otwarcie manifestuje swoje niezadowolenie z uwag pasierbicy i zaraz wdaje się z nią w dyskusję. Zalman Fidler przytakuje głową im obu. Jego filozoficzny stosunek do życia pozwala mu na znajdowanie ziarnka prawdy w zarzutach każdej z nich.

Tymczasem Icchok kontynuuje obronę, nie polskiego języka, lecz Wierki. Zwraca się do Wowy:

– Co zarzuca pan Wierce? Że nie kocha żydowskiego języka? Że nie zna jidysz? Czy nie mówi w jidysz? O co panu chodzi, panie Cederbojm?

Jedna z przyjaciółek Wierki przychodzi Icchokowi z pomocą i zarzuca Wowie:

– Mówi pan, że jest pan przeciwko stalinowskiej dyktaturze socjalistycznego realizmu, towarzyszu Cederbojm, ale sam głosi pan to samo programowanie twórczości pisarza. Zakładanie pisarzowi językowego chomąta również jest for-

mą dyktatury! – woła dziewczyna, uderzając pięścią w stół. Tymczasem Wierka, niezauważalnie dla gości, wsuwa swój czarny brulion do teczki.

– Jidysz zaniknie, jeśli wy, nowe pokolenie, nie będziecie stali na jego straży! – Wowa wymachuje wskazującym palcem przed twarzami dziewczyny i Icchoka. – Polska kultura wciska się do naszych domów drzwiami i oknami. To jest siła, której musimy świadomie stawiać bariery!

– Ale czego chcesz od Wierki? – odzywa się do swojego męża Balcia.

Wowa kładzie dłoń na jej ramieniu i odsuwa ją trochę od siebie, jak gdyby chciał ją lepiej widzieć.

– Chcę, żeby jidysz nadal istniał. Tego chcę, towarzyszko Balciu. Młody żydowski pisarz, w tym przypadku pisarka, poetka, musi wziąć na siebie misję, a przynajmniej część misji obrony żydowskiej mowy. Jeśli Wierka czy jej koledzy pisarze czują, że czegoś brakuje naszej literaturze, powinni to po prostu uzupełnić! Niech wydepczą nowe ścieżki i wprowadzą nowe style. Nasza świecka kultura jest jeszcze w powijakach. Musimy pomóc jej rozwijać się, jak robił to Perec, a nie dezerterować z pola walki.

– No i czy nie miałam racji, towarzyszu Cederbojm? Sam użył pan słowa „misja". Ciągle mówi pan o tym, co musimy, co powinniśmy, jaka jest nasza misja – ponownie odzywa się Sorka. – No to niech pan spojrzy, co takie nakazy zrobiły z sowiecką literaturą. – Nikt z siedzących przy stole oprócz Malki i mnie nie wie, jak wrogo Sorka jest nastawiona do „ograniczenia i duchoty" w kontekście żydowskiej kultury.

– Przestań przywoływać za przykład sowietów! – Wowa nie posiada się z oburzenia. – Mówimy o żydowskim języku, który jest zagrożony wymarciem. Młodzi nie czytają książek w jidysz. Moje własne dzieci uważają, że uszczęśliwią mnie, jeśli na sto polskich książek jedną przeczytają w jidysz. To powiedz ty mi, dokąd nas to wszystko zaprowadzi!

Jankew odwraca się do niego.

– Balcia ma rację, Wowo. Kierujesz swój atak pod niewłaściwym adresem. – Wskazuje na zgromadzonych wokół stołu. – Każdy z nas tutaj jest tak dobrze obeznany z jidysz, że poprawne mówienie w jeszcze jednym języku, zwłaszcza po polsku, nie może nikomu zaszkodzić. Mnie samemu też by nie zaszkodziło. – Uśmiecha się. – W ogóle mi nie przeszkadza, że moje dzieci moją tę przewagę nade mną. Używanie jeszcze jednego języka pozwala spojrzeć szerzej na świat.

Malka zgadza się z nim. Uśmiecha się do Wowy i mówi:

– Ja też cię nie rozumiem, tato. Z jednej strony chcesz zburzyć wszystkie mury wokół duchowego getta i jesteś entuzjastą, jeśli chodzi o szerzenie oświaty oraz uświadamianie ludu. Z drugiej strony jednak chcesz się otoczyć językową barierą.

– Ponieważ sytuacja robi się niebezpieczna, córko! – woła Wowa zachrypniętym głosem. – Czy możesz mi zagwarantować, że Wierka nie zacznie pisać wyłącznie po polsku? Albo, że wy, nasze potomstwo, nie będziecie mówić do waszych dzieci po polsku? Czy możesz to zagwarantować?

– Nigdy nie można niczego zagwarantować – mówi Jankew, kręcąc głową. – Jednak jeśli Wierka pozostanie poetką wierną sobie, dochowa też wierności swojemu językowi. Gdyby znała nawet dziesięć języków i w nich pisała, kiedy będzie miała do przekazania coś uniwersalnego, będzie musiała wyrazić to w jej własnej mowie.

Ty, Abraszo, nachylasz się do mnie i szepczesz mi do ucha:

– My dwoje jesteśmy wolni od takich problemów, co? A może jednak nie? Jidysz przemawia pewnie również i z naszej twórczości, choć nie jesteśmy tego świadomi. – A na głos odzywasz się do Wowy: – Nie bierz sobie, Wowo, tak do serca tego, że Wierka pisze czasem wiersze po polsku. Zwróć lepiej uwagę na to, że nie daliśmy jej okazji, by mogła się sama wypowiedzieć. – Odwracasz się do Wierki i wołasz: – No, Wierko, co masz do powiedzenia w swojej obronie?

Wierka rzuca ci dziwnie smutne spojrzenie.

– Nie sądzę, żebym musiała się bronić – odpowiada Ci. – Uważam, że mam prawo robić, jak mi się podoba. Jak mawia mama: jestem, kim jestem. Nie jest mi obojętna sytuacja jidysz, ale nigdy nie myślę o tym, kiedy piszę wiersz, tak samo jak nie myślę wtedy o wielu innych rzeczach, oprócz mojego tematu. Jidysz jest dla mnie jak własna skóra. Nie mogę jej z siebie zrzucić, ponieważ to by mnie okaleczyło. Ale ciągłe myślenie o własnej skórze jest niedorzeczne.

Młodzi ludzie siedzący przy stole śmieją się i biją brawo. Wołasz:

– To jest to, Wowo! Nie ma się czym martwić, wierz mi. Jidysz zawsze będzie na granicy wymarcia i nigdy nie wymrze. Natura jidysz jest jak natura żydowskiego narodu. – Przeczesujesz czuprynę rozcapierzonymi palcami i wstajesz od stołu. Kładziesz dłoń na ramieniu Nońka i pytasz go: – Masz jeszcze latawiec?

Noniek kiwa potakująco głową.

– Ale zimą go nie puszczam – odpowiada.

– Dlaczego nie? Chodźcie wszyscy, idziemy puszczać latawca! – wołasz.

Binele łapie się za głowę.

– Co ty masz za pomysły? Na takim mrozie?

– Nie martw się, Binele. – Mrugasz do niej szelmowsko. – Latawce się nie przeziębiają.

Siedząca przy stole młodzież rozwesela się i skacze na nogi. Noniek wyciąga latawiec spod szafy. W pośpiechu łapiemy płaszcze, czapki i szale. Starsi goście pozostają przy stole.

W hałaśliwej gromadzie ruszasz z nami, młodymi ludźmi, na pusty bazar, który jest przykryty kołdrą twardego śniegu. Ty, Noniek i Herszko Cederbojm zabieracie się do puszczania latawca i już wkrótce unosi się on w zimnym powietrzu. Ja, razem z resztą towarzystwa, ślizgam się na podeszwach po srebrzystej, gładkiej tafli lodu, która pośród bieli śniegu wygląda niczym ostrze noża. Rozgrzana i wesoła rzucam od czasu do czasu spojrzenie na Twoją uniesioną w górę, jaśniejącą twarz z oczami utkwionymi w latawcu. Na tle zimowego nieba, które ma kolor nocnej ultramaryny, latawiec wygląda niczym wielki świetlik.

Obejmuję Wierkę.

– Szczęśliwego dnia urodzin, siostrzyczko – szepczę jej do ucha. Biorę ją za rękę i ślizgamy się razem po skrzącej się pomiędzy śniegiem tafli lodu. Nie wspominam Wierce o tym, że tego wieczoru nauczyłam się od niej czegoś bardzo ważnego.

*

Pojechałeś do Bocianów, Abraszo, w rodzinnych sprawach. Liczę dni, czekając na Twój powrót. Bez Ciebie miasto wygląda pusto. Chcę kupić Ci prezent za tę jedną złotówkę, którą zaoszczędziłam, i włóczę się po sklepach w mieście. Najpierw myślę o tym, by kupić Ci krawat, ale Ty nigdy nie nosisz krawatów. Przypominam sobie o dziurach w Twoich skarpetach i zamierzam kupić Ci parę nowych, jednak jest to zbyt prozaiczny prezent. A jeśli chodzi o książki, to masz ich więcej, niż mogą pomieścić Twoje półki. Nic, co przychodzi mi do głowy lub widzę w sklepach, nie pasuje na prezent z okazji Twojego powrotu. W końcu wpadam na pomysł, by podarować Ci coś zupełnie innego. Będę Ci pozować! Tego przecież chciałeś już od długiego czasu, a ja zawsze odmawiałam. Teraz chętnie to zrobię.

Gdy tylko dowiaduję się, że jesteś z powrotem w mieście, śpieszę do Ciebie ubrana w mój baletowy trykot pod płaszczem. Obejmujemy się na powitanie i zanim wypuszczasz mnie z ramion, wołam:

– Abraszo, chcę ci pozować!

Przekrzywiasz głowę, mrużysz oczy i patrzysz na mnie, jakbyś mi nie wierzył.

– Jesteś pewna?

– Zobacz! – wołam, rozpinając płaszcz. – Mam na sobie trykot! – Zauważam, że Twoja twarz tężeje i zachmurza się. Dodaję więc, mniej pewna siebie: – Tyle razy mnie przecież prosiłeś. Teraz chcę to zrobić.

– Dobrze – mówisz, przypatrując mi się z dystansu. – Pozwól mi przyzwyczaić się do tej myśli. Nie pali się przecież.

– Właśnie że się pali! Mogę się jeszcze z tego wycofać. Nie widzę, żebyś był zachwycony tym projektem.

– To źle widzisz. – Wskazując podbródkiem na mnie, pytasz: – Chcesz pozować w tym stroju?

– Ten strój to mój trykot. Tak przecież chciałeś. Czy już zapomniałeś? Wyglądasz, jakby zaczęły boleć cię zęby.

Podchodzisz do piecyka, wpychasz kawałek węgla między fajerki, myjesz ręce i wycierając je, mówisz:

– Zdejmij płaszcz. Zobaczmy, jak się poruszasz. – Odkładasz ręcznik i rzucasz się na łóżko, które chybocze się na rozchwianych nogach niczym odbijająca od brzegu tratwa. Leżąca na łóżku Dalila zeskakuje z niego jak szczur uciekający z tonącego okrętu. – Krocz po pokoju – powtarzasz polecenie. – Poleżę tu trochę, patrząc na ciebie.

Nachodzi mnie ochota, by rozgarniać ramionami powietrze.

– Jak długo chcesz tak na mnie patrzeć? – pytam. Nagle wpadam na pomysł, by dodać do tego prezentu coś pochodzącego z samej głębi mego serca. Uprzątam wszystkie miski i załadowane krzesła, które zajmują środek pokoju. Potem czekam chwilę, żeby wewnętrzna muzyka rozkołysała rytm w moim ciele, po czym powoli zaczynam tańczyć po pokoju i już po chwili zapominam, gdzie jestem.

– To taniec życia – mówisz cicho, z patosem kogoś na granicy między trzeźwością a upojeniem. Fraza, którą wypowiadasz, wkomponowuje się w przyspieszony rytm mego serca. Tańczę taniec życia. Dopiero co przyszłam na świat, jestem młoda, dojrzewam i więdnę na starość. W końcu przestaję się poruszać i zatrzymuję się.

– Jesteś piękna, Miriam – mówisz. Po długiej chwili milczenia powtarzasz: – Jesteś piękna jak bogini.

Rozwieram szeroko oczy. Czuję, jak wewnątrz mnie rozpala się światło. Jestem piękna jak bogini! Przed laty nauczyciel Wilner nazwał mnie „boską" po moim tańcu podczas *Wiosennego poranka*. Staję się boska, kiedy tańczę, i tak też się czuję – czuję w sobie nieziemskie piękno. Odkrycie, że ci, którzy patrzą na moje ruchy dostrzegają i reagują na moje wewnętrzne piękno, jest dla mnie najwyższą nagrodą. W tym poczuciu satysfakcji nie ma śladu pychy. A jeśli nawet jest, to jest ona zupełnie innego rodzaju niż zwykła pycha w codziennym życiu. Boska tancerka i ja – jesteśmy dwoma mieszkankami tego samego ciała, które rzadko spotykają się, by stać się jedną osobą.

– Dziękuję – odpowiadam.

Stawiam czajnik na fajerce piecyka i robię herbatę. Gdy jest gotowa, chcę podać Ci szklankę, lecz Ty siadasz prosto i odpychasz mnie na bok tak nagle, że o mało nie wypuszczam jej z ręki. Skaczesz na nogi tak energicznie, że materac łóżka kołysze się przez dłuższą chwilę, podczas gdy w jego wnętrzu pobrzękują dźwięcznie sprężyny, jak gdyby były poruszanymi smyczkiem strunami jakiegoś popsutego instrumentu.

– Odstaw herbatę. Pomożesz mi w przygotowaniach! – wołasz. – To będzie nasze wspólne dokonanie. – Zaczynasz krzątać się przy worku z gliną oraz miskach i wiadrach z wodą. Nie pomagam Ci, tylko siadam na łóżku, by wypić herbatę. Przypominasz mi w tej chwili Zalmana Fidlera przygotowującego ciasto do wypieków. Zdejmujesz jeden ze znoszonych kitli z gwoździa na drzwiach i rzucasz go na łóżko obok mnie. – Załóż to. Bierzemy się już do pracy! – wołasz. Twoja twarz jest zmieniona. Maluje się na niej złość i irytacja.

Odstawiam szklankę z niedopitą herbatą, wkładam kitel i również zaczynam odczuwać napięcie.

– Dlaczego jesteś taki rozdrażniony? – pytam i nie mogę się zdecydować, czy powinnam się obrazić, czy nie.

– Jestem rozdrażniony? – mruczysz nerwowo. – Taki jestem. Dostaję białej gorączki, zanim zaczynam coś robić. Nie zwracaj na to uwagi, ignoruj moje szaleństwo. Obiecuję ci, że gdy tylko będę miał pierwszy szkic, stanę się z powrotem miłym człowiekiem.

Przestajesz krzątać się przy stojaku rzeźbiarskim oraz glinie i wyjmujesz blok rysunkowy z kartonowej teki, która stoi oparta o ścianę.

– Zdejmij kitel! – nakazujesz mi, zanim zdążę go do końca zapiąć. – I spaceruj po pokoju, jak robiłaś to wcześniej. Rób co chcesz, tylko nie przeszkadzaj mi. – Robię, jak kazałeś. Nerwowo, pośpiesznie zapełniasz arkusze papieru, jeden po drugim. – Jesteśmy na dobrej drodze! – oznajmiasz mi w końcu. – Przystąpiliśmy do dzieła!

W ten sposób spędzamy w twojej mansardzie wiele mroźnych, zimowych wieczorów. Szyby okien są srebrno-białe, a okno w suficie wygląda niczym biała chupa ponad naszymi głowami. W piecu trzeszczy żywo ogień. Tytoń z Twojej fajki tli się w popielniczce, aż wygasa w nim ostatnia iskra. Samson i Dalila drzemią spokojnie. Moje ciało jest rozluźnione i odprężone, gdy poruszam się po pokoju, skracając czas lekkimi rozmowami z Tobą lub oddając się mglistym marzeniom. W końcu uprzątam kącik między łóżkiem a ścianą, stwarzając w ten sposób rodzaj miniaturowej sceny i powściągliwymi ruchami prezentuję Ci przy akompaniamencie zupełnej ciszy mój *Taniec na strychu*. Od czasu do czasu nakazujesz mi, bym przestała się poruszać i zastygła w bezruchu, co okazuje się być najtrudniejsze.

Widzę, jak moje ciało z gliny przyjmuje swoją formę pod pewnym dotykiem Twoich dłoni. Przemieniasz się w czarodzieja, w boga, który wdycha oddech życia w glinę. Szczupła, zastygła w ruchu dziewczyna, którą gładzisz, tańcząc razem z nią Twoimi palcami, gdy ją formujesz – to jestem ja, a jednak nie ta sama. Jestem ruchem, tańcem życia. Ogarnia mnie uczucie, że siedzę wewnątrz Ciebie i prowadzę Twoje ręce. Jestem pewna, że czuję dokładnie to samo, co Ty. Odczuwam Twoją satysfakcję i Twoje niezadowolenie i wiem, które uderzenie Twojego dłuta jest właściwe, a które nie. Kiedy odłupujesz zbędny kawałek gliny, syczę i wołam:

– To boli!

Niczym doktor, który przeprowadza operację, marszczysz czoło i mruczysz:

– Wiem. Ale to dla twojego dobra. Ani się obejrzysz, jak rana się zagoi. – Kiedy praca idzie dobrze i jesteś zadowolony, unosisz ramiona w górę i wołasz: – Alleluja! – I znowu mówisz ze szczerym zapałem: – Będę cię nazywał Rina – śpiew, ponieważ nasze dusze biorą udział we wspólnej duchowej uczcie.

W jednym z Twoich albumów o sztuce, które stoją na półce, znajduję reprodukcję obrazu Botticellego *Narodziny wiosny*[335]. Twoja rzeźba przedstawiająca mnie, a którą nazywasz *Taniec życia*, zostaje ukończona z nadejściem wiosny.

---

[335] *Wiosna* (wł. *Primavera*) i *Narodziny Wenus* to dwa różne obrazy Sandro Botticellego, które powstawały w zbliżonym czasie i należą do najważniejszych dzieł florenckiego mistrza. Trudno stwierdzić, czy Chava Rosenfarb celowo czy pomyłkowo połączyła te dwa piękne obrazy renesansowego malarza w jedno dzieło.

*

Przeprowadzasz się do nowej mansardy pod dachem fabryki tekstylnej. Jest to przestronne, perfekcyjne atelier. Malujesz ściany i zabraniasz mi pojawić się u Ciebie, dopóki mnie sam nie zaprosisz. Jednak kiedy to w końcu następuje, nie mogę przyjść, ponieważ w gimnazjum rozpoczynają się egzaminy.

W końcu nie mogę się powstrzymać i biegnę spotkać się z Tobą. Kiedy przekraczam próg Twojego nowego mieszkania, od razu zauważam różnicę między nim a Twoim wcześniejszym lokum. Olśniewa mnie jasność i świeżość pomalowanych ścian. Świat figur, które stworzyłeś, jawi mi się teraz w wyrazistej grze światła i cieni. Zdaje mi się, iż Twoje rzeźby, zarówno te ukończone, jak i nieukończone, ożyły, i że ich świeży oddech przemienia atmosferę całego pomieszczenia, tworząc z niego własny, pozaziemski świat. Milczenie brązów, odlewów gipsowych i makiet poprzetykane jest dźwiękami muzyki Twojej duszy, Abraszo, i wyczuwam jej wielotonową głębię.

Duże, fabryczne okna podzielone są na niewielkie kwadratowe szybki. Przed jednym z nich stoi skąpana w słonecznym świetle ukończona, odlana w brązie rzeźba – *Taniec życia*. Nieopodal na parapecie bierze słoneczną kąpiel Dalila i również wygląda przy tym niczym posąg. Zachwycony moim widokiem Samson skacze na tylnych łapach, przednimi drapiąc mnie po łydkach. Ty, Twój kot i Twój pies również należycie do świata Twoich rzeźb. Widzę was w nowym, ostrym świetle. I siebie samą też.

Zauważam zamknięte drzwi i pytam, dokąd prowadzą. Powoli zapalasz fajkę, po czym odpychasz Samsona, bierzesz mnie za rękę, podprowadzasz do nich i otwierasz. Widzę pusty, czysty, pomalowany na biało pokój, z dużym lustrem na jednej ze ścian. Podłoga w nim jest z jasnego drewna, z niepomalowanych, ale pokrytych lakierem desek, a pośrodku niej rozciąga się niczym dywan prostokąt słonecznego światła. W kącie pokoju stoi mały, kaflowy piec.

– Wspaniały! – wołam. – Kupimy ci nowe łóżko i urządzimy tu elegancką sypialnię. Co ty na to, Abraszo?

Poważny i przejęty ściskasz mocno moją dłoń.

– Ten pokój jest dla ciebie – mówisz. – Skarżyłaś się, że tęsknisz za twoim tańcem na strychu, więc to będzie twój strych. Czy chcesz, żebym rozciągnął tu sznur, by można było powiesić mokre prześcieradła i bieliznę do wysuszenia?

Rozwieram szeroko oczy.

– Nie drwij sobie ze mnie. – Coś dławi mnie w gardle.

Opierasz się o framugę drzwi, pykasz fajkę i przypatrujesz się mi.

– Ten pokój jest twój – powtarzasz z fajką w ustach rozciągniętych w dziwnym uśmiechu. – Możesz tu przychodzić, kiedy tylko masz ochotę. Przysięgam, że nie będę ci przeszkadzał. Proponuję jednak, żeby pozostało to naszą tajemnicą.

Siadam na podłodze, opieram się o ścianę i patrzę na ten pusty, fantastyczny pokój – mój własny. Przyglądasz mi się i pozwalasz mi tam siedzieć, nie mówiąc więcej ani słowa. W końcu skaczę na równe nogi, wypycham Cię z pokoju i zamykam Ci drzwi przed nosem. Zdejmuję buty oraz pończochy i zaczynam wędrować

boso po pokoju z uczuciem malarza, który ma przed sobą wielkie, puste płótno. Moje serce zalewa fala czułości. Jak mam Ci dziękować? Jak słowa takie jak „dziękuję" mogą wyrazić to, co czuję? Nie zasługuję na taki prezent. Nie jestem go warta. Jak mogłam tak nietaktownie i brutalnie wypchnąć Cię z pokoju i nawet wcześniej nie pocałować, objąć lub przynajmniej powiedzieć dwa słowa „dziękuję ci"? W żadnym razie nie mogę przyjąć takiego prezentu. Posiadanie własnego „strychu" jest po prostu czymś za dobrym, zbyt wspaniałym.

Wkładam z powrotem pończochy i buty, po czym wychodzę do Ciebie do drugiego pokoju. Stoisz oparty o stół, z fajką w ustach, i czekasz na mnie. Ruszam do drzwi.

– Muszę już iść! Jutro mam egzamin! – wołam i zaraz jestem na zewnątrz. Zbiegam galopem po schodach i pozwalam, by szalona radość niosła mnie po ulicach. „Co ty mi zrobiłeś, Abraszo?" – wołam do Ciebie na głos.

Pierwszego dnia po egzaminach przychodzę do Twojej mansardy zaraz po zajęciach w szkole tańca. Rozgwieżdżone, wieczorne niebo wypełnia okna Twojego świeżo pomalowanego pokoju. Lampa z abażurem oświetla ciepłym blaskiem szkice na ścianach. Stojące wokół spowite cieniami rzeźby stoją zasłuchane w siebie. Rzucam szkolną teczkę na łóżko i z torbą, w której trzymam moje rzeczy do tańca, wchodzę do „mojego" pokoju. Znowu zamykam drzwi przed Twoim nosem. Przebieram się w trykot i zaczynam poruszać się po podłodze, biorąc ją w moje posiadanie. Okna wyglądają niczym granatowe estrady i zdaje mi się, że dochodzi z nich dźwięk wiolonczel, który towarzyszy moim ruchom, podczas gdy przemieszczam się po terytorium, na którym nie stanęła jeszcze ludzka stopa. Potem opuszczam się na podłogę i niczym wąż podpełzam do drzwi.

– Abraszo! Czy słyszysz mnie? – szepczę przez szparę pod drzwiami. – Czy słyszałeś, jak tańczyłam?

– I jak się czujesz? – pytasz w odpowiedzi.

– Jesteś wspaniałym przyjacielem, Abraszo.

– Dlatego zamknęłaś mi drzwi przed nosem?

– Tak, właśnie dlatego! Powiedziałeś przecież, że mogę być tu sama.

Słyszę, jak poruszasz się po drugiej stronie drzwi. Po chwili dostrzegam klucz, który wślizguje się przez szparę pod drzwiami.

– To jest klucz do mieszkania na wypadek, gdybyś przyszła, a mnie nie byłoby w domu – mówisz.

– Mój klucz?

– Twój klucz. Twój pokój.

– A jeśli będziesz z ...

– Z kochanką? Nie martw się. Na to mam inny adres.

– Masz jeszcze inny adres?

– Uważasz mnie za tak ograniczonego, by mieć tylko jeden?

– To ile masz adresów?

– Nie zadawaj tylu pytań.

Wstaję i otwieram szeroko drzwi.

– Nie chcę tego pokoju. Nie lubię go.

– Co jest z nim nie tak?

– Nie jest przytulny. Nie będę mogła w nim nic zdziałać.

– Szkoda.

– I nie mogę zrozumieć, jak możesz sobie na to pozwolić, skoro masz jeszcze tyle innych adresów... Nie widzę żadnych chętnych, którzy pchaliby się drzwiami i oknami, by kupować twoje rzeźby. I tata powiedział mi, że większą część swojego spadku oddałeś na *hachszores*[336].

– Wyświadcz mi przysługę, Miriam, i nie zawracaj sobie tym głowy. To wszystko nie twoja sprawa.

– Nie moja sprawa?

– Nie. Pokój jest twój. Reszta to nie twoja sprawa.

Gotujesz posiłek dla nas obojga i tego samego wieczoru pusty pokój zostaje obwołany mianem „strychu". Wszystko wyparowuje mi z głowy i nie mogę myśleć o niczym innym jak tylko o tym skarbie, którego właścicielką się stałam. Posiadanie własnego kącika jest tak niezwykłą sprawą, tak fantastycznym szczęściem, że zaczynam uważać się za szczęśliwą również pod każdym innym względem.

Wagaruję z gimnazjum. Wiem, że rano jesteś zajęty załatwianiem swoich spraw, przychodzę więc do Twojej mansardy, głaszczę Samsona, odpycham stopą Dalilę i zamykam się w moim „strychu". Rozsiadam się na podłodze i odrabiam zadania domowe. Potem przez jakiś czas czytam książkę wypożyczoną z biblioteki. W końcu nie robię nic więcej, tylko wyciągam się na całą długość na podłodze. Myślę o niebieskich migdałach, po czym przysypiam na parę minut. Gdy otwieram oczy, przeciągam się, wstaję i boso zaczynam poruszać się po białej pustce. Czuję gładkość podłogi pod stopami i wypełnia mnie melodyjna cisza.

W ten sposób parę razy w tygodniu tańczę mój *Taniec na strychu* w tym pokoju. Często zostawiam Ci karteczkę z wiadomością, że byłam tu, chociaż możesz domyślić się tego na podstawie pomniejszonego bochenka chleba lub mniejszej ilości owoców w dużej ceramicznej misie, która stoi zawsze pełna na stoliku.

Pewnego wieczoru, gdy jesteś zajęty w swoim pokoju, a ja jestem w moim, rzeczywiście czuję, że dzielimy ze sobą ten rzadki, pełen niezwykłego spokoju moment. Przychodzi mi na myśl, że Ty i ja istotnie bierzemy udział we wspólnej duchowej uczcie. Otwieram drzwi i mówię szeptem:

– Wejdź, Abraszo. Zapraszam cię.

Mija dłuższa chwila, zanim odchodzisz od piecyka, przy którym przygotowujesz dla nas posiłek. Wycierasz ręce w ręcznik, zapalasz fajkę i przeczesując

---

[336] *hachszore*, l. mn. *hachszores* (jid.) – po polsku znana raczej pod nazwą hachszara (hebr.) – system programów przygotowujących Żydów do osadnictwa w Palestynie, przybierał on najczęściej formę obozów szkoleniowych, gdzie prowadzone były zajęcia z języka hebrajskiego, ale także warsztaty z rzemiosła i rolnictwa.

ręką rozczochraną czuprynę, przekraczasz próg mojego „strychu". Siadasz na podłodze i opierasz się o ścianę. Opanowuje mnie ogromne napięcie. Odwracam się do Ciebie plecami i czekam chwilę, aż odzyskuję mój poprzedni nastrój. Potem tańczę przed Tobą do muzyki ciszy, czując, jak Twoje oczy towarzyszą mi niczym dwa reflektory. Jednak ledwo co zdaję sobie sprawę z Twojej obecności, jak gdybyś równocześnie był tutaj i nie był. Jestem sama, ale jest to samotność pełna światła, pełna miłości. Kiedy czuję się już zmęczona, siadam obok Ciebie. Zasapana, odzywam się przerywanym głosem:

– Jeszcze nigdy nie czułam się tak dobrze, jak teraz, kiedy przyglądałeś mi się. Jesteś pierwszym, który zobaczył mnie w moim *Tańcu na strychu*.

Idziesz dokończyć przygotowywanie posiłku. Jemy, siedząc na łóżku. Za stół służy nam uprzątnięte krzesło, pośrodku którego stoi świecznik z płonącą świecą. Wyprawiamy sobie prawdziwą ucztę z winem.

Gdy przychodzę następnym razem, witasz mnie bukietem margerytek, który stoi w blaszanej puszce w kącie pustego pokoju. Biel kwiatów pomiędzy zielonymi, delikatnymi łodyżkami jaśnieje wspaniale pośród cienistego kąta, gdzie spotykają się dwie białe ściany.

Najczęściej nie ma Cię w domu. Kiedy jednak tu jesteś, zostawiam drzwi mojego „strychu" otwarte. Pewnego razu słyszę, jak czytasz na głos wiersz *Lösch mir die Augen aus*. Te słowa, ich rytm oraz melodia strof podobają mi się.

– Chodź tu, Abraszo, i przeczytaj mi – proszę Cię.

Opierasz się o framugę drzwi i czytasz głośno, rytmicznie wiersz Rilkego po niemiecku. Później uczę się tego wiersza na pamięć. Kocham dynamiczny rytm kaskady słów pełnych pasji i próbuję wytańczyć wersy tego wiersza.

Lösch mir die Augen aus: ich kann dich sehn,
wirf mir die Ohren zu: ich kann dich hören,
und ohne Füße kann ich zu dir gehn,
und ohne Mund noch kann ich dich beschwören.
Brich mir die Arme ab, ich fasse dich
mit meinem Herzen wie mit einer Hand,
halt mir das Herz zu, und mein Hirn wird schlagen,
und wirfst du in mein Hirn den Brand,
so werd ich dich auf meinem Blute tragen[337].

[337] *Zgaś moje oczy, ja Cię widzieć mogę. / Uszy zatrzaśnij: ja Ciebie usłyszę / Ja do Ciebie bez nóg znajdę drogę / I bez ust krzyk mój cisnę w Twoją ciszę. / Ręce mi odrąb, a ja Cię pochwycę, / ja Cię pochwycę sercem jak ramieniem, / zawrzyj mi serce: mózgiem Cię zdobędę, / a skoro mózg mi wypalisz płomieniem, / ja na krwi mojej Ciebie nosić będę.* (Rainer Maria Rilke, *Lösch mir die Augen aus…* [w:] *Das Stundenbuch. Zweites Buch: Das Buch von der Pilgerschaft*, 1901; polski przekład Witolda Hulewicza w: *Księga godzin. O pielgrzymstwie*, wyd. L. Chomińskiego, Wilno 1935).

Mój taniec przyjmuje nowy styl. Od czasu do czasu proszę Cię, żebyś mi najpierw przeczytał jakiś wiersz, a potem interpretuję go, tańcząc do rytmu recytacji. Ty komentujesz moje ruchy i odnosisz się do mnie, jak rzeźbiarz do modelki. Wskazujesz mi, jak mam skorygować linię ciała, pozycję głowy lub kierunek dłoni i palców. Uczysz mnie.

– Drugorzędny pisarz – mówisz – używa bardzo kwiecistego, bogatego języka. Prawdziwie wielki pisarz natomiast powraca do eleganckiej prostoty. Ta prawda dotyczy każdego artysty.

Przysłuchuję Ci się uważnie. Zauważasz najmniejszą niedoskonałość w płynności mojego ruchu, w linii mojego ciała. Odczytujesz każdy mój gest, jak gdyby składał się ze słów i fraz.

– Rilke jest mistrzem w układaniu najtrafniej dobranych słów w najlepszej kolejności – mówisz do mnie. – Dąży do perfekcji, znajdując najlepsze formy wyrazu uwzględniające to, co minęło, oraz to, co nadchodzi. – Z takimi oto słowami wracasz do swojego pokoju, do stojaka rzeźbiarskiego, sam zainspirowany chwilami, które oboje dopiero co razem spędziliśmy.

Pewnego razu, gdy przychodzę do Ciebie i przekraczam próg mojego „strychu", mam wrażenie, że znowu przyniosłeś mi kwiaty. Powietrze w pokoju przesiąknięte jest delikatnym zapachem perfum, jednak nie znajduję w nim żadnych kwiatów. Zamiast nich zauważam porzucony niedbale na parapecie seledynowy szal. Nie należy do mnie i jest mocno naperfumowany. Nie mogę nic więcej zrobić w tym pokoju. Czuję się obrabowana z prywatności, gorzej – świętość tego miejsca została sprofanowana. Moje intymne chwile spędzone z Tobą i podarowanie Ci wszystkich ukrytych skarbów mojej duszy tracą znaczenie. Kiedyś, kiedy znajdowałam ślady kobiet w Twoim pokoju, godziłam się z tym. Jednak teraz znalezienie tego seledynowego szala w tym pokoju, w którym czuję się tak bardzo swojsko i w harmonii z Tobą, oznacza coś zupełnie innego.

Przez otwarte drzwi obserwujesz mnie – jak trzymając szal w ręce, siadam na podłodze i opieram się o ścianę. Głupawy, niewyraźny uśmiech igra na Twoich wargach. Może czujesz się zakłopotany tym, że znalazłam ten szal; tym, że sprofanowałam Twoje własne intymne chwile? Staje się dla mnie jasne, iż nic o Tobie nie wiem, a nawet jeśli odrobinę wiem, to nie ma sensu wmawiać sobie, że Cię znam. Jestem pewna, że to, co przede mną ukrywasz, jest samą esencją Ciebie, ponieważ niczego innego nie opłaca się zatajać. Rozumiem, iż w ciągu tego całego czasu byłeś raczej moim nauczycielem niż przyjacielem, i że nie będę więcej w stanie tańczyć mojego *Tańca na strychu* w tym pokoju. Czuję się oszukana i wewnętrznie pusta.

Wchodzisz do pokoju, podnosisz z podłogi seledynowy szal i wpychasz go do kieszeni. Unoszę głowę.

– Właśnie zrozumiałam, Abraszo – odzywam się – że jesteś moim nauczycielem, lecz nie przyjacielem.

– Dlaczego tak uważasz?

– Moje życie jest dla ciebie otwartą księgą, ale nie twoje dla mnie.

– Przyjaźń nie wyklucza prawa człowieka do posiadania prywatnego kącika w sercu. Ja też nie chcę cię pozbawić tego prawa.

– Dobrze, niech każdy z nas ma swój prywatny kącik. – Przygryzam wargi i wiem, że będzie mnie pożerała zazdrość.

– Czego oczekiwałaś? – pytasz ze złością i zaczynasz kroczyć po pokoju. – Nie jesteś tak naiwna, Miriam, by nie wiedzieć, że między nami nie może być żadnej innej relacji niż ta, którą mamy. Jak drogie nasze wspólne spędzanie czasu by dla mnie nie było, nie może mnie to w pełni zadowolić. I ja też nie mogę zaspokoić wszystkich twoich potrzeb i życzeń. Oto jak daleko jestem gotów posunąć się w szczerości wobec ciebie. Fakt, że znalazłaś ten szal... – Wyciągasz go z kieszeni i machasz nim w powietrzu. Widok jedwabnej, bladej zieleni sprawia mi wielki ból. Jest to piękny szal i zapach perfum, który rozsiewa, jest oszałamiający. Ten szal jest naocznym świadkiem sceny rozgrywającej się między nami. Wskazujesz na niego podbródkiem. – Ten szal nie ma żadnego znaczenia. Potwierdza jedynie to, o czym już dawno wiedziałaś.

– A to, że znalazłam go tutaj, w miejscu, które miało być moim pokojem, też nie ma żadnego znaczenia? – Serce o mało nie pęka mi z żalu, który mnie nagle ogarnia.

– Jeśli to sprawia, że czujesz się tak źle, to wybacz mi. Już nigdy nikogo nie wprowadzę do tego pokoju. A teraz chodź. – Wyciągasz do mnie rękę i pomagasz mi wstać. – Szkoda tracić czas bez powodu.

Obiektywnie rzecz biorąc, masz rację. Jednak nie mogę zdusić w sobie zatruwającego mą duszę uczucia, które mnie ogarnia. Tego dnia nie tańczę w moim pokoju i przez parę kolejnych dni nie przychodzę do Ciebie. Jednak ciągnie mnie bardzo zarówno do Ciebie, jak i do mojego „strychu", i w końcu pewnego razu po szkole tańca wspinam się znowu po schodach do Twojej mansardy.

Jednego dnia, kiedy wdrapuję się po schodach do Twojego mieszkania, słyszę śpiew dochodzący z drugiej strony drzwi. Kiedy wchodzę do środka, napotykam tłum ludzi, którzy śpiewają, piją, śmieją się i rozmawiają głośno. To Twoi koledzy, między którymi są też Polacy. Znam ich wszystkich. Są to jedyni Polacy, jakich kiedykolwiek spotkałam prywatnie. Podziwiam, jak dobrze i swojsko czujesz się między nimi wszystkimi. Następnego dnia wspominam Ci o tym.

– Dziwi mnie, że tak swobodnie czujesz się między nimi – zauważam.

– Moja mamka była chłopką – wyjaśniasz mi. – Dorastałem razem z jej dziećmi. Dlatego rzadko myślę o polskości moich przyjaciół.

– A czy oni nie myślą o twojej żydowskości?

– Pewnie tak. Ale nie wydaje się, żeby im to przeszkadzało.

– Nie podejrzewasz, że część z nich jest antysemitami?

– Zwalczam to w sobie. Nie mam na to żadnych dowodów.

– Jednak niektórzy artyści są antysemitami.

– Oczywiście. Ale wiesz, co ci powiem? Wątpię w wartość ich sztuki. Mogą być wybitnie uzdolnionymi fachowcami, genialnymi oszustami, ale nic więcej. Wciąż wierzę, że prawdziwa sztuka jest najwyższym wyrazem miłości do człowieka i życia. Kocham Mariana Szewczyka jak brata i rozumiem się z nim lepiej niż z moim rodzonym bratem. Kiedy razem z bratem mieszkaliśmy w domu naszego wuja w Krakowie, mój brat uczył się, by zostać rabinem, a ja chodziłem do Akademii Sztuk Pięknych. Wszyscy moi koledzy z akademii byli Polakami i czułem się między nimi lepiej niż w domu mojego wuja. W domenie sztuki nie ma Żydów i nie-Żydów, tak samo jak nie ma Żydów i nie-Żydów w dziedzinie miłości. Artyści i zakochani należą do jednego, własnego gatunku.

– A co z Ryszardem Wagnerem? Czy nie był on wielkim artystą i zagorzałym antysemitą?

– Tak, wciąż głosi się peany na jego cześć. Nie jestem ekspertem w dziedzinie muzyki, ale w jego apoteozie miłości słyszę szofary śmierci. Osobiście mogę się obejść bez niego i takich jak on. Tak zwanym miłośnikom sztuki łatwo przychodzi oddzielić człowieka od jego dzieła. Jednak człowiek i jego dzieło są jednym. Artysta oddaje w swoim dziele całe swoje „ja". Jeśli nie, to nie jest to dzieło, o którym warto mówić. Współcześni spece głoszą, że funkcją sztuki jest osiągnięcie sfer, które są poza i ponad moralnością. Ja uważam, że sztuka w swojej istocie jest moralna. Jest czymś najlepszym, co człowiek jest w stanie stworzyć, by dać radość i możliwość oczyszczenia się swoim bliźnim. Nie jestem nowoczesny. Nie obchodzi mnie, że artysta dwudziestego wieku posiada inne kryteria. Nigdy nie dystansowałem się tak od Wagnera, jak robię to dziś. Jeśli może on służyć za inspirację Hitlerowi, to niech idzie do diabła razem ze swoim arcydziełem.

Innego dnia, kiedy przychodzę do Ciebie, natykam się niespodziewanie na inną kompanię – Twój pokój pełen jest młodych żydowskich chłopców i dziewcząt. Domyślam się, że jest to towarzystwo z *hachszore*, z którym jesteś związany. Wspierasz ich nie tylko finansowo, lecz pomagasz im również w otrzymaniu certyfikatów imigracyjnych potrzebnych do wyjazdu do Palestyny. Witasz mnie z zimnym, niewyraźnym uśmiechem na twarzy.

– Jestem zajęty – szepczesz mi na ucho. – Przyjdź jutro.

Obiecuję sobie, że już nigdy do Ciebie nie przyjdę. Myślę, że wszystko między nami skończone, jednak tak nie jest. Parę dni później czekasz na mnie przed szkołą tańca i przepraszasz mnie. Udaję, że Cię nie słyszę. Przyglądasz mi się chłodnym wzrokiem nauczyciela, wzrokiem, którego nie mogę znieść.

– Omawiałem z nimi tajne sprawy – mówisz. – Mogę ci tylko jedno powiedzieć i może pomoże ci to zrozumieć, dlaczego chcę trzymać cię od tego z daleka. Grupa żydowskiej młodzieży będąca w drodze do Palestyny została oszukana i obrabowana. Statek, którym mieli popłynąć, był blefem. Teraz utknęli gdzieś nad Morzem Śródziemnym i pomoc można dostarczyć im tylko nielegalnymi drogami. Nie chcę, żebyś miała z tym coś wspólnego. Teraz wiesz już więcej, niż powinienem był ci powiedzieć.

Zmieniasz temat i ton twojego głosu robi się cieplejszy.

– Zapytałaś mnie kiedyś, dlaczego nie zamieszkam z innymi w *hachszore*. Wiesz dlaczego? Bo jestem egoistą. Nie mogę żyć bez mojej pracy, a ona nie ma dla nich w obecnej chwili najmniejszego użytku. Poza tym wątpliwe jest, żebym potrafił wpasować się w kolektyw. Muszę być sam, żyć sam. Podarowanie im części mojego spadku nie jest takim altruistycznym gestem, jak może się wydawać. – Machasz ręką, po czym całkiem zbaczasz z tematu. – Zrozum, Miriam, że cała ta kwestia materialnego bogactwa jest kompletną bzdurą. Nie powiem, oczywiście chcę mieć dość pieniędzy, by móc wieść wygodne życie. Jednak dla takiego osobnika jak ja posiadanie rzeczy – domu, drogich mebli, szaf pełnych ubrań – jest zbędnym balastem. Kto tego potrzebuje? Kocham podróżować z lekkim bagażem. *Omnia mea mecum porto*[338]. Wszystko, co posiadam, noszę ze sobą. Wystarczy mi, że dźwigam balast mojego charakteru z jego szaleństwami, ciężar mojego losu i tego wszystkiego, co do czego nie mam wyboru i muszę taszczyć ze sobą.

Idziemy w kierunku Twojej mansardy. Milczę i dziwię się, że nagle wygłaszasz taką długą, chaotyczną mowę.

– A jeśli chodzi o wynajęcie nowego mieszkania – ciągniesz – i twój pokój... Myślisz, że zrobiłem to dla ciebie? Absolutnie nie. Zrobiłem to dla siebie. Gdybyś wiedziała, jak dobrze działa na mnie twoja obecność tam, pojęłabyś ogrom mojego egoizmu. Czy nie zauważyłaś, jak zmienił się mój styl, odkąd zaczęłaś przychodzić do twojego pokoju? Powiem ci tylko jedną rzecz, Miriam. W każdej pracy, którą tworzę w tych dniach, jest coś z ciebie. Pytam się więc, czy po takiej mowie, jaką ci tu wygłosiłem, powiesz mi jeszcze, że nie jestem twoim przyjacielem?

Jesteś moim przyjacielem, bez względu na wszystko. Jednak nie przestaję pragnąć czegoś więcej, być Ci bliższą, znać Cię lepiej. Proponuję Ci, żebyś mnie uczył hebrajskiego i studiował ze mną Tanach[339]. Mówię sobie, że dzięki tej nauce będę mogła się lepiej chronić przed jadem, który sączy się z gazet. Mam przy tym jednak jeszcze inny cel, którego nie potrafię sprecyzować. Żywię mglistą nadzieję, iż studiowanie Tanachu przybliży mnie do Ciebie, oraz że przez zbliżenie się do źródła twojej żydowskości, zbliżę się może również do siebie samej. Podoba Ci się ten pomysł. Uśmiechasz się szeroko, kiedy ja, wolnomyślicielka i bundystka, zaczynam siebie samą analizować i tłumaczyć.

– Przestań deliberować nad sobą – mówisz mi. – Przygotuj się na przyjemność, która cię czeka.

Studiujesz ze mną Chumesz tą samą staromodną metodą, jaką uczył Cię Jankew, kiedy byłeś małym chłopcem. Jednak Ty i ja nie tylko studiujemy tekst,

---

[338] (łac.) dosł. wszystko, co posiadam, noszę ze sobą, przen. prawdziwym bogactwem człowieka jest jego wnętrze

[339] Zob. przypis s. 381.

lecz snujemy wspólnie biblijne marzenia. Budzisz we mnie tęsknoty, które sięgają głęboko wstecz i wybiegają daleko wprzód, wiążąc się gdzieś z moją przynależnością do plemienia, z którego oboje się wywodzimy, oraz do całego rodzaju ludzkiego.

Siedzimy na podłodze pokoju – „strychu" – opierając się o ścianę, każdy z wielkim, otwartym Tanachem wspartym o kolana. Samson i Dalila, pies i kot, drzemią obok. Zwykle po takiej lekcji biorę mój pokój w prywatne posiadanie i tańczę taniec prorokini Miriam, prorokini Debory, zazdrosnej Lei oraz szczęśliwej i prześladowanej przez los Racheli.

Uczucie, że wykroczyłam poza granice mojego „ja", utrzymuje się nawet wtedy, gdy zaprzestaję uczyć się z Tobą Chumeszu. Zaczynasz przygotowywać się do wystawy swoich prac. Mija wiele tygodni, podczas których nie możesz pozwolić sobie na to, by spędzać czas ze mną w moim pokoju. Jednak drzwi do niego stoją otworem i możemy mieć się nawzajem na oku.

Rozdział dwudziesty trzeci

Wierka nie wybiera się na coroczną potańcówkę w gimnazjum. Malka i Sorka również nie chcą iść, gdyż obie generalnie są przeciwniczkami tańców salonowych. Ja jednak za nic w świecie nie odmówiłabym sobie pójścia na zabawę taneczną. Przez cały wieczór nie przepuszczam ani jednego tańca, z wyjątkiem przedostatniego. Jeśli żaden chłopiec nie zaprasza mnie do tańca, proszę jakąś dziewczynę, by tańczyła ze mną.

Na jednej ze stojących pod ścianami ławek siedzi chłopak, który przez cały wieczór nie rusza się z miejsca i cały czas gapi się na mnie. Z jakiego kąta sali nie rzuciłabym spojrzenia w jego stronę, widzę, jak wodzi za mną wzrokiem. Zastanawiam się, po co przyszedł na potańcówkę, skoro nie potrafi tańczyć, a nawet z nikim nie rozmawia. Dziwaczność jego zachowania intryguje mnie. Podobnie jak wiele moich szkolnych koleżanek osądza na podstawie mojej miłości do tańca, że mój intelekt jest mniejszego kalibru, tak ja sama nie mam respektu dla chłopców, którzy są świetnymi tancerzami. Z reguły im lepiej tańczy mój partner, tym głupsze jest to, co mówi.

Czuję się piękna tego wieczoru. Zanim wyszłam z domu na potańcówkę, mama i Wierka narobiły szumu wokół mojego wyglądu. Kiedy zaczęłam uczęszczać do gimnazjum, zapuściłam włosy, tak jak chciałam tego, kiedy byłam małą dziewczynką. Tylko w szkole tańca noszę je upięte i przewiązane wstążką. Nie było chłopaka, który tańcząc ze mną tego wieczoru, nie powiedziałby komplementu na temat moich „złotych" włosów i „zdumiewająco" zielonych oczu, chociaż moje włosy nie są wcale „złote", tylko marchewkoworude, a zieleń moich oczu jest czasami niebieskawa, a czasami szara. Świadomość, że wyglądam pięknie, powoduje, że czuję się śmielsza i jestem bardziej rozmowna niż zwykle.

Z powodu zmęczenia i z ciekawości, którą wzbudza we mnie dziwny chłopak, rezygnuję z przedostatniego tańca. Podchodzę i siadam obok niego na ławce.

– Dlaczego nie tańczysz? – pytam go, chociaż to nie moja sprawa. Oczekuję, że odpowie na moje pytanie, lecz on rumieni się tylko lekko i wzrusza ramionami. – Nie potrafisz czy nie chcesz tańczyć? – dopytuję się nietaktownie. Najwyraźniej pycha, w którą popadłam z racji mojego pięknego wyglądu, uderzyła mi do głowy.

– I to, i to – odpowiada krótko.

– Wybacz, to wprawdzie nie moja sprawa, lecz jeśli tak, to dlaczego tu przyszedłeś? – Wciąż nie mam zamiaru zrezygnować z wypytywania go.

– Przyszedłem, żeby tu być – odpowiada, uśmiechając się krzywo i odwraca ode mnie wzrok.

Dziwi mnie, że odpowiada mi tak spokojnie, choć lakonicznie, na moje zuchwałe pytania. Dlaczego jestem tak nietaktowna i robię z siebie głupią? Oczywiste jest przecież, że on nie ma najmniejszej ochoty wdawać się w rozmowę ze mną. W końcu wstaję, zdecydowana zostawić go w spokoju i nie chcąc stracić ostatniego tańca. Wtedy on skacze na równe nogi i łapie mnie za rękę.

– Chodź, zatańczmy! – woła tonem samobójcy, który gotów jest skoczyć z mostu. Dopiero teraz dostrzegam, jaki jest wysoki.

Jest okropnym tancerzem, ale ma dobre wyczucie rytmu i to pomaga mu nie deptać mi co chwilę po palcach. Zaczynamy improwizować, wykonując przeróżne dziwne ruchy, zamiast tańczyć zgodnie z regułami tańca. W jakiś sposób nasze ciała zaczynają harmonizować ze sobą, jak gdyby przyzwyczajone były do wspólnego wykonywania dziwacznych gestów.

– Jeśli koniecznie chcesz wiedzieć, dlaczego nie zaprosiłem cię wcześniej do tańca – woła, gdy wykonujemy szybki obrót – to racz rzucić okiem pod moje lewe ramię. – Nie orientuję się, które jego ramię jest lewe i patrzę w dół pod prawe. On zdejmuje lewą rękę z mojej talii i podnosi.

– Masz rozdartą marynarkę! – Chichoczę.

– Rozdarła się, kiedy ją zakładałem – wyjaśnia. – Zszywałem ją już tysiąc razy, ale się nie trzyma. Rozrywa się, jakby specjalnie chciała wprawić mnie w zakłopotanie.

– Chcesz powiedzieć, że sam reperujesz swoją marynarkę?

W przypadku takiego poważnego rozdarcia moja mama zreperowałaby ubranie dla mnie. Moje umiejętności w tej dziedzinie ograniczają się do przyszycia guzika czy przymocowania czystego, białego kołnierza do czarnego, szkolnego mundurka, ewentualnie zacerowania sobie pończoch. Mama nie ufa mi też, gdy chodzi o reperowanie mojego drogiego trykotu czy baletek, które muszą wytrzymać tak długo, jak to tylko możliwe. Przedmiot „gospodarstwo domowe", który nauczany jest w gimnazjum, jest moją największą udręką. Zdaje się, że urodziłam się z dwiema lewymi rękami.

– A kto miałby to za mnie zrobić? – pyta chłopak. – Jestem sam w Łodzi. Przyjechałem tu z Ogrodowa, żeby zrobić maturę. Mieszkam zakwaterowany

u jednej rodziny. – Tracimy rytm i proponuje: – Chodź, wyjdźmy stąd. Nie mam tu więcej nic do roboty. – Chwyta mnie mocno za rękę i prowadzi do wyjścia, a ja pozwalam mu się prowadzić.

– A co miałeś tu do roboty do teraz? – pytam.

– Miałem powód, by tu być, a teraz mam powód, by odejść. Rozumiesz? Ani słowa, co? A skoro już przy tym jesteśmy, może potrzebujesz prywatnego nauczyciela z pierwszorzędnymi referencjami? Dla ciebie zrobię specjalną cenę.

– Na przykład jaką?

– Jeden pocałunek za godzinę.

Idziemy ulicą w pewnym odstępie od siebie, stawiając krótkie, niezdecydowane kroki. Przyglądam mu się podejrzliwie z boku.

– Bardzo lubisz flirtować z dziewczętami, prawda? – pytam, trochę zirytowana. – Nie znoszę flirciarzy.

– Ja też – odpowiada. – Najczęściej flirtuję z królową z szachownicy. A skoro już przy tym jesteśmy, to pozwól mi się przedstawić. Mam na imię Marek. Ty, o ile wiem, nazywasz się Miriam. Miriam Polin. Mieszkasz przy ulicy Nowomiejskiej numer osiem, na trzecim piętrze pierwszej oficyny, pierwsze drzwi na lewo. Okna twojego mieszkania wychodzą na ulicę, o ile się nie mylę. Ja jestem szlachetnym Markiem Antoniuszem, a ty boską Kleopatrą. – Kłania się błazeńsko. – Ave, boski majestacie. Twój niewolnik i sługa przybył zameldować ci, że jego okręt dobił do twoich brzegów.

– Błazen z ciebie! – Uśmiecham się krzywo. – Ja Kleopatrą? Z moimi rudawymi włosami?

– Złotymi włosami. Złotowłosa Kleopatra o zielonych oczach jest o wiele rzadszą i cenniejszą zdobyczą niż czarnowłosa Kleopatra o czarnych oczach. Kocham wszystko, co rzadkie i niezwykłe.

– To bardzo pięknie z twojej strony. Jednak jeśli ja jestem Kleopatrą, a ty Markiem Antoniuszem, to tak czy siak nie czeka nas nic dobrego. Postawmy więc tu kropkę. Bądź zdrów, szlachetny Marku Antoniuszu, ja idę do domu!

Chwyta mnie za rękę.

– Nie idziesz jeszcze. Musimy omówić naszą przyszłość. Musimy uczyć się z przeszłości, żeby ją skorygować.

– Jestem strasznie złą uczennicą z historii.

– A ja jestem dobrym prywatnym nauczycielem. I lepiej nie karm mnie bajkami o sobie, bo twoja biografia jest dla mnie otwartą księgą. Oprócz prywatnego nauczania uprawiam też profesję prywatnego detektywa.

– A kim jest ten, kto dostarcza ci informacji o mnie, jeśli wolno zapytać?

– Zapytać wolno, ale ci nie odpowiem. Nie zdradzam źródła moich informacji. Jednak jeśli koniecznie chcesz się dowiedzieć, to nie mam wyboru. To twoja własna siostra! Jej chłopak, Icchok, należy do tego samego klubu szachowego co ja. Wskazał mi ciebie na ulicy. Udało mi się zebrać szczegółowe informacje na temat twojej codziennej rutyny. Widuję cię prawie każdego dnia w drodze

do gimnazjum, a kiedy mam czas, towarzyszę ci z daleka, gdy idziesz do szkoły tańca. Wiedziałem, że dziś wieczorem będziesz sama na potańcówce. Tak więc to, moja droga Kleopatro, jest początek naszego romansu. I jeśli już przy tym jesteśmy, podkreślmy, iż nasze dusze były w kontakcie od bardzo długiego czasu, że to siła naszego wspólnego losu popchnęła cię dzisiejszego wieczoru do tego, byś usiadła obok mnie.

Ogarnia mnie zdumienie.

– Jak długo już mnie tak szpiegujesz?

– Od dnia, w którym mój wzrok po raz pierwszy spoczął na tobie.

– Brawo! Jesteś wspaniałym aktorem! Kiedy usiadłam obok ciebie, myślałam, że widzisz mnie po raz pierwszy w życiu. Sądziłam, że chcesz się mnie pozbyć, uwolnić się ode mnie. Jesteś niebezpieczny. Wzbudzasz we mnie strach.

– Ty też wzbudzasz we mnie strach. Kiedy usiadłaś obok mnie, moje serce waliło tak mocno, że brakowało mi tchu i nie mogłem otworzyć ust. Tylko jedno wiedziałem na pewno – że tym razem nie pozwolę ci zniknąć z mojego życia, zanim nie wyznam ci całej prawdy. I powiedz sama, czy nie podziwiasz mojej śmiałości? Nawet teraz, gdy idziemy razem ciemną ulicą, gdzie nie możesz wyraźnie zobaczyć mojej twarzy, wymaga to ode mnie wielkiej odwagi.

– To wymaga wielkiej chucpy! Jesteś jeszcze większym błaznem, niż myślałam.

– Błaznowanie ułatwia mówienie o poważnych sprawach.

– Serwus! – wołam. Wskazuję na zbliżający się tramwaj i biegnę naprzód, by go dogonić.

– Spotkajmy się jutro! – Słyszę, jak woła, śpiesząc za mną. Idzie po trotuarze wzdłuż tramwaju, który pomału rusza z miejsca.

– Nie mam czasu! – wołam w odpowiedzi i macham do niego ręką.

Siedzę w tramwaju z głową opartą o okno. Iloma niespodziankami potrafię siebie samą zaskoczyć! Jak moje usta mogły tak gładko wypowiedzieć coś dokładnie przeciwnego, niż mówiło moje serce? To przecież on – ten, na którego czekam! Wciąż jeszcze czuję jego obecność obok mnie. Każde jego słowo, każdy nieudany dowcip zarejestrowane są w mojej głowie tak wyraźnie, że bez trudu przeżywam ponownie w najdrobniejszym szczególe całą scenę, która rozegrała się między nami. Z zamkniętymi oczami pozwalam mojemu ciału przywołać z powrotem każdy jego dotyk podczas naszego tańca, łącznie z tym, jak deptał mi po palcach. Wyobrażam sobie jego piękne ciało pod znoszoną, pogniecioną gimnazjalną marynarką z przykrótkimi rękawami i dziurą pod ramieniem. I jaki jest wysoki! Jak ja, z moim wzrostem, musiałam zadzierać głowę, żeby zobaczyć jego twarz! Wyraźnie zauważyłam zagubione, zawstydzone spojrzenie, jakie rzucił mi w odpowiedzi na mój „serwus!".

Spojrzenie nie może oszukać. O, a jednak może! Aktorzy potrafią przecież zwieść nawet oczami. Chciałabym móc raz jeszcze spojrzeć w oczy Marka, żeby odkryć człowieka, który ukrywa się pod maską błazna, za wszystkimi błazeńskimi słowami i żartami. Dziwi mnie, że niczego nie wyczytałam z brzmienia jego

głosu. Rozmowa naszych połączonych w tańcu ciał oszołomiła mnie. Pragnę zobaczyć kontur jego ust – z niego również mogłabym dowiedzieć się czegoś o ich właścicielu. Usta mogą dostarczyć mnóstwa informacji, w zależności od tego, czy wyginają się w górę, czy w dół. Linia górnej wargi, która faluje przy różnych grymasach twarzy, wyraża zmianę nastrojów człowieka. Wilgotna, lśniąca dolna warga natomiast mówi o skłonności do marzycielstwa, a kąciki ust wskazują na cierpienie lub radość. Jednak wszystko, co pamiętam z ust Marka, to to, że błyszczały w ciemności jasną czerwienią. A jego włosy? Co poczułabym w koniuszkach palców, gdybym dotknęła jego włosów?

Dotykać go! Na tę myśl tęsknota przeszywa moje ciało niczym elektryczny prąd. Nie mogę sobie wybaczyć, że uciekłam od niego. Dokąd się śpieszyłam, jeśli to on jest stacją, na której powinnam wysiąść i pozostać? A może tak jest lepiej. *Madame* Felicja Markiewicz zaczęła przecież kampanię zbierania dotacji i planuje posłać mnie do akademii tańca we Francji. Abrasza wysyłał już listy do swoich przyjaciół w Paryżu, żeby znaleźć dla mnie odpowiednie zakwaterowanie. Jestem na drodze do zostania westalką, kapłanką w świątyni sztuki, tak samo jak *madame* Felicja. Do diabła z *madame* Felicją! Do diabła ze świątynią sztuki! Więcej warta jest dla mnie jedna minuta spędzona z Markiem! Im dalej tramwaj unosi mnie od niego, tym bardziej szlachetny i dumny wydaje mi się Marek i tym bardziej boję się, że jego szlachetność i duma powstrzymają go od spotkania się ze mną po raz kolejny. Już nigdy go nie zobaczę!

„To kara za twoje błaznowanie, za twoje udawanie, za odgrywanie takiej głupiej komedii!" – złoszczę się na niego w myślach. Potem próbuję wziąć się w garść. Czy postradałam zmysły? Jak mogę przypadkowe spotkanie z jakimś gimnazjalistą rozdymać do takich rozmiarów? Dlaczego robię z tego taką wielką sprawę? Tańczyłam z katastrofalnie złym tancerzem, który wciągnął mnie w krótki flirt. Czy to takie wstrząsające światem wydarzenie? I w ogóle co mnie obchodzi jakiś gimnazjalista? Mam przecież Abraszę. Nasze dusze biorą udział we wspólnej duchowej uczcie.

W nocy śpię źle i rano chodzę jak pijana. W gimnazjum muszę dziś napisać pracę egzaminacyjną z polskiej historii. Na szczęście siedzę obok Malki Cederbojm i mogę skopiować słowo w słowo jej esej o wojnie trzydziestoletniej i okresie panowania Wazy. Oczy bolą mnie od wytężania wzroku skierowanego na tekst Malki. Egoistyczna Malka ma drobny charakter pisma i nie wszystkie słowa, które od niej odpisuję, są dla mnie zrozumiałe. Poza tym plączę daty, gdyż Malka ma fatalny zwyczaj zapisywania czwórki tak, że wygląda jak dziewiątka, a jej jedynka przypomina siódemkę.

Po egzaminie Malka i Sorka doganiają mnie na szkolnym korytarzu.

– Powiedz no – odzywa się do mnie ze złością Malka – masz zamiar nie zdać w tym roku?

Uśmiecham się krzywo.

– Z taką sąsiadką w ławce jak ty, to niemożliwe.

Malka i Sorka nie potrafią wybaczyć mi mojego lenistwa. Malka nie posiada się z oburzenia.

– Jak w obecnych czasach ktoś, kto uważa się za świadomego człowieka, może nie interesować się w najmniejszym stopniu historią?

– Właśnie że interesuję się historią – odcinam się. – Moją własną! – Pojednawczym gestem obejmuję Malkę i Sorkę w talii i ciągnę je ze sobą. – Posłuchajcie, mam wam coś ważnego do opowiedzenia.

– Nie zmieniaj tematu! – Nie daje się ułagodzić Malka. – Znam cię dobrze. W głowie ci tylko małe sprawy twojego wielkiego ego. Kiedy w końcu zrozumiesz, że nawet to twoje ego zależne jest od procesów historycznych i od warunków socjalno-ekonomicznych? Mają one wpływ nawet na twój taniec! Tak! Fakt, że żyjesz w Polsce, w mieście Łodzi, w pierwszej połowie dwudziestego wieku – to też jest historia, od której zależy twoje życie. Wbij to sobie raz na zawsze do twojej głupiej głowy! Boże! W jakiej tępocie, w jakiej ignorancji ty żyjesz!

Teraz ja również wpadam w złość.

– Moje wielkie ego? Mój taniec? Co ty wiesz o moim wielkim ego i moim tańcu? Jeśli nie masz nic poza pogardą dla mnie i mojego tańca, to dlaczego się tak tym przejmujesz? I dlaczego muszę znać przyczyny wojny trzydziestoletniej? Ty musisz je znać. Ty kochasz takie straszne historie.

– Straszne historie, które są prawdziwe! – Malka gotuje się ze złości zupełnie jak jej ojciec. – Musimy je pilnie poznać, to nasz obowiązek. Sytuacja na świecie tego wymaga.

– Nie praw mi morałów i nie wygłaszaj kazań, proszę cię. Jeśli ci się nie podobam i masz mnie za nic, to nie przyjaźnij się ze mną. Urządzasz mi awanturę z tego prostego powodu, że odpisywałam z twojego arcydzieła i ukradłam twoją genialną interpretację historii. Pozwól, że ulżę twojemu sercu i powiem ci, że nie mogłam dokładnie odpisać ani jednego twojego zdania, wliczając daty. Dlaczego nie nauczysz się pisać porządnych dziewiątek i siódemek? Daty są ważne dla historii. Możesz jeszcze, nie daj Boże, przewrócić świat do góry nogami twoim niewyraźnym zapisem dat. To twój obowiązek, żeby lepiej na nie uważać!

Sorka kręci z niezadowoleniem głową i pyta mnie:

– Masz zamiar rozpocząć wojnę trzydziestoletnią z nami?

– Już ją rozpoczęłam! – wołam. – Serwus!

Rozchodzimy się. Na ulicy dogania mnie Sorka i łapie za rękaw.

– Nie bądź taką wyniosłą primadonną! – woła.

Próbuję strząsnąć jej rękę.

– Odczep się!

– Nie chcę!

– Działasz mi na nerwy!

– Ty działasz na moje!

– To bądź zdrowa!

– Nie! – woła Sorka i zaciska dłoń na moim ramieniu. – Jak mnie tu widzisz,

Miriam, jestem gotowa rozszarpać cię na strzępy. Tak rozdrażniona dziś jestem. Nie uwierzysz, co zrobiłam. Wyrzuciłam na śmietnik manuskrypt mojej powieści[340]. Tak, w całości. Skończyłam z pisaniem.

– Nie blefuj! – wołam, patrząc na nią z niedowierzaniem.

– Przysięgam!

– Co cię napadło? – pytam osłupiała. – To przecież... jakbyś popełniła samobójstwo!

Sorka wyjaśnia mi z drżeniem w głosie:

– Zrobiłam to z tego samego powodu, z którego Malka tak się na ciebie rozzłościła. Widzę, dokąd prowadzi nas historia. To, co napisałam, było tak trywialne, banalne i powierzchowne, że zaczęło mnie przyprawiać o mdłości i rozdrażniło do łez. Masz rację. Oczywiście, że jest to forma samobójstwa. Cała ludzkość popełnia samobójstwo i pogrąża się w bagnie, wciągana w nie przez apatię, inercję. Tak więc Adolf Hitler przekreślił na czerwono manuskrypt Sorki Fidler. Wszyscy śpimy z otwartymi oczami, Miriam. Niczym marionetki chodzimy do pracy, do szkoły. Żyje się z dnia na dzień w tym samym stanie otępienia, nie zauważając, jak blisko jest się przepaści.

Gadatliwość Sorki jest dla mnie najlepszym dowodem na to, jak bardzo jest poruszona. Moje uczucia do niej ocieplają się.

– I z tego powodu własnymi rękami zrujnowałaś swoje życie, wyrzucając na śmietnik manuskrypt, nad którym tak długo pracowałaś? Czyżby Hitlerowi udało się tak cię zahipnotyzować, żebyś się sama zabiła i ułatwiła mu sprawę? Powiedz, może jednak zrobiłaś to z tego powodu, że pokłóciłaś się z Mendlem?

– Z Mendlem? – Sorka śmieje się sarkastycznie. – Tak, istotnie posprzeczaliśmy się. On też na mnie nakrzyczał, gdy dowiedział się, co zrobiłam. Ale, Miriam, Hitler zamierza zniszczyć świat. Czy to niewystarczający powód, by wpaść w rozpacz? Potrzebujesz jeszcze czegoś więcej? Czy nie widzisz, co się dzieje?

Nie mam już więcej ochoty, by zwierzać się Sorce i opowiedzieć jej o Marku. Chociaż Sorka sama jest bardzo zaabsorbowana swoim związkiem miłosnym z Mendlem, pewnie uważałaby mój nagły atak miłosnych sentymentów za banalny i egoistyczny.

Wiem całkiem dobrze, co dzieje się na świecie, ale zgadzam się z tatą i dzielę jego optymizm. Tata nie wierzy w możliwość wybuchu wojny. Wierzy w zwycięstwo ludzkiego ducha, w boską iskrę mieszkającą w duszy każdego człowieka oraz w to, że ta iskra uratuje świat od zagłady. Ja wprawdzie nie jestem taką idealistką jak tata, ale uważam, iż świat kieruje się samolubnymi motywami i dlatego nie pozwoli się zniszczyć.

---

[340] W eseju wspomnieniowym Chava Rosenfarb napisała, że Zenia Marcinkowska zniszczyła powieść, nad którą pracowała: „To mną wstrząsnęło. Nawet w moim wieku miałam wrażenie, że zniszczenie własnej pracy jest jak popełnienie samobójstwa. Byłam pełna podziwu dla jej odwagi, ale ogarnęło mnie ogromne poczucie straty" – czytamy w *Ramblings Through Inner Continents*.

Ja i Ty, Abraszo, rzadko rozmawiamy o tym, co dzieje się na świecie. Wzbraniamy się przed tym, by obrabowano nas z drogich nam godzin, które spędzamy razem. Jednak Ty masz inne zainteresowania, swoje własne aktywności i powiązania z młodymi ludźmi z *hachszore*. Ja natomiast żyję zaabsorbowana tylko tym, co rozgrywa się w moim własnym życiu. Coraz bardziej denerwują mnie powierzchowności politycznych programów, ciągle powtarzające się słowa, żonglowanie wyświechtanymi sloganami, pustymi, pompatycznymi frazesami. Zalew informacji płynących z gazet na temat sytuacji światowej oraz nagłówki i artykuły, w których pobrzmiewa ton lamentacji Jeremiaszowych, przysłaniają swoim wielosłowiem brutalny fakt, że Europa nie jest w stanie podjąć żadnego odpowiedniego kroku. Tak to widzę, choć równocześnie żyję nadzieją, że ludzkość koniec końców obudzi się z letargu.

Dalej tańczę mój *Taniec na strychu*, a moja tęsknota do Marka jest dla mnie ważniejsza od wszystkiego, co dzieje się na świecie.

*

W domu panuje napięta atmosfera. Binele jest ostatnio bardzo zdenerwowana, zwłaszcza gdy rozmawia z Jankewem. Jest dla mnie jasne, że coś jest nie tak, jak zwykle. Jankew tego dnia je kolację w domu. Jest piątek i koszerna restauracja Feldmana została zamknięta wcześniej. Siedzi przy stole pogrążony w myślach, ze wzrokiem utkwionym w talerz. Wygląda na przybitego i zmartwionego. Czy znowu zanosi się na to, że straci posadę? Czy może jest tak zafrasowany z powodu ogólnej sytuacji na świecie? Wierka również wygląda na zatroskaną. Patrzę na nią pytającym wzrokiem, lecz ona nie reaguje. Zaczyna ogarniać mnie niepokój. Jedyną wesołą i rozgadaną osobą przy stole jest Noniek. Nie zauważa nawet, że nikt go nie słucha.

Po kolacji rodzice wychodzą z mieszkania. Wierka również gdzieś idzie. Nie mam wątpliwości, że wszyscy coś przede mną ukrywają. Jestem jednak tak znużona, śpiąca i zmęczona chaosem panującym w moim własnym sercu, że idę wcześnie spać.

Nie mogę przestać martwić się o mamę, która się tak drastycznie zmieniła. Przez cały dzień w szkole jest mi ciężko na sercu. Zawsze czuję niepokój, kiedy mama oddala się myślami od rodziny. Zdaje mi się wtedy, że ziemia usuwa mi się spod stóp. Jakie tajemnice może mieć mama? Czy ma to jakiś związek z Antonem Cimermanem, który wrócił do Polski? Armia republikańska w Hiszpanii ponosi porażki i generał Franco dochodzi do władzy. Parę tygodni temu Cimerman był u nas w gościach, by znowu się pożegnać. Centrala partii w Warszawie skierowała go – znakomitego organizatora – do pracy w stolicy. Wyglądał dobrze i był pełen energii, chociaż czoło ma teraz zorane głębokimi, równoległymi zmarszczkami, włosy mu posiwiały i kulał lekko z powodu rany w biodrze. Smutno było nam znowu się z nim żegnać. Mama zachowywała się sentymentalnie, jednak już

wtedy była zmieniona, roztargniona. „Niech pan wpadnie do nas, kiedy będzie pan w Łodzi" – prosiła go, lecz jej słowa brzmiały fałszywie.

Nagle, gdy siedząc w klasie, spoglądam przez okno, wpada mi do głowy, że mama pewnie weszła w przygnębiającą fazę w życiu kobiety, jaką jest przekwitanie. Zdaje mi się, że Wierka od razu to zrozumiała, podczas gdy mnie domyślenie się tego zajęło całą wieczność. Zaraz po szkole maszeruję do biblioteki. Podobnie jak w dniach mojego dojrzewania, rzucam się na książki o fizjologii kobiety.

Następnego dnia nie mogę żadną miarą wstać z łóżka. Moje ciało jest jak kłoda, bez odrobiny energii. W gardle mnie piecze, łzawią mi oczy i cieknie z nosa. Binele wygląda, jakby moje przeziębienie było wszystkim, czego potrzebowała do szczęścia. Postanawia, że koniecznie muszę pozostać w łóżku.

Podaje mi szklanki z posoloną wodą do płukania gardła, daje mi proszek z kogutkiem[341], żeby spadła mi temperatura i przyrządza mi kogel-mogel z żółtek jaj z cytryną i cukrem, na widok którego robi mi się niedobrze. Rusza do rzeźnika, by kupić parę kurzych skrzydełek oraz podroby i gotuje dla mnie rosół. Co chwilę podchodzi do łóżka, dotyka mojego czoła swoją delikatną, chłodną dłonią i gładzi mnie łagodnie i czule. Jest bardzo smutna, rozkojarzona i ledwo co odzywa się do mnie. Pociesza mnie, że zanim się obejrzę, z powrotem stanę na nogi. Jednak nie siada obok mnie na łóżku, jak robi to zwykle, kiedy jestem chora. Nie ma cierpliwości, by siedzieć w jednym miejscu. Posyła Nońka, żeby bawił się na korytarzu, a sama wędruje tam i z powrotem między drzwiami a oknem. Powietrze w domu przesiąknięte jest jej zniecierpliwieniem i zdenerwowaniem.

Podczas gdy mama wędruje po pokoju, patrzę na przeciwległą ścianę i myślę, jak przyjemnie byłoby mieć na tej ścianie ekran, by chorując, móc oglądać film – i zapomnieć o tajemniczych problemach mamy. Kiedy mama staje raz jeszcze przy moim łóżku i dotyka mojego czoła, chwytam ją za rękę i pytam:

– Co ci jest, mamo?

– Nic mi nie jest, Miriamko – odpowiada, unikając mojego wzroku.

– Ale, mamo, ja myślę, że wiem. Widzisz tę książkę, którą czytam? Tu jest dużo napisane o tym, co ci dolega. Chcesz, żebym ci przeczytała?

– Po co, dziecko? Nic mi nie dolega. – Gładzi mnie po ramieniu. – Nie martw się o mnie.

Ja jednak martwię się o nią i nie daję jej spokoju. Kartkuję strony grubej książki, by znaleźć ważne miejsca o kobiecym okresie przekwitania, które podkreśliłam ołówkiem. W przystępny sposób zaczynam wyjaśniać mamie trudną kwestię kobiecej fizjologii.

---

[341] Proszek z kogutkiem – jeden z najpopularniejszych leków w międzywojennej Polsce, stworzony w 1903 r. przez polskiego farmaceutę. Migreno-Nervosin – bo to jego oficjalna nazwa – był stosowany na ból głowy, zębów, ale też na grypę i przeziębienie.

Nagle, jakby od niechcenia, mama pyta mnie:

– Czy w tej twojej książce jest napisane coś o usuwaniu ciąży?

– Usuwaniu czego?

– Ciąży. Czy jest tam mowa o jakichś środkach, sposobach...

– Ciąży? Kto jest w ciąży?

– Ja jestem w ciąży.

Fala gorąca zalewa mi twarz, jakbym to ja sama była ofiarą kobiecego okresu przekwitania.

– A co mówi na to tata?

– A co ma powiedzieć? Muszę się tego pozbyć.

Staję się wobec mamy słodka jak anioł i uległa jak owieczka. Pozwalam jej przykładać piekące kompresy ze spirytusu kamforowego do mojej szyi i owijać ją sztywnym pergaminowym papierem, a na koniec grubym, wełnianym szalem. Bez słowa protestu płuczę gardło osoloną wodą, połykam słodki jak lukrecja kogel-mogel i piję litrami gorącą, przesłodzoną herbatę z cytryną. Pocę się jak mysz, jęczę i wzdycham – podczas gdy moje serce przepełnia fala współczucia i litości dla mamy, dla mnie samej i dla całej kobiecej połowy ludzkości. Odczuwam złość na matkę naturę, że traktuje kobiety z takim okrucieństwem i tak komplikuje ich życie, że staje się ono nie do zniesienia. Mam też żal do taty i ogólnie do całego rodzaju męskiego.

Po południu czuję się już lepiej. Kiedy wszyscy wracają do domu, wstaję z łóżka i siadam z rodziną przy stole, by coś przegryźć. Tata też jest już w domu, gdyż restauracja Feldmana zamyka się zazwyczaj wcześniej niż inne. Przychodzi do nas Balcia Cederbojm, a później również Ty, Abraszo. Szepczesz coś Jankewowi do ucha i wciskasz mu w rękę skrawek papieru. Balcia i Binele wychodzą na ulicę, by się przejść. Ty, Abraszo, usiłujesz zabawić nas, opowiadając o postępie w przygotowaniach do wystawy Twoich rzeźb. Jednak mówimy do siebie jak przez gruby mur. Każdy pochłonięty jest własnymi myślami, które wpędzają nas w inny nastrój. Wstajesz więc od stołu, a Jankew bierze ze sobą Nońka i idą odprowadzić Cię do domu.

Siadam obok Wierki na sofie.

– Wiesz co? – odzywam się do niej. – Zaczynam wierzyć w biologiczną tragedię kobiety.

Wierka, która siedzi z nosem w książce, udając, że czyta, podnosi głowę. Obrzuca mnie badawczym spojrzeniem i domyśla się, że mama wyjawiła mi swoją tajemnicę. Odpowiada mi:

– To jest również problem taty, choć dla niego nie jest to biologiczna kwestia.

– To co teraz będzie?

– Zdaje się, że Abrasza dał tacie adres lekarza, który dokonuje aborcji. Jednak jeśli ten lekarz zażąda za dużo pieniędzy, mama będzie musiała pójść do jakiegoś szarlatana, a tego się boi. Już raz usunęła ciążę u szarlatana, zanim wyszła za mąż za tatę.

– Skąd wiesz?

– Wiem.

– Nie wierzę ci.

– Sama mi to powiedziała.

– To dlaczego mi o tym nie opowiedziała? Chcesz powiedzieć, że nie była... dziewicą, kiedy wzięła ślub z tatą?

– Oczywiście, że nie.

Siedzę oniemiała. Z trudem mogę przetrawić to, co powiedziała mi Wierka. Czuję, jak zaczyna mi rosnąć temperatura. Dostrzegam mamę w całkiem innym świetle. Widzę ją jako wolną, pełną pasji młodą kobietę, rozbudzoną zmysłowo podobnie jak ja teraz; młodą kobietę, która jest w stanie przeżyć to, co ja sama przeżywam od dnia, w którym spotkałam Marka. Jednak w rzeczywistości ta młoda kobieta, którą widzę w wyobraźni, ma niewiele wspólnego z moją prawą, skromną mamą. Nie potrafię wyobrazić sobie mamy w postaci kobiety innej, niż jest obecnie. Powaga sytuacji powoduje, że łatwiej mi zadać pytanie, które mnie dręczy.

– Nie masz nic przeciwko – pytam Wierkę ostrożnie – spaniu z... mężczyzną... przed...?

– Z mężczyzną, którego się kocha? Nie.

– I nie boisz się konsekwencji?

– Boję się. Dlatego Icchok i ja postanowiliśmy poczekać, aż zamieszkamy razem.

Fala miłości do mamy i Wierki zalewa moje serce. Czuję, że my trzy jesteśmy połączone i związane ze sobą w szczególny sposób. Jesteśmy wolnymi kobietami, które mają odwagę odpowiadać na zew naszej kobiecości. Opowiadam Wierce o mojej tęsknocie, jaką odczuwam do Marka i wypytuję ją o niego. Jednak Wierka niewiele o nim wie. Obiecuje mi dowiedzieć się czegoś od Icchoka.

– Czy naprawdę chcesz zamieszkać z Icchokiem? – pytam ją. – Jesteście oboje tak różni.

– No to co? Gdzie jest napisane, że można kochać tylko ludzi, którzy są do nas podobni?

– Czy rzeczywiście go kochasz?

– Czuję się przy nim dobrze i swobodnie.

– Jak ty, poetka, możesz mówić o tym tak chłodno... tak prozaicznie?

– Czasy romantycznej poezji już minęły.

– Może w literaturze, ale nie w życiu. Nawet jeśli romantyczna miłość jest rzadkością, to godzenie się na coś mniejszego jest oznaką kapitulacji. Czy nigdy nie byłaś romantycznie zakochana, Wierko?

– A jeśli byłam? To było bolesne doświadczenie... Mam na myśli bezsensowność tego uczucia. O mało mnie to nie zniszczyło.

– Na tym polega różnica między tobą a mną. Mnie nie przeszkadza stąpanie po cienkim lodzie... czy igranie z ogniem aż do poparzenia się.

– To są szaleństwa niedojrzałych ludzi.

– To, że akurat ty uważasz romantyczność za oznakę niedojrzałości, jest prawdziwym skandalem.

Wierka obejmuje mnie ramieniem i odpowiada mi z powagą:

– Cenię realistyczny romantyzm. Tak, uważam, że są sprawy, dla których opłaca się cierpieć i ponosić ofiary.

– Jakie sprawy?

– No właśnie miłość, a także wolność.

– Więc jednak wierzysz w miłość?

– Oczywiście, że wierzę. Ale w miłość, która pozostaje na gruncie rzeczywistości.

Ciągnę ją za sukienkę.

– Wierko – mówię przymilnie – bardzo chciałabym wiedzieć, w kim byłaś zakochana, zanim zaczęłaś chodzić z Icchokiem.

– To moja tajemnica.

– Proszę cię. Jesteś w końcu moją piękną siostrą. Ja opowiedziałam ci przecież o moich uczuciach do Marka...

– Chcesz koniecznie wiedzieć? Dobrze. W zasadzie nie mam powodu, by to przed tobą ukrywać. Byłam zakochana w Abraszy.

– Co?

– Od pierwszej chwili, gdy go zobaczyłam. Wciąż jeszcze jestem w nim zakochana i zawsze będę, ale postanowiłam, że na tym koniec. W pewien sposób wzmacnia to dziś moje uczucia dla Icchoka. Nie wiem, jak ci to wytłumaczyć...

– Czy Abrasza wie o tym?

– Nigdy mu o tym nie powiedziałam.

– Ja też byłam w nim zakochana.

– Wiem. To było jasne jak słońce. Czy wiesz, co mi to przypomniało? Historię cioci Gitli i cioci Szejndli. To pomogło mi się opanować.

– Ale Abrasza nie jest taki, jak ten łajdak Waldek.

– Przez to sytuacja nie byłaby łatwiejsza. Przepędziłoby to Abraszę z naszego domu, gdyby się o tym dowiedział.

– Wciąż odczuwam zazdrość o niego, chociaż jestem zakochana w Marku.

– To ciekawe, jak zazdrość powiązana jest z miłością. Ja jestem zazdrosna o Icchoka, chociaż wciąż durzę się w Abraszy.

Podczas tej długiej rozmowy, którą Wierka i ja ze sobą prowadzimy, ani na chwilę nie opuszcza nas troska o mamę.

Kiedy pierwszego dnia po chorobie wracam do domu ze szkoły, zastaję mamę leżącą w łóżku. Tata krząta się wokół niej i widać po nim, że czuje się stropiony i winny jak przestępca.

Binele wita mnie uśmiechem i szepcze:

– Wszystko będzie dobrze. – Jest pobladła i stara się zdusić w sobie bolesne jęki. Całuję ją gorąco.

Wierka i ja gotujemy obiad. Żadna z nas nie może się pochwalić byciem dobrą kucharką, jednak zabieramy się za gotowanie klusek ziemniaczanych na cześć mamy. Podczas gotowania kluski rozpadają się powoli w gorącej wodzie, tworząc w garnku kleistą masę, która nie ma żadnego smaku. Te nieudane kluski mają jednak tę zaletę, że wszystkich rozweselają. Ja i Wierka żartujemy z siebie samych i jedna z drugiej, zmywamy razem naczynia i pozwalamy mamie, by komenderowała nami z łóżka jękliwym głosem. Im silniejsze bóle Binele, tym szerszy jej uśmiech, a czym szerszy jej uśmiech, tym mniej cieszy ją fakt, że jej córki są tak beznadziejnymi ignorantkami w kwestiach gospodarstwa domowego.

Kiedy była zdrowa i cierpliwa, zwykła uczyć Wierkę i mnie wszelkiego rodzaju prac kuchennych. Posłuszna i uległa Wierka czegoś się nauczyła, przynajmniej teoretycznie. Jednak ja, rozmarzona księżniczka, zawsze byłam gdzieś indziej myślami. Z garnków kipiało, a jedzenie przypalało się, zanim zdołałam zauważyć, co się wokół mnie dzieje. Talerze miały zły zwyczaj wyślizgiwania się z moich rąk, a herbata wylewała się ze szklanki, kiedy ją komuś podawałam. Do tego wszystkiego my, córki, działałyśmy mamie na nerwy częstymi sprzeczkami o to, czyja kolej pozmywać naczynia, wynieść śmieci, czy załatwić sprawunki. Binele wolała więc zrobić to wszystko sama, zwłaszcza iż uważała, że szkoda marnować nasz drogi czas na rzeczy, których kobieta i tak uczy się zwykle wtedy, kiedy musi. Jej córki powinny poświęcać czas przede wszystkim swojej edukacji.

Binele ukrywa zdenerwowanie, gdyż szkoda jej zepsuć dobrą atmosferę panującą w domu. Wie bardzo dobrze, co w tych dniach przeżywamy. Po raz pierwszy widzimy ją leżącą w łóżku i nasz dom wydaje się nam być łodzią bez wioseł. Odczuwa więc nasze zagubienie – co daje jej też pewną satysfakcję, gdyż jest wyraźnym dowodem na to, jak bardzo jej wszyscy potrzebujemy. Jednak trochę później odzywa się do nas:

– Musicie się nauczyć same sobie radzić, dzieci... Nigdy nie wiadomo, co może się wydarzyć...

Binele już trzeci dzień leży w łóżku. Po lekcjach tańca opuszcza mnie odwaga, by wrócić do domu, w którym panuje teraz okropny bałagan. Gdy tylko wychodzę ze szkoły baletowej, kieruję kroki w stronę twojej ulicy, Abraszo. Jestem stęskniona za Tobą i moim „strychem". Pragnę choć przez parę minut oddychać spokojem i tą szczególną atmosferą, która panuje między ścianami mojego pustego pokoju w twoim mieszkaniu.

Gdy idę energicznie po ulicy, czuję nagle, że ktoś dotyka mojego ramienia.

– Serwus! – woła Marek i wita mnie uśmiechem od ucha do ucha. Przez chwilę wpatruję się w niego zmrużonymi oczami. Usiłuję dopasować obraz, który nosiłam w sobie, do jego faktycznego wyglądu. Fala radości zalewa moje serce i mało co nie padam w jego ramiona. – Ave, boska Kleopatro! – Kłania się błazeńsko przede mną. – Szlachetny Marek Antoniusz pozdrawia cię i oddaje ci cześć!

Jego błazeński ton działa na moją gorącą głowę niczym kubeł zimnej wody. Moja mama, ofiara biologicznej tragedii kobiety, leży w wielkich bólach w łóżku,

a ja sama czuję się grzeszna wobec mojej płci, gdyż nie spieszę do domu, by posprzątać mieszkanie, tylko biegnę sobie do Abraszy. Do tego cały czas tęskniłam za tym, by moje oczy ujrzały tego wysokiego młodzieńca, który stoi teraz przede mną w swojej podartej marynarce. I co robi on, ten niegodny obiekt mojej tęsknoty? Śmieje się błazeńskim śmiechem jak wariat, którego za wcześnie wypuszczono z domu dla obłąkanych!

– Z czego się tak cieszysz? – pytam, przeszywając go spojrzeniem ostrym niczym szpice rozwartych nożyczek.

– Cieszę się, że cię widzę. – Uśmiech na jego wargach zaczyna więdnąć. – Odkąd się spotkaliśmy, nie przestałem się śmiać do ciebie i czekać na chwilę, gdy znowu cię zobaczę.

– Od tego śmiechu będą cię bolały usta, a od biegania za mną rozbolą cię nogi.

– Ujrzenie ciebie, boska Kleopatro, warte jest dla mnie każdej ofiary. Jestem skazany na to, by za tobą biegać, ponieważ jestem nie tylko Markiem Antoniuszem, lecz również Adamem – pierwszym człowiekiem, który szuka swojego brakującego żebra.

– Przestaniesz błaznować czy nie?

Robi głupawy grymas i mówi ulegle jak baranek:

– W gruncie rzeczy jestem bardzo poważny.

– Jeśli tak, to pozwól powiedzieć sobie, że jestem zakochana w kimś innym i na próżno odgrywasz przede mną te szarmanckie komedie.

Wygląda, jakby go piorun strzelił, lecz odzywa się odważnie:

– Możesz być zakochana w tysiącu innych. To nie powstrzyma mnie od bycia zakochanym tylko w tobie. Cieszę się, że cię spotkałem. – Dotyka dwoma palcami daszka swojej gimnazjalnej czapki i przebiega przez ulicę.

Chcę pobiec za nim i zatrzymać go, jednak złość mnie powstrzymuje. Tracę ochotę, by pójść do Ciebie, Abraszo. Gdy wracając do domu, siedzę w tramwaju, przed oczami mam twarz Marka i widzę siebie, jak gładzę ją czule. Marek ma szlachetną twarz, twarz wartościowego człowieka, chociaż odgrywa takie niedorzeczne, mierne scenki. Czuję, że zakochanie się we mnie jest dla niego śmiertelnie poważną sprawą. Ale jak to możliwe, bym mogła rozbudzić w kimś takie uczucia? Co jest on koniec końców wart, jeśli może żywić takie uczucia dla tak bezwartościowego człowieka, jak ja? Przecież on nawet nie wie, jaka jestem. Nic o mnie nie wie. Czy poprzez zewnętrzny wygląd człowieka można poznać jego wnętrze? Pewnie tak, skoro i ja postrzegam go tylko przez jego zewnętrzność. Ale nie patrząc na jego błazeńską paplaninę, czuję jednak, jak nasze dusze tańczą razem taniec przeznaczenia. Dlaczego więc mówię do niego w tak arogancki sposób i naśmiewam się z jego gonienia za mną? Ja też jestem błaznem, który udaje, bo przecież moje serce wyrywa się do niego z całych sił.

Kiedy wchodzę do domu, tata siedzi przy stole i czyta „Folkscajtung". Ty, Abraszo, leżysz wyciągnięty na sofie i też czytasz gazetę. Binele kręci się po mieszkaniu ubrana w szlafrok. Na jej twarzy widać doświadczenia ostatnich dni.

Jest blada i porusza się powoli, jednak jej nastrój poprawił się. Wierka pomaga jej przygotować kolację.

– Mamo! Ty już chodzisz! – Przypadam do niej i obejmuję ją. Rzucam teczkę na bok, chwytam obrus z rąk mamy i biorę się za nakrywanie stołu.

Opuszczasz gazetę, która zakrywa Ci twarz i odzywasz się do mnie:

– Teraz znowu będziesz wpadać do mnie, prawda, Miriam? Wierka już widziała, co przygotowuję na wystawę. Teraz czekam na ciebie.

– Nie będziesz musiał długo czekać, Abraszo! – wołam. Rzucam z boku spojrzenie na Wierkę i czerwienię się. Przychodzi mi na myśl nasza ostatnia rozmowa.

Kiedy odchodzisz, Wierka podchodzi do mnie. Jestem pewna, że powie mi na ucho coś o Tobie, lecz ona szepcze:

– Posłuchaj tylko, mam wspaniały pomysł. Nie znamy daty urodzin mamy, więc wymyślmy ją sobie. Kupmy jej prezent na dwunastego maja, bo w ten dzień rodzice mieli wesele, i będziemy świętować tę datę każdego roku.

Wierka jest genialna. Potrafi wpadać na najwspanialsze pomysły. Jeszcze tego samego dnia omawiamy ten projekt szeptem z Jankewem i Nońkiem, po czym w wielkiej tajemnicy zaczynamy przygotowywać przyjęcie na cześć Binele.

*

Jest spokojne popołudnie w koszernej restauracji Feldmana. Nieliczni, stali goście siedzą przy bocznych stolikach, piją herbatę i czytają gazety. Kelnerzy drzemią po kątach. Białe stoły są nakryte i przygotowane do kolacji. Młodszy pan Feldman stoi pochylony nad bufetem przy kasie, zagląda do jakiejś religijnej księgi i przytłumionym głosem nuci nigun. Jankew siedzi z boku przy stoliku i kartkuje literacki dodatek „Folkscajtung" sprzed dwóch tygodni, w którym zostały wydrukowane dwa wiersze Wierki – wiersze poświęcone Binele. Ukazały się akurat w tę sobotę, kiedy w Muzie Fidlera wyprawiane było przyjęcie na jej cześć. Była to wspaniała feta pełna niezapomnianych chwil, które napełniły serce Jankewa trwającą do dziś radością. A jeśli chodzi o wiersze Wierki, to od dnia ich ukazania się pokazał je każdemu, z kim rozmawiał. On sam znał je na pamięć. Były to jego zdaniem perły, zdolne poruszyć serce do głębi. Czuł, jak gdyby były to jego własne utwory, jego własne uczucia wyrażone w najpiękniejszych słowach. Jego oczy wędrują po wydrukowanych strofach. Nie czyta, tylko porównuje ich formę. Gładzi spojrzeniem każdą zwrotkę, każdy wers, każdą poszczególną literę.

Ktoś wchodzi do restauracji. Jankew podnosi głowę i zrywa się na równe nogi. Pomiędzy rzędami białych stolików idzie mu powoli naprzeciw Pola Wajskop, uśmiechając się do niego poufale. Ma na sobie obcisły, czarny kostium, a czarne włosy spływają na ramiona, tworząc harmonijną całość z jej sylwetką. Kelnerzy budzą się i powstaje ciche poruszenie. Młody pan Feldman podnosi głowę znad księgi i wpatruje się w gościa jak w fantasmagorię. Rzadko zdarza się, by w koszernej restauracji Feldmana pojawiła się kobieta.

– Czy dostanę szklankę herbaty i ciasto? – pyta na głos Pola i z widocznym zadowoleniem obserwuje zdumionych mężczyzn, którzy gapią się na nią.

Młody pan Feldman kiwa głową do Jankewa. Drżącymi rękami Jankew składa strony dodatku literackiego, wpycha je do kieszeni na piersi i idzie za Polą. Pola wybiera dla siebie stolik w najbardziej odległym kącie. Ściąga czarne rękawiczki i kładzie je razem z czarną torebką na białym obrusie, po czym rozpina żakiet kostiumu, odkrywając lśniący jedwab różowej bluzki.

Jankew szybko odsuwa dla niej krzesło, żeby usiadła przy oknie.

– Dzisiaj mamy tylko ciasto biszkoptowe i strudel – informuje ją zachrypniętym głosem.

Pola podnosi na niego uśmiechnięte, spokojne oczy. W jej spojrzeniu nie ma żadnego ognia ani napięcia, ale wygląda tak samo ponętnie i niebezpiecznie jak zawsze. Jankew nie widział jej od ich ostatniego spotkania w jej domu. Ani razu nie przyszła do Tabarinu, kiedy tam pracował. Przestała go prześladować i powoli zniknęła z powierzchni jego świadomości. Pojawiała się jedynie w snach, by przypomnieć mu, że jeszcze nie jest od niej wolny.

– Nie przyszłam tu z powodu ciasta – odzywa się cicho, wypielęgnowanymi palcami bawiąc się rękawiczkami. – Przyszłam zobaczyć się z tobą, jak sam rozumiesz.

Jankew rozgląda się, sprawdzając, czy nikt jej nie usłyszał.

– Herbatę z cytryną i kawałek strudla? – pyta głośno.

– Dwie herbaty. – Pola potrząsa głową. – Chcę, żebyś usiadł tu naprzeciwko mnie.

– Pracuję tutaj! – wybucha złością.

– Wiem... Wiem również, że o tej porze dnia przesiadujesz z innymi gośćmi. Widziałam parę razy, jak siedziałeś tu z Abraszą Kantorowiczem, kiedy zaglądałam przez oszklone drzwi. Nie żebym cię szpiegowała, ale przygotowywałam się do rozmowy z tobą i traciłam śmiałość w ostatniej chwili. Dziś jestem odważna.

– Nie usiądę tu z tobą – syczy cicho Jankew, a na głos mówi: – Jeden raz herbata i strudel. – Śpieszy do kuchni. Kiedy wraca z zamówieniem, widzi, jak Pola odchodzi od bufetu i wraca do swojego stolika.

– Nie ma problemu – odzywa się do Jankewa pan Feldman. – Jak najbardziej. Wypij szklankę herbaty z panią Wajskop.

Jankew o mało nie wypuszcza tacy z rąk. Przez chwilę stoi niezdecydowany, potem podchodzi do stolika Poli, stawia przed nią herbatę i talerzyk z kawałkiem strudla, po czym wraca do kuchni po drugą szklankę herbaty.

Siedzą twarzą w twarz. Pola filuternym gestem wrzuca dwie kostki cukru do swojej szklanki i miesza herbatę, podzwaniając łyżeczką. Wpatruje się w niego, jak mu się zdaje, ze współczuciem. Jankew sączy herbatę i stara się trzymać wzrok utkwiony w szklance.

– Zamierzamy wkrótce wyjechać do Ameryki – mówi Pola. – Baruch zabrał się za likwidowanie swoich lokalnych interesów. Zaraził się ogólną wojenną paniką.

Jak sądzisz, Jankewie, czy będzie wojna?

Jankew chwyta się tego pytania. To jest neutralny temat.

– Nie wierzę w to – odpowiada.

– Ja też w to nie wierzę. Mogę się sprzeciwić postanowieniu Barucha. Zwłaszcza że nasza córka nie chce słyszeć o wyjeździe. Nie uwierzysz – została komunistką. Moje dziecko, moja krew z krwi i kość z kości! Tak oto drwi sobie z nas życie... Baruch nie chce zrozumieć, że ją straciliśmy i porusza niebo i ziemię, by zechciała z nami wyjechać. Ja nic w tej sprawie nie robię. Taka bezsilność mnie ogarnęła. Wiem, że więzi emocjonalnej, która została zerwana, nie da się ponownie nawiązać, nawet gdy chodzi o własne dziecko. Można ją jedynie powierzchownie zadzierzgnąć. Poza tym nie posiadam umiejętności wybiegania zbyt daleko w przyszłość. Na razie muszę znaleźć narkotyk, który pomoże mi znieść ból teraźniejszości. Dlatego właśnie przyszłam, by zobaczyć się z tobą. Chcę cię prosić o przysługę. – Zauważa jego zdumiony wzrok i śmieje się głośno. – Nie bierz tego tak poważnie. Chodzi o drobnostkę. – Upija kilka łyków herbaty. Mija chwila. – Nie pytasz mnie, co to za przysługa?

– Co to za przysługa? – pyta Jankew.

– Chcę, żebyś mi obiecał, że nigdy ani słowem nie wspomnisz Abraszy Kantorowiczowi o tym, co wydarzyło się między mną a tobą. On zdaje się wiedzieć o twojej dawnej przyjaźni z Baruchem, ale nie ma pojęcia, że ty i ja w ogóle się znamy. Baruch pomaga mu w kampanii na rzecz *hachszore*, a ja zostałam teraz patronką jego wystawy. On jest znakomitym rzeźbiarzem. Baruch też tak uważa. Abrasza jest ogólnie wspaniałym typem artysty... On jest... Pozwól, że będę z tobą szczera, Jankewie. Traktuję go bardzo poważnie. Jego i mnie łączy wielkie duchowe i intelektualne porozumienie, jak sam rozumiesz. Kiedyś zwykłam żywić dziewczęce, romantyczne przekonanie, że miłość nie bierze pod uwagę różnic klasowych czy jakichkolwiek innych różnic miedzy dwojgiem ludzi. Ale tak nie jest. Abrasza i ja pochodzimy z zamożnych domów. On mówi perfekcyjną polszczyzną i jego wykształcenie, jego zachodnioeuropejski gust oraz, rozumie się, jego talent, przyczyniają się do głębokiego porozumienia między mną a nim. On jest też młodszy od ciebie, Jankewie...

Przerywa i czeka, żeby Jankew zareagował na to, co powiedziała. Ogarnia go wewnętrzna trwoga. Czy nie wystarczy jej, że zniszczyła jego przyjaźń z Baruchem? Czy jest zdolna zburzyć również przyjaźń między nim a Abraszą? Jankew wpatruje się w szklankę, z której sączy powoli herbatę, i nie odzywa się ani słowem.

– Czujesz ulgę, słysząc, że tak mówię, prawda? – ciągnie Pola. – Ja również odczuwam ulgę. Pewnie domyślasz się, kiedy uwolniłam się od namiętności do ciebie. Tak, tego dnia, kiedy zabrałam cię do mojego domu. Wtedy ugasiłeś we mnie ten ogień. To było, jakbyś przycisnął jakiś przycisk i w ten sposób unicestwił płomień miłości, co do którego byłam pewna, że będzie płonął całe moje życie. Nie kocham cię już więcej, Jankewie. Wstydzę się nawet trochę tego, że tak długo

cię kochałam. Miałeś rację. To była duchowa pozostałość po gimnazjalistce, która wzbraniała się zniknąć i czepiała się wyidealizowanego obrazu mężczyzny, który nie istnieje. Jednak to już minęło. Oczywiście zawsze będę darzyć cię sentymentem, podobnie jak żywię sentyment do mojej młodości.

Jankew dopija jednym haustem resztkę herbaty ze szklanki, jak gdyby był to kieliszek wódki. Wstaje, wypisuje rachunek i kładzie go na stoliku, po czym bierze swoją pustą szklankę i czując, jak uginają się pod nim kolana, kroczy w kierunku kuchni. Nie wychodzi stamtąd, dopóki nie upewnia się, że Pola odeszła.

W drodze z pracy do domu czuje się zmęczony i stary, trochę jakby przeżywał żałobę po swojej fizycznej męskości. Zasadniczo jednak mało co go to porusza. Tak naprawdę gnębi go jedynie przeszywający strach przed utratą przyjaźni z Abraszą. Zanim wraca do domu, wpada jeszcze do Zalmana Fidlera i proponuje mu, żeby w najbliższym wydaniu „Bezem" ponownie wydrukował parę wierszy Wierki.

*

Życie biegnie znowu starym, zwykłym torem. Mama już zupełnie wyzdrowiała i jest podporą naszego świata. Mogę sobie więc pozwolić na oddawanie się fantazjom o Marku.

Tego dnia, kiedy wchodzę do lustrzanej sali w szkole tańca, *madame* Felicja podchodzi do mnie krokiem baletnicy, przy którym jej kościste ciało kołysze się, jakby poruszała nim lekka bryza. Wita mnie królewskim, łaskawym skinieniem głowy i prowadzi do swojego studia. Podnosi lornion[342] do oczu, bierze ze stołu list i czyta go na głos doskonałym francuskim z tak wyraźnym rosyjskim akcentem, że nawet słów *alet* i *dansez* nie jestem w stanie zrozumieć. *Madame* Felicja podnosi głowę i ukazuje mi promieniejącą twarz natchnionej westalki, której życzenia bogowie zechcieli spełnić. Wyjaśnia mi, że Akademia Tańca w Paryżu zdaje się całkowicie na opinię *madame* Felicji dotyczącą jej ulubionych i najzdolniejszych tancerek i jest gotowa przyjąć *mademoiselle* Miriam Polin pod warunkiem, że *mademoiselle* Polin zda egzaminy wstępne i wszystkie prawne oraz finansowe kwestie zostaną załatwione w sposób satysfakcjonujący dla dyrekcji.

– Postanowiłam, moje dziecko, zwołać konferencję z twoimi rodzicami oraz z panną Jedwab i szarmanckim panem Wilnerem, którzy wykazują tak ogromne zainteresowanie twoją artystyczną karierą – mówi *madame* Felicja, bawiąc się palcami długą rączką lornionu.

Wpadam w panikę. No i doigrałam się! Będę musiała porzucić moje obecne życie, opuścić dom. Co stanie się z moją namiętnością do Marka?

– Bardzo dziękuję, *madame*. – Kłaniam się i powoli, trochę roztrzęsiona, ruszam w stronę drzwi.

342 Lornion (franc.) – binokle na długiej rączce.

Madame Felicja przyzywa mnie z powrotem.

– Wiem, co czujesz, moje dziecko – mówi i rozciąga mocno pomalowane, ciemnoczerwone usta w melancholijnym uśmiechu. – Pozwól, że ci uświadomię: jedyną nagrodą za ofiarę, którą będziesz musiała ponieść, jest służenie twojej sztuce. Pamiętaj jednak, że poprzez twój talent zostałaś obdarowana możliwością niesienia światu przesłania piękna. Jest to odpowiedzialność i honor. Trzymaj głowę uniesioną wysoko, Miriam. Wznieś się odważnie do lotu i dotykaj ziemi jedynie koniuszkami palców! – *Madame* Felicja podchodzi do mnie, bierze moje obie dłonie między swoje kościste palce i ściska je mocno.

Podczas lekcji tańca wykonuję rutynowe ćwiczenia ze wzburzonym sercem. Jestem rozkojarzona i popełniam mnóstwo błędów. *Madame* Felicja nie spuszcza ze mnie wzroku, co pogłębia jeszcze bardziej chaos panujący w mojej głowie, nie koryguje jednak moich ruchów i nie robi mi żadnych uwag.

W moim sercu szaleje zawierucha. Czy opłaca mi się wyruszyć w daleki świat i porzucić moje dotychczasowe życie, moje przyjemności, autentyczność moich codziennych doświadczeń, po to, by żyć sztucznym życiem w fikcyjnej rzeczywistości *Jeziora łabędziego*, *Giselle* czy *Sylfidy*[343]? Czy rzeczywiście jest w tym jakaś święta misja, głębszy sens, wzniosłe przesłanie? I co stanie się z moim *Tańcem na strychu*? On oznacza przecież dla mnie prawdziwy taniec – taniec, który karmi się nastrojami mojego rzeczywistego życia, obejmuje cały mój świat i oczyszcza go. Jednak wiem bardzo dobrze, że opieram się nadaremnie. Nic mi to nie pomoże. To jest moja droga i muszę nią podążyć. *Madame* Felicja jest moją delficką wyrocznią. Wewnętrzne napięcie w parze z wielkim oczekiwaniem ściskają moje serce w imadle. Odczuwam strach przed nieznanym jutrem, lecz jednocześnie dążę do niego.

Za każdym razem, gdy wychodzę ze szkoły tańca na ulicę, zatrzymuję się przy bramie i rozglądam dookoła. Co by się wydarzyło, gdyby Marek pojawił się nagle przede mną? Rozpłakałabym się. Rzuciłabym się w jego ramiona i rozsypała pod jego dotykiem.

I oto zdarza się, że dostrzegam go nagle przede mną.

– Dobry wieczór – mówi, lecz nie wyciąga do mnie ręki i nie podchodzi bliżej. Z miejsca, w którym stoi, prześwietla mnie swoim wzrokiem i rzeczywiście czuję, że się rozsypuję. – Słyszałem – mówi – że wyjeżdżasz do Paryża. Pomyślałem więc...

Rozumiem, iż dzięki Icchokowi informował się na bieżąco, i że wciąż bawi się w detektywa i szpieguje mnie. Boję się, że wybuchnę i powiem coś, czego później nie będę mogła sobie wybaczyć, mimo to przerywam mu w pół słowa i potwierdzam z udawaną obojętnością:

---

[343] Najpiękniejsze klasyczne dzieła baletowe, w których pojawia się wyidealizowany, nieskalany wizerunek kobiety.

– Tak, wyjeżdżam do Paryża.

Moja krótka odpowiedź dodaje mu odwagi, by podejść krok bliżej.

– Czy pozwolisz, że będę ci towarzyszył kawałek?

„Czy pozwolę? Musisz mi towarzyszyć!" – chcę zawołać. Zamiast tego jednak mówię:

– Nie idziemy w tym samym kierunku.

– Ja zawsze będę szedł w twoim kierunku – mówi. Tym razem moje ucho rejestruje ton jego głosu. Nie posiadam się ze złości. Co za błazen z tego chłopaka! Dlaczego musi wygadywać takie idiotyzmy, takie błazeńskie, pompatyczne frazesy? Byłoby lepiej, gdyby milczał. Mam dość jego głupich gierek.

– A jeśli weszłabym na setne piętro i rzuciła się stamtąd w dół, czy też byś za mną skoczył? – pytam, śmiejąc się fałszywie.

– Dogoniłbym cię w powietrzu i runął na ziemię pierwszy, żebyś upadła na mnie, i by nie spadł ci ani jeden jasny włos z głowy i nie złamał się ani jeden paznokieć.

– Przestań błaznować! – wołam, zdenerwowana i zmieszana. Po chwili wahania macham do niego ręką na pożegnanie i uciekam.

Następnego dnia znowu czeka na mnie przed szkołą tańca i wita mnie słowami:

– Nie wiem, jak do ciebie mówić.

– To nie mów! – wołam, żeby zatuszować radość, którą odczuwam na jego widok.

Posuwamy się powoli naprzód w pewnym odstępie od siebie. Jego wzrok wędruje po mojej twarzy. Mijają minuty, a on nic nie mówi. Z boku widzę jego lśniącą dolną wargę. Muszę odwrócić do niego głowę, wpuścić jego wzrok w moje oczy i zatrzymać go tam, żeby pływał w mojej pamięci niczym złota rybka. Jednak gdy zwracam głowę w jego stronę, nie mogę jej już odwrócić. Światło, które promieniuje z naszych spojrzeń, wlewa się nawzajem w nasze oczy i pozostaje w nich niczym w pułapce. Nasze twarze płoną. Zbliżamy się do siebie i nasze ramiona dotykają się.

Niespodziewanym gestem Marek zarzuca rękę wokół moich ramion i ciągnie mnie ze sobą naprzód. Jest bezwstydnie zuchwały. Skąd bierze ten tupet, by mnie tak mocno obejmować i nie zapyta nawet o moją zgodę? Co on sobie myśli? Za kogo mnie uważa? Czy jestem dla niego jakimś ptaszkiem, którego złapał w garść? Jak może mnie tak ciągnąć ze sobą?

Dobrze jest pozwolić się tak prowadzić. Zarzucam ramię za jego plecy i obejmuję go w talii. Może robić ze mną, co chce. Należę do niego. Wzdłuż mojego biodra i nogi do kolana czuję dotyk jego biodra i nogi. Wciąż trzymam głowę zadartą w jego stronę. Prawie nic do siebie nie mówimy – aż doprowadza mnie do bramy mojej kamienicy.

Ten sposób milczącego odprowadzania mnie do domu staje się naszą codzienną rutyną. Kiedy rok szkolny zbliża się do końca i nadchodzi czas egzaminów, przestajemy się spotykać. Marek przygotowuje się do matury. Ja jestem zwolniona

z zajęć w szkole tańca na dwa tygodnie, bym mogła przygotować się do moich egzaminów. W domu Wierka również uczy się do matury, a Noniek z jeszcze większą gorliwością niż zwykle odrabia swoje zadania domowe.

Życie w domu kręci się wokół uczenia się. Binele obsługuje nas, dzieci, z szacunkiem, nieomal nabożnie. Zaspokaja wszystkie nasze potrzeby i pozwala nam wyładowywać na niej napięcie. Jankew mobilizuje swój „studiujący batalion" pocałunkami oraz czułostkami i – podobnie jak Binele – chodzi po domu na palcach. Jest bardziej zdenerwowany niż sama Wierka, maturzystka. Wierka, chociaż jej los waży się na szali, niejedną noc powtarza ze mną przy świetle zapalonej świecy wzory trygonometryczne.

Podczas tego procesu przygotowywania się do egzaminów dokonuje się we mnie wielka zmiana. W ciągu tych tygodni po raz pierwszy odczuwam smak uczenia się. Płonę ze wstydu z powodu luk w mojej wiedzy i nie mogę sobie wybaczyć mej wcześniejszej tępoty. To wszystko, czego uczyłam się w szkole i co śmiertelnie mnie nudziło, staje się nagle dla mnie tak interesujące, że aż zapiera mi dech w piersiach – teraz, gdy muszę to wszystko sama przerabiać i kiedy jestem zakochana w Marku. Często zapominam, że przygotowuję się do egzaminów. Zagłębiam się tak bardzo w to, czego się uczę, że Wierka czuje się zmuszona ostudzać mój entuzjazm i ostrzega mnie, żebym nie zbaczała niepotrzebnie z tematu i nie obarczała pamięci zbyt wieloma szczegółami.

Wierka zdaje maturę z wyśmienitymi wynikami. Ja z mojej strony nie otrzymuję z małej matury takich wspaniałych ocen, jak przepowiadała Wierka. Pytania, które nauczyciele zadają mi podczas egzaminów, nie mają nic wspólnego z odkryciami, których dokonałam, ucząc się w domu na własną rękę, lecz dotyczą suchych cyfr, dat i standardowej znajomości niektórych dzieł literackich.

Matura Wierki jest dla nas historycznym wydarzeniem. Wierka jest bowiem pierwszą osobą ze wszystkich pokoleń rodzin Jankewa i Binele, która osiągnęła taki poziom świeckiego wykształcenia. Z okazji ukończenia gimnazjum dostaje w prezencie od rodziców książkę, którą czytali krótko przed jej narodzinami: wspomnienia Wiery Figner *Cwancik jor in der Szlisburger festung*[344]. Binele postanawia też urządzić przyjęcie. Z tej oto okazji Marek – który również z sukcesem zdał maturę – po raz pierwszy pojawia się u nas w domu. Marek i Jankew szybko zaczynają odnosić się do siebie z wielką przyjaźnią. Zdaje się, że czerpią przyjemność ze wzajemnego towarzystwa. Również z Gabim Cederbojmem nawiązuje w krótkim czasie przyjacielskie stosunki. Jestem przyjemnie zaskoczona i pochlebia mi, że Marek robi tak dobre wrażenie na wszystkich. Posiada umiejętność zachowywania równowagi między humorem i powagą, którą jednak nie

[344] Pierwsza książka Wiery Figner pt. *Więźniowie Szlisselburga* wyszła w Moskwie w 1921 r. Rok po jej wydaniu pojawił się pierwszy tom autobiografii pt. *Trwały ślad* (polskie tłumaczenie w przekładzie Julii Mincówny wyszło dopiero w 1962 r.). O Wierze Figner zob. przypis 111.

wykazuje się, kiedy jest sam na sam ze mną – wtedy robi z siebie głupca. Tak, tylko ja jedna jakoś nie mogę się z nim dogadać. Gdy chcę mówić z nim poważnie, on błaznuje albo nabiera wody w usta i twarz mu pochmurnieje.

Niedługo po przyjęciu Wierki dowiaduję się, że mama ma poważne zastrzeżenia w stosunku do kandydatury Marka na narzeczonego dla mnie. Jej zdaniem nie wpasowuje się on w konstelację naszej rodziny. Lubi go wprawdzie, jednak o wiele mniej niż Icchoka.

Nie mija wiele czasu, gdy mówi otwarcie:

– Marek jest czarujący i da się lubić. Prawdziwy złodziej serc z niego – zwraca się do mnie, wychwalając jego wygląd, osobowość i inteligencję. – Jednak on nie jest odpowiednim chłopcem dla ciebie, właśnie dlatego, że tak do siebie pasujecie. Ty, rozmarzona księżniczka, i on, rozmarzony książę; ty, rozpieszczona proletariacka córka, i on, rozpieszczony synek bogaczy.

Binele pozytywnie ocenia fakt, iż rodzice Marka są zamożni, jednak jej zdaniem inne rzeczy mają większe znaczenie. Icchok na przykład jest praktycznym młodym mężczyzną z robotniczego domu, socjalistą, jednym z nas, w przeciwieństwie do Marka, który pochodzi z drobnomieszczańskiej prowincji. Icchok ukończył wprawdzie szkołę handlową i też ma głowę na karku, jednak nie jest ani trochę podobny do tych wszystkich inteligentów, przy których Binele czuje się zawsze nieswojo. Icchok pracuje już też jako buchalter i przynosi do domu wypłatę. Ogólnie rzecz biorąc, potrafi sobie dobrze radzić w życiu. Zdaniem Binele właśnie takiego młodego mężczyzny potrzebuję, nawet bardziej niż Wierka. Przyznaje, że Icchok nie jest tak przystojny jak Marek i nie posiada takiego wdzięku, ale gdzie jest napisane, że najważniejszą cechą, jaką zdaniem matki powinien posiadać narzeczony jej córki, jest uroda? I nawet pod tym względem nie można kręcić na Icchoka nosem. Jest muskularny i barczysty i żadna fizyczna praca nie sprawia mu trudności. Do tego jest dobroduszny i dorównuje Markowi inteligencją oraz dowcipem.

Binele ogólnie przeciwna jest temu, żebym w obecnym momencie mojego życia angażowała się w poważny związek, gdyż muszę przecież myśleć o moim zbliżającym się wyjeździe do Francji. Dla mamy jedyną dobrą stroną mojego wyjazdu jest to, że zakończy on lekkomyślny romans między mną a Markiem.

Wierka również planuje wyjechać. Złożyła prośbę o przyjęcie na kurs nauczycielski w Wilnie. Myśl, że obie córki wkrótce opuszczą rodzinny dom, dręczy serce Binele i nie daje jej spokoju. Jak będzie mogła żyć dalej, mając jedno dziecko gdzieś na drugim końcu Polski, a drugie oddalone o setki mil, za granicami, w odległym kraju? Jak może pogodzić się z myślą, że ja – najbardziej niezaradne i niepraktyczne z jej dzieci – mam się znaleźć sama jedna w ogromnym, obcym mieście? Abrasza wprawdzie obiecał święcie, że jego paryscy przyjaciele zajmą się mną jak własną córką, ale czy to możliwe? Czy ktoś obcy może uważać tak dobrze na dziecko, jak jego własna matka? A do tego jeszcze ściska jej serce trwoga, że, nie daj Boże, może wybuchnąć wojna.

Binele czuje się schwytana w pułapkę okoliczności, na które nie ma żadnego wpływu. Nie może zrozumieć, po co nam ten cały przewrót w naszym życiu. Wszyscy inni jednak uważają, że wyjazd Wierki stanowi naturalny krok na jej drodze do wspaniałej przyszłości, a mój wyjazd do Paryża jest po prostu darem losu. Jak może więc ona, matka, stawać na drodze swoim dzieciom? Musi, mimo swej nadopiekuńczości, zgodzić się na to. Czy ma inny wybór? Troska i tęsknota dręczą już z wyprzedzeniem jej zbolałe serce. Jest jednak zdecydowana poradzić sobie z tym wszystkim.

*

Teraz, gdy egzaminy mamy już za sobą, ja i Marek często spędzamy wieczory w Kinie Czary, żeby odbić sobie czas, podczas którego się nie widywaliśmy. Coś dzieje się na ekranie, ale nie mamy pojęcia co i obchodzi nas to tyle, co zeszłoroczny śnieg. Z jakiegoś powodu nie potrafimy się ze sobą porządnie dogadać, uciekamy się więc do języka dotyku. Czuję na sobie ręce Marka. Jego usta błądzą w gęstwinie moich włosów, pełzną po moim czole i przywierają do moich ust. Ekran gaśnie, światło na sali zapala się i kino pustoszeje. Wstajemy i wychodzimy na ciemną ulicę. Nocne powietrze chłodzi nasze twarze. Idziemy przed siebie, nieważne w jakim kierunku.

– Nie rozstawajmy się nigdy – szepcze Marek do mojego ucha.

– Nie mówmy o tym – mamroczę w odpowiedzi, podczas gdy oczy napełniają mi się łzami. Nagle odwracam się i mówię: – Chodź, muszę wracać do domu. Mama będzie się martwić.

Gdy podchodzimy pod moją kamienicę, słyszę dochodzący z góry głos mamy:

– Miriam?

Wołam do niej, żeby dać jej znać, że to istotnie ja. Mama robi mi wymówki:

– Dlaczego tak bałamucisz czas? Jest druga w nocy!

Całuję się z Markiem i ciągnę za dzwonek przy bramie. Zaspany pan Wygodny, który jest już siwy i trochę utyka, burczy gniewnie pod nosem i podzwaniając kluczami, otwiera drzwi w bramie. Ziewa, przeklina, po czym bierze monetę, którą kładę mu w rękę, i już wbiegam po słabo oświetlonych schodach.

Zaspana i zmęczona Binele w długiej koszuli nocnej czeka na mnie w ciemnej kuchni i zasypuje porządną porcją zarzutów. Ja jednak nie słyszę ani słowa. Rozbieram się szybko i wsuwam się do łóżka obok Wierki. Nie mogę zasnąć. Przepełniają mnie myśli o Marku i strach, że go utracę.

Godziny dnia, podczas których nie jestem z Markiem, wleką się powoli i z trudem niczym żółwie. Kiedy pojawia się przede mną, wpadamy sobie w ramiona, jakbyśmy się lata nie widzieli. Wtedy czas zaczyna pędzić tak szybko, że ani się obejrzę, jak mija. Znowu siedzimy w Kinie Czary, gdzie pokazywany jest ten sam film, co poprzedniego dnia. Smak ust Marka przenika mnie, jakby przesiąkła

nim skóra całego mojego ciała. Pewnego wieczoru, kiedy wychodzimy z kina, zaczepia nas z uśmiechem porządkowy:

– Podoba się wam ten film, co?

– Bardzo – odpowiada Marek.

Następnego wieczoru zamiast do Czarów idziemy do Kina Bajka[345]. Po wyjściu z kina Marek czasami nabiera wody w usta. Dopytuję się wtedy:

– Dlaczego nic nie mówisz?

– O ile mi wiadomo, wolisz, gdy milczę.

Wiem, że jego milczenie ma związek z naszym rozstaniem. Pewnego wieczoru po takim długim milczeniu opowiada mi, że odrzucono jego wniosek o przyjęcie na Uniwersytet Warszawski.

– Odrzucono? – zdumiewam się. – Byłeś przecież jednym z najlepszych w gimnazjum!

– Każą mi złożyć wniosek jeszcze raz za rok, bo w tym roku wszystkie miejsca są zapełnione. Nie mogą mi przecież otwarcie powiedzieć, że dostali za dużo żydowskich wniosków. Mój nauczyciel matematyki obiecał mi pomóc w dostaniu się na uniwersytet we Włoszech. Wyobraź sobie – w faszystowskich Włoszech łatwiej jest Żydowi dostać się na uniwersytet niż w naszej wolnej, demokratycznej Polsce.

Myśl o wyjeździe Marka do Włoch sprawia, że nasze rozstanie staje się jeszcze bardziej nie do zniesienia. Życzyłam sobie, by on został na miejscu, w Łodzi, kiedy ja wyjadę.

– Nie mówmy jeszcze o tym wszystkim – proszę go.

Pozwalam mu zamknąć się w ramionach, jak gdybyśmy w ten sposób mogli uchronić się przed losem, który – chociaż zdaje się być w naszych własnych rękach – zmusza nas do rozstania. I tak, niesieni niepokojem, idziemy powoli pełną spacerowiczów, gwarną ulicą Piotrkowską. Jest łagodny, ciepły wieczór na początku lata.

Nagle zauważam Ciebie, Abraszo. Idziesz objęty z atrakcyjną blondynką i machasz do mnie z oddali. Gdy podchodzicie do nas, porywasz mnie z ramion Marka i obejmujesz swoimi. Następuje parę chwil zakłopotanego uśmiechania się i wymiany słów. Zaciekawione spojrzenia krzyżują się, twarze krzywią się w grymasach skrępowania. Urywane w pół pytania i odpowiedzi ledwo co do siebie pasują. Nikt nie musi mi mówić, że czarująca blondynka jest sziksą! A do tego wokół szyi ma zarzucony bladoseledynowy szal!

– Pani Celina Wróbel – przedstawiasz ją.

– Śpiewaczka? – pyta z szacunkiem Marek.

Ty i młoda kobieta potwierdzacie, kiwając z uśmiechem głowami. Puszczasz oko w stronę Marka i mówisz do mnie:

---

[345] Kino Bajka mieściło się przy ul. Franciszkańskiej 31 na Bałutach.

– Tak, teraz rozumiem, dlaczego już do mnie nie przychodzisz. – Mierzysz Marka szacującym wzrokiem, jak gdybyś spotkał go po raz pierwszy. – Dlaczego nie przyjdziesz, by chociaż raz rzucić okiem na wystawę? – pytasz mnie. – Ciężko było mi otworzyć ją bez ciebie, teraz będzie ciężko ją zamknąć, zanim jej nie zobaczysz.

Elegancka blondynka uśmiecha się wciąż serdecznie. Obrzucam ją lodowatym spojrzeniem i obiecuję Ci, że wpadnę zobaczyć wystawę zaraz następnego dnia.

Marek porywa mnie z Twoich ramion. Moje serce bije mocniej w proteście, że chwyta się mnie z jednych ramion w drugie, jak gdybym była zabawką. Jednak jest w tym też coś przyjemnego, co pomaga mi znieść obecność blondynki stojącej obok Ciebie. Sprawia to, że czuję się ważna, rozchwytywana, potrzebna. Ogarnia mnie przyjemne poczucie winy, że zdradzam w pewnym sensie zarówno Ciebie, Abraszo, jak i Marka.

Na następny dzień zapominam o Twojej wystawie, kolejnego dnia również. Jednak gdy nadchodzi sobota, cała rodzina razem z Icchokiem, Markiem oraz Fidlerami wybiera się na ceremonię zamknięcia.

Wystawa ma miejsce w tylnym pomieszczeniu księgarni przy ulicy Piotrkowskiej. Gdy przychodzimy, jest ono nabite ludźmi. Między eksponatami stoją damy w letnich kostiumach lub w sukniach i z długimi szalami zarzuconymi na głęboko wycięte dekolty. Towarzyszą im panowie o sterczących brzuchach, ubrani w wiosenne garnitury, koszule ze sztywnymi kołnierzami i krawaty. Inni goście, z kieliszkami likieru wiśniowego i ciasteczkami makowymi w dłoniach, kręcą się wokół rzeźb i wskazują ze znawstwem jedni drugim na wygięcia linii figur. Damy rozmawiają polszczyzną doprawioną wytwornie brzmiącymi zagranicznymi wyrażeniami. Mówią tak głośno, że można je usłyszeć w każdym kącie pomieszczenia. Otaczająca Cię grupka dam stawia Ci najróżniejsze niedorzeczne i trudne pytania dotyczące Twoich prac oraz szkiców, które wiszą na ścianach. Słuchasz ich z udawanym zainteresowaniem i udzielasz wyjaśnień. Tymczasem Twoi koledzy i członkowie bohemy z Capri dobrze się bawią kosztem Twoim i dam. Co chwilę któryś z nich przerywa Ci, podnosząc do Ciebie w toaście wędrującą z ręki do ręki między Twoimi kolegami butelkę wódki.

Nasza grupa wygląda niczym biedni krewni z prowincji, którzy przyjechali na bogate wesele. Ty sam też sprawiasz takie wrażenie, Abraszo. Masz na sobie biały pulower oraz źle wyprasowane golfowe spodnie i nie sposób rozpoznać, że to Ty jesteś tym – jak wszyscy mówią – „wspaniałym, oryginalnym artystą".

W niektórych rysunkach wiszących na ścianach rozpoznaję szkice do rzeźby, która przedstawia mnie. W końcu dostrzegam też samą rzeźbę. Wokół niej stoi moja rodzina razem z Fidlerami. Widzę, jak tata gładzi figurę dłonią. Ja sama zatrzymuję się obok stolika, na którym stoi talerz z makowymi ciastkami dostarczonymi na ten wieczór przez Zalmana Fidlera. Gdy tylko wszyscy inni

odchodzą od rzeźby, zbliżam się do niej, żując makowe ciastko. Do podstawy figury przymocowana jest mała karteczka, na której czytam: *Taniec życia*, a pod tym dopisek: „Nie na sprzedaż".

Marek podchodzi i przygląda się w milczeniu *Tańcowi życia*, który nie jest na sprzedaż. Zostawiam go tam samego, oddalając się ukradkiem. Biorę jeszcze jedno ciastko i udaję, że oglądam inne rzeźby, które znam tak dobrze i pamiętam wszystkie fazy ich powstawania. Z oddali obserwuję ugniecioną z gliny i odlaną w brązie Miriam – i żywego Marka. Mam uczucie, jak gdybym patrzyła na nas oboje z zewnątrz, jak trzecia osoba. „Taniec mojego życia dedykowany jest tobie" – mówię w sercu do Marka.

Marek podchodzi do mnie i kładzie dłoń na moim ramieniu.

– Taniec mojego życia nazywa się Miriam – szepcze mi do ucha.

– Już zaczynasz błaznować? – Udaję, że złoszczę się na niego.

Uderza się pięścią w pierś.

– Przysięgam, że nie powiem więcej ani słowa.

Prowadzę go do Ciebie, Abraszo. Witacie się przyjaznym, lecz zimnym, jak mi się zdaje, uściskiem dłoni. Przedstawiasz Marka swojemu koledze Marianowi Szewczykowi. Marek gratuluje Ci głośno tymi samymi banalnymi superlatywami, którymi obrzucały Cię wcześniej rozmawiające z Tobą damy. Ani słowem nie wspomina o *Tańcu życia*. Elegancka panna Celina Wróbel, którą spotkaliśmy z Tobą na ulicy, stoi obok i przysłuchuje się uważnie komentarzom Marka, jak gdyby były pochwałami pod jej adresem. Przytakuje głową jego słowom z taką dumą, jakby cała wystawa była wyłącznie jej własnym osiągnięciem. Pokazuje mi i Markowi – zwłaszcza Markowi – plik wycinków z gazet z recenzjami wystawy.

– Nasz Abrasza podbił Łódź szturmem!

Panna Wróbel jest popularną piosenkarką i niemały to zaszczyt dla takiej smarkuli jak ja, by znać się z nią osobiście. Jednak ona irytuje mnie do granic wytrzymałości. Myślę sobie, że ta kobieta z pewnością należy do tego rodzaju ludzi, którzy uważają się za godnych uznania współtwórców sukcesu swoich przyjaciół, lecz umywają ręce, kiedy ich przyjaciele ponoszą porażkę. Ignoruję ją i zwracam się do Ciebie:

– Twoja mansarda będzie wyglądała pustawo – mówię. – Będzie mi brakowało sprzedanych rzeźb.

– Sprzedalibyśmy więcej – wtrąca się panna Wróbel – gdyby czasy były bardziej sprzyjające.

Czarnowłosa dama wystrojona w czarny kostium i czarny kapelusz z szerokim rondem przeciska się przez tłum w naszym kierunku. Przysuwasz się bliżej mnie, bierzesz mnie pod ramię i rzuciwszy szybkie spojrzenie na damę, szepczesz mi do ucha:

– Ratuj mnie przed nią! – po czym zaczynasz przepychać się ze mną w przeciwnym kierunku.

– Kto to jest? – pytam.

– *Madame* Pola Wajskop. Mecenaska wystawy.

– Matka mojej koleżanki ze szkoły tańca! – wołam.

– Inteligentna i uduchowiona dama, a przy tym niebrzydka. Ale niebezpieczne z niej utrapienie.

– Na pewno jest zakochana w tobie, Abraszo. Wszystkie kobiety z Łodzi są w tobie zakochane.

– Wszystkie oprócz jednej. Zielonookiej czarodziejki, która unika swojego „strychu" i mojego towarzystwa. – Ciągniesz mnie za rękaw. – To kiedy raczysz wpaść do swojego pokoju? Usycha z tęsknoty za tobą.

Podchodzi do nas Marek i chwyta mnie za rękę. Żegnamy się z Tobą i Marek ciągnie mnie w stronę wyjścia. Zanim dochodzimy do drzwi, zatrzymuję się obok mojej rodziny i Fidlerów, którzy stoją w grupce z Jankewem w centrum. Jankew wygląda dziwnie. Jest rozgorączkowany i mówi coś bezustannie do nich wszystkich, trzymając Binele za rękę. Równocześnie jego wzrok wędruje niespokojnie po pokoju, jak gdyby się kogoś przestraszył.

– Poczekajcie, my też idziemy! – woła do nas.

Jednak Wierka nie ma ochoty wychodzić. Uwiesza się ramienia taty i prosi:

– Zostańmy jeszcze trochę. To takie interesujące.

Sorka mówi do mnie z powagą:

– Abrasza jest wielkim artystą.

Całuję ją w policzek, czego jeszcze nigdy wcześniej nie zrobiłam. Kiedy kierując się w stronę wyjścia, przechodzę obok Ciebie, Abraszo, szepczę Ci do ucha:

– Sorka uważa cię za wielkiego artystę.

– Zgadzasz się z nią?

– Nie, ale i tak przyjdę jutro do ciebie.

Na ulicy Marek ciągnie mnie ze sobą.

– Straciliśmy prawie cały wieczór – narzeka.

*

Wierka dostaje list z gratulacjami z Instytutu Nauczycielskiego w Wilnie, który informuje ją, że została przyjęta na studia.

Binele biega z Wierką i ze mną po sklepach, by po okazyjnych cenach kupić rzeczy na nasze podróże. Wierka trzyma mamę pod ramię i jest bardzo zmartwiona. Czuje się winna, ponieważ Icchok postanowił wyjechać do Wilna razem z nią. Zamierza zrezygnować z posady i opuścić swoją liczną rodzinę, którą wspomaga. Ja trzymam się drugiego ramienia mamy i znajduję się w wirze moich własnych sprzecznych uczuć. Miewam samobójcze fantazje, w których widzę siebie i Marka odstawiających jeszcze większy numer niż Romeo i Julia.

Sama Binele jest dopiero podenerwowana i niespokojna. Te dni akademickiego i artystycznego triumfu jej córek są dla niej bardzo trudne. Jej serce pęka

zarówno z dumy, jak i ze smutku. Nie zdradza się jednak ze swoim przygnębieniem. Jest bardzo rozmowna i chlubi się osiągnięciami swoich dzieci. Czepia się ich niczym pijak, który tonie.

Nie ma mowy o wynajmowaniu mieszkania na lato. Przez ostatnie parę lat Binele i Jankew odkładali wyjazd na letnisko do Stefanowa z jednego lata na następne, oszczędzając każdy grosz na wykształcenie dzieci.

Jednak nagle Binele – która jest tak pochłonięta przygotowaniami do wyjazdu córek, że nie widzi poza tym świata – dostrzega jak mizernie wygląda i jaki blady jest jej najmłodszy syn Noniek, i uświadamia sobie, jak bardzo go zaniedbała. Postanawia więc mimo wszystko wyjechać z nim na dwa tygodnie do Stefanowa w gości do Cederbojmów. Wierka otrzymuje niespodziewanie propozycję posady guwernantki do końca lata. Żegna się z rodziną oraz z Icchokiem i wyjeżdża do Sopotu nad Morze Bałtyckie. Ja również znajduję pracę na lato. Razem z dwiema dziewczynami ze szkoły tańca i pod kierownictwem Soni Wajskop zastępuję *madame* Felicję, która jest na urlopie. Po raz pierwszy w życiu otrzymuję prawdziwą wypłatę – dwa złote na tydzień!

Miasto dusi się w letnim upale. W naszym mieszkaniu panuje chaos. Mama, Noniek i Wierka wyjechali, więc w domu jesteśmy tylko ja i tata. Ten fakt oraz to, że pracuję i zarabiam, dają mi poczucie samodzielności i wolności. Sama przygotowuję posiłki dla siebie, a często też dla taty i Marka. Moje menu składa się z parówek. Jemy je z dużą ilością chleba, który smarujemy przygotowanym przez Binele gęsim smalcem ze skwarkami. Na deser podaję ciasto maślane, które upiekła dla nas mama, a kiedy się kończy, podjadamy ciastka makowe z cukierni Zalmana Fidlera. Jankew nalega, żebym razem z Markiem choć dwa razy w tygodniu przyszła do koszernej restauracji Feldmana na porządny posiłek. Idziemy tam jednak tylko raz, gdyż obsługiwanie przez tatę mnie i Marka w ten sam sposób, w jaki obsługuje innych gości, odbiera mi przyjemność delektowania się pierwszorzędnym jedzeniem.

W każdy piątek sprzątam mieszkanie i porządkuję rzeczy, które leżą na stole i krzesłach. Kręcę się po domu z miotłą w ręce, ścielę łóżka, ścieram kurz z mebli, bardzo często zapominając przy tym, co robię i w wyobraźni wyruszam już het, het do Paryża. Czasami improwizuję kompozycje muzyczne i interpretuję je w moim własnym stylu tanecznym, towarzysząc sobie przeciągłym, melancholijnym śpiewem. Kiedy już nie mam wyboru, zabieram się za pranie, które wychodzi spod moich rąk niewiele czystsze, niż było wcześniej.

Ta łódź bez wioseł, którą stał się nasz dom, mogłaby być rajem na ziemi. Marek przychodzi tu często i możemy oboje być ze sobą sam na sam. Zajadamy się makowymi ciastkami i nie musimy ukrywać się w kinie czy w ciemnej bramie. Ty, Abraszo, również tu przychodzisz. Będąc wspaniałym kucharzem, przygotowujesz podczas Twoich wizyt królewskie uczty. Jednak Marek i ja chętnie byśmy się ich zrzekli, gdyż wolimy być sami.

Tak, chcemy być sami. Postanawiamy żyć ze sobą jak mężczyzna z kobietą podczas tego krótkiego czasu, który możemy jeszcze wspólnie spędzić. Chcę tego. Chcę przypieczętować mój związek z Markiem, zanim wyjadę. Tak musi być. Jestem inna niż Wierka. Marek i ja jesteśmy impulsywni, namiętni i spragnieni siebie. Jednak postanowienie to, podjęte z trzeźwym umysłem i pełną świadomością tego, co robimy, przemienia raj w piekło. Bardzo często bowiem zdarza się, że ukazuje mi się cień pana Kaca – nie jego postaci z krwi i kości, tylko jako zjawa – ogromna, roztrzęsiona, rozjęczana zjawa, która przygniata mnie swoim ciężarem i hańbi mnie.

Do tego dochodzą irytujące nastroje taty, kiedy jest w domu. Rzadko odrywa nos od gazety i bezustannie wygłasza swoje prognozy dotyczące tego, czy będzie wojna, czy nie. Są to miesiące po konferencji w Monachium[346]. Nie mogę znieść gadania taty o angielskich i francuskich siłach obronnych, dyplomatycznej niezaradności Chamberlaina czy o zachłanności Hitlera, która nie zostanie zaspokojona przyłączeniem Austrii i zajęciem Sudetów[347]. Nie chcę o tym wszystkim słyszeć. Jestem zakochana. Jestem zatroskana. Za parę tygodni rozstanę się z moim ukochanym i moją rodziną.

Melancholijny niepokój taty bardzo mnie martwi. Od dłuższego czasu stosunki między nami źle się układają. Nie mogę znieść jego obecności w domu. Z goryczą w sercu przypominam sobie rozmowy, które zwykłam prowadzić z nim w dzieciństwie. Czas, który z nim spędzałam podczas naszego wspólnego czytania oraz spacerów, pełen był słodyczy i łagodnego ciepła. Jednak te czasy minęły. Tata stał się dla mnie bardziej obcy, niż kiedykolwiek wcześniej obca była mi mama. Proszę Boga, żeby tata nie starał się nawiązać ze mną rozmowy. Kiedy próbuje to robić, gdy jesteśmy sami w domu, wynajduję przeróżne sposoby, by temu zapobiec.

Pewnego razu zwierzam się Tobie, Abraszo, i proszę, byś mi wyjaśnił, dlaczego czuję się tak obco wobec taty. Odpowiadasz mi:

– Możliwe, że sam fakt, iż jesteście córką i ojcem, oddala was od siebie. Całkiem często miłość między rodzicem a dzieckiem boli jak otwarta rana.

– Ale on jest taki dziwny – nie daję spokoju. – Jak myślisz, co mu jest?

– To przez jego idealizm – próbujesz mi wyjaśnić. – On należy do tego rodzaju idealistów, którzy potrafią przebić głową mur, ale łamią sobie kark, kiedy zderzają się z samym powietrzem.

---

346 Podczas konferencji w Monachium, która odbywała się w dniach 29-30 września 1938 r. zostało podpisane pomiędzy Niemcami, Włochami, Francją i Wielką Brytanią – bez udziału Czechosłowacji – porozumienie dotyczące przyłączenia części terytoriów tzw. Kraju Sudetów do Rzeszy.

347 Faktycznie kolejnym krokiem w marcu 1939 r. było utworzenie przez niemiecką Rzeszę z okupowanych terenów Czechosłowacji Protektoratu Czech i Moraw, a potem atak na Polskę we wrześniu 1939 r.

– Ty też go nie rozumiesz, prawda, Abraszo?

– W jakim stopniu jeden człowiek może zrozumieć drugiego? Powiedzieć „rozumiem cię" znaczy tylko wiedzieć, jak ja bym się czuł, kiedy byłbym tobą.

Od czasu do czasu przypominasz mi:

– Twój „strych" czeka na ciebie.

– Jutro na pewno przyjdę – obiecuję Ci. Jednak nie idę do Ciebie ani jutro, ani pojutrze. Minęły miesiące, odkąd byłam w Twojej mansardzie i spędziłam czas w moim pokoju – „strychu".

Rzadko miewam wolną chwilę. Kiedy nie jestem w szkole tańca, spędzam czas z Markiem. Uczennice przychodzące do szkoły tańca w lecie należą do innej kategorii niż te, które uczęszczają do niej w ciągu roku szkolnego. W letnich klasach uczestniczą najczęściej młode kobiety, które kiedyś brały regularne lekcje. Ich miłość do tańca utrzymuje się i wracają tu każdego lata, żeby się „wytańczyć". Czuję się dobrze w roli instruktorki tych młodych kobiet. Atmosfera podczas lekcji jest przyjazna i rozluźniona. Każda z uczennic sama narzuca sobie dyscyplinę i jest wdzięczna za krytyczne uwagi pod swoim adresem.

Mam teraz okazję mieć całą lustrzaną salę do mojej dyspozycji. Po lekcjach serce ciągnie mnie, by spędzić tu samotnie trochę czasu, oddając się mojemu *Tańcowi na strychu*. Nie robię tego jednak, gdyż nie chcę stracić żadnej okazji do przebywania z Markiem. Nie mogę wytrzymać bez niego ani chwili dłużej niż to konieczne.

Tego dnia zaraz po lekcjach Sonia Wajskop siada przy pianinie i zaczyna grać jedną z etiud Chopina. Rzadko pamiętam o tym, że czarnowłosa Sonia jest córką Barucha Wajskopa. Nie ma też dla mnie znaczenia fakt, że jest zagorzałą komunistką. Widzę w niej jedynie dziewczynę, która kiedyś podziwiała moje piękne kamyki, a dziś jest wspaniałą tancerką, od której mogę się dużo nauczyć.

Pchnięta nagłym impulsem zrodzonym z mojego wewnętrznego niepokoju skaczę na równe nogi i zdejmuję baletki. Boso puszczam się na sam środek lustrzanej sali, gdzie zaczynam poruszać się powoli w tańcu. Razem z moim lustrzanym odbiciem szybuję poprzez wibrującą, melancholijną sferę tęsknoty, niesiona dźwiękami dobiegającymi od pianina. Widzę młode kobiety, które siedzą wokół na podłodze oparte o ścianę i przypatrują mi się, lecz równocześnie nie zauważam ich. Zagubiona w sobie, pogrążona w smutku dwojga rozstających się ukochanych, przepełniona tęsknotą za Markiem, jak gdybym była już daleko od niego – niosę się w tańcu po sali aż do chwili, w której milknie muzyka i młode kobiety zaczynają bić brawo.

Sonia wstaje od pianina, podchodzi do mnie i mówi:

– W tym twoim tańcu było coś z ducha Chopina.

Wciąż jeszcze pogrążona w moim świecie odpowiadam jej:

– A ja myślałam, że jest w tym tylko moja własna dusza.

Po raz pierwszy improwizuję *Taniec na strychu* przed publicznością, która składa się z więcej niż jednej osoby – z Ciebie, Abraszo – i pozwalam, by obce

oczy zajrzały w tajemny zakątek mojego „ja", który otwieram moimi ruchami. Gdy tańczyłam przed tymi młodymi kobietami, czułam to samo, co odczuwałam, tańcząc przed Tobą, Abraszo. Wiedziałam i jednocześnie nie wiedziałam, że ktoś na mnie patrzy. Nie pozbawiło mnie to uczucia, że jestem sam na sam ze sobą. Dokładnie jak w lustrze na ścianie, tak i w oczach, które patrzyły na mnie, widziałam odzwierciedlone własne odbicie. Czułam się związana z oglądającymi. Między mną a nimi wibrowała nić pokrewieństwa, tworząc elektryzujący kontakt. Dzięki temu magicznemu połączeniu tańczyłam tym razem lepiej niż kiedykolwiek wcześniej, chociaż do muzyki, która nie była moja własna.

*

Marek nie wyjeżdża do Ogrodowa po ukończeniu gimnazjum. Jego rodzice nie nalegają, żeby wrócił do domu. Nie widzą tam dla niego przyszłości. Tego lata jeździ więc do domu tylko czasami na szabes. Ojciec Marka jest właścicielem fabryki tekstylnej w Ogrodowie, sekretarzem kahału i ogólnie szanowanym człowiekiem w sztetlu. Jego rodzina posiada murowaną kamienicę w samym centrum miasteczka. Nieraz proszę Marka, żeby zabrał mnie ze sobą do Ogrodowa. Chcę poznać się z jego rodzicami. Pragnę zobaczyć miasteczko i wszystkie miejsca wplecione we wspomnienia Marka z dzieciństwa, tak jak Bałuty wplecione są w moją pamięć. Jednak Marek nie chce o tym słyszeć.

Kiedy nalegam, mówi mi:

– Mnie samemu wizyty w domu sprawiają niewiele przyjemności. Moi rodzice są małomiasteczkowymi snobami. I jeśli chcesz wiedzieć, to moje życie w domu nigdy nie było szczęśliwe. Rodzice wykorzystują mnie jak pionka w ich grze w kotka i myszkę. Jestem rozrywany przez ich miłość do mnie oraz przez moją poplątaną, okaleczoną miłość do każdego z nich. Nie znoszę ich ograniczoności i fanatyzmu. Wysłali mnie do Łodzi, żebym uczył się w gimnazjum i zdobył wykształcenie, ponieważ uważają, że jest to ważne dla mojego wspinania się po drabinie sukcesu. Jednocześnie hipokryzyjnie przestrzegają żydowskich tradycji i tego samego wymagają ode mnie, kiedy przyjeżdżam do domu. W szabes zabierają mnie ze sobą do synagogi, żeby mieszkańcy sztetla zobaczyli, jakim dobrym Żydem jest sekretarz kahału. Mają nadzieję, że znajdę sobie w Łodzi bogatą narzeczoną.

Marek uczy się z zapałem. Podejrzewam, że uczenie się, podobnie jak jego miłość do mnie, jest jego sposobem na zapominanie o dręczących go problemach. Za każdym razem, gdy wraca z Ogrodowa, jest sarkastyczny i przygnębiony. Mija wiele dni, zanim z powrotem poprawia mu się nastrój. I podobnie jak lgnie do mnie, tak ciągnie go też do mojej rodziny. Zauważa często, że mój dom przesiąknięty jest wzajemną miłością moich rodziców. Jest tego bardziej świadomy niż ja. Mówi, że nigdy nie było mu dane zaznać takiej domowej atmosfery. Ja śmieję się i odpowiadam mu, że bardzo przesadza.

Marek dopiero co wrócił z Ogrodowa i oto pojawia się niespodziewanie w lustrzanej sali szkoły tańca, akurat gdy Sonia Wajskop siada przy pianinie. Razem z nim wchodzi Gabi Cederbojm. Poznali się na przyjęciu z okazji matury Wierki i zostali dobrymi przyjaciółmi. Gabi ukończył gimnazjum techniczne i został elektrykiem. Jest także przywódcą bundowskiej organizacji młodzieżowej i prowadzi letni obóz SKIF-u.

Na widok dwóch kawalerów pojawiających się w wyłącznie żeńskim świecie lustrzanej sali ogarnia mnie zdumienie. Jak Marek śmie przyjść tutaj niezaproszony, a do tego jeszcze przyprowadzić ze sobą takiego gościa jak Gabi, którego stosunek do mojego tańca jest w najlepszym razie drwiący? Zauważam jednak, jak przygnębiony jest Marek, opanowuję się więc i witam obu chłopców chłodnym uściskiem dłoni, po czym w kiepskim humorze przedstawiam ich dziewczętom. Dziewczęta obdarzają ich nieśmiałymi półuśmiechami i zapraszają, by usiedli na podłodze. Sonia nie przerywa gry na pianinie, jak gdyby nie zauważyła gości. Zaraz spostrzegam, że Gabi nie może oderwać od niej oczu.

Sonia gra jakiś skoczny utwór. Postanawiam poświęcić się, żeby ratować niezręczną sytuację, za którą czuję się odpowiedzialna, i by poprawić atmosferę, zaczynam kręcić się po sali do taktu muzyki. Zaraz jednak opuszcza mnie nieśmiałość i zaczynam poruszać się coraz swobodniej, co razem z wesołym rytmem oraz z ich własnym pragnieniem bycia obserwowanymi przez męskie oczy powoduje, że inne dziewczęta również wstają i zaczynają improwizować. Marek i Gabi widząc, że zostali sami na podłodze pod ścianą, również zrywają się na nogi. Marek zdejmuje wiatrówkę i buty, po czym zaczyna chwacko podskakiwać w moim kierunku, wykonując przy tym niezgrabne ruchy ramionami i całym ciałem. Pląsam w jego stronę i zatrzymuję się w niewielkim odstępie od niego. W ten sposób witamy się raz jeszcze, uśmiechając i poruszając się przy dźwiękach dobiegającej od pianina muzyki.

Chudy i wysoki Gabi, na którego koledzy z organizacji wołają „słup telegraficzny", zbliża się do pianina, opiera się o jego górne wieko spiczastymi łokciami i gapi się na Sonię ze swoją charakterystyczną chucpą i brakiem manier.

Później, kiedy wychodzimy wszyscy razem na ulicę, posuwamy się naprzód całą grupą, jak gdyby wciąż jeszcze łączyła nas ze sobą muzyka Soni. Otacza nas łagodna atmosfera letniego wieczoru. Marek obejmuje mnie w talii jedną ręką, a drugą trzyma przerzuconą przez ramię torbę z moimi tanecznymi akcesoriami. Idziemy tak lekko i beztrosko, pogrążeni w ożywionej, wesołej rozmowie – oprócz Soni i Gabiego, którzy są gdzieś daleko z przodu. W końcu młode kobiety ze szkoły tańca żegnają się z nami. Szukamy wzrokiem Gabiego i Soni między ludźmi, którzy płyną strumieniem po trotuarze, lecz nigdzie ich nie widać. Marek i ja mrugamy do siebie porozumiewawczo. Nasza radość z bycia razem zostaje podwojona przez fakt, że Gabi i Sonia najwyraźniej poczuli wzajemny pociąg do siebie. Szybko jednak zapominamy o nich.

– Wiesz – odzywam się – nigdy nie rozmawiałam z tymi dziewczętami o niczym innym poza tańcem, a jednak czuję, że są mi tak bliskie, jak gdybym nie miała przed nimi żadnych tajemnic.

– Ale przede mną masz tajemnice – zauważa Marek.

– To kłamstwo. Przed tobą odkrywam moje tajemnice nawet wtedy, kiedy nie tańczę, nie wspominając już o czasie, gdy nic nie mówię.

– Jednak musimy porozmawiać, Miriam. Chociaż boję się, że nie spodoba ci się to, co mam do powiedzenia.

– Masz mi coś do powiedzenia? O, wiem co. Nie, to mi się nie spodoba. Mówienie ma brzydki zwyczaj plątania wszystkiego między nami. Jeśli chcę ci coś powiedzieć, całuję cię. A jeśli nie mam cię pod ręką, uciekam się do muzyki. Nie do jakiejś rzeczywistej, tylko do tej, która rozbrzmiewa w mojej głowie.

Marek uśmiecha się blado.

– Kiedy nie jesteśmy razem, mówię do ciebie tak dużo w myślach, że gdyby to spisać, można by tym zapełnić całą bibliotekę.

– Bo jesteś gadułą, wiem o tym. Ale w mojej głowie rozbrzmiewa tylko jeden motyw, kiedy o tobie myślę.

– Co to za motyw?

– Zgadnij.

– Wyśpiewaj go.

– Dobrze. Jest krótki i banalny. Kocham cię.

– Powiedz to raz jeszcze.

– Kocham cię.

– Jeszcze raz! I jeszcze raz! Powtarzaj to bez końca, tak, żeby starczyło mi na czas, kiedy będziesz daleko.

– Przestań! – wołam. – O tym fakcie nie wolno nam wspominać!

– Jednak wcześniej czy później musimy o tym porozmawiać.

– Lepiej później niż wcześniej. Nie pogrążaj mnie w smutku.

– Miriam, musimy spojrzeć prawdzie w oczy.

– Zgadzam się. Ustalmy datę, dzień i godzinę, żebym mogła się przygotować.

– Teraz jest właściwy dzień i godzina.

– Nie dla mnie. Teraz nie mam nic do dodania do tego, co ci przed chwilą powiedziałam.

Popadamy w milczenie. Dobry nastrój został zepsuty. Gdy się rozchodzimy, Marek unika spojrzenia mi w oczy.

W następny piątek Marek znowu jedzie do Ogrodowa, jak gdyby pędził go tam niepokój. Ja również jestem niespokojna. Jakieś niebezpieczeństwo unosi się nad naszymi głowami, nad naszą miłością. Coś strasznego czai się w powietrzu, w cieniach nocy. Strach ściska serce. Wkrótce coś się wydarzy. Czy tylko to, co nieznane, co czeka mnie w dalekim świecie, czy coś więcej? Czuję niechęć do gazet i nie zaglądam do nich. Kiedy słyszę, jak na rogu gazeciarz woła: „Ekstra wydanie!", przechodzę na drugą stronę ulicy. Muszę się strzec. Muszę coś zrobić.

Nie mogę już dłużej tego odkładać i muszę natychmiast pomówić z Markiem. Muszę być gotowa, muszę być silna. Jednak wszystko, co mam do powiedzenia Markowi, to to, że się boję.

Chwytam się myśli o Tobie, Abraszo. Jak to możliwe, że tak długo nie myślałam o Tobie i nie miałam najmniejszej ochoty zobaczyć się z Tobą?

Witasz mnie jak zwykle bosy i rozczochrany. Samson skacze wokół mnie, a Dalila zadziera puszysty ogon i wskakuje na parapet. Twoje czarne oczy jaśnieją, patrząc na mnie. Chwytasz mnie w ramiona.

– Wreszcie przyszłaś! – wołasz. Podnosisz mnie i przenosisz przez próg mojego „strychu". – Spójrz tutaj! – Śmiejesz się i przytrzymujesz mnie, jak gdybyś się bał, że mogę uciec. Robisz szeroki gest wolną ręką. – Widzisz, jak te ściany tęskniły za tobą? – Chcesz zostawić mnie samą i zamknąć drzwi, jednak ja idę za Tobą z powrotem do Twojego pokoju.

– Nie mam dziś ochoty być sama – mówię. – Przyszłam, by pobyć trochę z tobą.

– Kiedy jesteś w twoim pokoju, jesteś też ze mną. – Uśmiechasz się wyczekująco, z zaciekawieniem w oczach. Bierzesz mnie za rękę i siadasz ze mną na łóżku, które jak zwykle załadowane jest książkami, gazetami, ubraniami i naczyniami. Twój wzrok skacze po mojej twarzy. – Co się stało? Zieleń twoich oczu rozmywa się w smutku – zauważasz.

Wyrzucam z siebie:

– Nie wiem, co robić, Abraszo. Jestem strasznie zakochana w Marku.

– Dlaczego musisz coś z tym zrobić?

– Nie chcę jechać do Paryża. Nie mogę żyć bez Marka. Nawet kiedy jedzie do Ogrodowa na szabes, brakuje mi go i boli mnie serce.

– Chcesz więc z wszystkiego zrezygnować, żeby nie czuć tego bólu?

– Tak, nie mogę go wytrzymać. Nie jestem wystarczająco silna.

– Skąd to wiesz? Wypróbuj się. Jeśli nie wyjedziesz, nigdy sobie nie wybaczysz i tak czy siak zrzucisz winę na Marka, nieważne, jak bardzo go kochasz.

– Ale nie jestem pewna, czy tańczenie baletu jest rzeczywiście tym, co chcę robić w życiu.

– Tego również musisz się dowiedzieć. Gdybyś mnie zapytała, powiedziałbym ci, że jesteś zupełnie pewna, że masz taniec we krwi, czy to balet, czy nie.

Patrzę na Ciebie podejrzliwie.

– Chcesz, żebym wyjechała, tak?

– Tak, bardzo chcę.

– Potwór! Nie będziesz wcale za mną tęsknił?

– Niech mnie diabli, jeśli będę.

– Chcesz, żebym wyrzekła się Marka.

– Jeśli to konieczne, to tak. Jesteś utalentowaną artystką, Miriam. Jesteś emisariuszką piękna. Świat potrzebuje takich jak ty, by przeciwstawiać się szpetocie. Świat jest nieudanym szkicem arcydzieła, przy tworzeniu którego Bóg poniósł gorzką porażkę. Trzeba, by ludzie tacy jak ty poprawiali ten szkic. I czy nie wiesz,

że stwarzać oznacza żyć dwa razy? Artysta żyje dwa razy, żyje podwójnie. Dla ludzi, którzy wiodą jedno życie, codzienne, zwykłe sprawy, ich materialne troski i fizyczny dobrobyt, czy nawet ich normalne sentymenty i pasje – są początkiem i końcem wszystkiego. Ale dla tych, którzy żyją podwójnie, to, co codzienne i zwyczajne, jest jedynie przedsionkiem, który prowadzi do innego życia.

– Prawisz kazania jak *madame* Felicja.

– Gdybym tylko był tak oddany mojej sztuce, jak ona swojej, może byłbym wart przebywania w jej towarzystwie. Ona jest kapłanką swojej sztuki. Ja kocham moją pracę, jak mówi Flaubert, rozpaczliwą i perwersyjną miłością – tak, jak pustelnik kocha swoją włosienicę, która ociera jego skórę. *Madame* Felicja miłuje swoją pracę niczym westalka kochająca płomień, którego strzeże – jak gdyby był on tuniką gładzącą jej ciało.

– A ja nie znoszę takiego gadania, Abraszo! Jeśli prawdą jest to, co mówisz, to bądź tak dobry i powiedz mi, do którego z moich dwóch żywotów należy Marek?

Twoja twarz przyjmuje bardzo poważny wyraz.

– Jeśli przyszłaś zapytać mnie o radę, to posłuchaj. Zostało ci tylko parę tygodni, które możesz spędzić z Markiem.

– O Boże, jak łatwo mu to powiedzieć!

Udajesz, że nie słyszysz mojego okrzyku.

– Nie marnuj tych paru tygodni. Nie myśl o każdej godzinie z osobna. Żyj w tym czasie pełnią życia. Wiem, że brzmi to pusto w twoich uszach, jak gdybyśmy mówili o ostatnim posiłku, ostatnim papierosie kogoś, kto jest skazany na śmierć. Skazany na śmierć czuje pewnie – razem ze strachem, który dławi go w gardle – pełny smak każdego kęsa pokarmu, którego już nigdy więcej nie zakosztuje. Jednak ty, Miriam, jesteś skazana na życie, a nie na śmierć. Na bogate i piękne życie. I będziesz miała swoje wspomnienia. Wspomnienia nie należą do przeszłości, lecz do teraźniejszości. Oddziałują na ciebie z każdym oddechem, który bierzesz. Dobre wspomnienia pomagają oddychać pełną piersią, a tancerka musi mieć dobre płuca. – Zanurzasz palce w swojej czuprynie i drapiesz się po głowie. – Masz rację, wygaduję głupstwa. Przede wszystkim mam na myśli to... że musisz się ratować...

– Ratować się przed czym? – wołam i nie czekając, żebyś mi odpowiedział, wybiegam z Twojego mieszkania, zatrzaskując za sobą drzwi. Jestem wściekła na Ciebie i jeszcze bardziej niespokojna niż wcześniej. Wszyscy odciągają mnie od Marka i usiłują wzmocnić mnie pompatycznymi, pustymi słowami. Tobie nie mogę tego wybaczyć jeszcze bardziej niż innym. Nie znoszę, kiedy przyjmujesz rolę nauczyciela i prawisz mi kazania. Zrobiłeś ze mnie ni mniej, ni więcej, tylko emisariuszkę bogów! I dla tej bańki mydlanej mam poświęcić słodycz dotyku Marka i szczęście bycia z nim.

Jednak powoli zaczynam uświadamiać sobie, że żmudne, codzienne życie bez mojego rozwoju jako tancerki i zgoda na skrępowanie jej w sobie zagroziłyby w końcu nawet mojej miłości do Marka. Jeśli musiałabym żyć jedynie nudną,

mozolną codziennością, to może nasza miłość stałaby się tak mglista, jak nieruchoma mgła unosząca się w powietrzu nad stojącymi wodami – bez kierunku, bez celu. Co stałoby się wtedy z moją tęsknotą do morza – wielkiego, otwartego morza, którego daleki szum tak wyraźnie w sobie słyszę? Wszechogarniające morze, życie ducha, śpiew duszy – to wszystko nadaje sens temu, co codzienne i trywialne, wzbogaca i upiększa moje pragnienie bycia z Markiem. Bez tego powiewu w żagle okręt, który niesie naszą miłość, uległby katastrofie, rozbiłby się o skały.

To właśnie, Abraszo, próbowałeś mi powiedzieć. Jakim sposobem zdołałeś mi to tak dobrze wyjaśnić? Na pewno nie słowami, lecz raczej w niewerbalny sposób. Nie mam co do tego wątpliwości. Zrozumiałam, że rozstanie prowadzi poprzez ból do wiecznej miłości, a moja droga prowadzi przez Paryż. Taniec jest moją drogą. Muszę opanować podstawowy język tańca do perfekcji. Drżę wprawdzie na samą myśl o opuszczeniu domu i pożegnaniu się z Markiem. Gdy myślę o obcym, groźnym i kuszącym mieście świateł, ogarnia mnie przerażenie i trwoga. Jak poradzę sobie tam sama jedna, nie znając dostatecznie języka, nie będąc w stanie ugotować porządnego posiłku ani zszyć jak należy podartego ubrania?

Z drugiej strony jednak będę pierwszą z całej mojej rodziny, która wyruszy w podróż – z Bocianów, z Łodzi, z Polski – w daleki świat! Tata nieraz się przechwalał, że on i mama byli pierwszymi z wszystkich pokoleń ich rodzin, którzy odeszli od tradycyjnej żydowskości sztetla i dołączyli do głównego nurtu nowego życia. Wierka była pierwszą, która zaszła tak daleko na drodze świeckiego wykształcenia, i ja, Miriam, również muszę okazać się warta bycia ich córką.

*

Pośród leniwej ciszy niedzielnego popołudnia rozbrzmiewa głos dzwonu kościelnego wzywającego na wieczorną mszę. Spotykam się z Markiem przy wejściu do Kina Bajka, jednak nie wchodzimy do środka. Rzucając sobie ukradkowe spojrzenia, ruszamy w kierunku Parku Poniatowskiego[348]. Towarzyszy nam uroczysty, poważny dźwięk dzwonu. Marek i ja nie umówiliśmy się, że tego akurat dnia przeprowadzimy decydującą o naszym losie rozmowę, jednak oboje wiemy, że ten moment właśnie nadszedł.

Leżymy na soczystej trawie obok stawu w parku, w którym zieleń późnego lata zaczynają spowijać wieczorne cienie. Park jest pełen wystrojonych, niedzielnych spacerowiczów. Murawa wokół stawu usiana jest obejmującymi się parami, które

[348] Park Poniatowskiego był ulubionym parkiem Chavy Rosenfarb, do którego chodziła często z przyjaciółmi. Był on w sąsiedztwie mieszkania Rosenfarbów, które znajdowało się na trzecim piętrze kamienicy przy ul. Żeromskiego 75. Z kina Bajka na Bałutach do Parku Poniatowskiego jest blisko 4,5 km.

leżą na trawie podobnie jak ja i Marek. My jednak ledwo zauważamy nawet tę parę, która znajduje się najbliżej nas. W powietrzu niosą się dobiegające z oddali dźwięki harmonijki ustnej. My dwoje jesteśmy sami i nie mamy pojęcia, co zrobić z drogocennym ciężarem naszej miłości. Jedyne, co wiemy, to to, że jesteśmy przestępcami, którzy przygotowują się do tego, by pulsujący, ciepły, żyjący skarb wrzucić do stawu nieistnienia.

Nie mamy sobie nic nowego do powiedzenia. Wszystko jest dla nas jasne z brutalną wyrazistością. Opanowana dziwnym uczuciem mówię Markowi, że nigdy nie przestanę tańczyć. On zapewnia mnie, że nigdy by tego ode mnie nie zażądał.

– Tobie również, Marku, nie wolno zboczyć z twojej własnej drogi – dodaję.

– Mów sama za siebie – odpowiada.

– To ty mów za siebie.

Po długim milczeniu szepcze:

– Chcę się z tobą ożenić, stworzyć z tobą dom. Jakiej profesji bym nie wybrał, moje życie nie będzie miało żadnego istotnego sensu, jeśli zabraknie w nim mojego własnego kącika, który dzieliłbym z tobą. Do żadnej profesji nie odczuwam takiej pasji, jaką ty masz do swojej. Jestem zbyt wielkim cynikiem. Jeśli nawet nauka zastępuje mi religię, to jednak nie jest w stanie pomóc mi żyć. Ty pomagasz mi żyć. Ty jesteś moim życiem. – Po paru minutach milczenia dodaje spokojnym, suchym głosem: – Widzisz przecież, że w naszym przypadku to, co dla nas ważne, oddala nas od siebie. Zwykle oczekuje się, że to kobieta mówi takie rzeczy. Ale jaka to różnica? Tak to jest i szczerze mówiąc, nie widzę możliwości dla ciebie i dla mnie, żebyśmy się kiedyś ponownie zeszli. To mówi mi rozum. Chcesz, żebym ci przysiągł wieczną miłość? W tym momencie nie przyszłoby mi to z trudem. Kocham cię z całego serca i duszy, ale wiem też, co czas rozstania może uczynić z ludźmi. Oczywiście mogę pojechać za tobą do Paryża, pojechać za tobą dokądkolwiek stąd wyruszysz. Jednak nie wyjdzie nam to na dobre. Nasze priorytety nie są takie same. Moim priorytetem jest bycie z tobą, a twoim bycie tancerką. Nie chcę mydlić sobie oczu i nie chcę zgodzić się na to, by mi je mydlono.

Nie mogę pozbyć się wrażenia, że przeżywam scenę z jakiegoś filmu – fałszywą, przesadnie melodramatyczną, chociaż jej tło jest tak realne, a treść tak prawdziwa i destrukcyjna.

Zaplatam ramiona wokół karku Marka.

– Nie przeżyję naszego rozstania, Marku – mówię cicho, czując jednocześnie, że tracę coś, czego już nigdy nie uda mi się odzyskać.

W drodze powrotnej przechodzimy obok kataryniarza, który stoi w ciemnej bramie i wygrywa coś na katarynce. Jest kaleką z drewnianą nogą i ma ślepe oko, a na jego katarynce siedzi przymocowana do niej łańcuszkiem papuga. Kataryniarz woła śpiewnie:

– Cała przeszłość, przyszłość i teraźniejszość za jedyne pięć groszy!

Rozdział dwudziesty czwarty

Drogi Abraszo!

Szaleństwem jest to, czego się ode mnie nieustannie domagasz: abym napisała dla Ciebie biografię, którą opowiadam Ci w wyobraźni. Czy nie rozumiesz, że opowiadanie życia w wyobraźni jest zgoła inną rzeczą niż pisanie? Przecież jestem dniem i nocą bombardowana obrazami przeszłości – obrazami, które w obozach uparcie od siebie przeganiałam, a teraz przyjmuję je z największą łagodnością. Które powracają do mnie w chaotycznym zamęcie. Nie lada wysiłku wymaga wydłubanie z tego chaosu nienazwanego, przypadkowego wspomnienia, takiego, które pozwala się zorganizować, ułożyć w porządek chronologiczny. Jak Ci mówiłam, uczę się swojego „co-było" na pamięć. Legend o moim życiu. Tym są. Zaszłam w nich jednak tak daleko, że nie mam już ochoty kontynuować wspominania. W moim świecie wspomnień zapanował mrok.

Mówię Ci jeszcze raz: nie mogę spełnić Twojego życzenia. Na samą myśl, że pewnego dnia będę musiała Ci opowiedzieć, co się ze mną działo od naszego rozstania, zaczyna drżeć mi ręka.

Ech, Abraszo, zabiłeś we mnie ochotę kontynuowania tej odpowiedzi. Co porabiasz? Kiedy w końcu mi wyjaśnisz, co się z Tobą dzieje, i dlaczego tak uparcie przemilczasz moje pytania? Zmąciłeś mój spokój, jak zawsze Ci wybaczam.

Twoja Miriam

*

Mendel Sznajder wrócił do obozu, aby być z Sorką. Sorce z trudem przyszło pozbierać się po chorobie. Mendel wciąż był niespokojny i czymś zajęty. Malka

zdołała dowiedzieć się, że pracuje dla Brygady Żydowskiej[349] i Brichy[350]. Do tej pory nie było okazji rozmówić się z nim jak należy. Ale tego wieczora Balcia przyłapała go na pryczy Sorki w lazarecie. Sorka spała, więc Balcia siłą wyprowadziła go do pokoiku.

Gdy tylko usiadł przy stole, wypalił:

– Mauthausen leży nad Dunajem, niedaleko rodzinnego miasta Hitlera, Linzu w Austrii. Obóz zagłady jak się patrzy. Harowaliśmy w kopalniach granitu, dopóki ktoś się nie „przekręcił". Strażnicy i kapo za najmniejsze przewinienie znęcali się nad dziesiątkami więźniów. Szli hurtem... Bawiło ich zrzucanie noszących granit w dół szybu. To się działo całkiem otwarcie, na oczach Niemców z okolicy, to znaczy Austriaków...

Mendel opowiadał do późnej nocy – więcej niż trzy kobiety były w stanie przyjąć. Komuś, kto „tam" nie był, włosy stanęłyby dęba od tych jego historii. Dla pisarza byłaby to żyła złota: zapierających dech, hipnotyzujących szczegółów, psychologicznych zagadek, niewiarygodnych dowodów na to, do czego kacet doprowadzał człowieka, zarówno pod względem brutalności, jak i poświęcenia. Miriam jednak zbrzydły i znudziły się nieustannie powtarzane, oklepane obrazy grozy, które Mendel malował.

Przenocował na wolnej pryczy w pokoju. Nazajutrz rano, gdy tylko z kuchni dostarczono kawę i porcje chleba, gdy zdążono zasiąść do śniadania, Mendel zaczął:

– U nas w Mauthausen... – I znowu: – Taka porcyjka chleba – wskazał na kromkę trzymaną w dłoni – musiała wystarczyć na trzy dni, gdy się już ją dostało. Za byle co karano nas odebraniem tej odrobiny chleba...

Miriam nie chciało się go słuchać, a jednak słuchała. Miała mu za złe, a jednak mu wybaczała. Wiedziała, że to pierwsza okazja, aby się wygadać. Z czasem jednak Mendel zaczął jej działać na nerwy. Na okrągło opowiadał te same historie z kacetu. Gdy tylko ktoś wszedł do pokoiku, albo wyszło się z nim na zewnątrz i kogoś spotkało, wyjeżdżał ze swoim: „U nas w kacecie, w Mauthausen...", jakby chciał powiedzieć: „U nas w domu, w Mauthausen...". Ożywiony zapuszczał się w długie monologi i nie było temu końca.

Mendel nie był jedynym, który oddawał się temu bolesnemu zajęciu. Stanowiło ono rodzaj perwersyjnej przyjemności części ocalonych, aby stale karmić siebie

---

[349] Brygada Żydowska ang. *Jewish Brigade* – formacja zbrojna utworzona przez rząd brytyjski 3 lipca 1944 r. z żołnierzy pochodzenia żydowskiego z kilkudziesięciu krajów z całego świata. Po zakończeniu wojny żołnierze zajmowali się przede wszystkim pomocą Żydom ocalałym z Holocaustu, którzy chcieli przedostać się do Palestyny.

[350] Bricha (hebr.) dosł. ucieczka – organizacja działająca w latach 1945-1948, której celem była pomoc ocalałym z Holokaustu Żydom w przedostaniu się do Brytyjskiego Mandatu Palestyny. Działalność tej organizacji była tajna i nielegalna.

i innych wspomnieniami z kacetu, stale przeżywać tę samą grozę. Czasem Miriam myślała z gorzką ironią, że obóz był dla tego człowieka największą „przygodą" życia, największym i najważniejszym przeżyciem o historycznym charakterze. Przydawało to wspomnieniom wyjątkowości, prawie wielkości. Coś podobnego dotyka człowieka, który przeszedł ciężką i rzadką chorobę, i nieprzerwanie opowiada o niej z najdrobniejszymi szczegółami.

W wyzwolonym Bergen-Belsen powstała trupa teatralna[351]. Przygotowywano się do wieczornego przedstawienia w jednym z baraków-namiotów, który służył esesmanom za kino. Teraz nazywano go teatrem namiotowym. Stał w pobliżu cmentarza, gdzie chowani byli ocaleni, którzy zmarli po wyzwoleniu. Tam też znajdował się grób Hanki.

Miriam, za każdym razem, gdy mijała ten barak, wyłapywała uchem rozmowy aktorów z drugiej strony plandeki, dźwięki muzyki i śpiewu. Cisnęło ją w sercu. Myśl o teatrze, o scenie, budziła tęsknotę, nie dawała spokoju. Nie odważyła się wejść. Już nie była tancerką. Nigdy więcej nią nie będzie. Aż pewnego razu zdarzyło się, że usłyszała muzyczne tony w towarzystwie rytmicznego tupania stóp. Nie potrafiła się powstrzymać i zajrzała do środka.

W ten sposób tego samego wieczora stała się uczestniczką przedstawienia. Balcia, która „adoptowała" Mendla Sznajdera, przyprowadziła go na siłę. Stan Sorki poprawiał się, więc Mendel mógł sobie pozwolić na odrobinę rozrywki – uważała Balcia.

Dzień był wietrzny, deszczowy. Wiatr wdzierał się do wielkiego namiotu i potrząsał plandekami. Do środka kapał deszcz. I oto Miriam pojawiła się na scenie, aby wykonać taniec, który choreografka, też kacetniczka, nazwała: *Wyzwolenie*. Miriam wstydziła się swojego amatorstwa i niezgrabności. Lewa stopa odmawiała jej posłuszeństwa, upierała się iść własną drogą. Wzięła też udział w tańcu chasydzkim, który widzowie, większość wciąż ubrana w pasiaki, przyjęli z wielkim entuzjazmem. Oprócz tańców, program składał się ze śpiewu solistów, poważnych recytacji i scenek komicznych. Można było się zdziwić, jak reżyser-kacetnik poruszył niebo i ziemię dla czystości wykonania. Jakby tą „czystością" chciał zmyć z siebie, z aktorów i z widzów brud, *szund*[352] minionych dni. Ale w gruncie rzeczy nie chodziło o to, czy aktorzy grali dobrze, czy źle. Z oczywistych względów

---

[351] Zaraz po wyzwoleniu w obozach dipisów wystawiano przedstawienia teatralne, w których grali przedwojenni zawodowi aktorzy ocalali z kacetów, ale występy dawali też artyści i zespoły z całego świata. Największym powodzeniem cieszyły się sztuki z klasycznego repertuaru żydowskiego, ale powstawały również spektakle komentujące aktualne wydarzenia i problemy. W Belsen powstał teatr z widownią dla tysiąca osób.

[352] *Szund* (jid.) – dosł.: śmieci, odpadki, ale też tandeta, szmira. To określenie odnosi się często do literatury czy sztuki gorszego gatunku, literatury brukowej, kiczu.

stan ich dusz daleki był od równowagi. Nie dało się zapomnieć, że występuje tu, na scenie obok nich, cały utracony świat. Z tego powodu sama gra w ogóle nie była ważna. Zarówno aktorzy, jak i widzowie, byli silnie przejęci, w podniosłym nastroju, także Miriam. Bolesna siła tkwiła w tej tęsknocie za nową twórczością, podniosłością, pięknem.

Pewien angielski żołnierz siedział w tym samym rzędzie z Balcią, Malką i Mendlem Sznajderem. Jego mundur khaki wyróżniał się w morzu szarych pasiaków. Żołnierz nie rozumiał ani słowa z tego, co odbywało się na scenie[353]. Całe przedstawienie wystawiono w jidysz. Ludzie, którzy obok niego siedzieli, dziwili się, jaka dziwaczna ciekawość przygnała tego goja do namiotu teatralnego i tam go zatrzymała. Po każdej scence, gdy entuzjazm i oklaski sięgały zenitu, żołnierz, siedzący sztywno jak kłoda, zaczynał się nerwowo wiercić. Stukał w ramiona sąsiadów palcem, jakby pukał do drzwi, na prawo i lewo, z tyłu i z przodu, i dopytywał, co tak publiczność porwało.

Siedzący po sąsiedzku patrzyli na niego z poczuciem wyższości i mrugali do siebie, jak zwykło się robić, gdy ma się do czynienia z kimś z zewnątrz. Uśmiechali się do niego z fałszywą grzecznością i wzruszali ramionami. Nikt z nich nie rozumiał ani słowa po angielsku.

Mendel Sznajder siedział nieco dalej od Anglika. Ale słyszał podśmiechiwania ludzi. Zdążył nauczyć się nieco angielskiego i uważał, że jego słownictwo wzbogaciło się już wystarczająco, aby mógł pozwolić sobie na wyjaśnienia skierowane do żołnierza, siedzącego nieco dalej, po prawej stronie. Zaczęto Mendla szturchać i popychać, żeby przestał przeszkadzać. Zamienił się więc miejscami z kobietą, która siedziała przy Angliku, i wyraził przed nim gotowość służenia za tłumacza. Z wyrazem powagi i koncentracji na twarzy zaczął głośno szeptać żołnierzowi komentarze do ucha, wspomagając się słowami po niemiecku oraz energiczną gestykulacją rąk.

Wykładał mu lekcję dotyczącą aktorów, publiczności na sali, treści scenek i znaczeń, jakie niosą dla słuchaczy. Tarzając się ze śmiechu, próbował objaśniać żarty tak gruntownie, że zdumiony goj czuł się w obowiązku uśmiechnąć, choćby z tego powodu, że zachowanie Mendla wydawało mu się komiczne.

Mendel tak zaangażował się w mówienie po angielsku, że nic nie obchodziło go „Sza…" czy „Cicho bądź!", które dochodziło ze wszystkich stron. Dumnie przypatrywał się zdenerwowanym sąsiadom i dalej rozmawiał z towarzyszem. Publiczność musiała dzielić uwagę pomiędzy przedstawienie na scenie, przedstawienie na widowni oraz świst wiatru na zewnątrz. Im dłużej trwał monolog Mendla, tym

---

[353] Opowieść ma swoje źródło w historii, która wydarzyła się w obozie dla dipisów w Bergen-Belsen w maju 1945 r. Na jedno z przedstawień w języku jidysz przyszedł brytyjski żołnierz, Douglas Jensen z Sheffield. Chava Rosenfarb zaoferowała się, że będzie mu tłumaczyć. Tak zaczęła się ich przyjaźń i wieloletnia korespondencja. Jej pierwszy list do Douglasa był datowany na 5 czerwca 1945 r.

szerszy robił się uśmiech żołnierza. Sam zaczynał emanować entuzjazmem, gdy zdołał wyłapać właściwe angielskie słowo wychodzące z ust sąsiada.

Ale podczas numerów tanecznych Mendel przestał szeptać do ucha żołnierza. Teraz tłumacz nie był potrzebny. Żołnierz najwyraźniej cieszył się z tego powodu i uśmiechał się jeszcze szerzej w kierunku sceny, ukontentowany swoją mądrością. Gdy Miriam skończyła tańczyć solowy numer, żołnierz wybuchł aplauzem i tak głośno krzyczał „Brawo!", że zwróciła na niego uwagę cała widownia. Zawstydził się, ponownie zamilkł i zesztywniał.

Po przedstawieniu rozbawiony tłum powoli przesuwał się do wyjścia. Mendel i śmieszny Anglik szli naprzód ramię w ramię, wciśnięci w tłum. Kontynuowali rozmowę. Anglik przemawiał tak zaawansowaną angielszczyzną, tak specyficznym akcentem, że Mendel miał okazję przekonać się, iż jego własna znajomość języka nie jest tak doskonała, jak mu się wydawało.

Mimo to Mendel, prąc naprzód, odezwał się do towarzysza:

– *I was in Auschwitz and Mauthausen-katzet...* – I zapamiętale, z zapałem oraz wielkim wysiłkiem, jął opowiadać o swoich przeżyciach.

Wiatr nieco przycichł i już nie padało. Wyszedłszy przed namiot teatru, Mendel chwycił Anglika za ramię i nie przerywając przemowy, przytrzymał go, aż Balcia i Malka pojawiły się obok. Po nich przyszła Miriam. Miała jeszcze makijaż na twarzy. Szminka i węgiel rozsmarowane były po policzkach. Wciąż nosiła chasydzki kostium. Zarówno żołnierz, jak i Miriam wyglądali na zaskoczonych.

– *Very good...* – Żołnierz skinął głową w jej kierunku.

Komplement zdumiał ją jeszcze bardziej. Tego wieczora przekonała się ostatecznie, że nie zostanie tancerką. Skinęła w odpowiedzi:

– *Very bad.* – I ona zdołała nauczyć się już garści angielskich słów.

Pozostawała pod wrażeniem tego, co wydarzyło się tego wieczora. Niezdarność jej wykonania bolała. Lecz jednocześnie podnosiła ją na duchu atmosfera panująca zarówno za kulisami, jak i na widowni. Ta atmosfera potwierdzała, że najważniejszy w tym momencie był fakt przeżycia, fakt duchowej odnowy.

Anglik przyglądał się trzem kobietom i Mendlowi i jakoś nie miał ochoty odejść. Balcia i Malka zaczęły iść w kierunku Bloku 88, a Mendel szedł z tyłu, pomiędzy nimi i żołnierzem, który towarzyszył Miriam. Miriam uśmiechała się do żołnierza miło. Chciała mu się dobrze przyjrzeć. Należał do innego świata. Był pierwszym mężczyzną, pierwszym „obcokrajowcem" z armii alianckich, którego spotkała. Jednym z wyzwolicieli Bergen-Belsen!

– *Deutschland kaputt* – powiedziała do niego i roześmiała się.

Energicznie potrząsnął głową i zaśmiał się wraz z nią. Coś mówił, lecz niczego nie zrozumiała. Jego szczera, uśmiechnięta twarz wydawała się zachowywać na policzkach ślad dziecięcej krągłości. Opromieniała ją psotna iskra jego szarobłękitnych oczu. Miał też urocze, jasne jak len wąsiki, pasujące do jego małego, dziecinnego noska oraz kształtu pięknie wyciętej górnej wargi. Jego język był

nie tylko niezrozumiały, ale i niemelodyjny. A jednak z przyjemnością słuchała dźwięku jego głosu.

Spacerowali grupą: trzy kobiety w pasiakach, podobnie ubrany młodzieniec i żołnierz noszący masywne wojskowe buty, czysty mundur i rdzawy beret wetknięty pod epolet. Teraz, gdy Mendel idąc z tyłu, skończył opowiadać Balci i Malce o rozmowie z Anglikiem, kobiety odwróciły się, przybrały na twarze grzeczne miny, i postarały się również nawiązać kontakt z obcym.

– *Ich Balcia, Sie Malka* – Balcia przedstawiłą się przed nim po żydowsko-niemiecku, wskazując na siebie i Malkę. – *Wie is ihnen gefellen die Vorstellung? Es hat geblasen in drinen, nicht wahr*[354]?

Malce przypomniał się jej własny zasób angielskiego słownictwa i, na ile zdołała, przetłumaczyła wypowiedź matki. W tym samym czasie Mendel znów zaczął paplać do Anglika w swoim własnym, soczystym angielskim.

Anglik też nie odstawał i wprowadził do rozmowy mieszankę słów niemieckich i francuskich. Wszyscy żwawo gestykulowali i przybierali różnorakie miny mające pomóc w pogawędce, i co parę minut wybuchali śmiechem z powodu swojej nieporadności.

– *Nichts verstehen*[355]! – przerwał Anglik, który zdążył wyczerpać zapas obcych wyrazów i zastąpił je „uhm", jakby szykował się coś jeszcze powiedzieć, ale zrezygnował.

W końcu jego towarzysze postanowili na chwilę zamilknąć i dać mu możliwość wypowiedzi. W ten sposób, zbiorowym wysiłkiem zdołali zrozumieć, że Anglik chciałby wiedzieć, czy należą do tej samej rodziny, skąd pochodzą, i co to za niemiecki dialekt, w którym wystawiono dopiero co oglądane przedstawienie.

Mendel dał swój drugi ważny referat tego wieczora. Referat o języku żydowskim. Anglik kilka razy grzecznie mu przerywał i prosił, żeby Mendel powtórzył raz jeszcze, co przed chwilą powiedział. W międzyczasie zatrzymali się, aż w końcu Balcia wzięła Malkę pod ramię i oświadczyła:

– Pasuję!

Ona i Malka pomaszerowały naprzód. Miriam, Mendel i Anglik pozostali z tyłu. Wiedzieli już, że Anglik pochodzi z miasta zwanego Sheffield. Teraz Mendel zapytał go, co takiego robił, zanim został zmobilizowany.

Anglik, gdy już zrozumiał pytanie Mendla, najpierw wydał głośne „uhm...", a potem powiedział:

– *Animator. Animals. Micky Mouse*.

– *O, animals!* – zawołał Mendel. Pomyślał, że Anglik jest jakimś zawodowym myśliwym. – *Africa? Expedition?* – dopytywał.

---

354 (niem.) *Jak się panu podobało przedstawienie? Wiało w środku, prawda?*

355 (niem.) *Nic nie rozumieć!*

Anglik kręcił przecząco głową. Zaczął kreślić paznokciem po paczce papierosów, którą wyjął z kieszeni koszuli, starając się objaśnić:

– *Micky Mouse. Animator.*

Próbował też narysować kaczki, ptaki i postaci ludzkie.

Miriam zrozumiała, że Anglik jest malarzem i chwyciła go za rękaw.

– *Mein friend sculpturer!* – zawołała.

– *Sculptor?* – dopytał.

– *No, sculpturer!*

– *Not a sculptor?* – pytał dalej.

– *May be yes. A sculptor!* – odpowiedziała.

Zaproponował im papierosy ze swojej paczki. Miriam przystawiła papierosa do ust, a gdy Anglik go zapalał, zaciągnęła się dymem tak swobodnie, jakby była wprawioną palaczką. Zakrztusiła się, zakaszlała i nadęła pomalowane policzki. Kręciło jej się w głowie. Czerwone i niebieskie kręgi tańczyły jej przed oczami.

Dotarli do Bloku 88, Camp II. Balcia i Malka czekały na nich przed wejściem. Żeby udowodnić, że czuje się normalnie, pomimo pokasływania Miriam przedstawiła Anglikowi Balcię i Malkę.

– *Frau Zederbaum, Balcia und Malka are mother und tochter. My friends.*

Balcia zaraz się zorientowała, że chłopak zrobił na Miriam niemałe wrażenie. Widząc, jak nadyma policzki i pokasłuje, jak wulgarnie trzyma papierosa w dłoni, mierzyła ją krytycznym spojrzeniem. Wiedziała, co dzieje się w obozie pomiędzy pewnymi kobietami i angielskimi żołnierzami.

– *My name is James.* – Anglik również przedstawił się ponownie i potrząsnął dłońmi Balci i Malki.

Gdy przyszło podać rękę Miriam, odezwała się do niego, naśladując jego akcent:

– *My name is Miriam*.

Pół żartem, pół serio, żołnierz stanął na baczność i stuknął obcasami. Otworzył usta, powiedział „uhm" i ponownie je zamknął, jakby przełykając zdanie, które miało się z nich wydobyć. Szeroki uśmiech ponownie zajaśniał na jego twarzy, ujawniając usta pełne białych, idealnie ukształtowanych, najbardziej perłowych zębów, jakie Miriam kiedykolwiek widziała. Skinął głową do zebranych, machnął ręką i powiedział:

– *Auf Wiedersehen*[356]. – Odwrócił się i odmaszerował.

Mendel Sznajder też zaczął się żegnać. Zameldował trzem kobietom, że zbyt długo zabawił w Bergen-Belsen, a teraz, gdy Sorka dochodzi do siebie, znów wyrusza w drogę. Ma do załatwienia ważne sprawy.

– Co za sprawy? – chciała wiedzieć Balcia.

Zamiast jej odpowiedzieć, uśmiechnął się wstydliwie i rzekł cicho:

---

[356] (niem.) *Do widzenia!*

– Sorka i ja postanowiliśmy wziąć ślub, gdy tylko opuści szpital. Proszę was, uważajcie na nią, dopóki nie wrócę.

Miriam zrozumiała, że jego ciągła paplanina była sposobem radzenia sobie ze szczęściem. Cieszyła się i zazdrościła im.

Nie mogła zasnąć. Wrażenia z minionego dnia wirowały jej w głowie. Pragnęła ponownie spotkać Anglika. Spotkanie z nim przytępiło myśl, że nigdy nie zostanie nikim więcej poza tancerką amatorką. Wzmogło jej apetyt na życie, zwykłe życie, bez ambicji. Samo życie było dla kogoś takiego jak ona istotną sprawą. Radość z życia mogła przemóc wszelki ból, czyniła go znośnym. Był lipiec. Letnie piękno świata przeważyło szalę na korzyść bycia tu i teraz.

Nie obmyślała już w wyobraźni długich listów do Abraszy. Z jeszcze większym trudem pisała do niego prawdziwe listy, chociaż ich nie poniechała. Nie potrafiła wysiedzieć na miejscu. Nie potrafiła zrozumieć, jak Malka może przesiadywać w pokoju cały dzień, zajęta utrwalaniem wszystkiego, co się zdarzyło i dzieje. Wypełniła swoimi notatkami dwa bloki papieru. Miriam otwarcie ją wyśmiała. Była sceptyczna co do wartości tego pisania. Brakowało jej formy, językowego sukna, które można by dopasować do słów kacetnika. Cały temat był zbyt nieokreślony, kolosalny, przytłaczający. Lecz jednocześnie wydawał się banalny w stale powtarzającym się cyklu niesłychanych zdarzeń. Miriam coraz trudniej było pogodzić się z myślą, że będzie musiała napisać Abraszy swój własny rozdział z kacetu. Bardzo chciała się z tego wykręcić.

Jak pobożny Żyd do synagogi, każdego dnia biegała do lasu. Tam nie potrzebowała niczyjego towarzystwa. Nie czuła się samotnie i była w stanie poradzić sobie sama ze sobą. Powtarzała w myślach słowa Abraszy: „*Omnia mea mecum porto* – wszystko, co posiadam, zabieram ze sobą". Przywiązanie do natury stanowiło jedną z kilku nieprzerwanych nici, które ciągnęły się przez jej życie, i które, przynajmniej powierzchownie, dawały jej poczucie kontynuacji. Poeci porównywali lasy do świątyń. Za każdym razem, gdy wracała z lasu, czuła się oczyszczona i odnowiona, jakby faktycznie wróciła z miejsca modłów.

Dzisiaj, gdy wróciła z lasu, usiadła na dużym, blaszanym wiadrze na podwórzu swojego bloku i przyglądała się ludziom gotującym jedzenie na małych, rozstawionych ogniskach. Gdy odwróciła wzrok, aby spojrzeć na przeciwległe podwórze, dostrzegła Jamesa, angielskiego żołnierza, idącego w jej stronę. Wstała i wymamrotała:

– *How do you do?*

Niósł ze sobą cały karton angielskich papierosów, dwie angielskie gazety i słownik niemiecko-angielski.

– *For you* – powiedział.

Podziękowała mu za prezent. Przyglądali się sobie w milczeniu, spokojnie i poważnie. Wyszła z nim na spacer na drogę, niezgrabnie niosąc podarunki pod

pachą. Szedł obok i próbował stawić czoło wyzwaniu pogawędki. Pomagała mu jak tylko potrafiła – gestykulowała, machała rękami, robiła miny, śmiała się – i stopniowo zyskiwali na pewności. Przyspieszyli kroku, maszerowali, prawie biegli przed siebie, aż pakunek nieomal wypadł jej z rąk. James, jak na gentelmana przystało, wziął go od niej. Z paczką pod pachą na palcach obu rąk pokazywał, że ma dwadzieścia siedem lat, a ona mu w ten sam sposób pokazała, że ma dwadzieścia jeden. Potem powiedział, że był w Normandii w D-Day, na co z dumą odpowiedziała: „Ej, socjalista". Nie żeby to miało jakikolwiek związek z D-Day, ale ponieważ „socjalista" jest słowem cudownie internacjonalistycznym, łatwo popychało rozmowę naprzód.

Jamesowi spodobało się to słowo. Z jego ust wydobyło się niskim, gęstym dźwiękiem, jako *socialist*. Powiedział jej, że należał do Partii Pracy i zapytał ją, co sądzi o *Polish question*.

Wiedziała, co ma na myśli jako *Polish question*, ale on z pewnością nie pojąłby, że to zbyt skomplikowane pytanie dla takiego człowieka jak ona, i jak bardzo niewykonalnym było wyrażenie uczuć na ten temat, nawet gdyby posiadała z nim wspólny język. Jakże miała mu wyjaśnić, jak osobiście, intymnie ta *question* ją dotyka, i jak jest bolesna? Zamilkła. Kilka razy powiedział „uhm..." i przełknął to, co chciał powiedzieć. I w ten sposób zawrócili. Odprowadził ją do wejścia do baraku i podał prezenty, za które ponownie mu podziękowała. I pożegnali się.

W pokoju nikogo nie było. Na stole leżał list – od Abraszy, dyktowany, pisany przez pielęgniarkę. Niewiele różnił się od poprzednich. Aż bolało serce. Co się z nim stało? Jego listy były zupełnie pozbawione jej Abraszy. I jaka jest przyczyna jego choroby, dlaczego to ukrywa? Pocieszała się, że już niedługo wszystkiego się dowie. Wkrótce wyruszy w podróż, podejmie się poszukiwań. Pierwszym przystankiem będzie szpital w Birnau, żeby ujrzeć Abraszę.

Zastanawiała się, czy pielęgniarka celowo unika słowa „paraliż", aby przestraszyć ją, Miriam, bez wiedzy Abraszy. Miriam od długiego czasu podejrzewała ją o taki numer. Być może pisała, na co miała ochotę. Miriam zastanawiała się, czy ktokolwiek badał rolę pielęgniarki w czasie wojny. Może była nazistką? Dlaczego się nie podpisywała, by można było poznać jej nazwisko? Skąd ta tajemnica, skoro jej przeszłości nie spowija mrok? A bezradny Abrasza znajduje się w rękach tej nienawistnej kobiety!

Nie potrafiła za żadne skarby pojąć, dlaczego Abrasza tak uparcie nie wspomina Jankewa, czy Marka, czy Gabiego, czy Icchoka. Może go z nimi rozdzielono i nic o nich nie wie? Mógł jej to przecież napisać wprost, podać datę i miejsce ich rozstania. Dlaczego jest wobec niej tak brutalny? Postanowiła ponownie napisać do szpitala w Birnau, chociaż zdążyła już wysłać dwa listy, a nie dostała odpowiedzi. Może powinna, nie bacząc na nic, podnieść się i ruszyć w drogę. Ale co się stanie, jeśli tata albo Marek przybędą do obozu jej szukać, lecz jej nie znajdą?

Z zewnątrz dobiegał hałas. Podeszła do okna. Przechodząca kobieta pokazywała coś błyszczącego w ręku i wołała do drugiej w oknie: „Znaleziono kopiec z zegarkami!". Zegarkami, które naziści zrabowali od więźniów. Balcia i Malka pojawiły się na drodze. Ujrzawszy Miriam w oknie, Balcia rozłożyła ręce.

– Przyszłyśmy za późno! – zawołała.

Weszły do pokoju, gdy Balcia zauważyła leżący na stole karton papierosów. Twarz jej pojaśniała.

– Widzę, że i tak ktoś się dziś wzbogaci. – Zwróciła się do Miriam: – Skoro dał ci już karton papierosów, to dlaczego nie amerykańskich? Za amerykańskie dostaniesz dwa razy tyle, co za angielskie. – Wzięła karton ze stołu i schowała go pod poduszką swojej pryczy. Odwróciła się do Miriam z pochmurną twarzą. – Co on ci tak nagle daje papierosy? Coś musi od ciebie chcieć, Miriam. Nie podoba mi się to.

Hałas na zewnątrz nie ustał nawet wieczorem. Wielu kacetników przechodziło w pasiakach, przystrojonych „niemieckimi" zegarkami.

*

Danusia Moszkowicz zmarła. Zmarła w samotności w wieku piętnastu lat. Nikogo przy niej nie było. Odeszła, przepadła w bezimiennej masie ofiar. Zupełnie, jakby nigdy nie istniała. Uratowana dziewczynka, dziecko, które zdążyło zobaczyć świat pod postacią diabelskiego misterium, i w dniach swego młodzieńczego, kobiecego rozkwitu, na progu wolności, wpadło w męskie ramiona zgonu. Została unicestwiona.

Sorka Fidler natomiast w końcu wyszła z lazaretu. Wyzdrowiała i nawet wydawała się wyższa. Od razu zaczęła pracować jako siostra pomocnicza w lazarecie i postanowiła nie mieszkać z Balcią, Malką i Miriam, ale wprowadzić się do dwóch dziewcząt z obozu Hummel, dopóki Mendel nie wróci. Jej decyzja zdumiała kobiety. Nie rozstawały się z Sorką, odkąd Fidlerowie wprowadzili się do kryjówki w getcie. W dzień wyzwolenia Hanka i Sorka zniknęły. Teraz tragiczny przypadek śmierci Danusi oraz fakt, że dwóch niespokojnych chłopców, Gelbart i Goldman, pomieszkało w obozie tylko kilka dni, dały Sorce możliwość skorzystania z wolnych prycz w ich pokoiku.

– Zrobiłaś to przeze mnie? – Miriam postawiła pytanie. – Zbyt rzadko przychodziłam do ciebie, gdy byłaś w lazarecie?

– Nie bądź głupia. To nie ma z tym nic wspólnego. Raczej boję się, że się do was za bardzo przywiążę, zwłaszcza do Balci. Nie chcę się do nikogo przywiązywać, zanim... Rozumiesz, zanim sama z sobą się nie związę. Nawet z Mendlem jestem bardzo ostrożna... Wszystko, co spaja nas w tej chwili, to nasza miłość. On i ja bardzo się zmieniliśmy... Chociaż postanowiliśmy wziąć ślub.

Miriam przyglądała się małej twarzy Sorki o szlachetnych rysach. Krótkie włosy, sztywno kiełkujące na jej głowie, wyglądały jak u dwulatka. Obserwowała

drobną figurę Sorki o małych, delikatnych rękach pozostających w ciągłym ruchu. Sorka miała w naturze energicznie gestykulować. Miriam pomyślała, że pomimo pozornej słabości dziewczyna jest od niej dużo silniejsza. Decyzja Sorki była słuszna. Czy ta odwaga przyszła wraz z odnalezieniem Mendla?

Tak, Miriam uważała, że sama musi bezwarunkowo uczynić podobny krok i żyć dla siebie. Bez względu na przywiązanie do Balci i Malki dostrzegała powody, dla których należało się od nich odciąć. Pewne rzeczy jej nie przeszkadzały ani w getcie ani w obozie – jak na przykład przejmowanie przez Balcię roli przywódczyni – teraz jednak stała się bardzo wrażliwa na takie kwestie.

Tej samej nocy, po rozmowie z Miriam, Sorka przyszła do pokoju zająć pryczę po Danusi. Boi się, powiedziała, spać sama. Poprzednia noc była dla niej straszna. Gdy się obudziła, a nikogo nie było w pokoju, dużo czasu zajęło jej zorientowanie się, gdzie się znajduje. Dwie dziewczyny, z którymi mieszka, nie wróciły na noc. Pojawiły się rano obładowane jedzeniem, czekoladami i papierosami. Nie miały jeszcze dwudziestu lat. Mężczyźni, z którymi się prowadzały, byli pierwszymi, którzy podziwiali ich dojrzałą kobiecość.

Te dwie dziewczyny nie były jedyne. Inne kobiety również z zapałem poszukiwały towarzystwa mężczyzn. Po obozie rozniosła się prawdziwa romantyczna epidemia. Kobiety na każdym kroku spotykały się z kacetnikami i angielskimi żołnierzami. Z każdego kąta można było usłyszeć kobiecy śmiech, śmiech przez tak długi czas zduszony.

Czasem, gdy słyszała taki śmiech, Miriam zdawało się, że wkrótce przejdzie on w skowyt, zew tęsknoty, nieuciszonego głodu duszy bardziej niż ciała. Kobiety z kacetu pragnęły znaleźć kogoś podobnego do utraconych mężów – w oczach, w uśmiechach, w pieszczotach napotkanych obcych. Kobiecy śmiech dobiegał nie tylko z zewnątrz. Odbijał się też echem w korytarzach baraków. Dobiegał z pokojów. Śmiech oświadczał światu: „Patrzcie! O wszystkim zapomniałam!".

Wystarczyło spojrzeć w oczy tych śmiejących się kobiet, aby odkryć, jak oszukańczymi były ich igraszki. A jednak, być może śmiech siedemnasto- czy osiemnastolatek był szczery i spontaniczny? Życie posiada własną mądrość. By nie pozwolić, aby koszmary zniszczyły ledwie wzrastające pędy, nauczyło je zapominać, przestawać odczuwać ból, przynajmniej na kilka godzin, na dzień, na dzień i noc. Gdy tylko rozśpiewane, chichoczące dziewczęta nie spały, widać było je biegające beztrosko po obozie i spieszące do wykładowców języka miłości, nauczycieli obcych słów, jednak tak łatwo zrozumiałych. Do tego smak czekolady przypomniał słodkie lata dzieciństwa.

Przyszedł jeszcze jeden list od Abraszy. Krótki. Informował w nim Miriam, że jego pielęgniarka nie jest Niemką, ale szwajcarską wolontariuszką Czerwonego Krzyża.

W odpowiedzi Miriam przeprosiła za błąd. Nie przestawała się jednak dziwić, dlaczego pielęgniarka, pomimo tak wielu próśb, nie napisała jasno na temat stanu

Abraszy. Ale to i tak nie miało znaczenia. Miriam napisała list bezpośrednio do naczelnego lekarza szpitala i wkrótce spodziewała się uzyskać odpowiedź. W tym samym liście do Abraszy rozpisała się na temat swoich przemyśleń o zemście:

Myślę, że dla wyrównania rachunków z Niemcami w duchu „oko za oko, ząb za ząb" musielibyśmy wymordować ich miliony, łącznie z dziećmi. Czy jednak zwróci to życie tych, których kochaliśmy, lecz utraciliśmy? Może tylko sprawiedliwy, wszechmocny Bóg zdołałby wymierzyć prawdziwą karę. Jednak według mnie nie istnieje taka nadludzka, sprawiedliwa siła we wszechświecie. Nie mam pojęcia, jaka kara pasowałaby za tak niewyobrażalną zbrodnię. Pragnienie zemsty jest pasją autodestrukcyjną. Żąda pełnego oddania. Czy jednak warto poświęcać cudem ocalone życie w takim celu?

W post scriptum dopisała:

Po tym, jak poinformowałam Cię, że Sorka i Mendel Sznajder zamierzają wziąć ślub, oczekiwałam, że napiszesz do nich parę słów życzeń. A Ty – nic. Abraszo, boję się, coś ważnego w Twojej naturze uległo atrofii. Nie zwlekaj, przyślij pozdrowienia. Nie wybaczę Ci, jeśli tego nie zrobisz!

Chociaż osłabła w niej ochota pisania do Abraszy, Miriam, gdy tylko przydarzyło jej się coś nowego, dopytywała go w myślach: „Co powiesz na to, Abraszo?".

Pisała do niego o Jamesie, Angliku, który przychodził w gości, gdy tylko miał wolne. Poszerzała swoje angielskie słownictwo. „Kwestia polska" stała się głównym tematem rozmów z Jamesem. Rozmawiając połamanymi, kulawymi frazami, wyrażali przyjazne uczucia do siebie nawzajem. Miriam zdawała sobie sprawę, że używa tego tematu jako rodzaju kokieteryjnego środka, aby wykazać się bystrością, inteligencją, polityczną dojrzałością i poczuciem humoru. Myślała sobie, że jego zainteresowanie „kwestią polską" nieco obraża jej kobiecą dumę. Czy jest tak niepociągająca, że woli prowadzić z nią takie suche rozmowy, niż zapuszczać się we flirt? Czy nie odczuwa impulsu, aby ją objąć, pocałować?

Ona i James chodzili na długie spacery do lasu. Las wypełniała miłość: roześmiane, flirtujące parki, objęte, całujące się, pieszczące. Była zazdrosna. Nie przeszkadzałoby jej, gdyby James próbował ją uwieść. Nie wiedziała, jakby na to zareagowała, ale uśmiechałoby się jej to.

Ona i James jedynie spacerowali, trzymali się za palec i niezdarnymi środkami wyrazu maglowali „kwestię polską". Albo szli ramię w ramię i milczeli w ciszy przerywanej licznymi „uhm". Chłopak otwierał usta, jakby miał powiedzieć coś bardzo ważnego, ale zaraz je zamykał i niczego nie mówił. Musiała się zadowolić tym, że ten idealny gentelman słuchał jej uważnie, często się uśmiechał i ukazywał dwa rzędy jasnych zębów. Tak czy inaczej, był jej drogi. Nie był mu obcy strach przed śmiercią. Doświadczył wojny, wziął udział w bitwach, stał po stronie sprawiedliwości, po jej stronie.

Jego wizyty sprawiały jej coraz więcej przyjemności. Przyniósł jej już cztery podręczniki do angielskiego. Nie zajrzała do nich jeszcze. Gdy tylko świeciło słońce, głowę miała zajętą światem zewnętrznym. Studiowała najważniejszy przedmiot ze wszystkich: gwarny rozdział życia, zwany „latem 1945". Czasem czuła do Jamesa złość – do tego obcego mężczyzny, zimnego jak ryba. Gdy tylko go widziała, tęsknota za Markiem stawała się nie do zniesienia. James wyostrzał też jej tęsknotę za tatą i za Abraszą.

Tym razem, gdy spacerowali lasem, James w końcu przyznał, że całe zainteresowanie „kwestią polską" było udawane. Powiedział jej, że tak naprawdę nie interesuje się zbyt mocno polityką, a z pewnością bardziej interesuje się Miriam. Sądził, że „kwestia polska" leży jej na sercu, starał się więc dowiedzieć na ten temat jak najwięcej. Ona na to przyznała, że też udawała zainteresowanie. I w ten sposób nuda zniknęła z ich rozmów.

Na spacery z Jamesem zakładała „paryski" kostium uszyty z koca UNRRA, który Balcia wreszcie wykończyła – jeden dla Malki, drugi dla Miriam. To było pierwsze cywilne ubranie, które nosiła, świetnie pasowało do jej rudawych włosów i opalonej skóry. Za pierwszym razem, gdy zobaczył ją w kostiumie, James oniemiał. Prawił jej komplementy, ekscytował się, zupełnie zapomniał o „uhm...". Pochlebiało jej to. „Może pięknieję?" – pomyślała. Pragnęła mieć co najmniej jeszcze jeden „cywilny" strój, lekki, ponieważ w tym eleganckim kostiumie uszytym z koca pociła się w letnie noce jak bóbr. Był początek sierpnia.

*

W drodze powrotnej ze spaceru z Jamesem Miriam była wesoła i roześmiana. Na rogu pożegnali się przyjacielsko. Przy wejściu do bloku spotkała Balcię i Malkę. Stały i rozmawiały z pochylonym, wychudłym mężczyzną w obozowym pasiaku. Balcia i Malka zaraz przekazały wieści, które usłyszały od tego człowieka. Przebywał w obozie koncentracyjnym Kaufering z człowiekiem nazwiskiem Polin. To potwierdziło wiadomość otrzymaną przez nie niedawno.

– Jankew Polin? – wyjąkała Miriam, a twarz przybysza znalazła się przed jej oczami.

Pochylony mężczyzna wzruszył ramionami. Nie znał imienia. Nie spotkał też innych mężczyzn o nazwiskach podanych przez Balcię i Malkę. Podał im rękę i wszedł do domu zapukać i zapytać o kobiety, których szuka. Zabrał wielką zagadkę ze sobą.

Nowina zmąciła spokój Miriam i wypełniła jej serce nieznośnym napięciem. Chciała natychmiast wyruszyć w podróż po Niemczech w poszukiwaniu taty, Marka, i wciąż miała nadzieję na znalezienie Nońka, podobnie jak mamy i Wierki. W pierwszej kolejności powinna się jednak zobaczyć z Abraszą i dowiedzieć więcej szczegółów. Co jednak będzie, jeśli opuści to miejsce, a tymczasem ktoś

zechce jej szukać? Kto im o niej powie, jeśli Balcia i Malka też pojadą szukać Gabiego i Wowy? Zostałaby Sorka. Ona nie ma kogo szukać. Ale Sorka przeniosła się do swojego pokoju. Co się stanie, gdy mężczyźni dotrą tutaj, ale nie zdołają spotkać Sorki?

Kilka dni później Miriam przy okienku kuchni spotkała młodego kacetnika, który pochodził z Łodzi. Rozgadali się i oto przypomniał sobie, że tydzień wcześniej spotkał Gabiego Cederbojma w Würzburgu[357]. Oczywiście, że go znał. Kto w łódzkim getcie nie znał Gabiego?

Miriam tak oniemiała od tych wieści, że prawie straciła dech, nie mogła wydobyć z siebie słowa. Gabi przeżył! Nadzieja przeżyła. Nie odebrała zup, ale w dzikim galopie uciekła od łodzianina, aby przekazać dobrą nowinę Balci i Malce. Balcia natychmiast dostała migreny, która trwała dzień i noc. „Wiedziałam, że przeżyje!" – nie przestawała paplać. Malka kładła jej kompresy. Miriam też zmęczyła się radością. A więc Gabi zdołał utrzymać swoją impulsywność w ryzach. Wygląda na to, że w krytycznym momencie nie stracił głowy.

Nadeszły dni, gdy trzy kobiety rzadko opuszczały pokój. Czekały, aż lada chwila Gabi zapuka do drzwi.

*

Po Gabim nie było śladu. Malka znów zajęła się pisaniem dziennika i zapuszczaniem w dyskusje na ulubione tematy. Podłapała skądś słowo *Churbm*[358] i używała go, ilekroć mówiła o latach spędzonych w getcie i obozie. Miriam uważała, że to słowo zupełnie nie pasuje do tego, co się wydarzyło. Jest zbyt słabe, wskazuje na zniszczenie Świątyni Jerozolimskiej, na ograniczone terytorium, na tragedię, na którą znajdowano słowa. Na to, co wydarzyło się teraz, brakowało słów i żaden język nie był w stanie ich odnaleźć.

Pewnego wieczoru, gdy przyszła Sorka, zaczęły rozmawiać o tym, czy kiedykolwiek powstanie pełna praca poświęcona *Churbm*.

– Niemożliwe – mówiła Sorka. – Zagłada naszego narodu w Europie i nasze przeżycie pod względem wyjątkowości porównać można tylko do czasów biblijnych. Nic innego jak kronika na wzór Tory na ten temat nie powstanie.

---

[357] Würzburg – miasto w Bawarii, od kwietnia 1943 r. do marca 1945 r. znajdował się tam jeden z podobozów należących do *KZ-Gedenkstätte* Flossenbürg, gdzie przebywali głównie polscy i sowieccy więźniowie. Po wyzwoleniu w dawnych barakach więziennych powstał obóz dla dipisów.

[358] *Churbm* (jid.) – zagłada. Termin, którym zaraz po wojnie określano zagładę narodu żydowskiego w języku jidysz. To słowo pojawia się m.in. w tytule albumu fotograficznego *Zagłada żydostwa polskiego* wydanego w Łodzi w 1945 r. przez Centralną Żydowską Komisję Historyczną w Polsce. Ukazał się w sześciu językach: po polsku, rosyjsku, angielsku, francusku, hebrajsku i w jidysz.

Miriam nie dziwiła się słowom Sorki. Jeszcze w getcie ze skłonności silnie asymilacyjnych przeszła w drugie ekstremum i przyjęła poglądy nacjonalistyczne, zupełnie jak Mendel Sznajder, który z aktywnego komunisty stopniowo stawał się nieco wstydzącym się tego nacjonalistą.

Malka zgodziła się z Sorką.

– Też tak sądzę. Trzeba będzie zadowolić się pracą zbiorową – powiedziała. – Może nie być metodyczna ani analityczna. Ale jej autorami powinniśmy być my, ocalali, dość silni, aby duszą i ciałem rzucić się z powrotem w ogień i zdać raport z oka cyklonu. Życzę sobie, aby moje notatki przysłużyły się temu celowi. – Zwróciła się do Miriam. – Możesz się ze mnie śmiać, ale traktuję prowadzenie dziennika jako próbę wniesienia wkładu... To najważniejsza rzecz w moim życiu... Mój obowiązek.

– A co z samym życiem? – napastliwie sprzeciwiła się Miriam. – Czy ono nie jest dla nas najważniejsze? Zakopujesz się w tej norze na całe poranki i masz blade pojęcie na temat naszego pierwszego lata po wyzwoleniu. Według mnie, Malko, szukasz w ten sposób usprawiedliwienia faktu przeżycia. Wszyscy szukamy usprawiedliwienia...

Sorka skrzywiła się.

– Czymże takim zgrzeszyliśmy, że powinniśmy się usprawiedliwiać?

Miriam wyznała:

– Ja czuję się przeraźliwie winna...

– Ja nie! Przeciwnie! Po tysiąckroć przeciwnie – zawołała Sorka. Radośnie klepnęła Malkę w bark. – Wykonujesz świętą pracę. Świat musi wiedzieć. Ponieważ jeśli nie wyciągnie lekcji z naszej tragedii, to kiedy wyciągnie lekcję? My również. My też mamy czego uczyć.

– Czego chcesz uczyć? – zapytała Miriam.

– Chcę uczyć – odpowiedziała Sorka – że powinniśmy być bardziej pragmatyczni i przede wszystkim znaleźć miejsce w świecie dla siebie. Zakątek, gdzie nasze rany się zagoją, i gdzie spróbujemy stworzyć społeczeństwo w oparciu o naszą wiedzę... Zbudować sprawiedliwe społeczeństwo.

– Wierzysz, że to możliwe, w oparciu o naszą wiedzę? – Miriam uśmiechnęła się krzywo. – To nazywasz pragmatyzmem?

Miriam nie angażowała się w rozmowę. Nienawidziła filozofowania. Może coś w przyszłości faktycznie się wydarzy – myślała. Ludzie, a zwłaszcza tacy, którzy sami tego nie przeszli, stworzą różnego rodzaju teorie i interpretacje, aby dopasować do swego światopoglądu to, co w ogóle dopasować się nie pozwala. Tak, lepiej było wyjść na zewnątrz, pójść na spacer i oddalić się od takich niedających spokoju spraw.

A jednak, w sercu, podobnie jak Sorka i Malka, próbowała ukształtować swój własny światopogląd. Trzymała się myśli o pokoju i „szczęściu" dla swego narodu i dla świata. Bez wątpienia były to puste frazy, wytarte, skompromitowane koncepcje. Ale czy można było żyć bez jakiegoś ideału, bez dążenia

do czegoś? Czy życie dla siebie samego, egzystencja dla egzystencji, naprawdę wystarczy?

Kilka dni później odbyły podobną rozmowę. Tym razem odbywała się w pokoju Sorki. Przy tej okazji Miriam ucieszyła się nową bluzką. Jedna ze współlokatorek Sorki otrzymała dwie bluzki w prezencie od swojego angielskiego chłopca i jedną oddała Sorce. Bluzka okazała się za duża na Sorkę, a ta nie miała głowy, by ją poprawiać. Wciąż pracowała jako pomoc pielęgniarska w lazarecie. Sorka, jak było to w jej zwyczaju, zadarła nos i oświadczyła:

– Ja i tak wolę nosić pasiaste ubrania. Jestem z nich nawet dumna.

– Dumna z czego? – zapytała Miriam.

– Dumna z bycia Żydówką, dumna z bycia ofiarą, a nie sprawcą.

Bluzka na Malkę też nie pasowała. Była na nią za wąska i za krótka w rękawach. Ale na Miriam pasowała jak ulał. Nie dawała się długo prosić, przyjęła prezent. Bluzka zrobiona została z materiału zwanego nylonem, cienkiego jak jedwab. Wyglądała, jakby uszyta została według najnowszej mody i w ogóle była piękna.

Wystrojona w płaszcz z koca i nową bluzkę, Miriam udała się do komitetu, gdzie chadzała prawie codziennie, aby sprawdzić, czy przyszedł list od Abraszy i czy wywieszono już listy ocalałych ze wszystkich obozów. List jeszcze nie było. Jednak wręczono jej kopertę ze stemplem szpitala Abraszy.

Był to list z sekretariatu szpitala. Napisany po niemiecku, wypełniały go terminy medyczne i techniczne, gdzie najczęściej powtarzało się słowo: paraliż. Dużo było mowy o systemie nerwowym Abraszy, co wyprowadziło ją jeszcze bardziej z równowagi. Sekretarka ze swojej strony dopisała, że szpital w Birnau nie jest odpowiednio wyposażony, aby efektywnie zająć się przypadkiem Abraszy, czy też by czynić prognozy na przyszłość.

Znowu dopadła Miriam chęć, by już tego nie odkładać, ale od razu wyruszyć w drogę i zobaczyć się z Abraszą. Pociągi pasażerskie jeszcze nie jeździły, a lewa noga odrętwiała jej z powodu nadmiernego wysiłku. Postanowiła poczekać przynajmniej do przybycia Gabiego. Zapewne lada dzień się pojawi, chociaż nie było od niego informacji. Tak, wszystko, czego chciała, to zobaczyć się najpierw z Gabim. On przyniesie ze sobą prawdę.

Nocą przyśnił jej się Abrasza. Wciąż miał w oczach odrobinę blasku, który zwykł się w nich kryć. „Jestem zmęczony" – powiedział jej. „Ale cieszę się, że dokończyłem pracę". Widziała go przed chatą, w której mieszkał w getcie. Chata stała na brzegu głębokiego rowu i zawalała się. Trzymał *Taniec życia* zarzucony na ramię. Złapał ją za rękę. „Chodź, pójdźmy stąd, zanim rów połknie i nas".

We śnie Miriam wskazała na rzeźbę i zapytała: „Przeżyła?".

„Tak" – odpowiedział Abrasza. – „Została skazana na życie".

*

Ludzie przybywali dużymi grupami. Każde pukanie do drzwi wprawiało Balcię w drżenie i podrywało na nogi. Za każdym razem był to kto inny – nie Gabi. Obcy mężczyźni wypytywali, powtarzali imiona, imiona, imiona – wciąż i bez końca. Ich wzrok błagał: „Może jednak pamiętasz kogoś o imieniu... Przypomnij sobie". Opisywali rysy twarzy i sylwetki swoich żon, i zapominali, że portrety najbliższych, które przechowywali w pamięci, bardzo się zestarzały.

Kobiety w pokoju, ze swojej strony, również dopytywały gości. Ci odpowiadali rwanymi zdaniami, zagadkami. Jakby nieobecni wzruszali ramionami. Nieśmiałymi spojrzeniami, potulnie spoglądali na kobiety, które podawały im kromkę chleba lub oddawały pryczę na odpoczynek. Skarżyli się na osierocenie i samotność, na swoje przypadłości, na bóle i zmartwienia. Było w tych skargach nieco satysfakcji – w opowiadaniu, jak udało się przeżyć. Od tak dawna nie mieli komu o tym opowiedzieć. Każda z kobiet, które ich przyjmowały, nawet najmłodsza, zastępowała matkę, żonę, siostrę, ukochaną. Tu i tam w równym stopniu samotna kobieta, kryjąc w sercu wzburzoną czułość, i z własnej potrzeby czułości, spędzała noc z takim mężczyzną. Czasem rodziły się z tego poważne miłości i pary zamieszkiwały razem. Najczęściej jednak mężczyźni szybko stawali się niespokojni i uciekali z nocnych gniazd, wracali do poszukiwań i wędrówki pomiędzy obozami. Pomiędzy obozami, które rozrzucone były po całym, pokrytym letnią zielenią zrujnowanym kraju. Zdarzały się też niespokojne kobiety, które nie przywiązywały się do mężczyzn i wyruszały na własne poszukiwania.

Od czasu do czasu z korytarza dobiegał Miriam spazmatyczny płacz. Sąsiadka dostała przerażającą wiadomość od jednego z wędrowców. Czyjeś serce straciło nadzieję. Albo życzenie jakiejś kobiety, którego nie ważyła się wypowiedzieć, spełniło się – a lament towarzyszył atakowi bolesnego szczęścia. Dźwięk żałoby i dźwięk radości były do siebie bardzo podobne.

Niecierpliwość Balci i Malki rosła z każdą godziną. Nie mogły usiedzieć w izbie, biegały po gwarnym podwórzu opanowanym przez rodzaj gorączki. Na zewnątrz – ten sam obraz. Przybyli mężczyźni wbijali wzrok w twarze kobiet. Zatrzymywali się przy otwartych oknach i znów słychać było wywoływane imiona, imiona, księgi imion – matek, sióstr, córek, ukochanych. Wołający zastygali w oczekiwaniu, że może zdarzy się cud, może znajoma twarz pojawi się w oknie?

W oknach pojawiały się twarze obcych kobiet. Odzywały się: „Z jakiego obozu przybywacie? Czy spotkaliście mężczyznę o imieniu... mężczyznę o imieniu..."

„A ty, siostro czy spotkałaś kobietę o imieniu...?"

Obóz miotał się. Był wzburzonym morzem resztek rodzin, każdego mężczyzny czy kobiety – członka ciała wołającego za brakującymi członkami. Balcia zatrzymywała każdego, kogo spotkała na zewnątrz. Miriam powtarzała sobie, że

najbardziej naturalną rzeczą na świecie byłoby spotkać teraz tatę albo Marka. Ilu sił potrzebowałaby na takie spotkanie? A ilu sił wymagałoby objęcie coraz oczywistszą świadomością niesłychanego wymiaru katastrofy, w której własna strata, czy nawet strata całego miasta, była zaledwie kroplą w morzu zagłady? Gdy tylko dostrzegała w oddali mężczyznę o figurze przypominającej znajomą postać bliskiego, nogi się pod nią załamywały.

Po pewnym czasie zobaczyła parę, która trzymała się za ręce, przechodząc w pobliżu. Mąż i żona, oboje ubrani w pasy. Blask bólu i radości jaśniał w ich oczach. Czy to ukochani, którzy dopiero się znaleźli? A może jedna z nowo powstałych par z obozu? Ze wszystkich stron odprowadzały ich zazdrosne spojrzenia. Oni zaś wyglądali, jakby bali się uroku.

Miriam dodawała Abraszy otuchy w liście i prosiła, żeby był cierpliwy – chociaż w listach nigdy nie prosił, żeby do niego przyjechała. Z rosnącą urazą nie przestawała dopytywać, czy wie coś o tacie i Marku. Przecież wie, jak to ważne, aby miała o nich jakąś informację, zanim wyruszy na poszukiwania. Pytała go też o Icchoka i Nońka.

Koniec końców listy ocalonych z różnych obozów zaczęły napływać do komitetu. Miriam i Malka kilka razy dziennie zachodziły do tego okrągłego budynku, który przez kacetników zwany był Białym Domem albo Pokojem Owalnym, centrum dipisów całej angielskiej strefy okupacyjnej. Listy przypominały starodawne pisma: długie, zmięte zwoje, porozdzierane i podrapane paznokciami nerwowych palców, które przebiegały po kolumnach imion i na każdej stronie zostawiały ciemne odciski niby ślady żałoby.

Palce Miriam kuśtykały wzdłuż arkuszy wyłożonych nazwiskami. Krew uderzała jej w skronie. Zapomniała alfabetu, widziała tylko zamgloną sieć znaków, kamienie na długim papierowym trotuarze. Każda kolumna nazwisk była kolumną postaci przybranych w pasy. Każde nazwisko reprezentowało cud uratowanego życia, które wołało: „Patrz! Jestem! Żyję! Znajdź mnie, bracie, siostro, dziecko, mężu, żono! Znajdź mnie!”. Ile z tych nazwisk nie wywołało echa w sercu żadnego czytelnika? Nazwisko Miriam też znajdowało się na takiej liście i gdzieś w odległym obozie czekało na tatę, na Marka, na Nońka czy Icchoka. Czy jej nazwisko wywoła echo?

Malka znalazła Gabiego na jednej z list. Miriam prosiła:

– Sprawdź jeszcze raz i skup się na znalezieniu mojego taty i Marka.

Malka, pijana z radości, wybałuszyła na nią oczy.

– Przecież przed chwilą przejrzałaś listy. Czy przegapiłabyś nazwisko Polin albo Marka?

Jednak ponownie przeczytała listy. Była uważną czytelniczką. Tu i tam znajdowała nazwiska znajomych. Podnosiła radosne „O!”, które powtarzały Balcia i Miriam. Dobrze, że ci ludzie przeżyli. Miriam stała obok i wodziła wzrokiem za palcem Malki, wzrokiem tak zamglonym, że nie widziała więcej jak pajęczynę atramentu.

Sorka Fidler nie przychodziła czytać list. Była najbardziej samotna ze wszystkich, ponieważ straciła nadzieję. Gdy Malce po takiej wizycie w komitecie udawało się wyrwać od Balci, przychodziła z Miriam do Sorki. Nie miały przed Balcią żadnych tajemnic, co to, to nie, ale w tych dniach oczekiwania na Gabiego Balcia zrobiła się bardzo nerwowa i trzeba było przy niej uważać na słowa. W jej towarzystwie rozmowa przybierała zazwyczaj inną formę.

Sorka była z nich wszystkich najmniej nerwowa. Przyjmowała osierocenie z rodzajem kamiennego niewzruszenia, spokoju, którego nie zazdrościły jej ani Malka, ani Miriam. Nie wyglądała na przygnębioną – może dlatego, że miała Mendla?

Miriam skarżyła się na Abraszę.

– Męczy mnie, żebym mu napisała o przeżyciach w obozie, a ja za nic nie potrafię się za to zabrać.

– Ma prawo wiedzieć – powiedziała Malka, a Sorka pokiwała głową.

– A ty sama – Miriam odwróciła się do Sorki – umiałabyś o tym mówić, a co dopiero opisać w liście?

Sorka poczerwieniała. Żyły na jej szyi zesztywniały. Oczy nabiegły łzami. Nigdy nie wspominała taty ani Hanki. A jednak odpowiedziała:

– Gdybym miała kogoś takiego jak Abrasza, zapewne umiałabym.

– Masz Mendla.

– Mendel jest mocno zajęty swoją własną historią oraz innymi rzeczami.

– Jakimi rzeczami?

– Rzeczami związanymi z dniem obecnym.

– Na przykład?

– To tajemnica Mendla.

Malka uśmiechnęła się mądrze:

– Znamy ten sekret. Pracuje dla Brichy. – A do Miriam kategorycznie powiedziała: – Trzeba opowiadać. Trzeba powtarzać fakty po tysiąckroć, tak, tysiąckroć powtarzać to, o czym i tak nie zapomnimy.

– Już tysiąc razy to od ciebie słyszałam – skrzywiła się Miriam.

– To wysłuchaj po raz tysiąc pierwszy. Życie zaciemni ważne szczegóły, jeśli na to pozwolimy. Życie chce zapomnieć. Ale jakkolwiek byłoby to nam miłe, zapominać nie możemy. Weź to sobie do serca.

Miriam uparcie kręciła głową.

– Mam tego dość. Ciągle i ciągle słuchać o getcie i kacecie, czego ode mnie chcesz? I nie myśl – dodała spokojnie – że łatwo jest mi pisać do Abraszy. Zmienił się. Sam jest strasznie oszczędny w słowach. Widzicie przecież, nie odpowiada na moje pytania.

– Może ma powód – powiedziała Malka. – Jakby nie było, wszystko się wkrótce wyjaśni. Gdy tylko przybędzie Gabi, ruszamy w drogę, co, Miriam?

W tym momencie Sorka niespodziewanie przekazała nowinę:

– Ja i Mendel też ruszamy w drogę... – Jej twarz pokryła się silnym rumieńcem. – My... Wy i ja, rozdzielimy się, moje drogie. – Po chwili milczenia dodała:

– Mendel i ja mamy plany. Gdy tylko wróci, wyruszamy... Do Erec Israel...

– Liczyłam się z tym! – zawołała Malka.

– Tak zdecydowaliśmy.

– Zostałaś pełną syjonistką?

Malka i Sorka wdały się w dyskusję. Miriam straciła wątek. Było jej ciężko na sercu. Gdy Sorka coś sobie wzięła do głowy, nic z tym nie dawało się zrobić. Zapytała ją zwyczajnie:

– Ty i Mendel... Pobierzecie się tam?

– Nie. – Policzki Sorki wciąż płonęły, uśmiechała się wstydliwie. – Pobierzemy się tutaj, w Bergen-Belsen. To właściwe miejsce na nasz ślub.

– Oczywiście! – zawołała uroczyście Miriam. – To znaczy, że się jeszcze nie żegnamy!

Sorka rozgadała się na temat Mendla i czterech lat w getcie, gdy ona i Mendel, chociaż ze sobą nie mieszkali, żyli jak mąż i żona. Dyskretna Sorka nigdy o tym tak otwarcie nie mówiła. Bywała wygadana na ogólne tematy, ale bardzo tajemnicza w kwestiach sercowych.

Gdy dziewczyna mówiła, Miriam myślała, że dawne milczenie Sorki wynikać mogło z czasów jej dzieciństwa. I sama zaczęła wspominać własne dzieciństwo. Wówczas ważne było wyrażanie uczuć. Dojrzała i wyrosła na spontanicznej miłości, ale też na pieszczotliwych słówkach, którymi miłość się demonstrowała. Jak świeże źródło karmiły one jej korzenie i pomagały rosnąć.

A tu, podczas przemowy Sorki, Miriam wyobrażała sobie spotkanie z Markiem, na co pozwalała sobie niechętnie. Strach, że go nigdy nie ujrzy, odpychał wszystkie inne myśli na jego temat. Była przekonana, że jej miłość do Marka jest jedyna w swoim rodzaju, wyjątkowa i silna. Miłość, przez którą wszystkimi życiodajnymi nićmi swego serca przywiązała się do obozu. Za żadne skarby jeden rok odosobnienia nie mógł wpłynąć na ich związek. Mógł go tylko wzmocnić. W nieskończoność pytała się w sercu, co zrobi, jeśli, nie daj Boże, Marek zginął.

Ostatnie tygodnie spędzała wiele czasu na obserwowaniu mężczyzn osiadłych w obozie. Wyglądali zdrowo. Ich ciała nabierały krzepy i muskułów. Ci, którzy nie nosili koszul i spacerowali jedynie w pasiastych spodniach, mieli opalone, lśniące ciała. Tak sobie wyobrażała Marka, gdy tylko odważyła się o nim pomyśleć.

Mieszkańcy obozu zaczęli prowadzić aktywne życie społeczne. Powstawało coraz więcej klubów różnych nurtów politycznych. Członkowie przedwojennych partii znajdowali sobie miejsca spotkań. Wyglądało to tak, jakby ocaleni próbowali wrócić do dawnego trybu życia. Miriam sama nie wiedziała, jak określić w te dni swoje własne przekonania.

– Powiedz, Malko – zwróciła się do Malki, gdy pewnego wieczora wyszły z baraku, w którym mówca syjonistyczny z Londynu wygłaszał referat dla dipisów.

– Czy to możliwe, że wszelkie ideologie pozostały niezmienne? Jakby nic się nie wydarzyło?

– Czego chcesz? – odezwała się ostro Malka. – Żeby Hitler wyrżnął też nasze ideały?

– Masz na myśli nasze chimery. Jak dawno temu sama miałaś wątpliwości?

– No, wyleczyłam się z nich razem z chorobą poobozową.

*

James tego popołudnia przyszedł późno. On i Miriam poszli na spacer do lasu. Wszystkie miejsca w lesie, gdzie zwykła chadzać samotnie, podczas spacerów z Jamesem wyglądały zupełnie inaczej. Ścieżki, drzewa, krzewy, dzikie kwiaty i niebo, które zaglądało przez gałęzie – wszystko było inne. Nawet mech pod stopami zdawał się bardziej miękki, gdy chodzili po nim wspólnie. Cała przyroda wyglądała, jakby przejęta była jakimś ciepłem. Miriam nie mogła się nadziwić, jak zgrani wydają się z Jamesem. On był wobec przyrody sentymentalny, a gdy opowiadał o Anglii, najczęściej opisywał angielskie landszafty. Odmalowywał przed nią zielone, pagórkowate pola i powiadał, że gdy mieszkał w Sheffield, w każdy weekend chadzał na piesze wycieczki, nocował w pobliskich wioskach i nazajutrz innymi drogami wracał do domu.

Tego dnia byli w lesie sami. Pogoda nie była najlepsza. Chmury, które zebrały się na niebie, spowiły powietrze szarą ciemnością. Pomiędzy krzewami nie kryły się całujące pary. W ostatnim czasie, odkąd ona i James „rozwiązali kwestię polską", prowadzili śmielsze, wesołe pogawędki. Ale tego dnia James zdawał się wyjątkowo milczący. Następnie, po długiej ciszy, poinformował Miriam:

– Mam transfer... Opuszczam jutro Bergen-Belsen. Bardzo żałuję...

Kilka razy powtarzał: „Naprawdę żałuję...".

– O – wydała z siebie zdławiony dźwięk. – Ja też. Żałuję...

Dalej szli w milczeniu, tylko od czasu do czasu zamieniali słowo czy dwa, aby podtrzymać utykającą rozmowę. Usiedli na mchu pod drzewem, spoglądali na siebie ukradkiem i wsłuchiwali się w ciszę. W szelest liści. Świergot ptaków. „Nigdy więcej tu nie usiądziemy" – pomyślała. Zaczęło padać. Wstali i przytulili się do pnia drzewa.

– Dlaczego musi padać właśnie dzisiaj, podczas naszego ostatniego spotkania? – zapytał.

– Deszcz jest ładny – odpowiedziała z bladym uśmiechem.

– Lubię czytać twój uśmiech – powiedział.

– Co z niego wyczytujesz?

– Melancholię deszczowego smutku.

Milczeli. „Kwestia polska" była rozwiązana i brakowało już czasu na zawiązanie nowej „kwestii", nieważne jak bliskiej ich sercom. Deszcz rozpadał się. James zdjął rdzawo-zielony beret i przykrył nim głowę Miriam.

– Musisz sobie zamówić taki beret – odezwał się. – Dobrze ci w nim.

Dłuższą chwilę stali tak na deszczu, wsłuchiwali w szelest wilgotnych liści i odprowadzali wzrokiem spadające krople. Jak na strunach gitary, melancholia rozstania dźwięczała na niciach deszczu. Ciemna szarość zstąpiła na ziemię przez otwory w koronach drzew. Miriam i James ruszyli w drogę powrotną. Maszerowali w deszczu rytmicznym krokiem, nie zwracając uwagi na kałuże. Zmokły jej nogi. Zaczęła kichać.

– *Gesundheit*[359]! – zawołał. Nienawidziła tego niemieckiego słowa, które w jej uszach brzmiało nie jak błogosławieństwo, ale raczej jak przekleństwo.

Przez całą drogę powrotną nie zamienili z sobą innych słów. Gdy przybyli do Bloku 88, James zauważył, że był to najbardziej milczący z ich wieczorów. Odpowiedziała, udając dobry nastrój, że tego nie zauważyła.

Gdy kręcili się pod barakiem, ich palce przypadkowo spotkały się, zatknęły w siebie wzajemnie i po chwili puściły. Poprosił ją, żeby do niego pisała. Niepewnie obiecał robić to samo. Jak poradzi sobie z językiem angielskim? Prawda, James na poważnie zaczął uczyć się niemieckiego, ale jeden korespondent – Abrasza – który za pośrednictwem pielęgniarki kontaktował się z nią po niemiecku, wystarcza Miriam w zupełności. A w ogóle, o czym miałaby pisać z Jamesem? Opowiadać mu o drobnostkach codziennego życia w obozie? Według niej spotykała się z Jamesem, aby wymienić saluty, jak dwa snopy światła semaforowego krzyżujące się na niebie i rozchodzące w swoje strony. Ona i James spotykali się, żeby zdobyć pewność, że są ludzie, którzy mimo barier rasy i kultury posiadają ze sobą związek. W dalekiej Anglii, w mieście Sheffield, będzie mieszkał mężczyzna w pewnym sensie pokrewny jej duszy.

Wiedza ta była pocieszająca. Jednak w środku Miriam drżała. Taki był jej los po wyzwoleniu – wciąż żegnać się z tymi, którzy są bliscy jej sercu. Nawet jeśli te pożegnania nie znaczyły już tego, co oznaczały u bram piekła. A skoro tak, jaki ma sens przywiązywać się do kogoś i wystawiać na ból?

Próbował rozczytać jej niezdecydowany uśmiech i powiedział:

– Zostawię ci mój adres. Muszę wiedzieć, co się z tobą dzieje. – Nie miał przy sobie ołówka, ona też nie. Przez długą chwilę stali niezdecydowani. Miała oczywiście ołówek na górze, w pokoju. Mogła pobiec i go przynieść. Jednak nie ruszyła się z miejsca. – Nie przyniesiesz ołówka? – Patrzył na nią pytająco.

– Po co? – wymamrotała.

– Musisz do mnie pisać. To nie może się tak skończyć.

Anglicy, wygląda na to, są z natury uparci. Miriam pomyślała o dwóch adresach: Abraszy i doktora Vanderhaeghe. Wyglądało na to, że dostanie też adres Jamesa. Nie miała na co się skarżyć. Wkrótce kupi sobie książeczkę adresową i wypełni ją, jak przystało komuś, kto wraca do życia.

---

359 (niem.) *Na zdrowie!*

– Dobrze – odezwał się James. – Napiszę do ciebie od razu jutro, więc będziesz mieć adres! – Zaśmiał się, zadowolony jak dziecko, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak bardzo jest komiczny, roztargniony i nieuważny.

Miriam uświadomiła sobie, jak sama jest niedbała. Ona, tak uboga w bliskie osoby, ona, żebraczka wygłodniała miłości, tak nieroztropnie chciała odrzucić przyjazne serce. Jakież to nonszalanckie! Ile w niej wciąż bezczelności! Odezwała się do niego mieszanką słów we wszystkich znanych jej językach:

– Czasem zapominam, że świat nie kończy się na obozie, że ludzie mogą się wzajemnie opuszczać. Teraz, gdy skończyła się wojna, wydaje mi się to niemożliwe. I w ogóle brakuje mi wyobraźni. Gdy jestem z kimś i muszę się pożegnać, nie potrafię sobie wyobrazić, że za chwilę już go nie ujrzę. Pożegnanie odczuwam jako mglistą procedurę. Zacieram ją w pamięci, chociaż jeszcze trwa.

Niczego na to nie odpowiedział. Może nie zrozumiał, co mówiła. Myślał o czymś innym. Zapytał:

– Jakie nosisz nazwisko, Miriam? Moje to Carson. James Carson. – Powiedziała mu. Powtórzył je kilka razy. – Polin. Miriam Polin. Blok 88. Zapamiętam.

Stali na deszczu przed wejściem do baraku i przyglądali się sobie. Podali sobie ręce. Jakaś siła popchnęła ich do siebie i objęli się. Ich usta spotkały się w krótkim pocałunku. James odwrócił się i odmaszerował lekkim, żołnierskim krokiem.

Rozdział dwudziesty piąty

Ślub Sorki i Mendla Sznajdera odbył się w namiocie teatralnym. To była tradycyjna uroczystość, chociaż ani jedno, ani drugie nie uważało się za osoby religijne. Ale tak chcieli. Nalegali. Był to ślub smutku i nadziei, orgia łez i orgia radości z życia.

W obozie zdarzały się też mniejsze, codzienne orgie radości i łez. Co kacetnicy „wyszabrowali" u niemieckich chłopów, gotowali na podwórzach za barakami. Niektóre kobiety same zabijały kury. Inne zwracały się o pomoc do mężczyzn. Ponownie rozpalano ogniska i stawiano na nie cynowe kociołki. Jedzono posiłki, siedząc wokół ognia. Było w tak ceremonialnym jedzeniu coś dzikiego, atawistycznego – jakby powrócono do prymitywnych czasów życia plemiennego, aby od nowa rozpocząć historię ludzkości. Małe ogniska, rozrzucone po wszystkich podwórzach, dymiły, czadziły i wypełniały powietrze zapachem mięsiwa. Obrazek ten zdawał się zupełną odwrotnością życia w kacecie. Wesołe zawołania, śmiech i dźwięk nieustannej gadaniny dochodziły ze wszystkich stron.

Orgie łez działy się w środku, w barakach. Dniem i nocą. Po sąsiedzku z pokojem Miriam mieszkała kobieta cierpiąca na pomieszanie zmysłów. Straciła całą szóstkę dzieci, biegała więc po polach wokół obozu i łapała bezdomne koty. Trzymała je w swoim pokoju i im matkowała. Była też inna kobieta, która przeszła eksperymenty w Auschwitz. Jej stan też graniczył z szaleństwem. Żartowała po niemiecku: *„Maschine kaputt. Ich nichts Kinder*[360]".

Zagraniczni goście stale przybywali do obozu jak do jakiegoś ogrodu zoologicznego. Poza przywódcami politycznymi i mówcami, przybywali żydowscy

[360] (niem.) *Maszyna zepsuta. Nie mam dzieci.*

działacze społeczni z Ameryki, Anglii, filantropki w towarzystwie mężów. Stawiali dipisom śmieszne pytania. Kobieta od kotów zapytała, czy koty potrzebują wizy do Ameryki. Poklepali ją po ramieniu i zapewnili, że transporty ubrań niedługo dotrą. Dialogi głuchych z głuchymi.

– Nazywają nas dipisami. Di-Pi to skrót od angielskich słów: *displaced persons*. Powinni nas nazywać *displeased persons*[361] – żartowała Miriam.

Siedziały w pokoju Sorki. Balcia naprawiała Sorce sukienkę, którą dostała od kogoś na podróż.

– Nie mogę uwierzyć – powiedziała Balcia, przekłuwając szpilką krawędź sukienki, podczas gdy Sorka kręciła się przed nią jak manekin. – Stałaś się regularną syjonistką.

– Nie wiem, czym się stałam, Balciu – Sorka odpowiedziała jej cicho. – Jeśli jestem syjonistką, to na własny sposób. Łódź już dla mnie nie istnieje. Nie mam tam nikogo. Ale naród istnieje. To teraz moja najbliższa rodzina. Chcę obdarzyć go tą odrobiną uczucia, która mi pozostała. Chcę gdzieś czuć się jak w domu. Stworzyć dom... Mieć dzieci.

– Ale czemu właśnie w Palestynie? – Balcia nie potrafiła zrozumieć[362].

– Żydowska ojczyzna się tam narodzi.

– A Arabowie? – zapytała Malka.

– Żyjemy z nimi w braterstwie – stwierdziła wesoło Sorka. – Stworzymy tam wzorcowe społeczeństwo.

Miriam dopadło przerażenie na myśl o wielkim, wolnym świecie, który właśnie się otwiera. Kiedy znów spotka Sorkę? Szeroki, wolny świat zagrażał pochłonięciem ostatnich śladów uratowanej przyjaźni. Ludzie, których wzajemna bliskość została przypieczętowana w getcie i obozie, mogą się teraz zagubić. Więzy – zdawałoby się nierozerwalne inaczej niż przez śmierć – właśnie rozerwać.

Rozstać się z Sorką oznaczało zgubić pomocnicę własnych zmagań z minioną przeszłością i zdobytą przyszłością. Bez Sorki, zdawało się Miriam, będzie jeszcze wyraźniej odczuwać samotność. Życie jest cudowne, ale potrzeba przyjaciela, który dodawałby otuchy, aby iść naprzód.

Miriam zastanawiała się nieustannie, co sama powinna uczynić. Sorka wiedziała, co ma do zrobienia: opuścić Bergen-Belsen i stworzyć dom w Ziemi Izraela. Malka też wiedziała, jakie są jej plany: poświęcić się pisaniu ważnego

---

[361] Gra słów: *displaced persons* – ludzi wysiedlonych, przemieszczonych, *displeased persons* – ludzi drażniących, wywołujących niezadowolenie.

[362] Partia Bund, z którą związana była bohaterka, przed wojną sprzeciwiała się emigracji do Palestyny i w zacięty sposób zwalczała ruch syjonistyczny. Po Zagładzie celem zdecydowanej większości dipisów znajdujących się na terenie Niemiec – niezależnie od przedwojennych przekonań politycznych – była Palestyna, ale część Ocalałych bundowców właśnie z powodów ideologicznych wybierało inne kraje emigracji.

dzieła o *Churbm*. Nawet Balcia miała swoje perspektywy. Starała się przypomnieć sobie adres przyjaciółki w Ameryce. Ale ona, Miriam, cóż ze sobą zrobi, skoro nie uskrzydli swych dni jedynym żywym pragnieniem – tańcem?

*

Sorka i Mendel zdążyli się pożegnać. W sposób dumny, rzeczowy, bez sentymentalizmu, jakby nazajutrz znowu przyszło się spotkać. Tak musiało być.

Miriam poszła do lasu napisać list do Abraszy. Cóż miała robić z pustką, która ją dopadła? Oczywiście, mogła zostać w pokoju z Malką i Balcią. Nie czułaby wówczas takiej pustki w sercu. Ale atmosfera w pokoju stała się nie do zniesienia. Byli kacetnicy kręcili się wokół Balci jak rój i rzadko trafiała się chwila, by przy stole nie siedziało jakieś towarzystwo. Balcia stała się znana w obozie. Wyglądało to tak, jakby świadomie próbowała przywrócić do życia atmosferę klubu z dawnego domu. Wszyscy zwali ją „mamusią", organizowała posiłki i jak kwoka przy kurczętach każdego miała na oku. Miriam wolała iść do lasu i uciec – do Abraszy. Pisanie do niego było kojące. Gdy tylko czuła bolesne kłucie w sercu, powtarzała w myślach: „Drogi Abraszo..." i machinalnie sięgała po ołówek.

Drogi Abraszo!

Właśnie pożegnaliśmy Sorkę i Mendla Sznajdera. Poszło gładko. Gdy tu była, niewiele spędzałam czasu z Sorką. Wydawało się, że mamy na to jeszcze czas. Ale fakt, że mogłyśmy spotkać się, kiedy przychodziła ochota, pozwalał czuć się dobrze, intymnie. Teraz już za nią tęsknię. Przyjaźnie z dzieciństwa mają szczególną rangę. Podobnie jak przyjaźnie z kacetu. Czuję się związana z Sorką podwójnym siostrzeństwem. Myślę, że każda osoba dorosła chowa w sobie dziecko, a i dziecko dzierży potencjał osoby dorosłej. W dzieciństwie potrafiłam po charakterze przyjaciół stwierdzić, jakimi staną się, gdy dorosną. Wydaje mi się, że pomimo wszystkich naszych doświadczeń, w gruncie rzeczy nie zmieniliśmy się. Jako dziecko czułam się dobrze w milczącym towarzystwie Sorki. Upartej, zapiekłej Sorki, która wewnętrzne bogactwo chroniła pancerzem milczenia. Ale w getcie i obozie pancerz ten pozwalał jej duszy wychynąć przez szpary. Nigdy nie miała wielkiego poczucia humoru. Wszystko bierze na poważnie. Jest jednak tak szczera i uczciwa. Kto wie, kiedy znowu ją zobaczę?

Jestem chorobliwą egoistką, Abraszo. Dni mijają, a ja do Ciebie nie spieszę. Zamiast tego, zarzucam Cię przemyśleniami, zmartwieniami, moim życiem. Nieustannie pragnę Twojej uwagi, a nie daję Ci nic w zamian. Nic oprócz słów. Jaką wartość mają wyrazy miłości, skoro nie znajdują pokrycia w czynach?

Przepraszam Cię po tysiąckroć za odkładanie mojego przyjazdu. Czekam na Gabiego, żeby przyniósł mi konkretne wiadomości. Jeśli tata i Marek mnie szukają, pewnie już znaleźli mnie na listach ocalonych w Bergen-Belsen. Gabi najwyraźniej tu zmierza. Z pewnością wie to, czego Ty zdajesz się nie wiedzieć

albo starasz się ukryć. Powie mi wszystko w oczy. Tymczasem muszę pozostać na posterunku.

Pobiegła do komitetu wysłać list. W pokoju, w którym znajdowały się listy, zauważyła kobietę w średnim wieku – sąsiadkę z domu przy Nowomiejskiej! Serce eksplodowało radością i bólem. Oto obejmowała ramionami materialny ślad przeszłości, żywy dowód, że minione nie było snem. Kobieta właśnie przybyła do obozu szukać córki. Była więźniarką Stutthofu – opowiedziała.

– A twoja rodzina? – zapytała kobieta. – Twoja mama, zdaje się, miała siostrę mieszkającą na czwartym piętrze.

Miriam dostrzegła, jak niewiele kobieta zmieniła się z wyglądu. Jej włosy miały normalną długość. Była porządnie ubrana i wyróżniała się elegancją w tłumie stojących kobiet, które nosiły koce z UNRRA zarzucone na ramiona.

– Jestem sama – odparła Miriam. – A ty?

Kobieta opowiedziała, że od dnia wyzwolenia wędruje po Niemczech i szuka córek. Dużo się naoglądała, mówiła. Była w strefie rosyjskiej, a także w Łodzi.

– Życie tam jest skomplikowane – mówiła. – Ciężko się zadomowić. Polacy kochają Żydów tak, jak kochali przed wojną. Gdy tylko kogoś poznają, pozdrawiają okrzykiem: „Jezus Maria, tak wielu was przeżyło!" – Pochyliła się w kierunku Miriam i szepnęła do ucha: – Jutro wyjeżdżam do Palestyny z tutejszą grupą. Czytam listy, chociaż znam je na pamięć. Moich córek na nich nie ma. Zanim się z nimi pożegnałam, obiecałyśmy sobie spotkać się w Ziemi Świętej.

Miriam odpowiedziała szeptem:

– Właśnie pożegnałam przyjaciółkę. Sorkę Fidler. Pewnie jest w tej samej grupie. Pozdrów ją ode mnie.

Miriam ledwie skończyła zdanie, gdy jedna z obecnych kobiet wybuchła lamentem i zaczęła przedzierać się do jej rozmówczyni.

– Kapo[363]! Kapo ze Stutthofu! – wrzeszczała. Rzuciła się na kobietę stojącą przy Miriam i pociągnęła ją za włosy. – Jestem ze Stutthofu! Znam ją, sukę! Zadawała się z wartownikami i urządzała nam piekło! Tłukła niemiłosiernie! – Splunęła kobiecie w twarz. – Wynocha stąd! Jak śmiesz pokazywać swój pysk?

– Niech ktoś zawoła żołnierza! Wołajcie żandarmerię! Ogolić jej głowę! – Inne kobiety dołączyły do krzyku i napadły na kobietę, która schroniła głowę w ramionach Miriam.

– Byłam dobrym kapo, przysięgam na moje dzieci – zawodziła w jej bark.

Miriam wyzwoliła się od ciężaru głowy kobiety i jej ramion. Z wielkim wysiłkiem

---

[363] Kapo – funkcja pełniona przez więźniów w niemieckich obozach koncentracyjnych, zarówno męskich, jak żeńskich. Kapo był odpowiedzialny za dyscyplinę i porządek, nadzorował innych więźniów i miał z tego powodu określone przywileje, na przykład dodatkowe racje żywnościowe. Niektórzy wykorzystywali swoją pozycję, bijąc i maltretując współwięźniów. Po wojnie część kapo stanęła przed sądem, niektórzy zginęli z rąk swoich obozowych podwładnych.

przedarła się do wyjścia i uciekła. Ogarnęło ją przerażenie. Mało brakowało, a sama zostałaby kapo w obozie Hummel.

W pokoju Balcia i Malka przywitały ją uśmiechami. Balcia przypomniała sobie nagle adres przyjaciółki z Chicago i cierpliwie czekała na Miriam, aby ta na miejscu napisała jej list, po angielsku. Myślała, że po dwudziestu pięciu latach rozłąki jej przyjaciółka lepiej zrozumie, co się z nią, Balcią, działo, gdy do listu po żydowsku dołączy list po angielsku.

Miriam uśmiechnęła się z ironią.

– Oczywiście, zwłaszcza gdy list zostanie napisany moim oksfordzkim angielskim.

– A nawet jeśli byłby napisany oksfordzkim – odezwała się Malka – sądzisz, mamo, że twoja przyjaciółka cię zrozumie? Wybij to sobie z głowy. Ale list trzeba oczywiście napisać. Chodź, Miriam, siadaj, pora zakasać rękawy.

Kartka papieru z adresem w Chicago została zabrana Balci w Auschwitz razem z innymi rzeczami. Bardzo ją bolało, że go nie pamiętała. Teraz była tak zaskoczona cudowną ostrością wspomnień, tak dumna z siebie, że nie potrafiła zachować powagi w dyskusji z córką o zdolności rozumienia jej przyjaciółki.

Miriam i Malka wzięły się za słowniki. Późno wieczorem list złożony z sześciu zdań został w końcu napisany.

Miriam i Malka wyszły na zewnątrz przewietrzyć głowy po intelektualnym wysiłku. W oknie gwiazdy z nieba wyglądały na duże i wyraźne. Noc pachniała owocami. Gałęzie kasztanowców rosnących wzdłuż drogi szeleściły dyskretnie. Spacerował po niej tłum ludzi. Przez chwilę Miriam wydawało się, że to kolumna Żydów, która dopiero wjechała na rampę w Auschwitz, i oto kroczą powoli w kierunku krematoriów pod rozgwieżdżonym niebem...

Na rogu ona i Malka spotkały grupę dziewcząt w towarzystwie chłopców. Chichotały i powtarzały śmieszne słowa przekazane im przez młodzieńców: „Hiroszima" i „Nagasaki".

– Co to znaczy? – pytała Malka.

– To znaczy – wyjaśnił młodzian, wskazując rozgwieżdżone niebo – że Amerykanie zrzucili dwie małe bombki na Japończów, na dwa portowe miasta noszące nazwy Hiroszima i Nagasaki[364]. Nazywa się to bombami atomowymi, to coś takiego, czego jeszcze świat nie widział. I Japońcy skapitulowali!

– Skapitulowali?

– Tak, skapitulowali. Teraz cały świat będzie żył w pokoju.

Miriam i Malka wróciły biegiem opowiedzieć Balci dobrą nowinę. Ale tego dnia nie trzeba było jej rozweselać. Jej twarz emanowała dobrym, ciepłym blaskiem.

---

[364] Stany Zjednoczone zrzuciły bombę atomową na dwa japońskie miasta: 6 sierpnia 1945 r. na Hiroszimę, a 9 sierpnia 1945 r. na Nagasaki.

Prawiła Miriam komplementy:

– W rudych włosach i eleganckim kostiumie wyglądasz jak księżniczka. Popatrz tylko na swoje loki.

Coś Miriam zabolało w sercu. Ona i Wierka były kiedyś księżniczkami. Która z nich pozostała przy życiu? Kręcone włosy miała przecież Wierka, a nie ona.

– A mi nie powiesz niczego miłego, mamo? – zapytała Malka z wyrzutem.

– Tobie się nie należy – skrzywiła się Balcia. – Jesteś chuda jak patyk, a włosy wokół twarzy-klepsydry wiszą ci jak sztywne druty.

Miriam nie chciało się spać. Usiadła przy otwartym oknie. W głowie roiły się wciąż bezwładne myśli o poświęceniu Sorki, o spotkaniu z kapo ze Stutthofu, o bombach atomowych zrzuconych na japońskie porty i o pokoju, który od tej pory zapanuje w świecie. Wojna się skończyła. Świat jest wolny, a nadzieja może oddychać swobodnie. A jednak serce bolało jak dawniej. Zazdrościła kasztanowcowi, który cicho szeleścił ciemnymi liśćmi – drzewo nie musi myśleć. Dobrze mu. A jeśli myśli – uśmiechnęła się – to zapewne na zielono. Zielony kolor myślom całkiem by pasował. Zielona myśl w języku drzewa oznacza: „Dobrze jest być tu, na tym świecie".

*

Następnego dnia wyjątkowy nastrój wciąż się utrzymywał. Coś dobrego musiało się zdarzyć, powietrze przepełniało poczucie obietnicy. Wówczas we trzy zdecydowały, że pora wywrzeć na Niemcach małą zemstę.

Wzięły jeden z dwóch noży, które posiadały, większy i ostrzejszy, wyszły z pokoju, z obozu, i ruszyły drogą wzdłuż szerokiego szlaku. Było wciąż wcześnie rano. Droga wychodząca z obozu była pusta. Maszerowały energicznie w kierunku najbliższej wsi. Gdy dotarły na miejsce, wokół panowała cisza. Znikąd nie docierał żaden dźwięk, oprócz piania kogutów i szczekania psów.

Weszły na podwórze gospodarstwa. Wściekły pies na łańcuchu wyskoczył z budy i pozdrowił przybyłe ogłuszającym jazgotem. Najwyraźniej nie był to najlepszy dom na akt zemsty, ponieważ kobiety nie pałały do psów szczególną miłością. Balcia, która sama mianowała się generałem tej małej armii, natychmiast postanowiła, że pies może przeszkodzić w wypełnieniu misji i zakomenderowała: „Z powrotem, idziemy z powrotem!".

Wróciły na drogę i kontynuowały marsz. Spoglądały przez płoty, aż zauważyły chatę, która zdawała się porzucona, a jednak zachęcała do odwiedzin. Najpierw rozejrzały się przez płot, czy na straży nie stoi jakiś pies. Gdy spostrzegły, że żadnego psa nie ma, po krótkiej naradzie postanowiły, że ta chata jest idealnym miejscem na atak.

Odważnie weszły przez bramkę w ogrodzeniu i pochylone powoli zakradły się do okna. Stamtąd Malka zaraz przeszła pod drugie okno, aby spojrzeć do środka. Niemymi znakami przypominającymi alfabet Morse'a zaraportowała, że

wnętrze wygląda tak, jak się spodziewały. Miriam i Balcia odpowiedziały jej na migi, że wszystko wygląda w porządku także z ich punktu obserwacyjnego, i że atak z pewnością zaskoczy wroga.

Powoli skradały się wzdłuż ściany, minęły róg chaty i wyszły na podwórze, gdzie natychmiast stanęły twarzą w twarz z obiektem, czy też raczej obiektami ataku – połową tuzina obiektów, które właśnie dziobały swoje śniadanie. Balcia, jak na odpowiedzialnego generała przystało, szybkimi gestami rąk dała znać swojej armii strategię i taktykę kampanii. Celem było otoczenie wroga, zagonienie jednej z „jednostek" w róg ogrodzenia i pozostawienie reszty jej, specjalistce.

Podkomendne z oddaniem wykonały rozkaz. Gdy jednak „jednostka", którą zagnały w róg, wzleciała w powietrze na wysokość półtorej stopy, Malka, zdezorientowana, wycofała się z pola bitwy ze strachem, jak można się było po niej spodziewać. Malka, która w młodości odważnie łapała motyle i kradła jaja z ptasich gniazd, najwyraźniej nie została przeszkolona, by mieć do czynienia z tak dużymi latającymi stworzeniami. Jak by nie było, zawstydzona atakiem paniki, wysoko podniosła głowę i powróciła do ofensywy. Armia trzech rozpostarła ramiona i podjęła próbę zagnania w róg innego obiektu. Obiekt upierzony na biało wyglądał nieco słabowicie, ale całkiem efektywnie podnosił dzikie larum. Pozostała część wrogiego obozu odpowiadała, trzepotała skrzydłami i kryła się pod śniegiem piór, który sypał ze wszystkich stron. Potem wróciła do grzecznego dziobania ziaren z wielkiej miski.

Obiekty zagnane pod ogrodzenie jeden za drugim wyślizgiwały się rękom napastniczek i uciekały pomiędzy ich nogami. Napastniczkom zostały w rękach tylko pióra.

Wrogi obóz wznosił nieustannie taką trwogę i tak ogłuszająco kwokał, że można było przewidzieć, iż to musi wzbudzić ciekawość chłopa, który w końcu stanie w progu domu. Tak też się stało.

Wyglądał jak stary patriarcha z siwą brodą i wąsami. Wokół talii przewiązany miał kobiecy fartuch. Obojętny, gapił się na trzy kobiety i milczał. To zmusiło Balcię do uczynienia kroku w jego kierunku. Gdy stała już stopę od niego, bez wielkich ceregieli zawołała:

– Chcemy kurę!

Stary Niemiec dalej wybałuszał oczy i odpowiedział:

– Weź sobie jedną.

Podwijając wąsa, przyglądał się, jak kobiety ponawiają ofensywę. Bardzo dobrze przeczuwały, że bawi się ich kosztem. Postanowiły więc podwoić wysiłek. Na czoła wystąpił pot. Na niewiele się to jednak zdało. Balcia wyprostowała się, rzuciła na Niemca surowe spojrzenie i rozkazała głosem generała:

– *Bitte schön, chapen Sie für uns eine!*[365]

[365] (niem.) *Bardzo proszę, złap dla nas jedną!*

Gospodarz zagryzł czubek wąsa, pochylił się i podniósł kurę. Balcia odebrała mu ją z rąk i bohaterska armia trzech zwycięsko uciekła z podwórza.

Dumne z siebie i z głębokim uczuciem ulgi ruszyły energicznym krokiem w kierunku obozu. Szły w ten sposób przez pewien czas. Wyglądało na to, że kura nie jest jeszcze gotowa pogodzić się z myślą o wylądowaniu na talerzach zwyciężczyń. Ona – ugotowana po łódzku – na talerzach, one, ze ślinką cieknącą z ust – wokół stołu. Kura podniosła nową rebelię przeciw uciskającej, to znaczy Balci, która mocno przyciskała ją do piersi. Jako przestraszony i nieobiektywny obserwator, Miriam, z bezpiecznej odległości, przyglądała się walce Balci z kurą i nie przestawała mamrotać:

– Balciu, kochana, uważaj!

– Nic się nie bój – zapewniała Balcia. – Trzymam ją mocno.

Malka wystąpiła z pytaniem:

– A kto ją zarżnie?

Balcia poczuła się dotknięta i zmierzyła córkę wzrokiem z góry na dół.

– Jak to kto? Ja, ma się rozumieć. Nie na darmo przyglądałam się, jak bałucki rzeźnik zarzyna kury. A w Stefanowie wystawałam przy chłopie i nawet nie mrugnęłam, gdy zabijał dla nas kurczaki. – Kręciła głową i udawała obrażoną. – Że też zadajesz takie pytania, córko. Nikt nie został bohaterem w oczach swojej latorośli.

Dziewczyny przyglądały się Balci z szacunkiem i podziwem. Sama Malka, która w dzieciństwie tak chętnie oddawała się nauce, rozwinęła, jak się wydawało, zgoła nienaukowy stosunek do zabijania zwierząt i została bezwstydnym tchórzem.

Szły dalej. Balcia nie przestawała wadzić się z kurą. Stała się nadzwyczaj milcząca, to jest Balcia – nie kura. Co pewien czas zatrzymywała się, wyjmowała nóż z kieszeni i kciukiem sprawdzała jego ostrość.

– Prawdziwy żydowski nóż – zauważyła w zamyśleniu. – Nie takiego potrzebujemy. Łatwiej będzie nim kroić masło niż kurze szyjki. Do tego potrzebujemy noża ostrego jak żyletka.

– Nie można go naostrzyć? – odezwała się Malka z wahaniem, utrzymując pewną odległość od matki.

– Oczywiście, że można – odpowiedziała Balcia i nagle odwróciła się w przeciwną stronę. – Wracamy do starego Jeke[366]! – rozkazała kategorycznie. – Każę mu naostrzyć nóż. Czego mamy sobie zawracać głowę? Najwyższy czas, żeby oni trochę popracowali dla nas.

Malka i Miriam również się odwróciły i poszły za swoim generałem. W ten sposób wróciły na pole bitwy, gdzie stary Niemiec siedział na niskiej ławeczce

[366] Jeke – nazwa Żydów pochodzących z Niemiec, tak łódzcy Żydzi nazywali niemieckich Żydów przesiedlonych do łódzkiego getta jesienią 1941 r. m.in. z Berlina, Wiednia, Hamburga czy Frankfurtu.

i obierał ziemniaki. Przywitał kobiety tym samym beznamiętnym spojrzeniem. Balcia szybko powiedziała do swoich dwóch adiutantek:

– Po co mam w ogóle się męczyć? Jakoś nie mam dziś nastroju do zarzynania. Złe wspomnienia przychodzą mi do głowy. A poza tym, przyszłyśmy wywrzeć zemstę.

– Przestań tak mówić, mamo! – zezłościła się Malka. – Skoro nie chcesz tego zrobić, to ja to zrobię. Przysięgam ci, że to zrobię. Czemu gadasz o złych wspomnieniach? Chcemy tylko posmakować kurzego mięsa.

– Tak, tego chcemy – odpowiedziała dumnie Balcia. – I to dostaniemy! Ale nie martw się. Niemcy są wprawnymi rzeźnikami. Skierowała się do starca i rozkazała mu po bałucku-niemiecku:

– *Wir wollen das Sie sollen für uns die Hüne schlachten!*[367]

Położyła kurę na jego kolanach z taką siłą, że dziewczętom zdawało się, iż Balcia chce się pozbyć zbuntowanego ptaka.

Chłop pochwycił zwierzę zrywające się do zeskoku z kolan. Brzegiem fartucha wytarł nóż, którym obierał ziemniaki, odsunął miskę z wodą, w której moczyło się kilka kartofli, i wstał z ławeczki. Z kurą pod ramieniem pokuśtykał w zakątek podwórka i zniknął w kurniku. Jak na rozkaz wszystkie trzy kobiety odwróciły się plecami od budynku. Udawały, że przyglądają się krzewom i nie słyszą wrzasków, żadnych wrzasków, które do nich dochodziły.

Ale wnet coś się stało z Malką. Nagle odwróciła się i podbiegła do kurnika.

– Dawaj nóż! – zawołała. – Pokaż, gdzie się to robi!

Odgłosy walki i gardłowego rzężenia dochodziły z kurnika, aż kura wydała ostatni skowyt. Malka wybiegła na zewnątrz z uniesionymi rękami, zakrwawione palce rozpostarła, jakby suszyła je na ciepłym wietrze.

– Umyj je w misce. – Balcia wskazała miskę z obranymi ziemniakami.

– *Nehmen Sie doch den Vogel!*[368] – usłyszały za sobą niespodziewany głos, który o mały włos nie spowodował, że podskoczyły w górę i upadły na ziemię omdlałe. Najlepszy znak, że nie wyzbyły się jeszcze mentalności obozowej.

Tego dnia, po wspólnym oskubaniu kury, zeszły razem za Blok 88 i dołączyły do pozostałych kacetników, którzy gotowali jedzenie na małym ogniu. Tego dnia jadły rosół po raz pierwszy od pięciu lat.

*

Nazajutrz po południu Gabi, na którego tak niecierpliwie czekały, nagle pojawił się w progu pokoju. Nosił brodę, miał nieogoloną twarz, a jego wygolona głowa sprawiała, że wyglądał jak pustelnik z obrazu El Greco. Jego cała figura

---

[367] (niem.) *Chcemy, żebyś dla nas zarżnął tę kurę.*

[368] (niem.) *Weźcie jeszcze ptaka!*

była wyciągnięta i chuda. Fizjonomia zdawała się składać jedynie z pary oczu, głęboko osadzonych pod odstającymi brwiami, długiego nosa i szerokich ust. Reszta to sama skóra i kości. Wyglądał obco, a jednak swojsko i znajomo. Ten sam Gabi.

Minęło wiele godzin, zanim zdołały przyzwyczaić się do myśli, że Gabi naprawdę jest tu, że jest razem z nimi, i nie ma niebezpieczeństwa, że ktoś go zabierze. Dopiero wieczorem, gdy minęła największa euforia, a Balci wróciły kolory na policzkach, usiadł przy stole i zaczął ze szczegółami opowiadać... doszczętnie psując nastrój.

Powiedział, że Nońka zabrano od razu przy pierwszej selekcji. On, Gabi, po kilku tygodniach w Auschwitz wysłany został do obozu Gusen II[369], do Austrii, gdzie znajdowały się fabryki messerschmittów[370]. Pracowali pod ziemią. Jedzenie było straszne, jeden chleb na szesnastu ludzi. Zapleśniały. Zupy – woda z łupinami ziemniaków. Morderstwa były na porządku dziennym. Starszy blokowy bił deską po głowie i sprawdzał, co jest twardsze – głowa czy deska. Grubym żelaznym drutem bił ofiary, często na śmierć. „Grzesznika" zabierano do *Waschstube*[371], tłuczono go i podtapiano w beczce, aż przestawał oddychać. Nawet weterani z Auschwitz nie wytrzymywali długo.

W obozie niebezpiecznie było być człowiekiem wysokim. Łatwo przyciągało się uwagę, gdy głowa wystawała z kolumny maszerujących jak wykrzyknik. Wysoki wzrost sam w sobie stanowił wyzwanie, symbol buntu. Dlatego Gabi bywał bity częściej niż inni w obozie. Otrzymać dwadzieścia pięć razów, o ile się wytrzymało, oznaczało bycie tak pokiereszowanym i połamanym, że człowiek mógł być pewien odpadnięcia przy najbliższej selekcji. Gabi ze szczegółami opisał rytuał bicia. Prawie umarł, ale w czasie liczenia nawet nie pisnął, tylko – zgodnie z rozkazem – liczył na głos otrzymywane razy i nie tracił przytomności. Można mu było wierzyć. Był uparty jak osioł.

Nie mógł jednak dłużej pracować, wysłano go więc do obozu Kaufering[372]. Kaufering mieści się wśród bawarskich lasów, niedaleko Monachium. Była to część konglomeracji obozów, której centralę stanowiło Dachau. W Kaufering

---

369 Konzentrationslager Gusen (Gusen I i II) – niemiecki obóz koncentracyjny utworzony na początku 1940 r. jako podobóz Mauthausen, znajdował się na terenie Austrii w pobliżu Linz. Więźniowie pracowali w kamieniołomach, budując pod ziemią jedną z największych fabryk zbrojeniowych III Rzeszy.

370 Od 1944 r. w Gusen II więźniowie produkowali części do najnowocześniejszego samolotu niemieckiej armii – odrzutowego Messerschmitta 262 oraz rakiet V-2.

371 *Waschstube* (niem.) – umywalnia, łaźnia.

372 Kaufering był jednym z podobozów położonego w Bawarii obozu KL Dachau. Więźniowe pracowali tam w skrajnych warunkach, ich niewolnicza praca służyła do budowania tajnych niemieckich fabryk zbrojeniowych.

spotkał Icchoka. Icchok powiedział mu, że Jankew, Abrasza i Marek przebywają w Krankenlager 4[373].

– Wyobraź sobie, że Abrasza przeżył – odezwała się do niego Balcia, której twarz znów była blada jak ściana. – Przebywa w szpitalu w Birnau.

Gabi patrzył na nią zimnymi oczami.

– Oszalałaś, mamo? – mruknął i wrócił do opowiadania o obozie Kaufering.

Z pobliskich gór lodowate wiatry i nieustanny śnieg spływały prześladować osadzonych w Kaufering i nigdy nie pozwalały im się rozgrzać. Icchok dochrapał się stanowiska pomocnika w kuchni i dobrze dawał sobie radę. Pomagał Gabiemu nieco stanąć na nogi. Gdy tylko było to możliwe, przynosił mu pieczonego ziemniaka do baraku czy odrobinę zupy. Razem marzyli o zemście, marzeniami, które pomagały im przetrwać – i Icchok przetrwałby, gdyby nie próbował przedwcześnie uciec z transportu podczas ewakuacji obozu. Wówczas, podczas zapełniania bydlęcych wagonów kacetnikami, Gabi widział Jankewa z daleka. Widział go po raz ostatni zmierzającego w nieznanym kierunku. Amerykanie zbombardowali ten pociąg z powietrza. Więźniowie wyskoczyli z wagonów i w ten sposób setki zginęło, czy to za sprawą niemieckich karabinów, czy bomb. Działo się to na dwa dni przed wyzwoleniem. Gabi i inni kacetnicy uratowali się cudem. Przez te dwa dni ukrywali się pod przewróconym, zniszczonym wagonem pośrodku pola.

Gabi posmakował prawdziwego smaku zemsty. Miał na sumieniu dwóch wartowników z SS. Musiał pomścić też Icchoka. Gdy nadeszła chwila wyrównywania rachunków, zemsta smakowała słodko i ohydnie, do wyrzygania. Gabi upił się na umór i łaził pijany przez trzy dni, świętując wyzwolenie. Prawie wyzionął ducha z powodu wymiotów i biegunki.

O tym wszystkim jego matka i siostra musiały wiedzieć. Musiały zostać świadkami, wysłuchując go. Także Miriam. Gdy uciekła z pokoju, ponieważ więcej nie mogła słuchać, Gabi wybiegł za nią i sprowadził z powrotem. I on gotów był być ich świadkiem. Musiały mu wszystko opowiedzieć. Tak powinno być. Fakty należało opowiadać znowu i znowu, aż po kres dni.

Balcia wykrzesała z siebie siły na wielogodzinne sesje z Gabim. Dlatego, że przyznawała mu rację. I ponieważ była szczęśliwa, widząc go żywego. Zagryzała z bólu wargi, gdy wraz z nim przeżywała tamto piekło, i jąkając się, opowiadała o własnym. To samo musiały zrobić Malka i Miriam. Opowiedzieć. Od wyzwolenia był to pierwszy raz, gdy trzy kobiety pozwoliły swobodnie płynąć słowom, próbując – przynajmniej próbując – zdać relację.

Podczas wędrówki po Niemczech Gabi spotkał kobietę z obozu Hummel, która też była w Auschwitz. Poradziła mu udać się do Bergen-Belsen. Wypytywał Balcię o szczegóły i chciał dokładnie wiedzieć, co stało się z żoną Sonią

---

[373] Krankenlager (niem.) – dosł. łóżko chorego, w obozach dipisów odseparowana część dla chorych, gł. na tyfus i inne choroby zakaźne.

i dzieckiem. Ale o tym Balcia nie mogła mówić. A Malka i Miriam nie chciały mówić w obecności Balci.

– Dość z tym! – Gabi zawył ochrypłym głosem, podobnym do głosu Wowy. – Nie próbujcie mnie zbywać! Muszę wiedzieć wszystko raz na zawsze! Poznać każdy szczegół!

Złapał Malkę za rękę i wyprowadził ją na korytarz. Miriam wybiegła z pokoju, chciała przebiec obok nich, brata i siostry, i uciec na zewnątrz. Ale i ją Gabi pochwycił za ramię i przyciągnął do Malki.

Potem przyszła ulga i wylew gwałtownej czułości do Gabiego. Nie mogły oderwać od niego wzroku. Chciały go dotykać, przekonać się, że to on we własnej osobie. Gdy Miriam dotknęła jego ramienia, zdawało jej się, że otrzymuje najświeższe, ostatnie pozdrowienia od tych, na których czeka. Wyrastał jej przed oczami olbrzym liczący sześć stop. Spoglądała na niego i czuła się pewniej. Miała jednak do niego żal – o Abraszę.

„Wybij to sobie z głowy" – powtarzał, gdy tylko próbowała mu pokazać list od Abraszy. „Ktoś cię oszukuje" – mówił.

Rozpłakał się z powodu utraty Soni i dziecka. Wykrzykiwał ich imiona we śnie. Za dnia był zdenerwowany, niespokojny. Zdecydowany, by wracać do Polski. Nie było już co robić w tych przeklętych Niemczech – mówił. Złościł się, gdy Balcia wspominała Wowę i wyrażała nadzieję, że Wowa żyje.

– W jaki sposób przedostaniesz się do Polski? – zapytała Miriam.

– Zdaj się na mnie – odpowiedział. Popadł w rodzaj pijackiego uniesienia. – W Polsce buduje się nowe życie. Nie przepuszczę tej okazji za żadne skarby.

– A co z antysemityzmem? – zapytała.

– Będzie się go zwalczać wszelkimi środkami.

Nalegał na Balcię i Malkę, aby zbierały się do podróży. Ale Balcia powiedziała, że nie ruszy się z Bergen-Belsen, dopóki nie dostanie odpowiedzi od przyjaciółki z Chicago.

– Nie widzi mi się powrót do Polski – rzekła. – Nie mam sił mieszkać na cmentarzu. Polska to cmentarz. Zostań tu z nami, drogie dziecko. Jeśli nie Ameryka, może wpuści nas inny kraj, gdzie mieszkają Żydzi.

– Nie. – Gabi uparcie kręcił głową. – Jesteśmy polskimi Żydami i jedziemy z powrotem do Polski.

– Polscy Żydzi przeminęli wraz z dymem w Auschwitz.

– Ale ty i ja jesteśmy tutaj. Malka tu jest i Miriam. Ocaleni wracają z obozów i ze Związku Radzieckiego. Z tymi, którzy przeżyli, wybuduje się nowe życie.

– Dobrze, dobrze. Jakiego to szczęścia zaznaliśmy tam choćby w najlepszych czasach? Nie wrócisz tam, prawda, kochany Gabi?

– Wrócę.

– Nie pozwolę ci.

– Będziesz musiała i pojedziesz ze mną.

– O co tu się kłócić? Tymczasem poczekajmy na list z Chicago.

– Nie chcę czekać.

– Poczekasz.

Kłócili się, spierali, przepraszali i powtarzali dyskusję kilka razy dziennie.

Gabi kręcił się po obozie, odwiedzał baraki i szukał przyjaciół, znajomych. Robił się coraz bardziej nerwowy i niespokojny, rozkojarzony żałobą, niecierpliwością i frustracją. Miriam jednak cieszyła się jego energią, jakby uczepiła się tej siły, absorbowała promieniowanie jego kipiącej witalności. Nie zostawiała go samego, wszędzie za nim chodziła. Prosiła go, żeby opowiedział jej więcej i więcej szczegółów o tacie, o Marku, i dopytywała, gdzie ma ich szukać. Po tysiąckroć pytała go o Abraszę. Odpowiadał jej tą samą śpiewką:

– Zwariowałaś. Abraszę posłali do pieca podczas ostatniej selekcji w Krankenlager 4.

– Skąd wiesz? Przecież cię tam nie było.

– Wiem na pewno.

*

Drogi Abraszo!

Gabi wrócił. Jest z nami. Nie rozumiem, czemu patrzy na mnie jak na wariatkę, gdy mówię mu, że przeżyłeś. Wyobrażam sobie Twój stan w obozie. Pokazywałam mu listy od Ciebie – a on tylko kręcił głową. „To niemożliwe" – mówił. Mogę przysiąc, że to samo powie, gdy spotkacie się twarzą w twarz. Jest tak uparty.

Teraz, gdy Gabi jest z nami, czuję się nieco pewniej. Zdecydowałam się odpowiedzieć na Twoje nieustanne dopytywania. To znaczy: opowiedzieć Ci, co przytrafiło mi się po naszym rozstaniu na rampie w Auschwitz.

Pamiętasz, powtarzałeś mi nieustannie: „Prawda cię wyzwoli, ale najpierw cię unieszczęśliwi"? W tym rzecz, że prawda mnie unieszczęśliwiła, nigdy jednak nie odzyskam wolności.

Wiesz z pewnością, czego po mnie oczekiwać. Wyliczenia faktów. Prawdy nie da się oddać. Trudno mi nawet ją zarysować, ponieważ nie ma na to dobrego sposobu. Kiedyś myślałam, że żadna autentyczna prawda nie sięgnie tam, gdzie potrafi dosięgnąć prawda wymyślona. Ale prawda getta i kacetu udowodniła coś przeciwnego: że może sięgnąć znacznie dalej niż wszelka fantazja. Ludzie tu powiadają, że nasze niesłychane przeżycia, niemieszczące się w ramach historii, biorą się z tego, że po raz pierwszy w dziejach ludzkości zagrały ze sobą jednocześnie cywilizacja i produkcja śmierci. Trudno mi to przetłumaczyć. Byłeś jednak w swoim piekle, spróbuj więc wczuć się w moje. Nie ma między nimi wielkiej różnicy. Spróbuj dosięgnąć mnie poza sferą moich przedwojennych wyrażeń, dostrzec przez opisy, które moje pióro zdoła z siebie wydać.

Od czego mam zacząć? Może od samego początku, żeby się łatwiej rozwijało. Pamiętasz, Wierka miała pojechać do Wilna 2 września. Miałam już paszport,

wizę, bilet kolejowy. Mój wyjazd do Paryża został zaplanowany na 10 września. Wojna wybuchła 1-ego.

Niemcy zajęli Łódź, a Marek powiedział mi: „Uratowali naszą miłość, a zagrażają naszemu życiu".

Jesień minęła, przyszła zima. Miasto, przystrojone w czerwone chorągwie ze swastykami na tle śnieżnej bieli, leżało sparaliżowane i zastygłe w niemieckiej pięści. Rozniosły się wieści, że Łódź będzie *judenrein*[374]. Ciocia Rachela nie mogła już wytrzymać razów zbieranych przez wuja Szaję, ilekroć wychodził na ulicę. Porozmawiała z Binele i pobiegła do pozostałych sióstr, a potem przekonała wszystkich, by udać się do Bocianów. Żydzi żyli tam zupełnie jak przed wojną[375]. Poszliśmy po radę do Cederbojmów.

– Może będzie dla was lepiej opuścić miasto – powiedział Wowa. – My się jednak nie ruszymy, dopóki nie dostaniemy wiadomości od Herszka.

Herszko został zmobilizowany do polskiego wojska i nie wrócił do domu.

Ciocia Rachela i pozostałe dwie siostry mamy udały się do Bocianów. My pozostaliśmy. Pewnego dnia mama wróciła z dworu roztrzęsiona. Widziała folksdojcza, Herr Vogelschussa, ubranego w brunatną koszulę ze swastyką na ramieniu, goniącego kolumnę Żydów schwytanych na roboty. Pamiętasz, wraz z nadejściem nowego roku i falą mrozów rozniosła się uparta plotka, że na Bałutach powstanie getto dla wszystkich łódzkich Żydów[376]. Słowo „getto" przyprawiało o ciarki. Minęło trochę czasu i pokazały się plakaty na murach o „*Wohngebiet für Juden*[377]".

Zaczęliśmy się gorączkowo pakować i szykować na wyjazd do Bocianów. Suszyliśmy suchary na kuchni, żeby wziąć na drogę. Marek nie chciał się ze mną rozstawać. Poszedł do Ogrodowa zobaczyć, co słychać u rodziców. Wrócił tego samego wieczora. Padł na ławkę i nie mógł wydobyć z siebie słowa. Potem wybuchł spazmatycznym płaczem i wyjąkał dziwne, niewiarygodne wieści, że

---

374 *Judenrein* (niem.) – termin nazistowski stosowany podczas II wojny światowej opisujący obszar, który został „oczyszczony" z Żydów, podobnie jak *judenfrei* – teren „wolny" od Żydów.

375 To nie do końca prawda. Już w październiku 1939 r. w Końskich wyznaczono obszar tzw. dzielnicy żydowskiej, a kilka miesięcy później teren ten oficjalnie przekształcono w getto.

376 W końcu 1939 r. pojawiła się pogłoska, że wszyscy Żydzi zostaną wysiedleni z miasta, a Łódź ma zostać „wolna od Żydów", potem: że w północnej części Łodzi utworzone zostanie getto. Formalnie zarządzenie niemieckiego prezydenta łódzkiej policji Johanna Schäfera informujące, że powstanie specjalna dzielnica dla Żydów, ukazało się 8 lutego 1940 roku w gazecie „Lodzer Zeitung", w kolejnym tygodniu zaczęły się przymusowe przesiedlenia. W tym czasie tysiące łodzian uciekało z miasta. Tylko w marcu Łódź opuściło 15 878 Żydów!

377 *Wohngebiet für Juden* (niem.) – dosł.: dzielnica mieszkaniowa dla Żydów, tablice z takim napisem pojawiły się w obrębie Starego Miasta i Bałut w kwietniu 1940 r. W tym czasie teren getta został otoczony drutem kolczastym.

jego rodzice zostali zastrzeleni w lesie pod Ogrodowem, razem z rabinem, żoną rabina i grupą ważniejszych Żydów.

– To moja wina… Moja wina… – szlochał Marek.

Ty, Abraszo, dołączyłeś do nas na podróż do Bocianów. Icchok też nie chciał rozstawać się z Wierką i dołączył do naszej grupy.

Tak opuściliśmy dom przy Nowomiejskiej i mieszkanie z doniczkami Binele na oknie. Binele nie martwiła się o nie. Była pewna, że przetrwają. Żona stróża też je lubiła. Wiedzieliśmy, że gdy tylko odejdziemy, pan Wygodny wyłamie zamek, jak czynił to z innymi opuszczonymi mieszkaniami. Wejdzie do mieszkania i opróżni je ze wszystkiego, co pozostało.

Przed odejściem Binele rozejrzała się jeszcze raz po mieszkaniu. Jej wzrok zdradzał, że jest szczęśliwie jedyną z nas, która wie, że dom przepadł raz na zawsze. Czuła to całą sobą. A jednak nie uroniła łzy, gdy wyszliśmy z mieszkania.

Rozdział dwudziesty szósty

To czwarty dzień naszej wędrówki po pokrytych śniegiem bezdrożach, w ciągniętym przez szkapinę wozie, który Ty, Abraszo, dla nas zorganizowałeś. Mijamy miasteczko Sokoły – i nagle droga robi się pusta. Co jakiś czas mijamy zagajnik albo las. Rzadko pojawiają się sanie albo wóz ciągnięty przez konia. Samochody z Niemcami oraz wojskowi na motocyklach mijają nas w wielkim pośpiechu. Zdjęliśmy żółte łaty i można nas uznać za chłopów. Zdecydowaliśmy, że jeśli zatrzyma nas Niemiec, odpowiemy na jego pytania po polsku. Mama i ja idziemy przodem. Mamy dobry, aryjski wygląd, a ja, ze swoim doskonałym polskim, zostałam wybrana na rzeczniczkę grupy. Zapomnieliśmy zdecydować, co takiego mam powiedzieć, jeśli Niemcy zażyczą sobie dokumentów.

Rosnąca pustka na drodze przyciąga melancholię. Powietrze jest ostre. Coraz trudniej się maszeruje. Koń ledwo powłóczy naprzód. Ale nie jest zimno. Twarze czerwienieją jak buraki, oczy rozpalają się gorączkowo. Człowiek upaja się napięciem. Słowa mają sens, a jednak brzmią głupio. Wszystko wokół wydaje się zasnute mgłą i nierealne. Zupełnie jakbyśmy zgubili się w zimowej fantasmagorii. Tu i tam unosi się dym z chaty zakopanej w śniegu. Drewniane, malowane śniegiem, nagie figury Jezusa wyglądają, jakby wyskoczyły nam naprzeciw wsparte na krzyżach jak na kulach. Pozdrawiamy te postaci, naszych braci, i rzucamy im cyniczne spojrzenia przez szpary oczu, spomiędzy ośnieżonych powiek. Czy On, sam będąc ukrzyżowaną ofiarą, jest prawdziwą przyczyną naszej bezdomności, naszej włóczęgi po pokrytej śniegiem drodze? Ma szczęście, jest bożkiem wyżłobionym z drewna i pomalowanym śniegiem.

Jankew proponuje, żeby nie pozostawać dłużej na tej drodze i wybrać inną, równoległą, która jest jeszcze węższa i prowadzi przez ogromny las iglasty.

Tu droga opustoszała. Nie widać już żydowskich wozów[378], chłopskich sań, przejeżdżających Niemców. Można czuć się nieswojo, będąc na opustoszałej, białej drodze. Tak wędrujemy przez las, przez tajemniczą ciszę drzew. Tajemniczość wydaje się senna, nieswoja i nierealna. A jednak robi się nam, dwóm młodym parom, romantycznie. Nie zważając na senność i dojmujący ból w sercach, pomagamy konikowi i popychamy wóz na grubej warstwie śniegu. Wierka idzie koło Icchoka, ja koło Marka.

Opowiadam Markowi o czasach, gdy byłam małą dziewczynką i wędrowałam wraz z ojcem do lasu w Stefanowie. Marek żartuje, że pozostałam tą samą małą dziewczynką. Flirtuje ze mną i szturcha wesoło barkiem. Ale jego oczy są tak smutne, że lepiej im się nie przyglądać.

Słońce nagle wygląda spomiędzy gałęzi i rozlewa się kaskadą ciepłego światła po koronach drzew. Śnieg na gałęziach lśni diamentowymi i rubinowymi iskrami. W promieniach słońca rozlewa się jakaś łagodność. Cisza wokół robi się przyjemniejsza, uspokajająca. Od czasu do czasu zaśpiewa ptak, jakby chciał nas zapewnić, że na drodze nie czyha żadne niebezpieczeństwo. Można poczuć się bezpiecznie. Myśl o tym, co dzieje się z nami wszystkimi, wydaje się niewiarygodna. Nie ma wojny, rabunku, mordu. Boży świat wypełnia równowaga. Głupotą byłoby poddać się przerażeniu, które nie przestaje kołatać w sercu, pozwolić mu zatruć ten spokój.

– Pierwszy raz w życiu widzę las zimą – odzywam się do Marka. – Wygląda jeszcze bardziej tajemniczo niż latem. Mam słabość do lasów. Mogłabym spacerować z tobą bez ustanku. – Tulę się do niego. – Pewnego razu, gdy będziemy bogaci, Marku, postawimy sobie dom w lesie, blisko morza. Morze też mnie ciekawi. Jak podoba ci się ten plan?

Marek nie odpowiada, tylko wskazuje ruchem głowy ludzką postać wychodzącą z lasu w oddali. Gdy podchodzimy bliżej, widzimy przysadzistego chłopa z długą siekierą zarzuconą na ramię, idącego w naszym kierunku.

– Niech będzie pochwalony – pozdrawia go Binele w chłopskim polskim z Bocianów. Otula się szczelniej chustą.

Chłop niemal wchodzi pomiędzy nas.

– A wy, Żydki – warczy i wybałusza oczy na Jankewa – ruszyliście w drogę szukać Niemców? Nie musicie się bardzo starać. Właśnie weszliście w ich pułapkę. W całym województwie nie został przy życiu żaden Żyd. Wielu spotkaliście Żydów po drodze? Niemców jest mnóstwo. Wczoraj w nocy załatwili wszystkich Żydów w miasteczkach wzdłuż szosy.

Binele staje pomiędzy chłopem a Jankewem i pyta, dzwoniąc zębami:

– Kto wam powiedział, żeśmy Żydzi?

---

[378] Był to czas, gdy zarówno Łódź, jak i okoliczne miasteczka opuszczało wielu Żydów i Polaków uciekających na teren Generalnego Gubernatorstwa.

– Wasze królicze oczy mi powiedziały, ot co! – ryczy. Zbliża się do wozu i zrywa plandekę kryjącą rzeczy. Binele staje tuż za nim.

– Może zdoła nam pan pomóc? – pyta.

– Z pewnością. Zostawcie wszystko u mnie, popilnuję. – Kiwa głową w kierunku drogi. – Oddajcie mi całe złoto, które macie przy sobie, i uciekajcie do lasu, tam po lewo. Setki Żydków przeszły już przez moje ręce w ciągu ostatniego tygodnia – chwali się bezmyślnie i przekłada siekierę na drugi bark. – Nie martwcie się Żydki, nie wydam was w ręce wszawych Szwabów. – Przepycha się bliżej Jankewa. – No, co tak stoicie i tracicie bezcenny czas? Nie zasłużyłem na wynagrodzenie za to, że was ostrzegam? Nie milej wam będzie zostawić majątek u mnie, także diamenty i złoto zaszyte w kołnierzach, niż oddać je psim synom? Wam się i tak już na nic nie zda. Prędzej czy później czarty i tak was dopadną. – Chwyta Jankewa za klapy.

Jankew próbuje uwolnić się z jego rąk.

– Przecież na własne oczy widzisz, że nie mamy ani pieniędzy, ani złota – chrypi. – Jesteśmy ludźmi pracy, tak jak ty. Dlaczego miałbyś nam nie pomóc? Wróg jest ten sam dla was i dla nas.

Chłop puszcza Jankewa. Wsadza wolną rękę w głąb wozu i zaczyna szperać.

– Nie mydl mi oczu – mruczy. – Jedyna praca, do jakiej wy, Żydki, się nadajecie, to liczenie pieniędzy. Wyjmować wszystko, co macie przy sobie, już! W tej chwili!

Ty, Abraszo, uderzasz szkapę po grzbiecie i ciągniesz za lejce. Wszyscy bez zastanowienia zaczynamy pchać wóz naprzód, ciągnąc chłopa niewyjmującego ręki ze środka.

– Ostrzegam was! – wydziera się. – Nie jestem tu sam. Wywołam ich z lasu, nie zdążycie nawet poprosić Boga o wybaczenie. – Wyskakuje naprzód, łapie za lejce i ciągnie konia w drugą stronę.

– I ty się nazywasz chrześcijaninem? – syczy Wierka spomiędzy zębów, nie mogąc powstrzymać złości. – Tak miłujesz bliźniego swego?

Chłop spluwa w śnieg.

– Nie jesteście moimi bliźnimi, tylko Judaszami, którzy zabili naszego Boga. Musi być sprawiedliwość w świecie. Wy parszywcy, za długo żyliście na nasz rachunek.

Puszcza lejce. Najwyraźniej czuje słabość do Jankewa, ponieważ znów rusza w jego stronę i zaczyna targać go silną pięścią za ubranie. Jankew próbuje się wyrwać, ale potężny chłop nie odpuszcza. W końcu udaje się Tobie, Abraszo, oderwać Jankewa. Cała grupa napiera na chłopa i go odpycha. On zdejmuje siekierę. Icchok i Marek sięgają po swoje kieszonkowe scyzoryki, które w rękach wyglądają jak zabawki. Jankew rozpina kurtkę i pokazuje chłopu puste kieszenie.

– Wiejmy, zanim weźmie się za siekierę! – woła Icchok w jidysz.

Marek się zgadza.

– Mógł powiedzieć prawdę o mordach w miasteczkach.

Machając siekierą, chłop rusza w Twoją stronę, Abraszo. Zgrabnie chwytasz jego pięść.

– Ile chcesz? – pytasz.

– Powiedziałem. Wszystko chcę! – Chłop waży siekierę w ręce.

– Zrozum, bracie, nie przeżyjemy, jeśli zabierzesz nam wszystko – wtrąca się Jankew.

– I tak nie przeżyjecie. Szwaby, sukinsyny, uczynią nam tę jedną przysługę...

Binele rozwarła nagle chustę.

– Tutaj! Tutaj! – woła jak opętana. – Tu mam wszystkie pieniądze! – Pokazała na mieszek przewieszony przez ramię. Otworzyła go. – Proszę, bierz wszystko! – wyje.

Gdy chłop wyciąga rękę, aby wyrwać mieszek, Icchok wyrywa mu siekierę. Wy trzej, razem z Markiem i Jankewem, rzucacie się na niego.

– Staszek! Staszek! – wyje chłop.

– Zamknij gębę! – krzyczy rozpalony Jankew, trzymając ręce chłopa. Udaje wam się zgiąć je na plecach. – Związmy ręce, szybciej! – nakazuje Jankew i krzyczy do chłopskiego ucha, gdy łzy wzburzenia zalewają mu oczy: – Niemcy i ciebie nie poszanują, ty chamie jeden, nie martw się!

– Ręczniki! Wyjmijcie ręczniki! – Binele rozkazuje Wierce i mi, a i sama biegnie do wozu, podczas gdy chłop rzuca się niemiłosiernie i próbuje uwolnić się z uścisku. Zesztywniałymi, drżącymi palcami przeszukujemy torby i worki pod plandeką. Binele nie pamięta, gdzie spakowała ręczniki, ale znajduje szabesowy obrus, który z takim oddaniem wyhaftowała i ozdobiła krzyżykowymi kwiatami. Z pomocą moich i Wierki ostrych zębów, rozdzieramy obrus na długie pasy. Binele ściąga też sznur z worka na ubrania i zaczyna związywać podskakującego chłopa.

– Staszek! – wrzeszczy chłop i rzuca się dziko w uścisku. Kopie nogami i ledwo utrzymuje równowagę. – Puszczajcie mnie, gudłaje[379]! – wydziera się. – Niemcy są w lesie. Oczyścili województwo ze wszystkich Żydów i ich wyrżnęli. Wkrótce tu będą i wezmą się też za was! Powieszą was na drzewach! Na drzewach będą was wieszać!

Jankew wymierza mu policzek.

– Zamknij gębę! – Głos Jankewa, jakby przesiąknięty łzami, brzmi jak miauczenie kota. Cały się trzęsie.

Chłop ma nadludzką siłę. Czterech mężczyzn wisi na nim jak marionetki. Rzuca nimi na lewo i prawo, nie daje się uspokoić. Mija trochę czasu, zanim udaje się związać mu ręce na plecach. Kopie i szturcha łokciami, ciągnie wszystkich za sobą.

---

[379] Gudłaj (ukr.) – dosł. kudłaty, przestarzałe pogardliwie określenie Żyda.

– Zobaczycie niedługo, sukinsyny! Wkrótce zobaczycie! – wydziera się i krzyczy – Staszek! Pomocy! Chodź szybciej!

Icchok zamachnął się siekierą.

– Ani słowa więcej!

Ale chłop woła dalej:

– Staszek! Synu! Pomocy! Jezus! Jezus!

Mężczyźni wciąż wiszą na jego szyi. Ciągnie ich za sobą i dusi się. Próbuje się chwycić za gardło i w końcu wyślizguje się i pada na zaśnieżoną drogę. Wiążemy mu nogi kawałkiem obrusu. Binele próbuje zakneblować chłopa, związując mu pas materiału wokół głowy, ale nie potrafi dać sobie rady. Przyciskamy go do ziemi, przytrzymujemy ręce i nogi. Każdy wstrząs jego ciała trzęsie również nami. W końcu jednak Binele udaje się jakoś dokończyć dzieła. Chłop leży u naszych stóp zakneblowany, z rękami związanymi na plecach i spętanymi nogami. Chwilę nad nim stoimy. Dzwonią zęby. Nogi się trzęsą. Gapimy się na leżącego jak na egipską mumię.

– Ruszamy stąd! – woła Jankew. Twarz ma bladą jak śnieg, jego powieki są wilgotne i ciemne. Z każdym wstrząsem leżącego na ziemi ciała, wstrząsa i nim. Oczami wodzi bezładnie po twarzach pozostałych. Chwyta Nońka za rękę, ciągnąc jednocześnie za lejce.

– Nie można go tak zostawić – odzywa się Icchok. – Ktoś musi tu z nim być. Mogą nas dogonić.

– Zabij go siekierą, tato! – Noniek wybucha histerycznym płaczem. Jego twarz jest sina i przezroczysta, jakby wykuta była z kawałka lodu.

Z lasu dochodzi głos:

– Ojcze! Ojcze! Do diabła, gdzież ty?

Młody chłop z siekierą zarzuconą na ramię pojawia się w oddali wśród drzew na skraju lasu. Icchok i Marek znów chwytają za scyzoryki. Ty, Abraszo, szepczesz do Jankewa i pokazujesz związanego:

– Przytrzymaj go tu!

Dajesz znać Markowi i Icchokowi, i wszyscy trzej chowacie się za wozem. Szkapina macha w powietrzu kopytami i rży niecierpliwie, jakby znudziła się oglądanym spektaklem.

Młody chłop, który właśnie wyszedł z lasu, kieruje się w stronę wozu. Gdy nas zauważa, stawia kroki ostrożniej. Dostrzega związanego i rusza przed siebie z uniesioną siekierą. Marek i Icchok zaskakują go od tyłu. Ślizga się i przewraca, siekiera wypada mu z ręki. Noniek podbiega i obiema rękami podnosi siekierę. Przygięty jej ciężarem, krzyczy w spazmach:

– Zabij ich, tato! Zawołają Niemców! Zabij ich!

Binele przynosi pełną garść sznura wyrwanego z worków na wozie.

– Dawajcie! – woła Jankew. – Przywiążmy ich do drzewa!

Młody chłop prosi:

– Zlitujcie się! Jesteśmy ubogimi drwalami!

– Jesteście rezunami[380]! – wrzeszczy Wierka, a jej oczy przepełnia szaleństwo. Kopie go.

Młody chłop leży twarzą do ziemi, opierając o śnieg raz jeden, raz drugi policzek. Gdy wszyscy zajmujemy się wiązaniem, wybucha płaczem:

– Bracia, czego od nas chcecie? Cośmy wam zrobili? Jezus Maria... – Zakneblowanymi przez Wierkę ustami skomle: – Ratuj! – Jego związany ojciec ślizga się z całych sił i przybliża się do syna.

Nie mogę się nadziwić, gdzie Wierka nauczyła się tak dobrze kneblować ludziom usta. Moje własne, zesztywniałe dłonie są tak niezdarne, że niewiele potrafię jej pomóc.

Binele przynosi więcej obrusów, drzemy je szybko na pasy. Stawiamy związanego chłopaka na nogi. Ty, Abraszo, z siekierą w rękach, nie spuszczasz wzroku ze starego, który wydaje się znacznie groźniejszy. Binele odbiera Nońkowi siekierę. Gdy popychamy rozdygotanego chłopaka – który spętanymi nogami jest w stanie stawiać jedynie drobne kroki – i prowadzimy w kierunku drzewa, Binele idzie za nami z siekierą. Zatrzymujemy się przy drzewie.

– Zabierzcie go głębiej w las – rozkazuje. – Nie może być go widać z drogi.

Wierka kręci energicznie głową.

– Ale mamo, zamarznie na śmierć.

O tym właśnie myślała Wierka! Nikt z nas o tym nie pomyślał, tylko ona. Przywiązujemy młodego chłopa do drzewa, tak, by dało się go dojrzeć z drogi. Widziałam podobną figurę przywiązaną do drzewa w filmie o kowbojach i Indianach. Razem z mamą i Wierką pilnuję młodego. Pozostali idą zająć się starym. Noniek biega tam i z powrotem, spazmatycznie błagając:

– Zabijcie ich! Zabijcie ich! Boję się!

Odciągają ojca nieco dalej od drogi i przywiązują do drzewa. Kilka razy sprawdzamy, czy sznur jest odpowiednio mocny i czy kawałki obrusa dobrze zatykają usta. Teraz te dwie ludzkie figury przypominają huby rosnące na pniach. Ich ludzki wygląd ulega zatarciu, stają się „rzeczami", kawałkami drzewa.

– Wio! – Jankew strzela z bata i daje nam wzrokiem znać, żebyśmy zawrócili, aby zmylić związanych. Pchamy wszyscy wóz w drogę powrotną. Po pokonaniu pewnego dystansu Binele proponuje, żeby iść przez las.

– Do diabła z wozem i tą odrobiną majątku – prycha. – Droga nie jest bezpieczna.

Zgadzamy się z nią. Ledwo mamy siłę iść dalej, tak wymęczeni jesteśmy tym, co nas spotkało. Ty, Abraszo, odprzęgasz szkapinę od wozu, wyprowadzasz ją na środek drogi, strzelasz z bata i wołasz „Idź"! Koń odwraca do Ciebie głowę, po czym rusza naprzód, jakby wciąż ciągnął za sobą wóz. Wszyscy zaprzęgamy się do wozu i ciągniemy go po śnieżnych pagórkach na drugą stronę lasu. Tam

[380] Rezun (staropol.) – zabójca, siepacz, morderca, także rzeźnik.

każdy bierze plecak przygotowany na taką okazję, na wypadek konieczności porzucenia wozu. Zabieramy torby z jedzeniem.

Wędrujemy rozproszeni głębiej w las i ponownie zwracamy się w kierunku, w którym chcieliśmy iść. Śnieg nie jest tak głęboki i wydaje się mniej zimno. Im bardziej z kończyn schodzi napięcie, tym bardziej zmęczeni się czujemy. Trudno nam uwierzyć, że uczyniliśmy to, co właśnie uczyniliśmy. Skąd się w nas wzięła taka czujność umysłu, taka precyzja poruszania się, takie zgranie woli, jakbyśmy to z wyprzedzeniem zaplanowali? Ledwie przecież zamieniliśmy z sobą słowo. Gdy zdajemy sobie sprawę, która jest godzina, i że od spotkania ze zwalistym chłopem minęło raptem dwadzieścia minut, nie możemy tego pojąć. Jakże relatywne bywa pojęcie czasu!

Pędzimy naprzód w zupełnej ciszy, ponieważ przechodzimy równolegle do miejsca, w którym rozegrały się sceny z chłopami. Icchok zakrada się sprawdzić, co słychać u naszych związanych. Powróciwszy, nic nie mówi, daje tylko znak ręką, aby iść dalej. Binele trzyma się mocno ramienia Jankewa. Icchok podtrzymuje Wierkę i dosłownie niesie ją ze sobą. Blady uśmiech pojawia się na szarawosinych ustach Wierki. Chociaż nie płacze, z jej oczu, sinych i opuchniętych, spływają łzy. Ty, Abraszo, kroczysz z boku, trzymając Nońka za rękę. Marek i ja maszerujemy za wami.

Mija nam w pośpiechu kilka minut, gdy zauważamy wąski dyszel sterczący spomiędzy kupy gałęzi niepokrytej śniegiem. Gałęzie wyglądają na świeże, jakby dyszel i to, co jest do niego przyczepione, dopiero się tu znalazły.

Pospiesznie zdejmujemy gałęzie. Pokazuje się koło.

– Wózek! Mogę przysiąc, że należy do tych dwóch chamów – mówisz cicho. – Weźmy go i połóżmy plecaki.

Dalej sprzątamy gałęzie. Gdy tak kopiemy i trzęsiemy wózkiem, pojazd przewraca się i wyrzuca małą, płócienną torbę oraz damską torebkę.

– To żydowskie! – szepcze Binele.

Otwierasz torebkę i znajdujesz kilka srebrnych sztućców oraz zawiniątko marek niemieckich związanych wstążką.

– Zabierajmy i w nogi – mówisz.

Wózka nie zabieramy. Spieszymy naprzód, głębiej w las. W pośpiechu Binele otwiera płócienną torbę i znajduje w niej dwie sztuki sztućców, sznur pereł i pudełeczko zdobione masą perłową. Także złoty zegarek na złotym łańcuchu leży w środku, razem z kilkoma pierścionkami i broszkami. Odkrycie skarbu nie robi na nas wrażenia. Miara wartości rzeczy, podobnie jak miara czasu, jest relatywna. Szklanka z rubinowoczerwoną herbatą, ze złotym półksiężycem cytryny, słodzona dwiema łyżeczkami cukru, pita w spokoju przy dobrze rozpalonym piecu – byłaby większą wygraną. A jednak, nawet ta bolesna wygrana była trudna do przecenienia.

Jak daleko byśmy nie zaszli w głąb lasu, uważamy, aby nie wystawiać się na światła bijące z drogi. Zmęczenie coraz bardziej ciąży kończynom. Ledwo podnosimy nogi, wydostając się co chwila ze śniegowych zasp.

– Wkrótce odpoczynek. – Jankew pociesza Nońka i wciąż spogląda w jego stronę.

Jankew pozostał blady, oczy mu łzawią. Binele zwykła mówić, że jego oczy przypominają dwa półmiski miodu. Ale miód już dawno z nich wypłynął. Pozostała brunatna, wodnista mgła. W ostatnim czasie Binele mówiła, że jeśli chce się ujrzeć miód z oczu Jankewa, trzeba przyjrzeć się oczom Wierki, albo popatrzeć na fotografię zrobioną zaraz po ich weselu. Fotografię, która zwykła wisieć na ścianie w mieszkaniu przy Nowomiejskiej. Teraz Binele trzyma tę fotografię, wyjętą z ramki, zatkniętą w torebce, razem z innymi zdjęciami rodziny.

Las kończy się i wychodzimy na otwarte, pokryte śniegiem pole. Nie widać żadnych chat. Śnieg jest gęsty i głęboki, rozpostarty po równinie, tak iż wzrok sięga na mile. Nie ma wyjścia, trzeba znów przedostać się na pobliski szlak. Przypominamy ciemne figury na tle bieli, decydujemy się więc nie iść razem, lecz rozrzuceni po drodze, aby mniej rzucać się w oczy. Icchok rusza naprzód, a Marek pozostaje ostatni z tyłu. Mają nam dawać sygnały, machając rękami, gdyby zauważyli coś z obu stron kolumny. Zapada wieczór. Nie wiadomo, czy na horyzoncie widać chmury, czy zarys małopolskich wzgórz, okolic Bocianów.

Figura Icchoka, daleko z przodu, jest ledwie widoczna. Gdy do niego podchodzimy, wskazuje na punkt pośrodku śnieżnej pustyni.

– Chałupa tam, widzicie? Komin nie dymi. Przenocujmy.

– Kto potrzebuje nocować? – Binele kręci głową. – Nie jesteśmy jeszcze dość daleko lasu. Goje mogli rozerwać sznur i ruszyć w ślad za nami. A iść nocą jest pewniej niż za dnia.

– Pozwólcie, że chociaż spojrzę – upiera się Icchok. – Podskoczę tam i zaraz wrócę.

By mniej się rzucać w oczy i dać odpocząć stopom, siadamy na śniegu. Patrzymy, jak Icchok oddala się, jak znika wśród śniegu i wyrasta z powrotem. Coraz trudniej go dojrzeć przez lodowatą, śnieżną kurzawę pośród coraz ciemniejszej szarości wieczora. Zauważamy jednak, że dochodzi do chałupy. Cisza szumi w uszach. Słyszymy głośny okrzyk i przechodzi nas dreszcz. Mija chwila, nim zdajemy sobie sprawę, że to ptak zaskowyczał prawie ludzkim głosem.

Noniek swoimi bystrymi oczami dostrzega, że Icchok macha do nas rękami. Ruszamy przez pole w jego kierunku. To nadzwyczaj ciężka wspinaczka przez śnieżne zaspy. Pot zalewa twarz. Co kilka chwil trzeba się zatrzymywać i łapać oddech, poprawiać plecak. Rzemienie plecaków wcinają się w ciało i łopatki. Odwijamy szale wokół szyi, rozpinamy płaszcze. Binele ani słowem nie skarży się na „swego" Icchoka. Wie, co robi.

Gdy w końcu do niego docieramy, widzimy fragmenty szyn błyszczące pod śniegiem. Chata okazuje się stacją kolejową. Noniek próbuje wejść do środka i zaczyna majstrować przy klamce. Chwyta za napis i czyta głośno: „Do Chwostów złoty i siedemdziesiąt pięć groszy. Do Bocianów złoty...".

– Bociany leżą tylko kilka stacji stąd – mówisz.

– Więc chodźmy szynami – proponuje Binele.

Zmęczenie znika z członków. Oczy rozświetlają się żywo. Czuć szyny pod nogami, idziemy wzdłuż nich jednolitym rządkiem. Wysokie ośnieżone wały pojawiają się po obu stronach i sprawiają wrażenie, jakby się szło rodzajem chroniącego tunelu.

– Nocą widocznie pociągi nie jeżdżą – mówię.

– Za dnia też nie – odpowiadasz.

Kilka godzin wędrujemy wzdłuż torów kolejowych. Zapada noc, a z ciemności wyłaniają się czarne ściany, które blokują nam drogę. Zniszczone wagony wznoszą się w powietrze, jak pary zamarzniętych, brykających koni na tylnych kopytach.

– Tu odpoczniemy – mówi Jankew. Ledwo trzymamy się na nogach.

Binele jest być może najbardziej zmęczona z nas wszystkich. Jednak nie chce słyszeć o odpoczynku. Jakby wstąpił w nią dybuk, chce tylko ciągnąć naprzód. Podchodzimy do niej, prosimy, próbujemy przekonywać, że potrzebuje odpocząć, ale ona kategorycznie kręci głową:

– Nie, jest niebezpiecznie. Idziemy prosto do Bocianów. Nie może być już tak daleko. Tam odpoczniemy.

Noniek skarży się:

– Nie utrzymam otwartych oczu.

To w końcu przekonuje ją do ustąpienia. Co się jednak tyczy zorganizowania noclegu, łatwiej powiedzieć niż zrobić. Wykrzywione drzwi przewróconych wagonów są zamknięte i zamarznięte. Nie ma innego wyjścia, jak wyjąć szkło z rozbitego okna i wpełznąć przez nie do środka. Icchok i Marek są pierwszymi, którym się to udaje. Najpierw biorą plecaki, potem pomagają pozostałym przedostać się przez okno. Trzymamy się za na poły urwane siedziska i w ten sposób przedostajemy się na dolny pokład, gdzie popękane szyby nie wyleciały, a wiatr nie wieje tak mocno. Chłopcy zbierają kilka leżących drewnianych siedzisk i układają rodzaj legowiska. Padamy na nie wszyscy. Binele chce podać coś do jedzenia, ale wszyscy odmawiamy.

Podnosi głos:

– Musicie jeść. Trzeba zebrać siły, by przebić się do Bocianów.

Słuchamy jej i każdy bierze po sucharku. Potem przytulamy się do siebie i opieramy głowy o plecaki. Noniek pyta:

– Jak sądzisz, tato, czy tych dwóch Polaków już zamarzło, czy nie?

– Może ktoś ich zobaczył z drogi i rozwiązał – odpowiada Jankew.

– Boję się spać, tato – szepcze chłopiec i zaraz zasypia, wtulony między rodzicami, przykryty chustą Binele. Przypominam sobie, że nazajutrz wypadają jego urodziny.

Do innych sen nie chce nadejść. Robi się coraz zimniej, coraz mniej wygodnie tak leżeć. Leżę w ramionach Marka i myślę o tych dwóch chłopach przywiązanych

do drzewa. I myślę o Bocianach. Myślę, że znów zobaczę ciocię Rachelę i wujka Szaję. Myślę o bogatej cioci Rejzeli i ubogiej cioci Maszy z ich licznymi rodzinami. Relacje mamy z siostrami teraz się polepszą, gdy przyjdzie żyć ze sobą tak blisko. Widzę się obejmującą babcię Hindę i dziadka Joselego, i siostrę taty, ciocię Gitlę, która ma już trójkę dzieci, oraz drogą ciocię Szejndlę, która w końcu wyszła za mąż i niedawno urodziła chłopczyka. Rozmyślam też o moich kuzynach i kuzynkach, dzieciach wuja Szolema, dorosłych ludziach, których prawie nie znam. Teraz zostaniemy jedną wielką rodziną. Taka plątanina pokrewieństwa. Jak się to ułoży i jak na tym wszyscy wyjdziemy? I jak to będzie? I znów myślę o chłopach przywiązanych do drzewa. Boję się...

W ciemności zauważam otwarte oczy taty. Wsłuchuje się w ciszę. Gdy tylko z zewnątrz dochodzi jakiś dźwięk, podnosi głowę. Słyszę jego ciężkie westchnienia i wyobrażam sobie, że też myśli o tych dwóch chłopach... I o Bocianach. Zastanawiam się, skąd tata weźmie siłę, aby znieść dodatkowe zmartwienia całej dużej rodziny. Wygląda bardzo źle. A jeśli coś się w Bocianach wydarzy, jak będziemy się ratować? Na przykład babcia Hinda. Jest taka malutka, taka słaba i bezradna, a tata ją tak kocha. A dziadek Josel, chociaż wciąż dość silny, jest zupełnie ślepy i niepewnie trzyma się na nogach.

Złoszczę się na siebie. To nie jest właściwy czas, by poddawać się takim myślom. Przede wszystkim nie powinnam rozmyślać, tylko złapać nieco snu, odzyskać siły. Może wszyscy przeżyjemy wojnę w Bocianach? Nigdy nie widziałam Bocianów w zimie. Przyjdzie wiosna. Po raz pierwszy w życiu będę mogła obserwować, jak natura budzi się po zimie.

Słyszę, jak Wierka i Icchok się całują. Miłe dźwięki. Ale sprawiają, że robię się niespokojna. Przeszkadzają mi wychwytywać dźwięki z zewnątrz. Czuwam podobnie jak tata. Marek ma oczy zamknięte. Wiem, że nie śpi. Jest zajęty myślami. Boję się pytać, co go tak zajmuje. A co do Ciebie, Abraszo, nie widzę Cię, ale słyszę, że się poruszasz. Jesteś niespokojny. Może rozmyślasz o tych chłopach... I o Twojej starej matce w Bocianach? Masz plan, aby nasza cała grupa, „rodzina ośmiorga", zamieszkała w Twoim domu na Błękitnej Górze. Ten projekt nie wydaje się zbyt realistyczny. Sama nie wiem dlaczego. Robi mi się bardzo zimno.

Słyszę, jak Binele mówi do Jankewa:

– Trzeba ruszyć w drogę, jak długo jest ciemno.

– Szkoda budzić Nońka – odpowiada szeptem Jankew. – Smacznie śpi.

– Gdy trzeba, to trzeba. Tu i tak jest zbyt zimno. Niewygodnie. – Binele siada i szturcha Nońka za bark. – Pora ruszać w drogę, synku. – I głośno mówi: – Dzieci, idziemy dalej!

Już stoi wyprostowana i trzyma się za oparcie siedziska. Jankew pomaga Nońkowi wstać. Wypełzamy na krzywą podłogę i znajdujemy pozbawione szyby okno, przez które dostaliśmy się do środka. Jest dość jasno dzięki śniegowi, który pokrywa wały wzdłuż torów.

Wydostawszy się na zewnątrz, ruszamy powoli naprzód. Idziemy ostrożnie pomiędzy zniszczonymi wagonami. Nogi zesztywniały, poranione wdrapywaniem się i wydrapywaniem z wagonu, łażeniem po lodzie i śliskich powierzchniach. Każdy ruch wymaga wielkiego wysiłku i człowiek dziwi się samemu sobie, swojej stężałej zgrabności, energii, którą wciąż posiada. Po wyjściu na otwarte szyny, Ty, Abraszo, ruszasz naprzód, trzymając za rękę Nońka. Ale Noniek uderzył się w kolano i nie dotrzymuje Ci energicznego kroku. Bardzo chce być dzielny, ale gdy proponujesz wziąć go na barana, zgadza się z radością. Dosiada Twoich barków i jako pierwszy wita wspaniały wschód słońca.

*

Następnej nocy przybywamy do Bocianów od strony stacji kolejowej. Stoimy w rynku obok kościoła Wszystkich Świętych. Psy zaczynają zawodzić. Mała czerwona lampka oświetla statuę ukrzyżowanego w zewnętrznej niszy kościoła. Znikąd nie dobiega inne światło, za wyjątkiem bieli śniegu, który pokrywa rynek i Pociejów. Jak cienie suniemy zmęczeni naprzód i dochodzimy do targowiska. Miauczące koty wybiegają pospiesznie ze sklepów i jak czarne plamy przemieszczają się po śniegu. Ciemne chałupy wokół rynku wyglądają, jakby zlewały się z własnymi cieniami.

Pociejów wydaje się obcy. Wiele kramików opustoszało, drzwi wyrwane albo szeroko otwarte, wejścia przykrywają hałdy śniegu. W środku mogłyby się gnieździć nietoperze. „Ślepe" okienko-sklepik babci Hindy jest dziurą w murze, bez półek. Sąsiedni kramik, gdzie dziadek Josel zwykł prowadzić sprzedaż wapna i kredy, stoi zupełnie pusty. Zamiast kupek towaru – śnieg. Ściany wewnątrz lśnią pokryte srebrzystymi soplami.

– Coś tu się wydarzyło – szepcze Binele zdławionym głosem. Chociaż było to dla nas jasne, odkąd tylko zbliżyliśmy się do targowiska, słowa Binele oddają prawdę o tym, co zdawało się przywidzeniem. Staliśmy jak przymarznięci do miejsc, w których się zatrzymaliśmy.

Jankew pierwszy doszedł do siebie.

– Biegnę do domu – woła.

Ty, Abraszo, złapałeś go za rękaw.

– Zdecydujmy najpierw, jak należy postąpić, i zróbmy to razem.

Zanim zdążymy podjąć jakieś działanie, słyszymy dźwięk dochodzący z cienistej głębi. Długa, wielka ręka chwyta Jankewa za ramię. Binele wydaje z siebie zdławiony krzyk. Wielka cienista figura przepycha się bliżej. Dostrzegamy pociągłą, siwobrodą twarz, parę oczu o wodnistych białkach i czarnych, gęstych brwi. Ten cień człowieka dopada Binele z wyciem i prawie ją przewraca.

– O, Bi-ne-le!

– Abele, Abele głupek! – Obejmujemy go i ciągniemy za rękawy. – Co się stało, Abele? Powiedz, co się tu stało?

Abele zaczyna płaczliwie skomleć i trząść się, jakby był ciężkim workiem. Potem stuka pięścią w bark Binele, tak mocno, że Jankew musi oderwać od niej jego ramię.

– Abele płacze! Abele płacze! – zawodzi.

Binele, chociaż nie potrzebuje już odpowiedzi, ciągnie za szmaty, które nosi Abele.

– Powiedz choć słowo. Gdzie... Co...?

Abele cofa się. Macha głową, walczy z własnym głosem i wyjąkuje:

– W Marszy... Abele płacze.

Marsza oznaczała dla Abele świat po drugiej stronie cmentarza. Gdy wypowiada te słowa, zdaje się, że rozwyły się wszystkie psy w Bocianach. Abele kurczy się w sobie. Błyska na nas oczami i po chwili znika w ciemności za targowiskiem.

– Biegnę do domu! – sapie Jankew.

Zastawiasz mu drogę.

– Wejdźmy gdzieś najpierw. – Zaciągasz go do pustego domu, a my wszyscy idziemy za wami. Jankew wyrywa Ci się z rąk, ale mu nie odpuszczasz. – Musimy zdecydować, co robić. Nie możemy tu zostać.

– Mama... – jęczy Jankew głosem podobnym do głosu Abele.

Binele przystępuje nagle do Jankewa.

– Błagam cię, Kubusiu. Bądźmy ostrożni. Niemcy mogą tu być. Przebiegnę się do kościoła. Może zobaczę kogoś w środku, zapytam. – Nim udaje nam się coś powiedzieć, zrzuca plecak, zostawia go na ziemi i obwiązuje chustą głowę. Wybiega i kieruje się w stronę rynku.

Jankew przygląda się nam z szaleństwem w oczach. Wydaje mi się, jakby wszystkie twarze wokół mnie należały do głupka Abele i były ulepione ze śniegu. Figury sztywne, sparaliżowane, z nieporadnymi językami w ustach. Jednak Jankew jest roztrzęsiony. Dobrze wie, jak i my wszyscy, że bieg Binele do kościoła jedynie odsuwa chwilę, która i tak nas czeka – która już nadeszła.

– Muszę zobaczyć, co się stało... – wyjękuje do nas, dzieci. – Czekajcie tu na mnie.

Łapię go za rękę.

– Idę z tobą!

– Nikt ze mną nie idzie! – Odpycha mnie od siebie.

Ponownie stajesz na jego drodze.

– Posłuchaj, Jankewie. Też mam tu matkę. Ale gdy jesteśmy razem, jeden odpowiada za drugiego. Musimy razem decydować o każdym kroku.

– Co tu decydować, szaleńcze? – Jankew wyrywa się z Twoich rąk i wybiega na zewnątrz.

Chwilę potem uwalniam się z ramion Marka i biegnę za tatą przez mrok. Przez głowę nie przechodzi mi, żeby się bać. Nie ma na to czasu. Widzę, jak Jankew kieruje się w uliczkę, przy której mieszkają dziadkowie. Oto znajome podwórze,

które w białej, nocnej pustce wcale nie wygląda znajomo. Oto ogrodzenie klasztoru. Ale zamiast chałupy praczki Mańki, sąsiadki babci Hindy, wznosi się kupa gruzów. Trzymam się na dystans od taty. Dom dziadków jest jedną, czarną plamą na tle nieba. Podchodzę bliżej. W tej samej chwili tata i ja podnosimy głowy do okien na górze. Huśtające się, otwarte skrzydła okienne wyglądają, jakby zdobiły je czyste, niezamarznięte szyby. Natychmiast staje się dla mnie jasne, że te okna, na górze i na dole, w ogóle nie mają szyb. Parapety pokrywają zwały śniegu. Wielka hałda, istna góra, tarasuje wejście do środka.

Jankew przekracza próg. Podchodzę bliżej. Widzę, jak podnosi nogę i szuka schodka. Chwieje się. Kilka razy tak podnosi nogę i nie znajduje miejsca, w którym mógłby ją postawić. Wyjmuje paczkę zapałek z kieszeni i zapala jedną, drugą, trzecią. Płomyki migoczą w jego drżących dłoniach i gasną. Udaje mi się zauważyć, że wijące się schody są połamane. Jankew wraca. Zauważa mnie. Nie odzywa się i pozwala iść ze sobą. W oknie klasztoru łuna słabego światła przebija przez okiennice. Jankew zwraca się w tamtą stronę i puka do szyby.

– Otwórzcie, proszę – szepcze na płytkim oddechu do jaśniejącej szpary. Psy nie przestają zawodzić.

Słychać skrzypienie. Otwiera się czarna szpara drzwi kilka kroków od okna. Macając mur jak ślepiec, Jankew zbliża się do wejścia w ciemności. Jaśnieje tam biała twarz. Biała twarz w ramie białego czepca.

– Pani kochana... Siostro... – Jankew z trudem wydobywa słowa. – Stara kobieta... – Pokazuje palcem na sąsiednie podwórze. – Rodzina na górze... Moja mama...

– Jezus Maria! Drogi Ojcze w niebie! – Słyszę głos zakonnicy i widzę, jak biała ręka wykonuje znak krzyża w czerni powietrza porastającego czarny habit. – Zdarzyło się nieszczęście, drogie dziecko. Wielka tragedia naszego miasteczka. – Chwytam tatę za rękę. Zakonnica nie przestaje się żegnać. – Tydzień temu ich wyprowadzono...

– Wyprowadzono? Dokąd?

– Zabrali wszystkich do brzozowego lasu. Praczka Mańka ukryła twoją mamę razem z całą dużą rodziną w swojej piwnicy. Więc i ją zabrali, świętą o wielkim sercu, wierną duszę chrześcijańską, a jej chałupę podpalili... Spalili. – Łzy płyną z oczu zakonnicy.

Niewiele brakowało, a Jankew upadłby na zakonnicę. Prawie mnie przewraca, gdy nagle odwraca się w przeciwnym kierunku. Dobrze, że z ciemności wynurza się Marek i chwyta nas oboje za ramiona. Trzymając się w ten sposób, przerażeni wracamy na Pociejów, nie przestając ślizgać się na pokrytej lodem drodze. Nie widać targowiska. Orientujemy się, że idziemy w przeciwnym kierunku, więc staramy się zawrócić. W głowie mi wiruje. Naokoło krążą oślepiające, czarne kręgi wywołujące zawroty głowy. Psy wściekle ujadają. Z oddali dochodzą głosy chłopów: „Kto tam jest?”.

Binele wybiega nam naprzeciw z Pociejowa.

– Kubusiu – łka. – Wszyscy odeszli! Wszyscy! Gospodyni księdza mi powiedziała. Musimy jak najszybciej opuścić to miejsce!

Wchodzimy do sklepiku, gdzie schowali się pozostali. Nikt nie mówi słowa. Ciszę przerywa miauczenie kotów, wycie psów i chłopskie głosy wołające w oddali: „Kto tam jest?".

Binele chwyta za plecak.

– Psy zbudzą miasteczko. Chodźcie, ruszamy! – Wyrównuje rzemień plecaka na ramionach Nońka. Wszyscy zakładamy plecaki.

Opuściwszy Pociejów, Ty, Abraszo, mówisz pewnym głosem:

– Idziemy do mojego domu. Nie żebym się łudził.... Ale jeśli Niemcy tu byli i urządzili... To być może najpewniejsze miejsce na kryjówkę.

Nikt Ci nie odpowiada. Gdy jednak zwracasz się w kierunku szerokiej Alei Topolowej, idziemy za Tobą. Drzewa pokryte śniegiem wzdłuż drogi wyglądają jak straszliwe, białe olbrzymy. Biała droga lśni. Z nieżydowskiego cmentarza bije bez litości po licach nieokiełznany wiatr. Łzy zamarzają mi na policzkach, chociaż nie pamiętam, żebym płakała. Zamarzające łzy ciągną za skórę i kłują twarz lodowymi igłami. Szybko się męczymy. Droga prowadzi pod górkę. Tumany śniegu schodzą w dół i rozbijają się o nasze ciała. Binele przykrywa Nońka wraz z plecakiem połą swojej chusty. Nikt nic nie mówi. Nasze kroki po tej stronie drogi, gdzie w marszu spodziewaliśmy się znaleźć schronienie dzięki topolom, nie wydają żadnego dźwięku. Jesteśmy grupą widziadeł, schwytanych w nieskazitelną biel. Wygląda to tak, jakbyśmy w ogóle nie istnieli, jakbyśmy byli zaledwie cieniami chłostanymi wiatrem. Jedynie co parę chwil ktoś inny musi pobiec za drzewa i uwolnić się od nudności.

Wspinamy się na Błękitną Górę. Wybiegasz naprzód. Gdy tylko docieramy na szczyt, ujadające psy wybiegają nam naprzeciw. Uspokajasz je szybko. Liżą Twoją twarz i obwąchują okolicę. Mówisz do nas, kobiet, żebyśmy się nie bały i nie boimy się. Wtulamy się w siebie w cieniu wiatraka. Luźne żagle w powietrzu noszą brody z lodowych sopli. Wiatr uderza w sztywne, porwane płótna zwisające ze skrzydeł.

– Czegoście stanęli? – odzywasz się niepewnie. – Wejdźcie do środka.

Binele macha ręką.

– Ty wejdź pierwszy, poczekamy.

– To chodź ty. – Ujmujesz mnie za rękę i ciągniesz na ganek bielonego wapnem i śniegiem domu. Próbujesz otworzyć drzwi. Nie dają się, więc pukasz. Słaby, zaspany głos dochodzi ze środka. Zapala się blade światło w zasłoniętym oknie. Rzężenie zamka w drzwiach. Stara kobieta w długiej, barchanowej koszuli nocnej i chuście zarzuconej na ramiona stoi przed nami z zapaloną lampką w ręku. Fredka, Twoja mamka.

Rzucasz się na starą kobietę. Nocna lampka trzęsie się, iskrzy i rozpala. Również kobieta zaczyna się trząść. Obejmujesz ją i przez chwilę tak stoicie,

przyklejeni jedno do drugiego. Zduszone dźwięki wydobywają się z Twoich ust i toną w siwym puchu na głowie staruszki. Ona, trzymając w ręce pobłyskującą lampę naftową, wtula głowę w Twoją pierś. W końcu wszyscy troje wchodzimy głębiej do pokoju i zamykamy drzwi. W środku jest cudownie ciepło.

– Jezus Maria. – Stara kobieta wciąż się Ciebie trzyma. – To naprawdę ty, Abraszynku. Bogu dzięki, że żyjesz. Co tu robisz w środku nocy? – Spogląda na mnie i podnosi lampę, aby oświetlić moją twarz. – A kto to jest, Boże w niebiesiech?

Nie odpowiadasz na jej pytanie, tylko prostujesz się i jak człowiek wyczekujący ogłoszenia wyroku śmierci, pytasz:

– Gdzie jest mama?

Stara kobieta trzęsie głową.

– Nie pytaj, najdroższy, nie pytaj. – Jej wzrok pełen łez szuka czegoś na Twojej twarzy. – Jak strasznie wyglądasz, serce. Chodź, zagrzeję ci czegoś do jedzenia.

Z lampą w ręku udaje się do kuchni. Idziemy za nią i ją obserwujemy. Dmucha w piecyk, żeby wzniecić płomień i dokłada szczapek. Pomimo wieku i zmęczonego wyglądu, wciąż jest krzepka i energiczna w ruchach.

– Wszystko ci opowiem, najdroższy Abraszko, musisz to wiedzieć – mówi pewniejszym głosem, jakby dopiero doszła do siebie. – I musimy być cicho. Mój stary śpi w alkierzu po drugiej stronie ściany. Przebudził się, gdy zapukaliście. A jeśli przyłapie nas tu mój zięć Stefan, wszystkich nas wyrzuci. Potrafi to zrobić, sukinsyn. Wszystkie moje dzieci są z Armią Krajową[381], ale ten łajdak to tchórz.

– Dlaczego miałby nas wyrzucać, nianiu? To przecież mój dom, moje siedlisko. – Nazywasz ją pieszczotliwie „nianią", jak zwykłeś to czynić w dzieciństwie. Patrzysz na nią wściekle rozpalonym wzrokiem, zupełnie rozbity. W sercu mam nadzieję, że nie wspomnisz jej o pozostałych czekających na zewnątrz.

– To był twój dom, moje dziecko, był – potwierdza Fredka, kiwając smutno głową i przygotowując miski z jedzeniem. Zauważa Twój wzrok. – Dlaczego tak na mnie patrzysz, Abraszko? – pyta. – Twojej mamusi nie ma. Odeszła. Mordercy zabili ją w brzezinie. Nie hałasuj tak, chodząc po podłodze. Siadaj. Stefan może Cię usłyszeć. Łatwo się budzi, czort, niech go cholera. Zaraz na drugi dzień nas tu przeprowadził. – Stawia parującą miskę z jedzeniem na stół, bierze nas pod ramiona i prowadzi do stołu. Patrzę na drzwi, nie mogę się doczekać, by wybiec do reszty. Ale boję się to zrobić. – Posilcie się odrobiną jadła – mówi Fredka i w pośpiechu wraca do krojenia chleba. Po chwili znów jest obok nas z dwiema pajdami, a zaraz potem przy kuchni, Bóg wie po co mieszając w garnku drewnianą łyżką.

---

[381] Pomyłka Autorki. Oficjalnie Armia Krajowa została powołana rozkazem Naczelnego Wodza generała broni Władysława Sikorskiego 14 lutego 1942 r. Ale wywodziła się ze Związku Walki Zbrojnej powstałego w listopadzie 1939 r.

Siedzimy na skraju ławy. Patrzę na starą kobietę w takim napięciu, że jej przygarbiona figura i twarz zachodzą mgłą. Cudowny, ostry zapach kapuśniaku wypełnia kuchnię i przywołuje ślinę na usta.

– Stało się nieszczęście, mój drogi. – Fredka nie przestaje paplać. – Przeżyliśmy piekło. Nie pozostał przy życiu żaden Żyd, za wyjątkiem głupka z Pociejowa. Ludzie mówią, że wstawił się za nim ksiądz. Chamy wciąż wierzą, że jest jego bękartem... I tak przenieśliśmy się tutaj, ponieważ rodzina rośnie jak na drożdżach, niech nas Pan Bóg ma w opiece. Tu właśnie, przed Bożym Narodzeniem, odebrałam dwoje wnucząt. Młyn i chudoba są teraz nasze, Abraszko, prawnie nasze. Ponieważ Szwaby, niechby przepadli, wprowadzają teraz prawa, by wywieźć stąd wszystko, co ma wartość i powiedzieli, że możemy zachować dom i chudobę, jeśli chcemy. Był z nimi pewien człowiek. Przewodzi całemu powiatowi. Mówią, że jest Niemcem z Galicji. Wszystko nam przetłumaczył na polski. Nie muszę ci mówić, najdroższy, jak drodzy byli mi twoi rodzice, i jak wiernie ja, mój stary i nasze dzieci wam służyliśmy. Oj, Jezu mój, jak ja cię kochałam, Abraszko, więcej niż własny przychówek... Karmiłam cię, wychowywałam na dobrego Żyda, odmawiałam z tobą *Mojde ani*. Sam wiesz. Ale tak zarządził Pan Bóg. Bo komu należy się bardziej niż nam, mojej rodzinie, odziedziczyć tę chudobę? Z woli Pana Boga doczekaliśmy się swojego kawałka ziemi po tym, jak odpracowaliśmy u innych całe życie, nie mając niczego własnego. Nie muszę ci mówić, Abraszko, że nie życzyłam sobie takiego nieszczęścia. Bóg mi świadkiem. Od tygodnia nie mogę dojść do siebie. Boję się przechodzić obok brzeziny ani zachodzić na Pociejów, Boże dopomóż.

Łzy kapią jej do garnka, w którym mechanicznie miesza drewnianą łyżką. Para, która unosi się znad kapuśniaku, drażni miło nozdrza. Para z misek razem z parą z paplaniny staruszki, moją niecierpliwością i złością, i nieznośnym poczuciem żalu, odbierają mi rozum. I nagle jasnym się staje, że coś się w Tobie, Abraszo, złamało, jakby przecięte ostry mieczem, którym Fredka właśnie kroiła chleb.

– Ale Abraszko... – Fredka wykonuje znak krzyża. – Stefan mówi, że nasz Pan Jezus nie mógł dłużej przyglądać się dotykającej nas niesprawiedliwości. Mówi, że to Pan Jezus sprawił, że moje dzieci i wnuki dostaną lepsze życie od mojego. Nie myśl, najdroższy, że jest nam tak dobrze. Cierpimy przez przeklętych Szwabów dokładnie tak samo, jak wy. Serce pęka mi z obawy o życie moich chłopców, którzy odeszli z Armią Krajową[382]. A wczoraj, na przykład, Niemcy zarekwirowali wszystkie konie, oprócz jednego. Twojego konika też zabrali, mój drogi. Nie patrz tak na mnie, Abraszko, bo tego nie wytrzymam. I... dlaczego nie jesz? – Fredka odkłada drewnianą łyżkę i wraca do stołu. – Szkoda, żeby zupa wystygła. Jedz, najdroższy, i pospiesz się, ruszaj w drogę dla własnego dobra. I niech cię Pan Bóg osłania.

---

[382] Może to oznaczać, że przyłączyli się do polskich konspiracyjnych oddziałów zbrojnych wchodzących w skład podziemnego polskiego wojska podporządkowanego rządowi RP w Londynie.

Podskakuję na równe nogi. Ale Ty, Abraszo, dalej siedzisz i gapisz się na starą kobietę wybałuszonymi oczami.

– Muszę tu zostać, Fredko. – Łapiesz ją za rękę i pokazujesz kiwnięciem głowy: – Wiesz, kto to jest? To córka Jankewa. Pamiętasz mojego rebego Jankewa. Musimy się tu ukryć i...

Fredka macha puszysto-siwą głową.

– Niech Bóg broni, duszyczko. Już ci powiedziałam. Nie chcę cię mieć na sumieniu.

– Nianiu – jęczysz – kochałaś mnie jak matka. Jadłem z twojej piersi. Ratuj mnie!

Wygląda, jakby zapadała się w sobie pod ciężarem Twoich słów. Chlipie i mówi dalej:

– Bóg mi świadkiem, że nie wolno mi cię tu ukryć. Niemcy znów mogą zrobić obławę, jak zrobili wczoraj. A jeśli was znajdą, nie tylko odbiorą nam ten kawałek chudoby, którego po wielu latach harówki doczekaliśmy, ale nas wszystkich pozabijają. Nie chcę, żeby moje dzieci poszły drogą, którą idą dzieci twojego ludu. Nie chcę. Nie przyjmę tego. Bądź dobry, Abraszko. Dwoje wnucząt dopiero co przyszło mi na ten świat, mój złoty. Zmiłuj się nade mną, mój skarbie, bądź dobry i idź z Panem Bogiem.

Rozwiera ramiona, jakby chciała objąć Twoją głowę. Ale Ty nie chcesz być dobry. Odrzucasz jej ramiona. Wyczytuję z Twojego szaleńczego spojrzenia, że chcesz się na nią rzucić, wyrzucić z siebie ból. Może przyjdzie Ci zaraz do głowy przewrócić piecyk z miło trzaskającym ogniem i podpalić ruinę Twego domu, zmieść ją z powierzchni ziemi? Ale gdzieś w sobie znajdujesz siłę, aby powstrzymać gwałt, pamiętając, o co toczy się gra. Nawet nie odsuwasz od siebie miski z kapuśniakiem. Nie spluwasz z przekleństwem, ale wstajesz, łapiesz mnie za rękę i wybiegamy na zewnątrz. Dopiero wówczas wybuchasz zdławionym głosem:

– Niech ich szlag trafi! Niech ich ziemia pochłonie! Oby nie doczekali wyzwolenia!

Doszedłszy do młyna, napotykamy pytające, jasne spojrzenia. Ciągniesz Jankewa za rękaw i syczysz:

– Idziemy! Wynośmy się stąd, gdzie nas oczy poniosą! Świat się kończy, dzieci! Asmodeusz[383] wyprawia karnawał!

– Jak to: idziemy? – Binele dogania Cię, ciągnąc utykającego Nońka za rękę, a my idziemy za nią. – Dokąd mamy pójść?

Gdy zeszliśmy z góry, znów skierowaliśmy się do Bocianów. Powłóczyliśmy sztywnymi, niepewnymi krokami. Nońka boli noga, więc Jankew bierze go na barana. Marek obwieszony jest ich plecakami. Noniek zasypia z głową zwieszoną na barku Jankewa. Wczoraj były jego urodziny. Skończył dziewięć lat. Ty, Abraszo,

[383] Asmodeusz lub Asmodeus – upadły anioł, demon.

wleczesz się obok nich i przerywanymi zdaniami zdajesz Jankewowi relację z rozmowy z Fredką. Jankew nie reaguje. Nikt nie reaguje. Słowem nie wspominasz swojej matki, więc nikt o nią nie pyta.

Jesteśmy blisko Bocianów, ale nie potrafimy zrobić kroku naprzód. Chowamy się w pustej stajni. Zdejmujemy plecaki i siadamy na nich. Zarówno Ty, jak i Jankew zdajecie się nie wiedzieć, co się z Wami dzieje. Binele też jest silnie wzburzona. Mamrocze do siebie, jak nakręcona: „Trzeba ratować dzieci". Przyciska do siebie Nońka, który śpi ułożony na jej kolanach.

Wierka proponuje:

– Wracajmy do Łodzi. W Łodzi mieszkają tysiące Żydów. Cokolwiek by Niemcy chcieli z nimi zrobić, nie przyjdzie im to tak łatwo jak w Bocianach.

Przebudza się Noniek.

– Tak – mamrocze prosząco. – Wracajmy do Łodzi. Wczoraj były moje urodziny, Mamo, więc chcę taki prezent... A lewe ucho, mamo, zupełnie mi ścierpło. Nie czuję go.

Icchok wychodzi z propozycją, żeby lepiej iść w kierunku rosyjskiej granicy i spróbować przedostać się na drugą stronę. Marek i ja zgadzamy się z nim. Jaki sens ma powrót do Łodzi i wpadanie z jednego koszmaru w drugi?

Ty i tata siedzicie zatopieni w ciemności i milczeniu, jakbyście niczego nie usłyszeli. Razem z Binele tworzycie rodzaj żałobnej trójcy.

Więc to my, młodzi, przejmujemy inicjatywę. Icchok zabiera od Ciebie mapę, na której narysowałeś drogę, i przy świetle zapalonej zapałki, którą osłania dłonią, obmyśla mniej więcej kierunek, w którym powinniśmy się udać. Przede wszystkim należy cofnąć się do linii kolejowej i wyruszyć stamtąd na Chwosty.

W drodze powrotnej z Bocianów zauważamy ruinę synagogi. Nie pozostało z niej nic oprócz fundamentów i kupy gruzów[384]. Moi dziadkowie wybudowali ją i wykończyli drogą snycerką, aby strzegła duszy miasteczka. Ta ruina jest dla nas znakiem, że Bociany wydały ostatnie tchnienie.

*

Okolica jest ładna, wzgórzysta, malownicza. Dzień jasny. Słońce obejmuje wzniesienia złotymi promieniami. Nasza ośmioosobowa grupa ledwo wlekących się włóczęgów na niemal zupełnie pustej drodze wygląda mocno podejrzanie. Robi się niebezpiecznie. Pukamy do drzwi chałupy i proponujemy chłopu, żeby wpuścił nas na parę godzin odpoczynku w zamian za ładną sumę w markach niemieckich. Chłop pyta:

– A wy, Żydki, skąd tu przychodzicie?

[384] Konecka synagoga została spalona przez Niemców już 11 września 1939 r. Następnego dnia w rynku odbywał się pogrzeb czterech niemieckich żołnierzy, którzy polegli w starciu z polskim wojskiem.

Jankew jest zbyt przybity, by skłamać. Opowiada mu prawdę. Chłopka wyrzuca parę dziewek o wąskich warkoczykach z alkierza, wprowadza nas do środka i zamyka za sobą drzwi. Patrzymy po sobie. Czy chłopi pójdą wydać nas Niemcom? Jesteśmy zbyt umęczeni, aby panikować – padamy za to na łóżka, na podłogę, gdzie się da. Za oknem szumi niezamarznięty potok, uspokajająco, usypiająco.

Przespaliśmy tak pół dnia. Gdy chłopka słyszy, że zaczynamy się ruszać, otwiera alkierz i zaprasza, byśmy zasiedli do stołu razem z jej rodziną. Do obiadu, który składa się z wodnistej zupy szczawiowej z ziemniakami, zagryzanej chlebem. Zjedliśmy i podziękowaliśmy gospodarzom, a Jankew złożył chłopu zaskakującą propozycję. Proponuje, by zabrał naszą całą grupę na wóz i odwiózł tak daleko na wschód, jak tylko zdoła, za cenę pięciu srebrnych sztućców i znaczącą sumę w markach.

Chłop wysłuchuje go cierpliwie i odpowiada:

– Jak Bóg mi miły, mam nienajgorsze gospodarstwo i kawałek dobrej ziemi. Ale przejeżdżający Niemcy urządzili sobie tu stancję w minionych tygodniach. Musiałem zabić dla nich jedynego prosiaka, a oni zarekwirowali mi jedynego dobrego konia. Został mi tylko drugi, stary, jako zapłata za moją gościnność. Gdy wyjechali, usłyszałem od sąsiadów, że ci sami Niemcy po opuszczeniu naszych stron zostali otoczeni przez oddział Armii Krajowej. Nazajutrz dziesięciu mężczyzn z pobliskiej wioski zabrano na rozstrzelanie. Dlatego płonie we mnie piekielny ogień. – Macha przed twarzą Jankewa palcem o czarnym paznokciu. – Ale nie łudźcie się, Żydki, że tak mi na was zależy. Zasłużyliście na bożą karę. Ponieważ jednak nienawidzę Niemców bardziej niż Żydów, zaryzykowałem wpuszczenie was i zaprosiłem do stołu. I dlatego też wam pomogę. I tak nie mogę sobie tu znaleźć miejsca. Baba mówi, że będzie lepiej, jeśli na pewien czas stąd wyjadę, zanim zrobię jakieś głupstwo.

Binele prosi chłopkę, żeby podarowała jej różaniec z krzyżykiem. Ja i Wierka już wcześniej sprawiłyśmy sobie takie ozdoby i nosiłyśmy je na szyi.

Chłop szykuje wóz, zaprzęga starego konia i wyściela wóz słomą. Bierze nawet dwa kilimy, żeby można było się przykryć. Tego samego popołudnia ruszamy w drogę. Dopiero teraz pojmujemy, o ile lepiej siedzieć na podskakującym wozie, niż wlec się na nogach. Na drodze porusza się wiele wozów. Samochody wojskowe i ciężarówki również. Mężczyźni opuszczają czapki i zasłaniają oczy daszkami. Tylko mama i ja jesteśmy widoczne, by zademonstrować nasz dobry, gojski wygląd. Wyglądamy jak typowe chłopki, a wóz wygląda jak inne wozy na drodze.

Wojskowa ciężarówka wyładowana końmi przegania nas. Ty, Abraszo, spoglądasz na konie i zaraz wołasz:

– Patrzcie, mój Susi ben Susi tam jedzie! Tam jest – mój konik, na pace! – Paka znika szybko z naszych oczu. Przyglądamy Ci się. Oszalałeś? Szarpiesz Jankewa za ramię: – Widziałeś mojego pegaza? Wędruje, zupełnie jak my, na spotkanie z losem. – Cichy okrzyk smutku i zagubienia niczym błyskawica skuwa Wasze spojrzenia.

– Panie, nie podoba mi się jazda tą drogą. Za duży ruch – mówi Binele do chłopa.

Ten odpowiada jej, że zna boczną drogę, ale tam podróż będzie wolniejsza. Zna dobrze okolice – chwali się i uśmiecha melancholijnie. Był w młodości nie lada gagatkiem, mówi, lubił włóczyć się po kraju, spotykać z chłopami z innych miejsc.

Faktycznie kieruje się na boczną drogę. Wydaje się przystępny, ale nie chcemy się do niego zbliżać i nie ufamy mu. A trzeba dużego zapasu cierpliwości, aby wysłuchać historii, które opowiada, gdy tak siedzi z batem w jednym ręku, lejcami w drugim, na poły odwrócony do nas, słuchaczy, których oczy podskakują na drodze i wyglądają zbliżającego się niebezpieczeństwa.

Chłop okazuje się specjalistą w znajdowaniu miejsc na nocleg oraz w orientowaniu się w sytuacji na drodze. Kupuje dla nas posiłek we wsi i w ogóle baczy na wszystko, co potrzeba. To wreszcie pozwala nam zająć się naszym smutkiem, naszą żałobą. Defilada postaci paraduje mi przed oczami. Widzę babcię Hindę, dziadka Joselego, wszystkie ciocie i ich rodziny. Widzę wciąż inne twarze, podczas gdy w uszach brzmi głos głupka Abelego: „Abele płacze…".

Wyobrażam sobie Bociany w biały dzień. To bolesno-cyniczny obraz, poetycko legendarny. Wyobrażam sobie, jak opustoszałe miasteczko nie budzi się do życia w zimowy dzień szabesu. Targ jest pusty. Jedynie próżny wiatr spieszy modlić się w przestrzeni zburzonej synagogi. Królowa Szabes niesie się z dzikim świstem na błyskających łyżwach przez milczące, puste uliczki. Szechina, umiłowana Boga, tańczy opętańczy taniec. Jej oczy nie są już ślepe od opłakiwania losu narodu Izraela na wygnaniu. Są nareszcie otwarte i widzące. Łzy wiszą jej jak lodowe sople na dachach żydowskich chałup. Nie przybywa dziś po to, by być ze swym wszechmocnym Umiłowanym. Jej szal szabesowy przetkany czarnymi ozdobami wisi zerwany z jej ramion, łopocząc przez otwarte okno o porwanych, zesztywniałych od mrozu zasłonach. Nigdy już do Niego nie przybędzie. Nigdy. Wstąpił w nią dybuk, który już zawsze głosić przez nią będzie nowinę zniszczenia wszystkiego, co było i co jest.

Ściska w gardle, kłuje w sercu. A jednak nie potrafię pojąć, że to się już dokonało. Nie ma takiej rzeczy jak koniec. Instynkt przetrwania nie pozwala tego zrozumieć ani umysłem, ani uczuciem. Wyobrażam wręcz sobie, że miasteczko Bociany, razem ze wszystkimi moimi bliskimi, zostało przeniesione w jakieś inne miejsce, że prędzej czy później znowu je zobaczę, rozpoznam ich wszystkich. I wtedy coś się we mnie kurczy, przerywa zupełnie moje rozmyślania: myśl o moim własnym końcu. Nie wolno się do niego zbliżać. Nie wolno zajmować nim umysłu.

Wierka, Icchok i Marek gadają o czymś przerywaną, tępą paplaniną, która w nic się nie składa. Ich troje, tak jak ja, jest oszołomionych i zagubionych odkryciem wielkiego, szerokiego świata. Nasza pierwsza wielka młodzieńcza przygoda, nasza *Bildungsreise*[385]. Jesteśmy zaślepieni, wierzymy we własną młodość i w szczęśliwą gwiazdę.

[385] *Bildungsreise* (niem.) – podróż edukacyjna, formacyjna.

Wóz trzęsie się powoli po zaśnieżonej drodze. Jest coś uspokajającego w tym rozbujanym rytmie. Im bardziej oddalamy się od Bocianów, tym bardziej zdaje nam się, że to, co tam zobaczyliśmy i usłyszeliśmy, nie jest prawdą.

Wokół panuje cisza. Wszystko pokrywa niewinna biel. Dobre serce jednego goja, chłopa siedzącego na koźle, jest dla naszych serc balsamem. Przestajemy zastanawiać się, czy jest fałszywy, czy szczery. Poddajemy się cudowi jego ludzkiego ciepła i zaczynamy mu wierzyć. Sam chłop dziwnie przywiązuje się do nas, jakby nie miał ochoty nas porzucać.

„Nie łudźcie się, Żydki, że mi na was zależy" – przypomina nam co chwilę, ale odkłada pożegnanie z nami z jednego przystanku do następnego. Nie przestaje się o nas martwić, dawać nam rad, jak mamy się zachowywać, gdy już od nas odjedzie.

*

Po trzech tygodniach włóczęgi po drogach chłop doprowadza nas bezpośrednio do „pasa", to znaczy do stacji kolejowej Zaręby Kościelne[386] przy granicy ze Związkiem Radzieckim. Tysiące ludzi czekają tu, aby brama do wolności otworzyła się i udzieliła im schronienia. Nawet teraz chłop nie chce nas opuścić od razu. Przynosi bochny chleba i garnki ciepłej zupy z wiosek, nie przestaje udzielać nam rad. W końcu, przy pożegnaniu, obejmuje Jankewa i wybucha płaczem:

– Jeszcze się zobaczymy, bracie. Bóg połączy nas znowu w szczęśliwej godzinie. – I oddaje nam dwa ciepłe kilimy.

Pozostajemy tak w ósemkę z masą Żydów ze wszystkich krańców Polski. Mróz piecze niemiłosiernie. Wiatr porywa za poły. Całe szczęście jesteśmy bogaci. Możemy sobie pozwolić na zakup odrobiny zupy, ciepłej wody albo chleba od chłopów, którzy pojawiają się wśród tłumów kilka razy dziennie. Do tego mamy Icchoka, który wreszcie objawia swój wielki „talent organizacyjny".

Często próbujemy szczęścia. Ruszamy wzdłuż torów, aby przekraść się przez granicę na rosyjską stronę. Ale biali jeźdźcy na koniach, noszący czerwone gwiazdy na futrzanych czapkach i wizerunek sierpa i młota na ramionach, zatrzymują nas wciąż i zmuszają do powrotu. Ludzie na „pasie" mówią, że dużo łatwiej przedostawać się pojedynczo albo parami. Ale nie chcemy się rozdzielać. Jesteśmy do siebie mocno przywiązani, a los jednego z nas musi być losem wszystkich. Decyzję tę podejmujemy, siedząc przytuleni pewnej nocy, nocy bezdomności i lęku, gdy powietrze wokół wibruje od westchnień, jęków przygnębionych ludzi, lamentów umęczonych dzieci.

---

[386] Zaręby Kościelne nad rzeką Brok dwa tygodnie po wybuchu wojny zajęli Niemcy, a 24 września 1939 r. – na mocy ustaleń niemiecko-radzieckich – Sowieci. Do 22 czerwca 1941 r. miejscowość znajdowała się w granicach ZSRR, w pobliżu przebiegała granica niemiecko-radziecka.

Wśród tłumu krążą różnorakie wieści. Napotkani znajomi ostrzegają nas, aby po przejściu na drugą stronę za żadne skarby nie zdradzać, że jesteśmy bundystami. Znajomy przyjaciel opowiada, jak w sowieckim Białymstoku aresztowano nauczyciela Wilnera z donosu byłej uczennicy ze szkoły im. Medema.

Dni przechodzą w tygodnie. Śnieg zaczyna topnieć i nagle znika z powierzchni ziemi. Powietrze robi się cieplejsze, łagodniejsze. Przyroda budzi się powoli do życia. A Binele dochodzi w końcu do wniosku, że siedzenie na „pasie" nie ma sensu. Że jedyne, co tu osiągniemy, to potracimy resztkę sił.

– Wracajmy do domu – nie przestaje prosić jej Noniek.

Do domu? Gdzie znajduje się dom? Jedyne, co nam pozostało, to nazwa miasta.

*

Już od czterech tygodni tułamy się w drodze powrotnej do Łodzi. Niemcy często nas zatrzymują. „Dokąd?" – pytają. „Nach Hause" – odpowiadamy. „Wracamy do Łodzi do getta".

Każą nam pokazywać papiery, dokumenty. Zabierają nas na roboty. Mężczyźni kopią masowe groby dla ludzi i koni. Zasypują okopy albo godzinami noszą ciężary z miejsca na miejsce. Noniek, z ciężkim szpadlem w ręku, trzyma się bardzo blisko Jankewa, przyglądając mu się dużymi, przestraszonymi oczami, których wzroku Jankew stara się unikać. Kobiety traktuje się z większą grzecznością. Pracujemy pod dachem. Szorujemy podłogi, czyścimy wychodki, a pewnego dnia stawia się nas przy baliach i każe prać brudne wojskowe ubrania.

Na błotnistych polach budzi się wiosna. Ziemia odkrywa plamy kiełkującej zieleni. W ciągu dni wędrowania na naszych oczach zdążyły rozkwitnąć sady. Kwitnie bez w przydomowych ogrodach na przedmieściach Łodzi. Jest koniec kwietnia.

Przybywszy do miasta, idziemy w pewnym oddaleniu od siebie. Prowadzisz Ty, Abraszo, prosto do atelier swojego przyjaciela, Mariana Szewczyka. Marian otwiera szeroko oczy, gdy widzi nas na progu.

– Co wy robicie w Łodzi? – jąka. Zaciąga nas pospiesznie na przestronny strych pełen jego i Twoich prac. Zamyka drzwi i zakłada łańcuch. – Żydom nie wolno już pokazywać się w mieście – szepcze.

Opowiada nam, że część ulicy Nowomiejskiej, gdzie mieszkaliśmy, nie została włączona do getta. Opowiada wszystko, co wie, i co chwila strzela palcami długich rąk. Do tego zamieszania dochodzi pies, Samson, którego razem z kotem Dalilą i całym dobytkiem pozostawiłeś Marianowi. Samson wpada w taką ekscytację na Twój widok, Abraszo, że nie wie, co ze sobą zrobić. Tańczy w powietrzu i wyje głośno, że można ogłuchnąć. Marian musi zamknąć go w sąsiednim pomieszczeniu i dać mu kości z mięsem ze swojego porannego posiłku. Dalila, kotka, zachowuje się godniej. Siedzi na parapecie i obserwuje z pogardą zaniedbanych gości.

Czekamy w sypialni Mariana na zapadnięcie zmroku, aby można było przedostać się do getta. Binele w międzyczasie decyduje się podejść do naszego mieszkania i zdobyć dwa garnki oraz nieco naczyń kuchennych. To dobry pomysł, ponieważ nie posiadamy niczego, co by pozwalało na prowadzenie choćby najprymitywniejszej gospodarki. Dzięki aryjskiemu wyglądowi nie będzie niebezpieczeństwa, że zostanie rozpoznana na ulicy – zapewnia wszystkich. Marian wyraża zgodę. Prawdę mówiąc, z krzyżykiem wiszącym na szyi Binele wygląda jak zwykła chłopka. Mój wygląd też jest tak dobry jak mamy, i proponuję, żeby mnie zabrała, abym pomogła jej nieść rzeczy, które „zorganizujemy".

Wychodzimy na ulicę. Binele ledwo chodzi, więc opiera się ciężko na moim ramieniu. Nie chce jednak słyszeć o zatrzymaniu się, choćby na chwilę, na złapanie oddechu.

– Nie miej tak zmartwionej miny, mamo – proszę ją. Binele stara się słuchać, ale zmęczenie nie pozwala jej odgrywać komedii zrelaksowanej aryjki. – Stańmy przy sklepie i udawajmy, że oglądamy wystawę – proponuję, żeby chociaż kilka chwil odpoczęła.

Kręci głową.

– Wydaje mi się, że każdy, kto nas mija, wie, kim jesteśmy.

Dotarłszy na podwórze przy Nowomiejskiej, wspinamy się po znajomych schodach, które teraz wydają się znacznie mniej swojskie. Binele wyjmuje klucz z torebki. Ale drzwi do mieszkania nie są zamknięte. Gdy tylko wchodzimy do środka, w oczy wpadają mi rzędy doniczek na parapetach w dużym pokoju. Potem zauważamy siostrę pana Wygodnego. Stoi przy kuchni i czymś się zajmuje.

Mieszkanie jest czyste, wszystko wygląda jak dawniej. Brakuje tylko półki z książkami, a na gwoździu przybitym ponad łóżkiem, gdzie wisiało zdjęcie małżeńskie Binele i Jankewa, wisi obrazek Maryi z dzieciątkiem.

– Jezus Maria! – Gojka chwyta się za serce i prawie opuszcza warząchew. – Przestraszyłyście mnie na śmierć, zmory! – Przyskakuje do Binele i wyrywa jej klucz z ręki. – Miałaś oddać klucz panu Wygodnemu. Tak mówi prawo. Mogliby cię za to rozstrzelać. – Macha kluczem przed oczami Binele, a potem wkłada go do kieszeni fartucha.

– Z tego powodu właśnie przyszłyśmy – odpowiada jej Binele przepraszająco, pokornie. – Za późno się zorientowałam. Zrozumiałam, że może być wam potrzebny. Przyniosłam go zwrócić. A przy okazji, jeśli będzie pani tak miła, droga pani, zabiorę sobie garnek albo dwa, ponieważ nie mamy na czym gotować.

– Garnek albo dwa? – Gojka wybałusza oczy na Binele. – A dlaczego mam ci oddać własny garnek albo dwa? Wynocha stąd, złodziejko, zanim zawołam żandarmów! – Trzymając warząchew nad naszymi głowami, otwiera przed nami drzwi.

Coś we mnie wzbiera. Z całych sił i złości łapię gojkę za uniesioną rękę.

– To nasze mieszkanie! Nasze rzeczy! – syczę, ostrożnie, nie chcąc alarmować sąsiadów, kimkolwiek są. – To ty, ty jesteś złodziejką!

Binele stoi już przy szafce i zabiera dwa garnki.

– Chodź! – woła do mnie.

Słyszymy, jak gojka krzyczy za nami, ale jesteśmy już na ulicy. Pędzimy przez miasto jak na skrzydłach. Dwa garnki, nasze trofea, dzwonią pod chustą Binele. Nie boimy się już o bezpieczeństwo albo wyraz naszych twarzy. Wszystko, czego chcemy, to czym prędzej dostać się do drzwi mieszkania, naszego nowego domu, przystanku w wiecznej poniewierce.

Weszłyśmy do mieszkania Mariana Szewczyka, pokazałyśmy garnki i uśmiechnęłyśmy się triumfalnie. Czułyśmy się jak ze stali. Zamiast paść na łóżko, zaczynam całować Marka. Potem podchodzę do *Tańca życia* – Twojej rzeźby przedstawiającej mnie, stojącej przy oknie. Widzę w sobie jakąś Szeherezadę, nie tańczącą, ale walczącą zębami i pazurami o trofeum mojego życia.

Podchodzisz do mnie, Abraszo, i kładziesz dłoń na moim barku.

– Tu u Mariana – mówisz, wskazując ruchem głowy rzeźbę – będzie bezpieczniejsza niż my sami.

Jestem tak zadowolona z dwóch garnków, które mama i ja tak odważnie „zorganizowałyśmy", że odpowiadam Ci żartobliwie:

– Jeśli zginę, pozostanie moja forma, młoda i niewinna. Jeśli przeżyję i dożyję starości, też pozostanie idealna forma mnie. Sprawiłeś mi wieczną młodość, Abraszo. Czy dziwisz się, że uważam cię za czarodzieja? – I głaszczę Cię po szorstkim, nieogolonym policzku.

Gdy robi się późno, godzinę przed szperą[387], żegnamy się z Marianem Szewczykiem i schodzimy na ulicę. Rozchodzimy się i w pewnej odległości od siebie przemykamy wzdłuż murów, przez podwórka i zaułki, aż docieramy do Bałut. Ogrodzenie z drutu kolczastego już stoi, ale brama pozostaje otwarta.

Nazajutrz wypada pierwszego maja, święto wolności – gdy getto zostaje nagle zamknięte i odcięte od reszty świata[388].

---

[387] Tu w znaczeniu: przed godziną policyjną.

[388] Na mocy zarządzenia prezydenta policji granice dzielnicy żydowskiej w Litzmannstadt zostały zamknięte 30 kwietnia 1940 r. i od 1 maja nikt nie mógł opuszczać terenu getta.

Rozdział dwudziesty siódmy

Długie cztery lata w getcie. Jak zredukować je do ograniczonego wymiaru słów i jak opisać nawet w najdłuższym tekście? Wszystko, co potrafię, Abraszo, to przypomnieć punkt zwrotny tego, o czym sam wiesz.

Pamiętasz, jak nasza grupa ośmiorga rozpadła się zaraz po przybyciu do getta? My, moja rodzina, wprowadzamy się do piwnicy u Cederbojmów. Zanim zamknięto getto, Wowa usłyszał, że jego Herszko dotarł do Rosji. Jego wychowanek, Josel Trompejter, też tam trafił. A Gabi poszedł w getcie mieszkać u Soni Wajskop. Więc Cederbojmowie mieszkali tylko z Malką.

Marek znajduje pracę jako ordynans w domu wariatów przy ulicy Wesołej[389], ma tam swoje posłanie. Icchok mieszka z rodziną, a Ty wprowadzasz się do swojego mrocznego pokoiku.

Pamiętasz, jak przygnębieni byliśmy w pierwszych tygodniach getta? Ludzie bali się wychodzić na ulice. Opanowywało nas uczucie obcości, rodzaj przeczucia na temat tego, co ma nadejść. Ale wkrótce przyzwyczailiśmy się do melancholii i przestaliśmy ją odczuwać.

Często biegam do Marka. Romansujemy przy dźwięku paplaniny i okrzyków szaleńców. To najbardziej odpowiedni akompaniament dla miłości w getcie. Dom wariatów staje się naszym azylem. Nie ma w nim wojny, nie ma strachu przed śmiercią. Jest ból świata, który nie doskwiera, którego się nie czuje, ból łagodzący trudność biedowania w getcie. Marek, jakby też nie był przy zdrowych zmysłach, rozprawia dużo o wieczności. Połyka

[389] W okresie międzywojennym szpital dla osób chorych psychicznie znajdował się przy ul. Wesołej 17, w sąsiedztwie starego cmentarza żydowskiego.

książki naukowe niczym narkoman przyjmujący narkotyki i opowiada o tajemnicach bytu.

Wierka jest pierwszą z naszej rodziny, która zaczyna pracować. Nauczycielka Boleściwa ze szkoły Medema pozostała w getcie i otworzyła klasę dla dzieci ze szkoły. Wierka pracuje jako nauczycielka. Gdy ma czas, przychodzi z Icchokiem spotkać się ze mną i Markiem.

– Dlaczego nie przydarzyło mi się postradać zmysłów? – zapytuje Icchok.

Szaleńcy są najspokojniejszymi ludźmi w getcie. Marek jest za pan brat z jednym mężczyzną, który uważa się za Jezusa Chrystusa. To jednak maruda w porównaniu z innym, wykształconym, porządnie wychowanym, który uważa się za wcielenie inkwizytora Torquemady[390]. Jest do niego nieco podobny. Diabelski ognik żarzy się w jego czarnych oczach. Wymyśla genialne sposoby na zamęczanie Żydów, a gdy je zdradza, śmieje się doniosłym śmiechem. Powiada:

– Minęły czasy prywatnej śmierci. Przemysł mordu wszedł w fazę produkcji masowej!

Za każdym razem, gdy wychodzę z domu wariatów i wpadam w świat zdrowo myślących, czuję się, jakbym dopiero teraz trafiła do zakładu dla obłąkanych. Getto przypomina chaotyczny jarmark, rzężące mrowisko, z mrówkami przemieszczającymi się w każdym kierunku i donikąd. Egzystencja bez celu. Panuje dziwny nastrój wakacji. Człowiek odczuwa bliskość z zupełnie obcymi osobami. Czuje się w getcie jak w domu, wolny od zniewolenia, we własnej krainie niepłynącej mlekiem ani miodem, a nawet bez chleba. To, jak mówisz, *szei nu*[391]. Wszyscy Żydzi są braćmi.

Wewnątrz ogrodzenia z drutów kolczastych można robić, co się chce i mówić, co się chce. Ma się luksus swobody wylania z siebie złości i goryczy. Niemcy pozwalają nam gotować się we własnym sosie. Tyle interesuje ich to żydowskie brykanie, ile odszczurzacza interesują piski myszy czekającej w pułapce na zagładę. Pamiętasz demonstracje przeciwko Rumkowskiemu na początku istnienia getta[392]? Mówcy czują się jak pączki w maśle, dzieląc się płomiennymi przemówieniami. Prawda, od czasu do czasu pojawiają się Niemcy, żeby przeprowadzić na nas terapię szokową, strzelając w tłum. Wkrótce jednak znikają.

Nie ma zewnętrznych oczu, które przyglądałyby się tym scenom. Wolność to pustka. Twarze ludzi są blade jak kreda, ciała przypominają szkielety. Głód

---

390 Tomás de Torquemada (1420-1498) – hiszpański duchowny, dominikanin, generalny inkwizytor Kastylii, Walencji i Aragonii, który zasłynął dużą liczbą wydawanych wyroków i wykonywanych egzekucji. Sam będąc konwertytą z judaizmu, był zwolennikiem bezkompromisowej walki z kryptojudaizmem oraz wyeliminowania z Hiszpanii religii żydowskiej.

391 Prawdopodobnie skrót od modlitwy Szechejonu - błogosławieństwo odmawiane w każde ważne święto, dla uczczenia radosnej okazji lub przed pierwszym skosztowaniem owoców w nowym sezonie.

392 Pierwsze demonstracje przeciwko Rumkowskiemu miały miejsce w czerwcu, sierpniu i wrześniu 1940 r. Protesty tłumiła Służba Porządkowa, ale w końcu do getta wezwano niemiecką policję.

doskwiera niemiłosiernie. Wozy wyładowane zmarłymi co chwila przejeżdżają ulicą, a mało kto ma prywatny pogrzeb. Ludzie patrzą za wózkami i pocieszają się: „Ale ja sam wciąż żyję. Jeszcze tu jestem!".

Lęk i głód stanowią główne motywy naszego życia.

Gospodarstwo prowadzą u nas mama i Balcia. Rozumieją się bez słów i działają ręka w rękę. Tworzą rodzaj kodeksu postępowania, którego pozostali mieszkańcy domu muszą się trzymać. Szybko dochodzą do wniosku, że nie da się utrzymać racji chleba jako własności kolektywnej, ale każdemu trzeba wydać indywidualny przydział, żeby sam decydował, kiedy zamierza jeść. Ostrożnie krają bochenki chleba przynoszone z kooperatywy, aby nikt nie poczuł się skrzywdzony. Jednakże dzienne porcje zupy wlewa się do wspólnego garnka. Dodaje się nieco łupin ziemniaczanych albo zaprawia liśćmi marchwi lub pietruszki, i spożywa się wspólnie. Te posiłki należą do najlepszych godzin dnia.

Mieszkanie Cederbojmów utrzymuje charakter klubu. Partia rozpoczęła działalność podziemną, a Wowa i Gabi znajdują się w centrum wydarzeń. Moi rodzice też są aktywni. Towarzysze przychodzą nieustannie konferować na temat bieżącej sytuacji. Towarzyszka Hanka wchodzi w skład kierownictwa partii w getcie i, jak w młodości, regularnie odwiedza mieszkanie Balci. Stół stale zastawiony jest talerzami i szklankami. Ludzie ściskają się wokół niego, gdy przychodzi czas posiłku. Część towarzyszy przynosi ze sobą odrobinę jedzenia. Inni udają, że o nim zapomnieli, ale nie odmówią posilania się z pozostałymi.

Także Gabi i Malka organizują młodzieżowe zebrania w piwnicy, którą zajmuje moja rodzina. Czasem odbywają się dwie burzliwe dyskusje jednocześnie, na górze i na dole. Gabi nazywa pokój na górze „senatem", a piwnicę „parlamentem". Albo mówi o „izbie wyższej" i „izbie niższej". Czasem „senat" schodzi do „parlamentu" i odbywa się posiedzenie „izb połączonych".

Początkowo brakuje pracy. Malka i ja chodzimy do gimnazjum gettowego, gdzie spotykamy Sorkę Fidler. Co się tyczy Wierki, poza nauką zajmuje się ona też swoim pisaniem. W getcie wybucha epidemia pisania. Kto tylko jest w stanie unieść ołówek, pisze dzienniki, poematy, opowiadania o życiu getta, jakby każdy chciał pozostawić po sobie jakiś ślad[393]. Wierka jest bardzo produktywna. Nie kryje się już ze swoimi wierszami. Przeciwnie. Produkuje kopie i rozprowadza je wśród chętnych. Należy do kilku kółek literackich jednocześnie. Jej pieśni są mroczne, melancholijne, niezrozumiałe. Kryją misterium. Słowa krążą wokół niej niczym ćmy wokół ognia.

---

[393] Podobne zdania odnajdujemy w eseju Chavy Rosenfarb *Confessions of a Yiddish Writer*: „W getcie oprócz gruźlicy, tyfusu i czerwonki szalała epidemia pisania. Chęć pisania była równie silna jak wszechobecny głód, a nawet silniejsza". Zob. Źródła przypisów.

Pierwszy rok to czas przedziwnych spotkań. Przypadkowo odkrywa się ludzi, którzy kiedyś występowali na scenie naszego życia, jednak zniknęli, aby niespodziewanie wypłynąć na tle panoramy getta.

Pewnego razu idę wraz z mamą wypełnić wniosek na parę drewniaków, ponieważ nasze skórzane buty zaczynają się rozpadać. Kroczymy tłumnymi ulicami. Nagle mama zatrzymuje się, jakby miała zamiar zawrócić. Potem bierze się w garść, przybiera uśmiech na twarz, chwyta mnie mocno za ramię i z dumnie uniesioną głową idzie naprzeciw ładnie ubranego mężczyzny, który zbliża się do nas z teczką w ręku. Wydaje mi się znajomy.

– Co ty powiesz? – rzuca mama kokieteryjnie. – Kto by się spodziewał, że się tu spotkamy? Życie jest bardziej dramatyczne od wszystkich dramatycznych dramatów.

Mężczyzna macha do mamy ręką energicznie. Ruchem głowy wskazuje na mnie.

– Córka?

– Mam jeszcze jedną. I syna – chwali się mama.

– Ja nie mam rodziny. Jestem w getcie sam – mówi mężczyzna.

Mama nie przestaje się dziwić.

– Popatrz, popatrz, kto by się spodziewał, że akurat ty trafisz do getta. Czemu nie wyjechałeś za granicę? Z twoim talentem i sławą? Mógłbyś teraz grać w teatrze żydowskim w Ameryce, a nie przeżywać to konanie.

– Tu też gram w teatrze – odpowiada rozmówca.

– Tak, jeśli graniem w teatrze nazywa się igranie życiem.

– Chciałem powiedzieć, że gram w rewii u Puławera[394]. Poza tym jestem kierownikiem kooperatywy przy Rybnej. – Nachyla się do mamy i szepcze: – Jeśli będziesz potrzebować przysługi...

– Mówisz poważnie? – pyta mama.

– Z tobą zawsze mówiłem poważnie, Binele.

Żegnają się. Wiem, że to Piękny Mojsze, aktor i pierwszy chłopak mamy. Mama nie może się nadziwić, że tak wielu ludzi, którzy mieli możliwość ucieczki, dało się zamknąć w getcie.

Podobnie pewnego razu, w drodze z gimnazjum do domu, zauważam nagle na ulicy Antona Cimermana. Wygląda tak, jakby na sam mój widok próbował uciekać. Ale wybiegam mu naprzeciw uradowana. Zaciąga mnie do bramy:

– Nie mów nikomu, że mnie spotkałaś – mówi szybko.

– Przyjechał pan z Warszawy? Ale jak? Przecież getto jest zamknięte – dziwię się. Ale zaraz przypominam sobie Moszkowicza, kiedyś przełożonego mamy.

---

[394] Mojżesz Puławer (1903-) aktor i reżyser związany z teatrem Ararat. W getcie kierował zespołem Awangarda. Był reżyserem wielu rewii i przedstawień w resortach pracy. Po wojnie w swoich wspomnieniach opisał działalność teatralną i artystyczną w getcie łódzkim.

Moszkowicz ma w getcie powiązania z Kripo[395]. Razem z partnerem przemycają ludzi z Łodzi do Warszawy i z powrotem. Za porządne pieniądze, oczywiście.

– Będę tu tylko kilka dni – odpowiada Cimerman. – Co u Ciebie słychać? Co porabia mama?

– Nie przyjdzie pan zobaczyć się z nią? Mieszkamy u Cederbojmów.

– Wiem, Gabi mi powiedział. Nie, nie przyjdę. Zrozum, nie jesteś już dzieckiem... – Chce coś powiedzieć, ale zagryza wargi i pospiesznie szepcze: – Twoja mama jest jedyną kobietą, jaką kiedykolwiek naprawdę kochałem. Dlatego lepiej będzie, jeśli się nie zobaczymy. – Po czym wybiega z bramy.

Gdy tego wieczora przychodzi do mnie Gabi, opowiadam mu w tajemnicy o spotkaniu. Gabi, również w tajemnicy, mówi, że Cimerman jest kurierem partii i przyjechał z Warszawy pomóc w organizacji pracy partyjnej w getcie. I że stąd wyruszy do innych gett.

Po tym spotkaniu czuję się rozbita, więc biegnę zobaczyć się z Markiem w domu wariatów. Negatywna strona mojego przebywania tam polegała na tym, że szaleńcy zaczęli mi się śnić po nocach. Widzę przez sen ich wykrzywione figury i szalone grymasy na twarzach. Jak drzewa o kościstych gałęziach, z odkrytymi korzeniami, prowadzą rodzaj tańca w półparaliżu i poruszają się w rytm przerywanego staccato. Myślę o szaleństwie Giselle. Nieważne, jak dobra tancerka gra tę rolę, harmonijna forma klasycznego baletu posiada zdolność przysłonięcia krzykliwej brzydoty rzeczywistości szaleńca. W domu wariatów przy Wesołej w getcie prawda jest krzykliwie dysharmonijna. Ale właśnie przez to przywodzi na myśl coś, czego nie potrafię nazwać słowami.

A oto pewnego dnia wywożą wariatów z getta – wiadomo dokąd[396].

Jak daleko mi wówczas do baletu klasycznego! Jak żałośnie wyglądają *Jezioro łabędzie* albo *Sylfida*! A jednak jestem pewna, że ludzie w getcie mieli być może więcej szczęścia, że mogli ujrzeć te balety niż ludzie poza gettem. Ludzie uwielbiają kłaść na zranione dusze opatrunek z kłamstwa sztuki. Nie bacząc na głód i lęk, połyka się przecież w getcie książki i biega na koncerty w domu kultury Rumkowskiego[397], albo na różnorakie przedstawienia. Tłumaczę to sobie tym, że w każdym przejawie sztuki tkwi nie tylko narkotyk uśmierzający

---

395 Kripo – niemiecka policja kryminalna, na terenie łódzkiego getta funkcjonowała w dawnym domu parafialnym przy ul. Kościelnej 8.

396 W lipcu 1941 r. Niemcy wywieźli ze szpitala przy ul. Wesołej wszystkich pacjentów. Był to dalszy ciąg tzw. akcji T-4 zapoczątkowanej na terenie Rzeszy w 1939 r., której celem była eliminacja osób upośledzonych.

397 Dom Kultury (Kulturhaus) – oficjalnie funkcjonował w getcie od marca 1941 r. do lata 1943 r. przy ul. Krawieckiej 3. Odbywały się w nim koncerty, przedstawienia teatralne, wieczory literackie i wystawy, a także spotkania okolicznościowe.

trud rzeczywistości, ale także jej wyjaśnienie. Głos, który przemawia do mnie od czasów dziecinnych, też pochodzi z tego źródła, i także w getcie nie chce zamilknąć. Chwytam się go niby liny, która nie pozwala mi utonąć. Często myślę o *madame* Felicji. Czasem widuję ją z oddali na ulicy. Ciekawe, co teraz sądzi na temat swojej sztuki.

Nie gonię za *madame* Felicją, gdy ją tylko spotykam. Takie spotkanie byłoby zbyt bolesne. To przecież śmieszne, by chodzić po getcie i dumać nad tańcem na czubkach palców. W tym wielkim mrowisku należy twardo stąpać po ziemi. Nie chcę zawieść się na moim szaleństwie.

Zaczynają się „wysiedlenia", a my przeżywamy pierwszy szok. Mojsze Sokrates i ciocia Cypora mieszkają w swoim dawnym mieszkaniu przy Pieprzowej. Świetnie dają sobie radę w getcie, jakby życie na Bałutach przygotowało ich do takich czasów. W pewnym momencie jednak wtrąca się Rumkowski i zalicza Mojszego do przestępców, ludzi półświatka i łobuzów, których chce się pozbyć. W ten sposób Sokrates zostaje wysiedlony z getta jednym z pierwszych transportów[398].

Cypora pała wobec Rumkowskiego dzikim gniewem. Nienawidzi go całą sobą – za zaliczenie Mojszego w poczet przestępców, a jeszcze bardziej – za oderwanie go od niej i dzieci. Zaprzysięga zemstę. Pierwszy akt jej zemsty polega na odmowie pracy w resortach Rumkowskiego. Zapisuje się na „zasiłek" i bierze dziewięć marek wsparcia na siebie i dzieci. W ten sposób zostaje wraz z dziećmi przeznaczona do wywiezienia z getta transportem „zasiłkowców". Idziemy do punktu zbiórki w więzieniu przy Czarnieckiego, aby się z nią pożegnać.

– Znów będę razem z moim Mojszem. – Cypora dumnie podrywa głowę. – Pokazaliśmy im wszystkim figę!

Do getta zaczynają napływać ludzie z prowincji. Potem przybywają transporty z zagranicy. Cała żydowska Europa znajduje tu swoich przedstawicieli. Obcokrajowcy zostają zakwaterowani w lokalach szkół, więc szkoły przestają istnieć.

Pewnego razu, pamiętam, przychodzę do Twojego mieszkania, Abraszo.

– Nie mam się gdzie ukryć – skarżę Ci się.

Jak za starych dobrych czasów, odpowiadasz mi:

– To ukryj się u mnie. – Włóczysz się wtedy po getcie i nieustannie szkicujesz różne sceny z życia. – Ja sam – mówisz – najlepiej czuję się, gdy getto huczy mi w uszach.

Jestem tak przejęta Twoją propozycją, że zrzucam buty i wykonuję kilka przypadkowych ruchów baletowych, których dawno nie ćwiczyłam. Kolana załamują

[398] Faktycznie do pierwszej grupy wyznaczonej do wysiedlenia w styczniu 1942 r. trafili przedstawiciele świata przestępczego, którzy zdaniem Rumkowskiego najbardziej przeszkadzali w zaprowadzeniu w getcie porządku.

się pode mną, padam na łóżko. Ryczymy ze śmiechu. Krztuszę się. Taką mam naturę. Gdy się śmieję i jestem niepohamowanie wesołą, zaczynam się krztusić.

Marek nigdy nie godzi się na wizytę u Ciebie. Pracuje w resorcie siodlarskim i mieszka z pięcioosobową rodziną. Ja pracuję w resorcie czapkarskim. Po pracy spacerujemy wspólnie po ulicach do późnych godzin.

*

Wiosna po roku getta. Pesach[399]. Podwórza pełne są wystrojonych mieszkańców z dziećmi w kolorowych ubraniach. Także ulice wypełniają radośni, chudzi jak szkielety, wygłodzeni spacerowicze w drewnianych trepach. Nie czuć już ciasnoty. Ciepłe powietrze roztacza woń ustępów i koszy na śmieci, i odurza głowy wypróbowanymi, wiosennymi obietnicami. Myśli przeskakują od wyjścia z Egiptu po wyjście z getta. Wolność pojawi się lada chwila.

Po Pesach rozpoczyna się okres dezynterii. Mama i Noniek podupadają na zdrowiu. Trzeba im kupić ryżu i twarogu na czarnym rynku. Dzięki pośrednictwu Icchoka tata sprzedaje ostatki naszej części skarbu. Mama ledwo trzyma się na nogach. Mimo to chodzi do pracy. W domu powłóczy nogami, na co tata nie może patrzeć. „Nie szuraj tak" – prosi. Prawie przestają ze sobą rozmawiać. Unikają swojego wzroku. Pojawiają się głosy o masowych wywózkach z getta. Niedługo potem rzeczywiście się zaczynają, a gdy się zaczynają, nie mają końca[400].

Około sześćdziesięciu tysięcy Żydów zostaje wywiezionych z getta. Potem dowiadujemy się z listu rebego z Grabowa[401], który dotarł do getta, że wszystkich ich zabito w Chełmnie w hermetycznie zamkniętych ciężarówkach. Zagazowano ich w prymitywny sposób, gazem Cyklon B[402]. Wkrótce zaczynają przybywać do getta wagony zakrwawionych ubrań do wyprania i posortowania w resortach. Ludzie przysłani do getta z prowincjonalnych miasteczek opowiadają historie, od których włosy stają dęba. Ale jesteśmy zbyt zajęci całodzienną pracą w resorcie,

---

399 Pesach – jedno z najważniejszych świąt żydowskich, zwane też świętem przaśników, przypadające na wiosnę. Upamiętnia wyjście Żydów z Egiptu pod wodzą Mojżesza, wyzwolenie z niewoli i drogę ku Ziemi Obiecanej.

400 Chava Rosenfarb miesza chronologię. Masowe deportacje z łódzkiego getta miały miejsce w 1942 roku. Rozpoczęły się w styczniu i zakończyły we wrześniu tzw. Wielką Szperą. W sumie wywieziono wówczas z getta ponad 70 tys. osób.

401 Tym rabinem z Grabowa był Jakub Szulman. W styczniu 1942 r. dotarli do niego uciekinierzy z pobliskiego obozu zagłady w Chełmnie nad Nerem i opowiedzieli mu o mordzie, jaki się tam dokonywał. Jego listy były pierwszą próbą ostrzeżenia Żydów uwięzionych w gettach przed Zagładą. Trafiły do łódzkiego i warszawskiego getta.

402 Pomyłka Autorki. W Chełmnie nad Nerem nie stosowano Cyklonu B, ludzi mordowano spalinami samochodowym, rolę komór gazowych pełniły ciężarówki.

zbyt zajęci głodem, zbyt zajęci staniem w kolejce po odbiór ubogich racji. Łatwiej jest udawać ignoranta. Bo co innego robić? Getto zostało hermetycznie odcięte od świata. Nikomu nie udało się uciec. Kilkoro próbowało, powieszono ich na bazarze. Jedyną drogą oporu jest walka o dodatkowy dzień życia. Może z czasem doczekamy się wyzwolenia. Ale pozbawieni nadziei szaleńcy z różnych nielegalnych organizacji przygotowują się – do czego?

Dzięki Gabiemu dostajemy informacje z pierwszej ręki. Gabi ma odbiornik radiowy schowany w dwóch menażkach. Trzyma je w pracy, ale na dzień wolny zabiera je do domu. Jankew i Wowa nie przestają analizować codziennych wiadomości i robią prognozy na przyszłość. Ich serca łakną dobrej nowiny. Ale nie ma dobrych nowin, oprócz tych, które Żydzi sami wymyślają.

Wowa zrobił się zgorzkniały przez niesprawiedliwości dziejące się w getcie i rzuca przekleństwami na Rumkowskiego, jego pomocników i policję getta. „Oni zwą się Żydami!" – piekli się. Gdy roznosi go gniew, bierze się za rozłupywanie mebli w mieszkaniu, na opał. Okropnie cierpi z powodu głodu, a jego największą przyjemnością jest słuchanie, jak Jankew opisuje potrawy, które zwykł serwować w koszernej restauracji Feldmana.

Tak toczy się życie w getcie. Ci, którzy trafiają do wywózki, zostają szybko zapomniani. Co chwila odbywają się nowe wysiedlenia rodzin. Zdolni do pracy wciąż przybywają z prowincji. Brudna woda spływa, wpływa zaś świeża. Getto chodzi jak w zegarku, jak mawia Rumkowski. Żyjemy w miniaturowym państwie, w stale nakręcanym królestwie z pajęczyn. Różnice klasowe rosną wraz z głodem. Ci, którzy nie mają protekcji, „pleców", do kogo biec, gdy znajdą się na liście do wywózki, przyjmują każdy dzień mizernego życia jak dar od Boga.

Epidemia gruźlicy jest w pełnym rozkwicie. Mama i Balcia wpadają w panikę i pół nocy spędzają na sprzątaniu i czyszczeniu, aby uchronić dom przed bakteriami Kocha. Icchok, gdy do nas przychodzi, przynosi trochę proszku do prania. Oraz wieści, kto z jego rodziny zapadł na płuca. Mama przygląda mu się ze współczuciem i boi się, żeby, nie daj Bóg, nie zaraził Wierki. Poucza go:

– Uważaj na siebie. Mogę przysiąc, że oddajesz chorym dużą część swojej racji.

Rzeczywiście wygląda strasznie. Waży może połowę tego, co kiedyś, i jest chudy jak szczapa. To jasne, że porusza niebo i ziemię, aby utrzymać przy życiu resztkę swojej rodziny. Rodziny rozbitej przez wysiedlenia i gruźlicę.

Lecz pewnego razu Icchok przestał do nas zachodzić.

– Co słychać u Icchoka? – dopytuje mama Wierkę. – Dlaczego się nie pokazuje?

Wierka wzrusza ramionami i nie odpowiada. Podejrzewam, że i on, i Wierka są bardzo aktywni w podziemiu zbrojnym. Jestem pewna, że takie istnieje.

Tego lata panuje nieznośny upał. Wartownicy przy drutach, w tych nieprzyjemnych i gorących warunkach, zaczynają strzelać przez ogrodzenie do getta. Na bazarze częściej pojawiają się szubienice dla tych, którzy próbują ucieczki. Szubienice są jedyną drogą do wolności.

Gabi utrzymuje dobry nastrój. Odwiedza nas prawie codziennie, jednak nigdy z Sonią. Wyobrażamy sobie, że jako aktywna komunistka musi prowadzić życie na poły w konspiracji. Sam Gabi ma roboty partyjnej po uszy i Balcia żali się, że „gdy żona dostaje kontrakt ślubny, matce przypada rozwód".

Gdy roznosi się informacja, że sąsiad z naszego podwórza, pan Ząbek, jest donosicielem Kripo, ostrzegamy przed nim Gabiego. Ale Gabi, gdy spodziewa się rewizji, przynosi menażki z radiem do nas i ukrywa pod szafą. Śmieje się z ostrzeżeń:

– Pan Ząbek jest moim najlepszym obrońcą – mówi. – Nikt z Kripo nie wyda słuchających radia. Najbezpieczniej będzie ukryć sekret pod nosem pana Ząbka.

Noniek pracuje w resorcie, tak jak inne dzieci w jego wieku. W resorcie papierniczym. Pracuje tam wielu nieletnich. Odkąd zamknięto szkoły, a Żydzi z prowincji, Berlina, Hamburga, Pragi, Luksemburga i innych miejsc w Europie wprowadzili się do ich budynków, wielu rodziców myśli, że najlepszą ochroną przeciw wywózce będzie uczynienie dzieci przydatnymi dla Niemców. Przede wszystkim bowiem wywozi się rodziny z dziećmi. Po tym, jak Noniek wraca z pracy, pełni funkcję adiutanta Gabiego, a Gabi wysyła go z różnego rodzaju konspiracyjnymi poselstwami. Noniek wie o radiu znacznie wcześniej od innych domowników.

Mama ma żal do Gabiego o wpływ na Nońka i zrobienie z niego chłopca na posyłki. Uważa, że Gabi jest strasznie lekkomyślny, przychodząc tu z radiem w menażkach. Nie chce narażać z tego powodu całej rodziny. Do tego ma pretensje do taty o chorobę getta – wodę w płucach. Stwierdza, że przyszedł czas na wyprowadzkę z mieszkania Cederbojmów. Niełatwo jednak znaleźć wolny pokój. Mama apeluje do Wierki:

– Może Icchok mógłby coś zrobić?

Wierka kręci energicznie głową:

– Nie mieszaj go do tego.

Nie widujemy Icchoka przez całe lato. Wierka znika z mieszkania po pracy i sądzimy, że się z nim gdzieś spotyka. Mama już nie dopytuje. Bardzo martwi się o tatę. Tymczasem rozchodzą się wieści o wysiedleniu dzieci i starców[403]. Zwykle Icchok przychodził do nas, gdy tylko pojawiały się podobne informacje. Tym razem się nie pokazuje. Prawda o Wierce i Icchoku nagle staje się dla mamy jasna.

– Coś się między wami wydarzyło? – odzywa się do Wierki.

– A jeśli tak...? – mamrocze Wierka.

– Ale dlaczego? Po tym wszystkim, co razem przeszliśmy? Stał mi się tak bliski. Musisz mi powiedzieć, co się stało. Jestem przecież twoją mamą, do licha.

– Nie powiem ci! – wybucha Wierka i ucieka z mieszkania.

---

[403] We wrześniu 1942 r. Niemcy rozkazali wysiedlić z getta wszystkich niepracujących, w tym dzieci do lat 10 i starców powyżej 65. roku życia, ale zaczęło się od deportacji pacjentów szpitali.

*

Z końcem sierpnia 1942 ma miejsce „szpera", osiem dni aresztu domowego[404]. W pierwszych dniach komisje lekarzy, policjantów i pielęgniarek chodzą po domach i ustalają, kogo należy wysiedlić. Zabierają dzieci, starców, słabych, wychudzonych, napuchniętych, rumianych i bladych, łysych i z włosami, i kogo popadnie. „Wybranych" wyprowadzają w rzędach i gnają na ulicę, do czekających wozów. Setki wozów stukają o bruk i spieszą w kierunku stacji kolejowej przy cmentarzu.

Piwnica staje się miejscem schronienia naszym i Cederbojmów przez tych osiem groźnych dni. Potem getto staje się miastem bez dzieci. Nikt nie opłakuje zabranych starców. Getto zostaje miastem upiorów.

Chodzą słuchy, że wszyscy wywiezieni zostają osiedleni gdzieś na wsi, gdzie mają dość jedzenia i wiodą spokojne życie. Inni mówią, że Międzynarodowy Czerwony Krzyż zajmuje się nimi, że wyprowadzono ich w celu ochronienia przed bombardowaniami. Ale serca podpowiadają zupełnie inną opowieść. Znają prawdę, którą niedługo potwierdza nielegalna radiostacja Świt. To czas, gdy my i Cederbojmowie postanawiamy porządnie zakamuflować piwnicę i przygotować ją jako kryjówkę. Większość dawnych sąsiadów z podwórza została wysiedlona, wprowadzili się nowi. O istnieniu piwnicy wiedzą nieliczni. Donosiciel, pan Ząbek, wprowadził się na podwórze rok wcześniej, więc z pewnością nie miał pojęcia, jak wygląda nasze mieszkanie. Dlatego moja rodzina przenosi się wyżej, do dużego pokoju, który dzieli na pół zasłona, i zaczynamy pracować nad zabezpieczeniem kryjówki. Nie skarżę się już, że brakuje mi prywatności.

Jesień daje się we znaki. Dzień po dniu przebiega w grozie, napięciu, oczekiwaniu. Tata, chociaż chadza na spotkania aktywu partyjnego, jest niemym cieniem. Ponieważ doskwierają mu płuca, obawia się nas całować, żeby nie zarazić. W ogóle unika Nońka. Mama śmieje się z jego wycofania wobec niej. Odpłaca mu się całym sercem i troską za dni, gdy między nimi panowało milczenie i wyobcowanie. Śpią w jednym łóżku jak dwa zimne sople, objęci i zrezygnowani. W owych dniach rodzi się specyficzny gettowy uśmiech mamy. Dużo się uśmiecha – uśmiechem jasnowidzki.

Kripowiec, pan Ząbek, czuje słabość do mojego taty. Chce się z nim przyjaźnić i zaczepia go stale na podwórzu. Tata unika go jak zarazy, ale gdy nie daje rady i spotyka Ząbka, zdarza się, że bez szacunku odpowiada, co należy się *Vertrauuensmann der Kripo*[405].

---

[404] Wielka Szpera obejmuje okres 5-12 września 1942 r., od soboty do soboty, osiem dni.

[405] *Vertrauuensmann der Kripo* (niem.) – mąż zaufania, tu donosiciel Kripo.

Pan Ząbek bierze udział w obławie, jaka pewien czas później odbywa się w naszym domu. Dowódca Kripo, Herr Suter[406] we własnej osobie, z całym towarzystwem niemieckich kripowców, dokonują gruntownej rewizji. Ale nie odkrywają piwnicy, którą zdążyliśmy zakamuflować. Wstawiliśmy fałszywą ścianę przy zejściu, która zasłoniła schody. Pan Suter i jego ludzie przeczesują wszystko w pokoju i kuchni. Gdy odchodzą, nakazują ojcu iść z nimi.

Wszystko we mnie rwie się, by paść Suterowi do stóp i błagać, żeby zabrał mnie zamiast ojca. Ale stoję jak znieruchomiała. Twarz taty staje mi przed oczami. Jego zapadnięte policzki płoną charakterystyczną czerwienią chorego na płuca. Brązowe, szkliste oczy, którymi nam się przygląda, zdradzają wysoką temperaturę i wątpliwość, czy nas jeszcze zobaczy. Prowadzą go do „czerwonego domku"[407] – do Kripo. My, a z nami sąsiedzi z podwórza, patrzymy za odchodzącym tatą, wyprostowanym, lekko kołyszącym się na nogach.

Zastanawiam się, jak tata może tak iść. Skąd bierze siłę? Gdy biblijny Izaak szedł na akedę[408], jego krok był lekki, ponieważ o niczym nie wiedział, ufał swemu ojcu, Abrahamowi, i Bogu. Gdy Żydzi szli na *Kidusz ha-Szem*[409], kryli w sercach wiarę. Ale tata? Jakie to światło w jego duszy towarzyszy mu w drodze do „czerwonego domku"? W mroku tej chwili, bez Boga w sercu, bez wiary – co pozwala mu unosić dumnie głowę? Trudno jest być bohaterem w getcie. A może ojciec wcale nie stracił wiary i postrzega swoją obecną drogę jako kontynuację dawnego pobytu w więzieniu, wciąż uważając się za bojowca, który dostępnymi sobie dziś marnymi środkami przeciwstawia się nieprawości? Czy może krok Jankewa jest tak dumny po prostu dlatego, że my, jego dzieci, przyglądamy się jego odejściu?

Ojciec dostaje swoją porcję razów podczas przesłuchania w „czerwonym domku", gdzie oczekują od niego, że przyzna się do posiadania przed wojną udziałów w koszernej restauracji Feldmana przy Piotrkowskiej. Całe szczęście szybko mdleje. Gdy leży na podłodze w piwnicy Kripo, przychodzi pan Ząbek i podaje mu kilka kropel waleriany. Płacze i uskarża się, że on, pan Ząbek, nie zasługuje na przebywanie w pobliżu taty i tata powinien napluć mu w twarz. Skarży się, że traci zmysły na wieść o nieszczęściu w Zduńskiej Woli, gdzie przebywali jego żona

---

406 Herr Suter jest jednym z bohaterów *Drzewa życia* Chavy Rosenfarb.

407 Siedziba Kripo na terenie łódzkiego getta znajdowała się w budynku parafialnym kościoła Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny przy ul. Kościelnej 8, który był z czerwonej cegły, stąd jego kolokwialna nazwa.

408 Akeda (hebr.) – dosł. związanie Izaaka – termin dotyczący biblijnej opowieści z Księgi Rodzaju o ofiarowaniu przez Abrahama pierworodnego syna Izaaka.

409 *Kidusz ha-Szem* (hebr.) – dosł. uświęcenie Imienia [Bożego], aktywne poświęcenie życia za wiarę, synonim męczeństwa.

i dzieci, zabici podczas tamtejszej rzezi. Że piekielne płomienie przepełniają jego serce i popychają do krzywdzenia tych, którzy posiadają jeszcze swoje rodziny. Dlatego przyczepił się do taty, najszczęśliwszego człowieka na świecie. Skarży się, jak jest samotny i jak bardzo chce, żeby tata okazał mu trochę zrozumienia, trochę ludzkiego ciepła, i ochronił go przed odebraniem sobie życia.

Chodzimy jak otępiali, niemal bez wiedzy, co się z nami dzieje. Ty, Abraszo, przychodzisz do nas codziennie. Siedzisz z nami i z pustym wzrokiem słuchasz Wowy, który pragnie zemsty na Ząbku. Wowa wraz z Gabim opracowują plan, aby sprzątnąć Ząbka. Ale komitet partii zabrania. Konsekwencje takiego czynu byłyby oczywiste.

Ojciec wraca do domu jako wrak, pokryty guzami i ranami. Ma wysoką temperaturę. Tygodniami leży w łóżku. Gdy nieco dochodzi do siebie, zaczynają się dyskusje pomiędzy nim a Wową. Nie ma im końca.

– Nie mogę znieść tych waszych przechwałek o zemście ani tych brutalnych słów. Nigdy nie będę w stanie uczynić moim wrogom tego, co oni mi uczynili – mówi tata.

W Pesach 1943 roku przychodzi wieść o powstaniu w getcie Warszawy[410]. Nastrój jest podniosły. Zachwycamy się bohaterstwem warszawskich Żydów[411]. Oczywiście, wiemy, jaki jest na nas wyrok, ale nie chcemy w niego wierzyć. Myślimy, że mieszkamy w wyjątkowym getcie, że Niemcy nie mogą się obyć bez naszych złotych rączek, że Trzecia Rzesza nie poradzi sobie bez naszych resortów i pierwszej klasy produkcji.

Pędzimy więc nasze biedne życie w świecie bez dzieci. Wiosna w świecie bez dzieci. Wiosna w niewoli. Ty, Abraszo, nie jesteś w stanie przyjąć takiego świata. Zmieniłeś się nie do poznania. Osiwiałeś. Cierpisz na odwapnienie kości. Tracisz kolejne zęby. Ledwo trzymasz się na nogach. Słuchasz radiowych wieści Gabiego i z rzadka się odzywasz. W ogóle przestałeś się uśmiechać. Dziwnie jest przyglądać się twarzy, która zawsze się uśmiechała, gdy teraz nie uśmiecha się w ogóle. My, młodzi, nie dajemy Ci spokoju: „Uśmiechnij się wreszcie, Abraszo".

Odpowiadasz: „Życie w świecie bez dzieci oznacza życie bez uśmiechu, oznacza życie bez życia". Ale nie załamujesz się. Jesteś przybity, owszem, ale nie załamany. Pewnego razu mówisz do mnie: „Musimy pomieścić naszą nieprzeżytą przyszłość w tych dniach, które jeszcze nam pozostały".

---

410 Powstanie w getcie warszawskim wybuchło 19 kwietnia 1943 r. w wigilię święta Pesach.

411 Już w nocy z 19 na 20 kwietnia 1943 r. grupa bundowców z getta łódzkiego wiedziała o walkach w getcie warszawskim i odparciu Niemców. Bono Wiener, działacz młodzieżówki, przyjaciel Chavy Rosenfarb, a po wojnie jej drugi mąż, usłyszał tę wiadomość w audycji nadawanej w podziemnym polskim radiu z Londynu.

To rodzaj „otuchy", którą dzielisz się ze mną wraz z nadchodzącą zimą. Poświęcasz mi niezwykle dużo uwagi. Lepisz się wręcz. Jesteś czuły na każde moje słowo, i patrzysz na mnie tak, jak patrzy się na małą dziewczynkę. Ponieważ myślisz, że to z powodu mojej „ślepoty" na prawdę, mojej „niewinności", chodzę uśmiechnięta, radosna. W rzeczywistości pożera mnie czerw lęku. Nie potrafię tego wytłumaczyć. Ogarnia mnie jakieś szaleństwo młodości. Jakieś makabryczne rozradowanie. Płynie w moich żyłach, zupełnie mnie roznosi. Serce w moim wychudzonym ciele jątrzy, głód męczy – a radość z istnienia nie daje spokoju. Mówisz do mnie, „dziewczynki", że uczysz się ode mnie dawać sobie codziennie radę. Mówisz, że jestem Twoją nauczycielką, nie odwrotnie. Tak naprawdę karmisz mnie opowieściami z Talmudu. Mówisz o tajemnicach Kabały. Dalej uczysz mnie hebrajskiego. Pewnego dnia przynosisz mi prezent, *W poszukiwaniu straconego czasu* Prousta, który kupiłeś u ulicznego handlarza.

– Gdy byłaś małą dziewczynką i jeszcze mnie nie znałaś – mówisz, wręczając upominek – napisałaś do mnie list. Niech ta książka służy za odpowiedź.

Wtedy zdradzam Ci, że jeden prawdziwy list faktycznie napisałam, gdy już Cię znałam. List nigdy niewysłany. Zwierzałam się w nim, że jestem w Tobie zakochana i nie wiem, co z tym zrobić.

– Teraz ja mówię do ciebie to samo – odpowiadasz.

Organizujesz sobie własną rodzinę. Zaprzyjaźniasz się z kobietą z Twojego podwórza, która straciła męża i dzieci w „szperze". Dwóch bezdomnych chłopców, którzy cudem się uratowali ze „szpery", gdy odebrano im rodziców, przychodzi mieszkać w Twoim pokoju. Starszy chłopiec ma na imię Jankiel, a młodszy Dowcie. Jankiel jest przebiegły i energiczny, a Dowcie – leniwy i gadatliwy.

*

Zima jest okrutna. Ludzie chodzą ubrani w podarte łachy, szmata na szmacie. Nie ma jednak ochrony przed mrozem i przed lękiem, które trzymają ciała i serca w lodowatym uścisku. Mój niegdysiejszy talent do postów, służący utrzymaniu figury tancerki, już mi nie pomaga. Odczuwam nie tylko fizyczny głód. On pożera moją duszę. A jednak często zapominam, że mieszkam w getcie. Gdy patrzę, jak wrony unoszą się nad wieżą kościoła zamkniętego wraz z nami za płotem getta, wydaję się sobie szybującym, lekkim ptakiem, odlatującym do jakiegoś południowego raju. Czasami wyrzucam sobie to oderwanie od rzeczywistości. Nie mam prawa uciekać. Tata jest chory. Mama, chociaż uśmiecha się swoim rozdzierającym serce uśmiechem, ledwo trzyma się na nogach. Płuca Wierki też są zakażone. Noniek jest żwawy, ale chudy jak szczapka. A oto nadchodzą wieści o tym, co dzieje się z wywiezionymi z getta.

Mama martwi się, że pozostałam taką fantastką. Stara się sprowadzić mnie na ziemię. „To nie są czasy dla rozmarzonych księżniczek" – stale mi przypomina.

„Musisz się obudzić, abyś była gotowa na wszystko, co może nadejść". Nie przestaje się o mnie martwić. Bardziej polega na Nońku niż na mnie. Zgadzam się z nią. Muszę się zmienić. Jak mam jednak wyskoczyć z własnej skóry? Marzenia leżą w mojej naturze. W ten sposób stawiam czoła życiu. Poza tym, czuję instynktownie, że tylko zdolność uciekania myślami od prawdy pozwala mi żyć i nie popaść w zwątpienie. A do tego, chociaż myślę o czymś odległym od codzienności w getcie, chociaż wydaje mi się ona bardzo powierzchowna – widzę ją dokładnie. Przeczuwam też ostateczność.

A przy całym moim rozmarzeniu, jestem przecież nienajgorszą kucharką. Oczywiście, nie tak dobrą jak Wierka, prawdziwa geniuszka przerastająca wszystkich domowników w wymyślaniu dań z fusów erzac-kawy albo liści marchwi i pietruszki, albo łupin ziemniaka. Pomagam też Wowie w jego ulubionej pracy. Kilka razy w tygodniu wyruszamy z nim i Malką kraść deski ze zdemolowanych domów, które oficjalnie należą do Rumkowskiego. Tak załatwiamy sobie opał.

Cieszą mnie te nocne ekspedycje. To, co robimy, ma dla mnie znaczenie drugorzędne. Intryguje mnie tajemnicza noc, śpiące mrowisko, po którym hula śmierć jak czarna kwoka z rozpostartymi czarnymi skrzydłami. Nie ma więc sensu tęsknić za śmiercią w getcie, myślę w takich chwilach. Może dlatego tak wielu mieszkańców popełnia samobójstwa? Śmierć jest zbyt blisko. Ja sama nigdy tak bardzo nie kochałam życia, jak w owych chwilach, nocą, podczas wyrywania ze skutej ziemi mokrych, przegniłych desek pełnych gwoździ.

Znacznie mniej przyjemności sprawia mi stanie godzinami w kolejce po chleb czy rację żywnościową, z Malką czy samotnie. Pewnego razu, stojąc tak po drożdże rozdawane dla zatkania pustych żołądków, Malka opowiada mi, że prowadzi dziennik i zapisuje każde wydarzenie, jakie ma miejsce w getcie. Pomaga jej Gabi, przynosi różne wiadomości. Dostarcza jej też różnego rodzaju plakaty i ogłoszenia, które zrywa z murów i bram. Listy nazwisk towarzyszy, którzy zostali wysiedleni razem z rodzinami. Informacje o brudnych, zakulisowych działaniach Rumkowskiego, „gettokracji" i żydowskiej policji. Zazdroszczę Malce i tym bardziej zazdroszczę Wierce. One, kronikarki i pisarki, znalazły rodzaj powołania, sensu w marności gettowej egzystencji. Bardziej jednak podoba mi się poetyckie pisanie Wierki niż rejestrowanie Malki. Wiersze Wierki, mroczne, apokaliptyczne, mają więcej wspólnego z misterium naszego losu niż suche „fakty".

Tak jak moja mama, Malka próbuje przywrócić mnie rzeczywistości. Lecz Wierka, ona jedna wydaje się rozumieć, że byłoby mi trudniej przeżyć, gdybym była zupełnie „przebudzona". Cóż dałoby mi, na przykład, to ohydne stanie w rozgadanej kolejce na ostrym mrozie i koncentrowanie się na fakcie, że tam właśnie stoję? Krzyki, przepychanie się, wzajemne potrząsanie, przekleństwa i jęki, i robota gettowej policji – sprawiają, że człowiek czuje się jak robak. Dlaczego więc miałabym nie pozwolić fantazji swobodnie hulać jak, co najmniej, białej mewie ponad błękitnym morzem marzeń?

Co do pisania kroniki życia w getcie, Abraszo, w znacznym stopniu zgadzasz się z Malką. Sam szkicujesz getto, masz już całą stertę rysunków ukrytą w walizie pod łóżkiem. Zastanawiam się często, czy świat kiedykolwiek je zobaczy, czy ludzie z ich pomocą zrozumieją cechy tej dziwacznej planety, którą nazywa się gettem. Jeśli jestem zadowolona z tego, co robisz, to nie ze względu na użyteczność Twojej pracy, ale dlatego, że masz się czego trzymać.

Kobieta, Twoja współlokatorka (nie pamiętam jej imienia) szybko trafia na wywózkę. Nie jest w stanie znieść życia bez dzieci i nie może sobie wybaczyć, że pozwoliła policji wyrwać je ze swoich ramion. Stawia się dobrowolnie na „wysiedlenie" i odjeżdża transportem. Od tej pory Twoje życie, Abraszo, kręci się wyłącznie wokół dwóch „synów", owej pary uratowanych chłopców, którzy przyłażą do Twojego mieszkania wieczorami. Twoi „synowie" to niezłe gagatki, „organizatorzy" pierwszej wody i straszni kłamcy. Masz ubaw z ich kłamstw. Śmiejąc się, mówisz do mnie: „Ich kłamstwa to perły realizmu wyobrażonego. Gdyby nasi pisarze potrafili tak realistycznie fantazjować, wszyscy byliby Szekspirami".

Chłopcy Cię okradają. Wiesz o tym i udajesz głupiego. Jedzą Twoją rację i cieszą się z odrobiny cukru i marmolady. Śmiejesz się wraz z nimi, gdy przyłapiesz ich na gorącym uczynku. Bawią Cię twierdzeniem, że w getcie dorośli są bardziej bezradni od dzieci. Nie odpowiada im nasza zażyłość. Gdy przychodzę do Ciebie, wołają za mną: „O, przyszedł żółty kanarek!". Początkowo próbuję zyskać ich sympatię. Pewnego razu zdejmuję buty i pokazuję im kilka akrobatycznych sztuczek. Nie robi to na nich wrażenia. Są zgrabni i potrafią utrzymać równowagę lepiej ode mnie.

Zapraszasz mnie rycersko do stołu, przy którym Ty i Twoi „synowie" wyprawiacie ucztę z placków z łupin ziemniaka, z przystawką pod postacią liści rzodkiewki i deserem nawarzonym z rzodkiewkowego kompotu. Jesteś wyjątkowo dobrym kucharzem. Butelka wina pędzonego z buraków upija nas wszystkich, wygłupiamy się i stroimy żarty.

Wracam do domu przez tylne podwórza. Przedzieram się przez śnieg w drewniakach, które stukają jak kastaniety. Budzą we mnie ochotę do tańca, zapewne przez asocjację wzbudzoną Twoją bliskością. Dlaczego nie miałabym mieć ochoty tańczyć? Jestem szczęśliwa, że mam Ciebie w getcie, Abraszo, mam Marka, rodziców, Wierkę i Nońka. Moja rodzina jest wciąż cała. To cud. Dar. Uczucie miłości, pokrewieństwa dusz, jest tak kojące. Dlaczego miałabym nie chcieć tańczyć, pragnąć uwolnić się od nieznośnych spazmów lęku, od strachu, że te więzi zostaną, nie daj Bóg, rozerwane? Tak, wielki lęk jest prawdziwym tyranem getta.

Pragnę wyrazić ten lęk tańcem. Wiem, że z tańcem – moim własnym sposobem tańczenia – potrafiłabym dać sobie radę. Tańczę w wyobraźni. Wyobraźnia jest największą sceną. Jest moim jedynym błogosławieństwem, jedyną pociechą. Sądzę, że nawet najmroczniejsza muzyka jest w gruncie rzeczy optymistyczna. Siła milczenia być może bardziej pasuje do naszej sytuacji. Ale milczenie, zupełna

cisza, to otchłań, w którą czarna siła naszego mordercy pragnie nas zepchnąć. „Krzycz, getciarzu, krzycz! Rozerwij swoim wrzaskiem niebiosa na strzępy!" – mam ochotę zawołać w kierunku grupy idącej obok mnie ulicą getta. I pragnę tańczyć do nierytmicznego taktu tego krzyku.

*

Na szczęście Sonia Wajskop odczuwa podobne impulsy. Owej zimy tworzy w getcie szkołę tańca. Tak, ta ładna, czarna jak wrona Sonia zupełnie oszalała. Jak inne wychudzone, zasuszone, ledwo zipiące młode kobiety, z trudem ustaje na nogach. Musi oszczędzać każdą drobinę energii, aby przeżyć dzień pracy w resorcie. Tymczasem w trakcie lekcji tańca dosłownie fruwa, jakby niosła ją jakaś siła pochodząca z zewnątrz. Młode kobiety zbierają się wokół niej. Również ja dołączam do tej grupy. W ten sposób spotykam się ponownie z *madame* Felicją Markiewicz. Jest siwa jak gołąb i pozornie nie ma już niczego z dawnej *madame* Felicji. Skarlała. Ale ogień jej czarnych oczu wciąż płonie wraz z romantyczną miłością do sztuki. Już nie maluje twarzy, ale wciąż porusza się krokiem tancerki. Cierpi na gruźlicę i jest zbyt słaba, by cokolwiek robić. Ale jest honorową dyrektorką kursów i pracuje razem z Sonią. Także Ty, Abraszo, angażujesz się w pracę grupy tanecznej. Jesteś naszym nadwornym krytykiem, naszym egzaminatorem. Nie mija wiele czasu, a *madame* Felicja i Sonia zakochują się w Tobie po uszy. Wychwalają Cię, jakbyś był zarazem mądrym tatą i genialnym dzieckiem.

Pewnego razu po lekcji tańca wracam do domu w towarzystwie Soni. Sonia nie mówi dużo, zawsze unika zwierzeń. Także poza tańcem nic mnie z nią nie łączy. Tym razem jednak zaczyna niespodziewanie mówić o swojej mamie, o *madame* Poli Wajskop.

– Od dawna miałam ci to powiedzieć, Miriam – mówi. – Wyprowadziłam się z domu rodziców i nie pojechałam z nimi do Ameryki z powodu pewnego faktu. Przypadkowo natknęłam się na matczyny dziennik. Odkryłam, że nigdy mnie nie kochała. Odkryłam też inne rzeczy. Na przykład rolę, którą twój tata odgrywał w jej życiu. Opowiadam ci to teraz, ponieważ niewiele to już znaczy. A prawdę zawsze warto znać, jakby bolesną nie była. Przybliża nas ona do nieumalowanego jądra życia, nieprawda? – I opowiada mi ze szczegółami o pani Poli i moim tacie.

Od tej rozmowy z Sonią bolesna miłość, jaką chowam w sercu wobec ojca, zaostrza się. Mężczyzna, z którego nasienia pochodzę, który tak ubarwił moje dzieciństwo, wyśnił mnie jako tancerkę, artystkę, ten, o którego życie tak drżę w getcie, który stał mi się w getcie tak bliski, jak ja sama – staje się dla mnie bardziej zrozumiały w swej zagadkowej naturze.

Gdy opowiadam Malce i Sorce o lekcjach tańca, zarzucają mi kolaborację z wrogiem, kolaborację z Rumkowskim, zdradę. Zajmowanie się tańcem w getcie oznacza przyjmowanie narkotyku, popadanie w ślepotę. Nie chcą zrozumieć, że

jedyna zdrada, jaka się liczy, mogłaby polegać na traktowaniu tańca z lekceważeniem. Tylko Wierka, ona jedna, naprawdę mnie rozumie.

Malka i Sorka Fidler kontynuują po pracy naukę na uniwersytecie, który profesor Rotsztat stworzył w pustej stodole. Sorkę widuję rzadko. Mieszka z rodzicami po drugiej stronie mostu i romansuje z Mendlem Sznajderem, moją pierwszą „miłością". Rzadko mam czas do niej zaglądać. Częściej widuję jej macochę, towarzyszkę Hankę. Jako jedna z kierowniczych figur partii przychodzi do Cederbojmów znaleźć Gabiego albo pogadać z Wową i Balcią, albo z moimi rodzicami.

Gdy pewnego razu stoją z Malką w kolejce po chleb, pojawia się temat moich lekcji. Malka wzrusza ramionami.

– Oszalałaś. Ty i moja rozpieszczona szwagierka jesteście lunatyczkami!

– Więc dlaczego uważasz za stosowne siedzenie nad książkami naukowymi, które w getcie mają być może jeszcze mniej sensu niż taniec? – pytam.

– Nie mają sensu? Ja to nazywam próbą zrozumienia. Musimy wiedzieć, kim jesteśmy, czym jesteśmy, my, rasa ludzka. I w tym celu nawet studiowanie matematyki i astronomii posiada swoją wagę. Ale zrozum jedną rzecz, Miriam, nie energię umysłu powinniśmy oszczędzać, ale energię fizyczną.

Śmieję się.

– To właśnie robię. Moja energia umysłu zlokalizowana jest w nogach, jak sama wiesz.

Kilka wydarzeń ma miejsce tego roku w życiu naszych dwóch rodzin. Po pierwsze, Marek wprowadza się do nas, ponieważ istnieje niebezpieczeństwo, że policja, która ma go na liście osób samotnych przeznaczonych do wywózki, będzie szukać go pod poprzednim adresem. Jego karty żywnościowe na pewien czas zostają zablokowane. Po drugie, Gabi ma zostać tatą. Sonia przestaje tańczyć, ale nie kończy pracy nauczycielki tańca. Coraz częściej ją zastępuję. Do getta przychodzi wiosna, a ja tańczę i mieszkam pod jednym dachem z Markiem. Czego więcej mogę pragnąć?

Marek często przychodzi na moje lekcje. Siada w kącie na podłodze. Znajomy Soni nam akompaniuje. A ja, przystrojona w mój stary trykot, po raz pierwszy wprowadzam dziewczęta w mój styl tańca, styl, któremu nie nadałam nazwy. Ani *madame* Felicja, ani Sonia, ani tym bardziej Ty, który znasz mój styl bardzo dobrze, nie przeciwstawiacie się. Zarzucają mnie tylko pytaniami, na które nie zawsze znajduję odpowiedź i musisz przychodzić mi z pomocą. Ale wciąż mam wątpliwości. Sama nie wiem, czy to, co robię, ma prawo istnieć. Może to nie jest żaden styl, ale brak stylu niczym krzyk? Sonia i *madame* Felicja rozumieją to pewnie w ten sposób, tak jak i Ty. Chcę, żeby ocenił to Marek i powiedział, co o tym myśli. Ale okazuje się, że nie przygląda mi się uważnie. Wystarczy mu, że jest ze mną w jednym pokoju.

Marek nie chce chodzić ze mną na koncerty do domu kultury. Chodzę więc z Tobą, Abraszo. Światowej sławy muzycy, wirtuozi pianina i skrzypiec, zostali

deportowani do getta z różnych miast Europy Zachodniej, jakby mieli za zadanie wzbogacić życie getta koncertami orkiestry symfonicznej[412]. Nazajutrz, przy pracy w resorcie, pracują tylko moje dłonie. Głowa wciąż słucha tonów muzyki, a myśl chadza własną drogą, swobodnie oddaję się układaniu planów i projektów związanych z lekcjami tańca. Tymczasem głód burczy mi w brzuchu i gdzieś w środku nie przestaje kłuć mnie lęk.

– Głowa najlepiej mi pracuje, gdy mam zajęte ręce – dzielę się z Tobą obserwacją.

– A u mnie jest zupełnie inaczej – zauważasz. – Cały dzień w resorcie myślę wyłącznie o odrobinie zupy, którą wyżłopię wieczorem. Ale gdy stamtąd wychodzę, głowa pracuje mi dość dobrze nawet przy pustym żołądku. Nasze życie w getcie dowodzi, że nie jest prawdą twierdzenie *Inter arma silent Musae*[413]. W każdym razie, żydowska muza nie milczy nawet w getcie.

Po koncercie przychodzisz razem ze mną do naszego mieszkania. Słuchasz wiadomości, które przynosi Gabi albo przekazują Wowa lub tata. Fantastycznych wiadomości. Wowa, który właśnie został dziadkiem – Sonia urodziła dziewczynkę – wyśpiewuje wieści chrapliwym, podekscytowanym głosem. Niemieckie wojska cofają się na wszystkich frontach. Nie ma wątpliwości, że alianci są bliscy zwycięstwa. Głęboko w sercu męczy pytanie, czy my, mieszkańcy getta, też zwyciężymy.

Gabi, młody ojciec, zajęty jest organizowaniem grup oporu wśród młodzieży. Rzadko widujemy go u nas. Grupy oporu w getcie nie mają ani jednego egzemplarza broni palnej. Wszystkie próby nawiązania kontaktu ze światem zewnętrznym spełzły na niczym. Gabi chodzi z ampułką cyjanku w kieszeni. Musi być gotowa, gdyby go złapali. Jest pełen energii. Wychudł, a okazuje w sobie tyle odwagi i przekory, jakby potajemnie przyjmował jakiś życiodajny eliksir. Nerwy ma dosłownie z żelaza i stali. Zawsze jest w dobrym nastroju, za wyjątkiem chwil, gdy natyka się na wołającą o pomstę niesprawiedliwość, którą w getcie popełniają Żydzi wobec Żydów. Wówczas złości się podobnie jak Wowa.

*

Przychodzi dzień aresztowań nielegalnych słuchaczy radia. Do naszej bramy wpada banda Niemców z Herr Suterem na czele. Spotykają Gabiego, który wpadł do nas i właśnie wraca do domu.

---

412 W Domu Kultury regularnie grała orkiestra symfoniczna, z którą występowali znakomici artyści przybyli do getta transportami z Niemiec, Czech czy Austrii, m.in. skrzypek Leopold Weinbaum z Pragi czy pianista Leopold Birkenfeld z Wiednia. Rok 1941 zakończył się setnym koncertem, grane były też rewie.

413 (łac.) *W czasie wojny milczą Muzy.*

– Gdzie mieszka tu niejaki Gabi Cederbojm? – pytają go Niemcy.

Gabi wzrusza ramionami i odpowiada:

– Tu taki nie mieszka. – I wybiega przez bramę.

Kilka chwil później Herr Suter ze świtą wpadają do naszego mieszkania.

– Gdzie jest Gabi Cederbojm?! – grzmi.

– On tu nie mieszka – odpowiada Wowa.

– A ty kim jesteś? Pokazuj legitymację pracy! – żąda Herr Suter. Wowa pokazuje mu legitymację. – Jesteś jego ojcem, tak? – Suter uśmiecha się chytrze. – Gdzie on jest? Gdzie się ukrywa?

– Nie mam pojęcia – odpowiada Wowa.

– To ty z nami chodź – nakazuje Suter w czystym jidysz. – Gdy się do nas stawi, to cię wypuścimy.

Po raz pierwszy widzę, jak Wowa całuje Balcię na naszych oczach. Obejmuje też i całuje Malkę.

– Powiedz Gabiemu, żeby nie ważył się stawiać – szepcze jej do ucha.

Kierownictwo partii odbywa posiedzenie i decyduje, że Gabi w żadnym wypadku nie może oddać się w ręce Niemców. Że musi się dobrze ukryć. Mamy nadzieję, że Niemcy wypuszczą Wowę. Co im przyjdzie z trzymania starego, ledwo zipiącego Żyda, który pod ciosami przysiągł, że nie wie, gdzie znajduje się jego syn?

Gabi żegna się z Sonią i dzieckiem. Ukrywają się w osobnych miejscach. On co noc śpi u innego towarzysza. Późną nocą zakrada się do nas, żeby zobaczyć się z Balcią i Malką. Miota się jak w obłędzie.

– Wychodzę walczyć z przeklętymi psami! – pieni się i klepie po kieszeni, w której trzyma ampułkę. – To wszystko, czego potrzebuję. I tak nie mogę dłużej żyć, mając tatę na sumieniu.

Balcia odpowiada mu sucho, chrapliwie:

– Tata jest na sumieniu Niemców, nie twoim.

Jedyny cel Gabiego teraz to oddać życie za wysoką cenę. Nie ustaje w poszukiwaniu kontaktu z Polakami poza gettem, aby dostać broń. Nie chodzi już do pracy w resorcie. Zajmuje się kreśleniem planów, wymyślaniem ataków na niemieckie strażnice przy ogrodzeniu getta i co powinno po nich nastąpić. Wciąż konsultuje się z przywódcami innych partii.

Życie w getcie ciągnie się powoli. Serca mieszkańców przepełniają nadzieja i przerażające przeczucia. Wychodzi zarządzenie, aby wydać władzom wszystkie instrumenty muzyczne[414]. Orkiestra symfoniczna przestaje istnieć. Ludzie uważają to za dobry znak. Niemcy nie chcą, żeby mieszkańcy getta grali na ich

[414] Rozporządzenie Rumkowskiego w sprawie rejestrowania wszystkich będących w posiadaniu mieszkańców getta instrumentów muzycznych ukazało się 17 stycznia 1944 r. Do końca stycznia instrumenty miały zostać oddane Niemcom.

pogrzebie. Armia radziecka stoi nad Wisłą[415]. Lada dzień spodziewać się można wyjścia Niemców z Łodzi. Front zbliża się z każdą chwilą.

W środku nocy do mieszkania wpada Gabi. Nie zapalamy światła. W nocnych ubraniach siedzimy przy stole i sączymy filiżanki czarnej erzac-kawy. Zupełnie jakby był z nami Wowa. Gabi przychodzi z wiadomością, że siedemdziesięciu słuchaczy radia zostało rozstrzelanych.

Mój wzrok napotyka w ciemności oczy taty i przypominam sobie dzień, na początku naszego pobytu w getcie, gdy Wowa zdecydował się porąbać na opał swoje krosno. Przypominam sobie twarz Wowy, jak stał przy drewnianym potworze z brązowymi śladami po jego papierosach. Zawołał do siebie tatę.

– Ten obrzydliwy mebelek – powiedział, wskazując na krosno – jest tak bardzo częścią mnie, że gdyby mógł mówić, opowiedziałby o mnie historie nieznane nikomu, nawet tobie. Miej więc na uwadze, Jankewie, gdy będziesz mi pomagał rąbać warsztat. Wiedz, że poleje się z niego krew, niewidzialna krew przyjaciela, który spełnia dla mnie ostatnią przysługę. Dlatego, widzisz, nie wybrałem nikogo innego, tylko ciebie, do pomocy w tym dziele. W końcu jesteś drugim w kolejności moim przyjacielem.

Tata zażartował:

– Masz na myśli, że potem przyjdzie kolej na mnie do rąbania?

– Nie. – Wowa zaśmiał się gromko. – Mam na myśli, że to ja jestem gotów położyć głowę za ciebie.

Wowa gotów był oddać życie za tych, których kochał swoją suchą, szorstką, szczerą miłością, na ile potrafił. Udowodnił to, gdy wybiła jego godzina.

Podczas kolejnej wizyty Gabiego imię Wowy nie pada. Zamiast tego Gabi przekazuje najnowsze wieści. Jego głos brzmi mechanicznie, jakby pochodził z maszyny. Rosjanie zbliżają się do Łodzi. Słuchamy go z drżącymi sercami. Myśl o Wowce sprawia ból.

Od drzwi dochodzi ciche pukanie. Podbiegam, pytam „kto to?" i słyszę znajomy głos:

– Przyjaciel.

Zdejmuję pręt i otwieram. Icchok, ubrany w uniform Sonderkommando[416], wchodzi do środka. Wiemy już wszyscy, że Icchok jest członkiem tej jednostki policji getta, która współpracuje blisko z Kripo. Filiżanki w naszych dłoniach

---

[415] Armia Czerwona dotarła do prawej strony Wisły w pobliżu Warszawy na początku sierpnia 1944 r.

[416] Sonderkommando – Oddział Specjalny żydowskiej Służby Porządkowej, którego głównym zadaniem było wspieranie niemieckiej policji kryminalnej w grabieży mienia mieszkańców getta, w tym wykrywanie i konfiskata wartościowych towarów i przedmiotów, ale także pomoc przy wysiedleniach.

zatrzymują się w połowie drogi do ust. Blada jak kreda twarz Wierki jaśnieje wyraźnie w ciemności.

Po długiej, niekomfortowej ciszy odzywa się tata:

– Czemu go wpuściłaś? Popatrz tylko na tego przebierańca! Niech cię diabeł, Icchok. Lepiej było zostać fekaliarzem. Opróżnianie latryn jest godniejszą pracą niż twoja.

– Wynocha! – Malka podskakuje na równe nogi i pokazuje Icchokowi drzwi.

Icchok próbuje coś powiedzieć, ale podbiega do niego tata.

– Słyszałeś, co powiedziała Malka? Wynocha! Nie mogę na ciebie patrzeć! Wierka cię nie zniesie!

Gabi wchodzi mu w słowo i z pewnym wahaniem mówi:

– Wysłuchajmy, po co przyszedł. – Ku mojemu zaskoczeniu, w jego głosie nie ma śladu gniewu.

– Przyszedłem – wybucha w końcu Icchok – przyszedłem wam powiedzieć...

Mama wyskakuje na niego. Podbiega i całuje go w policzek.

– Dobrze cię widzieć, Icchoku! – mówi jakby na złość wszystkim.

– Przyszedłem was ostrzec – odzywa się Icchok. – Szykuje się wielkie wysiedlenie. Wszystko... Wszyscy idą na szmelc...[417]

Stajemy jak wryci. Cisza brzmi w uszach. Tata opuszcza rękę i szurając nogami, siada na ławce przy stole. Icchok wskazuje na Wierkę.

– Ona nie chce mieć ze mną nic wspólnego, ponieważ chciałem... – Patrzy na Gabiego błagalnym wzrokiem.

Widzę wyraźnie przyjacielski błysk jaśniejący w oczach Gabiego.

– Chodź! – odzywa się do Malki i wybiega z nią z mieszkania. Rozumiem, że biegną roznieść wiadomość wśród towarzyszy.

Mama łapie Icchoka za rękę.

– Icchok, dziecko drogie... – Próbuje zaciągnąć go do pokoju. – Rozumiesz przecież... Po tym, co spotkało Wowę... Dziękuję, że przyszedłeś nas ostrzec. Powiedz, kto jest na listach do wywózki? Niemożliwe przecież, że wywiozą wszystkich, prawda? A co słychać w domu?

Icchok odpowiada gorzko:

– Straciłem ojca. To słychać. – Wskazuje palcem na Wierkę. – Ale ją to nie obchodzi.

– Kłamstwo! – wybucha Wierka. – Dobrze wiesz, że to kłamstwo. Nie mogę patrzeć na ciebie w tym mundurze. Mam ochotę napluć ci w twarz. Ilu ludzi masz już na sumieniu? Ilu złapałeś i zaciągnąłeś do wywózki albo do więzienia? Ilu ludzi w kolejkach pobiłeś pałką? Ile dzieci sprzedających sacharynę na ulicy

---

[417] Decyzja o likwidacji getta podjęta została najprawdopodobniej w maju lub na początku czerwca 1944 r. Pierwszy transport odjechał do Chełmna nad Nerem 23 czerwca 1944 r. W sierpniu transporty ze stacji Radegast jechały już do Auschwitz-Birkenau.

zaciągnąłeś do więzienia na baty, ty kripowcu obrzydliwy! – Chowa głowę w ramionach i płacze. Icchok wybiega z mieszkania.

Malka i Gabi wracają nad ranem. Gabi potwierdza wiadomość przyniesioną przez Icchoka.

– Mówi się o pełnej likwidacji getta. Trzeba dobrze przygotować piwnicę. Sprowadzę Sonię z dzieckiem.

Później tego dnia przybiegasz Ty, Abraszo, z tymi samymi wieściami. Tata każe Ci przynieść plecak, żebyś ukrył się razem z nami.

– Jeśli chcecie – mówisz – przyjdę, ale pod jednym warunkiem. Jeśli pozwolicie moim dwóm chłopcom ukryć się razem z wami.

Brutalna pięść bez przeszkód zasypuje mrowisko getta. My, mrówki, tracimy zmysły. Zamęt. Chaos. Prezes Rumkowski przemawia w resortach i prawi, aby w spokoju i porządku stawić się na wysiedlenie. Tak peroruje też Hans Biebow[418], niemiecki szef Zarządu Getta i tak robią jego pomocnicy. Głód osiąga punkt krytyczny. Do getta nie trafia ani odrobina jedzenia. To sposób, aby wygłodniała ludność sama stawiła się do wywózki. Kuchnie przestają działać. Balcia szuka panicznie koperty z adresem przyjaciółki z dzieciństwa w Ameryce, aby mieć go przy sobie na wszelki wypadek.

Każdej nocy pracujemy przy kryjówce w piwnicy. Wykładamy ją matami do spania i innymi potrzebnymi rzeczami. Wowy brakuje nam na każdym kroku. Wydaje się, jakby dopiero wyszedł z mieszkania i lada chwila miał wrócić, aby dawać rady, żartować i podnosić nas na duchu.

Ty, Abraszo, przychodzisz pomagać. Zgrzytasz zębami, tak jesteś głodny. Jedzenie sprawiało Ci kiedyś wielką przyjemność. Byłeś tak dobrym kucharzem. Gdy znosisz do piwnicy odrobinę jedzenia ze swoich racji, Noniek naciska, żeby pofantazjować o jedzeniu. Bawisz go opisem uczty, którą wyprawi się po wyzwoleniu. To będzie uczta urządzona w najlepszym guście, mówisz, po parysku, na stole nie zabraknie wina. W końcu jedzenie stanie się kwestią piękna, mówisz, przyjemności dla zmysłów, powinien więc mu towarzyszyć ceremoniał. Przysłuchuję Ci się i myślę, że nigdy w getcie nie skarżyłeś się na głód, na nic się nie skarżyłeś. Dzieliłeś się jedzeniem z „synami". Wychudłeś na wiór. Wypadły Ci prawie wszystkie zęby. Opuchłeś i zachorowałeś na serce. Cierpisz na „kurzą ślepotę", nocą prawie nie widzisz. Zacząłeś nosić okulary, ale pomagają Ci nieznacznie. A jednak ciągle się poruszasz, a chociaż się nie uśmiechasz, walczysz o wyciśnięcie choćby kropelki z soku życia każdego dnia, i cieszysz się nią.

Kolejnym razem przychodzisz do nas powiedzieć, że tego wieczoru nie zdołasz pomóc nam przygotować kryjówki.

– Moi chłopcy złapali wczoraj kota – opowiadasz. – Zabili go i upiekli. To był

[418] Hans Biebow (1902-1947) – szef niemieckiej cywilnej administracji łódzkiego getta.

znajomy kot. Przechodził przez druty getta. Może był dalekim kuzynem mojej Dalili. Nie mogłem jeść jego mięsa, ale nigdy nie wdychałem tak cudownego zapachu.

Potem donosisz:

– Chłopcy nie chcą się z nami ukrywać. Odbyłem z nimi prawdziwą wojnę. Uciekli. Nie widziałem ich od kolacji z pieczenią. Tłumaczyli, że postanowili między sobą stawić się na wysiedlenie. I jak bym ich nie ostrzegał – zdradzając wszystko, co wiem – niczego nie chcieli słyszeć. Chcą zobaczyć świat i znaleźć rodziców, powiedzieli, i weź coś zrób. Dlatego stawią się z samego rana. Nie spocznę, dopóki ich nie znajdę. Chociaż tacy cwani, to przecież dzieci, naiwne dzieci. Nie zdają sobie sprawy z tego, co się dzieje.

Odchodzisz. Tego samego wieczora przychodzą Fidlerowie z drugiej strony getta. Przyszedł rozkaz opróżnienia tamtej strony przed zapadnięciem zmroku.

Icchok czeka na Binele na ulicy. Mówi jej, że wysiedlenie potrwa tak długo, aż w getcie nie zostanie żaden Żyd, za wyjątkiem skoszarowanych ośmiuset wybrańców, przeznaczonych do uprzątnięcia getta. Pyta, co planujemy robić.

– Nic – odpowiada Binele. – Co możemy zrobić?

Gdy się z nim żegna, słyszy, że będzie pracował przy wywózce na naszej ulicy, a więc mając nas na oku.

Kończymy przygotowania. Szykujemy też plecaki, na wypadek, gdybyśmy zostali wykryci przez Niemców. Nazajutrz schodzimy do kryjówki.

Pierwsza noc w kryjówce. Leżę z Markiem na macie, na podłodze. Odzywa się do mnie:

– Martwy bohater i martwy tchórz są w równym stopniu trupami. Honor człowieka i szacunek do siebie, całe szlachetne zadęcie, nie mają żadnego znaczenia. Są iluzją, którą ludzie lubią się bawić, żeby zaprzeczyć ostateczności i przezwyciężyć strach. Mojego tatę powiesili. Jest męczennikiem. Mama, która pozostała mu wierna do chwili, gdy pętla znalazła się na jej szyi, trzymała się odważnie, jak mówili ludzie. Dziesiątki tysięcy Żydów przeżartych przez choroby zmarło w swoich norach, bez najmniejszego śladu. Ostateczny rachunek wynosi zero.

Niemcy, uzbrojeni w pistolety i broń maszynową, wchodzą nazajutrz do getta z wozami. Odcinają blok za blokiem. Otaczają domy i ściągają wszystkich mieszkańców na ulicę, gdzie czekają na nich wozy, aby odtransportować ich na stację kolejową obok cmentarza. Tego samego wieczora, gdy akcja zostaje wstrzymana do świtu i wypełzamy z kryjówki zaczerpnąć nieco świeżego powietrza, przybiegasz Ty, Abraszo. Jesteś poraniony, zakrwawiony. Gdy szukałeś swoich chłopców, złapano Cię na ulicy i wsadzono na wóz, który jechał na stację. Zeskoczyłeś i uciekłeś.

Pytam Cię o walizę ze szkicami getta. Machasz rękę.

– Nie mogę znaleźć dzieci – skarżysz się.

Zastanawiam się nad Twoim wyborem pomiędzy próbą ratowania chłopców, chociaż można wątpić, czy jest dla nich ratunek, a ratowaniem walizy ze szkicami świata, który się kończy.

I wtedy pojawił się przed nami Icchok.

– Gdzie się ukrywacie? – pyta i patrzy na Wierkę. – W piwnicy, co? Musicie mi powiedzieć, żebym mógł was chronić. Pracuję na tej ulicy właśnie dlatego. Zabrali moją rodzinę dzisiaj rano, gdy byłem zajęty...

Widok Wierki sprawia ból. Przykro jest kochać kogoś, kto nie zasługuje na miłość; odrzucać kogoś, do kogo czuje się przywiązanie, zwłaszcza w tak kluczowym momencie życia. Zostawiamy Icchoka i wchodzimy do chałupy.

Z Fidlerami, Sonią, Gabim i dzieckiem ledwo można w piwnicy oddychać. A jednak spędzamy w niej cały kolejny dzień. Niemowlę dużo płacze, mimo że Sonia poi je wywarem makowym. Wszyscy postanawiamy, że nie opuścimy getta po dobroci. Droga z getta prowadzi na śmierć, jesteśmy tego pewni. Totalna zagłada Żydów jest celem Niemców. Nic mniej niż to. Trzeba być idiotą, żeby tego w końcu nie zrozumieć. A jednak nie chce się wierzyć. Człowiek chwyta się nadziei, że nawet jeśli zostaniemy schwytani, to przeżyjemy.

Towarzyszka Hanka i Gabi są u nas za dnia. Nocą znikają. Wciąż są zaangażowani w organizowanie ogólnego oporu. Całkiem wielu towarzyszy ukryło się w bunkrach po obu stronach getta. Ale starania Gabiego i Hanki nie mają sensu. Wszyscy to wiemy. Opór jest niemożliwy. Nie ma najskromniejszych środków, aby się przeciwstawić. Przeciwstawić się z nagimi pięściami oznacza samobójstwo na miejscu, ułatwienie Niemcom zadania.

Gdy Niemcy otaczają nasz blok domów, wszyscy, razem z Tobą, Abraszo, siedzimy w piwnicy. Mija dzień, a my wciąż jesteśmy. Nocą, gdy wychodzimy zaczerpnąć powietrza i stoimy przed chatą, z ciemności wypada nagle Icchok. Nie ma na sobie munduru. Przypada do Gabiego i prosi go:

– To przecież nie ma dłużej sensu. Powiedz im prawdę. Pozwól mi dołączyć do grupy. Nie jestem w stanie już dłużej wytrzymać.

Gabi klepie go przyjacielsko po barku i wyjawia, że to partia wysłała Icchoka do pracy w Sonderkomando, żeby w ten sposób pomógł podziemiu, dostarczając informacje o tym, co się gotuje w kotle losu. I tak Icchok znów staje się członkiem rodziny.

Pamiętasz Abraszo, jak piątego wieczora zaproponowałeś, aby każdy z nas opowiedział swoją biografię? Zostajemy wykryci ósmego dnia. Niemowlę płacze akurat w chwili, gdy Niemcy sprawdzają podwórze oczyszczone z mieszkańców. Nie jedziemy na stację wozami, lecz godnie, tramwajem getta. Balcia znalazła adres przyjaciółki w Chicago, i siedząc w tramwaju, powtarza go na głos. Jej głos miesza się z głosami pobożnych Żydów odmawiających przy nas psalmy. Nie mam ochoty siedzieć. Stoję w środku tramwaju z plecakiem na grzbiecie i uśmiecham się do Was moim gettowym, pokrzepiającym, idiotycznym uśmiechem.

Rozdział dwudziesty ósmy

W około siedemdziesiąt osób w bydlęcym wagonie wyruszyliśmy naprzeciw losowi. Mówię „około", ponieważ, jak może pamiętasz, Abraszo, nikt w wagonie nie był pewien, ile tak naprawdę osób do niego wsiadło. Wśród nas byli tacy, którzy starali się to oszacować, byle tylko zająć myśli czymś konkretnym, czymś, co do czego nie ma żadnej wątpliwości – podczas tej sześćdziesięciogodzinnej, trudnej do opisania podróży, zdającej się trwać wiecznie.

Liczenie głów było też pewnym trikiem, aby uniknąć rachowania członków własnej rodziny. Tych, którzy byli na miejscu i tych, którzy zaginęli. Wszystko, aby tylko nie odczuć tego, co było tak wszechogarniające: totalnej beznadziei i samotności. Strach było pomyśleć o tym, co będzie.

Jak by nie było, liczenie głów pomagało na początku podróży też jakoś zabić czas. Zabić czas? Nie. W tym bydlęcym wagonie czas był zbyt cenny, aby można go było tak po prostu zabijać. Czas to najważniejsza sprawa. To tak naprawdę jedyna rzecz, wokół której krążą nasze myśli. Czas to misterny, magiczny skarb, boska figura, do której można wznosić modły, składać swoje prośby, aby trwał i trwał. Czas jest dla nas świętością, niczym tablice z przykazaniami, które otrzymaliśmy na górze Synaj. Wielbiono go jak Torę, która chroniona była z pokolenia na pokolenie, a teraz grozi jej, że zostanie unicestwiona wraz z ludem, któremu została nadana.

Czas. Kłębi się w naszych ciałach. Bije w naszych sercach z każdym jego uderzeniem. Czas jest urodziwym oblubieńcem, wytęsknionym jak ostatni kawałek chleba. Wszystkie nasze tęsknoty ciała i duszy są już tak martwe, jak nasze marzenia, których nawet już nie pamiętamy.

Czas jednocześnie stoi cicho i biegnie wraz z rytmem stukotu kół. Czas w swojej nowej mierze. Wieczność w nowej formie, niemożliwej do uchwycenia

przez zegar, niemożliwej do podzielenia na godziny, minuty i sekundy. Wieczność, która może być zaraz rozłupana, niczym orzech na podstawie wyroku: albo-albo.

Podłoga w wagonie się trzęsie. Ludzkie ciała bujają się na boki. Konwulsje wagonu sprawiają, że siedzący na ławkach upadają na plecy niczym podczas ataku epilepsji. Niektórzy próbują chować się za plecami sąsiadów, jakby szukali choć odrobiny prywatności.

Są wśród nas dzieci. Dzieci uratowane ze „szpery" albo takie w kołyskach, które urodziły się już po niej. Gapię się na te maleństwa, cudem uratowane ze zsyłek. Sama czuję się jak dziecko w kołysce, cudem uratowana od zesłania. Jak świat będzie mógł toczyć się dalej bez dzieci?

Dzieci spływają potem. Wygłodniałe kłębią się obok. Kręcą się i wdrapują na ramiona matek, pełzając im w rękach. Skomlą, krzyczą, szeroko otwartymi ustami próbują nałapać tyle powietrza, ile tylko się da. Dzieci i czas. Myślę o dwudziestu latach mojego życia i nie mogę objąć ich wszystkich pamięcią. Rozpadają się na kawałeczki, które przyprawiają mnie o ból głowy.

Są też inne dźwięki dochodzące z ust dzieci. Westchnienia dorosłych i pojękiwania chorych. Dźwięki modlitw. Nerwowe gderanie kobiet, dziwaczne rozmowy młodych, obco brzmiący dźwięk mojego własnego głosu. Jest także nagła cisza, która bombarduje bębenki w uszach i dźwięczy w nich niczym tysiąc dzwonów. Przez cały dzień towarzyszy nam również szarówka zmroku, z kolei w nocy – smoliście czarna cisza.

Siedzisz tu z nami, Abraszo, i szeptem próbujesz objaśnić mi, że niewiedza grupy pasażerów co do ich dokładnej liczby wynika z wiary w niebezpieczeństwo wiążące się z liczeniem osób. Robienie tak szczegółowych rachunków to zły znak[419]. Dlatego właśnie Żydzi odliczają *niszt ejn, niszt cwej...*[420]

Małe okienko wagonu jest zasłonięte drutem, niczym okna w więzieniu albo w domu dla obłąkanych. Znajduje się po prawej stronie zaryglowanych od zewnątrz drzwi. Przypatruję się splątanym drutom, tworzącym sieć zakrywającą świat zewnętrzny. Tuzin rąk trzyma się tej sieci. W plątaninie rąk i drutów znajdują się również usta, niczym dzióbki zagubionych ptaszków wyglądających z gniazda za rodzicami, którzy przylecą i uratują. Ci, którzy tam stoją, od czasu do czasu mogą zauważyć zarys postaci stojącej na rampie stacji albo kogoś stojącego przy wiejskiej chałupie. W takim momencie rozlega się chóralny krzyk: „Hej, bracie, dokąd nas wiozą?".

---

[419] W tradycji żydowskiej obowiązuje zakaz liczenia ludności, który jest wyjaśniany poprzez opisaną w Starym Testamencie obietnicę złożoną przez Boga Abrahamowi, że jego potomstwo będzie tak liczne jak gwiazdy na niebie, a więc niemożliwe do zliczenia. Poza tym każdy spis ludzi był złym znakiem: oznaczał liczbę zmarłych, zabitych, powołanych do wojska, wywiezionych, mógł też zagrażać ekonomicznie, choćby poprzez nałożenie podatków itp.

[420] (jid.) *nie jeden, nie dwóch*.

„Dokąd nas wiozą?" – echo tego pytania dźwięczy mi w głowie. Wszyscy próbują zdobyć miejsce przy oknie. Każdy chce tam postać i odebrać swoją rację powietrza, która mu przysługuje. Siedzimy w lewym rogu wagonu. Cieszę się, że Gabi jest z nami. To tak jakby Wowa był tu gdzieś blisko. Upodobanie do sprawiedliwości nie zmalało u niego po tych czterech latach w getcie. Wysoki, żwawy Gabi jest mężczyzną w sile wieku, jednak momentami jest tak chłopięcy, tak impulsywny i uparty. Duma i godność od niego promieniują. Sieć zmarszczek pokrywa jego zapadłą twarz, ale wyglądają one jak wyryte przez burzowy wiatr. Wygląda dużo starzej, niż wskazywałaby metryka, lecz jest antytezą starości. Jest w niebezpieczeństwie z powodu swojego charakteru. Nigdy nie daje się złamać. Można go jedynie nadwątlić. Aktywny w podziemiu, miał wiele okazji, aby spotkać się z poczuciem poniżenia. Cierpiał na ciele i na duchu, jednak nikomu nie udało się pozbawić go szacunku do samego siebie. Nie zaznał nawet smaku wizyty w „czerwonym domku", siedzibie Kripo. Więc jak miałby tolerować jakąkolwiek obelgę skierowaną przeciw niemu lub komukolwiek innemu? „Co będzie, jeśli dostanie w twarz od esesmana?" – zastanawiam się.

Obok Gabiego siedzi Sonia z dzieciątkiem na ręku. Przypominam sobie, jak spotkał ją po raz pierwszy w szkole tańca, do której przyszli razem z Markiem niedługo przed wybuchem wojny. Wydawało się, jakby Gabi, który nie wykazywał większego zainteresowania tańcem, znalazł się tam tylko przypadkiem, właśnie po to, aby spotkać tam pociągającą, czarnowłosą Sonię, której w sekrecie nadałeś, Abraszo, miano „królowej nocy". Od tego czasu Gabi nie przekroczył już progu szkoły tańca, nawet w getcie; poza jednym przypadkiem, kiedy podkradł prąd do elektrycznego piecyka, który nam skonstruował. Teraz, w bydlęcym wagonie, Sonia wygląda jak orientalna Madonna, która pokazuje Golgotę swojemu dziecku. Jej twarz jest niemal tak czarna jak włosy.

Poruszenie przy okienku nadal trwa. Gabi wstaje i krzyczy do ludzi kłębiących się tam:

– Porządek ma być!

Naiwny Gabi. Jak ma porządek panować w miejscu, w którym umysły pogrążone są w potwornym chaosie, w którym chęć życia trawi trzewia? Przy okienku zrobiło się jednak spokojniej. Było jasne, że polecenie zostało wydane głosem urodzonego oficera. Podczas takiej podróży przydałby się oficer. Silny człowiek, który będzie w stanie poskromić płochliwe stado. Kilku ludzi rozpoznało Gabiego z getta. Ktoś szepcze:

– Widzicie, kogo my tu mamy?

Gabi przeciska się do okienka i oznajmia, jaki od teraz będzie porządek zajmowania miejsc, aby każdy mógł podejść i zaczerpnąć powietrza. Rozlega się pomruk zadowolenia. Gabi zyskuje zaufanie grupy. W końcu jest ktoś, kto ma na uwadze nie tylko siebie i swoich najbliższych.

Stojący najbliżej okienka stoją jednak i mówią, że nie dosłyszeli, co powiedział Gabi. Gdy kolejna grupa ludzi próbuje się tam przepchnąć, oni nie ruszają się

z miejsca. Gdy powiedziano im, jaki jest nowy porządek w wagonie, zapierają się i mocno chwytają za drucianą siatkę. Oczy wlepiają w kawałek nieba, który rozpada się za siatką na małe kawałeczki. Jednak gdy Gabi podchodzi jeszcze bliżej, supeł ludzkich rąk rozplątuje się, robiąc miejsce dla nowej grupy, która chwyta się siatki, jakże cennego miejsca przy okienku, które nie jest ich własnością, ale tak samo nie chcą oddać go kolejnym ludziom, więc Gabi i tym razem musi interweniować.

Przychodzi nasza kolej. Patrzymy na Sonię, jednak ona nie chce ruszyć się z miejsca. Wraz ze świeżym powietrzem na górze wagonu dosięga nas smród dochodzący z wiadra do wypróżniania się, który stoi w kącie. Ty, Abraszo, zatrzymujesz się w połowie, pomiędzy siedzącymi i leżącymi, czeszącymi swoje rozczochrane głowy palcami obu rąk. Zdejmujesz okulary, które nosisz z powodu swojej „kurzej ślepoty" i przecierasz je połami marynarki. Patrzę na Ciebie. Nasze zamglone oczy spotykają się w spojrzeniach ludzi zamkniętych w złym śnie. Podchodzisz i nucisz mi do ucha kołysankę Lejwika:

– *Dremelendik mejdele, mejdele majns, kuk niszt co mir in di ojgn arajn*[421].

Tata stoi obok. Przepycha się między nami aż do samego okienka i staje tam jak przyspawany, aż dostrzega człowieka przechodzącego przez tory.

– Panie! – krzyczy. – Panie, dokąd nas wiozą?

Człowiek coś odpowiedział, dosłyszałam jego głos. Jednak wiatr porwał ze sobą wszystkie słowa. Dokąd nas wiozą? Koła pociągu miarowo stukoczą. Lokomotywa sapie.

Jesteśmy z powrotem w naszym kąciku. Gabi zaczyna opowiadać, jak Icchok, dzięki przynależności do Sonderkommando, pomógł partii w kradzieży leków z policyjnego składu dla chorych towarzyszy i o tym, w jaki sposób zdobył informacje o wywózkach. Opowiadał również o tym, jak on, Gabi, musiał traktować go jako wybawiciela. Icchok siedzi obok i przygryza wargi. Jest jasne, że zapłacił srogą cenę za swój „grzech".

Siedzimy ściśnięci między plecakami, pakunkami i paczuszkami. Następnym razem, kiedy przychodzi nasza kolej, aby postać przy okienku, nie ruszamy się z miejsca. Nie mamy siły, aby przepychać się łokciami w gęstwinie ciał i stawiać kroki pomiędzy leżącymi ludźmi i ich bagażami. Wystarczająco trudno dostać się do wiadra na przeciwległym końcu wagonu, jak już nie można wytrzymać. Załatwianie się przychodzi już bezceremonialnie. Skrępowanie i wstyd zostawiamy za sobą, razem ze wszystkim, co było, z tak zwanymi materialnymi i umysłowymi wartościami spajającymi nas w obrębie cywilizowanej rasy. Nie ruszamy się więc z naszego kącika, który stał się naszym azylem, naszym jedynym i ostatnim domem.

Nagle któryś z naszych sąsiadów – blady, ledwo zipiący chłopak – rozpoznaje Icchoka.

---

421 (jid.) *Drzemiąca dziewczynko, dziewczynko moja, nie patrz mi w oczy.*

– Oto i on – zagotowuje się. – On był w Sonderkommando i pomagał w wywózkach!

Nie mam pojęcia, skąd nagle wzięła się w ludziach energia, aby porachować się z Icchokiem. Odkąd wsiedliśmy, Icchok mądrze schował twarz za naszymi plecami. W tym momencie również jest odwrócony od innych pasażerów. Jednak to nic nie daje. Ci, którzy jeszcze chwilę temu siedzieli zgarbieni ze zmęczenia i strachu, teraz, żądni zemsty, ruszają z pięściami na Icchoka, obrzucając go najgorszymi wyzwiskami. Są coraz bliżej, napierają na niego. Szturchają go i opluwają.

– To za moją mamę, którą wywlokłeś z domu podczas szpery! – wydziera się postawny mężczyzna o ciemnej twarzy.

– To za moją żonę i dzieci, które wysłałeś do transportu – przerwał drugi, okładając pięściami plecy Icchoka.

Icchok nie reaguje na atak. Schował głowę w ramionach, rękami trzyma się kolan, dając okładać się niczym worek. Pewnie męczy go poczucie winy. Wierka obejmuje go i próbuje chronić swoim własnym ciałem. Napada mnie szaleńcze pragnienie rzucenia się z pięściami na ludzi, kopania, wyrywania włosów z głowy tym pokracznym diabłom, które się na nas rzuciły.

Marek próbuje mnie objąć.

– Czego chcesz? – mówi do mnie. – W ich oczach Icchok jest ambasadorem Anioła Śmierci. Nikt, kto pracował dla żydowskiej policji, nie ma czystych rąk. Skąd wiesz, czy Icchok nie zaciągał ludzi do transportów? Dlatego siedzę z rozłożonymi rękami i nie pomagam Abraszce go osłaniać.

Ty, Abraszo, bronisz go i razem z nami odpychasz atakujących.

– To imię do niego pasuje! – Wskazujesz na Icchoka. Znaczenie tego imienia to: *będzie się śmiać*[422]. A on rzeczywiście potrafi się gromko śmiać. Tak czynimy wszyscy. Wszyscy jesteśmy Icchokami. Wszyscy jesteśmy winnymi ofiarami.

Gabi wygląda jak sparaliżowany. Co z nim się stało? Co z jego poczuciem sprawiedliwości? Czy w końcu popadł w marazm? Jego zachowanie to zły znak. Na pewno wie, co czeka Icchoka na końcu tej drogi; wie, co czeka na nas wszystkich. Może dlatego sprawiedliwość nie ma tu już w zasadzie żadnego znaczenia? Gabi dużo wie.

Powolutku obecność Icchoka w wagonie traci na znaczeniu. Przestaje zwracać na siebie uwagę. Jego postać zaczyna znikać z ludzkich myśli, stopniowo osuwając się w nicość. Zapominają o nim. Jest skończony, a wraz z nim kończy się rozdział „getto". „Wczoraj" już nie istnieje.

Nie istnieje żadne jutro, żadna przyszłość. Nie ma na nie określenia. Wszystko, co pozostało, to „teraz", które jest odliczane stukotem kół i w rytmie

[422] Imię Icchok, Izaak (hebr.) – wywodzi się od hebrajskiego słowa oznaczającego „śmiech".

ruchomo-nieruchomego czasu, który jest dla nas tak święty i drogi. Rytmiczne kołysanie wahadła gigantycznego zegara bez wskazówek. Strach puchnie niczym podbródek ogromnej, zielonej ropuchy.

Strach dudni mi w całym ciele. Słyszę gwizd lokomotywy, puff-puff – jej oddech składający się ze spalin i z pary, które buchają z jej podbrzusza. Gęste ciemności w wagonie zaczadzają umysł. Nagle spada na mnie zmęczenie nie do wytrzymania, razem z uczuciem zniechęcenia i rozczulenia nad moimi rodzicami, nad Wierką, nad Nońkiem, nad całą naszą „rodziną", nad wszystkimi ludźmi w wagonie, jak również i nad sobą. Rozczulam się nad wspaniałością świata, która ucieka znowu, ucieka ode mnie, zatapia się za linią horyzontu; rozczulam się nad nim – nieważne, czy on jeszcze w ogóle istnieje.

Wydaje mi się, że nie tylko na mnie spada mrok tych godzin, lecz cały wszechświat je teraz przeżywa, jakby jechał z nami w wagonie. W mojej chęci, aby wyryć w pamięci każdy ułamek wieczności niczym na tablicy, jest jakaś samobójcza brutalność. Wiem też, że pamięć zginie razem z nami, kiedy nadejdzie koniec naszej drogi.

Religijni Żydzi nie przestają odmawiać psalmów. Kilku z nich siedzi w tałesach. Kołyszą się w rytmie modlitwy, do rytmu trzęsącej się podłogi. Ich płaczliwe *„Szma..."*[423] miesza się ze szczekotem łańcuchów sczepiających wagony. Miesza się z dźwiękiem kół, miesza się z odgłosami wiejącego na zewnątrz wiatru, przypominającymi dźwięk szofaru rozbrzmiewającego na Jom Kipur.

Żydzi nie przestają się modlić, nawet gdy w Gabiego wstępuje jakiś dybuk próbujący zniwelować rozpacz ludzi. Myliłam się, nie jest mu jeszcze wszystko jedno. Wstaje i mówi donośnym głosem, tak podobnym do głosu Wowy. Wspina się na swój plecak, aby każdy mógł go widzieć i trzymając się dłonią sufitu, rozpoczyna swoją przemowę:

– Ludzie, Żydzi! – woła. – Godzina wyzwolenia zbliża się. Niemcy doznają porażek na wszystkich frontach!

Opowiada ludziom, że sytuacja na polu bitwy oraz wysiłki dyplomatyczne wskazują na to, że koniec wojny zbliża się wielkimi krokami i może nadejść nawet jutro.

Porywa tym część publiczności. Tu i ówdzie można dosłyszeć jakieś okrzyki i slogany. Wszyscy rozgadują się na temat wartości narodu żydowskiego, na temat spuścizny pokoleń, na temat przejawów bohaterstwa w żydowskiej historii. Ktoś wspomina Hasmoneuszy – Machabeuszy[424]. Ktoś wspomina o czasach inkwizycji i męczeństwa za wiarę. Gabi przypomina o udziale Żydów w rozmaitych ruchach

---

[423] *Szma* – pierwsze słowo najważniejszej modlitwy judaizmu *Szma Jisroel*, którą odmawia się często w chwilach poczucia zagrożenia.

[424] Machabeusze, znani również jako Hasmoneusze (hebr. Makabim) – judejski ród kapłański, panujący w Judei w latach 147-37 p.n.e.

wyzwoleńczych w nowożytności. Zaskakuje mnie. Gdzie i kiedy zdołał pozyskać tyle wiedzy? Dotarło do mnie, jak bardzo dorósł w getcie.

Wygląda na to, że wzbudził respekt nawet wśród cyników i sceptyków, szacunek do własnego rodu. Wywołał pewien rodzaj wszechogarniającej solidarności pomiędzy tymi, którzy znajdują się razem w uścisku zła. Jego przemowa wykraczała poza ściany dusznego wagonu. Dała nam poczucie wolności, której nikt nie mógł nam odebrać.

Malka pomaga Gabiemu, wykrzykując slogany w przerwach wywodu. Zastanawiam się, czy odwaga jest dziedziczną cechą. Czy Malka i Gabi odziedziczyli ją po ojcu. Czy „prostota" ich charakteru wiąże się właśnie z tym, a z kolei ludzie bardziej skomplikowani – myśliciele, bardziej skłonni do dywagacji, którzy tak intensywnie wsłuchują się w siebie i swoje rozmyślania – nie mają większej tendencji do tchórzliwości? Zastanawiam się, czy ja jestem tchórzliwa. Choć w getcie wyrobiłam w sobie intuicję co do ludzi i szybko rozpoznawałam ich prawdziwą naturę, błądzę jeszcze w ciemnościach swojego własnego charakteru.

Przemówienie Gabiego nie dociera jednak do modlących się i tych, którzy trzymają dzieci na rękach. Nawet Sonia go nie słucha. Wygląda, jakby nie wiedziała, co dzieje się wokół niej. Siedzi oparta o drżącą ścianę, pochylając się nad dzieckiem leżącym na kolanach i ani na chwilę nie zmienia pozycji.

Cieszę się, że tata słucha przemowy i przytakuje. Jednak niejeden człowiek w wagonie otwarcie drwi z Gabiego. Na przykład człowiek-klepsydra o długich ramionach, pamiętasz go, Abraszo, ten, co siedzi blisko nas? Puka się palcem po głowie i zanosi się gorzkim śmiechem.

– Panie dziejku, ma już pan nie po kolei w głowie! – Stroi dziwne miny i zwraca się do siedzących obok niego. – Słuchajcie, no słuchajcie, śpiewa jak kanarek! – Strzela palcami, mając wymalowaną na twarzy zdrożną przyjemność. Cynicy łapią się, że Gabi zdołał zamaskować ich gorycz i oklaskują człowieka-klepsydrę.

Jest też inny człowiek. Ten z kolei głośno pochlipuje podczas przemowy Gabiego. Drobny staruszek, wychudzony i cherlawy, z długą, przezroczyście siwą brodą, która wisi mu nad zgiętymi nogami i zasłania je tak, że wydaje się, jakby jego postać składała się tylko z niej i małych, wilgotnych oczu. Nie przestaje głośno pochlipywać przez całą drogę. Gdy Gabi przemawia, drży i cedzi przez usta swoje proroctwo:

– Z twoich ust do uszu Boga[425], biada nam... Tylko że Najwyższy wybiera milczenie, biada nam. Dlatego właśnie woli się nie odzywać, biada nam... Odpowiada nam niczym, jak tylko milczeniem, biada nam. On jest milczeniem, *oj wej*. Przestań więc już zawracać nam głowę. Przestań. Dość się już nawymądrzałeś.

---

[425] Ta formuła wyraża życzenie, aby coś się stało, w znaczeniu: aby Bóg wysłuchał nasze prośby, daj Boże, dałby Bóg.

Jankew spogląda na płaczącego człowieka i ciągnie go za ramię.

– Panie! – woła do niego. – Czy nie byłeś kiedyś zegarmistrzem? Jakieś dwadzieścia trzy lata temu... Kupiłem u pana dwie obrączki... i je straciłem...

Człowieczek wyciąga ku niemu swoją chudą rękę i nie przestaje chlipać.

– Wszystkie zegary się zatrzymały, biada nam...

Gabi na moment przestaje mówić i przez chwilę przygląda się scenie, w której biorą udział stary Żyd i Jankew. Jednak inni stoją przed nim i mówią:

– No, i czemu przestałeś w środku zdania? Powiedz coś, posłuchajmy jakichś nowości – dopytują jak dzieci.

Gabi mówi dalej. Nigdy nie miałam go za szczególnie płomiennego mówcę. W getcie stał się mówcą bardzo rzeczowym, logicznym, wręcz oschłym. Unikał kwiecistych zdań. Ale tutaj, w bydlęcym wagonie, daje się ponieść na fali entuzjastycznej przemowy, niczym ktoś, kto wziął właśnie porządny łyk wódki przed oddaniem skoku nad przepaścią. Dla mnie jednak ten ognisty entuzjazm był bardziej smutnym dowodem jego słabnącej witalności, jego urażonej dumy, która w ostatnich tygodniach doznawała uszczerbku: kiedy stało się jasne, że w getcie nie będzie powstania i nie będzie już szansy na pomszczenie śmierci ojca, że śmierć Wowy poszła na marne. Zachowane przez Gabiego życie nie miało już tak naprawdę żadnego uzasadnienia.

*

Posilamy się. Zanim wyjechaliśmy z getta, miłosierni naziści przydzielili nam po pół bochenka chleba na głowę. Kobiety, które zajęły się krojeniem chleba, trzymają teraz na kolanach rozpostarte ręczniki lub ścierki. Pół bochenka może w mgnieniu oka zniknąć w głodnych ustach, zwłaszcza gdy głód chleba idzie ręka w rękę z głodem życia. Jednak te kobiety są oszczędne. Krają z połówek bochenków cieniutkie, prawie przezroczyste kromki, a resztę chowają na „czarną godzinę". Trzeba być przezornym, żeby przechytrzyć diabelskie sztuczki losu i uratować choć trochę z bochenka życia.

Obserwuję Cię podczas jedzenia, Abraszo. Gapisz się na Balcię. Lubisz ją. W kryjówce w getcie ukoronowałeś ją czułym mianem „mamusi". Podchwytuję wymianę spojrzeń między Tobą a nią. W mojej pamięci rozbrzmiewa sentymentalna melodia – *Majn jidisze mame*[426] – i przenoszę wzrok na moją mamę.

Unikałam patrzenia na nią. „Wszystko będzie dobrze" – obiecuje mi teraz wzrokiem, jak w czasach, gdy byłam chora i leżałam w łóżku. Binele jest matką o nieposkromionym sercu, z którego niepohamowanie i obficie wypływa strumień

[426] *Moja żydowska matka* – piosenka znana w różnych językach i wersjach, polski tekst napisał Marian Hemar, w wykonaniu Hanki Ordonówny została nagrana w 1932 r. i była bardzo popularna w latach 30. XX w.

miłości. To nadopiekuńcza mama. Jej nadopiekuńczość często doprowadzała mnie do białej gorączki i była jednym z powodów naszych sprzeczek. Biegała za mną z jedzeniem, wciąż bała się, że się przeziębię. „Załóż szalik! Włóż wełnianą bieliznę! Nie biegnij, bo się spocisz! Nie chodź boso!". Nigdy nie przestawała drżeć z napięcia i strachu, ciągle martwiła się – o nasze bezpieczeństwo, nasze zdrowie, nasze życie. Czy można się temu dziwić? Niebezpieczeństwo czyha od pokoleń. Żydowska matka jest po to, by ochraniać, podtrzymywać ciąg egzystencji poprzez dzieci, poprzez współprzeżywanie ich życia. Taka oto jest moja *jidisze mame*. Taka jest mama Binele.

Mama Balcia jest innym wariantem żydowskiej matki. To rzeczowa mama, o surowej, niesentymentalnej serdeczności, opanowana i panującą nad swoją rodziną. Teraz i Balcia stara się pokazywać swoim dzieciom spokojną twarz, jednak z jej oczu krzyczy strach. Często biegnie do wiadra, które stoi w kącie wagonu. Obok niej siedzi mama Hanka. Nigdy nie urodziła dziecka, a jednak jej naturalny macierzyński instynkt tak wspaniale odtworzył w niej najpiękniejsze niuanse matczynego oddania dla Sorki.

Kiedy Marek przysuwa się do Gabiego, siadasz obok mnie, Abraszo. Opowiadasz mi o rozmowie, którą odbyłeś z Markiem w kryjówce. Wyznajesz mi, że kiedyś byłeś we mnie zakochany. Miłość ta, która jeszcze bardziej rozkwitła w getcie, pomogła Ci radzić sobie z jego rzeczywistością. Jednak w kryjówce Twoja miłość do mnie zmieniła się i objęła też Marka. Taką miłość Grecy nazywają agape. W kryjówce zauważyłam, że Ty i Marek staliście się bardziej przyjacielscy wobec siebie i byłam z tego zadowolona. Przypominam sobie, jak Ty i ja myliśmy razem obierzyny z kartofli, by je ugotować. „Jesteś śpiewem" – powiedziałeś do mnie. „Jesteś *rina*[427] – radością, a ja jestem *dima*[428] – łzą".

Roześmiałam się. *Di wos zejen mit dima, weln sznejdn mit rina*[429]. Jakoś wdaliśmy się wtedy w abstrakcyjną rozmowę o miłości i przytoczyłeś dla mnie Twój ulubiony cytat rabbiego Meira[430]: „Miłość, która jest zakorzeniona w ziemskich realiach, znika razem z nimi. Jednak miłość, która wznosi się ponad ziemskie realia, trwa wiecznie"[431].

---

427 *Rina* (hebr.) – śpiew, radość.

428 *Dima* (hebr.) – łza.

429 (jid.) *Te, które są ze łzą, odetnie radość.*

430 Rabin Meir, jeden z tannaitów, żydowskich uczonych i nauczycieli prawa ustnego, zajmujący się komentowaniem i wyjaśnianiem Biblii Hebrajskiej, głównie Tory. Jego pouczenia zawarte są m.in. w Misznie, podstawowej części Talmudu.

431 Cytat pochodzi z Miszny, z traktatu *Pirkej Awot* (*Sentencje ojców*), rozdz. V.16: „Każda miłość oparta na interesie ustaje w chwili, kiedy kończy się interes. Zaś miłość wolna od interesu, nigdy nie przemija" (tł. Michał Friedman).

Teraz, w wagonie bydlęcym, cytuję dla Ciebie te słowa. Nagle przyciskasz się do mnie i zaczynasz szeptać mi do ucha dziwnym głosem. Mówisz, iż wszystkie definicje miłości są nic niewarte i nie chodzi Ci w żadnym razie o to, by definiować Twoje uczucia do mnie, lecz że zawsze mnie pożądałeś, a teraz pragniesz mnie jeszcze bardziej, z pożerającą pasją. Patrzę na Ciebie. Wyglądasz, jakbyś był pijany albo bliski ataku szaleństwa. Szukam mego odbicia w Twoich oczach i nie znajduję go. Twoje słowa płoną mi w uszach.

– Nie myśl – mówisz – że nie zdaję sobie sprawy z tego, co się ze mną dzieje. Moje przywiązanie do ciebie jest najostrzejszą formą mojego przywiązania do życia. Twój obraz, który noszę przed moimi oczami, jest tarczą chroniącą mnie od strachu przed śmiercią. Nie ma we mnie strachu, który równocześnie nie byłby strachem o twój los. Wiem, że wszystko stracone. Wiedziałem to już od długiego czasu. Koniec już nadszedł i to, czego teraz doświadczamy, to jutrzejszy dzień, który już trwa. Nic więcej nie jest dla mnie ważne – poza twoim bezpieczeństwem. Miriam, od dnia, w którym jako pięcioletnie dziecko spotkałem twojego ojca, los torował drogę, która łączy twoją duszę z moją. Nigdy nie będziemy kochankami w fizycznym sensie tego słowa, a jednak jesteśmy kochankami i zostaniemy nimi na wieczność. Co by się z nami nie stało, nigdy nie będziesz wiedziała, gdzie kończy się moja dusza, a zaczyna twoja. – Milkniesz i wpatrujesz się we mnie jak lunatyk. Nagle wyrzucasz z siebie: – Ale ja pragnę ciebie. Kiedy widziałem cię wcześniej przeżuwającą kawałek chleba, czułem jakbyś przeżuwała moje opuchnięte serce. – Mówisz mi, że odczuwasz niekontrolowalne pragnienie, by mnie pocałować, przycisnąć do siebie. Wyznajesz, że rozbierasz mnie w myślach, że chcesz mnie choć raz zobaczyć nagą, spać ze mną, żeby mnie w pełni przyjąć w siebie. Tak, mówisz: „spać". Lecz wtedy wołasz, nie posiadając się ze zdumienia: „Ale jak to możliwe?". Mówisz, że Twoje ciało już bardzo długo nie odczuwało pożądania do kobiet. Twoje stopy są opuchnięte, twarz jest nabiegła od pęcherzy, Twoje chore serce galopuje dziko, a oczy przestają Ci służyć. – Nie – mówisz. – To, co czuję do ciebie, to coś zupełnie innego.

Siedzimy tak długo, blisko siebie, aż w końcu jestem w stanie wyrwać się z mego lodowatego otępienia i poprosić Cię, żebyś się trochę ode mnie odsunął. Potem zostawiam Cię samego, przysuwam się do rozmawiającego z Gabim Marka i kładę głowę na jego kolanach.

Mijają godziny, zanim znowu pojawiasz się u mego boku.

– Miriam – szepczesz do mojego ucha – Proszę cię, zrozum. Już nigdy więcej się nie zobaczymy. Rozstajemy się na zawsze.

Pytam sama siebie, czego chce ode mnie ten sadystyczny masochista. Niech przestaje wbijać mi do głowy taki wyrok. Nie chcę go słyszeć, nie chcę go znać. Niech zatrzyma swoje szaleńcze jasnowidzenia dla siebie. Niech nie niszczy mnie przed czasem i nie okrada z tych niewielu chwil, które nam pozostały. Kark mi sztywnieje, język jest skołowaciały. Mamrocząc, proszę Cię, żebyś tak nie mówił, że „nigdy" i „na zawsze" – to brutalne słowa. W strachu przed tym,

co znowu powiesz, odwracam się do Ciebie plecami. Jestem przekonana, że postradałeś zmysły.

Noc w bydlęcym wagonie rozgorączkowanego pociągu. Ciała toną w ciemności. Nie mam ochoty przytulić się do rodziców. Oparci o siebie trzymają śpiącego Nońka na swoich kolanach. Zostaję przy Marku z głową opartą o jego kolano. Twarz Marka błyszczy nade mną niczym księżyc. Ale przy nim również nie mogę znaleźć chwili spokoju. Przez ostatnie dni w kryjówce popadł w przygnębienie, a teraz jest w jeszcze gorszym stanie. Zawsze był boleśnie poważny pod fasadą dobrego nastroju i poczucia humoru. Jednak ze mną często bywał autentycznie wesoły, gotowy do śmiechu. Jego szarobrązowe oczy otoczone czarnymi rzęsami przybierały czasami aksamitny, miękki wyraz, albo rozbłyskały światłem niczym elektryczne lampki. Potrafił nagle zacząć wyśpiewywać mi błazeńskie serenady, albo wyprawiał umysłowe akrobacje, żeby wykazać się swoimi zdolnościami, lub też opowiadał mi jakieś niedorzeczne historie. Ze mną zawsze był gotów do zabawy, do przeżywania radości.

W wagonie był z początku bardzo czuły i troskliwy. Później jednak, kiedy godziny tej szaleńczej podróży powoli mijały, gaśnie ciepły blask w jego oczach i wyraz gniewu maluje się na jego twarzy. I, Boże, jaki jest milczący! Jednak nagle, pośród głębokiej ciemności, rozwiązuje mu się język i zaczyna mówić dokładnie jak Ty, ze wszystkich rzeczy na świecie – akurat o śmierci!

Proszę go:

– Nie teraz, nie tutaj.

Wykrzywia twarz w złym uśmiechu i odpowiada mi ironicznie:

– Masz rację. Najlepiej mówić o śmierci wtedy, kiedy nie jest się przez nią zagrożonym, albo gdy ma się możliwość uratowania życia. Wówczas można rozprawiać bardzo głęboko i poetycko na ten temat, a nawet czerpać z tego wielką przyjemność. – Wskazuje podbródkiem na Gabiego. – Byłem ciekawy, dlaczego on nie okazuje ani śladu strachu. Może czuje powiew wolności, tylko z tego powodu, że wyszliśmy z getta. Ale jak może on, ten mędrzec, poddawać się iluzji? Jak może być takim idiotą i odgrywać nieustraszonego?

– A Malka? – pytam. – Jest dokładnie taka jak Gabi. Może dlatego, że myślą o sobie samych mniej niż ty i ja, są tacy silni. I nie oszukujmy się – nawet ci, którzy mają najczarniejsze myśli, używają ich jak zaklęcia, żeby wydarzyło się coś dokładnie przeciwnego. Nikt, ani jeden z nas tutaj, nie stracił nadziei, czy słyszysz, Marku?

I oto znowu jesteś obok mnie, Abraszo. Szepczesz mi do ucha Twoim zwykłym głosem, że czujesz się dużo lepiej, i że wszystko, co powiedziałeś mi chwilę temu, było reakcją na piekielną atmosferę w wagonie i skutkiem twojego kompletnego oderwania od życia.

– Powinienem czuć się szczęśliwy – mówisz – że nie ma tu ze mną ani żony, ani dzieci, żadnego ojca czy matki. Jednak czuję się jak przeklęty, rozumiesz, Miriam? Nie ma sensu prosić cię, żebyś zapomniała, co powiedziałem ci wcześniej. Proszę cię tylko, żebyś mi przebaczyła.

Ogarnia mnie taki żal, że nie mogę wydobyć z siebie słowa. Modlę się o łzy, by rozpuściły chmurę smutku otaczającą moje serce, ale nie chcą napłynąć. Co mam Ci przebaczyć? Czy to, że przestałeś być moim nauczycielem akurat w tym momencie, kiedy najbardziej potrzebuję, byś nim był? Ale czy istnieją w ogóle tacy ludzie z krwi i kości, którzy mogą wznieść się do roli przewodnika pośród tej oto ciemności bez wyjścia? Takie chwile mogą przemienić każdego w niemowlę, które moczy pieluchy.

– Proszę cię, Abraszo – odzywam się. – Chcę się chwilę przespać.

Pragnę uwolnić się od Ciebie. Nie odzywasz się więcej, ale zostajesz i leżysz obok mnie. Przez zamknięte oczy czuję na sobie Twoje spojrzenie.

Znowu przychodzi czas na jedzenie. Mama smaruje nasze kawałeczki chleba odrobiną drożdży, których używaliśmy w getcie zamiast masła, a które zabrała ze sobą w słoiku. Kiedy rozsmarowuje drożdże na kawałku chleba Sorki Fidler i podaje go jej, uśmiecha się uśmiechem, który przyswoiła sobie w getcie i zachęca ją do jedzenia z nabytym ostatnio przez nią dziwacznym humorem.

– Jedz, Sorko – mówi. – Podobno zalety drożdży nie zostały jeszcze w pełni zbadane. Jednak ciasto rośnie na drożdżach, więc i tobie pomogą wyrosnąć z choroby. – Sorka przeziębiła się bardzo przed paroma dniami.

Sorka, z gorączkowymi wypiekami na twarzy, paple coś bez przerwy do Hanki, ta jednak nie reaguje. Tak jak blisko siebie znajdują się ciała tych dwóch kobiet, tak daleko są od siebie myślami. Czy może inaczej: ponieważ są tak blisko siebie myślami, nie mogą znaleźć odpowiednich słów?

Hanka, energiczna, odważna towarzyszka Hanka, oddana matka i przyjaciółka Sorki, siedzi niczym mumia, niczym wyciosana w kamieniu rzeźba. Nie odpowiada na niczyje słowa pocieszenia, więc zostawiamy ją w spokoju. Sami usiłujemy wymazać z pamięci zdarzenie, do którego doszło tuż przed naszym odjazdem, zanim weszliśmy po kładce prowadzącej do środka tego bydlęcego wagonu. Wtedy właśnie Zalman Fidler w ataku szaleństwa obrzucił przekleństwami i o mało co nie rzucił się na żandarma szydzącego ze starej kobiety, która zbyt wolno wspinała się po kładce prowadzącej do wnętrza sąsiedniego wagonu. Kula z rewolweru powaliła Zalmana na ziemię. Jak ukrzyżowany leżał z rozpostartymi ramionami obok kładki, po której gramoliliśmy się do wagonu. Jego widok był niczym napis na ścianie. Powiadamiał nas o czymś, o czym nie chcieliśmy wiedzieć.

A może Hanka w swoim odrętwieniu nie myśli wcale o Zalmanie, tylko o własnym, zbliżającym się końcu? A Sorka? Co dzieje się w jej głowie?

Z początku jestem zadowolona, że Sorka ma gorączkę. Myślę, że jej instynkt samozachowawczy nie pozwoli, by zawładnęły nią myśli o ojcu. Jednak gdy obserwuję ją, uświadamiam sobie, że swoim paplaniem i narzekaniem chce wyrwać Hankę z odrętwienia. Może rozumie, że jej mama znajduje się w większym niebezpieczeństwie niż ona sama. Kobieta w średnim wieku i bez odrobiny witalności jest łatwą ofiarą dla myśliwych. Zaczynam więc martwić się o Sorkę.

Znajdujemy się w sytuacji, kiedy okazanie bezradności łatwo może stać się słabym punktem i to jest niebezpieczne.

Sorka przeżuwa swój kawałek chleba, a ja przeżuwam mój. Nagle słyszę, jak mówi do mnie:

– Nie masz pojęcia, Miriam, jak ja żałuję, że zmarnowałam tyle czasu na rozpacz i cierpienie, które nie miały żadnej konkretnej przyczyny. Śmierć czyhała w każdym zakątku getta, a ja tęskniłam do niej, jakbym była jakąś rozpuszczoną, romantyczną arystokratką. Prawdopodobnie czerpałam z tego przyjemność. Teraz, po tym, co wydarzyło się z moim tatą, nie mogę sobie wybaczyć. W końcu się przebudziłam. – Łzy skapują na jej kawałek chleba. – Mam nadzieję, że gdzieś spotkam się z Mendlem... Nie pożegnaliśmy się. On i jego rodzina zostali zabrani tak niespodziewanie. – Nagle mówi: – Myślę o Bogu. Musi istnieć Bóg. Myśl o nim nie daje mi spokoju. Przepala mnie niczym oczyszczający ogień. Niewiarygodne. Jak do tego dochodzę? Może zostanie mi teraz podarowana szansa – dar wiary – możliwość wierzenia w wielkiego Wszechogarniającego, który jest wszędzie i we mnie również. Ta oto noc i wszystko, co przeżywamy w tych godzinach – może jest to pęknięcie w strukturze tajemnicy, żebyśmy mogli Go zobaczyć jak światło pośród ciemności. Jeśli posiada się umiejętność dostrzeżenia Go, wszystko staje się proste. Ufa się Mu, Jemu – który jest twoim prawdziwym „ja". Śmierć przestaje istnieć. Czuję się odważna... Ale i przestraszona...Tak, bardzo przestraszona.

Jest jakieś podobieństwo w szaleństwie was obojga, Abraszo.

Noc. Odór przelewającego się wiadra w kącie wagonu miesza się z zapachem wiatru, który wdziera się przez zakratowane okno i wypełnia nozdrza aromatem dojrzałych owoców, siana i więdnących liści. Chwile przytomności w roztrzęsionym wagonie. Otępienie ciała i umysłu przetkane ciągłym gwizdem lokomotywy i jej dymiącym sapaniem. Rozkołysane rytmicznie ciała. Jęki. Płacz dzieci i skargi recytujących psalmy ust, które ani na chwilę nie przestają się poruszać. Stary zegarmistrz popłakuje nieustannie.

Kobiecy krzyk przeszywa powietrze niczym krzyk drapieżnego ptaka. Jakaś kobieta wypluwa z siebie w noc potok przekleństw.

– Niech będzie przeklęty dzień, w którym się urodziłam! Niech będzie przeklęty dzień, w którym wydałam na świat moje dzieci! – Jej wrzask staje się sygnałem dla innych matek, by wybuchnąć lamentem.

– Słuchajcie tylko, słuchajcie tylko, ludzie! – woła spazmatycznie kobieta. – Koła tego pociągu miażdżą moje serce!

Atak histerii. Kobiety spazmują, załamują ręce, wyłamują palce lub obejmują i przyciskają do obwisłych piersi półśpiące dzieci. Ojcowie, otępiali, oszołomieni, mamroczą bezradnie do kobiet lub krzyczą na nie i powstrzymują się z całych sił od przyłączenia się do ich zawodzenia.

Wierka. Podobnie jak z pozostałą częścią mojej rodziny, nie jestem w stanie zamienić z nią ani słowa. Teraz widzę, jak wyrywa się z ramion Icchoka i razem z Malką przysuwa się do rozkrzyczanych kobiet. W dwójkę próbują je uspokoić.

Ja również chcę się podnieść, ale Marek mnie powstrzymuje.

– Daj spokój – mówi. – Zarazisz się jeszcze tą histerią.

Kobiety odpychają Wierkę i Malkę od siebie. Marek ma rację. Im dłużej lamentują, tym głębiej popadam w panikę. Czuję, jakby ich krzyk wydobywał się z mojego własnego wnętrza. Jestem zadowolona, że Wierka i Malka wracają i siadają obok nas.

Od tumultu w wagonie budzi się Noniek. Cały ten czas spał na kolanach rodziców. Szczęściarz z niego – jego rosnące ciało potrzebuje snu. Tata rozmawia z nim cicho. Ośmielam się w końcu spojrzeć na tatę. Mam ochotę wygładzić zmarszczki na jego pomarszczonej twarzy, chcę jej dotknąć, pocałować go w przymglone, ciepłe, mądre oczy, w szlachetnie wykrojone usta marzyciela. Tata podchwytuje moje spojrzenia i szepcze:

– Nie martw się o mnie.

– A ty nie martw się o mnie – odpowiadam mu szeptem.

– Wszystko będzie dobrze – odzywa się mama.

– Tak, wszystko będzie dobrze – przytakuje tata.

Rodzice, oparci o siebie, kołyszą się razem z rytmem kół pociągu i patrzą na Nońka z takim bólem w oczach, że aż ściska mi się serce. Chcę im powiedzieć coś zwariowanego i zabawnego, żeby przywołać uśmiech na ich twarze, ale mam sucho w gardle i moje usta pozostają zamknięte.

– Nie rozdzielą nas – mówi mama. – Wszyscy jesteśmy dorosłymi, zdrowymi ludźmi. U Niemców dziecko powyżej dziesięciu lat również jest dorosłe. – Gładzi uspokajająco głowę Nońka. Potem przywołuje palcem Wierkę, pochyla się do nas i przesuwa lekko rękę po plecach Nońka. – Pamiętajcie – mówi. – Trzymamy się wszyscy za ręce i nie puszczamy. Jeśli jednak...

Czuję dłoń taty na mojej głowie. Wszystkimi komórkami mego ciała odczuwam dotyk tej dłoni, którą tak bardzo lubiłam obserwować, podziwiać – dotyk pięknej dłoni taty.

Do naszego kręgu dołączają Marek oraz Icchok, i również Ty, Abraszo. Obok siedzą Balcia, Malka, Gabi, apatycznie milcząca Sonia z niemowlęciem na rękach, a także Hanka i trzymająca głowę na jej kolanach Sorka. Życzę sobie, by ta piekielna podróż nigdy się nie skończyła. Potok łez ciśnie się do moich oczu, lecz powstrzymuję je z całych sił. To dziwne uczucie. Mam wrażenie, że jednak płaczę, jak gdyby niewidzialny strumień łez obmywał mi twarz. Skąd bierze się we mnie siła, by powstrzymać tak wielki płacz? Muszę wtulić twarz w kolana Marka, żeby ukryć mój ból.

Mama wyciąga moją rękę spod mego czoła, ujmuje ją w swoje miękkie dłonie i trzyma mocno. Dłoń taty spoczywa na mojej głowie, a leczące dłonie mamy obejmują moją rękę.

Kobiety nie przestają lamentować. Parę razy Gabi wstaje, podchodzi do nich i usiłuje je uspokoić. Słyszę, jak Binele szepcze do Balci:

– Dlaczego on nie siedzi cały czas przy Soni?

Balcia odpowiada ochrypłym głosem:

– Ona odgania go od siebie.

Mama pochyla się do mnie.

– Podejdź do Soni i powiedz jej, że mam jeszcze parę łyżeczek cukru i może je wziąć dla swojego dziecka.

Przecieram twarz i przysuwam się do Soni. Dotykam jej ramienia i mówię, co kazała mi powiedzieć mama. Sonia patrzy na mnie oczami, które krzyczą zwierzęcym bólem i wściekłością. Rozumiem, dlaczego Gabi nie może znosić nieprzerwanie blasku tego spojrzenia.

– Po co mi ten cukier? Popatrz no, jak ona mocno śpi – mówi, wskazując na niemowlę.

– Ale później będziesz go potrzebowała – nalegam. – Nigdy nie wiadomo.

– Ja wiem – mówi. Jej usta zdają się być tak samo czarne jak jej włosy. Obdarza mnie tym swoim spojrzeniem, którego nie da się wytrzymać i wskazuje na inne matki. – One też wiedzą.

– Nie trać nadziei, Soniu – mamroczę.

– Łatwo ci mówić. Nie wiesz, co to znaczy być matką.

Kurczę się w sobie i odsuwam od niej.

Noniek przeciąga się, wstaje i chwieje się na nogach, po czym przepycha się do okienka, by zaczerpnąć łyk świeżego powietrza. Po chwili wraca i pochylając się do nas, mówi:

– Ludzie przy okienku mówią, że jesteśmy jeszcze w Polsce. Tu w kącie jest bardzo ciemno, ale kiedy wyjrzałem na zewnątrz, zobaczyłem pas światła na niebie. Zdaje się, że zaczyna dnieć.

Jeszcze zanim Noniek przestaje mówić, pociąg zwalnia tempo. Koła i łańcuchy zgrzytają coraz częściej, lokomotywa sapie i dudni, jak gdyby posuwała się naprzód resztką sił, aż wydaje z siebie ostatnie, długie westchnienie i milknie. Wagon kołysze się gwałtownie tam i z powrotem, wstrząsa się raz i drugi, rzuca ludźmi wewnątrz raz do tyłu, raz do przodu – i zatrzymuje się.

*

Zaryglowane drzwi w mgnieniu oka rozwierają się. Przeciąg uderza nas po twarzach i wbija się w nozdrza z ostrością igieł. Kręci się w głowie. Ostatnia nieukształtowana myśl przepływa przez mój umysł, ostatnie wspomnienie sama nie wiem czego. Lśniące światło dnia. Oślepłe oczy. Pełne wiadro w kącie wagonu chybocze się i przewraca. Wylewa się na siedzących obok.

„Aussteigen! Aussteigen!"[432] – twarde okrzyki z zewnątrz ogłuszają. Szczekają psy. Dźwięk mnóstwa gwizdków przebija małżowiny uszne. Gwizdanie, skoro tylko się zaczęło, nie ustaje.

---

[432] (niem.) *Wysiadać!*

W zamieszaniu, które następuje potem, część kobiet zupełnie traci głowę. Drżącymi dłońmi zaplatają warkoczyki swoim dziewczynkom. Czeszą włosy chłopczyków. Inne chwytają bagaże i mówią do nich, zamiast do dzieci. Jeszcze inne stoją jak kłody przytwierdzone do swoich miejsc, jak słupy soli, sparaliżowane pośrodku toru kolejowego, albo jakby oślepły. Wołają swoich najbliższych w panicznym zamieszaniu, trzymając się mocno za ręce.

„*Aussteigen! Aussteigen!*" – okrzyki z zewnątrz nie słabną.

Wyskakujemy z wagonu. Cały tłum, nasi towarzysze podróży, wylewa się z otwartych na oścież drzwi wagonu. W tym samym czasie kolejne dziesiątki innych wagonów wypluwają swój ludzki ładunek. Nagle człowiek znajduje się w wielotysięcznym tłumie. Dziwacznie wyglądający mężczyźni, ubrani w dziwaczne, pasiaste piżamy, w pasiastych czapeczkach piekarza na głowach rozpraszają się wokół nas. Wskakują do wagonów i opróżniają je z tych, którzy jeszcze zostali w środku. Złowieszczo mdła woń unosi się w powietrzu.

Gdy tylko nasza grupa zbiera się na zatłoczonej rampie, Gabi łapie jednego z dziwacznych osobników w pasiakach za ramię.

– Gdzie jesteśmy? – wykrzykuje, jak gdyby tamten był głuchy.

– Auschwitz! – odpowiada mężczyzna. Wygląda jak błazen w tym swoim piżamo-kostiumie, z pasiastą czapeczką na głowie. Wyrywa się z uścisku Gabiego i wczołguje do naszego wagonu, z którego niektórym chorym ludziom nie udało się jeszcze wyjść. Wynosi na zewnątrz starego zegarmistrza.

Parę minut przed zatrzymaniem pociągu Gabi wyszeptał mi do ucha, że jego zdaniem przybywamy do miejscowości, swego rodzaju obozu koncentracyjnego, o nazwie Auschwitz, o którym słyszał w radiu w getcie.

Teraz Gabi gapi się na nas.

– On nie jest przy zdrowych zmysłach. – Wskazuje na człowieka w pasiaku. Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby Gabi był tak oszołomiony i rozkojarzony.

– Gdzie jest Auschwitz? – Przerażony chłopczyk za nami ciągnie tatę za połę płaszcza, podnosząc ku niemu parę wielkich, pytających oczu. Tata, jak się zdaje, bynajmniej nie jest ekspertem od polskiej geografii. Z głupkowatym wyrazem twarzy wzrusza ramionami, nie mogąc dać synowi właściwej informacji o tejże ważnej miejscowości.

„Nigdy nie słyszałem o takim miejscu jak Auschwitz" – powtarzają ludzie wokół nas jak papugi i rozglądają się, jednocześnie kurczowo trzymając się swoich członków rodziny.

– Niech mi pan powie – ktoś z tłumu zatrzymuje innego spośród „pasiastych" osobników, który wybiega nam naprzeciw wraz z grupą sobie podobnych – czy to jest jeszcze Polska, czy już Niemcy?

– Ani Polska, ani Niemcy – rozgorączkowany „pasiasty" kręci głową naprzeciw ludzkiej masy. Rozgląda się wkoło, czy nie widać gdzieś w pobliżu niemieckich

mundurów i syczy: – Tu jest Himmelland![433] – Po czym wrzeszczy rozkazująco, razem ze swoimi towarzyszami: – Wszyscy postawić bagaż po prawej stronie! Na ziemię, cały bagaż! – Sam wyrywa ludziom walizy z rąk i wraz z pozostałymi „pasiastymi" zwalają je na stos wzdłuż brzegu rampy.

Gabi mruczy coś niezrozumiale i wodzi dookoła zdesperowanym spojrzeniem. Stoimy obok w tej właśnie gęstej masie ludzi na rampie – czarna ciżba wzdłuż pociągu towarowego o otwartych wagonach – i gapimy się na niego. Wargi mu drżą, twarz – biała jak wapno. Jego małe, szare oczy poczerwieniały i pociemniały. Wschodzące słońce i kruczoczarne włosy Sonii odbijają się w nich. Obwarowuje ją i niemowlę rękami.

Esesmani z knutami w dłoniach naskakują na nas. Wstrzymują rozszczekane psy, ciągnące do przodu przy ich boku. Knuty świszczą ponad głowami czarnej masy, którą bydlęce wagony w końcu całkowicie wypluły. W akompaniamencie psiego ujadania wyszczekują rozkaz: *„Eintreten! Eintreten!"*[434].

Drzwi wagonów po lewej stronie wyglądają jak rzędy pustych, otwartych pysków olbrzyma, który znów jest głodny. Inna brygada esesmanów, z rewolwerami w dłoniach, cwałuje wzdłuż stada trzech tysięcy przybyłych i zaczyna wyrównywać kolumnę, która przekształca się w czarnego węża ciał. Osobniki w komicznych pasiastych kostiumach, jeden po drugim wpychają się w kolumnę i wyrywają paczki, plecaki i walizy z rąk tych, którzy trzymają się jeszcze swojej ostatniej resztki dobytku.

– Dostaniecie to później z powrotem! – mówi „pasiasty" do kalekiego młodzieńca, ze złością trzymającego się swojej teczki.

– Ale jak? – Siłuje się z nim kaleka.

– Zapytaj na Himmelkommando, idioto! – traci cierpliwość „pasiasty" i jednym szarpnięciem wyrywa teczkę, nieomal przewracając kalekę.

Uwolniliśmy się już od naszego bagażu podręcznego i zanim się obejrzałam, zdarto mi z ramion plecak, i tak samo zdarto plecaki pozostałym z naszej grupy. „Pasiasty" wyciąga Malce spod ramienia zawiniątko z jej dziennikiem i notatkami z getta. To samo dzieje się z czarnym brulionem z wierszami Wierki. Woreczki pełne fotografii rodzinnych wydarte zostają z rąk trzech matek spośród nas; koperta Balci z adresem jej przyjaciółki w Chicago zostaje w jej woreczku. Wszystko to jest rzucane na górę papierów, listów, fotografii, modlitewników i książek. Robi się z tego cała kolumna zgarniętych na stos rzeczy, ciągnąca się wzdłuż kolumny ludzkiej. Każde z nas zostaje z resztką połowy bochenka chleba, którą trzyma się na „czarną godzinę". Trzyma się ją pod pachą, jednocześnie rękami, spazmatycznymi palcami, kurczowo trzymając się jedno drugiego.

---

[433] Himmelland (niem.) – niebo, niebiańska kraina.

[434] (niem.) *Wchodzić!*

– Kobiety i dzieci zostają tutaj! Mężczyźni muszą przejść na drugą stronę! – grzmi rozkaz, raz i jeszcze drugi.

Nagła cisza. Ogromne, otwarte niebo nad głową – ogromny, pusty, głuchy dzwon. Szmer luźnych papierów rozrzuconych po ziemi, szept karteczek małych psałterzyków, które kartkuje wiatr, ledwo dobiegają naszych uszu. To, co grzmi w głowie, to rozkaz i gwizdanie.

Nasza grupa splątuje się razem ciasno, bardzo ciasno. I tak stoimy. Punkty zrośnięte w jeden supeł pośrodku gęstej wiązanki supłów – skłębionej ciżby trzech tysięcy głów. Jak takie punkty-supły pokrewieństwa, oddania, miłości mogą zostać rozerwane?

Mama kurczowo obejmuje nas rękami; rękami, które stały się jakby dłuższe: tak Wierkę, jak i mnie z jednej strony; tatę i Nońka z drugiej strony. Marek trzyma mnie pod ramię, a drugą ręką obejmuje Malkę. Malka z jednej strony trzyma Balcię, a z drugiej trzyma się Gabiego. Wysoki Gabi wciąż stoi, obwarowując rękami Sonię z dzieckiem. Z dłońmi zaciśniętymi w kieszeniach wiatrówki stoi Hanka. Podtrzymuje chorą Sorkę razem z Icchokiem, który drugą ręką obejmuje Wierkę.

Ty jeden, Abraszo, nie przywiązany do niczyjej ręki, przepychasz się wokół naszej ciasno zasupłanej grupy swoiście tanecznym krokiem, jak gdybyś szykował się, by nas chronić; albo odwrotnie, jak gdybyś to u nas szukał ochrony; jak gdybyś chciał wepchnąć się między nas, zamknąć się w naszym uścisku, choć nie z własnych chęci wykluczyliśmy Cię z niego. A może jesteś zajęty liczeniem głów? Jest nas równe pięćdziesiąt! Czy Żydzi wierzą, że pięćdziesiąt to szczęśliwa liczba? Nie jesteśmy już zabobonni. Tak, nasza grupa jest w komplecie. Brakuje tylko Wowy i Zalmana Fidlera. Ale tak czy siak są z nami, i trzeba ich też policzyć. Nadal tu przynależą.

– Mężczyźni! Wszyscy mężczyźni na drugą stronę! Kobiety i dzieci zostają tutaj! – nieustannie grzmi rozkaz.

Knuty świszczą w powietrzu. Kohorta w zielonych, oswastykowanych mundurach mechanicznie oddziela mężczyzn, którzy zwlekają, trzymając się kobiet i dzieci. Robi się to w konkretnym rytmie. *„Los! Los!”*[435] – *staccato*; jak gdyby oswastykowane ręce odrywały od siebie toboły, a nie ludzi, nie jedno ciało od drugiego, ciało i krew od takiego samego ciała i krwi, nie żywą świadomość – od żywej świadomości; nie jakby odrywali od siebie ręce, ale jakby przecinali pozwiązywane ze sobą sznurki. Twarze „zielonych ludzi” nie zdradzają ani śladu tego, że zdają sobie sprawę z cierpienia, które sprawiają; że ta oto scena porusza choć samą powierzchnię ich człowieczeństwa. Zupełnie nic. To nic więcej jak tylko uniformy z doczepionymi do nich maskami twarzy, twarzy wykutych z kamienia.

Tych, których oddzielają, nie można nawet porównać do zgrai szczurów. Gdyby ci poważni, umundurowani ludzie brali udział w wyplenianiu szczurów, być może

[435] (niem.) *Naprzód!*

w ich niebieskich oczach zapłonąłby ciepły blask na widok malutkiego szczurzęcia, tulącego się do piersi szczurzej mamy. Te roboty, tak elegancko i schludnie ubrane, z czystymi rękawiczkami na dłoniach, wyglądają bezwstydnie ludzko. Ale to nie są ludzie. Należą oni do całkiem innej rasy, albo może są szumowiną starej? Kim oni są? Czym oni są? Jeśli mają serca i mózgi, to co się w nich dzieje w tym właśnie momencie? Dowiedzieć się tego jest sprawą najwyższej wagi. Los świata od tego zależy – aczkolwiek nie jest to już w żadnym razie ważne dla nas.

– Trzymajcie się mocno razem! Nie puszczajcie! – zachęca nas Noniek, trzęsąc się jak osika. Jego drobna twarzyczka jest tak przeźroczyście blada, że brązowa czupryna nad jego czołem wydaje się czarna.

– Puśćcie. Czas odpuścić – słyszę szorstki głos mężczyzny stojącego dokładnie za mną.

Esesman zaciska dłoń na Twojej ręce, Abraszo, jak szczypce. Popycha Cię w kierunku kolumny mężczyzn, która formuje się paralelnie do naszej w pewnej odległości. Masz głupi uśmiech na twarzy, kiedy machasz ręką i wołasz coś do nas. Jesteśmy zbyt głusi, żeby Cię dosłyszeć.

Całus od Marka. „Pamiętaj, że Cię kocham!" – to jego ostatnie słowa do mnie, kiedy wysoki esesman odciąga go od nas. Gabi też wkrótce zostaje oderwany od Soni i niemowlęcia. Robi ruch, jak gdyby był gotów rzucić się na esesmana, ale może tak mi się tylko wydaje. Zaraz potem cios urękawicznionej niemieckiej dłoni pada na twarz Gabiego, cios, którego tak się bałam. Po tym ciosie nadchodzi jeszcze kopniak w jego plecy. Gabi, głową zwrócony ku Soni, ku nam, dołącza do kolumny mężczyzn.

Esesman jakimś sposobem nie od razu zauważa tatę i Nońka, trzymamy ich jeszcze przez parę minut w naszych rękach. Kiedy ich odkryto i odciągnięto? Patrzę, widzę, i wkrótce nie wiem już, jak to się stało. Pamięć przestaje rejestrować. Śrubki wspomnień na chwilę się odkręcają. Jestem jednością z wielką pustką ponad naszymi głowami. Gapię się na kolumnę mężczyzn naprzeciw i niewidzącymi oczami szukam taty i Nońka, i nie mogę ich dostrzec w rzece ojców, braci, synów i ukochanych.

Tu, w rzece kobiet i dzieci, nie daje się słyszeć żaden dźwięk, żaden jęk, żaden pisk. Kobiety zapominają o swojej zdolności wylewania łez. Łzy tu nie przynależą.

„Naprzód marsz!" – esesmani wykrzykują rozkaz w kierunku naszej kolumny. Cisza staje się tak ciężka, tak naładowana niemożliwym do zniesienia napięciem, że zdaje się, jakby lada chwila nieziemska eksplozja miała rozerwać powietrze. W otępieniu odczuwam nacisk tej ciszy, napierającej na mój mózg ciężarem rzeczywistym i prawdziwie dotkliwym. Ruszamy naprzód. Naprzeciw mnie wlecze się Sonia z dzieckiem na ręku. Malka i Balcia ją podtrzymują. Ich piątkę uzupełniają obok dwie obce kobiety, matka i córka. Mocz cieknie Soni spomiędzy nóg.

Mama i Wierka idą po mojej lewej, a obok nich wloką się naprzód Hanka i Sorka. Poranny wiatr wstrzymuje oddech, czy też zostaje uduszony w gęstwie powietrza, które napiera na głowy. Serce nieomal wyskakuje mi z piersi. Pulsuje

na koniuszku języka. Pulsuje w pustce poza czasem i przestrzenią. Dwudziesty ósmy sierpnia 1944 r. jest błędnym, pławiącym się w słońcu dniem.

Wysoki płot z drutu kolczastego pojawia się po lewej stronie. Cienie o kształtach kobiet dają się dojrzeć wewnątrz, po drugiej stronie drutu. Do uszu dociera daleki dźwięk głosów. W głuchocie trzeba je dosłyszeć. Może niosą ze sobą pocieszenie?

– Chleb przerzućcie nam, już wam nie będzie potrzebny!

– Kim one są? – Młoda kobieta chwyta przebiegającego obok „pasiastego" za łokieć.

– Nie słuchaj ich. – Macha ręką. – To wariatki. – I biegnie dalej.

Po naszej prawej stronie, w oddali, rozciąga się kolumna mężczyzn. Czarny wąż. Skręcił się i zwinął chwilę wcześniej. Ale teraz, gdy kolumna kobiet ruszyła naprzód, wąż zamarł, zesztywniał. Wąż duszący się swoim własnym jadem.

Grupa wyjątkowo eleganckich esesmanów jakiegoś wyższego stopnia – wyglądających, jak gdyby założyli nowiuteńkie, świeżo uprasowane uniformy, specjalnie na tę uroczystą okazję – stoi w kręgu naprzeciw szeroko rozwartej bramy. Nad bramą jest napis, zrobiony z żelaznych, pięknie ukształtowanych liter: *„Arbeit macht frei"*[436]. I – czy to możliwe? – słyszymy grającą orkiestrę[437]. Tanga, jazz. Czy dopiero zaczęła grać, czy też grała przez cały ten czas, ale, ogłuszone, nie dosłyszałyśmy jej? I cały ten karnawał – dopiero się zaczął czy trwał tak zawsze? Czy esesmani dopiero co rozpoczęli selekcję, czy też trwa ona od dnia stworzenia?

W oddali kominy strzelają wysoko w niebo, dokładnie naprzeciw nas. Może to wszystko halucynacje, widziane oczyma zamglonymi grozą? My, kobiety, ruszamy naprzód. Po pięć w rzędzie.

– Dadzą nam pracę w fabryce. Widzicie napis nad bramą? A tam są kominy fabryczne – słyszę, jak kobieta mówi swojej sąsiadce w rzędzie za mną.

– Słyszałaś, co ona mówi? –zwraca się ośmielająco Sorka do Hanki.

Jedna z dwóch kobiet, które zamykają rząd Balci, ta młodsza, odwraca głowę do Sorki.

– To jest obóz koncentracyjny – mówi.

– Co to jest obóz koncentracyjny? – pyta ktoś za nami.

Sorka, z rozpaloną twarzą, nie przestaje paplać do Hanki.

– Trzymaj się mnie mocno. Wyprostuj plecy i uśmiechnij się. Tak, uśmiechnij. Musisz się uśmiechać. Ja... ja też będę się uśmiechać.

---

[436] Pomyłka Autorki. Napis *Arbeit macht frei* (niem. praca czyni wolnym) był umieszczony nad bramą w Auschwitz, nie w Birkenau.

[437] Niemcy utworzyli z więźniów orkiestrę obozową w Auschwitz na początku stycznia 1941 r. Z czasem powstały także orkiestry w obozach męskim i żeńskim w Auschwitz II-Birkenau.

Czerwone gorączkowe plamy pokrywają szyję Sorki. Jej czerwone usta wyczarowują uśmiech. Wystawia głowę poza rząd, jakby chciała pokazać się nam ze swoją sztuczką. Mama, Wierka i ja nie zamieniamy między sobą ani jednego słówka i nie mamy odwagi na siebie spojrzeć. Ale trzymamy się kurczowo jedna drugiej, tak mocno, że aż boli. Teraz wiernie powtarzamy za Sorką jej uśmiechnięty grymas. Karnawał. Twarz Hanki, ściągnięta jak wysuszone jabłko, lśni światłem jej oczu, dwóch węgielków rozżarzonych wściekłością. W chwili, kiedy jej stopy opuściły wagon i musnęły ziemię, zmieniła się w lwicę; jak gdyby opiła się jakimś czarodziejskim eliksirem, który ją przemienił. Maszeruje pochylona do przodu, spięta, włosy jej się jeżą, sztywne jak druty. Jej małe ciało, mięśnie naładowane skoncentrowaną energią – tak właśnie pociąga za sobą cały nasz rząd, depcząc po stopach tych, które idą przed nami. Jest jak lwica, gotowa rzucić się na ratunek swojej porcji łupu – swojego życia, życia Sorki.

Odzywa się nagle do Sorki:

– A ty nie widzisz, że twoje własne plecy są zgarbione? Wspieraj się na mnie, ile chcesz, ale wyprostuj się! I nie włócz nogami, słyszysz?

Sorka kręci głową. Czoło błyszczy jej czerwono. Usta są całkiem sczerniałe. Niezgrabnym ruchem wypycha pierś do przodu.

Nie zdejmuję oczu z Hanki i Sorki, bo nie potrafię patrzeć na mamę i Wierkę w tych tak cennych chwilach. Żadnym sposobem nie potrafię. Boję się, że się rozkleję. Ich widok jest nie do zniesienia. Mama trzyma mnie tak mocno, że mogę wyczuć każdy z jej palców wbijających się w ciało na mojej ręce. Zdaje się być dużo wyższa ode mnie, zdecydowanie wyższa i silniejsza.

Jesteśmy przy bramie. *„Arbeit macht frei”*. Litery kłują mnie w oczy. Teraz można zobaczyć orkiestrę wewnątrz, obok płotu. Muzycy noszą pasiaste, piżamowe ubrania. To mężczyźni czy kobiety? Ta cyrkowa kapela zdaje się płynąć ku nam, bliżej i bliżej, płynąć do głowy węża, naszej kolumny, która wystawia swego rodzaju rozwidlony, szpiczasty język, jeden szpic na prawo i drugi na lewo; jeden wycelowany w bramę – do życia, a drugi? – drugi składa się z kobiet i dzieci, które drepczą w dal. Język wystawiony, by kłamać, że człowiek został stworzony na podobieństwo Boga. Chyba że Bóg sam jest diabłem.

Zielone ramię ze swastyką na czerwonej opasce miga mi przed oczami. Widzę kobiety i dzieci oddzielające się od czoła kolumny. Między nimi dostrzegam *madame* Felicję. Idzie sama. Kapłanka świątyni sztuki wkracza do świątyni mordu, by zostać złożoną w ofierze dla muzy Zła. Spoglądam za nią tylko przez krótką chwilę, bo oto dostrzegam ramię opasane swastyką – i dłoń, która się unosi. Ostrożnie, naprawdę delikatnie, dłoń ta wyciąga niemowlę z rąk Soni. To tak lekki, tak miękki ruch, jak gdyby dłoń ta wyjmowała lekką poduszeczkę z Soninej piersi. Niemowlę, odurzone wywarem z maku, który Sonia podała mu w pociągu, śpi z otwartą buzią.

– *Was? Wa-as?*[438] – duka Sonia po niemiecku, pustymi rękami kreśląc przerażone znaki zapytania. Wyciąga ręce do młodego esesmana, jak gdyby był jakimś dobrym wujkiem, który zabrał na chwilę dziecko, by się z nim pobawić, pocmokać, połaskotać pod bródką – i już zaraz odda je mamusi. I naprawdę, esesman zamienia z Sonią spojrzenie, które zdaje się trwać wieczność, a które nie trwa dłużej niż sekundę. Zamyśla się nad czymś, również nie dłużej niż na sekundę, i wykonuje ruch, jak gdyby miał oddać jej dziecko.

Wysoko postawiony, czarnowłosy esesman, który stoi obok, pyta:

– *Was ist den los?*[439]

– Nic takiego, panie doktorze. Jest całkiem pokaźna. Dajmy jej pójść z dzieckiem.

– Zgoda. Ale małe idzie dzisiaj, a ona pójdzie jutro – uśmiecha się pan doktor zdecydowanie figlarnym uśmiechem. Jest podobny do Clarka Gable'a, cudownego aktora filmowego.

W mgnieniu oka niemowlę znika mi gdzieś sprzed oczu. Sonia, jak gdyby nie wiedziała, co się z nią dzieje, robi krok wstecz i zderza się z naszym rzędem całą masą swojego roztrzęsionego ciała. Ale młody esesman chwyta ją i energicznym pchnięciem rzuca ją w kierunku otwartej bramy – ku życiu.

– Nie mamy się czego bać. – Czuję, jak mama szczypie mnie w ramię w chwili, kiedy zielona ręka ze swastyką ponownie miga mi przed oczami. Dłoń pada na cedrowy bark Balci. Malka zaciska Balci dłoń na nadgarstku.

– *Das ist meine Schwester*[440] – woła wysokim, suchym głosem.

– Ile ma lat? – pyta młody, opalony esesman, mierząc Malkę biegłym spojrzeniem, jak gdyby miał z nią flirtować. Ma niebieskie oczy, gęste, ciemnoblond brwi, jabłkowoczerwone policzki i wiśniowe usta. Jego twarz wygląda jak pomalowana. Niebieskie jak niebo oczy patrzą szelmowsko na Malkę i niemal serdecznie głaszczą ją po twarzy spojrzeniem.

– Trzydzieści dziewięć – odpowiada Malka.

Piękny młody Niemiec rzuca panu doktorowi pytające spojrzenie, a on – anioł i opiekun niebiańskich i ziemskich bram – skinieniem głowy udziela zgody. Malka i Balcia idą za Sonią do bramy życia, razem z młodszą kobietą, która była razem z nimi w rzędzie.

Każdy najmniejszy dźwięk rozlegający się w chwili, która następuje potem, każda rysa na twarzach ponad zielonymi mundurami naprzeciw nas, każdy niuans światła i cienia, każdy najmniejszy ruch – zostaje wyryty jakby zaostrzonym nożem na pustych tablicach mojej pamięci, na pustym ekranie mojego mózgu

---

[438] (niem.) *Co?*

[439] (niem.) *Co się dzieje?*

[440] (niem.) *To jest moja siostra.*

– aż wszystko zatrzymuje się w jednym punkcie, jakby to była taśma filmowa, która nagle się zrywa.

Co się stało z Wierką? Dlaczego młody esesman pchnął Balcię ku bramie życia, a cudowną Wierkę odesłał w przeciwnym kierunku? Dwudziestodwuletnią Wierkę! Mama musi, oczywiście, naprawić ten błąd. Biegnie za Wierką i woła ją z powrotem. Podbiega do esesmana, by mu to wytłumaczyć. Zatrzymują ją w biegu.

– Jankew, pomocy! – krzyczy.

– Binele!

Binele. Biegnie za Wierką. Biegnie za Wierką. Biegnie za Wierką. Oddala się ode mnie. Zawsze bardziej kochała Wierkę niż mnie.

Tak właśnie tracę mamę i Wierkę, Abraszo. Tracę je z oczu, choć wrażenie zaciśniętych palców mamy na moim ramieniu wciąż pali mi skórę. Widzę siebie, jak wraz z innymi oszołomionymi kobietami wkraczamy, kulejąc, przez bramę życia, do akompaniamentu orkiestry, zaraz za Sonią, Balcią i Malką. Sonia, skręcając się w konwulsjach, z rozbitymi kolanami, wlecze się naprzód, jakby zaraz miała się przewrócić. Trzyma się za brzuch, jakby miała zaraz urodzić. Odwraca głowę do tyłu, do bramy. Stamtąd nadchodzą Sorka i Hanka, też swoiście tanecznym krokiem. Wszystkie stajemy się takie muzykalne. O, jak mama i Wierka tańczą naprzeciw mnie, choć nie widzę ich już przed oczami! Uścisk mamy płonie czerwono na moim ramieniu. Nadal mnie trzyma. Balcia chce się z nami wszystkimi przytulić. Ale ja nie mogę znieść jej dotyku. Patrzę z powrotem na bramę, wyglądam mamy i Wierki.

Idziemy tak i idziemy przez bramę do życia. Czegóż by orkiestra nie grała, gra *Götterdämmerung*[441]. Orgia demonicznych bóstw. Co za długa, głęboka brama. Nadal przez nią przechodzę. Prowadzi od Nibylandii mojego dzieciństwa, od szabesowej rzeki Sambation, nad brzegami której mieszkają Czerwoni Żydzi[442], którzy nic nie wiedzą o golusie – do kraju na opak, kraju czarnej magii, w którym płynie czerwona rzeka żydowskiej krwi.

---

[441] Götterdämmerung (niem.) – *Zmierzch bogów* – czwarta część dramatu muzycznego Richarda Wagnera *Pierścień Nibelunga*.

[442] Zob. przypis s. 31.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Auschwitz. Birkenau. Przy całym podobieństwie wszystkich punktów w uniwersum obozów śmierci, Ty masz swoje Auschwitz, Abraszo, a ja mam swoje. Nabieram coraz większego przekonania, że obiektywne opisy tych miejsc nie mają sensu. Chociaż obrabowano nas z naszej indywidualności, każdy z nas widział tę samą gehennę swoimi oczami; każdy jeden rozgorączkowany umysł stworzył własną realność czy iluzję realności. Jaka jest prawda? Prawdą jest to, co każdy z nas uznaje za prawdę – i żadna inna prawda nie istnieje.

To, co ja widzę, jest pustynią, słyszę wycie hien w drgawkach przedśmiertnych. Żebra porozrzucanych szkieletów. Ciała jak węże, gady czołgające się po skamieniałych zwłokach planety. To, co ja widzę, jest końcem, który ciągle nabrzmiewa, wielokrotnieje i rozpada się w pylastą nicość. Pustka wydrenowana z myśli, z marzeń, z tęsknot, a nawet z bólu. Banalna powierzchowność kataklizmu i dnia powszedniego. Fatalna tajemnica zmierzchu świata – obnażony koniec. Mdłości. Nuda.

Baraki. Na wpół zmrożone mrowiska pod pustym niebem. Niebo przyfastrygowane do ziemi delikatną pajęczyną drutu kolczastego pod wysokim napięciem. Wieże obserwacyjne dla wartowników: małe domki na nóżkach – wysokich słupach, jak skamieniałe roboty z wielkimi, ruchomymi oczami reflektorów, czy jak wulgarne kopie orientalnych pagód na szczudłach.

Żyjący jeszcze kacetnicy. Mrówki, które zgubiły swój kierunek. Jeszcze drepczące nogi kościotrupów, roją się w chaosie. Otumanieni jednym koszmarem przechodzącym w kolejny koszmar. Przebłyski świadomości, że pozostaje się w rękach woli, która ostatecznie jest naturą. Ostatnia stłumiona próba ocalenia własnej indywidualności, własnej twarzy, wżyna się w resztkę twojego człowieczeństwa i przywiera. Koniec historii jest w jej początku. Tu koniec połyka

początek. Z wszystkich bogów – śmierć jest jedynie żywym bogiem. Jedynym bogiem. Spoufaliłeś się z nim jak z bratem. Śpisz z nim jak z kochankiem. I nie masz innego boga jak tylko jego. Nic nie egzystuje poza nim i poza strachem przed nim.

Majestat boga śmierci podtrzymuje przy życiu nawet w stanie letargu. To on cuci nasze zmysły, wyostrza je. Wzrok: spojrzenie przecięte elektryczną ścianą drutu kolczastego. Widzisz kominy. Widzisz baraki jakby z pyłu zbudowane. Pylaste drogi między nimi. Widzisz latryny. Twój mózg, niegotowy, aby rejestrować rzeczy, które pozostają poza wszelką logiką, przestaje funkcjonować z dawną precyzją. Pracuje nieregularnie, jak popsuta maszyna. Albo zacina się na chwilę, albo wytęża się nad czymś, co w ogóle nie egzystuje, albo zapomina wszystko, albo zapamiętuje zbyt wiele.

*

W tym oto „nowym cudownym świecie" zostaję, podobnie jak wy, nasi mężczyźni, pognana – do życia, razem z pozostałymi z naszej „rodziny": Balcią Cederbojm, Malką, Hanką, Sorką oraz Sonią. Od razu jak przeszłyśmy przez bramę wraz z innymi szczęściarami z łódzkiego transportu, batalion młodych dziewczyn w pasiakach zebrał nas razem przed kompleksem wielkich baraków, wokół których trwa gorączkowe poruszenie. Te dziewczyny w pasiakach wyglądają dużo lepiej od nas, przybyłych z „zewnątrz". Krzątają się tam i z powrotem, wchodzą i wychodzą przez drzwi baraków. Robią wrażenie na nas, na tym stadzie nowo przybyłych, kohorty nieziemskich stworzeń, w których królestwo zostajemy przyjęte.

Trzymamy tylko kawałek chleba, który przechowałyśmy na „czarną godzinę". I ta czarna godzina jest tu i teraz. Ale żadna z nas nie czuje głodu. Ten chleb wygląda, jakby przeistoczył się w niejadalny obiekt, który jest nam tak drogi i czyni nas pewniejszymi siebie. Postanawiamy zachować ten kawałek chleba ze sobą do ostatniego momentu, tak jak trzyma się przy sobie amulet na szczęście.

Balcia rozgląda się wokół krążącego wokół nas tłumu kobiet. Kogo szukają? Rozumie się, że mojej mamy, bo kogóż by innego? Mój zastygły umysł spowijają jakby mrożące bandaże. Nic nie czuję. Poza tępą, dumną obojętnością. Nie mogę sobie tego przedstawić, że na zawsze zostanę tutaj. Przed chwilą w bydlęcym wagonie powiedziałam do Ciebie, Abraszko, że nienawidzę słów „na zawsze". Teraz czuję się jak dziecko, któremu mama nakazała poczekać tu troszkę, a ona za chwilkę wróci. W domu, w fabryce z wysokim kominem, gdzie mieszkamy przy ulicy Składowej, paliło się. Mama zostawiła mnie i pobiegła ratować, co się da. Potem wróciła do mnie. To leży w naturze matek zawsze wracać, aby spłacić dług miłości, który są winne dziecku. I choć mama Wierkę bardziej kochała niż mnie, a może właśnie dlatego – spłaci swój dług wobec mnie. Jak każde dobre dziecko, czekam na nią i nie płaczę.

– Jestem najstarsza z was wszystkich tutaj – zwraca się do nas Balcia, jak gdyby była z tego dumna. Wydaje mi się, że w rzeczywistości wygląda młodziej. Przywykłyśmy ją nazywać „mamusią", ale teraz, kiedy Sorka czy Hanka tak ją nazywają, drażni mnie to. Zabierze mi trochę czasu, zanim znów zacznę tak się do niej zwracać.

Balcia jest wciąż jeszcze roztrzęsiona, załamana utratą swojego pierwszego wnuka, przygnębieniem Soni, rozłąką z Gabim i zniknięciem mojej mamy z Wierką. Jest załamana jak my wszystkie – w otępiały, zimny sposób, jakbyśmy były otumanione narkotykiem. Ale w spojrzeniu Balci błyskają ostre iskry przerażenia, dokładnie takie jak przed selekcją na rampie. Trwoga o jej własny los. Bardziej niż my, młode, martwi się, co nas spotka w tych barakach, przed którymi stoimy. Czy selekcja, którą dopiero co przeszły, jest definitywna? A może lada moment odbędzie się jeszcze jedna, tu na miejscu, w barakach?

Kolumna kobiet nadchodzi z przeciwnej niż kompleks baraków strony. Kim one są? Głowy mają ogolone, odziane są w szmaty. A co stało się z tymi setkami kobiet, które były przed nami, jako część naszej kolumny? Czy zaprowadzono je do tych oto baraków? Gdzież one zniknęły? Te dobrze wyglądające, ubrane w pasiaki, dziewczyny z krótko ostrzyżonymi włosami, które zajmują się nami, na swój specyficzny sposób wyglądają elegancko. Komenderują nami, krzycząc szorstkimi, zachrypłymi głosami. Słychać je na milę. I tę oto kohortę kobiecego komanda otacza kolumna ogolonych kobiet w szmatach, które z dala idą nam naprzeciw. Ogolone wyglądają na oszołomione przez te nieogolone i w okamgnieniu wypełniają ich rozkazy.

Po długim czekaniu pokazuje się jeszcze jedna kolumna kobiet na przeciwległej stronie baraków i też zostaje odprowadzona. Nasza kolumna rusza do przodu i zbliża się do baraków.

– Nie rozumiem – odzywa się Balcia. – Co się stało z kobietami z naszego transportu, które prowadzono do tych baraków? Dlaczego nie wychodzą?

Malka wskazuje brodą w dal:

– To muszą być one, te z naszego transportu, te tam ogolone. Nam też pewnie zabiorą odzież, dadzą nam szmaty do ubrania i ogolą nam głowy.

Balcia rzuca pełne zatroskania spojrzenie na długie, kasztanowe włosy Malki, a potem na moje. W getcie, kiedy mama pomagała mi myć w misce długie włosy, zwracała się czasem do Balci, pokazując jej całą miskę moich włosów: „Patrz tylko – chełpiła się – cała miska pełna złota". Albo mówiła: „cała miska pełna słońca".

– Wyrównać rząd i przestać szwargotać! – krzyczy na nas energiczna dziewczyna. Jej krótko ostrzyżone blond włosy podskakują na głowie, kiedy jak torpeda cwałuje wzdłuż naszej kolumny. Krzyczy, naciąga swoje struny głosowe na najwyższe rejestry ochrypłości i smaga nad naszymi głowami podwójnym pejczem.

Na Balci wrzaski dziewczyny nie robią żadnego wrażenia. Kiedy nawracając, podchodzi do nas, Balcia łapie ją za ramię i zatrzymuje.

– Powiedz mi, córko – zwraca się do niej. Dziewczyna staje zdumiona jej śmiałością, a może zdaje jej się przez sekundę, że Balcia zna ją z dawnego życia. Balcia oswobadza jej ramię. Dziewczyna zaciska pięść wokół pejcza. – Powiedz mi... – Balcia szykuje się do zadania pytania.

Dziewczyna mierzy wzrokiem Balcię i całą naszą grupę. Nie odkrywając wśród nas żadnej znajomej twarzy, wybucha:

– Ja ci dam „powiedz mi, córko", że twoi przodkowie staną ci przed oczyma! – Trzyma pejcz nad głową Balci i patrzy na nią z czystą, bezwzględną nienawiścią, bez krzty litości. W głębi jej źrenic gorze płomień. – Precz mi z oczu! – zagrzmiała. – Moje własne dzieciątko poszło z dymem, a ty, koścista stara torbo, wciąż chodzisz na tych swoich dwóch nogach! – Wolną ręką popchnęła Balcię głęboko do kolumny, jakby w ten sposób chciała oderwać od niej wzrok, ale nawet wtedy nie udaje się jej to.

Malka gotowa jest rzucić się na tę blond demonicę, ale Balcia próbuje uspokoić zarówno Malkę, jak i blondynkę, która się przyczepiła.

– Czemu tak się unosisz, dziewczyno? – mamrocze drżącymi wargami. A do Malki zwraca się, wskazując na dziewczynę. – Nie widzisz, że ona, biedaczka, ma złamane serce?

Malka wybucha jednak i wydziera się na blondynę:

– I kimże ty jesteś, że zgrywasz taką ważniarę? – Siłą wpycha się między Balcię i dziewczynę.

A blondyna jakby tylko czekała na Malki pytanie, śmieje się szorstko, smaga pejczem w powietrzu i spuszcza go na Malki ramiona.

– Teraz wiesz już, kim jestem, ty wszo? – ryczy. – Teraz tylko cię pogłaskałam pejczem, żebyś nie prosiła, ostrzegam cię, jeśli dalej będziesz się stawiać, niedługo to potrwa i wylecisz przez komin, mój skarbie! – Balcia i Hanka przytrzymują Malkę, żeby nie rzuciła się na krzyczącą dziewczynę. – Mogę ci dać dobrą radę! – wrzeszczy tak, aby wszystkie kobiety w kolumnie ją słyszały. Wybałusza oczy na Malkę, grymas obrzydzenia wykrzywia jej twarz. – Tu jest Auschwitz-Birkenau, nie letnie kolonie w Zakopanem. Tu najpierw jesteś pogrzebana w najgłębsze otchłanie ziemi, by potem pójść głęboko w niebo. A ja jestem twoją kapo, suko, właśnie tym jestem! Zapamiętaj to sobie dobrze! – Oddala się z dziką szybkością wzdłuż kolumny kobiet i wyrównuje ją, nie przestając wrzeszczeć ochrypłym głosem.

Grupa kobiet z naszej kolumny zostaje wprowadzona do najbliższego baraku. Druga kapo wychodzi do nas i krzyczy:

– Albo jecie ten chleb, który macie przy sobie, głupie krowy, albo zabieram wam go tu na miejscu!

– Boże uchowaj! – piszczy kobieta z tłumu i przyciska kawałek chleba do piersi, jakby to był niemowlak.

– Bóg nikogo tu nie uchowa, małpo jedna! – odpowiada jej kapo. Odrzuca głowę, jakby chciała pochwalić się swoimi krótkimi kręconymi włosami. Blondynka też sprawia wrażenie dumnej ze swoich włosów.

Kobiety z naszej kolumny wyjmują kawałki chleba, które trzymały pod pachą i wpatrują się w nie. Wielkimi gryzami pośpiesznie napychają nimi usta. Ileż to razy w ciągu ostatnich czterech lat modliły się, aby utracić apetyt i nie czuć dokuczliwego głodu! A teraz nadszedł taki moment. Jest się przepełnionym po brzegi, zaspokojonym innym głodem – za dziećmi, które dopiero co zostały wyrwane z ich ramion, głodem za mężami, rodzicami. Jest się przepełnionym przywiązaniem do własnego życia. Horror dopiero co zaszłych zdarzeń niczym chloroform ucisza tęsknotę pustych żołądków za chlebem. Ściska mi gardło.

Tak odbywamy ucztę, wciskając w siebie chleb, napychając sobie usta wielkimi, suchymi kęsami. Niech przynajmniej ten skarb nie zmarnuje się, miejmy choć taki przywilej. Połyka się te suche, niepogryzione kęsy, jakby były one kawałkami suchej gliny.

Energiczne kapo nie przestają nas musztrować i nie zostawiają nas w spokoju nawet na minutę. Pada rozkaz ustawienia się po pięć w rzędzie. Liczą nasze głowy, wypychają jedną kobietę do przodu, pozostałe do tyłu. W końcu prowadzą nas do najbliższego baraku.

Ledwo zdążyłyśmy się rozejrzeć w środku, a już rzucone jesteśmy w młyn gorączkowych czynności. Tu kapo uwijają się jak prawdziwe diablice. Poganiają nas, aby ustawić się w pojedynczych rzędach. Niektóre rzędy kończą się przy stołach, których wiele stoi wzdłuż ściany tego wielkiego baraku. Kapo siedzą przy stołach i piszą coś na długich zwitkach papieru. Tylko na chwilę podnoszą głowy, mierząc wzrokiem stojące przed nimi po drugiej stronie stołu kobiety, wciąż wypatrując znajomych twarzy.

Balcia łapie Malkę za jedną rękę, mnie za drugą i woła Sonię, aby stanęła w rzędzie za nami. Ale Sonia, która wygląda na całkowicie ogłuszoną, trzyma się od nas z daleka. Gapi się w daleki punkt gdzieś na ścianie i pozwala się wepchnąć do innego rzędu. Sorka i Hanka też zostają rozdzielone przez kapo i każda stoi w innym rzędzie. Wypatrują siebie załamane. Kto wie, może te oto rzędy są decydujące dla wyroku, kto będzie razem z kim. W końcu zbiera w sobie siły i przepycha się do Hanki.

Kapo za stołami zapisują nazwisko każdej kobiety. W ciszy tej wielkiej hali słyszy się jedynie krótkie rzeczowe pytania kapo i odpowiedzi, które kobiety zdołają wybełkotać. Imiona... imiona... imiona. Zostają tu wypowiedziane po raz ostatni. Tu są pogrzebane w zwojach białego papieru – i każda kobieta otrzymuje blaszkę naciągniętą na sznurek z wygrawerowanym numerem. Kapo każą nam od razu przyozdobić się w ten oto naszyjnik.

– Jeśli zgubicie tę zawieszkę – ostrzega nas jedna z kapo – możecie równie dobrze uważać się za umarłe.

Znowu spędzają nas razem. Spuszczonym wzrokiem patrzymy na zawieszki i na umieszczone na nich numery, mrugając do siebie ironicznie. Wydaje się, jakby kapo były dziećmi, które obdarowały nas tymi oto cackami, abyśmy się

w nie wystroiły. A my, żeby uniknąć ataku histerii kapo, czym prędzej zawiesiłyśmy je na szyjach.

Zostajemy przepędzone do innego baraku. Pół tuzina ławek ustawionych jest wzdłuż ściany. Przy każdej ławce stoi kapo z golarką w ręku i przyjmuje jedną „klientkę" po drugiej. Brzęczą nożyczki, szumią maszynki do golenia, żyletki skrobią czaszki. Zmaganie zimnego metalu z ciepłą skórą. Garście włosów spadają na podłogę. Blond, brązowe, kasztanowe, czarne, rude, złote. Włosy kręcone, włosy pofalowane, włosy proste, włosy sztywne, włosy miękkie, włosy błyszczące, włosy matowe, włosy długie, włosy krótkie. Kłęby, pukle, pasma, pasemka włosów. Jak owcza wełna spadają, ześlizgują się na podłogę z szyj, karków, barków, ramion i przyjmują wygląd garści wyrwanych z rozmaitych dywanów. Wokół stóp kapo, nóg ławek oraz wzdłuż ścian wszędzie walają się sterty włosów jak kłębki wełny.

Szare czaszki wynurzają się spod golarek, ogołocone pod wprawnymi, zręcznymi dłońmi kapo. Czaszki, wszystkie o tym samym wyglądzie, przyczepione do ciał, jakby do nich nie należały. Te ciała usuwają się z ławek, aby zrobić miejsce dla następnych z rzędu.

Po tej „operacji" gapimy się jedna na drugą. Goła głowa jest rewolucją. Odkrywa bezradność nagości. Odkrywa coś więcej niż tylko ogoloną czaszkę. Trudno powiedzieć, czym jest to „coś". Ale robi mi się od tego niedobrze. W pewien sposób to pokazuje nam, jak będziemy wyglądać po śmierci, w naszych grobach. I od razu przychodzi na myśl fakt, że ta czy inna ogolona kobieta nie doczeka się własnego grobu, a jeśli nawet, to nie będzie on jej własnym grobem. Chociaż mamy ledwo czas na obrzucenie wzrokiem wyglądu tej czy innej, jedna rzecz staje się od razu jasna: że każda kobieta, która wkroczyła do tego baraku, zachowuje jedynie dalekie podobieństwo do siebie samej.

Stado ogolonych kobiet zostaje przepędzone na podwórze, które tworzy kompleks baraków. W kolumnach szerokich na pięć kobiet prowadzą nas do przodu, mijamy otwarte drzwi innych baraków. W środku widzimy góry perfekcyjnie poselekcjonowanych walizek, torebek, góry butów, w osobnych stertach: kobiece, męskie i dziecięce. Góry płaszczy, żakietów, garniturów, sukienek, bluz, koszul, bielizny. Góry okularów, lalek i zabawek, pościeli, szali, chust i chusteczek. W każdym baraku, do którego zaglądamy, widzimy ludzi w pasiakach sortujących góry rzeczy.

Zatrzymałyśmy się za barakiem z tabliczką nad głównym wejściem: „Łaźnia". Jak tylko Hanka przeczytała tabliczkę, łapie Sorkę za ramię.

– To nie żarty – mamrocze. – To nie żarty.

– Wydaje mi się, że znowu zbliża się selekcja – mówi Balcia.

– Czemu? – pyta Sorka. – Mają pewnie w środku prysznice, to wszystko.

– Oni wieszają takie tabliczki nad wejściem do... – mamrocze Hanka.

– Do czego? – niecierpliwi się Sorka.

– Do czego? – powtarza pytanie Sorki inna kobieta koło nas.

– To jest komora gazowa! – wydaje histeryczny okrzyk jakaś kobieta za nami.

– Boże!

Kobiety zaczynają pojękiwać. Głowy kręcą się. Dziki wzrok szuka drogi ucieczki. Masa kobiecych ciał zaczyna się kołysać w tę i z powrotem. Ręce bezsilnie trzepocą w powietrzu. Spazmatyczne drżenie przechodzi przez stado. Kapo zaczynają się uwijać. Wykrzykują rozkazy, utrzymują porządek i ignorują pytania, którymi wpadające w panikę kobiety zasypują je. Wzruszają ramionami, policzkują, smagają pejczem na prawo i lewo, nie pozwalając rozpaść się kolumnie.

W końcu jedna z nich woła.

– Ma być cicho, brudne kurwy! Co tak się boicie zrzucić z siebie te łachy, małpy jedne? Idziecie wziąć prysznic, idiotki. Zwykły prysznic!

– W żadne jej słowo nie wierzcie! – ostrzega ktoś z tłumu. – One nas oszukują!

Ostrzeżenie to dochodzi do uszu kapo.

– Kto was oszukuje, ścierwo? – Wpycha się do kolumny i kopniakiem dosięga tam kogoś. – Powiedziałam: prysznic! Normalny prysznic! To powiedziałam, zrozumiano?

– Ona powiedziała: normalny prysznic – szepcze przerażona dziewczyna. – Innym też opowiadano takie rzeczy.

– Jakim innym? Co mówiono, komu? – dopytują jedna przez drugą.

– Ja nie idę! – postanawia dziewczyna.

– Ja też nie! – słychać inne głosy.

Nie patrząc na wrzaski kapo, kolumna zbija się w nieforemną masę. Kapo smagają pejczami po plecach, próbując zaprowadzić odrobinę porządku. Nic więcej już nie wyjaśniają, jakby miały jakąś przyjemność z tego przerażającego spektaklu, który rozgrywa się na ich oczach, z tego wyrazu śmiertelnego strachu, malującego się na setkach twarzy. To milczenie traktujemy jako zły znak.

Pośród nas w tłumie stoi drobna kobiecina. Jej spojrzenie skacze po twarzach wokół, nagle zaczyna chichotać.

– Co się tak boicie, drogie mamuśki, przecież to najgorsze mamy już za sobą? Zanim zdołałam otworzyć usta, wyrwano mi czwórkę moich dzieci. Zrobiono ze mnie kokotkę bez męża i dziecka. To co może mi się teraz stać? Chodźcie wszystkie! Pluńmy na ten parszywy świat! Wszystko, co mogą mi teraz zrobić, to wyświadczyć przysługę i odprawić mnie tam, gdzie moje jaskółeczki są. – Stojące obok kobiety odsuwają się od niej, ale ona przesuwa się do nich. Kiedy widzi, że kapo znowu zaczynają wymachiwać rękami, spluwa trzy razy i patrzy na nie ze zmarszczonymi brwiami. – Przypatrzcie się im dobrze. Co mogą nam zrobić nasze siostry, takie jak my! Córy narodu Izraela! To powiedzcie mi, jaka jest różnica między nimi a Niemcem, *jimach-szmoj*[443]?

---

[443] *Jimach-szmoj* – niech jego imię będzie przeklęte! dosł. Niech jego imię będzie wymazane.

Jestem tak samo przerażona jak inne kobiety, a przecież jednocześnie jestem obojętna, jakby chodziło o życie kogoś innego, a nie moje, kogoś, kto ma tylko mglisty związek ze mną. Wszystko słyszę, wszystko widzę, a nie ma mnie tu. Malka coś mówi do mnie i muszę uczynić wielki wysiłek, aby ją zrozumieć.

– Nie widzę w tym sensu – mówi Malka – w daniu nam tych blaszek z numerami na szyje, w tym goleniu głów, jeśli zamierzaliby...

Zdesperowana kobieta dosłyszała słowa Malki i woła:

– Może one dały nam te blaszki i ogoliły nam głowy z tego samego powodu, dla którego powieszono tu tę tabliczkę z napisem „Łaźnia": żebyśmy się nie buntowały.

Rozchodzi się ciężkie skrzypienie i drzwi łaźni otwierają się przed nami. Bezwolnie, trzęsąc się i tuląc do siebie, pchamy się do środka, nikt się nie przeciwstawia. Przeciwnie, wygląda to tak, jakby po początkowym wahaniu każda chciała teraz wejść pierwsza. Ładujemy się do dużego pomieszczenia z ławkami wzdłuż ścian.

– Rozbierać się! – rozkazują kapo. Ze wstrzymanym oddechem kobiety gapią się na siebie, ich oczy krzyczą alarmująco. – Rozbierać się! – powtarza kapo rozkaz.

Nie ma innego wyjścia, jak go wykonać. Drżące dłonie dotykają ciała, szukając guzików. Długo to nie trwa i pomieszczenie rozświetla się jasnym blaskiem białej skóry, każde kościste ciało z blaszką zwisającą u szyi. Zostają rozdane szare, szorstkie kawałki mydła.

– Oni dają też mydło – jęczy słabym głosem dobrze poinformowana dziewczyna.

Zęby jej szczękają. Kobiety chwieją się na nogach, jakby powstrzymywały się od upadku. Rzeczywiście jest parę kobiet, które padły jak ciężkie wory na podłogę. Nikt nie ogląda się na nie. Zostają z tyłu, podczas gdy reszta z nas zostaje zagnana do korytarza o szarych, kamiennych ścianach. Wchodzimy do dziwnego pomieszczenia bez okien. Drzwi za nami zostają zaryglowane. Szare kamienie pod naszymi stopami, szare kamienne ściany wokół nas, a nad nami – przyczepiona do sufitu sieć cienkich rurek z okrągłymi talerzykami pełnymi dziurek. Te talerzyki z dziurkami hipnotyzują nas. Z zadartymi głowami wpatrujemy się w nie. Czy wydostaje się z nich coś, coś niewidocznego, jak na przykład – gaz? Tak, to on! Wyczuwa się go nozdrzami! Oddech wstrzymany w klatce piersiowej, uwiązł w gardle. Pary wybałuszonych oczu skaczą po suficie, ścianach i spotykają się z innymi parami oczu, zderzenie zrezygnowanych spojrzeń, nie ma ucieczki.

– Ratunku!

– Boże miłosierny! – chóralny jęk wyrywa się z gardeł.

– Mamo... – piszczy ktoś.

– Boże... – nie przestają wołać inne.

Ale większość z nas jest za bardzo skamieniała, aby wydać jakikolwiek dźwięk z ust. Potem wszystko zaczyna szumieć. Wzrok zastyga. Głowy nie są już zadarte do góry. Plecy prostują się. Pewien rodzaj przypływu nagłej dumy, uczucie

szacunku dla siebie samych obudziło się w nas – w tym samym momencie, gdy rozległ się metaliczny dźwięk. Potem świst, trzask. To jest to! Nadchodzi! Teraz!

Nad naszymi głowami małe dziurki napełniają się przezroczystymi bąbelkami, kroplami – czego? Nagle spadają one, leją się strumieniami. Uderzają w nasze gołe czaszki. Kłują skórę jak igły. Smagają nasze oczy, usta, ramiona, plecy. Lodowate zimno.

– Woda! To jest woda! Prawdziwa woda!!

Radość z wody! Zimne, krystaliczne strugi błogosławionej, niewinnej wody zalewają pomieszczenie pełne ciał i rozpromienionych twarzy. Pomieszczenie pełne nagich kobiet, które zmieniają się w małe dziewczynki, nimfy, które tańczą na wiosennej łące. Co za przyjemność! Pean na cześć wody! Pean na cześć lodowatych fontann, mroźnych potoków, nordyckich jezior, zimnych mórz i oceanów, na cześć wody, która zalewa pomieszczenie wypełnione białymi, pokrytymi gęsią skórką ciałami.

W roztrzęsieniu Balcia całuje Malkę i nas mokrymi wargami. Czule, pieszczotliwie namydla Malce drżące plecy. Mydło było skarbem w getcie. Balcia kocha mydło.

– Kto wie – mamrocze przez szczękające zęby – kiedy znowu będziemy mieć możliwość trzymania w dłoni kawałka mydła?

Hanka namydla Sorce plecy. Sorka kołysze się tam i z powrotem, trzęsąc się pod zimnymi strumieniami wody od emocji oraz gorączki. Sama się namydlam z taką pieszczotliwością, jakbym była swoją własną mamą. Widzę siebie z mamą i Wierką w łaźni w Łodzi, gdzie mama zabierała nas po letnich wakacjach. Przypominam sobie dotyk namydlonej, śliskiej dłoni mamy. Stałam się kobietą w tamtej łaźni. Wspomnienie tamtych chwil ściska mi serce. Strugi lodowato zimnej wody, które obmywają mi twarz i ciało, są moimi zlodowaciałymi łzami.

Sonia stoi zgięta, sama. Pośrodku grupy młodych dziewczyn, które stoją ściśnięte jak owce na deszczu, żeby choć troszkę ochronić się przed tym cudownym potopem, który jest tak mroźny i rzeźki. Ciemna skóra Soni trzęsie się jak galareta pod tą kaskadą wody. Jej małe, kształtne piersi, od których dwa tygodnie temu odstawiła swoją córeczkę, ponieważ nie miała już w nich mleka, jaśnieją teraz w całej prostocie swego piękna.

Przez wodną mgłę widzę Hankę, jak przesuwa się do Soni. Ale ta odskakuje oszołomiona, gdy Hanka dotyka ją mydłem. Odsuwa się i trzyma z inną grupą trzęsących się kobiet. Hanka idzie do niej przez kurtyny wody, ale Sonia odwraca się plecami do niej. Hanka próbuje wziąć ją za rękę. Podchodzę do nich i biorę Sonię za drugą rękę.

– Trzymajmy się razem! – wołam do Soni, przekrzykując hałas kaskady wody.

– Zostawcie mnie! – Sonia odgania się od nas.

Puszczam ją od razu i jak lunatyczka odsuwam się od nich. W moim otępieniu nie chcę czynić nikomu problemów. Robię to, co robią wszyscy. Trzymam się blisko

Balci i zwracam się do niej „mamusiu", tak jak Sorka i Hanka ją nazywają. A jeśli któraś z nich pogładzi mnie ze współczuciem czy popatrzy mi w oczy wzrokiem pełnym troski, odpowiadam im milcząco wdzięcznym spojrzeniem. Tak jest lżej. Nie potrzebuję do tego być obecna myślami. Wolę być wewnętrznie nieobecna i wyglądać, jakby wszystko miało pójść gładko. Jaki jest sens buntować się w tak głupi sposób jak Sonia? Czemu nie zostawić jej w spokoju?

Sonia krzyczy na Hankę. Niezrozumiałe dźwięki wydobywają się z jej otwartych, ociekających ust. Głos zostaje przytłumiony przez pomruk prysznicy, przez wodę, która zalewa jej głowę i spływa z niej. Daje Hance szturchańca. Ta poślizgnęła się, ale nie upada. Podchodzi do nas i prosi, abyśmy pomogły jej uspokoić Sonię.

Balcia wzrusza ramionami.

– Ona nie może na mnie patrzeć – mówi, jakby chciała usprawiedliwić swoją pasywność wobec Soni.

– Zostawcie ją w spokoju! – krzyczę. Chcę je powstrzymać i idę za nimi małymi, ostrożnymi kroczkami poprzez kurtyny spadających strumieni, poprzez rozdygotane powietrze i poprzez mgłę, która wygląda jak para, a jest oparem zimnej wody. Ale kiedy zatrzymałyśmy się, Sonia zniknęła nam z oczu. Szukałyśmy jej wokół, próbując wychwycić ją wzrokiem w masie nagich ciał i ogolonych głów, jednak wszystkie kobiety wyglądały tak samo. Próbowałyśmy rozpoznać ją po ciemnoniebieskim cieniu, który pozostał na jej wygolonej czaszce, po gracji ruchów jej ciała, ciała tancerki, po zgrabności jej kończyn, czy po pięknym kształcie jej piersi, ale bezskutecznie.

Nagle potop urywa się. W tym samym momencie drzwi się otwierają i atakuje nas przerażający wiatr. Dreszcz przebiega ciała. Nie ma potrzeby, aby kapo powtarzała dwa razy rozkaz opuszczenia łaźni.

W pomieszczeniu, w którym zostawiłyśmy nasze rzeczy, znalazłyśmy jedynie górę szmat, w które mamy się wytrzeć. Druga góra szmat do ubrania znajduje się obok, a przy niej góra butów. Kapo rozdzielają je, nie zważając na rozmiar odzieży czy obuwia.

Ubrane w tę oto odzież niedopasowaną wielkością ani krojem wygania się nas na dwór. Mijamy barak, w którym przez otwarte okno widzimy kapo z dziwacznym narzędziem w ręce – rodzajem stilusa[444] z metalową nitką na szpicu. Obce ogolone kobiety, które zapewne przyszły z innej łaźni, stoją w środku w szeregu. Od razu rozumiemy, że numery na blaszkach, które wiszą na ich szyjach, będą wytatuowane na ich ramionach. Kłujące, palące numery. Te oto śmieszne cyferki niczym dziecięce zabawki staną się częścią kobiecych ciał do końca ich dni.

Zamiast wprowadzić nas do tego baraku, ustawia się nas w kolumnie po pięć osób w rzędzie i odprawia. Zaniepokojone dopytujemy się, czemu odmawia się

[444] Stilus (łac.) – rylec.

nam zaszczytu tego inicjacyjnego rytuału – ceremonii tatuowania. Zaczynamy długi marsz z kompleksu baraków znajdujących się przy wejściu – do obozu.

*

Na początku, gdy tak maszerujemy, nie oglądamy się za siebie. Gapimy się na paralelną kolumnę kobiet, która podąża w tym samym kierunku i na podstawie ich wyglądu próbujemy zgadnąć, czemu im nie odmówiono przywileju tatuowania, a nam tak. Zauważamy, jak każda z tych kobiet dosłownie pożera wzrokiem swój numer na czerwonym, spuchniętym przedramieniu, jakby próbowały się dopasować do tego, co te liczby sobą teraz reprezentują. Przychodzi mi na myśl, że w życiu każdego człowieka obecne są cyfry o intymnym znaczeniu, jak na przykład data własnych urodzin. Może te kobiety przypominają sobie wszystkie szczęśliwe liczby ze swojego życia i kombinują nimi, łącząc je z gematryczną[445] symboliką numerów, które mają na swoich przedramionach, żeby znaleźć w nich wyrocznię swego losu. Przyglądamy się, jak tamte kobiety pokazują sobie dyskretnie jedna drugiej swoje tatuaże. Może część z nich zobaczyła zły znak w niedbale wykaligrafowanych krzywych cyfrach? Rachunki. Buchalteria. Czy to źle dla nich, a dobrze dla nas? Albo źle dla nas, a dobrze dla nich?

Balcia odwraca głowę do tyłu i nagle krzyczy zdławionym głosem. Pokazuje nam męskie postaci het z tyłu, w oddali, w oknie jednego z baraków, który już minęłyśmy.

– Tato... – szepczę.

Wydaje mi się, że widzę go bardzo wyraźnie, że widzę Ciebie, Abraszko, i Marka, Icchoka, a z przodu przed Wami – Nońka! Machacie do nas rękami. Pomimo odległości, jaka nas dzieli, widzę Cię, jak uśmiechasz się tym uśmiechem, który zwykłeś mi posyłać, kiedy zobaczyłeś mnie z dala na ulicy. Śmiejemy się do Was. To dalekie okno skacze mi przed oczyma, dwoi mi się oczach i widzę inne okno, a w nim mamę z Wierką.

Kapo z blond włosami daje mi szturchańca w ramię.

– Co się zatrzymujesz i gapisz jak kiep? – Pogania też inne kobiety, które zatrzymały się i patrzą za siebie.

– Nasi mężowie! – krzyczy do niej jedna z kobiet, pokazując na okna. – Tam!

– Tam? – Kapo chichocze. – Idiotki, to są ogolone kobiety z transportu!

Nikt jej nie wierzy. Ale jakaś kobieta, ośmielona dobrym nastrojem kapo, zdobywa się na odwagę zadania jej pytania, dlaczego nie wytatuowano naszych przedramion.

---

[445] Gematria (od grec. geometria) – kabalistyczna metoda egzegetyczna opierająca się na alfabecie hebrajskim, która zakłada, że słowa i liczby pozostają ze sobą w związku i tworzą ukryte treści.

– Taki rozkaz – odpowiada krótko kapo.

– To dla nas dobrze czy źle? – pyta inna.

– Bardzo źle! – Blondyna traci już cierpliwość. – A jeśli nie przyspieszycie tego marszu, to będzie jeszcze gorzej!

Przyspieszamy, ale wciąż odwracamy głowy do tyłu. Nasz wzrok wędruje w stronę ciągu baraków. Wyrównujemy i maszerujemy szybkim krokiem, na sercu zrobiło się jakoś lżej.

Balcia dostrzega Sonię maszerującą kilka rzędów przed nami. Od tej pory nie spuszczamy jej z oczu.

Baraki. Baraki. Baraki. Niczym namioty na pustyni. Między nimi rozrzucone piaszczyste ścieżki. Z przodu każdego baraku: dwie kapo na warcie. Otwarte drzwi do baraków ukazują mroczne wnętrza z punktami żółtawych głów, które ułożone w rzędach wyglądają niczym kapusta, jedna za drugą, jedna nad drugą.

Puste piaszczyste ścieżki są pełne rojących się much. Mdławy, słodkawy fetor przenika powietrze. Jest sierpień. Gdzieś tam lasy i parki wachlują rozgrzaną ziemię zielonymi wachlarzami. Marzyć o zielonym kolorze, jedynie marzyć, tutaj wygląda na szaleństwo.

Kolumna, która przesuwała się naprzód paralelnie do naszej, znika za rzędem baraków. Kapo, która maszeruje obok nas, pokazuje na podwójną sieć drutów, które ciągną się w przestrzeni między barakami. Informuje nas:

– Druty są pod napięciem. Jeśli śpieszno wam na tamten świat, najprościej pozbawić się życia przez ruszanie tych drutów.

Ciężko powiedzieć, jak długo ciągnie się nasz marsz. Czas znowu uzyskuje inną miarę. W końcu nasze stado dociera na łąkę, którą stanowi pusta przestrzeń, otoczona podwójnym drutem kolczastym. Setki kobiet zostały tu już zgromadzone. Wszystkie siedzą na ziemi. Nam też każe się usiąść. Opuszczamy się na ziemię i siedzimy tak, oparte plecami jedna o drugą.

Najbardziej dopasowane plecy do moich należą do Soni. Z nią mam teraz najbliższy kontakt. Ale sercem jest mi teraz ona najdalsza. Może dlatego, że dystans między dwojgiem załamanych ludzi jest ogromny. A może dlatego, że obie byłyśmy tancerkami, wykonywałyśmy profesję, która w obecnych warunkach brzmi jak żart. Właśnie z powodu naszego podobieństwa, Sonię i mnie nie łączy teraz żadna relacja.

W ogóle unikamy siebie wzrokiem. Unikamy też patrzenia na ogrodzenie z drutu kolczastego, czy na dymiący komin, który tutaj rzuca się w oczy. Jego masywna forma sterczy pomiędzy płaskimi powierzchniami, niczym jedyny ząb. Najlepszą rzeczą jest wpatrywać się w ogromną przestrzeń nieba, rozciągającą się nad głowami. Jest sierpień. Ale nie widzimy żadnego ptaka, nawet żadnego motyla. Widać tylko owady, chmary czarnych much.

Słońce nawet na moment nie przestaje świecić w tym naszym pierwszym dniu w Auschwitz. Do tej chwili nie zauważałyśmy go. Teraz mamy dużo czasu dla

niego. Nie możemy jednak patrzeć w jego kierunku. Zajęło ono bowiem pozycję dokładnie za szyją komina i wydobywający się z niego dym zdaje się gładzić słońce. Lgnie do jego świetlistej twarzy czarnym jak węgiel welonem. Iskry, które wystrzeliwują z komina w niebo, lśnią w promieniach słonecznych jak klejnoty. Jest coś ohydnego w tym widoku słońca przyciemnionego dymem. Kobiety z tłumu mówią, że to jest komin piekarni obozowej, mi się jednak wydaje, choć nikt nam tego nie powiedział, że ten ohydny swąd, który stoi w powietrzu, jest swędem ludzkiego mięsa i ludzkich włosów. Lepiej więc dla nas koncentrować wzrok na przeciwnej stronie nieba.

Potem, kiedy powietrze stygnie, ta przeciwległa część nieba pokrywa się chmurami, które napływają z przeciwka. Zaczynamy szukać trochę rozgrzewki i zmieniamy pozycję siedzącą. W ten sposób znowu w oczy rzuca nam się oszpecone słońce i komin, który po drugiej stronie płotu bucha płomiennymi kłębami dymu. To jest najjaśniejszy i najgorętszy zakątek nieba.

Oswajam się z tym brzydkim słońcem. Kiedy zachodzi, wydaje się spuszczać po szyi komina. Jeszcze daje światło i w jego blasku skąpane są rzędy drutów kolczastych, barwiąc się purpurowo. Opromienia węzły na drutach krwistą poświatą. Całe zachodnie niebo wygląda jak morze krwi. A z drugiej strony nieba nadciągają pomału ciemne chmury. W końcu wpełzają one na morze czerwieni. Przykrywają rozpaloną głowę słońca jak czarny całun zwłoki.

Gryzący wiatr zrywa się, unosząc z ziemi kurz. Z dziką zawziętością hula nad polami. Fałdy drobnego piasku otwierają się niczym wachlarze, gdy on wiruje w szaleńczej rozpuście. Skacze na druty, a potem spuszcza się na ziemię, gdzie my siedzimy. Wyprawia wężowy taniec brzucha. Unosi tumany piachu i kręci nimi jak drejdlami[446] wokół nas. Pokrywa nasze głowy i plecy ziarenkami piachu i kurzem.

Kontur komina widoczny jest jak przez mgłę. Staje się wysokim ciemnym cieniem. Jego dym zgrywa się teraz perfekcyjnie z czarnymi rzednącymi chmurami i rozprasza się w nich. Tylko iskry, jak strumienie gwiazd, które wypluwa komin, niosą niewypowiedzianą wiadomość do niebios.

Nie płaczemy. Jeśli któraś z nas ociera oczy, to po to, żeby pozbyć się gryzącego piachu. Żadna z nas nie daje wypowiedzieć ustom tego ogromu myśli, które nie przestają ani na sekundę pędzić w naszych głowach. Jak na przykład: że ziemia pod nami jest twarda i gniecie nasze wystające kości – chociaż nie możemy nabrać ani siebie, ani innych. Wiemy, że nasze mamy, ojcowie, dziadkowie, dzieci, siostry, bracia, najdrożsi nam ludzie, w tym momencie – na naszych oczach – unoszą się do nieba w tym oto mglistym słupie ognia i dymu. Czy i my czekamy tu w polu na naszą kolej przemiany w dym?

Łachmany chmur rozrzucone po niebie przyjmują rozmaite formy twarzy, członków kobiet, mężczyzn i dzieci. Rozwiane brody. Falujące warkocze. Uśmiechnięte

[446] Drejdl (jid.) – tradycyjny bączek używany do gry w czasie święta Chanuki.

dziecięce usta. Te kształty ciał zapętlają się jak wstęgi jeden z drugim, aż zlewają się razem. Odpływają, żeglując po niebie, przeobrażając swoje kontury. Zabraniam sobie dopatrywania się w nich podobieństwa do mamy, Wierki czy Nońka.

Nasze przytulone do siebie ciała na tym piaszczystym polu też wyglądają jak formacja z chmur. Wykończone wielogodzinnym siedzeniem kobiety kładą się na ziemi. Jedna służy drugiej za poduszkę pod głowę. Naciągamy nasze łachmany za kolana, żeby je okryć. Otulamy się kończynami. To nieudane próby utrzymania ciepła. Ale ziemia pod nami staje się coraz twardsza, zimniejsza. Obiektywnie rzecz biorąc, wiemy, że jest to ciepła noc sierpniowa, ale my jesteśmy jakby w środku zimy. Ciała naszych sąsiadek nie grzeją nas. Wciąż musimy zmieniać pozycje. Zaczynają się marzenia o ciepłym łyku wody. A te, które mają bogatszą wyobraźnię, marzą o takich przedwojennych luksusach jak szklanka herbaty.

Mówi się mało. Mózg jest otępiały. Jedyne, co wiem, to to, że zostawili nas w spokoju. I że kapo, które mają zapewne swoje nory w barakach, poszły spać. I że jesteśmy tak zmęczone, że nie czujemy już strachu. Naszymi jedynymi strażnikami są elektryczne druty kolczaste, które nas otaczają podwójnym rzędem. Gdyby jeszcze wiatr nie był tak zjadliwy i nie wkradał się pod ubranie – nie ważymy się pytać, kim były poprzednie właścicielki tej odzieży – gdyby nie czuć tego zmrożenia w sobie, gdyby ziemia nie była tak zimna i twarda pod nami, gdybyśmy dostały choć jeden łyk ciepłej wody i gdyby można było zasnąć – nie przejmowałybyśmy się tym, że ta noc nigdy się nie skończy.

Balcia gada z Malką i ze mną, mówiąc wszystko, co tylko przyjdzie jej do głowy. Chce nas powstrzymać przed zaśnięciem. Niebezpiecznie jest stracić to napięcie. Można wtedy być niedostatecznie czujnym, kiedy będzie to konieczne. Pokazuje brodą na Sonię i mówi, szepcząc:

– Nie pozwoliła mi podejść do siebie, jakbym nie była już babcią jej dzieci i jej teściową. Nie mam nic do niej. Gdyby mogła się porządnie wypłakać, może byłoby jej lżej i mi też. – Porusza Sorkę, która leży z głową zagrzebaną na kolanach Hanki. – Czujesz się dużo lepiej, co? Gorączka ustąpiła, co? – pyta Hankę. – Jak myślisz, czemu nas tu trzymają?

– Pewnie baraki są przepełnione. Nie zdążyli przygotować żadnego baraku dla nas – odpowiada Hanka, ale w duchu zastanawia się, czy to raczej komora gazowa nie jest przepełniona i dlatego czekamy tutaj.

– Czy myślisz, że my musimy tu czekać, aż oni postawią dla nas barak? – pyta Balcia.

– Myślę – odpowiada Hanka – że oni zwolnią dla nas barak.

Podczas kiedy ona mówi, oczy i uszy Balci są wyostrzone i czujne, aby wyłapać najdrobniejsze poruszenie wokół nas. Nagle prostuje się i wcelowuje wzrok w coś, co porusza się w dali po polu.

Malka szepcze:

– Patrzcie, coś tam się rusza. Zbliża się.

– Patrzę na to już od ładnych paru minut – mówi Hanka.

Dwie duże kule zbliżały się – dwa czarne, bezforemne twory, wyglądające jak kupki odzieży obracane przez wiatr w prostej do nas linii. Wszystkie kobiety siedzą już wyprostowane i patrzą.

Znalazłszy się parę kroków od nas, dwa ciemne twory zatrzymują się. Rozpatulają się i spod dwóch koców ukazują się dwie głowy. Dwie twarze jaśnieją niczym dwa księżyce w ciemności. Te dwie postaci owinięte kocami zapuszczają się w naszą grupę: jedna znika po prawej stronie, druga po lewej.

– Kim one są? – Z ust do ust rozchodzi się szept.

Nikt nie wie, kim są te dwie kobiety i gdzie zniknęły. Nagle rozchodzi się wieść, że to są dwie dziewczyny z Łodzi, które znajdują się w Auschwitz od deportacji z getta w czasie „szpery" sprzed dwóch lat[447].

Niespodziewanie jedna z tych dwóch dziewcząt wynurza się nagle obok nas.

– Jest tu ktoś o imieniu Sokołow? – pyta po polsku, szepcząc i powtarzając niczym automat to nazwisko. – Czy ktoś spotkał dziewczynę o imieniu Cesia Sokołow? – Jej głos staje się coraz bardziej ostry, nachalny, desperacki.

Kobiety obok nas kręcą przecząco głowami. Żadna z nas nie spotkała dziewczyny o imieniu Cesia Sokołow. Głos dziewczyny staje się błagający, łzawy. Klęka przed nami i kiwa się w tę i z powrotem. Jak niespokojne zwierzę w klatce. Jej wzrok skacze po naszych twarzach.

Balcia chwyta ją za ramię.

– Uspokój się na chwilę – mówi do niej.

Inna kobieta łapie ją za rękę.

– Powiedz mi, co się tu wyprawia w Auschwitz?

– Gehenna. – Dziewczyna odtrąca ręce, które ją zatrzymują. – Gehenna w czystej postaci. – Nie przestaje kołysać się w tę i z powrotem. – Ale można przywyknąć. Czy ktoś spotkał Cesię Sokołow? – wywołuje dalej imię pośród tej mrocznej ciżby. Jej wzrok zatrzymuje się na Balci. Rzuca do niej suche stwierdzenie: – Szukam mojej siostry.

– I co ludzie robią tutaj? – pyta ją inna kobieta w jidysz.

Dziewczyna złości się na nią, mówiąc w jidysz z polskim akcentem:

– Nie zawracaj mi głowy swoimi idiotycznymi pytaniami. Nic się tu nie robi. Gra się w kotka i myszkę z Aniołem Śmierci, żeby zyskać jeszcze jeden dzień życia. To się robi, póki można coś robić. A tu jest Birkenau, obóz likwidacyjny.

---

[447] Pomyłka Autorki. Osoby wywożone z łódzkiego getta w dniach 5-12 września 1942 r., w czasie tzw. Wielkiej Szpery, trafiały do ośrodka zagłady w Kulmhof am Nehr (Chełmnie nad Nerem). Nikt z tych wrześniowych transportów nie ocalał.

Auschwitz jest pięć mil stąd[448]. Stąd się nie wychodzi. Skończone. Finito. Sama tego nie rozumiesz? – Brodą pokazuje na komin.

Teraz druga kobieta zaczyna wypytywać:

– To dlaczego... dlaczego trzymają nas tutaj? Dlaczego nie wypalono nam numerów na ręce jak tobie?

– Nie macie numerów? – pyta dziewczyna.

– Tylko na tych blaszkach na szyjach.

Dziewczyna nie odpowiada kobiecie. Dalej wywołuje imię swojej siostry. Kobiety wokół nie puszczają jej, ciągną ją ze wszystkich stron i nastają, aby odpowiedziała na pytania. Ona zwraca się do Balci, jakby szukała u niej pomocy i niespokojnie mówi:

– Co chcecie ode mnie? Same tego nie możecie zrozumieć, idiotki? Popatrzcie na te iskry, które wyskakują z komina. Nie piecze się tam chleba. Piece pracują dzień i noc i nie wyrabiają się z robotą. Ty też nie masz numeru na przedramieniu? – pyta Balci.

– Żadna z nas nie ma – odpowiada jakaś kobieta zamiast Balci. – A jak ty sobie dajesz radę? Słyszałam, że jesteś tu od tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego.

Dziewczyna wzrusza ramionami.

– A kto powiedział, że daję sobie radę? Mam po prostu szczęście i tyle. Tu najważniejszy jest fart. Jestem fachowcem. Tym jestem. Ważę złote koronki zębowe, zgadnijcie czyje.

– Ale powiedz mi... – Jakaś inna kobieta ciągnie ją za rękaw. – Wszystkie pójdziemy na szmelc i to dlatego nie wytatuowano nam numerów?

Dziewczyna zaczyna odsuwać się od nas, gdy jej wzrok pada na Malkę. Potem na Sorkę i na końcu na mnie. Mierzy nas wzrokiem. Twarz jej staje się napięta, skoncentrowana.

– Boże w niebiosach – szepcze. – Cały czas wydawało mi się, że znam was skądś. – Próbuje sobie przypomnieć, skąd nas zna, ale nasze ogolone głowy utrudniają jej to.

Malka nagle przypomina sobie.

– Była taka dziewczyna u nas w gimnazjum. Ale nazywała się Lola Sokołow, nie Cesia.

– Oczywiście, że Lola! – woła ta dziewczyna. – To ja jestem Lola! – Uderza się pięścią w piersi, jakby sama dopiero przypomniała sobie swoje imię.

– Lola? – wyjąkuję.

---

[448] KL Auschwitz (obóz koncentracyjny) utworzony został przez Niemców w 1940 r. na przedmieściach miasta Oświęcim, w budynkach przedwojennych polskich koszar. Rok później trzy kilometry dalej, na terenie wsi Brzezinka, powstał podobóz Auschwitz II-Birkenau – tam zbudowano większość urządzeń masowej zagłady.

Nie mogę jej poznać, tej dawnej przewodniczącej Rady Uczniowskiej w gimnazjum, tej, w której tak bardzo zakochał się Abrasza. Ale w tym momencie spotykają się moje oczy z jej oczyma i nagle jej spojrzenie, przyglądające się naszym, zapłonęło znajomo. Teraz, dokładnie w tej chwili, odzywa się ból, który stłumiłam w sercu, ściska mnie jak obcęgi.

Lola pada mi w objęcia. Potem prostuje się i kładzie palec na ustach.

– Sza... – szepcze. – Musisz się powstrzymać od płaczu. Musisz stać się twarda jak kamień. Nawet wtedy, gdy cię będą żywcem ćwiartowali. Jesteś sama jedna, Miriam? – Wie to szybciej, niż pyta, jakbym ten oto fakt miała tak jasno wypisany na twarzy, że w ciemności może go z niej wyczytać. Potem obejmuje naszą grupę wzrokiem. – Trzymacie się razem, co? To dobrze, ale nie zawsze. Dla was wszystkich nic nie mogę zrobić. I przede wszystkim muszę ratować Cesię. Powiedziano mi, że łódzkie getto jest zlikwidowane. Przychodzę tu każdej nocy. Nie liczę już na nikogo, tylko na Cesię. Cesia Sokołow! – woła.

Za chwilę znowu szepcze do nas zachęcająco:

– Musicie się stąd wydostać najszybciej jak się da. Zobaczę, co da się zrobić, może dla was trzech... bo z tą starą to już nie pójdzie. Może uda się podczepić was do brygady pracującej. Nie ważcie się o niczym pisnąć. Czekajcie na mnie tutaj. Wrócę, zanim nastanie dzień albo wyślę kogoś. – Rzuca współczujące spojrzenie na Balcię i pyta Malkę: – Twoja mama? Cieszę się, że już to przeszłam z moją. – Nachyla się do Balci. – Najmniej jeden dzień jesteś jeszcze bezpieczna. Mówią, że jutro powinny przyjść jeszcze trzy transporty, po trzy tysiące ludzi w każdym. Łódź odchodzi z dymem. – Otula się kocem. – Teraz muszę przejść na drugą stronę. Nie zostało mi dużo czasu. Jeśli znajdą mnie tutaj, to już po mnie, dokładnie jak po was.

Kiedy zaczyna się wycofywać, jakaś kobieta chwyta ją za koc:

– Proszę cię, powiedz mi, co się stało z naszymi mężczyznami?

Lola niecierpliwi się.

– Jakimi mężczyznami?

– Naszymi mężami, naszymi synami.

– A skąd mogę wiedzieć? – Lola przykrywa głowę czarnym kocem. – Część poszła już z dymem. A inni siedzą dokładnie jak wy na takim polu w męskim obozie.

Towarzyszka Loli przesuwa się, aby wymieniły się miejscami.

– Bardzo dziękuję. – Hanka podaje rękę Loli.

– Powiedziałaś „dziękuję bardzo"? – Lola odrzuca głowę. – Nie jesteśmy w Wersalu, moja pani.

Zanim Lola zniknęła po lewej stronie, znów uczepiła się jej inna kobieta.

– Powiedz mi, droga moja – pyta drżącym głosem. – Słyszałam, jak mówiłaś coś o pracy. Są tu jakieś fabryki?

– Powiedziałam wam przecież, tu w Birkenau jest tylko jedna fabryka, fabryka śmierci. Taka jest prawda. Tu nie ukrywa się prawdy. – Lola oddala się od nas, ale jeszcze długo słyszymy, jak woła: – Cesia Sokołow!

W tym samym czasie słyszymy, jak ta druga dziewczyna nawołuje:

– Segal! Czy ktoś spotkał Segal z ulicy Piwnej w getcie?

Siedzimy zesztywniałe. W głowie huczą mi słowa Loli. Przeraża mnie, pewnie tak samo jak Hankę i Malkę, myśl, że Lola może pomóc tylko trzem z nas. Ale nie mówimy o tym. W ogóle nie rozmawiamy. Słychać tylko nawołujące głosy tych dwóch dziewczyn. Nocne godziny ciągną się.

Nie wiem, ile czasu minęło. W głowie jawią się wizje domu. Przesuwają się lata, tam i z powrotem. Widzę siebie, jak późnym letnim wieczorem wracam do domu z rodzicami, Wierką i Nońkiem z zabawy w parku w Helenowie. Każde z nas trzyma w ręce balon. Widzę siebie w taki późny wieczór w Parku Poniatowskiego, całuję się z Markiem. Widzę siebie, jak włóczę się z Tobą, Abraszo, po nocnych ulicach i uliczkach Łodzi. To jeden z tych nielicznych momentów, gdy przywołuję takie wspomnienia. Ból jest nie do wytrzymania.

Nagle wzdrygam się. Ktoś porusza mnie za ramię. Lola. Głowę ma okrytą czarnym kocem. Daje mi mocnego kuksańca w ramię, jakby chciała mi coś w ten sposób zakomunikować. Potem kładzie się obok Balci.

– Posiedzę tutaj chwilkę z tobą, zanim nie odejdę stąd z powrotem – mówi do Balci i dodaje: – Nie obejmuj mnie, nie ruszaj mnie. I nic nie mów, o nic nie pytaj. Pozwól mi po prostu tak odsapnąć.

Ale sama przytula się do Balci. Przykrywa siebie i Balcię, a także resztę z nas czarnym kocem i tak leżymy.

Zanim pierwsze pasma światła pojawiły się na horyzoncie za ogrodzeniem z drutem kolczastym, Lola zabiera koc, otula się nim. Znowu przeobraża się w kulę, macha palcami i toczy się z powrotem w stronę baraków w oddali. A dziewczyna, która tu z nią przybyła, toczy się za nią.

*

Godzinami wytężamy wzrok i patrzymy, czy Lola nadchodzi. Oczy aż mnie bolą. Tak, będę żyła. Chcę, aby Lola przyszła i zabrała mnie stąd. Zostawiłabym je wszystkie i poszła z Lolą. Teraz, wraz z nadejściem dnia, gdy Lola nie pojawia się, pocieszam się, że mogła się mylić co do naszego przeznaczenia. Udaje nam się podtrzymywać nadzieję. Przecież dano nam prysznic i te łachy do ubrania, przydzielono nam buty i te ponumerowane blaszki. Niemcy są logicznymi, wyrachowanymi mordercami. Wszystko, co czynią, musi być rozumne.

Seria ostrych dźwięków dochodzi do naszych uszu stamtąd, gdzie znajdują się baraki. Urywane dźwięki gwizdków, dzwonków, gongów, blaszanek, menażek. Wydawało się, jakby kapłani w spokojnej, orientalnej wiosce nawoływali wiernych na poranną modlitwę. Ale wkrótce tym dźwiękom zaczynają towarzyszyć krzyki, rozkazy, odgłosy dzikiej histerii. Tupot tysięcy chodaków. A potem całkowita cisza.

Następnie dźwięk odliczania na głos, jeszcze raz odliczanie i znowu... Liczby... Liczby... Coraz więcej i więcej liczb. Bez końca.

Biegiem przybywa batalia kapo.

– Wstawać! Wstawać! – ryczą. Z wielkim wysiłkiem wstajemy, członki nam zdrętwiały, łamie w kościach. Rozbrzmiewa rozkaz: – Odmarsz!

Kapo ustawiają nas w kolumnie po pięć w rzędzie. Mamy problem z Sonią. Nie chce wstać.

– Zostawcie mnie w spokoju! Zostawcie mnie! – Odpycha nas od siebie.

Jestem na nią zła, chociaż tak dobrze ją rozumiem. Rzeczywiście rozumiem? Podczas podróży tutaj bydlęcym wagonem zauważyła z goryczą, że nigdy nie byłam matką. Nie, nie byłam matką i nie wiem, czy jeszcze będę. Ale jestem dzieckiem mamy, dzieckiem taty. Jestem siostrą. Jestem kochanką. Może to nie jest to samo, co być mamą, i nie mam prawa złościć się na Sonię. Ale nic na to nie poradzę. Jest przeszkodą w gładkim biegu wydarzeń i budzi we mnie poczucie winy, że mi własny los nie jest tak obojętny, jak jej.

Balcia pochyla się nad Sonią i zwraca się do niej z gorącą prośbą. Ale Sonia zwija się na ziemi i nie rusza się z miejsca. Wszystkie kobiety już wstały. Kapo równają rzędy. Policzkują i kopią, smagają krótkim pejczem. Całą litanią przekleństw i wstrętnych epitetów obrzucają każdą kobietę, która powoli wykonuje rozkazy. Podziwiam, jak bogate jest słownictwo języków jidysz, niemieckiego oraz polskiego w zakresie przezwisk i przekleństw i jak razem harmonijnie układają się w ten siarczysty żargon auschwitzki!

Malka próbuje odciągnąć Balcię od Soni. Ja też nie mam cierpliwości do Balci. Czemu nie zostawi Soni w spokoju? Sonia jest wystarczająco dorosła, aby wiedzieć, co robi. A Balcia lepiej zatroszczyłaby się o siebie. Kto wie, jaka kara czeka na nią za znalezienie się poza kolumną. Czemu zależy jej tak, aby zasłużyć sobie w życiu na tytuł „mamusi"?

– Nie mogę jej tak zostawić! One ją zabiją. Ty idź, wracaj do rzędu! – krzyczy Balcia do Malki. Hanka też jest już przy nich. Balcia traci cierpliwość. – Wracajcie! Natychmiast! – gotuje się.

– Zostawcie ją w spokoju! Wracajcie! – wołają do nich inne kobiety z kolumny.

Nadchodzą kapo. Jedna z nich serwuje Balci kopa w tyłek i odrywa ją od Soni. Malka i Hanka łapią Balcię pod ramiona i ciągną do naszego rzędu. Sonia zostaje – jeden skurczony kłębek pośrodku piaszczystego pola. Nie rusza się.

Kapo z blond włosami, z którą miałyśmy zaszczyt zapoznać się dzień wcześniej, pochyla się nad Sonią i wrzeszczy jej do ucha:

– Wstawać! Wymarsz!

Sonia nie rusza się. Blondyna daje jej parę smagnięć przez plecy. Potem chwyta ją za kołnierz sukienki i unosi ją swym silnym ramieniem.

– Widzisz ten komin tam? – Wskazuje brodą na dymiący komin. – Tego chcesz? – Potrząsa Sonią, jakby ta była workiem, który chce się opróżnić.

Sonia podnosi do niej głowę i głośno, wyraźnie odpowiada:

– Tak, tego chcę. Chcę, abyś od razu odesłała mnie tam na górę. – Brodą wskazała na niebo. – Będę mogła nasrać prosto na twój łeb! – Dobrze wychowana Sonia już zdołała przyswoić sobie auschwitzki język.

Blondyna nie obraża się. Przestaje potrząsać Sonią i mówi spokojnie:

– W porządku. Jeśli tego rzeczywiście chcesz, to nie przyjdzie ci to tak łatwo, moja jaskółeczko. – Woła drugą kapo i obie biorą Sonię pod ramiona i wleką do kolumny kobiet. – Myślisz, że masz władzę nad swym życiem tutaj? – rozgaduje się blondyna. – Jesteś w wielkim błędzie. Ani nad swoim życiem, ani nad śmiercią. Kto inny tutaj podejmuje decyzje, nie ty, łajzo jedna! Zapamiętaj to sobie! – Blondyna unosi dłonią podbródek Soni, a druga kapo wymierza Soni takie dwa policzki, że od razu wracają jej rumieńce. Ciskają ją obok nas do kolumny i przytrzymują.

Sztywnieję, słysząc, jak Balcia zaczyna tłumaczyć blondynie:

– Ona dopiero co straciła swoje dziecko, niemowlę. – Jestem pewna, że kapo rozpozna Balcię z wczorajszego zajścia. Ale nie poznaje jej albo udaje, że jej nie poznaje. Balcia próbuje przejąć Sonię z rąk kapo. – Zostawcie ją, dziewczyny – prosi je. – Nie bijcie jej, ona już wystarczająco oberwała.

Ale blondynie nie spieszno, by zostawić Sonię. Jest jasne, że Sonia coś w niej poruszyła. Może jej zazdrości? Bierze się pod boki i przedrzeźnia Balcię.

– Biedna duszyczka, biedactwo. Litości! Dopiero co straciła niemowlaczka! – Blondyna wydaje skrzek jak drapieżny ptak i wymachuje ramionami nad głową Soni. – A co z moim niemowlakiem i tej czy tamtej? – Pejczem czyni szeroki gest nad kolumną. – Jesteś rozpieszczoną primadonną, oto kim jesteś! – Smaga pejczem ramiona Soni. – A masz! – Wybucha okropnym śmiechem. – To ci pomoże. Długo to nie potrwa i zatańczysz z Aniołem Śmierci jak my wszystkie! Zejdź mi z oczu!

W końcu zostawia nas w spokoju. Balci i Malce udaje się podtrzymać Sonię i włączają ją do piątki, w której idą też Sorka i Hanka. Ja zajmuję miejsce w rzędzie za nimi. Zaczynamy maszerować.

– Nie wierzę w ani jedno słowo tej blond czarownicy – mówi Hanka. – Według mnie ona nigdy w życiu nie trzymała w ramionach dziecka, bo nie zachowywałaby się w ten sposób.

– A ja jej wierzę – stwierdza Balcia. – Może właśnie dlatego tak się zachowuje. – Zwraca się do Soni: – Gdybyś się wypłakała, byłoby ci troszkę lżej. Gdybyś mogła...

Balcia jest szaloną babcią. W getcie nie przestawała mówić o swoim wnuku. Zwykła ukradkiem odkładać kawałek z racji chleba i za to na czarnym rynku kupowała trochę twarogu dla dziecka. Ale teraz nie widzę śladu łzy w jej oczach. Nie mogę znieść tego jej gadania do Soni, podczas gdy wymaszerowujemy z pola. Czemu nie zamknie ust? Inne kobiety też mają jej to za złe i mówią, żeby zostawiła Sonię w spokoju.

– Nie mieszajcie się – syczy do nich Balcia. – Wiem, co robię.

Ale koniec końców musi przestać gadać. Kapo każą maszerować do rytmu ich gwizdków, a to oznacza maszerowanie w bardzo szybkim tempie. Robić te dwie rzeczy naraz, mówić i tak szybko maszerować, po takiej nocy, a do tego wlec ze sobą Sonię – to już za dużo nawet dla silnej jak wół Balci.

Przybywamy na plac apelowy i sterczymy tu godzinami pośród tysięcy ustawionych w kolumny więźniarek. Liczą nas, wciąż i od nowa.

Po apelu otrzymujemy swój barak, rodzaj hangaru z dziurawym dachem, przydzielony pięciuset kobietom. Hangar od jednego do drugiego końca podzielony jest na trzy długie, wąskie piaskownice z błotnistą ziemią pomiędzy. Przy szeroko otwartych drzwiach stoi stół, który służy jako blokada i dla kapo za coś w rodzaju biura. Luksus posiadania własnej pryczy i własnego kąta też należy do ich przywilejów. Ten ich kąt oddzielony jest od reszty baraku zasłoną z podartych koców. Święte miejsce, do którego nie może wkraczać żadna z nas. W tym oto frontowym kącie, przy stole, zostają rozdzielane racje zupy. Otrzymujemy blaszane miski, jedna miska na pięć gęb i jedna łyżka do wspólnego użytku.

W tych piaskownicach możemy tylko leżeć na boku albo siedzieć z uniesionymi nogami, jedna między nogami drugiej. Tam pozostajemy przez cały czas. Oczywiście nie jest możliwe spać w takiej pozycji. A do tego słychać też blondynę, która przejmuje władzę nad barakiem, nie przestając wrzeszczeć, przeklinać i dmuchać w gwizdek. Malka bardzo się jej boi z powodu jej utarczki z Balcią, ale Balcia akceptuje blondynę.

– Po prawdzie – szepcze Balcia do nas – ta blondyna musi być całkiem miła. Prawdopodobnie była uroczą dziewczyną przed wojną. – Trudno powiedzieć, na czym Balcia opiera swoje przypuszczenia. Nagle dodaje: – Gdyby komuś udało się u tej krasawicy wywołać uśmiech, zobaczyłybyście, że mam rację. Problem tylko w tym, że w takim smutnym miejscu jak to tylko zbrodniarz może się uśmiechać.

Według Balci blondyna posiada urocze dołki w policzkach, które teraz, kiedy pozbawiona jest uroku, wyglądają jak blizny po ospie. Ma też delikatne, błękitne żyłki na rękach, które wskazują na błękitną krew, jaka nimi płynie. Balcia może dostrzec te żyły, kiedy blondyna smaga nad czyjąś głową pejczem. Balcia jest też zdania, że przemoc i wulgarny język, którego blondyna używa, z pewnością nie są czymś, co wyniosła z domu. Te przekleństwa nie brzmią autentycznie. Ona, Balcia, jest mieszkanką Bałut z dziada pradziada i uważa się za ekspertkę w używaniu siarczystych, jarmarcznych przekleństw. Jednym słowem Balcia jest przekonana, że blondyna odstawia teatr, że odgrywa rolę, którą musi grać.

– Nawet te jej razy – mówi Balcia – byłyby bardziej bolesne, gdyby ona chciała naprawdę kogoś zdenerwować. Tu chodzi tylko o pokazanie, że bycie zwierzęcym jest trudniejsze niż bycie ludzkim, albo że nie da się tak łatwo zdławić tego pierwiastka humanitarnego.

Malka nie może znieść tego, jak jej mama broni tej blondyny.

– Powinno się przeprosić zwierzęta za porównywanie ich do takiej bestii, jaką jest ta blondyna. Zwierzęta nie czerpią żadnej przyjemności z zadawania cierpienia innym. Niemcy mają z tego przyjemność, ale ta blondyna jest gorsza od Niemców, ponieważ ona im pomaga. Nie powiesz mi chyba, mamo, że mogłabyś zostać kapo.

– Tego, widzisz, nie wiem – żartuje Balcia. – Praca ponad siły, ciągłe wymachiwanie rękami i nogami, policzkowanie, kopanie – to nie jest łatwy fach.

Choć normalni ludzie nie mogliby zasnąć w takim baraku, szybko przywykłyśmy do niego. Następnego dnia przestaje nam przeszkadzać wrzask kapo i ich pomocnic, nie czujemy już stłoczenia i okropnego smrodu. W przedpołudniowych godzinach zapadamy w niespokojny sen, ale zmysły pozostają czujne. Sen nie trwa jednak długo. Szybko wyrywa się nas z tej wytęsknionej chwili zapomnienia.

Kapo i ich pomocnice robią taki harmider, że można ogłuchnąć. Przychodzi moment dzielenia pysznej, śmierdzącej, wodnistej zupy, pełnej włosów i brudów. Trzeba było wypełznąć z nor i ustawić się w rzędzie. Piątkami trzeba podejść z jedną miską na zupę do kotła. Napełnioną miskę niesie się z powrotem do nory, siada się z podciągniętymi kolanami, a miska zaczyna wędrować z rąk do rąk. Siedząc tak, jak rodzina małp, liczymy każdą łyżkę zupy, którą każda z nas połyka, żeby każdemu przypadła taka sama porcja. Sonia nie jest z nami, tylko w innej piątce. Widocznie postanowiła nie mieć z nami żadnych kontaktów. Po wylizaniu do ostatniej kropli zupy z miski i łyżki, uczta została zakończona dla wszystkich poza tymi kobietami, które zyskały łaskę tej z końca baraku i został im przydzielony zaszczyt wyskrobania kotłów i wylizania ich.

Ponownie zapadamy w drzemkę, gdy znowu każe nam się wyłazić z nor, wybiec na zewnątrz i ustawić się w kolumnie przed barakiem. Niczym batalia lunatyków maszerujemy szeroką, piaszczystą drogą między barakami. Przez otwarte drzwi baraków widzimy jeden rząd nad drugim uniesionych ogolonych głów, sterczących nad pryczami. Po drodze spotykamy kolumnę chudych jak szkielety kobiet, które maszerują w przeciwnym kierunku. Ledwo trzymają się na nogach; „muzułmanki", które wyglądają tysiąc razy gorzej niż my, zapewne weteranki Birkenau. Dają nam znaki oczami, głowami, rękami. Poruszają ustami, próbując nas o coś pytać, czy coś przekazać. Ale my jesteśmy jeszcze zielone i nie rozumiemy, czego od nas chcą. Przykazano nam, żebyśmy się po drodze nie ważyły odzywać do kogokolwiek słowem, a my gorliwie spełniamy rozkaz.

Przybywszy do latryn, każda z nas ma dwie minuty, aby załatwić potrzeby fizjologiczne i wykonać wieczorną toaletę, to znaczy zwilżyć sobie ręce paroma kroplami wody, która sączy się z rury w baraku z latrynami. Masywna dziewczyna, która jest nadzorczynią latryn, uzbrojona w miotłę, zachowuje się, jakby była wartowniczką skarbca. Patrzy uważnie, czy wypełniamy rytuał

należycie. Uderzeniem miotły o ścianę daje znać, kiedy można wpuścić nową grupę do tego skarbca. Przepisowe dwie minuty mają wedle jej kaprysów różną długość.

Wieczorny apel. Tysiące kacetników znowu gromadzi się na placu apelowym. Całe miasto „muzułmanek", rząd za rzędem, długimi godzinami stoi bez ruchu. Antyczne miasto pogrzebane w ruinach, razem z ludnością – skamielinami, które wyglądają jak cząstka ziemi pod stopami. Nie tylko trzeba stać sztywno i równo przez niekończącą się wieczność, ale jeszcze jest kategorycznie zakazane omdlewanie. I rzeczywiście, nie mdlejemy, poza tymi pojedynczymi, które nie wytrzymują. Te pozostają, leżąc tam, gdzie upadły. Część z nich wydaje z siebie ostatnie tchnienie, ale tych też się nie zabiera. One też liczą się do rachunku.

To wielkie stado jest liczone i przeliczane nie tylko przez kapo, ale także przez umundurowanych Niemców, naszych pastuchów z SS[449]. Ci mundurowi grubi SS-pastuszkowie, którzy przechadzają się wkoło z psami na skórzanych smyczach, przeliczają nas wciąż od nowa, aż będzie się zgadzało. A to ktoś z liczących pomyli się w rachunku, a to nie policzą kogoś z tych leżących na ziemi, a to jakiegoś konającego kacetnika zabrano w ciągu dnia z baraku i teraz brakuje go do rachunku. Albo jakaś kobieta, wiedząc, że nie przetrzyma apelu, ukrywa się gdzieś. Albo ktoś, kto ukrywał się w czasie selekcji, nie pokazuje się teraz ze strachu, że to się wyda. Wszyscy ci brakujący muszą się znaleźć. Często też podenerwowana kapo zapomni samą siebie policzyć. Zajmuje to wieczność, zanim buchalteria się zgadza.

Jest już późno w nocy, kiedy prowadzą nas z powrotem do baraku i zaganiają na cudowne piaskowe prycze. To jest nasz dom i to jest najdroższe, co posiadamy. Kiedy leżymy tak ściśnięte, nachodzą mnie rozmaite wizje i mieszają się z pogodnymi obrazami mojego utraconego dawnego życia. Ta kombinacja staje się widzeniem tworzącym pewnego rodzaju pajęczynę, w którą zaplątuje się moje serce jak schwytany owad. Przebudzenie się z takiego snu jest gorsze niż przerażający koszmar. Wtedy, kiedy się budzę, staje się dla mnie jasne, że nigdy nie będzie możliwe, aby opisać specyficzną atmosferę tego miejsca. Że można dodawać jeden szczegół do drugiego z wielką dokładnością, ale to, co najważniejsze, i tak nie da się uchwycić. W Birkenau jeden plus jeden nie równa się dwa. Nawet najbardziej uparty realista musi przyznać, że tutaj żyje się w czwartym wymiarze realności.

---

[449] W sierpniu 1944 r. załoga SS w KL Auschwitz liczyła około 3,3 tys. esesmanów i nadzorczyń SS, w większości byli to Niemcy posiadający obywatelstwo niemieckie (tzw. *Reichsdeutsche*), ale też esesmani pochodzenia niemieckiego (tzw. *Volksdeutsche*).

*

Kolejny dzień niczym nie różni się od poprzedniego, poza jednym wydarzeniem: selekcją. Zaraz po tym, gdy połknęłyśmy porcje chleba z trocin i łyk „kawy", to znaczy brudnej wody, którą nam przydzielono, przychodzi rozkaz, że mamy się rozebrać w baraku. Nagie wyprowadza się nas na plac apelowy. W centrum tego wielkiego terenu stoi grupa elegancko wystrojonych esesmanów, wydaje się, że wyższych rangą. Czekają na rozrywkę w postaci parady nagich żydowskich kobiet. Kręcą się na obcasach swoich oficerek, bawią się kokieteryjnie białymi rękawiczkami, jakby byli kogutami pyszniącymi się swoją siłą. Wszechwładny doktor Mengele[450] stoi wśród nich, piękny jak młody bóg.

Do gromady około pięćdziesięciu kobiet pada rozkaz, aby otoczyć te osobistości w oficerkach i zacząć maszerować wokół nich w kółko. Wygląda to jak arena cyrkowa. Tanatos i Eros połączeni w tańcu. Jesteśmy Żydówkami. Łączenie się z nami jest grzechem przeciw rasie. Nasze ciała mają zatem urok zakazanego owocu, który dojrzał do zbioru w ofierze dla orgii Tanatosa. Czy jesteśmy rodzajem klaczy na targowisku koni, prowadzonymi w kole szpicrutą trenującej nas ręki?

Maszerujemy tak w kółko. Esesmani zbliżają się do poruszających się w kręgu nagich kobiet i lustrują niektóre z nas od stóp do głów. Szpicrutą wypychają z kręgu te, które powłóczą nogami czy są wychudzone, te, których twarze i ciała są napuchnięte, albo te ze zbyt chudymi albo za grubymi nogami, z obwisłymi piersiami czy pośladkami, także te z zapadniętą klatką piersiową, również takie, które mają zgarbione plecy, te zbyt blade, te zbyt przerażone, ale też te, które są zbyt dumne, zbyt piękne, a i takie, które ci panowie wybiorą wedle swojego kaprysu. Te „wybranki" zostają odciągnięte przez kapo.

Sonia wygląda troszkę bardziej energicznie. Maszeruję tuż za nią i zauważam, że przyciągnęła wzrok esesmana o wyglądzie arystokratycznego intelektualisty. Szpakowaty, z binoklami na nosie. Może jest mężczyzną z wyostrzonym wyczuciem piękna i słabością do sztuki, ponieważ zauważył, widocznie, że ciało Soni jest pełne gracji i że maszeruje ona krokiem tancerki. Wkłada szpicrutę pod ramię, zbliża się do niej, zdejmuje binokle i trzymając je w dłoni, wbija spojrzenie swoich szarych oczu – ale nie w Sonię, tylko w moje piersi. Pełne piersi, których kształt odziedziczyłam po mamie, piersi, które kiedyś mogły stanąć mi na drodze do kariery tancerki baletowej, teraz stają się zagrożeniem, że zakończę taniec życia. Zdejmuje białą rękawiczkę z dłoni i uciska mi okolice sutka.

---

[450] Josef Mengele (1911-1979) – niemiecki lekarz, doktor medycyny i antropologii, oficer SS, od maja 1943 r. w Auschwitz-Birkenau dokonywał selekcji więźniów i przeprowadzał pseudomedyczne eksperymenty, nazywany był Aniołem Śmierci. Zbrodniarz wojenny, który uniknął kary.

– Jesteś w ciąży? – pyta rzeczowo.

Potrząsam głową i odpowiadam: „nie!", moim normalnym głosem. Zostawia mnie i idzie do doktora Mengelego, który kieruje wzrok na mnie. Czy podziwiają też moje ciało? Tak, czuję, jak ich spojrzenia pełzają po mnie i miażdżą mnie. W sobie jestem już martwa.

Czując się trupem, zaczynam maszerować, jakbym tańczyła taniec śmierci. Czemu nie? Koniec końców to przecież też rodzaj gry. Staramy się wszystkie maszerować z gracją, jak nimfy, lekko kołysząc biodrami, wciągając nieistniejące brzuchy i wypinając pierś. Maszerujemy sprężyście, poruszamy w powietrzu ramionami niczym skrzydłami – beztrosko. I naprawdę uśmiechamy się czarująco. Nasze mięśnie mimiczne nie zanikły, funkcjonują, jakbyśmy nie miały na głowie żadnego problemu. Większość z nas, pomijając fakt wychudzenia, wygląda niemal jak aniołki z czerwonymi rumieńcami na policzkach i wargami w pociągającym wiśniowym kolorze. Kiedy tylko do baraku dotarł rozkaz, aby się rozbierać, od razu wiedziałyśmy, co nas czeka i zaczęłyśmy się szczypać w policzki, aż nam w oczach pociemniało. Zagryzałyśmy wargi do krwi, żeby wyglądały czerwono i świeżo.

Doktor Mengele i ten siwy facet nie patrzą już na mnie.

Jeśli chodzi o Sorkę, to ona nie musi udawać zdrowej i pięknej. Jej gorączka robi to za nią. Zanim wymaszerowałyśmy z baraku, wyglądała jak ucieleśnienie wiosny, młodzieńczości. Jej ciemnobrązowe krótkowzroczne oczy były wielkie i ogniste. Ale teraz, kiedy maszeruję za nią, a dzielą nas tylko dwie kobiety, nie mogę jej wybaczyć ciężkiego, niedbałego sposobu maszerowania. Nie mogę też nie zauważyć gęsiej skórki na jej plecach i ramionach. Hanka idzie za nią. Budowa jej ciała jest dziwaczna, podobnie jak Sorki. Niska i wychudzona jak ona, wygląda dziewczęco i młodo, wpasowuje się w krąg młodych kobiet. Ani ona, ani Sorka nie ściągają na siebie uwagi.

Ileż szczegółów jestem w stanie zauważyć przez te krótkie chwile! Głupie detale, których normalnie nie dostrzegłabym. Zauważam na przykład, że ręka tego esesmana, który ścisnął mi pierś, ma wymanikiurowane paznokcie, pomalowane bezbarwnym lakierem. Zauważam, że innego esesmana grube, jasne brwi są dwiema perfekcyjnie równymi kreskami; że potężny doktor Mengele ma uśmiech Clarka Gable'a, a z jego ciepłych, aksamitnych, delikatnych oczu promieniuje melancholijne, poetyckie, tęskne światło. Ma taką arystokratyczną, inteligentną twarz[451].

A jeśli chodzi o Balcię, to znowu wydarzył się cud, który w rzeczywistości nie jest aż takim cudem. Prawda, jest najstarsza spośród nas i jej twarz niewątpliwie świadczy o tym fakcie. Ale pomijając, że jest wychudzona, to jednak

[451] Wiele więźniarek zapamiętało doktora Mengele jako przystojnego mężczyznę w nieskazitelnym białym kitlu i białych rękawiczkach.

w jej grubokościstej figurze jest pewna masywność. Emanuje energią, która przyćmiewa zmęczenie twarzy i obwisłość piersi oraz brzucha. Nie ściąga na siebie uwagi esesmanów. A co do Malki, to ona też wychodzi cało z tej próby ognia.

Czuję się coraz bardziej martwa w środku. Wydaje mi się, że nie jestem jedną z nich, ale przyglądam się tej scenie z boku i w tym poczuciu nieobecności jeszcze raz przekraczam bramę życia.

Kiedy przeszłyśmy przez to wszystko i znów znalazłyśmy się w baraku, Balcia bardzo się ożywiła. Jest dumna, że zdała egzamin. Drobnostka? Czy jest gdzieś na świecie lepszy test na kobiecość i młodzieńczość niż ten, który właśnie przeszła? Mówi nam, że prawie zapadła się ze wstydu, kiedy szpicruta w ręce esesmana wypychała z kręgu inne młode kobiety; odwracała głowę, mówi, żeby nie widzieć, jak te „wybranki" trzęsą się w spazmach, gdy zabierają je kapo. Ale w głębi siebie, musi wyznać, czuje ogromną radość, ponieważ życie wciąż jest jej drogie.

Nasza grupa się uratowała. Uśmiechamy się promieniście do Soni. Poza mną, to Sonia była najbliższa tragicznego dla siebie końca selekcji, ponieważ się poddała i nie było w niej woli przetrwania. Nie tylko ja, ale też inne kobiety obserwowały Sonię w czasie decydującego momentu, kiedy esesman zbliżył się do nas obu. Co by się stało, gdyby on nie przeniósł swojego wzroku z niej na mnie i gdyby ich spojrzenia spotkały się? Jej wzrok powiedziałby mu, że jej brak woli ocalenia życia współgra z jego wolą zgładzenia jej. Teraz jesteśmy pewne, że instynkt życia u Soni zaczął brać prymat nad jej wszystkimi innymi pragnieniami. Co prawda, nie odzywa się nadal do nikogo ani słowem, ale nie odwraca się od nas, a nawet przeciwnie: odwzajemnia uśmiech.

Obecnie jest znacznie spokojniej na naszych pryczach. Kapo zostawiły nas w spokoju i wyciągnęłyśmy się wszystkie na ziemi. Leżąc tak ściśnięte, dochodzimy do siebie i wyładowujemy napięcie nerwowym szeptem. Dla niektórych z nas jest jasne, że to, co przed chwilą przeszłyśmy, wryje się w naszą pamięć i nigdy o tym nie zapomnimy; nigdy – to znaczy aż do następnej selekcji. Ale to nie przychodzi nam na myśl, nie posiadamy bowiem nic ponad teraźniejszością i ona wystarcza nam za wieczność.

Nasza paplanina nie trwa jednak dłużej niż zaledwie parę minut. Wygłodniałe, przerywamy rozmowę dokładnie w połowie zdania i zapadamy w drzemkę. Każda obejmuje swoje własne uratowane ciało. To jest wszystko, co posiadamy.

*

Dni wloką się jeden za drugim. Nie wiem dokładnie, jak długo jesteśmy już w Birkenau. Straciłyśmy rachubę dni i zapominamy, że dzięki rozwojowi kultury każdy dzień ma swoją nazwę, a dni układają się w tygodnie i miesiące. Malka mówi, że jesteśmy już dwa tygodnie w Auschwitz, a Balcia – że trzy.

Jest jeszcze ciemno na dworze, kiedy pewnego ranka budzą nas normalne tutaj potworne hałasy i gwizdy, po czym każe nam się natychmiast ustawić w kolumnę, żeby wymaszerować na plac apelowy. W wilgoci jesiennego dokuczliwego deszczyku, ciemną drogą maszerujemy zatem. Apel ciągnie się wiele godzin, jak zwykle. W czasie, gdy nocne ciemności wraz z deszczem, który wydaje się czarny, rozpływają się w powietrzu, krople stają się szare i kryształowo przejrzyste.

Ku naszemu zaskoczeniu i wielkiemu przerażeniu, widzimy, że nasza kolumna z placu apelowego nie zostaje zaprowadzona z powrotem do baraku, ale wiedzie się ją w przeciwnym kierunku, tą drogą, która jest nam znana. Obręcz, która wciąż uciska serce, zacieśnia się jeszcze mocniej. W świetle poruszających się reflektorów na strażnicach i w szarości wilgotnego blasku nadchodzącego dnia, pławiącego się przed naszymi oczami na podwójnym drucie kolczastym, rozpoznajemy bramę, przez którą weszłyśmy do obozu. Nasza kolumna zbliża się tam przy akompaniamencie gwizdów i wrzasków kapo.

Przychodzimy do końca błotnisto-piaszczystej drogi, prowadzącej do bramy. Słyszę skrzeczący, tępy dźwięk za sobą. Odwracam głowę i widzę kobietę zaraz za mną, wyrywającą się z szeregu i tanecznym krokiem pomykającą w stronę drutów kolczastych pod napięciem. I oto przypada do nich. W świetle reflektora ze strażnicy widzę dwa rozciągnięte ramiona, ukrzyżowane ciało – wybicie, rzuca się, krótkie drżenie na drutach. Cisza. Koniec. Tak oto triumfalnie Sonia wybrała wolność. Nie pozwoliła, aby Niemcy decydowali o jej losie i wybrała śmierć z własnej woli – w tym momencie, który ona sama ustaliła.

Znowu jesteśmy na rampie stacji kolejowej. Wagony bydlęce z otwartymi drzwiami czekają na nas. Kapo wydają rozkaz wspinać się do wagonów, siedemdziesiąt kobiet do każdego. Blondyna ze zgrają pomocnic biega od jednego wagonu do drugiego, od jednych drzwi do następnych i pomaga kobietom wdrapywać się. Energicznymi ruchami komenderuje i zaprowadza porządek w środku. Nam w wagonie przypomina ona dyrygenta z orkiestrą, której możemy zobaczyć tylko torsy. Blondyna jest spokojna jak zawsze, nie wrzeszczy. Jest nawet w stanie przyjacielsko i z szacunkiem zwracać się do nas, prawie z podziwem i zazdrością.

Na platformie stoi grupa przemokniętych esesmanów, ubranych w czarne płaszcze przeciwdeszczowe, z postawionymi kołnierzami. Przecierają z oczu sen i siąpiący deszcz, albo zacierają dłonie w rękawiczkach i patrzą, jak ładuje się „towar" do wagonów.

W drzwiach naszego wagonu znowu pojawia się głowa blondyny. Woła do nas niemal z czułością: „Banda szczęśliwych suk!". Wymachuje do nas pejczem i robi grymas na „do widzenia". Jedna z kobiet łapie ją za rękę i błaga, aby powiedziała, gdzie wysyłają nasz transport. Ale blondyna wyrywa rękę i znika nam z oczu. Zamiast szaro-białych pasów jej ubrania, widzimy teraz tylko szare pasma deszczu.

Choć jesteśmy śpiące i wymordowane, żadna z nas nie siada na podłodze wagonu. Przytulone do siebie stoimy grupką w otwartych drzwiach. Stoję dokładnie na krawędzi i wychylam głowę. Ogarniam wzrokiem długą platformę. Widzę kapo z daleka. Widzę zarys zaspanych esesmanów w czarnych płaszczach przeciwdeszczowych. Widzę też kominy i słupy dymu, które unoszą się w szarym powietrzu, podpierając niski nieboskłon. Potem drzwi wagonu zostają zamknięte i zaryglowane, stając się ciemną ścianą przed naszymi oczami.

Bydlęce wagony ruszają powoli. Podłoga pod naszymi stopami zaczyna się trząść. Czuję w moim ciele tamto drżenie ukrzyżowanego ciała Soni. Moje serce pęka, łzy, gorące łzy, wstrzymywane tak długo, po raz pierwszy i ostatni napływają mi do oczu. Obmywają mi twarz, rozpalają policzki i spływają na szyję. Słyszę, jak rodzice nawołują się nawzajem:

– Jankewie, pomocy!

– Binele...

Rozdział trzydziesty

Znajdujemy się na półwyspie Dessauer Ufer, w porcie Hamburga[452]. Nie ma tu nic poza kompleksem spichlerzy, które wyglądają jak fabryki bądź hangary. Obóz należy do imperium obozów koncentracyjnych Neuengamme[453]. Trzymają tu czeskich i jugosłowiańskich jeńców oraz paru Włochów, wszyscy to zapewne partyzanci. Miejsce nie jest podobne do obozu koncentracyjnego, prędzej do zespołu wielkich, więziennych fortów. Wewnątrz, w budynku, który zajmujemy, wszystko jest ciemnobrązowe bądź szare. Ciężkie, ciemnobrązowe, drewniane belki ciągną się poprzez sufit i obejmują pokryte zielonawo-szarym gipsem ściany. Okna wychodzące na morze są zabite deskami od zewnątrz. Widok morza byłby dla nas zbyt wielką przyjemnością.

Nigdy w życiu nie miałam okazji być nad morzem, ale wiele o nim marzyłam. Teraz morze jest moim potężnym, niedostrzegalnym sąsiadem. Słyszę jego ciężki oddech po drugiej stronie zasłoniętych okien. Najwyraźniej odczuwam jego obecność każdego świtu, kiedy odprowadzają nas na miejsce robót.

Godzina trzecia nad ranem. Na zewnątrz ciemno. Zbieramy się na apelu przed budynkiem, w którym nocujemy i stamtąd odmaszerowujemy w mrok. Słony, kąśliwy, jesienny wiatr atakuje nasze ciała i bezlitośnie je chłoszcze. Gdzieś za naszymi plecami huczy morze i szaleńczo wyją fale. Każdego ranka pada deszcz,

---

[452] Chava Rosenfarb z mamą i siostrą trafiły do Dessauer Ufer z Auschwitz-Birkenau na początku września 1944 r. wraz z grupą 500 kobiet z łódzkiego getta. Otrzymała numer 2644.

[453] Dessauer Ufer był podobozem obozu koncentracyjnego Neuengamme położonym w porcie w Hamburgu na Kleiner Grasbrook w Veddel. Więźniów wykorzystywano głównie do przymusowej pracy przy odgruzowywaniu i porządkowaniu terenu po bombardowaniach portu.

a później pada też w trakcie dnia. Pasiaki, które teraz nosimy, nie są nigdy suche. Przesiąknięte słoną wilgocią wydają z siebie brzydki, smrodliwy odór. Kleją się do gołej skóry i ziębią nasze ciała. Jedyne pewne znaki dają nam białe mewy, przecinające czarne powietrze. Jak białe chorągiewki pokoju przemykają nam przed oczami i przypominają, że istnieje coś takiego jak wolność.

Nie mamy na sobie nic poza tymi wilgotnymi pasiakami, które wiatr nadyma jak balony. Próbujemy się zasłaniać, przytrzymując je rękoma przy kolanach, tak żeby przenikliwy wiatr nie dobrał się do naszych rozdygotanych ciał. Ledwo widzimy jedna drugą, ledwo wyczuwamy swoje sąsiadki w wichrowej zawierusze, która przetacza się między nami. Oczy łzawią. Z nosów cieknie. Zimna ślina kapie z ust. Krople lodowatego deszczu skaczą po naszych ogolonych czaszkach, kłując jak igły.

Tak oto maszerujemy, pięćset kobiet z Łodzi, na miejsce robót. Nasza praca polega na ładowaniu ciężkich worków cementu na taczki, którymi transportuje się je do torów kolejowych. Pracujemy po dziesięć godzin dziennie. Po czterech latach pobytu w getcie i tygodniach spędzonych w Auschwitz, nie starcza nam sił, żeby rozgrzać się przy tej harówce.

Są między nami mądre dziewczyny, do których zalicza się moja grupa. Kradniemy puste worki po cemencie, zrobione z grubego papieru, wciągamy je pod ubrania i robimy sobie z nich coś w rodzaju bielizny, która zakrywa plecy i chroni nas przed zimnem. Przez kilka dni czujemy się jak w raju. Potem strażnicy przyłapują kilka dziewcząt na zbieraniu pustych worków. Odtąd strażnicy obmacują nas w drodze powrotnej z pracy. Jak tylko wyczują coś sztywnego w dotyku, wymierzają zaraz na miejscu przydział ciosów, nie przerywając marszu. Całą noc liżemy rany, rankiem szukamy znów cudownych worków po cemencie, a procedura się powtarza.

Mamy litościwych strażników. Mężczyźni z Wehrmachtu. Nigdy nie karcą nas niczym więcej jak tylko uderzeniem. Kiedy nas nie biją, „dotrzymują nam towarzystwa". Bez końca opowiadają o tym, jak to nie tak dawno temu Hamburg był bombardowany przez trzy dni i trzy noce. Żywo opisują asfalt płonący i topiący się pod nogami ludzi, którzy próbowali się ratować. Ubolewają nad kataklizmem, jaki spotkał ich wspaniałe miasto rodzinne, jak gdyby chcieli rozmiękczyć nasze serca współczuciem i sprawić, że wybaczymy im ciosy, które – z powodów patriotycznych – zmuszeni są nam wymierzać.

Dostajemy jeść raz dziennie, po pracy. Menażka zupy i kromka chleba. Wypijamy zupę, a kromkę chleba zachowujemy na nadchodzący poranek, żeby nie wychodzić na zimno o pustym żołądku. Nocą spanie to nie jest prawdziwe spanie. To prędzej stan pomiędzy czuwaniem a drzemką.

To przez to, że mamy w tym naszym więzieniu złodziei. Szczury. Potwornie duże. Przemykają w tę i nazad po drewnianych belkach nad naszymi głowami. Nurkują w dół, na prycze, wślizgują się pod worki z sianem i skradają do naszych kromek, jeżeli nie jesteśmy czujne i ich nie przeganiamy. Kiedyś bałam się najdrobniejszej

myszki. Teraz obserwuję szczury spacerujące wzdłuż belek i czatujące na mój kawałek chleba, i jedyne, czego się boję, to to, że mnie przechytrzą.

Drugą przyczyną naszych bezsennych nocy jest to, że port bywa bardzo często bombardowany przez alianckie samoloty. Ale przyjemnie jest wtedy leżeć i przysłuchiwać się niebiańskiej muzyce. Myślę wtedy o czasie, kiedy po raz pierwszy zastanawiałam się nad wyjazdem za granicę. Teraz jestem po raz pierwszy za granicą, przybywszy do wielkiego portu w Hamburgu, który przyjmuje mnie z należnym przepychem.

Jest ciemny, wietrzny świt, kiedy zamiast na miejsce robót, odprowadzają nas na stację kolejową. W chwili, kiedy wciskamy się po ciemku do wagonów – prawdziwy cud! – normalnego pociągu pasażerskiego, dostrzegamy wspinające się po niebie i rozświetlające je rakiety. Syreny zaczynają wyć. Dźwięk samolotów ciężko dudni w uszach. Bomby eksplodują jedna za drugą. Ciągnie się to długimi godzinami, aż po szary dzień. Nasi stróże słaniają się na nogach ze strachu. Wyglądają niemal jak zwykli więźniowie podczas selekcji. To przyjemność widzieć naszych bohaterskich oprawców przeobrażonych w dokładnie takich samych tchórzy jak my. Czujemy się im bliskie i patrzymy na nich ze współczuciem – podczas gdy serca się radują. Nasze oczy skrzą się jak świetliki w mroku wagonów. Ani razu nie przychodzi nam na myśl, że bomby nie mają oczu i nie mogą dostrzec naszych pasiastych ubrań.

Za każdym razem kiedy światło zajaśnieje na niebie jak świąteczne drzewko, szepczemy podekscytowane jedna do drugiej: „Widziałaś? I jak ci się podoba to drzewko? A tamto?". Kiedy ogłusza nas wybuch, łapiemy się za uszy i śmiejemy się: „Ha! Czegoś takiego jeszcze nie słyszano!". Bombardowanie jest najlepszą rozrywką. Całe godziny radości. Zastrzyk energii, wiary. Modlimy się, by usłyszeć jeszcze i jeszcze, by zobaczyć więcej i więcej z zapierającego dech w piersiach spektaklu, który rozgrywa się na niebie jakby specjalnie dla nas.

Po bombardowaniu pociąg rusza ze stacji. Irka, nasza nowo powołana kapo, biegnie jak wicher przez wagony i daje nam znać:

– Możecie zmawiać błogosławieństwo w podzięce za ratunek, dziewczęta. Słyszałam od strażnika, że Dessauer Ufer, który dopiero co opuściłyśmy, został zrównany z ziemią. I módlcie się, siostrzyczki, za dusze jugosłowiańskich, czeskich i włoskich więźniów, pogrzebanych pod gruzami!

Irka, kapo o towarzyskim usposobieniu, to dziewczyna z Łodzi, była kierowniczka organizacji harcerskiej, jest więc wysportowana i zachowuje się wobec nas po towarzysko-wojskowemu.

Nasza podróż jest wyjątkowo krótka. Po nie więcej niż dwudziestu minutach jazdy przybywamy do obozu Hummel[454], raju pośród obozów koncentracyjnych.

---

[454] 13 września 1944 r. więźniarki, które pracowały w Dessauer Ufer, zostały podzielone na trzy grupy. Chava Rosenfarb z siostrą i mamą oraz większością kobiet z łódzkiego getta trafiły do podobozu Hamburg-Sasel. W powieści występuje pod nazwą Hummel.

Raj pośrodku piekła. Obóz bez komina. Tutaj strach przed śmiercią jest tak odległy jak główny obóz w Neuengamme, który za to jest wyposażony w najnowocześniejsze śmiercionośne sprzęty.

*

Nasze drewniane baraki, jak i te, które zajmują strażnicy, a także barak kuchenny i inne magazyny, są ustawione wokół placu apelowego jak idylliczne miasteczko wokół rynku. Miasteczko fantastyczne, które bogini miłości trzyma pod swoim zaklęciem. Nasz pierwszy Oberscharführer z dnia na dzień zakochał się po uszy w najbrzydszej dziewczynie spośród nas, i z dnia na dzień zniknął z obozu. Nowy Oberscharführer nie kocha nas aż tak, ale za to kocha kwiaty. W cywilnym życiu, jak się dowiadujemy, był ogrodnikiem. Pomijając mundur, wygląda jak typowy starszy rolnik, ale bez wystającego brzucha i bez chłopskiej dobroduszności. Jest szczupły, wysoki i surowy. Milczący twardziel, który potrafi bez słowa zdrowo przyłożyć swoją ciężką, spracowaną ręką. Jest żołnierzem Wehrmachtu, jak wszyscy nasi strażnicy z wyjątkiem jednego esesmana, dla którego służba na tym niepoważnym stanowisku jest zapewne jakąś formą kary, urlopu bądź jednego i drugiego.

Jako rekompensatę za niedobór esesmanów mamy zaszczyt posiadać nad sobą całą bandę esesmanek. Co się tyczy wymierzania ciosów, mogą się równać z każdym esesmanem, a wręcz go przewyższyć. Patriotyczne zobowiązania wobec ojczyzny spełniają z większym zapałem niż nasi stróże.

Od świtu aż do nocy, za wyjątkiem niedziel, budujemy w nowo założonej wiosce domy dla zbombardowanych mieszkańców Hamburga[455]. Również i tu mamy zakaz noszenia worków po cemencie pod pasiakami, i żaden energiczny marsz ani ciężka harówka nie są w stanie nas ochronić przed okropnym zimnem. Również i tu cały dzień jesteśmy spragnione kawałka chleba i odrobiny ciepła. Maszerując pilnie strzeżoną kolumną do pracy i z powrotem, przechodzimy tam, gdzie po obu stronach stoją piękne, dopiero co wybudowane i już zamieszkane chatki. Gdy tak maszerujemy, kobiety odłączają się, pojedynczo lub parami, od kolumny i dopadają niemieckich śmietników. Przebierają w nich rękami, szukając wyrzuconych obierek od ziemniaków, liści marchewki, kawałków kapusty i klusek. Hanka kategorycznie zakazuje nam brania udziału w tych eskapadach. To poniżej naszej godności, mówi, a do tego można się rozchorować i skrócić sobie życie. Tylko ja jedna z naszej grupy mam ją w nosie.

---

[455] Więźniarki z obozu Hamburg-Sasel były zatrudniane przy odgruzowywaniu miasta oraz przy konstruowaniu tymczasowych domów w zbombardowanych przez aliantów dzielnicach Poppenbüttel i Wandsbek.

W okamgnieniu wybieramy ze śmietników, co tylko wpadnie nam w ręce, napychamy sobie tym usta i biegniemy z powrotem do kolumny. Spokojnie znosimy adekwatne traktowanie w postaci esesmańskich batów. Wobec tego obóz Hummel jest najlepszym miejscem, jakie los mógł nam przydzielić. Obóz Hummel i niemieckie porażki, które przychodzą teraz jedna po drugiej, są naszym pocieszeniem. Znajdujemy się u progu 1945 roku.

Na naszym miejscu pracy, placu budowy, przypadł Balci w udziale zaszczyt bycia budowniczą. Została ekspertką w układaniu i cementowaniu jedna za drugą wielkich, betonowych płyt[456]. Z kielnią w ręce stoi pewnie na rusztowaniu i pracuje z zapałem. Ja i Malka jesteśmy tragarkami betonowych płyt i worków z cementem, albo napełniamy wózki wykopanymi kamieniami. Sorka z Hanką kopią doły, żeby położyć fundamenty.

Plac budowy zajmuje wielki, pusty obszar, przez który ciągnie się malowniczy jar, porośnięty wszelkimi gatunkami drzew i krzewów. Tam ukrywamy się w czasie bombardowania, kiedy strażnicy i niemieccy majstrzy porzucają nas i uciekają schronić się w bunkrze obok domu kierownika placu. Nie muszą się obawiać, że uciekniemy. Z ogolonymi głowami, w pasiakach, jesteśmy wyraźnym celem dla ich karabinów, a odwodzi nas od tego też to, że w wybudowanych dookoła domkach mieszkają sami najważniejsi naziści z miasta, którym nadano przywilej otrzymania w pierwszej kolejności dachu nad głową. Z pewnością nie byliby chętni do pomagania nam w ucieczce.

W jarze znajdujemy schronienie także wtedy, kiedy z nieba pada ulewny deszcz, tak gwałtowny, że nie da się kontynuować pracy. Wówczas ślemy pochwały dla niebiańskiego stwórcy deszczu, budowniczego wszechświata, za jego wspaniałomyślność. W tych chwilach jesteśmy skłonne myśleć, że Bóg jest Żydem, a nie nazistą.

*

Jest szary, wilgotny dzień, kiedy z nieba pada deszcz pomieszany z gradem. Nie da się kontynuować pracy, to znaczy: nasi strażnicy wolą zostać pod dachem, a nas odsyłają do jaru. Tu dowództwo nad nami przejmuje Lea. Przed wojną prowadziła chór działający w ramach organizacji młodzieżowej SKIF i chodziła z kierownikiem naszej sekcji, Aronem, zwanym Chodzącą Encyklopedią. W obozie Hummel wołamy na nią „śpiewający ptak". Moja dziecięca słabość do niej i jej cudownego głosu nadal się utrzymuje, a wręcz się pogłębia. Śpiew Lei jest jedyną formą estetycznej przyjemności, jaką mamy w obozie koncentracyjnym. Oto Lea zaczyna śpiewać romantyczną polską piosenkę:

[456] Więźniarki w Sasel musiały samodzielnie produkować betonowe płyty z gruzu ze zbombardowanych budynków.

To jesień,
To miłości naszej jesień,
Pożegnanie z sobą niesie...[457]

Melancholijna, jesienna piosenka Lei trąca, jak się okazuje, czułą strunę w sercu Hanki. Przemoczona od deszczu ociera kapiący nos – kapie jej z nosa, nawet kiedy nie pada; cierpi bardzo z powodu zimna. I wtem puszcza rękę Sorki i, skulona, z trudem przybliża się do mnie i obejmuje mnie w talii. Stoimy tak, dwa mokre straszydła, kołyszemy się w chłostających powiewach wiatru i gradu i wsłuchujemy się w śpiew Lei.

Hanka robi dłonią daszek nad ustami, jak gdyby bała się, że wiatr połknie jej słowa, i zwraca się do mnie.

– Już od dawna zbieram się, żeby ci coś powiedzieć, Miriam; coś, co chcę, żebyś wiedziała. Byliśmy sobie bardzo bliscy z twoimi rodzicami, bliżej niż zwykli przyjaciele... szczególnie z twoim ojcem.

Opowiada mi, jak zakochała się w Jankewie jako młoda kobieta i jak bardzo pragnęła mieć z nim dziecko.

– Nie wiemy, co się z nami stanie – mówi Hanka, ocierając nos rękawem. – Chciałam, żebyś o tym wiedziała, wiedziała przynajmniej o tym...

Opowiada i opowiada. Drętwieją mi plecy, serce zamarza. Słucham jej wszystkimi wyostrzonymi zmysłami; jest tak, jakby jej głos rezonował razem z głosem Lei, jakbym słyszała duet, w którym jeden głos kocham, a drugiego nienawidzę. Nie chcę, żeby Hanka mówiła o moich rodzicach. Nie mogę tego znieść.

– Hanko – pytam ją w końcu – wiesz, że przez ostatnie pięć dni nie miałyśmy żadnego alarmu. Co to może znaczyć?

Kierownik placu budowy jest wysokim, wyrośniętym Niemcem, w typie spragnionego życia piwosza, który jest zdolny oszacować piękno kobiety, nawet gdy ta jest ogolona na łyso i ubrana w pasiak. Z twarzy podobny jest bardzo do prezydenta Roosevelta, nosi nawet podobne okulary; na głowie ma coś w rodzaju kapelusza kowbojskiego. Zadurza się prędko w naszej drugiej kapo, Reli, która ma twarz porcelanowej lalki. Całymi dniami przetrzymuje ją w swoim ogrzewanym pomieszczeniu kierowniczym. Wewnątrz grzeje ta wychudzona jedynaczka łódzkiego kupca swoje delikatne stopy i małe delikatne rączki przy nagrzanym piecu, i jako kapo nie gra prawie żadnej roli w życiu więźniarek. Podejrzewamy, że również samą tę wysoką, ważną pozycję kapo w Hummel otrzymała dzięki interwencji tegoż kierownika – nie dlatego, że miała talent

[457] Piosenka znana pod tytułami *Jesienne tango* lub *Pożegnanie miłości* (oryginalny tytuł *Nostalgias*), do której polskie słowa napisał Jerzy Jurandot, była bardzo popularna w latach 30., głównie w wykonaniu Mieczysława Fogga i chóru Dana.

do tego stanowiska, ale dzięki swojemu rubensowskiemu pięknu. Jest też pewna delikatność i cnotliwość w jej zachowaniu, i nigdy żadne brzydkie słowo nie kala jej koralowych ust.

Nasze spokojne, rajskie życie w obozie Hummel jest również owocną glebą dla kolejnej miłości, która zakwita szybko pomiędzy dwojgiem innych reprezentantów wrogich sobie ras. Ale ta miłość rozgrywa się w samym obozie, w czasie kiedy jesteśmy na placówce. Miłość ta łączy naszą towarzyską, swojską kapo Irkę z Herr Straussem, żołnierzem Wehrmachtu w średnim wieku, który ma coś do powiedzenia w sprawach zarządzania obozem. To miły człowiek. Skończony idiota, ale za to wspaniały rachmistrz, zręczny i precyzyjny w zaopatrywaniu magazynów w rzeczy potrzebne dla obozu. Kapo Irka nie opuszcza obozu i prowadzi lekkie życie, podczas gdy my jesteśmy w pracy. Ma mnóstwo czasu na oddawanie się sprawom żołądka oraz serca – swojego i Herr Straussa. Mokre, zimne, jesienne dni spędza w ciepłej kuchni obozowej, o ile nie jest zajęta siedzeniem na kolanach Herr Straussa w ciepłym składzie chodaków, które nosimy.

Według mnie te miłości, które dostarczają nam trochę rozrywki, tak w obozie, jak i na placówce, są na półplatonicznym poziomie. Może jestem naiwna, ale grzechu zhańbienia rasy nie powinno się popełniać tak łatwo. Szczere stosunki pomiędzy aryjczykiem a Żydówką odbywałyby się z większą dyskrecją, gdyby były zabarwione czymś więcej niż po prostu erotyzmem. Należy również mieć na uwadze, że nasi w średnim wieku strażnicy i niemieccy nadzorcy przy pracy mają plamę na sumieniu, plamę wstydu z tego powodu, że nie byli godni umrzeć za ojczyznę na froncie i skazani są pędzić życie na tyłach. Jako że bycie żołnierzem i bycie mężczyzną idą ręka w rękę, status strażników jako niemieckich mężczyzn jest pod każdym względem chwiejny. Nasi niemieccy amanci nie chcą, jestem pewna, jeszcze bardziej zachwiać swoją męską dumą.

Kapo Irka jest specjalistką w musztrowaniu nas podczas apeli o świcie i wieczorem, po naszym powrocie z pracy. W Hummel apel jest, dokładnie tak jak w Auschwitz, pomyślany jako najważniejsze wydarzenie dnia. Czyni to z Irki najważniejszą kapo w obozie, za wyjątkiem superkapo, żydowskiej Lagerelteste, tj. starszej obozu, Hildy, i jej dwóch kapo adiutantek.

Kiedy Irka musztruje nas, pięćset kobiet z Łodzi, Oberscharführer zajmuje swoją pozycję na czele paradnego korowodu na placu apelowym, podczas gdy z obu stron ustawiona jest jego świta strażników i esesmanek. Przed nimi, naprzeciw naszej kolumny, stoją Hilda ze swoimi adiutantkami i przyglądają się ze śmiertelną powagą występowi Irki. A cóż to jest za spektakl!

Skacząc bokiem, z rękami rozłożonymi równolegle do frontu naszej kolumny, przesuwa się jak ruchomy pajac na sznurku. W ten sposób wyrównuje nasze rzędy, które mają być tak perfekcyjnie równe jak rząd betonowych płyt w domach na placu budowy. Osiągnąwszy ten cel, Irka odmaszerowuje na środek

placu apelowego. Stuka obcasami jak pajac-oficer, prostuje się, sztywnieje jak struna i woła do nas:

– *Achtung!* – Stoi tak przez chwilę z wypiętą piersią, aż – by zwiększyć efekt spektaklu – krzyczy po polsku: – Nie ruszaj się! Nawet gdyby ci mucha narobiła na nos, nie możesz ani mrugnąć!

O tej porze roku nie ma żadnych much w obozie Hummel, ale ten barwny rozkaz pozwala nam jasno zrozumieć powagę sytuacji.

Nie ruszamy się i nie mrugamy, nie bacząc na to, że głód i zmęczenie zwalają nas z nóg. Stoimy sztywne i wyprężone, zupełnie jakby każda z nas połknęła żelazny słup. Wówczas Irka zaczyna, z pomocą innych kapo, liczyć głowy i melduje rezultat Hildzie. Hilda zdaje Oberscharführerowi raport z liczby więźniarek obecnych na miejscu oraz w obozowym szpitalu.

Oberscharführer przeprowadza inspekcję naszych rzędów. Następnie jego adiutanci i esesmanki zaczynają ponownie przeliczać głowy. Jeżeli rachunek się zgadza, Irka odmaszerowuje z wielką dumą i ustawia się na końcu naszej kolumny. Z jej szczerze promieniejącej radością twarzy można wyczytać, że apel jest najważniejszym punktem jej dnia, chwilą jej chwały, kiedy to najwyraźniej czuje smak władzy.

Teraz najstarsza więźniarka obozu, Hilda, przejmuje dowodzenie. Wywołuje z rzędu te, które mają zostać ukarane, i w pierwszej kolejności funduje im dwa sążniste policzki. Następnie oznajmia karę, która najczęściej polega na pozbawieniu zupy, tej odrobiny dziennego ciepła. Jeżeli Oberscharführer sądzi, że grzesznice zasłużyły sobie na jego osobistą uwagę, wówczas prowadzą je do niego, a on wymierza im swoją twardą, spracowaną dłonią dwa dodatkowe policzki. Dość często karze się parami, dwie siostry albo matkę z córką. Hilda nienawidzi takich par. Hanka i Sorka są jej częstymi ofiarami. Balcia i Malka rzadziej przyciągają uwagę Hildy. Najczęściej ofiarami Hildy zostają Danusia Moszkowicz z jej mamą, córka i żona donosiciela z getta, Moszkowicza. Ale ich nieszczęścia nas nie obchodzą. Nie mamy z nimi nic wspólnego. Wyglądają jeszcze dobrze, choć z dnia na dzień marnieją. Nie mamy dla nich współczucia.

Po spektaklu wymierzania ciosów apel się jeszcze nie kończy. Teraz środek sceny przejmuje dama z SS, Frau Malpe. To nie my dałyśmy jej to imię, jakkolwiek całkowicie sobie na nie zasłużyła – jest to jej prawdziwe, rzeczywiste, niemieckie nazwisko. Frau Malpe demonstruje swoją własną technikę musztry. Z obiema rękami wyciągniętymi w bok przelatuje wzdłuż naszej kolumny jak *messerschmitt*, jednocześnie kręcąc biczem jak śmigłem tuż przed nosami więźniarek w pierwszym rzędzie. Następnie zatrzymuje się pośrodku placu apelowego i w najwyższych oktawach swojego cienkiego, piskliwego głosu beszta nas za zachowywanie się jak „żydowskie świnie" w drodze do pracy i dobieranie się do śmietników niemieckich obywateli. Oznajmia nam, że w związku z tym wszystkie otrzymamy nasz przydział jedzenia nie teraz na miejscu, ale po tym, jak odstaniemy dwie godziny, wyprostowane i sztywne, nie zważając na deszcz

i kąsający mróz. Widok tak perfekcyjnej formacji kobiet w pasiakach sprawia zapewne Oberscharführerowi i jego świcie wielką przyjemność, bo nie ma dnia, żeby nie wydłużyli nam stania wyprostowanymi i sztywnymi na tak długo, jak im się zachce.

Gdy tak tkwię godzinami na apelu, nie mogę sobie w żaden sposób wyobrazić, że istnieje gdzieś świat poza tym placem apelowym, tym centrum wszechświata, gdzie nic się nie liczy – poza głodem. Po apelu pozostają jeszcze te ukarane, które podczas rewizji przy wchodzeniu do obozu złapano na szmuglowaniu resztek jedzenia ze śmietników. Te muszą jeszcze odstać długie godziny pod słupem elektrycznym.

Zimny, niedzielny świt. W niedzielę poranny apel zaczyna się godzinę później niż w pozostałe dni tygodnia. Dzisiaj powietrze nie jest mglisto-wilgotne, jak to zwykle o świcie, ale bardzo przejrzyste. Zaczyna już szarzeć, a do tego świecą jeszcze ogromne obozowe reflektory. Tego poranka na apelu Frau Malpe znów mknie wzdłuż naszych rzędów jak *messerschmitt*, i wtem jej brunhildowe loki tracą fason. Kiedy w podskokach przybywa na środek sceny, to znaczy na środek placu apelowego, loki te nagle oddzielają się od jej głowy. Wzlatują w powietrze i lądują, jak włochaty ogon latawca, nieopodal jej nóg – na oczach ważnych i mniej ważnych widzów. Biedna Frau Malpe nie ma własnych włosów! Fortuna spłatała jej brzydkiego figla. Ma prawdziwą „glacę", czaszkę, która wygląda na bardziej gołą niż nasze, bo na naszych zaczęły już odrastać włosy.

Z tego oto powodu nieomal pękamy tego niedzielnego poranka z bólu – bólu, który bierze się ze wstrzymywania śmiechu za wszelką cenę. Mocno zaciskamy usta i pozwalamy naszym policzkom nadymać się niczym pęcherze. Mięśnie twarzy ledwo mogą to znieść – podczas gdy serca rozpływają się z rozkoszy. Nie mamy ani krzty współczucia dla Frau Malpe. Szybko nabieramy do niej urazy za to, że po podniesieniu z ziemi loków tak prędko zbiega ze sceny i znika w baraku esesmanek.

Wracając do niegodziwej Żydówki, starszej obozu Hildy z jej dwiema pomagierkami, są one jedynymi więźniarkami w obozie Hummel, które nie pochodzą z Polski, to czeskie Żydówki. Spędziły dwa lata w Auschwitz i dwa kolejne w innych obozach – prawdziwe obozowe weteranki, które uratowały się z niejednej selekcji. Nie przebierając w środkach, wdrapały się na szczyt obozowej hierarchii i w ten sposób osiągnęły te stosunkowo bezpieczne stanowiska. Są bezpośrednie, wytrwałe, pasują na obozową elitę. Dobrze dostosowujące się do każdej sytuacji, nie powstrzymują się przed deptaniem po innych, aby utrzymać się na górze. Nie mają sumienia, a jeśli mają, nie widać tego po ich czynach. Dla tych trzech przydział do naszego obozu jest też formą wakacji. Mają co jeść i nie przepracowują się. Pomocnice Hildy mieszkają w małym baraku tylko dla nich dwóch, a Hilda ma cały barak dla siebie. Ich prycze mają prawdziwe poduszki, a one noszą bieliznę. To luksusowe życie daje się poznać po ich wyglądzie.

Wyglądają jak ucieleśnienie zdrowia i sukcesu. Ich włosy są przyzwoitej długości. Policzki mają kolor. Oczy lśnią. Przez wzgląd na te wszystkie zalety zaliczamy je automatycznie do świata naszych panów, a nie do świata nas, niewolników, szczególnie że zachowują się wobec nas jak władczynie.

Balcia trzyma na swoim i mówi, że te trzy Czeszki są kolejnym dowodem na to, że nikczemność ceni się bardziej od dobroci, ale odrobina człowieczeństwa jeszcze zupełnie w nich nie zanikła, choć nie ma na to żadnych dowodów. Hanka również uważa, że te czeskie kapo, niczym nie różniące się od esesmanek, zostały zapewne tak poniżone przez te wszystkie lata w obozach, że kiedy tylko posmakują władzy nad innymi, mszczą się na swoich podwładnych, ponieważ na rządzących zemścić się nie mogą.

Nie ma wątpliwości, że czeskie kapo mają swoją kolekcję potwornych przeżyć, podobnie jak my, i że je również dręczą koszmary. Ale my, być może dlatego, że dopiero od paru miesięcy jesteśmy obywatelkami obozów, stale staramy się podtrzymywać w sobie odrobinę człowieczeństwa w tym pokręconym świecie. One tymczasem zdają się tłamsić w sobie instynkt rozróżniania pomiędzy dobrem a złem, dopasowując swoją moralność do ogólnej „moralności" rządzącej światem „pieców". Podczas gdy my mamy jeszcze nadzieję na wyzwolenie, one wyrzekły się wszelkiej nadziei. Dla nich obóz koncentracyjny jest początkiem i końcem. Nawet jeżeli obóz nie będzie działał wiecznie, zapewne czują, że koniec końców tutaj zginą. Stąd ich pragnienie życia jest być może jeszcze silniejsze niż nasze. Każda chce się nasycić „rozkoszą", którą może im dać obozowe życie. A do ich „rozkoszy" należy znęcanie się nad nami. Ciężko zrozumieć, czy są złe z natury, za to jest pewnym, że nie są głupie.

Hilda, najstarsza w obozie, straciła przez ten czas tyle ze swej młodości, ile zyskała na wadze, jak by to powiedział Heine[458]. Była znaną aktorką praskiego teatru państwowego, o czym ani na chwilę nie zapomina. W obecnym życiu wykorzystuje „na scenie" swoje artystyczne zdolności na przeróżne użyteczne sposoby. Potrafi bardzo przekonująco przyjmować rolę królowej; potrafi ją odgrywać z pewnym rodzajem sugestii skierowanej do nas, do publiki, że to tylko teatralna gra, i że ona sama jest stworzona do większych rzeczy i do odgrywania wielu ważniejszych ról. Wie też, kiedy być „tragiczną".

Jest stale natchniona duchem teatralności. Wydaje rozkazy i przyznaje kary z szerokim, władczym gestem Kleopatry. Wymierza policzek w twarz z gracją Lady Makbet, a całą litanię przekleństw i odpychających epitetów recytuje z perfekcyjną dykcją szekspirowskiej aktorki. W jej zachowaniu wobec nas nie ma ani krzty autentyczności. Wszystko jest wystylizowane. Tylko siła jej ciosów jest prawdziwa.

---

[458] Heinrich Heine (1797-1856) – niemiecki poeta żydowskiego pochodzenia, także prozaik, publicysta i satyryk, przedstawiciel romantyzmu.

Hilda jest inteligentną, dobrze wykształconą kobietą i znacząco przewyższa swoje dwie adiutantki. Ale co się tyczy siły charakteru, stoi na znacznie niższym poziomie. Przy całym swoim królewskim sposobie bycia, zdradza raz za razem, jak wrażliwa i słaba jest z natury. Jest w niej jakiś rodzaj dziwnej, nieobozowej godności, która graniczy z groteską. Trzyma się osobno i nie stara się, aby być przyjazną ani wobec naszych panów, ani wobec nas, niewolnic.

Hilda, razem z panią Moszkowicz, mamą Danusi, żoną Moszkowicza, donosiciela z getta – w którego fabryce moja mama dwadzieścia dwa lata wcześniej urodziła Wierkę – są naszymi ulubionymi obiektami żartów i prześmiewczych uwag. Naśladujemy je, przedrzeźniamy i parodiujemy. Zrywamy boki ze śmiechu, kiedy któraś naśladuje ruchy korpulentnej sylwetki Hildy i wyraz jej tłustej twarzy.

Hilda jest za mądra i jest zbyt dobrą aktorką, żeby nie wyczuć efektu, jaki wywiera na swojej publiczności, tak na panach, jak i na niewolnikach. Ona również, jako że nie może zemścić się na panach, mści się na niewolnicach. Pociąga nas kolektywnie do odpowiedzialności za najdrobniejszy grzech nieodkrytego sprawcy. W jej naturze nie leży wydawanie sądów od razu. Pozwala nam uchodzić bezkarnie i myśleć, że zapomniała o całej sprawie. Jej ulubioną metodą jest wykalkulować z największą starannością moment, w którym zaskoczy nas najbardziej. Wtedy pozwala wyrokowi spaść na nasze nieprzygotowane głowy. Tę to niesprawiedliwość kary doprowadziła do perfekcji, rozwinęła ją w formę sztuki.

Naśmiewamy się z niej, owszem, ale i tak zachowujemy się wobec niej z szacunkiem. Boimy się jej i nienawidzimy, ale cieszymy się, że to Hilda, a nie jedna z jej pomagierek, jest starszą obozu.

Jedna z jej pomocnic, czarnowłosa Olga, jest diabelsko przebiegła, żwawa i zgrabna jak kot. Ma siłę atlety i potrafi uderzyć w czułe miejsce. Jej towarzyszka, Magda, jest w przeciwieństwie do Olgi korpulentna i żartobliwie usposobiona. Ma włosy złociste jak anioł, jest leniwa, a do jej twarzy przyklejony jest stale szeroki uśmiech od ucha do ucha. Obchodzi się z nami tak samo jak Olga, ale wolniej. Obie starają się być wobec nas towarzyskie i szczere. Ale mamy wyraźne dowody, że są bardziej szczere wobec naszych strażników i esesmanek niż wobec nas. Szpiegują nas i donoszą Niemcom o tym, co dzieje się w barakach.

*

Moja grupa zajmuje jeden z bardzo małych baraków, rodzaj drewnianej komórki, jakich w obozie jest kilka. Mieszka też z nami kobieta w średnim wieku, Goldowa. Lubimy nasz mały barak. Daje nam miłe poczucie posiadania prywatnego domku, czegoś w rodzaju domostwa. My, młodsze kobiety, śpimy na górnych pryczach, a trzy starsze na dolnych. Do naszych najlepszych chwil

należy wieczór, po apelu, po jedzeniu, i po komendzie *„Licht aus!”*[459]. Wówczas leżymy wyciągnięte na łóżkach z desek i w ciemności omawiamy wydarzenia dnia, marzymy o tym, żeby się porządnie najeść i na głos zapewniamy się o dniu wyzwolenia. Tak, w tych chwilach pozwalamy sobie myśleć o wyzwoleniu. Noc nadchodzi, a to oznacza, że przez kilka godzin nasze życia nie będą zagrożone. Nagłe, nocne bombardowanie uważamy nie za niebezpieczeństwo, ale za rozrywkę, która przybliża nas o krok do wybawienia.

Goldowa jest mówiącą po polsku, inteligentną i praktyczną kobietą w kwiecie wieku. Zaraz po naszym przybyciu do Hummel zdecydowała, że budowanie domów dla zbombardowanych Niemców jest poniżej jej godności. Wie, jak rozmawiać z ludźmi, nawet jeżeli są Niemcami. Mówi też dobrze po niemiecku. Wywarła wobec tego na naszych panach wrażenie pożytecznej więźniarki i szybko dorobiła się stanowiska, na które zasłużyła: zdolna, energiczna kucharka, stała się gospodynią kuchni dla strażników obozu. Uwalnia ją to od troski o głód oraz od chodzenia na placówkę i harowania w tę srogą zimę na dworze, opodal hamburskiego brzegu.

Goldowa zachowuje się z taką godnością, że automatycznie wzbudza do siebie szacunek. Jako że ma tak ważną pozycję w kuchni, darzymy ją respektem i uważamy za faktyczną głowę naszego baraku. Przewodzi nam z subtelnością i mądrze. Nigdy się z nami nie spoufala i nie ryzykuje nigdy przemycania dla nas odrobiny jedzenia z kuchni. Ale kiedy tylko może coś dla nas zrobić legalnie, robi to ceremonialnie i z pompą.

Za pozwoleniem jednej z esesmanek przynosi czasem do baraku swoją dodatkową porcję zupy lub parę ugotowanych ziemniaków i dzieli się tym z nami. Dziękujemy jej i przyglądamy się, jak rozciąga się niczym zadowolony kot na swojej pryczy, wyjmuje papierosa z drewnianego chodaka i zapala go z wielką gracją. Patrzymy, jak leży tak i ze spokojem wypuszcza dym. Daje nam to luksusowe poczucie bezpieczeństwa i pewności.

Majster Hans na placówce dał Malce kawałek ołówka. Teraz, kiedy leży na górnej pryczy, a my wszystkie jesteśmy rozluźnione, przypomina sobie wiersze, które układano w getcie i drobnymi literkami zapisuje je na suficie nad swoją głową; wiersze, które zwykła była zbierać i których nigdy nie zapomni. Wszystkie pomagamy jej przypomnieć sobie słowa. Pożyczam od niej ołówek i zapisuję na suficie jeden z wierszy Wierki, który ułożyła w getcie, to znaczy te strofy, które pamiętam. Następnie Goldowa gasi papierosa i z przedwojenną lekkością ducha melancholijnie odpływamy w sen.

Zanim zima naprawdę się rozhula, udaje nam się załapać na kilka niespodziewanych tygodni ciepłego, jesiennego „lata”. Drzewa na drodze, którą przemierzamy w tę i z powrotem, idąc do pracy, mają jeszcze trochę liści. Podoba mi się tajemnicza,

459 (niem.) *Zgasić światło!*

niebieska poświata o świcie, w której maszerujemy na placówkę. Zapach dojrzałych owoców unosi się w powietrzu. Ptaki, wstające wcześnie, ćwierkają. Szczekają psy. Niebo, wielkie i otwarte, odgrywa dla nas na wschodzie spektakl świtania, podczas gdy księżyc i gwiazdy świecą jeszcze ponad naszymi głowami.

Nasza grupa każdego ranka stara się znaleźć w pierwszym rzędzie kolumny, którą maszerujemy do pracy, żeby nie mieć przed oczami rzędów pasiaków; by stworzyć złudzenie, że nikt nas nie pilnuje i jesteśmy wolne. Pozwala nam to też lepiej widzieć wschód słońca i grę barw oraz formacje chmur na niebie.

Hanka pociąga kapiącym nosem i za każdym razem powtarza tę samą litanię.

– Co za kontrast! Piękno natury i brzydota człowieka. Nikt na świecie nie wie o tym tak dobrze jak ja.

Malka zwykle wyskakuje ze swoją własną litanią i mówi:

– W naturze też jest brzydota. Jedno zwierzę pożera drugie. Ludzkie zwierzę różni się od innych zwierząt tylko jednym szczegółem. Czerpie przyjemność z zabijania dla samego zabijania. Zabijanie jako rozrywka.

Również Sorka rzuca banalnym spostrzeżeniem:

– Ale z drugiej strony, ludzkie zwierzę ma intuicję moralną. Natura nie jest ani moralna, ani niemoralna. Człowiek wprowadził do świata poczucie moralności.

– Idź to powiedz naszym strażnikom! – Śmieję się.

Powstrzymuję się od brania udziału w tych filozoficznych dyskusjach. Szybko mnie irytują. Moje ciało, obezwładnione jeszcze przez sen i głód, jest jak oddzielone od duszy. Prowadzona jakby przez światła jutrzenki, moja dusza błądzi pośród mglistych, marzycielskich sfer. Nigdy w życiu nie czułam tajemniczej wspaniałości natury tak wyraźnie, jak w tych oto chwilach, a gadanina moich towarzyszek zakłóca ich urok.

Również nasi strażnicy, poza pojedynczym esesmanem, nie są skłonni do filozofowania podczas tych porannych marszy. Są pobudzeni. Wyrwani ze snu kiedy jeszcze było ciemno, nie wiedzą wciąż dobrze, co zrobić ze swoimi prywatnymi troskami, albo z troskami o ojczyznę. Dlatego strząsają senność z głów i członków, gimnastykując ręce i nogi. Biją, kopią i ryczą na nas, żebyśmy wyprostowały szyk.

Esesmanka Frau Hammer, korpulentna blondynka, strofuje nas kwaczącym głosem i krzyczy, żebyśmy przestały trajkotać jak Żydzi w synagodze. Jest jeszcze całkiem młoda, ma ładną krągłą twarz, mlecznobiałą skórę i parę stalowoszarych, złych oczu. Szczerze nas nie cierpi; z ciekawością obserwuję, jak iskry nienawiści odbijają się w jej stalowych oczach. Nie może się powstrzymać. Widzi w nas nie ludzi, ale robaki w ludzkiej formie.

– Nie łudźcie się – pociesza nas – i nie wmawiajcie sobie, że wyjdziecie stąd żywe.

Pewnego poranka Frau Hammer niespodziewanie wychodzi na przód kolumny i zaczyna maszerować obok nas. Jej obecność mi przeszkadza, rzucam jej bokiem niezadowolone spojrzenie. Łapie je natychmiast i wymierza mi sążnisty policzek.

– Nie gap się na mnie tymi swoimi wężowymi oczami, *blöde Kuh*[460]!

Oszołomiona, ogłupiała, wypalam bez zastanowienia:

– Nie mam nic na sumieniu.

Jest zaskoczona tym, co usłyszała, i moim spokojem; brakuje jej słów, żeby odpowiedzieć. Wymierza mi drugi policzek i rzuca:

– Tak czy siak zdechniesz.

Ale jej ręka, trzymająca bicz, jakby drętwieje; odsuwa się ode mnie. Niejeden raz igram w taki sposób z ogniem w obozie Hummel.

Gdy tak kroczymy długim marszem do pracy, nasi strażnicy męczą się w końcu dyscyplinowaniem nas i oddają się swoim osobistym medytacjom. Wówczas wykorzystujemy sposobność, żeby oderwać się od kolumny i puścić się na moment w kierunku przydrożnych śmietników. Weźmy na przykład wiecznie wygłodniałą Fejgę, kobietę z dużym, nabrzmiałym od głodu brzuchem, która maszeruje zaraz za nami. Przyczepiła się do Balci w nieprzyjemny sposób. Fejga daje sygnał i ciągnie Balcię za rękaw. Ale z szyku wybiegam ja, nie Balcia. Najczęściej karzą nas od razu na miejscu; czasem strażnicy każą kapo zapisać nasze numery, żeby przydzielono nam karę w obozie. Lecz czym dalej, tym częściej strażnicy przymykają oko. Z upływem czasu część z nich cieszy się nami coraz bardziej, tak jak człowiek cieszy się z psa, zwyczajnie z powodu nudy. A może usłyszeli jakąś poruszającą nowinkę z frontu i głęboko w sercach zaczynają się nas bać.

Maszeruję z brzegu mojej piątki i czasami, po powrocie z brawurowej eskapady do śmietników, przypada mi zaszczyt dostrzeżenia, jak przy moim boku pojawia się jedyny w obozie esesman. To zwalisty mężczyzna, zwykle niezbyt rozmowny. Uważa, zdaje się, podobnie jak Frau Hammer, za swój niemiecki obowiązek zburzenie mojej iluzji wolności. Nie wiem, dlaczego wybiera, by właśnie ze mną dzielić swoje poranne medytacje. Zapewne chce, żebym z własnej wolnej woli zapewniła, że podła żydowska rasa zwiodła świat na manowce wojny i zgotowała nieszczęście cywilizowanej ludzkości.

Balcia, która maszeruje po mojej lewej stronie, nieustannie szczypie mnie w ramię i sugeruje, że powinnam pozwolić łajdakowi gadać, aż go cholera nie weźmie i że nie powinnam odważać się na otwarcie ust. Nie tak dawno temu przeżyła bliskie spotkanie z tym draniem. Goldowa kazała jej przyjść po pracy do kuchni obozowej i wykopać kilka zgniłych ziemniaków, które ona, Goldowa, zagrzebała dla nas w ziemi. Kiedy Balcia wykopała ziemniaki, schowała je pod ubraniem i wyprostowawszy się, stanęła twarzą w twarz z esesmanem. Ze strachu aż popuściła, i dziękowała Bogu, że o nic jej nie zapytał, jedynie uderzył w twarz i powiedział: „wynoś się stąd!".

Ten mój towarzysz marszu tak długo mi truje, aż w końcu nie wytrzymuję i muszę mu odpowiedzieć. Mówię mu, że jestem „głupią krową" i nigdy nie

[460] (niem.) *głupia krowo!*

myślałam o tak głębokich sprawach. Jako że moi rodzice byli biednymi robotnikami i nie byli ważniejsi nawet od naszego dozorcy, nie ma sensu prowadzić ze mną rozmowy o świecie. I że to samo można powiedzieć o całej mojej rodzinie, o innych więźniarkach z mojej piątki i o ich rodzinach. Ale jeden raz, kiedy już naprawdę działa mi na nerwy, odpowiadam na jego argumenty ze szczerością wariata i mówię mu, co naprawdę myślę. Daje mi to tak potężne poczucie satysfakcji, że jestem gotowa na to, co przyjdzie mi za taką wypowiedź. Czego mam się bać? Jestem tak lekka jak piórko. Nie mam mamy, taty, siostry czy brata, którzy drżeliby o mój los. Owszem, mam przyjaciół, ale również z nimi nie czuję się w tej chwili związana, maszerując obok diabła w ludzkiej skórze, który opluwa mój naród jadowitymi słowami, a moje życie wisi na włosku.

Tego samego dnia na placu budowy, kiedy pcham mój pełen kamieni wózek w kierunku kupy kamieni na skraju pustego obszaru, esesman znowu mnie zaczepia. Każe innym dziewczynom, które pchają razem ze mną wózki, „robić dalej", a mnie odciąga na stronę, rozgląda się i kontynuuje rozmowę, którą prowadził ze mną w drodze do pracy.

Gdy tak ze mną stoi, żegnam się ze swoim życiem, przekonana, że nie pozwoli mi wrócić na miejsce, ale zamiast tego zaciągnie mnie na środek placu budowy i wsadzi kulę w łeb. Ale gdy tylko dostrzega majstra Hansa, zbliżającego się, żeby zapytać, co się ze mną dzieje, wówczas esesman daje mi polecenie, żebym wróciła do wózka. Zaczyna być dla mnie jasne, że niemieckie klęski na froncie sprawiają, iż ten aryjski przystojniak przechodzi moralny kryzys.

*

Hans i Bernhard to nasi dwaj ulubieni majstrzy na placu budowy. To uprzejmi Niemcy z Hamburga, obaj w wieku poborowym. Wyglądają na wystarczająco zdrowych do służby wojskowej, ale z niewiadomego powodu przybito im oficjalnie pieczątkę „niezdolny do noszenia broni". Dziwię się, dlaczego nie posłano ich do obozu koncentracyjnego, albo do więzienia. Sądząc po ich zachowaniu i sposobie zwracania się do nas, zdecydowanie zasłużyli sobie na ten zaszczyt. Balcia na przykład podejrzewa, że w żyłach majstra Hansa płynie kropla żydowskiej krwi. Co się tyczy Bernharda, to dla nas jasne jak słońce, że jest komunistą.

Hans jest mężczyzną średniego wzrostu, po trzydziestce, ale jego tusza sprawia, że wygląda starzej. Bernhard jest wysoki i szczupły. Jest dla nas oczywiste, że ani jeden, ani drugi nie są ekspertami w budowaniu domów, i że plac budowy bez problemu mógłby obyć się bez nich.

Na placu budowy jesteśmy podzielone na grupy po dziesięć. Czasami, kiedy nikt nie patrzy, Bernhard nakazuje, żeby nasza dziesiątka poszła odpocząć, a on sam robi naszą pracę za nas. Robimy, jak każe, i przyglądamy się z wielką przyjemnością, jak poci się i dyszy. Bardzo go lubię, a Malka jeszcze bardziej ode mnie. To jeden z jej ludzi, zakochanych w polityce po uszy i doskonale poinformowanych.

Przekazuje jej wieści z frontu, razem z komentarzami swoimi i z BBC. Dowiadujemy się od niego, że Warszawa została wyzwolona[461], że ulokował się tam polski rząd, i że Gdańsk jest znowu w polskich rękach. Mój własny kontakt z Bernhardem jest minimalny. Śmiertelnie się boi, żeby nie zwąchano, że z nami spiskuje. Pewnego razu przynosi Malce orzecha włoskiego jako prezent, pokazując, że pod względem jedzenia też jest w znacznym stopniu w kropce.

Kiedy nie pracujemy z Bernhardem, pracujemy z Hansem. Hans jest jeszcze bliższy mojemu sercu niż Bernhard. Chodzi zawsze z ciepłym, dobrotliwym uśmiechem na okrągłej twarzy i z załadowaną po brzegi teczką w ręce. Obawia się, że jego dom może zostać zbombardowany w czasie, kiedy jest w pracy. Dlatego nigdy nie wypuszcza z ręki wypchanej teczki z najcenniejszymi rzeczami i targa ją ze sobą, gdziekolwiek idzie i cokolwiek akurat robi. A chodzi więcej, niż robi, bo robić nie robi nic, a do tego pilnuje, żebyśmy nie robiły więcej od niego. Szwenda się między nami, a jego główną funkcją jest wykorzystywać każdą sposobność, by zaoszczędzić siły i sprawiać tylko wrażenie ciężkiej pracy.

Choć Hans jest blondynem, bardzo przypomina mi Ciebie, Abraszko, nie wiem czemu. (Nie bierz mi tego za złe). Długi, znoszony płaszcz zwisa mu z ramion, a długi, postrzępiony szal jest zawiązany na jego gardle. Jest człowiekiem cieszącym się z prostych życiowych przyjemności; kocha innych ludzi. To jasne, że wojny potrzebuje jak dziury w moście i że tak samo jak my boi się strażników. Ma ich na oku i daje nam znać, kiedy patrzą w naszą stronę. Bez przerwy rozgląda się wokoło. Jego głowa i oczy nie znają spoczynku. Gdy tylko syreny zawyją na alarm, wpada w śmiertelną panikę.

Pracuję w jednej dziesiątce z Malką. Sorka i Hanka są w innej dziesiątce, a Balcia stoi na rusztowaniu. Ale przeze mnie i Malkę zawiera Hans znajomości z pozostałymi w naszej grupie i gdy zachodzi potrzeba, staje się naszym posłańcem. Ma dużo zaufania do Balci, specjalistki od budowania. Ta ponownie dochodzi do wniosku, jak zwykle, kiedy kogoś polubi, że Hans jest nie tylko żydowskiego pochodzenia, ale jest również socjalistą. Bo jeśli nie, to skąd miałby tak dobre serce i tak szeroki uśmiech? Ale mimo to nie ufa mu. Nie ufa żadnemu Niemcowi, nawet najbardziej żydowskiemu. Ja ufam Hansowi. Nie tylko przypomina mi Ciebie, Abraszko, ale także Menachema Mendla[462] z powieści Szolema Alejchema. Kiedy tak rozmyślam nad kobiecym wydaniem tego typu charakteru, czuję się mu bliska.

Hans jest aniołem stróżem naszej grupy. W swojej wypchanej teczce zawsze znajduje miejsce na to, żeby coś dla nas przynieść. Dzięki temu cała nasza piątka nosi bieliznę, którą przesyła nam jego żona. Strażnicy, którzy obmacują

---

[461] Armia Sowiecka wkroczyła do Warszawy 17 stycznia 1945 r., w Gdańsku biało-czerwona flaga pojawiła się dopiero 28 marca 1945 r.

[462] Zob. przypis s. 370.

nasze pasiaste ubrania w poszukiwaniu worków po cemencie, nie mają żadnych podejrzeń przy dotykaniu elastycznego materiału pasiaków. Nijak nie przychodzi im do głowy, że, jak prawdziwe kobiety, nosimy prawdziwą bieliznę.

Hans przynosi nam również skibeczki chleba, które są zapewne częścią posiłku, jaki żona szykuje mu do pracy. Kromeczki te posmarowane są margaryną. Czasami znajdzie się na nich plasterek sera albo kawałeczek kiełbasy. Każdego dnia Hans przechodzi przypadkiem obok nas i mrugnięciem wskazuje, gdzie „zostawił" egzemplarz gazety „Hamburger Zeitung". Podnoszę ją szybko, składam tak bardzo, jak się da, i wpycham do mojego drewniaka.

W drodze powrotnej strażnicy wydają rozkaz: „śpiewać!". Wówczas dowodzenie przejmuje Lea, nasz kanarek. Lea straciła bardzo na wadze, ale jest silniejsza od nas wszystkich. Jest tak samo lekkomyślna jak my wszystkie. Układa bojowe pieśni przeciwko Niemcom, dopasowuje do nich melodie polskich marszy wojskowych i powtarza je z nami. Śpiewamy więc z ochotą jej piosenki, albo inne rewolucyjne marsze po polsku. Gdybyśmy chciały śpiewać w jidysz, strażnicy zrozumieliby sens słów.

Cóż to za satysfakcja śpiewać głośno i beztrosko o klęsce zła i tryumfie prawości, podczas gdy złoczyńcy synchronizują swój marszowy krok z naszym i, zarażeni entuzjazmem i rytmem melodii, których udało im się nauczyć, nucą razem z nami, stawiając akcent, tak jak my, na tych miejscach, które wzywają do walki aż po zwycięstwo. Z wyraźną satysfakcją maszerują naprzód, jak nam się zdaje – po swoją własną klęskę. Kiedy pytają o przekład słów, mydlimy im oczy gadką szmatką.

Gdy tak radośnie maszerujemy i śpiewamy, często zbiera mi się na śmiech, nie tylko z powodu radości, jaką daje mi „porachowanie się" z naszymi strażnikami poprzez śpiewanie, ale także z powodu „Hamburger Zeitung" łaskoczącej mnie w piętę.

Wieczorem po powrocie do obozu prędko czytamy wszystko, co jest do przeczytania w gazecie i drzemy ją na kawałki. Goldowa pożycza nam zapałki, których używa do zapalania papierosa. Przy ich pomocy spalamy papier w blaszanej puszce. Omawiamy to, co wyczytałyśmy pomiędzy wierszami, i pod osłoną panującej na zewnątrz ciemności biegamy po pozostałych barakach, żeby roznieść wieści pomiędzy dziewczynami.

Dzięki ekspertyzie Hanki uczymy się całkiem dobrze czytać pomiędzy wierszami „Hamburger Zeitung" i oswajamy się z sytuacją strategiczną, wojskową i dyplomatyczną. Znamy na tyle dobrze „ich" i „nasze" pozycje, że uważamy się za wystarczająco kompetentne, z Hanką na czele, by stworzyć krąg kobiet

z każdego baraku, żeby szerzej omawiać z nimi zarówno sytuację na świecie, jak i naszą własną. Hanka, z kapiącym nosem, wygłasza nam porządne referaty o charakterze politycznym i społecznym, referaty pachnące przedwojniem. Ale w jednym temacie jest tak samo niepoinformowana jak my wszystkie: nie mamy najmniejszego pojęcia, jak się zachować, kiedy nadejdzie decydujący moment. Mimo dobrych wieści i naszej pewności co do niemieckiej klęski, mamy poczucie, że taki moment nigdy nie nadejdzie. Można sobie zobrazować dzień wyzwolenia w marzeniach, ale nie kiedy chce się wymyślić, jak będzie wyglądał w rzeczywistości.

W sprawach polityki lubuję się bardziej, kiedy nie jest obecna w moim życiu. Polityka wygląda mi mimo wszystko na rodzaj zabawy chłopców, którzy urośli, ale nie zmądrzeli. Zamiast bić się chłopięcymi pięściami na rogach ulic, przenoszą te bijatyki, jako mężczyźni, na szersze, większe pola bitew, zamieniając tekturowe miecze na karabiny, armaty i bombowce. I zamiast mordować lub umierać na niby, mordują naprawdę i naprawdę giną. Jakie to głupie – uważać wojskowych za bohaterów, za ucieleśnienie męstwa i odwagi! Przez pokolenia oczarowywali nas, kobiety, swoją kogucią pychą. Sprawiało nam zaszczyt paradowanie pod rękę z facetem przystrojonym w mundur z błyszczącymi guzikami, z epoletami i medalami. Ale prawdziwy mężczyzna, tak samo jak prawdziwa kobieta, to przecież ktoś, kto wie, jak budować, a nie burzyć. Jednak wojna, która się teraz toczy, to święta wojna. „Chłopcy" z wrogiego obozu są opętani przez diabła. Dlatego powstrzymuję się od myślenia z pogardą o naszych „chłopcach", którzy biją się, żeby przynieść nam wolność.

Oprócz Hansa i Bernharda, naszych aniołów stróży, są jeszcze aniołowie w postaci kierowców ciężarówek, którzy przywożą materiał na plac budowy. Nie mamy z nimi kontaktu. Ale przejeżdżając obok nas podczas pracy, wyrzucą czasem przez okno samochodu bułkę.

Taka bułka należy zwykle do tej kobiety, obok której nóg spadnie. Jest jednak zobowiązana podzielić się nią ze wszystkimi tymi, które widziały, jak wypada z samochodu. Bułka jest dobrze chowana, ale wieść o tym szczęśliwym przypadku idzie jak piorun przez plac budowy. Cały dzień mówi się o tym zdarzeniu, tak z zazdrością i żalem, że nie należy się do grona szczęściarzy, jak i z wiarą. Jak grające na loterii wierzymy w następny raz, kiedy to same wylosujemy szczęśliwy numer. Serca pokrzepia świadomość tego, że w Niemcach zachowały się jeszcze okruchy człowieczeństwa.

Pewnego dnia ten szczęśliwy traf pada na mnie, niezdarę. Jestem sama, oddana na mój flegmatyczny sposób swojej pracy. Wykładam kamienie z wózka na stos w odległym zakątku placu budowy. Strażnik jest daleko za moimi plecami. Moje myśli krążą gdzieś w zamglonych sferach, nie zwracam uwagi na zbliżającą się ciężarówkę. Nagle dostrzegam bochenek chleba spadający ku mnie jak

z nieba i lądujący pod moimi stopami. Nie od razu pojmuję, co się stało. Kiedy dochodzę do siebie, auto jest już daleko. Zdaje mi się, jakbym z jednego snu wpadła w drugi. Nie wierzę własnym oczom. Ja – tak wyróżniona i zaszczycona? Może to oznacza, że jest mi pisane przeżyć wojnę?

Zawstydzona, niepewna, podnoszę bochenek chleba, chowam w ubraniu i porządnie zaciskam sznur wokół mojej talii. I w ten sposób, z chlebem za pazuchą, szukam oczami członkiń mojej grupy. Jestem pewna, że nikt nie zauważył tego, co się stało. Ja sama ledwo zauważyłam. Dlatego moją pierwszą trzeźwą myślą jest to, że nie tylko mam szczęście, że dostałam bochenek, ale też, że nie będę musiała się nim z nikim dzielić, poza moimi najbliższymi.

To błąd. Kiedy rozglądam się dookoła jeszcze raz, zauważam Frejdlę. Pracuje w budynku kierownictwa i stoi tam na progu. Frejdla ma wymarzoną pracę. Cały dzień spędza w ciepłym i otrzymuje z pewnością trochę chleba od majstrów. Frejdla jest dziewczyną z siódmej klasy, która grała czarownicę w *Jasiu i Małgosi* na *Wiosennym poranku* w szkole Medema, i zwykła towarzyszyć mi w drodze tramwajem do domu. Dlatego bardzo ją lubiłam. Teraz nazywa się Frida. W obozie Hummel patrzymy na nią, moja grupa, z pewną niechęcią, z tego prostego powodu, że wiedzie jej się tak dobrze. Teraz rozgląda się, czy strażnik nie widzi i ostrożnie podchodzi do mnie.

– Widziałam. – Uśmiecha się do mnie szelmowsko i mówi, że należy jej się pół bochenka chleba, którym podzieli się ze swoją siostrą.

– Nie! – wycedzam przez zaciśnięte zęby. – Mam cztery własne wspólniczki do chleba.

– Cóż, zobaczymy, co z tego będzie – mówi, po czym biegnie z powrotem do budynku kierowniczego.

Jestem wstrząśnięta. Twarz mi płonie. Poprawiam bochenek za pazuchą, zaciskam jeszcze mocniej sznur wokół talii i, na wpół pochylona, biegnę do Balci na rusztowanie. Wdrapuję się do niej po drabinie i ciężko sapiąc, opowiadam, co się wydarzyło. Balcia zagląda mi za pazuchę, żeby zobaczyć bochenek na własne oczy. Pytam, czy powinnyśmy podzielić się z Fridą, na co odpowiada kategorycznie:

– Nie! Ona żyje, bądź co bądź, haniebnie.

Balcia postanawia schować bochenek między płytami cementu, dopóki nie będziemy w obozie. Zaraz potem zmienia zdanie i wysyła mnie do Hansa, żeby schował dla nas bochenek aż do fajrantu.

Cwałem biegnę do Hansa, daję mu bochenek i wybieram się z powrotem do mojej kupy kamieni. W drodze powrotnej łapię kontakt z Sorką i Hanką, tak, żeby całe moje towarzystwo wiedziało, jak się rzeczy mają. Wszystkie jesteśmy tak bardzo wzburzone i poruszone, tak bardzo wściekłe na Fridę za to, że ma czelność żądać połowy chleba, i tak bardzo martwimy się, co Frida może wykombinować, że ledwo jesteśmy w stanie kontynuować pracę. Z daleka widzę, jak Balcia stoi przy drabinie, obok niej stoi Hanka, i szepczą do siebie podekscytowane.

Gdy tak na nie patrzę, nagle widzę, jak dwa wózki kamieni, pchane przez dwie grupy dziewcząt, zderzają się ze sobą z wielkim łoskotem. Oto jedna z dziewcząt leży na ziemi, przygnieciona przez wózki. Boję się podbiec. Nikt spośród pozostałych grup nie podbiega. Majstrzy rozsuwają wózki. Frau Hammer i strażnicy są na miejscu. Dziewczyna się rusza. Pracujące z nią kobiety odciągają ją na stronę. Oto widzę, jak do Frau Hammer podchodzi Lea. Coś do niej mówi. Frau Hammer odpycha ją od siebie silnym pchnięciem. Lea przewraca się, uderzając głową o wózek.

Nadchodzi czas, by wrócić do obozu. Na tyłach kolumny kilka dziewcząt wlecze ze sobą omdlałą dziewczynę, którą przygniótł wózek, a kilka innych prowadzi Leę, która ma poranioną, zakrwawioną głowę. Frau Hammer idzie za nimi i popędza je naprzód. Wszystkie więźniarki rozmawiają szeptem o tym, co się wydarzyło w obozie. Dowiadujemy się, że przygnieciona dziewczyna ma na imię Guta. Nie znamy jej. Lea interweniowała u Frau Hammer, żeby odwieziono Gutę na taczce prosto do obozu. Kiedy Frau Hammer odmówiła, Lea wykrzyczała jej:

– Niech się pani zastanowi, Frau Hammer, zbliża się dzień rozliczenia!

Dlatego Frau Hammer potraktowała ją pchnięciem i przewróciła ją. Tak, Lea pozwala sobie na zbyt wiele.

Mówi się też o zdarzeniu z bochenkiem chleba. Wszystkie kobiety już wiedzą, że nie chcemy się podzielić z Fridą.

– Wstyd i hańba! – Kręcą głowami z pogardą na nasz widok. – To one, koleżanki z ruchu! Słowo „sprawiedliwość" nie schodzi im z ust. Ale kiedy przychodzi co do czego, są największymi egoistkami na świecie – szepczą za naszymi plecami.

Balcia, która trzyma teraz bochenek u siebie za pazuchą, szczypie Malkę w ramię, żeby siedziała cicho, i nam też nakazuje, żebyśmy nie odzywały się nawet słowem.

Ale Malka nie może się powstrzymać. Odwraca głowę i odpowiada nagle rozszeptanym kobietom za nami:

– Macie współczucie dla Fridy? Bardzo ładnie z waszej strony. Nie ma co jeść, biedaczka, która cały dzień spędza w nagrzanym budynku dla majstrów!

– A żebyś wiedziała, że nie ma! – krzyczy siostra Fridy. – Dobrze wiesz, że nie wszyscy majstrzy są jak wasi Hans i Bernhard.

– Tak, a co z wami, co dostajecie rzeczy od Hansa i Bernharda? Myślicie, że nie wiemy? – wtóruje kolejna kobieta siostrze Fridy.

Inna kobieta woła wściekła:

– To jest kwestia solidarności! Jest obowiązkiem każdego poddać się zasadom, które same ustaliłyśmy.

Starcie trwałoby jeszcze dalej, gdyby Frau Hammer z tyłu kolumny nie wtrąciła się, krzycząc, żebyśmy przestały trajkotać jak na żydowskim targu. Pada rozkaz, żeby śpiewać.

Maszerujemy i beczymy. Nie chce nam się śpiewać bez Lei. Chcemy milczeć w proteście. Balcia przypomina, że musimy oddać kawałek chleba Fejdze, której

brzuch jest tak nabrzmiały z głodu, że wygląda, jakby była w ciąży. W tej chwili szczerze nienawidzę Fejgi.

Po powrocie do obozu prowadzą Leę i Gutę do budynku dla chorych. Po apelu i wydaniu zupy wołają mnie do baraku pięknej kapo, Reli. Malka idzie ze mną. Zdecydowałyśmy podzielić się chlebem z Leą i Gutą. Rela oznajmia nam bez ogródek:

– Słyszałam, co się wydarzyło na placu budowy. Sprawa jest prosta. Albo oddajecie Fridzie połowę bochenka, albo będziecie miały kłopoty.

Malka i ja, wzburzone, próbujemy wyjaśnić Reli, dlaczego według nas Frida nie ma prawa otrzymać części chleba.

– Po raz pierwszy mamy szczęście. Żadna z mojej piątki nie dostała jeszcze nigdy chleba z ciężarówki. Chcemy choć raz zaznać smaku porządnego kawałka chleba. A jeśli dzielić się, to wolimy z Leą i Gutą – mówię Reli.

Rela nie daje się przekonać. Nie ma innego wyboru, jak zwrócić Fridzie pół bochenka. W jakiś czas później siedzimy na pryczach i z wielką pompą bierzemy się za dzielenie chleba. Balcia odrywa kawałek dla Fejgi, następnie dwa kawałki dla Lei i Guty, a resztę z połowy bochenka rozdziela na pięć małych porcji. Nie wiem, czy tylko mi się zdaje, ale mam wrażenie, że największy kawałek chleba podaje Malce. Chleb jest pełen dziur, wyschnięty i kruchy, rozpada się w rękach. Jeden gryz i jeszcze jeden, przełknięte razem z garścią okruchów, i koniec balu.

Biegnę do budynku dla chorych z dwoma kawałkami chleba dla Lei i Guty. Sztubowa przyjmuje chleb, ale nie wpuszcza mnie do środka. Kapo Irka wychodzi do mnie na zewnątrz.

– To ty przysłałaś chleb? Bardzo ładnie z twojej strony – mówi mi. – Ale to nie chleb im teraz potrzebny. Guta potrzebuje glukozy. Oberscharführer nie pozwala nawet dać jej wody z cukrem. Dlatego przyniosłam trochę mojego cukru. Mam dzisiaj urodziny i Herr Strauss dał mi woreczek cukru na prezent.

– A Lea? – pytam.

– Mówią, że Lea dostała wylewu. Jest nieprzytomna. Frau Hammer zagląda do niej co parę minut. „Daj jej zdechnąć", powiedziała do lekarki.

Parę dni później pewna dziewczyna popełniła samobójstwo na placu budowy. Była w grupie Guty i trzymała się z nimi razem. Rzuciła się pod jedną z nadjeżdżających ciężarówek. Kto wie, może w ten sposób pozbawiła kogoś sposobności otrzymania wyrzuconego kawałka chleba. Sonia i ta dziewczyna są jedynymi ofiarami samobójstwa, które znam z lat spędzonych w getcie i w obozach – nie licząc Żydów przywiezionych do łódzkiego getta, tych, którzy przybyli z zagranicy[463]. My, polscy Żydzi, trzymamy się z reguły życia aż do ostatniej chwili.

---

[463] W październiku i listopadzie 1941 r. do łódzkiego getta Niemcy przywieźli blisko 20 000 Żydów z Rzeszy, Austrii, Czech i Luksemburga. Wielu z nich z powodu przygnębienia odebrało sobie życie. W 1942 r. najwięcej samobójstw odnotowano właśnie wśród zagranicznych Żydów.

*

Jest wieczór, po długim, szarym dniu. Chmury wiszą nisko nad głowami. Wracamy z placu budowy bardzo zmęczone i głodne. Jest po apelu. Oto otwierają się okienka kuchni. Kobiety niecierpliwie chwytają menażki i ustawiają się w kolejce, by otrzymać zupę. Rozzłoszczone, pchają się, przepychają nawzajem i próbują, tak prędko, jak tylko się da, dorwać się do okienka, przez które wydzielana jest ciepła, wodnista zupa. My też się pchamy.

O tej porze dnia plac apelowy roi się od strażników i esesmanek. Oberscharführer też jest na dworze. Starsza obozu, Hilda, i wszystkie kapo biegają w tę i we w tę, robiąc porządek w zdziczałym z głodu stadzie więźniarek. To czas, w którym starsza obozu i kapo pokazują panom, że są niezbędne do kontrolowania rozpuszczonej, kobiecej hołoty.

Nasza piątka jest jeszcze daleko od okienka i znajduje się w samym centrum placu apelowego, niedaleko miejsca, w którym stoi Oberscharführer, otoczony swoją świtą strażników i esesmanek. Nagle, jakby wyrosła spod ziemi, Hilda staje twarzą w twarz naprzeciw Sorki. Sorka i Hanka mają niefortunny zwyczaj ściągania na siebie uwagi Hildy, mimo że są bardzo zdyscyplinowanymi więźniarkami i wkładają wiele wysiłku w to, by nie rzucać się w oczy. Być może to właśnie jest powód, dla którego Hilda szuka ich, by zbeształ je za jakieś kompletnie zmyślone przewinienie. Hilda przeszywa Sorkę teatralnym spojrzeniem, jak gdyby chciała ją najpierw zahipnotyzować. Następnie robi ręką szeroki, dramatyczny gest, unosi białą, tłustą dłoń w powietrze i trzyma ją tak przez moment, by upewnić się co do właściwego wrażenia – po czym z plaskiem spuszcza dłoń na policzek Sorki.

To, co robię w następującej po tym chwili, nie ma nic wspólnego z odwagą, ale prędzej ze spontaniczną, palącą potrzebą skopiowania naszej władczyni Hildy, która wywarła na mnie tak sugestywny, dramatyczny efekt. Koniec końców, aktorstwo nie jest dla mnie obcą dziedziną. Automatycznie i z perfekcyjną precyzją powtarzam jej szeroki gest. Podnoszę rękę do góry, trzymam ją tam przez moment, by upewnić się co do właściwego wrażenia, a następnie opuszczam ją na policzek Hildy – z plaskiem. Czerwony odcisk wszystkich moich pięciu palców pojawia się na jej obwisłym policzku.

Wokół mnie zapada martwa cisza. Nigdy w życiu nie doświadczyłam jeszcze takiej ciszy – za wyjątkiem jednego dnia na rampie stacji kolejowej w Auschwitz, podczas selekcji. Cisza dzwoni mi w uszach. Dzwoni moim losem.

Wszyscy widzieli, co zrobiłam, z pewnością widzieli też Oberscharführer i jego świta. Kobiety w kolejce do okienka kuchni zapominają, jak bardzo są głodne. Stoją zastygłe w bezruchu. Wydające zupę, które wyglądają przez okienko, pozwalają chochlom wpaść do garnków. Kapo nawet nie drgną. I tak też stoi Hilda, a razem z nią – nasza piątka. Scena ze *Śpiącej królewny*.

Ja i Hilda mierzymy się wzrokiem. Dwa posągi. Spojrzenia, które odbijają nie powagę, nie szaleństwo – ale odrętwienie. Wyraźnie widzę odcisk moich pięciu palców na

napuchniętym policzku Hildy. Zaraz po tym miga mi przed oczami twarz mamy, którą wkrótce zastępuje twarz Hanki, która przesuwa się w kierunku Oberscharführera. Jąkając się, mówi coś do niego. Słowa, których nie rozumiem, nie słyszę, choć dobiega mnie ich dźwięk. Oberscharführer odpycha ją od siebie porządnym pchnięciem.

– Coś ty zrobiła? – głos Balci dociera do moich uszu.

Wszystkie cztery patrzą się na mnie szeroko otwartymi oczami. Sorka nie zakrywa ręką policzka, stąd widzę, jak śmiesznie wygląda z jednym policzkiem ogniście czerwonym i drugim kredowobladym.

Jest tylko jedna kara za to, co zrobiłam: podróż do „pieca" w Neuengamme, albo, w najlepszym wypadku, darowanie wycieczki i bycie rozstrzelaną z pistoletu Oberscharführera, albo z karabinu strażnika. Nikt nigdy nie uderzył starszej obozu; tej, która reprezentuje władzę panów. A tym bardziej, żeby zrobić to tak otwarcie! Mój cios jest ciosem w twarz tych, którzy dali Hildzie tę wysoką pozycję.

Nie wiem, jak długo trwa ta scena, zapewne gdzieś pomiędzy dwiema minutami a wiecznością. Wtem dobiega mnie rozkaz Oberscharführera: „robić dalej!".

Wydające zupę poczynają ruszać chochlami. Kobiety znów zaczynają pchać się do okienka. Kapo robią porządek ze zdwojoną energią. Kopią, wymachują pięściami i odpychają skłębione kobiety od okienka. Tylko my w piątkę stoimy przyrośnięte do miejsca na środku placu apelowego. Te, które są za nami w kolejce, idą naokoło, omijając nas, jak fale omijające skałę na swojej drodze.

Hilda, widząc, że ani Oberscharführer, ani esesmanki nie reagują na to, co się właśnie stało – lub może łapiąc ich prześmiewcze spojrzenia – odwraca się dramatycznie i z nieopisaną godnością odchodzi od nas. Wówczas podchodzą do nas jej adiutantki.

– Biada ci! – Czarnowłosa Olga łapie mnie obiema rękami za głowę i potrząsa mną szaleńczo, a jej grzywka trzęsie się energicznie razem ze mną.

– Możesz zacząć liczyć, ile godzin życia ci jeszcze zostało. – Wbija mi palec w żebra blondwłosa Magda, uśmiechając się flegmatycznie.

– Olgo najdroższa, Olgo, serce moje. – Balcia ciągnie Olgę za rękaw. – Co teraz będzie? Co oni jej zrobią?

Olga odpycha ją od siebie.

– Sama nie wiesz, głupia krowo? No dalej, domyśl się, spróbuj tylko zgadnąć, co z nią zrobią! Wyślą ją do góry, to z nią zrobią! – Olga wskazuje palcem na niebo.

– Takie idiotki jak ona – Magda nie przestaje żartobliwie szturchać mnie palcem – idą prosto do raju!

Podchodzi nasza swojska kapo, Irka. Zatrzymuje się dwa kroki z dala od nas, wkłada ręce do kieszeni postrzępionego swetra, w który przystroił ją Herr Strauss, by trzymać ją w cieple, gdy on sam nie może tego robić, i gapi się na mnie ze współczuciem, jak na skazaną na śmierć.

– Kretynka! Jesteś jedną wielką, ogłupiałą, ślepą i beznadziejną kretynką! – Kręci głową z pogardą. Olga zapisuje mój numer.

Nie mogę sobie przypomnieć, czy tego wieczora odebrałyśmy nasze zupy. Zdaje się, że Goldowa wysłała je nam do baraku. Co pamiętam, to to, jak siedzimy w piątkę w naszym małym baraku na dolnych pryczach i gapimy się na drzwi. Nie czuję strachu. Nic nie czuję. Nic nie myślę. Pustka w głowie. Słyszę, jak na dworze cichnie zgiełk i wiem, że to nie zajmie długo, zanim Oberscharführer pośle po mnie.

Na dworze zapada cisza. Wchodzi Goldowa i wspina się na swoją pryczę. Zapala papierosa. Nasza piątka nadal siedzi z nastawionymi uszami, wpatrując się w poświatę papierosa Goldowej. Mija dużo czasu, zanim rozlega się gwizd esesmanek: „*Licht aus!* Światła zgasić!".

Wciąż nie czuję strachu. Mam wrażenie, jakby cała sprawa nie miała nic wspólnego ze mną, choć dygoczę z zimna i zimny pot wychodzi mi na czoło. Myślę o mamie – taka bezrefleksyjna myśl, strach, że mogę sprawić mamie przykrość.

Obóz jest pogrążony w ciemności i ciszy. Pada. Z dala nie dobiega żaden dźwięk, poza słabym, monotonnym szumem deszczu. Przez obmyte deszczem szyby nic nie widać. Nadal siedzimy nieruchome, nasza piątka. Goldowa leży na swojej pryczy. Próbuje coś powiedzieć, żeby nas pocieszyć, ale nie reagujemy. Po niedługim czasie słyszymy, jak spokojnie oddycha przez sen.

Drzwi skrzypią nagle i ukazuje się w nich twarz Olgi. Wywołuje mój numer. Nie żegnam się z nikim, podnoszę się tylko na nogi i idę za Olgą. Maszerujemy w deszczu przez mroczny, wietrzny plac apelowy. Olga na przedzie, a ja za nią. Nie zamieniamy ani słowa, aż w końcu dochodzimy do drugiej strony baraków.

– Starsza obozu chce cię widzieć – oznajmia Olga.

Olga wpuszcza mnie do baraku Hildy, który jest tej samej wielkości co nasz, a sama znika. Stoję w ciemności jej pokoju. Cisza dźwięczy w uszach. Długa cisza, którą na koniec przerywa głos Hildy.

– Podejdź.

Idę z mozołem w kierunku, z którego dochodzi głos. Dostrzegam Hildę. Leży na swojej pryczy, ubrana w prawdziwą, białą koszulę nocną. Srebrzysta biel. Jej głowa spoczywa na słomianej poduszce. Zauważam jej odkryte ramiona. W pokoju-baraku jest ciepło. Jest gorąco. Nie widzę jednak, skąd bierze się ciepło.

– Usiądź. – Hilda wykonuje zapraszający gest odkrytą ręką, wskazując na brzeg swojej pryczy. Jestem mokra od deszczu, ale nic nie mówię, wypełniam tylko jej polecenie i siadam. Hilda milczy. Patrzymy na siebie w ciemności. Taka chwila napięcia mogłaby sprawić, że sufit sali teatralnej pękłby i wystrzelił w powietrze. Czuję stęchły zapach mojego zwilgotniałego ubrania. Wstrzymuję oddech. Jest mi gorąco. Powietrze w pokoju jest duszne. Delikatne, grube palce Hildy zaczynają oplatać mój nadgarstek. Zdaje mi się, że przyciąga mnie do siebie.

– Co robiłaś przed wojną? Masz jakiś zawód? – słyszę jej pytanie.

Co robiłam przed wojną? Nie pamiętam. Odmawiam pamiętania. Rozumiem, że Hilda chce, żebym wpierw oddała duszę, zanim oznajmi mi wyrok. Muszę uzbroić się w nadludzką cierpliwość. Zmuszona odgrywać tragikomedię, odpowiadam:

– Uczyłam się, żeby zostać tancerką. – Jestem gotowa roześmiać się razem z Hildą.

– Tancerką? – dopytuje zaskoczona, nie śmiejąc się. Przychodzi mi na myśl, że być może mogę zdobyć serce Hildy, przyznając się do marzenia mojego życia i pokazując jej, że jesteśmy bratnimi duszami. – A te dwie starsze z twojego baraku, która z nich to twoja mama? A dziewczęta, obie są twoimi siostrami?

– Nie. Trzymamy się tylko razem. Nie mam nikogo.

– Ta mała, którą uderzyłam, nie jest twoją siostrą?

– Nie.

– Dlaczego zaryzykowałaś dla niej życie?

– Nie wiem. Nie chciałam... Nie myślałam o tym.

– To znaczy, jesteś całkiem sama. – Hilda raz jeszcze ciągnie mnie za rękę. – I dlatego nie chcesz przeżyć?

– Chcę.

– To, co zrobiłaś na placu apelowym, wskazuje przeciwnie. – Ciężko ochrypły głos Hildy, głos szekspirowskiej aktorki, huczy mi w głowie, jak gdyby dobiegał z głębokiej studni. – Wiesz, jakiego wyroku się spodziewać?

Przerywa, by wzmocnić efekt tego, co zamierza dodać. Widzę ją teraz bardzo wyraźnie. Jej napuchnięta twarz wygląda płasko. Wory pod oczami, sięgające połowy policzków, nadają jej krągły, przesadnie duży wygląd. Arystokratycznym gestem zarzuca obydwie ręce wokół leżącej na słomianej poduszce głowy. Jej biała koszula nocna lśni księżycowym blaskiem. Jest Desdemoną, którą ktoś uratował z rąk Otella.

– Interweniowałam w twojej sprawie u Oberscharführera – słyszę znów głos Hildy. – Powiedział mi: „Rób z nią, co chcesz". Dlatego zdecydowałam... – ponownie zapada cisza. Coś zatyka mi gardło. Nagle Hilda siada i obejmuje mnie swoimi delikatnymi, grubymi ramionami, jej twarz tak blisko mojej, że zaczynam mrużyć oczy. – Wysłuchaj mnie – mówi, a w jej szekspirowskim głosie pobrzmiewa szczery ton.

Przełykam ślinę i mamroczę:

– Tak jest, Frau Lagerelteste.

– Bardzo mnie poruszyło to, co zrobiłaś – deklamuje z bliska. – Nie mogę ci wybaczyć, że tak mnie zawstydziłaś na oczach całego obozu... a co gorsza, zawstydziłaś mnie w moich własnych oczach[464]. Tak, podziwiam twoją obojętność wobec życia, rozumiesz? – Jej delikatne palce przesuwają się wzdłuż mojej mokrej ręki i, wilgotne, znów chwytają za przegub mojej dłoni. – Leżę tu

---

[464] To wydarzenie zainspirowało jedno z najbardziej złożonych opowiadań Chavy Rosenfarb pt. *Zemsta Edzi*, napisane z punktu widzenia kapo. Po raz pierwszy opublikowane w jidysz w „Di Goldene Kejt" nr 126, 1989, a potem po angielsku w obu zbiorach opowiadań pt. *Edgia's Revenge*. Zob. Źródła przypisów.

tak – kontynuuje – i cały czas myślę o tobie. Zapewne instynktownie wyczułam, że teatralność nie jest ci obca, że jesteś jak ja... artystką dramatyczną. – Wydaje z siebie krótki, tragiczny śmiech. – My wszystkie gramy w ostatnim akcie, moja droga. Przejaskrawiamy i fuszerujemy w naszych rolach, bo nie było jeszcze nigdy takiego dramatu, czy też takiego baletu. Nie ma żadnego aktora, z którym mogłybyśmy się porównywać, albo próbować go przewyższyć. Nie ma też publiczności. Nie ma żadnej publiczności. Oczywiście są wśród nas takie, które wierzą, że ich histeria i melodramatyczne jęki dotrą do uszu publiki gdzieś tam, na zewnątrz, czy też do uszu Boga. Głupie krowy, oto kim są. Ale większość z nas wie, że jesteśmy aktorami w pustym teatrze. Nikt nas nigdy nie usłyszy... Nikt nam nie będzie bił braw, nikt nas nie wygwiżdże. Nikt nie będzie o niczym wiedział. Kurtyna zapadnie i będzie tak, jakby nigdy się nie podniosła. Zgadzasz się, hm?

– Tak – odpowiadam. Ale to, na co się zgadzam, to fakt, że daruje mi życie. Czuję to. Jestem gotowa podnieść jej białą, pulchną dłoń do ust i ucałować ją z wdzięcznością. Chcę jej powiedzieć, że przywraca mi wiarę w człowieka, bądź parę innych, płytkich, napuszonych fraz, w które istotnie w tym momencie wierzę.

– Masz mnie za potwora bez serca, hm? – Z gracją kładzie się z powrotem na poduszce. – Muszę grać tę rolę, moja droga. Staram się przedłużyć sobie życie. Dlatego nie jestem tak obojętna jak ty, o nie! Jestem aktorką dramatyczną pierwszej klasy. Miałam męża, zdolnego scenografa. Miałam dwoje dzieci. Dwóch chłopców. Nie spałam z mężczyzną przez ostatnie cztery lata. Spałam ze śmiercią. Dwa lata byłam w Auschwitz. Dlatego wiem, ile jest wart dzień życia. Tymczasem jednak zazdroszczę takim ludziom jak ty, takim optymistom, dla których zmarnowanie sobie życia nie gra żadnej roli, tak jak za starych, dobrych czasów. Ale na tej scenie, na której teraz się znajdujemy, moja droga, w teatrze bez publiczności, każdy gest, każdy niezależny krok, który ktoś robi, bardziej odsłania prawdziwy charakter tego człowieka niż spędzenie z nim wielu lat w normalnych okolicznościach. Nie sądzisz, że tak jest?

– Tak, Frau Lagerelteste. – Kiwam głową. Ledwo rozumiem jej gadaninę, tak pijana jestem ogarniającą mnie radością.

– Ale teraz, kiedy odegrałaś swoją wielką scenę, pozostałaś zapewne bez nawet odrobiny energii, jesteś znużona, prawda?

– Tak, Frau Lagerelteste – jąkam się. – Jestem zmęczona.

– Chciałabyś może zostać tu u mnie przez noc? Moja prycza jest szeroka, i, jak widzisz, mam poduszkę.

Czy w tym pytaniu ukryty jest rozkaz? Czy narażę na niebezpieczeństwo to, co dopiero wygrałam, odpowiadając szczerze? Zajmuje mi długą chwilę, zanim odpowiadam bez ogródek:

– Dziękuję, Frau Lagerelteste. Moje współlokatorki ucieszą się, kiedy zobaczą mnie z powrotem... Jeśli mogę, Frau Lagerelteste...

– Możesz. – Hilda majestatycznie potrząsa głową. – Idź więc. A ja dopilnuję, żeby dali ci codziennie dodatkową porcję zupy[465].

Wstaję. Ujmuję jej dłoń i ściskam ze szczerym, autentycznym poczuciem koleżeństwa. Ale nie mogę wyrzec ani słowa. Słowo „dziękuję" szumi mi w głowie w drodze powrotnej do baraku. Kiedy wchodzę i ogłaszam wszystkim dobrą nowinę, powtarzając mniej więcej to, co zapamiętałam z rozmowy z Hildą, wpadają ze szczęścia w histeryczne jęki.

– Dzieci, zbawienie puka do drzwi! – mruczy Malka. – Nie potrzebujemy lepszego znaku. Teraz musimy obmyślić jedną rzecz...

Całą noc leżymy na wpół obudzone, poruszone, odurzone, i zastanawiamy się, jak obmyślić tę jedyną rzecz: jak przekraść się przez granicę przeznaczenia i przeszmuglować na stronę wolności, kiedy nadejdzie ta chwila.

*

Staję się znana w obozie. Więźniarki patrzą na mnie z niedowierzaniem, zdziwieniem i podejrzliwością, jak na kogoś, kto wrócił z zaświatów. Nawet esesmanki patrzą na mnie innymi oczami. Nagle staje się wiadomym, że jestem tancerką, i tak zaczynają mnie nazywać – Tancerka. Pragnę zapaść się pod ziemię. To imię brzmi tak samo prześmiewczo i groteskowo jak przydomek, który dano mi w szkole: Księżniczka Co-Co.

Każdego wieczora, po wydaniu zupy, wysyłają do naszego baraku kogoś z kuchni, wzywając Tancerkę. Napełniają mi menażkę najlepszą, gęstą częścią zupy, którą zostawia się na dnie garnków dla uprzywilejowanych. W zupie jest wiele kawałków ziemniaków, a konsystencja jest gęsta dzięki płatkom owsianym. Zdarza się nawet, że kiedy ustawiamy się w kolejce do kuchni, żeby odebrać nasze zupy, esesmanka woła donośnie na cały obóz: „*Wo ist die Tenzerin?*"[466] i każe wydającym zupę przy okienku dać mi podwójną porcję poza kolejką. Dzielę się zupą ze swoimi. Tak, koniec wojny się zbliża.

Hilda tymczasem dochodzi do wniosku, że nie robi dla mnie wystarczająco dużo; postanawia więc, że powinnam zacząć się piąć po drabinie obozowej

---

[465] Podobna sytuacja, jak tu opisana, faktycznie miała miejsce w obozie koncentracyjnym Sasel, kiedy to kapo spoliczkowała Zenię Marcinkowską, gdy więźniarki walczyły o przydział zupy. Nie zastanawiając się, Chava Rosenfarb uderzyła kapo, co było aktem nieposłuszeństwa tak poważnym, że mogło skutkować wysłaniem Chavy wraz z resztą jej grupy do komory gazowej. Jak pisze Goldie Morgentaler: „Zamiast tego policzek Chavy przywrócił kapo poczucie własnej moralności. Po całodniowym namyśle, podczas którego Chava i jej pięcioosobowa grupa zostały oddzielone od pozostałych w baraku, kapo przyznała: »Miałaś rację, zmieniłam się w zwierzę«. Od tego momentu Chava, jej matka i siostra, a także Zenia Marcinkowska i jej macocha otrzymywały codziennie dodatkową porcję zupy". Zob. Goldie Morgentaler, *Chava and Zenia*, „Tablet Magazine", 26 stycznia 2018.

[466] (niem.) *Gdzie jest ta tancerka?*

hierarchii. Być może chce w ten sposób wzbudzić we mnie poczucie winy wobec niej, i doprowadzić do prawdziwego zbliżenia między nami. Wówczas pozostałabym też w obozie i nie wychodziła do pracy na placówce; byłoby wystarczająco dużo czasu, żebyśmy my, dwie bratnie dusze, gruntownie zapoznały się ze sobą.

Zostaję wyznaczona na zaszczytne stanowisko pokojowej. Moja główna praca polega na wypędzaniu więźniarek z pryczy o bladym świcie; pilnowaniu, żeby opuściły prycze i barak w perfekcyjnym porządku, i krzyczeniu *„Achtung!”*, kiedy esesmanki wchodzą na inspekcję. Wszystkie esesmanki cierpią na manię perfekcyjnie zasłanych łóżek. Następnie muszę wypędzić więźniarki na apel. Po tym, jak kolumny odmaszerują do pracy na plac budowy, ja pozostaję w obozie. Krzątam się wkoło wraz z innymi przynależącymi do uprzywilejowanej kasty, ogrzewam się w ciepłych barakach dla kapo, szperam przy kuchni w poszukiwaniu czegoś do zjedzenia, i nic więcej nie robię.

Niezdara ze mnie. Piastuję to cudowne stanowisko tylko przez trzy dni. Jestem zbyt senna i flegmatyczna w wypędzaniu kobiet na apel. Nie mam talentu, żeby wzbudzić w nich właściwe poszanowanie do mojej osoby. Mój krzyczący i rozkazujący głos nie posiada właściwego, władczego tonu; brzmi jak wołanie na puszczy. Nie mogę zapomnieć dnia, w którym Frau Hammer weszła do naszego baraku na inspekcję i znalazła pod pryczą Balci zerwany z drzewa liść.

– *Das ist doch Dreck!*[467] – wściekła się na Balcię.

Balcia zadrżała jak liść i wyjąkała swoją zepsutą, łódzką niemczyzną:

– Może być brud, *jawohl*, Frau Hammer! – I dostała ognisty policzek.

Przez moją nieudolność, tego ranka apel rozpoczyna się aż pięć minut po czasie. Czwartego dnia kapo Olga i Magda nie spuszczają mnie z oka, i wpadają do baraków zaraz za mną. Dla Olgi i Magdy jestem cierniem w oku. Moje przywileje u Hildy nie zgadzają się z obozowym kodeksem prawości.

– Tancerka, zobacz! – Wskazują na kobiety, które nie zeskoczyły jeszcze z pryczy. – Wiesz, co możemy dostać za takie lenistwo? Dlaczego nie wiosłujesz rękami? Dlaczego nie zapisujesz ich numerów? Gdyby obeszły się cały dzień bez zupy, zaraz by zrozumiały, kto tutaj rządzi!

Drą się na mnie tak, że tracę ostatnie resztki prestiżu w oczach więźniarek. Kim ja w końcu jestem? Lizuską i niezdarą, ot co. Kobiety zgadzają się z Olgą i Magdą, że nie nadaję się na to stanowisko, a moja luźna dyscyplina może je wszystkie jeszcze kiedyś drogo kosztować.

Sama Hilda dochodzi do wniosku, że nie nadaję się na pokojową i będzie może lepiej, żebym pracowała w magazynach, pod nadzorem Herr Straussa. Tam, myśli sobie Hilda, mogę się przydać przy naprawianiu płótna chodaków, które kobiety zdzierają na placu budowy.

[467] (niem.) *To jest brud!*

Cieszę się z mojego nowego stanowiska. Pomieszczenie magazynowe, w którym pracuję, nie jest ogrzewane, ale sąsiedni pokój, w którym mieści się biuro Herr Straussa, jest. Siedzę na niskiej ławeczce przy ciepłej ścianie, z młoteczkiem albo grubą igłą w ręce, i tak dobrze, jak umiem, naprawiam zabłocone, sztywne płótno chodaków. Robię sobie wyrzuty, że nie nauczyłam się dobrze szyć od mamy. Tak bardzo miała rację, kiedy mówiła, że jej córki muszą uczyć się dawać sobie radę w życiu. Przez ścianę słyszę, jak Irka i Herr Strauss dobrze się bawią. Umieram z nudów, a serce rwie mi się do czegoś, sama nie wiem do czego.

Kiedy po skończonym dniu pracy kobiety wchodzą do magazynu wymienić podarte buty na całe, albo na nowe, zajmuję się nimi. W ten sposób wpada do mnie któregoś razu Lea. Nie może pozostać w lazarecie, mówi mi, bo nie ma wymaganej temperatury trzydziestu ośmiu i pół stopnia. Musi więc chodzić z powrotem na placówkę, i chce, żebym naprawiła jej buty. Daję jej parę nowiutkich chodaków, a ona mówi nagle z natchnieniem:

– Słuchaj, mam nową piosenkę! – I zaczyna śpiewać na głos: – Niemcy, Niemcy klęsk doznają. Klęsk doznają w dzień i w noc. Hitlerowi grób już kopią, szpadlem – taka jego moc.

– Nie śpiewaj tak głośno – proszę ją. – Herr Strauss może cię usłyszeć przez ścianę.

Lea wybucha śmiechem, macha mi na pożegnanie nowymi trepami i wybiega z pokoju. Ma nadludzką siłę.

Innym kobietom też daję to, o co poproszą, nie z dobroci serca, ale żeby jak najszybciej się z nimi uporać. Chcę pobiec z powrotem do mojego baraku, zobaczyć się z przyjaciółkami, przeczytać gazetę, którą dał im Hans, i dowiedzieć się, co takiego usłyszały na placu budowy, który staje się dla mnie symbolem wolnego, otwartego świata. Uczę się również sztuki wymykania się z magazynu i zakradania na tyły kuchni, gdzie Goldowa ukrywa dla nas trochę obierek po ziemniakach. Trzymam te skarby w magazynie i po pracy zabieram do nas, do baraku. Myjemy ziemniaczane skórki, dzielimy na pięć równych porcji i przegryzamy je po wieczornej zupie, na deser.

Straussowi nie udaje się odkryć skórek od ziemniaków, które chowam w magazynie, szybko jednak odkrywa, że rozdaję naprawione bądź nowe buty kobietom, które mogą jeszcze chodzić w rozpadających się lub już znoszonych. To pachnie jak sabotaż. Herr Strauss, poczciwy człowiek, nie donosi na mnie Oberscharführerowi, bo odpowiedzialność za buty leży także po jego stronie. Wyzywa mnie tylko jak należy, wyrzucając z siebie potok przekleństw. Idzie porachować się z Hildą, a Hilda podchodzi do sprawy z godnością, mówiąc mu, że jestem „głupią krową". Wzywa mnie do swojego małego baraku, który w świetle dnia wygląda jak politowania godny buduar, udekorowany szmatami i kawałkami papieru. Mówi do mnie serdecznie, ciepło, ochrypłym głosem, i wygląda, jakby bardzo chciała mi coś powiedzieć, ale powstrzymywała się od tego wszystkimi siłami.

W końcu mówi mi, w czym rzecz:

– Powiem ci to prosto w oczy, tancerko. Mam do ciebie słabość. Chętnie zrobiłabym z ciebie kapo, ale to by narobiło więcej złego niż dobrego. Jesteś za delikatna, zbyt pasywna i zbyt niedbała, niezdolna wzbudzić do siebie jakiekolwiek poszanowanie. Szczerze nie wiem, jak zagrasz, kiedy nadejdą te nieszczęścia, które nas jeszcze czekają. Rozumiesz, jestem tobą rozczarowana. Jak się okazuje, nie posiadasz tego talentu aktorskiego, który myślałam, że masz. Brakuje ci magnetyzmu osobistego. Może umiesz tańczyć, ale grać na pewno nie. Dlatego najlepiej będzie, jeśli zrobię z ciebie moją prywatną pokojową. Ale w tym celu musiałabyś przyjść tu ze mną zamieszkać.

– Proszę, Frau Lagerelteste – przerywam zuchwale. – Chcę wrócić do pracy na placu budowy. Jedyne, czego pragnę, to dalej dostawać dodatkowy przydział zupy, nic więcej.

Hilda popada w osłupienie. Za każdym razem szokuję ją swoim zachowaniem. Powątpiewa teraz, czy moja głowa działa jak należy.

– Zachowujesz się – mówi – jakbyś nade wszystko chciała nie być w obozie. Jesteś aż taką idiotką, żeby nie widzieć, że nawet tu, w tym złotym obozie, życie i śmierć są o rzut beretem od siebie? Jak możesz być taka samobójcza, chcieć spędzić zimę na dworze, na placu budowy, ledwo mając w co się ubrać? Wszystkie inne więźniarki starają się przeżyć. Zrobiłyby wszystko, co tylko się da...

– Ja też – odpowiadam. – Zrobiłabym wszystko, co się da, żeby przeżyć, i dlatego proszę, Frau Lagerelteste... Chciałabym wrócić do pracy na placu budowy.

Posyła mi złowrogi, szczery uśmiech.

– Pozwól, że powiem ci – mówi – co pewien generał powiedział swoim żołnierzom. Powiedział: „nie stój, kiedy możesz siedzieć, nie siedź, kiedy możesz leżeć, i załatw się, kiedy tylko masz okazję". Oto co więźniarka obozu musi pamiętać, jeśli chce mieć szansę na uratowanie się.

Odpowiadam jej uśmiechem.

– Ten generał zapomniał wspomnieć o morale żołnierzy, Frau Lagerelteste. To jest tak samo ważne jak wszystkie pozostałe rzeczy. Moje morale jest zdrowe, kiedy jestem razem z moją grupą.

Widzę wyraźnie, że jest mną zmęczona.

– Dobrze – mówi. – Zamelduj się do pracy rankiem po apelu.

– Czy dostanę dodatkową porcję zupy?

– Dostaniesz dodatkową porcję.

Władczym, pogardliwym gestem dłoni wygania mnie ze swojego baraku.

*

Cieszę się, że wróciłam do poprzedniej pracy, nie dlatego, że sumienie nie pozwala mi cieszyć się dłużej uprzywilejowanym życiem tych, którzy zostają w obozie. Taka szlachetna nie jestem. Po prostu życie w obozie nie wydaje mi

się lepsze. Brakuje mi złudzenia wolności, jakie dają nam codzienne wymarsze poza obóz. Brakuje mi też za bardzo towarzystwa moich przyjaciółek, oraz Hansa i Bernharda, którzy są dla mnie reprezentantami dalekiego, otwartego świata. Tęsknię, żeby usłyszeć z ich ust codzienne wieści, a czas ogółem leci szybciej i nastrój jest lżejszy, kiedy buduje się domy, nawet jeżeli są dla zbombardowanych Niemców.

Moja najbliższa okazja do pozostania w obozie, podczas gdy wszyscy wychodzą do pracy, została na mnie wymuszona przez okoliczność, na którą nie mam wpływu. Dostaję ropnia w gardle i muszę pozostać w budynku dla chorych. Mój stan się pogarsza. Dostaję wysokiej temperatury i niemal duszę się ropniem. Lekarka, czeska żydówka, dochodzi do wniosku, że nie ma wyboru, jak tylko powiadomić esesmana o moim stanie. To on zajmuje się poważnie chorymi więźniarkami i wysyła je do głównego ambulatorium w Neuengamme, skąd rzadko wracają do obozu w Hummel. Esesman wchodzi do budynku dla chorych. Rzuca na mnie okiem i mówi:

– A, to ty!

Każe mi się ubrać i wydaje polecenie, żebym udała się za nim. Na roztrzęsionych nogach, z zamglonym umysłem, idę. Prowadzi mnie do baraku kuchni. Bez słowa rozgląda się dookoła. Jest przedpołudnie. W kuchni nie ma nikogo. Usadza mnie na ławce obok kuchenki, każe mi otworzyć usta i zagląda do środka. Nasze oczy spotykają się w okamgnieniu. Następnie odwraca się ode mnie i zaczyna przeglądać kolekcję noży rozłożonych na stole. Bierze do ręki nóż ze szpiczastym ostrzem. Zaostrza go na leżącej obok osełce, obmywa wodą z czajnika, który zauważa na kuchence, i jeszcze raz każe mi otworzyć usta. Zanim dociera do mnie, co zamierza zrobić, wtrynia mi nóż do gardła i przecina ropień. Podaje mi fartuch, żeby zatrzymać krew i ropę, które leją mi się z ust, i każe wracać do budynku dla chorych.

Następnego ranka jestem zmuszona wrócić do pracy na placówce. Żydożerca, esesman, uratował mi życie.

Robi się okropnie zimno. Zima otula obóz i plac budowy lodowymi ramionami. Wiatr torturuje nasze ciała. Mróz gryzie w uszy, nosy, czubki palców. Wraz ze słoną wilgotnością powietrza dociera aż do szpiku kości. Wolimy teraz pracować, niż nic nie robić, żeby nie zmienić się w kawał lodu. Ale grad i zmrożony deszcz to codzienni goście i często nie da się nic zrobić. Strażnicy muszą wygnać nas do jaru, a sami biegną się ogrzać.

Stoimy pod drzewami w jarze, przytulone jedna do drugiej i czekamy, aż deszcz przestanie padać. Z wielką tęsknotą spoglądamy w dal na budynek dla majstrów i na wesołą smugę dymu, unoszącą się z jego komina. Patrzymy z zazdrością na naszą piękną kapo Relę. Może pobiec sobie do swojego ukochanego, kierownika placu budowy, kiedy tylko jej się zachce, i rozgrzać swoje kończyny. Jej piękno jest jej paszportem do życia. Uważamy to za dowód na powszechną

niesprawiedliwość losu – jakkolwiek ja osobiście nie mogę nikogo oskarżać w mojej sytuacji, jedynie siebie samą. Rezygnując tak kapryśnie z dobroci Hildy i biorąc swój los we własne ręce, sama skracam sobie życie. Nie mam prawa narzekać. A jednak narzekam.

Tego właśnie dnia, od momentu przyjścia na plac budowy, nie możemy zabrać się do pracy. Poprzedniej nocy spadł wodnisty śnieg, a w dzień smaga nas gęsta ulewa i grad. Powietrze, mgliste i wilgotne, wygląda jak osnute wstęgami cienko utkanych, bawełnianych sieci. Zimno gryzie, przenikając wszystkie zakamarki ciała. Dookoła nie widzimy nic poza szarością spowijającą niebo, ziemię, ludzi i budynki w jeden zawikłany kłąb.

Wysyłają nas do jaru, byśmy znalazły schronienie w tejże wielkiej rozpadlinie. Część liści trzyma się jeszcze na gałęziach drzew, jak gdyby uparły się, by przetrzymać północnoniemiecką zimę i dożyć wiosny, do której nie mają żadnego prawa. Gleba jaru jest nierówna, błotnista i pełna zamarzniętych kałuż. Stajemy wyżej i trzęsiemy się z zimna. Większość kobiet nie ma na sobie nic poza pasiastymi ubraniami i chodakami. Te, które mają więcej szczęścia, jak na przykład nasza piątka, noszą pod ubraniem halkę, lub jakąś inną szmatę znalezioną na śmietniku. Ze względu na stromość jaru, nie stoimy na tym samym poziomie, ale kryjemy się wyżej lub niżej, zależnie od tego, gdzie znajdzie się drzewo, pod którym można się usadowić. Głowy wypatrują jedna drugiej. Wyglądamy jak chór w greckiej tragedii, w amfiteatrze – jakby niewidzialny reżyser chciał każdą z twarzy uczynić widoczną dla, jak to ujęła Hilda, nieistniejącej publiczności.

Rozlega się alarm powietrzny. Strażnicy i majstrzy siedzą w swoich schronach. Ocaleni ze słynnego bombardowania Hamburga[468] – opowiadanie o którym w najdrobniejszych szczegółach nigdy ich nie męczy, tym bardziej cierpią ze strachu teraz, kiedy szczęście ich ojczyzny obraca się wniwecz.

Patrzenie na to, jak nasi panowie biegają niczym myszy w poszukiwaniu kryjówki, daje nam rzecz jasna głęboką, wewnętrzną satysfakcję. Bawimy się świetnie. Jak gdyby to nie o nas chodziło. Odważnie spoglądamy ku niebu i błogosławimy przemykające po nim stalowe ptaki. Modlimy się do nich i błagamy je, żeby czym prędzej przybyły nas ratować. Pod osłoną ich ogłuszającego huku obrzucamy Niemców tyloma przekleństwami, ile tylko jesteśmy w stanie wymyślić.

Jednak tego dnia nie potrafimy osiągnąć atmosfery szczerego entuzjazmu. Samoloty znikają za szybko, jakkolwiek alarm nie ustaje przez długie godziny.

---

[468] Pierwszy potężny nalot wojsk alianckich na Hamburg miał miejsce pod koniec lipca i na początku sierpnia 1943 r. i otrzymał kryptonim Operacja Gomora. Na miasto spadło wówczas 9000 ton bomb, a 60 procent Hamburga starto z powierzchni ziemi. W wyniku bombardowań zginęło co najmniej 42 tysiące osób, a 900 tysięcy straciło dach nad głową.

Jedna z dziewczyn zaczyna mruczeć ulubioną polską piosenkę naszego śpiewnego ptaszka, Lei:

To jesień,
To miłości naszej jesień,
Pożegnanie z sobą niesie...

Chwyta nas zbiorowy napad melancholii. Atmosfera rezygnacji i wielkiej rozpaczy. Mgliste odczucia dręczą serca.

Piękna kapo Rela jest zmuszona pozostać z nami w czasie alarmu. Najwyraźniej kierownik budowy i nasi strażnicy nie życzą sobie, żeby Żydówka była świadkiem tak niemęskiego albo raczej czysto tchórzliwego zachowania, kiedy to panika miota nimi w poszukiwaniu schronienia przed bombami.

Wyniosła, arystokratyczna Rela, zaokrąglona, o gładkiej skórze oraz policzkach rozjaśnionych i różowych, stoi pomiędzy nami. Wygląda jak rzeźba z alabastru. Teraz, podczas tej niemiłosiernej chlapy, stara się dodać nam sił. Nasze oczy, pełne zdziwienia, nie mogą się oderwać od jej małych, pięknie ukształtowanych ust.

– Zaraz po wyzwoleniu – mówi, poruszając koralowymi wargami i pokazując perłowobiałe zęby w uśmiechu pełnym niebywałej piękności – wyspecjalizuję się w sztuce kulinarnej. Chcę zostać szefową kuchni w restauracji pierwszej klasy. Będę szczęśliwa, spędzając resztę moich dni między patelniami i garnkami. Cały dzień będę napawać się upajającymi woniami wydobywającymi się spod pokrywek ciężkich kotłów, wypełnionych parującymi kawałkami cielęciny, albo pieczoną gęsiną, albo indykami i kaczkami. Albo będę robić befsztyki i sznycle wiedeńskie, i przygotowywać do nich wszelkie rodzaje sosów.

Zagryza pięknie wykrojoną dolną wargę i trzyma pomiędzy perłowymi ząbkami, sprawiając wrażenie, jakby wysysała soki z pysznego kawałka mięsa. Na jej widok ślina wypełnia nam usta i kapie z naszych warg razem z kroplami deszczu.

Jedna z kobiet wzdycha.

– Oj, szczęście od nieszczęścia dzieli tylko mały krok, ale od nieszczęścia do szczęścia jest dłuższa droga.

Jestem strasznie zła na Relę za wzbudzanie w nas głodu. Połykamy pełne usta zimnego powietrza. Obliczamy, jak długo ciągnie się ten poranek, jak daleko jeszcze do wieczora i do odrobiny ciepłej zupy, którą wtedy dostaniemy.

Nasz śpiewający ptaszek, Lea, której Frau Hammer nie spuszcza z oka i wymierza jej ciosy przy każdej okazji, jest teraz wolna od swojej prześladowczyni. Stoi i trzyma w ustach kciuk, ssie go i gryzie, jednocześnie patrząc na nas nieobecnym wzrokiem, jak gdyby miała dostać zeza. Figlarny ognik tli się, ukryty głęboko, w jej źrenicach. Wygląda jak mała dziewczynka z twarzą staruszki. Jest po trzydziestce. Przed wojną była zaokrąglona i zwalista. Obecnie jej szkielet jest jak stojak obwieszony torbami zmiętej skóry. Na ogół jest jeszcze pełna energii, tak jakby jej duch dodawał jej sił. Ale teraz – ssanie kciuka jest może

komiczne, ale dla nas to przerażający obraz. Bardziej niż zwykle odczuwamy pustotę naszych umysłów i żołądków.

Po południu syreny obwieszczają, że alarm jest odwołany. Jednak dokładnie w tym momencie deszcz przybiera na sile i zamienia się w potop. Nie da się zacząć pracy. Musimy pozostać w jarze pod drzewami. To zabawne narzekać na tę sytuację. Mamy okazję zachować siły. Przemoknięcie na deszczu nie ma żadnego znaczenia. Gdyby tylko dzień tak się nie dłużył, i gdyby głód był znośny, dałoby się wytrzymać.

Przygarbione i przyciśnięte jedna do drugiej, tupiemy nogami w błocie, żeby utrzymać ciepło. Do głowy zaczynają przychodzić okropne myśli. Żal zatyka gardło. Rozpacz staje się tak ciężka, że uginamy się pod nią. Nie wiemy, czy nasza depresja jest rezultatem naszych przeżyć, które już minęły, czy gryzącego przeczucia tego, co ma nadejść. Czy to, co nam tak dokucza, to strach przed jutrem, pytanie o to, w jaki sposób przekroczymy granicę wolności? Nie ma wątpliwości, że koniec wojny się zbliża. Czy Niemcy pozwolą nam żyć?

Deszcz spływa z nas jak z niewykręconego prania. Zaczynamy paplać między sobą, żeby pozbyć się czarnych myśli. Mówimy, co tylko przyjdzie nam do głowy. Ale o czym nie chcemy zacząć rozmawiać, od tego odwracamy się w stronę opisywania trudności, które nas uciskają. Robi się nam dzięki temu trochę lżej. Jednak w miarę prowadzenia rozmowy rozpacz, jakby grając na strunach deszczu, wzrasta. Serce każdej z nas staje się podwójnie obciążone wagą kolektywnego nieszczęścia. Kobiety zaczynają krakać jak potworne wyrocznie. Słucha się ich, kołysząc się razem z drzewami smaganymi przez wiatr. Ogarnia nas zimowa bezradność.

Młodsze kobiety nie mogą tego w końcu znieść. Jesteśmy zmęczone użalaniem się nad sobą i narzekaniem, na gwałt próbujemy otrząsnąć się z tego, co ciąży nam na duchu. Jest wśród nas kilka pobożnych dziewczyn, ale większość z nas nie jest religijna. Część jest społecznie świadoma, pozostałe są prymitywne. Ale my wszystkie, młodsze, reagujemy w ten sam sposób.

Najpierw zaczynamy chichotać i zmuszać się do śmiechu bez powodu. Brzmi to histerycznie, ale trochę nam pomaga. Następnie pobożne dziewczęta mówią, że Bóg nas nie opuści, jakby zapomniały, że już nas opuścił. My, niereligijne, dyskutujemy o niemieckich porażkach, o zwycięskich armiach wyzwolenia, które nie myślą o niczym innym jak tylko o tym, by uwolnić więźniów obozów koncentracyjnych od niewolnictwa. Zarówno religijne, jak i niereligijne zgadzają się w opisach radości czekającej na nas w nowym świecie, który wkrótce otworzy dla nas swoje wrota.

Piękna Rela, żądna, by się od nas nie odróżniać, wyskakuje znowu z monologiem o tym, co będzie jadła po wojnie. Jak każda z nas, zaczyna swoją wypowiedź słowami „po wyzwoleniu…". Ale to, co mówi, jest bez polotu. Owszem, jest zdolna przyciągnąć naszą wyobraźnię wizjami królewskich stołów zastawionych wszelakim jadłem, ale z jej okrągłą buzią, z ładną, niepomarszczoną skórą

i delikatnymi, pulchnymi rączkami – nie należy do naszego świata. Jest kapo. Swoją długą paplaniną zamierza pokazać, że jest w tym samym stopniu głodna co my. Ale osiąga coś przeciwnego. Wzbiera w nas gniew. Nasza nienawiść do niej jest niewiele mniejsza od tej, którą darzymy esesmanki, nie dlatego, że nas wyjątkowo dręczy, ale dlatego, że jest jej tak dobrze.

Łapie nasze wrogie spojrzenia i czuje się urażona, że nie doceniamy, jak spoufala się i pozostaje z nami w błocie, mimo że alarm się skończył i zamiast tego mogłaby schować się u swojego obrońcy w biurze. Urywa monolog i, dumna jak paw, z piękną głową podniesioną tak wysoko, na ile pozwalają jej na to wiatr i deszcz, ucieka od nas. Patrzymy za nią.

I tu nasza Lea nagle zaczyna śpiewać:

Ich hob gezen flaterl flatern fun bojm cu bojm.
Di fligelech cebrochn, flit es, flit es kojm[469].

Lea opuszcza drzewo, pod którym stoi i schodzi na dno jaru. Poniżej, w lodowatym błocie, unosi ramiona i zaczyna trzepotać nimi w powietrzu. Zatraca się w czymś w rodzaju dziecinnego tańca. Tupie nogami w wodzie i rozpryskuje wokół siebie kawałki lodu. Świergocze dziecięcym głosikiem tę samą piosenkę, do której wykonałam swój debiut taneczny w przedszkolu.

Co zrozumiałe, gapimy się na Leę. Nie przestaje gestykulować i robić min jak mała dziewczynka. Bolesnym jest wsłuchiwać się w dźwięk jej zmienionego głosu i w groteskowy, smutny ton, w którym śpiewa te słowa.

Co się stało z naszą Leą? Ubóstwiamy ją. Człowiek musiał się uśmiechnąć na widok jej jaśniejącej twarzy. Jak odważnie i prowokacyjnie zachęcała nas do śpiewania pieśni rewolucyjnych w drodze do pracy i z powrotem! Jak zwykła nucić swoje własne pieśni razem z nami, kiedy zbierałyśmy się potajemnie w baraku, by omówić wieści, które do nas dotarły. Co się z nią stało? Co się z nami wszystkimi stało? Gdzie się znowu podziała nasza pewność siebie? Przytłaczająca atmosfera tego dnia jest nie do zniesienia. Może zwariowałyśmy? Słyszę wysokie westchnienia, jak gdyby łkające drzewa chciały westchnieniem wyrazić nasze troski. Jak smutny chór w amfiteatrze drepczemy powoli ku Lei, na dno jaru. Czy jesteśmy częścią halucynacji Lei, czy przeciwnie, ona jest częścią naszych?

Kiedy podchodzimy do niej, Lea z wielkim pluskiem siada w błocie i obiema rękami zaczyna chlapać wodą w dwie strony od siebie. Następnie przestaje śpiewać. Wkłada kciuk do ust i energicznie go ssie. Oczami pełnymi dziecięcej niewinności, oczami tak wielkimi i ciemnymi jak dwie śliwki, patrzy na nas pytająco.

---

[469] (jid.) *Widziałam, jak motyl z drzewa na drzewo frunie. / Skrzydełka złamane, ledwo lecieć umie.*

W drodze powrotnej do obozu przemoknięta Lea wygląda jak zwykle. I jak zwykle Frau Hammer idzie obok niej i nie przestaje okładać jej pałką tak, że zaraz po powrocie do obozu prowadzimy Leę do budynku dla chorych. Hanka, która przyjaźni się z obozową lekarką i dostarcza jej wieści, dowiaduje się od niej, że Frau Hammer zdecydowała się pozbyć Lei. Oświadczyła to Oberscharführerowi.

– Kula w łeb? – zapytał Oberscharführer Frau Hammer.

– Nie – odparła Frau Hammer. – Szkoda kul.

Dają Lei zastrzyki morfiny i pigułki luminalu. Lea wypluwa pigułki i nie pozwala sobie zrobić zastrzyków. Frau Hammer grozi lekarce komorą gazową, jeśli nie dopilnuje, żeby Lea dostała „lekarstwa" każdego dnia w zwiększonej dawce. Lea nie poddaje się i wykrzykuje Frau Hammer wszystko, co leży jej na sercu. Lekarka błaga ją, żeby się nie odzywała, ale Lea się śmieje.

– Czego mam się bać? I tak jestem skazana.

Frau Hammer narzeka, że Lea ma serce z żelaza i nakazuje, żeby związano Lei ręce drutem, żeby osłabić krążenie krwi i serce. To działa. Lea staje się coraz słabsza. Przeguby jej rąk jątrzą się. Ale znowu zaczyna śpiewać. Izolują ją w osobnym pokoju. Nikt nie może się pokazywać w pobliżu tego pokoju. Następnej nocy bogaty sopran Lei dociera jasno i wyraźnie do naszych uszu z przeciwległego krańca obozu. Piękniej niż zwykle, śpiewa te same pieśni, które śpiewała z nami podczas marszy. Śpiewa nasze ulubione pieśni ludowe, radosne chasydzkie melodie, rewolucyjne hymny i polską piosenkę:

To jesień,
To miłości naszej jesień,
Pożegnanie z sobą niesie...

Przed upływem tygodnia przestajemy słyszeć śpiew, który dobiegał z okna odizolowanego pokoju. Hanka dowiaduje się od lekarki, że Lea zamilkła na zawsze. Nikt nie widział, kiedy i jak zniknęła z obozu.

– Czy Lea zwariowała? – pytam Hankę.

– Nie wiem – odpowiada. – A czy Frau Hammer jest przy zdrowych zmysłach?

Rozdział trzydziesty pierwszy

Niemcy są na skraju upadku. Mróz traci władzę nad światem. Pewnego dnia, w marcu[470], nasza kolumna co najmniej pięciuset kobiet, w obstawie kapo i starszych obozowych, jak również wartowników i esesmanek, odmaszerowuje na stację kolejową. Stamtąd odwożą nas na dworzec główny w Hamburgu. Tym razem także nie wsadzają nas do bydlęcych wagonów, tylko do normalnych pociągów pasażerskich dla normalnych ludzi. Alarmy przeciwlotnicze i bombardowania następują niemal codziennie i nasz wyjazd zostaje wstrzymany na długie godziny.

Hilda wsadza naszą piątkę do eleganckiego *kompartmentu*[471] w pierwszej klasie, z miękkimi, pluszowymi siedzeniami. Jest niewiarygodnie wygodnie. Lecz widocznie kacetników nigdy nie można zadowolić. Żadnej z nas ta wygoda nie podnieca. Podróż, jaką mamy odbyć, nie zapowiada niczego dobrego. Wiemy to.

Nie tylko nas ogarnia atak paniki, lecz także nasze kapo. Niepokój rośnie z godziny na godzinę, osiągając punkt szczytowy, kiedy dostrzegamy przez okno wagonu kapo Relę przebiegającą przez szyny po drugiej stronie peronu i znikającą między domami wzdłuż linii kolejowej. Gonią ją strażnicy, krzyczą: *„Halt!"*. Strzelają za nią i wracają bez niej – z wyjątkiem jednego esesmana. Czekamy, aż przyprowadzi Relę z powrotem. Ona nie wraca i on też nie. Czy był pomocnikiem Reli? Albo skorzystał z okazji, żeby samemu zniknąć dla ratowania własnej skóry? Nigdy się tego nie dowiemy. Domyślamy się, że ucieczka Reli zaplanowana została przez jej kochanka, szefa Baustelle. Prawdopodobnie wiedział z wyprzedzeniem

---

[470] Z dokumentów wynika, że kobiety z obozu Hamburg-Sasel wyjechały z Hamburga pociągiem 7 kwietnia 1945 r. i dotarły do Bergen-Belsen 9 kwietnia 1945 r.

[471] *kompartament* (dawn.) – przedział w pociągu.

o naszym wyjeździe. Do bólu zazdrościmy Reli. Ucieczka przyszła jej oczywiście łatwiej, niż przyszłaby którejkolwiek z nas. Lecz ona miała odwagę wziąć życie w swoje ręce. Jej ucieczka to zły omen. Nasila się w nas uczucie bezsilności. Rośnie przerażenie. Decydujący moment, którego tak pilnowałyśmy, już nadszedł.

Nasza podróż trwa nie dłużej niż jeden dzień, a pociąg więcej stoi w miejscu, niż się porusza[472]. W końcu zatrzymuje się na jakimś pustkowiu w środku lasu. Wyganiają nas z wagonów i każą sformować kolumnę. Ruszamy wzdłuż drogi okolonej po obu stronach gęstym lasem.

Po wyjściu na jakąś boczną drogę widzimy nagle, jak okiem sięgnąć, pochód wielu tysięcy kobiet w więziennych ubraniach. Więźniarki z różnych obozów, które ewakuowano. Rozpoczyna się długi, powolny marsz. Nasi strażnicy trzymają karabiny gotowe do strzału. Esesmanki maszerujące po obu bokach naszej kolumny trzymają szpicruty gotowe do bicia. Towarzyszą nam też strażnicy z psami.

Maszerujemy i maszerujemy piaszczystą drogą. Gęsty las jest teraz tylko po naszej lewej stronie. Z prawej strony ukazuje się ogrodzenie z drutu kolczastego. Na drutach jak łaty rozwieszone są rozmaite szmaty i ubrania. Po tamtej stronie w oddali pokazują się baraki. Las baraków – lecz ani śladu życia w nich czy wokół nich, oprócz kilku mglistych cieni, które poruszają się pomału na odległym piaszczystym tle.

Koło mnie wyrasta Hilda.

– Już nie jestem twoją Lagereletste – szepcze do mnie. – Mam nadzieję, że nie będziesz świadczyć przeciwko mnie po wojnie, jeśli przeżyjemy. Zeznaj, że uratowałam ci życie. Nie zapomnij o tym. I wiesz jeszcze co? Kolumnę, która maszeruje za nami, tworzą czeskie dziewczęta, moje siostry z domu. Zgadnij, co mi powiedziały. Dały pasiastą sukienkę jednej esesmance, która była dla nich dobra. Ubrała się w nią, a one włączyły ją do kolumny, żeby mogła razem z nimi wejść do nowego lagru i nie była sądzona po wyzwoleniu. Jestem pewna, że czeskie dziewczęta mnie także dobrze potraktują. Dostałam pozwolenie na dołączenie do nich. Wielkie rzeczy mają lada chwila dziać się z nami. To pamiętaj, co dla ciebie zrobiłam i przekaż te dobre wieści innym w kolumnie. – Jakie niby dobre wieści? Ta ściska mi ramię i znika. Nie widzę jej więcej.

Odwracam głowę, żeby powtórzyć Balci i Malce słowa Hildy. Lecz wtem Sorka odzywa się z drugiej strony naszego szeregu.

– Spójrzcie na strażników! Spójrzcie tylko!

Patrzymy i widzimy: w oczach wachmanów i esesmanek łzy! Esesmanki beczą bezwstydnie, nawet nie zasłaniając oczu. Widok niemieckich łez wstrząsa nami do głębi. Nie ma najmniejszej wątpliwości, że nasi strażnicy tak nas polubili, że teraz maszerują u naszego boku, mierząc z broni, jakby odprowadzali nas w kondukcie pogrzebowym. Opłakują nasz przerażający los, zanim jeszcze

[472] Z Hamburga do obozu koncentracyjnego Bergen-Belsen jest ok. 100 km.

wyzionęłyśmy ducha. Nie zaświta nam w głowie, że strażnicy opłakują swój własny los i los swojej ojczyzny bez Führera, i że widzą siebie maszerujących na swoim własnym pogrzebie.

Widok płaczących strażników, podartych szmat rozwieszonych na drutach, zrujnowanego nieziemskiego krajobrazu, jaki rozpościera się z tamtej strony drutów w pustym, śmiertelnie cichym lagrze, uruchomił dzwonek alarmowy w mojej głowie. To jest miejsce, do którego pod żadnym pozorem nie powinnyśmy wchodzić. Przenigdy! Stoję oko w oko ze śmiercią jak nigdy wcześniej w moim życiu. Za wszelką cenę muszę się ratować. Rzucam długie spojrzenie na Balcię i Malkę, Hankę i Sorkę, energicznie kręcąc do nich przecząco głową. Spoglądamy na siebie. Krzyczące pytanie w naszym wzroku. Co robić? Idziemy tak przez jakiś czas – ogrodzenie z drutu mając po naszej prawej stronie, las, który rozciąga się po horyzont, po stronie lewej. Żadna z nas nie mówi ani słowa.

Nagle wysuwam propozycję.

– Ja nie wchodzę do środka – powiadam.

– Co zamierzasz? – pyta Balcia, zacinając się.

– Postanowiłam nie wchodzić – odpowiadam.

Kobiety w naszej kolumnie są coraz bardziej zagubione. Zarzucają strażników pytaniami. „Dokąd nas prowadzicie? Gdzie my jesteśmy? Czy to jest obóz koncentracyjny?".

Strażnicy gapią się w dal. Łzy oblewają ich twarze. Nie odpowiadają ani słowem.

– Co chcesz zrobić? – wybałusza na mnie oczy Balcia. – Dokąd będziesz uciekać? – Mówi pomału, jakby jej umysł coś skrupulatnie mierzył i ważył. Jej zmysły są wyostrzone jak u zwierzęcia, które szacuje grożące mu niebezpieczeństwo.

– Chodźmy w las – proponuję.

– Tak, chodźmy – zgadza się Malka i odwraca głowę do Hanki i Sorki, żeby im to zaproponować.

Balcia burczy:

– Oni nas zabiją.

– Niech to zrobią – odpowiadam.

– Co to za różnica?

– Lepsze to niż wejść do środka.

Patrzymy wszystkie pięć w gęstwinę lasu i sondujemy ją wzrokiem. Z wolna zaczynamy odróżniać zielone mundury i hełmy pomiędzy gęstą plątaniną krzaków i gałęzi. Żołnierze ustawieni są długim szeregiem w lesie i trzymają karabiny maszynowe zawieszone na ramieniu. Miotacze ognia stoją równo na ziemi. Ta długa zielona linia uzbrojonych żołnierzy odgradza jak okiem sięgnąć cały wewnętrzny skraj lasu.

Ktoś szturcha mnie w plecy. Odwracam się i widzę kapo Olgę. Wygląda nie do poznania i jest blada jak kreda.

– Słuchaj tylko, tancereczko – wydaje szept – wiesz, co właśnie usłyszałam do czeskich dziewcząt? Jako żywo, kolumna za nami składa się z moich ludzi

z czeskiego obozu w Neuengamme. Wzięły esesmankę między siebie do szeregów, esesmankę, która była dla nich dobra. Przyjmą ją do tego obozu, żeby ratować jej życie, bo *Deutschland ist kaputt*[473]*!* Powiedz to pozostałym dziewczętom. *Deutschland ist kaputt!*

Nie ma czasu, żeby cokolwiek powiedzieć. Otwarta brama obozu czeka na nas.

*

Kiedy przybywamy do Bergen-Belsen, nie pracują tam już piece. Społeczność obozu, którą tworzą dziesiątki tysięcy ze wszystkich krajów Europy, skazana jest na *krepieren*[474], z przyczyn naturalnych, by tak rzec. Cały obóz umiera w naturalny sposób na tyfus[475].

Przedwiosenny pejzaż tego miejsca, ukrytego za gęstym lasem, przypomina mi pustynię podobną do tej w Birkenau, lecz zdaje mi się, że ta jest jeszcze większa. Smród dymu, trupów i fekalii przeszywa powietrze, powodując, że chce się wymiotować.

Na bliskich i dalekich drogach, jak okiem sięgnąć, widać długie karawany pochylonych szkieletów, które ciągną zwłoki po piasku, trzymając je za ręce lub za nogi[476]. Układają te zwłoki w kupy, prawdziwe góry, i robią stosy jeden obok drugiego. Zwłoki są zielone, rozdęte od słońca, w różnym stadium rozkładu. Dwie kapele grają muzykę taneczną. A jednak unosi się tu milczenie, które każdemu odbiera mowę. Jedynie donośny krzyk stąd i zowąd jak dalekie echo przeszywa to milczenie od czasu do czasu. Krzyk oprawcy, który wpadł w szał, albo ofiary. W powietrzu wibruje mgła z piasku i pyłu. Wszystko przesuwa się przed naszymi oczami jak zwolniony film.

Zaganiają nas do wielkiego baraku. Dopiero co oczyszczono go ze zwłok i ciał w agonii, które teraz leżą zwalone na kupę w ogromnym stosie koło wejścia. Dostajemy rozkaz położenia się na gołej ziemi w baraku – i to wszystko. Przez okna bez szyb widać górę zwłok na zewnątrz i górę zwłok z frontu przeciwległego

---

473 (niem.) *Niemcy są skończone!*

474 *Krepieren* (niem.) – zdechnięcie.

475 Pod koniec 1944 roku Niemcy zaczęli przywozić do Bergen-Belsen więźniów z innych obozów. W krótkim czasie baraki były przepełnione, znajdowało się w nich trzykrotnie więcej więźniów, niż teoretycznie mogło, warunki higieniczne były dramatyczne, brakowało latryn, stale zmniejszano racje żywnościowe. Z powodu tyfusu, gruźlicy i czerwonki zmarło wówczas ok. 25 tys. więźniów (choć dokładne liczby nie są znane). A nowe transporty wciąż przybywały, kobiety z obozu Sasel przybyły jednym z ostatnich transportów, kilka dni przed wyzwoleniem obozu.

476 Ocalała z Bergen-Belsen Gabriela Sudwoj napisała: „Pasiaste widma o sczerniałej twarzy, / Potykając się, idą chwiejnym krokiem. / Patrzą w swą drogę obumarłym wzrokiem / Widmowy pochód pasiastych grabarzy".

baraku. Wokoło guzdrają się szkielety, które przeciągają zwłoki. Przez otwarte drzwi baraku ta piaszczysta pustynia zdaje się roić dwoma rodzajami szkieletów: martwymi i ledwo zipiącymi. Ziemia wydaje się z wolna poruszać.

Nie przypominam sobie, na który dzień naszego pobytu w Bergen-Belsen zaczynają krążyć wśród nas, z ręki do ręki, miski z wodnistą zupą lub parę misek z wodą do picia, a kiedy zaczyna się dostawać zupę i wodę tylko od czasu do czasu, kiedy zaś przestają je w ogóle wydawać. Wolno nam opuszczać barak tylko dwa razy na dzień, żeby załatwić potrzeby fizjologiczne. Ledwo przypominam sobie Hankę i Sorkę z tamtych dni. Przeraźliwie szybko tracimy zarówno resztki sił, jak i pełną jasność myślenia i świadomość. Tuż obok mnie leży Balcia, kończynami spleciona z Malką. Ledwo to wyczuwam. Jestem sama, lecz nie czuję osamotnienia. Przed upływem tygodnia jesteśmy tak słabe i wycieńczone, że wstanie z miejsca staje się zabawnym, wręcz komicznym, przedsięwzięciem.

W pierwszym tygodniu wychodzimy razem w piątkę każdego ranka i wleczemy się między długimi rzędami piramid ze zwłokami do piaszczystego pola pełnego ekskrementów. Tam, pod szerokim przedwiosennym niebem, załatwiamy nasze potrzeby naturalne.

W drodze powrotnej człapiemy, trzymając się mocno jedna drugiej, żeby nie zgubić się w chmarze drepczących szkieletów, które roją się wokół. Wszystkie wyglądają tak samo i wszystkie wyległy na zewnątrz w tym samym celu. Niekiedy Julia, moja nauczycielka historii Polski w gimnazjum, jest też z nami. W Hummel pracowała w *szrajbsztubie*[477] obozu i rzadko ją widywałyśmy. Lecz za każdym razem kiedy do nas zajrzała, było święto. Opowiadała nam zapierające dech w piersiach historie ze swoich podróży po Europie.

Jak uważne byśmy nie były, żeby odnaleźć drogę powrotną z pola fekaliów, za każdym razem trafiamy do obcego baraku, tak łudząco podobny jest jeden barak, z górą zwłok od frontu, do drugiego. Wszechświat składa się z nieba i ziemi, i warstwy kości obleczonych skórą – jak w kanapce – pomiędzy nimi. Ludzkość znajduje się poza wymiarem myśli i uczucia, zredukowana do organizmów cierpiących na biegunkę. W końcu, żeby nie błądzić, znaczymy drogę liczbą stosów zwłok, jakie dzielą nas od naszego baraku.

W czasie jednego z takich wyjść zauważamy druciane ogrodzenie, jakie oddziela nasze pole baraków od innego. A więc znowu zabłądziłyśmy i wyszłyśmy blisko tego ogrodzenia. Kacetnicy snują się po tamtej stronie tak samo letargicznie jak my. Są to mężczyźni. Ktoś blisko nas mówi, że to Rosjanie[478]. Krzyki

---

[477] *Szrajbsztuba* – kancelaria obozowa, gdzie prowadzono ewidencję więźniów.

[478] W 1941 r. – po rozpoczęciu wojny III Rzeszy przeciwko ZSRR – do Bergen-Belsen trafiło ponad 20 tys. jeńców radzieckich.

jakiegoś wachmana docierają stamtąd do naszych uszu. Widzimy go. Kopie butem szkielet muzułmana, który siedzi na ziemi.

„Aufstehen! Aber los!"[479] – komenderuje wachman. Muzułman, skóra i kości, porusza wolno rękami. Prawdopodobnie nie ma siły otworzyć ust. Kręci głową na boki, wzrusza ramionami, pokazując, że nie może wstać. Próbuje tak, raz po raz, lecz traci równowagę i pada z powrotem na ziemię twarzą do góry. Leży tak wyciągnięty z twarzą uniesioną do twarzy Niemca. Niemiec podnosi obutą nogę i tratuje nią twarz tego człowieka. Robimy w tył zwrot i rozpoczynamy poszukiwanie naszego baraku.

Dzieje się to bardzo szybko: słabniemy z godziny na godzinę. W drugim tygodniu naszego pobytu w Bergen-Belsen (Balcia rachuje dni) jesteśmy tak wycieńczone, że wleczemy się każdego rana na zewnątrz, lecz nie mamy siły, żeby dotrzeć do piaszczystego pola. Nie możemy utrzymać się prosto i zaczynamy iść pochylone, żeby nie upaść. W baraku łazimy na czworakach. Wydaje się to bardziej naturalne w świecie zwierząt.

Malka zaczyna mieć halucynacje. Płacze i prosi o łyk wody. To jest szósty dzień, kiedy nie miałyśmy łyka wody w ustach. Balcia powlekła się do drzwi baraku i trzymając się framugi, żeby nie upaść, żebrze u każdej przechodzącej kapo, żeby dać jej odrobinę wody. Lecz serce ludzkie w ogóle tu nie działa. Głos Balci jest tylko jednym z setek jęczących i zawodzących głosów, które żebrzą o wodę. W końcu Balcia traci rachubę dni i dostaje także gorączki. Ja sama jestem tylko słaba i spragniona.

Wśród kobiet, które razem z nami przybyły tutaj z Hummel, są też oczywiście Danusia Moszkowicz i jej matka. Matka należała do rzadkich w getcie otyłych kobiet. Lecz teraz jest zasuszona jak wypalone drzewo. Zupełny szkielet. Umiera.

W obozie Hummel mściłyśmy się na pani Moszkowicz za podłe czyny jej męża w getcie. Nikt nie przyjaźnił się z nią ani z Danusią, która do niej przylgnęła. Danusia była najmłodszą kacetniczką w obozie.

Pani Moszkowicz leży teraz razem z nami w baraku w Bergen-Belsen, kościstymi kończynami jak korzeniami drzewa wpleciona w gęstą plątaninę ciał, która sięga z jednego końca baraku do drugiego. Z jej ust dobywa się agonalne rzężenie, które nie ustając, wznosi się głośno ponad chór innych jęczących i zawodzących głosów. Tylko jeden dech dzieli ją od śmierci i ona to wie tak samo dobrze jak my. Taki jest styl umierania w Bergen-Belsen. Ci w agonii widzą zbliżającą się śmierć i poznają ją od razu. Woła swoją Danusię. Danusia leżała obok niej, lecz w końcu nie mogła patrzeć, jak jej matka walczy o każde tchnienie, i ostatkiem sił uciekła od niej. Przelazła po ciałach, które leżały jej na drodze, i wtuliła się w najodleglejszy kąt baraku.

[479] (niem.) *Wstawać! Ale już!*

Dialog pomiędzy umierającą matką i córką niesie się ponad naszymi głowami, dialog z urywanych słów i półsylab, wiązka ostatnich sygnałów, które biegną tam i z powrotem wzdłuż baraku, z jednych ust w kącie do drugich ust w kącie przeciwległym – wiązka w sieci rozsupłanych splotów duszy, wiązka, która się rwie, rozsupłuje się, żeby już nigdy się nie zawiązać. Ciche echa naszego własnego opuszczenia odzywają się w uszach, w sercach nas, które leżymy na ziemi, zatracone w otchłani naszej własnej agonii.

Od czasu do czasu udaje się pani Moszkowicz wypowiedzieć pełne imię córki: „Da-nu-sia…".

Dziewczynka pomiaukuje w odpowiedzi: „Nie, nie…".

Uparta pani Moszkowicz, która jest w pełni świadoma bliskości Anioła Śmierci, wzbudziła, jak się wydaje, szacunek jego majestatu, samej śmierci. Ta obdarza ją siłą woli, kosztem marniejącego, lecz wciąż jeszcze żywego ciała; obdarza ją siłą nadludzkiej woli. Daje jej zdolność przedłużania finalnej chwili, w oczekiwaniu, że ostatnie jej życzenie się spełni: życzenie, żeby zobaczyć raz jeszcze twarz córki.

Pani Moszkowicz miała jedną przyjemność w życiu, jedzenie, i jedną miłość – Danusię. Pod każdym innym względem życie w trójnasób ją pokarało. Przed wojną, jak Danusia później mi opowiadała, matka jej żyła we własnym piekle w luksusie. Później Niemcy kazali jej zapłacić za jej żydostwo, a Żydzi kazali jej płacić za bycie żoną żydowskiego zdrajcy. Z jaką satysfakcją przyglądaliśmy się temu, jak sprawiedliwość zostaje wymierzona choć ten jeden raz, w przypadku pani Moszkowicz w obozie Hummel! Z przyjemnością patrzyłyśmy, jak tłuste ciało tej kobiety stopniowo zapada się i przyjmuje formę, coraz bardziej wyraźnie, szkieletu. Miałyśmy frajdę z oglądania, jak ta opływająca w dostatki rozkapryszona kobieta macha szuflą na Baustelle; jak wory luźnej skóry zwisają u niej niczym trzęsące się wymiona. Zataczałyśmy się ze śmiechu, patrząc, jak żłopie wodnistą zupkę z menażki i jak jej wybałuszone oczy lustrują dno naczynia. Kiedy częstowano ją razami, ledwie wzruszało to nasze skamieniałe serca. A te dowcipy i powiedzonka, jakie kursowały między nami i nas bawiły! Oj, jak naigrywałyśmy się z milczącej dumy matki i córki! One nigdy nie reagowały na nasze prowokacje, tylko je ignorowały, trzymając dumnie uniesioną głowę.

Teraz pani Moszkowicz kona, i dopiero w tej chwili, kiedy każda z nas jest zajęta własną walką o życie, przestajemy jej nienawidzić – i jesteśmy całkowicie obojętne na jej los. Życzymy sobie tylko, żeby pospieszyła się z umieraniem, tak żeby jej rzężenie i charczenie nie przeszkadzało nam w naszym własnym spotkaniu z nadchodzącym końcem.

Trwa to może więcej niż dwa dni, aż pani Moszkowicz w końcu wyzionie ducha. Dłużej nie może wytrwać w oczekiwaniu na ujrzenie twarzy swojego dziecka ostatni raz. Danusia nie wraca do niej. W zasadzie nie zauważamy nic, gdy charczenie pani Moszkowicz ustaje.

Co dzieje się dalej, dokładnie nie pamiętam. Ostatnie, co sobie przypominam, to noc, kiedy roznosi się pogłoska, że obóz jest zaminowany i że Niemcy wysadzą go, zanim go opuszczą. Słychać głośny huk kanonady. Barak kolebie się, a z nim – nasz los. Jestem zagłębiona w swego rodzaju bolesnym otępieniu, pół śpiąca, pół czuwająca. I tak słyszę znów donośne jęczenie wybijające się ponad głuche odgłosy, jakie docierają do moich uszu z zewnątrz, ponad niezrozumiałe mamrotanie kobiet w baraku – jęczenie, które dochodzi gdzieś spomiędzy skłębionej masy naszych ciał.

Nagle powietrze przeszywa ostry krzyk:

– Na pomoc! Ludzie, na pomoc! – Następnie znów jakiś wrzask i wyraźne słowa: – Będę rodzić! – Ochrypły głos powtarza te słowa raz za razem. Coraz ostrzej i ostrzej.

Powoli przenikają te słowa do mojego mózgu. Inne kobiety otwierają oczy tak samo jak ja. W ten sposób leżymy w tym gorączkowym splątaniu i zastanawiamy się, czy tak głęboko zatraciłyśmy się w letargicznym koszmarze, że słyszymy tak wyraźnie, tak ostro te oto głosy w naszej rozgorączkowanej fantazji, czy głos, który słyszymy, jest rzeczywiście prawdziwy – głos tej, co popadła w obłęd.

– Ludzie, ja będę rodzić!

Rodzić? Tu? W Bergen-Belsen? To absurdalne. Oburzający dowcip. Nie jesteśmy nawet w stanie wykoncypować takiej możliwości. Chyba że ta rozwrzeszczana kobieta jest Najświętszą Maryją Panną, a nam przyjdzie świadkować cudowi wtórnego niepokalanego poczęcia w historii ludzkości. Chyba że przypadnie nam w udziale asystować w narodzinach nowego Jezusa – w Bergen-Belsen!

Widzę w pamięci Marka obok mnie w bydlęcym wagonie do Auschwitz. Powinniśmy byli połączyć się w akcie płciowym tamtej nocy i zasiać ziarno życia, na złość tym, którzy chcą nas zabić. Dodając jeszcze jedną kroplę do czary goryczy, proklamowali jednak byśmy zwycięstwo życia nad śmiercią. Czy to było to, co ta rozwrzeszczana kobieta i jej mąż zrobili dziewięć miesięcy temu?

I wtem Balcia rozpoznaje ten głos.

– To Fejga – wydusza z siebie.

Nie mamy najmniejszych wątpliwości. Lecz czy to możliwe, żeby mogła przebrnąć przez Auschwitz i Hummel, ukrywając swoją tajemnicę, zasłaniając brzuch i sprawiając, by wyglądał jak inne brzuchy, spuchnięte z głodu? Czy to jest powód, dlaczego tak lgnęła do Balci, szukając jej ochrony, jej matczynego ciepła? Dlaczego nawet Balci nigdy nie wyjawiła prawdy? Jak mogła znieść taki ból? Jak mogła sama jedna ustrzec taki skarb, który nosiła w sobie?

Żadna z kobiet, także i ja, a może również Balcia, nie dowierza, że Fejga naprawdę zaraz będzie rodzić. Żadna z nas nie jest skłonna wierzyć w cuda. Hanka, która ma jeszcze trochę jasności umysłu, sądzi, że jest to jakaś forma histerycznej ciąży, ciąży urojonej. Uspokojone tym wyjaśnieniem, pozwalamy Fejdze zdzierać sobie gardło. Po jakimś czasie zatracamy się znowu,

każda we własnym obłędzie, przywykłe do tych wrzasków, jakby stały się one częścią naszego własnego koszmaru, i zdaje się, jakbyśmy tych krzyków już nie słyszały.

Lecz rozdzierające niebo wycie Fejgi staje się coraz ostrzejsze i w końcu przedziera się przez pajęczynę naszych halucynacji z jasnym i ostrym światłem prawdy. Pomału zaczynamy pojmować, że – czy tego chcemy, czy nie – poród zaraz się odbędzie, nie gdzie indziej – tylko w naszym baraku.

Balcia leży zapętlona z Malką na górce i obie oddychają ciężko. Balcia unosi głowę.

– Muszę dostać się do niej i jej pomóc – mruczy, próbując wyplątać się z ramion Malki i się podnieść. Lecz wtem rzuca spojrzenie na Malkę i szepce do niej: – Nie mogę tak jej zostawić. – Bierze Malkę w objęcia i kołysze ją.

– Ma... trochę wody... – mamrocze Malka.

Kobiety jęczą w głos:

– Jesteśmy zgubione. Jeśli urodzi tu to dziecko, wszystkie jesteśmy zgubione.

Silny przestrach pobudza skołowane umysły. Barak ogarnia panika. Fejga była ciężarna przez cały czas, kiedy byłyśmy razem w lagrze. Nie ma wątpliwości, że Niemcy będą nas uważać za wspólniczki jej tajemnicy i uczynią nas współodpowiedzialnymi. Wpuszczą gaz do baraku albo wykończą nas gradem kul z broni maszynowej. Jak bardzo skonane byśmy nie były, nie chcemy umierać.

Całą noc żebrze Fejga, żeby jej pomóc.

– Siostrzyczki, miejcie litość!

Kobiety ubliżają jej, złoszczą się na nią i wzywają, żeby opuściła barak i nie narażała nas na niebezpieczeństwo. Grożą jej, że jeśli nie wyniesie się stąd sama, zawołają esesmankę i ją wydadzą.

Z zewnątrz dochodzą donośne głuche odgłosy. Krzykom Fejgi towarzyszą grzmoty. Dalekie odgłosy eksplozji. Los grzmi u bram lagru. Obóz jest zaminowany. Kapo to potwierdzają. Obóz lada chwila wyleci w powietrze. Czy bramy tego piekła rozewrą się przed nami, zanim to się stanie?

Zanim wstanie dzień, Fejga zaczyna pełznąć – charcząc, skowycząc, dusząc się od skurczów porodowych – po dywanie z ciał, jaki rozciąga się na ziemi, ku otwartym drzwiom. Tam upada, na zewnątrz, z frontu baraku, w sąsiedztwie piramidy zwłok, pod rozgwieżdżonym niebem, które rozpala się i gaśnie razem z kanonadą.

Odkrywam później, że to Balcia ostatecznie pomogła Fejdze. Zostawiła Malkę pod opieką Hanki i wyczołgała się na zewnątrz. Leżę pogrążona w ciężkim gorączkowym śnie i dopiero gdy na zewnątrz zaczyna się rozwidniać, otwieram oczy i widzę, jak dwie kapo wnoszą stół i wciskają jego cztery nogi między ciała w kącie baraku. Zaraz wychodzą i wracają, ciągnąc ze sobą Fejgę. Trzecia kapo trzyma pakunek zawinięty w szmaty z rozdartego pasiaka. Wciągają omdlałą Fejgę na stół i wkładają jej pakunek między ręce. Balcia leży koło mnie objęta ramieniem z Malką i chrapie głośno.

Światło dnia wlewa się do baraku – i nowo narodzone dziecko jest wśród nas. Nowy dzień, nowe życie. Noc minęła. Oddychamy z ulgą. Balcia otwiera oczy i Malka też się budzi. Mamy uczucie, jakbyśmy przeszły kryzys w fatalnej chorobie i były na drodze przyjścia do siebie. Pozytywny stan ducha dla odmiany. Słychać mniej jęczenia i stękania. Kwietniowe słońce świeci do środka przez otwarte drzwi i przez okna bez szyb, jakby w przelocie zasyłało nam pozdrowienia. Nawet myśl o śmierci nie przedstawia się tak przeraźliwie. Znajdujemy nawet dosyć energii w sobie i, trzymając się jedna drugiej, wstajemy i odnajdujemy Hankę oraz Sorkę, które przez noc zostały odizolowane od nas. Wszystkie pięć wydostajemy się na zewnątrz i załatwiamy się za barakiem. Długo zajmuje nam znalezienie z powrotem miejsca wewnątrz, mimo że barak jest o wiele bardziej przestronny niż parę dni temu.

Później w ciągu dnia jakaś esesmanka toruje sobie drogę wśród masy leżących ciał na ziemi i ostrożnie zbliża się do stołu, gdzie leżą Fejga i jej pisklątko. Pierwszy raz, odkąd jestem w Bergen-Belsen, widzę jakąś esesmankę.

– Jesteśmy zgubione. Jesteśmy skończone – rozsierdziły się kobiety.

Odprowadzamy tę esesmankę wzrokiem pełnym przerażenia. To jasne, że nie tylko Fejga i to pisklątko są stracone, lecz kres przyszedł na nas wszystkie, na cały barak kobiet. Urodzenie dziecka w Bergen-Belsen oznacza o wiele więcej niż sabotaż.

Ku naszemu zdumieniu, dostrzegamy niewielką butelkę wody w ręce esesmanki. Nie mówi nic, tylko stawia butelkę koło Fejgi na stole i stąpając ostrożnie między bezwładnymi korpusami na ziemi, wychodzi z baraku. Jak osłabione byśmy nie były, siadamy ostatkiem sił, zarówno po to, żeby lepiej przyjrzeć się tej butelce, bo mdlejemy z pragnienia, jak i przekonać się, że istotnie tak to jest: mała butelka z wodą.

W Bergen-Belsen wydarzył się cud. Tak, cud. Lecz wtem przypominamy sobie, że obóz lada chwila może wylecieć w powietrze.

*

W nocy budzi nas ostrzał artyleryjski ogłuszająco dudniącym waleniem. Eksplozje stają się coraz głośniejsze. Niebo, widziane przez otwarte drzwi i okna baraku, obwiedzione jest kręgiem ognistej czerwieni. Ognisty wschód słońca w środku nocy. Widzimy ten oto rosnący krąg także w kolejne noce.

I wtem – z nastaniem pewnego poranka – szept niesie się z ust do ust: „Niemcy opuścili obóz!" i naprawdę, wygląda na to, że nie licząc trzasków na zewnątrz, przed drzwiami, jest niezwykle cicho. Żadnych gwizdów, żadnych nagłych wrzasków. Taka jakaś atmosfera, nastrój unoszą się nad głową, jakby pęta, które cały wszechświat trzymały w swoim uścisku, nagle się rozerwały.

– Wyjdźmy rzucić okiem, co się dzieje – proponuje Balcia.

Łatwiej powiedzieć, niż to zrobić. Razem z pewną liczbą kobiet klękamy na kolana

i trzymając się jedna drugiej, podnosimy się w jakiś sposób do pozycji stojącej. Balcia i ja trzymamy rozgorączkowaną Malkę pod ramię. Za nami drepczą Hanka i Sorka. I w ten sposób my, które dopiero co duchem przekroczyłyśmy próg zagłady, przełazimy przez próg na jasną stronę zewnętrzną. Kuśtykając, upadając, posuwamy się naprzód popychane misteryjnym dopływem energii. Jak mieszkańcy prehistorycznych jaskiń, którzy wyłażą ze swoich nor, żeby zobaczyć, czy burza minęła – tak my kręcimy głową we wszystkich kierunkach, wciągamy powietrze nosem i nie możemy uwierzyć w to, co podpowiadają nam zmysły.

Obóz wygląda tak jak zwykle. Niemców nigdzie nie widać. Lecz nas to nie przestrasza. Wcześniej też rzadko ich widziałyśmy. Kapo były jedynymi, które nami komenderowały.

Nikt nie zagania nas z powrotem do baraków. Suniemy więc do przodu, coraz dalej i dalej od znajomych miejsc, aż docieramy do wielkiego baraku. Ktoś mówi, że to jest kuchnia obozowa. Tam dostrzegamy nagle długi rząd strażników. Nasza kapo Irka, której nie widziałyśmy w ciągu całego czasu w Bergen-Belsen, pojawia się nagle koło nas. Wygląda jak trup, lecz uśmiecha się od ucha do ucha.

– Wachmani to Węgrzy. Niemcy uciekli! – odzywa się z naciąganym, fałszywie brzmiącym zachwytem.

Nie rozumiemy, z czego ona się cieszy. Co za różnica, kto pilnuje obozu i czyje karabiny są w nas wycelowane? W dodatku ci Węgrzy pilnują kuchni, a to oznacza, że dziś także nie dostaniemy niczego do picia, nie mówiąc już o jedzeniu.

Tabuny tysięcy kulejących, pełzających szkieletów kobiet i mężczyzn poruszają się tam i z powrotem między wewnętrznymi ogrodzeniami z drutu. Słowa we wszystkich europejskich językach mieszają się w powietrzu. A wszystko patrzy tam, w stronę kuchni. Zatrzymujemy się, żeby złapać oddech, i dostrzegamy zwyczajny, długi pochód kacetników obwieszonych resztkami więziennych ubrań. Ledwo mogą postawić krok – i w ten sposób ciągnie każdy z nich zwłoki po ziemi. Jak zaspane mrówki poruszają się małymi kroczkami w kierunku piramid trupów. Głowy zwłok podskakują na piasku jak brukiew. Korowody te zatrzymują się obok piramid, sprawiając, że rosną one wyżej do niebios. Lub zajmują się wznoszeniem nowych stosów zwłok. Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz. Nie ma granicy między życiem a śmiercią; między tymi dwoma jest tylko drobny niuans. Przyglądamy się obojętnie tej scenie. Wygląda normalnie. Scena będąca częścią ogólnej panoramy, do której my także należymy. Uzbrojony wachman, Węgier czy Niemiec – czy to ważne? – idzie z tyłu za każdym pochodem, i oni także, ci strażnicy, są częścią tej panoramy. Oni też są skazani.

Zauważamy, że zwłoki usuwane są sprzed frontu wszystkich baraków, jak również ze środka, a także z piaszczystych dróg, gdzie leżą porozrzucane. Gówno zalega jeszcze wszędzie i trzeba uważać, żeby w nie nie wdepnąć. A jednak widok przed oczami zaczyna wyglądać schludniej. Odkrywamy, że brama do obozu męskiego nie jest pilnowana i stoi otworem. Mężczyźni przełażą na naszą stronę, kobiety przedostają się na drugą stronę. Nie słychać żadnych wrzasków, żadnych

gwizdów, tylko cichą, ledwo artykułowaną mowę we wszystkich językach europejskich, które mieszają się w powietrzu. Cisza niemego filmu, gdy zatrzyma się muzyka. Powolny taniec obiektów, ożywionych i nieożywionych, które poruszają się flegmatycznie na taśmie filmowej, zanim taśma się skończy. Godzina duchów na cmentarzu, nie w nocy, tylko w jasny dzień, w przyćmionym świetle wiosennego słońca. Makabryczne? Przeraźliwe? Nie dla nas. Dla nas żywi i martwi są niczym więcej niż wysuszonymi górkami piasku, ruchomymi i nieruchomymi. A różnica między śmiercią a życiem polega na łaknieniu, jakie żywi nadal odczuwają.

Nogi nam się plączą. Ledwo możemy posuwać się naprzód, lecz pod żadnym pozorem nie możemy się zatrzymać, tylko – jakby popychane jakąś siłą – drepczemy do przodu przez obóz męski. Rosjanie lub mężczyźni innych nacji – wyglądają wszyscy tak samo. Wyglądają tak jak my. Chmary ich siedzą na ziemi czy leżą wsparci na łokciach i gapią się na nas dalekim, zamglonym wzrokiem. Promienie słoneczne przesączają się przez piaszczyste powietrze i oświetlając ich wszystkich, sprawiają, że wyglądają oni jak kupki piasku.

Dwaj mężczyźni wpadają w orbitę naszego spojrzenia. Wyglądają, jakby mieli w sobie jeszcze trochę sił. Siedzą na ziemi. Dym z niewielkiego ogniska spowija ich cienkim, przejrzystym obłokiem. Małe niebieskie języczki ognia skaczą w powietrzu, oblizując wokół mały czarny baniak, który stoi między nimi. W pobliżu leżą zwłoki. Ci dwaj mężczyźni odcinają kawałki mięsa z tylnej części zwłok i wrzucają je do gotującego się baniaka[480]. Przyglądam się i nie zdaję sobie sprawy z tego, co widzę. To nie robi na mnie wrażenia. Co mnie interesuje, to skąd wzięli wodę, którą mają zapewne w baniaku.

Wokół nas zaczyna się ruch. Coś się dzieje. Nie od razu się orientujemy. Pewna liczba kościotrupów wokół nas ożywa i dostaje energii. Kuśtykają zawzięcie lub przedzierają się naprzód z niezłą prędkością, przemieszczając się w kierunku kuchni. Paru kacetników nadchodzi stamtąd z pełnymi naręczami kartofli. Wtem zauważamy Julię, jak trzyma przy ustach surowego, czarnego kartofla pokrytego brudem i pospiesznie wgryza się w niego jak w soczyste jabłko.

– Otwarli kopce z kartoflami! – Szmer niesie się przez tłum.

Mnie cieknie ślinka.

– Chodźcie! – wykrzykuje chora Malka, która ledwo może się ruszyć. – Biegnijmy coś chapnąć!

Balcia nie pozwala nam ruszyć się od niej. Odciąga nas na stronę, żeby biegnący w kierunku kuchni nas nie przewrócili. Lecz Hanka i Sorka nie słuchają Balci. Nasza piątka rozpada się, jakby samoistnie, na pół. Hanka i Sorka są z nami, a jednak oddzielnie.

---

[480] Zaraz po wyzwoleniu starszy oficer medyczny generała Dempseya potwierdził przypadki kanibalizmu w Bergen-Belsen, o czym donosiła brytyjska prasa. *Cannibalism in Prison Camp*, „The Manchester Guardian", 19 kwietnia 1945 r.

Frejdla-Frida, nasz wróg z obozu w Hummel, która pracowała w *majstersztubie*[481] na Baustelle, nadbiega z kuchni, w naszym kierunku. Pomyka obok nas środkiem drogi z naręczami pełnymi kartofli. Kiedy tak porusza się naprzód ostatkiem sił, sapiąc głośno – spieszy się do swojej siostry, która czeka niedaleko od nas – kilka kartofli wypada jej z rąk i toczy się po drodze. Chcę się rzucić, żeby je podnieść – kiedy rozlega się strzał. Salwy następują jedna po drugiej. Biegnący, obładowani kartoflami, padają jak snopy na całej drodze. Z rąk Fridy wypadają wszystkie kartofle. Ona zakopuje się w ziemię, z rękami rozpostartymi na boki, twarz mając zagrzebaną w piasku, jakby dopadła do górskiego źródełka i pragnęła zaczerpnąć wody. Zanim dochodzimy do siebie, zlatują się już inni i podnoszą rozrzucone kartofle. Widzę, jak Hanka i Sorka nadchodzą z pustymi rękami, lecz to nie szkodzi. Wsparte jedna na drugiej, kuśtykając, usuwamy się z drogi.

Dłuższe wałęsanie się jest niemożliwe. Nie jadłyśmy i nie piłyśmy – nie wiem, jak długo – i najmądrzejsza rzecz to powrót do naszego baraku. Tam nic się nie zmieniło, prócz tego, że zwłok, które cały czas między nami leżały, już nie ma. Wewnątrz jest o wiele przestronniej. Wyciągamy się na ziemi. Chłodny wiosenny wieczór nadciąga, żeby wymazać wspomnienia zadziwiających rzeczy, jakich naoglądałyśmy się na zewnątrz. Noc upływa w takim samym delirycznym stanie pół snu, pół czuwania, ze świadomością, że obóz jest zaminowany i lada chwila może wylecieć w powietrze. Słychać zbliżającą się kanonadę. Front przybliża się niewątpliwie do bram Bergen-Belsen. Wśród kobiet z baraku rzadko teraz słychać jęk czy westchnienie. Tylko ludzie rozwydrzeni, rozpieszczeni przez życie, mogą sobie pozwolić na luksus jęczenia czy wzdychania w takich momentach. Kacetników z Bergen-Belsen nawet śmierć od wybuchu nie rozpieszcza.

Następnego ranka jesteśmy tu nadal. Podnosimy się i z pomocą tej przedziwnej siły woli, która ogarnia nas na chwilę, kuśtykamy na zewnątrz, żeby załatwić potrzeby fizjologiczne. Lecz nie jesteśmy w stanie ujść dalej niż do najbliższej piramidy zwłok obok baraków. Tam się zatrzymujemy. Poznajemy gliniastą twarz Fridy na kupie zwłok. Obok stoi jej siostra, sztywno, bez ruchu, jak skamielina. Kiedy widzi, co zamierzamy zrobić, odzywa się:

– Odsuńcie się trochę dalej.

Posłuchałyśmy jej. Widzimy obok inną piramidę zwłok. Te piramidy wciąż rosną. Balcia chwyta rąbek sukienki martwej kobiety na tej górze, i urywa z niego kawałek, żeby mieć co podłożyć Malce pod głowę. Następnie słyszymy, że odsłonięto rury dawnej latryny. Człapiemy tam. Z rur kapią krople. Woda. Trzeba mieć sporo siły, żeby dopchać się do tych rur. Balci jednak udaje się zwilżyć brzeg szmaty z sukienki tej martwej kobiety i przetrzeć nią twarz Malki. Zwilża też moją twarz. Materiał jest ciepły, zatęchły i drapie skórę.

---

[481] *Majstersztuba* – blok nadzorujący pracę więźniów.

Resztę dnia spędzamy w baraku, leżąc na ziemi. Szklistymi oczami gapimy się na słońce, które widzimy przez otwarte drzwi, jak zachodzi. Nadchodzi noc. Następnie znów jest dzień. Nikt nie zabiera nowych zwłok. Fejga i pisklątko leżą na stole – martwi. Znów jesteśmy w otępieniu, które nie jest snem, tylko drzemką w agonii.

I wtem rozlega się jakiś donośny głos, ogłuszająco, rozdzierająco:

– Jesteście wolni! *Liberté!* Wolność! *Swaboda! Mir!*

Na to od razu rozbrzmiewa dziki krzyk, który przeszywa powietrze w baraku:

– Jestem ślepa! Nic nie widzę! Pomóżcie mi, dzieci! Siostrzyczki! Ciemno mi w oczach! Ratujcie!

Gienia oślepła – a przez głośniki obwieszczane jest wyzwolenie. Wszystkie jakbyśmy oślepły. Szeroko otwartymi oczami wpatrujemy się w dal i nasłuchujemy. To nie jest kwestia wiary czy niewiary w to, co słyszymy. Nie stało nam siły ani do życia, ani do umierania. Nie odczuwamy radości i nie mamy ochoty się śmiać. Nie czujemy nic. Jeśli dojrzę jakąś twarz, która wygląda, jakby się uśmiechała – wykrzywiona jest w przedziwnym grymasie, z ustami otwartymi w okrzyku – jest to twarz oślepłej Gieni lub twarze kobiet, które wyzionęły ducha w trakcie nocy.

Przed drzwiami baraku pomału przejeżdża samochód pancerny. Powiewa na nim flaga. Flaga brytyjska[482]. Auto wypełniają postacie wystrojone w przedziwne kostiumy, twarze mając zasłonięte czymś, co wygląda jak maska przeciwgazowa[483]. To sprawia, że wyglądają jak monstra nie z tej ziemi. Pomału przejeżdżają przed jednym oknem, następnie przed drugim. Nie daje się słuchać ich ogłuszającej wieści.

– Jesteście wolni! *Freiheit! Liberté!* Wolność! *Swaboda! Mir!*

Ujrzałam mamę… „Jankewie, pomóż" – woła.

„Binele…" – woła on w odpowiedzi.

Nie pamiętam, czy stało się to tego samego dnia, czy nazajutrz, kiedy te same przedziwne stworzenia w maskach i kombinezonach wchodzą do baraku z noszami w rękach. Kładą na nosze wyglądające na najsłabsze kobiety i zabierają także Gienię. Dopiero wtedy rozpętuje się prawdziwe piekło. Wola życia rozrywa baraki jak eksplozja. Ze wszystkich stron kobiety pną się do

---

[482] 15 kwietnia 1945 r. brytyjscy żołnierze przekroczyli bramy Bergen-Belsen. Zastali na miejscu ok. 13 tys. ciał ułożonych w wielkich, nawet kilkumetrowych stosach i 60 tys. wycieńczonych, umierających ludzi, którzy od kilku dni nie dostawali jedzenia ani wody.

[483] Nad obozem unosił się fetor rozkładających się ciał, a wśród więźniów panowała epidemia tyfusu, dezynterii i czerwonki, dlatego żołnierze nosili kombinezony, które miały ich chronić. Wyzwolenie Bergen-Belsen i pierwsze dni po zostały zarejestrowane przez dziennikarzy w filmach dokumentalnych i na zdjęciach. Można na nich zobaczyć moment wyzwolenia i dramatyczne sceny, jakich byli świadkami.

przybyszy. Podłażą do nich na czworakach, rwą na nich kombinezony i żebrzą, żeby je wziąć jako pierwsze. Przybysze starają się uspokoić nas łamaną niemczyzną. Mówią, że mamy być cierpliwe troszkę dłużej i że wszystkie nas stąd zabiorą[484].

Brać ta może sobie pozwolić na bycie cierpliwymi. Nie mają żadnego prawa zarzucać nam, że straciłyśmy cierpliwość. Boże, jakie my byłyśmy cierpliwe! Lecz tylko do tego momentu. Teraz, na progu wolności, kiedy – mimo że jeszcze żywe – lada chwila możemy wyzionąć ducha, nie chcemy słyszeć o cierpliwości. To obce słowo. Dla nas ta chwila oznacza: teraz albo nigdy. Wiemy, w jakiej sytuacji jesteśmy. Dlatego trzeba zmobilizować ostatnie siły, ostatni dech, jaki jeszcze nam został w zapadniętych płucach, żeby złapać wiszące na ostatnim włosku życie.

Kobiety nieustannie przełażą jedna przez drugą do naszych wyzwolicieli, do tych aniołów w maskach przeciwgazowych, którzy zstąpili z niebios z noszami w rękach. Kościstymi palcami jak pająki trzymają się kurczowo nogawek, nóg, butów zdezorientowanych gości, którzy niosą ze sobą dar życia. Każda jedna próbuje ich przekonać, że ona jest bliższa śmierci niż jej sąsiadka.

„Zabierzcie mnie! Zabierzcie mnie!" – błagają, wstrzymując mężczyzn w wykonywaniu ich pracy. Zauważamy Julkę. Patrzymy, jak wypełza z baraku i siada na środku drogi, tak żeby nikt nie mógł przejechać, a mężczyźni z noszami byli zmuszeni zabrać ją ze sobą. Siedzi tam, wyciągając chude jak szczapa ręce, dłonie jak dwa żebracze talerze podsuwając w stronę nadchodzących olbrzymów. Następnie widzimy Goldową, naszą sąsiadkę z Hummel, naśladującą przykład Julii. To jest ostatni raz, kiedy widzimy Goldową.

Balcia i ja chcemy, żeby ci mężczyźni zabrali w pierwszej kolejności Malkę, lecz Malka nagle ożywa i oświadcza, że nie ruszy się stąd bez swojej mamy. To rozwiązuje nasz problem. Czuję ulgę, że rezygnujemy z tego wyrywania się do obcych ludzi. Balcia poszła po rozum do głowy. Przeczuwa instynktownie, że Malka, tak samo jak my, przeżyje jeszcze jeden dzień, jeśli nie będziemy tracić sił w tym galimatiasie. Odsuwamy się z powrotem do kąta, opieramy się o ścianę i czekamy na naszą kolej.

Słońce w ramie otwartych drzwi zaczyna zachodzić. Mężczyźni z noszami już nie wchodzą. Lecz jakaś inna grupa naszych wyzwolicieli ukazuje się nam w baraku i zaczyna rozdzielać – otwarte puszki z konserwą mięsną! Wspaniałe puszki! Zalew czerwonych, otwartych puszek! Oj, ten moment, kiedy każda z nas

---

[484] Dla chorych natychmiast zorganizowany został szpital tymczasowy, a więźniowie zostali przeniesieni do baraków SS. Więzienne bloki spalono 21 maja 1945 r., by zapobiec rozprzestrzenianiu się epidemii.

trzyma taką puszkę mięsa w kościstych, drżących palcach. Oj, ten ostry, upojny zapach czosnku i pieprzu, który wdziera się do nozdrzy! Sam ten zapach może umarlaka przywrócić do życia!

Te wszystkie, które mają jeszcze świadomość, siedzą teraz wyprostowane. Każda trzyma puszkę konserwy w ręce, drugą rękę wyciągając do naszych wyzwolicieli, żeby dostać drugą puszkę i jeszcze kolejną. Oczy nasze są tak wielkie, że można nimi pochłonąć tuziny takich puszeczek. Szkoda, że nie ma czasu, żeby żebrać jeszcze i jeszcze, bo ślina cieknie z ust. Trzeba dopaść te puszki od razu z miejsca. Nie można dłużej powstrzymać się przed chęcią ich połknięcia. Trzymam puszkę w dłoni. Używając dwóch palców zamiast łyżki, grzebię nimi w puszce. Oto mam pierwszy kęs mięsa w ustach.

Straszne rozczarowanie. Aż serce ściska. Mięso nie ma żadnego smaku, mimo że zęby cieszą się, że będą gryzły, a gardło spieszy się do połykania – kęs za kęsem. Lecz przełykanie nie przychodzi łatwo. To boli, jak kęs drapie w przełyku i uwiera w piersi. Wszystkie pięć spoglądamy na siebie.

– Nasz zmysł smaku – odzywa się Hanka, która robi się coraz bardziej wygadana – jest przytępiony. Żołądek się skurczył.

Staramy się jeść pomału, żeby odkryć na podniebieniu i na języku smak kęsa i na nim się skoncentrować. W ten sposób poczuje się ostatecznie prawdziwy smak jedzenia. Mięso! Kubki smakowe w ustach powstają do życia. Oto co znaczy jeść! – lecz połykanie nadal sprawia ból. A jednak, nie oglądając się na dolegliwości, pakuję w siebie jedną trzecią puszki – oczy mając ekstatycznie wybałuszone.

Wtem Balcia gwałtownie wyrywa puszkę z mojej ręki.

– Wystarczy! – złości się. Oczami miota gromy. Łapie inne puszeczki z mojego łona i awanturuje się dziko: – Dosyć, powiedziałam!

Pierwsza rzecz, jaka przychodzi mi go głowy: Balcia zwariowała. Wyciągam ręce po moje puszki.

– Oddawaj mi je! Co się z tobą dzieje?

– Prędzej mi kaktus na dłoni wyrośnie, niż ci je oddam! – Skąd Balcia bierze siły, żeby robić tyle hałasu?

– Zwariowałaś? Oddaj mi te puszki! – ciskam się w odpowiedzi. Nie posiadam się ze złości, gotowa rzucić się na nią.

– Miriam, dziecko drogie – Balcia nagle zmienia ton – słyszałaś przecież, co mówiła Hanka. Nasze żołądki są skurczone. Nie jesteśmy wystarczająco silne, żeby strawić tyle mięsa. Trzeba trochę odpocząć. W przeciwnym razie dostaniesz niebezpiecznych skurczy. Bądź dobrym dzieckiem i poczekaj godzinę–dwie[485].

[485] W pierwszych dniach po wyzwoleniu obozu w Bergen-Belsen zmarły setki osób, które nie umiały zapanować nad głodem i dawkować sobie jedzenia otrzymanego od żołnierzy.

Czekać godzinę–dwie? Co ona bredzi?

– Ja nie chcę! – gotuję się. – Nie twoja sprawa! Oddawaj mi puszki!

Nie oddaje mi ich, tylko trzyma je zawinięte w więzienną sukienkę, razem z puszkami swoimi i Malki. Rzucam spojrzenie na Malkę i oczekuję, żeby ona przemówiła swojej mamie do rozumu. Lecz Malka ulega matce. Jest zbyt chora, żeby ją obchodziło, czy je, czy nie. Po przełknięciu pierwszych kęsów straciła zainteresowanie. I wtem Balcia rozgląda się i wykrzykuje:

– Boże mój kochany! Gdzie podziały się Hanka i Sorka?

Hanka widocznie tylko swoim rozumem pojmuje, co dzieje się w naszych żołądkach. Bo jak tylko Balcia podniosła swój dziki wrzask i zaczęła sprzeczać się ze mną, ona i Sorka wysunęły się na zewnątrz, żeby Balcia zostawiła je w spokoju. Chcą nasycić się swoim pierwszym posiłkiem, bez przeszkadzania, na świeżym powietrzu.

Przytrzymując zebrane puszki w sukience, Balcia lezie, jak karmiąca małpa ze swoim maleństwem pod brzuchem, na zewnątrz baraku. Zaraz jest z powrotem.

– One nie chcą mnie słuchać. – Wydaje westchnienie i pada obok nas. Nie odbieram od niej puszek. Kręci mi się w głowie. Cała ta rzecz staje mi się obojętna. I w ten sposób leżymy z puszkami pomiędzy nami, wdychając pieprzno-czosnkowy zapach, którym przepojone jest powietrze. Malce rośnie gorączka i znów zaczyna mieć halucynacje.

Nie wiem, ile czasu mija, nim postać Sorki, obwiedzionej zachodzącym słońcem, ukazuje się w drzwiach baraku. Mimo że byłyśmy razem przez cały czas, ledwo na nią spojrzałam. Teraz poznaję ją raczej po drobnej figurze niż z twarzy.

– Prędzej, chodźcie! – szepce do nas. – Coś stało się z moją mamą! – Balcia jest z nas najbardziej żwawa. Oto jest koło Sorki. – Ona ma niebezpieczne skurcze! – Słyszę skomlenie Sorki.

Balcia odwraca się do mnie.

– Nie mogę odejść od Malki.

Jak pijak, z zawrotami głowy, staję na nogi i drepczę za Sorką.

– Co ja mam robić? – mamrocze Sorka.

Przychodzimy w to miejsce za barakiem, gdzie Hanka i Sorka siedziały wcześniej i jadły konserwy w puszce. Hanki nie ma. Zniknęła. Przez chwilę Sorka stoi jak skamieniała. I wtem cwałuje, uciekając ode mnie, jakby była biegaczką olimpijską. Znika mi z oczu – i to jest ostatni raz, kiedy widzę ją w obozie.

W drodze powrotnej do baraku postanawiam dostać się do tych rur z kapiącą wodą, het przy dawnej latrynie. Mdleję z pragnienia. Tym razem szczęście mi dopisuje. Mnóstwo kacetników jest przy rurach, lecz mnie udaje się złapać łyk, nie więcej niż jeden, bo od razu mnie odpychają. Choć w głowie ćmi, nie daję się i próbuję z powrotem dopchać się do wody. W końcu się poddaję. Kiedy się prostuję, widzę w oddali, jak przez mgłę, rząd wachmanów w rozpiętych, rozchełstanych bluzach mundurowych, bez pasków, posuwających się naprzód. Każdy wachman ciągnie zwłoki ku piramidom. Inni wachmani zbierają te zwłoki i kładą

je na taczki[486]. Nie widzę oznak zadowolenia na twarzach tłumu heftlingów[487] wokół mnie, którzy przyglądają się scenie, jak Niemcy oczyszczają drogę. Żadnych wezwań do zemsty. Zimna jak głaz obojętność. Widok rozchełstanych Niemców nieznacznie tylko zmienia panoramę.

Leżę znów na ziemi w baraku obok Balci i Malki. W jaki sposób właściwe wyzwolenie Bergen-Belsen się dokonało, to znaczy, kiedy i jak wyciągają nas z baraków i przewożą do koszarowych budynków naszych dawnych strażników z SS, nie zarejestrowało się w mojej pamięci. Tyfus prawdopodobnie wymazał je ze świadomości.

I to, Abrasza, jest wszystko, co mogę Ci opowiedzieć o tym czasie, odkąd się rozstaliśmy.

---

[486] Widząc stosy trupów, tragiczny stan więźniów i warunki, w jakich żyli w obozie, Brytyjczycy nakazali niemieckim strażnikom i funkcyjnym, także kobietom, porządkować obóz, a przede wszystkim zbierać zwłoki i przenosić ciała do masowych dołów.

[487] Häftling (niem.) – więzień, więźniarka.

Rozdział trzydziesty drugi

Przez cały poranek Miriam była przytłoczona sennym koszmarem. Krzyczała przez sen. Znów śniło jej się, że jest ścigana i że zgubiła mamę podczas ucieczki. Powiedziała sobie we śnie, że to tylko sen i że musi tylko otworzyć oczy, a wszystko będzie w porządku. Lecz oczu otworzyć nie mogła. Nie mogła oderwać powiek od dolnych rzęs, do których się przykleiły. Chciała chwycić nóż, żeby je rozkroić. Lecz noża nie miała, skazana na wieczną ślepotę. I nagle oczy same się otworzyły. Dłuższą chwilę dochodziła do siebie. Zdawało się jej, że gdyby w pomieszczeniu nie było tak ciemno, dojrzałaby odcisk matczynych palców na swoim ramieniu. Czuła go wyraźnie. Czuła obecność matki i nie mogła pojąć, że matki nie ma i że nie trzeba już uciekać.

Lecz po południu czuła się dobrze. Poszła do lasu. Kiedyś był on zielonym murem, który zasłaniał bergen-belsenowski obóz. Teraz zmienił swoją funkcję. Stał się „świątynią medytacji", jak powiedziałby Adam Mickiewicz. Nie chciała, żeby cokolwiek zmąciło jej dobry nastrój na resztę dnia. Taki sen, jaki przyśnił jej się zeszłej nocy, stanowił wystarczający okup za tych parę dobrych godzin. Przyniosła ze sobą papier i ołówek i zabrała się do pisania listu do Abraszy.

Drogi Abraszo!

Oczekiwałam zupełnie innej odpowiedzi na serię bardzo długich listów na wielu dziesiątkach stron, jakie do Ciebie napisałam na temat zagłady Bocianów, o getcie i obozach. W zasadzie nie listów, tylko spowiedzi, która jakby sama z siebie popłynęła ze mnie. Gdybyś wiedział, jak ciężko szło mi to pisanie. Jeszcze dziś pozostaję przytłoczona tym potokiem słów. Lecz Ty powinieneś to wiedzieć. Jakże więc możesz wysuwać zarzuty, dlaczego podaję Ci za mało detali o tym czy tamtym, w związku zresztą z czasami, kiedy jeszcze byliśmy razem? Co jest z Tobą? Ostatecznie sam przecież to wszystko przeżyłeś.

Bardzo mnie uraziłeś swoim listem. Jesteś strasznie nietaktowny. Co stało się z Twoim wrażliwym, czującym, rozumiejącym sercem, Abraszo? Czy ono też doznało paraliżu? Tak, zadziwiające rzeczy dzieją się między nami. Niekiedy mam uczucie, że stałeś mi się obcy.

I w tym samym czasie mam wciąż to tajemnicze uczucie, że czytasz mi w myślach, tak że nie musimy pisywać do siebie; że dusze nasze są zharmonizowane tak, że mogą porozumiewać się za pomocą innych środków. Stworzyłam sobie teorię na ten temat. Myślę, że umysł ludzki jest to swego rodzaju stacja radiowa, która wysyła fale myślowe na pewnej częstotliwości, i że te myśli, jeśli są naładowane silnym uczuciem i silną wolą, dojść muszą do odbiornika, to znaczy do umysłu tej innej osoby, niezależnie od tego, jak ta osoba daleko się znajduje. Zresztą mam podobną teorię o moim kontakcie z mamą i ze wszystkimi moimi bliskimi. Bo sprawa przedstawia się tak: skoro nic w przyrodzie nie ginie, to duchowa materia duszy też musi gdzieś się podziać.

Jak by nie było, Twoja pielęgniarka jest sknerą. Co by jej szkodziło dopisać jeszcze parę linijek do jej krótkich raportów o Tobie? Powiedz jej, żeby była tak dobra i zabezpieczyła jeszcze kilka kropli atramentu w swoim piórze. Powiedz jej też, żeby podpisała się z imienia, tak, żeby można było je przeczytać. Nie mogę odszyfrować jej hieroglificznego podpisu.

Żebyś Ty wiedział, jak razi mnie otrzymywanie tych drogich wiadomości od Ciebie w języku niemieckim! Wciąż mam do niego silną awersję. Mimo że uczyłam się niemieckiego w gimnazjum, nie wiem, czy dziś umiałabym napisać po niemiecku jedno poprawne zdanie. Kiedy mówi się do mnie w tym języku, robię się głucha. Wszystko, co słyszę, to twarde, smagające ryki: „Alle Juden raus! Alle Juden runter!"[488] *– kiedy więc ujrzę ostre jak igła gotyckie litery Twoich listów, od razu wymazuję je wzrokiem, wyobrażając sobie żydowskie litery Twojego kształtnego pisma. Słyszę Twój głos mówiący do mnie w bocianieckim jidysz.*

Ciekawa jestem, co byli kacetnicy wokół Ciebie sądzą o naszym położeniu. My tu uważamy, że nasze opuszczenie Niemiec to musztarda po obiedzie. Ocalali innych narodowości mają łatwe życie. Na przykład Belgowie albo Francuzi. Przyleciały samoloty i zabrały ich do domu. Z nami, polskimi Żydami, sprawa nie jest taka prosta. „Kwestia polska" – mówi się. A żaden inny kraj też nie chce nas przyjąć[489]*. Kiedy byliśmy w getcie lub w obozie, myśleliśmy, że alianci nie*

---

[488] (niem.) *Wszyscy Żydzi wynocha! Wszyscy Żydzi na dół!*

[489] Obóz dla dipisów powstał w lipcu 1945 r. Stopniowo więźniowie, którzy byli w lepszej formie, wyjeżdżali z obozu do swoich krajów, ale znaczna część nie chciała wracać do dawnej ojczyzny. Niektóre kraje, np. Szwecja, Włochy i Szwajcaria, zaoferowały pomoc i przyjęły uchodźców, ale wielu więźniów myślało o emigracji do USA, Wielkiej Brytanii czy Palestyny i czekali na taką okazję. Na początku 1946 r. w Bergen-Belsen przebywało jeszcze ok. 9 tys. Żydów, a kilka tysięcy osób mieszkało w miasteczkach zlokalizowanych w pobliżu dawnych obozów.

przychodzą nam z pomocą, bo nie jest to możliwe. Sądziliśmy, że jak tylko burza przeminie, świat przyjmie nas za to triumfalnie, z otwartymi ramionami. No, to gdzie on jest – ten świat? Pokój panuje od kilku ładnych miesięcy – a my nadal siedzimy w obozach. Z nowin, jakie tu docierają, wnioskujemy o entuzjazmie odnowy i odbudowy. Słyszymy o historycznych postanowieniach i rozmaitych umowach – a my nie mamy nawet wystarczająco jedzenia.

Nie wiem, jak długo nie widziałam żadnej gazety. Wszystkie nowiny, jakie tu przychodzą, są przefiltrowane, skąpe, przekazywane z ust do ust, i często całkowicie niedokładne. W obozie Hummel byłam lepiej poinformowana niż tutaj.

Bywaj zdrów, Abraszo. Nie trać odwagi. Moja „martwa" noga się polepsza. Jestem pewna, że życie wkrótce powróci także do Twoich kończyn. Całuję Cię!

Twoja Miriam

*

Miriam miała teraz jeszcze jednego korespondenta oprócz Abraszy: Jamesa. Całymi dniami pracowała usilnie nad listami, jakie do niego pisała. Listami bardzo poplątanymi, ułożonymi przy pomocy słowników, które jej dał. Dostawała od niego listy w odpowiedzi, razem z rulonami „Daily Herald"[490]. W listach tych wyrażał nadzieję, że załączone gazety dojdą do niej, nim jeszcze staną się dokumentami historycznymi. Wypytywał, czy jej nadzieja na powrót do Polski ma realne podstawy[491].

Pisał: „Będę bardzo żałować, jeśli znikniesz z mojego małego światka bez zostawienia po sobie śladu, znaku, gdzie się znajdujesz i w jakich warunkach żyjesz".

Pisał jej, że w ciągu swojego stacjonowania w Bergen-Belsen był pod wielkim wrażeniem cierpienia ludzi, których życie zostało przetrącone przez *Nazi Kultur*[492]; że kiedy się z nią spotkał, a ona opowiedziała mu, w jaki sposób żyła w ciągu ostatnich sześciu lat, jak straciła swoich najbliższych, jak jej ambicje zostały unicestwione, a jej przyszłość obrabowana została z nadziei – stała się dla niego przedstawicielką wszystkich tych ludzi, ich symbolem; że w niej odzwierciedla się ich przeszłość i ich obecne cierpienie, i w niej odzwierciedli się ich przyszłość. Kiedy usłyszy od niej i dowie się, jak ona daje sobie radę w życiu, będzie wiedzieć, jak wiedzie się też innym.

---

490 „Daily Herald" – lewicowy dziennik brytyjski, wydawany w latach 1912-1964 w Londynie.

491 Korespondencja Chavy Rosenfarb z jej brytyjskim przyjacielem Douglasem Jensenem trwała od 5 czerwca 1945 r. do końca życia pisarki. Ich przyjaźń została unieśmiertelniona w formie listów, które dziś znajdują się w rękach Goldie Morgentaler, w powieści *Listy do Abraszy* pojawia się ich dalekie echo.

492 *Nazi Kultur* (niem.) – kultura nazistowska.

„Lecz wiem, że ty nie jesteś tak naiwnym człowiekiem – pisał – żeby nie rozumieć, że nie chcę usłyszeć tego od Ciebie jako od przedstawicielki kogokolwiek. W tych nielicznych godzinach, jakie spędziłem z Tobą, czułem, że oboje należymy do tego samego rodzaju ludzi, a to jest uczucie, jakie rzadko ma się w życiu. Sądzę, że gdybym nie musiał tak nagle rozstać się z Tobą, nasz kontakt by się wzmocnił. Zawsze będę żałować, że los nie dał czasu, żeby nasza przyjaźń rozkwitła. Nasze listy pozwolą może utrzymać ją przy życiu, aż, kto wie, może znów się spotkamy. Jeśli troska, jaką wyraziłaś na temat stosunku nowego rządu w Polsce do Żydów jest uzasadniona, proszę Cię, żebyś pamiętała, iż w Anglii nie ma nienawiści rasowej, i masz tu przyjaciela, który będzie szczęśliwy, mogąc Ci pomóc. Dziś wieczorem, kiedy siedzę w pokoju w samotnym porcie w Niemczech, czuję się *sehr traurig* i życzę sobie *spazieren in dem Wald*, patrzeć, jak się uśmiechasz, podczas gdy *Abendsonnenschein* oświetla czubki drzew”[493].

Długie wieczory zajmowało Miriam odcyfrowywanie listów Jamesa z pomocą słownika. Po tym, jak jej się to udało, od razu siadała do pisania odpowiedzi. Często wysyłała mu dwa listy naraz – ona, która w ogóle nie miała zamiaru do niego pisać. Zabrała się na poważnie za naukę angielskiego. Z pomocą słownika próbowała czytać gazety, jakie James jej przysyłał[494]. W jednym z czasopism znalazła artykuł o zagładzie europejskiego żydostwa. Dwa wieczory zabrało jej przerycie całego artykułu, a wszystko, co jej to dało, to straszliwy ból głowy. Autor artykułu doszedł do wniosku, że Żydzi szli na Zagładę „jak owce na rzeź”. Jej mama lub siostra – owcami? To zdanie, które zalatywało lekceważeniem, tak ją zdenerwowało, że od razu tego samego wieczora napisała list do Abraszy.

„Jak owce na rzeź” – to jest zdanie poniżające, obraźliwe. Nigdy by go nie użyto w odniesieniu do żadnego innego narodu, który cierpi pod butem tyranii. Tylko ktoś, kto sam ma coś złego na sumieniu, może obwiniać ofiarę o współpracę ze swoim oprawcą.

Co mieli zrobić jakiś ojciec albo jakaś matka z dzieckiem na rękach w drodze na śmierć? Co moja własna matka mogła zrobić? Mieli marnować swoje ostatnie minuty na bezsensowne akty zemsty czy raczej winni byli w pełni oddać się swojemu najukochańszemu, krwi z ich krwi, kości z ich kości, co szedł razem z nimi na stracenie?

---

493 *Sehr traurig; spazieren in dem Wald; Abendsonnenschein* (niem.) – bardzo smutny; spacerować po lesie; blask zachodzącego słońca.

494 Podobnie jak powieściowy bohater, Douglas Jensen wysyłał do Chavy Rosenfarb gazety i książki do obozu dipisów, a potem do Belgii i do Kanady.

Co całe bataliony rosyjskich czy polskich żołnierzy robiły, gdy naziści wzięli się do ich wymordowywania? Co robili Francuzi czy inne narody europejskie podczas masakry? Co robili ich przywódcy, kiedy ich prowadzili na egzekucję?

Ci oto kaznodzieje, którzy są tak pewni siebie, ci oto krytycy naszych ofiar, którzy siedzą w swoich wygodnych biurach i piszą artykuły – czy nie wiedzą, że skazani nie mieli broni, że najpierw zredukowani zostali do szkieletów, które nie miały nawet siły wznieść gołych pięści? Stosunkowo niewielka liczba miała to szczęście przeciwstawić się wrogowi w Europie. Byli to ci, którzy nie zostali odgrodzeni drutem kolczastym i mieli możliwość się uzbroić, ci, którzy mieli gdzie się ukryć i przygotować do powstania.

Ci oto gazeciarze wyrządzają Żydom niedźwiedzią przysługę przez wspominanie powstania w warszawskim getcie. Nie zauważają faktu, że warszawskie getto zostało poćwiartowane przez nazistów tak samo jak inne getta, i że powstanie przyszło, gdy w murach getta zostało ostatnie czterdzieści tysięcy Żydów. Wcześniej powstańcy mieli jeszcze rodziny przy sobie. Był strach przed odpowiedzialnością zbiorową. I wcześniej była jeszcze nadzieja. Dopiero w ostatniej minucie, kiedy grupy bojowe były co najmniej minimalnie uzbrojone – dzięki kontaktom ze światem zewnętrznym, które w Warszawie były możliwe – stawili opór.

Bojownicy warszawskiego getta byli bohaterami. Zapisali heroiczny rozdział na kartach historii, lecz ich bohaterstwo nie może przyćmiewać czy minimalizować bohaterstwa tych setek tysięcy we wszystkich gettach i obozach koncentracyjnych, bohaterstwa bezbronnych, nieuzbrojonych, którzy pochłonięci byli straceńczą walką o życie i o szacunek do siebie, walkę, która trwała nie dzień lub tydzień, tylko sześć okropnych lat.

Naziści chcieli złamać ducha swoich ofiar, żeby później oszczędzić sobie kłopotu. W hermetycznie odciętych gettach, bez żadnego kontaktu ze światem zewnętrznym, ciągle byliśmy wystawieni na działanie niemieckiej trucizny psychologicznej, która mąciła w głowie. Sprytnie grali na naszej woli życia, tumaniąc rozum obietnicami bez pokrycia, bezwstydnymi kłamstwami, w które my wierzyliśmy, pomimo wszystkich przykładów świadczących o czymś przeciwnym. Niemcy sączyli naszą krew pomału, kropla po kropli, „deportowali" setki, tysiące, wysyłając ich na śmierć, gdy w tym samym czasie dawali nadzieję pozostałym, że nie wszyscy pójdą, że tą małą ofiarą w postaci „wysiedlenia" płaci się za własne bezpieczeństwo. I w ten sposób składało się ofiarę za ofiarą, żeby zyskać czas i nadzieję. I jako że Niemcy zadbali o to, żeby na ulicach getta nie lała się krew, żeby śmierć w getcie przychodziła w rezultacie tak zwanych przyczyn naturalnych, jak choroby i głód, a że wola życia była tak wielka – ludzie nie chcieli wierzyć w totalną zagładę. Nawet gdy czuło się pętlę zaciśniętą na szyi, wciąż jeszcze miało się nadzieję. Był to przypadek zbiorowej hipnozy, autosugestii, przypadek fałszywego zaufania do osiągnięć kultury i cywilizacji. Kto mógł sobie wyobrazić, że ten najbardziej kulturalny, najbardziej cywilizowany naród w Europie, jest zdolny do popełnienia takiej nieludzkiej zbrodni?

Kiedy spoglądam wstecz na życie w getcie, Abraszo, dziwię się, jak my tam żyliśmy. Dziwi mnie, że było tak mało samobójstw. Dlaczego ludzie żyli o wiele dłużej, niż zapowiadali lekarze? A czy nie wiemy, jak trudno było w tamtych warunkach zachować ludzką twarz? Większość gettowników jednak tego dokonała. Przypomnij sobie tylko te powiedzonka, kawały, anegdoty i piosenki stworzone w getcie (które Malka teraz ożywia) – czy nie były one dowodem duchowej witalności gettowników? A ile siły i woli było trzeba, żeby w takiej sytuacji organizować szkoły, biblioteki, koncerty, przedstawienia teatralne, chóry, odczyty czy nielegalne słuchanie radia, jak robił Gabi na przykład, i kolportowanie wśród towarzyszy biuletynów informacyjnych. A ile szczodrobliwości trzeba było, żeby odciąć piętkę z własnej racji chleba i oddać ją choremu towarzyszowi.

W getcie były też oczywiście zło i podłość. Były brutalność i egoizm. Wyzuci z wszelkich pozorów, nie mając możliwości obleczenia się w fałszywą moralność, jak to łatwo jest uczynić w normalnych czasach, w getcie spotykaliśmy się twarzą w twarz z drugim – tacy, jacy byliśmy, z obnażonymi duszami, każdy ze swoim prawdziwym charakterem. I w ten sposób zmagaliśmy się, nie o żadne drobnostki, tylko o samo życie. W takich zmaganiach jednostka staje przed wyborem: ja albo ty. W takich zmaganiach zwierzę kryjące się w człowieku łatwo może wziąć górę. A jednak w większości przypadków górę brały ludzkie zalety.

A im więcej czasu upływa od likwidacji getta, tym bardziej jestem przekonana, Abraszo, że nasze dni tam były dniami moralnej siły. To daje mi nadzieję na przyszłość. Jeśli ludzie potrafią żyć tak, jak my żyliśmy w najczarniejszych godzinach, o ile łatwiej przyjdzie to teraz. Sądzę, że ci wszyscy, którzy przejmują się tak bardzo tym, jak Żydzi ginęli, lepiej by zrobili, gdyby dowiedzieli się, jak oni żyli. To z pewnością przyniosłoby im więcej pożytku.

Może brzmi to dziwnie, Abraszo, lecz myślę, że te cztery lata, które spędziłam w getcie, były najbogatsze, najbardziej inspirujące w moim życiu. W tamtych latach, gdy głęboko w sercu każdego dziecka, każdego mężczyzny i każdej kobiety uwierało przeczucie rozłąki i śmierci – miłość matki, ojca, ukochanego czy przyjaciela nabierała pełnego znaczenia. Każdy nędzny posiłek, kiedy moja rodzina była jeszcze w komplecie, był najwystawniejszą ucztą. Każdy wieczór, który spędziłam z przyjaciółmi, z Tobą lub z Markiem, niechby o pustym żołądku, niechby po dniu ciężkiej pracy i ponurej grozy, był najbliższy temu, gdy kiedykolwiek osiągnęłam stan harmonii ze sobą i z innymi.

Sądzę, że w tamtych dniach nawet najprymitywniejszy człowiek przechodził sam siebie i odkrywając ukrytą w sobie prawdę, dotykał samej istoty swojej natury. Do każdych drzwi w getcie przymocowana była żółta gwiazda Dawida. W środku, w izbach, było ciemno i zimno w każdym kącie; głód wyzierał z każdych oczu. A jednak w tych właśnie izbach kosztowało się pełnego smaku wewnętrznej wolności. A jednak w tych oto izbach najjaśniej przyświecała wizja „nowego wspaniałego świata", której mój ojciec tak entuzjastycznie się uchwycił.

Dlatego tak bardzo burzę się przeciwko tym, co mówią, że Żydzi w getcie byli jak owce idące na rzeź. Chciałabym zapytać tych, którzy mieli to szczęście, że nie przeszli tego, co myśmy przeszli, co daje im prawo z taką wyższością sądzić pomordowanych. Skąd mają tę pewność, że zachowaliby się lepiej, byliby odważniejsi, bardziej heroiczni od pomordowanych? Tak, czuję, że mówią to, żeby ulżyć swojemu sumieniu. Czują się mniej winni, mniej odpowiedzialni, kiedy mogą sobie powiedzieć, że przyglądali się z założonymi rękami, bo ostatecznie taki jest los owiec, że się je ubija.

Ostatnio deliberuję na ten temat całkiem często z Malką. Z dnia na dzień rośnie nasza samotność i poszerza się razem z panoramą zagłady, która rozpościera się coraz szerzej w naszej świadomości. Oswajamy się ze statystyką, której my same stanowimy tylko niewielki ułamek. Podobnie jak obiekt, który znajduje się przed naszymi oczami, podlega prawom perspektywy, tak dzieje się też z ocalałymi. Obiekt się zmniejsza, jeśli oddalać się od niego. Przeżycie traci ostrość, kiedy dzieli nas od niego kawałek czasu. Lecz z naszym nieszczęściem dzieje się odwrotnie. Im większy staje się czasokres, jaki nas od niego dzieli, tym wyraźniejsze i większe się ono staje. Umysł nie może przetrawić liczb Zagłady. Stały się one abstrakcją, która zowie się sześcioma milionami[495].

*

W blokach baraków brzęczało jak w ulu. Byli kacetnicy nieustannie przychodzili w poszukiwaniu swoich kobiet. Miriam słyszała, że Anton Cimerman przeżył, i bardzo chciała spotkać się z nim. Nowiny o tym, kto przeżył, a kto nie, lub o wydarzeniach politycznych niosły się z ust do ust. Z Ameryki nadchodziły paczki z żywnością i odzieżą. *Szejres ha-plejte*[496], jak kacetnicy teraz się nazywali, zaczęli organizować się według przedwojennych kierunków politycznych. Gabi odmówił stania się tu politycznie aktywnym. Był przekonany, że Wowa został rozstrzelany razem z tymi siedemnastoma radiosłuchaczami w getcie, i że nie ma sensu wyruszanie przez Niemcy w jego poszukiwaniu. Robił się coraz bardziej niespokojny, zdeterminowany do powrotu do Polski i tam przyczynienia się do tworzenia nowego społeczeństwa i odnowy życia żydowskich ocaleńców, którzy będą wracać do domu. Było jasne, że nikt nie odwiedzie go od tego postanowienia.

---

[495] Szacuje się, że w wyniku Holokaustu śmierć poniosło około 6 mln Żydów spośród 11 mln, jakie zamieszkiwały wówczas Europę, ale dokładna liczba nie jest znana z powodu braku kompletnej ewidencji.

[496] *Szejres ha-plejte* (hebr./jid.) – „ocalałe resztki"; nazwa biblijna (1 Krn 4;43) używana przez ocalałych z Holokaustu w odniesieniu do siebie i do żydowskich społeczności odradzających się zaraz po wyzwoleniu.

Miriam w żaden sposób nie mogła go zrozumieć.

– Jak możesz to robić? – robiła mu wyrzuty. – Zamiast być szczęśliwy, że odnalazłeś matkę i siostrę, i strzec ich jak oka w głowie, wypuszczasz się sam jeden, żeby gonić za swoimi mrzonkami? Dla ciebie oznacza to poświęcać się dla ideałów, ja wiem. Ale strzeżenie takiego ocalonego skarbu, jak matka i siostra, jest przecież bardziej święte niż najświętsza idea.

Gabi zezłościł się na nią:

– Nie praw mi morałów i daj mi spokój z tym histeryzowaniem, Miriam. Wojna się skończyła. Spokojnie, mamie i Malce nic się nie stanie. Jeśli nie będą mi towarzyszyć teraz, zabierze je się trochę później. Ale ja muszę jechać. Skoro już zostałem przy życiu, muszę zrobić to, co mam do zrobienia.

Balcia i Malka nie nastawały już na niego, żeby nie wyjeżdżał. Balcia, im więcej czasu upływało od wyzwolenia, tym bardziej uparcie wierzyła, że Wowa przeżył. I tym sposobem postanowiono, że Gabi wyjedzie do Polski, i że Miriam i Malka wyruszą przez Niemcy szukać Wowy, Jankewa i Marka[497], a Balcia zostanie w Bergen-Belsen, w razie gdyby ktoś z mężczyzn tu się pokazał. Tymczasem na pewno przyjdzie list z Ameryki i kontakt z przyjaciółką Balci zostanie nawiązany. Wtedy wszyscy spotkają się z Gabim w Łodzi i postanowią, co robić dalej.

Miriam i Malka chciały ruszać bezpośrednio do Bawarii, gdzie był obóz Kaufering i gdzie znajdowało się wiele obozów, do których wysłani zostali łódzcy Żydzi. Po drodze planowały zatrzymać się w Birnau[498], żeby zobaczyć się z Abraszą. Miriam spakowała wszystkie jego listy do torby. Nie mogła się z nimi rozstać.

Dziewczęta próbowały przekonać Gabiego, żeby towarzyszył im przynajmniej do Birnau, lecz on obrzucił je tym dobrze znanym spojrzeniem, jakby zaiste były szalone. Miriam mało co się z nim nie pobiła. Wcześniej wielokrotnie próbowała go przekonać, że Abrasza żyje. Lecz nawet teraz, kiedy mieli się rozstać, on odradzał jej plan odwiedzenia Abraszy. Położył dwie wielkie ręce na jej ramionach i patrząc jej prosto w oczy, powiedział jej po raz któryś:

– Co stało się z twoim tatą i Markiem, nie wiem, lecz wiem na pewno, że Abrasza nie przeżył.

Miriam roześmiała się histerycznie:

– Przecież na własne oczy widziałeś jego listy, czarno na białym!

– To jakaś paskudna pomyłka. Oto co to jest – obstawał przy swoim.

Miriam była gotowa rzucić się na niego. Dlaczego miała to być paskudna pomyłka?

---

[497] Chava i Henia Rosenfarb wyruszyły na poszukiwanie ojca 20 lipca 1945 r. W powojennym dzienniku pisarki jest o tym tylko jeden gorzki wpis z 28 sierpnia: „Już z powrotem tutaj. Po co opisywać to wszystko?". Więcej o doświadczeniach sióstr z podróży napisała Henia Reinhartz we wspomnieniach *Bits and Pieces*. Zob. Źródła przypisów.

[498] Birnau – miejscowość nad Jeziorem Bodeńskim na terenie Niemiec.

Co ten uparty osioł bredził? Ona i Abrasza byli przecież tak zespoleni ze sobą. Dzielili się najbardziej intymnymi tajemnicami ze swojego życia w tych oto listach, listach pełnych drobiazgów, o których nikt poza nimi nie wiedział. Lecz Gabi nie miał krzty zrozumienia dla subtelniejszych uniesień serca. Nawet twarzą w twarz z namacalnymi dowodami, dokumentami, brutalnie i zimno trzymał się swojej śpiewki. Omal nie wybuchła płaczem z jego powodu. On, który był takim uparciuchem, odmówił jej pozostawienia choćby promyka nadziei.

Stanęło na tym, że wszyscy troje odbędą razem tylko kawałek drogi do Hanoweru.

*

Balcia nie czuła się dobrze tego dnia, kiedy jej dzieci i Miriam wyruszyli. Odprowadziła ich do bramy obozu i tam się pożegnali. Miriam żegnanie się nigdy nie przychodziło z łatwością. Oschle ucałowała się z Balcią i nie mogła patrzeć, jak Balcia przypada do Gabiego i jak obejmuje Malkę, drżąc z przejęcia. Kiedy wszyscy troje odmaszerowali spod bramy i odwrócili głowy, wciąż jeszcze widzieli malejącą postać het w dali, jak macha im ręką.

Pomaszerowali na piechotę do miasteczka Bergen. Tam więcej niż godzinę czekali, aż podjechał wojskowy truck, a szofer, w mundurze żołnierza angielskiego, zgodził się zabrać ich do Hanoweru. Tam Gabi pożegnał się z dziewczętami. Znów pożegnanie przeciągało się nie wiadomo jak długo. Z Gabim człowiek czuł się radośnie i bezpiecznie. Kiedy on odszedł w swoją stronę, to jakby nagle grunt usunął się im spod nóg. Miriam pomyślała, że kacetnicy są jak flance, które rosną na pustyni. Ich korzenie nigdy nie wrosną w żadne podłoże. Wiatr zawsze będzie ich niósł z miejsca na miejsce. Pozostaną obcy sami sobie. Wszystko, co znajdą, to miejsce, gdzie będą mogli przyłożyć głowę, lecz domu nigdy już nie będę mieli.

Malka i Miriam błąkały się po ulicach na wpół zrujnowanego Hanoweru. Malka odezwała się:

– Nie myśl sobie, że przez sekundę wierzyłam, iż mój ojciec przeżył. Nie jestem taką idiotką. Lecz robię to dla mamy, jak również dla mojego własnego sumienia. A co się tyczy Abraszy, no, wkrótce przecież ta zagadka zostanie rozwiązana.

Miriam odpowiedziała ze złością:

– Dla mnie nie jest to żadna zagadka. Mam nadzieję, że odnajdę także mojego tatę i Marka. – Nie ośmieliła się otwarcie przyznać, że w głębi ducha wierzy, iż odnajdzie też gdzieś swoją mamę, Wierkę i Nońka.

Jakiś człowiek w pasiaku szedł z naprzeciwka ulicą. Zatrzymały go i spytały, gdzie znajduje się centrum rehabilitacyjne dla dipisów. Był to Jugosłowianin, lecz rozumiał ich niemczyznę i zaprowadził je pod właściwy adres. Tam Miriam i Malka znów czytały spisy. Znalazły na nich nazwisko Abraszy, z dopiskiem: „szpital w Birnau", i się ucieszyły. Miały nadzieję, że odnajdą także nazwiska innych mężczyzn, kiedy przybędą w rejon Bawarii.

Dwie dziewczyny z obozu Ravensbrück wdały się z nimi w rozmowę. Dziewczyny te, razem z grupą młodych kobiet, mieszkały w pomieszczeniu w tym oto budynku, i tam zaprosiły Miriam i Malkę. Stanowiły wesołą kompanię i dobrze dawały sobie radę. Żadna z nich nie miała rodziny, żeby jej szukać. Dały Malce i Miriam pieniądze i jedzenie, zapraszając je, żeby przenocowały u nich. Te młode kobiety oczekiwały na grupę amerykańskich żołnierzy żydowskich, którzy mieli nadejść nazajutrz. Na pewno zechcą oni zabrać Malkę i Miriam do swojego jeepa i podwieźć większy odcinek drogi do Birnau, przekonywały.

Gdy tylko przestały się przemieszczać, Malka zaczęła martwić się o Balcię, a Miriam odczuwać lęk przed szokiem na skutek nadchodzącego spotkania z Abraszą. „Hulaj dusza, piekła nie ma!" – ta postawa udzielających im gościny denerwowała je. Dziewczyny były bardzo spontaniczne i pełne hałaśliwej radości z tego, że przeżyły. Chciały koniecznie, żeby Miriam i Malka uprzytomniły sobie, że piękna końcówka lata dojrzewa na zewnątrz i że można czerpać przyjemność z życia, nawet jeśli straciło się nadzieję.

Jedna z dziewczyn wspomniała mimochodem, że pociągi towarowe, które jadą z Hanoweru do Monachium, przetaczają się przez stację kolejową i zabierają ludzi. Malka przekonała Miriam, żeby zrezygnować z czekania na amerykańskich żołnierzy i od razu wsiąść do pociągu jadącego do Monachium.

– Niech będzie Monachium. Stamtąd podjedzie się do Birnau – powiedziała.

Stacja kolejowa to była góra gruzów. Miriam zabrała się za pisanie listu do Abraszy. Chciała mu dać znać o swojej wizycie. Pisała ten list na kolanach, siedząc na stopniu dawnego sklepu, w ruinach domu naprzeciwko szyn kolejowych. Większość stojących tu budynków to ogromne kupy cegieł i kamieni, z wystającymi belkami zbrojenia, przechylonymi ramami drzwi i okien. Wszędzie walało się rozbite szkło. Wiele tysięcy ludzi siedziało wokół na gruzach lub na kamieniach pośrodku drogi i czekało na pociąg. Nikt nie wiedział na pewno, kiedy ma przyjechać lub czy w ogóle przyjedzie. Miriam zabijała czas, dopisując wciąż nowe kartki do listu. Nie miała pojęcia, kiedy i gdzie ten list nada. Malka pisała w swoim dzienniku. Odkąd Miriam sama napisała swoją papierową spowiedź do Abraszy, zaczęła doceniać Malkę za jej notatki.

Grupa zdemobilizowanych, nieogolonych żołnierzy niemieckich siedziała obok w rozpiętych, niechlujnych mundurach. Inni stali dookoła, oparci o resztkę ściany zawalonego budynku. Kilku z nich próbowało nawiązać rozmowę z tymi dwiema dziewczynami w kostiumach, uszytych przez Balcię z unrowskiego koca. Zarówno Malka, jak i Miriam nie miały ochoty, by nawiązywać z nimi jakikolwiek kontakt. Konwersowanie z Niemcami jeszcze bardziej by je zdenerwowało. Udawały więc, że nie słyszą, co się do nich mówi lub że nie rozumieją po niemiecku, albo że zajęte są swoimi sprawami.

Wśród zdemobilizowanych stał pewien wojskowy, który odróżniał się od pozostałych tak wyglądem, jak i zachowaniem. Jego płaszcz wojskowy był w lepszym

stanie niż płaszcze pozostałych, choć pozbawiony guzików, jak i epoletów. Nie odzywał się do żadnego ze swoich współtowarzyszy ani do dwóch dziewcząt w unrowskich kostiumach. Stał akurat całkiem blisko i opierał się o fragment ściany, oddalony nieco od pozostałych. Nie wyglądał jak aryjczyk, nie był blondynem, miał czarne włosy i czarne oczy. Jego nieogolona twarz była smagła. Lecz najbardziej ta jego smagłość zdawała się wyzierać z oczu: głęboka, otchłanna czerń, jak dwie czarne dziury, które wchłoną w siebie wszystko.

Jak tylko Miriam podniosła głowę znad bloku papieru na swoich kolanach, napotkała jego oczy. Nie przestawał gapić się na nią. Nie unikała jego natarczywego wzroku. Dlaczego miałaby go unikać? Nie ma nic na sumieniu. On nie uśmiechał się do niej, a ona z pewnością nie uśmiechała się do niego. Jednak w jakiś nieokreślony sposób porozumieli się wzrokiem, mimo że ona nie była pewna, co takiego komunikowali jedno drugiemu. A że jego gapienie się na nią nie ustawało, zaczęła czuć się niekomfortowo. Wyczuwała hipnotyzującą siłę tego obcego człowieka. Jakiś niepokój opadał ją za każdym razem, kiedy unosiła głowę i napotykała te dwie otchłanne dziury w jego smagłym obliczu. Obezwładniał ją swoją obecnością, swoim nieprzeciętnym wzrostem, swoją postawą i tą szczególną atmosferą, jaką roztaczał wokół siebie.

Może był feldmarszałkiem lub kimś podobnie wysokiej rangi? Niewątpliwie nazista. Prawdopodobnie członek SS. Esesmani byli wspaniałymi egzemplarzami płci męskiej, mimo że nie zawsze byli dobrymi przedstawicielami czystej rasy aryjskiej. Może ten tu, co się na nią gapi, należy do świty Hitlera? Lecz nie to rzucało na nią strach. Był to rodzaj zmysłowego drżenia.

„A co, jeśli podejdzie do mnie i każe mi iść z nim?". Całym ciałem czuła tęsknotę za znalezieniem się w uścisku męskich ramion, tęsknotę tak dawną, a tak odnowioną. Otrząsnęła się. Z pewnością odmówiłaby mu, temu naziście, mordercy jej narodu. A jednak rozpoznała w sobie ten smak hipnotycznego transu. Znała go jeszcze z dzieciństwa, ze spotkań z towarzyszem Kacem. Nie jest już dzieckiem. Ma żelazną wolę – wolę, która pomogła jej przeżyć. Oczywiście, że by mu odmówiła, choć jej ciało drży, tak on ją pociąga. I, na Boga, on jest podobny do Marka! Lecz jest bardziej dojrzały, bardziej męski od Marka, masywniejszy i potężniejszy od Marka. Co to za niedorzeczne pomysły nasuwają się jej – gdy siedzi tu oto i pisze długi list do Abraszy! Odwróciła się plecami do tego obcego, żeby go nie widzieć.

Malka poszła przynieść skądś butelkę wody, żeby ją zabrać na drogę. Miriam nie chciała pozwolić jej iść samej, lecz Malka kazała jej zostać. Ma coś do przemyślenia, powiedziała. Malka była dokładnie taka sama jak mężczyźni w jej rodzinie – uparta. Lecz zarazem wyśmienicie dawała sobie radę, była praktyczna i rzeczowa. O wiele bardziej praktyczna i rzeczowa od niej, od Miriam. O Malkę nie trzeba było się bać. Można było na niej polegać.

Lecz kiedy tak patrzyła za Malką, Miriam zdjął strach. Malce ostatnio wróciły siły. Odżyła. Pomijając to, że jej twarz wciąż była zbyt blada, stała się pięknością,

ze swoimi lśniącymi, kasztanowymi włosami i oczami w podobnym kolorze – królowa Saba, jak Abrasza zwykł ją nazywać. Tu, w drodze, ta jej piękność stanowiła niebezpieczeństwo. Miriam skoczyła więc na równe nogi i pobiegła za Malką. W na wpół zawalonym domu znalazły kran z bieżącą wodą. Z napełnioną butelką skierowały się z powrotem. Z naprzeciwka szła grupa czarnoskórych żołnierzy amerykańskich. Rozgwizdali się i podążyli za nimi dwiema.

– *Hey, ginger!*[499] – krzyczeli za Miriam.

O mało nie zemdlała ze strachu. Lecz wtem Malka stanęła w miejscu, poczekała, aż czarnoskórzy podeszli, i zaczęła rozmawiać z nimi łamaną angielszczyzną. Miriam stała z boku. Mrugali do niej po szelmowsku iskrzącymi się oczami i uśmiechali się do niej. Między czerwonym językiem a śnieżnobiałymi zębami tańczyły balony z gumy do żucia.

– *Come here, ginger!* – nie przestawali zapraszać Miriam. Jej rudawe włosy jakby ich zaczarowały.

– Chodź już, pociąg w każdej chwili może przyjechać. – Miriam odważyła się podejść i pociągnąć Malkę za ramię. Ledwo udało jej się odciągnąć ją od tej ferajny. – Czemu przystajesz, żeby rozmawiać z obcymi mężczyznami? – zapytała z pretensją Miriam.

– A czemu nie? – Malka gwałtownie potrząsnęła głową. – Czego tu się bać w biały dzień? Nigdy nie rozmawiałam z żadnym czarnoskórym. To interesujące. – Zaczęła przekonywać Miriam do uroku tych czarnoskórych mężczyzn. Jacy są smukli, jak pełen gracji, niemal taneczny jest ich chód. – Ty, jako specjalistka od tańca, powinnaś ich raczej podziwiać, niż się ich obawiać.

Miriam wpadła w gniew na Malkę za wspomnienie o tańcu. Znów siedziały na gruzach. Czarnowłosy oficer gdzieś zniknął. Razem z nocą nadchodziła burza. Grzmiało i błyskało się. Pociąg towarowy się nie pokazał. Tłum się rozbiegł, żeby schronić się przed nawałnicą pod sterczącymi fragmentami muru. Miriam i Malka znalazły róg domu w górze gruzów, niezniszczony narożnik pomieszczenia z kawałkiem dachu nad głową. Tam przytuliły się do siebie na kupie piasku oraz kamieni i czekały, aż ulewa przejdzie. Z głową wspartą jedna o drugą spały na zmianę. Jedna z nich czuwała, na wypadek gdyby nadjechał pociąg.

Deszcz ustał dopiero nad ranem. Miriam i Malka postanowiły zrezygnować z czekania na pociąg i pomaszerowały w kierunku szosy, żeby tam spróbować szczęścia. I rzeczywiście, zanim jeszcze do niej dotarły, nadjechał wojskowy truck. W odpowiedzi na ich wołanie i machanie rękami szofer zatrzymał maszynę i pozwolił im wleźć na pakę. Przyjemnie było jechać na otwartej pace w świeżym wietrze poranka po deszczu. Wietrzyk muskał twarz i bił w nozdrza zapachami

[499] (ang.) *Hej, rudzielcu!*

nieobrobionych pól. Truck, będący w trasie do Getyngi, trząsł się w konwulsjach na wyboistej szosie pełnej dziur. Dziewczęta, podrzucane w powietrze, uśmiechały się, śmiały, a w końcu zległy na podłodze trucka. To trzęsienie ukołysało je do snu.

Nie wysiadły w Getyndze. Truck miał jechać dalej, do jakiegoś miasteczka między Münden a Kassel. Dotarcie do Kassel, jak Miriam i Malka słyszały, było najtrudniejszą rzeczą na świecie. Uważały się więc za szczęściary, że mogą jechać dalej. Szofer wysadził je niedaleko Kassel, a stamtąd poszły na piechotę.

Szosa była nabita tysiącami ludzi. Wędrówka ludów. Zdemobilizowani żołnierze i niemieckie rodziny z dziećmi, obładowane tobołami i klamotami. Wielu ciągnęło swój skromny majątek na wózkach ręcznych – rodziny, które szukały nowych domów w ruinach hitlerowskiego imperium, na cmentarzysku tysiącletniej Rzeszy.

Miriam wyłonił się z pamięci obraz akcji dziecięcej w łódzkim getcie podczas szpery. Przypomniała sobie, jak matki myły i stroiły swoje Esterki, Mośki, Ruchcie w najśliczniejsze ubranka. Dziewczynkom wiązały kolorowe wstążki na warkoczach. Załadowane na wielkie wozy, sprasowane jak sardynki, odjeżdżały tysiącami. Dzieci na wielkiej wycieczce do wieczności.

– Kim będą nauczyciele tych dzieciaków? – Wskazała Malce na dzieci, które widziały na szosie. – Kto je uchroni przed bakcylem zła, którym rodzice i nauczyciele mogą je zainfekować?

Malka uśmiechnęła się krzywo.

– Może należałoby te dzieci odebrać rodzicom. Nie zabijać, tak jak oni zabijali nasze, tylko je wychować. Wyobraź sobie, niemieckie dzieci wychowywane przez ocaleńców z obozów.

W Kessel udały się do domu komitetu dipisów i czytały spisy ocalałych. Żadnych efektów. Znów wyruszyły w drogę i znów szczęście im sprzyjało. Zabrał je wojskowy truck. Jechał do Monachium, więc Miriam i Malka postanowiły odbyć nim całą drogę na miejsce.

Lecz po ujechaniu godziny szofera dopadł atak senności. Jechał przez całą noc, powiedział. Był to podtatusiały, grubawy amerykański żołnierz; obdzielił dziewczęta papierosami i gumą do żucia. Było popołudnie, więc postanowił zajechać do najbliższej wioski i zostać tam na nocleg. Nie było innego wyjścia, jak tylko się z nim zgodzić. W tej wiosce szofer znalazł dla siebie kwaterę w chłopskiej zagrodzie, a dla swoich pasażerek miejsce u warkliwej starej chłopki, autentycznej egzemplifikacji czarownicy z *Jasia i Małgosi*, czy dokładniej mówiąc: *Hänsel und Gretel*.

Starucha odmówiła oddania gościom prywatności jej paradnej izby z wielkim łóżkiem i w ogóle sprawiała wrażenie, jakby była w stanie, tak jak czarownica w baśni braci Grimm, wstawić te dwie dziewczyny tam, gdzie jest ich miejsce

– do pieca. Wyglądała, jakby żałowała, że jej bohaterscy *Volksgenossen*[500] nie zdołali tego zrobić.

Malka i Miriam jak na złość upierały się, żeby dostać najładniejszą izbę z najlepszym łóżkiem – były tak żądne zemsty. I gdy starucha nadal warczała, zatrzasnęły jej drzwi przed nosem. Malka usiadła przy oknie i zaczęła notować w swoim dzienniku. Miriam wyjęła nieskończony list do Abraszy. Lecz nie chciało jej się pisać. Snuła się po sypialni i oglądała fotografie, którymi były obwieszone ściany. Zdjęcia mężczyzn i kobiet. Starsi mężczyźni z wąsami, mężczyźni w mundurach Waffen-SS, kobiety w białych sukniach. Dzieci. Rodzina. Piękne psy i konie ozdabiały te zdjęcia. Starucha była widać uczuciową matką i kochała zwierzęta.

– Zapożycz od Heinego tytuł dla swojego dziennika – odezwała się Miriam do Malki. – Nazwij go *Harzreise*[501].

Malka zachichotała.

– Jesteś genialna.

Ten oto tytuł miał zarówno wspólne, jak i osobne znaczenie dla każdej z nich. Malka była bardzo przejęta podróżą, przeżyciami po drodze, spotkaniami, tak przyjemnymi, jak i niemiłymi. Ciągle zmieniający się krajobraz rozpogadzał ją, sprawiał, że niecierpliwie chciała ruszać w dalszą drogę. Nadzieja, że świat się odnawia, dawał jej poczucie, że ona sama się odradza. Ledwo pamiętała cel tej podróży i ani słowem nie wyrażała nadziei na odnalezienie Wowy żywego.

Lecz Miriam była dziwnie odizolowana i oddalona od realiów tej podróży. Krajobraz, jaki jej ciągle towarzyszył – jej własnego wewnętrznego świata – nie pozwalał jej wyraźnie zobaczyć tego, co ją otacza. Każda rzecz, jaką dostrzegła, była tylko wyzwalaczem, który budził skojarzenia i odwodził myśli daleko od rzeczywistości. Dlatego widziała tę rzeczywistość jak przez mgłę, welon, niby malarz, który mruży oczy i ująwszy sceny widziane przed oczami, przenosi je na tło wcześniej namalowanych scen. W ten sposób te krajobrazy, widok wędrujących ludzi i ruiny miast zapisywały się w jej pamięci ponad wyrazistymi obrazami z poprzedniego życia.

Malka uporała się ze swoimi notatkami. Z wielką przyjemnością rzuciły się obie na miękką, puchową pościel i górę poduszek. Od razu usnęły i jak aniołki przespały cały wieczór i całą noc. Przed świtem wstały pogodne, optymistyczne i niecierpliwe, by wyruszyć w dalszą drogę.

Dopiero chwilę później zauważyły, że obie mają koszule ubrane na odwrotną stronę. Był to zły znak. I rzeczywiście, dzień rozpoczął się źle. Szofer trucka przyszedł im powiedzieć, że nie ma benzyny i musi podjechać do najbliższej bazy

---

[500] *Volksgenossen* (niem.) – „towarzysze narodowi"; termin używany przez narodowych socjalistów na określenie osób należących do wspólnoty niemieckiej krwi.

[501] *Die Harzreise* (niem.) – dziennik podróży, który Heinrich Heine pisał podczas wędrówki po górach Harzu jesienią 1824 r.

wojskowej, żeby ją przywieźć. Trzeba było czekać na niego godzinami. Niecierpliwe, niezadowolone przysłuchiwały się nudnemu utyskiwaniu tej starowiny, która nie miała odrobiny uroku. Kazały jej podać sobie obfite śniadanie złożone z jajek, ogórków i chleba z masłem.

W porze obiadowej, kiedy szofer nadal się nie pokazywał, postanowiły dłużej nie czekać na niego i wyszły na drogę. Znów przyszło im stanąć twarzą w twarz z tysiącami ludzi na szosie. Z obu stron zieleniły się pola i lasy, falującymi pagórkami sięgając po horyzont – tu i ówdzie z piętrzącymi się fragmentami machin wojennych, które wyglądały jak wrośnięte w krajobraz. Wspaniały kraj, zamieniony przez jego mieszkańców w międzynarodowy cmentarz. Wędrujący Niemcy wyglądali jak duchy prześladowane przez cienie swoich ofiar.

– Ciekawa jestem, jakiego rodzaju nowe życie wzejdzie na tej oto ziemi – odezwała się Miriam i od razu zezłościła się na siebie: – Dlaczego za każdym razem, gdy widzę tabuny Niemców, przychodzą mi do głowy złośliwe myśli na ich temat? Do diabła! Co to mnie obchodzi? Nie mój kłopot, jaki będzie ich los.

– Bo to jest twój kłopot – zauważyła Malka.

Rozległ się warkot trucka, który zatrzymał się koło nich.

– *Ej, Fräulines!*[502] – zawołał ktoś. Szofer ich trucka! Rozpogodzone wdrapały się na pakę i kontynuowały podróż.

Nie ujechali pół godziny, jak patrol amerykański zatrzymał wóz i zażądał okazania *Passierscheinen*[503]. Malka i Miriam zaopatrzyły się w rodzaj listu po angielsku, jaki im wydała policja wojskowa w Hanowerze. W liście stało napisane, że te oto dwie dziewczyny są dipiskami poszukującymi swoich krewnych, i że w miarę możliwości należy im pomóc. Lecz ten dokument widocznie nie obowiązywał w amerykańskiej zonie. Nie było im więc dane kontynuowanie wygodnej jazdy z podtatusiałym szoferem – musiały powędrować do miasteczka Fitzlar, gdzie miały, jak obiecywali im patrolujący, otrzymać odpowiednie dokumenty i pomoc.

Dzień rozpoczął się źle i tak też się kończył. Minął bez znaczących postępów. Wkrótce zapadła noc. Powietrze zrobiło się chłodne, więc wciągnęły na siebie żakiety od unrowskich kostiumów. Miasteczko Fitzlar skąpane było w ciemnościach. Nigdzie nie było widać żadnego człowieka ani policji wojskowej, jak również posterunku wojskowego czy światła na ulicach. Można było się przestraszyć. Wlókł się człowiek przez obce, ciemne ulice – zmęczony, zagubiony – w tym mieście duchów pośrodku krainy niczyjej, nie wiedząc, co począć. Jedna rzecz była jasna: tę noc będą musiały spędzić w Fitzlar.

– Zjedzmy coś – zaproponowała Miriam i zanurzyła rękę w swojej szmacianej torbie po kawałek chleba, który wzięły od „czarownicy". Miriam koniecznie chciała

---

[502] (niem.) *Ej, panienki!*

[503] *Passiercheinen* (niem.) – przepustki.

usiąść, złapać oddech i odbyć małą „konferencję" z Malką. Usiadły więc na progu zaryglowanych drzwi i w milczeniu przeżuwały chleb. Miriam wpatrywała się w ciemną głębię pustej ulicy. Jakiś ból uwierał w sercu, ponure, głębokie cierpienie.

– Dlaczego nie jesz? – zapytała Malka.

Miriam wzruszyła ramionami.

– Nie jestem taka głodna, jak myślałam.

– To chodźmy.

– Posiedźmy jeszcze chwilę.

– Co ci jest? Nie czujesz się dobrze?

– Dobrze się czuję. Robi się zimno.

– Dobrze jeszcze, że mamy te paryskie kostiumy, nieprawdaż? – Malka uderzyła w weselszy ton. – Jest całkiem jasno. Gwiazdy świecą. – Odetchnęła głęboko i udała, że rozkoszuje się chłodnym powietrzem. – Piękna noc.

Miriam nie podzielała jej zachwytu.

– Gdzie przenocujemy? – Przyszła jej na myśl „czarownica" z minionej nocy. Słyszała nieprzyjemne skrzeczenie głosu tej staruchy. Dosyć miała niemieckich przysług. Zniżanie się do proszenia o gościnę u wroga było odrażające. Miriam więcej tego nie zrobi. Woli zostać tutaj, gdzie są, żeby wyczekiwać dnia, niezależnie od zmęczenia. Powiedziała to Malce.

Malka wybuchła:

– Zwariowałaś!?

– Zwariowałam. Wolę spędzić noc na zewnątrz. Nie zależy mi.

– Ale mnie zależy! – Malka nie posiadała się ze złości. – Powinnyśmy mieć choć trochę odwagi.

– Ty to nazywasz odwagą? Dla mnie to jest poniżenie. Zostaję tutaj i tyle.

– Możesz sobie zostać! – Malka skoczyła na równe nogi. – Ja idę zapukać do drzwi i poprosić o nocleg.

Miriam też skoczyła na równe nogi.

– To ty jesteś tchórzem, nie ja! – złościła się. – Dlaczego tak się boisz zostać na dworze?

– Nie boję się! – krzyknęła Malka w odpowiedzi.

– Chodź, wejdziemy na podwórko i poszukajmy jakiejś komórki.

– Sama sobie idź. Ja idę zapukać do domu i dostanę dla siebie łóżko. – Malka odwróciła się od niej.

Miriam chwyciła ją z tyłu za rękaw.

– Nie idź!

– Zostaw mnie! – Malka gwałtownym ruchem uwolniła się z ręki Miriam i odmaszerowała szybkim krokiem.

Miriam z powrotem usiadła na progu, czekając, aż Malka wróci. Lecz Malka nie wracała. Ten twardy jak kamień upór klanu Cederbojmów! Lecz Miriam nie podda się. Nie pobiegnie za Malką. W getcie czy w obozie nie można było pozwolić

sobie na luksus sporów i ona z Malką rzadko się kłóciły. Lecz teraz można poddać się impulsowi. Malka nie powinna tak odejść w ciemną noc. Coś mogło się stać jednej z nich. Mogły się zgubić. W getcie czy w kacecie łatwo można było się odnaleźć. Lecz szeroki świat jest ogromny jak ocean, w którym można zginąć bez śladu.

Malka zniknęła z oczu. Miriam dreszcz przeszedł po karku. Skoczyła na równe nogi, pobiegła do najbliższego rogu i się rozejrzała. Nie miała pojęcia, w którym kierunku odeszła Malka.

– Malka! Malka! – wołała pośród ciemności.

Nie było słychać żadnej odpowiedzi. Cisza. Noc. Czarne ściany łypały na nią czarnymi, błyszczącymi szybami okiennymi. Co teraz będzie? Co musi zrobić? Nie mogła sobie wybaczyć. Jakie to głupie! Jakie nieodpowiedzialne! Wyobrażała sobie najokropniejsze rzeczy, jakie mogły przydarzyć się Malce, tej pięknej królowej Sabie. I co powie Balcia? Miriam wyobraziła sobie jej twarz. Tego tylko im brakowało w tym momencie życia! Co za idiotyzm!

Przyszło jej do głowy, że nie powinna odchodzić z tego miejsca, gdzie siedziała, na wypadek gdyby Malka wróciła. Pośpieszyła więc z powrotem w poszukiwaniu tego progu. Wśród nocnej ciszy usłyszała odgłos kroków na chodniku. Ktoś gdzieś biegł. Usłyszała, jak Malka woła jej imię. Głośne westchnienie ulgi. Miriam obiecała sobie nigdy więcej nie rozdzielać się z Malką w czasie tej podróży, niezależnie z jakiej przyczyny. Granatowy kostium Malki zlał się z ciemnością. Wynurzała się tylko jej twarz. Złapała Miriam za ramię.

– Chodź, znalazłam miejsce!

Miriam poszła za nią. Weszły do piętrowego domku. Z łóżka dobiegł jakiś głos.

– *Guten Abend*[504] – powiedział głosem wilka z bajki braci Grimm o Czerwonym Kapturku. W domu nie było światła. Malka trzymała Miriam za ramię i podprowadziła ją do łóżka po przeciwnej stronie. Padły na nie obie, nawet nie zdejmując „paryskich kostiumów". Z przeciwległego łóżka dochodziło głośne chrapanie.

Malka wyszeptała Miriam do ucha:

– Kaleka z jedną nogą.

– Jakim sposobem on ci otworzył? – zapytała Miriam jakby przez sen.

– Nie otworzył mi. Drzwi były otwarte, to weszłam. Kule stoją koło łóżka, spójrz.

Miriam nie spojrzała. Po chwili obie mocno spały.

Na zewnątrz było jeszcze szaro, kiedy się przebudziły i wyszły z łóżka. Usłyszały tego mężczyznę w łóżku, jak mówi: *„Auf Wiedersehen"*[505], kiedy ruszyły do drzwi.

Miasto nadal było wymarłe, spowite szarą mgłą poranka. Lecz powietrze, mimo że zimne, zrobiło się przyjemne. Czuły się obie wypoczęte i pełne energii.

---

[504] (niem.) *Dobry wieczór.*

[505] (niem.) *Do widzenia.*

Wstawał nowy dzień. Maszerowały, żując kawałki chleba, jakie im zostały w torbach. Wytężały wzrok, żeby dojrzeć gdzieś ludzką sylwetkę, by móc zapytać, gdzie znajduje się posterunek policji.

Jakiś starszy człowiek z miotłą w ręce zamiatał chodnik z frontu domu. Wytłumaczył, gdzie znajduje się posterunek. W jakiś sposób dostały się tam i zastały zaspanego policjanta wojskowego przy wejściu. Inny drzemał w środku, z nogami na biurku. Obudził się, rozziewał się taktownie i napisał na skrawku papieru adres – bazy wojskowej, która jest lepiej przystosowana do zajmowania się problemami dipisówek.

Tułały się w ten sposób od jednego posterunku policji do drugiego, prosząc o amerykańskie *Passierscheinen* czy jakikolwiek potrzebny dokument, który pozwoliłby im kontynuować podróż. W końcu ich starania zwieńczone zostały sukcesem. Miriam wyraziła przekonanie, że otrzymały dokumenty dzięki królewskiej urodzie Malki i jej własnej „perfekcyjnej" angielszczyźnie, którą sobie wyrobiła przez praktykowanie korespondencji z Jamesem.

– *Toczno*[506] – powiedziała Malka. – Nie inaczej, tylko te dwa fakty przekonały ich, że nie stanowimy zagrożenia dla pozycji strategicznej i dyplomatycznej Stanów Zjednoczonych Ameryki.

Uzbrojone w nowe *Passierscheinen* pomaszerowały raźno ku szosie, gdzie od razu zostały zatrzymane przez patrol wojskowy. Niezwykle przyjaźnie i z pewną dozą satysfakcji Miriam i Malka wyjęły pachnące nowością przepustki z toreb. Patrolujący bardzo wnikliwie studiowali te lakoniczne dokumenty, do których ani Miriam, ani Malka wcześniej nie zajrzały. Studiowanie dokumentów zajęło patrolowi tak długo, że Miriam i Malka zaczęły się zastanawiać, czy *Passierscheinen* są należycie ostemplowane lub czy tych dwóch wojskowych ominęło szkołę podstawową i wstąpiło do wojska z dyplomem ukończenia przedszkola, dlatego nie najlepiej umieją czytać.

Jak się okazało, była trzecia przyczyna, a mianowicie: rysopisy dwóch kobiet w dokumencie nie odpowiadają ich faktycznemu wyglądowi. Nie zgadzało się z dokumentem również to, co ustnie podały jako cel swojej wyprawy. A było tam napisane, że Miriam i Malka, dwie kobiety koło czterdziestki, są w drodze, żeby odszukać swoich mężów. Mimo to patrolujący ostatecznie ozdobili swoje twarze oficjalnym uśmiechem i oddawszy dokumenty, powiedzieli: „OK!". Co więcej: zatrzymali wielkiego trucka, który przewoził konie, i wspaniałomyślnie zaprosili te dwie *young ladies*, żeby wspięły się na niego i kontynuowały swoją podróż z najlepszymi życzeniami od armii amerykańskiej.

Na widok ciężarówki załadowanej tyloma olbrzymimi zwierzętami w roli towarzyszy podróży, Miriam i Malka wymieniły znaczące spojrzenia.

– Prawda – odezwała się Malka do Miriam – że w dzieciństwie lubiłam

[506] (ros.) *Tak jest*.

przeprowadzać eksperymenty naukowe na różnych żywych stworzeniach. Karmiłam nawet myszy. Lecz nigdy nie przyszło mi mieć do czynienia z końmi. Dwa kroki to najmniejsza odległość, w jakiej kiedykolwiek stałam koło konia.

– Mogę powiedzieć to samo – szepnęła Miriam w odpowiedzi.

I tak, z uczuciem, że ich życie za chwilę funta kłaków nie będzie warte, wdrapały się na trucka, z pomocą głupkowato uśmiechniętych policjantów wojskowych. Od razu znalazły się w doborowym towarzystwie pełnych gracji przyjaciół człowieka, żeby razem z nimi wyruszyć w awanturniczą podróż. Nawet gdy ujechały spory kawałek drogi, ich nieufność w stosunku do koni nie zmalała ani o włos. Była to wina nie tylko nieodpowiedniego wychowania, jakie otrzymały w domu na temat stworzeń bożych, lecz także warunków, w jakich przyszło im mieć do czynienia z końmi po raz pierwszy w ich życiu. Bo co innego oglądać konie zaprzężone do dorożki czy wozu albo galopujące przez pole, a zupełnie inną rzeczą jest bycie upakowanym w trucku z końmi jako towarzyszami podróży, podczas gdy sam truck zachowuje się jak nieosiodłana bestia i cwałuje z dziką szybkością przez szosę pełną dołów.

Jak usilnie Miriam i Malka nie próbowały zachować swojej ludzkiej godności w obliczu tych zwierząt, konie odmawiały brania tego pod uwagę i zachowywały się względem nich tak, jakby były im równe. Wyrażały te ciągoty poprzez delikatne smyranie dziewcząt po twarzy długimi końskimi ogonami, bądź też rżąc, śmiały się do nich całym pyskiem lub szczerzyły do nich wielkie końskie zęby, jakby chciały dać im całusa albo wręcz bezwstydnie prowadziły końskie zaloty. Przyciskały swoje żebra do delikatnych dziewczęcych postaci, tak że te ledwo mogły złapać oddech. Za każdym razem, gdy koński kawaler podnosił jedną ze swoich czterech nóg, dwunożne damy chwytały się najwyższej deski z odeskowania paki i zawieszały się na niej, by uniknąć czułego kopnięcia.

Zarówno Miriam, jak i Malka starały się bardzo, żeby mieć przyjemność z tej jazdy. Był ku temu dobry powód. Nie musiały wlec się na piechotę, a dzień był słoneczny. Lecz cóż mogły począć? Życie ich nie oszczędzało. Ostatecznie odetchnęły z ulgą, dopiero gdy truck zatrzymał się na środku drogi. Silnik przestał działać. Miriam i Malka miały przerwę na zaczerpnięcie oddechu, podczas gdy czekały, aż szofer naprawi awarię. To się jednak nie stało, a w międzyczasie zapadł zmrok. Byli trzydzieści kilometrów od Frankfurtu.

Znów spędziły noc we wsi, tym razem u wojennej wdowy z trójką małych dzieci. Oddała im miękkie jak puch łóżko, gdzie w lepszych czasach zwykła sypiać ze swoim mężem. Zbolała i milcząca podała dziewczętom chleb z erzacem kawy. Jak na złość, akurat na niej dokonały aktu zemsty. Wyjęły, czy raczej wykradły, tej kobiecie z komody kawałek mydła i dwie chustki na głowę, by je móc założyć w dalszej drodze otwartymi samochodami. Ta kobieta może sama by im to dała, gdyby poprosiły. Lecz proszenie o cokolwiek nawet najlepszego z Niemców – to było za dużo.

Ostatnie trzydzieści kilometrów do Frankfurtu trudniej było pokonać niż całą drogę aż do tego miejsca. Większą część trasy musiały odbyć pieszo. Lecz gdy tylko przybyły do celu, poczuły się jak w domu. W biurze UNRRY, dokąd udały się czytać spisy ocalałych, spotkały wielu byłych kacetników, Żydów i Polaków. Tu pokoje z wywieszonymi listami były tak samo napakowane jak gdzie indziej, a listy wyglądały łudząco podobnie. Kolumny nazwisk; kolumny, gdzie brak było nazwisk, których one dwie szukały. Czytanie tych spisów stawało się coraz bardziej przytłaczające. Trzeba było długiego spaceru wokół budynku, żeby odzyskać wewnętrzną równowagę.

Jadły w stołówce razem z dwoma młodymi dipisami z Mauthausen. Okazało się, że znają Mendla Sznajdera z obozu. Weszły z nimi w komitywę. Ci młodzi ludzie dopiero co przybyli z Monachium i byli w drodze do Bergen-Belsen. Malka podała przez nich długi list do Balci. Dziewczęta spędziły cały dzień z tymi młodymi ludźmi i z wielkim tłumem kacetników. Przespały noc w opustoszałej ruinie, dawnym budynku szkoły. Światła nie było. Podłoga była zapaskudzona, a myszy czy szczury przez całą noc ciężko pracowały, żeby przegryźć belki. Leżeć na twardej podłodze nie było szczególnie wygodnie, lecz nikogo to nie obchodziło. Wszyscy zasmakowali już gorszych posłań. I czyż nie byli gotowi przyjąć wszystko na świecie, byle tylko zyskać ślad nadziei, że ich poniewierka nie jest daremna?

*

Do Birnau i do szpitala Abraszy nie było już daleko. Pytanie tylko, jak tam dotrzeć z Frankfurtu? Wydostanie się z tego miasta też nie było rzeczą łatwą. Nie udało się Miriam i Malce zatrzymać żadnego trucka, a pociąg towarowy, do jakiego wsiadły, jechał do Monachium. W dodatku poruszał się w ślimaczym tempie. Po przejechaniu całego dnia było się zaledwie kilka stacji od punktu wyjściowego. Jakiś pracownik kolei, który zamienił kilka słów z Malką na peronie, gdzie pociąg się zatrzymał, był ostatecznie tym, który sprawił, że spełniło się to, co niemożliwe. Nie był z niego żaden krasawiec[507], lecz posiadał w sobie coś pociągającego i intrygującego. Niewątpliwie miał dobre oko do płci pięknej, nawet jeśli jej przedstawicielki odziane były w kostiumy z unrowskich koców. Jasne było, że Malka znalazła przychylność w jego oczach. Z początku obie dziewczyny brały go za Niemca i Malka odmówiła odpowiedzenia po przyjacielsku na jego życzliwe gesty. Lecz w toku pogawędki na tematy ogólne okazało się, że rozumie po polsku. Jego dziadek był Polakiem, a on sam urodził się w Würzburgu.

Kiedy dowiedział się o celu wyprawy dwóch dipisek, ku ich zdziwieniu, zaoferował się z pomocą i wgramolił się do ich wagonu towarowego. Powiedział im, że

[507] Krasawiec (ros.) – piękny/przystojny mężczyzna.

pociąg, którym jadą, wkrótce stanie zupełnie, gdyż zbliżają się do zniszczonego mostu na rzece Men, gdzie wszyscy będą musieli wysiąść; i że jedyne wyjście to powędrować do najbliższego mostu i stamtąd dostać się na stację kolejową. Lecz dla nich, dla Malki i Miriam, miał on lepszy plan.

Kiedy pociąg zatrzymał się przy zawalonym moście, a Miriam i Malka, tak jak tysiące pasażerów, zeskoczyły z wagonu, pracownik kolei podążył za nimi. Kontynuując żywy monolog, skierowany głównie do Malki, zaprowadził dziewczęta do prowizorycznej restauracji. Poprosił je, żeby nazywały go Willy, i zamówił dla całej trójki, na jego rachunek, kapuśniak z chlebem posmarowanym margaryną. Tymczasem tabuny pasażerów przeciągały obok. Gdy skończyli jeść, Willy przeprowadził swoje dwie towarzyszki na piechotę przez rozwalony most – zabronioną, niebezpieczną drogą, którą pokonały bez szwanku, jakby były zdolnymi alpinistkami. Po przejściu na drugą stronę rozpoczęła się długa, ale przyjemna marszruta. W ten sposób doszli wszyscy troje do najbliższego znaku *„Halt!"*[508]. Budka wartownicza stała koło szyn i jakiś amerykański patrolujący stał na straży. Willy wyjaśnił po niemiecku temu wartownikowi sytuację dwóch młodych kobiet. Amerykanin kręcił głową:

– *Nicht verstehen*[509].

Willy nie znał słowa po angielsku poza wyrażeniami takimi, jak *son of a bitch*[510] i temu podobne. Miriam więc, ku zdziwieniu Willy'ego i Amerykanina, przetłumaczyła słowa Willy'ego na swój czarujący angielski i od razu zdobyła serce wartownika. Zgodził się, aby Willy zatrzymał pociąg towarowy, który miał przyjechać boczną linią kolejową i który zmierzał bezpośrednio do Monachium.

Kilka godzin spędzili w budce strażniczej, blisko niewielkiego dopływu rzeki Men. Wartownik dał dziewczętom tabliczkę czekolady i paczkę gumy do żucia. Był to masywnej budowy dziobaty mężczyzna, z małymi syrenami wytatuowanymi na rękach. Wyglądał jak dziecko, które postarzało się i posiwiało przedwcześnie. Łatwo było się z nim zaprzyjaźnić.

Miriam odmówiła mu opowiedzenia o swoich przeżyciach w obozie. Lecz on i tak nie przestawał miotać przekleństw po angielsku na głowę Hitlera, tak przejęty był faktem, że te dwie dziewczyny przeżyły kacet. Opowiedział Miriam i Malce, że sam stracił syna na wojnie, i że nie jest zadowolony ze swojej religii, gdyż *Lord Jesus* wybrał jego syna, zamiast niego, żeby padł ofiarą wojny.

– Jestem pewien – powiedział do Miriam – że twój tata też chciał, żebyś ty przeżyła, a nie żeby stało się na odwrót. – Kiedy zauważył, że oczy Miriam

---

508 (niem.) *Stój!*

509 (niem.) *Nie rozumieć.*

510 (ang.) *sukinsyn.*

wilgotnieją, pocieszał ją, żeby nie porzucała nadziei. I żeby zmienić temat, zadał pytanie Willy'emu: – Słyszałeś historię z tym bastardem Pétainem[511]?

Miriam przetłumaczyła pytanie, lecz nie wiedziała, co oznacza słowo *bastard*. Akurat to Willy wiedział.

– Bękart – powiedział po polsku.

– Zamienili mu wyrok śmierci na dożywocie – pieklił się Amerykanin. – Za to ten *scoundrel*[512] Laval[513] dostał, co mu się należy.

Miriam nie znała znaczenia słowa *scoundrel* i Willy też nie znał, lecz to nie przeszkodziło im w zrozumieniu nowiny, którą przekazał im wartownik.

Dobroduszny Amerykanin zaproponował Willy'emu, żeby ten nauczył go paru słów po niemiecku, a on w zamian będzie go uczyć angielskiego. Miriam i Malka zostawiły ich i usiadły w trawie na wysokim brzegu rzeki. Wody tej wąskiej rzeczki cicho płynęły w kierunku Menu, gdzie widać było w oddali zawalony most. Wyglądał jak klęczący olbrzym. Krajobraz zdawał się przepojony idyllicznym spokojem.

Paplały cicho, unikając mówienia o tym, co ciąży na sercu. Rozmawiały o ludziach, których spotkały, a także o Willym i zadawały sobie pytanie, dlaczego on się nimi zajmuje. Poszedł z nimi, bo mieszka w Würzburgu, a więc i tak było mu po drodze, czy dlatego, że Malka tak mu się spodobała? Czego chciał jako zapłaty? Dbały, żeby nigdy nie był sam z Malką. A może nie oczekiwał niczego poza uściskiem dłoni, słowami podziękowania? Może została jeszcze na świecie iskra ludzkiej dobroci?

Pociąg towarowy przyjechał pod wieczór. Nie było potrzeby, żeby Willy go zatrzymywał. Sam się zatrzymał. Pociąg, który wiózł lory[514] węgla, był usiany setkami ludzi. Malka, Miriam i Willy wdrapali się na czubek lory pełnej węgla. Dziobaty Amerykanin wetknął Miriam do ręki kawałek papieru.

– To jest mój adres w Ameryce. – Melancholijnie uśmiechnął się do niej. – Pisz do mnie, piszcie obie, i dajcie znać, czy odnalazłyście swoich ojców.

Jechali całą noc, siedząc na szczycie góry węgla, pod rozgwieżdżonym niebem. Powietrze było chłodne; Willy zdjął marynarkę od swojego munduru i nakrył nią plecy obu dziewcząt. Nie mówił wiele, lecz promieniał romantyczną tęsknotą.

---

511 Marszałek Philippe Pétain (1856-1951) – bohater I wojny światowej, był w czasie II wojny szefem zależnego od hitlerowców rządu Vichy. 23 lipca 1945 r. został skazany na karę śmierci za kolaborację. Ze względu na podeszły wiek oskarżonego generał Charles de Gaulle zamienił tę karę na dożywotnie więzienie.

512 *Scoundrel* (ang.) – człowiek źle traktujący innych, nieposiadający zasad moralnych.

513 Pierre Laval (1883-1945) – francuski polityk, czterokrotny premier Francji. Za kolaborację skazany na karę śmierci i rozstrzelany 15 października 1945 r.

514 *Lora* – wagon towarowy bez bocznych ścian.

Całą tę górę węgla na lorze oblegali zdemobilizowani niemieccy żołnierze. Polegiwali lub siedzieli, trzymając się, czego się dało. Żołnierze próbowali nawiązać rozmowę z dwiema Żydówkami. Byli uprzedzająco grzeczni. Bez pytania domyślili się, skąd te dwie przybywają. Żołnierze byli wygłodzeni, nieogoleni i wyglądali niemal jak kacetnicy. Nie dało się ich zupełnie zignorować. Zamieniły więc od czasu do czasu parę słów z nimi. Jeden próbował przekonać Miriam, że on i jego kamraci są ofiarami wojny, którzy zasłużyli sobie, żeby mieć dla nich zrozumienie. Lecz daremny był jego trud, żeby wzbudzić odrobinę sympatii do siebie. Inny żołnierz przechwalał się, że był w Polsce. Miriam chciała go zapytać, co tam robił, lecz Malka pociągnęła ją za rękaw.

– Nie pytaj go o to – wyszeptała jej do ucha. – Jeszcze ci powie, a my nie będziemy mogły napluć mu w twarz ani wywrócić tej lory z węglem do góry nogami, to nie będzie nam miło, czyż nie?

Jakby usłyszał szept Malki, Willy zapytał:

– Wy, wasi ludzie, nie zemściliście się na Szwabach na szerszą skalę, nawet od razu jak wyszliście z obozów, prawda?

– Zbyt zajęci byliśmy sobą – odpowiedziała mu Malka.

Miriam dodała:

– Żydzi nie są największymi specami, jeśli chodzi o mszczenie się. Nawet w getcie więcej marzyło się o lepszych czasach niż o zemście, choć nienawidziliśmy Niemców i nie życzyliśmy im niczego dobrego.

Pociąg zatrzymał się w Würzburgu i stał tam dłuższy czas. Willy zapytał dziewczęta, czy czują się wystarczająco bezpiecznie, żeby jechać dalej bez niego. Odpowiedziały mu, że tak, i podziękowały. Podał im rękę i życzył powodzenia. W jego oczach pojawił się smutny błysk. Zlazł z lory i pomału odmaszerował. Lecz zaraz zobaczyły go z powrotem przy wagonie, z głową uniesioną w ich stronę. Czuje się winny, powiedział, że zabrał im marynarkę, i zaproponował, żeby przeniosły się do lokomotywy. Pomógł im zejść i przeprowadził je na czoło pociągu. Zdemobilizowani niemieccy żołnierze oblepili lokomotywę jak muchy rolkę lepu. Zrobili miejsce dla Miriam i Malki przy czymś w rodzaju drzwiczek od tyłu.

Willy powiedział, że pociąg będzie tu stać długi czas, i że on tymczasem postara się dostać gdzieś coś do jedzenia dla nich, żeby wzięły na drogę. Miriam spytała, czy będzie mógł wysłać listy i podała mu ten list do Abraszy, który wciąż miała ze sobą. Wrócił z półbochenkiem chleba i po raz ostatni się pożegnał. Nie odzywając się ani słowem, pozwoliły mu zniknąć z ich życia.

Okazało się, że pociąg jedzie tylko do Norymbergii[515]. Malka uśmiechnęła się gorzko.

---

[515] 15 września 1935 r. na zjeździe NSDAP w Norymberdze zostały ogłoszone ustawy rasowe uchwalone przez niemiecki Reichstag – o ochronie krwi niemieckiej i niemieckiej czci oraz o obywatelstwie Rzeszy – wykluczające Żydów ze społeczeństwa niemieckiego. Przeszły one do historii jako ustawy norymberskie.

– Norymberga. W najgorszych snach nie mogłabym sobie wyobrazić, że przyjdzie mi kiedyś postawić nogę w tym oto mieście, które na zawsze odcisnęło swoje piętno na mapie żydowskiej gehenny.

Szły dawnymi ulicami Norymbergii przez labirynt gruzów. Księżycowy krajobraz. Zaszły na nocleg do zniszczonego kościoła. Wyciągnęły się na szerokiej, długiej ławce. Wszędzie wokół gołe fragmenty ścian z czworokątnymi śladami po świętych obrazach, jakie dawniej tu wisiały. Nie dało się usnąć. Podenerwowanie. Stąd było tylko dwieście kilometrów do celu. Trzeba było uzbroić się w cierpliwość. W mózgu kołatało pytanie, które tak bardzo dokuczało. Wkrótce otrzyma się na nie odpowiedź.

*

Część z dwustu ostatnich kilometrów pokonały wielkim truckiem, który był do pełna napakowany polskimi wyrostkami, wyzwolonymi z obozów pracy. Chłopcy byli dziko weseli i odnosili się z typowo polską rycerskością do Żydóweczek z kacetu. A te dwie Żydóweczki czuły się bardzo niekomfortowo z nimi. Nienawidziły przebywać w zamkniętej przestrzeni wyłącznie z przedstawicielami płci męskiej, nawet najmłodszymi. Kiedy mieli przygotowywać się do spania w trucku, chłopcy, pół żartem, pół serio, zaczęli spierać się między sobą, który ma się położyć koło Żydóweczek.

– Wyskakujmy z tego trucka. – Malka pociągnęła Miriam za rękaw. Wóz jechał za szybko. Trzeba była czekać na okazję, żeby wyskoczyć. Tymczasem uśmiechały się głupkowato do tej bandy, której dowcipy miały je śmieszyć. Chłopcy w końcu postanowili, że młode damy mają same postanowić, koło kogo chcą spać.

Miriam, która uważała siebie za bardziej doświadczoną w tych sprawach niż Malka, wskazała na małego, wychudzonego chłopaka z pryszczami na twarzy. Trzymał się z boku. Zdaje się, że uważał się za niegodnego brania udziału w tym konkursie. Chłopcy wybuchli śmiechem. Wybrany chłopak śmiał się razem z nimi, a był to rodzaj śmiechu bliski płaczu.

– I kto jeszcze? – śmiejąc się, pytali chłopcy.

– Nikt więcej! – rzekła Miriam zdecydowanie i kazała Malce położyć się przy samej ścianie w kącie trucka, a sama położyła się koło niej.

– Lepiej wyskoczyć – wyszeptała Malka.

– I się zabić? – wyszeptała Miriam w odpowiedzi. – Na to zawsze jest czas. – Palcem przywołała pryszczatego chłopca i pokazała mu, żeby umościł się koło niej. Tak też zrobił, a pozostali, chcąc nie chcąc, położyli się paralelnie do nich, wzdłuż platformy trucka, jak szprotki. Ci szajgece mieli kilka wojskowych koców ze sobą i wszyscy nimi się przykryli. Całkiem przyjemnie było im leżeć przytulonym do siebie w rozkołysanym trucku – w tej kołysce dla umęczonych dzieci. Niebo i gwiazdy bujały się nad głową jak w kołysance i jechały razem z ciężarówką. Ani Miriam, ani Malka nie mogły zasnąć. Miriam wsłuchiwała się

w oddech chłopaka u jej boku. Było bardzo niewygodnie, a ona bała się ruszyć. Wiedziała, że on też nie śpi.

Długi czas tak leżeli, aż Miriam poczuła rękę chłopaka przesuwającą się po jej ramieniu. Minęło kilka minut i jego palce dotknęły jej szyi. Czuła się, jakby została zaatakowana przez żabę lub przez jadowitego węża. Mało co nie krzyknęła. Wtulił się bliżej do niej i pozwolił, by to trzęsienie pojazdu wręcz go wyrzuciło na nią. Jego palce gmerały przy guzikach jej żakietu. Leżała jak skamieniała. Jego ręka zrobiła się aktywniejsza.

Postanowiła: teraz albo nigdy. Zebrała się na odwagę, uniosła rękę i z największą delikatnością położyła swoją dłoń na nerwowych palcach chłopca. Następnie ścisnęła powoli jego rękę w swojej pięści i odsunęła ją od siebie silnym ruchem. Miała nadzieję, że on nie będzie mieć śmiałości jeszcze raz ją tknąć. Myliła się. Jego ręka znów była na jej szyi. Niewiele myśląc, złapała ją i ugryzła go w palec. Zasyczał, lecz nie odezwał się ani słowem. Wciąż leżał koło niej, z głową wspartą na jej ramieniu, i ssał zraniony palec. W ten sposób usnęli.

Rankiem okazało się, że truck się nie porusza, tylko stoi na poboczu drogi w otwartym polu. Poranek był słoneczny i jasny, lecz czarne chmury zbierały się na horyzoncie. Przez szybkę ciężarówki szajgec dojrzał szofera, z twarzą nakrytą wojskową czapką, chrapiącego smacznie, wyciągniętego na całą długość na przednim siedzeniu. Chłopcy zeskoczyli z trucka, Miriam i Malka z nimi. Rozmemłani, rozchełstani, ziewając, prostowali kości i zamglonym wzrokiem przyglądali się dwóm Żydóweczkom.

– Patrz, co mi zrobiłaś. – Nieśmiały chłopak z pryszczami pokazał Miriam ugryziony palec. Wzruszyła ramionami i odwróciła się od niego. Chłopcy rozciągnęli koce na trawie i zlegli na nich, żeby złapać trochę snu. Miriam i Malce ani było w głowie brać z nich przykład. Nie miały także zamiaru czekać, aż szofer się obudzi i zechce znów wziąć kierownicę w swoje ręce.

Wymaszerowały na szosę dokładnie w momencie, kiedy sześciu świeżych amerykańskich G.I.[516], którzy prawdopodobnie dopiero co zjedli swoje amerykańskie śniadanie, zbliżało się w jeepie. Zatrzymali się przed Miriam i Malką, które machały do nich rękami. Powiedzieli im, że – z największą rozkoszą – mają miejsce dla nich, lecz tylko na swoich kolanach. To nie było najbardziej odpowiednie miejsce do siedzenia dla dwóch cnotliwych córek narodu żydowskiego. Lecz był to jedyny sposób, żeby się zabrać. Po krótkiej naradzie między sobą Miriam i Malka postanowiły przyjąć zaproszenie i zająć wskazane miejsca do siedzenia. Usadowiły się wygodnie, na ile to było możliwe, na spiczastych żołnierskich kolanach.

[516] G.I. (ang.) – skrót oznaczający potoczne określenie żołnierza amerykańskiego.

Zostało tylko sto kilometrów do Monachium, poinformowali G.I. swoje pasażerki, z przyjemnością fundując im tak szybką jazdę, że aż zapierało dech.

Było przepięknie. Wiatr i dziki śmiech, gwizdy i ryki tych diabłów w mundurach były upajające. Miriam i Malka podnosiły gwałt, piszczały i śmiały się ze strachu i ekscytacji.

Więcej niż jeden raz w czasie tej podróży obie się dziwiły: dwie młode kobiety będące same, przejeżdżające przez kraj w stanie chaosu, pełnego mężczyzn w kwiecie wieku, amerykańskich i angielskich żołnierzy, zdemobilizowanych Niemców lub innych ludzi wszelkich nacji, wyzwolonych z obozów, głodnych kobiet. Więcej niż jeden raz Miram i Malka przypominały sobie przestrogi Balci. Nie uważały siebie za wyjątkowe krasawice[517]. Lecz nie czuły się też jakimiś brzydulami, niezależnie od ich wychudzonych figur i obciętych włosów. Mogły potwierdzenie tego wyczytać z oczu spotykanych mężczyzn. A jednak nikt na poważnie ich nie zaczepił ani nie zrobił im krzywdy. Może coś przeciwnego było prawdą. Czy to poprawne zachowanie mężczyzn stanowiło odpowiedź na skromne zachowanie Miriam i Malki? Albo był to dowód, że świat męski pragnie powrócić do człowieczeństwa? Czy może ich przypadek był wyjątkiem, i po prostu szczęście sprzyjało im do teraz?

Co się tyczy szalonego pędzenia w jeepie, to wszystkie niebiańskie wyrocznie raczyły niewątpliwie przyłożyć swoją rękę do figli-migli tych dwóch dipisówek. Zesłały ulewny deszcz tak obfity, że Miriam i Malka ledwo mogły wzajem zobaczyć swoją twarz, nie mówiąc już o twarzach właścicieli kolan, na których siedziały. I w ten sposób wjechały do Monachium, przemoczone do szpiku kości, lecz zwycięskie. Wznosząc gromkie „Hurra!" i z głośnymi okrzykami *„Goodbye!"* G.I. wysadzili dziewczęta z jeepa tak, żeby mogły wylądować pod dachem z wiszącego balkonu zniszczonego domu. Zanim odjechali, obejrzeli się na te dwie skąpane deszczem dziewczyny i zanosząc się dzikim śmiechem, wytykali je palcami.

Tam, pod balkonem, Miriam i Malka miały możliwość spojrzeć na siebie – a to, co zobaczyły, sprawiło, że mało nie padły. Ich eleganckie „paryskie kostiumy", uszyte z granatowego unrowskiego koca, zafarbowały i pobrudziły na granatowo ich twarze, szyje, ramiona i nogi. Stały więc tak zdeprymowane pod balkonem, krzywo uśmiechając się do siebie, a jednocześnie ani przez chwilę nie przestawały myśleć, że osiągnęły cel podróży. Myśli w głowie przewalały się falami. Wszystkie pytania zredukowały się do tego jednego: czy odnajdą tych, których szukają?

– Wiesz co, Malka? – odezwała się Miriam nieśmiało. – Ruszajmy od razu do Birnau.

Malka przystała na to.

---

[517] Krasawica (ros.) – kobieta wyjątkowej urody.

*

Dopiero nazajutrz po południu dotarły do spokojnego miasteczka Birnau, którego największą budowlą był budynek szpitala. I oto wspinają się obie po wysokich schodach, tak zmęczone z powodu napięcia nerwowego i drogi tutaj, że przestały to zmęczenie odczuwać. Wchodzą do długiego, wąskiego korytarza. Z obu stron dochodzi jękliwa mowa we wszystkich językach Europy. Siostra z Czerwonego Krzyża, ubrana na biało, w białych gumowych butach, wyszła im cicho naprzeciw i zapytała po niemiecku, kogo szukają. Jej niemiecki miał dziwny akcent.

– Abrasza... Abrasza Kantorowicz – wydukała Malka. Siostra kiwnięciem palca zawołała je do bocznego pomieszczenia. – Szwajcarka... – szepnęła Malka do rozkojarzonej Miriam.

Przy stoliku siedziała druga siostra i pisała coś na maszynie. Pierwsza siostra ponownie spytała Malkę o nazwisko, powtórzyła je na głos ze swoim charakterystycznym akcentem, lecz poprawnie, maszynistce i zniknęła. Siostra przy maszynie do pisania nie zareagowała, tylko dalej stukała, aż dojechała palcami do końca strony. Teraz znowu zapytała o nazwisko. Wzięła kartotekę, która leżała u niej na skraju stolika, otwarła ją i przebiegła listę oczami.

– Nie mamy nikogo o tym nazwisku – odezwała się oschle.

Długa cisza. Schludna maszynistka w bieli popatrzyła na żałosne postacie przybyszek. Miały na sobie wymięte, przemoczone ubrania z koca, a ich twarze były pełne brudnych plam, oczy czerwone od kurzu i z niewyspania. Nie rozumiała, na co jeszcze czekają.

Z gardła Miriam wyrwało się westchnienie.

– Ale on musi tu być.... Jest tutaj... – Nagle ocknęła się, otworzyła torbę i wydostała paczkę listów, jakie dostała od Abraszy, i rzuciła je na biurko. – Tu jest pieczątka szpitala...

Maszynistka zadała sobie trud przejrzenia każdego listu osobno. Następnie wstała, powiedziała: *„Warten Sie, bitte”*[518], wzięła te listy i wyszła z pomieszczenia.

Całą wieczność trwało, zanim zjawiła się z powrotem, zmieniona, rozpromieniona, jak gdyby dopiero co rozwiązała jakąś zagadkę.

– *Ganz bestimmt, der Abrasza Kantorowicz ist doch mit zwei Wochen zurück noch Schweden transportirt worden*[519].

– *Schweden?* – wybąkały razem Malka i Miriam.

– *Kommen Sie*.[520] – Siostra skinęła głową.

---

[518] (niem.) *Proszę poczekać.*

[519] (niem.) *Z całą pewnością ów Abrasza Kantorowicz został dwa tygodnie temu przetransportowany do Szwecji.*

[520] (niem.) *Proszę ze mną.*

I oto są w pokoju, gdzie lekarz z Czerwonego Krzyża przyjął je po koleżeńsku, jak stary znajomy, uścisnął im dłoń i wygłosił przemowę. Zadowolony, tłumaczył, że w Szwecji[521] szpitale są lepiej przystosowane do leczenia przypadłości Abraszy Kantorowicza. Cierpi on mianowicie na przedziwną formę paraliżu potraumatycznego, który w historii medycyny nigdy wcześniej nie został odnotowany. Szwecja ma dobrych neurologów – lekarz zapewnił radośnie Malkę i Miriam.

[521] Wiosną 1945 r. Szwedzki Czerwony Krzyż przeprowadził akcję humanitarną, której celem było uwolnienie skandynawskich więźniów z niemieckich obozów koncentracyjnych. W maju 1945 r. alianci zwrócili się do szwedzkiego rządu z pytaniem, czy zechcieliby dać opiekę i dach nad głową jeszcze pewnej liczbie byłych więźniów niemieckich obozów zagłady. Dokładna liczba osób uratowanych nie jest znana, ale z pewnością od maja 1945 r. do końca roku do Szwecji ewakuowano kilka tysięcy obywatelek Polski (w tym dużą grupę kobiet żydowskich z Łodzi), a także mężczyzn.

Rozdział trzydziesty trzeci

Trzy tygodnie później Miriam i Malka były z powrotem w Bergen-Belsen. Podróż nie przyniosła żadnych rezultatów. Spotkały wielu ocalałych, lecz nie znalazły żadnego śladu: ani Jankewa, ani Marka, ani też Wowy.

Kilka dni po powrocie Miriam dostała kartkę ze szpitala w Göteborgu w Szwecji, na której nie było napisane nic więcej, jak tylko imię Abraszy i słowo „pozdrowienia" po angielsku. Abrasza widocznie nie znalazł jeszcze nikogo, kto by napisał kilka słów za niego. Bardzo chciała wiedzieć, jak on się czuje i czy jest możliwość wyleczenia go. Zadawała sobie pytanie, kiedy się z nim zobaczy, skoro był tak daleko.

Nie porzucała nadziei, że Jankew i Marek żyją, mimo że nie znalazła żadnego ich śladu w obozach ani w szpitalach wokół Monachium. Balcia także nie traciła wiary w odnalezienie Wowy i spotkanie się ze swoim najstarszym synem Herszkiem. Bardzo tęskniła za synami. Była podenerwowana, zdetonowana. Taka też była Miriam. Tylko Malka – ona jedyna była obojętna. Nie miała żadnych złudzeń.

*

Ponura jesień zagościła w sercach, zapowiadając nadejście zimy, gdy pewnego dnia drzwi izdebki w bloku 88 otwarły się i jakiś wysoki, oberwany koleżka niezdecydowanie wsadził głowę, pytając:

– Spotkałyście może dziewczynę nazwiskiem Miriam Polin?

Marek! – nie było łatwo go rozpoznać. Nie tylko był obdarty jak żebrak, zostały z niego skóra i kości, lecz nawet rysy jego twarzy się zmieniły. Jak gdyby nowy wyraz naciągnięto na jego poprzedni fizys. W czasie gdy

Miriam jeździła go szukać, on przewędrował całe Niemcy, aby odnaleźć ją. Minęli się w drodze.

Jak tylko wszedł, zrelacjonował trzem kobietom to, co wiedziały już od Gabiego: że Nońka odebrali Jankewowi od razu na rampie podczas selekcji po przybyciu do Auschwitz; że Gabiego z Auschwitz wysłali do innego obozu. I że następnie Jankew, Icchok, Abrasza i on, Marek, wysłani zostali do obozu Kaufering[522]. Icchok pozostał w obozie głównym, lecz Marek, Jankew i Abrasza poszli do obozu dla chorych nr 4. Oznacza to, że Marek był z Jankewem do ostatniej minuty.

Miriam bała się spytać go od razu o ojca. Teraz, kiedy siedziała na ławce w objęciach Marka, a on wspomniał imię Jankewa, jej paznokcie wpiły się w jego rękę.

– On zginął... Tak... – Marek kołysał się razem z nią. – Abrasza też... Ciągle był w izbie chorych i prawie się z nim nie widywałem. Słyszałem jednak, że zginął w czasie ostatniej selekcji w obozie. Niedługo później odbyła się ewakuacja Kaufering. Amerykanie zbombardowali pociąg towarowy, którym jechaliśmy, nie wiem dokąd. Wtedy Jankew padł... od wybuchu bomby. Było to dwa dni przed wyzwoleniem... Wolność zabiła Jankewa...[523]

Balcia wymamrotała Markowi, że jej Gabi przeżył, jak również Abrasza.

Marek wzruszył ramionami.

– O ile wiem, Abraszę odstawili w czasie ostatniej selekcji. Skoro tak, może odesłali go do innego obozu.

Pomieszanie radości i bólu. Fakt, że straciła ojca, i bycie obejmowaną przez Marka. Serce Miriam – kwitnący kwiat i krwawiąca rana. Co było szczególnie bolesne do przyjęcia, to myśl, że Jankew był tak blisko wolności. Miriam mogła go mieć przy sobie, gdyby pociąg nie został zbombardowany przez amerykańskie samoloty w drodze do zwycięstwa. Szczęście posiadania go nie było jej pisane. Kiedy z Malką wędrowały przez Bawarię, rozszarpane ciało Jankewa leżało może gdzieś w lesie lub polu, na którym latem wzeszła trawa? Gdzie jest jego grób? Może go ominęła i o tym nie wiedziała. Nigdy się nie dowie. A co z grobem jej matki, Wierki i Nońka albo z grobami pozostałej jej rodziny, jej domu?

Nie było więcej potrzeby czytania list z nazwiskami. Nie było już kogo szukać, z kim wiązać nadziei. Śmierć Jankewa sprawiła, że również śmierć tych, których miało się nadzieję jeszcze spotkać – jak Binele, Wierki, Nońka, Wowy – definitywnie stała się rzeczywistością. Kotara opadła. Wszystko stało się jasne. Miriam

---

522 Kaufering IV – niemiecki obóz należący do sieci podobozów Dachau, mieszczący się w Bawarii.

523 Tak zginął ojciec autorki, Abraham Rosenfarb, wiosną 1945 r. w pociągu zbombardowanym przez Amerykanów. Informację o jego losie przyniósł jej Heniek Morgentaler, przyjaciel z dzieciństwa i przyszły mąż.

w zasadzie cały czas znała prawdę; znała ją od przybycia do Auschwitz, znała ją, gdy stała w bydlęcym wagonie przy wyjeździe z Auschwitz do Hamburga. Serce jej wtedy krwawiło, gdyż przeczuwała, że nić na zawsze zostaje zerwana.

Był to wewnętrzny głos, który nie przestawał lamentować. Bardzo ucieszyła się z wyzwolenia i z odzyskania Marka. Lecz ta wolność i ta miłość zadawały ból. Wyszukanych środków było teraz potrzeba, żeby zapomnieć, przynajmniej pozornie. Należało być aktywnym, pędzić tu i tam, robić zamieszanie, żeby móc kontynuować swój los. Ważne było utrzymanie tego lamentującego serca przy życiu.

Miriam się poszczęściło. Miała najlepszy środek, żeby zapomnieć: Marka. Myśl o nim pomagała jej w najczarniejszych godzinach. A on był przeszczęśliwy, że ją odnalazł; taki był łasy, żeby trzymać ją w objęciach! Nie mógł jej oczywiście oszukać: był tak samo rozbity jak ona. On też przeżył, ale nie miał ani jednego krewnego. Lecz nie trwało to dłużej niż dzień–dwa, jak odzyskał zdolność wpadania w zachwyt. Był wdzięczny losowi za odnalezienie Miriam. Oczu nie mógł od niej oderwać, dotykał jej, żeby się upewnić, że to jawa, nie sen.

Rysy jego twarzy na nowo zaczęły się zmieniać. Nie żeby odzyskał swoją dawną twarz, lecz stała się ona bardziej otwarta, jaśniejsza. Całkowicie nowa twarz. Przyswoił sobie także nową, wyjątkową umiejętność wpasowywania się w rytm czasu w nowej normalności i robienia drobiazgowych planów na przyszłość. „Mamy przed sobą kawał życia" – ekscytował się.

Miriam w żaden sposób nie umiała podzielać jego radości. Na tysiąc wariantów przeżywała śmierć Jankewa. Zatraciła się w jego samotnej agonii. Chciała wżyć się w jego ostatnie chwile i nie potrafiła. Jego ostatni oddech stanowił barierę, poza którą nie mogła mu towarzyszyć; głębię, której nie mogła dosięgnąć. Choć w przedziwny sposób, tak jakby dodatkowym zmysłem, który nie miał nic wspólnego z empirią, wciąż jeszcze czuła, że on żyje, tak jak miała przeczucie, że Binele żyje.

Przyroda straciła swój urok. Dni utraciły swoją fundamentalną żywotność. Miała sen. Widziała Nońka siedzącego Jankewowi na barana na zaśnieżonej pustyni i trzymającego w rączce sznurek od latawca, który zrobił dla niego Abrasza. Coś w rodzaju chagallowskiej rzeźby, którą Abrasza wykuł z lodu.

Później zobaczyła siebie w kacecie z Wierką. Każdego dnia podczas selekcji wybierali pięćdziesiąt kobiet na rozstrzelanie[524]. Wierka i Miriam trwożnie próbowały uchylić się od wyroku. Kiedy ich stracenie było nie do uniknięcia, poprosiły Frau Hammer, żeby darowała im choćby jeszcze jeden dzień, gdyż egzekucja wypadała w szabes. Jeśli mają umrzeć, to niech to nie będzie w dniu, kiedy tata kupował balony, gdy szły, jako małe dziewczynki, z nim na spacer. W szabes tata

[524] Niemal dokładnie taki sen opisała Chava Rosenfarb 1 września 1945 r. w swoim dzienniku, którego fragmenty opublikowała w 1948 r. wraz z wierszami z getta. Zob. Źródła przypisów.

podawał śniadanie do łóżka i czytał na głos Pereca. W szabes ciocia Rachela przychodziła z czulentem w kamionce, żeby rodzina skosztowała czegoś smacznego. Szabes był to dzień święty, dzień sielanki w domu babci Hindy w Bocianach. Tak że dzień ten wydawał się ważniejszy i bardziej pożądany niż każdy inny dzień w życiu. Lecz blond esesmanka nie chciała o tym słyszeć. *„Dr Herr Gott ist ein Nationalsozialist und der Sabbat ist der Tag des Opfers"*[525] – powiedziała.

Wtedy Jankew ukazał się obok córek. Trzymał w ręce kij z mnóstwem balonów uczepionych na czubku; kij z balonami, który zamienił się w płomienną pochodnię. Powiedział do córek: „Spieszmy do domu, bo mama nie ma czym rozpalić pod kuchnią". Wierka i Miriam miały mu za złe, dlaczego mówi tak głośno. Frau Hammer jeszcze go usłyszy. Ustawy norymberskie zabraniały rozpalania Żydom ognia pod kuchnią. Lecz tata uspokoił je: „Głuptaski – powiedział – Frau Hammer nie widzi tej pochodni".

Wybuchło powstanie we wszystkich obozach koncentracyjnych, w Dachau, Buchenwaldzie, Auschwitz, Bergen-Belsen i w setkach innych obozów, które pokrywały całą Europę jak pajęczyna. Wszyscy kacetnicy przystąpili do walki. Ta Nibylandia na opak, gdzie rosły lasy *hakenkreuzów*[526], sczezła w płomieniach. Miliony pasiaków płonęły żywym ogniem. Jankew był gdzieś w tle, wciąż jeszcze nie wypuszczając pochodni z płomieniami balonów z ręki. Wspaniałymi balonami. Później coś gruchnęło, coś świsnęło. Balony pękły i zniknęły.

Miriam ujrzała siebie w ciemnej piwnicy. Była sama. Ktoś otworzył jej drzwi. Jaskrawe światło sypnęło jej do oczu i oślepiło.

„Jankewie, pomóż!" – usłyszała głos swojej matki.

„Binele!" – usłyszała, jak woła w odpowiedzi.

Miriam wyciągnęła do nich ramiona. „Ja nie widzę! Jestem ślepa!" – wykrzyknęła i zbudziła się.

*

Argument za kontynuacją życia był przemożny – dzięki Markowi, mimo że jego urok tak jakby przestał na nią działać. Nie potrafił do niej dotrzeć, gdyż ona była daleko od siebie samej. Ani przez chwilę nie było z nim nudno. Nagle zaczął tryskać zuchwałą admiracją życia. Oczy świeciły mu się tak, jakby był pijany. Miał chwile tak gwałtownej witalności, takiego szwungu i pogody ducha, że porywał ją ze sobą. Lecz jedynie fizycznie, zewnętrznie. Nie tylko ocalił poczucie humoru, lecz jeszcze je wyostrzył. Ona jednak nie gustowała w jego żartach. Jeśli to był sposób na radzenie sobie z wygranym życiem, to nie było jej to w smak. Był pełen błazeństwa i śmiechu. Gdy tylko na niego spojrzała, musiała się uśmiechnąć,

[525] (niem.) *Pan Bóg jest narodowym socjalistą, a szabes to dzień składania ofiar.*

[526] *Hakenkreuz* (z niem.) – hakowaty krzyż, swastyka.

choć serce jej krwawiło. On nie mógł chodzić prosto, po ludzku, tylko musiał podskakiwać, tańczyć na tych długich nogach, jakby ziemia pod jego stopami była trampoliną. Odkąd się wywnętrzył, od razu jak tylko przyszedł, na temat swoich przeżyć w kacecie, nigdy już nie wracał do tego tematu.

Oficjalnie, by tak rzec, posłanie Marka było na pryczy, która należała do Danusi Moszkowicz. Lecz niemal każdej nocy wspinał się na pryczę do Miriam. Nie było to wygodne miejsce do spania. W dodatku musieli należycie się zachowywać z powodów akustycznych. Żeby sobie to powetować, szli do lasu zaraz z rana i przez długie godziny zostawali tam sam na sam; leżeli na górach opadłych liści, jakie drzewa nagromadziły pod pniami. Turlali się razem po materacach z listowia lub leżeli wtuleni w siebie, pieszcząc się i całując.

Od czasu do czasu Miriam zbierała się na odwagę i próbowała przełamać mur milczenia, jaki Marek wzniósł między sobą a swoimi przeżyciami. Chciała wiedzieć bardziej drobiazgowo o Jankewie, o Abraszy i o nim samym, Marku. Lecz on wykręcał się od odpowiedzi. Tylko raz jeden opowiedział jej o swoim ciągle powracającym koszmarze sennym, o bydlęcych wagonach. Trzy podobne wizje stopione w jedno. Pierwsza była o transporcie do Auschwitz, druga o jeździe z Auschwitz do Dachau, a trzecia o pociągu, który został zbombardowany przez Amerykanów dwa dni przed wyzwoleniem.

– W pociągu do Dachau – powiedział Marek – byłem jeszcze z twoim tatą, z Abraszą i Icchokiem. Często w czasie alarmu pociąg się zatrzymywał. Spadały bomby i wysadzały tory. Kiedy ziemia wokół nas pluła ogniem i dymem, odstawiano pociąg na boczny tor, aż atak przeszedł i tory naprawiono. Trwało to całą wieczność. Świętowaliśmy, przekonani, że piloci tam w górze nie mają nic innego na względzie, jak tylko nas wyzwolić; że dają nam, kacetnikom, znać, że nie jesteśmy sami na świecie, tylko mamy braci, którzy lada moment przyjdą nam na ratunek. Pociąg w końcu ruszał z miejsca, więc byliśmy rozczarowani, lecz ani na chwilę nie porzucaliśmy nadziei, że szykuje się dla nas wolność.

W czasie tych alarmów, opowiadał Marek, Jankew wpadał w uniesienie. Nie przestawał mówić o niemieckiej klęsce, o przyszłości w nowym wspaniałym świecie, który odbudowany zostanie na gruzach starego, i opowiadał o Binele i jej córkach, które przeżyją i będą szczęśliwe.

– Uczucia, jakie my trzej, twój tata, Abrasza i ja, żywiliśmy do ciebie – powiedział Marek – otulały nas jak ciepła kołdra. Chroniły nasze dusze przed zimnem. Oj, jak ja ciebie wtedy kochałem, Miriam! I jak mocno kocham ciebie teraz!

Zazwyczaj nienawidziła, kiedy mówił tak niby poetycznie. Robił to często. Nawet jego zwyczajna mowa do niej była pełna znaczeń. Miała coś symbolizować, nie wiedziała dokładnie co. Jakby ich ocalona miłość stała się uniwersalną afirmacją życia. Lecz tym razem przejęła się jego słowami. Zobaczyła tych trzech mężczyzn, najbliższych jej sercu, tak żywo, jakby siedziała między nimi w bydlęcym wagonie.

Wycieńczone, ledwo dychające szkielety wiezione w nieznanym kierunku, rozmawiali o niej – o niej! Strasznie ważne było to usłyszeć. Oznaczało to, że musi żyć dalej, choćby po to tylko, żeby to pamiętać. Musiała zasłużyć sobie na ich miłość, zasłużyć sobie na uratowane życie.

– Czasami zadaję sobie pytanie – kontynuował Marek – czy Auschwitz mnie zmienił, zmienił nas. Wiara w lepszy świat, jak twój tata to nazywał, pomogła, co prawda, jemu i innym poradzić sobie z kacetem. Lecz ostatecznie to nic więcej niż tani idealizm. Sam obóz pokazał to dobitnie. Pytam więc, czy Gabi, na przykład, lub inni przedwojenni ludzie partii będą dalej głosić swoje nierealne polityczne idee? Czy będą mieli czelność powrócić do przedwojennej wiary w człowieka, jak gdyby nic się nie stało?

Miriam też zadawała sobie to pytanie. Odezwała się:

– Nie sądzę, żebyśmy w głębi ducha się zmienili. Lecz to, co przeżyliśmy, z pewnością będzie miało wpływ na nasze życie. Wydaje mi się, że mamy większe pojęcie o naszych możliwościach i ograniczeniach, lepszą zdolność oceny ludzi i siebie samych także. Ale, mimo wszelkich wątpliwości... jeśli my nie będziemy świadomie dążyć do lepszego życia, to kto to zrobi? Nigdy nie będę tancerką, Marku. Dla mnie taniec był romantycznym dążeniem do piękna, lecz jeśli stracę, razem z umiejętnością tańczenia, także to dążenie, to co mi zostanie?

Marek nie miał najmniejszego zaufania do człowieka i uważał, że nie polityka, tylko nauka może uratować świat.

– Zrozum – powiedział – człowiek to bestia. Lecz można mu naukowo dowieść, że, dla własnego dobra, powinien zachowywać się bardziej odpowiednio. Dlatego ważne jest zrehabilitowanie nauki, którą Niemcy sprofanowali, którą sprofanowali również Amerykanie przez zrzucenie bomby atomowej. Przyspieszyła ona, co prawda, koniec wojny, lecz otworzyła drzwi do zniszczenia całego rodzaju ludzkiego.

Nauka stała się dla Marka religią, jego filozofią życiową, sensem jego życia. Skoncentrować się na niej i zgłębić to, co niezbadane, było jedynym szlachetnym sposobem na odnowienie poczucia braterstwa w człowieku, był o tym przekonany.

Sposób myślenia Marka był uderzająco podobny do sposobu myślenia Malki. Ci dwoje bardzo dobrze się rozumieli. Dla zabawy często puszczali wodze fantazji na temat możliwych wiekopomnych odkryć na polu chemii, fizyki i medycyny. W takich chwilach Malka i Marek patrzyli sobie prosto w oczy, ze wzrokiem stopionym w jedno iskrami błogości. Niekiedy zdawali się nie zauważać nikogo wokół siebie. Miriam nie mogła nic na to poradzić i musiała podziwiać, jaka piękna i rozmarzona jest Malka, ta realistka, w takich momentach. Lecz naukowe ambicje Malki szły ręka w rękę z jej pasją historyczną, z jej zainteresowaniem naukami społecznymi. Podczas gdy u Marka były one jedynym dążeniem, poza dążeniem do bycia z Miriam. Wciąż był pod wrażeniem możliwości, jakie teraz przed nim się otwierały. Wkrótce zapisze się na uniwersytet i będzie studiował, ile wlezie. To było wszystko, czego chciał, czego dla siebie pragnął.

*

Miriam chciała zarazić się pasją od Marka i Malki, uchwycić się czegoś. Tak jak człowiek pierwotny, u zarania cywilizacji, nowo narodzony ocalały kacetnik miał potrzebę wiary w coś, uchwycenia się religii w tej czy innej formie. Zauważyła, jak część ocalałych chwyta się tradycyjnego żydostwa po raz pierwszy w życiu. Inni wiązali się z ideą syjonistyczną jak z religią, a jeszcze inni wznosili sztandar socjalizmu czy komunizmu. Miriam też potrzebowała takiej duchowej podpory. Próbowała więc przezwyciężyć otępienie, wewnętrzną niemoc – wsłuchując się w głos swojej przeszłości. W dzieciństwie zwykła nosić ubrania, z których Wierka już wyrosła. Teraz oblecze się w jej duszę. Wierka podpowiedziała jej, że dążenie ich ojca do lepszego życia – jak iluzoryczne by ono nie było – jest to siła nakazu, która ciągnie się jak historia ludzkości długa, aż het daleko w przyszłość, i że ta właśnie siła nadaje człowiekowi jego znaczenie. Zaangażowanie się w to dążenie może wyzwoliłoby Miriam z poczucia, że jedynie egzystuje, że jest nie na czasie, przeżytkiem, co znalazł się na stronicach historii, z którą nie ma żadnego związku.

W ten sposób uzgodniła stanowisko z Balcią i Malką. One nigdy nie straciły żyłki społecznikowskiej. Od samego początku brały udział w życiu społecznym Bergen-Belsen. Teraz Miriam dała im się wciągnąć w organizację klubu kulturalnego. Miało to być coś w rodzaju klubu dyskusyjnego, gdzie będzie się omawiać sposoby, jak ocalali mogą wpływać na szerokie masy, jak mogą oddziaływać na życie, poprzez przekazanie światu prawdy, jaką odkryli w otchłaniach piekła.

Malka akurat przeziębiła się i kaszlała, więc los padł na Miriam, żeby była mówczynią na otwarciu klubu. Ona – mówczynią! Ona, która tak nienawidziła przemów! Teraz miała wygłosić pierwsze publiczne przemówienie w swoim życiu.

Kilka godzin przed zebraniem poszła do lasu, żeby przećwiczyć wystąpienie. Stąpała tam wśród drzew po mchu, próbując zebrać myśli. Co w zasadzie chciała powiedzieć dipisom? Jedyne klarowne uczucie, jakie miała, to bezsilność. Ciężki balast obciążał jej serce. Był to nie tylko ciężar jej osobistego zagubienia, lecz jakby ciężar losu całego świata spoczywał na jej barkach. Co się stanie z tym nowym życiem, za które naród żydowski zapłacił tak wysoką cenę? To niemożliwe, żeby wszystko zostało po staremu, jakby nic się nie wydarzyło. Ona nie dopuszcza do siebie takiej możliwości.

Szopa, w której publika zgromadziła się tego wieczoru, była nabita do pełna. Elektryki nie było, a stół prezydialny oświetlało parę świeczek, które migotały w kilku pustych puszkach mięsnych. Miriam ubrała swój granatowy kostium unrowski i bluzkę, którą dostała od Sorki. Migoczące świeczki odbijały się na jej twarzy, sprawiając wrażenie, jakby okryta była welonem ze światłocienia.

– Nasze wczoraj wciąż żyje i włada naszym dzisiaj – zaczęła. – Nie chce stać się przeszłością. – Jej głos brzmiał słabo, trochę drżąco, lecz wyraźnie. Jeszcze minutę temu miała straszną tremę, lecz teraz się od niej uwolniła. – Nasze wczoraj uwiera i zadaje nam ból. Zatruwa każdą minutę naszej wolności. Gasi

każdy uśmiech na naszych ustach i przepędza każdą odrobinę radości z naszych serc. Nasze wczoraj pobrzmiewa w każdym kroku, jaki stawiamy, w każdej naszej myśli – czy zdajemy sobie z tego sprawę, czy nie. Nasze wczoraj wyrywa nas ze snu z okrzykiem przerażenia lub droczy się z nami obrazami szczęśliwych, idealizowanych dawnych dni, czasów, kiedy mieliśmy jeszcze swój dom. Nasze wczoraj dławi nas w gardle razem z każdym kęsem, jaki bierzemy do ust, kiedy przypomnimy sobie, ilu z naszych bliskich brakuje przy stole. Kiedy rano zakładam sukienkę, zdarza mi się często, że jestem zdziwiona. Jak to możliwe, że nie ma na niej żółtej łaty? Suknia naszego nowego życia nie ma żółtej łaty. Lecz ta łata pozostaje wytatuowana w naszych sercach i nigdy już jej nie zdejmiemy. Nasza droga na śmierć była trudniejsza niż w przypadku tych Żydów, którzy szli na *Kidusz ha-Szem* w dawnych wiekach. Tamci Żydzi mogli ucałować krzyż i się uratować. Ich śmierć była kwestią wyboru. A pewnie łatwiej umierać ze światłem wiary w oczach, oddać życie za ideały. Łatwiej musi być umierać jako człowiek godny, ze świadomością, że ofiara z własnego życia nie jest daremna. Lecz nie taka była droga naszego unicestwionego pokolenia. Bardziej gorzka niż sama śmierć była nasza droga przez ciemność, droga, którą Bóg i wszystkie ludzkie ideały kroczyły razem z nami na zagładę. Opuszczeni przez świat, pod ciemnym, opustoszałym niebem, szliśmy w ostatnią drogę, a słowo pocieszenia znikąd nie nadeszło. My, cudem uratowani, pamiętamy, jak czekaliśmy, wyglądając najmniejszej nowiny z dalekiego świata. Chciało się chwycić ten świat za jego filary i krzyknąć do niego z Samsonową siłą: „Świecie, dusza twoja ginie razem z nami!". Jak ziemia mogła pochłonąć niewinną krew tak obojętnie? Jak mógł człowiek przełknąć prawdę o naszej zagładzie w takim milczeniu? A jednak w najczarniejszej godzinie nie porzucaliśmy nadziei. Wierzyliśmy, że naród jako taki nie zginie. Że przynajmniej niewielka część noszących żółtą łatę przeżyje i że świat po burzy zwróci się do nich i powie: „Wy, którzyście to widzieli, którzyście tam byli, chodźcie, pomóżcie nam napisać prawidła nowego porządku światowego". Lecz burza przeszła, niebo jest jasne. Na ruinach powstaje nowe życie. Odbudowuje się miasta. Ulice pulsują życiem. Do wsi powraca idylla, a politycy wracają do swojej gry. Tak, wyprawia się bankiety z okazji zakończenia wojny. Organizuje się ceremonie dla uczczenia pamięci tych, co nie powrócili. Wygłasza się emocjonalne przemowy. Śpiewa się hymny narodowe. Lecz nas, ocalałych, nie widać, nie słychać. Nie chcą nas widzieć i słyszeć. Stoimy światu w poprzek drogi. Stanowimy żywe zaprzeczenie starych, wyświechtanych kłamstw. Gdybyśmy zginęli, zaintonowano by pieśń żałobną także nam i również ku naszej pamięci wznoszono by pomniki. Stalibyśmy się ważkim argumentem w politycznej grze... Lecz my żyjemy. Jesteśmy. I póki naszego życia, nie spoczniemy. Domagamy się, żeby nasza ofiara nie była daremna. Domagamy się lepszego jutra dla naszych dzieci na tej ziemi i nie przestaniemy pytać: „Jak... możecie wracać do starego, jak gdyby nigdy nic?". Tak, na podstawie stosunku świata do nas możemy określić, jaki jest jego stan...

Miriam nienawidziła siebie zarówno za patos i bombastyczność, jak i za chaotyczność swojej przemowy. Chciała mówić logiczniej i jaśniej, prościej i ciszej. Czuła jednak, że to, co mówi – musi, tak czy inaczej, zostać powiedziane.

*

Marek niecierpliwie wyglądał rozpoczęcia studiów. Wysłał sporo listów do różnych uniwersytetów zarówno w Niemczech, jak i za granicą, z podaniem o przyjęcie, i próbował namówić Miriam do zrobienia tego samego. Podczas jednego z ich spacerów po lesie objął ją mocno i gorączkowo mówił do niej:

– Chcę ciebie mieć koło siebie na zawsze. – Rozgadał się i radośnie snuł plany na temat organizacji ich wspólnego życia.

Miriam zatrzymała się i przerwała mu wpół słowa.

– Ale, Marku, ja nie jestem jeszcze gotowa... – odezwała się, patrząc mu prosto w twarz. – Mocno się zmieniłam, a moje uczucia też uległy przeobrażeniu. Nie mam jeszcze pewności, jak będę żyć i co będę robić lub gdzie osiądę. Muszę dojść z tym do ładu. Wszystko, co wiem, to to, że chcę mieć wolność wyboru. Niekiedy myślę nawet o opuszczeniu Balci i Malki.

Przycisnął ją do siebie.

– Mogę to zrozumieć. Ale przecież nie chcesz mnie porzucić. Czy ja kiedykolwiek stanąłem ci na drodze? Pobierzemy się, a ty będziesz mogła robić, co ci się podoba. Nie mam zamiaru odbierać ci wolności. Razem będziemy wolni.

– Słowo wolność nie schodzi z naszych ust. Ale prawdę mówiąc, wciąż nie wiem, co to właściwie znaczy być wolnym – teraz, po wyzwoleniu. Dużo rzeczy nie wiem. Nie jestem pewna, czego chcę, co czuję. Z jednej strony, znam siebie lepiej niż kiedykolwiek wcześniej, a z drugiej – znam siebie mniej. I... nie wiem, czy w ogóle jestem gotowa brać ślub.

Popatrzył na nią zdumiony.

– Brać ślub ze mną? Co ty mówisz, co? Nie wierzę w ani jedno twoje słowo. Nie mam przecież nikogo więcej na świecie, oprócz ciebie.

– Czy nasza samotność jest wystarczającym powodem, żeby się pobierać?

– Ale przecież my się kochamy.

Uśmiechnęła się.

– Tak, to prawda. Ale ja nie chcę być niczyją żoną, nawet twoją. Moja miłość do ciebie też stała się inna. Nie wiem dlaczego. Coś się zmieniło. To nie znaczy, że jestem gotowa cię porzucić, Marku. Chcę tylko, żebyś o tym wiedział. – Jaka to zrobiła się wymowna! Sama sobie się dziwiła. Już sam fakt, że była w stanie powiedzieć to wszystko Markowi z taką lekkością, był dowodem, że jej uczucia do niego uległy zmianie. Była jakaś otępiała próżnia w jej sercu, miejsce, z którego coś, co żywiło jej duszę tak długo, zniknęło. Próbowała uładzić to, co powiedziane. – Wiem, że grzeszę mową. Krzywdzę cię. Nie wiem, co mnie dzisiaj naszło. Całe szczęście, że ciebie mam, że mam Balcię i Malkę, że mam

Abraszę. Wy teraz jesteście moją rodziną. Bo kogo bym miała? – Po raz pierwszy od dłuższego czasu Marek szedł koło niej poważny i zwiesiwszy głowę, kopał kamyk. Ciągnęła dalej: – Tak, według mnie nie ma to sensu, żebyśmy wiązali się ze strachu przed samotnością. Nie możemy przecież zaczynać nowego życia jak przestraszone dzieci.

– Chciałaś powiedzieć: jak tchórze. – Uśmiechnął się gorzko. – Ale tchórzostwo jest usprawiedliwione, kiedy prowadzi do miłości. Grzechem jest odrzucać to, co posiadamy. Oj, mówisz jak rozkapryszone dziecko. Zdaje mi się, że jesteś jeszcze gorsza niż kiedyś. Jak dzieci w szkole cię nazywały?

– Księżniczka Co-Co.

– Otóż właśnie. Już czas, żebyś wiedziała, co jest co.

– Ale ja nie wiem.

Objął ją za szyję.

– I tak ci nie wierzę. Dlaczego akurat teraz wychodzisz z tym wszystkim?

Sama zadawała sobie to pytanie. Co ją naszło? Czy ich miłość nie przetrzymała najgorszych czasów? Czy oni, ona i Marek, nie szukali się z tego powodu po Niemczech i cudem się spotkali, żeby teraz się rozstać? Czy nawet pomyślenie o tym nie jest grzechem, profanacją wszystkiego, co najświętsze? Marek ma rację. Jest rozkapryszona. Jest coś brutalnego w tym, co mu powiedziała. Coś wielce niemoralnego. Czy chce go zranić? I rzeczywiście, dlaczego mówi to właśnie dziś, kiedy on wygląda tak pięknie i jest dla niej taki czuły, kiedy jest jej tak drogi? Czy rzeczywiście jest nadal śpiącą królewną? Jak może tak nonszalancko rezygnować z takiego skarbu? Tak, ona tylko tak mówiła, paplała, badała jego puls, żeby zobaczyć, jak bardzo ją kocha.

– Masz rację, że mi nie wierzysz – uśmiechnęła się.

Marek odzyskał animusz. Nachylił się nad nią i żartobliwie wyszeptał jej do ucha:

– Ja też nie myślałem, żebyśmy zaraz brali ślub. – Chciała się odezwać, lecz on położył jej rękę na ustach. – Wystarczy, za dużo gadasz.

– Może istotnie.

– To trzymaj buzię na kłódkę. Daj mi całusa.

Pocałowała go i myślała, że uczucia są tak delikatne, jak pajęcza sieć, efemeryda, że może nie należy ich tykać słowami, niezależnie jak mocno chciałoby się je wyartykułować. Nie ma po prostu wystarczająco precyzyjnych słów, żeby je wyrazić.

*

Coraz aktywniej angażowała się w pracę klubu dyskusyjnego. W szopie, w której schodziła się publiczność, wciąż nie było światła elektrycznego. Siedziało się w ciemności i tylko świeczki palące się w puszkach wokół trybuny rzucały nikłe, żółtawe światło na ławki z cienistymi postaciami. Zawsze było tu tłoczno. W obozie

dla dipisów roiło się od różnorakich działań społecznych[527], a adres klubu dyskusyjnego stał się wszystkim tak samo znany jak adres komitetu obozowego[528].

Podczas jednego z takich spotkań w klubie, gdy publika w głębokiej ciszy słuchała jakiegoś dipisowca, który z pamięci recytował wersy: *„Ich hejb zich ojf wider un szpan awek wajter"*[529], z wiersza Lejwika *Ejbik*[530], do sali wszedł jakiś człowiek. Nikt go nie zauważył poza tymi, którzy siedzieli przy mównicy. Przybysz nosił obcisłą rosyjską wiatrówkę i masywne, wysokie buty. Czekał przy drzwiach, aż recytator skończy wiersz, a wtedy, nieco utykając, pomaszerował naprzód między rzędami ławek, prosto do mównicy, gdzie stały świeczki. Zanim Malka, przewodnicząca, zdołała otworzyć usta, odwrócił się do publiczności i odezwał się głośno:

– Dobry wieczór, towarzysze, nazywam się Anton Cimerman.

Szopa zaszumiała jak las w porywie wiatru. Następnie ściany zatrzęsły się od oklasków. Wśród ocalałych krążyły legendy o Antonie Cimermanie i jego pracy jako kuriera żydowskiej organizacji bojowej w okupowanej Polsce. Nie tylko szmuglował broń dla bojowników getta, lecz także dostarczał jedzenie dla Żydów, którzy ukrywali się po aryjskiej stronie; wynajdywał nowe krajówki dla tych, których kryjówki były „spalone". Przekradał się do gett i dostarczał pieniądze, lekarstwa, biuletyny informacyjne i ulotki dla gettowników.

Anton Cimerman powiedział jeszcze kilka słów i zadeklarował swoją gotowość współpracy z klubem. Jak tylko zebranie się zakończyło i publiczność wyszła na zewnątrz, Miriam dogoniła Cimermana i go zatrzymała. Poznał ją od razu i chwycił za ręce. Jego pierwsze pytanie brzmiało:

– Binele?

Pokręciła przecząco głową. Założył ręce do tyłu i zaczął stawiać kroki przed nią, tam i z powrotem, usta mając zaciśnięte, oczy mętne, wpatrzone w dal. Postarzał się nie do poznania. Jego włosy były teraz białe jak śnieg. Kiedy znów zatrzymał się przed nią, poskarżyła mu się jak rodzonemu ojcu:

– Zostałam całkiem sama.

Położył obie ręce na jej ramionach i odpowiedział jej zachrypniętym głosem:

– Nie całkiem sama. Pamiętaj, co łączy nas oboje.

---

527 W obozach dipisów, także w Bergen-Belsen, kwitło życie kulturalne, działał teatr, kino, organizowane były koncerty, konferencje, szkolenia, debaty i wykłady na tematy polityczne, historyczne, naukowe i kulturalne.

528 Komitet Wyzwolonych Żydów – powstał w Belsen już kilka dni po wyzwoleniu w kwietniu 1945 r., jego przewodniczącym został syjonista Josef Rosensaft.

529 (jid.) *Powstaję na nowo i kroczę dalej*.

530 Wiersz *Ejbik* H. Lejwika z muzyką Sholoma Secunda w wykonaniu Yiddish Art Trio: https://yiddisharttrio.bandcamp.com/track/eybik-2

Obecność Cimermana dodała prestiżu klubowi, który nabrał, dzięki niemu, wyraźnego zabarwienia bundowskiego i zaczął nazywać się Socjalistycznym Towarzystwem Kulturalnym. Cimerman od razu stał się uznanym kierownikiem klubu.

Miriam bardzo przeżyła spotkanie z nim. Jak tylko z nim porozmawiała, cień Binele pojawił się między nimi. Czuła się strasznie mu bliska. To, że przeżył, zakrawało na cud. Jakby ten instynkt samozniszczenia, przynaglający do karkołomnych czynów, wystawiania się na rozmaite niebezpieczeństwa, zamienił go w kogoś, kogo nie daje się zniszczyć. Podziwiała go.

Lecz radzić sobie z nim w pracy klubowej było jej ciężko. Był krytycznie nastawiony do wcześniejszego płynnego charakteru klubu: życie żydowskie nie potrzebuje żadnych klubów dla abstrakcyjnego kibicowania. Życie żydowskie potrzebuje aktywnej, praktycznej działalności politycznej. Miriam więc miała żal do Cimermana za nadanie klubowi linii ściśle partyjnej.

– Ideały bundowskie o włos się nie zmieniły – przekonywał ją. – Cele nasze są te same.

Nie żeby Miriam się z nim nie zgadzała, ale obstawała przy swoim: coś musiało się zmienić w świetle tego, co się stało, w świetle nowo otrzymanego rozeznania. Frazesy partyjne sprzed wojny brzmiały fałszywie, nawet śmiesznie, tak samo śmiesznie jak dawne prawdy żydowskiej wiary w Boga. Była to kwestia nie tylko doboru słów, lecz także nawet i tego, że te same słowa potrzebowały nowego wydźwięku. Po doświadczeniu obozowym nie pasowały już do rzeczywistości.

– Czego chcesz? – pytał ją Cimerman. – Co rozumiesz przez przebudowę życia na nowych zasadach? To jest bańka mydlana. Dziecięce bajanie. Jaki wydźwięk chcesz, żeby nasze słowa nabrały?

– Nie wiem dokładnie – odpowiedziała. – Tego dopiero muszę się dowiedzieć.

Póki się tego nie dowie, postanowiła współpracować z Cimermanem.

Ugrupowania syjonistyczne w obozie były doskonale zorganizowane[531]. Miały w swoich rękach cały aparat obozowy i były częścią syjonistycznej sieci, która obejmowała wszystkie obozy i współpracowała z Brichą i Brygadą Żydowską[532]. Oni byli panami Bergen-Belsen. Organizowali publiczne masówki z udziałem prominentnych przywódców syjonistycznych z Anglii i Ameryki, którzy wygłaszali entuzjastyczne przemówienia dla dipisów. Miriam chodziła na te mityngi. Było na tych zgromadzeniach poczucie jakiejś siły, ludowładczości, nastrój zbiorowej dumy. Państwo żydowskie, marzenie wielu pokoleń, powstawało właśnie ze spopielonych milionów, jak Feniks. Będzie na świecie jakieś miejsce, gdzie obędzie

---

[531] Życie polityczne w obozach dipisów na terenie Niemiec obejmowało szeroki przekrój partii, w tym m.in. Bund i komunistów, ale dominującą siłą polityczną była koalicja partii syjonistycznych – Ichud (Zjednoczenie Syjonistów Demokratów).

[532] Zob. przypis s. 530.

się bez nienawiści do Żydów, gdzie Żydzi przypiekani każdym ogniem i płonący na wszystkich stosach położą podwaliny pod nowe życie i stworzą wzorcowe społeczeństwo, od którego świat będzie mógł się uczyć. Miriam myślała o Sorce i jej zazdrościła.

Na jedną z masówek przybył Dawid Ben Gurion[533].

– Jeśli nie chcą nas wpuścić do Erec Israel – potrząsał w uniesieniu swoją lwią czupryną – to nie znają siły naszej woli. Pójdziemy tam na piechotę, jeśli będzie potrzeba!

Po tej frazie wybuchła burza oklasków. Nikogo nie niepokoił fakt, że piesza wyprawa do Erec Israel jest przedsięwzięciem graniczącym z cudem. Właśnie to, co cudowne, symboliczne, współbrzmiało z czasem i było najbardziej przekonujące. Dwa tysiące lat snuli Żydzi to marzenie. Teraz musiało się ono ziścić. Była to wyraźna zmiana, przynajmniej w żydowskim życiu.

Miriam też porwał entuzjazm. A jednak – żydowskie wzmożenie narodowe ją niepokoiło.

*

Wciąż jeszcze zdarzały się noce, kiedy Miriam budziła się ze snu z krzykiem. Pewnej nocy znów śniła o Jankewie. Widziała go ubranego w wyświechtane łachy, jakie nosił w getcie. Był oddalony i obojętny. Mówiła do niego pieszczotliwie, lecz on nie odpowiadał. Spytała go, czy wie, że wojna się skończyła i że ludzie są wolni. Wślepiał się w nią tępym, zamglonym wzrokiem.

Czasami, kiedy siedziała przy stole i z przyjemnością jadła posiłek, nagle zapominała, gdzie się znajduje, i widziała siebie siedzącą w gronie rodziny wokół stołu w domu przy ulicy Nowomiejskiej. Albo widziała ich wszystkich siedzących wokół stołu w getcie, siorbiących słoną gettową zupkę. Widziała, jak ojciec wiosłuje łyżką w talerzu i próbuje wyłowić kawałek kartofla, żeby móc wgryźć się w niego zębami. Widziała twarz matki – i jedzenie stawało jej w gardle.

Od dnia wyzwolenia upłynęło niemal pół roku. Fakty na temat Zagłady stawały się coraz bardziej znane. Nazwy miejscowości. Liczby mnożone przez liczby urastały do niewyobrażalnej wielkości. Panorama zagłady wciąż się poszerzała. Każdego ocaleńca, którego wcześniej zajmowało tylko jego własne nieszczęście, obezwładniał teraz ciężar tak dużej wiedzy.

Miriam podziwiała Malkę – kronikarkę. Malka miała stalowe nerwy. Odtwarzała z pamięci notatki, które robiła w getcie – notatki, które odebrano jej na

---

[533] Dawid Ben Gurion (1886-1973) – przywódca syjonistyczny i jeden z twórców państwa Izrael, odwiedzał obozy dipisów kilka razy, po raz pierwszy w październiku 1945 r. Przez ocalałych Żydów był traktowany jak mąż opatrznościowy, przemawiał do nich w jidysz. Miał powiedzieć, że Belsen jest „najlepszą brytyjską propagandą na rzecz syjonizmu".

rampie kolejowej w Auschwitz. Malka w ogóle wiedziała, co robi i czego chce. Nie miała żadnych wątpliwości. Miriam nie mogła się z nią równać. Ona była pełna wątpliwości.

Do lasu wkradła się jesień. Melancholia. Miriam lubiła tę jesienną aurę w przyrodzie. Jak zwykle wypuszczała się z Markiem na długie spacery. Jej stosunki z nim utrzymywały się tak, jak gdyby między nimi nic nie zaszło.

A jednak Balcia, trudno orzec jakim zmysłem, wyczuła, że ta para ma jakiś problem. Byli w drodze do kuchni po odbiór zupy. Marek i Malka szli z tyłu i głośno spierali się o jakąś matematyczną zagadkę. Marek wyczytał ją w gazecie, którą Miriam przysłał James. Balcia szła, obejmując ramieniem Miriam.

– Dlaczego nie zapiszesz się na uniwersytet, jak to zrobili Marek i Malka? – odezwała się Balcia. – Jeśli rozpoczniesz studia w Niemczech, łatwiej ci będzie dostać się na uniwersytet gdzieś indziej.

– Nie chcę zapisywać się na uniwersytet – ucięła Miriam.

– To co będziesz robić?

– Nie mam zielonego pojęcia.

– To jasne.

– To czemu pytasz?

– Pytam, bo chcę wiedzieć, co jest dla mnie niejasne.

– Co, na przykład?

– Chcę wiedzieć, jakie masz plany.

– Nie mam żadnych planów.

– A co zaszło między tobą a Markiem? Gdybyś nie chciała mi powiedzieć, to nie trzeba.

– Nie ma o czym mówić.

– Co znaczy, że nie ma o czym mówić? Kiedy macie zamiar się pobrać?

– Naprawdę, Balciu, często działasz mi na nerwy.

– Dlaczego działam ci na nerwy takim niewinnym pytaniem? Czy ja nie mam prawa wiedzieć? Jeśli nie mam prawa, to nie musisz mi mówić.

– Jak mogę ci powiedzieć coś, czego sama nie wiem?

– To kto ma wiedzieć?

– Proszę cię, Balciu, daj mi spokój.

– Kto ci nie daje spokoju? Może rzeczywiście masz rację i to nie jest moja sprawa. W rzeczy samej, kim ja dla ciebie jestem? Obcą osobą.

– Znowu zaczynasz tę śpiewkę? Dobrze wiesz, kim dla mnie jesteś.

– Nie jesteś już zakochana w Marku?

– *Liebe war es nie, nur eine kleine Liebelei...*[534] – rozśpiewała się Miriam

[534] (niem.) *Miłość to nie była, a tylko przelotna miłostka* – słowa popularnego tanga autorstwa Fritza Rottera i Freda Markusha https://lyricstranslate.com/pl/liebe-war-es-nie-it-was-never-love.html

świergotliwym głosem. Była poirytowana i ledwo mogła opanować gniew. Wyczuła, że Balcia jest zadowolona z jej odpowiedzi. Twarz Balci tego nie zdradzała. Przeciwnie, wyrażała matczyną troskę. A jednak...

Później nastały pogodniejsze dni. Przyszedł list od Gabiego, razem z drugim długim listem – od Herszka! Herszko powrócił z Rosji, gdzie był w gułagu w Workucie, pod kręgiem polarnym. Balcię aż głowa rozbolała z radości. Bolała ją głowa tak długo, aż nauczyła się listu Herszka na pamięć, a jego przeżycia stały się jej przeżyciami. Gabi w swoim liście wskazywał na bolesne wydarzenia w Polsce. Powracających Żydów społeczeństwo polskie nie przyjmuje z otwartymi ramionami. Bynajmniej. A stosunek polskiego rządu do demokracji to osobna sprawa. Gabi już nie nalegał, żeby Balcia i Malka przyjechały do Łodzi. Przeciwnie, podkreślał, że on i Herszko szykują się do drogi. Balcia oczekiwała, że lada dzień powinni przybyć do Bergen-Belsen. Tak więc Balcia się rozpogodziła, stała się radosna i zaczęła wyglądać młodziej i piękniej.

Miriam też czuła się silna i energiczna i cieszyła się dobrym zdrowiem. Włosy jej podrosły. Straciły dawną sztywność i zrobiły się takie jak włosy Wierki. Rudawe fale okalały jej twarz. Marek uważał, że wygląda jak kobieca postać z obrazów Tycjana i nazywał ją Tycjanem. Lubiła to. Sama jednak bardziej podziwiała Malkę. Malka, ze swoimi ciemnokasztanowymi włosami, stała się typową orientalną pięknością. Wyglądała tak pociągająco, że ludzie oglądali się za nią. Zaokrągliła się i jakaś miękkość, kobiecość pojawiła się w jej ruchach.

W niewielkim pokoju, gdzie mieszkali wszyscy czworo, stosunki zasadniczo były wyśmienite. Marek bardzo dobrze wpasował się w towarzystwo trzech kobiet, które traktowały go, jedynego mężczyznę między nimi, czule i z pobłażaniem. Było mu wspaniale.

Kłopot z nim polegał na tym, że rozwinął w sobie talent do spania do późna i kobiety tylko przez pół dnia widziały go na nogach. Jego życie zaczynało się najwcześniej po godzinie dwunastej. Jeśli Balci udało się sprawić, żeby otworzył oczy, najpierw pół godziny ziewał, a następnie rozpoczynał hamletowski monolog: „Pospać jeszcze trochę i może jeszcze trochę pośnić, czy nie spać i od razu zeskoczyć z pryczy? – oto jest pytanie".

Jeśli Miriam udało się doprowadzić do tego, żeby usiadł na pryczy, po tym, jak łaskotała go w piętę i ściągnąwszy z niego koc, nieźle mu przygadała, robił komiczne grymasy i zaczynał śpiewać polskie szlagiery głosem kanarka. Albo robił na głos wielkie plany na ten dzień, na ten tydzień, na cały rok lub na całe swoje życie.

Balcia nie mogła serio gniewać się na niego. Kiedy udawała, że jest na niego zła, on z szacunkiem kiwał głową i mówił: „Już, mamusiu, już się ubieram". I kontynuował te monologi i koncerty z najwyższej pryczy. Kiedy w końcu zwiesił nogi, dalej siedział na górze i drapiąc się po skołtunionej głowie, rzucał spojrzenie w okno, pytając: „Jaki właściwie mamy dziś dzień?". Dopiero gdy Balcia

ostrzegała go, że nie dostanie nic do jedzenia, podejmował należyte kroki, żeby zsunąć się z pryczy.

Szwendał się po pokoiku, trącając stół i ławki albo swoje współlokatorki i burcząc pod nosem, myślał na głos. Robił komiczne wymachy długimi rękami i nogami, i gapiąc się na siebie w małym lusterku, które wisiało na ścianie, pokazywał język. W końcu zaczynał guzdrać się przy misce, mył się i golił. Z namydloną w połowie twarzą, trzymając ręcznik w ręce, zbliżał się do stołu, otwierał książkę do chemii, którą kupił sobie w Hanowerze, w drodze tutaj, i z jedną nogą na ławce zagłębiał się w lekturze na dłuższą chwilę. Następnie pokazywał Malce jakiś interesujący akapit. Krzyk ze strony Malki zmuszał go w końcu do wzięcia na poważnie ogólnego niezadowolenia z niego. Z trzaskiem zamykał książkę i, z ręcznikiem w ręce, zaczynał chodzić wokół stołu, pochłonięty poranną medytacją na głos.

Z powodu Marka w pokoju był ciągły bałagan. I to wytrącało Malkę z równowagi. Balcia wciąż się trzymała swojego przesadnego porządku. Nadmiernie lubiący porządek Niemcy nie zmienili jej działań i teorii na tym polu. „Ręce mordercy – mówiła – są umazane krwią, czy je myje, czy nie".

Fragmenty garderoby Marka walały się we wszystkich kątach i odnajdywały się tam, gdzie najmniej się tego spodziewano. To samo było z gazetami, jakie ciągle przysyłał James, albo tymi wypożyczanymi przez Malkę z komitetu obozowego, i z książkami, które Marek jeździł szabrować w mieście Celle lub w Hanowerze[535].

Rozglądał się leniwie i pytał: „Gdzie jest mój podkoszulek?". Szukał go, jakby prosząc Boga, żeby go nie znaleźć. Balcia łapała go za ucho i zaciągała do tego podkoszulka. Wciągał go na siebie i pytał: „Gdzie są moje buty? Widział ktoś moją skarpetkę? Czy ktoś widział mój scyzoryk, który pewnie wypadł mi z kieszeni?".

„Gdybyś wiedział, gdzie masz swoją głowę – mówiła mu Balcia – oszczędziłbyś sobie szukania innych rzeczy". Nazywała go Profesor Gdzie-Ja-Podziałem. Było jednak jasne, że go lubi. W jakiś sposób, swoją niedbałością, bardzo przypominał jej Wowę.

Marek w końcu siadał przy stole razem ze wszystkimi trzema kobietami i pochłaniał śniadanie, które zgodnie z porą dnia było jego obiadem. W czasie jedzenia zabawiał je swoją błazeńską paplaniną, którą sprawiał, że omal nie dławiły się jedzeniem, śmiejąc się do łez. To były najbardziej radosne chwile dnia.

Marek coraz częściej wdawał się w naukowe rozmowy z Malką. Zmuszał ją, by usiadła koło niego przy stole i, z ołówkiem w ręce, tłumaczył jej rozmaite formuły matematyczne. Słuchała go uważnie, czerpiąc wielką przyjemność z tego,

[535] Z Belsen do Celle jest 25 km, do Hanoweru – 65 km.

że przerabiał z nią materiał. Traktowała go bardzo poważnie i zadając pytania, patrzyła mu na usta, brązowe oczy mając szeroko otwarte, jakby wraz z jego mową chciała chłonąć kształt jego warg. Ci dwoje zwykle przestawali dostrzegać świat wokół siebie, a Miriam myślała z przyjemnością, jak również z pewną dozą zazdrości, że wyglądają jak dobrze dobrana para; zresztą domyślała się, że Balcia też tak myśli.

Kiedy był sam z Miriam, Marek też rzadko uwalniał się od wesołkowatego nastroju. Naigrywał się z rozmowy, jaką mieli jakiś czas temu, kiedy Miriam udawała, że nie chce wyjść za niego za mąż. Śmiała się do niego w odpowiedzi.

– Ty mnie w ogóle nie rozumiesz. Głuptas. Nigdy nie mówiłam, że cię nie kocham. Nie chcę tylko być twoją żoną, a to zupełnie inna sprawa.

Marek był przekonany, że Miriam też złoży w końcu podanie o przyjęcie na uniwersytet marburski, gdzie wezmą razem pokój. Nie obchodzi go, gdzie mieszka, póki będzie mieć Miriam koło siebie i będzie mógł kontynuować studiowanie matematyki, chemii i fizyki – powiedział.

– Dla tak wyrachowanego kalkulanta jak ty matematyka jest właściwą dziedziną, żeby się wykazać – żartowała Miriam.

– Nie okłamujmy się – odpowiedział jej. – Oboje się wyróżniamy: ja w sztuce kalkulowania, a ty w sztuce symulowania. – Odmawiał wiary, że Miriam nigdy już nie będzie tańczyć. Odmawiał wiary w wiele rzeczy, które mu mówiła; albo udawał, że jej nie wierzy.

*

Życie w wyzwolonym Bergen-Belsen było tymczasowe, przejściowe, jak długie oczekiwanie na stacji kolejowej. Ludzie i instytucje, jakie tworzyli, pojawiali się i znikali. Taki też był los Socjalistycznego Towarzystwa Kulturalnego, ono także się rozpadło. Większość członków, łącznie z Antonem Cimermanem, wyjechało do podobozu Feldafting[536] w Bawarii. Z amerykańskiej zony widoki na emigrację do innych krajów były bardziej obiecujące. Miriam robiła się coraz bardziej niecierpliwa, pragnąc opuścić niemiecką ziemię.

W Bergen-Belsen odbył się kongres *Szejres ha-plejte*[537]. Nie było tam nikogo z przyjaciół Miriam oprócz Malki i Balci. Marek oczywiście też tam był, lecz

---

[536] Feldafing – był pierwszym obozem przeznaczonym wyłącznie dla żydowskich przesiedleńców, ocalałych więźniów obozów koncentracyjnych, znajdował się w amerykańskiej zonie okupacyjnej na południe od Monachium (Bawaria). W 1946 r. przebywało w nim ok. 4 tys. Żydów, a pięć lat później – niewiele ponad 1,5 tys. Obóz istniał do 1953 r.

[537] (jid.) *ocalałe szczątki* lub *ocalałe resztki*. Pierwszy kongres ocalałych Żydów w strefie brytyjskiej odbył się 5 września 1945 r. w Belsen.

sprawami „ocalałych resztek" niewiele się przejmował. Wszyscy zebrani w sali byli zagorzałymi syjonistami. Profesor Bordetsky[538], syjonistyczny przywódca z Anglii, mówił o nadziejach na powstanie żydowskiego państwa.

Przyszedł czas dla zadających pytania. Niewiele myśląc, Miriam podskoczyła ze swojego miejsca, weszła na podium i podszedłszy do mównicy, powiedziała, co myśli; powiedziała, że trzeba żądać, by bramy wszystkich krajów, nie tylko Palestyny, otwarte zostały dla „ocalałych resztek".

Tłum nie dał jej dokończyć. Zakrzyczeli ją. Wygwizdali ją, wyśmiali. Rozwścieczeni ludzie w tłumie podnosili w jej kierunku pięści. „Dosyć! Zabierzcie ją stamtąd!". Krzyk ze wszystkich stron.

Jakiś młody człowiek z zaciśniętymi pięściami wbiegł na estradę i rzucił się na nią. Nie bała się go. Kipiał w niej gniew: dlaczego nie dają jej skończyć, co ma do powiedzenia?! Ściągnęli ją po schodach na salę. Kiedy próbowała przecisnąć się przez tłum, zdawało się jej, że zaraz ją zlinczują. Marek dostał się do niej, chwycił ją za ramię i wyciągnął na zewnątrz.

– Najwyższy czas, żebyś skończyła z tą idiotyczną skłonnością do wygłaszania mów! – strofował ją. – W najgorszych snach nie mógłbym sobie wyobrazić, że mogłabyś zostać kobietą politykiem. To do ciebie w ogóle nie pasuje!

– Masz wybór! – odkrzyknęła mu.

Balcia i Malka czekały na nich.

– Brawo, Miriam! – odezwała się Malka. – Nie zabierałam głosu, bo wiedziałam, co się stanie. Ale ty dobrze zrobiłaś. Nie dali ci dokończyć, ale jasno przedstawiłaś swoje stanowisko.

– Ma odwagę twoja Miriam! – Balcia dumnie odezwała się do Marka.

– Czy ja wiem? – Marek machnął ręką.

Tego wieczora Miriam napisała list do Abraszy:

Jestem zaszokowana i zdezorientowana. Prawda jest taka, że nie tylko świat niewiele się zmienił, lecz także i ja. Wiem bardzo dobrze, że wielu organizatorów tej konferencji, najbardziej zagorzałych entuzjastów syjonizmu, zarejestrowało się na wyjazd do Ameryki. Kocham mój naród, jeśli miłością nazwać można uczucie, jakim darzy się skórę na własnym grzbiecie, jak Wierka kiedyś się wyraziła. Podziwiam witalność ocalałych. Życzę sobie, żeby Żydom dany został własny kąt, gdzie będą mogli żyć po swojemu. Lecz z całego serca nienawidzę hurranacjonalizmu, szowinizmu, nietolerancji i ciemniactwa. Tego rodzaju nacjonalizm jest mi z gruntu obcy. Szowinistyczne samouwielbienie narodowe doszło do punktu kulminacyjnego w postaci nazizmu (chociaż Żydzi nigdy nie mogliby postępować jak naziści). Nie chcę uczestniczyć w takiej miłości do własnego narodu. Czuję

[538] Selig Brodetsky (1888-1954) – wybitny brytyjski matematyk, przewodniczący Rady Deputowanych Żydów Brytyjskich, członek Światowego Zarządu Syjonistycznego.

się, jakbym wpadła w pułapkę. Czuję się wyjałowiona. Ledwo obudzi się we mnie nadzieja – zaraz usycha.

Marek uważa, że ośmieszam się swoimi przemowami. Być może ma rację. Lecz nie potrafię trzymać buzi na kłódkę, Bóg raczy wiedzieć dlaczego. Znów opadają mnie niewesołe myśli. Jeżeli sami Żydzi tak mało się nauczyli, to jak można oczekiwać, żeby świat czegoś się nauczył? W co pozostaje wierzyć, czego szukać, by uchwycić się tego całym jestestwem – skoro ludzka zdolność do zmiany jest tak nikła? Czy życie dla samego życia wystarczy? Moja kariera jako aktywistki politycznej zakończyła się, Abraszo, zanim jeszcze się rozpoczęła. Jest coś, co sprawia, że się nie nadaję. Może ja, jak sądzi Marek, w ogóle się nie zmieniłam i dalej jestem naiwna? Nie wiem, jak odnaleźć drogę. Nie wiem, jak truciznę moich oczekiwań zamienić w miód. Wszystko, czego chciałam, to: w określony sposób dotknąć dusz ludzi, z którymi mam styczność w moim ograniczonym światku. Nie wiem, co jeszcze mogę zrobić. Oj, Abraszo, uchodzę za kogoś w rodzaju żydowskiej Szeherezady dwudziestego wieku, która usiłuje okupić swoje prawo do życia. To fałsz.

Jak zwykle Abrasza mało co pisał o sobie. Lecz tym razem dał jej znać, że stan jego się poprawił. Pielęgniarka, która za niego pisała listy, wspomniała, że jakiś wielki specjalista badał Abraszę i wyrażał się z nadzieją o jego wyzdrowieniu.

Szwedzka pielęgniarka pisała w pierwszej osobie w imieniu Abraszy. Posługiwała się taką klasyczną angielszczyzną, że Miriam musiała często posiłkować się słownikiem. Była jej bardzo wdzięczna za napawające otuchą słowa. W przeciwieństwie do poprzednich pielęgniarek Abraszy, ta wprost podbiła jej serce. Dopiski szwedzkiej pielęgniarki były dłuższe niż same listy. I objaśniały psychologiczne znaczenie listów Miriam dla Abraszy; jaki wpływ mogą one mieć na szybki powrót Abraszy do zdrowia i ogólnie o pokrzepiającej roli, jaką jego przywiązanie do Miriam odgrywa w jego stanie psychicznym. W rzeczy samej, Miriam jest jedyną bliską osobą, jaką ma na świecie. Takie sentymentalne słowa szargały nieco nerwy Miriam. Uważała je za zbędne i sztuczne. Lecz mówiła: *gam zu le-tojwe*[539].

Przeczytała te listy Markowi, kiedy poszli do lasu na spacer. Las, z jesienną czerwienią, żółcią i złotem liści, emanował ciepłym, smutnym pięknem. Spacerowali po ścieżkach, którymi zwykła była spacerować z Jamesem, lecz w przeciwnym kierunku, tam, gdzie drzewa stały gęściej obok siebie. Gałęzie były ciasno splecione i razem z krzakami tworzyły rodzaj dżunglowatego gęstowia.

---

[539] (hebr./jid.) *I to wyjdzie na dobre.*

*

Tego dnia weszli na piaszczystą ścieżkę okoloną z obu stron młodnikiem. Byli na tej ścieżce zupełnie sami. Pod stopami piasek, jasne jesienne niebo nad głową. Wysoko ponad młodymi koronami drzewa oblane były złoto-brązowym światłem. Miriam i Marek byli w tym kpiarskim nastroju, który pomagał im uniknąć poważnej rozmowy. Długie milczenie przerywało często ich paplaninę, milczenie, który pomału nabrzmiewało napięciem. Objęli się i pocałowali.

Marek pociągnął ją za rękę.

– Chodź! – odezwał się nagle i wciągnął ją pomiędzy gęsto splątane młode drzewa. Trzymał ją mocno za rękę, a ona dała się ciągnąć coraz głębiej w plątaninę gałęzi. Nie powiedzieli więcej ani słowa do siebie. On łamał gałęzie, które stały im na drodze, robiąc przejście. Była cała podrapana. Czerwone pręgi rozciągały się przez ramiona we wszystkich kierunkach. Wokół robiło się coraz gęściej i ciemniej. W powietrzu unosiło się jakieś misterium. Cisza. Melancholia. Powietrze przepojone było grozą jak z bajki – teraz, kiedy trudno było dojrzeć niebo przez korony drzew, a wokół było ciemno. Coś melancholijnego było w samym Marku, coś obcego, jakby diabeł wstąpił w niego i trzymał go w swej władzy.

– Wracajmy – wyszeptała. Nie odpowiedział, tylko ciągnął ją naprzód za rękę. Powtórzyła: – Proszę cię, Marku, wracajmy.

Im bardziej go prosiła, tym bardziej on był zawzięty i gorączkowo szeptał:

– Chodź, chodź! Kochajmy się! – Rozejrzała się i nie mogła się zorientować, skąd przyszli i dokąd idą. Okoleni pniami i gałęziami drzew, brodzili w morzu liści i igieł. Gęstwina rosła. Zrobiło się bardzo ciemno. Nie dało się wejść głębiej w las. Lecz wtem Marek dojrzał blade światło przedzierające się przez plątaninę drzew. – Tam! – Wskazał ruchem głowy. Nic więcej nie mówili, tylko pomału przedzierali się naprzód w kierunku światła.

I oto dobrnęli do niezarośniętego skrawka lasu. A tu – nie dalej niż dwa kroki od nich – ujrzeli nagle ciało w zielonym mundurze wojskowym, leżące twarzą do ziemi. Spod unoszących się i opadających pleców dochodziło głośne chrapanie. Niemiec. Poły jego wojskowej kurtki były rozpostarte, czoło wsparte na dłoniach. Palce jednej dłoni ściskały pistolet. Obok stała butelka pełna wody. Z drugiej strony ciała leżała oficerska czapka, dystynkcje zerwane.

Przez chwilę Miriam i Marek stali przykuci w miejscu. Zdawali sobie sprawę z tego, co widzą, i od razu zrozumieli sytuację. Nawet na siebie nie spojrzeli, tylko wycofali się ostrożnie, starając się nie narobić hałasu. Przez zrobione wcześniej przejście weszli z powrotem w gęstwinę lasu. Trochę czasu zajęło im odnalezienie drogi wyjścia z labiryntu gałęzi i liści.

Wyszedłszy z gęstwiny, znaleźli nieznaną ścieżkę i nie mieli pojęcia, dokąd ona prowadzi. Pierwsze słowo, jakie do siebie wypowiedzieli, brzmiało: „nazista!".

Maszerowali dalej, żeby oddalić się od tamtego miejsca. Byli w niebezpieczeństwie. Niemiec zapewne czuwał w nocy, a teraz spał jak zabity – skoro nie

słyszał ich nadejścia. Mógł się przebudzić i tylko udawać, że śpi. Może teraz ich śledził i trzymał pistolet wycelowany w nich zza drzewa? Przyspieszyli kroku i rozglądali się zdenerwowani. Nie mówili ani słowa, tylko mocno trzymali się za ręce. Dopiero kiedy baraki zamajaczyły przed oczami w oddali, odetchnęli z ulgą.

Marek odezwał się:

– Boże kochany, to na pewno był jeden z katów Bergen-Belsen. Przestępcę ciągnie do miejsca przestępstwa. A myśmy nic nie zrobili! Uciekliśmy! Mogłem przecież złapać pistolet. Mogłem go zastrzelić!

– Przestań tak mówić, Marek, proszę cię! – złościła się na niego. Ją też ogarnął wstyd, że nie złapali przestępcy, tylko uciekli. Pobiegli teraz szukać Anglików, żeby zrobili to za nich. Nie mogła sobie wyobrazić, co ona i Marek zrobiliby, gdyby Niemiec nie był uzbrojony. Rzuciliby się na niego i go ukatrupili? Zabijanie to jest brudna, odrażająca rzecz, nawet jeśli pragnie się śmierci wroga – jak ona i Marek jej pragnęli.

Przyszedłszy do obozowej bramy, nie znaleźli żadnego angielskiego wartownika. Puścili się biegiem, żeby znaleźć posterunek policji wojskowej i zaraportować tak szybko jak to możliwe, co widzieli. Nie mieli pojęcia, gdzie znajduje się posterunek. I wtem zwolnili kroku. Nagle apatia weszła im w kończyny. Zaledwie godzinę temu myśli ich były daleko od przeszłości. Byli w pułapce gorączkowej żądzy, żądzy odnoszącej się do teraz. Gdzie to wszystko zniknęło? W sercu było uczucie wielkiej niezręczności. Gorzki posmak. Wstyd. Życzyli sobie wymazania tego incydentu z pamięci i po powrocie kontynuowania tego dnia, jakby nic się nie stało.

Żołnierze dyżurujący na posterunku wypytali Miriam i Marka na swój flegmatyczny sposób, obojętnie, bez zainteresowania. Postanowili jednak zbadać sprawę. Jeden z żołnierzy zgasił papierosa, którego palił, wziął karabin i wyszedł z Markiem i Miriam.

Maszerowali wzdłuż tej samej ścieżki, a mieli wielkie trudności ze znalezieniem miejsca, gdzie wcześniej weszli do lasu. W końcu Marek je znalazł. Żołnierz spojrzał na niego z ukosa, jakby chciał powiedzieć: „Aha, bratku, wiem, jakie wy dwoje mieliście zamiary...". Dwoje winnych spuściło wzrok, zawstydzeni, pokorni, jak złodzieje, których złapano za rękę. Marek miał pokazać żołnierzowi kierunek i ruszył naprzód. Miriam przedzierała się za nimi. Serce jej waliło jak u zbójnika. Co będzie, jeśli nazista dojrzy Marka? Była zła na żołnierza, że idzie z wycelowanym karabinem za Markiem, a nie przed nim.

Bardzo powoli posuwali się do przodu, starając się nie robić hałasu. Kilka razy zboczyli z drogi. Aż ujrzeli blade światło w leśnej głębinie i podążyli tam. Miriam dosłyszała szept Marka:

– Nie ma go!

Stali wszyscy troje na niezarośniętym skrawku lasu i gapili się w odcisk ciała Niemca na ziemi, między czapką a butelką wody, które pozostały na tym samym miejscu. Żołnierz rozejrzał się, podniósł czapkę, dał ją Markowi do potrzymania

i rozkazał szeptem: *„Let's go!"*[540]. Z wycelowanym karabinem zrobił ćwierć obrotu w jedną i w drugą stronę i ruchem głowy nakazał parze iść za nim. Uciekinier znajdował się prawdopodobnie gdzieś w sąsiedztwie. Poruszali się naprzód, Miriam i Marek na przedzie. Żołnierz szedł za nimi, ciągle wykonując ćwierćobroty z karabinem gotowym do strzału.

Ani słowa nie zamienili z żołnierzem, nawet po tym, jak wrócili do obozu. Marek patrzył z odrazą na niemiecką czapkę oficerską w swojej ręce. Kiedy żołnierz kazał podać ją sobie, Marek oddał mu ją takim ruchem ręki, jakby chciał pozbyć się wstrętnego robala. Żołnierz pomachał im i odmaszerował.

Marek i Miriam wlekli się między szeregami szarych baraków, z kasztanowcami po obu stronach drogi, i zacięcie milczeli. Wtem Marek skierował głowę ku niej.

– W mojej drodze tutaj – odezwał się – do Bergen-Belsen, kiedy wędrowałem przez Niemcy, przyszedłem nad rzekę. Szeroką rzekę. Nie było nieuszkodzonego mostu, żeby przedostać się na drugą stronę. Wszystkie mosty były zatopione w wodzie. Wielu z mojego towarzystwa, z którymi wędrowałem, przepłynęło. Ja nigdy nie uczyłem się pływać. A jednak wszedłem do wody razem ze wszystkimi, wiedząc bardzo dobrze, że mogę utonąć. I rzeczywiście mało co nie utonąłem. Z ustami pełnymi wody modliłem się do mojej szczęśliwej gwiazdy, która przeprowadziła mnie przez wszystkie obozy. „Nie pozwól mi zginąć" – prosiłem ją. Kopałem nogami, wiosłowałem rękami i napierałem naprzód korpusem. Czułem, jak woda mnie wciąga, jak tylko czeka, żebym ustał, przestał wiosłować kończynami i się poddał... W ten sposób nauczyłem się pływać i pokonałem swoje samobójcze tendencje. Bo kiedy otchłań wodna kusiła mnie: „Skończ tę głupią grę raz na zawsze", słyszałem w sobie głos, który domagał się, żebym nie ulegał, nie wolno mi ulec, nie teraz, nie po kacecie. Rozumiesz? Ten zagrzewający do walki głos był właśnie głosem tchórza we mnie... Bałem się zemścić... Robię z siebie głupka i błaznuję w kółko, Miriam... Lecz prawda jest taka, że ja boję się prawdy. – Rozpłakał się. – Moi rodzice, zamiast posyłać mnie na studia, powinni wysłać mnie na naukę, jak się zabić.

---

[540] (ang.) *Chodźmy!*

Rozdział trzydziesty czwarty

Dziwny list przyszedł od pielęgniarki Abraszki. Miriam przeczytała go parę razy z pomocą słownika, a potem kilka razy już bez jego pomocy. Dopiero wówczas ledwo pojęła, o co w liście się rozchodzi.

Pielęgniarka pisała, że czuje się bardzo niezręcznie z powodu sfabrykowania wszystkich wcześniejszych listów Abraszy do Miriam i w konsekwencji dołożyła wiele starań, aby przekonać Abraszę, żeby spełnić jej prośbę i napisać prawdę o nim. On na razie nie przystał na to, ale ona, pielęgniarka, ma nadzieję, że wkrótce się zgodzi i będzie mogła opowiedzieć Miriam wszystko ze szczegółami. Potem następowało długie postscriptum z dysertacją na temat prawdy oraz seria pytań o stosunek Miriam do tegoż zagadnienia. List był mętny, naiwny i irytujący.

To było dziwne. Od momentu, gdy nawiązała kontakt z Abraszą zaraz po wyzwoleniu, Miriam czuła jakąś barierę, jakąś tajemniczą pustkę oddzielającą ją od niego. Dziwaczne misterium wisiało między nimi. Usiłowała to ignorować i unikała otwierania przed nim swego serca. Obecnie wizja dowiedzenia się prawdy dźgnęła ją w samo serce niczym ostrze chirurgicznego noża. Co to za rodzaj bólu, którego się doczekała? Czy znowu jej serce zacznie krwawić przez niego? Gotowała się na to i umacniała myślą, że owszem – nóż chirurgiczny doprowadza do krwawienia, ale potem rana leczy się i jest się zdrowym. Przecież sam Abrasza zwykł jej cytować takie powiedzenie: *Der emes wet dich machn fraj, ober kojdem wet er dich umgliklechech machn*[541].

Celowo napisała podbudowujący list do Abraszy, chcąc mu pokazać, jak silny ma charakter, żeby on odważył się niczego już przed nią nie taić.

---

[541] (jid.) *Prawda wyzwoli cię, ale jednocześnie uczyni nieszczęśliwym.*

Wiem, Abraszo, że mi jest łatwiej pisać do Ciebie wzmacniające na duchu listy, ponieważ choćbym nie wiem, jak Ciebie kochała i współczuła Ci, mogę przecież samodzielnie poruszać się na własnych nogach i pisać moją własną ręką, a Ty już tego nie możesz zrobić. Wiem, że nie mam pojęcia, co stałoby się z moją odwagą, gdybym znalazła się na Twoim miejscu. Czasami zapytuję siebie, jakie znaczenie ma miłość, jak daleko może ona sięgać i jakie są jej granice. Jeśli miłość oznacza pomoc ukochanemu człowiekowi żyć, to moja miłość do Ciebie nie ma granic, Abraszo. Zrobię wszystko, co mogę, aby przyjechać i być z Tobą.

Z największym spokojem wewnętrznym, na jaki mogła się zdobyć, Miriam odpowiedziała pielęgniarce w osobnym liście na kwestię swojego stosunku do prawdy. Odpowiedziała otwarcie i szczerze, że w minionych latach nie była zainteresowana obiektywną prawdą. To, co było prawdą dla niej, było prawdą. Obecnie jednak zmieniła swój stosunek do obiektywnej prawdy. Chce ją znać, chce ją poznać. Jest jakaś jasność i czystość nawet w brutalnej prawdzie.

Nie dodała, że wątpi, czy człowiek jest w stanie przyjąć obiektywną prawdę – obiektywnie.

*

Stale przychodziły pozdrowienia od przyjaciół w Feldafing. Rozrastała się gmina ocalałych. Pojawiła się tam możliwość nielegalnej emigracji do innych krajów.

Balcia otrzymała gorzki list od rozczarowanego Gabiego i dobijający list od Herszka, który nie mógł dojść do siebie po przeżyciach w gułagu. W Polsce mówiło się o połączeniu bundystów z komunistami, co tak naprawdę oznaczało likwidację Bundu. Gabi był aktywnie zaangażowany w sprzeciw wobec tego zjednoczenia. Dwa razy już go aresztowano. W czerwcu miał miejsce pogrom w Krakowie[542]. Gabi nosił przy sobie rewolwer, kiedy jeździł po kraju. Chuligani napadali na Żydów w pociągach.

Balcia drżała nad bezpieczeństwem swoich synów. Podtrzymywała ją na duchu korespondencja oraz myśl, że przyjadą oni jak najszybciej. Jak Herszko mógł wytrzymać tak długo i nie zobaczyć się z uratowaną mamą i siostrą? Wylewała swoje żale w tychże listach.

Wraz z porzuceniem przez Gabiego idei odbudowy życia żydowskiego w Polsce, dla nich wszystkich definitywnie skończyła się „kwestia polska". Gabi chciał

[542] Pomyłka Autorki, gwałtowne akty przemocy wymierzone przeciwko ludności żydowskiej w Krakowie, które przeszły do historii jako pogrom krakowski, miały miejsce 11 sierpnia 1945 roku. Ich bezpośrednią przyczyną była pogłoska o rytualnym mordowaniu polskich dzieci. W czasie pogromu jedna osoba została zabita, a wiele innych ciężko raniono. Było to jedno z wielu antyżydowskich wystąpień, które miały miejsce w całym kraju latem 1945. Antysemickie nastroje wzmacniało objęcie władzy przez prosowieckich komunistów i mit żydokomuny.

niezwłocznie wyjechać do Ameryki i ciągle wypytywał Balcię, co pisze o tym jej przyjaciółka z Chicago. I rzeczywiście przyszedł z Chicago podbudowujący list. Dzieci Balci były zgodne, że Ameryka jest najlepszym miejscem na założenie nowych fundamentów dla życia rodzinnego. Postanowiono poczekać na potrzebne papiery, choćby nie wiadomo jak długo to trwało.

To były dni otrzymywania ważnej korespondencji. Malka i Marek też dostali listy – z potwierdzeniem, że dzięki interwencji UNRRA w Feldafing zostali przyjęci na uniwersytet w Marburgu, gdzie, w okresie oczekiwania na emigrację, będą mogli studiować. Postanowiono zatem zapakować w parę toreb trochę tego dobytku, który udało im się zgromadzić i opuścić pokoik, w którym spędzili tygodnie i miesiące po wyzwoleniu Bergen-Belsen. Gdyby ściany tego pokoju mogły mówić, miałyby do opowiedzenia zadziwiające historie.

Feldafing. Zaułki zapierające dech swym pięknem. Miasteczko dawnych więźniów obozowych. Przyjaciele przyszykowali pokoje dla przybywających w białym pałacyku, przy samym brzegu jeziora Sternberg. Widok wspaniałego krajobrazu za oknem był prawdziwą ucztą dla oka. W całym pałacyku, który należał wcześniej do nazistowskiej śmietanki, nie było jednak ani jednego mebla. Balcia otrzymała dwa skrzypiące łóżka od pracowników Obozowego Komitetu, jedno łóżko dla niej i dla Malki, a drugie dla Miriam i Marka.

W Feldafing panowało ożywienie. Były podejmowane wszelkiego rodzaju aktywności. Ugrupowania wszystkich partii wykonywały swoją pracę w barakach i okolicznych pałacykach. Ludzie wciąż przybywali i wyjeżdżali. Jedna wiadomość goniła kolejną. Dobre wieści i te złe. Bliscy sobie ludzie spotykali się niespodziewanie, inni dowiadywali się o kolejnych stratach.

Grupy bundowców wyspecjalizowały się w szmuglu. Dwie grupy towarzyszy opuściły obóz z dwoma szmuglerami. Jedna grupa razem z Antonem Cimermanem doszła do francuskiej granicy, a druga do belgijskiej. Jeśli nadejdą od nich pozdrowienia, będzie to oznaczało, że udało im się przekraść przez granicę i przedostać do tych krajów, ta droga będzie wolna dla następnych ocaleńców. Miriam sprawdziła, czy ma jeszcze adres, który zostawił jej doktor Vanderhaeghe. On mieszka w Belgii w mieście portowym – Ostenda, przy morzu. Na pewno pomoże jej przedostać się do Szwecji, do Abraszy.

Miriam postanowiła, że od momentu, gdy teraz opuści Niemcy, jej stopa nigdy nie postanie już na tej ziemi. Prawda, nie może wymazać tego kraju z mapy świata, choć naziści byli zdolni, aby wymazać cały naród z mapy Europy. Może jednak usunąć Niemcy z mapy jej świata. Czy jest w stanie to zrobić? Przecież ten kraj stał się grobem jej ojca. Jasne, przechowuje pogrzebane jedynie jego fizyczne szczątki, podczas gdy jego dusza mieszka w niej. Ale jego fizyczne szczątki też są święte. Jeśli jest jej pisane posiadanie dzieci, nie będzie uczyła ich nienawiści do Niemców i dołoży wszelkich starań, aby uwolnić się od wszelkich pretensji, jeśli przyjdzie jej kiedyś spotkać się gdzieś w świecie z młodymi Niemcami, zarówno z takimi, którzy byli dziećmi w czasie wojny, jak i tymi, którzy urodzili się później.

Ale ma porachunki z Niemcami jej pokolenia. I nie zostaną one rozliczone do końca jej dni. Żadne szczęście nie będzie w stanie wynagrodzić poniesionych strat przez nią i przez żydowski naród. Żadna sprawiedliwość nigdy nie będzie mogła być zadośćuczyniona po tej nieprawości.

Jednak to nie był główny problem, który ją gnębił. Tym głównym było: czy tylko Niemcy byli w stanie dokonać takiej zbrodni? Była pewna prawda we frazesie, że każdy człowiek nosi w sobie ziarno zarówno Kaina, jak i Abla. Jak powinien się uzbroić Abel, żeby zdołał na zawsze wyjąć nóż z ręki Kaina?

O tym także napisała do Abraszy. Poprosiła go też, aby się nie martwił, jeśli w najbliższym czasie nie będzie otrzymywał listów od niej, ponieważ planuje dostać się do Belgii, a stamtąd spróbować przybyć do Szwecji tak szybko, jak to tylko będzie możliwe. Dała mu swój adres w Feldafingu, ale zaznaczyła, że zdąży napisać do niej tylko jeden list, zanim ona ruszy w drogę.

*

Abrasza rzeczywiście zdążył do niej napisać tylko jeden list, który przyszedł do Feldafingu, w czasie kiedy szykowała się do drogi. List napisany przez pielęgniarkę Abraszy. I tak „obiektywna" prawda w końcu został odkryta.

Straciła Abraszę – jej Abraszę. Zapewne stało się tak, jak Gabi oraz Marek opowiadali: jej Abraszę posłano do pieca w czasie ostatniej selekcji w obozie.

Nie dostała spazmów, kiedy przeczytała, że Abrasza Kantorowicz, który przez cały ten czas pisał do niej, był kuzynem Abraszy, którego ona znała. Abrasza, który pisał do niej, pochodził z Krakowa. W czasie swojej młodości, kiedy jej Abrasza studiował na Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, zatrzymał się w domu rodziców tego to obcego Abraszy, który był najmłodszym dzieckiem swoich rodziców i był dużo młodszy od jej Abraszy. Miał dwadzieścia sześć lat i był sparaliżowany. Paraliż nastąpił u niego w wyniku szoku w czasie egzekucji, którą cudem przeżył pod koniec wojny. Miały wówczas miejsce długie marsze więźniów obozowych z jednego obozu do drugiego. Nie mógł już dłużej tego znieść i usiadł w połowie takiego marszu, odmawiając wstania i dalszej drogi. Strażnicy spieszyli się i na dziko strzelali do tych, którzy zostawali w tyle. Amerykanie szybko się zbliżali. Znaleźli go rannego na drodze, pomiędzy setkami martwych ciał. Żył, ale był sparaliżowany. Paraliż na skutek szoku. Obecnie ma wielką nadzieję wygrzebać się z tego, dzięki wszystkim terapiom, jakie otrzymał. Nie spotkał nigdy w obozie Abraszy, z którym związana była Miriam, i ostatni raz widział go na wiele lat przed wybuchem wojny. Słyszał jednak o nim wiele wspaniałych rzeczy.

Musiał minąć dzień, zanim Miriam mogła zdobyć się na odpowiedź. Abrasza zwykł mówić, że jej dusza i jego ucztują wspólnie. I to nadal trwa: jej dusza ucztuje razem z jego – ona wznosi toast *„lechaim"* duchowymi łzami na smutek po wsze czasy.

*

Feldafing, 1 grudnia 1945

Abraszo Kantorowiczu!

Otrzymałam list napisany przez Pana pielęgniarkę – wstrząsający, szokujący, niepojęty list, w którym w końcu wyznaje mi Pan całą prawdę. Żywię przekonanie, że jest Pan chorobliwym, notorycznym kłamcą, ale to, co Pan pisze tym razem, nosi rzeczywiście znamiona prawdy. Nie jest Pan moim przyjacielem Abraszą. Nie mogę sobie jeszcze poradzić z tym faktem. Ale tak właśnie jest. Jest Pan może sparaliżowany w swoich członkach, ale Pana umysł i język z pewnością nie są kalekie. Język straszliwych manipulacji! Manipuluje Pan ludźmi, aby oni pisali kłamstwa Panu. Może Pan być dumny, że udało się Panu mydlić oczy nie tylko naiwnej ignorantce, ale także uczciwej szwedzkiej pielęgniarce, tak że zgodnie z Pana wolą musiała mnie okłamywać i nie liczył się Pan z jej uczuciami.

Tak, Pana wielkoduszna pielęgniarka przygotowała mnie. Ostatnio dawała mi przygrywkę do prawdy, ale małymi porcjami, niczym pigułki, i nie ustawała mnie prosić, abym nie przestała pisać do Pana. Naładowała swój list całą masą bombastycznych idiotyzmów, abym pojęła, jakie znaczenie mają moje listy dla Pana – samotnej, sparaliżowanej ofiary nazizmu. Teraz rozumiem, czemu Pan naciskał, abym opowiedziała całe moje życie ze szczegółami. Potrzebował pan tego, aby mnie efektywnie oszukiwać. Cieszę się, że Pana położenie poprawia się, że histeryczny paraliż, który ma związek z szokiem, jakiego Pan doznał, można całkowicie uleczyć i że miał Pan teraz siłę, aby skończyć ze swoimi kłamstwami. Gratuluję!

Jeśli Pan chce wiedzieć, od samego początku miałam poczucie, że coś nie jest w porządku z naszą korespondencją. Miałam napady wątpliwości i złych przeczuć. Bałam się gruntownie przebadać tę sprawę. Chwyciłam się tej odrobiny szczęścia, które myślałam, że mnie spotkało. Tak bardzo chciałam, żeby mój Abrasza był wśród żywych!

Jak mógł mi Pan zrobić taką rzecz – ocaleniec, mój pobratyniec w doświadczeniu obozu? Stroił sobie Pan ze mnie żarty. Igrał Pan z moimi uczuciami, z moimi nadziejami. Zabawiał się Pan moimi zwierzeniami, tym, że wylałam przed Panem moje intymne myśli, najświętsze uczucia. Jak mógł być Pan tak brutalny? Jestem pełna pogardy wobec Pana! Nienawidzę Pana! Jaką nadzieję można żywić wobec ludzkości, jeśli Pan, ocaleniec, brat w niedoli obozowej, w taki sposób traktuje byłą więźniarkę, można rzec: obozową siostrę?

Czy w ogóle istnieje coś świętego dla Pana? Mój Abrasza był Pana kuzynem, nosił to samo imię, co Pan. Ta sama krew płynie w Waszych żyłach. Jak mógł Pan tak zszargać Jego pamięć? Skąd w ogóle mógł Pan wiedzieć, że mój Abrasza nie żyje? Przecież pisze Pan w swoim liście, że nie był Pan w obozie Kaufering,

tylko w Gross-Rosen[543]*? Mogę przysiąc, że nawet nie zarumieniłby się Pan, gdybym odkryła Pana kłamstwa w czasie mojej wizyty u Pana w szpitalu w Birnau, gdybym przybyła tam trzy tygodnie wcześniej. Wydaje mi się, że nie pozostała w Panu nawet iskierka humanitaryzmu.*

Pielęgniarka dopiskiem do Pana listu zasłużyła sobie na medal. Prosi, abym Panu wybaczyła. Gra na moich uczuciach. Mówi, że Pan dopiero niedawno wyznał jej prawdę i że ta biedna duszyczka cierpiała z powodu kłamstw, które kazał jej Pan pisać. Twierdzi, że także Pan miał zgryzotę z tego powodu, wiedząc, że jest Pan mi winien prawdę, ale na odwagę, aby ją odkryć przede mną, zebrał się Pan dopiero teraz. Ona apeluje do mnie, że muszę mieć na względzie Pana sytuację i osamotnienie. Pisze, że moje listy dawały Panu wsparcie i pomagały w walce o życie, zarówno w wymiarze fizycznym, jak i psychicznym; że Pana stan psychiczny jest podstawą terapii, jaką Pan przechodzi oraz że forma histerycznego paraliżu nie była dotąd znana w historii medycyny. Rzeczywiście, jest Pan unikatem na każdym polu!

I do tego wszystkiego dodaje ona, że Pan mnie pokochał! (Jestem przekonana, że nie ma Pan najmniejszego pojęcia o tym, co znaczy kogoś kochać). Pisze też, że starał się Pan zapomnieć o tym, że moje listy nie są przeznaczone dla Pana. Twierdzi, że moje listy tak zbliżyły nas do siebie, że psychicznie i duchowo identyfikował się Pan z moim Abraszą i dlatego mógł Pan tak dobrze wpasować się w tę wyjątkową przyjaźń, jaka łączyła mnie z nim.

O jakże się ona myli! Mój Abrasza nigdy nie zachowałby się tak jak Pan. Mój przyjaciel Abrasza był za szlachetny, za uczciwy, za dobry, aby mógł się Pan z nim porównywać, choć jesteście krewniakami.

Pielęgniarka emocjonuje się też Pana odwagą, aktem woli, na który zdobył się Pan, wyznając mi wszystko i ryzykując utratę „jedynej światłości Pana dni". Błaga mnie, abym kontynuowała pisanie listów, jakby Pan był moim Abraszą. Ona chce, abym udawała! Nic dodać, nic ująć! Co za chucpa! A Panu, jako człowiekowi, też nie pozostała odrobina szacunku do siebie samego?

Tak jak powiedziałam na początku tego listu, zrywam z Panem znajomość. Porzucam Pana i nigdy nie wybaczę, że pogrążył mnie Pan w takiej ciemności.

Miriam Polin

P.S. To jest dopisek do Pana pielęgniarki:

Pani pacjent zrobił mi obrzydliwy żart. Nikt nie powinien mówić kłamstw o takich sprawach. Nikt nie ma do tego prawa. A on mnie oszukiwał przez tyle miesięcy!

---

[543] Obóz Gross-Rosen był filią KL Sachsenhausen i znajdował się na Dolnym Śląsku, Kaufering należał do sieci podobozów Dachau i mieścił się w Bawarii. Dzieliła je odległość ok. 700 km.

Pani twierdzi, że moje listy podtrzymują go przy życiu. Niech go teraz prawda podtrzymuje przy życiu.

Pisze Pani, że jest on inteligentnym, wykształconym młodym człowiekiem. To nie dodaje mu uroku w moich oczach. To jeszcze mniej uprawnia go do takiego postępowania, jakiego się dopuścił. Mógł od razu na początku mi napisać, że jest krewnym mojego Abraszy. Może pozyskałby we mnie przyjaciela. Ale nie uczynił tego. Dlatego porzucam go i proszę, aby Pani nie pisała do mnie więcej.

*

W Miriam coś pękło, coś fundamentalnego. Ale przez to coś innego scementowało się w niej. Poczuła się silna w całkiem nowy sposób. Wydawało jej się, że nic nie może już jej zaskoczyć, nic zaszokować i wstrząsnąć. W końcu była gotowa przyjąć nowe życie bez iluzji i nie czuć strachu przed nim.

Nadeszły pozdrowienia od przyjaciół, którym udało się przedostać do Belgii. Zbliżał się początek pierwszego semestru na uniwersytecie w Marburgu i Marek miotał się pod ciężarem niezdecydowania. Kto wie, jak długo zajmie, zanim przyjmą go na uniwersytet za granicą. Nie miał żadnych dokumentów, żadnego poświadczenia, które pokazywałoby rezultaty jego wcześniejszych studiów. Prosił Miriam, a Balcia i Malka wspierały go w tym, jak się Miriam wydawało, niezbyt chętnie – aby została z nimi. Po cóż ma teraz wyruszać w drogę? Wyjazd do Szwecji był już nieaktualny. Ale Miriam strasznie się zmieniła, od kiedy otrzymała list od fałszywego Abraszy. Marek nie mógł sobie poradzić z tą twardością, w jaką się uzbroiła. Przerażała go.

– Zostałabym z tobą – mówiła do niego Miriam – gdybym zdecydowała się z tobą wziąć ślub. Nie podjęłam takiej decyzji. Nie mam pojęcia, co począć ze sobą. Ty wiesz jasno, czego chcesz. Musisz zostać. To jest ważne, abyś robił to, co chcesz robić, a ja, żebym robiła to, co ja chcę robić. A jedyne, co chcę teraz uczynić, to opuścić niemieckie terytorium. To wszystko, co mogę ci powiedzieć.

– Ale w jaki sposób odnajdziemy się? Co będziesz robić w Belgii?

– Nie mam zielonego pojęcia. Ale wiem, że pierwsza rzecz, jaką uczynię w Belgii, to zobaczenie morza.

I tak znowu nadszedł moment rozdzielenia się. Zerwanie nici powiązań, które splotły się nie na skutek jakichś sił zewnętrznych, ale które powstały z własnego wyboru.

Malka i Marek wyjechali do Marburga, nie spóźniając się na początek semestru. Pożegnanie przebiegło szybko. Trzymano uczucia w ryzach. Miriam przypomniała sobie ostatnie słowa, jakie Marek powiedział do niej przy pożegnaniu na rampie w Auschwitz: „Pamiętaj, że cię kocham". Tym razem nie rzekł tego, tak było lepiej.

Balcia została, aby czekać na swoich dwóch synów, którzy lada dzień mieli przybyć z Polski. Miriam czekała, aby uformowała się nowa grupa do przeszmuglowania przez granicę z Belgią.

– Tym razem wszystko jest inaczej. – Balcia pocieszała zarówno Miriam, jak i siebie przy pożegnaniu. – Świat stoi otworem, a jak długo się żyje, jest nadzieja. Nie martw się, drogie dziecko, spotkamy się znowu. – Obejmując Miriam, rozpłakała się.

Miriam dołączyła do grupy, która wraz ze szmuglerem ruszyła do belgijskiej granicy. Dobrze ukryty na dnie jej kieszeni leżał skrawek papieru z adresem doktora Vanderhaeghe w Ostendzie. Tak bardzo chciała zobaczyć morze.

*

Liège, Belgia, 31 grudnia 1945

Drogi Abraszo!

Jesteś zaskoczony, trzymając ten liścik ode mnie? Sama jestem zaskoczona, pisząc go. Chciałam Cię tylko powiadomić, że tak się przyzwyczaiłam do pisania do Ciebie, że nie wyleczyłam się z tego. Oddałam Tobie duszę w moich listach i słyszę, jak ona wzywa mnie... ze Szwecji.

Piszę ten list z więzienia. Mój pobyt tutaj jest też rodzajem paraliżu i może dlatego moje serce zmiękło wobec Ciebie. Okazuje się, że niewystarczająco dużo czasu spędziłam w więzieniach. Realnych więzieniach i więzieniach mojego „ja". To realne więzienie znajduje się w solidnym gmachu w mieście Liège[544]*, w wolnym świecie. To więzienie jest przynajmniej do zniesienia. Pozwalają nam pisać listy. Mam też ze sobą cały mój bagaż. Mój bagaż: dotyk głaskającej mnie mamy, uśmiech mojego taty, głos mojej siostry, sny mojego brata, urok mojego dawnego Abraszy, razem z całą przestrzenią mojego utraconego świata, w którym kręcę się wolna niczym ptak.*

Moją grupę złapano na belgijskiej granicy[545]*. Było nas dziesięć osób, nie wliczając szmuglera. To on dosłownie oddał nas w ręce policji granicznej. To znaczy, kiedy po nocnej wędrówce przybyliśmy do pierwszej chatki, powiedział nam, że jesteśmy już na terytorium Belgii, a chatka należy do belgijskich chłopów, którzy czekają na nas i przeprowadzą nas do Brukseli. Szmugler wziął od nas pieniądze i zniknął. A my, szczęśliwi, ruszyliśmy do chatki, spodziewając*

[544] Liège – miasto we wschodniej Belgii, w pobliżu granicy z Holandią i Niemcami.

[545] Tak samo jak powieściowa Miriam, Chava Rosenfarb wraz z mamą i siostrą przechodziła granicę niemiecko-belgijską w październiku 1945 r. i choć także ich grupę porzucił szmugler, to udało im się przedostać i dotrzeć do Brukseli na rue Goujon, gdzie czekali na nich towarzysze z Bundu. Następna grupa uchodźców została zatrzymana i skierowana do więzienia w Belgii.

się, że gospodarze przyjmą nas z otwartymi ramionami. Gdy przekroczyliśmy próg, zawołaliśmy jedyną frazę, jaką znaliśmy po francusku: „Vive la liberté!" – i rzuciliśmy się w ramiona belgijskiej policji granicznej.

Vive la liberté, Abraszo, mój przyjacielu!

KONIEC

Źródła przypisów

Teksty Chavy Rosenfarb
(chronologicznie wg roku wydania)

In the Land of the Postscript. The Complete Short Stories of Chava Rosenfarb, tł. z jid. na angielski Goldie Morgentaler, White Goat Press. The Yiddish Book Center, Amherst 2023;

Bociany. Opowieść o sztetlu, tł. z jidysz na polski: Joanna Lisek, Magdalena Ruta, Inka Sempin, Biblioteka Centrum Dialogu, Łódź 2021;

Między miasteczkiem i Łodzią. Opowieść o miłości, tł. z jidysz na polski: Joanna Lisek, Magdalena Ruta, Inka Stempin, Biblioteka Centrum Dialogu, Łódź 2020;

Confessions of Yiddish Writer and Other Essays, red. Goldie Morgentaler, Mc Gill-Queen's University Press, Montreal&Kingston | London | Chicago 2019, s. 79-98;

Drzewo życia. Lata 1942-1944, tom 3, tł. z jidysz na polski: Joanna Lisek, Magdalena Ruta, Marek Tuszewicki, Natalia Krynicka, Biblioteka Centrum Dialogu, Łódź 2017;

Dni... (fragmenty z dziennika), tł. z jidysz Joanna Lisek, na podstawie oryginału: *Geto un andere lider, ojch fragmentn fun a tog buch*, Montreal 1948, w: *Drzewo życia. Lata 1942-1944*, tom 3, Biblioteka Centrum Dialogu, Łódź 2017;

Drzewo życia. Lata 1940-1942, tom 2, tł. z jidysz na polski: Joanna Lisek, Magdalena Ruta, Marek Tuszewicki, Natalia Krynicka, Biblioteka Centrum Dialogu, Łódź 2016;

Drzewo życia. Rok 1939, tom 1, tł. z jidysz na polski: Joanna Lisek, Magdalena Ruta, Biblioteka Centrum Dialogu, Łódź 2015;

Survivors. Seven Short Stories, tł. z jid. na angielski Goldie Morgentaler, Cormorant Books, Toronto 2004;

Vanderungen iber interveynikste kontinentn (notitsn), „Di goldene keyt" 84/85, 1974 w przekładzie angielskim Goldie Morgentaler pt. *Ramblings through Inner Continents (Notes from a Life)*, w zbiorze *Confessions of Yiddish Writer*, op. cit., s. 71-98.

Inne źródła:

Antologia poezji żydowskiej, wyb. i oprac. Salomon Łastik i Arnold Słucki, Warszawa 1983;

Bono Wiener Remembered, Published on the Section Anniversary of Bono's Death, Montreal 1997;

Borzymińska Zofia, Żebrowski Rafał, *Polski słownik judaistyczny. Dzieje, kultura, religia, ludzie*, t. 1, Warszawa 2003;

Cała Alina, Węgrzynek Hanna, Zalewska Grażyna, *Historia i Kultura Żydów polskich. Słownik*, WSiP, Warszawa 2000;

Chochowski Marian, *Przeminęło w czasie*, Wydawnictwo Biblioteki Publicznej Miasta i Gminy Końskie, Arslibris, Końskie 2019;

Czyż Piotr A., *Wspomnienia Henryki Tajchert z Włodawy – więźniarki Zamku Lubelskiego, Ravensbrück i Bergen-Belsen*, „Radzyński Rocznik Humanistyczny" 2013, t. 11;

Davies Norman, *Europa walczy 1939-1945. Nie takie proste zwycięstwo*, Znak 2008;

Elior Rachel, *Mistyczne źródła chasydyzmu*, Austeria, Kraków-Budapeszt 2009;

Friedrich Jorg, *Pożoga. Bombardowania Niemiec w latach 1940-1945*, MDI Books, 2011;

Gardocki Wiktor, *Wyzwolenie obozu koncentracyjnego Bergen-Belsen (1945). Relacje świadków*, [w:] „Sztuka Edycji. Studia Tekstologiczne i Edytorskie", T. 20, nr 2, s. 41–49;

Kronika getta łódzkiego / Litzmannstadt Getto, 1941–1944, t. 1-5, red. J. Baranowski i in., Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2009;

Krupa Bartłomiej, *Obóz dla dipisów – literackie zapisy doświadczenia życia „pomiędzy". Zaproszenie do tematu*, „Acta Universitatis Lodziensis. Folia Litteraria Polonica", t. 42 (2017), nr 4 (10), s. 141–156;

Lavsky Hagit, *New Beginnings. Holocaust Survivors in Bergen-Belsen and the British Zone in Germany 1945–1950*, Detroit 2002;

Lembeck Andreas, Klaus Wessels, *Wyzwoleni, ale nie wolni. Polskie miasto w okupowanych Niemczech*, Świat Książki 2007;

Lowe Keith, *Dziki kontynent. Europa po II wojnie światowej*, Rebis, Poznań 2013;
Końskie. Zarys dziejów, red. M. Wikiera, Końskie 1998;
Nowy leksykon judaistyczny, red. J.H. Schoeps, Warszawa 2007;
Ostrowska Joanna, *Przemilczane. Seksualna praca przymusowa w czasie II wojny światowej*, Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2018;
Ostrowska Joanna, *„Panienki", „szwungi", „fajfusy", „laleczki". O przemocy seksualnej wobec mężczyzn w obozach koncentracyjnych*, „Teksty Drugie" 2020, nr 3, s. 76–94;
Person Katarzyna, *Dipisi. Żydzi polscy w amerykańskiej i brytyjskiej strefach okupacyjnych Niemiec, 1945–1948*, Warszawa 2019;
Polonsky Antony, *Dzieje Żydów w Polsce i Rosji*, tł. M. Wilk, Warszawa 2014;
Rozier Gilles, *Mojżesz Broderson. Od Jung Idysz do Araratu*, Łódź 1999;
Reinhartz Henia, *Bits and Pieces*, Toronto 2008;
Sitarek Adam, *„Nie myśl, że to pisze obłąkany". Listy rabina z Grabowa i jego misja informowania o Zagładzie*, „Zagłada Żydów. Studia i Materiały", 2019 (15), s. 492-513;
Sitarek Adam, O*toczone drutem państwo. Struktura i funkcjonowanie administracji żydowskiej getta łódzkiego*, Łódz 2015;
Strzelecki Andrzej, *Deportacja Żydów z getta łódzkiego do KL Auschwitz i ich zagłada*, Oświęcim 2004;
Trębacz Michał, *Izrael Lichtenstein. Biografa żydowskiego socjalisty*, IPN, Łódź 2016;
Wróbel Janusz, *Przemiany ludnościowe spowodowane polityką okupanta w tzw. rejencji łódzkiej w latach 1939–1945*, Warszawa 1987;
Walicki Jacek, *Żydzi łódzcy przed wrześniem 1939 r.,* [w:] *Łódź w 1939 roku*, red. T. Toborek, P. Waingertner, Łódź 2011 .

Źródła elektroniczne:

http://www.bergenbelsen.co.uk
https://repozytorium.uwb.edu.pl/jspui/bitstream/11320/14968/1/W_Gardocki_Wyzwolenie_obozu_koncentracyjnego_Bergen_Belsen.pdf
https://encyclopedia.ushmm.org/content/en/article/bergen-belsen-displaced-persons-camp
https://www.theguardian.com/lifeandstyle/2015/nov/14/my-mothers-very-special-relationship
http://www.jhi.pl/psj/
http://zydzi.autobiografia.uni.wroc.pl/slownik-terminow/
http://www.schorr.pl/index.php/pl/judaizm/slownik-pojec-judaistycznych
https://www.theguardian.com/lifeandstyle/2015/nov/14/my-mothers-very-special-relationship

https://histmag.org/Gdzie-Pilsudski-wysiadl-z-tramwaju-czyli-historie-poprzekrecane-14909
https://sztetl.org.pl/pl/slownik
https://konskie.org.pl/2019/06/29/spalenie-synagogi-konskie-11-wrzesnia-1939/
https://konskie.org.pl/category/konecki-slownik-biograficzny/

„Pustka wydrenowana z myśli, z marzeń, z tęsknot, a nawet z bólu”[1] – o ostatniej powieści Chavy Rosenfarb

Do rąk polskiego czytelnika trafia kolejny, szósty już, tom prozy Chavy Rosenfarb. Jest to pierwszy na świecie przekład z języka jidysz dzieła *Briw cum Abraszn*[2], które ukazało się w 1992 roku i pozostało ostatnią napisaną przez tę autorkę powieścią. Fakt, że w przeciwieństwie do wcześniejszych części rozległej sagi, opowiadającej o dziejach i zagładzie społeczności żydowskiej Łodzi, ten tom nie został przełożony na język angielski[3], jest zaskakujący, ponieważ to właśnie tutaj znajdujemy zwieńczenie, uzupełnienie i podsumowanie rozwijanych wcześniej wątków. Jest to późna powieść, gdyż w momencie jej wydania pisarka miała prawie 70 lat. Jednak Chava Rosenfarb nie traci w niej nic z cech charakteryzujących jej pisarstwo: ostrości spojrzenia, wrażliwości na istotne, aktualne, ale też uniwersalne tematy, a także tego, co możemy określić „feministycznym pazurem”[4]. Niektóre fragmenty mogłyby zostać napisane przez współczesną autorkę, ponieważ są tak odważne i zaskakująco świeże. A opisy doświadczeń z międzywojennego dzieciństwa w Łodzi, getta czy obozów wnoszą nowe tematy i wątki, rzadko podejmowane przez literaturę piękną.

---

1 Chava Rosenfarb, *Listy do Abraszy*, tłum. Joanna Degler (Lisek), Magdalena Ruta, Inka Stempin, Marek Tuszewicki, Anna Ciałowicz, Łódź 2023, s. 641.

2 Chava Rosenfarb, *Briw cum Abraszn*, I.L. Peretz Publishing House, Tel Aviv 1992.

3 Od kilku lat nad przygotowaniem angielskiego przekładu pracuje prof. Goldie Morgentaler – córka Chavy Rosenfarb i tłumaczka lub współtłumaczka wszystkich powieści matki.

4 Zob. Chava Rosenfarb, *Feminism and Yiddish Literature. A Personal Approach*, w: *Gender and Text in Modern Hebrew and Yiddish Literature*, red. Naomi B. Sokoloff, Anne Lapidus Lerner, Anita Norich, JTS Press, Cambridge, Massachusetts, London 1992, s. 217–226.

Podobnie jak w poprzednich powieściach i tutaj Chava Rosenfarb eksperymentuje z formami narracji, wprowadzając różne punkty oglądu świata przedstawionego. Elementem scalającym całość jest – zapowiedziana w tytule – forma epistolarna. Obok niej pojawia się też jednak klasyczna narracja trzecioosobowa. Forma listów często się rozmywa, przechodząc nieraz płynnie w formę pierwszoosobowej narracji wspomnieniowej, chwilami pozostającej na granicy snu, a może bardziej majaku i jawy. Bardzo ciekawym zabiegiem jest również wprowadzenie narracji prezentującej dziecięcy ogląd świata. Naiwność i wrażliwość tej perspektywy obnaża słabości i pęknięcia świata dorosłych.

Autorką powieściowych listów do Abraszy jest Miriam Polin – dwudziestojednoletnia dziewczyna urodzona przed drugą wojną światową w Łodzi jako córka, znanych z powieści *Bociany. Opowieść o sztetlu*, Binele i Jankewa. I choć nie możemy traktować rzeczywistości tekstowej jako wiernego odbicia autobiografii Rosenfarb, to jednak wiele tropów zdaje się sugerować, że Miriam jest syntezą alter ego autorki oraz jej młodszej, urodzonej w 1926 roku, siostry Heni, której zresztą powieść jest dedykowana. Abrasza – adresat listów – to, również znany z powieści *Bociany. Opowieść o sztetlu*[5], przyjaciel ojca Miriam z dzieciństwa, artysta, przed wojną jej nauczyciel rysunków i jej pierwsza miłość. Relacja łącząca bohaterkę z Abraszą, jak często u Rosenfarb, nie jest oczywista. Podobnie jak w poprzednich tomach, związki między kobietą a mężczyzną są ukazane jako splot wielu, często sprzecznych ze sobą, emocji, a Miriam, podobnie jak Rachela z *Drzewa życia*[6] i Binele z *Między miasteczkiem i Łodzią. Opowieść o miłości*[7], jest uwikłana uczuciowo w relacje z dwoma partnerami. Ostatecznie jednak adresat listów okazuje się nie tym, kim miał być (nie chcąc spojlerować czytelnikowi lektury, nie będziemy wchodzić w szczegóły kluczowego dla odczytania całości zakończenia utworu).

Pierwszy list, otwierający książkę, jest datowany na 29 kwietnia 1945 roku, ostatni – zamykający ją – na 31 grudnia 1945 roku. Akcja utworu obejmuje jednak znacznie szerszy przedział czasowy niż wynikające z tych dat dziewięć miesięcy. Retrospektywnie sięga 3 maja 1922 roku, gdy w związku ze świętem narodowym Polska celebruje swoją świeżo odzyskaną niepodległość, a Łodzią wstrząsają ekscesy antyżydowskie. W tym czasie rodzice Miriam, przybyli z Bocianów Binele i Jankew, planują ślub. W obrębie ukazanych 23 lat czytelnik otrzymuje zatem całą panoramę różnych wariantów żydowskiego losu, historii i przestrzeni. Pojawia

---

5 Zob. Chava Rosenfarb, *Bociany. Opowieść o sztetlu*, Łódź 2021.

6 Zob. Chava Rosenfarb, *Drzewo życia. Tom pierwszy: rok 1939*, Łódź 2015; eadem, *Drzewo życia. Tom drugi: lata 1940–1942*, Łódź 2016; eadem, *Drzewo życia. Tom trzeci: lata 1942–1944*, Łódź 2017.

7 Zob. Chava Rosenfarb, *Między miasteczkiem i Łodzią. Opowieść o miłości*, Łódź 2020.

się więc i tradycyjny sztetl, i fabryczna Łódź z głównym akcentem położonym na Bałuty widziane przede wszystkim z perspektywy bundowskiego[8] środowiska lewicowego, lecz także świat bałuckiego przedszkola i szkoły Medema, przestrzenie kawiarni i restauracji żydowskich z artystyczną bohemą (choć – należy podkreślić – autorka nieustannie twórczo miesza fakty z fikcją, łączy biografie bohaterów prawdziwych i wymyślonych, podaje autentyczne adresy i miejsca tuż obok zmyślonych). Obserwujemy chaos po wybuchu wojny, paniczną ucieczkę na wschód, dramatyczny powrót na parę godzin do Bocianów i potem do Łodzi, mamy migawki z getta, których autorka jednak nie rozwija, uznając zapewne, że w trylogii *Drzewo życia* zaprezentowała najpełniejszy obraz rzeczywistości gettowej. O ile jednak *Drzewo życia* urywa się na momencie przybycia bohaterów powieści do Auschwitz, o tyle w *Listach do Abraszy* znajdziemy kontynuację horroru Zagłady. W nich bowiem znajduje się opis realiów obozowych trzech miejsc: Auschwitz, Hummel (powieściowy odpowiednik Sasel) oraz Bergen-Belsen, gdzie rozpoczyna się powieść, a potem pierwszych miesięcy życia w obozie dla dipisów[9]. Podobnie jak w przypadku *Drzewa życia*, o wyjątkowej pozycji *Listów do Abraszy* decyduje perspektywa świadka i uczestnika opisywanych wydarzeń, które, choć poddane fikcjonalnej „obróbce", niosą w sobie wiarygodność autorki, która przeżyła getto, deportację do Auschwitz, a stamtąd do Sasel i Bergen-Belsen.

Niniejsza powieść, reprezentując literaturę Zagłady, wpisuje się też w nurt tzw. literatury obozowej, dobrze znanej polskiemu czytelnikowi i stanowiącej część polskiego kanonu lektur obowiązkowych (do której zalicza się m.in. *Medaliony* Nałkowskiej i *Opowiadania* Borowskiego)[10]. A jednak książka Rosenfarb prezentuje się wyjątkowo na tym tle. Po pierwsze, w kanonicznych dziełach polskiej literatury obozowej Żydzi pojawiają się, ale narracja nie jest prowadzona z perspektywy żydowskiej przez żydowskiego autora/autorkę. Sytuacja, w której otrzymujemy opis m.in. Auschwitz przedstawiany z perspektywy kobiety-Żydówki, która ten obóz przeżyła, jest wyjątkowa (po prostu nie było wiele takich przypadków kobiet-Żydówek-ocaleńczyń obozowych-pisarek). To także niezwykła opowieść dopełniająca historię łódzkich Żydów. Na każdym etapie bohaterka

---

8 Bund (jid. *Algemejner Jidiszer Arbeter Bund in Lite, Pojln un Rusland*, pol. Powszechny Żydowski Związek Robotniczy na Litwie, w Polsce i Rosji) – żydowska partia lewicowa, antysyjonistyczna, działająca w latach 1897–1948.

9 Dipisi (ang. *displaced persons*) – osoby uwolnione z obozów koncentracyjnych lub wywiezione na roboty przymusowe, które po wyzwoleniu znajdowały się poza swoim krajem i zostały umieszczone w specjalnych obozach.

10 Zob. Lidia Burska, *Obozowa literatura*, w: *Słownik literatury polskiej XX wieku*, red. Alina Brodzka, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1992, s. 740–746; Arkadiusz Morawiec, *Literatura obozowa. Wstęp*, „Acta Universitatis Lodziensis. Folia Litteraria Polonica" 2017, t. 42, nr 4: *Lagier, łagier, obóz – zapis. Obszary*, s. 5– 22.

styka się z bohaterami pochodzącymi z Łodzi, postaciami, które dopowiadają pewne fragmenty losu łodzian w Auschwitz, Bergen-Belsen czy w powojennych obozach dipisów. Po drugie, obrana przez autorkę strategia przedstawiania rzeczywistości obozowej nie mieści się w najbardziej znanym polskiemu czytelnikowi nurcie literatury charakteryzującym się rezygnacją z literackości i poetyzacji na rzecz stylu beznamiętnej faktografii, oszczędności ekspresji, prostoty. Podobnie w literaturze Holokaustu pojawia się tendencja do odrzucenia atrybutów tradycyjnie rozumianej literackości i artyzmu: „Imperatywowi świadczenia o Zagładzie towarzyszy przekonanie, iż dotychczasowe formy literackiego wyrazu nie są w stanie unieść podejmowanej problematyki, że nieodwołalny i przerażający w swej gwałtowności rozpad istniejącego ładu doprowadził do upadku wszelkich tradycyjnych pojęć i kryteriów, w tym także dotąd funkcjonujących sposobów literackiego opisu rzeczywistości. Często równocześnie pojawia się ogólniejsze zastanowienie nad samą prawomocnością literackiego ujmowania tematu Zagłady, głos wskazujący na moralną dwuznaczność poddawania go literackim i artystycznym przetwarzaniom”[11].

A Chava Rosenfarb, z całym bagażem swojego doświadczenia, wybiera jednak literackość. Nie od razu jednak: kiedy kończy trylogię *Drzewo życia*, stając wobec doświadczenia Auschwitz, milknie. Ostatni rozdział trzeciego tomu tej powieści zawiera tylko trzy zdania: „Auschwitz. Słowa są nagie, pozbawione jakiegokolwiek znaczenia, jakiegokolwiek sensu. Litery odeszły z dymem unoszącym się z kominów krematoriów…”[12]. *Drzewo życia* wydane zostało w 1972 roku. Wkrótce pisarka zaczęła publikować pojedyncze eseje i opowiadania o ocalałych z Holokaustu i ich doświadczeniach[13]. Dopiero 20 lat później autorka zdecydowała się w *Listach do Abraszy* dodać to, przed czym wzbraniało się jej pióro. Nadal jednak nie wierzyła w obiektywność opisów rzeczywistości obozowej. „Nabieram coraz większego przekonania, że obiektywne opisy tych oto miejsc nie mają sensu. Chociaż obrabowano nas z naszej indywidualności, każdy z nas widział tę samą gehennę swoimi oczami; każdy jeden rozgorączkowany umysł stworzył własną realność czy iluzję realności. Jaka jest prawda? Prawdą jest to, co każdy z nas uznaje za prawdę – i żadna inna prawda nie istnieje”[14] – pisze w swojej ostatniej

---

11 Dorota Krawczyńska, Grzegorz Wołowiec, Fazy i sposoby pisania o Zagładzie w literaturze polskiej, w: Literatura polska wobec Zagłady, red. Alina Brodzka-Wald, Dorota Krawczyńska, Jacek Leociak, Żydowski Instytut Historyczny, Warszawa 2000, s. 16.

12 Chava Rosenfarb, *Drzewo życia*. Tom trzeci…, s. 559.

13 Ukazywały się w latach 80. i 90. XX wieku w języku jidysz w dzienniku „Di Goldene Keit”, a po angielsku wyszły w przekładzie Goldie Morgentaler w dwóch zbiorach: *Survivors. Seven Short Stories, Cormorant Books*, Toronto 2004 oraz *In the Land of the Postscript. The Complete Short Stories of Chava Rosenfarb*, White Goat Press. The Yiddish Book Center, Amherst 2023.

14 Chava Rosenfarb, *Listy do Abraszy*, s. 641.

powieści. Jej poszukiwanie formy dla oddania własnej realności obozowej nie cofa się przed stosowaniem metafor, porównań, tworzeniem poetyckich obrazów. Chava Rosenfarb była przecież poetką[15], więc tworzy w *Listach do Abraszy* syntezę realizmu, naturalizmu i poetyckości. Pisze na przykład: „Niebo przyfastrygowane do ziemi delikatną pajęczyną drutu kolczastego" albo: „Gryzący wiatr zrywa się, unosząc z ziemi kurz. Z dziką zawziętością hula nad polami. Fałdy drobnego piasku otwierają się niczym wachlarze, gdy on wiruje w szaleńczej rozpuście. Skacze na druty, a potem opuszcza się na ziemię, gdzie my siedzimy. Wyprawia wężowy taniec brzucha. Unosi tumany piachu i kręci nimi jak drejdlami wokół nas. Pokrywa nasze głowy i plecy ziarenkami piachu i kurzem"[16]. Rosenfarb nie eliminuje z przestrzeni obozowej elementów świata natury: słońca, wiatru, chmur itp. Wszystkie one wydają się jednak przeniknięte agresją i wszechogarniającą śmiercią, zbrukane grozą tych miejsc, które same w sobie przeczą naturze. Słońce jest brzydkie[17], niebo – morzem krwi[18], a chmury – całunem okrywającym zwłoki[19]. To apokaliptyczny krajobraz, martwy, ale jednocześnie przeniknięty banalnością, mdły, jałowy, będący projekcją stanu wewnętrznej pustki narratorki: „To, co ja widzę, jest pustynią, słyszę wycie hien w drgawkach przedśmiertnych. Żebra porozrzucanych szkieletów. Ciała jak węże, gady czołgające się po skamieniałych zwłokach planety. To, co ja widzę, jest końcem, który ciągle nabrzmiewa, wielokrotnieje i rozpada się w pylastą nicość. Pustka wydrenowana z myśli, z marzeń, z tęsknot, a nawet z bólu. Banalna powierzchowność kataklizmu i dnia powszedniego. Fatalna tajemnica zmierzchu świata – obnażony koniec. Mdłości. Nuda"[20]. Na tym etapie człowiek pozostaje zredukowany do fizjologii: „Ludzkość znajduje się poza szczeblem myśli i uczucia, zredukowana do organizmów cierpiących na biegunkę"[21]. Charakterystyczne dla prozy zagładowej Rosenfarb jest niewdawanie się w konteksty teologiczne, w rozprawianie się z Bogiem, charakterystyczne dla takich kanonicznych autorów, jak Elie Wiesel czy Icchak Kacenelson. U niej te kwestie odgrywają całkowicie marginalną rolę. Na ponad 800 stron tekstu znajdziemy tylko jedno zdanie stawiające krótką diagnozę: „Bardziej gorzka niż sama śmierć była nasza droga przez ciemność, droga, którą

---

15 Pierwszy powojenny tom wierszy pt. *Di balade fun nechtikn wald* (*Ballada z niegdysiejszego lasu*) ukazał się w Londynie już w 1947 roku.

16 Chava Rosenfarb, *Listy do Abraszy*, s. 653.

17 Ibidem, s. 653.

18 Ibidem, s. 653.

19 Ibidem, s. 653.

20 Ibidem, s. 641.

21 Ibidem, s. 709.

Bóg i wszystkie ludzkie ideały kroczyły razem z nami na zagładę"[22]. Ale i w tym przypadku są to słowa przytoczone z publicznego przemówienia powojennego, które budzą w narratorce odrazę z powodu ich patosu i bombastyczności. Kategoria Boga jest w zasadzie nieobecna w *Listach do Abraszy*, a jeśli nawet się pojawia, to jako ideał, który wpływa na postępowanie ludzi. Zagłada, koszmar obozów nie są dla Rosenfarb pretekstem do rozrachunków z Bogiem, choć mają kolosalne znaczenie filozoficzne w kontekście prawdy o naturze człowieka. Takie miejsca, jak Auschwitz, Bergen-Belsen obnażają najciemniejszą stronę człowieka zarówno po stronie oprawców, jak i ofiar. Jednak Rosenfarb w *Listach do Abraszy* daje również wyraz swemu rozczarowaniu stosunkami międzyludzkimi po zakończeniu wojny. Jej zdaniem świat się niczego nie nauczył i wraca na swoje dawne tory. Nie chce on słuchać głosu ocalałych, nie są oni istotni w nowych grach politycznych, co więcej – wydają się przeszkadzać w powrocie do dawnych dyskursów[23]: „Lecz burza przeszła, niebo jest jasne. Na ruinach powstaje nowe życie. Odbudowuje się miasta. Ulice pulsują życiem. Do wsi powraca idylla, a politycy wracają do swojej gry. Tak, wyprawia się bankiety z okazji zakończenia wojny, organizuje się ceremonie dla uczczenia pamięci tych, co nie powrócili, wygłasza się emocjonalne przemowy, śpiewa się hymny narodowe. Lecz nas, ocalałych, nie widać, nie słychać. Nie chcą nas widzieć i słyszeć. Stoimy światu w poprzek drogi. Stanowimy żywe zaprzeczenie starych wyświechtanych kłamstw. Gdybyśmy zginęli, zaintonowano by pieśń żałobną także nam i również ku naszej pamięci wznoszono by pomniki. Stalibyśmy się ważkim argumentem w politycznej grze…"[24]. Rosenfarb poprzez postawę narratorki dystansuje się nawet wobec wzmożonych nastrojów syjonistycznych. Widzi w nich kolejny przejaw nacjonalizmu, a nacjonalizm jako postawa został dla niej całkowicie skompromitowany poprzez nazizm: „Podziwiam witalność ocalałych. Życzę sobie, żeby Żydom dany został własny kąt, gdzie będą mogli żyć po swojemu. Lecz z całego serca nienawidzę hurra-nacjonalizmu, szowinizmu, nietolerancji i ciemniactwa. Tego rodzaju nacjonalizm jest mi z gruntu obcy. Szowinistyczne samouwielbienie narodowe doszło do punktu kulminacyjnego w postaci nazizmu (chociaż Żydzi nigdy nie mogliby postępować jak naziści). Nie chcę uczestniczyć w takiej miłości do własnego narodu. Czuję się, jakbym wpadła w pułapkę. Czuję się wyjałowiona. Ledwo obudzi się we mnie nadzieja – zaraz usycha"[25].

Tu dochodzimy do kolejnego bardzo ważnego aspektu powieści *Listy do Abraszy* – oprócz obrazu przedwojennej Łodzi oraz rzeczywistości kilku obozów

---

22 Ibidem, s. 758.

23 Rozczarowanie powojenną rzeczywistością odnajdujemy także w wielu opowiadaniach pisarki, w których oddaje głos ocalałym, zob. Chava Rosenfarb, *In the Land of the Postscript…*

24 Chava Rosenfarb, *Listy do Abraszy*, s. 758.

25 Ibidem, s. 769.

koncentracyjnych utwór ten zawiera bardzo wnikliwe przedstawienie sytuacji osób żyjących tuż po wojnie w obozach dla dipisów. Akcja realna, nie ta retrospektywna, odgrywa się właśnie w obozie dla byłych więźniów Bergen-Belsen. Pomimo że ostatnio ukazały się publikacje dotyczące tego przez wiele lat zaniedbanego tematu[26], wciąż jeszcze literackie obrazy życia – zgodnie z określeniem Bartłomieja Krupy – „pomiędzy": pomiędzy niewolą a życiem poza formami obozowymi, czekają na pełniejsze opracowanie. Niewątpliwie *Listy do Abraszy* Rosenfarb są ważnym głosem w obszarze tej tematyki, potwierdzającym diagnozę Krupy: „opisy pobytu w obozie dla dipisów ujawniają nie tylko, że kondycja «zarażonych śmiercią» była fatalna, lecz również to, że po przejściu obozu (Nowakowski i Borowski) lub Zagłady (Fink) nie było już powrotu do świata «sprzed». Nie istniał żaden rytuał odczyniający"[27]. Rosenfarb opisuje m.in. zmaganie się z tyfusem, rekonwalescencję, walkę ze zdegradowaniem cielesnym, wypaleniem emocjonalnym, gorączkowe poszukiwanie informacji o członkach rodzin i znajomych, konflikty, rozczarowanie faktem, że w obozie dla dipisów, po doświadczeniu Zagłady, wciąż możliwy jest antysemityzm. Przede wszystkim przedstawia jednak, jak bolesny był powrót do świata z bagażem doświadczeń gettowych i obozowych, jak ogromne było poczucie straty, wyjałowienia wewnętrznego i niedowierzania, że życie toczy się dalej. „Domagamy się, żeby nasza ofiara nie była daremna. Domagamy się lepszego jutra dla naszych dzieci na tej ziemi i nie przestaniemy pytać: *Jak... możecie wracać do starego jak gdyby nigdy nic?* Tak, na podstawie stosunku świata do nas możemy określić, jaki jest jego stan..." – woła narratorka, choć sama nie wierzy w skuteczność tego żądania. Dziewięć miesięcy spędzone w obozie dla dipisów jest dla bohaterki *Listów do Abraszy* czasem, kiedy ostatecznie oddziela się wewnętrznie od swojego dawnego życia, dawnego „ja" i decyduje się wkroczyć w nowy etap. Jest to proces bolesny: „W Miriam coś pękło, coś fundamentalnego. Ale przez to coś innego scementowało się w niej. Poczuła się silna w całkiem nowy sposób. Wydawało jej się, że nic nie może już jej zaskoczyć, nic zaszokować i wstrząsnąć. W końcu była gotowa przyjąć to nowe życie bez iluzji i nie czuć strachu przed tym"[28].

Jak bardzo obraz sytuacji byłych więźniarek Belgen-Belsen przedstawiony w *Listach do Abraszy* koresponduje z autobiograficznymi przeżyciami autorki, można przekonać się sięgając do pisanego przez nią w Bergen-Belsen DP (*Displaced Persons Camp*) na bieżąco dziennika (od 6 maja do 1 września 1945 roku),

---

[26] Zob. Katarzyna Person, *Dipisi. Żydzi polscy w amerykańskiej i brytyjskiej strefach okupacyjnych Niemiec, 1945–1948*, Warszawa 2019; Bartłomiej Krupa, *Obóz dla dipisów – literackie zapisy doświadczenia życia „pomiędzy". Zaproszenie do tematu*, „Acta Universitatis Lodziensis. Folia Litteraria Polonica" 2017, t. 42, nr 4: *Lagier, łagier, obóz – zapis. Obszary*, s. 141–156.

[27] Bartłomiej Krupa, *Obóz dla dipisów...*, s. 154.

[28] Chava Rosenfarb, *Listy do Abraszy*, s. 779.

którego tłumaczenie na język polski opublikowane zostało w trzecim tomie *Drzewa życia*[29]. Jednocześnie w ostatniej powieści wyraźnie słychać głos ocalałych z Holokaustu z lat 90. XX stulecia, pełen ich rozgoryczenia światem, który nie wyciąga lekcji z ich historii i blisko pięć dekad po wojnie powtarza te same błędy. Wciąż trwają wojny, a ludzie się zabijają.

***

Mówiąc o znaczeniu prozy Rosenfarb w obszarze literatury jidysz, nie można pominąć faktu, że w niej sposób ukazywania świata jest dogłębnie, w świadomie wyrazisty sposób przeniknięty kobiecym doświadczeniem i kobiecą perspektywą oglądu rzeczywistości. Przejawia się to m.in. w doświadczanej przez bohaterkę *Listów do Abraszy* przemocy seksualnej, dobrze znanej także z innych powieści Rosenfarb. W *Między miasteczkiem i Łodzią. Opowieść o miłości* pojawia się jeden z najbardziej drastycznych opisów gwałtu w literaturze jidysz, a w *Listach do Abraszy* znajdziemy wstrząsającą scenę wykorzystania seksualnego głównej bohaterki – Miriam – w dzieciństwie przez sąsiada, który zwabia ją do swojego domu obietnicą możliwości posłuchania radia. Dramatyzm opisu, nieszczędzącego naturalistycznych szczegółów, potęguje narracja dziecka – małej dziewczynki, z perspektywy której oglądamy całą scenę. Pan Kac regularnie zwabia dziewczynkę do siebie, a ta podejrzewa, że jest czarownikiem, który rzucił na nią zaklęcie, aby robiła, co on jej każe. Jednocześnie wie, że jest to tajemnica, której nie wolno jej nikomu zdradzić. „Pan Kac i ja kontynuujemy granie w naszą sekretną grę. Kiedy biegając po podwórzu z dziećmi sąsiadów dostrzegam pana Kaca, który przychodząc obok kiwa do mnie ręką, idę za nim jak zahipnotyzowana. Podwórze i wszystko wokół przestaje istnieć. Muszę za nim iść, jak gdybym słyszała z oddali jakiś głos, który wzywa mnie i rozkazuje mi rozchodząc się głośnym echem po całym moim ciele”[30]. Rosenfarb pokazuje złożoność relacji między agresorem i ofiarą, system uzależnień, poczucie współudziału i wynikającej z niego winy, a jednocześnie fascynację stabuizowanym światem cielesności.

Sfera seksualności jest ważnym czynnikiem kształtującym niczym podziemne, skryte źródło czyny bohaterów Rosenfarb. Pozostaje również istotnym elementem w sadystycznych „rytuałach” obozowych. Selekcja kobiet na te, które pójdą do komory i na te, które przeżyją, ukazana jest jako test na kobiecość i młodzieńczość. Rosenfarb drobiazgowo opisuje perwersyjność procedury maszerowania nagich kobiet wokół nienagannie ubranych esesmanów. W takich chwilach Eros i Tanatos wydają się niemal jednym: „Do gromady około pięćdziesięciu kobiet

[29] Zob. Chava Rosenfarb, *Dni… (fragmenty z dziennika)*, tłum. Joanna Lisek, w: eadem, *Drzewo życia. Tom trzeci…*, s. 577–588.

[30] Chava Rosenfarb, *Listy do Abraszy*, s. 355.

pada rozkaz, aby otoczyć te osobistości w oficerkach i zacząć maszerować wokół nich w kółko. Wygląda to jak arena cyrkowa. Tanatos i Eros połączeni w tańcu. Jesteśmy Żydówkami. Łączenie się z nami jest grzechem przeciw rasie. Nasze ciała mają zatem urok zakazanego owocu, który dojrzał do zbioru w ofierze dla orgii Tanatosa. [...] Staramy się wszystkie maszerować z gracją, jak nimfy, lekko kołysząc biodrami, wciągając nieistniejące brzuchy i wypinając pierś". Piersi Miriam przyciągają uwagę jednego z esesmanów: „Pełne piersi, których kształt odziedziczyłam po mamie, piersi, które kiedyś mogły mi stanąć na drodze do kariery tancerki baletowej, teraz stają się zagrożeniem, że zakończę taniec życia. Zdejmuje białą rękawiczkę z dłoni i uciska mi okolice sutka. *Jesteś w ciąży?* – pyta rzeczowo. Potrząsam głową i odpowiadam *Nie!*, moim normalnym głosem. Zostawia mnie i idzie do doktora Mengelego, który kieruje wzrok na mnie. Czy podziwiają też moje ciało? Tak, czuję jak ich spojrzenia pełzają po mnie i miażdżą mnie. W sobie jestem już martwa"[31]. Bezradność nagości, której istotnym elementem jest pozbawienie nie tylko ubrania, lecz także włosów staje się kluczowym czynnikiem degradującym i podporządkowującym w obozie. A jednak instynkt życia, póki się tli, każe chronić właśnie ciało, bo poza nim w obozie nie ma się nic więcej. „Każda obejmuje swoje własne uratowane ciało. To jest wszystko, co posiadamy"[32]. Ciało jako narzędzie społecznej opresji i indywidualnej przyjemności w twórczości Chavy Rosenfarb wciąż czeka na opracowanie.

David G. Roskies w fundamentalnej dla studiów żydowskich książce *The Literature of Destruction. Jewish Responses to Catastrophe* odnośnie udziału kobiet w literaturze żydowskiej, będącej odpowiedzią na katastrofę, pisze: „Literatura zniszczenia jest dziełem męskim. [...] Nawet w czasach nowożytnych, kiedy kobiety odgrywały coraz aktywniejszą rolę w żydowskim życiu politycznym, jako pisarki miały tendencję do trzymania się z daleka od tej tradycyjnie męskiej domeny. [...] Zatem pojawienie się tak późno w tej historii wyraźnego głosu kobiecego, takiego jak głos Racheli Auerbach[33], może sugerować, jak wiele straciła ta literatura z powodu niemożności pokonania bariery seksualnej"[34]. Twórczość Chavy Rosenfarb jest częścią literatury zniszczenia i w tej – uważanej przez Roskiesa – męskiej domenie nie traci nic z kobiecej perspektywy oglądu katastrofy.

---

31 Ibidem, s. 665.

32 Ibidem, s. 666.

33 Rachela Auerbach (1899–1976) – pisarka tworząca w jidysz, po polsku i hebrajsku, tłumaczka, krytyczka literacka, badaczka tematyki getta warszawskiego, zaliczana do czołowych twórczyń świadectw Zagłady. Była członkinią grupy Oneg Szabad i współpracowała przy tworzeniu podziemnego archiwum getta warszawskiego. Zob. Rachela Auerbach, *Pisma z getta warszawskiego*, oprac. Karolina Szymaniak, Żydowski Instytut Historyczny, Warszawa 2016.

34 *The Literature of Destruction. Jewish Responses to Catastrophe*, red. David G. Roskies, The Jewish Publication Society, Philadelphia, New York, Jerusalem 1988, s. 12.

Jej głos jest wyrazisty, znaczący i co ważne – zapisany w języku jidysz, w którym przez wieki rozbrzmiewało życie żydowskie w Polsce. Ten właśnie język wraz ze swoimi użytkownikami stał się ofiarą Zagłady. Proza Rosenfarb niewątpliwie zasługuje, aby w polskim obiegu wejść do kanonu literatury Zagłady, literatury obozowej, a także literackich zapisów życia dipisów.

Joanna Degler (Uniwersytet Wrocławski)
Joanna Podolska (Uniwersytet Łódzki)

Od redakcji

Powieść Chavy Rosenfarb to już szósta książka tej autorki wydana przez Centrum Dialogu im. Marka Edelmana w Łodzi. Wszystkie były tłumaczone z języka jidysz, w każdej z nich postaci i miejsca fikcyjne stworzone przez pisarkę mieszają się z postaciami i wydarzeniami historycznymi. *Listy do Abraszy* są szczególnie trudne, ponieważ w nich Chava Rosenfarb w znacznie większym stopniu czerpie i łączy fakty z życia z obrazami, które są dziełem jej wyobraźni. Bez trudu można wskazać pierwowzory niektórych postaci, ale pozostałe biografie i wydarzenia odbiegają od historycznych – autorka twórczo splata w nich różne wątki z własnego życia oraz z życia innych osób, a także literacko je przekształca. Z tych powodów w przypisach znajdują się tylko te informacje, które pomogą czytelnikom zrozumieć kontekst wydarzeń, natomiast nie zostały rozwinięte i poprawione niektóre sformułowania czy daty, które historycznie mogą wydawać się błędne lub wątpliwe. Wielu bohaterów *Listów do Abraszy* (często występujących pod innymi imionami) pojawiło się w poprzednich książkach Chavy Rosenfarb, które wydaliśmy. Wszystkich zainteresowanych odsyłamy do tych niezwykłych powieści, które są dostępne w wersji drukowanej i w formie e-booków (zob. www.centrumdialogu.com, a także *Źródła przypisów*).

Listy do Abraszy to kolejne ogromne przedsięwzięcie Centrum Dialogu, na które składa się ponad 800 stron tekstu przełożonego z języka jidysz. Książka nigdy dotąd nie była tłumaczona na inne języki. Nad przekładem polskim pracowało aż pięciu tłumaczy: Joanna Degler (Lisek), Magdalena Ruta, Inka Stempin, Marek Tuszewicki i Anna Ciałowicz. Trudu scalenia tekstu podjęła się Joanna Degler. Przypisy opracowała Joanna Podolska.

Powieść nie mogłaby się ukazać bez pracy i wsparcia wielu osób i instytucji. Słowa szczególnej wdzięczności należą się dzieciom pisarki – córce Goldie Morgentaler

za nieustającą życzliwość i pomoc w przygotowywaniu polskiej edycji wszystkich książek Chavy Rosenfarb i bezpłatną licencję na *Listy do Abraszy*, a także synowi Abrahamowi Morgentalerowi; obojgu dziękujemy za wsparcie finansowe tego wydania. Jak zawsze mogliśmy liczyć na pomoc merytoryczną dr. Adama Sitarka, dr. Michała Trębacza i dr Ewy Wiatr z Centrum Badań Żydowskich Uniwersytetu Łódzkiego oraz cenne podpowiedzi Symchy Kellera, Ryszarda Bonisławskiego i Bolesława Polewczyka. Prof. Małgorzacie Domagalskiej z Uniwersytetu Łódzkiego dziękujemy za recenzję naukową publikacji.

Listy do Abraszy Chavy Rosenfarb ukazują się dzięki środkom z Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzącym z Funduszu Promocji Kultury oraz dotacji celowej Urzędu Miasta Łodzi w ogłoszonym przez Radę Miejską w Łodzi Roku Chavy Rosenfarb.

Wszystkim bardzo dziękujemy.

Łódź, grudzień 2023 rok

Spis treści

Rozdział pierwszy 7
Rozdział drugi 27
Rozdział trzeci 45
Rozdział czwarty 61
Rozdział piąty 81
Rozdział szósty 101
Rozdział siódmy 117
Rozdział ósmy 141
Rozdział dziewiąty 157
Rozdział dziesiąty 173
Rozdział jedenasty 185
Rozdział dwunasty 209
Rozdział trzynasty 231
Rozdział czternasty 257
Rozdział piętnasty 275
Rozdział szesnasty 297
Rozdział siedemnasty 323
Rozdział osiemnasty 349
Rozdział dziewiętnasty 373
Rozdział dwudziesty 395
Rozdział dwudziesty pierwszy 427
Rozdział dwudziesty drugi 461
Rozdział dwudziesty trzeci 491
Rozdział dwudziesty czwarty 529
Rozdział dwudziesty piąty 553
Rozdział dwudziesty szósty 569
Rozdział dwudziesty siódmy 593
Rozdział dwudziesty ósmy 617
Rozdział dwudziesty dziewiąty 641
Rozdział trzydziesty 669
Rozdział trzydziesty pierwszy 705
Rozdział trzydziesty drugi 723
Rozdział trzydziesty trzeci 751
Rozdział trzydziesty czwarty 773
Źródła przypisów 783
„Pustka wydrenowana z myśli, z marzeń, z tęsknot, a nawet z bólu”
– o ostatniej powieści Chavy Rosenfarb 787
Od redakcji 797

Tytuł oryginału w języku jidysz: *Briw cum Abraszn*
Przekład z języka jidysz:
Joanna Degler (Lisek), Uniwersytet Wrocławski
Magdalena Ruta, Uniwersytet Jagielloński, Kraków
Marek Tuszewicki, Uniwersytet Jagielloński, Kraków
Inka Stempin
Anna Ciałowicz, Instytut Pileckiego – Ośrodek Badań nad Totalitaryzmami
Redakcja i przypisy: Joanna Podolska, Uniwersytet Łódzki
Redakcja językowa: Joanna Degler (Lisek), Uniwersytet Wrocławski
Korekta: Magdalena Wrzesień
Projekt graficzny, skład: Adam Sikorski
Koordynatorka projektu: Agnieszka Wilczek
Artykuł: *Pustka wydrenowana z myśli, z marzeń, z tęsknot, a nawet z bólu* – o ostatniej powieści Chavy Rosenfarb – Joanna Degler (Uniwersytet Wrocławski), Joanna Podolska (Uniwersytet Łódzki)
Korekta artykułu: Dorota Stępień
Recenzja naukowa: Dr hab. Małgorzata Domagalska, prof., Uniwersytet Łódzki

Copyright by Goldie Morgentaler
Copyright for this edition by Centrum Dialogu im. Marka Edelmana w Łodzi

Wydawca: Centrum Dialogu im. Marka Edelmana w Łodzi
ul. Wojska Polskiego 83, 91-755 Łódź
www.centrumdialogu.com

CENTRUM DIALOGU
im. Marka Edelmana w Łodzi

BIBLIOTEKA
CENTRUM
DIALOGU

ISBN: 978-83-63182-61-8

Łódź 2023

Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego
pochodzących z Funduszu Promocji Kultury
Zadanie współfinasowane ze środków Miasta Łodzi



Chava Rosenfarb (1923–2011)

jedna z najwybitniejszych pisarek literatury jidysz XX wieku, urodziła się w Łodzi. Jako siedemnastoletnia dziewczyna trafiła do getta łódzkiego, gdzie znalazła się w kręgu literatów tworzących w jidysz. W sierpniu 1944 roku została wywieziona wraz z całą rodziną do Auschwitz-Birkenau, a potem do innych obozów: Dessauer Ufer, Sasel i Bergen Belsen. Debiutowała tomikiem wierszy w jidysz i temu językowi pozostała wierna przez całe życie. Za wydaną w 1972 roku wybitną trylogię *Drzewo życia* uhonorowana została prestiżową nagrodą im. Icyka Mangera przyznawaną literaturze żydowskiej. Kontynuowała opowieść o polskich Żydach pisząc *Bociany* – książkę o rodzinnym sztetlu, z którego pochodzili jej rodzice, i o życiu w robotniczej, przedwojennej Łodzi. *Listy do Abraszy* to ostatnia powieść Chavy Rosenfarb, znajdujemy tu zwieńczenie, uzupełnienie i podsumowanie rozwijanych wcześniej wątków.

Pisarka całe powojenne życie spędziła poza Polską, kilka lat w Belgii, a od 1950 roku w Kanadzie, ale niemal całą swoją twórczość poświęciła rodzinnemu miastu. Od 2015 roku książki Rosenfarb są wydawane po polsku przez Centrum Dialogu im. Marka Edelmana w Łodzi.

ISBN 978-83-63182-61-8

9 788363 182618

WYDAWCA:

CENTRUM DIALOGU
im. Marka Edelmana w Łodzi

BIBLIOTEKA CENTRUM DIALOGU